

Michel Faber

Szkarłatny płatek i biały

(Przełożył: Maciej Świerkocki)

Evie, z podziękowaniem i miłością

Część pierwsza

Ulice

Patrz pod nogi. Nie trać głowy – będzie ci potrzebna. Miasto, do którego cię prowadzę, jest ogromne i skomplikowane jak labirynt. Nigdy przedtem w nim nie byłeś. Na podstawie innych opowieści, które kiedyś czytałeś, sądzisz zapewne, że dobrze znasz tę metropolię, ale tamte historie ci schlebiały, witały cię bowiem niby przyjaciela i traktowały jak swego. W rzeczywistości jednak jesteś tu obcym przybyszem, pochodzącym z całkowicie innego miejsca i czasu.

Kiedy po raz pierwszy wpadłam ci w oko i postanowiłeś pójść ze mną, myślałeś zapewne, że przybywszy na miejsce, po prostu rozgościsz się jak u siebie w domu. Teraz jednak, kiedy już tu przyszedłeś, okazuje się, że wokół panuje przeraźliwe zimno, a ty, potykając się na wybojach, podążasz za swoją przewodniczką w całkowitych ciemnościach i nie wiesz, gdzie jesteś. Rozglądasz się na lewo i prawo, mrużysz oczy pod wpływem uderzeń lodowatego wiatru i zdajesz sobie sprawę, że właśnie wchodzisz na nieznaną ulicę, przy której stoją nieoświetlone domy, pełne nieznanym ci ludzi.

A przecież nie wybrałeś mnie na chybił trafił. Wzbudziłam w tobie pewne oczekiwania. Nie wstydz się: miałeś nadzieję, że spełnię wszystkie twoje pragnienia, do których boisz się przyznać, a w najgorszym wypadku zapewnię ci dobrą zabawę. Teraz wahasz się, ciągle mnie obmacujesz, ale masz ochotę wypuścić mnie z rąk. Kiedy po raz pierwszy mnie dotknąłeś, nie od razu się zorientowałeś, jaka jestem duża. Nie przypuszczałeś także, że tak szybko i głęboko cię zainteresuję. Deszcz ze śniegiem żądli cię w policzki ostrymi płwocinkami, tak zimnymi, że zdają się gorące, niczym rozwiewane przez wiatr rozżarzone węgielki. Uszy zaczynają marznąć ci boleśnie. Ale pozwoliłeś zawieść się na manowce i jest już za późno, by zawrócić.

Zapadła popielata, czarnoszara noc, w której świat wydaje się niemal czytelny, niczym nietknięte kartki spalonego rękopisu. Brniesz na oślep przed siebie, otoczony mgiełką własnego ciężkiego oddechu, wciąż podążając za mną. Kocie łby pod twoimi stopami są mokre i ubabrane błockiem, a w zimnym powietrzu unoszą się kwaśne wyziewy i odór tającego powoli łąjna. Łowisz uchem dochodzące gdzieś z bliska stłumione pijackie głosy, ale nieliczne strzępy rozmów, które słyszysz, w niczym nie przypominają wielkich monologów, jak z dramatu romantycznego, przeciwnie, zaczynasz w duchu prosić Boga, aby te głosy nie zbliżyły się do ciebie.

Główne postaci niniejszej opowieści, z którymi pragniesz nawiązać bliższą znajomość, bawią daleko stąd. Nie oczekują cię – nic dla nich nie znaczysz. Jesteś w błędzie, sądząc, że wstaną z ciepłych łóżek, by udać się w długą drogę na spotkanie z tobą.

Zastanawiasz się więc zapewne: po co cię tu przyprowadziłam? Skąd ta zwłoka, która sprawia, że nie możesz jeszcze poznać ludzi, których miałeś nadzieję tu spotkać? Odpowiedź jest prosta: ich służba nie wpuściłaby cię za próg.

Brak ci bowiem odpowiednich koneksji, i właśnie dlatego cię tu przyprowadziłam: żebyś zawarł odpowiednie znajomości. Oto pewna osoba bez żadnego znaczenia musi przedstawić cię osobie prawie bez znaczenia, ta zaś przedstawi cię następnej, i tak dalej, i dalej, aż wreszcie będziesz mógł przekroczyć próg domu, niemal jak członek rodziny.

Dlatego przyprowadziłam cię tutaj, na Church Lane w St Giles – bo znalazłam odpowiednią osobę.

Ostrzegam jednak lojalnie, że przedstawiam cię komuś, kto jest na samym dnie: to postać należąca do najniższej z najniższych warstw gminu. Co prawda, bogactwa Bedford Square i British Museum znajdziesz zaledwie kilkaset jardów stąd, ale dzieli cię od nich New Oxford Street – rzeka zbyt szeroka, by można przebyć ją wplaw, jeśli stoi się na niewłaściwym brzegu. Zapewniam cię, że książę Walii nigdy nie uściskał dłoni żadnemu mieszkańcowi tej ulicy, nikomu z miejscowych nie skinał głową, przejeżdżając tędy, ani nie posmakował nawet – pod osłoną nocy – miejscowych prostytutek. Choć bowiem przy Church Lane rezyduje zapewne więcej dziwek niż na jakiegokolwiek ulicy Londynu, nie są to nierządnicę klasy odpowiedniej dla dżentelmena. Ostatecznie prawdziwy koneser wie, że kobieta jest czymś więcej niż jedynie ciałem, stąd nie należy mniemać, jakoby

znawca mógłby przymknąć oko na to, iż tutejsze łóżka są brudne, meble nędzne, kominki zimne, a na ulicy nie ma postoju dorożek.

Krótko mówiąc, ta okolica to zupełnie inny świat, w którym dobrobyt stanowi odległy niczym gwiazdy na niebie, egzotyczny sen. Church Lane to ulica, na której nawet koty są chude i mają zapadłe oczy, bo nie jadają mięsa, ulica, na której mieniący się robotnikami mężczyźni chyba wcale nie pracują, a tak zwane praczki rzadko cokolwiek piorą. Na tej ulicy filantropi nie są w stanie uczynić nic dobrego, więc kiedy mieszkańcy przeganiają ich stąd, uchodzą, unosząc rozpacz w sercach i nieczystości na butach. Wzorowy przytułek dla potrzebujących i ubogich, otwarty w pobliżu z wielką filantropijną pompą przed dwudziestu laty, znajduje się już w rękach niegodziwców, a poza tym jest mocno nadgryziony zębem czasu. Inne, jeszcze starsze i bardziej zniszczone domy, choć dwu- albo nawet trzypiętrowe, zioną podziemnymi wyziewami, jak gdyby wydobyto je z jakiegoś gigantycznego wykopu archeologicznego niczym gnijące szczątki zaginionej cywilizacji. Wiekowe budynki chromają o kulach żelaznych rynien, maskując swoje rany i ułomności kompresami stiuków, temblakami sznurów do suszenia bielizny albo przepaskami zbutwiałego drewna. Dachy łączą się w szaloną płataninę, okna na poddaszach są spękane i poczerniałe, podobnie jak murarka, a górujące ponad nimi niebo zdaje się gęstsze niż tutejsze powietrze, tworzące sklepiony sufit, który przypomina szklany dach fabryki albo stacji kolejowej: niegdyś jasny i przezroczysty, a dziś zasnuty brudem.

Ponieważ jednak przybywasz tu za dziesięć trzecia w środku zimnej, listopadowej nocy, nie masz zapewne ochoty, aby podziwiać krajobraz. Teraz interesuje cię przede wszystkim to, jak znaleźć schronienie przed chłodem i ciemnością, chcesz bowiem stać się tym, kim – jak sądziłeś – mógłbyś być, kiedy tylko mnie dotkniesz: człowiekiem wtajemniczonym; jednym z nich.

Nie licząc białych płomyków latarni gazowych na odległych rogach ulicy, na Church Lane nie widać światła, lecz tylko dlatego, że twoje oczy przywykły rozpoznawać mieszkanie, w którym ktoś czuwa, po bardziej wyraźnych oznakach niż wątły blask dwóch świec za upačkaną szybą. Pochodzisz ze świata, w którym ciemność rozprasza się jednym pstryknięciem przełącznika, ale życie nie zawsze daje człowiekowi przewagę. Czasami stawia go w o wiele bardziej niepewnym położeniu.

Chodź ze mną na górę, do pokoju, gdzie pali się owo słabe światełko. Pozwól, że wciągnę cię do tej kamienicy tylnymi drzwiami i poprowadzę dalej klaustrofobicznym korytarzem, w którym unosi się woń z wolna nasiąkającego wilgocią dywanu i brudnej pościeli. Pozwól, że zapewnię ci schronienie przed zimnem. Znam drogę.

Uważaj na schodach – są w nich zbutwiałe stopnie. Wiem które, zaufaj mi. Przebyłeś już bardzo długą drogę, dlatego więc nie miałbyś pójść trochę dalej? Cierpliwość jest cnotą, toteż zostanie sownie nagrodzona.

Oczywiście – czyżbym jeszcze o tym nie wspomniała? – zaraz cię opuszczę. Tak, niestety. Ale zostawię cię w dobrych, wręcz doskonałych rękach. Tu właśnie, w tym maleńkim pokoiku na piętrze, gdzie świeci słabe światełko, zawrzesz zaraz swoją pierwszą znajomość.

To przemiła dziewczyna – spodoba ci się. A jeśli nie, to właściwie nieważne: bo kiedy tylko skieruje cię na właściwą drogę, będziesz mógł ją porzucić bez ceregieli. Od pięciu lat, odkąd zaczęła samodzielne życie, nigdy nie otarła się nawet o damy i dżentelmenów z takich kregów, wśród których ty później będziesz się obracać – pracuje, mieszka i umrze z pewnością na Church Lane, z tą dzielnicą biedy łączą ją bowiem nierozzerwalne więzy.

Jak wiele zwykłych kobiet, a zwłaszcza prostytutek, nosi imię Caroline. Zastajesz ją siedzącą w kucki nad dużą, ceramiczną miednicą pełną letniej wody, ałunu i siarczanu cynku. Używając zaimprovizowanego tłoczka, sporządzonego z drewnianej łyżki i starego bandaża, usiłuje zatruć, usunąć lub w jakiś inny sposób zniszczyć to, co zaledwie przed kilkoma minutami zostawił w niej pewien mężczyzna, na spotkanie z którym właśnie się spóźniłeś. Caroline raz po raz zwilża tłoczek, a woda w misce staje się coraz brudniejsza – jak mniema dziewczyna, jest to pewny znak, że nasienie mężczyzny nie krąży już w niej, lecz w wodzie.

Wycierając się rąbkiem koszuli, spostrzega, że dopalają się obie świece – jedna z nich jest już tylko ociekającym kikutem. Czy Caroline zapali nowe świece?

Hmm, to zależy od tego, która jest godzina, a dziewczyna nie ma zegara. Tylko niewielu mieszkańców Church Lane je posiada. Niewielu z nich wie, który jest rok ani nawet że minęło ponoć osiemnaście i pół wieku, odkąd pewnego żydowskiego wichrzyciela zawleczono na stracenie za zakłócanie spokoju publicznego. Na tej ulicy ludzie nie chodzą spać o określonej godzinie, lecz wtedy, kiedy zaczyna na nich działać dzin lub gdy zmęczenie każe im zaprzestać przemocy. Na tej ulicy ludzie budzą się, kiedy opium dodawane do osłodzonej wody dla dzieci przestaje działać uspokajająco na małych nieszczęśników. Na tej ulicy co bardziej cherlawi mieszkańcy wpełzają do łóżek tuż po zachodzie słońca i leżą, czuwając i nasłuchując szczurów. Na tę ulicę dźwięk dzwonów kościelnych i królewskich fanfar dociera jedynie słabym, nader słabym echem.

Zegarem Caroline jest paskudne niebo i jego fosforyzująca zawartość. Słowa „trzecia nad ranem” zapewne nic dla niej nie znaczą, ale dziewczyna doskonale potrafi odczytać godzinę z położenia księżyca względem domów po drugiej stronie ulicy. Stoi przy oknie, przez chwilę próbuje wyjrzeć na zewnątrz przez zamarznięty brud na szybie, a potem przekręca klamkę i pchnięciem otwiera okno. Rozlega się głośny trzask i Caroline na moment ogarnia lęk, że zbiła szybę, okazuje się jednak, że pękł jedynie lód, którego drobne okruchy spadają z łoskotem na ulicę.

Ten sam wiatr, który ściał wodę w lód, atakuje też półnagie ciało Caroline, pragnąc zmienić lśnienie potu na jej pokrytej gęsią skórą piersi w migotliwy blask szronu. Dziewczyna zaciska palce na wystrzępionym kołnierzyku rozwianej koszuli nocnej, otula nim szyję, pociera przedramieniem swoją pierś i czuje, jak twardej jej brodawka.

Na zewnątrz panuje niemal całkowity mrok, albowiem najbliższa latarnia stoi sześć domów dalej. Kocie łby Church Lane nie są już białe od śniegu. Deszcz pozostawił po sobie na ziemi ogromne charki i smugi na półśniegowej brei, podobne do monstualnego wytrysku nasienia, połyskującego żółtawym blaskiem w świetle gazowych płomieni. Poza tym wszystko jest czarne.

Świat za oknem wydaje ci się pusty, kiedy wstrzymujesz oddech, przystając za plecami Caroline. Ona wie jednak, że nie śpią też zapewne inne miejscowe dziewczęta, podobnie jak włóczędzy, strażnicy, złodzieje i mieszkający po sąsiedzku aptekarz, który nie zamyka sklepu na wypadek, gdyby ktoś chciał kupić u niego laudanum. Na ulicach wciąż można spotkać pijaków, którzy zasnęli, śpiwając, w pół słowa albo umierają z zimna – i owszem, nie jest także wykluczone, że po okolicy krąży jeszcze jakiś lubieżnik w poszukiwaniu taniej dziwki.

Caroline myśli, że może powinna się ubrać, otulić szalem i wyjść, aby poszukać szczęścia na pobliskich ulicach. Brakuje jej pieniędzy, bo większą część dnia przespała, a potem zrezygnowała z chętnego klienta, który nie przypadł jej do gustu – wyglądał bowiem na syfilityka. Teraz dziewczyna żałuje, że pozwoliła mu odejść. Powinna była przecież się nauczyć, że czekanie na chodzący ideał nie ma sensu.

Jeżeli jednak znów wyjdzie na ulicę, będzie musiała zapalić dwie następne, już ostatnie świece. Powinna także wziąć pod uwagę surową aurę: cała ta kotłowanina w łóżku sprawia, że wzrasta temperatura ciała, która gwałtownie spada, kiedy człowiek wychodzi później na ziąb – pewien student medycyny powiedział jej kiedyś, wciągając spodnie, że w ten sposób łatwo nabawić się zapalenia płuc. Caroline odczuwa duży respekt wobec tej choroby, choć myli ją z cholera, uważa bowiem, że płucząc obficie gardło dzinem i bromkiem, zdoła zachować życie.

Kuby Rozpruwacza nie musi się obawiać – jest na to o czternaście lat za wcześnie, a Caroline z mniej lub bardziej naturalnych przyczyn zejdzie z tego świata, zanim pojawi się na nim ów morderca. Zresztą Kuba Rozpruwacz nie będzie zawracał sobie głowy St Giles. Jak bowiem powiedziałam, przedstawiam cię komuś, kto jest na samym dnie.

Wyjątkowo ostry podmuch wiatru zmusza Caroline, by zamknęła okno i odcięła się znów od świata w przypominającym pudełko pokoju, który nie należy do niej i którego – ściśle rzecz biorąc – wcale nie wynajmuje. Nie chcąc być leniwą flądram, ze wszystkich sił usiłuje wyobrazić sobie, że spaceruje po ulicach, przybierając zagadkowy wyraz twarzy; próbuje przywołać w myślach obraz dobrego klienta, który wyłania się z mroku i mówi jej, że jest piękna. To jednak mało prawdopodobne.

Ociera twarz własnymi włosami, tak gęstymi i ciemnymi, że nawet najbardziej nieokrzesanym mężczyznom zdarzało się pogładzić je z podziwem. Są jedwabiste, ciepłe i przyjemnie łaskoczą ją

w policzki i powieki. Kiedy dziewczyna odejmuje dłonie od twarzy, okazuje się, że pierwsza świeca utonęła już w kałuży łoju, druga natomiast wciąż usiłuje utrzymać płonący łąb na powierzchni. W tej sytuacji Caroline musi uznać, że dzień dobiegł końca i zarobiła już wszystko, co mogła dziś zarobić.

W kącie stoi zapadnięte, pomarszczone i na w pół rozbebeszone łóżko, przypominające zabandażowaną rękę, którą ktoś nierozsądnie zaprzęgał do ciężkiej, czarnej roboty. Poza tym pokój jest pusty, nadszedł więc wreszcie czas, by wykorzystać rzeczony mebel do spania. Caroline wsuwa się pomiędzy pościel i koce, ostrożnie, żeby nie porozdzierać obcasami zapaskudzonego prześcieradła. Buty zdejmie później, kiedy rozgrzeje się i będzie mogła spokojnie pomyśleć o rozpięciu długich szeregów zatrasków.

Płomyk drugiej świecy dogasa, nie dając dziewczynie sposobności, by mogła się przechylić i zdmuchnąć go, po czym Caroline składa głowę na pachnącej alkoholem i męczyznami poduszce.

Możesz już wyjść z ukrycia. Rozgość się, bo w pokoju zapadł całkowity mrok, który będzie tu panował aż do świtu. Jeśli chcesz, możesz nawet zaryzykować i położyć się obok Caroline, która zapomina o Bożym świecie, gdy śpi, i nie zauważy twojej obecności – o ile tylko zdołasz się powstrzymać i nie dotkniesz jej.

Tak, możesz położyć się obok. Caroline śpi. Podnieś koce i wślizgnij się do łóżka. Nie przejmuj się, jeżeli jesteś kobietą: kobiety w tych czasach często śpiąją razem. Nie przejmuj się tym bardziej, jeżeli jesteś mężczyzną: w łóżku Caroline spały ich już setki.

Do świtu pozostało jeszcze trochę czasu, Caroline wciąż śpi obok ciebie, temperatura w pokoju poza łóżkiem jest w okolicach zera, lecz ty lepiej już wstań.

Nie, doskonale zdaję sobie sprawę, że masz przed sobą długą i męczącą podróż, ale za chwilę coś gwałtownie zbudzi Caroline, byłoby zatem lepiej, żebyś nie leżał wtedy koło niej.

Skorzystaj zatem z okazji i zapamiętaj dobrze tę izdebkę: jej smętną ciasnotę, wypaczoną przez wilgoć drewnianą podłogę, okopcony sufit, zapach łoju, spermy i starego potu. Musisz zapamiętać pokoik Caroline dobrze i wyraźnie, inaczej bowiem zapomnisz o nim, gdy tylko awansujesz i przeniesiesz się na inne, lepsze pokoje, w których unosi się zapach potpourri, pieczonej jagnięciny i dymu z cygar – na lepsze, wysokie pokoje, zdobione równie bogato jak tapety, pokrywające ich ściany. Wsłuchaj się w słabe, niespokojne szmery za boazerią i ciche, na poły wesołe pojękiwania Caroline przez sen...

Budzi ją potworny, przeraźliwy zgrzyt, jak gdyby jakaś wielka konstrukcja z blachy i drewna tarła o kamień. Przerażona Caroline wyskakuje z łóżka, rozrzucając pościel, która turkocze niby ptasie skrzydła. Zgrzytliwy pisk rozbrzmiewa jeszcze przez kilka sekund, a potem ustępuje nieco mniej przerażającym dźwiękom, jak rzenie konia i ludzkie przekleństwa.

Dziewczyna podbiega do okna, co czyni w tej chwili większość mieszkańców Church Lane. Podekscytowana i półprzytomna, mruży oczy, by przebić wzrokiem mrok, wypatrując śladów katastrofy. Na progu jej domu niczego nie widać, ale dalej, w głębi ulicy, niemal na oświetlonym latarnią rogu, leży wrak dorożki, która drży wciąż i rozpada się, kiedy woźnica rozcina uprzęż przerażonego konia.

Caroline nie widzi jej dobrze z oddali i w ciemności, chciałaby więc wychylić się przez okno, ale podmuchy lodowatego wiatru każą dziewczynie cofnąć się z powrotem do pokoju. Zaczyna po omacku szukać ubrania pod porozrzuconą pościelą i pod łóżkiem – czyli tam, gdzie mógł je postać kopniakiem ostatni klient. (Potrzebuje okularów, naprawdę, nigdy jednak nie będzie ich mieć. Od czasu do czasu pojawiają się na ulicznych targowiskach i wtedy je przymierza, ale nie może dobrać odpowiednich, nawet jeśli nie przeszkadzają jej porysowane szkła).

Kiedy powraca do okna, okutana kocem i w pełni już rozbudzona, okazuje się, że akcja na ulicy toczy się zdumiewająco szybko. Wokół rozwalonej dorożki kręci się kilku policjantów z latarniami w rękach, którzy wsuwają do policyjnego powozu jakiś wór albo zwłoki. Woźnica odrzuca zaproszenia stróżów prawa, by także wsiąść do środka. Obchodzi swój wywrócony kołami do góry pojazd, szarpiąc różne elementy jego konstrukcji, jak gdyby chciał sprawdzić, czy dorożka może się rozpaść jeszcze bardziej, a spokojny już koń obwąchuje zady dwóch zaprzężonych do policyjnego

powozu klaczy.

Po kilku kolejnych minutach, kiedy nad St Giles wstaje blade słońce, jest po wszystkim. Żywi i umarli odjechali, pozostawiając zniszczoną dorożkę. Tylko roztrzaskane szprychy i okruchy szyb wiszą wciąż w ramach okien niczym dzieła sztuki.

Zaglądasz dziewczynie przez ramię, sądząc, że na dworze nie ma już na co patrzeć, ale Caroline jak zahipnotyzowana wygląda wciąż przez okno w całkowitym bezruchu, opierając się łokciami o parapet. Nie przygląda się już jednak rozwalonej dorożce – jej uwagę przykuwają teraz frontony kamienic po przeciwnej stronie ulicy.

We wszystkich oknach naprzeciwko widać twarze, milczące twarze dzieci, stojących pojedynczo albo małymi grupkami, które przywodzą dziewczynie na myśl pokryte sklepowym kurzem słodczyce w witrynie zamkniętego domu handlowego. Dzieci wpatrują się we wrak dorożki i czekają. Potem nagle, jednocześnie, jak gdyby uzgodniwszy najpierw między sobą, ile czasu powinno minąć od chwili, w której woźnica zniknie za rogiem, blade twarzyczki opuszczają okna.

Drzwi otwierają się i na ulicę wybiega dwóch zwinnych jak szczury urwisów. Pierwszy ma na sobie tylko ojcowskie buty, porwane spodenki i szeroki szal, drugi z kolei biegnie boso, w nocnej koszuli i płaszczyku. Dłonie i stopy chłopców są brunatne i zrogowaciałe niczym psie łapy, a ich dziecinne buzie przybierają szpetny wyraz, który wymalowało złe traktowanie w domu.

Malcy rzucają się na dorożkowe ścierwo, i to bez żenady: przeciwnie, atakują okaleczony pojazd z dziecięcym entuzjazmem. Ich drobne dłonie wyszarpują szprychy ze strzaskanego koła, by użyć ich natychmiast jako dłut albo krótkich łomów. Zrywają metalowe okucia i listwy, odskakujące z trzaskiem od kadłuba wraku – szprychami walą także lampy oraz klamki, które następnie wyrywają i ukręcają.

Z brudnych bram wyłaniają się kolejne dzieci, pragnące upomnieć się o swoją część łupu. Te, które noszą koszule z długimi rękawami, podwijają je, pozostałe zaś zabierają się od razu do roboty. Choć mają silne ręce i zmarszczone brwi, żadne nie liczy sobie więcej niż osiem czy dziewięć lat, bo mimo iż wszyscy zdrowi mieszkańcy Church Lane są już na nogach, jedynie młodsze dzieci mogą zająć się plądrowaniem dorożki. Starsi i dorośli są pijani albo przygotowują się do długiego dnia pracy lub równie długiej pieszej wędrówki tam, gdzie być może znajdują zatrudnienie.

Już wkrótce wokół dorożki roi się od niegodnych biedaków, którzy mozolnie demontują wartościowe przedmioty. Praktycznie wszystko ma wartość dla tutejszych mieszkańców, dorożka była bowiem przeznaczona dla przedstawicieli kasty stojącej na drabinie społecznej o wiele wyżej od nich. Kadłub powozu wykonany jest z tak trudno dostępnych tworzyw, jak żelazo, mosiądz, dobre, suche drewno, skóra, szkło, filc, druty oraz sznury. Nawet wyściółkę powozowych siedzeń można zaszyć w poszwie, by sfabrykować w ten sposób o wiele wygodniejszą poduszkę niż zwinięty worek po kartoflach. W milczeniu, radząc sobie, jak mogą, w zależności od tego, jakimi narzędziami i obuwiem dysponują, chłopcy obtłukują i dziobią, szarpia i kopią dorożkę. Suche odgłosy ich pracy niosą się w zimnym powietrzu, a konstrukcja powozu wibruje i drży na ulicznym bruku.

Wiedzą, że nie mają wiele czasu, okazuje się jednak, że jest go mniej, niż mogli się spodziewać. Zaledwie piętnaście minut po pierwszym ataku dwóch urwisów na rozbitą dorożkę zza rogu wyłania się z łoskotem dwukonny, masywny wóz do transportu beczek z piwem. Nie wiezie żadnego ładunku, nie licząc dorożkarza i jego trzech muskularnych kompanów.

Dzieci w większości natychmiast czmychają do domu, unosząc w ramionach szczątki dorożki – najbezczelniejsi chłopcy jeszcze przez kilka sekund trwają na pozycjach, dopóki nie spłoszą ich gniewne okrzyki w rodzaju: „Precz!” i „Złodzieje!”. Kiedy wóz zatrzymuje się przy wraku, Church Lane pustoszeje. Frontony kamienic znów są bezbarwne i tajemnicze, a okna pełne twarzy.

Z wozu zsiada czterech mężczyzn, którzy najpierw z jednej, a potem z drugiej strony powoli obchodzą dorożkę, rozprostowując masywne dłonie i umięśnione ramiona. Potem na sygnał dorożkarza chwytają wrak z czterech stron, dźwigają go i jednym ruchem ładują na wóz, postępując. Dorożka przechyla się lekko, brakuje jej bowiem dwóch ukradzionych kół.

Mężczyźni nie tracą czasu, pospiesznie zbierając także drobniejsze elementy konstrukcji powozu. Konie parskają, wypuszczając z nozdrzy kłęby pary, kiedy ruszają pod smagnięciem bata,

a trzech pomocnicy dorożkarza wskakują na wóz i opierają się o okaleczony pojazd. Dorożkarz przystaje tylko na chwilę, aby pogrozić pięścią pochowanym za szybami rabusiom i wykrzyknąć: „To było moje całe życie!”, po czym wóz i jego uwozi w dal.

Melodramatyczny gest właściciela dorożki nie robi na nikim wrażenia. W oczach ludzi z Church Lane uszedł cało śmierci i powinien być wdzięczny swojemu losowi, albowiem kiedy wóz odjeżdża z turkotem, odsłania pas ciemnej krwi na bruku, przypominający szkarłatne ziele, które wije się pośród kocich łbów.

Z miejsca, gdzie stoisz, widać, że plecy Caroline między łopatkami przebiega dreszcz obrzydzenia – nie jest odważna, zawsze bała się i boi widoku krwi. Przez chwilę można sądzić, że odejdzie od okna, ale wzdryga się z niejaką przesadą, by pozbyć się gęsiej skórki, po czym wygląda znowu na ulicę.

Beczkwóz odjechał, i oto tu i ówdzie z rozmachem otwierają się frontowe drzwi, z których wyłaniają się jakieś postacie. Tym razem nie są to dzieci, lecz dorośli – czyli zahartowani przez życie chłopcy, którzy liczą sobie ponad dziesięć lat. Ci, którzy mają jeszcze trochę czasu, jak rozlepiacz plakatów, czyściciel czy sprzedawca papierowych wiatraków, oglądają uważnie plamę krwi – inni natomiast mijają ich szybkim krokiem, owijając wychudzone szyje szalami albo chustami i przełykając z trudem ostatnie resztki śniadania. Dla tych, którzy pracują w fabrykach i sklepach z tanią odzieżą, spóźnienie oznacza natychmiastowe zwolnienie z pracy – ci zaś, którzy poszukują jakiegoś „dorywczego” zajęcia, wcale nie chcą się znaleźć wśród pięćdziesięciu chętnych, których odprawi się z kwitkiem, kiedy już się wybierze najsilniejszych.

Caroline przebiega znowu chłodny dreszcz, tym razem wskutek powrotu pewnego nieprzyjemnego wspomnienia sprzed lat. I ona bowiem należała kiedyś do tych niewolników, spieszących codziennie rano w szary świt i co wieczór płaczących ze zmęczenia. Jeszcze dzisiaj, kiedy – co często jej się zdarza – za dużo wypije i śpi zbyt mocnym snem, pozostałości zwierzęcego przyzwyczajenia budzą ją o godzinie, o której wstawała niegdyś do pracy w fabryce. Zdenerwowana, półprzytomna, osuwa się wówczas z łóżka na gołą podłogę, jak dawniej. Dopiero kiedy podchodzi na czworakach do krzesła, na którym nie znajduje wiszącej tam przed laty bawełnianej bluzy roboczej, przypomina sobie, kim i czym się stała, a potem wślizguje się z powrotem do ciepłego łóżka.

Dziś jednak wstrząsający wypadek na ulicy na tyle wybił ją ze snu, że teraz na pewno nie zaśnie. Może prześpi się jeszcze po południu – ba, nawet powinna się zdrzemnąć, żeby nie zasnąć później u boku jakiegoś chrapiącego idioty. Zwyczajne chędożenie to jedno, ale kiedy pozwolisz mężczyźnie choć raz zostać na noc, wydaje mu się natychmiast, że może się do ciebie sprowadzić razem ze swoim psem i gołębiami.

Obowiązki, obowiązki. Musi się wyspać, pamiętać, by czesać włosy i myć się po każdym stosunku: właśnie tych spraw nie wolno jej ostatnio zaniedbywać. W porównaniu z mordegą, jaką dzieliła dawniej z fabrycznymi niewolnikami, nie są to zbyt wielkie obciążenia. A co do pracy, to... Cóż, nie jest tak niebezpieczna, brudna ani monotonna jak robota w fabryce. Za cenę zbawienia nieśmiertelnej duszy zyskała prawo do tego, by móc się wysypiać w dni powszednie i wstawać, kiedy jej się żywnie podoba.

Stoi przy oknie i patrzy, jak Nellie Griffiths i stara pani Mulvaney drepczą ulicą w drodze do wytwórni dżemu. Biedne, stare babska: w dzień niemal za darmo harują w nieznośnej spiekocie, a potem wracają do domów, do swoich zapijaczonych mężów, którzy biją je, aż zataczają się od ściany do ściany. Jeżeli na tym ma polegać „cnota”, a Caroline uchodzi za kobietę „upadłą”, to... Po co Bóg stworzył cipy, jeśli nie po to, aby wybawić niewiasty od ciężkiego znoju?

Jednakże w pewnym sensie dziewczyna trochę zazdrości tym kobietom i odczuwa ukłucie lekkiego żalu. Zarówno Nellie, jak i pani Mulvaney mają dzieci, a Caroline urodziła kiedyś dziecko, straciła je i nigdy nie będzie miała drugiego. Przy czym nie było to dziecko z nieprawego łoża: urodziło się w pełnym miłości związku małżeńskim, w pięknej wiosce w północnym Yorkshire, nieistniejącej już w świecie Caroline podobnie jak jej syn. Być może w zwarzonych trzewiach dziewczyny kolejne dziecko nie mogłoby już w ogóle wykiełkować, a podmywanie ałunem i siarczanem cynku jest równie bezsensowne jak modlitwa.

Jej synek miałby teraz osiem lat – bo przecież mógłby żyć, gdyby Caroline została w Grassington Village. Młoda wdowa zdecydowała jednak, że zabierze dziecko z wioski do Londynu, ponieważ w najbliższym mieście, w Skipton, nie było żadnej pracy dla słabo wykształconej kobiety, która nie miała ochoty żyć na garnuszku teściowej.

Tak więc Caroline i jej syn wsiedli do pociągu, by zacząć nowe życie, lecz zamiast pojechać do Leeds czy Manchesteru – dziewczyna miała bowiem powody przypuszczać, że są to złe i niebezpieczne miasta – kupiła bilety do stolicy cywilizowanego świata. W wiejskim czepku zaszyła osiem funtów, pokaźną kwotę, za którą można było wyżywić się i mieszkać w Londynie nawet przez kilka miesięcy. Myśl o takiej sumie powinna była dodawać otuchy Caroline, ale przez całą drogę bolała ją głowa, jak gdyby ciążyło jej potężne brzemień banknotów. Chciała wydać tę fortunę natychmiast i pozbyć się strachu, że może ją utracić.

Kilka dni po przyjeździe do wielkiej metropolii zaoferowano jej pomoc w rozwiązaniu tego problemu. Dobre maniere Caroline wywarły tak korzystne wrażenie w pewnej słynnej firmie krawieckiej, że powierzono jej chałupnicze szycie kamizelek i spodni. Firma zapewniała wszystkie niezbędne w tym celu materiały, tytułem zabezpieczenia żądała jednak wpłacenia pięciu funtów. Kiedy Caroline ośmieliła się zauważyć, że pięć funtów wydaje jej się wygórowaną sumą, mężczyzna, który przyjmował ją do pracy, zgodził się z tą opinią i wytłumaczył dziewczynie, że to nie on ustala wysokość kaucji. Otóż kierownik firmy, jego przełożony, najwyraźniej przejrzał ostatnio na oczy i zauważył nieuczciwość ludzi, których przyjął do pracy, kiedy nie był jeszcze tak przewidujący: pracownicy ci ukradli mu bowiem wiele jardów najwyższej jakości tkanin, którymi handlowali potem na ulicznych targowiskach, a które jako łachmany trafiły w końcu na grzbiety uliczników. Czy Caroline nie sądzi, że to niemiły widok dla oczu każdego wielkodusznego i ufego człowieka interesu?

Dziewczyna skwapliwie przyznała mu słusność – jest uczciwą kobietą, jej syn to nie żaden ulicznik, ona zaś uważa się za obywatelkę tego samego świata, o którego bezpieczeństwo dba jej pracodawca. Dlatego wręczyła mężczyźnie pięć funtów i podjęła pracę szwaczki, by szyć męskie kamizelki i spodnie.

Praca okazała się stosunkowo łatwa i (jak sądziła Caroline) dobrze płatna – czasami zarabiała tygodniowo nawet sześć szylingów, choć od tej sumy należało odliczyć koszty płótna, węgla do żelazka oraz świec. Nie żałowała pieniędzy na świece, postanowiła bowiem, że nie zostanie na wpół ślepą szwaczką, mrużącą oczy nad szyciem przy oknie o zmroku – było jej żal szwaczek, upamiętnionych w *The Song of the Shirt*¹ i litowała się nad nimi tak, jak szacowny sklepikarz mógłby się litować nad obdartym straganiarzem. Choć doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo obniżyła się jej pozycja społeczna, nie była niezadowolona: wystarczało jej na jedzenie dla siebie i syna, ich mieszkanie na Chitty Street było czyste i schludne, a ponieważ Caroline nie była zameżna, mogła rozsądnie gospodarować pieniędzmi.

Potem nadeszła zima i mały oczywiście zachorował. Pielęgnując go, Caroline traciła cenny czas, szczególnie za dnia, a kiedy wreszcie jej synek odzyskał zdrowie, nie miała innego wyboru, jak zapędzić dziecko do pomocy w pracy.

– Bądź moim dużym, dzielnym mężczyzną – powiedziała z płonąca rumieńcem twarzą, odwracając wzrok ku samotnej świecy, która oświetlała ich ciemną pracownię. Żadna propozycja, jaka miała paść z jej ust w późniejszych latach, nie była równie bezwstydną.

W ten sposób matka i syn zaczęli pracować razem. Opierając się o nogi Caroline, chłopczyk składał i prasował garderobę, którą szyla matka. Próbowwała przekształcić pracę w zabawę, namawiając synka, by wyobraził sobie długą kolejkę nagich, drżących z zimna dżentelmenów, którzy czekają na spodnie. Ale robota szła im coraz wolniej, a jej morzony sennością syn coraz częściej osuwał się na podłogę, w końcu musiała więc przypiąć szpilką plecy jego koszuli do swojej sukni, żeby chłopczyk nie poparzył się żelazkiem – albo nie spalił spodni czy kamizelki.

Ta smutna wspólna praca nie trwała długo. Dziesiątki kamizelek czekały wciąż na swoją kolej, a malec tak często zasypiał, szarpiąc ją za spódnice, że w końcu stało się jasne, iż nie jest zmęczony,

1 Poemat pióra T. Hooda (1799-1845), opublikowany po raz pierwszy anonimowo w roku 1843 w piśmie „Punch”. Utwór przedstawia losy złe oplacanej i pracującej ponad siły szwaczki (przyp. tłum.).

lecz umiera.

Wtedy Caroline udała się do pracodawcy po zwrot kaucji. Wróciła z dwoma funtami, trzema szylingami i mdłącą, bezsilną wściekłością, która miotła ją przez cały miesiąc.

Pieniędzy wystarczyło jej na nieco ponad miesiąc, a kiedy chłopiec dzięki opiece lekarskiej poczuł się trochę lepiej, Caroline znalazła pracę w jakiejś podejrzanej norze u pewnego zdierycy, gdzie modelowała kapelusze, wciskając kwadratowe kawałki tkaniny na parujące z gorąca żelazne głowy manekinów. Przez cały dzień podawała ustawionym w szeregu robotnikom ciemne, lśniące, parzące kapelusze niczym talerze z potrawami w jakiejś niewiarygodnie zaparowanej kuchni. Jej synek (muisz mi wybaczyć, że pozostaje anonimowy, ale Caroline nie wymawia dzisiaj jego imienia) spędzał całe dnie zamknięty na klucz w nowej obskurnej izdebce w towarzystwie kolorowej piłeczki i bristolskich zabawek, dusząc się w swojej chorowitości i półsierocej rozpacz. Był ciągle kapryśny i płakał z lada powodu, jak gdyby chcąc sprowokować matkę, żeby straciła cierpliwość.

W końcu pewnej nocy u schyłku zimy zaczął kaszleć i rzezić jak oszalały szczeniak. Tamta noc była uderzająco podobna do dzisiejszej: przejmująco zimna i słotna. Obawiając się, że o tej godzinie i w taką pogodę żaden lekarz nie da się namówić na wizytę u chorego bez zapłaty z góry, Caroline wpadła na pewien pomysł. Och, owszem, słyszała o dobrodusznym i oddanym swemu powołaniu medykiem, którzy odwiedzają dzielnice nędzy, by walczyć z ich odwiecznym wrogiem, chorobą, ale odkąd przyjechała do Londynu, nie spotkała żadnego takiego lekarza, przyszło jej więc do głowy, że będzie lepiej, jeśli spróbuje najpierw podstęp. Włożyła najlepsze ubranie (w tym stanik ze skradzionego z fabryki filcu) i wyciągnęła chłopca na ulicę.

Jej plan polegał na tym, by wmówić mieszkającemu najbliżej lekarzowi, że sprowadziła się do Londynu niedawno i nie ma jeszcze rodzinnego medyka. Dzisiaj spędziła cały wieczór w teatrze i dopiero teraz, wróciwszy do domu, gdzie zastała oszalałą ze zmartwienia niańkę, zrozumiała, że jej syn jest chory, dlatego natychmiast zawezwała dorożkę, pieniądze bowiem nie mają dla niej znaczenia.

– Czy lekarz nas nie odprawi? – zapytał chłopczyk, który jak zwykle trafił w sedno, wyczuwał bowiem najgorsze obawy matki.

– Chodź szybciej. – Tylko tyle umiała mu odpowiedzieć.

Kiedy znaleźli dom, przed którym paliła się owalna latarnia, chłopczyk rzeził tak strasznie, że Caroline niemal odchodziła od zmysłów. Drżały jej ręce, tak bardzo pragnęła rozerwać jego drobną szyję, by dać mu więcej powietrza. Jednak nie uczyniła tego, lecz zadzwoniła do drzwi mieszkania lekarza.

Po kilku minutach w progu stanął mężczyzna w koszuli nocnej. Wyglądał i pachniał inaczej niż lekarze, z którymi stykała się przedtem Caroline.

– Panie – zwróciła się do niego, usiłując nie zdradzać rozpacz w głosie i gardłowego akcentu kobiety z prowincji. – Mój syn potrzebuje lekarza!

Mężczyzna przez chwilę przyglądał się jej od stóp do głów. Zauważył jej niemodną, jednobarwną suknię, szron na policzkach i ubłocone trzewiki. Potem gestem zaprosił ją do środka i kładąc szeroką dłoń na drżącym ramieniu chłopca, powiedział:

– Cóż, oto prawdziwie szczęśliwy zbieg okoliczności. Bo ja potrzebuję kobiety.

Od tamtego dnia minęło pięć lat. Senna Caroline kręci się teraz po sypialni, wpada na miednicę, uderza się boleśnie w palce u stóp i postanawia w końcu posprzątać pokój. Ostrożnie przelewa zawieszisty bulion antykoncepcyjny do nocnika i patrzy, jak zarodki potomstwa nieznanego mężczyzny łączą się z jej uryną. Z trudem unosi pełny nocnik na parapet, po czym otwiera okno. Tym razem nie słyhać trzasku pękającego lodu, a na dworze jest bezwietrznie. Caroline chciałaby wylać zawartość nocnika prosto na ulicę, ale niedawno węszył tu inspektor sanitarny, który przypomniał wszystkim lokatorom, że mamy dziewiętnasty, nie osiemnasty wiek, i groził nawet eksmisją. Na Church Lane roi się od irlandzkich katolików; są to wszystko złośliwi plotkarze, a Caroline nie chce, by na dobitkę oskarżono ją o rozsiewanie cholery.

Dlatego przechyla stopniowo nocnik i pozwala, by koktajl powoli i dyskretnie spłynął po ścianie kamienicy. Przez chwilę dom będzie wyglądał, jak gdyby to Pan Bóg we własnej osobie ulżył sobie

na mur, ale ten problem sam się rozwiąże w taki czy inny sposób, zanim wstaną sąsiedzi – ścianę wysuszy słońce albo obmyje świeży śnieg.

Caroline odczuwa głód, który boleśnie przeszywa jej brzuch, chociaż zazwyczaj dziewczyna wstaje o wiele, wiele później. Zauważyła już dawno, że kiedy człowiek budzi się zbyt wcześnie, jest wygłodzony, a kiedy wstaje później, nie czuje łaknienia, dopiero potem głodnieje. Zapewne nasze potrzeby oraz pragnienia nasilają się i słabną we śnie, domagają się zaspokojenia, hałaśliwie dobijają się do wrót świadomości, po czym na chwilę wycofują się chyłkiem. Jej mąż powiadał, że Caroline jest prawdziwą myślicielką. Zbyt gruntowne wykształcenie mogłoby jej przynieść raczej więcej szkody niż pożytku.

Burczenie w brzuchu dziewczyny przypomina pochrząkiwanie prosiaczka. Caroline śmieje się i postanawia zrobić niespodziankę Eppiemu, składając wczesną wizytę w „Mother’s Finest”. Wzbudzi uśmiech na jego obleśnej gębie i napełni pusty brzuch zapiekanką.

W zimnym świetle dnia okazuje się, że w ubraniu, które narzuciła pośpiesznie, żeby zobaczyć rozbitą dorożkę, nie może się pokazać na dworze. Szorstkie, męskie ręce wygniotły tkaninę, a brudne buty podeptały skraj sukni, na której widnieją nawet cętki krwi z podrapanych gołeni starego farbiarza imieniem Leo. Caroline przebiera się. Wkłada luźną, szaroniebieską suknię w paski i obcisły, czarny stanik, który wyciąga z szafy.

Ubieranie się sprawia Caroline o wiele mniej trudności niż wielu innym kobietom, które spotkasz później w niniejszej opowieści, dokonała bowiem drobnych, pomysłowych przeróbek całej garderoby. Na przekór modzie przesunęła zapinki w miejsca, gdzie może ich dosięgnąć, a każda warstwa odzieży Caroline kryje jakiś przesmyk, umożliwiający dotarcie na skróty do kolejnych, spodnich warstw stroju. (Widzisz? – w końcu umiejętności szwaczki na coś się jej przydały!)

Swojej twarzy i włosom dziewczyna poświęca nieco więcej uwagi, przeglądając się uważnie w małym ręcznym lusterku, zawieszonym do góry nogami na ścianie. Jak na dwudziesty dziewiąty rok życia prezentuje się zupełnie nieźle. Na jej czole i podbródku widnieje zaledwie kilka jasnych blizn. Ma jeden czarny ząb, który wcale nie boli i który najlepiej zostawić w spokoju; nieco przekrwione oczy, choć duże i sympatyczne niczym oczy psa, który miał dobrego pana; całkiem ładne wargi; niezgorsze brwi. I – oczywiście – wspaniałą burzę włosów. Drucianą szczotką rozczesuje puszystą grzywkę nad czołem i wyrównuje ją na wysokości oczu grzbietem dłoni. Nazbyt zniecierpliwiona i głodna, aby się dalej czesać, zbiera włosy na czubku głowy w kok i spina mocno, a potem nakłada kapelusz w kolorze indygo. Pudruje i różuje twarz, nie dlatego, by ukryć swoje lata, szpetotę albo fizyczne niedoskonałości, bo nie jest jeszcze stara, brzydka czy ułomna, lecz raczej by ubarwić bladość swojego małosłonecznego żywota – myśli więc raczej o sobie niż o swoich klientach.

Kiedy owija się szalem i wygładza suknię, przypomina szacowną, zamożną kobietę, na jaką nigdy nie mogłaby wyglądać, gdyby wciąż pracowała niewolniczo w trujących oparach fabryki kapeluszy, cierpiąc za swoją cnotliwość – choć oczywiście żadna prawdziwa dama nie potrafiłaby zapiąć podwiązki szybciej niż w pięć minut, nie mówiąc o tym, że żadna prawdziwa dama nie jest w stanie ubrać się bez pomocy pokojówki. Caroline wie doskonale, że jest jedynie marną imitacją damy, aczkolwiek bezczelnie udaną, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak niewiele wysiłku kosztuje ją owa przemiana.

Wymyka się z pokoju niby śliczna ćma z łupiny zaschniętego śluzu. Dyskretnie idź w ślad za nią. Na razie jednak nie trafisz w żadne szczególnie ekscytujące miejsce: zachowaj jeszcze cierpliwość.

Na korytarzu i schodach wypaliły się już wszystkie świece. Nowe zapłoną dopiero wtedy, kiedy dziewczęta zaczną po południu przyprowadzać mężczyzn, toteż schodzącej na dół Caroline nie towarzyszy wiele światła. Korytarz liże promyk słońca – dobiegający z jej pokoju, do którego zostawiła otwarte drzwi, żeby zaduch rozszedł się po całym domu – ale kręte jak korkociąg schody w klatce schodowej bez okien pogrążone są w dusznym mroku. Caroline często myśli, że ta klaustrofobiczna spirala właściwie nie różni się niczym od komina. Być może pewnego dnia najniższe stopnie staną w płomieniach, kiedy będzie schodzić na dół, a wtedy klatka schodowa niczym komin zassie ogień, który nie rozprzestrzeni się po całym domu, ona natomiast wraz ze

spiralą mrocznych schodów wystrzelił przez dach w gejzerze popiołu i dymu! Baba z wozu, koniom lżej, mógłby ktoś powiedzieć.

Kiedy Caroline wkracza w krąg światła w holu na dole, zauważa najpierw pułkownika Leeka, siedzącego na wózku inwalidzkim. Mimo iż pułkownik zajmuje stanowisko u stóp schodów, zwrócony jest twarzą do wejścia, czyli plecami do Caroline, która ma nadzieję, że może tego ranka starzec wreszcie śpi.

– Myślisz, że śpię, co, dziewucho? – natychmiast pyta drwiąco pułkownik.

– Nie, skąd. – Caroline śmieje się, choć jest zbyt wczesna pora, żeby mogła przekonująco kłamać. Przeciska się obok pułkownika i pozwala mu przyjrzeć się sobie przez chwilę, nie chcąc go urazić – kaleka bowiem nigdy nie zapomina urazy.

Pułkownik Leek jest wujem właścicielki kamienicy, szerokim jak piec brzuchaczem, okrytym ciepło płaszczami, chustami i pledami, który żyje plotkami i ciągle pyka z miniaturowej fajeczki. Choć jest opatulony kilkoma warstwami ubrań, kryje pod nimi swój wojskowy mundur wraz z orderami, które zostały obszyte chusteczką do nosa, by nie szarpały odzieży. Na ostatniej wojnie, w której brał udział, dostał kulę w kręgosłup, kiedy próbował skorzystać ze sposobności i strzelał do zbuntowanych Hindusów jak do kaczek. Od tamtej pory opiekuje się nim siostrzenica, która mianowała go swoim „poborcą podatkowym”, gdy otworzyła dla prostytutek puste pokoje swojej kamienicy.

Pułkownik wypełnia obowiązki kasjera z ponurą skutecznością, ale jego prawdziwą pasją jest wojna oraz inne akty przemocy i katastrofy. Gdy czyta prasę codzienną, szczęśliwe wydarzenia i olśniewające sukcesy nie przyciągają jego uwagi; kiedy natrafia jednak na wiadomość o jakimś kataklizmie, wprost nie posiada się z radości. Często się zdarza, że kiedy Caroline ciężko pracuje w pokoju, musi nieco głośniej jęczeć do ucha klienta, żeby zagłuszyć dochodzące z dołu chrapliwe okrzyki w rodzaju:

– Sześć tysięcy Tatarów zajęło prowincję Amur, którą piętnaście lat temu wyrwaliśmy z rąk Chińczyków!

Teraz pułkownik spogląda na Caroline przekrwionymi oczami i szepcze znacząco:

– Nie wszyscy przesypiają katastrofy. Są wśród nas osoby, które dobrze wiedzą, co w trawie piszczy.

– Chodzi ci o tę dorożkę dziś rano? – domyśla się Caroline, która dobrze zna jego upodobania.

– Wszystko widziałem. – Pułkownik łypie na nią z ukosa, usiłując dźwignąć z fotela swoje wiecznie poobcierane siedzenie. – Śmierć i ruina. – Opada z powrotem na poduszki. – Ale to dopiero początek. Drobną zapowiedź tego, co nas czeka. Miejscowe objawienie czyhającej dokoła katastrofy! Wszędzie! Wszędzie!

– Bardzo cię proszę, pozwól mi wyjść, pułkowniku. Zaraz padnę trupem, jeżeli czegoś nie zjem.

Starzec spuszcza wzrok na swoje okryte pledem kolana, jak gdyby leżała na nich gazeta, unosi w górę palec wskazujący niczym peryskop i recytuje:

– Katastrofa pociągu w Bishop's Itchington. Wybuch prochu na Regent's Canal. Parowiec zatonął w rejonie Zatoki Biskajskiej. Ogień pochłonął statek „Cospatrick” w pół drogi do Nowej Zelandii, zginęło czterysta sześćdziesiąt osób, zaledwie kilka dni temu. Pomyśl o tym! To znaki. Wir katastrofy. A co tkwi w jego środku? Co? Co?

Caroline przez kilka sekund zastanawia się nad odpowiedzią, nie ma jednak pojęcia, co tkwi w środku wiru. Z trzech kobiet, które mieszkają i pracują u pani Leek, ona jedna dziwnie lubi starca, aczkolwiek nie na tyle, aby przedkładać jego szalone prorocтва nad sute śniadanie.

– Do widzenia, pułkowniku – woła, otwiera gwałtownie drzwi i wypada na ulicę, z trzaskiem zamykając starca w kamienicy.

A teraz czuj duch! Już wkrótce Caroline przedstawi cię komuś, kto stoi nieco wyżej w hierarchii społecznej. Popatrz, jak unosi się jej stanik, kiedy głęboko wdycha powietrze nowego dnia. Zaczekaj, aż wybierze bezpieczną drogę przez Church Lane, lawirując pomiędzy największymi stertami łajna. A potem uważaj, kiedy podążysz za nią w kierunku Arthur Street. Caroline idzie rażno śladami, które pozostawiła za sobą dorożka: najpierw jest to smuga krwi, potem wyściółka siedzeń i drewniane drzazgi. Być może ślady te prowadzą aż do tawerny „Mother's Finest”, gdzie

od świtu podaje się gorące zapiekanki i gdzie nikt cię nie spyta, czy znalazłeś tę kobietę, która zginęła w wypadku.

Na lśniących chodnikach Greek Street krzątają się już sklepikarze, będący drugą falą rannych ptaszków – choć oni oczywiście mniemają, że należą do pierwszej. Ponura procesja robotników fabrycznych i pracowników tanich warsztatów tkackich, której Caroline przyglądała się z okna zaledwie kilkaset jardów stąd niecałą godzinę wcześniej, sprawia tu wrażenie, jak gdyby odbywała się w zupełnie innym kraju i w innej epoce. Cywilizacja zaczyna się na Greek Street. Witaj w prawdziwym świecie.

Zdaniem sklepikarzy ktoś, kto wstaje równie wcześnie jak oni, dokonuje aktu stoickiego heroizmu, który przechodzi pojęcie bardziej leniwych od nich śmiertelników. Każda istota, zaczynająca poranną krzątanie wcześniej, może być najwyżej gryzoniem lub owadem, który uniknął, niestety, pułapki bądź trucizny.

Ci pracowici ludzie nie są jednak okrutni. Wielu z nich to dusze bardziej dobrotliwe niż pierwszoplanowe postaci, które przyszedłeś tu spotkać – niż główni aktorzy, na których prezentację niecierpliwie czekasz. Chodzi po prostu o to, że sklepikarzy z Greek Street nic nie obchodzi owe tajemnicze istoty, wytwarzające produkty, którymi oni handlują. Świat wyrósł już ze swoich osobliwych, wiejskich ograniczeń i oto nadeszła epoka nowoczesności: dziś składa się zamówienie na pięćdziesiąt kostek mydła karbolowego, a po kilku dniach przyjeżdża wóz, który dostarcza zamówiony towar. Pytanie o to, jak owo mydło jest produkowane, nie stanowi problemu dla współczesnego człowieka. Wszystko w jego świecie w ostatecznej już formie pochodzi z łędźwi łagodnego potwora, zwanego manufakturą – z naturalnego otworu jego ciała, spowitego welonami dymu, tryska niekończący się strumień doskonale jednorodnych produktów wysokiej jakości.

Mógłbyś zauważyć, że wprawdzie kłęby sadzy z kominów fabrycznych Hammersmith i Lambeth brudzą cały Londyn jednakowo, wskazują jednak skromnie, gdzie mieści się prawdziwy róg obfitości. Skromność nie jest jednak typową cechą człowieka współczesnego, a zanieczyszczonym powietrzem można przecież oddychać – szkoda tylko, że warstwy sadzy gromadzą się również na witrynach sklepowych.

„Jaki jest jednak sens, by tęsknić za przeszłością?” – wzdychają sklepikarze. Nadeszła epoka maszyn, świat nigdy nie będzie już czysty, lecz – och, jak wiele zyskujemy w zamian!

Pierwszy i ostatni raz w ciągu dnia pocą się więc z wysiłku, mozolnie otwierając swoje sklepy. Czarny od sadzy szron zmywają z szyb zmoczonymi w letniej wodzie gąbkami, potem zaś wymiatają błoto pośniegowe do rynsztoka miotłami ze sztywnego włosia. Wspinają się na palce, wyciągają ramiona, zdejmują żaluzje, panele, żelazne kraty i sztaby, które strzegły ich dobytku przez kolejną noc. Szczęk kluczy w zamkach słychać na całej ulicy, gdy sklepikarze zdzierają ze swoich sklepów ozdobne blaszane ubranie.

Spieszą się teraz, żeby nie minął ich przypadkiem jakiś zamożny przechodzień, który wybierze szeroko, nie zaś jedynie częściowo otwarty sklep. Wprawdzie o tak wczesnej godzinie nie spotyka się zbyt wielu ludzi, którzy o tej porze byliby przy forsie, ale na Greek Street zabłąkać się może każdy i trudno powiedzieć, kto postanowi wydać tu pieniądze.

W drodze do „Mother’s Finest” Caroline może przebierać w oszałamiającej obfitości rozmaitych towarów – bezczelnie oferują je ci sklepikarze, którzy zdążyli już otworzyć swoje twierdze, a teraz starannie wybierają najbardziej kuszące artykuły, aby wystawić je na ulicę. Wygląda na to, że pozbywszy się chroniących ich cnotę żaluzji i otworzywszy drzwi, nie widzą już powodu, by zadbać choćby o trochę przyzwoitości. Pod nogi Caroline toczą się wózki z książkami. Niektóre woluminy leżą otwarte lubieżnie, pyszniąc się barwnymi rycinami. Wypchane manekiny błagalnie wyciągają do niej zaszyte dłonie, żeby kupiła odzież, którą noszą na grzbietach. Ciężkie kotary rozsuwają się niespodziewanie i obnażają okna wystawowe.

– Dzień dobry pani! – pokrzykują co rusz sklepikarze do spieszącej ulicą Caroline. Wszyscy

wiedzą, że żadna z niej dama – dowodzi tego już choćby to, iż dziewczyna jest o tej godzinie na nogach – i oni jednak nie są dżentelmenami handlu w najściślejszym znaczeniu słowa „dżentelmen”, nie mogą więc sobie pozwolić na pogardę dla żadnego klienta. Ponieważ boleśnie zdają sobie sprawę, że stoją znacznie niżej na drabinie społecznej od wielkich kupców z Regent Street, którzy nie uważają się przecież za „sklepiarzy”, równie ochoczo sprzedadzą swoje bułki, buty, książki albo czepki dziwce, jak każdemu innemu klientowi.

W istocie istnieje zasadnicze podobieństwo między Caroline i nagabującymi ją sklepiarzami: wiele z tego, co ona i oni mają nadzieję sprzedać, dawno już bowiem utraciło cnotę. Znajdziesz tu między innymi książki, których stronicę przeciął należący do poprzedniego właściciela nóż do papieru, i używane meble, niemodne, wciąż jednak bezczelnie kuszące, w dobrym stanie i niedrogie – ośmielające klientów, którzy w tych ciężkich czasach upadli na samo dno, by osunęli się jeszcze nieco niżej. Czeka was przyjemne, miękkie ładowanie, panie i panowie! Oto używane łóżko – sypiali w nim najczystszy ludzie na świecie, wielmożny panie, najczystszy na świecie. (Chociaż kto wie, czy nie należało do jakiegoś zarażonego łajdaka, którego choroba wciąż jeszcze może czaić się gdzieś w zakamarkach materaca. Tego rodzaju niezdrowe fantazje snują ci, których bankructwo, szwindel albo rozrzutność przywiodły do takiej ruiny, że dzisiaj nie mogą już wyposażać swoich mieszkań w nowiutkie meble prosto z Regent Street).

W jeszcze bardziej wątpliwym guście jest tutejsza odzież. Nie tylko wytwarza się ją fabrycznie (więc dla nikogo konkretnie), ale w dodatku część wystawionej na sprzedaż garderoby była już noszona, i to nie raz. Sklepiarze, oczywiście, nie są skłonni przyznać, że to prawda. Natomiast z przyjemnością wyobrażają sobie, że Petticoat Lane i sklepiki tamtejszych szmacciarzy stoją o tyle niżej od ich przybytków, o ile Regent Street nad nimi góruje.

Dość jednak o sklepiarzach, żebyś nie stracił z oczu Caroline, która gnana głodem, przyspiesza właśnie kroku. Już się wahasz, widząc przed sobą dwie kobiety o kształtnych figurach, w czarnych stanikach i sukniach ozdobionych szerokimi kokardami, kołyszącymi się na ich tyłkach, gdy idą spieszenie ulicą. Jaką suknię miała na sobie Caroline? W szaro-niebieskie pasy. Biegnij za nią. Ta druga dziwka, kimkolwiek jest, nie przedstawi cię nikomu, kogo warto poznać.

Caroline jest już niemal u celu – wbija wzrok w dyndający nad wejściem drewniany szyld szynku „Mother’s Finest”, na którym widnieje łuszczący się malunek biuściastej dziewczyny i jej brzydkiej jak noc matki. Ostatnia przeszkoda – sterta gazet, które zsuwają się na chodnik tuż pod jej nogami – i już po chwili Caroline czuje kuszący zapach gorących zapiekaneek oraz świeżego piwa. Otwiera stare, błękitne drzwi z wypisanym w ramce hasłem: PROSIMY NIE WALIĆ DO DRZWI, TU ŚPIĄ PIJACY. (Szynkarz lubi się pośmiać i lubi, kiedy goście śmieją się razem z nim. Kiedy wywiesił ten szyld, powtarzał dziewczynie jego treść tak często, że Caroline nabrała niemal przekonania, iż umie czytać, jednak „prosimy” szybko zaczęło jej się mylić z „walić”, a „pijacy” ze „śpią”).

Wejdziesz za Caroline do środka i zwróć uwagę, że wbrew napisowi nie śpią tu żadni pijacy. „Mother’s Finest” stoi o kilka klas wyżej od najędźniejszych piwiarni Londynu i na przekór kpiarskiej sentencji na drzwiach prowadzi politykę wyrzucania opojów na ulicę, kiedy tylko zaistnieje niebezpieczeństwo, że mogą wszcząć awanturę albo wymiotować. Jest to więc porządny, czysty pub, w którym stoją niedbale polakierowane meble z mosiężnymi okuciami. Pod sufitem wiszą ozdobne kufle (choć podaje się tu tylko jeden gatunek piwa), a ścianę za barem ozdobi kolekcja podstawek i korków od butelek.

W sali jest czterdzieścioro dziewięścioro oczu, ale tylko ośmioro albo dziesięścioro z nich zwraca się ku wchodzącej Caroline, zazwyczaj popija się tu bowiem z mrukliwą powagą. Ci goście, którzy przyglądają się dziewczynie, patrzą na nią nie dłużej, niż trzeba, żeby odgadnąć, kim jest albo przynajmniej jakim zawodem się trudni, potem zaś odwracają znów wzrok ku złocistej piance, wieńczącej gorzkie, ciemne piwo. Później tego wieczora będą zapewne pożądać Caroline, ale o tak wczesnej porze, kiedy boli głowa, myśl, żeby płacić za wysiłek fizyczny, nie wydaje im się atrakcyjna.

Mężczyźni, którzy o tej godzinie podpierają się łokciami na stołach w „Mother’s Finest”, to łapserdaki – żaden z nich właściwie nie jest nierobem, ale i żaden nie pali się do roboty. Prawie

wszyscy mają porządnie przyszyte guziki płaszczy i koszul; robione na drutach szaliki, którymi otulają szyje, noszą ślady niedawnego prania, a ich solidne buty wprawdzie nie lśnią może, ale w najgorszym razie należałoby rzec, że są matowe. Większość tych mężczyzn pozostaje bez pracy dopiero od niedawna, a większość z tej większości ma żony, które jeszcze nie spisały ich na straty. Obecność Caroline w pubie nie razi ich ani nie dziwi; a ty musisz jeszcze przebyć długą drogę, zanim przekroczysz próg innego przybytku, do którego wpuszcza się tylko mężczyzn.

– Witaj, Caddie – mówi szynkarz, unosząc owłosioną, mokrą od piwa dłoń. – Obudził cię jakiś kogucik?

– Gdzie tam – odpowiada Caroline. – Raczej zapach twoich zapiekank i piwa, Eppie.

Ta wymiana zdań jest czystą formalnością, bo szynkarz napełnia już kufel dla Caroline i gestem nakazuje żonie, żeby zajęła się zapiekanką. Ze wszystkich jego klientów tylko Caroline może pić i jeść na kredyt, bo jedynie ona będzie mogła go spłacić i tylko do niej Eppie ma zaufanie. Czy chociaż jeden mężczyzna, którego obecność w pubie o tej porze świadczy dobitnie, że jest bezrobotny, może upierać się, że mimo iż nie ma teraz grosza przy duszy, wieczorem będzie mógł zapłacić? Odkąd Caroline straciła cnotę, zyskała szacunek u tych ludzi, na których zależy jej najbardziej.

Co nie oznacza, że dziewczyna mądrze dysponuje swoimi pieniędzmi. Jak większość prostytutek, wydaje swój zarobek, gdy tylko pozostaje z nim w ręku. Nie licząc opłat za „czynsz” i posiłki, wydaje go na wykwintne ciastka, napoje, czekoladki, czasami odzież, latem lody; zimą zaś chętnie odwiedza ogrzewane wnętrza, jak tawerny i teatrzyki rewiowe, chodzi na pokazy dziwów, osobliwości albo występy mimów – czyli właściwie wszędzie tam, gdzie można się schronić przed zimmem. Ach, tak, kupuje również kosmetyki kąpielowe, drewno na opał i świece, a w każdą niedzielę zimny ogień za grosik, fajerwerk, który uwielbia od dzieciństwa i który późnym wieczorem zapala w swoim pokoju niczym papista świeczkę wotywną. Żadna z tych słabości nie kosztuje wiele w porównaniu z lekarstwami dla dziecka albo z wydatkami hazardzisty, Caroline nigdy nie oszczędza jednak nawet szylinga. Szyta fabrycznie suknia, zimne ognie, luksusowe ciastko, rozrywka za sześć pensów... Jak to możliwe, że tyle na to idzie? Musi mieć z pewnością jakieś inne wydatki, ale niech ją diabli porwą, jeśli pamięta jakie. Mniejsza z tym: dochody Caroline są w miarę regularne, nigdy nie cierpi więc długo na brak gotówki.

Dziewczyna mimo woli pochłania łąpczywie zapiekankę; takie maniery z trudem tolerowała u obcych, kiedy była jeszcze szanowaną mężatką w Yorkshire. Bez pomocy sztućców zajada drżące w jej dłoni mączne ciasto, nadziewane baranią rapetką, ogonówką i polane gorącym sosem. Otwiera szeroko usta, gryząc zapiekankę, by jednocześnie wciągać do płuc chłodne powietrze. Po kilku minutach już oblizuje palce.

– Dzięki, Eppie, tego mi było trzeba. – Dopija piwo, wstaje i strzepuje z sukni okruchy ciasta. Małżonka szynkarza z kwaśną miną zamiecie po niej podłogę. Caroline posyła Eppiemu całusa na pożegnanie i wychodzi.

Zewnętrzny, cywilizowany świat jeszcze się całkiem nie obudził. Sklepiarze, których obserwują złodzieje, rozlepiacze plakatów, żebracy i posłańcy, wciąż wykładają towar. Nie widać żadnych kobiet, wyjąwszy dwie otulone w czerń kwaciarki, które szeptem kłócą się o miejsce. Ta, która przegrywa spór, przesuwając turkoczący wózek z bukietem lichych kwiatków bliżej zaprzęzonego w dwa konie beczkowozu, zginając swój smagły grzbiet niemal w pół.

Caroline rzadko wychodzi z domu tak wcześnie i właściwie czuje się niepewnie na myśl, ile dnia ma jeszcze dzisiaj przed sobą. Zastanawia się, czy nie zaoferować komuś swojego ciała, żeby zabić czas, wie jednak, że chyba nie będzie sobie zawracać tym głowy, o ile okazja nie nadarzy się sama. Potrzeba pieniędzy nie jest jeszcze palącą. Na razie nie musi się spieszyć z kupnem świec. Dlaczego miałaby się martwić, że jest bez grosza, skoro dziś w ciągu dwudziestu minut może zarobić więcej niż kiedyś przez cały dzień?

Caroline wie, że karygodne leniwość i słabość moralna nie pozwalają jej oszczędzać, jak należy. Dzięki zarobkom, jakie zapewnia jej profesja prostytutki, mogłaby po brzegi wypełnić swój stary czepek banknotami, gdyby ciułała pieniądze przez te wszystkie lata; straciła jednak ochotę do

oszczędzania. Ponieważ nie ma dzieci ani nieśmiertelnej duszy, którą mogłaby ocalić, chomikowanie monet w nadziei, że pewnego dnia wymieni je na kolorowe papierki, wydaje się jej bezcelowe. Śmierć męża, a potem dziecka, pozbawiła ją jakiegokolwiek poczucia sensu życia, odpowiedzialności i w ogóle przyszłości. To mąż i dziecko czynili z życia dziewczyny opowieść – oni tworzyli bowiem jej początek, środek i zakończenie. Dziś życie Caroline przypomina raczej gazetę: jest bezcelowe, skoncentrowane wyłącznie na sprawach bieżących i pełne bezsensownych wydarzeń, wspominanych jedynie przez pułkownika Leeka, którego nikt nie słucha. Poza tym, że Caroline od czasu do czasu przyjmie w siebie wytrysk spermy, czym w innym wypadku musiałaby się martwić jakaś cnotliwa żona, społeczeństwo nie ma z niej pożytku i nikt nawet by nie zauważył, gdyby umarła. A jednak żyje i – na przekór losowi – jest szczęśliwa. Pod tym względem ma oczywistą przewagę nad pewną młodą kobietą, którą za chwilę spotkasz.

– Shush?

Wracając z Greek Street, Caroline zatrzymuje się przed smętnym obskurnym sklepikiem papierniczym, ponieważ dostrzega w środku – czy to na pewno ona? – tak, dostrzega Shush, czyli Sugar, bo pod takim imieniem owa dziewczyna jest powszechnie znana. Nawet w mroku – ba, tym bardziej w mroku – z łatwością rozpoznaje jej smukłe ciało: jest chuda jak szczapa, koścista niczym suchotnik i ma płaskie piersi, a jej szerokie dłonie z trudem mieszczą się w damskich rękawiczkach. Pierwsze wrażenie, jakie wywiera Sugar, jest zawsze identyczne: Caroline odczuwa mdlące zdumienie na widok wysokiego, szczupłego, odzianego od stóp do głów w damską garderobę chłopca, który okazuje się kobietą, gdy tylko przyjrzeć się bliżej obliczu tej dziwnej istoty.

Na głos swojego przybranego imienia kobieta odwraca się, przyciskając do opiętej zielonym stanikiem piersi ryzę białego papieru do pisania. Mimo wszystko pod tym stanikiem znajduje się biust. Może nie jest dość duży, by Sugar mogła nim wykarmić dziecko, ale wystarczy, żeby dostarczyć rozkoszy niektórym mężczyznom. Poza tym żadna kobieta nie ma tak złotopomarańczowych włosów ani tak świetliście białej skóry jak Sugar. Nawet gdyby była spowita od stóp do głów niczym arabska odaliska, wystarczyłoby zobaczyć jej oczy, by nie mieć wątpliwości co do płci ich właścicielki. To oczy obnażone, ocienione tylko frędzelkami delikatnych rzęs i lśniące jak obrane ze skórki owoce. Oczy, które obiecują wszystko.

– Caddie?

Zagadkowa kobieta unosi zieloną rękawiczkę i osłania nią zmrużone powieki, patrząc pod słońce, którego promienie wpadają do sklepu z ulicy. Caroline tymczasem macha do niej i nie od razu uświadamia sobie, że jej przyjaciółka nic nie widzi – a machając ręką, rozsyła na wszystkie strony świetlne strzały, które tańczą po zastawionych towarami sklepowych półkach, co zmusza Sugar, aby tym bardziej wyteżęła wzrok. Jej głowa kołysze się na długiej szyi w obie strony, kiedy dziewczyna usiłuje zobaczyć zza kolczastej gęstwiny ołówków, gęsich i wiecznych piór, kto ją woła. Bojaźliwie – albowiem nic tu po niej – Caroline wchodzi do sklepu.

– Caddie!

Wyraz twarzy młodszej kobiety, gdy rozpoznaje starą przyjaciółkę, emanuje czymś, czemu nigdy nie umieli i nie umiejają oprzeć się mężczyźni: nieskrywaną, ekstatyczną wdzięcznością za to, że zdarzyło jej się wreszcie takie spotkanie. Podbiega do Caroline, obejmuje ją i całuje, a wtedy stojący za ladą właściciel sklepu krzywi się. W zakłopotanie wprawia go nie tyle ta manifestacja czułości, ile cios, jaki zadano jego dumie: obsługując Sugar, wziął ją za damę i zachowywał się wobec niej unieżenie, teraz zaś, sądząc po pospolitym wyglądzie jej przyjaciółki, pojmując, że był w błędzie.

– Czy to wszystko, pani? – chrząka, nerwowo odkurzając pierzastą miotłką podstawkę na kałamarze.

– Och, tak, dziękuję – odpowiada Sugar, swoim zwyczajem słodko rozciągając ekstrawaganckie samogłoski i starannie wymawiając spółgłoski. – Proszę tylko... Jeśli łaska, panie... Czy mógłbyś jakoś zapakować papier, żeby łatwiej było mi go nieść? – Z tymi słowami podaje sklepikarzowi ryzę papieru, który pogniótł się już trochę między biustami dwóch kobiet, kiedy przyjaciółki ścisnęły się nawzajem. Łypiąc spode łba, sprzedawca zawija towar w prążkowany papier i przewiązuje go szpagatem, z którego formuje naprędce uchwyt. Gruchając przymilne słowa podziękowania, Sugar

odbiera paczkę od sklepikarza, patrzy z podziwem na dzieło jego rąk i zmysłowym muśnięciem obciągniętych rękawiczką palców daje do zrozumienia, jak doskonale się spisał. Potem odwraca się do niego plecami i ujmuje przyjaciółkę pod rękę.

Kiedy wychodzą na słońce, Caroline i Sugar udają, że wcale nie przyglądają się sobie badawczo z bliska. Nie widziały się od wielu miesięcy, a w tak długim czasie uroda kobiety doznaje czasem nieodwracalnego uszczerbku – jej cerę może zniszczyć ospa, mogą jej wypaść włosy wskutek ataku gościca, oczy mogą nabiec krwią, a rana po nożu na wardze zabliznić się szpetnie. Ale ani Caroline, ani Sugar nie wyglądają wiele gorzej niż ostatnio. Życie było dla nich łaskawe, a w każdym razie oszczędziło im okrucieństwa.

Starsza z przyjaciółek spostrzega, że usta Shush są białe, suche i spierzchnięte, czy jednak nie zawsze tak wyglądają? Kiedy Sugar powodziło się gorzej, zanim się przeniosła do lepszej dzielnicy, ich mieszkania w St Giles dzieliło zaledwie troje drzwi; mimo to klienci pukali niekiedy przez pomyłkę do Caroline, pytając o „dziewczynę ze spierzchniętymi ustami”. Caroline wie również, że Sugar nosi rękawiczki, ponieważ cierpi na jakąś chorobę skóry – nic poważnego, to tylko niemila dla oka przypadłość, którą mężczyźni zawsze są gotowi jej wybaczyć. Caroline nigdy nie potrafiła i nie potrafi zrozumieć, dlaczego mężczyźni tolerują u Sugar takie defekty urody – bo porównując się z nią, nie widzi, szczerze mówiąc, by przyjaciółka była od niej ładniejsza pod jakimkolwiek względem.

Widocznie Sugar ma w sobie coś więcej niż urodę.

– Świetnie wyglądasz, jak rany – mówi Caroline.

– Ale okropnie się czuję – odpowiada cicho Sugar. – Niech będzie przeklęty Bóg i Jego straszliwe, plugawe Stworzenie. – Twarz i głos ma spokojne, jak gdyby mówiła o pogodzie. Jej orzechowe oczy promieniują, a może tylko wydają się promieniować?, łagodnością i spokojem. – Nie chciałabyś, żeby nadszedł wreszcie Armagedon?

Caroline zastanawia się, czy nie jest to jeden z tych dowcipów, którymi Sugar dzieli się z wykształconymi klientami, odkąd przeniosła się na Silver Street. Kiedy mieszkała na Church Lane, potrafiła rozbawić towarzystwo. Caroline wciąż jeszcze uśmiecha się na wspomnienie pewnego salonowego żartu, który uwielbiały wszystkie dziwki. Co prawda, nie pamięta go zbyt dokładnie – Sugar nie tylko odgrywała bowiem różne role, lecz używała całego mnóstwa słów, i właśnie one były najśmieszniejsze. Udawała mianowicie, że uwodzi mężczyznę, do którego przemawia błagalnym, niemal historycznym z pożądania głosem. – Och, pozwól, że pogładzę cię po jajach, są takie piękne... jak... jak psie gówno. Psie gówno, które kryje się pod twoim... – Pod czym? Shush używała tu idealnego określenia. Słowa, na którego dźwięk każdej kobiecie zrobiłoby się mokro między nogami. Ale Caroline go nie pamięta, a moment nie jest odpowiedni, żeby zapytać o to przyjaciółkę.

Zawsze dziwiło ją, dlaczego Sugar miałaby być bardziej pożądaną i atrakcyjną dziewczyną od niej, lecz pogodziła się, że tak już jakoś jest, a sądząc po plotkach, krążących wśród prostytutek, ostatnio byłoby jej jeszcze trudniej nie przyjąć tego faktu do wiadomości. Bez wątpienia do przenosin domu pani Castaway z St Giles na Silver Street – a więc o rzut kamieniem od najszerzej, najbogatszej i najwspanialszej ulicy w Londynie – powodzenie, jakim cieszy się Sugar, przyczyniło się co najmniej w tym samym stopniu, jak ambicje właścicielki lupanaru.

I stąd w tym miejscu pojawia się pytanie: co Sugar porabia tutaj, w tym obskurnym sklepie papierniczym przy Greek Street, skoro obecnie mieszka w bezpośrednim sąsiedztwie wspaniałych sklepów w West Endzie? Dlaczego ryzykuje, że zabrudzi skraj pięknej, zielonej sukni, przechodząc przez jezdnię w dzielnicy, gdzie nikt się nie kwapi, aby uprzątnąć z ulicy końskie łajno? Ba, po co w ogóle wstaje przed południem (z łóżka, które – jak sądzi Caroline – musi być królewsko luksusowe)?

Lecz kiedy Caroline pyta: – Co cię tu przyciągnęło, taki szmat drogi? – Sugar uśmiecha się tylko białawymi ustami, suchymi jak skrzydła ćmy.

– Przyszłam... w odwiedziny – odpowiada. – Spędziłam tu całą noc.

– No jasne. – Caroline przywołuje na usta wymuszony uśmiech.

– Nie, serio – mówi szczerze Sugar. – Przyszłam odwiedzić starą przyjaciółkę.

– I jak się miewa? – pyta Caroline w nadziei, że wyciągnie z niej imię nieznajomej.

Sugar na moment zamyka oczy. Ma gęste, bujne rzęsy, co jest rzadkością u rudowłosych kobiet.

– Ona... wyjechała. Przyszłam się z nią pożegnać.

Caroline i Sugar ruszają przed siebie ulicą. Dziwna z nich para: starsza Caroline jest drobnokościstą kobietą o okrągłej twarzy i wydatnych piersiach, zgrabną i proporcjonalnie zbudowaną w porównaniu ze swoją wysoką, smukłą towarzyszką, obleczoną w suknię typu *peau-de-soie* koloru mchu. Chociaż o biuście Sugar nie warto nawet wspominać, bo jest tak chuda, że kości niebezpiecznie wypychają jej stanik, porusza się z większą gracją i kobiecą dumą niż Caroline. Kroczy z wysoko podniesionym czołem, a suknia przylega do jej ciała jak druga skóra.

Caroline zastanawia się, czy właśnie ta zwierzęca łagodność Sugar tak bardzo pociąga mężczyzn. No i kosztowne stroje. Myli się jednak: rzecz w tym, że Sugar umie rozmawiać z takimi mężczyznami jak ten, którego za chwilę poznasz. No a poza tym Sugar nigdy nie odmawia.

Teraz to ona pyta Caroline:

– Gdzie chcesz dziś zacząć pracę? Z dala od domu?

– Nie tutaj – odpowiada starsza kobieta, marszcząc brwi i wskazując St Giles. – Może na Crown Street.

– Doprawdy? – pyta z niepokojem w głosie Sugar. – Jeszcze przed kilkoma miesiącami chyba nieźle ci się wiodło przy Soho Square? – (Tu poznasz kolejny powód, dla którego Sugar odnosi sukcesy w branży: pamięta niezbyt ciekawe szczegóły z życia innych ludzi).

– Straciłam cierpliwość – wzdycha Caroline. – Miałam akurat dobry dzień, kiedy cię wtedy spotkałam, cała zachwycona Soho Square. Złapałam dwóch galantych klientów pod rząd i pomyślałam sobie, że teraz zacznie się moja dobra passa! Ale miałam tylko chwilowe szczęście, Shush. Ja się po prostu nie nadaję do lepszych dzielnic. Powinnam znać swoje miejsce.

– Bzdura – mówi Sugar. – Wielu mężczyzn nie widzi żadnej różnicy między jedną dziwką a drugą. Włóż czarną suknię, wypnij pierś i przypudruj policzki, a wezmą cię za królową.

Caroline uśmiecha się z niedowierzaniem. Wie z doświadczenia, że w wielkim, rozpustnym świecie niełatwo jest zrobić wrażenie.

– Od razu przejrzą mnie na wylot, Shush. Nie zrobisz jedwabnej sakiewki ze świńskiej skóry.

– A moim zdaniem to zupełnie możliwe – odpowiada Sugar, poważniejąc nagle. – Wszystko zależy od kupca.

Caroline wzdycha. – No, ale kiedy trzymam się swojej dzielnicy, jest więcej pieniędzy i mniej stania. A kiedy tylko próbuję szczęścia gdzieś dalej na zachód od Crown Street, idzie mi jak po grudzie. – Mruży oczy, patrząc w głąb Greek Street, w stronę Soho Square, jak gdyby okolica poza Szkołą Żydowską i przytułkiem leżała na stromej górze, na którą nie zdoła się wspiąć. – Pewnie, trafiają się cudzoziemcy i czasem chłopacy ze wsi, a tacy to gędzą i gędzą bez umiaru. No to rozmawiam z nimi przez całą drogę: „Ach, tak, więc co sprowadza do Londynu takiego dżentelmena jak ty, panie?”, i zanim zmiarkują, co się święci, są już na Church Lane i nie mogą się wykręcić sianem. Więc używają sobie, dobrze płacą i traktują całą sprawę jako nowe doświadczenie. Ale są i tacy, co dopytują ciągle: „Daleko jeszcze, daleko? Czy to już tu? Żeby tylko się nie okazało, że jesteś staromiejską ladacznicą”. Takich klientów udaje mi się czasem zawlec w boczną uliczkę. No, to opieram się tyłkiem o ścianę i namawiam ich na szybki numer na stojaka, ale są tacy, co wtedy dostają szału, odpychają mnie i powiadają: „Idź się sprzedawać mężczyznom z twojego stanu”. Mówię ci, Shush, uchodzą ze mnie wówczas wszystkie siły. Czuję się tak podle, że mam ochotę wrócić do domu i płakać...

– Nie, nie – sprzeciwia się Sugar, kręcąc głową. – Spójrz na to z innej strony. To raczej oni czują, że ich upokorzyłaś, wierz mi. Udaje taki księcia z bajki, a ty mu uświadamasz, że nie jest człowiekiem, za jakiego chce uchodzić. Gdyby jego pozycja kłuła wszystkich w oczy, dlaczego miałaby go zaczepiać taka kobieta jak ty? Powiadam ci, to oni wracają potem do domu i płaczą... Nadęte, trzęsące się ze strachu małe robaki. Uch!

Śmieją się obie, ale Caroline tylko przez krótką chwilę.

– No, wszystko jedno, czy oni tak się czują, czy nie, ale ja czasami przez nich płaczę. I to przy ludziach.

Sugar ujmując dłoń Caroline. Dwie dłonie w szarej i zielonej rękawiczce łączą się w uścisku.

– Chodź ze mną na Trafalgar Square, Caddie. Kupimy ciastka, pokarmimy gołębie... I obejrzymy sobie bal grabarzy!

Znów śmieją się obie. „Bal grabarzy” to ich prywatny żart, a z dawnej przyjaźni dziewcząt, odkąd Sugar i Caroline nie są już sąsiadkami i nie zwierają się sobie codziennie, pozostały do dziś właściwie wyłącznie żarty.

Wkrótce potem wkraczają w labirynt ulic, na których obie nigdy nie bywają – znają je tylko stąd, że mieszczą się na nich domy schadzek i burdele, w których pracują inne kobiety. Są to ulice przeznaczone już do likwidacji przez planistów miejskich, marzących o poprowadzeniu tędy szerokiej alei, która nosiłaby imię hrabiego Shaftesbury. Przekraczając niewidzialną granicę pomiędzy ulicą St Anne i St Martin-in-the-Fields, nie widzą ani świątyn, ani pól, jeśli nie liczyć trawnika na Leicester Square, którego skraj wyznacza szpaler drzew². Rozglądają się natomiast za cukiernią, do której wstąpiły, kiedy spotkały się ostatnim razem.

– Czy to nie było tutaj?

(Sklepy w dzisiejszych czasach powstają i znikają jak grzyby po deszczu).

– Nie, dalej.

Ciasne londyńskie cukiernie (albo *patisseries*, jak się ostatnio coraz częściej elegancko nazywają) – przypominające uszmińkowane sklepy z artykułami żelaznymi, nędzne przybytki, oferujące pękate wypieki, zwane z francuska *gateaux* – zapewne przerażają odwiedzających Anglię Francuzów, ale Francja leży hen za odległym Kanałem, a dziewczynie pokroju Caroline cukiernia na Green Street i tak wydaje się dość egzotyczna. Kiedy Sugar wprowadza ją do środka, oczy jej przyjaciółki rozbłyskują uczuciem przyjemności.

– Dwa poproszę – mówi Sugar, wskazując najbardziej lepkie, najśłodsze i zawierające najwięcej kremu ciastka. – I to. Nie, jeszcze dwa... Dwa takie i dwa takie. – Chichoczą, ośmielone atmosferą, jaka zawsze towarzyszy spotkaniu starych przyjaciółek. Od lat na co dzień muszą ciągle uważać, żeby wystrzegać się słów albo gestów, które mogłyby urazić chimerycznie wzbierającą męską dumę – lecz jaka to ulga porzucić wszelką ostrożność!

– Po dwie do jednej torebki, *maydames*? – Cukiernik, który zdaje sobie sprawę, że z nich takie damy jak z niego Francuz, łypie przymilnie okiem na klientki.

– Och, tak, dziękuję.

Caroline ostrożnie trzyma stożkowate torebki z grubego papieru i porównuje cztery znajdujące się wewnątrz kremowe kule, próbując zdecydować, które ciastko zje w pierwszej kolejności. Otrzymawszy należność, sklepikarz żegna je wesołym: – *Bon jewel*. – Jeżeli prostytutki kupują po dwa ciastka na głowę, to oby przychodziły jak najczęściej! Ciastka, z których już zaczyna sływać lukier, nie zachowują świeżości, czekając na przywoitych klientów. – Polecam się na przyszłość, *maydames!*

Idą dalej, by sprawić sobie kolejną frajdę. Kiedy zbliżają się do Trafalgar Square – a przychodzą w sam czas – zabawa akurat się zaczyna. Niewidoczny kolos Charing Cross wypuszcza właśnie z wnętrza najliczniejszy w ciągu całego dnia transport pasażerów i teraz ta rzeka ludzi zbliża się ku nim pobliskimi ulicami. Widać już falę kilkuset urzędników, odzianych w posępną czerń. Przypominają wir jednobarwnej masy, płynąc do biur i urzędów, które ich w końcu pochłoną. Liczba i pośpiech urzędników sprawiają, że wyglądają komicznie, a przecież wszyscy mają poważne, niewzruszone miny, jak gdyby skupiali myśli na jakimś wyższym celu – co czyni ich jeszcze bardziej zabawnymi.

– Bal gra-barzy, bal gra-barzy – podśpiewuje Caroline jak dziecko. Dowcip dawno już zwietrzył, ale dziewczyna nadal go uwielbia, ponieważ brzmi znajomo.

Sugar nie tak łatwo zadowolilić – jej zdaniem wszelka powtarzalność jest pułapką. Opowiadać sobie stare dowcipy z przyjaciółką czy śpiewać stare piosenki to przyznać się do porażki, przyznać, że jest się zadowolonym ze swojego losu. Z nieba ludziom przyglądają się Parki, a słysząc coś podobnego, mruczą do siebie: „Ach, więc ta kobieta jest zadowolona ze swojego życia. Jeśli zatem

2 Gra słów; dosłownie chodzi o ulicę św. Anny i ulicę św. Marcina z Pól (przyp. tłum.).

odmienimy je, wprowadzimy do niego tylko zamieszanie”. Dlatego Sugar postanowiła sobie, że będzie inna. Parki mogą się jej przyglądać z góry, kiedy tylko chcą, zawsze jednak znajdują ją z dala od masy pospólstwa, gotową w każdej chwili na dotknięcie czarodziejskiej różdżki, które odmieni jej los.

A zatem kłębiących się na jej oczach urzędników nie może traktować dłużej jako grabarzy – kim w takim razie są? (Oczywiście, banalna prawda wygląda tak, że są urzędnikami, to jednak nie wystarczy: nikomu jeszcze nie udało się uciec w lepsze życie bez pomocy wyobraźni). A więc... Są ogromną grupą zaproszonych na obiad gości, których trzeba ewakuować ze wspaniałego niby pałac hotelu – oto kim są. Ogłoszono alarm. Pożar! Powódź! Ratuj się, kto może! Sugar spogląda z góry na Caroline i myśli, czy podzielić się z nią tą nową refleksją. Ale szeroki uśmiech starszej kobiety wydaje jej się niemądry i Sugar postanawia raczej milczeć. Niech Caroline zachowa w pamięci swoich bezcennych grabarzy.

Urzednicy są wszędzie, wylewają się z omnibusów, a potem rozchodzą w kilkunastu różnych kierunkach, ściskając pod pachami przewiązane sznurkiem zawiniątka z drugim śniadaniem. Na plac przez cały czas wjeżdżają z turkotem kolejne omnibusy, a na ich górnych pokładach stoją nowi urzednicy, dygocąc z zimna na wietrze.

– Szkoda, że nie pada – uśmiecha się złośliwie Caroline, wspominając ich ostatnie spotkanie, kiedy stały pod okapem i piszczały z uciechy na widok omnibusów wiozących urzędników w niemiłosiernej ulewie. Jadący wewnątrz mogli się schronić przed deszczem, lecz nieszczęśnicy na górnej platformie kulili się rozpaczliwie pod drżącą kopułą parasoli. – Och, jaki piękny widok! – zakrakęła wtedy Caroline, która składa teraz dłonie jak do modlitwy, pragnąc, żeby otworzyły się niebiosy i pozwoliły jej znów zobaczyć tę scenę. Dziś jednak niebo pozostaje niewzruszone.

W łagodnym świetle słońca ciągle zwiększa się ruch na ulicach, a bezładny tłum przechodniów i pojazdów zdaje się nie rozróżniać jezdni od chodników. Pośród urzędniczych hord suną powoli w ekstrawaganckich powozach żydowscy kupcy niczym farmerzy lawirujący wozami z sianem pośród stada owiec. U ich boków puszą się z kupiecką godnością damy, a na ich kolanach dygocą pieski pokojowe. Hurtownicy, którzy wyraźnie zadzierają głowy wyżej niż kupcy detaliczni, wysiadają z powozów i dalej torują sobie drogę, wymachując laskami.

Jednakże dopiero na Trafalgar Square można docenić w pełni skalę tej parady, gdy tłumy urzędników zaczynają kłębić się wokół kolumny Nelsona niczym ogromna armia. Sugar i Caroline muszą tylko precyzyjnie się na środek placu, unosząc wysoko ciastka i paczkę papieru. Z każdym krokiem pomimo naporu tłumy mężczyźni rozstępują się przed nimi – jedni, nieświadomi ich profesji, cofają się obojętnie, inni zaś z demonstracyjnym obrzydzeniem.

Nagle można odnieść wrażenie, że wokół Caroline i Sugar robi się zupełnie pusto. Przyjaciółki opierają się plecami o cokół jednego z kamiennych lwów, odchylają głowy do tyłu i zajadają ciastka, zlizując z rękawiczek grudki kremu. Z punktu widzenia standardów przyzwoitości równie dobrze mogłyby zlizywać spernę. Przyzwoita kobieta jada ciastka wyłącznie na talerzyku w hotelu, a w najgorszym wypadku w domu towarowym, trudno jednak przewidzieć, z kim – lub z czym – człowiek ryzykuje spotkanie w tak wyjątkowo gościnnym miejscu jak Trafalgar Square.

Tu jednak szokujące maniery nie rzucają się szczególnie w oczy – bo ostatecznie jest to miejsce popularne wśród cudzoziemców, a jeszcze bardziej gołębi, któż zatem gotów byłby surowo przestrzegać zasad przyzwoitości, gdy wokół panuje brud i nieustannie trzepoczą ptasie skrzydła? Przedstawiciele klasy społecznej, która zamartwia się takimi sprawami (należy do nich lady Constance Bridgelow, na razie jednak jesteś jeszcze zupełnie nieprzygotowany, aby ją poznać), powiedzą ci, że te nędzne stworzenia (przez które lady Bridgelow rozumie gołębie, chociaż nie można wykluczyć, że także cudzoziemców) ostatnio rozzuchwalały się jeszcze bardziej, wydano bowiem zezwolenie na otwarcie na placu straganu z papierowymi kubkami z ziarnem dla ptaków, po pół pensa za porcję. Skończywszy jeść ciastka, Sugar i Caroline kupują sobie po kubeczku ziarna na tym właśnie straganie, chcąc bawić się nawzajem, patrząc na siebie w otoczeniu ptaków.

To pomysł Caroline; tymczasem rzędnie strumień urzędników, wchłaniany przez ambasady, banki oraz biura – tak czy inaczej, jest już nimi znudzona. (Nim zesła z drogi cnoty, całymi godzinami potrafiła jak zaczarowana wpatrywać się w piękny haft albo leniwie mrugające

powiekami niemowlę: ostatnio jednak z trudnością udaje jej się skupić na orgazmie – cudzym, trzeba dodać – jeśli takowy ma miejsce w jednym z naturalnych otworów jej ciała).

A Sugar? Jakie rozrywki lubi? Patrzy na Caroline z pobłażliwym uśmiechem matki, która nie może się nadziwić, jakimi głupstwami zachwyca się jej dziecko, ale to raczej Caroline jest tutaj matką, a Sugar ciągle nastoletnią dziewczyną. Co zatem lubi Sugar, jeżeli rzucanie ziarna stada niesfornych ptaszysk nie sprawia jej przyjemności? Ach, żeby się tego dowiedzieć, musiałbyś zajrzeć w jej duszę tak głęboko, jak dotąd nikt przed tobą.

A ja mogę ci odpowiedzieć na prostsze pytania. Ile lat ma Sugar? Osiemnaście. Od jak dawna trudni się prostytutką? Od pięciu lat. Przeprowadź proste działanie arytmetyczne, a wynik okaże się niepokojący, szczególnie biorąc pod uwagę, że dziewczęta w tych czasach na ogół nie osiągają dojrzałości płciowej przed piętnastym lub szesnastym rokiem życia. Co prawda, Sugar zawsze była nad wiek rozwiniętym – i niezwykłym – dzieckiem. Już przed pięciu laty, kiedy dostąpiła zawodowej inicjacji, wyróżniała się na tle nędzy St Giles – była poważną dziewczynką, trzymającą się z dala od zgiełku ordynarnych śmiechów i pijackich biesiad.

– Dziwna dziewczyna z tej Sugar – mówiły jej koleżanki po fachu. – Daleko zajdzie. – I rzeczywiście, zawędrowała aż na Silver Street, czyli do rajy w porównaniu z Church Lane. prostytutki myślą się jednak, jeśli wyobrażają sobie, że Sugar spaceruje sobie dumnie po Stretch, osłaniając głowę parasolką. Dziewczyna przesiaduje bowiem głównie w domu, gdzie zamyka się sama w pokoju. Dziwki z Silver Street, pracujące w pobliskich domach, bulwersuje skąpa liczba klientów Sugar: przyjmuje jednego dziennie, a czasem wręcz żadnego. Za kogo ona się ma? Krążą plotki, że od niektórych mężczyzn pobiera pięć szylingów, od innych dwie gwinee. Co ona kombinuje?

Wszystkie zgadzają się co do jednego: Sugar prowadzi osobliwy tryb życia. Nie sypia w nocy, nawet wtedy, gdy nie przyjmuje mężczyzn – co może zatem robić w swoim pokoju przy zapalanej świecy, skoro nie śpi? Poza tym ma dziwne gusta – ktoś widział kiedyś, jak jadła surowego pomidora. Po każdym posiłku naciera zęby specjalnym proszkiem i płucze usta jakąś wodnistą miksturą, którą kupuje w butelkach. Nie używa różu, toteż ma niebywale blade policzki, i nigdy nie pije mocnych alkoholi, chyba że jakiś mężczyzna ją do tego zmusi (choć nawet wtedy, jeśli tylko Sugar uda się go skłonić, żeby odwrócił głowę, zwykle wypływa alkohol albo opróżnia szklankę do wazonu). Co w takim razie pija? Herbatę, kakao, wodę – i to w bardzo małych ilościach, sądząc po jej luszczących się wargach.

Dziwne? Jak twierdzą jej koleżanki po fachu, to jeszcze nie wszystko. Sugar nie tylko umie, ale wręcz lubi czytać i pisać. Jej sława kochanki rozchodzi się wśród mężczyzn z towarzystwa, trudno ją jednak porównywać z rozgłosem, którym cieszy się wśród dziewczek jako „ta, która czyta wszystko”. I to nie tanie książki za dwa pensy, lecz grube tomy o tylu stronicach, że wszystkich nie przeczytałyby w życiu nawet najmędrsze dziwki z Church Lane. – Oślepniesz, zobaczysz – mówią jej koleżanki, albo: – Nie myślisz nigdy: wszystko ma swoje granice, to już ostatnia książka? – Ale Sugar nigdy nie ma dosyć. Odkąd wyniosła się na West End, bywa często w Hyde Parku, skąd idzie na drugą stronę Serpentine, do Knightsbridge, i tam, przy Trevor Square, odwiedza dwie georgiańskie kamienice, które wyglądają może na luksusowe burdele, lecz mieści się w nich publiczna biblioteka. Kupuje też gazety i czasopisma, nawet te, w których właściwie nie ma żadnych ilustracji; ba, nawet takie, na których jest napisane, że przeznaczone są wyłącznie dla dżentelmenów.

Pieniądze wydaje jednak głównie na suknie. Nawet z punktu widzenia standardów obowiązujących na West Endzie stroje Sugar są niezwykle szykowne i na tle nędzy St Giles wprost zdumiewają. Zamiast kupować używane suknie, wiszące na hakach rzeźniczych przy Petticoat Lane, albo praktyczne podróbki modnych kreacji w zapyziałych sklepikach w Soho, Sugar woli odkładać każdą sześciopensówkę, by wreszcie kupić suknię wyglądającą tak, jak gdyby uszył ją dla niej na zamówienie najlepszy krawiec damski. Podobne złudzenia, choć można ich szukać w domach towarowych, wcale nie są tanie. Już same nazwy świetlistych, granatowych albo ciemnojadeitowych tkanin – jak lewantyński *folicé*, atłas zwany *velouté* albo materiał znany jako Algerine – brzmią na tyle egzotycznie, by oczy dziewczek zasnuwały się mgłą, kiedy Sugar zaczyna o

nich opowiadać. – Dziwne, że zadajesz sobie tyle trudu, by kupić kreację, którą zdejmuje się po pięciu minutach, by deptać po niej mężczyzna! – zauważyła kiedyś jedna z nich. Ale klienci Sugar przesiadują w jej pokoju znacznie dłużej niż pięć minut. Niektórzy znikają tam na długie godziny, a kiedy Sugar wyłania się wreszcie z pokoju, wygląda, jakby w ogóle się nie rozbierała. Co ona tam z nimi robi?

– Rozmawiam – wyjaśnia, kiedy ktoś ośmieli się o to zapytać. Udziela tej prowokującej odpowiedzi z poważnym uśmiechem, nie zawiera ona jednak całej prawdy. Kiedy zdecyduje się już przyjąć jakiegoś mężczyznę, zgodzi się na wszystko. Jeśli klient chce jej cipy, będzie ją miał, choć Sugar woli udostępniać raczej usta i odbyt – bo tak jest higienicznej, a potem nie trzeba się martwić o konsekwencje. Ma nieco chrapliwy głos, ponieważ pewnego razu jeden z nielicznych mężczyzn, którego dziewczynie nie udało się zadowolić, zbyt mocno wcisnął ostrze noża w jej gardło. Była wtedy piętnastoletnią dziewczyną.

Sugar nie proponuje jednak mężczyznom wyłącznie uległości i wyuzdania. Uległość i wyuzdanie nie kosztują drogo. Za kilka pensów na dżin każda bezzębna wiedźma zrobi wszystko, czego może zażądać mężczyzna. Sugar jest wyjątkowa dlatego, że robi to samo, co najbardziej zdesperowane ulicznice, ale z uśmiechem niewinnego dziecka. W jej zawodzie trudno o rzadziej spotykany skarb niż dziewczyna o wyglądzie dziewicy, która poddaje się potopowi sprośności, po czym wstaje z łóżka pachnąca niby róża, z przyjaznym spojrzeniem spaniela i uśmiechem niewinnym jak rozgrzeszenie. Mężczyźni wciąż do niej wracają i pytają o nią po imieniu, przekonani, że pożąda rozpusty równie gorąco jak oni – a jej koleżanki, widząc, że klienci dają się na to nabierać, kiwają tylko głowami z zazdrosnym podziwem.

Sugar próbuje oczarować dziewczęta, które nie darzą jej specjalną sympatią. Wykorzystuje w tym celu fenomenalną pamięć – potrafi przypomnieć sobie chyba wszystko, co kiedykolwiek zdarzyło się jej usłyszeć.

– I jak powodzi się twojej siostrze w Australii? – zapytuje, na przykład, pewną starą znajomą, chociaż minął rok, odkąd widziały się ostatni raz. – Czy ten O’Sullivan z Brisbane ożenił się z nią, czy nie? – A przy tym oczy dziewczyny są tak pełne troski albo uczucia, które do złudzenia troskę przypominają, że potrafią wzruszyć nawet najbardziej sceptyczną ladacznicę.

Doskonała pamięć Sugar jest równie przydatna w kontaktach z mężczyznami. Powiadają, że muzyka łagodzi dzikie bestie, ale Sugar znalazła skuteczniejszy sposób, by spacyfikować niejednego prostaka: na przykład przywołując jego opinię na temat związków zawodowych albo bezdyskusyjnej wyższości czarnej tabaki nad brązową. – Oczywiście, że cię pamiętam! – powiada jakiejś ohydnej małpie, która przed dwoma laty ścisnęła brodawki jej piersi tak mocno, że dziewczyna niemal zemdląła z bólu. – Jesteś tym dżentelmenem, który uważa, że pożar na Tooley Street wzniecili Żydzi, zwolennicy caratu! – Wystarczy kilka takich wspomnień, by klient gotów był wychwalać ją pod niebiosa.

Doprawdy, wypada żałować, że mózg Sugar nie przypadł raczej mężczyźnie, teraz bowiem wije się bezsilnie, wciśnięty w filigranową, dziewczęcą główkę. A przecież mógł wnieść wielki wkład w budowę Imperium Brytyjskiego!

– Prze-eee-praszam panie!

Kiedy Caroline i Sugar odwracają się na pięcie, ich oczom ukazuje się uzbrojony w trójnożny statyw i aparat fotograficzny mężczyzna, który oddaje się swej pasji tuż-tuż na Trafalgar Square. Widok okrytego płaszczem w szkocką kratę nieznanego o groźnym wejrzeniu, ciemnych brwiach i brodzie, przywodzącej na myśl Anthony’ego Trollope’a, każe przyjaciółkom wyciągnąć mylne wnioski, że mężczyzna chce, by zeszyły z drogi tkwiącemu na trójnogu olbrzymiemu oku.

– Ależ nie-eee, proszę pań! – woła fotograf, kiedy odchodzą na bok.

– Będę zaszczycony! Będę zaszczycony, mogąc utrwalić wasze podobizny na wieczność!

Patrzą po sobie i wymieniają uśmiechy: oto przedstawiciel licznej grupy amatorów fotografii, opętany jak spirytysta i szalony niczym Kapelusznik. Człowiek tak czarujący, że oczarowane nim gołębie fruną, gdzie sobie życzy – choć może jednak sprawia to nie jego charyzma, lecz hojność, z jaką urodzonym pod szczęśliwą gwiazdą przechodniom kupuje kubeczki pełne ziarna dla ptaków. Jeśli jednak przechodnie mają własne ziarno, to tym lepiej!

– Jestem wam naprawdę wielce zobowiązany, szanowne panie! Proszę tylko, stańcie nieco dalej od siebie...

Przyjaciółki chichoczą i kręcą się niespokojnie, bo gołębie łopoczą wokół skrzydłami, przysiadają dziewczętom na czepkach, drapią pazurkami ich wyciągnięte ręce i próbują lądować im na ramionach – są bowiem wszędzie tam, gdzie nasiona tryskają jak sperma. Choć ptasie skrzydła trzepoczą im tuż przed oczami, Caroline i Sugar starają się nie mrugać, aby korzystnie wyglądać w decydującym momencie.

Głowa fotografa kołysze się na boki pod kapturem, mężczyzna napina mięśnie całego ciała, a potem słyszą trzask zwalnianej migawki. Gdzieś głęboko we wnętrzu aparatu rodzi się chemiczny wizerunek Sugar i Caroline.

– Tysięczne dzięki, szanowne panie – mówi w końcu fotograf, one zaś wiedzą, że to oznacza pożegnanie: nie *au revoir*, lecz „żegnajcie na zawsze”. Fotograf dostał od nich już wszystko, czego pragnął.

– Słyszalas, co on gadał? – pyta Caroline, kiedy przyglądają się, jak fotograf unosi swój ryszunek w stronę Charing Cross. – Na wieczność. „Wieczność”. To chyba nie może być prawda?

– Nie wiem – odpowiada w zamyśleniu Sugar. – Byłam kiedyś w pracowni fotograficznej i stałam w ciemni obok fotografa, kiedy wywoływał zdjęcia. – Istotnie, pamięta, że wstrzymywała oddech w czerwonym świetle, patrząc, jak w płytkiej, wypełnionej odczynnikami kuwecie obrazy materializują się niczym stygmaty albo widmowe zjawy. Zastanawia się, czy nie powiedzieć o tym Caroline, wie jednak, że musiałaby tłumaczyć jej każde słowo. – Zdjęcia wyjmuję się z chemicznej kąpieli – mówi Sugar. – I powiem ci coś: cuchną. A jestem pewna, że nic, co tak śmierdzi, nie może trwać wiecznie. – Naprawdę wcale nie jest tego pewna, marszczy bowiem brwi, czego nie widać jednak pod grzywką jej gęstych włosów.

Zastanawia się, czy zdjęcia, które zrobiono jej w tamtym studiu fotograficznym, istotnie przetrwają wieki, i ma nadzieję, że nie. Kiedy dobili targu, nie czuła wyrzutów sumienia i pozowała nago wśród roślin doniczkowych, w pończochach na tle łóżka z baldachimem, i w wannie, zanurzona do pasa w letniej wodzie. I nawet nie musiała nikogo dotykać! Ostatnio zaczęła jednak żałować, że się wtedy zgodziła – odkąd jeden z jej klientów wyciągnął wymiętą fotografię dziwnie wyglądającej, nagiej dziewczyny i zażądał, żeby Sugar przybrała taką samą pozę, wykorzystując taki sam rekwizyt w postaci szczotki do włosów, którą mężczyzna przewidująco przyniósł ze sobą. Wtedy zrozumiała, co to znaczy na zawsze pozostać Sugar, Lotty, Lucy czy kimś tam, jeśli ktoś uwięzi człowieka na kwadratowym kartoniku, który może potem pokazywać obcym, kiedy zechce. Bez względu na to, jakim aktem przemocy Sugar poddaje się regularnie w zaciszu swojej sypialni, przechodzą one do przeszłości wraz z chwilą, w której dobiegają końca, a ona zaczyna o nich zapominać, zanim wyschnie jej spocone ciało. Jednakże ktoś, kogo chemicznie utrwala się w czasie i kogo można następnie przekazywać bez końca z ręki do ręki, obnaża się tak, że nigdy nie zdoła już zasłonić swej nagości.

Gdybym ci pokazała fotografie Sugar, pomyślałbyś zapewne, że niepotrzebnie się martwi. Powiedziałbyś może, że są czarujące – niewinne, osobliwe – a nawet odznaczają się pewną dziwną godnością! Niewiele ponad sto albo – powiedzmy – sto dwadzieścia lat później będzie można reprodukować te fotografie wszędzie i nikomu nie przyjdzie nawet do głowy, że deprawują albo gorszą wrażliwców. Ba, ten potężny niszczyciel; dawnych skandali, czyli wielkoformatowy, kolorowy album, nadaje owym zdjęciom wręcz artystyczną aurę. *Nieznana prostytutka, ok. 1875 r.* – głosiłby zapewne podpis pod taką fotografią, czy można zatem wyobrazić sobie większą anonimowość? Jeżeli tak jednak uważasz, to nie rozumiesz, dlaczego Sugar się wstydzi.

– Ale wyobraź sobie, że chociaż ty umrzesz, to takie zdjęcie przetrwa setki lat – mówi Caroline. – I że jakbym się skrzywiła, to taka mina zostałaby mi na zdjęciu na zawsze... Ciarki mnie przechodzą, jak o tym pomyśle.

Sugar w roztargnieniu gładzi brzeg swojej paczki i zastanawia się, w jaki sposób skierować rozmowę na mniej niebezpieczny temat. Wpatruje się ponad placem w budynek National Gallery, a wtedy bolesne wspomnienie mężczyzny ze szczotką do włosów znika.

– No, a portrety malarskie? – pyta, przypominając sobie przesadny podziw Caroline dla

pewnego studenta sztuk pięknych, który oszwaabił ją kiedyś, zamiast pieniędzy darując jej rysunek przedstawiający, jak twierdził, doliny Yorkshire. – Nie przechodzą cię ciarki, kiedy myślisz o obrazach?

– To co innego – mówi Caroline. – Portrety maluje się... No, wiesz... królom i innym takim.

Sugar śmieje się cicho, wybierając ze swojego encyklopedycznego repertuaru śmiechów złośliwy, figlarny chichot.

– Nie pamiętasz już, że ten stary cap z Royal Academy, który zakochał się w Kitty Bell, namalował kiedyś jej portret? Pokazali go nawet na jakiejś wystawie, a Kitty i ja poszłyśmy zobaczyć ten malunek. Nazwali go *Kwiaciarka*.

– Uuuu, pewnie, masz rację... To zdzira.

Sugar wydyma wargi.

– Jesteś zazdrosna. Pomyśl tylko, Caddie, co by było, gdyby jakiś malarz ubłagał cię, żebyś mu pozwoliła namalować swój portret. Siedzisz sobie bez ruchu, on pracuje, a potem, na koniec, wręcza ci obraz olejny, który przypomina... przypomina twoje własne odbicie, jakie mogłabyś ujrzeć w lustrze w dniu, kiedy wyglądałaś najładniej w życiu.

Caroline w zadumie wylizuje wnętrze papierowej torby, na poły urzeczona fantastycznym obrazem, który namalowała dla niej Sugar, na poły zaś podejrzewając, że przyjaciółka stroi sobie z niej żarty. Ale żarty na bok – Sugar naprawdę uważa, że Caroline byłaby doskonałą modelką: jej drobna, ładna twarz i kształtna figura stanowią o wiele bardziej klasycznie malowniczy widok niż kościste ciało. Wyobraża sobie, jak gładkie, nieskazitelne, brzoskwiniowe ramiona Caddie wysuwają się z wieczorowej sukni, porównuje tę różaną wizję ze swoim bladym ciałem i widzi obojczyki, sterczące z jej piegowatej piersi niczym rączki różna. Oczywiście, moda w latach siedemdziesiątych ciąży ku coraz zwiewniejszym kreacjom, lecz to, co modne, nie zawsze odpowiada temu, co kobiety w głębi serca mają za kobiece. Każdy sklep z gawurami pęka w szwach od portretów „Caroline”, a jej twarz zobaczyć można wszędzie, od opakowań mydła po kamienne płaskorzeźby na gmachach publicznych – czy to nie dowód, że jej uroda bliska jest ideału? Sugar uważa, że tak. Owszem, czytała w czasopismach o preraphaelitach, ale to wszystko – nie rozpoznałaby Burne-Jonesa ani Rossettiego, gdyby przypadkiem spotkała ich na ulicy. (Ze statystycznego punktu widzenia takie spotkanie jest mało prawdopodobne: dwóch malarzy, dwieście tysięcy prostytutek).

Kiedy Caroline wysuwa głowę z papierowej torby, na jej podbródku widać plamkę kremu. Zasmakowała w wyobraźni, jak to jest być muzą artysty i zamiast zwyczajnych pieniędzy zyskać własny portret oraz większą sławę, postanawia jednak, że nie zrealizuje tej fantazji.

– Nie, dzięki – mówi głosem osoby, która nie pozwoli robić z siebie idiotki. – Życie nauczyło mnie jednego: że jak ktoś bierze się do gry, co to jej nie rozumie, kończy bez grosza przy duszy i nie wie nawet, jak do tego doszło.

Sugar mnie torebkę, rzuca ją na ziemię i strzepuje z sukni okruchy ciastek i ziarna. – Idziemy? – pyta, wyciąga rękę ku twarzy Caroline i delikatnie ściera jej z podbródka resztki kremu. Starsza kobieta cofa się nieznacznie, zaskoczona tym nieoczekiwanym kontaktem fizycznym w godzinach wolnych od pracy.

Jest wpół do dziewiątej. Bal grabarzy dobiegł końca i na ulicach jest znów niewielu przechodniów. Najpierw niewolnicy z warsztatów na poddaszach, potem robotnicy fabryczni i pracujący dorywczo, a teraz urzędnicy: miasto pożera całe armie wyrobników i wciąż nie może się nimi nasycić. Przez okrągły dzień będą tu przybywać nowe transporty z całej Anglii, z całego świata. A dziś wieczorem tych, których miasto nie chce, pochłonie Tamiza.

Caroline ziewa, odsłaniając czarny siekacz pośród białych zębów, i Sugar także ziewa w odpowiedzi, z udaną grzecznością zasłaniając usta otwartą dłonią.

– Boże, najchętniej padłabym teraz do łóżka i spała jak suseł – oświadcza starsza z przyjaciółek.

– Ja też – odpowiada Sugar.

– Wcześniej się obudziłam. Na Church Lane rozbiła się dorożka, prawie pod moim oknem. Nie dalej niż... – Caroline wskazuje na króla Jerzego – ...ten pomnik, tam.

– Byli ranni?

– Zginęła chyba jakaś kobieta. Policjanci w spódnicach nieśli trupa.

Sugar zastanawia się, czy nie rozśmieszyć Caddie opisem tej sceny, przedstawionym zgodnie z wadliwą konstrukcją jej wypowiedzi: oto widzimy procesję poważnych, wąsatych, posępnych policjantów w płaszczach, pod którymi szeleszczą damskie spódnice. Pyta jednak tylko:

– Znałaś ją?

Caroline robi głupią minę i mruży oczy. Ta myśl nawet nie przyszła jej do głowy.

– Jezu, nie wiem! A gdyby to była... – Wykrzywia twarz, usiłując sobie wyobrazić, że któraś ze znanych jej prostytutek przebywała o tej porze na ulicy. – Najlepiej będzie, jak pójdę już do domu.

– Ja też – mówi Sugar. – Żeby dom pani Castaway nie utracił swojej reputacji. – I uśmiecha się uśmiechem, którego osoby pokroju Caroline nie potrafią zrozumieć.

Przyjaciółki wymieniają krótki uścisk i jak zawsze przy takiej okazji Caroline jest zdziwiona, że Sugar zachowuje się chłodno i niezdecydowanie. Jak to możliwe, że ciało tej dziewczyny, notorycznie uległe w męskich rękach, jest takie niezgrabne i sztywne w ramionach przyjaciółki? Ciężka, twarda niczym drewniany kłoc paczka papieru, zwisająca z zaciśniętej dłoni Sugar, uderza Caroline w udo.

– Przyjdź kiedyś mnie odwiedzić – mówi Caroline, rozluźniając uścisk.

– Przyjdę – obiecuje Sugar, której twarz pokrywa wreszcie rumieniec.

Za kim powinieneś teraz iść? Za Caroline nie – zaprowadzi cię tam, skąd przyszedłeś, a to przecież naprawdę paskudna okolica. Zostań z Sugar. Nie będziesz żałował.

Dziewczyna nie traci czasu, by odprowadzić wzrokiem przyjaciółkę, i szybkim krokiem opuszcza plac. Idzie w kierunku Haymarket w takim pośpiechu, jak gdyby uciekała przed złoczyńcami, którzy chcą ją udusić i obrabować.

– Dowiozę cię na miejsce szybciej, panienko! – woła dorożkarz z jednego z postojów hotelowych, a jego chrapliwy głos zdradza, że przejrzał ekstrawagancką kreację dziewczyny.

– Jak chcesz, możesz nawet wskoczyć na mojego konia! – krzyczy za nią, bo Sugar nie zwraca na niego uwagi, a pozostali dorożkarze na postoju rechoczą rubasznie z uciechy i nawet ich szkapę parskają.

Sugar z niewzruszoną miną idzie chodnikiem, wyprostowana jak struna. Nie zwraca uwagi na przechodniów na ulicy. Mężczyźni kręcący się wokół straganu z kawą schodzą jej z drogi w obawie, że rozkołysana w ręku dziewczyny paczka podetnie im kolana. Rozlepiacz plakatów przysuwa swój kubełek bliżej słupa, do którego przykleja jakiś afisz, ponieważ boi się, że Sugar przewróci wiaderko i wyleje kleistą ciecz na bruk. Pewien dżentelmen o kaprawych oczach, który sądząc po kapeluszu i spodniach, przybył niedawno do Londynu z Ameryki, taksuje ją wzrokiem, od pomykających szybko stóp do głowy – straci cnotę wieczorem, kiedy na Haymarket sfrunie stadko kokot, które będą mu składać propozycje niemal na każdym kroku.

– Proszę o wybaczenie, pani – mamrocze pod nosem, kiedy Sugar przeciska się obok niego.

Dziewczyna podąża najpierw Great Windmill Street, mijając Saint Peter's, miejsce późniejszych zgromadzeń dziecięcych prostitutek, a potem przechodzi obok Argyll Rooms, gdzie już o tej porze przedstawiciele arystokracji płci męskiej leżą pijani i chrapią wśród upojonych szampanem, sennych dziwek. Sugar nieomylnie skręca, kuli się w zaułkach i przekracza ruchliwe ulice, ledwie unosząc oczy niczym kot, w którego kocim złośliwym umyśle coś świta.

Przystaje dopiero na Golden Square, skąd widać już dach i dymiące kominy domu pani Castaway, a dalej gorączkowy ruch uliczny na Silver Street. Chociaż ma do pokonania zaledwie kilka jardów, nie może się zmusić, by zrobić tych parę kroków i zapukać do drzwi własnego domu. Oblewa się potem pod jedwabną suknią nie tylko dlatego, że prawie biegła, lecz wskutek ogarniającego ją teraz niepokoju. Odwraca się, przyciska paczkę do piersi i idzie powoli w kierunku Regent Street.

Na kamiennych stopniach kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny na Warwick Street leży skulone dziecko niewiadomej płci, owinięte w połyskujący stopniałym szronem bladeżółty pled. W bladym świetle słońca krople smarków na wargach i w ustach dziecka lśnią niczym surowe żółtko, a Sugar na ten widok odwraca z obrzydzeniem wzrok. Żywy czy martwy, dzieciak jest

skazany na zagładę, bo na tym świecie nie można zbawić nikogo poza sobą, a Bóg zabawia się tymczasem, wydzielając skapo żywność, ciepło i miłość, aby wykarmić sto istnień ludzkich pośród tłoczącej się wokół, pełzającej ciżby milionów potrzebujących. Jeden bochenek chleba i jedna ryba, które trzeba rozdzielić między pięć tysięcy nędzników – to Jego najlepszy żart.

Sugar jest już po drugiej stronie ulicy, kiedy zatrzymuje się na dźwięk głosu – słabego, rżężącego, bezsensownego beczenia, mogącego jednak oznaczać „da mu” albo „mama”. Dziewczyna odwraca się. Dziecko żyje i wyciąga rączki z brudnego, wełnianego beciku. Ponura fasada kaplicy z nowej czerwonej cegły, pozbawiona okien u dołu i judaszy w ciemnych, zamkniętych drzwiach, pyszni się swoją nieprzystępnością wobec antykatolickich rebeliantów i liczących na miłosierdzie dzieci.

Sugar stoi niezdecydowana, kołysze się na piętach i czuje, jak pot w jej butach szczypie i parzy ją między palcami. Nie może znieść myśli, że miałyby się cofnąć, skoro zdecydowała się iść dalej – przeszła już na drugą stronę ulicy i teraz nie zawróci. Poza tym to beznadziejna sprawa – nawet gdyby pieprzyła się z setką mężczyzn dziennie i oddawała cały zarobek na rzecz ubogich dzieci, nie mogłaby im pomóc w znaczący sposób.

W końcu kiedy serce zaczyna bić mocno w jej piersi, wyciąga z torebki monetę i rzuca ją na drugą stronę ulicy. Rzut jest celny i szyling ląduje na bladej żółtej kocu. Sugar odwraca się znowu, nadal niepewna płci dziecka. Ale jego płeć nie ma żadnego znaczenia. Za dzień, za tydzień albo za miesiąc niepamięć wciągnie to dziecko jak nieczystości spływające do londyńskiego rynsztoka. Niech będzie przeklęty Bóg i całe Jego straszliwe, plugawe Stworzenie.

Sugar idzie dalej ze wzrokiem utkwionym we wspaniałej, wielkowiejskiej ulicy, jaką jest Regent Street, której obraz drży, mieniając się w jej piekących ze zmęczenia oczach. Potrzebuje snu. No i prawdę mówiąc, skoro już musisz wiedzieć, Sugar cierpi, cierpi tak bardzo, że jest gotowa umrzeć albo zabić, wszystko jedno. Pod warunkiem, że tak czy inaczej padnie wreszcie decydujący cios, dzięki któremu dostąpi wyzwolenia.

To nie towarzystwo Caroline wprawiło ją w ten nastrój. Caroline, jak już wiesz, jest postacią bez znaczenia – i o nic nikogo nie prosi.

Nie, Sugar została wystawiona na inną ciężką próbę: otóż wczoraj przez cały dzień i noc musiała okazać cierpliwość i być miła dla umierającej przyjaciółki imieniem Elizabeth, przy której siedziała w jakiejś cuchnącej norze przy Seven Dials. Elizabeth konała bardzo długo, przez cały czas ściskając ją za rękę! Dziewczyna musiała trzymać jej spoconą, chłodną, szponiastą dłoń całymi godzinami! Na samą myśl o tym ręce Sugar mocniej pocą się w rękawiczkach, swędząc i piekąc, gdy ocierają się o przesypaną pudrem podszewkę.

Bycie upadłą kobietą ma jednak swoje drobne zalety i Sugar wykorzystuje teraz jedną z nich. Zasady rządzące dobrem stroju wyjściowego są jasne dla tych, którzy je rozumieją: mężczyźni mogą nosić rękawiczki albo nie, jak im się podoba; ubogie kobiety nosić ich nie powinny (sama myśl o nędzarce w rękawiczkach jest śmieszna!), policja mogłaby się bowiem zainteresować, skąd je wzięły; szacownym damom z niższych sfer, szczególnie z dziećmi na ręku, można z kolei wybaczyć brak rękawiczek; natomiast prawdziwe damy muszą nosić rękawiczki, które mogą zdjąć dopiero wtedy, gdy znajdą się bezpiecznie w czterech ścianach. Sugar jest ubrana jak prawdziwa dama, dlatego w żadnym wypadku nie powinna obnażać dłoni publicznie.

Mimo to koniuszek za koniuszkiem, palec po palcu, Sugar, idąc ulicą, ściera z dłoni miękką, zieloną skórę. Jej nagie, białe ręce lśnią w słońcu. Z głębokim westchnieniem ulgi, które niczym nie różni się od tego, jakie wydaje, kiedy mężczyzna pokaże jej już wszystko, na co go stać, rozprostowuje na chłodzie spierzchnięte palce, pokryte zawiłym deseniem spękanego naskórka.

Wejź teraz śladem Sugar w wielką, otwartą przestrzeń, we wspaniałą pustkę Regent Street, i podziwiał górujące nad nią, przypominające plastry miodu eleganckie domy, ciągnące się we mgle architektonicznej nieskończoności tysiącami identycznych okien, piętro nad piętem; podziwiał też szklisty pas jezdnii, z której zmieciono śnieg. Ten widok oddziałuje niczym list intencyjny: niczym oświadczenie, które głosi, że w niedalekiej, świetlanej przyszłości dzielnice takie jak St Giles i Soho, z labiryntami wąskich uliczek, krzywych ruder i wilgotnych, zrujnowanych zaułków, zostaną zmiecione z powierzchni ziemi, po czym zastąpi je nowy Londyn, do złudzenia przypominający

Regent Street – rozległy, uporządkowany i czysty.

O tej porannej godzinie na Stretch panuje już ożywiony ruch – nie jest tu tak obłądnie tłoczno, jak w letnim Sezonie³, ale uliczny gwar mimo wszystko robi na tobie wrażenie. Dorożki turkocą tam i z powrotem, ciemno odziani, pędzący gdzieś przed siebie dżentelmeni o gęstym zarostcie przebiegają im drogę, żywe reklamy patrolują rynsztoki, a tam, dalej, troje zamiataczy ulicznych pochyła się nad studzienką ściekową, ciosami mioteł przepychając przez kratkę gęstą zupełnie topniejącego śniegu, brudu i końskiego łajna. W tej samej chwili mijają ich nastroszony prowincjonalnymi kupcami, rozdźwiczony ekwipaż, po którym zostaje na jezdni parująca girlanda ekskrementów.

Wóznicę ściga wodze i zatrzymuje omnibus, z którego wysiada sześcioro pasażerów. Jeden z nich, ubrany na czarno mężczyzna średniego wzrostu i tuszy, o mało nie wdeptuje w końskie łajno w nieprzyzwoitym pośpiechu: zatacza się i cofa w samą porę niczym uliczny klaun, występujący przed rżącymi z uciechy widzami na Seven Dials. Spłoszony mężczyzna zamaszystym ruchem ściga z głowy kapelusz i idzie dalej niepewnym, bojaźliwym krokiem. Odkryte włosy nieznanego sterczą, a ściślej mówiąc: trzęsą mu się na głowie w zadziwiającym ułożeniu. Ma niesłychanie poważną, a nawet zaniepokojoną minę, jak gdyby spóźnił się do pracy i oczekiwał reprymendy, ale jego fryzura przedstawia arcyzabawny widok: oto grzebień złocistych, kędzierzawych włosów mężczyzny podskakuje jak małe, kosmate zwierzątko, które spadło mu z nieba na głowę i za nic nie chce opuścić zajętego w ten sposób miejsca.

Sugar uśmiecha się z ulgą, widząc wreszcie coś zabawnego na świecie – potem raz jeszcze przyciska do piersi paczkę i leniwym krokiem rusza przed siebie ulicą. Jeszcze kilka minut na brukowanym przyczółku Londynu dnia jutrzejszego i dziewczyna wróci do domu.

Zostaw teraz Sugar w spokoju – pragnie iść dalej sama i pozostać anonimowa. Już zapomniała o mężczyźnie z komiczną czupryną, którego ty wzięłaś po prostu za jeszcze jednego przechodnia, za przykład lokalnego kolorytu, odwracający twoją uwagę od poszukiwania ludzi, których przyszedłeś tu spotkać. Przestań więc już snuć na jawie – przekrocz błyszczący Rubikon Regent Street, uważaj na ruch uliczny oraz sterty brei i znajdź tego klauna.

Zresztą rób, co chcesz, ale nie pozwól mu się wtopić w tłum, bo ów nieznanomy jest naprawdę bardzo ważnym człowiekiem, który zaprowadzi cię o wiele dalej, niż sobie wyobrażasz.

3 „The Season” – czas zabaw, przyjęć i uroczystości, w których uczestniczyła śmietanka towarzyska Londynu (przyp. tłum.).

William Rackham, któremu pisane będzie kierować firmą kosmetyczną Rackham Perfumeries, lecz któremu obecnie nie wiedzie się najlepiej, uważa, że na gwałt potrzebuje nowego kapelusza. Dlatego tak bardzo się spieszy. I dlatego właśnie lepiej nie wpatruj się dłużej w rozkołysaną łagodnie turniurę sukni odchodzącej w dal Sugar, nie przyglądaj się jej wystającym łopatkom, szczupłej, owadziej talii ani kosmykom rudopomarańczowych włosów, które wysunęły się spod czepka dziewczyny i trzepoczą na wietrze – a biegnij raczej w ślad za Williamem Rackhamem.

Wahasz się. Sugar wraca do domu, do lupanaru o wyjątkowo osobliwej nazwie: „U pani Castaway”. Chciałbyś zobaczyć dom publiczny, prawda? Z jakiej racji miałbyś przegapić to, co stanie się za chwilę, tylko dlatego, że powinienes podążać za tym nieznanym, za tym... mężczyzną? Trzeba przyznać, że podskakująca na jego głowie szopa złocistych włosów wyglądała komicznie, poza tym jednak William Rackham nie wydawał się zbyt fascynujący – zwłaszcza w porównaniu z kobietą, którą przecież dopiero zaczynasz poznawać.

Ale Williamowi Rackhamowi pisane jest przejąć władzę nad Rackham Perfumeries. Rackham Perfumeries! Jeśli chcesz iść dalej, nie możesz sobie pozwolić, by tracić czas w towarzystwie dziwek. Musisz się postarać, by zacząć przejawiać nadzwyczajne zainteresowanie tym, dlaczego William Rackham uważa, że potrzebuje na gwałt nowego kapelusza. A ja pomogę ci najlepiej, jak potrafię.

Rackham idzie teraz ulicą, trzymając swój stary kapelusz w dłoni, woli bowiem paradować z gołą głową w świecie zdominowanym przez mężczyzn w kapeluszach niż nosić swój choćby jedną chwilę dłużej, tak bardzo wstydzi się jego niemodnej, wysokiej główki i wystrzępionego ronda. Oczywiście, bez względu na to, czy ma go na głowie, czy nie, ludzie będą przyglądać się Williamowi z politowaniem, tak jak patrzyli na niego w omnibusie... Czy naprawdę sądzą, że nie dostrzega ich ironicznych uśmiezków? O, Boże! Jak to możliwe, że do tego doszło! Świat spiskuje... Ale nie, nie ma prawa wysuwać tak generalnych oskarżeń... Należałoby raczej powiedzieć, że na rzeczywistość składają się pewne nieprzyjemne elementy, które sprzysięgły się przeciwko niemu, on zaś, jak dotąd, wciąż nie widzi drogi, którą powinien zmierzać do zwycięstwa.

W końcu jednak zwycięży, musi zwyciężyć, bo – jak sądzi – jego osobiste szczęście jest częścią większej całości. Nie dlatego, aby bezwzględnie zasługiwał na większe szczęście niż inni ludzie, nie. Idzie mu raczej o to, że jego los przypomina... Przypomina jakby... zawias, od którego zależy bardzo wiele; jeśli więc Williama zmiażdży niepowodzenie, runie zarazem coś więcej, a takiego ryzyka świat nie zechciałby zapewne podjąć.

William Rackham przyjechał...

(Czy nadal słuchasz uważnie?)

William Rackham przyjechał do miasta, ponieważ wie, że na Regent Street może położyć kres upokorzeniom, kupując nowy kapelusz. Co nie znaczy, że nie mógłby kupić równie dobrego nakrycia głowy u Whiteleya w Bayswater i darować sobie długą podróż, ma jednak ukryty powód, żeby tu przyjechać, a właściwie dwa. Po pierwsze, wolałby, żeby nie widziano go u Whiteleya, o którym często wyrażał się lekceważąco podczas wykwinnych obiadów, na które dawniej zawsze go zapraszano – mawiał wówczas bowiem, że to beznadziejnie pospolite miejsce. (Sklep, do którego udaje się teraz, jest, oczywiście, także pospolity, istnieje jednak mniejsze prawdopodobieństwo, że natknie się tam na kogoś znajomego). Po drugie, chce mieć oko na Clare, pokojówkę swojej żony.

Dlaczego? Ach, to żenująca i skomplikowana sprawa. Zmuszony ostatnio podliczyć niektóre wydatki domowe, William Rackham doszedł do wniosku, że służba go okrada – to znaczy, nie tylko przywłaszcza sobie od czasu do czasu jakąś świecę czy plasterk bekonu, lecz kradnie wprost na potęgę. Służące niewątpliwie wykorzystują chorobę jego żony i niechęć głowy rodziny do refleksji

nad kłopotami finansowymi, myślą się jednak, do diaska, jeżeli im się wydaje, że on nic nie widzi. Mylą się jak diabli!

Tak więc wczoraj po południu, kiedy tylko jego małżonka skończyła instruować Clarę, co powinna kupić rano w Londynie, William (który podsłuchiwał pod drzwiami) zwierzył woń chciwości. Na widok idącej w dół po schodach pokojówki, na którą spoglądał z góry z pograżonego w półmroku korytarza, wyobraził sobie, że dostrzega, jak plan kradzieży coraz bardziej dojrzewa w jej niedużym, krępych ciele.

– Mam bezgraniczne zaufanie do Clary i powierzyłabym jej swoje życie – sprzeciwiła się Agnes z charakterystyczną egzaltacją, kiedy małżonek poinformował ją na osobności o swoich złych przeczuciach.

– Być może – odparł William. – Ale ja nie powierzyłbym jej swoich pieniędzy. – Później na chwilę zapadła niezręczna cisza, a twarz Agnes wykrzywił łagodny grymas, kusiło ją bowiem, by wytknąć małżonkowi, że pieniądze nie należą do niego, lecz do jego ojca, i gdyby tylko William stosował się do rodzicielskich zaleceń, mieliby ich znacznie więcej. Opanowała się jednak, a Rackham postanowił w nagrodę pójść z nią na kompromis. Pozwolą mianowicie pokojówce dokonać zakupów samodzielnie, William jednak, zrzędzeniem czystego przypadku, będzie towarzyszył Clarze w drodze do miasta.

Tak więc służąca i jej pan przyjechali razem omnibusem z Notting Hill, dorożka była bowiem „oczywiście wykluczona” – nie dlatego (Rackham miał nadzieję, że Clara to rozumie), by ostatnimi czasy nie było go na nią stać, ale dlatego, iż ludzie mogliby wziąć ich na języki.

Były to płonne nadzieje, ponieważ służąca naturalnie wolała uważać, że widzi kolejne świadectwo upadku swojego pana. (Spostrzegła również, jak bardzo znoszony i niemodny ma kapelusz – choć prawdę mówiąc, była jedyną osobą, która to zauważyła, Rackham ze wstydu unika bowiem wszystkich swoich przyjaciół z towarzystwa). Każdą nie wiedzieć jak trywialną zmianę w codziennych, domowych zajęciach i każdą nie wiedzieć jak rozsądną propozycję zaciśnięcia pasa Clara interpretuje jako kolejny dowód, że ojciec Williama Rackhama miażdży go pod butem jak ślimaka.

W pełnym zachwytu uniesieniu nad jego upokorzeniem nie przychodzi jej do głowy, że jeśli Rackham nie wykaraska się z tarapatów finansowych, być może w końcu będzie musiał ją zwolnić: myśl Clary podąża jednak w zupełnie innym kierunku. Wykryła, na przykład, że jej pan tchórzliwie wycofał się z pomysłu najęcia stangreta, którego zatrudnienie zapowiadano od lat, lecz który dotąd nie pojawił się na służbie. Ostatnio w domu zawarto jak gdyby milczącą ugodę – i nie wspomina się więcej o owym niezrealizowanym pomysle, który przeszedł już właściwie do legendy. Clara jednak nie może o nim zapomnieć! A Tilly, ich posługaczka? Zwolniono ją, ponieważ zaszła w ciążę, nikogo nie przyjęto jednak na jej miejsce, dlatego Janey robi o wiele więcej, niż wymagają obowiązki pomywaczki. Rackham powiada, że to tylko stan przejściowy, ale mijają miesiące i nic się nie zmienia. Dobrą pokojówkę, jak Clara, zapewne trudno znaleźć, ale posługaczek jest chyba pełno jak psów? Rackham mógłby zatrudnić nową posługaczkę w godzinę, gdyby nie miał węża w kieszeni.

Jakkolwiek by na to patrzeć, sytuacja w domu jest upokarzająca, a Clara usiłuje radzić sobie w niej najlepiej, jak potrafi – co sprowadza się do tego, że okazuje niezadowolenie na wszelkie możliwe sposoby, powstrzymując się jedynie od jawnej bezczelności.

Stąd zbolały wyraz twarzy, jaki zachowywała podczas jazdy omnibusem do Londynu – mina, której nieszczęsny Rackham nawet nie zauważył, dopóki pojazd nie przetoczył się przez Marble Arch. Przyszło mu wtedy do głowy, że może wszystkie przedstawicielki płci pięknej są chorowite, pomyślał bowiem, że jego służącą coś boli.

Być może (próbował się pocieszać) moja biedna, chora Agnes nie jest żadnym wyjątkiem.

William celowo wybrał się do miasta o wczesnej porze, by później, po powrocie do domu, mieć więcej czasu na studiowanie raportów o stanie firmy i ksiąg rachunkowych Rackham Perfumeries, których lektury unika już od dawna. (Może przynajmniej wyjmie wreszcie dokumenty z kopert, w których przysłał mu je ojciec). Potem, jutro (być może), złoży wizytę na swojej farmie lawendy, choćby po to, aby się tam pokazać i żeby doniesienia o tym fakcie dotarły do uszu starego.

Prawdopodobnie byłoby też dobrze, gdyby zadał robotnikom kilka celnych pytań, jeżeli jakieś przyjdą mu do głowy. Niewątpliwie pomoże mu w tym lektura dokumentów – o ile najpierw nie oszaleje od niej.

Dom dla obłąkanych albo przytułek dla ubogich; czy wybór, przed którym stoi, sprowadza się tylko do tych dwóch możliwości? Czy nie ma innego wyjścia, jak tylko... sprzedać własnemu ojcu fałszywy wizerunek własnej osoby, udając entuzjazm dla czegoś, co jest mu wstrętne? Jak, w imię... Ale nie wolno mu zastanawiać się teraz nad głębszymi implikacjami takiej ewentualności: oto przekleństwo ponadprzeciętnego intelektu. Powinien kolejno zająć się sprawami, które musi załatwić tego dnia. Kupić nowy kapelusz. Mieć oko na Clarę. Wrócić do domu i wziąć się do papierów.

William Rackham nie łudzi się, że pozna tajniki rodzinnego interesu w ciągu jednego dnia, nie: wyznaczył sobie znacznie skromniejszy cel. Jeżeli wykaże choć odrobinę zainteresowania firmą, ojciec może da mu jeszcze trochę pieniędzy. Ile czasu zajmie Williamowi lektura kilku dokumentów? Wystarczy chyba jedno zmarnowane popołudnie? To prawda, napisał kiedyś w studenckim piśmie w Cambridge, że „nawet jeden dzień poświęcony na coś, co nie jest strawą duchową dla danego człowieka, to dzień skradziony, zmarnowany i wyrzucony do rynsztoka przeznaczenia”. Jak dowodzi jednak jego najnowsza fryzura, życie uniwersyteckie nie może trwać wiecznie, i tak udało mu się je przedłużyć o ładnych kilka lat.

A zatem rozkojarzony, mrużąc oczy przed słońcem, na nogach wciąż zeszywniałych po długiej podróży omnibusem, William rusza spiesznie w górę Regent Street. Wymachuje w marszu zniechęconym kapeluszem, który ścisną w obciążonej rękawiczką dłoni; kilka kroków przed nim idzie pokojówka, której nienawidzi; tuż za nim natomiast podąża jego cień. Możesz sobie pozwolić, by kroczyć za Rackhamem tak blisko, jak ów cień, bo William postanowił, że nie obejrzy się ani razu.

Dalej, przed wami, migocze tysiącem światełek wspaniałe, tajemnicze wnętrza, w którym William położy kres swoim cierpieniom. Zakup nowego kapelusza nie zajmie chyba więcej niż godzinę, a sprawunki Clary powinny trwać jeszcze krócej, jeżeli służąca nie chce mu się narazić. Wejdzie, kupi, co trzeba, a potem od razu wyjdzie, tak właśnie robi. W południe będzie już z powrotem w domu.

Widok oszklonej fasady olbrzymiego sklepu Billington&Joy, jaki ukazuje się oczom Williama Rackhama, jest niczym panorama, nie zasłaniają go bowiem tłumy ludzi, wśród których musiał ciągnąć za sobą Agnes, kiedy był tu ostatnio. Dziesiątki okien wystawowych, ogromnych w porównaniu ze skromnymi witrynami większości sklepów, świadczą o wspaniałości i nowoczesności centrum handlu. Za szybami widać gabloty, w których wystawiono na widok publiczny obfitość różnych towarów, nie sugerując jednak w żaden sposób, iż są na sprzedaż, zostały bowiem pomysłowo umieszczone na tle malowanych *trompe l'oeils*, przedstawiających wnętrza pokoi eleganckiego domu, czyli naturalne środowisko prezentowanych wyrobów. Clara idzie teraz wzdłuż grubej szyby, dzielącej ją od ekspozycji w jadalni – a więc od bogato nakrytych stołów, na których stoją srebra, porcelana i pełne wina kieliszki. Na malowanym tle za stołem sugestywnie mrugają płomienie w kominku, jak żywe, a z boku, przez szparę w prawdziwej kotarze, wystają dwie porcelanowe ręce, osłonięte białymi mankietami i rękawem czarnej rękawa, podtrzymujące pieczeń z *papier mâché*.

Witryny są tak imponujące i ciekawe, że idąc spiesznym krokiem, William omal nie przewraca się jak długi. Otóż na wysokości kostek dorosłego człowieka wystają ze ściany haki, przeznaczone do wiązania psów, i mało brakuje, by Rackham się o nie potknął. Szczęśliwie się składa, że na jego polecenie Clara weszła już w wielkie, białe, nieodległe drzwi domu towarowego Billington&Joy. Ależ miałaby uciechę, gdyby zobaczyła, jak William się przewraca!

Wszedłszy do środka, Rackham rozgląda się za nią, ale Clara zabłąkała się już w czarodziejskiej krainie lustrzanej jasności. Wszędzie szkło, kryształ i lustra, które są pomnażane przez całe galaktyki gazowych żyrandoli. Wszystko, co nie jest ze szkła ani kryształu, zostało wypolerowane na błysk, a zatem wygląda również jak szkło albo kryształ – podłoga lśni, mienią się lakierowane lady, nawet włosy sprzedawców błyszczą od makassarowej pomady i już sama obfitość towarów

niemal oślepia.

Pamiętaj jednak, że obok wielu eleganckich i niezbędnych do życia produktów Billington&Joy sprzedaje także magnetyczne szczotki, w pięć minut likwidujące somatyczne bóle głowy, niklowane łańcuszki, emitujące dobroczynne impulsy, albo szkliwione, zdobione płaskorzeźbami kubki, z których spogląda na nas chmurne oblicze królowej – lecz nawet te przedmioty zdają się pełnić funkcję osobliwych eksponatów muzealnych, jak gdyby wystawiono je wyłącznie ku uciesze publiczności. Ogólnie biorąc, efekt do tego stopnia przypomina wielką wystawę w Crystal Palace, na której wzorowano wystrój sklepu, że niektórzy zadziwieni goście nie chcą nic tutaj kupić z obawy, iż mogliby zepsuć układ ekspozycji. Zachowują się tym bardziej bojaźliwie, że na artykułach nie ma cen – i boją się o nie pytać, aby nie okazało się przypadkiem, iż nie stać ich na to czy tamto.

Dlatego sprzedaje się tu mniej, niż można by sprzedawać – ale przynajmniej rzadko dochodzi do kradzieży. W oczach uliczników i złodziejasków z Church Lane Billington&Joy to istny raj – dla nich i im podobnych rabusiów jednak niedostępny. Nie mogą mieć nadziei, że przekroczą kiedyś wielkie, białe drzwi sklepu, tak jak nie mogliby marzyć, że przejdą przez ucho igielne.

Jeśli chodzi o ewentualne szkody, to nawet najdelikatniejsze przedmioty spoczywają bezpiecznie na wystawach całymi miesiącami, rzadko widuje się tu bowiem dzieci, nawet z zamożnych rodzin, a jeśli już wchodzą do środka, to są pod czujnym okiem opiekunów. Ponadto, co ważniejsze, ewolucja kobiecej mody doprowadziła do tego, że eleganckie klientki mogą swobodnie poruszać się po sklepie, nie potrącając rozstawionych wokół przedmiotów. Doprawdy, można by rzec, że dom towarowy Billington&Joy oraz podobne mu placówki handlowe rozwinęły się, świętując śmierć krynoliny. Strój nowoczesnej kobiety przybrał obecnie opływowe kształty, by dama mogła bez przeszkód wydawać pieniądze.

Przed wejściem na schody, wiodące na stoisko z kapeluszami, William raz jeszcze rozgląda się po sklepie w poszukiwaniu Clary. Choć szła zaledwie dziesięć kroków przed nim, zniknęła bez śladu. Jak okiem sięgnąć, służącą przypomina mu jedynie stojący za kotarą manekin, złożony jednak tylko z kończących się nagle w łokciach gipsowych ramion, zamontowanych na metalowych stojakach.

Zadaniem Clary, które ma wykonać bez nadzoru w czasie, kiedy William Rackham będzie wybierał dla siebie nowy kapelusz, jest nabyć dla swojej pani osiemnaście jardów jedwabiu w kolorze ochry i odpowiednią lamówkę, z których powstanie suknia, gdy pani Rackham poczuje się dość dobrze, by zabrać się do przygotowania wykroju i usiąść do maszyny. Clara bardzo się cieszy, że otrzymała to zadanie. Przeszywa ją rozkoszny dreszczyk, gdy wyciągając całe mnóstwo pieniędzy, mówi: „Tak, dobry człowieku, potrzebuję osiemnaście jardów tej tkaniny”, a przy tym dopuszcza się pewnego zręcznego oszustwa, i dlatego może kupić coś więcej – rzekomo dla swojej pani. Jak pięknie jest pracować dla Rackhamów: on płaci, ale nie chce nawet wiedzieć za co, ona zaś ma swoje potrzeby, nie wie jednak, ile może kosztować ich zaspokojenie, rachunki znikają w dzielącej małżonków przepastnej niechęci. W dodatku Rackhamowie nie mają ochmistrzyni! To najbardziej sprzyjająca Clarze okoliczność. Kiedyś zatrudniali gospodynię, pulchną Szkotkę, do której pani przyssała się niby pijawka, ale jej pobyt w domu Rackhamów skończył się łzami; od tej pory panuje zakaz wszelkich rozmów na ten temat.

– Doskonale damy sobie radę, prowadząc dom we dwie, prawda, Claro?

– Och, tak, pani. Z pewnością!

Już wczoraj, kiedy rozmawiała z panią Rackham o materiale na suknię („Nie da pani wiary, jak wzrosły ostatnio ceny!”), Clara postanowiła, że sprawi sobie przy okazji pewien drobiazg. Kształtną figurę, skoro już naprawdę musisz wiedzieć.

Z całego serca nie cierpi swojego stroju służącej i doskonale zdaje sobie sprawę, że tego roku na Gwiazdkę dostanie dokładnie to samo, co na ostatnie święta. Rok w rok ta sama zniewaga! – siedem jardów czarnej wełnianej tkaniny podwójnej szerokości, dwa jardy lnu i pasiasta spódnica. Wszystko, co trzeba, by skompletować nowy strój dla służącej – no, wyobraźcie sobie. Niech diabli porwą Williama Rackhama i jego skąpstwo – bo zasługuje na wszystkie nieszczęścia, które na niego spadają!

Clara haruje przez okrągły rok jak niewolnica, żeby jej pani pięknie wyglądała, łamie sobie paznokcie na haftkach gorsetów, wdzieczy się do niej z udawanym podziwem i co z tego ma po pięciu latach służby? Tyje w biodrach, a zgryzota żłobi w jej twarzy zmarszczki. Nie ma nic, co mogłoby skłonić mężczyznę, by spojrzeć na nią choć raz, a tym bardziej dwa razy. To znaczy, nie miała na sobie nic takiego do tej pory. Z duszą na ramieniu zawraca i biegnie do stoiska z gorsetami, gdzie kucnie za zasłoną i wepchnie sekretny zakup razem z opakowaniem w swoje obszerne reformy.

Chociaż William częściowo właśnie z obawy przed taką nikczemnością uparł się, by towarzyszyć służącej, nie jest właściwie w stanie uczynić nic, by pokrzyżować jej plany. Jedyne, co może stwierdzić, nie zaprzatając się kwestiami finansowymi, to fakt, że istotnie Clara zgodnie z umową wychodzi teraz ze sklepu, dźwigając w ramionach sporą paczkę. Kradzież, którą popełnia służąca, a która zostałaby z łatwością wykryta i bezlitośnie ukarana w surowszych domach niż dom państwa Rackhamów, nigdy nie wyjdzie na jaw.

Choć słaba konstytucja małżonki bardzo go martwi, William nie pojmuje jeszcze do końca, że z każdym miesiącem odosobnienia Agnes coraz gorzej orientuje się w tym, co dzieje się w świecie zewnętrznym. Nigdy by się nie domyślił, na ten przykład, że żona może powierzyć służącej fundusze na zakup osiemnastu jardów jedwabnej tkaniny. Jest mu jednak nieco lżej na duszy, bo Agnes nie zamawia już sukien szytych na miarę, a kaprys ten kosztował go dawniej majątek – i to zmarnowany, biorąc pod uwagę, jak niewielką część swojego życia spędza Agnes poza łóżkiem.

Na szczęście małżonka wydaje się z nim zgadzać. Rezygnując z krawca na rzecz mechanicznej zabawki, unika niesławy towarzyskiej tak zręcznie, jak to tylko możliwe, utrzymuje bowiem, że do podjęcia tego kroku skłania ją wyłącznie wielkopańska nuda. Monotonię rekonwalescencji można uczynić znacznie przyjemniejszą, powiada pani Rackham, za pomocą interesującego (choć nigdy nie wspomina, że i oszczędnego) wynalazku, jakim jest maszyna do szycia. Tak czy owak Agnes jest kobietą nowoczesną, a maszyny z kolei są częścią pejzażu nowoczesności – tak w każdym razie powtarza jej ciągle ojciec Williama.

Rackham wie, że Agnes robi dobrą minę do złej gry. W chwilach, kiedy zbiera się jej na wyrzuty, mówi mężowi, jak upokarzające jest dla niej podtrzymywanie pozorów wielkopańskiej nudy, choć wszyscy wokół widzą, że żyje bardzo oszczędnie. Czy mógłby wykonać jakiś gest, by udobruchać ojca? Napisać do niego list albo zrobić coś, co znów poprawiłoby stosunki między nimi? Wtedy mogliby wreszcie zgodzić stangreta, a ona mogłaby... Nie, strofuje ją William. Rackham senior to uparty starzec, któremu nie udało się zastraszyć pierworodnego syna, teraz więc usiłuje terroryzować Williama. Jeżeli Agnes wydaje się, że cierpi, niech lepiej pomyśli przez chwilę, co musi znosić jej mąż!

Na co Agnes odpowiada wymuszonym uśmiechem i oświadcza, że jej srebrzysty singer jest rzeczywiście intrygującym wynalazkiem, postąpi więc najlepiej, jeżeli wróci zaraz do maszyny.

Owszem, William jest w sumie rad, że Agnes oszczędza na strojach, natomiast wcale mu się nie podoba, że musi kupować nowy kapelusz w Billington&Joy i płacić za niego na miejscu niczym za pieczonego kasztana albo pastę do butów, zamiast zamówić nakrycie głowy u renomowanego kapelusznika i kazać doliczyć cenę do całorocznego rachunku. Przecież każdy znamienity dżentelmen odwiedza swojego kapelusznika co kilka dni, by uprasować kapelusz! Jak to możliwe, że do tego doszło? Nędza, jeszcze raz nędza i coraz większa hańba dotyka człowieka, któremu należą się ogromne bogactwa! Czyż nie jest prawdą, że na półkach Billington&Joy piętrzą się stopy perfum, mydeł i kosmetyków firmy Rackham? Nazwisko Rackham jest wszędzie! A jednak on, William Rackham, dziedzic fortuny Rackhamów, zmuszony jest mitrzyć czas pośród stoisk z kapeluszami i czekać, aż inni klienci odłożą nakrycia głowy, które chce przymierzyć! Czy Wszchemogący, boska zasada albo coś, co pozostało jeszcze w oczyszczonych ostatnio przez naukę Augiaszowych stajniach kosmosu, nie widzi, że to nie w porządku?

Tak czy inaczej jednak boska zasada daje mu prztyczka w nos.

Kwadrans po jedenastej William Rackham i Clara spotykają się na chwilę przed domem towarowym. Clara niesie dużą, szeleszczącą paczkę, którą przyciska do piersi, idąc jakby sztywniejszym krokiem niż zwykle. William wciska mocno na głowę nowy kapelusz – stary

przekazał już bowiem do sekretnego magazynu, gdzie przebywają na wygnaniu niechciane kapelusze, parasole, czepki, rękawiczki i tysiące innych osieroconych przedmiotów. Dokąd ostatecznie trafiają? Może do chrześcijańskich misji na Borneo albo do rozpalonego pieca, na pewno jednak nie na Church Lane w St Giles.

– Przypomniałem sobie właśnie, że mam jeszcze coś do załatwienia – mówi William, mrużąc powieki i patrząc prosto w oczy służącej (jest dokładnie jej wzrostu). – To znaczy tu, w mieście. Sądzę zatem, że będzie najlepiej, jeżeli wrócisz sama.

– Jak sobie życzysz, panie. – Clara pokornie pochyła głowę w ukłonie, choć Williamowi zdaje się, że wyczuwa w jej głosie nutkę przewrotnej drwiny, jak gdyby służąca była przekonana, że jej pan kłamie. (Tym razem jednak Clara wcale tak nie myśli: po prostu cieszy się, że w drodze do domu, w omnibusie, nie będzie musiała przez cały czas siedzieć na swojej tajemnej paczuszce, która łaskocze i uwiera ją w pośladki).

– Mam nadzieję, że nie zgubisz tej paczki? – upewnia się William, wskazując na jedwabną zdobycz Agnes.

– Nie, proszę pana – odpowiada Clara.

Rackham wyciąga z kieszonki zegarek z dewizką, kładzie go na dłoni i udaje, że sprawdza, która godzina, by pod tym pretekstem odwrócić wzrok od tej irytującej, bezczelnej dziewczyny, której płaci dwadzieścia jeden funtów rocznie za to, iż pełni funkcję najbliższej towarzyski jego żony.

– No, to zmykaj – mówi, a ona odpowiada: – Tak jest, panie. – Po czym zmyka, mizdrząc się i krzywiąc, jak gdyby usiłowała powstrzymać pierdnięcie, William niczego jednak nie zauważa. Co więcej, znacznie później tego samego dnia, ujrawszy biegnącą po całym domu Clarę, nie zorientuje się, że nigdy dotąd nie miała tak szczupłej talii.

Kiedyś bywało inaczej. William Rackham dawniej był niewątpliwie typem człowieka, który dostrzegał małe, a nawet mikroskopijne zmiany w cudzym stroju i wyglądzie. Za swoich najlepszych lat uniwersyteckich dał się poznać jako prawdziwy dandys, między innymi za sprawą laseczki o srebrnej ręczce i sięgającej ramion grzywy złocistych włosów. Wtedy też przepędzał często czas przed pełnymi kwiatów wazonami w swoim pokoju, zastanawiając się niekiedy nawet przez pół godziny, który kwiat włożyć w butonierkę. Jeszcze dłużej dobierał do różnokolorowych kamizelek jedwabne krawaty, a jego ulubione spodnie były ciemnoniebieskie w fiołkowo-różową kratkę. Pewnego pamiętnego razu nakazał swojemu krawcowi przesunąć dziurkę w kamizelce, by kłopotliwy guzik przestał niedyskretnie wyglądać na świat zza poły płaszcza Williama. – Ćwierć cała w prawo, ni mniej, ni więcej – powiedział wtedy i oby Bóg miał krawca w swojej opiece, gdyby nie wykonał tego polecenia co do joty.

W tamtych czasach Rackham z dumą korygował błędy w doborze cudzej garderoby, które umiało dostrzec tylko niewielu ludzi obdarzonych dobrym gustem. Teraz jednak topniejący majątek sprawia, że uchybienia w jego własnym stroju wszystkim rzucają się w oczy, nawet służącym Williama.

Nerwowo maca się po głowie, by sprawdzić, czy nowy kapelusz wciąż tkwi na swoim miejscu. Owszem, William ma jednak powody do zmartwienia; zaledwie przed godziną zobaczył bowiem w lustrze coś tak wstrząsającego, że do tej pory nie potrafi wymazać tego widoku z pamięci. Po raz pierwszy, odkąd nieopatrznie zdjął swój stary kapelusz na Regent Street, zdał sobie sprawę z anarchii, jaka tymczasem wybuchła mu na głowie.

Kiedyś jeśli chodzi o powierzchowność William był najbardziej dumny właśnie ze swoich miękkich i złoto-brązowych włosów, po których gdy był dzieckiem, gładziły go nieustannie zarówno ciotki, jak i obcy ludzie. Na studiach w Cambridge nosił długie włosy, sięgające ramion, czesał się do tyłu i nie używał oliwy. Był wówczas szczupły, a jego rozwiana czupryna ukrywała czaszkę w kształcie gruszki. Poza tym długie włosy budziły w Williamie skojarzenia z Shelleyem, Lisztem, Garibaldim, Baudelaire'em, indywidualizmem – i tak dalej.

Jeśli jednak strzygąc przed kilkoma dniami swoje długie loki, zamierzał wycofać się w anonimowość, to plan ten zawiodł na całej linii. Przeglądając się bowiem dziś w lustrze, zobaczył, co uczyniły jego włosy na przekór bezwzględnyemu nożycy fryzjera – wyzwoliły się mianowicie ze

swoich oliwkowych wierzów i powstały przeciw niemu, podnosząc jawną rebelię. Wielki Boże, ilu przechodniów widziało go w tym stanie! Z tą śmieszną koroną sterczących na wszystkie strony kępek włosów wyglądał przecież jak klaun! Od razu przeszył go dreszcz zażenowania, jeszcze przy stoisku z kapeluszami w Billington&Joy, natychmiast ukrył więc tę włochatą aureolę pod pierwszym kapeluszem, jaki wpadł mu w ręce. Był to zresztą kapelusz, który ostatecznie kupił, chociaż obejrzał ich potem jeszcze wiele.

Zaczesał później sterczące włosy do tyłu i posmarował je znowu oliwą, czy jednak dał im wystarczającą nauczkę? Dotyka ich teraz nerwowo czubkami palców, wygładzając fryzurę pod rondem kapelusza. Kłują go krzaczaste bokobrody. – Chcę wyglądać jak Matthew Arnold – powiedział fryzjerowi, wygląda jednak niczym dzikus z Borneo. Co więc uczynił? Wmówił sobie (no, prawie), że nowa, skromna aparycja pomoże mu wkroczyć w ostatnią ćwierć stulecia, czyżby jednak jego włosy miały na ten temat inne zdanie?

Idąc w kierunku Tamizy, wypatruje jakiejś bocznej uliczki, na której skryty przed krytycznymi oczami postronnych obserwatorów mógłby znów przeczesać się grzebieniem. Jak na jeden poranek wystarczająco uchybił już dobrym manierom.

Znajduje w końcu odpowiednią uliczkę, tak wąską, że nie zasłużyła sobie nawet na nazwę; William jednak skręca w nią bezzwłocznie. Przystaje w półmroku między brudnymi ścianami, zaledwie kilka kroków od Jermyn Street, i wymierza sobie karę za pomocą grzebienia o ręczce z kości słoniowej, musi jednak uważać, aby nie wdepnąć w pełne robactwa śmieci.

Za jego plecami rozlega się wstrętny, nosowy głos, na którego dźwięk William aż się wzdryga.

– Jesteś tutejszy, panie?

William odwraca się gwałtownie. Z ciemności wyłania się chwiejnym krokiem drobna, co najmniej czterdziestoletnia dziwka o mysio popielatych włosach, owinięta w coś, co przypomina stary obrus. Co ona, u diabła, robi w tej części miasta, pełnej pałaców i najlepszych hoteli?

Zapomniawszy języka w gębie z obrzydzenia, William rejteruje. Cztery szybkie kroki prowadzą go z powrotem na słońce. Na czoło występują mu kropelki potu i wbrew zdrowemu rozsądkowi wyobraża sobie, że włosy, które właśnie czesał, podniosą się znów za chwilę, a wtedy kapelusz spadnie mu z głowy jak korek.

*

Kilka minut później w pobliżu Trafalgar Square William Rackham przechodzi obok cukierni i zdaje sobie sprawę, że z przyjemnością zjadłby coś smacznego.

Oczywiście, jeśli faktycznie ma ochotę na posiłek, powinien odwiedzić takie lokale, jak Albion, London albo Wellington, gdzie siedzą już zapewne jego dawni akademicy kompani, paląc pierwsze tego dnia cygara – o ile nie śpią jeszcze w ramionach kochanek. Ale William nie jest w nastroju, aby odwiedzić którykolwiek ze wspomnianych przybytków. Zarazem boi się, że jeśli zje ciastko na Trafalgar Square, może go zauważyć jakiś ważny znajomy i raz na zawsze wykluczyć z towarzystwa.

Ach, znów być beztróskim studentem! Czy naprawdę minęło już dwanaście lat, odkąd w asyście roześmianych, nieustraszonych druhów wyprawiał najrozmaitsze brewerie, i mimo to nikt nie wątpił wtedy w jego wysoką pozycję społeczną? Czyż nie bywał w uczęszczanych przez robotników pubach, gdzie nie było parawanów, oddzielających przedstawicieli poszczególnych warstw, i czy nie pił na umór pośród bezzębnych, starych bab i moczymordów? Czy nie kupował ostryg na ulicznych straganach i nie pałaszował ich zaraz na miejscu? Czy nie mrugał lubieżnie do spacerujących po ulicach dostojnych dam tylko po to, by wzbudzić ich oburzenie? Czy nie śpiewał sprośnych piosenek donośniejszym i soczystszym barytonem niż jego przyjaciele, tańcząc z gołą głową na moście Waterloo?

*Och, dumna jak paw jest moja ukochana,
A jej buźka pod szyją wstążką przewiązana.
Rude ma włosy i czerwony nos,
A spod spódnicy jej wygląda zło...*

Ach, pamięta tę piosenkę i może ją zaśpiewać w każdej chwili! Wszyscy w cukierni nastawiają uszu.

– Tak, proszę to ciastko – mówi William *sotto voce*. Zaryzykuje, dobrze, zaryzykuje (ciastko, nie sprośną piosenkę), choćby z sentymentu dla Williama, jakim kiedyś był.

A zatem Rackham wynosi swoje czekoladowe ciastko z wiśniami na Trafalgar Square, pieści je w dłoni i zaczyna ogarniać go niepokój. Jego ciało poniżej pasa dopiero teraz reaguje na propozycję, złożoną mu przez uliczną prostytutkę, ponieważ zaś dziwka zniknęła mu już z oczu, przestał o niej myśleć, a jej towarzystwo w ogóle nie wchodzi w grę, William przygląda się zalotnie trzem młodziutkim Francuzkom, które uganiają się wesoło pośród stada gołębi.

– *Moi aussi! Moi aussi!* – wrzeszczą preraźliwie, w pobliżu stoi bowiem fotograf, który udaje, że wcale nie robi im zdjęć. Dziewczynki są ładne, mają ładne sukienki i ładnie się poruszają, ale William nie może poświęcić im tyle uwagi, na ile zasługują. Pogrąża się natomiast w zadumie nad palącym go wspomnieniem fotografii, którą zrobiono mu zaledwie przed tygodniem, zanim obciął włosy. Innymi słowy, myśli więc o fotografii przedstawiającej dawnego (ale wciąż młodego) Williama Rackhama.

Zdjęcie spoczywa już w ukryciu w szufladzie, niczym pornografia, ale oczami wyobraźni William widzi je wyraźnie: na fotografii jest wciąż galantem z Cambridge, dumnym studentem w kanarkowej kamizelce, jakiej nie odważyliby się włożyć nawet dzisiejsi eleganci. Wyraz twarzy Williama na zdjęciu także należy do przeszłości, w tym sensie, że podobnie jak owa kamizelka, już go dziś nie zdobi – jest to bowiem mina, którą przybrał w Downing College wbrew nadziejom ojca, wyrażająca pogodną pogardę dla świata szarej, pracowitej codzienności.

Trudno było mu wytłumaczyć fotografowi, dlaczego zdecydował się ubrać tak niemodnie, powiedział więc, że zdjęcie należy uważać za... (jak by to ująć?) retrospektywny dokument historyczny albo akt uchwycenia odzyskanej przeszłości. (Zresztą niepotrzebnie się tym przejmował: ściany poczekalni w pracowni fotografa wypełniały zdjęcia nieco już przekwitłych debiutantek w zmartwychwstałych, triumfalnych sukniach, zażywnych starców, wbitych w przyciasne mundury wojskowe, i wielu innych wskrzeszonych marzeń).

– *Moi aussi, oh maman!*

Tymczasem na Trafalgar Square mniej więcej dziewięcioletnia dziewczynka w atłasowej sukience dostaje pozwolenie, żeby pozować do fotografii mężczyźnie z aparatem. Garść ziarna wystarczy, by otoczyła ją nawałnica gołębi, i to w samą porę, albowiem w chwili, kiedy fotograf zwalnia migawkę.

– *Et moi maintenant, moi aussi!*

Zdjęcia domaga się z wraskiem następną dziewczynka i William jest już znudzony. Dojada ciastko, wciąga rękawiczki i rusza dalej w kierunku St James's Park, zastanawiając się ponuro, jak to możliwe, że stanie kiedyś na czele Rackham Perfumeries, skoro tak czarujące widoki nudzą go tak szybko?

Dlaczego u diabła nie rozumie tego jego ojciec? Stary, który dochrapał się majątku, robiąc to samo dzień w dzień, od ósmej rano do ósmej wieczorem przez czterdzieści lat, utracił naturalne uczucie bólu, którego monotonna harówka może przysparzać co subtelniejszym duchom. Zdaniem Henry'ego Caldera Rackhama, nawet wprowadzony ostatnio krótszy dzień pracy w soboty to skandaliczne marnotrawstwo roboczogodzin.

Henry Calder Rackham nie pracuje już jednak równie ciężko jak w minionych latach, albowiem jego rola w firmie sprowadza się dziś głównie do pracy za biurkiem. Jest wprawdzie wciąż zdrowszy jak ryba, ale ze względu na małżeństwo Williama potrzebne były zmiany. Adres w lepszej dzielnicy, siedzący, godniejszy tryb życia i kilka propozycji pomocy, złożonych arystokratom, których trapiły przejściowe kłopoty finansowe; bez takich gestów ze strony Rackhama seniora jego syn nigdy nie zdobyłby ręki Agnes Unwin. Gdyby starzec wciąż przechadzał się po swojej lawendowej farmie w samodziałowej marynarce i butach z cholewami, nie byłoby nawet sensu pytać lorda Unwina, czy Agnes jest po słowie.

Tymczasem kiedy przyszedł czas na pertraktacje małżeńskie, Rackham senior „pilnował”

interesu w imponującym domu, położonym, co trzeba przyznać, w Bayswater, ale w bezpośredniej bliskości Kensington, a jego syn, William, sprawiał wrażenie wyjątkowo dobrze zapowiadającego się młodzieńca, który na pewno zostanie jakąś ważną figurą... No, w takiej czy innej dziedzinie.

Och, oczywiście było rzeczą zrozumiałą, że młodszy syn Rackhama przejmie w końcu kierownictwo nad Rackham Perfumeries, trzymałby jednak ster firmy niewidzialną ręką, toteż publiczność dostrzegałaby wyłącznie jego inne, daleko wspanialsze sukcesy. Kiedy ubiegał się o rękę Agnes, choć był już dawno po studiach, wciąż jeszcze roztaczał wokół aury świeżo upieczonego absolwenta uniwersytetu, wizję nieskończonych możliwości i pełen animuszu czar zadowolonego z siebie próżniaka. To wszystko bzdury? Jak śmiesz! Nawet dziś William jest wciąż na bieżąco, jeśli chodzi o najnowsze osiągnięcia w dziedzinie zoologii, rzeźby, polityki, malarstwa, archeologii, powieściopisarstwa... a zatem właściwie orientuje się we wszystkim, o czym piszą w co lepszych miesięcznikach. (Nie, nie zrezygnuje z żadnej prenumeraty – ani jednej, słyszysz?!)

Jak jednak może zaznaczyć swoją obecność w którejkolwiek ze wspomnianych dziedzin (denerwuje się, szukając ulubionej ławki w St James's Park), skoro bez mała szantażem zmusza się go, żeby prowadził życie wypełnione ciężką, mozolną pracą. Jak można oczekiwać od niego w tej sytuacji, że...

Pozwól jednak, że wybawię cię, zanim utoniesz w strumieniu świadomości Williama Rackhama, będącym obecnie raczej stojącą kałużą, której powierzchnię jedynie z lekka burzy żal bohatera nad sobą. Wszystko ostatecznie sprowadza się do pieniędzy: ich ilości, braku, terminu, w którym znów spłyną, wydatków, sposobów oszczędzania i tym podobnych rzeczy.

Oto jak wygląda naga prawda: Rackham senior jest już zmęczony prowadzeniem Rackham Perfumeries – diabelnie zmęczony. Jego pierworodny syn, Henry, nie nadaje się zupełnie na dziedzica, od dzieciństwa poświęcił się bowiem Bogu. Jest przyzwoitym człowiekiem i skromnym kawalerem, jego utrzymanie nie sprawia więc ojcu szczególnego kłopotu – choć jeśli Henry naprawdę myśli o karierze duchownego, to niebawem długo nad tym deliberyje. Ale mniejsza: cała nadzieja Rackhama seniora w młodszym synu, Williamie. William, podobnie jak Henry, ujawnia swoje rzekome zdolności wyjątkowo niemrawo, ma jednak kosztowne gusta, wytworną małżonkę i sporych rozmiarów dom – co sprawia, że mocno ssie cycek ojcowskiej szczodrości. Ponieważ surowe upomnienia nie osiągnęły pożądanego skutku, Rackham senior próbuje przyspieszyć ślamazarny marsz Rackhama juniora do stanowiska dyrektora firmy, pomału i systematycznie obniżając mu pensję. Co miesiąc obcinają zatem coraz bardziej, zmuszając syna, aby porzucił rozrzutny tryb życia, do którego zdążył tymczasem przywyknąć.

William musiał już zmniejszyć liczbę służących z dziewięciu do sześciu, jego podróże zagraniczne należą do historii, a chociaż jazda dorożką nie bywa ostatnio dla Rackhama juniora luksusem, to z całą pewnością nie zdarza się codziennie. W miejsce zużytych lub niemodnych sprzętów i strojów William nie kupuje dziś niezwłocznie nowych, jak kiedyś; natomiast marzenie, by przyjąć do służby mężczyznę – co jest prawdziwą miarą zamożności – niewątpliwie pozostaje wciąż w sferze jego marzeń.

Najbardziej jednak przygnębia Williama to, że biorąc pod uwagę wielkość rodzinnego majątku, cierpi całkowicie niepotrzebnie. Gdyby ojciec sprzedał firmę do ostatniej śrubki, kwota, jaką by za nią uzyskał, byłaby tak ogromna, że Rackhamowie mogliby z niej żyć przez całe pokolenia. Czy nie po to właśnie stary Henry Calder pracował tyle lat?

Pragnienie zarabiania pieniędzy, kiedy zarobiło się ich już więcej niż dość, napawa obrzydzeniem Williama, który jest sympatykiem socjalizmu. Poza tym, gdyby Rackham senior sprzedał firmę i zainwestował zdobyte w ten sposób fundusze, mnożyłyby się one same – kapitał mógłby nawet przetrwać wieczność i z czasem określano by go mianem „starej fortuny”. A jeśli starzec nie sprzedaje interesu z uwagi na sentyment, jakim go darzy, to dlaczego, och, dlaczego, na Boga, właśnie William ma dźwigać brzemień kierowania nim? Czy na stanowisko dyrektora nie można mianować jakiegoś godnego zaufania, zdolnego człowieka, wybranego spośród pracowników Rackham Perfumeries?

Pogrążony w smutku, William odwołuje się do filozofii politycznej własnego autorstwa i stworzonego na jej bazie programu, który chce narzucić pewnego dnia angielskiemu społeczeństwu.

(Historia ochrzciłaby go zapewne mianem rackhamizmu). Swoją teorię obmyśla już od dziesięciu lat albo i dłużej, ostatnio zaś nawet wyostrzył nieco jej tezy – zakłada ona bowiem odrzucenie tego, co William nazywa „nieuzasadnionym wzrostem kapitałowym”, który powinna zastąpić tak zwana „sprawiedliwość majątkowa”. W praktyce ma to oznaczać, że kiedy tylko człowiek dorobi się odpowiednio dużej fortuny, wystarczającej, by bez końca utrzymywać dom (pojęty jako rodzina, licząca do dziesięciu osób i zatrudniająca nie więcej niż dziesięcioro służących), zostaje objęty zakazem dalszego pomnażania kapitału. Spekulacyjne inwestycje w argentyńskie kopalnie złota i tym podobne posunięcia byłyby zabronione – natomiast inwestycje w bezpieczne i pewne przedsięwzięcia nadzorowałby rząd, aby zapewnić właścicielom stałą, choć niezawrotną stopę zwrotu. Z kolei wszystkie dodatkowe zyski, płynące do kieszeni najzamożniejszych obywateli, byłyby zwracane do kasy publicznej i rozdzielane między najbardziej upośledzonych przez los członków społeczeństwa – ubogich i bezdomnych.

William wie doskonale, że jest to rewolucyjna i dla wielu ludzi niewątpliwie przerażająca propozycja, ponieważ zniosłaby istniejące dziś różnice społeczne – a wówczas przestałaby istnieć arystokracja w tym sensie, w jakim używa się dzisiaj tego terminu. To zaś – z punktu widzenia Williama – byłoby stanowczo korzystną okolicznością, bo ma już dosyć, gdy mu się wypomina, że Downing College to nie Corpus Christi i że w ogóle miał szczęście, iż dostał się do Cambridge.

Więc oto i one: myśli (tu i ówdzie okrojone, żeby się nie powtarzał) Williama Rackhama, siedzącego na ławce w ST James's Park. Jeżeli ogarnia cię już śmiertelna nuda, w tym miejscu mogę jedynie obiecać, że lada chwila dojdzie do kopulacji, nie wspominając już o szaleństwie, porwaniu i tragicznej śmierci.

Tymczasem Williama wyrывa raptownie z zadumy dźwięk jego imienia.

– Bill!

– Wielki Boże, to przecież Bill!

Rackham podnosi wzrok, lecz w głowie wciąż ma mętlik, patrzy więc tylko w milczeniu na swoich dwóch najlepszych przyjaciół, nieodłącznych kompanów z Cambridge, Bodleya i Ashwella, którzy stają przed nim nagle niby zjawy.

– Jeszcze chwilka, Bill, i będziemy świętować! – woła Bodley.

– Świętować? Co? – pyta William.

– Wszystko! Błogosławione Bachanalia Bożego Narodzenia! Narodziny cudownych dzieci, które wypadają z dziewiczych łon wprost do żłobów! Dymiące piramidy puddingów! Galony portwajnu! I zanim się obejrzyysz, kolejny rok, który uda się wreszcie na spoczynek!

– Porządnie zerżnięty tysiąc osiemset siedemdziesiąty czwarty zachrapie, a w progu zadrzy jędrny, młodziutki rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty piąty, czekając z nadzieją, że potraktujemy go tak samo jak jego poprzednika – szczerzy zęby Ashwell. (Ashwell i Bodley są do siebie podobni, wyglądają bowiem na wiecznie młodych chłopców. Nieskazitelnie ubrani, impulsywni i apatyczni zarazem, o gładko ogolonych obliczach, noszą kapelusze przewyższające jakością wszystkie nakrycia głowy, jakie można kupić w Billington&Joy. Prawdę mówiąc, są tak do siebie podobni, że w chwilach skrajnego upojenia alkoholowego William zwraca się do nich czasem per „Bashley i Oddwell”. Ashwella można jednak odróżnić od Bodleya po rzadszych bokobrodach, nieco bledszych policzkach i mniej wydatnym brzuchu).

– Nie widzieliśmy cię całe eony, Bill. Co u ciebie słyhać? Poza tym, że kazałeś sobie obciąć włosy?

Bodley i Ashwell przysiadają ciężko na ławce obok Williama, a potem, z minami wyrażającymi groteskowe skupienie, pochylają się naprzód, wspierając podbródki i splecione dłonie na gałkach swoich lasek. Przypominają w tych pozach dwa gurgulce na wieży.

– Agnes niedomaga, a poza tym muszę zająć się wreszcie tą przeklętą firmą – odpowiada Rackham.

I tyle. Powiedziane. Bodley i Ashwell próbują go uwieść i wciągnąć w błahą pogawędkę: powinni zatem wiedzieć, że nie jest w nastroju, a przynajmniej, że muszą go uwodzić z większym animuszem.

– Uważaj, żeby to raczej firma nie zajęła się tobą – ostrzega go Ashwell. – Stałbyś się strasznym

nudziarzem, gdybyś stale głądził o... no, nie wiem... o żniwach.

– Nie ma strachu – mówi ze strachem William.

– O wiele przyjemniej jest skłonić jakąś drżąca, młodą piękność, by dała ci się zżąć – rzuca teatralnym głosem Bodley, a potem szuka wzrokiem uznania u Rackhama i Ashwella.

– Słabiutki dowcip, Bodley – stwierdza Ashwell.

– Być może – Bodley pociąga nosem. – Ale zdarzało ci się płacić kilka funtów za jeszcze gorsze.

– Tak czy inaczej, Bill – ciągnie Ashwell – pornografia pornografią, nie powinieneś jednak pozwolić, by Agnes uniemożliwiła ci kąpiel w szerokim strumieniu życia. Za bardzo się martwisz, choć chodzi przecież tylko o pospolitą kobietę... To niebezpieczne. To wskazuje na... hmm... jakiego słowa mi brakuje, Bodley?

– Miłość, Ashwell. Osobiście nie tykam tego trunku.

Twarz Williama wykrzywia nikły uśmiech. Pieścicie mnie dalej, starzy przyjaciele, pieścicie!

– Mówiąc poważnie, Bill, nie powinieneś pozwolić, żeby ten problem z Agnes przerodził się w kłatwę rodzinną. Wiesz, jak w tych staroświeckich powieściach grozy, w których z szaf wyskakują nagle obłąkane kobiety. Musisz zrozumieć, że nie ty jeden znajdujesz się w podobnym położeniu: wszędzie grasują hordy szalonych żon. Połowa kobiet w Londynie to istne wariatki. Do diabła, Bill, jesteś wolnym człowiekiem! Nie ma sensu, żebyś odcinał się w zamknięciu od świata niczym stary piernik.

– Londyn po Sezonie i tak jest dość nudny – dorzuca Ashwell. – Najlepiej więc próżnować z fasonem.

– A jak wy próżnujecie? – pyta William.

– Och, my ciężko pracujemy – odpowiada z entuzjazmem Ashwell. – Nad po prostu doskonałą nową książką. To znaczy, pracuję głównie ja – (tu Bodley prychnął głośno i szyderczo) – a Bodley wygląda tylko moją prozę. Książka nazywa się *Skuteczność modlitwy*.

– Wiesz, jest z nią mnóstwo roboty. Wypytujemy całe stado dewotów i prosimy, by powiedzieli szczerze, czy kiedykolwiek spełniło się im to, o co się modlili.

– A przy tym nie idzie nam bynajmniej o jakieś mętne bzdury, jak „odwaga” czy „pociecha”. Pytamy o faktyczne, materialne skutki modlitwy, jak nowy dom, przywrócenie zmysłu słuchu głuchej matce, grom, który poraża wroga, i tym podobne rzeczy.

– Ręcę, że prowadzimy bardzo szczegółowe badania. Nie licząc setek indywidualnych przypadków, badamy także typowe modlitwy, czyli powszechne formułki, które tysiące ludzi klepie od lat co noc. Wiesz, o co w nich chodzi: o zbawienie od złego, o pokój na ziemi, nawrócenie Żydów i tak dalej. W wyniku badań nasuwa się nam oczywisty wniosek, że znaczna liczba ani wytrwałość modlących również nie mają wpływu na skuteczność modlitwy.

– Kiedy to wszystko spiszemy, zamierzamy porozmawiać z najwyższymi dostojnikami Kościoła albo przynajmniej nawiązać z nimi kontakt korespondencyjny, żeby uzyskać ich opinię w tej sprawie. Chcemy przekonać wszystkich, że nasza książka jest bezstronnym studium naukowym, otwartym na komentarze albo krytykę ze strony jej... ach... ofiar.

– Zamierzamy rozłożyć Chrystusa na obie łopatki – wtrąca Bodley, wciskając szpic laski w wilgotną ziemię.

– Dokonałiśmy kilku rozkosznych odkryć – mówi Ashwell. – Dotarliśmy do cudownie obłąkanych ludzi. Rozmawialiśmy z jednym duchownym w Bath (wspaniale było znów zobaczyć to miasto, mają tam świetne piwo), który powiedział nam, że modli się o to, aby miejscowy pub pochłoniął ogień.

– „Albo by został zniszczony w inny sposób”.

– Powiedział, że jego zdaniem Bóg zastanawia się tylko nad wyborem odpowiedniej chwili.

– Modli się o zagładę pubu od trzech lat... Co wieczór!

I obaj przyjaciele dźgają laskami ziemię w sarkastycznym uniesieniu.

– Myślicie, że jest choć cień szansy, by znaleźć wydawcę na tego rodzaju dzieło? – pyta William. Jest w lepszym nastroju, bo Bodley i Ashwell niemal go już uwiedli, czuje się jednak w obowiązku wspomnieć o zawsze psujących nastrój sprawach tego świata. Na te słowa przyjaciele

tylko uśmiechają się do siebie chytrze.

– O, tak. Z pewnością. W dzisiejszych czasach istnieje niebywałe zapotrzebowanie na książki niszczące tkankę naszego społeczeństwa.

– W tym także na powieści – mówi Ashwell, mrugając porozumiewawczo do Williama. – Pamiętaj o tym, jeżeli nadal chcesz osiągnąć sukces w tej dziedzinie.

– Tak czy owak, Bill, naprawdę musisz częściej pokazywać się w mieście. Od wieków nie widzieliśmy cię w żadnym z naszych ulubionych lokali.

– Powinieneś dbać o to, żeby zachować swoje niesławne imię.

– Musisz trzymać rękę na pulsie.

– Nie poddawaj się upływowi czasu.

– Co masz na myśli? – pyta spłoszony i zaskoczony William. Pośród złocistych włosów jego katastrofalnej fryzury widać przedwcześnie posiwiłe pasma, jest więc uczulony na każde wspomnienie o nadchodzącej starości.

– Dojrzewające dziewczęta, Williamie. Czas nie stoi dla nich w miejscu. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale nie będą wiecznie dojrzałe i soczyste. Wystarczy pół roku, żeby się postarzały. Prawdę mówiąc, jesteś już spóźniony, jeśli chodzi o te z nich, które przeszły tymczasem do legendy... Do legendy, Bill!

– By dać choć jeden przykład: Lucy Fitzroy.

– O, tak... Boże wszechmogący, tak.

Bodley i Ashwell podrywają się z ławki jak na uzgodniony wcześniej znak.

– Lucy Fitzroy – zaczyna Ashwell takim tonem, jakby snuł tę opowieść w teatryku rewiowym – była nową dziewczyną w domu pani Georginy przy Finchley Road, gdzie klientom nie żałuje się bicz. – I aby zilustrować swoje słowa, Ashwell kilkakrotnie uderza się mocno laską w tydkę. – Leżeć! Wstawać! Leżeć!

– Spokojnie, Ashwell. – Bodley kładzie ostrzegawczo dłoń na ramieniu przyjaciela. – Pamiętaj, że tylko prawdziwy lord potrafi kuleć z godnością.

– W każdym razie, jak zapewne wiesz, Bodley i ja zaglądamy czasem do pani Georginy, żeby zobaczyć, jakiej klasy dziewczyna wywija tam biczem. A pod koniec ubiegłego roku natknęliśmy się u niej na niesamowitą trzpiotkę, którą jej opiekunka przedstawiła nam jako nieślubną córkę lorda Fitzroya, Lucy Fitzroy, ze zrozumiałych względów zamiłowanie do jazdy konnej mającą zwyczajnie we krwi.

– Cóż, to chyba wszystko brednie, ale dziewczyna zdawała się w nie wierzyć! Miała czternaście lat, ciało gładkie i jędrne jak niemowlę i była wspaniale dumna! Nosiła strój do konnej jazdy i poruszała się w nim z wyjątkową gracją... Schodziła po schodach boczkim, o, tak, najpierw jeden bucik, potem drugi, jak gdyby zsiadała z konia. W rękę ścisnęła króciutką, ostrą szpicrutę, a na policzki występowały jej takie małe rumieńce... Naturalne, przysięgam. Pani Georgina powiedziała, że kiedy posyła do niej na górę mężczyznę, Lucy wychodzi w tym stroju na półpiętro, a kiedy biedny głupiec podchodzi bliżej, trask! Dziewczyna tnie go w policzek szpicrutą, a potem wskazuje łóżko i powiada...

– Wielki Boże! – wykrzykuje Ashwell, który przypadkiem spojrzął w kierunku wskazywanym przez laskę Bodleya. – Boże wszechmogący! Kto to jest, jak sądzisz? – Osłania dłonią oczy przed słońcem i wpatruje się badawczo w przeciwległy kraniec St James's Park. Bodley zastyga u jego boku i również patrzy w tamtą stronę.

– To Henry – oświadcza z zachwytem. – Tak, w rzeczy samej... I pani Fox!

– Oczywiście.

Bodley i Ashwell odwracają się do Williama i składają mu ceremonialny ukłon.

– Musisz nam wybaczyć, Bill.

– Tak, chcemy iść dręczyć Henry'ego.

– Macie moje błogosławieństwo – mówi William z afektowanym uśmiechem.

– On nas unika, wiesz? Jak zarazy, odkąd... Hmm... Jak by ci to powiedzieć...

– Odkąd na łóżku Henry'ego przysiadł jego osobisty anioł stróż.

– Właśnie. W każdym razie musimy się postarać, żeby go dopaść, zanim da drapak.

– Och, nie ucieknie, skoro holuje ze sobą panią Fox. Padłaby trupem na miejscu! Powiadam ci, nie mają żadnych szans.

– Bywaj, Willy.

I z tymi słowy przyjaciele znikają, rzucając się rącho w pościg za swoimi ofiarami. Ba, prawdę rzekłszy, nie bacząc na swe wytworne stroje biegną z tak wściekłą szybkością, że muszą mocno pracować ramionami, by zachować równowagę. Nie zważają przy tym, jak wyglądają w oczach ewentualnych obserwatorów – chociaż w tym idiotycznym, zdyszczanym galopie przesadnie gestykulują właściwie tylko dla własnej uciechy, pozostawiając za sobą dwie długie, wilgotne, ciemnozielone smugi w trawie i nieco oszołomionego Williama Rackhama.

Bodley i Ashwell zawsze mieli w zwyczaju nieoczekiwanie podejmować albo przerywać rozmowę, a zatem ten, kto chciałby dobrze się czuć w ich towarzystwie, powinien zachowywać się jak oni. Ale kiedy William przygląda się pędzącym przez park przyjaciołom, brzemię smutku ponownie przygniata mu ramiona do ziemi. Ponieważ przestał praktykować tego rodzaju żarty, utracił biegłość i śmiałość konieczne do uprawiania podobnego ekshibicjonizmu. Czy zdobyłby się dziś na to, aby popędzić tak szybko, jak jego przyjaciele? Wydaje mu się, że to jego własna powłoka cielesna gna przez park, że widzi młodszego Williama, pędzącego w dal.

Czy skoczyć na równe nogi i ruszyć za nimi? Nie, już za późno. Już ich nie dogoni. Bodley i Ashwell są teraz tylko ciemnymi, śmigłymi figurkami na jasnym horyzoncie. William znów opada bezwładnie na ławkę, a jego myśli, które Bodley i Ashwell na chwilę ożywili, nieruchomieją raz jeszcze.

Najbardziej jednak przygnębia Williama to, że biorąc pod uwagę wielkość rodzinnego majątku, cierpi całkowicie niepotrzebnie. Gdyby ojciec sprzedał firmę...

Ale wszystko to słyszałeś już wcześniej. Będzie najlepiej, jeśli na jakieś dziesięć minut pozostawisz go samemu sobie. W tym czasie, kiedy jego umysł całkiem zaskorupieje, reszta jestestwa Williama odczuje skutki działania tego wszystkiego, z czym przychodzi mu się zmagać tego ranka: albowiem podziela na niego zaczepka ulicznej dziwki, widok młodzieńskich Francuzek na Trafalgar Square, burdelowe opowieści Bodleya i Ashwella, ich prowokacyjne „zaloty”, a potem nagły odwrót, i wreszcie obecność wielu pięknych, młodych dam w ST James’s Park (które pojawiły się tu mniej więcej w ciągu ostatniej godziny).

Wszystko to składa się na mocny koktajl. Kiedy uderzy mu do głowy, William wstanie i ruszy śladem swojego pożądanego, czyli ścieżką, która w końcu zawiedzie go do Sugar.

Czekając, aż William wstanie, nie musisz się wpatrywać szeroko otwartymi oczami w jego krocze. Czy nie byłoby lepiej, gdybyś przyjrzał się raczej niektórym obiektom jego pożądania? Ostatecznie przyszedł do St James's Park po to, by je podziwiać.

Jeżeli choć trochę interesujesz się modą, to nie jest zły rok na wizytę w Londynie. Historia ubiera kobiety, kierując się dziwnymi kapryсами: czasami wykorzystuje w charakterze modelki łabędzicę, a czasem, złośliwie, indyczkę. Tego roku niezwykle eleganckie kreacje i fryzury, które weszły w modę we wczesnych latach siedemdziesiątych, panują już powszechnie – a w każdym razie wśród tych kobiet, które na nie stać. Moda owa przetrwa aż do czasów, kiedy William Rackham osiągnie bardzo, bardzo leciwy wiek i będzie zbyt zmęczony pięknem, by martwić się o to, że odchodzi w przeszłość.

Damy przechadzające się tego słonecznego, listopadowego popołudnia po St James's Park nie będą musiały wiele zmieniać w swoich strojach aż do końca stulecia. Mógłby je sportretować na swoich płótnach Tissot, który jest sensacją lat siedemdziesiątych, ale równie dobrze w dwadzieścia lat później Munch (który zechciałby jednak zapewne dokonać pewnych korekt w ich kreacjach). Ostatecznie tę modę zniesie dopiero Wielka Wojna.

Powierzchność dam określa jednak nie tylko strój i fryzura, lecz także aura, jaką emanują, postawa, wyraz jakiejś sekretnej inteligencji, cudzoziemska *hauteur* i zagadkowa melancholia. Już teraz, w pierwszych, pogodnych dniach popularności nowej mody, da się zauważyć coś poniekąd niesamowitego w tych ubranych w jesienne suknie kobietach, sunących niczym driady po zroszonej murawie, jak gdyby przywoływały przedwcześnie *fin de siecle*. Tu kultywuje się już wizerunek pięknego demona, quasi-ducha zza grobu – pomimo że większość tych kobiet to głupiutkie motyle do towarzystwa, a w ich głowach próżno szukać choćby jednej demonicznej myśli. Upiorna aura, którą rozciągają, jest tylko skutkiem ciasnych gorsetów, które opinają im piersi tak mocno, że ich właścicielki nie są w stanie dostarczyć płucom odpowiedniej ilości tlenu, toteż jawią się jako widmowe jedynie w tym sensie, iż nie mogą złapać tchu, jak gdyby ujrzały widmo na szczycie Mount Everest.

Szczerze mówiąc, niektóre z nich czuły się lepiej w krynolinach. Kiedy siedziały w swoich drucianych klatkach, było przynajmniej widać, że trzeba je traktować jak rozpieszczone infantki, natomiast ich dzisiejszy afekt do *la ligne* i towarzysząca mu kontynentalna pewność siebie świadczyłyby o zmysłowości, której jednak im brak.

Pod względem moralności jest to dziwna epoka, zarówno z punktu widzenia obserwowanych, jak i obserwujących: obecna moda stworzyła bowiem kreacje, które przyczyniły się do powrotu seksapilu, moralność natomiast wciąż nakazuje nam traktować ciało z doskonałą obojętnością. Pancerne staniki przylegają mocno do kobiecych piersi i brzucha, spódnica opina ciasno miednicę z przodu i zwisa dalej luźno, wystarczy zatem silny podmuch wiatru, by odsłonić nogi, z kolei turniura z tyłu podkreśla obecność skrytych pod suknią pośladków. Jednak żaden przyzwoity mężczyzna nie ośmieli się myśleć o kobiecym ciele, a żadna przyzwoita kobieta nie powinna się uważać za istotę cielesną. Gdyby do St James's Park zabłąkał się teraz jakiś wylewny barbarzyńca z dzikich obrzeży Imperium Brytyjskiego i skomplementował jedną z dam, mówiąc, jak smakowicie kształty jej ciała rysują się pod ubraniem, odpowiedzią najprawdopodobniej nie byłby ani zachwyt, ani pogarda, lecz natychmiastowa utrata przytomności.

Współczesną niewiastę nietrudno przywieść do omdlenia, nawet nie uciekając się do asysty dzikich mieszkańców kolonii, albowiem bezlitośnie ciasne gorsety stanowią wyzwanie ponad wytrzymałość każdej czulej na piękno kobiety, która nie jest naturalnie szczupła. Należy tu dodać, że niejedna z owych widmowych dam, sunących teraz przez park, wstawszy dziś rano z łóżka, przypominała pulchne piękności poprzedniego pokolenia; potem zdjęła jednak obszerną koszulę

Au contraire. Gmach, o którego ścianę się opiera, różniący się od innych tylko mosiężnym napisem COMPTON, HESPERUS & DILL, otwiera nagle podwoje i kolejna fala urzędników spycha Williama na bok.

Miarka się przebrała: zagłuszając resztki sumienia, William unosi rękę ponad kłębiące się głowy i przywołuje powóz. Czy teraz ma jakieś znaczenie, że wcześniej dzisiejszego ranka odmówił sobie dorożki? Już wkrótce będzie bogaty, a wtedy niepokój, jaki ogarnia go na myśl o drobnych wydatkach, stanie się jedynie ponurym wspomnieniem.

– Drury Lane – rzuca, stając na stopniu rozkołysanej dwukółki. Zatrząskuje drzwiczki kabiny, uderza przystrojoną w nowy kapelusz głową o niski sufit, a kiedy koń szarpie gwałtownie, William pada na siedzenie.

Mniejsza z tym. Jest w drodze na Drury Lane, gdzie (o czym nigdy nie przestają mu przypominać Bodley i Ashwell) roi się od dobrych, tanich burdeli. No, w każdym razie na pewno tanich. Bodley i Ashwell lubią się po nich szlajać nie dlatego, że cierpią na brak pieniędzy, lecz dlatego że szybka zamiana najtańszej dziwki na najdroższą sprawia im frajdę.

– Wino dobrego rocznika i piwsko z taniej piwiarni – Bodley często określa to w ten sposób. – W pogoni za rozkoszą jest miejsce na jedno i drugie.

Podczas wyprawy na Drury Lane William zainteresowany jest wyłącznie dziewczyną, którą można porównać do „piwska z taniej piwiarni” – na jego szczęście, bo i tak nie stać go na nic lepszego. Te dwie dziewczyny, o których sobie przypominał... cóż, szczerze mówiąc, właściwie osobiście nigdy nie miał z nimi do czynienia, pamięta jednak, że czytał o nich w przewodniku *Dalsze hulanki w Londynie – wskazówki dla światowców, radami dla nowicjuszy opatrzone*. Wydaje mu się, że minęło strasznie dużo czasu, odkąd regularnie korzystał z tej książeczki (Czy w ogóle wie, gdzie ona teraz jest? Może w dolnej szufladzie biurka w gabinecie?), ale wyraźnie pamięta wzmiankę o dwóch „świeżutkich” dziewczętach, o których wspomina się z uwagi na ich młodociany wiek.

– Wiecie, to nie do wiary – mawia czasem w zadumie Ashwell. – Wystawia się na sprzedaż tyle tysięcy ciał, a znaleźć naprawdę świeżą, młodą dziewczynę jest wciąż diabelnie trudno.

– Wszystkie naprawdę młode dziewczyny są biedne jak myszy kościelne, w tym sęk. – (To odpowiedź Bodleya). – Kiedy dojrzewają, okazuje się, że przeszły już świerzb, wypadły im przednie zęby i mają kołtuny we włosach... Ale jeśli chcesz dostać jakąś alabastrową afrodytkę, musisz zaczekać, aż najpierw stanie się kobietą upadłą.

– Niestety, do diabła. Mimo to zawsze jest jakaś nadzieja. Czytałem właśnie w najnowszych *Dalszych hulankach...* o takich dwóch dziewczynach na Drury Lane...

William usiłuje przypomnieć sobie imiona dziewcząt albo ich stręczycielki – próbuje przywołać obraz odpowiedniej stronicy w przewodniku – ale bezskutecznie. Zna tylko numer domu, który odcisnął mu się w pamięci wyłącznie dzięki prostemu skojarzeniu mnemotechnicznemu – na numer ów składa się bowiem dzień i miesiąc jego własnych urodzin.

Burdel staje otworem przed Williamem Rackhamem właściwie w tej samej chwili, kiedy pociąga sznur dzwonka. Poczekalnia jest mroczna, a rajfurka leciwa. Siedzi na sofie niczym krasnoludek, przyodziany od stóp do głów w purpurę, i wspiera na kolanach barokowo pomarszczone dłonie. William nie ma najmniejszego pojęcia, jak zwie się właścicielka tego domu rozpusty albo chociaż jedna dziewczyna z jej stajni, wspomina więc *Dalsze hulanki w Londynie* i zamawia „te dwie dziewczyny – razem”.

Przekrwione oczy staruchy, które wydają się pływać w miodowej cieczy, zbyt gęstej, aby mogły nią być łyzy, wpatrują się w Williama zaskoczonym, pełnym sympatii spojrzeniem. Kobieta uśmiecha się, odsłaniając ząbki jak perełki, ale zarazem marszczy przypudrowane czoło, a potem składa dłonie jak do modlitwy i delikatnie puka się palcem w nos. Zza kanapy wynurza się tłusty, szary kocur, który rejteruje na widok Williama.

Staruszka nieoczekiwanie rozplata dłonie i z entuzjazmem unosi je wysoko, jak gdyby chciała złapać w nie odpowiedź, która spada z niebios albo co najmniej przenika właśnie przez sufit.

– Ach! Te dwie dziewczyny! – woła. – Znaczy: bliźniaczki!

William kiwa głową. Nie przypomina sobie, by zwano je bliźniaczkami, gdy po raz pierwszy wzmiankowały o nich *Dalsze hulanki w Londynie* – ale niewątpliwie kwiat pierwszej młodości dziewcząt już uschnął, trzeba zarzucić zatem nową przynętę dla klientów. Rajfurka zamyka oczy z zadowoleniem, a jej czerwone jak surowy bekon powieki lśnią, gdy się uśmiecha.

– Claire i Alice, powinnam była się domyślić, panie, że taki człowiek jak ty zechce poznać moje najlepsze dziewczęta... Moją jedyną w swoim rodzaju specjalność zakładu. – Akcent i sposób wyrażania się staruchy brzmią nieco cudzoziemsko, trudno jest więc odgadnąć, czy ma dobre, czy niedobre maniery. – Zobaczę, czy mogą cię przyjąć.

Choć podnosi się, nie wydaje się prawie wcale wyższa na stojąco, a wraz z nią z kanapy zsuwa się kilka jardów ciemnego jedwabiu. Robi taki gest, jak gdyby zamierzała zaprowadzić Williama na schody, ale zastyga nagle w teatralnej pozie, wbija wzrok w podłogę i z pozornym zażenowaniem mówi:

– A może, panie, żeby nie trudzić cię potem...? – I ponownie podnosi na niego oczy ciężkie od mętnego płynu.

– Oczywiście – odpowiada William, wpatrując się w jej obleśny uśmiezek przez całe pięć sekund, zanim zadaje pytanie: – A... ile płacę, pani?

– Ach, tak, proszę mi wybaczyć. Dziesięć szylingów, jeśli łaska.

Kłania się, kiedy William wręcza jej pieniądze, a potem pociąga za jeden z trzech cienkich sznurów, dyndających nad poręczą schodów.

– Potrzebują tylko kilku minut, panie, to wszystko. Rozgość się, proszę, na jednym z naszych szezlongów. Możesz zapalić, jeśli masz ochotę.

A więc *to taki lupanar*, myśli William Rackham. Jest już jednak za późno, żeby się wycofać, a poza tym pragnie przecież seksualnego spełnienia.

Wyłącznie dlatego, żeby zawiesić spojrzenie na cygarze, a nie na paskudnym obliczu burdelmamy, William przysiada na szezlongu i pali, czekając, aż jego poprzednik skończy to, co zaczął. Niewątpliwie na tyłach domu są jeszcze inne schody, po których zejdzie ten typ, następnie ktoś zmieni brudną pościel, a potem... William niezadowolony ssie cygaro, jak gdyby kupił właśnie bilet na marny pokaz iluzjonistyczny – marny, bo prestidigitator wypchał sobie rękawy różnymi magicznymi akcesoriami, a spod podłogi bije smród królików.

Rackham pogrąża się w zadumie, pozwól więc, że opowiem ci tymczasem o Claire i Alice. Są burdelowymi dziewczynami w najprawdziwszym i najbardziej haniebnym sensie; to znaczy: przyjechały do Londynu jako niewinne panienki, a do upadku przywiodła je stręczycielka, która – uciekając się do starej sztuczki – zawarła z nimi znajomość na dworcu kolejowym, oferując im nocleg w przerażającej, nieznannej metropolii, po czym zabrała im pieniądze i ubranie. Pozbawione środków, bezradne dziewczyny umieszczono następnie w tym właśnie domu wraz z kilkoma innymi nieszczęściami, które zostały podobnie oszukane albo kupione od rodziców czy opiekunów. W zamian za wygodne, nowe stroje i dwa posiłki dziennie dziewczęta pracują odtąd w tym przybytku. Tylne wyjście pilnuje stróż, a frontowego właścicielka, dziewczyny zaś nie domyślają się nawet, za ile świadczą usługi dla klientów.

Nadchodzi wreszcie pora i rajfurka zaprasza Williama na górę. Rackham wchodzi do małego, kwadratowego pokoiku Claire i Alice, obwieszzonego długimi, czerwonymi zasłonami, które opadają swobodnie aż na brudne listwy podłogowe. Samotne okno zakrywa jedna z tych zasłon, toteż więcej żółtego światła w ciasnej, małej i dusznej izdebce dają raczej świece niż słońce. Na wytartym perskim dywanie leżą wymięte, aksamitne poduszki, a nad dużym rokokowym łóżkiem wisi w ozdobnej ramce fotografia nagiej kobiety, tańczącej w jakiejś sali wokół słupa. Claire i Alice, ubrane w gładkie, białe szmizjerki, siedzą obok siebie na łóżku, splótszy na kolanach ładne, drobne dłonie.

– Dzień dobry panu – witają Williama chórem.

Jednak bez względu na to, czy mówią chórem, czy nie Jest oczywiste, że nie są bliźniaczkami. W dodatku, ściśle rzecz biorąc, nie są już nawet młode, co stwierdza William, zdejmując szmizjerkę Alice. Jej piersi nie są sterczące, lecz płasko przylegają do klatki piersiowej. Róż bezwłosej pochwy dziewczyny zabarwia zdradziecki cień, a wargi sromowe Alice nie są już pączkiem, ale w pełni

rozwinętym kwiatem.

Co gorsza, Alice zachowuje się jak każda kiepska dziwka. William byłby zachwycony odrobiną szczenięcej ciekawości z jej strony, ale wyuczona pokora, jaką demonstruje dziewczyna niczym przewracający się na grzbiet, łagodny labrador, jest właściwie przygnębiająca. Do diabła! Czy naprawdę nigdy nie można mieć nadziei, że choć raz w życiu kupi się niedrogo coś wyjątkowego? Czy żeby spełnić marzenia, trzeba zawsze płacić niebotyczne sumy? Czy świat współczesny istnieje tylko po to, by niweczyć ideały i rozsiewać cynizm?

Kiedy Alice zaczyna więc się wokół niego w lepkiej jak wosk duchocie, Williama ogarnia chęć, by czmychnąć z tego domu, nie zważając na wyrzucone w błoto pieniądze. Odsuwa się na chwilę i szamocze, chcąc się uwolnić z uścisku, nie może jednak skłonić do posłuszeństwa wzwidzonego członka. Robiąc więc dobrą minę do złej gry, ściąga szmizjerkę także z Claire, która okazuje się młodsza od Alice i ma stożkowate piersi o delikatnych, przypominających lamówki brodawkach barwy hiacyntowego różu.

Zachęcony tym widokiem William zabiera się namiętnie do roboty, która pcha mu się w ręce, chce bowiem wyegzorcyzmować swoje zmartwienia i troski namiętnością. Istnieje jakaś odpowiedź, jakieś rozwiązanie kładące kres jego cierpieniom, i znajdzie je, jeśli tylko zdoła przełamać barierę cielesności. Rżnie dziewczynę z tak wściekłym zapamiętaniem, że momentami traci świadomość – jak oszalały rębajło, który przestaje w walce widzieć przeciwników – chociaż dla niego te właśnie chwile są najprzyjemniejsze.

Ale nie licząc niezwykłych utrat świadomości, William wcale nie jest zadowolony. Claire i Alice są do niczego: nie zachowują się tak, jak sobie życzy, mają nieładne figury, są nieodpowiedniego wzrostu, a ich ciała nie są dosyć jędrne – dziewczęta uginają się pod jego ciężarem, kiedy życzy sobie, żeby go dźwigały, chwieją się, kiedy żąda, żeby stały bez ruchu, krzywią się, wzdrygają i przez cały czas, do diaska, milczą. Williamowi ciągle się wydaje, że jest w pokoju sam, że słyszy wyłącznie swój oddech, nieco absurdalny odgłos, jaki wydaje poduszka, którą przesuwają stopą po dywanie, głuche, melodyjne skrzypienie sprężyn łóżka i własny śmieszny kaszel alergika.

A winą za wszystko obarcza wyłącznie Claire i Alice. Czyż w przeszłości kontakty z prostytutkami nie dostarczały mu niespotykanie wzniosłych i radosnych przeżyć? Szczególnie w Paryżu. Ach, Paryż! Tam poznał dziewczyny, które wiedzą, jak dogodzić mężczyźnie! Napierając z całych sił na te dwie posępne, leżące pierś w pierś Angielki, nie może powstrzymać wspomnień. Przypomina mu się zwłaszcza jedna historia, kiedy to porzucił Bodleya, Ashwella i resztę towarzystwa, pijących w Cul-de-Sac, i wybrał się samotnie na Rue St Aquine. Dziwnym zbiegiem okoliczności, Bóg wie jakim sposobem (był bowiem zalany w pestkę), wylądował w końcu w pokoju pełnym wyjątkowo gościnnych prostytutek. (Czy może być coś bardziej rozkosznego niż śmiech młodych podchmielonych kobiet?) W każdym razie zachęcony ich nieopohamowaną wulgarnością, wymyślił wtedy przezabawną grę erotyczną. Dziewczyny obsiadły go ciasnym kręgiem w kucki i szeroko rozłożyły nogi, on zaś celował starannie i turlał ostrożnie monety tak, aby trafić w ich szparki. Obowiązywała zasada, że dziewczyna, w której pochwie utkwie moneta, może ją zatrzymać.

Długie lata, jakie minęły od owej niezwykłej nocy, nie przyćmiły tamtych obrazów i odgłosów; nawet w tej chwili William słyszy wokół ekstatyczne chichoty i krzyki: „*Ici, monsieur! Ici!*”. Ach! Pomyśleć tylko, że te dziewczęta zapewne leżą teraz beczynn timer na Rue St Aquine, podczas gdy on męczy się tutaj, setki mil od Paryża, usiłując wycisnąć choć trochę entuzjazmu z tych nieciekawych angielskich symulantek.

– Zróbcie dla mnie wszystko, na co was stać – zachęca Claire i Alice, a rozdzielając ich splecione w zwarciu ciała, spostrzega, że na lepkich od potu piersiach jednej z nich widać odcisnięte ślady żeber drugiej. Nieustannie obraca dziewczęta na wszystkie strony, jak gdyby miał nadzieję znaleźć otwór, którego nie zauważyli poprzedni klienci. Pożądanie Williama osiąga niemal somnambuliczny poziom – głosem, który z trudem rozpoznaje jako własny, stawia dziewczynom coraz śmielsze żądania, one zaś, niby wytwory jego ciężkiego snu, posłusznie wykonują polecenia.

Właściwie nie wie więc, co mówi, gdy w końcu chwyta Alice za przeguby dłoni i wydaje jej

rozkaz, który w przyszłości odmieni życie wielu ludzi.

Dziewczyna potrząsa przecząco głową.

– Ja nie robię takich rzeczy, panie. Przykro mi.

William wypuszcza z uścisku najpierw jedną dłoń, a potem drugą. Kiedy zwalnia chwyt, Alice nerwowym ruchem zawija za ucho lok włosów, ale William zsuwa go z powrotem na jej policzek.

– Co to ma znaczyć? – Przesuwa wzrok z Alice na Claire, która wyczuwając, że nadszedł koniec udreki, wciąga ukradkiem na grzbiet koszulę nocną.

– Ani ja, panie.

William, który zaniemówił ze wzburzenia, opiera dłonie na swoich nagich kolanach. Tłoczona z dolnych partii jego ciała krew zalewa mu rumieńcem szyję i policzki.

– Zrobilibyśmy to, panie, gdybyśmy tylko mogli – mówi Alice, siadając znów na łóżku obok Claire. – Ale nie możemy.

William sięga po spodnie. Zdaje mu się, że śni.

– To dosyć dziwne, że stawiacie tamę właśnie w takim miejscu, a nie... no, nie gdzie indziej – mówi.

– Przykro mi, panie – odpowiada starsza z dziewcząt (nie da się bowiem ukryć, że jedna jest starsza od drugiej). – I pewnikiem Claire też cię przeprosza. Ale nie chodzi nam o ciebie, panie. Po prawdzie, nie zrobilibyśmy tego dla nikogo. Po prawdzie, coś takiego zbrzydziłoby nas, zbrzydziłoby do cna, a wtedy nie byłibyśmy dla ciebie warte złamanego grosza.

– Och, ale nie będę miał do was o to pretensji – naciska William, widząc światełko nadziei. – W żadnym wypadku. Bo to nie miałoby dla mnie żadnego znaczenia, rozumiesz. A potem nie musiałybyście robić już nic, jeżeli tylko zrobicie tylko tę jedną rzecz, i to z zamkniętymi oczami, jeśli chcecie.

Ale twarze dziewczyn wykrzywia już brzydki grymas zakłopotania.

– Proszę cię, panie – błaga Alice. – Nie namawiaj nas dłużej. Nie możemy tego zrobić i tyle, i przykro nam, że cię rozgniewaliśmy. Jedno, co mogę dla ciebie zrobić, to podać ci imię... Imię kogoś, kto zrobi to, czego chcesz.

William, który ubiera się gniewnie i jest zajęty poszukiwaniem podwiązki, nie ma pewności, czy się nie przestyszał.

– Co powiedziałaś?

– Że znam dziewczynę, która robi dla ciebie coś takiego, panie.

– Doprawdy? – William siada sprężyscie, gotów wybuchnąć wściekłością w obliczu kolejnego kurewskiego oszustwa. – Jakąs syfilityczną wiedźmę z Bishopsgate?

Alice sprawia wrażenie naprawdę speszonej.

– Ale gdzie tam, panie! To klasa dziewczucha i robi w najlepszym domu. Na Silver Street, zaraz przy Stretch. Tamusiejsza madama zwie się pani Castaway, a ta dziewczyna podobno jest najlepsza. To córka właścicielki. Ma na imię Sugar.

William jest już cały ubrany i spokojny; wygląda jak członek organizacji charytatywnej albo pastor, który przyszedł nakłonić dziewczęta, by poszukały sobie lepszego zajęcia.

– Jeżeli... Jeżeli to naprawdę jest dziewczyna z klasą, to dlaczego miałaby zechcieć... zrobić coś takiego? – pyta rozsądnie.

– Nie ma nic, czego Sugar by nie zrobiła, panie. No, po prostu nic. Tu u nas każda wie, że Sugar zaspokoi wszystkie dziwne gusta, co to zwyczajna dziewczyna ich nie zadowoli.

William wydaje chrząknięcie pełne nadąsanego niedowierzania, ale faktycznie imię dziewczyny zapada mu głęboko w pamięć.

– No, cóż – uśmiecha się znużony. – Jestem ci bardzo wdzięczny za tę informację.

– Och, mam nadzieję, że nie będziesz żałował, panie – odpowiada Alice.

Stojąc samotnie na śmierdzącej uliczce na tyłach burdelu, William zaciska pięści. Nie jest zły na Claire i Alice – już im prawie wybaczył i zapomniał o nich, zamknął je w pamięci niczym niechciany rupieć na mrocznym strychu, na który nigdy nie powróci. Ale rozgoryczenie nie ustępuje.

„Nie zniosę sprzeciwu i nie będę sobie niczego odmawiał” – mówi na głos. No, niezupełnie, te słowa rozbrzmiewają bowiem głośno jedynie w jego myślach, ale choć ma je już na końcu języka, powstrzymuje się, po prawdzie wyłącznie z obawy, że oświadczając w zaułku przy Drury Lane, iż nie zniesie sprzeciwu i nie będzie sobie niczego odmawiał, narazi się na chamskie drwiny przechodniów.

Wydaje mu się przeraźliwie jasne, że powinien natychmiast udać się na Silver Street i poprosić o spotkanie z Sugar. Nic prostszego. On jest w mieście i ona jest w mieście; teraz zatem jest najlepsza pora. Nie musi nawet tracić pieniędzy na dorożkę – podjedzie omnibusem na Oxford Street, a potem przesiądzie się na Regent Street i będzie prawie na miejscu!

Dziarsko maszeruje przed siebie, spiesząc na New Oxford Street, gdzie niemal natychmiast zjawia się omnibus, do którego wsiada, nie zwalniając kroku, jak gdyby zadziwił – nie, zastraszył – świat jedynie mocą swojego postanowienia.

Pani Castaway. Sugar. Dawać tu Sugar, tylko bez żadnych wykrętów.

Jednak kiedy William rozsiada się w omnibusie, a nieruchoma ulica za upstrzonymi plamkami sadzy oknami staje się ruchomą panoramą, moc jego postanowienia zaczyna słabnąć. Po pierwsze, opłata za przejazd przypomina mu, ile wydał już na nowy kapelusz. (Nie wspominając o drobniejszych wydatkach na Alice i... na tę drugą dziewczynę, jak jej tam było?) A któż może wiedzieć, ile będzie kosztowała Sugar? Na ulicach wokół Golden Square jest wiele rozmaitych domów publicznych, zarówno podłych, jak i luksusowych. *Co będzie, jeżeli ta dziewczyna zażąda więcej, niż William ma przy sobie?*

Przypatruje się siedzącym naprzeciwko pasażerom – podrzemującym staruchom oraz grubo ubranym, dostojnym damom – i zauważa, że są wyraziście realni w porównaniu z zamazanym światem za szybą. Co może zrobić innego, jak tylko pozostać na miejscu jako pasażer wśród innych pasażerów, dopóki ciągnące omnibus konie nie zawiozą go z powrotem aż na Notting Hill?

A zresztą, czy nie powinien wracać już do domu? Czekają go niecierpiące zwłoki obowiązki – którym powinien poświęcić znacznie więcej uwagi niż tłącej się w nim samym tajemnej iskierce pożądania. Ta Sugar, kimkolwiek czy czymkolwiek jest, może jedynie pogłębić jego biedę, natomiast kilka godzin, które spędzi na studiowaniu ojcowych dokumentów, może go uratować przed finansową ruiną.

Zatopiony w myślach, William wpatruje się tępo przed siebie, nagle spostrzega jednak pomarszczoną niby suszona śliwka twarz kobiety w żałobie, która badawczo odwzajemnia jego spojrzenie. „Straszny z ciebie grubianin!”, myśli zapewne wdowa. Skarcony w ten sposób, Rackham spuszcza wzrok i zachowując stoicki spokój, trwa w bezruchu nawet wtedy, kiedy omnibus przejeżdża z turkotem przez Regent Circus. Dość ekstrawagancji jak na jeden dzień – pokazał, co umie. Teraz wyciąga się wygodnie na siedzeniu, zamyka oczy i zapada w drzemkę, która trwa już do końca podróży.

– Przystaaaaanek Chepstow Villas! – pieje konduktor i William gwałtownie budzi się do życia. Świat pozieleniał, a las domów zrzedł. W słonecznym blasku popołudnia widać senne Notting Hill. Londyn zniknął.

Mrugając powiekami, William niepewnie wysiada z omnibusu w ślad za jakąś nieznaną damą. Prawdę mówiąc, niemal na nią wpada, zaplątawszy się w tren jej sukni w czarne i ceglaste pasy. W bardziej sprzyjających okolicznościach uznałby zapewne, że jest ponętna, są jednak zbyt blisko jego domu, a William wciąż tęskni za Sugar.

– Wybacz, pani – mówi, obchodząc dokoła nieznaną, która strasznie się wlecze.

Kobieta patrzy na niego gniewnie, jak gdyby zachował się wobec niej arogancko, William uważa jednak, że powtórne przeprosiny byłyby przesadą. Muszą istnieć granice męskich ustępstw przed niewieścią wrażliwością.

William wysforował się naprzód i idzie szybko wzdłuż długiego, ozdobnego ogrodzenia, okalającego park. Jest jedną z kilku osób, mających prywatny klucz do jego bram, nie pamięta jednak, gdzie się podział – ostatnio nie zwraca bowiem uwagi na blade kwiaty, zimozielone krzewy i marmurowe fontanny, połyskujące uwodzicielsko za żelaznymi kratami. Och, owszem, na początku, kiedy Agnes była jeszcze zdrowa, od czasu do czasu wychodził z nią do parku

zaczepnąć świeżego powietrza i udowodnić, jak uroczym miejscem może być mimo wszystko Notting Hill, ale teraz...

Zwalnia kroku, albowiem wznoszący się przed nim okazały dom to rezydencja Rackhamów – a więc, by tak powiedzieć, jego dom – gdzie czeka na niego przysparzająca mu zmartwień żona, niewdzięczna służba i stos niezrozumiałych dokumentów handlowych, od których (skandal!) zależy jego przyszłość. William oddycha głęboko i podchodzi bliżej.

Ale jeszcze zanim wchodzi na teren rezydencji, pojawia się pierwsza przeszkoda. Tuż przed frontową bramą siedzi bowiem nie bardzo duży, co trzeba przyznać, pies, preżąc słuźbiście grzbiet, jak gdyby chciał zaproponować Rackhamowi usługi stróża. Kiedy William zbliża się do niego, zaczyna merdać ogonem i kołysać łbem. Jest, oczywiście, kundlem – bo wszystkie porządne psy siedzą przecież w domach.

– Uciekaj – warczy William, ale pies ani drgnie.

– Uciekaj stąd, mówię – warczy znowu Rackham, zwierzę jest jednak uparte, zdezorientowane albo głupie. Kto może wiedzieć, co sobie myśli taki pies? (Prawdę mówiąc, podczas studiów w Cambridge William opublikował nawet artykuł monograficzny zatytułowany *Psy i kanalie: różnice wyjaśnione*, część tego dzieła napisał jednak Bodley). William otwiera bramę i wchodzi szybko na teren rezydencji, odpychając psa wielką kratą, wspartą na zawiasach.

Na taką odprawę powstrzymane zwierzę wpada w złość. Rzuca się na bramę, drapie pazurami żelazne esy-floresy i przeraźliwie obszczekuje Williama, zdążającego tymczasem biegnącą w górę ścieżką ku frontowi domu.

Tych kilka ostatnich kroków w drodze powrotnej męczy go bardziej niż wszystkie poprzednie etapy podróży razem wzięte. Trawy po obu stronach ścieżki nie kosił nikt od miesiąca, a jego prywatny podjazd prowadzi do wozowni, w której nie ma powozów, oraz do stajni, w której nie ma koni, co przypomina właścicielowi o czekającej go syzyfowej pracy.

Pies szczeka wytrwale przez cały czas.

Jeden dzwonek do drzwi powinien wystarczyć – szczególnie jeżeli dzwoni się do drzwi własnego domu. Do diabła, tę zasadę należałoby wytatuować słuźącym na rękach, wtedy może by ją zapamiętali. A jednak William zdąży unieść ramię po raz trzeci, aby pociągnąć sznur dzwonka, gdy w progu ukazuje się wreszcie oblicze Letty.

– Dzień dobry, panie Rackham – rozpromienia się dziewczyna.

William przeciska się w drzwiach obok słuźącej, odrzucając pokusę, by natrzeć jej uszu, gdyby chciała usprawiedliwiać opieszałość nadmiarem nowych obowiązków. (Co prawda, Letty nigdy by się nie poskarżyła, a William powinien raczej zaakceptować jej łagodność owieczki, zamiast mylić ją z nieprzyjazną przymilnością Clary).

Kiedy Rackham zmierza ciężkim krokiem ku schodom, uśmiech na twarzy Letty znika – znów zawiodła swego pana. Wychwalał ją bardzo, kiedy zwolniono Tilly, ale od tamtej pory... Słuźąca przygryza wargę i zamyka drzwi frontowe najciszej, jak umie.

Prawdę mówiąc, nie może zrobić nic, by uszczęśliwić Williama. Jej nowy status domowy sprawia, że z istoty ludzkiej, chociaż niższego rzędu, zmieniła się w chodzącą otwartą ranę. Nie da się bowiem ukryć, że zanim zwolniono Tilly, William zatrudnił dwie posługaczki, na piętrze i na dole, a teraz ma tylko jedną. Rackham wie, że jest to podstawowa algebra społeczna, którą potrafi zrozumieć nawet dziecko – co zatem powinien sądzić o radosnym uśmiechu Letty? Albo jest głupsza od dziecka, albo udaje.

Zwracając się do niej, zawsze przypomina sobie krzepiące słowa, których użył, oznajmiając dziewczynie po raz pierwszy, jak będzie odtąd przedstawiać się sytuacja w domu. Twierdził z uporem, że spotkał ją przywilej „awansu”, w związku z czym podniesie jej uposażenie o jednego funta, albowiem „ta krnąbrna Tilly” nie robiła nic, czego Letty nie potrafi zrobić lepiej. A poza tym, czy teraz nie jest znacznie łatwiej prowadzić gospodarstwo, skoro pan tak rzadko bywa w domu, a pani prawie nie wstaje z łóżka? (Co za banialuki! Letty jednak zdawała się brać je za dobrą monetę, a William, chociaż odczuwał z tego powodu ulgę, niewymownie gardzi słuźącą za to, że przełknęła te bzdury bez oporu!)

A więc: to dlatego William nie domaga się teraz, by Letty wyjaśniła, z jakich przyczyn otwarcie drzwi zajęło jej tyle czasu.

(Ty chyba jednak jesteś tego ciekaw? Nie, nie zdrzemnęła się, nie plotkowała i nie podkradała jedzenia ze spiżarni. Po prostu, jeżeli posługaczkę wzywa dzwonek do drzwi, gdy czyści akurat kominek, musi najpierw umyć ręce, opuścić rękawy i pokonać dwa piętra schodami, czego nie może zrobić szybciej niż w dwie minuty).

Jednakże nasz Rackham, jeżeli pozwolić mu na chwilę refleksji, nie wymaga rzeczy niemożliwych. W głębi swojego zboląłego serca doskonale wie, że szybkiej reakcji można oczekiwać jedynie w domu pełnym służących od piwnic aż po dach, i to tylko wtedy, kiedy nie mają wiele do roboty. A w zaistniałych ostatnio okolicznościach Letty całkiem nieźle daje sobie radę i przynajmniej zawsze się uśmiecha.

Zatrzyma ją chyba na służbie, kiedy jego sytuacja finansowa się poprawi.

Tymczasem właściwie już przywykł do ślamazarnych służących. Ostatnio osobiście wykonuje nawet niektóre czynności, należące do obowiązków służby, jak zaciąganie zasłon, otwieranie okien albo dorzucanie drewna do ognia. W trudnej sytuacji domowej każdy powinien pomagać.

Podsycy teraz ogień w kominku w bibliotece. Wezwał Clarę, ale i ona specjalnie się nie spieszy, a William natychmiast chce się rozgrzać, dlatego rzucił trochę drewna w płomień. To naprawdę nic trudnego. Prawdę mówiąc, jest to tak proste, że zastanawia się, dlaczego te przeklęte służące nie robią tego, u diabła, nieco częściej.

Kiedy w pokoju pojawia się w końcu Clara, zastaje zmęczonego Williama w jego ulubionym fotelu z głową opartą o obciążony pokrowcem zagłówek i kojącego nerwy za pomocą cygara. Dziewczyna skromnie składa dłonie na brzuchu, na wysokości nowiutkiego gorsetu o dwudziestocalowym obwodzie, nieodparcie sprawiając wrażenie, że ma coś do ukrycia.

– Tak, proszę pana – zwraca się chłodnym i nieco buntowniczym tonem. Wymyśliła i przygotowała sobie już wcześniej sprytną odpowiedź na pytanie w rodzaju: Jak to się stało, że tak zeszczuplałaś?. Jest to mocno naciągana historyjka, w której występuje jej nieistniejąca siostrzenica.

Ale William pyta tylko: – Jak się miewa pani Rackham? – po czym odwraca wzrok.

Clara splata ręce za plecami niczym uczennica, która ma wyrecytować wiersz.

– Nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego, panie. Pani czytała książkę. Potem gazetę. Trochę haftowała. Poprosiła o filiżankę kakao. Poza tym jest zdrowa jak rydz.

– Zdrowa jak rydz. – William unosi brwi, wskazując wzrokiem niestarannie odkurzone półki biblioteczne. Nic dziwnego, że Agnes powiada, iż ufa Clarze bez granic. Obie pozostają w niecej babskiej znowie, usiłując stworzyć wrażenie, że winą za upadek domu Rackhamów nie należy obarczać jego pani – czyż nie jest ona bowiem piękną, zdrową jak rydz damą? – ale wyłącznie jej męża, któremu brak siły woli i który boi się losu, jaki mu przypadł w udziale. Och, nie, tej drobnej, idealnej kobiecie na piętrze nic nigdy nie dolegało, a jednak jej okrutny i nieczuły małżonek domaga się ciągle, aby składano mu raporty na temat jej aktualnego stanu zdrowia przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wyobraża sobie teraz Agnes, która ze swej strony czyni starania, by spotęgować to kłamstwo, siada więc na łóżku z niewinnym wyrazem twarzy, przypominającej kameę, i czyta *Wielkie myśli dla młodych dam uproszczone* lub inną podobną książkę, podczas gdy on, złoczyńca, rozpiera się tu, na dole, w wytartym fotelu.

– Co poza tym? – pyta kwaśno.

– Pani mówi, że nie chce, aby odwiedzał ją dziś lekarz, panie.

William odcina czubek kolejnego cygara i wrzuca go do kominka.

– Doktor Curlew przyjdzie dziś do nas jak zwykle.

– Tak jest, panie. Ale twoja żona choruje tylko dlatego, że jesteś bezwolnym głupcem. – No, nie, Clara nie wypowiada ostatniego zdania. A w każdym razie nie na głos.

Pozostały do obiadu czas William spędza na lekturze. A dlaczego nie? Nie może chyba zacząć studiować dokumentów, skoro służba poprosi go wkrótce o przejście do jadalni?

Wybiera książkę zatytułowaną *Wyczyny doświadczonego podróżnika, albo w osiemdziesiąt*

dziewic dookoła świata i nie próbuje jej ukryć ani nawet nie zasłania tytułu, kiedy Letty wchodzi do pokoju, żeby dołożyć do ognia w kominku. Dziewczyna ledwo potrafi się podpisać, więc takie trudne słowa, jak „jędzne kule” albo „wyprężony członek”, to dla niej zagadka.

Obserwując Williama i Letty w bibliotece, zastanawiasz się, czy za chwilę nie nastąpi scena rodem z jakiegoś umoralniającego dramatu albo opowieści o uwiedzeniu i utraconej cnotcie w stylu Samuela Richardsona, albowiem Letty, służąca, pozbawiona możliwości obrony bądź odwołania się do ochrony prawa, przebywa w pokoju sam na sam ze swym panem, czytającym pikantną literaturę. Letty kończy jednak to, co miała do zrobienia, i wychodzi nie niepokoiona, albowiem dla pochłoniętego lekturą Williama jest tylko przyrządem do zapalania lamp, równie martwym jak kable i włączniki, którymi zapalasz światło.

William czyta dalej z nonszalancką miną, którą tak chętnie przybierają mężczyźni, oddając się lekturze pornografii. W swoich własnych oczach siedzący w fotelu Rackham wygląda na fajdeckiego intelektualistę, ale szaleje w nim wściekły, chociaż niewielki pożar, który przekształca przepływające pod spokojnym spojrzeniem słowa w tłące się próchno różnych elementów ludzkiej anatomii.

– Podano obiad, panie – zawiadamia służąca. William zamyka książkę, wciskając ją między uda, na poły po to, by tą pieszczotą podtrzymać pożądanie, na poły dlatego, żeby je zdusić.

– Już idę.

Zasiadłszy u szczytu długiego mahoniowego stołu w jadalni, William smakuje pierwszy kęs kolejnej doskonałej potrawy, którą przygotowała jego kucharka (ach, jak długo jeszcze będzie serwować takie posiłki?). Kucharka Rackhama jest prawdziwym skarbem – to jedyna kobieta w tym domu, w której wartość nie wąpił ani przez chwilę od dnia, kiedy przyjął ją na służbę. Niełatwo przyjdzie mu ją powiadomić, że w przyszłości nie będzie mogła kupować tak dużo polędwicy jak dotąd. Tym bardziej że zwyczajowo takie wiadomości powinna przekazywać kucharce pani domu.

William wbija wzrok w ciągnący się przed nim stół, a jego spojrzenie podąża lśnącym, białym śladem obrusa aż po puste miejsce naprzeciw. Jak zawsze przygotowano sztuce, szklanki, kieliszki i błyszczące, puste talerze dla pani Rackham – na wypadek gdyby poczuła się na siłach zejść na obiad. W kuchni spoczywa wciąż korpus ciepłego, soczystego kurczaka, którego mogłaby zjeść, gdyby tylko miała na niego ochotę. William skosztował jedynie udko, nic więcej.

Wkrótce po obiedzie do rezydencji Rackhamów przybywa doktor Curlew. William, który znowu zaszył się w bibliotece, na dźwięk dzwonka spogląda na zegarek, by sprawdzić, ile czasu minie, zanim służba otworzy.

No, lepiej, myśli. Lepiej.

Słychać skrzypienie poręczy, gdy doktor Curlew idzie po schodach do pokoju Agnes. Potem z wieczora amputowany zostaje kwadrans ciszy – jak skalpelem uciał.

Kiedy jest już po wszystkim, lekarz zagląda do Williama w bibliotece, jak co tydzień. Od razu wybiera najbardziej sprężysty i najtwardszy fotel. Doktor Curlew boi się wszystkiego, co sflaczało i obwisłe.

Niepospolicie wysoki, choć nie kościsty, wygląda imponująco, jak gdyby z upływem lat jego ciało rozrosło się, by stworzyć miejsce na skumulowane wewnątrz doświadczenie życiowe. Jego pociągła twarz o silnie zarysowanych brwiach, ciemne oczy, fantazyjnie przycięta broda, włosy, wąsy i skromny, aczkolwiek błyskotliwy styl ubierania się sprawiają, że lekarz wygląda na bardziej dystyngowaną osobistość niż Rackham.

Po jego nazwisku ciągnie się długa lista różnych naukowych skrótów, zapewne jest więc gruntownie wykształcony. By podać choć jeden przykład: potrafi w dziesięć minut dokonać sekcji ciężarnej królicy na potrzeby badań anatomicznych i – jeśli trzeba – zaszyć jej zgrabnie brzuch. Cieszy się sławą, przynajmniej wśród lekarzy ogólnych, kogoś w rodzaju specjalisty od chorób kobiecych.

Ćmiąc w zamyśleniu jedno z cygar Williama, rozprawia przez kilka minut na temat chorób o tyle, o ile dotyczy on małżonki gospodarza. Atmosfera gęstnieje od dymu oraz alkoholu, można ci więc wybaczyć, że gubisz przewodnią nić wywodu zacnego doktora, ocknij się jednak, aby usłyszeć konkluzję, do jakiej dochodzi:

– Przyznaję, że teraz jest stosunkowo przytomna, nie sprawia więc większych problemów. Podejrzewam, że czuje się lepiej, ponieważ od ostatniego ataku nie upłynął jeszcze miesiąc. Ale z pewnością nie uważam, że powinniśmy tracić czujność, mniemając, iż choroba nie wróci: przeciwnie, sądzę, że nawrót dolegliwości nastąpi bardzo szybko. Z każdą wizytą dostrzegam coraz wyraźniej, z jakim wysiłkiem pani Rackham walczy o to, żeby zachować panowanie nad sobą. Jak gdyby usiłowała powstrzymać wymioty, których powstrzymać nie może. To nie jest zdrowa sytuacja... Dla nikogo z zainteresowanych. – Tu Curlew urywa na chwilę, by William tym bardziej odczuł, że doktor ma rację. – Muszę bowiem podkreślić, mój drogi Rackhamie, że ciągle zdradzasz nieomyślne oznaki napięcia nerwowego. William uśmiecha się szeroko.

– Zapewne próbuję podtrzymać przeważający w tej rodzinie nastrój, doktorze.

Curlew niecierpliwie marszczy brwi i wyciąga nogi. Zna Williama dość dobrze, żeby darować sobie konwenanse. – Nie żartuj na ten temat, człowieku – mówi, nachylając się ku niemu. – Trzeba ci wiedzieć, że choroba umysłowa u mężczyzn nie ma nic wspólnego z naturą. Każdy człowiek ma ściśle określoną granicę wytrzymałości, a kiedy już nie może znieść dłużej cierpień, szaleństwo atakuje. I zwróć uwagę, że mówię, iż „atakuję”, albowiem często przychodzi ono nagle i jest nieodwracalne. Ty ani ja nie posiadamy macicy, którą można usunąć, kiedy skończą się żarty. Na litość boską, pamiętaj o tym.

William podnosi wzrok ku niebu w poszukiwaniu sposobu, w jaki mógłby zakończyć tę dyskusję.

– Nie sądzę, doktorze Curlew, by stała obecność mojej żony w domu mogła doprowadzić mnie w najbliższym czasie do obłędu. Być może napięcie, które we mnie wyczuwasz, to po prostu... zmęczenie.

– Mój drogi Rackhamie – wzdycha lekarz, jak gdyby przebijając się spojrzeniem poprzez piękny fałsz ku przerażającej prawdzie, tkwiącej pod spodem. – Rozumiem, oczywiście, że rozumiem, iż oddanie Agnes do domu dla obłąkanych przysporzyłoby ci bólu i wstydu. Musisz mi jednak zaufać: widziałem, jak inni mężczyźni zmagali się z taką decyzją, ale podjąwszy ją, odczuli wprost niewysłowioną ulgę.

– Cóż, chyba jednak nie całkiem niewysłowioną, skoro zdołali zdać ci z niej relację – oponuje sardonicznie William.

Doktor Curlew mruży oczy z dezaprobatą. Mężczyźni o ambicjach literackich są przemądrzali – potrafią dzielić włos na czworo, ale nie widzą tego, co aż bije w oczy.

– Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem – powiada lekarz, wstając z fotela.

– Ależ oczywiście – zapewnia go William, który również wstaje. Podają sobie ręce, niczego nie uzgodniwszy, a William ściska dłoń doktora coraz mocniej i mocniej, jakby chcąc udowodnić, że nie jest od niego słabszy.

Ale dość tego. Nie będzie dłużej traktowany jak nieudacznik. Wbrew temu, co im wszystkim się wydaje, nie jest całkowicie pozbawiony kręgosłupa! Spełniając powzięte wcześniej postanowienie, wchodzi wreszcie po schodach do gabinetu, gdzie czekają na niego dokumenty z Rackham Perfumeries. Czas chwycić byka za rogi.

Siada przy biurku, chwytając duże, żółto-brązowe koperty za karki zaklejonych brzegów i otwiera je. Na widok piętrzących się przed nim papierów postanawia sięgać po nie pojedynczo, choć nie w żadnej szczególnej kolejności, i przeglądać dokumenty możliwie jak najszybciej. Zamierza się tylko z grubsza zorientować, jak funkcjonuje firma. Domysły są więcej warte niż nic. Jeżeli ugrzęźnie w szczegółach, będzie zgubiony: lepiej przeczytać wszystko, jedynie częściowo rozumiejąc tekst, a dotknąć istoty rzeczy. Na uniwersytecie radził sobie z o wiele trudniejszymi tekstami, czyż nie?

Sięga po pierwszy z wierzchu dokument z najbliższej sterty i lustruje go gniewnie, czekając niecierpliwie, aż treść stanie się jasna. Ależ to iście przerażający gąszcz słów... Kto by pomyślał, że

stary zna ich aż tyle? Robi mnóstwo błędów ortograficznych – co za wstyd! Ale nie to jest najgorsze: jak to możliwe, że tyle rzeczowników tworzy w rezultacie tak niewiele obrazów? Jak to możliwe, że całe mrowie czasowników podsuwa mu na myśl zaledwie kilka wartych zachodu działań? Ludzkie pojęcie przechodzi, męczy się jednak dalej.

Dziesięć wierszy niżej, w połowie jedenastej linijki tekstu, wpada mu w oko interesujące słowo „soki”. Pod jego wpływem zaczyna rozmyślać o kobiecie z Silver Street imieniem Sugar i o tym, jak pewnie westchnie, słysząc, czego William sobie życzy. No cóż, niech wzdycha, byle tylko poddała się jego woli! Cóż, ostatecznie ktoś taki jak ona...

Tego rodzaju myśli odrywają go jednak od dokumentów. Oddycha głęboko i zaczyna od początku, tym razem czytając w myślach każde słowo.

Resztek do przerobu mniej o 15% niż w przeszłym roku. Wiele nie rozg. się u korzeni i popenkało. 4 grosy zamówiono u Copleya. Tylko 60 z 80 akrów najlepszego gatunku.

?Kupić więcej najlepszego towaru u Copleya. ?Dobre imię Rackhamów. Kilka pierwszych galonów i wszystko jasne. W suszarni trzeba położyć nowy dach. -?Sobota po południu jeżeli robotnicy zakasają rękawy. Pogłoski o ftyczce ze związków zawodowych.

Wzrost kosztów nawozu o 2%.

W tym miejscu William pozwala sfrunąć stronicy najpierw na kolana, a potem na podłogę. Spis obrzydliwych kalkulacji, intymne kontakty z nawozem – on tego nie zniesie – musi się od tego wszystkiego uwolnić.

Ale nie ma wyjścia. Ojciec powiada, że jeśli William nie zechce kierować rodzinnym imperium, może poszukać sobie pracy gdzie indziej – albo zaskoczyć wszystkich nagłym sukcesem na niwie jednego z „odpowiednich dla dżentelmena” zajęć, o których ciągle wspomina.

Ukłuty tym wspomnieniem, William szykuje się do kolejnego ataku na dokumenty starego Rackhama. Być może problem tkwi nie tyle w treści, ile w nieprzeniknionej stenografii ojca. Jeżeli musi już nieczytelnie bazgrolić, czy nie mógłby tego robić czarnym atramentem, nie zaś jasnyniebieskim lub bladobrazowym? A może czarny atrament kosztowałby starego sknerę dziewięć pensów od galona więcej, co?

William szpera w papierach i na samym spodzie znajduje coś, co wygląda na jakiś grubszy dokument w broszurowej oprawie. Ku swemu zdumieniu stwierdza, że są to *Dalsze hulanki w Londynie – wskazówki dla światowców, radami dla nowicjuszy opatrzone*. A więc to tu leżały!

Kładzie książkę na kolanach, odwraca ją i otwiera. W kieszonce na czwartej stronie okładki spoczywa wciąż kilka kondomów z jelit zwierzęcych. Wyszły już, zwiędłe biedactwa, niczym zasuszone liście albo kwiaty. Za najlepszych lat, we Francji, były artykułem pierwszej potrzeby. Dziwki składały na nie ciepłe, ale niedopuszczające żadnych wykrętów przysięgi. „*Mieux pour nous, mieux pour vous*”. Ach, gdzie te dziewczyny, gdzie te czasy! Było, minęło.

William przerzuca kartki. Pomija dział „Nóżki” (dziewczyny uliczne) i przegląda spis „Rapetek” (najtańszych burdeli). Dział zwany „Combrem”, pomieszczony na końcu przewodnika, pozostaje poza jego zasięgiem, zawiera bowiem spis przybytków tak wysokiej klasy, że pomijając wszystko inne, oczekuje się tam od klienta, aby zamawiał znakomite wina. Na szczęście dom pani Castaway wymieniony jest w „Pierwszej krzyżowej (dla umiarkowanie rozrzutnych)”.

Przybytek tej zacnej damy zamieszkuje kłopotliwy nadmiar piękna, tj. panna Lester, panna Howlett i panna Sugar. Damy owe można zastać, poczynając od wczesnych godzin popołudniowych; po szóstej mają w zwyczaju bawić się w „Fireside”, bezpretensjonalnym, acz wesołym lokalu dla nocnych marków, który każda z nich gotowa jest opuścić w asyście odpowiedniego kawalera o uzgodnionej porze.

Panna Lester jest średniej postury, ma...

William rezygnuje z lektury na temat panny Lester i nie mieszkając, podąża dalej:

Można przypuszczać, że „Sugar” nie jest mianem, które trzecia z naszych dam otrzymała na chrzcie świętym, tym jednak imieniem cieszy się obecnie na wypadek, gdyby jakiś mężczyzna zechciał ją ochrzcić ponownie. Panna Sugar jest żarliwą wyznawczynią wszystkich znanych rozkoszy. Jej jedynym celem jest zaspokoić wymagającego konesera i daleko wyprzedzić jego oczekiwania. Pyszni się ognisto-rudymi lokami, które opadają jej do pasa, orzechowymi oczami rzadkiej przenikliwości i pełną wdzięku postawą (choć jest nieco koścista). Panna Sugar jest szczególnie biegła w sztuce konwersacji i bez cienia wątpliwości nadaje się na towarzyszkę każdego prawdziwego dżentelmena. Jedynym jej słabym punktem, dla niektórych będącym wszakże pikantną zaletą, jest biust, niewiele większy od biustu małej dziewczynki. Zażąda 15 szylingów, ale za gwineę potrafi czynić cuda.

*

William po omacku znajduje zegarek w kieszonce kamizelki i kładzie go na dłoni. Wpatruje się w niego dłuższą chwilę, a potem zamyka dłoń w pięść, zaciskając ciepłe palce na tykającym złotym chronometrze.

– Powinienem wziąć się do roboty – mówi do siebie.

Kilka godzin później Letty, zaalarmowana rozbrzmiewającym w nocnej ciszy głośnym, zagadkowym chrapaniem, wchodzi na palcach do gabinetu i zastaje Williama śpiącego w fotelu.

– Panie Rackham? – szepcze cichuteńko. – Panie Rackham?

William jednak pochrapuje dalej. Siedzi, bezwładnie opuściwszy blade, szerokie dłonie, a jego złociste włosy są zmierzwione i rozwichrzzone jak u ulicznika. Nie wiedząc, co robić, Letty wychodzi na palcach. Najwyraźniej pan dziś za ciężko pracował.

Wieczorem następnego dnia William wysiada z dorożki na Silver Street, gotów przekroczyć próg swojego przeznaczenia i zawładnąć tym, co znajdzie za drzwiami; z miejsca napotyka jednak poważne trudności.

– Tak dokładnie to panu nie powiem – odpowiada dorożkarz, kiedy William prosi, by wskazał mu dom pani Castaway. – Pewnikiem gdziesik tam, za tymi domami. – Szerokim ruchem wskazuje batem wielką, zatłoczoną ulicę, na której oczom Williama prezentuje się ogromny asortyment przedstawicieli rodzaju ludzkiego, ale na której nigdzie nie widać gigantycznych afiszów, zachwalających przybytek pani Castaway, ani żywych reklam, objuczonych wywieszkami z napisem „Do Sugar tędy”. William odwraca się do dorożkarza, żeby się poskarżyć, łotr jednak już odjeżdża, zainkasowawszy więcej, niż mu się należy.

Do diabła! Czy naprawdę nigdy nie można mieć nadziei, że choć raz w życiu człowiek kupi niedrogo coś wyjątkowego? Czy żeby spełnić marzenia... Ale nie, William snuł takie myśli już przedtem i nic nie przyjdzie mu z tego, że teraz do nich powróci. Sugar czeka na niego gdzieś tuż-tuż: trzeba jedynie zasięgnąć języka.

Na Silver Street roi się od straganiarzy, wózków i ciekawskich przechodniów, którzy zabłąkali się na wschód od Stretch. William unosi dłoń i osłania oczy, by przyjrzeć się ewentualnym informatorom, ale zanim dokona wyboru, zaczepia go drobny chłopczyzna, który sprzedaje cygara.

– Najlepsze cygara, panie, po dwa pensy za sztukę, prawdziwe kubańczyki, zapałki gratisowo.

William spuszcza wzrok – musi patrzeć niemal wprost pod nogi, by dostrzec sześć nędznych cygar w usmolonych palcach chłopca. Prawdopodobieństwo, że naprawdę pochodzą z przemytu z Kuby, a nie z jakiejś skradzionej cygarnicy, jest doprawdy nikłe.

– Nie potrzebuję cygar. Ale dam ci dwa pensy, jeżeli mi powiesz, gdzie znajduje się dom pani Castaway.

Pomarszczoną twarzą chłopaka wykrzywia grymas rozczarowania, nie ma bowiem tej cennej informacji. Dwa pensy za nic, tylko za to, że coś wie! Otwiera usta, by skłamać.

– Mniejsza z tym, mniejsza z tym – mówi William. Zawsze czuje się nieswojo pośród małych dzieci, zwłaszcza kiedy czegoś od niego chcą. – Masz tu pensa. – Daje dziecku monetę.

– Niech ci Bóg błogosławi, panie.

Poirytowany tą rozmową, William z wahaniem podchodzi do jakiegoś jegomościa palącego fajkę, ale traci odwagę i wycofuje się. Nie może pytać każdego napotkanego przechodnia o drogę do burdelu; co oni sobie o nim pomyślą? W Cambridge albo we Francji jako beztrudny kawaler wykrzyczałby zapewne swoje pytanie tak, by wszyscy go słyszeli, i nie zaczerwieniłby się ani trochę. W tamtych czasach był nieustraszony! Och, patrzcie, co zrobił z nim niedostatek i kłopoty małżeńskie! Biegnie ulicą, przyglądając się oświetlonym latarniami frontonom w poszukiwaniu wskazówek, które mogłyby go naprowadzić na ślad domu pani Castaway. W *Dalszych hulankach...* nie podano jego dokładnego adresu, co mogłoby sugerować, że przybytek ów powinien być znany każdemu poważnemu intelektualistom albo że Silver Street jest zwyczajną uliczką, na której tak świetny przybytek jak dom pani Castaway lśni niczym samotna perła na łańcuszku. Ale nie lśni.

Zauważa w bramie jakąś dziewczynę, która – jego zdaniem – może być dziwką, choć trzyma w ramionach niemowlę.

– Wiesz, gdzie jest dom pani Castaway? – pyta Rackham, rozejrzawszy się najpierw na boki.

– Nie znam żadnej pani Castaway, panie.

William rusza dalej, nie dając dziewczynie okazji, by mogła coś dodać, a potem zatrzymuje się pod latarnią i patrzy na zegarek. Dochodzi szósta; tak! Wie, co robi: pójdzie do „Fireside” z nadzieją, że Sugar pojawi się w tym pubie, jak to ma „w zwyczaju”. A jeżeli nie przyjdzie, ktoś w „Fireside” na pewno będzie wiedział, gdzie mieści się dom pani Castaway. Spokojnie, Rackhamie:

racjonalny umysł rozwiąże wszystkie problemy.

William podchodzi do najbliższego pubu i rzuca okiem na szyld. To nie tu. Wędruje kilkadziesiąt kroków dalej, do następnego pubu na następnym rogu. Znowu nie ma szczęścia. Popelnia błąd, przystając, żeby podrapać się w tył głowy, bo wtedy natychmiast zaczepia go uliczny sprzedawca z pękatym workiem na plecach. W obciążonej wełnianą rękawiczką dłoni starego, wesołkowatego szelmy jeżą się ołówki.

– Pi-jękne ołówki, panie – woła sprzedawca, otwierając usta pełne krzywych zębów o tak czarnych końcach, jak gdyby w wolnych chwilach smarował po nich swoimi ołówkami. – Te rysiki zachowują ostrość do siedmiu razy dłużej niż zwykłe ołówki.

– Nie, dziękuję – mówi William. – Ale dam ci sześć pensów, jeżeli mi powiesz, gdzie jest „Fireside”.

– „Fireside”? – powtarza domokrażca, szczerząc zęby w uśmiechu i jednocześnie marszcząc brwi. – Słyszałem o tym pubie, pewnie, że słyszałem.

– Chowa ołówki do kieszeni płaszcza i wyciąga z worka błyszczącą cynową tacę, lśniący, przypominający małą tarczę rzymskiego gladiatora owal, który obraca teraz na wszystkie strony, by odbijało się w nim światło latarni.

– Zaraz se przypomnę, panie, a tymczasem spoglądaj na tę tutaj tacę do herbaty. Nie jest nic gorsza niż srebrna.

– Nie potrzebuję tacy do herbaty – mówi Rackham. – A zwłaszcza takiej, która nie jest z...

– No to weź ją dla swojej matuli, panie. Pomyśl, jak się jej zaświecom oczy, jak takom tace zobaczy.

– Nie mam matki – rzuca zirytowany William.

– Każdy ma matkę, panie – uśmiecha się szeroko domokrażca, jak gdyby oświecał naiwnego imbecyla, któremu opowiada o pszczołkach i motylkach.

William oniemieje z oburzenia – nie dość, że ten obleśny łotr wyobraża sobie, że mówi do kogoś, kto mógłby się skusić na śmiecie, które nosi w swoim brudnym worku, to czyżby chciał jeszcze usłyszeć dzieje rodziny Rackhamów?

– To prawdziwa okazja – starzec łypie na niego z ukosa. – A dołożę jeszcze kieszonkowy grzebyk. Z najlepszej brytyjskiej stali.

– Grzebyk już mam – odpowiada William. Czuje się urażony, bo na te słowa handlarz unosi z niedowierzaniem krzaczastą brew. – Nie mam jednak wiarygodnych informacji, które pozwolą mi znaleźć „Fireside”.

– Zastanawiam się, panie, ciągle się zastanawiam – zapewnia go stary obwieś, który wsuwa tacę z powrotem do worka, zanurza w nim ramię po pachę i szuka czegoś aż na samym dnie.

A cóż to takiego? Wielkie nieba, zaczyna padać deszcz! Z góry spadają wielkie, ciężkie krople, które biją w okryte płaszczem ramiona Williama z taką siłą, że opryskują mu podbródek i wpadają do uszu. Rackham dopiero teraz zdaje sobie sprawę, iż podążając skwapliwie do celu, zostawił w dorożce prawie zupełnie nowy *parapluie*, który dorożkarz spuści zapewne na lewo w godzinach wolnych od pracy. Williama w jednej chwili ogarnia czarna rozpacz: oto jego los, oto wola Boża: deszcz, zgubiony parasol, zupełna obojętność nieznannej ulicy, drwiny przygodnie spotkanych ludzi, uparte okrucieństwo jego własnego ojca i ten przekłety ból w okolicy barków, którego nabawił się, bo spał pół nocy w fotelu...

(Prawdziwie nowoczesnego człowieka, jakim jest William Rackham, można nazwać przesadnym ateistycznym chrześcijaninem – co znaczy, iż wierzy on w Boga, który chociaż nie odpowiada już za wschód słońca, nie ma w opiece królowej i nie zapewnia ludziom chleba powszedniego, wciąż pozostaje pierwszym podejrzanym, kiedy coś idzie źle).

Do Williama podchodzi kolejny sprzedawca, zwabiony atmosferą niezaspokojonych pragnień.

– „Fireside”! – mówi, odpychając na bok łokciem pierwszego domokrażcę. Ubrany jest w obwisłą, szarą marynarkę i welwetowe spodnie, ma zboląły wyraz twarzy, a na głowie nosi wytarty melonik. – Ja ci pomogę, panie!

William przygląda się, czym ów jegomość handluje: są to psie obroże – dziesiątki obroży, nawleczonych na szary rękaw wyświechtanej marynarki. Do diabła, czy będzie musiał kupić obrożę

dla psa, żeby wskazano mu wreszcie właściwą drogę?

Ale: – To tędy – mówi sprzedawca. – Idź dalej, panie, do końca Silver Street. Zobaczysz browar Lion: to będzie New Street. Potem trzeba... – sprzedawca zaciska na przemian pięści, usiłując przypomnieć sobie, która strona jest lewa, a która prawa, podczas gdy obroże zsuwają mu się na sękaty nadgarstek – ...skręcić w prawo, panie, i dojść na Usband Street. To będzie tam.

– Dziękuję, łaskawco – mówi William, wręczając mu sześć pensów.

Sprzedawca psich obroży uchyla melonika i odchodzi, ale jego pechowy towarzysz, który wyciągnął tymczasem z worka niewielki, czarny przedmiot, nie rusza się z miejsca.

– Wyglądasz na człowieka interesu, panie – ćwierka. – Czy zainteresuje cię kalendarz handlowy? Na rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty piąty, panie, co to zbliża się tak szybko jak pociąg. Z tyłu jest almanach i złota tasiemka, co służy za zakładkę, i w ogóle znajdziesz tam wszystko, czego można chcieć od kalendarza, panie.

William nie zwraca na niego uwagi i maszeruje w górę Silver Street.

– To może chcesz śliczne nożyczki, żebyś mógł sobie obciąć to i owo, panie! – krzyczy w ślad za nim mężczyzna.

Ta obraźliwa uwaga spływa po Williamie jak po kaczce. Nic teraz nie może go zranić – jest w lepszym nastroju, bo wreszcie trafił na właściwy trop. Świat zgodził się w końcu traktować go przyjaźnie. Latarnie świecą jaśniej i William słyszy muzykę, którą wiatr rozwiewa ze świstem w kurantową kakofonię. Z jednej strony dobiegają nawoływania przekupniów, a z drugiej potop podnieconych rozmów. Rackham widzi blask podkasanych spódnic i kobiety, spieszące przed siebie w rozświetlonej gazowymi latarniami mżawce; czuje zapach pieczonego mięsiva, wina, a nawet perfum. Drzwi otwierają się i zamykają, otwierają się i zamykają, za każdym razem uwalniając podmuch muzyki, błysk pomarańczowożółtej zabawy biesiadnej albo mgiełkę dymu. Dostanie to, czego chce, jest tego pewien: Bóg ustąpił. Wczoraj William Rackham został upokorzony przez dwie lafiryndy z Drury Lane – a dziś wieczorem zerżnie zwycięsko cipę niepowodzenia.

Ach, ale co będzie, jeśli także Sugar mu odmówi?

Zabiję ją, to jego pierwsza myśl.

Natychmiast odczuwa jednak ukłucie wstydu. Cóż za podły, niegodziwy impuls! Czy ostrze cierpienia zepchnęło go aż tak nisko, że rozmyśla o morderstwie? Z natury jest człowiekiem łagodnym i zycliwym: jeżeli ta dziewczyna, owa Sugar, odmówi, no to odmówi, i tyle.

Co zrobi, jeśli odmówi? Co pocznie w takiej sytuacji? Gdzie znajdzie kobietę, która spełni jego życzenie? Na pewno nie będzie się włóczył po ulicach St Giles, bo jakiś bandyta roztrzaska mu tam czaszkę. Nie może także nawet myśleć o tym, aby po zmroku kręcić się po parkach, gdzie rezydują podstarzałe driady, wyspecjalizowane w najbrzydliwszej rozpuście – i zarażone najstraszliwszymi chorobami. Nie, potrzebuje kobiety, która odpowiadałaby jego pozycji społecznej i która odda mu się w jakimś gustownym, komfortowym wnętrzu – przynajmniej tego nauczyło go upokorzenie doznane na Drury Lane.

Skręca w New Street, uradowany, że browar Lion stoi dokładnie tam, gdzie – jak mu powiedziano – powinien go zobaczyć. Wybiegając myślami naprzód, ma już w głowie wizerunek Sugar: wyobraża sobie, że dziewczyna otwiera szeroko oczy ze zdumienia i trochę się lęka, lecz czuje, iż musi mu ulec. William przesyła tę wizję niżej, swojemu penisowi, który natychmiast pęcznieje niecierpliwie.

Husband Street okazuje się podejrzaną, niebezpieczną dla zdrowia i życia, ale przynajmniej wesołą uliczką – a w każdym razie tak się Williamowi wydaje. Wszyscy są tu uśmiechnięci, dziwki chichoczą i nawet bezżębna stara żebraczka, o, tam, uśmiecha się, zaciskając dąsia na obślinionym jabłku.

I jest: „Fireside”. Czy nie posuwa się poza granice obowiązującej go przyzwoitości? Czy nie powinien zawrócić, póki jeszcze może to uczynić? Zmniejszając odległość pomiędzy swoją unoszoną szybkim oddechem piersią i połyskliwym, pomarańczowym jak latarnia szyldem, zawieszonym na żeliwnym pręcie, William mówi sobie w duchu, że nie powinien oceniać tego pubu po jego wyglądzie zewnętrznym, dopóki nie zobaczy, jak wygląda w środku.

– *Na wzburzonym, wzburzonym oceanie!* – śpiewa ktoś głośno niemal wprost do lewego ucha zaskoczonoego Williama. – *Z dala od domu!*

Rackham odwraca się. Zatrzymuje go sprzedawca nut, który prowokacyjnie śpiewa dalej:

– *Zapłakał gorzko żeglarz! W nawałnicy gromów!* Czy twoja pani gra na pijaninie, panie?

William machnięciem ręki próbuje odprawić kulawego handlarza, który nie daje jednak łatwo za wygraną, zastępuje drogę Rackhamowi i wpycha mu pod nos stertę zapisów nutowych rozmaitych piosenek, spoczywającą na tacce ze sklejki i wyglądającą niczym dojrzały biust w głębokim dekolcie.

– Więc twoja pani nie gra na pijaninie, panie?

– Już od kilku lat – mówi Rackham, poirytowany, że przypomina mu o Agnes w takiej chwili.

– Ta melodia zaraz wróci jej ochotę do gry, panie – nalega sprzedawca nut i nagle zaczyna znów śpiewać:

Boże, zachowaj mą matkę!

Bo pęknie jej serce na pół

Z żalu, kiedy się dowie,

Że mam w głębinie grób swój!

– Ładne, co, panie? To nowa piosenka. Nazywa się *Rozbitek*.

William tymczasem zbliża się do celu, ale natrętny handlarz kuśtyka wciąż obok, ku drzwiom. Na progu pubu William gniewnie zagląda mu w oczy i pyta:

– Nowa? Nic podobnego. To przecież *Największym skarbem jest matka*, tylko słowa są inne.

– Nie, panie – mężczyzna wszczyna kłótnię i macha mu przed nosem kremową kartką, zdobioną odpowiadającymi treści piosenki marynistycznymi obrazkami. – To zupełnie inna piosenka, panie. Weź ją do domu, a przekonasz się, że mam rację.

– Nie chcę jej brać do domu – mówi William. – Chcę wejść do „Fireside” bez twojej asysty, panie, i cieszyć tam uszy muzyką. Dodajmy, że nieodpłatnie.

Na te słowa handlarz cofa się teatralnym krokiem, składa Williamowi ukłon i szczerzy zęby w uśmiechu, ale nie ustępuje.

– Jeżeli usłyszysz jakąś melodię, co ci się wyjątkowo spodoba, daj mi koniecznie znać, panie: bo mam ją, na mur. – I po tych słowach handlarz znika, zdecydowany jak najlepiej wykorzystać kolejną godzinę, rok albo i dziesięć stuleci na uprawianie swej społecznie pozytywnej działalności.

William Rackham zaciska dłoń na ozdobnej mosiężnej klamce i otwiera drzwi pubu jednym pchnięciem, oddychając głęboko. Natychmiast zalewa go woń zacnego piwa i gwar przyjaznych głosów, a kiedy wchodzi do środka, czuje, że pod wpływem bijącego od żyrandoli ciepła – i buzującego w kominku ognia – szczypie go zziębnięta twarz. Ale oto prawdziwa niespodzianka! Tutejsi klienci to wcale nie obszarpańcy! Ba, niektórzy są wręcz elegancko ubrani! „Fireside” to pub, którego odkrycie raduje serce przedstawiciela wyższych sfer; to dobrze strzeżona tajemnica pośród otaczającej nędzy; to miejsce spotkań dla wtajemniczonych. Bywalcy, z których wielu najwyraźniej nie mieszka w sąsiedztwie Husband Street, odwracają głowy, by spojrzeć na Williama, po czym na powrót podejmują przerwane na chwilę rozmowy. Są podchmieleni, ale nie pijani – to nie jest miejsce, gdzie klienci popijają w milczeniu, czekając, aż alkohol zacznie działać, William oddycha z ulgą, zdejmuje kapelusz i wkracza w krąg osób dorównujących mu społeczną rangą.

– *Włoką się gęsiego robotnicy* – wita go jakiś tenor. – *W brudnych łachmanach, co się szatami zwą...*

Śpiewak stoi na wąziutkiej scenie w przeciwległym kącie sali, niemal niewidoczny za spowitą dymem ciżbą klientów i stolików. Jego posępny, wieczorowy strój podkreśla niedbale zawiązana na supeł czerwona apaszka, udająca robotniczą chustę. Tenor zastyga w żalosnej pozie i śpiewa do wtóru podniosłych dźwięków pianina:

Wory z sianem ścielą na podłodze.

*By nieszczęśni mogli chrapać srodze;
Jedno miejsce dla trzech albo czterech,
Cała noc w londyńskim przytułku, ech.*

Stłumiony brzęk tłuczonego szkła wywołuje czyjś rechot. Szczeka podekscytowany pies. Zza kontuaru wychodzi szybkim krokiem przepasana fartuchem barmanka, która z irytacją kręci głową.

W sumie bar przedstawia krzepiący widok – bo oto piersiaste kelnerki krzątają się wokół butelek i beczek z piwem, a ich plisowane spódnice odbijają się w olbrzymich lustrach, biegnących z tyłu wzdłuż ściany. Wyżej, nad głowami kelnerek, ściana usłana jest niemal po sam sufit pstrokacizną niezliczonych ulotek, sztychów i afiszów, reklamujących najróżniejsze rodzaje jasnego i ciemnego piwa.

William nie musi szukać stolika – uśmiechnięta kelnerka pokazuje, żeby szedł za nią, po czym sadza go przy stole, gdzie pozostaje dość miejsca jeszcze dla co najmniej dwóch klientów – najwyraźniej nikt tu nie pija samotnie. Rackham z uśmiechem składa zamówienie, a kelnerka pomyka na jednej nodze, by je zrealizować.

Jaki wesoły pub, myśli Rackham, zapominając na chwilę, po co tu przyszedł. Ale jest trochę za ciepło! Śpiewak zawodzi dalej, zgiełkliwe *rubato* pianina tonie po części w kolejnych falach śmiechu, a William tymczasem robi, co może – ściąga rękawiczki, rozpina płaszcz i przygładza włosy. Jego stolik stoi pod żeliwną kolumną, na której wisi ogłoszenie następującej treści: UPRASZA SIĘ ZWŁASZCZA PANÓW, ABY NIE KŁADLI CYGAR NA STOLE I NIE PRZYPALALI ICH OD ŚWIEC W ŻYRANDOLACH, LECZ OD GAZOWYCH LAMP, W TYM CELU UMOCOWANYCH. William nie ma ochoty palić, unoszą się nad nim jednak jakby obłoczki dymu: to paruje jego przemoczone ubranie. Rackham czuje na skórze ukłucia kropelek potu i zdaje sobie sprawę, że jego mięsiste uszy zaczynają rozkwitać czerwienią. Jakże jest wdzięczny kelnerce, która wraca w mig, dzierżąc w dłoni duży kufel piwa! Widocznie widzi, że jest bardzo spragniony, błogosławione niech będzie jej dobre serce!

– Wybornie! – William przekrzykuje piosenkę, a potem wyciąga szyję niby żuraw, zastanawiając się, dlaczego śpiew narasta: czyżby występowało tu więcej tenorów, niż mu się zdawało? Ale nie, to bywalcy pubu dołączają do śpiewaka.

– *Klną i krzyczą, wszyscy wraz* – zawodzą między kolejnymi łykami piwa.

*Ze sprośną pieśnią i facecją grubą
Nużące godziny przepędzają długą
Nocą w londyńskim przytułku...*

Ty, który podobnie jak William po raz pierwszy odwiedzasz „Fireside”, zastanawiasz się pewnie, dlaczego ci rewelersi śpiewają tak wesoło o takich okropnościach? Popatrz, jak przytupują i kiwają głowami nad ciężkim losem bezdomnych – czy poza tym nie odczuwają wzruszenia? Ależ oczywiście, że tak! Modlą się szczerze przy ołtarzu litości! Cóż jednak mogą uczynić? Tu, w „Fireside”, wszyscy są bez grzechu (być może z wyjątkiem Boga w jego nieskończonej mądrości). Otulone ładną melodią ubóstwo zajmuje zatem honorowe miejsce pośród innych nieszczęść, o których chętnie śpiewają biesiadnicy, jak klęski wojenne, katastrofy morskie i złamane serca – a nawet sama śmierć.

William nieco nerwowo rozgląda się w poszukiwaniu damskiej klienteli. Przy stolikach widać wiele kobiet, ale wszystkie zdają się mieć towarzystwo – być może Sugar jest którąś z nich, choć jeśli tak, to znaczy, że niczym robaka dopadł ją już jakiś żwawy ptaszek. (A może raczej na odwrót?) Poprzez mgiełkę cygarowego dymu, nie licząc innych przeszkód, William powtórnie przypatruje się siedzącym wokół kobietom tak badawczo, jak może. Żadna niewieścia postać, którą widzi, nie odpowiada rysopisowi Sugar, nawet biorąc pod uwagę, że *Dalsze hulanki...* mogły naginać prawdę.

William woli wierzyć, że Sugar jeszcze nie przyszła. To dobrze: uszy przestały go palić i (jeśli Bóg pozwoli) ochłoną do czasu, kiedy będzie próbował zrobić dobre wrażenie na tej dziewczynie.

Popija piwo, które smakuje mu tak bardzo, że wychyla cały kufel i natychmiast zamawia następny. Kelnerka ma zgrabną figurę – William życzyłby sobie, żeby obnażone ciało Sugar okazało się tak ładne choć w połowie.

– Dziękuję, dziękuję. – William mruga, ale kelnerka obsługuje już innego gościa. *Così fan tutte*, co? William rozsiada się wygodnie, żeby wysłuchać kolejnej piosenki tenora.

*Kiedyś jadł będę bazylię i kuropatwy,
Pił koktajle w pięknych kielichach z kryształu,
Jadł pieczone prosiaki z jabłuszkami w ryjkach
I srebrnymi rożnami w ich przekłutych tyłkach...*

Bywalcy pubu rechoczą ze śmiechu: jest to najnowszy szlagier rubasznych sprzedawców nut z Seven Dials.

*Mój rodzynkowy pudding będzie taki wielki,
Ze czterech lokajów będzie musiało go nieść!
Lecz teraz starczy piwo i zapiekanki kęs niewielki,
Bo mój statek jest wciąż daleko w morzu gdzieś.
– Och! – Publiczność dołącza do śpiewaka. – Mój statek jest wciąż
daleko w morzu gdzieś,
Albowiem spóźni się;
Mój statek z daleka gdzieś
Przypłynie lada dzień.
A kiedy przypłynie, uśmiech na mych ustach
Nigdy nie zaginie.
Ale mój statek – ale mój statek jest -
Mój statek jest wciąż daleko w morzu gdzieś!*

William chichocze. Nieźle, nieźle! Jak to się stało, że nie słyszał dotąd o „Fireside”? Czy Bodley i Ashwell znają ten pub? A jeśli nie, co powinien im o nim opowiedzieć?

Cóż... oczywiście, „Fireside” znajduje się o kilka szczebli niżej od lokali najwyższej klasy – ładnych kilka szczebli niżej. Jest jednak o niebo lepszy niż niektóre z tych żalonych przybytków, do których ciągnęli go nieraz Bodley i Ashwell. („To tutaj, Bill, jestem prawie pewien!”; „Jak to, prawie?”; „No, gdybym chciał się upewnić całkowicie, musiałbym położyć się na podłodze i popatrzeć w sufit”). „Fireside” nie kalają żadne sprzęty i naczynia, które można by określić jako zbyt pospolite: nie widać cynowych kufli, tylko szlachetne szkło, piwo zaś jest lekkie i pienne. Posadzka jest w większości wyłożona terakotą, nie drewnem, i nigdzie nie widać sztucznych marmurów. Ponadto, co najbardziej znamienne, w przeciwieństwie do pubów uczęszczanych przez ludzi niskiego stanu, „Fireside” nie jest czynny przez całą dobę, lecz skromnie – do północy. Ta okoliczność jest zaś na rękę Rackhamowi: tym krócej bowiem będzie musiał czekać na swego słodkiego Kopciuszka.

*Millie, moja żona, życiem będzie zachwycona
I nowe przyjmie imię Oktawii.
Koniec harówki, od mego noża nikt nie skona,
Gdy zamieszkamy elegancko w Belgravii.
Urosną nam brzuchy, zaprosimy swych druhów.
Czekam już na to jak pies,
Ale czas tracę, Boże, w tej śmierdzącej norze,
Bo mój statek jest wciąż daleko gdzieś.*

Pora na refren, który bywalcy pubu śpiewają z zapałem. William jedynie nuci, nie chcąc

zwracać na siebie uwagi. (Ach, czy nie śpiewał jednak kiedyś sprośnych piosenek, głośniejszym i głębszym barytonem niż... och, przepraszam, to już przecież słyszałeś...)

Kiedy piosenka wybrzmiewa, Rackham klaszcze wraz z innymi. Następuje wymiana gości, bo jedni wstają do wyjścia, a inni wchodzą do środka. Pochylając się nad kuflem, Rackham usiłuje nie spuszczać oka z nikogo, kto nosi suknie, ma bowiem nadzieję, że wreszcie po raz pierwszy ujrzy dziewczynę „z orzechowymi oczami o niezwykle przenikliwym wejrzeniu”. Jednakże jego własne wejrzenie jest chyba bardziej przenikliwe, niż sobie wyobraża, bo kiedy wzrok Williama spoczywa na chwilę na trzech samotnych młodych kobietach, wszystkie natychmiast podrywają się z miejsc.

Próbuje odwrócić wzrok, ale jest już za późno: zacierają prosto na niego niczym falanga tafty i koronek. Uśmiechają się – za bardzo odsłaniając uzębienie. Prawdę mówiąc, te kobiety wszystkiego mają za dużo: spod ich przesadnie strojnych czepków wylewa się za dużo włosów, policzki nieznanomych pokryte są zbyt grubą warstwą pudru, ich suknie zdobi zbyt wiele kokard, a wokół zaciśniętych różowych dłoni wirują nieco zbyt obwisłe mankiety, przywodzące na myśl Kolombinę.

– Dobry wieczór, panie, czy możemy się przysiąść?

Williamowi nie wypada im odmówić jak sprzedawcy nut: nie pozwalają mu na to zasady etykiety – a może prawo natury? Uśmiecha się i kiwa głową, kładąc swój nowy kapelusz na kolanach, boi się bowiem, że któraś z nich na nim siądzie. Jedna z dziwek z rozmachem sadzi się tam, gdzie leżał przed chwilą kapelusz, a jej dwie towarzyszki przepychają się, żeby zająć pozostałe miejsca.

– To dla nas zaszczyt, panie.

Są dosyć ładne, choć podobałyby mu się bardziej, gdyby nie wystroili się jak na wizytę w łoży operowej, a bijący od nich zapach nie był tak ciężki. Siedzą ciasno stłoczone obok siebie i pachną niczym wózek pełen ciętych kwiatów w dżdżysty dzień – William jest ciekaw, czy ten zapach to przypadkiem nie perfumy Rackhama. Jeżeli tak, to ojciec powinien odpowiadać nie tylko za skąpstwo.

Powtarza sobie jednak, że te dziewczyny o jędrnych jak brzoskwinie ciałach i nieskazitelnej cerze są nieprzeciętnie urodziwe – być może cenią się nawet wyżej niż Sugar. Chodzi tylko o to... że jest ich jakby za dużo, kiedy tak siedzą stłoczone na zbyt małej przestrzeni.

– Za przystojnyś, panie, żeby siedzieć samotnie.

– Takiemu mężczyźnie jak ty, panie, powinna wisieć na ramieniu ładna kobieta albo nawet trzy.

Trzecia dziewczyna parska tylko, bo towarzyszki przelicytowały ją błyskotliwością.

William unika wzroku dziwek, bojąc się, że zauważy w ich jasnych oczach arogancję i bezczelność plebejuszy, którzy próbują siłą przejąć władzę z rąk panów. Sugar chyba nie będzie zachowywać się w ten sposób? Niech lepiej uważa.

– Panie mi pochlebiają – mówi William, odwracając wzrok w poszukiwaniu ratunku.

Siedząca najbliżej dziwka nachyla się jeszcze bliżej, wydyma otwarte usta, niemal muskając jego wargi, i mówi głośnym szeptem:

– Chyba nie czekasz na przyjaciela?

– Nie – mówi William, nerwowo przyglądając włosy z tyłu głowy. Czyjego czubata czupryna upodabnia go do sodomity? Czy nie powinien był zachować długich włosów? A może raczej należało obciąć je jeszcze krócej? Boże, czy będzie musiał ogolić głowę na tyso, żeby poskromić swoją upokarzającą fryzurę? – Czekam na dziewczynę imieniem Sugar.

Wszystkie trzy dziwki eksplodują gestami, mającymi świadczyć o tym, że czują się urażone i zawiedzione. – A ja ci nie wystarczę, złotko?

– Złamałeś mi serce, panie! – I tak dalej.

Rackham nie odpowiada, ciągle wpatrując się w drzwi z nadzieją, że w ten sposób da do zrozumienia pozostałym klientom, iż nie ma z tymi kobietami nic wspólnego. Jednak im dalej się odsuwa, tym dziwki przysuwają się bliżej.

– Sugar, co?

– Prawdziwy znawca z ciebie.

Od pobliskiego stolika dobiega prostacki śmiech, na którego dźwięk Williama przebiega dreszcz. Tenor robi sobie przerwę – czy teraz klientela pubu zamierza bawić się upokorzeniem

nieszczęsnego Rackhama? Obrzuca wzrokiem ciżbę tutejszych bywalców, ale ci, którzy się śmieją, siedzą tyłem do niego. I śmieją się z kogoś innego.

– A co ty lubisz, co? – pyta pogodnie jedna z dziwek, jak gdyby próbowała się dowiedzieć, jaką pija herbatę. – Dalej, panie, mnie możesz powiedzieć. Mów zagadkami, zrozumieć.

– Nie trzeba – oświadcza dziwka, siedząca najbliżej Williama. – Wiem, co on lubi. Widzę to w jego oczach. – Zaintrygowane towarzyski odwracają się ku niej, a dziwka zawiesza głos, czekając na odpowiedni moment niczym komik z teatryku rewiowego, potem zaś oświadcza chętnie i bez ogródek:

– Bo ja mam... taki dar. Tajemny, wiesz czy dar.

Wtedy wszystkie trzy zaczynają się bezwstydnie śmiać z otwartymi ustami, a ich rozbawienie staje się po kilku chwilach niemal histeryczne.

– No, więc czego on chce? – pyta z niejakim wysiłkiem jedna z nich, ale wieszczka, która skręca się ze śmiechu, ma trudności z odpowiedzią.

– Hrrr... hrrr... hmmm... – mówi, ocierając oczy. – Oho! Ty niegrzeczna, niegrzeczna dziewczynko! Jak możesz nawet pytać? Co sekret, to sekret, prawda, panie?

William zwija się ze wstydu. I znów płoną mu uszy.

– Doprawdy – mruczy. – Wydaje mi się, że to niestosowne.

– Święta racja, święta racja, panie – odpowiada dziwka i ku radości swoich towarzyszek udaje, że zagląda ukradkiem w serce Williama, a potem cofa się, burleskowo wstrząśnięta, na widok tego, co tam zobaczyła. – Och, nie, panie – sapie i zasłania usta zwisającymi palcami. – Może faktycznie poczekaj lepiej na Sugar.

– Nie zwracaj na nią uwagi, panie – mówi druga dziwka. – Przez cały dzień gada głupstwa. Dalej, złotko, może jednak spróbujesz ze mną? – Dziewczyna gładzi się po szyi opuszkami palców. – Wcale nie dostałbyś gorszego towaru. Dorównuję każdej dziewczynie od pani Castaway.

William rzuca znów tęskne spojrzenie ku drzwiom. Jeśli poderwie się teraz z miejsca i zniknie pędem z „Fireside”, czy wszyscy mężczyźni, kobiety i zwierzęta, siedzący w pubie, nie rykną głośnym śmiechem?

– Spokojnie – mówi jedna z dziewczyn, która krzyżuje ramiona na stole i stara się jak najlepiej wyeksponować pomiędzy nimi swój biust, osłonięty modnym, obcisłym stanikiem. – Spokojnie, opowiedz nam coś o sobie, panie. – Figlarność znika nagle z jej twarzy i dziewczyna sprawia wrażenie niemal obojętnej.

– Niech zgadnę – mówi ta, która wydawała mu się nieśmiała. – Jesteś pisarzem.

Ten niezobowiązująco rzucony epitet sięga twarzy Williama niczym policzek – albo pieszczota. Urzeczony, nie jest w stanie zrobić nic innego poza tym, że odwraca się do dziewczyny i odpowiada: „Tak”.

– Masz pewnie ciekawe życie – ocenia wieszczka.

Wszystkie trzy poważnieją, skwapliwie usiłując wynagrodzić Williamowi to, że naruszyły jego godność osobistą.

– Pisuję dla co lepszych miesięczników – wyjaśnia William. – Jestem krytykiem... i powieściopisarzem.

– Rozumie się. Co napisałeś, na przykład?

William wybiera tytuł jednego z licznych dzieł, które zamierza pewnego dnia napisać.

– *Mamona obalona* – mówi.

Dwie dziewczyny tylko uśmiechają się szeroko, ale ta nieśmiała porusza ustami jak ryba, sprawdzając w milczeniu, czy zdoła powtórzyć tak egzotyczny tytuł. Żadna z dziwek nie zamierza jednak wspomnieć, że w „Fireside” roi się od krytyków i powieściopisarzy *in spe*.

– Moje nazwisko Hunt – zmyśla dalej William. – George W. Hunt.

W głębi duszy, w cieniu ojcowskiej pogardy, przypada do ziemi ze wstydu jak pies albo komediant. *Wracaj do domu i oddaj się lekturze cen nawozu!*, słyszy nachalny rozkaz, który tłumi jednak haustem piwa.

Najodważniejsza dziwka mruży powieki w zadumie, jak gdyby jakaś zagadka nie dawała jej spokoju.

– Znaczy pan ‘Unt chce Sugar – mówi. – I tylko Sugar. Czego więc, ach, czego chce pan ‘Unt? Hmm?

Siedząca obok przyjaciółka odpowiada błyskawicznie.

– Pewnikiem chce z nią porozmawiać o książkach.

– Rozumie się.

– Znaczy nasz Georgie nie ma przyjaciół między krytykami. – To smutne.

Osaczony Rackham uśmiecha się stoicko. Do pubu, jak mu się wydaje, już od dłuższego czasu nie wszedł żaden nowy gość.

– Ładną mamy pogodę – ni z tego, ni z owego zauważa najmniej odważna dziwka. – Całkiem niezłą jak na listopad.

– Jak kto lubi śnieg i deszcz – mruży jedna z jej towarzyszek, leniwie unosząc fałdy sukni, na której piętrzą się górskie szczyty serży.

– Pamiętaj, nasz pan ‘Unt ma osobliwy gust.

– Narychtowałaś już wszystko na święta, co, panie?

– A nie chciałbyś odpakować prezentu jeszcze przed świętami? – Różowe palce dziwki znacząco skubią szal, a William ponownie spuszcza wzrok i wbija go w podłogę.

– Może nie przyjdzie – sugeruje najśmielsza z dziwek. – Sugar, znaczy się.

– Cśśś, nie drażnij się z nim.

– Ze mną byłoby ci lepiej, złotko. Wiem to i owo o literaturze. Spałam ze wszystkimi wielkimi pisarzami. Z Charlesem Dickensem też.

– On chyba już nie żyje?

– Ta część jego ciała, którą ssałam, z pewnością żyła, kochanie.

– Dickens nie żyje od pięciu lat albo i dłużej. Głupia jesteś.

– Mówię ci, to był on. Nie powiedziałam przecież, że spałam z nim w zeszłym tygodniu, nie? – Dzwonka żałośnie pociąga nosem. – Byłam jeszcze dzieckiem.

Jej koleżanki prychną, a potem, jak na komendę, wszystkie trzy poważnieją, pochylają się ku Williamowi i kusząco przekrzywiają główki. Przypominają do złudzenia wczorajsze fałszywe „bliźniaczki”, do których dołączyła dziś kolejna siostra – trzecia, niejadalna łyżka słodkiego deseru.

– Wszystkie trzy naraz w cenie jednej – mówi wieszczka, oblizując usta. – Może być?

– To str... – jąka się Rackham. – To strasznie kuszące, naprawdę. Musicie jednak zrozumieć...

W tym momencie otwierają się drzwi i do pubu wchodzi samotna kobieta. Wraz z nią wpada do środka powiew świeżego powietrza i wycie zawieruchy, ucięte w pół jak stłumiony dźwięk krzyk, kiedy zamykają się drzwi. Kir cygarowego dymu na moment ustępuje, a potem miesza się z zapachem deszczu.

Kobieta jest od stóp do głów ubrana na czarno – nie, na ciemnozielono – to pociemniała na ulewnym deszczu zieleń. Ma przemoczone ramiona, jej wystające obojczyki opina ciasno stanik; chude ramiona nieznajomej osłania jakby warstwa cętkowanych alg. Rozbryzgi niewchłoniętej przez ubranie wody połyskują wciąż na jej niewymyślnym czepku, z którego zwisa szary, przezroczysty welon. Z pojedynczych pasemek bujnych, zmierzwionych włosów kobiety, w tej chwili nie płomiennorudych, lecz czarnopomarańczowych niby dogasające węgle, skapują krople wody.

Przez chwilę nieznajoma otrząsa się, rozdrażniona niby pies, ale szybko odzyskuje panowanie nad sobą. Zwraca się w stronę baru, pozdrawia szynkarza i unosi ramiona, żeby podnieść welon. Jej wystające łopatki poruszają się pod przemoczoną suknią, kiedy odsłania twarz, której Rackham wciąż jednak nie widzi. Wzdłuż pleców nieznajomej ciągnie się ku dołowi długa plama wilgoci, przypominająca język albo grot strzały, wskazującej suknię.

– Kto to jest? – pyta William.

Trzy dziwki wzdychają niemal *unisono*. – To ona, złotko.

– Do roboty, panie ‘Unt. Miłej krytyki.

Sugar odwraca się i rozgląda w poszukiwaniu wolnego miejsca. Najśmielsza z dziwek, wieszczka, wstaje i macha do niej, wskazując stolik Williama.

– Sugar, kochanie! Tutaj! Poznaj... pana ‘Unta.

Sugar podchodzi wprost do stolika Williama, jak gdyby od początku był jej przeznaczony. Chociaż powinna odpowiedzieć na powitanie dziwki, nie zwraca na nią uwagi, lecz wpatruje się w Rackhama. Staje przed nim niemal na wyciągnięcie ręki i przygląda mu się spokojnie orzechowymi oczami, które – zgodnie z tym, co obiecywały *Dalsze hulanki w Londynie* – istotnie chwilami zdają się złociste, w każdym razie w świetle lamp w „Fireside”.

– Dobry wieczór, panie Hunt. – Jej głos nie brzmi zbyt kobieco, jest nawet nieco chrapliwy, lecz całkowicie pozbawiony charakterystycznej dla ludzi z niższych sfer nuty prostactwa. – Nie chciałabym przeszkadzać panu i pańskim przyjaciółkom.

– My już idziemy – mówi wieszczka, wstając i pociągając za sobą towarzyszek, które podnoszą się jak marionetki. – On szuka ciebie. – I z tymi słowami, podciągając w górę taftowe zakładki sukni, trzy dziwki odchodzą.

Nie przeszkadzaj sobie, nie patrz nawet za nimi – to całkowicie poboczne postaci (czyż nie ma im końca?), które nie będą nam już dłużej potrzebne. William przygląda się kobiecie, którą przyszedł tu spotkać, i nie wie, czy jej twarz jest irytująco niedoskonała (za szerokie usta, za szeroko rozstawione oczy, spierzchnięta cera, piegi), czy może najpiękniejsza, jaką w życiu widział. Z każdą kolejną sekundą jest bliższy rozstrzygnięcia tego dylematu.

Na jego prośbę Sugar siada obok. Mokra suknia chrzęści i szeleści, a ciało dziewczyny pachnie świeżym deszczem i potem. Wygląda na to, że biegła – czego nigdy, ale to nigdy nie zrobiłaby żadna uczciwa kobieta. Jednakże rumieniec, jakim pokryła się jej twarz po biegu, jest cholernie uroczy, a Sugar pachnie bosko. Kilka kosmyków włosów wyswobodziło się z jej fantazyjnie wystylizowanej grzywki i teraz kołysz się na wysokości oczu dziewczyny, która leniwym ruchem dłoni przesuwając je łagodnie ku gęstym krańcom brwi. Uśmiecha się, dzieląc z Williamem smutne przekonanie, że kiedy plany życiowe człowieka biorą w łeb, nie można mieć nadziei na zbyt wiele.

Sugar niewątpliwie nie wygląda teraz jak dama, ale pod każdym innym względem sprawia wrażenie osoby dobrze urodzonej. A jednak... Jakże może być jej pochodzenie? Może jest córką jakiejś cudzoziemskiej pary królewskiej, wypędzonej podczas niespodziewanej rewolty, może uciekała nocą przez las z wysoko podniesioną głową, zachowując monarszą postawę nawet wtedy, kiedy włosy opadały jej na twarz, i dumnie prostowała ramiona, kiedy krzątał się wokół niej ranny sługa, usiłując okryć ją swoim futrzanym płaszczem... (Proszę, pozostań z Williamem, jeśli potrafisz go ścierpieć, kiedy na chwilę puszcza wodze fantazji. Na początku lat sześćdziesiątych, zamiast studiować wojenne kłeski Hetytów, czytał mnóstwo pikantnych powieści francuskich).

Ubranie Sugar paruje – z jej czepka i wystających spod niego kosmyków unosi się aureola pary wodnej. Dziewczyna nieznacznie przechyliła głowę na bok, jak gdyby chciała zapytać: „No i co dalej?”, a wtedy William spostrzega, że wysoki kołnierzyk stanika nie zakrywa w całości jej długiej szyi. Sugar ma jabłko Adama, jak mężczyzna; tak, już zdecydował – jest najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widział.

Ku swemu zdumieniu stwierdza, że oneśmiela go jej zachowanie – Sugar zdaje się damą w każdym calu, do tego stopnia, że trudno mu jest sobie wyobrazić, aby mógł ją zbezcześcić. Smukła, gibka figura dziewczyny, chociaż zwodniczo czarująca, komplikuje tylko sytuację, albowiem obcisła suknia Sugar przylega do niej jak pozbawiona szwów skóra, a zatem można by sądzić, że nie da się jej rozebrać.

Nurtujące go rozterki William wyraża w następujący sposób:

– Nie wiem, czy zasługuję na ten zaszczyt.

Sugar pochyla się nieco do przodu i cicho, jak gdyby dzieląc się z nim jakąś uwagą o ich wspólnym znajomym, który wszedł właśnie do pubu, mówi:

– Nie obawiaj się, panie. Dokonałeś właściwego wyboru. Zrobię wszystko, czego ode mnie zażadasz.

Kilka zwyczajnych zdań, wyszeptanych na tle paplaniny w zatłoczonym barze – czy jednak ktoś słyszał kiedyś bardziej niedwuznaczną przysięgę małżeńską?

Pojawia się kelnerka, niosąc napój, który Sugar zamówiła przy barze. Jest bezbarwny, przezroczysty i niemal pozbawiony bąbelków, nie może więc to być piwo. A jeśli jest to gin, z dawien dawna ulubiony alkohol prostytutek, to William nie czuje jego zapachu. Czyżby więc była

to... woda?

– Jak się do ciebie zwracać? – zastanawia się głośno William, wspierając podbródek na splecionych dłoniach, jak kiedyś w czasach studenckich. – Oprócz imienia masz chyba jakieś nazwisko...

Sugar uśmiecha się. Jej wargi są spierzchnięte nie do opisanego – przypominają białą korę drzewa. Dlaczego wydają mu się raczej piękne niż brzydkie? Nie umie tego pojąć.

– Nazywam się po prostu Sugar, panie Hunt. Chyba że jest jakieś szczególne imię, pod którym chciałbyś mnie znać?

– Nie, nie – zapewnia ją William. – Niech będzie Sugar.

– Ostatecznie, cóż znaczy nazwa? – zauważa dziewczyna, unosząc krzaczastą brew. Czy to możliwe, by cytowała Shakespeare'a?⁴ To z pewnością przypadek, ale jak ona ślicznie pachnie!

Pubowy tenor zaczyna znowu zawodzić. William czuje, że bar staje się cieplejszy i bardziej przyjazny – światła zdają się jarzyć złością, cienie przybierają głęboki ciemnobrązowy kolor, a wszystkim w wielkiej sali zdają się jaśnieć oczy, gdy się uśmiechają do swoich towarzyszy. Drzwi otwierają się teraz co chwila i do środka wchodzi coraz bardziej elegancko ubrani ludzie. Harmider, jaki powstaje, kiedy przybywa klientów, gwar rozmów i głos śpiewaka, który usiłuje je przekrzyknąć, tworzą taki zgiełk, że William i Sugar muszą pochylać się blisko ku sobie, żeby spokojnie rozmawiać.

Wpatrując się w jej oczy, tak wielkie i błyszczące, że widzi w nich odbicie własnej twarzy, William Rackham odkrywa na nowo ulotną radość bycia Williamem Rackhamem. Spośród bogatych zasobów własnych zachowań wyizolowuje postawę błędną niby ogień, napędzaną alkoholem i kruchą, którą uważa za wyraz swojego prawdziwego „ja”, różniącego się znacznie od tyjącego pączka, którego ogląda codziennie rano w lustrze. Lustro nie może kłamać, a jednak kłamie, kłamie! Nie odbija bowiem podobnego płomieniowi przeznaczenia, uwięzionego w sfrustrowanej duszy. Bo William powinien być Keatsem, Bulwer Lyttonem, a nawet Chattertonem, tymczasem zaś, przynajmniej zewnątrz, przekształca się w magiczny sposób w obrzydliwą kopię swojego własnego ojca. Doprawdy, rzadko zdarzają mu się chwile, w których może oświecać oczarowaną publiczność obiecującym blaskiem swojej młodości.

Rackham rozmawia z Sugar i wraca do życia, przez kilka ostatnich lat był bowiem martwy, martwy! Dopiero teraz gotów jest przyznać, że przebywał w podziemiu, ukrywając się ze strachu przed wszystkimi, których warto znać, i celowo unikając wesołego towarzystwa – a właściwie każdego towarzystwa, które mogłoby go skusić albo zażądać, by... Cóż, inaczej mówiąc, zuchwała obietnica, płynąca z ust złotowłosego młodzieńca, w ustach mężczyzny o siwiejących bokobrodach i pączkującym, potrójnym podbródku brzmi jak zwyczajne, śmieszne samochwalstwo. A William już od dawna zadowala się monologami wewnętrznymi albo fantazjami, snutymi na parkowych ławkach i muszlach klozetowych, gdzie nie jest narażony na chichot i ziewanie.

W towarzystwie Sugar czuje się jednak inaczej: wsłuchuje się w siebie i dostrzega z ulgą, że jego głos potrafi wciąż czarować. Tokuje, otoczony delikatną mgiełką bijącej od Sugar pary: przemawia płynnie, urzekająco, inteligentnie, błyskotliwie i z wielką wrażliwością. Wyobraża sobie, że z jego oblicza emanuje młodość, a włosy samoistnie wygładzają mu się i układają w fale, jak fryzura Swinburne'a.

Sugar, ze swej strony, nie ma żadnych wad – na każdym kroku okazuje mu szacunek, jest łagodnie pogodna, troskliwa i przymilna. William sądzi, że może nawet przypadł jej do gustu. Takiego śmiechu z pewnością nie można udawać, a owej iskierki w spojrzeniu – identycznej jak ta, którą wzbudzał przed laty w oczach Agnes – z pewnością nie da się podrobić.

Ku swemu zdumieniu i głębokiej satysfakcji, William naprawdę zaczyna jednak rozmawiać z Sugar o książkach, jak to złośliwie przewidziały dziwki. Ależ ta dziewczyna to istny geniusz! Wie zdumiewająco dużo o literaturze, brakuje jej jedynie znajomości łaciny, greki i instynktowej, typowej dla mężczyzn umiejętności odróżniania dzieł ważkich od poślednich. Jeśli liczyć ogólną sumę stron, to zdaje się, że przeczytała prawie tyle, co on (choć część tych lektur, rzecz

4 William Shakespeare, *Romeo i Julia*, akt II, sc. 2, przeł. St. Barańczak (przyp. tłum.).

nieunikniona, stanowią rozmaite bzdury, pisane przez kobiety i dla kobiet – jak opowieści o nieśmiałych guwernantkach i tym podobne głupstwa). Ale Sugar jest także dobrze czytana w autorach, których William darzy ogromnym szacunkiem – no i uwielbia Swifta! Swifta, jego ulubionego pisarza! Dla większości kobiet, w tym niestety dla Agnes, Swift to tylko nazwa pastylki przeciwkaszlowej albo ptaka, którego można wypchać i nosić w charakterze ozdoby na czepku⁵. Jednak Sugar... Sugar potrafi nawet wymówić słowo „Hoyhnhnms”, i – Boże – czyż jej usta nie układają się w prześliczny ciup, kiedy to mówi? No, a poza tym Smollett! Czytała *Peregryna Pickle'a*, a co więcej, potrafi inteligentnie rozprawiać o tej książce – z pewnością równie inteligentnie jak on, gdy był w jej wieku. (Ile ona ma lat? Nie, nie śmie o to zapytać).

– Ależ to niemożliwe! – oświadcza poważnie Sugar, kiedy William przyznaje, że nie czytał jeszcze Jamesa Thomsona *The City of Dreadful Night*, chociaż od publikacji tomiku minął już cały rok. – Musisz być bardzo zajęty, panie Hunt, skoro tak długo nie mogłeś zaznać tej wielkiej przyjemności!

Rackham usiłuje przypomnieć sobie recenzje.

– Autor jest synem marynarza, prawda? – ryzykuje.

– Sierotą, sierotą – odpowiada z entuzjazmem Sugar, jak gdyby chodziło o największe w świecie wyróżnienie. – Pracował na posadzie nauczyciela w wojskowym domu dla obłąkanych. Ale ten poemat to cudo, panie Hunt, prawdziwe cudo!

– Niewątpliwie spróbuję znaleźć czas... Nie, na pewno go znajdę, żeby przeczytać ten utwór – mówi William, ale Sugar nachyla się do jego ucha, żeby oszczędzić mu zachodu:

– *Ogniste oczy* – recytuje gardłowym szeptem, choć wystarczająco głośno, żeby zagłuszyć śpiew i rozbrzmiewające wszędzie wokół rozmowy.

*Patrzyły, gniewnie pulsując pożądania głodem;
Mięsożerny, chrapliwy oddech ciężki
Tchnął gorąco z głębi paszczy śmierci;
Pazury ostre, szpony chyże, ręka bez ciała
Szarpała mnie zza krzaków i zatrzymać chciała:
Lecz ja dalej niezłomny kroczyłem;
Bez lęku, bo bez nadziei żyłem.*

Zdyszana z emocji, Sugar spuszcza wzrok.

– Dziwne, że ta ponura poezja należy do najbardziej ulubionych lektur tak pięknej kobiety jak ty – komentuje William.

Sugar uśmiecha się smutno.

– Życie bywa ponure – mówi. – Zwłaszcza kiedy trudno w nim o odpowiednich towarzyszy. Takich jak ty, panie.

William ma ochotę zapewnić ją, że jego zdaniem *Dalsze hulanki w Londynie* nawet w połowie nie oddają jej sprawiedliwości, nie może się jednak zmusić, żeby to powiedzieć. Rozmawiają więc dalej o prawdzie i pięknie, o dziełach Shakespeare'a i o tym, czy w dzisiejszych czasach można jeszcze odróżnić mały kapelusz od czepka.

– Patrz, panie – mówi Sugar i zsuwa czepkę głęboko na czoło. – Teraz to kapelusz. A popatrz jeszcze raz... – zsuwa czepkę z powrotem na tył głowy. – Teraz to znowu czepka!

– To czary – uśmiecha się szeroko William; i ma słuszość.

Ta drobna demonstracja absurdalności mody jeszcze bardziej rozwichrza włosy Sugar. Gęsta grzywka, teraz już całkiem sucha, opada jej na oczy. William na poły z odrazą, na poły z uwielbieniem przygląda się Sugar, która wysuwa dolną wargę najdalej, jak potrafi, po czym dmucha w górę. Złocisto-rude loki z trzepotem sfruwają z jej czoła, odsłaniając oczy dziewczyny. William w łagodnym zadziwieniu patrzy, jak szeroko, nie, jak idealnie szeroko, są rozstawione.

– Czuję się tak, jak gdybym starał się o twoją rękę – mówi, sądząc, że może rozbawi Sugar i

5 Swift (ang.) – jerzyk (przyp. tłum.).

sprowokuje ją do śmiechu.

Ale ona odpowiada z całą powagą:

– Pochlebia mi, panie Hunt, że mógłbyś mnie w ten sposób potraktować.

To ostatnie słowo zawisa na chwilę w zadymionym powietrzu, przypominając Williamowi, po co tu dzisiaj przyszedł i dlaczego szukał właśnie Sugar. Znów wyobraża sobie, w jaki sposób pragnął – nie, nadal pragnie, do diabła – obejść się z kobietą. Czy nadal może ją poprosić, aby zrobiła to, czego sobie życzy? Wspomina, że powiedziała, iż zrobi wszystko, absolutnie wszystko, o co ją poprosi – po czym na nowo rozkoszuje się smakiem uroczystej powagi tego zapewnienia...

– Więc może powinnaś już zabrać mnie do domu i... przedstawić rodzinie – ośmiela się zaproponować William.

Sugar kiwa powoli głową, na wpeł przymykając powieki. Wie, kiedy przychodzi pora na proste, milczące przyzwolenie.

Zresztą i tak zbliża się już pora zamknięcia pubu. Rackham domyśliłby się tego, nawet nie patrząc na zegarek, bo oto na scenie w „Fireside” śpiewak o falującej piersi dzieli się uczuciowym porywem swojej duszy z ostatnimi, podchmielonymi gośćmi. Bywalcy tworzący teraz piwną konfraternię porykują mniej więcej *unisono* do wtóru jego szczebiotliwemu głosowi, a kelnerki wyjmują puste szklance z ich słabnących garści. Rozbrzmiewa stara, poruszająca, marna piosenka, którą cały świat, czyli cała Anglia, śpiewa zawsze tuż przed zamknięciem pubów:

*Waleczne serca to nasze okręty,
A nasi ludzie to weseli majtkowie:
Zawsze jesteśmy gotowi,
Zawsze jesteśmy bojowi,
Naprzód, zwyciężymy, jak nasi ojcowie!*

– Ostatnia kolejka, panie i panowie!

William i Sugar dźwigają się z miejsc – zbyt długo rozmawiali i zeszywniali im mięśnie. Rackham stwierdza, że ścierpły mu genitalia, choć słabe elektryzujące mrowienie między nogami uspokaja go, że znieczulenie przestanie wkrótce działać. Tak czy owak, nie spieszy mu się już tak szaleńczo, by dokonywać czynów bohaterskiej rozpusty; nadto nie spytał Sugar jeszcze, czy czytała Flauberta...

Sugar zwraca się do wyjścia. Wieczór był na tyle długi, że brzemień deszczu wyparowało całkowicie z jej sukni, więc toaleta dziewczyny wydaje się teraz jaśniejsza, zielona i gdzieś tam bladoszara. Siedziała jednak tak długo w mokrych spódnicach, że utworzyły się w nich nieregularne, nierówne, trójkątne fałdy biegnące w górę, ku jej zakrytym pośladkom, i Rackham odczuwa dziwny przypływ opiekuńczości wobec Sugar, ponieważ dziewczyna nie zdaje sobie sprawy, że ma wygniecioną suknię – chciałby więc kazać Letty wyprasować ją i przywrócić jej schludny wygląd, zanim rozdzieje z niej swoją nową znajomą raz na zawsze. Obezwładnia go tkliwość, toteż kiedy idzie za Sugar przez pub, wpada na puste stoliki i nie-zajęte krzesła. Kiedy ci wszyscy ludzie zdążyli stąd wyjść? Nie widział, jak wychodzili. Ile wypił? Sugar, wyprostowana jak świeca, bez słowa zmierza wprost do wyjścia. William spieszy za nią, wdychając głęboko powietrze, które dziewczyna wpuszcza do wnętrza, otwierając drzwi.

Deszcz już nie pada. Jarzą się gazowe latarnie, chodniki lśnią, a większość przekupniów udała się na nocny spoczynek. Tu i ówdzie pod świecącymi żółtawo latarniami kręcą się kobiety nie tak piękne jak Sugar. Mają kwaśne miny, są pospolitej urody, a popyt na nie jest mniejszy niż ich podaż.

– Czy to daleko? – zagaduje Rackham, kiedy skręcają za rogiem w Silver Street.

– Och, nie – odpowiada sunąca dwa kroki przed nim Sugar, która niemal macierzyńskim gestem wyciąga dłoń za siebie i przebiera w powietrzu palcami, jak gdyby spodziewała się, że William niby dziecko weźmie ją za rękę. – Blisko, bardzo blisko.

Czasem, żeby zauroczenie rozkwitło cudownie szybko, wyłaniając się niby pączek jasnorożowego ciała spod odciąganego napletka, wystarczy zaledwie kilka słów, jeżeli wypowiada je właściwa osoba w odpowiedniej chwili. A owe magiczne słowa nie muszą wcale brzmieć: „Kocham cię”. W wypadku panny Sugar i George’a W. Hunta, którzy zapuszczają się w ciemne, mokre po ulewnym deszczu ulice, idąc ramię przy ramieniu pod gazowymi latarniami i suchym, pustym niebem, tych kilka magicznych słów brzmi: „Patrz pod nogi”.

Wypowiada je Sugar – bierze swojego towarzysza za rękę i na moment przyciąga go do siebie, żeby nie wdepnął w placek drżących na bruku kremowych wymiocin. (Są prawdopodobnie brunatne, ale światło latarni nadaje im żółtawe zabarwienie). William rejestruje wszystko jednocześnie: ledwie widoczne w jego własnym, rozciągniętym na ziemi cieniu rzygowiny; swoje nogi, kiedy zaplątuje się w rąbek sukni Sugar iomal nie pada na ziemię; delikatne szarpnięcie dłoni; cichy gwar obcych głosów gdzieś w pobliżu; orzeźwiający chłód, który ogarnia go po alkoholowym cieple pubu, i trzy wspomniane słowa: „Patrz pod nogi”.

Gdyby wypowiedział je ktoś inny, nie Sugar, brzmiałyby jak ostrzeżenie albo pogróżka, ale te słowa, rodzące się w krtani szczupłej szyi dziewczyny, modułują przecieź jej usta, są zatem zaproszeniem do bezpiecznego schronienia, szeptanym powitaniem w zaczarowanym uścisku, chroniącym przed wszelkim nieszczęściem, i pełną czułości prośbą, by trzymał się mocno znającej drogę kobiety. William puszcza jej rękę, obawiając się, że nawet o tak późnej i nadzwyczajnej godzinie może natknąć się przypadkiem na któregoś ze swych cnotliwych znajomych. Ale oswobodzona dłoń swędzi go przez skórę rękawiczek jakby w powidoku uścisku ręki Sugar – mocnego niczym uścisk pewnego siebie młodzieńca.

Patrz pod nogi. Te słowa wciąż powracają echem w jego myślach. Jej głos... Owszem, jest chrapliwy... Ale ma takie melodyjne brzmienie, wznosi się trzema nutami, do, re, fa, i niesie się prostym, lecz rozkosznym *arpeggio* kobiecego oddechu, jak zefir melodii granej na *flute d’amour*. Jak zatem brzmi *crescendo* namiętności tego głosu?

Sugar idzie coraz szybciej, sunąc po ciemnym bruku z szybkością, z którą William chodziłby raczej w dzień. Nie widać jej nóg pod suknią, ale zapewne stawia żałośnie niekobiece kroki, skoro idzie równie szybko jak on: w porządku, zgoda, nie jest szczególnie wysoki, ale nie jest także wyjątkowo niski – co więcej, jeśli częścią równania uczynić łaskawie także upośledzone klasy niższe, czyż jego nogi nie okażą się dłuższe od nóg przeciętnego mężczyzny? A co to za dźwięk? On chyba nie... dyszy, co? Chryste Panie, nie może przecieź dyszeć. Wszystko przez całe to wypite piwo i narastające ostatnio zmęczenie, które przysparza mu tylu cierpień. I nawet kiedy Sugar wzywa go niemal niedostrzegalnym gestem, by ruszył za nią w ciemną, wąską bramę, William odwraca głowę, żeby zaczerpnąć świeższego powietrza, po czym wzdycha głęboko, usiłując złapać drugi oddech.

Może dziewczyna tak pędzi, ponieważ boi się, że William straci cierpliwość albo obleci go strach i nie wejdzie za nią w ciemny, nieznany zaułek, w którym kryje się nie wiadomo co. William jednak odwiedzał już wiele przybytków rozkoszy, leżących przy równie mrocznych i wąskich uliczkach jak ta – a kiedyś zdarzyło mu się zejść po kamiennych schodach tak nisko, że zastanawiał się, czy buduar jego kochanki nie łączy się z którymś z wielkich kanałów Bazalgette’a. Nie, nie jest głupio grymaśny i nie należy do klaustrofobików, choć żywi przyrodzone upodobanie do jasnych, przestronnych burdeli (a zresztą, kto ich nie lubi?). Jest jednak tak porażony widokiem Sugar, że szczerze mówiąc, chętnie poszedłby za nią do najwstrętniejszej kloaki.

Ale czy na pewno? Czy stracił rozum? Przecieź ta dziewczyna nie jest nikim więcej, jak tylko...

– Tędy.

Podąża za nią, w ślad za jej słowami, jak gdyby zwietrzył trop. Och, Boże, jaki ona ma anielski

głos! Wytworny szept dziewczyny prowadzi go w ciemnościach. Szedłby za tym szeptem, nawet gdyby nic się za nim nie kryło. Ale Sugar jest czymś więcej niż szeptem – jest kobietą obdarzoną umysłem! Nigdy nie spotkał nikogo podobnego do niej, z wyjątkiem samego siebie. Podobnie jak William, Sugar uważa, że Tennyson ostatnio spuścił z tonu, i podobnie jak on wierzy, iż podwodne kable transatlantyckie oraz dynamit odmienia oblicze świata daleko bardziej niż odnalezienie Troi przez Schliemanna pomimo całego zamieszania, jakie wzbudziło. Ależ ona ma piękne usta i szyję! „Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz” – tak mu obiecała.

– Jesteśmy na miejscu – oświadcza teraz Sugar.

Ale co to znaczy „na miejscu”? William toczy wzrokiem dokoła, próbując się zorientować, dokąd zaszli. Gdzie jest Silver Street? Czy adres domu pani Castaway to jeszcze jedno kłamstwo autorów przewodnika? Ale nie: czy to nie światła Silver Street błyszczą po drugiej stronie tej skromnej, georgiańskiej kamienicy? To po prostu tylne drzwi, czy tak? Dom wygląda przyzwoicie, jest masywny i nie widać na nim jakichkolwiek śladów dewastacji, chociaż w ciemnościach trudno cokolwiek dostrzec. Ale na tle światła Silver Street jego zarysy wydają się proste i symetryczne, a wokół kalenic i dachu unosi się gazowa mgiełka promieni przypominających... Jakiego słowa szuka? Aurora? Aura? Jedno z nich to spirytystyczna bzdura, drugie oznacza zjawisko przyrodnicze, ale które... aur... aur... aur... Zwodniczo pienne piwo z „Fireside” paraliżuje głos umysłu Rackhama i płące jego myśli. – Jesteśmy w domu – William słyszy głos Sugar.

Dziewczyna puka do drzwi w umówiony sposób. Tajemniczy sygnał pozwala Sugar i jej towarzyszowi przeniknąć do słabo oświetlonego holu w domu pani Castaway, gdzie William spodziewa się zobaczyć stróża, trzymającego od wewnątrz klamkę – łypiącego koso, nieogolonego małpoluda, jak ten, który wyprowadził go tylnymi drzwiami z domu na Drury Lane – jest jednak w błędzie. W drzwiach, osiemnaście cali poniżej poziomu, na którym początkowo skupił wzrok, stoi drobny chłopiec o niebieskich oczach i niewinnym wyglądzie pastuszka z szopki bożonarodzeniowej.

– Witaj, Christopher – mówi Sugar.

– Proszę do salonu, panie – mówi chłopak, który wypowiada te słowa z namaszczeniem i rzuca Sugar porozumiewawcze, dziecinne spojrzenie współnika. Zaintrygowany William daje się wprowadzić do ponurego, ale elegancko wytapetowanego westybulu, i idzie dalej, ku otwartym na oścież drzwiom, zza których bije ciepło i jasność. Dzieciak biegnie przodem i znika w blasku.

– To chyba nie twój chłopak? – William pyta Sugar.

– Oczywiście, że nie – odpowiada dziewczyna, unosząc brew z udanym oburzeniem i krzywiąc wargi w uśmiechu. – Jestem starą panną.

W półmroku westybulu jasność bijąca zza drzwi, do których podchodzą, oświetla dziwnie usta Sugar, podkreślając nieskazitelną biel szorstkiej powierzchni łuszczącego się naskórka warg. William chciałby już poczuć, jak te pierzaste usta ujmują trzon jego penisa, ale jeszcze bardziej pragnie opróżnić pęcherz – nie, nie w jej usta, gdziekolwiek – a potem położyć się spać.

Już kiedy wchodzi do salonu, wydaje mu się, że śni. W przeciwległym kącie siedzi słabo widoczna kobieca postać. Twarzy nieznajomej nie widać, ale znad jej głowy bucha dym. Słychać niezdecydowane, żalosne brzmienie niewidocznej wiolonczeli, które urywa się nagle z astmatycznym piskiem katgut. Jaskrawe, brzoskwiniowe ściany, w górnej części zwieńczone ozdobnym, malowanym szlaczkiem, obwieszane są miniaturami w ramach – u dołu pokrywa je tapeta, której wzór przypomina gąszcz truskawek, cierni i czerwonych róż. Na środku pokoju, pod wielkim, pretensjonalnym żyrandolem z brązu, siedzi pani Castaway.

Jest stara, przedwcześnie postarzała, albo jedno i drugie. Ubrana jak do wyjścia – ma nawet czepkę na głowie – najwyraźniej nie zamierza jednak nigdzie wychodzić, rozsiadła się bowiem za wąskim biurkiem niczym sędzia. Błat usłany jest strzępkami papieru i wycinkami z gazet, a w rękę pani Castaway trzaskają nieproporcjonalnie wielkie nożyce krawieckie, tnące mikroskopijny pasek papieru, który zsuwa się po grzbiecie jej dłoni i sfruwa na kolana. Kobieta podnosi wzrok i przestaje wycinać, jak gdyby na cześć gościa. Ostrożnie wyplątuje palce z nożyczek i odkłada lśniąca, metalowe ostrza.

Od stóp do głów kryje ją tylko jedna barwa: szkarłat, jakiego William nie widział jeszcze nigdy na żadnej Angielce. Na tenże kolor pomalowane ma usta, a kiedy uśmiecha się na powitanie, setki maleńkich, splamionych szkarłatem zmarszczek wokół jej warg sprawiają niepokojące wrażenie, przypominając kosmata, czerwoną gaśienicę, która wije się pod wpływem dotyku.

Z początku William sądzi, że pani Castaway jest niespełna rozumu – ma zatem do czynienia z szaloną, starą czarownicą, która musi w osobliwy sposób zmanifestować swój szkarłatny status rajfurki – potem jednak wyczuwa w niej pewną godność, rodzaj opanowania, skłaniającego raczej ku przypuszczeniu, że strój gospodyni jest wyszukany żartem. Nie byłaby pierwszą znaną mu właścicielką domu publicznego, która gustuje w ironii. Tak czy inaczej (jak teraz spostrzega William), szkarłat zmiękcza jednak jeden bliski kolor, a mianowicie kolor przypiętego do czepka welonu. Jest on tej samej barwy, co znak firmowy Rackham Perfumeries, czyli szaroróżowa róża.

– Witaj w domu pani Castaway, panie – mówi kobieta. Jej białe zęby zdają się wirować za koszenilowymi wargami niczym kółka zębate. – Pani Castaway to ja, a oto moje dziewczęta. – Tu pani Castaway robi nieokreślony ruch ręką, ale William wciąż nie potrafi oderwać od niej oczu. – Za korzystanie z pokoju na piętrze należy się pięć szylingów, to jednakże, co i jak długo będzie się tam działo, musisz wycenić razem z Sugar, panie. Jeżeli sobie życzysz, na górze za dopłatą dwóch szylingów będzie na ciebie czekać zacne wino.

– Dobrze, niech będzie wino – mówi William. Bóg wie, że wlał już w siebie dość mocnych alkoholi, nie chce jednak sprawić na stręczycielce wrażenia skąpca. Kiedy podchodzi, żeby zapłacić, i potyka się o skraj dywanu (co za głupiec położył dywan właśnie tu, gdzie William musi postawić nogę?), bada wzrokiem postać starej kobiety bardziej analitycznie i dochodzi do wniosku, że pani Castaway jest brzydkim, starym babskiem. A przecież nie przyszedł tu oglądać brzydoty.

Czar pani Castaway pryska i William może przyjrzeć się reszcie pokoju. Oszałamiające wrażenie, które wywiera na nim jego widok, nie jest, jak zapewnia sam siebie, skutkiem upojenia: bo salon naprawdę wygląda groteskowo. Jak teraz zauważa, wszystkie oprawione sztychy na ścianach przedstawiają Marię Magdaleny; są więc Marie półnagie, częściowo ubrane, pokutujące albo i nie, przy czym jedne zostały namalowane przez pobożnych chrześcijan, inne zaś to po prostu zmyślnie karykatury, pornograficzne w intencji. Dziesiątki kopii tego samego wyrazu twarzy, tej samej smutnej pogody ducha, znamionującej wyrzeczenie się niegodziwej cielesności i oddanie Bogu, w obliczu którego inni mężczyźni są zbędni. Oto Maria Magdalena w kolorze, wycięta z papistowskiej karty modlitewnej⁶; Maria Magdalena czarno-biała, wycięta z protestanckiej gazety; Maria Magdalena z aureolą i bez; duża Maria Magdalena jak z frontyspisu taniego czasopisma; i Maria Magdalena maleńka niczym miniatura w medalionie. William czuje się jak w Billington&Joy!

W fotelu przy kominku, wciąż nie zwracając na nikogo uwagi, siedzi młoda kobieta, którą William pozna później jako Amy Howlett. Jest to krępa osóbką o nadaśanej minie, oczach barwy tarniny, kruczoczarnych włosach i figurze przypominającej nieco... cóż, właściwie przypominającej Agnes, wtłoczoną w elegancką, chociaż surową czarno-biało-srebrną suknię. Widzi teraz jej twarz – i doznaje szoku, Amy pali bowiem papierosa, w dodatku bez długiej fifki, zazwyczaj nieodzownej, a jeśli dziewczyna ma chociaż blade pojęcie, że – przynajmniej w Anglii – mężczyzna zapewne częściej widuje w kobiecych ustach penisa niż papierosa, ani trochę nie daje tego po sobie poznać. Przeciwnie, zaciąga się, marszcząc brwi i koncentrując wzrok na maleńkim, tkwiącym pomiędzy jej uroczymi paluszkami wałeczku tytoniu i bibułki o rozżarzonej koniuszku. Z bezczelną przekorą przygląda się Williamowi przez mgiełkę dymu, jak gdyby chciała zapytać: „No i co z tego?”

Niestropiony William odwraca wzrok od kominka i zauważa wypolerowany gryf wiolonczeli, który wystaje zza oparcia fotela, stojącego przodem do ognia. Widzi też kobietę szyję i przypominający piuskę placek szarych, mysich włosów, cienkich jak pajęczyna.

– Graj dalej, panno Lester – mówi pani Castaway. – Nie wątpię, że ten dżentelmen ceni sobie piękno.

6 Tzw. kart modlitewnych używali angielscy parlamentarzyści, by rezerwować za ich pomocą miejsca siedzące w kaplicy (przyp. tłum.).

Głowa panny Lester odwraca się. Dziewczyna spogląda na Williama zza oparcia fotela, wspierając policzek na pokrowcu zagłówek i marszcząc czoło ponad głęboko osadzonymi oczami. Jednak patrzenie na Williama kosztuje ją zbyt dużo wysiłku, odwraca się więc z powrotem do kominka. W salonie rozbrzmiewa znów jęk wiolonczeli, przypominający odgłos piłowania.

William zaczyna się zastanawiać, co te dziwne kobiety zrobiłyby z jego nieprzytomnym ciałem, gdyby upadł nagle na podłogę, i odczuwa niewysłowioną ulgę, kiedy Sugar wsuwa rękę w jego dłoń, ściskając ją na znak, by poszedł za nią.

Wchodząc na schody, William czuje, że jego uszy płoną rumieńcem, a na czoło występują mu kropelki potu. Przy każdym kroku boleśnie ciśnie go pęcherz, a poza tym Rackham nie trzyma się na nogach zbyt pewnie i musi co chwila mrugać powiekami, żeby rozproszyć gromadzącą się przed oczami mgłę. Ma coraz mniej czasu, by zadać kobiecie śmiały cios seksualny.

– Mój pokój jest pierwszy na piętrze – szepcze idąca u jego boku Sugar. Oświetla drogę świecą – kroczy wyprostowana, jakby połknęła kij, a ręka, w której trzyma woskową lancę, nie drży ani trochę. Oddalająca się pieśń wiolonczeli melodyjnie wtóruje ich krokom.

William spogląda w dół, aby upewnić się, że nie usłyszy go właścicielka domu, i mruczy:

– Ta twoja pani Castaway to prawdziwa dziwaczka.

Zapomniał zupełnie, co powiedziały mu „bliźniaczki” z Drury Lane: że pani Castaway jest rodzoną matką Sugar, choć gdyby teraz ktoś mu o tym przypomniał, zapewne uznałby tę informację za burdelowe ploty.

– Och, tak, jest bardzo dziwna – z uśmiechem zgadza się Sugar, po czym podwija suknię, pokonując ostatnie stopnie i wchodząc na korytarz. – Spróbuj pomyśleć o niej jak o kimś w rodzaju Janusa w sukni z czerwonej tafty, a o tych drzwiach jak... no, jak o drzwiach, które pragniesz przekroczyć najbardziej na świecie. – Dziewczyna otwiera szeroko drzwi i gestem zaprasza gościa za próg.

William idzie chwiejnie za nią, a kiedy mruży oczy, z powiek skapują mu kropelki potu. Szkoda, że choć na kilka chwil nie może wyłączyć Sugar jak maszyny, żeby skorzystać z okazji, przemyć twarz, przyczesać grzebieniem włosy i opróżnić cisnący go pęcherz. Litościwym zrządzeniem losu sypialnia Sugar jest jasna, przestronna i pozbawiona woskowego zapachu, od którego tak bardzo mdliło go na Drury Lane. Pokój jest wyższy niż większość izb na piętrze, oświetlony lampami gazowymi, a nie płomykami świec, i chociaż w kominku tli się ogień, nie wiadomo skąd dobiega tu także błogosławiony powiew świeżego, lodowatego powietrza.

Zrzuciwszy płaszcz i kamizelkę, William natychmiast podchodzi do obszernego, podwójnego łóżka, znacznie bardziej imponującego niż jego własne (to znaczy niż łóżko, w którym teraz sypia, nie zaś łóże małżeńskie, stojące w pokoju, który z biegiem lat stał się prywatnym buduarzem Agnes). Nad łóżkiem Sugar góruje kopuła z zielonego jedwabiu – baldachim godny króla. Przewiązane złotymi sznurami zasłony są delikatnie rozchylone, a wokół podstawy łóżka biegnie obfity lambrekin o (niestety) niepasującym do reszty... jak go określić?... miętowym odcieniu. Szkoda. Rzuca spojrzenie Sugar, która stoi wciąż pod przeciwległą ścianą przy drzwiach i waha się, czy zdjąć rękawiczki. Czeką na słowa uznania albo stek obelg ze strony Williama, który uśmiecha się, sygnalizując, żeby się nie martwiła – albowiem daruje jej ten miętowy lambrekin. To po prostu czkawka gustu, pożałowania godny ślad myślenia typu „jakoś to będzie”, które niewątpliwie wymusza w tym domu oszczędność. Nawet pod tym względem on i Sugar są w pewnym sensie bliscy: bo pomyśleć tylko, jaki haniebnym kapeluszem miałby dziś na głowie William, gdyby poznał tę dziewczynę zaledwie kilka dni wcześniej!

– Podoba ci się u mnie, panie Hunt?

– Zaraz mi się spodoba – uśmiecha się szeroko Rackham, porozumiewawczo mrużąc oczy. – Już zaraz.

Kładzie się na materacu, sprawdzając łokciami jego miękkość i elastyczność, a pół minuty później śpi jak zabity.

Generalnie rzecz biorąc, nie można bądź nie należy spać w buduarze prostytutki – chyba że się nią jest. W przeszłości Rackham bywał w takich sytuacjach brutalnie przywoływany do porządku,

czyli doprowadzany do orgazmu, a jeśli nie mógł go osiągnąć, to – do tylnych drzwi burdelu, skąd wypychano go w chłód nocy, by udał się do swego własnego łóżka, bez względu na to, jak miał do niego daleko.

A jednak Rackham śpi dalej.

Sugar nie leży obok. Kompletnie ubrana (choć zdjęła rękawiczki), siedzi przy sekretarzyku pod oknem i pisze, mocno ściskając pióro w palcach o spękanej i łuszczącej się skórze. Cichutko skrobie w dzienniku – całkiem podobnym do kupieckiej księgi rachunkowej – a niektóre słowa rozdziela długa cisza.

Rackham chrapie.

Budzi się tuż przed świtem. Leży na plecach, niewsparty na poduszkach, z głową wtuloną w miękkość posłanego łóżka. Wyciąga szyję dalej w tył i spogląda w kierunku wezgłowia. Ku jego zaskoczeniu, wpatruje się w niego stamtąd jakiś mężczyzna o szalonych oczach i rozczochranej czuprynie, który wyciąga ręce do Williama, pragnąc (jak się wydaje) ponownie podjąć ohydny akt seksualny.

Rackham wzdryga się, siadając na łóżku, podobnie jak nieznajomy. I po tajemnicy: całe wezgłowie okazuje się dużym lustrem.

Zasłony wokół łóżka są opuszczone i kryją go przed światem. To dobrze: ku swojej konsternacji i zawstydzeniu, William stwierdza, że spodnie ma przesiąknięte uryną. To właśnie go obudziło – nie emisja moczu z pęcherza *per se*, do której musiało dojść kilka godzin temu, ale doprowadzający do szału świąd w lepkim kroczu. Zerka znów w lustro, przeprowadzając w myślach inwentaryzację szkód i katastrof. Chyba nie wymiotował, a w tej chwili nie odczuwa mdłości. Głowa nie pulsuje mu tak bardzo, jak się spodziewał. (Piwo z „Fireside” widocznie dobrze mu służy – choć może wciąż jest pijany... Która godzina? Dlaczego, u diabła, nikt go nie wyrzucił z tego domu?) Włosy ma znów zwichrzone, więc sterczą mu teraz na głowie jak tłusta owcza wełna. Zagłębia rękę w kieszeń spodni w poszukiwaniu grzebienia, ale wyczuwa pod palcami tylko kłęb przemoczonej bielizny.

Boże wszechmogący, jak on ma z tego wybrnąć?

Przechodzi na czworakach w drugi koniec łóżka i wygląda przez szparę w zasłonach. Tuż za nimi prężą się żeliwny stojak, podtrzymujący wypełniony lodem cynowy kubetek. O jego brzeg wspiera się szyjka pełnej butelki wina; ktoś ją otworzył, ale potem znów zatkał korkiem, w którym tkwi wciąż korkociąg. Na podłodze, daleko poza zasięgiem jego rąk, leży kamizelka, w której spoczywa zegarek. William widzi nawet srebrną dewizkę, wystającą z obwisłej kieszonki. (Musi przyznać, że gdyby to wszystko działo się we Francji, nigdy nie zobaczyłby już dewizki).

Gdzie jest Sugar? Rackham wstrzymuje oddech, nasłuchując uważnie. Ale nie licząc niezidentyfikowanego skrobienia, słyszy jedynie niespodziewany szelest w kominku, odgłos zapadających się na wpół spalonych szczap i węgla.

Przez szparę w zasłonie widać tylko jedną ścianę. Na szczęście jest to ściana z oknem kryjącym cenne wskazówki, dzięki którym może spróbować odgadnąć porę dnia. Szyby są niemal matowe, pokrywa je bowiem szron – gruby szron, który gromadzi się długimi godzinami. Dalej widać czarne i ciemnogrnatowe niebo, choć może jedynie wydaje się ono przybierać taką barwę na tle niezaciemnionego wnętrza. Zasłony poruszają się niemal niedostrzegalnie: pomimo mrozu Sugar zostawiła lekko uchylone okno. Tylko gdzie ona jest? William pochyla się jeszcze dalej naprzód i nosem dźga zasłonę, łypiąc jednym okiem na otwierający się przed nim pokój.

Sypialnia Sugar jest... przytulna. Ściany mają niewyszukany różowocielisty kolor, jakby na przekór rokokowemu przepychowi w salonie na dole. W pokoju w strategicznych odstępach wisi w ramach kilka małych, mocno już wyblakłych od słońca grafik. Meble są niezgorsze, a składa się na nie obita niedawno nową tapicerką kanapa, dwa fotele, niezupełnie do pary, i (William jeszcze bardziej wyciąga szyję) sekretarzyk, na którym leżą pióra, stoi kałamarz i gdzie... (mruga z niedowierzaniem oczami) siedzi Sugar we własnej osobie, skupiona i nieobecna.

– Ach... proszę o wybaczenie – oświadcza William.

Sugar podnosi wzrok, odkłada pióro i uśmiecha się rozbrajająco i przyjaźnie. William widzi, że jest potwornie zmęczona.

– Dzień dobry, panie Hunt – mówi dziewczyna.

– Och, Boże... – wzdycha William, niezdarnie przebiegając włosy palcami. – Która... która godzina?

Sugar spogląda na zegar, stojący poza zasięgiem wzroku Williama, który spostrzega nagle, że dziewczyna ma wspaniałe włosy, bujną koronę złocistopomarańczowych loków – a ponadto zadała sobie trud, żeby je wyszczotkować i ułożyć, kiedy spał.

– Wpół do szóstej. – Sugar figlarnie wydyma wargi. – Każdy, kto jeszcze jest na nogach, będzie zadziwiony twoim bohaterstwem.

William przesuwa się, żeby wstać z łóżka, po czym sztywnieje, oblewając się rumieńcem.

– Właściwie nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. Ja... Przytrafiła mi się najbardziej pożałowania godna, najbardziej hańbiąca... ach... przygoda.

– Tak, wiem – mówi Sugar obojętnym głosem i wstaje. – Nie martw się. Zajmę się tym.

Podchodzi do kominka, gdzie na wiszącym nad paleniskiem ruszcie bulgocze łagodnie czajnik. Sugar błyszczącym łukiem wlewa parującą wodę do glinianej miednicy, która sądząc po odgłosie, jaki wydaje, była już wcześniej częściowo napełniona, a potem niesie ją w pobliże łóżka. William zauważa, że skórę na rękach Sugar ma spierzchniętą i spękaną jak łuszcząca się kora, ale jej palce są wytwornie kształtne. To palce Michała Anioła, zaobrączkowane egzotyczną pleśnią.

– Zdejmij mokre rzeczy, panie Hunt – mówi Sugar, przyklękając na podłodze w kręgu rozpostartej sukni. Miednica jest niemal po brzegi pełna mydlinowej cieczy, w której podskakuje morska gąbka niczym obrany ze skórki ziemniak. Sugar najwyraźniej czekała na tę chwilę.

– Doprawdy, panno Sugar – mamrocze pod nosem William. – To przekracza... Jak mógłbym oczekiwać, że ty...

Sugar podnosi na niego wzrok, przymyka oczy, powoli kręci głową i spuchniętymi ustami wypowiada bezgłośnie prośbę:

– Csss.

Wspólnie udaje im się ściągnąć z Williama spodnie i bieliznę. Ostry odór nieświeżego moczu wzbija się w górę zaledwie kilka cali przed nosem dziewczyny, która jednak nie mruga nawet okiem, czując smród. Biorąc pod uwagę jej pogodną minę, otwarte spojrzenie i zagadkowy półuśmiech, można by sądzić, że wacha perfumy.

– Proszę się położyć, panie Hunt – mówi łagodnie Sugar. – Doprowadzimy cię zaraz do porządku.

Zdumiony William kładzie się na łóżku, a ona obmywa go z najwyższą delikatnością. Wystarczy jedno dotknięcie jej szorstkich kłykci, by rozwarł szerzej nogi, kiedy przemywa mu krocze ciepłą, nasączoną mydlinami gąbką. Sugar marszczy ze współczuciem brwi, widząc otarty naskórek w fałdach jego ciała.

– Biedactwo – mruczy pod nosem.

W miejscu, gdzie leży William, prześcieradło jest mokre, więc Sugar delikatnie szturcha go, żeby wgramolił się wyżej. Potem owija ściereczkę z czesanej bawełny wokół dłoni niby rękawiczkę i wyciera oraz osusza Rackhama. Żadna część ciała nie uchodzi jej uwadze, nawet wrażliwe na łaskotki wgłębienie pępka. Delikatnie ściska członek w miękkiej, owiniętej bawełną dłoni, posuwając się w górę nieznacznymi ruchami, jak gdyby długość przyrodzenia Rackhama wymagała odpowiedniej cierpliwości.

– Doprawdy, panno Sugar... – znów protestuje William, brak mu jednak słów.

– Nie musisz nazywać mnie „panną” – poprawia go Sugar, odrzucając ściereczkę. – Mów mi po prostu „Sugar”. – Potem pochyla głowę nad pachnącym już brzuchem Rackhama i całuje go w pępek. William wzdycha, kiedy jej palec rozpycha jego upudrowane pośladki i łagodnie wkręca mu się w odbyt. Chwilę później Sugar kładzie głowę na jego udzie. Jej włosy rozsypują się na brzuchu Williama, kiedy dziewczyna zajmuje się jego członkiem. Sugar po prostu bierze penisa do ust i leży spokojnie, nie ssąc go ani nie liżąc: po prostu trzyma go w buzi, jak gdyby chcąc mu zapewnić bezpieczne schronienie. Cały czas jednak masuje odbyt Williama, a drugą ręką gładzi go po brzuchu. Wyczuwa językiem, że członek Rackhama twardnieje, a kiedy rozpięta się wygodnie w jej ustach, zaczyna go ssać, spokojnie, jakby odruchowo, niczym dziecko kciuk.

– Nie – jęczy William, choć oczywiście chce powiedzieć zupełnie co innego.

Mijają minuty, a Sugar leży wciąż z głową na udzie Williama i doi go, chytrze wsuwając środkowy palec coraz głębiej i głębiej w odbyt, aż za zwieracz. Kiedy Rackham jest już bliski orgazmu, Sugar wyczuwa najpierw skurcze wokół palca, a potem, w chwili, kiedy ciepły kleik tryska jej do gardła, zaciska mocno wargi na penisie. Przełyka z wysiłkiem, ssie i znów przełyka. Powoli wysuwa palec z odbytu Williama, bez przerwy ssąc jego członek, aż wreszcie wysysa wszystko do ostatniej kropli.

Później rozmawiają o wynagrodzeniu.

Na horyzoncie świta i nad Soho zawisa matowa aureola. Po Silver Street przejeżdżają pierwsze konie, pobrzękując uprzężą i głośno stukając kopytami o bruk. Gazowe lampy w buduarze Sugar zaczynają rzucać nieco nierzeczywisty cień, tak charakterystyczny dla sztucznego światła, gdy jego naturalny zmiennik jest już niedaleko. Z ciemnego kłębu męskiej odzieży, wiszącej na suszarce przy kominku, unosi się delikatna mgiełka pary.

Właściciel spodni i właścicielka suszarki pogrążeni są w uprzejmej dyskusji na temat wartości wszystkich usług tej nocy, rozpatrywanych *in toto*. Rackham skłonny jest okazać hojność – obawia się, że nadużył uprzejmości dziewczyny, zasypiając w jej łóżku.

– Gdzieś trzeba się wyspać – oponuje Sugar. – Zresztą byłoby okrucieństwem z mojej strony wypędzać cię na ulicę w takim stanie. Poza tym, czekając, aż się obudzisz, spędziłam czas pożytecznie.

– Czekając, aż się obudzę?

– Oczywiście, że tak. Jesteś bardzo interesującym mężczyzną, panie Hunt.

– Interesującym? – William nie dowierza własnym uszom.

Sugar uśmiecha się, odsłaniając perłowobiałe zęby. Jej wargi są zaczerwienione i mniej spierzchnięte niż przedtem.

– Bardzo interesującym.

– Mimo to uważam, że powinienem ci zapłacić za tych kilka godzin, kiedy leżałem tu jak pijany głupiec. I za to, że się zhańbiłem... nie mogąc powstrzymać moczu. Wcale tego nie chciałem.

– Jak sobie życzysz. – Sugar łaskawie się zgadza.

Rackham jednak nie potrafi podzielić wydarzeń tej nocy na osobne usługi, bo kategoryzując je w ten sposób, umniejsza jakoś ich wartość. Dlatego niezbyt taktownie wydłubuje kilka monet z portmonetki, monet ciężkich i o nominałach tak wysokich, że niektórzy obywatele tego miasta – na przykład mieszkańcy Church Lane – nigdy nie widzieli ich na oczy.

– Wystarczy? – pyta, wsuwając srebrniki w jej dłoń.

– W sam raz – odpowiada Sugar, zaciskając palce na monetach. – Wliczając nawet niewielką premię za drzemkę – mruga porozumiewawczo do Williama.

Na ulicy, na tyłach sklepu, trwa dostawa towaru. Zmęczone, męskie głosy krzyczą śpiewnie: – Raz, dwa, trzy! – po czym rozlega się ciężki łomot i brzęk łańcuchów. Nagi od pasa w dół William podchodzi do okna, usiłując przebić wzrokiem oszronione szyby i zobaczyć, co się dzieje na dworze, ale nie udaje mu się niczego dostrzec.

– Wiesz? – mówi w zadumie. – Przecież ja nawet nie widziałem cię nago.

– Następnym razem – mówi Sugar.

William wie, że powinien wracać już do domu, ale nie chce mu się ruszyć. Poza tym spodnie chyba jeszcze nie wyschły. Z powagą, aby zyskać kilka dodatkowych minut, przygląda się grafikom na ścianach sypialni Sugar, przechadzając się wśród nich leniwie, jak gdyby zwiedzał wystawę w Royal Academy. Są to pornograficzne ryciny, przedstawiające osiemnastowiecznych dżentelmenów (można by rzec, dziadków jego ojca), którzy z rozkoszą kopulują z ladacnicami swojej epoki. Wyglądają jak sympatyczni kretyni, mają czerstwe, rumiane twarze i są korpulentni – podobnie jak kobiety w sukniach o bufiastych rękawach, obdarzone rafałowskimi piersiami i obliczami, przypominającymi mordki owiec. Fallusy, które penetrują niesamowicie szeroko rozwarte waginy, dwukrotnie przewyższają wielkością penisa Williama, ale grafiki te nie są bardziej podniecające niż ilustracje w Biblii. Rackhamowi zdają się raczej (jakiego słowa szuka?)... liche.

– Nie podobają ci się, prawda? – tuż przy nim rozbrzmiewa chrapliwy głos Sugar.

– Nie bardzo. Uważam, że są słabe.

– Bez wątpienia masz słuszość – odpowiada dziewczyna, obejmując go w pasie ramieniem. – Wiszą tu od zawsze. Są bezbarwne. Właściwie wiem, jak je najlepiej określić: są liche.

William patrzy na nią oniemiały. Czyżby obnażał przed nią zarówno swoje myśli, jak nogi i genitalia?

– Powieszę na ich miejscu coś lepszego – obiecuje markotnie Sugar. – Jeżeli tylko kiedyś będzie mnie na to stać. – Potem odwraca się, jak gdyby porażona widokiem ziejącej przepaści, dzielącej ją od bogactw, dzięki którym mogłaby sobie pozwolić na zakup najlepszych pornograficznych rycin.

Nieoczekiwanie Rackhamowi przychodzi do głowy dużo bardziej wyrazisty obraz: wspomnienie Sugar, jaką zobaczył zaraz po przebudzeniu. Siedziała zgarbiona przy swoim sekretarzyku i pisała, choć było dopiero wpół do szóstej rano. William czuje ukłucie w sercu, kiedy uświadamia sobie jej biedę – na Boga, co mogła robić o tej porze? Zapewne ciężko pracowała, ale nad czym? Robota biurowa na akord? Nigdy nie czytał na ten temat (choć zagadnienie to z pewnością zasługuje na artykuł w jakimś miesięczniku, na przykład zatytułowany *Oburzająca niegodziwość odkryta w samym sercu naszego pięknego miasta!*), ale z jakiego innego powodu dziewczyna miałaby ślęczeć nad zeszytem w środku nocy? Czy nie zarabia dosyć jako...jako prostytutka, żeby zaspokoić potrzeby ducha i ciała? Może czuje się niedowartościowana – może większość mężczyzn okazuje jej wzgardę, ponieważ cierpi na jakąś chorobę skórną, ma małe piersi i męski intelekt. Cóż, jeśli tak, to ich strata, myśli Rackham. *Honi soit qui mal y pense!*⁷

Współczucia, jakim darzy Sugar, nigdy nie okazałyby „bliźniaczkom” z Drury Lane, a tym bardziej tym obdartym ladacznicom, które zaczepiają go w ciemnych uliczkach – istot tych nie można bowiem odróżnić od otaczającego ich paskudztwa, na przykład szczurów. Ludzkie serce nie współczuje szczurom, ale Williama zaczyna gryźć sumienie na widok Sugar – mądrej, pięknej, młodej kobiety, która ślęczy późną nocą nad poplamionym atramentem zeszytem, która podziela jego nie najlepsze zdanie o Matthew Arnoldzie i z którą łączy go jeszcze dużo więcej. Jeżeli księgi rachunkowe Rackham Perfumeries są dla mężczyzny o jego temperamentem okrutną męką, to jakich cierpień musi doznawać, pisząc, ta ledwie dojrzała, pełna życia i obiecująca dziewczyna? Jakże ciężka bywa dola ludzi, którzy zasługują na lepszy los!

– Muszę już iść – mówi William, gładząc się dłonią po policzku. – Ale zanim pójdę, mam... chciałbym ci jeszcze coś dać.

– Tak? – Sugar unosi brwi i dłoń, żeby wziąć go za rękę. – Na łóżku.

Dziewczyna nie pyta, czy jest to wyjaśnienie, czy raczej polecenie – wchodzi na łóżko na czworakach, w butach i w ubraniu. William gramoli się za nią, wielkimi, miękkimi garściami chwyta spódnice jej sukni i zarzuca zielony jedwab na plecy Sugar. Przypominający koński ogon garb turniury czyni stos tkanin absurdalnie wielkim – jest tak obszerny, że załania odbicie Sugar w wezglowiu.

– Nie widzę twojej twarzy – mówi William.

Już kiedy ściąga jej długie majtki, Sugar podnosi wysoko głowę, jak gdyby usiłowała dokonać jakiegoś lamarkowskiego skoku ewolucyjnego. Szczęki dziewczyny drżą lekko, a jej usta rozchylają się z wysiłkiem. Ponad pagórkiem zmiętej sukni William widzi to wszystko – i więcej – w lustrzanym odbiciu.

Jej pochwa jest wąska i zaskakująco sucha. Zdaje się, że całemu ciału tej dziewczyny przydałoby się nieco więcej wilgoci – być może w jej diecie brakuje oleistych potraw albo podstawowych składników odżywczych. To dziwne, ale kiedy trzymała go w ustach, wydawało mu się, że jest bezzębna, tymczasem teraz, w jej cipie, sztywne fałdy ciała obcierają delikatną żołądz. William jednak przepycha się mimo bólu, chociaż kilkakrotnie krzywi twarz, lecz nie daje za wygraną, dopóki ich przyrodzenia nie przylegają do siebie idealnie, a wtedy porusza się niczym tłok i wstrząsa nim orgazm.

Kilka minut później, wciągnawszy na nogi gorące, wciąż lekko wilgotne spodnie, Rackham

7 Dewiza Orderu Podwiązki – „Hańba temu, kto źle o tym myśli” (przyp. tłum.).

wręcza Sugar jeszcze jedną monetę i nagle ogarnia go strach, że nie zobaczy jej już nigdy. (Ma powody tak myśleć: czy tamta dziewczyna w Paryżu, ta, która lubiła brutalne traktowanie, nie obiecała mu kiedyś: „*Á demain!*”, i nie zniknęła następnego ranka?)

– Zastanę cię tu jutro? – pyta William.

Sugar marszczy brwi, jak gdyby Rackham na nowo rozniecił płomień ich rozmowy w pubie na temat śmierci, losu i duszy.

– Jeśli Bóg pozwoli – wyznaje, a po jej ustach przeemyka lekki uśmiech.

William stoi na progu jej sypialni, ociągając się, choć wie, że jeśli zostanie dłużej, prawdopodobnie zachowa się jak osioł.

– Zatem do widzenia, panie Hunt. – Sugar całuje go w policzek. Wargi ma suche jak papier, a oddech słodki niczym perfumowane mydło.

– Tak...ja... ale... muszę ci jednak jeszcze coś powiedzieć... O tym nazwisku, George Hunt. To... Wstyd mi, ale zmyśliłem je. Takie niewinne kłamstwo. Nie chciałem, żeby tamte wścibskie dziewczyny w „Fireside” ściągnęły mi na kark jakieś kłopoty.

– Mężczyzna powinien uważać, komu się przedstawia – zgadza się Sugar.

– A dyskrecja to cnota, którą często się poniewiera – odpowiada Rackham.

– Nie musisz mi nic mówić, panie...

– Williamie – podsuwa natychmiast Rackham. – Nazywam się William.

Sugar kiwa głową w milczeniu, taktownie przyjmując to zwierzenie.

– Mimo to – ciągnie William – byłbym ci wielce zobowiązany, gdybyś zechciała przynajmniej w mieszanym towarzystwie zwracać się do mnie „panie Hunt”.

Sugar otwiera usta i tłumi ziewnięcie wierzchem dłoni. *Wybacz mi, proszę, jestem strasznie śpiąca* – błagają jej oczy, kiedy ponownie kiwa potakująco głową.

– Wszystko, czego tylko sobie życzysz. – Ale proszę, tutaj mów mi William...

– William – powtarza Sugar. – William.

Rackham uśmiecha się, a promienne zadowolenie wciąż widać na jego twarzy, kiedy zaledwie sześćdziesiąt sekund później stoi już samotnie na ulicy, lżejszy o dwie gwinee. Gdzieś po jego lewej ręce parskają konie. Płatki śniegu szczypią Williama w twarz, a przenikliwy wiatr uświadamia mu, że jego spodnie powinny powiszieć przy ogniu nieco dłużej – natomiast smród odchodów pod nogami przypomina, jak szybko ulatnia się słodki zapach kobiety.

Oczywiście William Rackham nie po raz pierwszy został gładko i sprawnie wypędzony na ulicę po schadzce z prostytutką. Z pewnością jednak po raz pierwszy w tym krytycznym momencie czuje się całkowicie usatysfakcjonowany, nie żałuje ani jednego wydanego pensa i nie chce cofnąć ani jednej chwili z tego spotkania. Boże, co za noc! Nic nie przebiegło tak, jak sobie wyobrażał, a jednak wszystko przekroczyło jego najśmielsze oczekiwania! Kto by w to uwierzył! Ma ochotę opowiedzieć komuś całą tę pasjonującą historię, pędzić do domu i... ach, może lepiej nie.

Śnieg pada coraz słabiej i nagle ustaje, ale na wąskiej ulicy wieje wiatr i William zaczyna drżeć. Mimo wszystko nie chce zejść ze sceny, na której rozegrała się jego niezwykła przygoda: to jeszcze nie może być koniec! Ogląda się, wyciąga szyję, wbija wzrok w tył domu pani Castaway i próbuje odgadnąć, które okno może należeć do Sugar. W połowie wysokości kamienicy, w jasno oświetlonym oknie, widać jakiś ruch: idącą postać. Nie jest to jednak Sugar, lecz przygarbiony chłopiec, który powoli, przystając co chwila, wnosi jakiś wielki ciężar po niewidocznych schodach.

– Przepraszam, jaśnie panie – odzywa się czyjś głos za jego plecami. William aż podskakuje ze strachu i obraca się natychmiast ku nieznajomej, która ośmiela się przerywać jego zadumę.

Widzi oblesną staruchę, ściskającą w dłoni zardzewiały kubeł. Jej śniada twarz przypomina wyżarty przez wody Tamizy kawałek drewna, matowych włosów nie sposób odróżnić od okrywającego je wytartego szala, a zgarbione plecy nędzarki są zgięte wpół niczym zardzewiały sierp, owinięty w wytłuszczone, czarne szmaty. Wolna ręka staruchy kołysze się nisko, cal lub dwa nad ziemią, a jej sękaty palce zaciskają się na wysokości nogawek spodni Williama, jak gdyby w nadziei, że będą ich mogły dotknąć.

– Przepraszam, jaśnie panie – powtarza kobieta starczym, bezpłciowym głosem, który zdaje się dochodzić z głębin jakiegoś wrzodu, tkwiącego pod jej pokrytym skorupą brudu odzieniem.

Żebraczka cuchnie ohydnie i William się odsuwa.

Starucha natychmiast podchodzi bliżej, kiwając się jak kaczką, i pochyla się dokładnie albo – do diabła – prawie dokładnie nad miejscem, w którym przed chwilą stał. Czarnymi pazurami ujmuje w palce sporą grudkę psiego łajna, ostrożnie, żeby go nie pokruszyć, a potem wkłada ją do kubła, wypełnionego w jednej czwartej zwierzęcym nawozem. Jest przeznaczony dla garbarni Bermondsey, gdzie wykorzystuje się go do garbowania marokinu i kozłej skórki. Rackham wpatruje się w staruchę, która bierze jego niedowierzanie za litość – kobieta podnosi wzrok, zastanawiając się, czy może osiem pensów, jakie ma nadzieję dostać za swój kubeł „czyścika”, zostanie uzupełnione zesłanym wczesnym rankiem darem Bożym.

– Dacie pół pensa na kromkę chleba, panie?

Pod wpływem obrzydzenia Rackham grzebie w portmonetce i rzuca kobiecie monetę. Starucha wie, że lepiej nie chwycić go za okrytą rękawiczką dłoń i nie całować, spełnia więc raczej życzenie Williama i znika, rozwiewając się w pierwszych promieniach słońca.

Ktoś stuka do drzwi sypialni Sugar, która otwiera, przybierając swoją najbardziej „sympatyczną” minę na wypadek, gdyby to pan Hunt – William – książę z bajki, czy jak tam on się nazywa, wrócił po zgubioną podwiązkę albo po to, żeby pomacać jej biust. *Nagle zdałem sobie sprawę, że nie widziałem jeszcze twoich piersi.*

Ale nie, to nie pan Hunt.

– Już wstałeś, Christopher?

Otulony kłębem pary, chłopiec stoi za wielkim wiadrem świeżej gorącej wody, przeznaczonej dla Sugar. Jest tylko częściowo ubrany, jasnowłosą czuprynę ma w nieładzie, a w kącikach jego oczu tkwią drobne kryształki ropy.

– Zobaczyłem światło w twoim pokoju – mówi.

Słodki chłopak, uprzedza jej życzenia – chociaż może po prostu chce mieć już z głowy jeden ze swoich domowych obowiązków. – A ty nie spałeś?

– Amy mnie budzi. – Christopher pociąga nosem, zaciskając i prostując swoje drobne, różowe palce, żeby znowu zaczęła w nich krążyć krew. Matowy, żelazny pałak wiadra sięga mu do kolan, a obwód kubła, jak przypuszcza Sugar, jest równy wzrostowi chłopaka.

– Tak wcześnie? Po co?

– Po nic. Krzyczy przez sen.

– Naprawdę? – Z zasady Amy pozbywa się ostatnich klientów znacznie wcześniej niż Sugar i nie wstaje potem aż do południa. – Ja nigdy nic nie słyszę.

– Bo ona krzyczy cicho – mówi Christopher, marszcząc brwi. – Ale ja zaraz obok leżę, to krzyczy mi prawie do ucha.

– Naprawdę? – Sądząc z tego, co mówi Amy na jawie, trudno uwierzyć, że zgodziłaby się, by syn sypiał z nią w jednym łóżku. – Myślałam, że masz własne miejsce do spania.

– Mam. Ale wychodzę, jak Amy kończy, i kładę się obok. Nie przyszkadzam jej, jak śpi. Nic jej nie przyszkadza.

– Nie przyszkadza, Christopher.

– No, mówię przecież.

Sugar wzdycha, bierze wiadro i wnosi do pokoju, starając się pokazać, że widzi, jakie jest ciężkie. A to mały siłacz z tego Christophera! Pogodziła się już z tym, że będzie musiała zejść sama do pralni o tej niezwyklej godzinie, nikt bowiem nie dawał w domu znaku życia, kiedy William – pan Hunt, Cesarz Siusiumajtek – wreszcie sobie poszedł. Wyciągnęła już nawet balię ze schowka w garderobie oraz różne inne niezbędne akcesoria i usiłowała się zmusić, żeby zejść po wodę, kiedy Christopher zapukał do jej drzwi.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – mówi Sugar, wlewając zawartość wiadra do wanienki.

– Taka moja robota – wrusza ramionami chłopak. – Zarabiam na się.

Odwracając się, by spojrzeć na stojącego na podeście Christophera, Sugar zauważa ślady, znamionujące walkę, którą dzieciak stoczył z pełnym po brzegi wiadrem, taszcząc je po wysokich jak nieszczęście schodach, żeby oszczędzić sobie powtórnej wspinaczki. Bose stopy chłopca są

mokre, na rękach Christophera widać sinoczerwone półksiężycy, a mankiety jego spodni parują, ponieważ oblał się gorącą wodą.

– Prawdziwy gospodarz z ciebie – chwali go Sugar, zapominając, że w wypadku Christophera pochlebstwo wywołuje skutek odwrotny do zamierzonego. Chłopak odwraca się, krzywi twarz z niechęcią i zbiega z powrotem na dół.

Przykro mi, myśli Sugar, ale z drugiej strony kobieta nie może przez cały Boży dzień mieć na względzie wyłącznie potrzeb i upodobań płci przeciwnej. Wstaje mglisty świt, a ona chce już odetchnąć.

Po raz pierwszy od trzydziestu trzech godzin rozbiera się do naga. Jej zielona suknia jest przesiąknięta zapachem cygar, piwa i potu, a na gorsecie widać plamy, bo zafarbował stanik, w którym najwyraźniej nie należy wychodzić na deszcz. Kaftanik cuchnie, a majtki od góry do dołu pokrywają smarki męskiej rozkoszy. Sugar rzuca jedną część garderoby na drugą i nago wchodzi do balii. Zanurza w bąbelkach piany najpierw długie nogi, potem posiniaczone pośladki, a na końcu biust, o którego niedojrzałych kształtach nigdy nie omieszkają wspomnieć obleśne świnię, piszące takie szmatławate przewodniki jak *Dalsze hulanki w Londynie*.

Za oknem wzmagają się rubaszne śmiechy, rozmowy, brzęki i hałasy, towarzyszące dostawom towarów do sklepów – nie będzie jej zapewne łatwo usnąć, choć chyba zdoła się zdrzemnąć w chwili ciszy, która następuje zawsze, kiedy sklepikarze kończą przygotowania do dnia pracy, a zanim pojawią się pierwsi klienci. Granice świadomości Sugar już się zamazują – musi uważać, żeby nie zasnąć w balii. Jest tak zmęczona, że nawet nie pamięta, czy odprawiła rytuał antykoncepcyjny.

Ciężkie loki upiętych w kok włosów rozsypują się i rozplątują na mokrych plecach dziewczyny, a spinki wpadają do wody, gdy Sugar odwraca głowę w poszukiwaniu świadectwa pamięci albo zapomnienia. Miednica z płynem antykoncepcyjnym stoi tam, gdzie ją postawiła, i tak, teraz sobie przypomina, korzystała z niej. Dzięki Bogu. Nie pamięta, co prawda, by używała tłoczka, który leży jednak przecież koło miednicy, ociekając wilgocią (owinięty nie tkaniną, jak tłoczek Caroline, lecz prawdziwą morską gąbką).

Ile to już razy odprawiła tę ceremonię? Ile gąbek i tamponów zużyła? Ile razy przygotowywała ten koktajl czarownic, odmierzając składniki z automatyczną precyzją? Owszem, w czasach Church Lane receptura była nieco inna – dziś, oprócz ałunu i siarczanu cynku, Sugar dodaje także *sal eratus*, czyli szczyptę dwuwęglanu sodu. Zasadniczo jednak jest to ta sama mikstura, nad którą przykuciała niemal co noc, odkąd zaczęła miesiączkować w wieku szesnastu lat.

Puszcza główna spinka, co oznacza, że za chwilę reszta jej sięgających pasa włosów wpadnie do letniej wody. Drżąc na całym ciele, Sugar wynurza się z piany i wspiera ręce na udach. Nareszcie może wydalic skromne, acz przysparzające jej bólu resztki uryny, których nie mogła pozbyć się wcześniej, przed kąpielą. Żółte kropelki spadają na spienioną powierzchnię wody, wypisując jakieś mroczne nonsensy w bieli brudnych mydlin. Czy wyciekają z niej teraz tylko siki, czy może pozostało w niej coś więcej? Zdarza się czasem, że idzie ulicą, dobre pół godziny po kąpielu, i nagle czuje, jak wypływ nasienia plami jej bieliznę. Dlaczego, u licha, Bóg, natura albo ta siła, co ponoć spaja wszechświat, sprawia, że tak trudno jest utrzymać w czystości naturalne otwory ludzkiego ciała? Co jest tak wyjątkowo cennego w sikach, gównie albo wydzielinach jakiegoś nadętego panicyka, że uwzględniono je w strukturze kosmicznego ładu, by mogły lgnąć niestrudzenie do ścianek jej wnętrzości?

– Niech będzie przeklęty Bóg i całe Jego straszliwe, plugawe Stworzenie – szepcze Sugar, napinając i rozluźniając mięśnie.

Jakby w odpowiedzi na odgłos spływającego do wody strumyczka moczu, słyhać werbel kropel na oszronionej szybie, a potem łagodny szum deszczu, zagłuszający hałasy, czynione przez konie i ludzi. Sugar wychodzi z wanny i wyciera się świeżym białym ręcznikiem, podczas gdy szron na szybach trzeszczy, przybiera mleczną barwę i spływa, odsłaniając kontury dachów na tle jaśniejącego nieba. Ogień w kominku wygaś i półżywa ze zmęczenia dziewczyna trzęsie się z zimna, wciągając przez głowę nocną koszulę. Jednak ciepłowość, jaką okazała temu, jak mu tam, Williamowi – „Proszę, mów mi William” – została sownie nagrodzona: dostała od niego tyle, co

od trzech klientów. Pamiętajmy jednak, że Sugar nie jest chciwa; i chętnie darowałaby sobie jebanie na koniec.

Potem na ostatnich nogach dziewczyna idzie – tak, tak, tak – do swojego łóżka.

Pomrukując coś pod nosem, jednym uderzeniem otwartej dłoni rozsuwa zwisające zasłony. W lustrze widać gniewną młodą kobietę, gotową zamordować każdego, kto stanie na jej drodze. Z oznaczającym determinację stęknieniem chwyta zaplamione prześcieradło i usiłuje ściągnąć je z materaca, ale brak jej sił. Kuli się więc, uznając swoją porażkę, gasi światło, wpęza w suchy kąt łóżka tuż pod lustrem, naciąga koc aż po szyję i wydaje krzyk ulgi.

Przez kilka chwil leży jeszcze z otwartymi oczami, nasłuchując ulewy. Potem zamyka oczy, a wtedy jak zwykle duch opuszcza jej ciało i ulatuje w nieznaną ciemność, nie zdając sobie sprawy, że tym razem leci gdzieś indziej niż zazwyczaj. W dole, na ziemi, zostaje brudna balia i mokre łóżko, uwięzione w zrujnowanej kamienicy, stojącej pośród innych podobnych domów w tym ogromnym, labiryntowym mieście – lecz rankiem ten świat będzie czekać na Sugar, by znów ją pochłonąć. Istnieje jednak także rzeczywistość nadrzędna: rzeczywistość snów. A w tym śnie, w którym dziewczyna unosi się w powietrzu, jej dawne życie dobiega właśnie końca, niczym rozdział powieści.

Część druga

Dom rozpusty

Włożywszy świeże ubranie, nieprzytomny z niewyspania, dziedzic fortuny Rackham Perfumeries stoi w swoim salonie wpatrzony w deszcz za oknem i zastanawia się, czy to, co czuje, to miłość. Przemókł niemiłosiernie, dorożkarz, który przywiózł go do domu, wziął za dużo za kurs, drzwi otworzono mu dopiero po czwartym dzwonku, na kąpiel czekał całe wieki, teraz zaś każą mu oczekiwać na śniadanie – to wszystko się jednak nie liczy. Gdzieś tam, w wielkim świecie, myśli William, jest dziewczyna jego życia.

Mocniej pociąga za ozdobny sznur, a wtedy zasłony rozchylają się bardziej – na całą szerokość. Ale rześista ulewa, która podążała za nim z miasta przez całą drogę aż do Notting Hill, nie przepuszcza prawie wcale słońca, więc tylko nieliczne drobinki bladego światła sączą się przez ogromne okna jak przez filtr, by osiąść w oświetlonym lampami salonie niczym warstwa kurzu. Wpół do dziesiątej, a lampy wciąż się palą! Ach, ale to nieważne. Deszcz jest piękny: jak piękny może być deszcz! Pomyśleć tylko, ile paskudztwa spływa wraz z nim z ulic! A pomyśl i o tym, że zaledwie kilka mil na południowy wschód stąd, pod osłoną tego samego nieba, najprawdopodobniej wciąż zwinięta w łóżku, leży niegrzeczna anielica o imieniu Sugar, w której ciele, potyskując niczym srebro na ścianie macicy, kryje się jego nasienie.

William wkłada papierosa do ust i pieści jego czubek nagim płomieniem, utwierdzając się w postanowieniu, które powziął niemal natychmiast po opuszczeniu przybytku pani Castaway: musi zatrzymać Sugar wyłącznie dla siebie. Płonne nadzieje? Wcale nie. W tym celu potrzebuje tylko dużego majątku, a przecież ma prawo do wielkiej, wielkiej fortuny.

Mgiełka dymu po wewnętrznej stronie szyby – deszczowa panorama za oknem. William wyobraża sobie widzianą z ogromnej wysokości metropolię, połączoną nie tylko lśniąca, pajęczą siecią deszczu, lecz siecią jego własnego przeznaczenia. Tak, tego jasnego, deszczowego dnia przejmie kontrolę nad imperium Rackhama, a Sugar niech sobie śpi. Niech śpi, aż przyjdzie czas, kiedy pociągnie za odpowiednią nić, żeby ją zbudzić.

Gdzieś z głębi domu dobiegają nieokreślone hałasy, nieprzypominające głosów ani kroków i ledwo słyszalne na tle szumu ulewy. William wie, że dżdżysta aura nastraja służbę kapryśnie. Prawdę mówiąc, obserwuje owo zjawisko tak często, że rozważa pomysł napisania na ten temat zabawnego artykułu dla „Puncha”, pod tytułem *Służba i pogoda*. Te głuptaski biegają wtedy bez celu tam i z powrotem, nieruchomieją na kilka chwil, a potem znów gwałtownie puszczają się przed siebie i nagle znikają pod schodami albo w korytarzu – jak kocięta. Zabawne... Ale dziś rano służba każe mu czekać na śniadanie tak długo, że niewiele brakuje, by zdążył w tym czasie napisać ów artykuł.

Łagodne, wywołane niewątpliwie przez głód zawroty głowy sprawiają, że William siada w najbliższym fotelu. Wpatruje się w wyfroterowaną podłogę przez tytoniową mgłę i zauważa, że wskutek nieustępliwego naporu ulewy przez szparę w oknie cieknie do pokoju wąska strużka wody. Płyne nieregularnie po parkiecie i zbliża się ku niemu cal po calu, ma jednak jeszcze do przebycia długą drogę, drży więc i czeka na kolejny podmuch wiatru. Nie mając nic lepszego do roboty, William siedzi jak zaczarowany i przygląda się strumyczkowi deszczu, obstawiając w myślach zakład, czy kiedy pojawi się Letty, by oznajmić, że podano śniadanie, woda dosięgnie kaptura na jego lewej nodze. Jeśli nie, to... no właśnie, co wtedy zrobi? Będzie dla niej miły, A jeśli tak... da jej burę. Los Letty spoczywa zatem w jej własnych rękach.

Lecz kiedy do salonu wchodzi wreszcie służąca, okazuje się, że nie jest to Letty, ale Clara.

– Pani Rackham zje dziś z tobą śniadanie, jeśli pozwolisz, panie – mówi (w rozkoszny, typowy dla niej sposób Clara umie dać do zrozumienia, że nic ją nie obchodzi, czy William pozwoli, czy nie).

– Tak, ja... co takiego?

– Pani Rackham, panie...

– Moja... żona?

Clara patrzy na niego jak na idiotę – o jaką inną panią Rackham może chodzić?

– Tak, panie,

– A zatem... czuje się dobrze?

– Nie zauważyłam, żeby coś jej dolegało, panie.

Kiedy William zastanawia się nad tą informacją, zapomniany papieros dopala się i parzy go w palce.

– Wspaniale! – mówi. – Co za miła niespodzianka.

A zatem William zasiada przy stole, nakrytym dla dwóch osób, i czeka, aż puste krzesło naprzeciwko zajmie jego żona. Dmucha na bolące, poparzone palce i macha ręką. Chciałby zanurzyć dłoń w lodowato zimnym winie albo wodzie, ale jest tylko herbata i dzbanuszek mleka, z którego on (i... Agnes?) będą wkrótce korzystać.

Jadalnia, zbudowana dla rodziny biblijnej wielkości, przypomina ponurego kolosa. Aby zniwelować to wrażenie, któraś ze służących dorzuciła nazbyt szczerze do ognia, i dlatego pod stołem gromadzi się teraz nadmiar ciepłego powietrza, uwięzionego tam przez ciężki lniany obrus. Byłoby lepiej, gdyby służba wykorzystywała swój nikły potencjał intelektualny, rozsuwając nieco szerzej zasłony – w jadalni wcale nie jest za jasno.

Wchodzi Letty, niosąc tacę z grzankami i bułeczkami. Biedactwo, wygląda na wzburzoną. Zupełnie inaczej niż przed kilkoma miesiącami, kiedy powiedział jej, że będzie zarabiać dwa funty więcej na rok, bo „nie ma już z nami Tilly”. Wtedy nie patrzyła na niego spode łba! Ale William wie, o co jej chodzi: otóż Agnes, jako pani domu, miała wyznaczyć poszczególnym służącym zakres ich obowiązków, niczego takiego jednak nie uczyniła. Zdaje się więc, że w tej sytuacji służące na własną rękę rozdzieliły obowiązki między siebie.

– Wszystko dobrze, Letty? – mruczy William, kiedy służąca nalewa mu herbatę.

– Tak, panie Rackham. – Biały mankiet jednego rękawa ma podwinięty wyżej niż drugi, a na czoło opada jej kosmyk włosów, William postanawia jednak przejść nad tym do porządku.

– Przygaś trochę ten ogień – wzdycha, kiedy służąca kończy układać grzanki na stojaczkę i zbiera się do wyjścia. – Bo za chwilę staniemy wszyscy w płomieniach.

Letty robi głupią minę i mruga powiekami. Przez prawie cały dzień biega po korytarzach, gdzie hulają przeciągi, a jej sypialnia mieści się na strychu, ciepło nie jest więc zjawiskiem, z którym się często spotyka. Jej kiepski, mały piecyk zapycha się z byle powodu, a ponieważ służbie przybyło ostatnio obowiązków, nie ma go kiedy przeczyścić.

William ociera czoło serwetką, podczas gdy służąca opada na kolana, by wykonać jego polecenie. Dlaczego ze wszystkich poranków Agnes wybrała właśnie ten dzisiejszy, by zjeść z nim razem śniadanie? Czyżby jej szaleństwo rozświetlił nagle wieszcy promyk, który na mgnienie oka pozwolił jej ujrzeć jego i Sugar *in delicto*? Bóg wie, że dotąd zwykle spała spokojnie, kiedy William ją zdradzał, czy więc tym razem wyczuwa otaczającą go aurę upojenia? Tak, to na pewno to: jego upojenie wypełnia cały dom jak elektryczność przed burzą i niepokoi Agnes. Odcięta od świata, chora, leżała nieprzytomna w swoim cichym pokoju, by w chwilę później, pobudzona zmianą napięcia w powietrzu, otworzyć nagle oczy niczym lalka. William ukradkiem podnosi pokrywkę maselnicy i wyskrobuje ze środka smugę złocistej mazi, którą koi ból palców.

Zostawmy Williama i wyjdźmy z jadalni w ślad za Letty. Letty jest postacią bez znaczenia, ale w drodze ku długiemu, wiodącemu do kuchni podziemnemu korytarzowi zauważa schodzącą ze schodów Agnes – czyli jedną z tych osób, które przybyłeś tu poznać. Będzie o wiele lepiej, jeżeli skorzystasz ze sposobności i przyjrzyś się jej teraz, zanim odzyska panowanie nad sobą przed spotkaniem z mężem.

Oto więc Agnes Rackham schodzi ostrożnie po krętych schodach. Dyszy, marszczy brwi, przygryza wargę. Niechętnie opierając ciężar ciała na kolejnych wyłożonych dywanem stopniach, zaciska na poręczy dłoń o zbieleńskie kłycki, przykładając drugą rękę do piersi, tuż pod półokrągłym, sztywnym kołnierzykiem podomki z ciemnoniebieskiego aksamitu, wiszącej tak nisko na filigranowym ciałku, że skraj szlafroka może w każdej chwili zaplątać się między czubki miękkich, szarych bamboszy, co grozi upadkiem ze schodów.

Zastanawiasz się, czy już gdzieś wcześniej nie widziałeś pani Rackham: owszem, ależ tak. Jest ideałem kobiety schyłku epoki wiktoriańskiej – była ucieleśnieniem doskonałości, gdy William brał ją za żonę, choć teraz, w połowie lat siedemdziesiątych, jej uroda zdaje się już nieco dziwna. Agnes nie ma więc figury ani manier, które są dziś w modzie, lecz mimo to pozostaje ideałem – bo jego wszechobecności nie da się wymazać w jedną noc. Jej wizerunek zdobi tysiące malowideł, dziesiątki tysięcy starych pocztówek i setki tysięcy puszek po mydle. Jest wzorcowym modelem kruchej jak porcelanowa laleczka kobiety, mierzy pięć stóp i dwa cale wzrostu, ma niebieskie oczy, gładkie, piękne blond włosy i idealnie kształtne usta, przypominające małeńką, różową pochwę.

– Dzień dobry, Letty – mówi Agnes i przystaje, trzymając się poręczy. Ponieważ jednak czeka ją jeszcze próba sił, czyli spotkanie z mężem, uznaje, że nie warto kusić losu podczas ryzykownego zejścia, a zatem, że nie powinna rozmawiać i schodzić jednocześnie ze schodów.

William podrywa się na baczność, gdy wchodzi jego żona.

– Agnes, kochanie! – mówi i szybko podsuwa jej krzesło.

– Tylko bez ceregieli, proszę cię, Williamie – odpowiada Agnes.

W ten sposób zaczyna się spór, stary spór o to, któremu z małżonków przysługuje miano osoby normalnej. Istnieje wszak pewna norma, do której stosują się wszyscy ludzie zdrowi na umyśle: które z nich wyraźniej od niej odstaje? Któremu z nich, zdaniem obiektywnego, niewidocznego sędziego, unoszącego się między nimi w powietrzu, bardziej brakuje rozumu? Pistolet startera wystrzelił.

Posadziwszy żonę przy stole, William sztywnym krokiem wraca na swoje miejsce. Siedzą potem w tak śmiertelnej ciszy, że słyszą dobiegające gdzieś z bliska, zza drzwi, syczące, niespokojne głosy kobiece. Rozprawiają one o tym, że kucharka miewa ostatnio napady złego humoru, a potem, wciąż posykurając, spierają się (Letty i Clara), która z nich ma więcej niż tylko dwie ręce.

Agnes spokojnie smaruje masłem bułeczkę, nie zwracając uwagi na zamieszanie wokół jej osoby. Odgryza kęs, utwierdza się w przekonaniu, że bułeczkę upieczono z resztek słodkiego chleba, i odkłada ją na talerz. Woli kawałek ciasta „Sally Lunn”, wciąż zachowującego ciepło dzięki serwetce, w którą jest zawinięte.

Kilka chwil później do stołu państwa Rackham podchodzi spocona Letty.

– Pozwól, pani... – uśmiecha się sztucznie i chociaż niesie dwie tace w drżących rękach, dyga najładniej, jak umie.

– Dziękuję, Letty – odpowiada Agnes, rozsiadając się wygodniej i obserwując reakcję małżonka na widok kolejnych dań, jakie pojawiają się na stole: jest to obfite śniadanie, które serwuje się jedynie wtedy, gdy wymaga tego obecność pani domu.

Jajka są wciąż gorące, plasterki bekonu tak chrupkie, że można by nimi rozsmarowywać masło, na doskonale wysmażonych kiełbaskach nie rysuje się ani jedno pęknięcie, przyrumienione pieczarki są brązowe, a dalej idą rolady, naleśniki i idealnie wypieczone cynaderki; to jednak nie wszystkie potrawy, jakie służąca rozstawia przed Rackhamami.

– Cóż, mam nadzieję, że dopisuje ci dziś apetyt, kochanie? – rzuca krótko William.

– O, tak – zapewnia go Agnes.

– A zatem dobrze się czujesz?

– Całkiem dobrze, dziękuję. – Agnes dekapituje jajko: żółtko w środku ma szafranowy kolor i jest idealnie ugotowane na miękko.

– I bardzo dobrze wyglądasz – zauważa William.

– Dziękuję. – Agnes rozgląda się po ścianach w poszukiwaniu natchnienia do dalszej konwersacji. I chociaż z miejsca, gdzie siedzi, nie widać okna, zaczyna myśleć o deszczu, który przez całą noc dotrzymywał jej towarzystwa, pieszcząc okna pokoju na piętrze. – Zapewne czuję się tak dobrze ze względu na pogodę. Mamy bardzo nietypową aurę, nie sądzisz?

– Mhm – zgadza się William. – Jest bardzo wilgotno, ale niezbyt zimno. Nie uważasz?

– To prawda, zamarzlina zniknęła. O ile takie słowo jak „zamarzlina” w ogóle istnieje. – (Co za ulga! Udało się jej zbudować zgrabną rozmowę na podmokłych fundamentach pogody).

– Cóż, kochanie, nawet jeśli nie ma takiego słowa, to właśnie wyświadczyłaś przysługę angielszczyźnie.

Agnes uśmiecha się, ale William, niestety, spuszcza w tym momencie wzrok, sprawdza bowiem, czy leży przed nim wołowa, a może barania rola-da. Uśmiech zastyga więc na ustach pani Rackham, aż William podnosi głowę i zauważa go – wtedy jednak, chociaż usta Agnes ani drgną, daje się wyczuć, że coś jest nie w porządku.

– Tuszę, że słyszałaś tę... sprzeczkę? – pyta William, wskazując szerokim gestem miejsce, skąd dobiegały syczące głosy służących.

– Nic nie słyszałam, kochanie. Jedyne szum deszczu.

– Wydaje mi się, że służba nie wie, co kto powinien robić, odkąd odeszła Tilly.

– Biedaczka. Lubiłam ją.

– Służba oczekuje wskazówek od ciebie.

– Och, Williamie – wzdycha Agnes. – To wszystko jest takie skomplikowane i męczące. Służące wiedzą doskonale, co robić. Czy nie mogą tego ustalić między sobą? – Potem znów uśmiecha się, szczęśliwa, że odnalazła w pamięci przydatne wspomnienie z ich wspólnej przeszłości. – Socjalizm: czy nie o tym ciągle kiedyś mówiłeś?

Zirytowany William wydyma usta. Socjalizm nie oznacza, że można pozwolić służbie wprowadzać w domu bliski anarchii bałagan. Ale mniejsza o to, mniejsza: takiego dnia jak dziś nie warto się tym przejmować. Już wkrótce problem służby, a w każdym razie problem służby w domu Williama Rackhama, zostanie definitywnie rozwiązany.

Pojawia się jednak bardziej paląca kwestia: rozmowa wygasa. William łamie sobie głowę, chcąc znaleźć jakiś temat, który mógłby zainteresować jego małżonkę, ale wszędzie, gdzie spojrzy, widzi wyłącznie Sugar. W ciągu ostatnich trzech czy czterech tygodni, odkąd ostatnio jedli razem śniadanie, musiał przecież natknąć się na jakiegoś ich wspólnego znajomego!

– Spotkałem... Bodleya i Ashwella w... zdaje się, że we wtorek.

Agnes przechyla głowę na bok, starając się słuchać uważnie i z zainteresowaniem. Nie cierpi zarówno Bodleya, jak i Ashwella, ale oto nadarza się okazja, by przygotować się do nadchodzącego Sezonu, kiedy to często będzie musiała rozmawiać z ludźmi, których nie cierpi, a także udawać, że jest nimi zainteresowana.

– Ciekawe – mówi. – A co u nich słychać?

– Napisali książkę – odpowiada William. – O modlitwie, o skuteczności modlitwy. Moim zdaniem narobi wiele hałasu.

– Który niewątpliwie sprawi im uciechę. – Agnes wybiera pieczarki i ostrożnie nakłada je na grzankę. Chociaż oboje konsumują drobne kęsy czasu, wciąż pozostaje im niestrawna wieczność.

– Henry nie odwiedził nas w ostatnią niedzielę – zauważa pani Rackham. – W zeszłym tygodniu też nie. – Czekaj chwilę, by małżonek podjął temat, a potem dodaje: – Bardzo go lubię, a ty?

Zmieszany William mruga powiekami. O co jej chodzi? Dlaczego wyraża się o jego bracie tak, jak gdyby był pierwszym lepszym zabawnym jegomościem, którego poznali na jakimś przyjęciu? A może pije do tego, że ona bardziej troszczy się o Henry'ego niż on?

– Drzwi naszego domu są zawsze dla niego otwarte, kochanie – mówi William. – Ale być może Henry uważa, że nie jesteśmy dość pobożni, żeby nas odwiedzać.

Agnes wzdycha.

– Staram się być tak pobożna, jak tylko mogę w wiadomych okolicznościach – mówi.

William ma się na baczności i nie kontynuuje tego wątku, który może okazać się dla niego kłopotliwy. Woli się zająć jeszcze ciepłą kiełbaską. Oczami wyobraźni widzi na łóżku nagą kobietę o ognistorudych włosach. Leży na brzuchu, a na jej szkarłatnych wargach sromowych połyskuje białe nasienie. William uświadamia sobie, że jeszcze nie widział jej piersi. W myślach wpatruje się w nią coraz natarczywiej, chce zmusić ją siłą woli, żeby się odwróciła, by poruszyła biodrami, ale rudowłosa ani drgnie – i dopiero Agnes przerywa ciszę.

– Zastanawiam się, czy... – Pani Rackham nerwowym ruchem przykładła dłoń do czoła, a potem reflektuje się i przesuwa rękę niżej, na policzek. – Gdyby taka pogoda miała się ustalić... Znaczący, że pada... To wtedy deszcz stałby się zjawiskiem normalnym, a suche niebo chyba raczej osobliwą

rzadkością?

Mąż obrzuca ją przeciągłym spojrzeniem, mającym oznaczać, że gotów jest dać jej tyle czasu, ile potrzebuje, by zacząć mówić do rzeczy.

– Chodzi mi o to... – ciągnie Agnes, oddychając głęboko. – Wyobrażam sobie, że... że cały świat mógłby do tego stopnia... przywyknąć do nieustannego deszczu, że kiedy nadszedłby wreszcie suchy dzień, ma... małżonkowie... siedzący przy śniadaniu, jak my teraz... zapewne uznaliby taką pogodę za nie... niebywale dziwną.

William marszczy brwi, przestaje na chwilę jeść, a potem puszcza słowa żony mimo uszu. Odkrawa sobie następny kawałek kielbaski; w świetlistym półmroku spowitej deszczem jadalni jego srebrny nóż zgrzyta o porcelanę.

– Mhm – mówi. Jest to pomruk na każdą okazję, oznaczający, że ma usta pełne kielbaski, a zarazem wyrażający aprobatę, oszołomienie i ostrzeżenie, wszystko, cokolwiek Agnes uzna za stosowne w nim wyczytać.

– Bardzo proszę, mów dalej, kochanie – zachęca go słabym głosem.

William znowu łamie sobie głowę, szukając w myślach jakichś nowin o ich wspólnych znajomych.

– Doktor Curlew... – zaczyna, nie jest to jednak najważniejszy temat, jaki może poruszyć w rozmowie z Agnes, zmienia go więc tak sprytnie, jak potrafi. – Doktor Curlew opowiadał mi o swojej córce, Emmeline, która... nie ma najmniejszego zamiaru wychodzić ponownie za męża.

– Czyżby? Co zatem zamierza robić?

– Poświęca niemal cały czas Towarzystwu Ocalenia Kobiet.

– A zatem pracuje? – Dezaprobatą działa uzdrawiająco na brzmienie głosu Agnes, nasycając go wyrazistą nutą, której na ogół bardzo mu brakuje.

– No, tak, zapewne trudno określić to w inny sposób...

– Oczywiście.

– ...bo chociaż Towarzystwo Ocalenia Kobiet to organizacja charytatywna, a Emmeline jest wolontariuszką, koleżanki oczekują od niej, że będzie robić... no cóż, wszystko, o co się ją poprosi. Zgodnie z tym, co mówi Curlew, przypuszczam, że jego córka spędza całe dni w przytułku albo wręcz na ulicach, bo kiedy odwiedza potem ojca, jej ubranie wprost cuchnie.

– To chyba nic dziwnego... Fúj!

– Trzeba jednak oddać sprawiedliwość wolontariuszkom, bo odnoszą ponoć zdumiewające sukcesy. Przynajmniej tak twierdzi doktor.

Agnes zerka tęsknie ponad jego ramieniem, jak gdyby miała nadzieję, że do pokoju wpadnie zaraz postać ojca olbrzyma, aby przywrócić obyczajność w tym domu.

– Doprawdy, Williamie... – Agnes wije się ze wstydu. – Taki temat. W dodatku przy śniadaniu.

– Hmm, tak... – Małżonek przepraszająco kiwa głową. – To rzeczywiście... hmm. – Pije łyk herbaty. – A jednak... a jednak jest to zło, z którym powinien walczyć nieulekłe całe naród, nie sądzisz?

– Co takiego? – Agnes daremnie łudzi się nadzieją, że temat zniknie, jeśli ona bezpowrotnie zgubi wątek. – Jakie zło?

– Prostytcja. – William wyraźnie wypowiada to słowo, patrzy jej prosto w oczy i zdaje sobie sprawę, do diabła, że jest okrutnikiem. Gdzieś w głębi ducha zaniejszy William Rackham przygląda się bezsilnie, jak owo pojedyncze, długie słowo przeszywa na wskroś jego żonę czterema kształtnymi sylabami, najeżonymi w środku literą „t”. Przypominająca kameę twarz jego żony blednie, gdy Agnes traci oddech.

– Wiesz – mówi piskliwym głosem – kiedy dziś rano wyjrzałam przez okno, krzaki róż... to znaczy ich gałęzie... chwiały się w górę i w dół, o, tak, jak gdyby ktoś otwierał i zamykał parasol, otwierał i zamykał, otwierał i... – Agnes przełyka ślinę i zaciska mocno usta w obawie, że będzie się powtarzać w nieskończoność. – Myślałam... to znaczy, kiedy mówię, że myślałam, nie chodzi mi o to, że naprawdę w to wierzyłam, ale wydawało mi się, że róże zapadają się w ziemię. Trzepotały niczym wielkie, zielone owady, które jakaś siła wsysa w ruchome piaski, porośnięte trawą. – Agnes milknie, prostuje plecy z poważną miną i splata dłonie na kolanach niby dziecko,

które wyrecytowało właśnie wierszyk najlepiej, jak umiało.

– Naprawdę dobrze się czujesz, kochanie?

– Naprawdę, dziękuję, Williamie.

Na chwilę zapada cisza, a potem William z uporem kontynuuje:

– Pytanie brzmi, czy reforma mogłaby rozwiązać ten problem. Czy reforma w ogóle jest możliwa? Owszem, Towarzystwo Ocalenia Kobiet może utrzymywać, że niektóre z tych nieszczęśnic żyją teraz uczciwie, ale kto to może wiedzieć na pewno? Pokusa jest potężna. Jeśli nawrócona ladacznica wie, że w ciągu jednego popołudnia może zarobić tyle, ile szwaczka przez miesiąc, to jak długo wytrwa w uczciwej pracy? Wyobraź sobie, Agnes, jak to jest zszywać za psi grosz całe stosy bawełnianych koszul, kiedy zdejmując na kilka minut własne odzienie, mogłabyś...

– Williamie, proszę cię!

Parzy go strumyczek wyrzutów sumienia, a palce Agnes zaciskają się na obrusie, mnąc lnianą tkaninę.

– Przepraszam, kochanie. Wybacz mi. Zapominam, że ostatnio trochę niedomagałaś.

Agnes przyjmuje przeprosiny, wykrzywiając usta w grymasie, który równie dobrze może być uśmiechem, jak i wyrazem lęku.

– Bardzo cię proszę, porozmawiajmy o czymś innym – mówi prawie szeptem. – Pozwól, że doleję ci herbaty.

William nie ma czasu, żeby się sprzeciwić i oświadczyć, że w tym celu należałoby raczej wezwać służącą, bo Agnes zaciska już palce na rączce czajnika, a jej dłoń dygoce z wysiłku w przegubie, gdy usiłuje go dźwignąć. William podnosi się z krzesła, żeby jej pomóc, lecz pani Rackham już wstaje – jej drobna figurka chwieje się nad stołem pod ciężarem masywnego, porcelanowego czajnika.

– Dziś jest szczególny dzień – mówi, pochylając się nad filiżanką Williama. – Zamierzam naradzić się z kucharką (nalewa powoli herbatę) i upiec twoje ulubione czekoladowe ciasto z wiśniami, którego tak dawno nie jadłeś.

William jest wzruszony, wzruszony do głębi.

– Och, Aggie – mówi. – To po prostu wspaniale.

Widok jego drobnej, kruchej żony, która pochyla się i nalewa mu herbatę, nagle go przytłacza. Jakże wstrętne i niesprawiedliwie ją traktuje! Nie tylko dzisiejszego ranka, ale od pierwszej chwili, gdy go znenawidziła. Czy jednak Agnes naprawdę zasługuje na potępienie dlatego, że odrzuciła jego miłość i zaczęła traktować Williama jak zwierzę, w które go w końcu zmieniła? Powinien był uznać, że jego żona jest stworzeniem szklarniowym, kwiatem, którego nie należało otwierać, zamknięty nie straciłby bowiem nic na urodzie i wartości. Powinien był ją ubóstwiać, wynosić pod niebiosa, dbać o nią, a z końcem dnia zostawiać w spokoju. Wzruszony niemal do łez, William wyciąga do niej rękę przez stół.

Nagle ramię Agnes zaczyna drżeć z mechaniczną gwałtownością, dziobek czajnika grzechocze donośnie o brzeg filiżanki i w mgnieniu oka strąca ją ze spodeczka, a wtedy biel obrusa wybucha brunatną cieczą.

William zrywa się z krzesła, ale rączka dzbanka wysuwa się już z drżącej dłoni Agnes, która chwiejnie cofa się od stołu. W oczach pani Rackham maluje się obłęd. Jej plecy, które William próbuje otoczyć opiekuńczym ramieniem, spazmatycznie drżą, po czym garbią się bezsilnie i Agnes ze zdławionym okrzykiem pada na podłogę. Albo osuwa się na dywan, jak kto woli. Tak czy owak, nie słyhać głuchego odgłosu upadku, a jej szkliste, niebieskie oczy pozostają otwarte.

William wpatruje się w nią z niedowierzaniem, chociaż nie pierwszy raz widzi żonę leżącą u swoich stóp – aż mdli go ze zdenerwowania, ale i z nienawiści, podejrzewa bowiem, że uknuła omdlenie zawczasu. Agnes także patrzy na małżonka, dziwnie teraz spokojna, jakby wiedziała, że niżej spaść już nie może. Włosy ma wciąż starannie ufryzowane, a leży w takiej pozycji, jak gdyby układała się do snu. Płytki oddech, który unosi jej pierś, zdradza, że okryte błękitną podomką ciało jest bardziej dojrzałe i lepiej rozwinięte, niż można by sądzić po jego skromnych wymiarach.

– Nie powinnam była wstawać dzisiaj z łóżka – zauważa obojętnie pani Rackham, przenosząc wzrok z męża na gipsowe rozety na suficie. – Myślałam, że mogę sobie na to pozwolić, ale myliłam

się.

Na szczęście – przynajmniej dla Rackhamów – w tej chwili do pokoju wchodzi Janey, którą przysłano, by posprzątała ze stołu.

– Janey! – warczy William. – Biegnij do doktora Curlew i powiedz, że ma niezwłocznie stawić się w naszym domu.

Przywykła do posłuszeństwa, dziewczyna dyga, ale powstrzymuje ją dobiegający z podłogi głos jej pani.

– Janey nie może iść – oświadcza leżąc na podłodze pani Rackham, lekko się krztusząc, bo z dywanu wzbija się kurz. – Jest potrzebna w kuchni. A Letty ścieli już łóżka. Janey, powiedz Beatrice, żeby poszła. Jest jedyną osobą, bez której możemy się teraz obejść.

– Tak jest, psze pani.

– I wezwij do mnie Clare.

– Tak jest, psze pani. – I nie czekając, co powie pan, Janey wybiega z pokoju.

William Rackham drepcze wokół Agnes, nieporadnie wyciągając do niej ramiona. Kiedyś, kiedy nie wiedział jeszcze, że jest chora, brał żonę na ręce i nosił ją po mieszkaniu. Teraz wie, że nie wystarczy ją podnieść. Chrząka, zastanawiając się, jak mógłby okazać, że odczuwa wyrzuty sumienia, a zarazem, że wszystko jej przebacza.

– Nic ci się nie stało, kochanie, prawda? To znaczy, nic sobie nie złamałaś? Może nie należało wzywać doktora Curlew? Zrobiłem to bez namysłu, pod wpływem... zdenerwowania. Teraz jednak śmiem twierdzić, że nie potrzebujesz lekarza. Prawda? – Podsuwa jej kuszącą propozycję, którą może przyjąć lub odrzucić, wedle życzenia.

– To miło z twojej strony, że tak sądzisz – odpowiada Agnes znużonym głosem. – Ale jest już za późno.

– Nonsens. Mogę przecież odwołać dziewczynę.

– Wykluczone. Nie będziesz biegał w kapciach za służącą. Upadliśmy już wystarczająco nisko.

I pani Rackham odwraca głowę ku drzwiom, skąd nadejdzie ratunek.

Clara pojawia się kilka sekund później. Obrzuca spojrzeniem pana, a potem panią. Jest rzeczą całkowicie naturalną, że dziewczyna zwraca uwagę na stojącego mężczyznę i leżącą na podłodze kobietę, a jednak William wykrywa w spojrzeniu Clary coś więcej, a mianowicie: przebłysk oskarżenia, które go oburza; wszak nigdy w życiu nikogo nie uderzył! A jeśli kiedykolwiek komuś to uczyni, to, na Boga, ta bezczelna małpa będzie zapewne pierwsza!

Clara jednak już nie zwraca na niego uwagi – dźwiga Agnes z podłogi (a może pani Rackham wstaje o własnych siłach? – w każdym razie służąca czyni to ze zdumiewającą łatwością), po czym obie kobiety ramię przy ramieniu wychodzą z pokoju.

Za kim pójdziemy teraz? Za Williamem czy Agnes? Za panem domu czy panią? Tego brzemiennego w skutki dnia – za panem.

Omdlenie Agnes, chociaż dramatyczne, nie ma większego znaczenia – mdlała już wcześniej i nieraz jeszcze zemdleje.

William natomiast idzie prosto do swojego gabinetu, a kiedy się tam rozsiada, udaje mu się coś, co dotąd mu się nie udało. Zagłębia się w ojcowskie papiery, czyta je ponownie, potem duma nad nimi, wpatrując się w deszcz, aż wreszcie zaczyna je rozumieć. Wstrząs wprowadził go w stan najwyższej czujności – poza tym jest pełen dobrych chęci. Karty historii Rackham Perfumeries bieleją przed nim na biurku, upstrzone żyłkami pionowych cieni: strumyczków deszczu, spływających po szybie. Czyta, trzymając pióro w gotowości. Nadszedł dzień, burzliwy i doniosły, w którym nagnie nieposłuszną przyszłość do swojej woli.

Nieustraszony William zgłębia więc matematykę nawozu, algebrę arealów i subtelne różnice między destylacją a rozcieńczaniem. Kiedy spotyka słowo, które nic dla niego nie znaczy, szuka go w słownikach i leksykonach, w które przewidująco wyposażył go ojciec, jak *Leksykon roślin dochodowych* albo *Rolnicza encyklopedia perfum i esencji*. Licząc od zeszłej nocy, nieznaną wewnętrzną strukturą Rackham Perfumeries jest luksusem, na który nie może już sobie pozwolić.

Oczywiście, chce położyć kres cierpieniom Agnes. Za każdym razem, kiedy trzeba wprowadzić

w domu nowe oszczędności – gdy odprowadzają kolejną służącą lub znów muszą odmawiać sobie ekstrawagancji – stan Agnes się pogarsza. Stangret i powóz przywróciłyby ją do zdrowia szybciej niż jakiegokolwiek recepty doktora Curlew.

Ale to nie dla Agnes ślęczy teraz nad kartkami, pokrytymi rozmazanym, wyblakłym pismem ojca, przymyka oczy na jego okropną ortografię i prymitywny, prowincjonalny umysł, usiłując zrozumieć techniczne zawiłości metod pozyskiwania soku z suchych liści. Robi to wszystko, bo wie, że przywilej posiadania Sugar wyłącznie dla siebie będzie go kosztował. Zapewne małą fortunę, więc nie ma wyboru: będzie mógł bowiem wydać na utrzymanie dziewczyny jedynie wtedy, kiedy zostanie właścicielem ogromnego majątku.

Robi przerwę w pracy i trze piekące z niewyspania oczy. Wertuje wstecz kolejne strony szkicu, który ojciec napisał odręcznie z myślą o oświeceniu syna, i ponownie odczytuje jeden albo dwa akapity. Zgodnie z tym, co pisze ojciec Williama, w cyklu życiowym lawendy jest brakujące ogniwo (o ile „cykl życiowy” jest poprawnym określeniem w odniesieniu do tego, co dzieje się z kwiatem po jego ścięciu). Tu, na tej stronicy, ojciec pisze, że świeżo filtrowany olejek charakteryzuje się niepożądanym „zapachem stęchlizny” – na następnej stronie zapach ów jednak najwyraźniej znika, chociaż autor ani słowem nie wspomina o tym, w jaki sposób został usunięty. William przeczesuje palcami włosy, czuje, że stają mu dęba, przechodzi jednak nad tym zjawiskiem do porządku dziennego.

„Zapach stęchlizny – quo vadis?”, notuje na marginesie, zdecydowany sprostać wyzwaniu z humorem.

*

Na dole, w jadalni, Janey wypełnia równie ważne obowiązki. Kazano jej, jak to określiła panna Tillotson, usunąć wszelkie ślady „katastrofy”, jaka wydarzyła się na stole przy śniadaniu. Janey, zbyt zahukana, by śmiała zapytać, co znaczy właściwie to słowo (zawsze myślała, że ma ono coś wspólnego ze statkami), schodzi na dół przygotowana na najgorsze. Niesie kubek i ścierkę, a kieszenie jej fartuszka są wypchane różnymi szmatami i szczotkami. Znajduje w jadalni porzucone, choć bardzo apetycznie wyglądające śniadanie, a przyglądając się nieco bliżej zastawie, zauważa przewróconą filiżankę. Na podłodze nie widać żadnych szczątków, na dnie kubka znajduje się więc tylko to, co Janey przyniosła ze sobą: śmiecie z położonych niżej, niewyłożonych dywanem rejonów domostwa Rackhamów.

Dziewczyna z wahaniem sięga po plasterk zimnego bekonu, jeden z trzech wciąż lśniących na srebrnej tacy. Ujmuje go w swe pulchne, krótkie palce i odgryza kawałek. To kradzież. Bóg jednak nie wydaje się zainteresowany zesłaniem kary, więc ośmielona Janey zjada cały plasterk. Smakuje tak pysznie, że żałuje, iż nie może jednego wysłać pocztą bratu. Potem zjada bułeczkę, którą popija łykiem gotowanej herbaty. Nietknięte przez panią Rackham cynaderki pozostawia w spokoju, nie jest bowiem pewna, co to takiego. Janey żywi się tym, co wedle kucharki nie może jej zaszkodzić.

Wszyscy twierdzą, że Janey jest nikczemna, i chyba mają słuszość, bo zmęczona dziewczyna rozpięta się teraz w krzesło pani Rackham. Choć ukończyła zaledwie dziewiętnaście wiosen, nogi ma spuchnięte i obrzmiałe niczym rolada wieprzowa, więc każda sposobność, by dać im odetchnąć, jest dla niej błogosławieństwem. Dłonie Janey są czerwone niby homary, a ich kolor wyraźnie kontrastuje z bielą porcelany, kiedy służąca wsuwa palec wskazujący w uszko filiżanki swojej pani, a potem prostuje nieśmiało mały palec, chcąc się przekonać, czy sprawia to jakąś różnicę, kiedy się podnosi filiżankę.

Bóg nie zamierza jednak tego dłużej tolerować. Rozbrzmiewa dzwonek i Janey zrywa się z krzesła.

– Wejdz, Letty – mówi Rackham, ale myli się: to znowu Clara. Co te służące wyprawiają? Czyżby dom już całkiem pograżył się w chaosie, kiedy on się tu trudził? Potem jednak przypomina sobie, że przed kwadransiem osobiście posłał przecież Letty po sprawunki do sklepu papieżniczego.

– Przyszedł doktor Curlew?

William znowu się myli. Clara tłumaczy, że Beatrice i zacnego doktora nadal ani widu, ani

słuchu, przybyli natomiast z wizytą panowie Bodley i Ashwell. Wyzywają go (Clara szczegółowo i z pogardą przytacza ich słowa) na pojedynek, będą sobie wzajemnie sekundować i żądają, by Rackham wybrał broń.

– Przyjmę ich za chwilę – mówi William. – Poproś panów, żeby się rozgościli.

Jeżeli można pod jakimś względem polegać na Bodleyu i Ashwellu, to z pewnością nie należy wątpić, że się rozgoszczą. Kiedy William dochodzi w lekturze do miejsca, w którym może sobie pozwolić na przerwę w pracy, i schodzi na dół, zastaje przyjaciół zagłębionych w fotelach w bibliotece, gdzie leniwie kopią się po nogach, walcząc o przywilej oparcia stóp na wyliniałym łbie wypchanego tygrysa.

– Ave, Rackhamus! – wita go Ashwell starym, szkolnym pozdrowieniem.

– Na Boga, Bill! – woła Bodley. – Masz bardziej przekrwione oczy ode mnie! Jebałeś całą noc?

– Tak, ale zaczynam właśnie nowe życie – odbija piłeczkę William. Jest już zdecydowany! Takiego dnia jak dziś, bez względu na to, co może zesłać Bóg, żeby mu zepsuć humor – jak bezsenność, poparzone palce, Agnes na podłodze, stos nudnych dokumentów, przez które musi się przedrzeć, i dowcipy jego przyjaciół kawalerów – William nie pozwoli, aby cokolwiek przyćmiło blask jego triumfu.

Pomaga mu w tym to, że w towarzystwie Bodleya i Ashwella pozostaje odwiecznym honorowym kawalerem. Z punktu widzenia jego przyjaciół Agnes nie istnieje, dopóki William nie wspomni jej imienia. Trzeba przyznać, że tutaj, w domu Rackhamów, istnieniu Agnes trudniej zaprzeczyć niż na ulicach Londynu czy Paryża, ponieważ wszędzie dokoła widać ślady jej obecności. To ona wyszydełkowała pokrowce na krzesła; obrusy zdobią jej własnoręczne hafty, a pod każdym wazonem, świecznikiem i figurką można się spodziewać jakiejś pięknej serwetki albo maty, upiękzonej ręką pani Rackham. Nawet cedrowe pudełko na cygara jej właśnie zawdzięcza swój mały pokrowiec (haftowany nićmi w pięciu kolorach i usiany gęsto jedwabnymi kutasikami). William („Cygaro, Bodley?”) do tego stopnia przywykł jednak do rokokowego lukru produkcji swojej żony, pokrywającego każdą eksponowaną powierzchnię, że przestał go dostrzegać.

W pewnym sensie owa polityka Bodleya i Ashwella – polegająca na zaprzeczaniu istnienia pani Rackham – jest raczej życzliwa niż niedelikatna, taktownie pozwala bowiem odpocząć małżeńskiemu stadłu, jak długo potrzeba, niczym inwalidzie, którego rekonwalescencji nie da się przyspieszyć. Dlatego William jest naprawdę wdzięczny przyjaciołom, że chętnie odgrywają rolę trzech (no, właściwie dwóch) mędrców, którzy nigdy nie czynią ani nie mówią nic złego... Właściwie nie wie jednak, czy Bodley i Ashwell nie mówią nic złego o Agnes w towarzystwie. Ma nadzieję, że nie.

Przez kilka minut palą, rozmawiając o wszystkim i o niczym, a potem odzywa się Ashwell:

– Musisz nam jednak zdradzić tajemnicę pani Fox. No powiedz, Bill: jakie są jej cnoty? Nie licząc cnotliwości, oczywiście.

– Czy kobieta, która pracuje pośród prostytutek, może być cnotliwa? – wtrąca Bodley.

– Cnotliwość to chyba podstawowy wymóg, jaki stawia się kobiecie podejmującej tego rodzaju pracę? – pyta Ashwell.

– Ale kontakt z występkiem prowadzi do złego! – protestuje Bodley. – Nie zauważyłeś?

William niedbale wrzuca do kominka niedopałek cygara. – Jestem pewien, że pani Fox jest uodporniona na wszelkie zło. To wice-Pan Bóg w spódnicy. Henry ciągle mi to powtarza, od dnia, kiedy ją poznał. No, może niezupełnie od tego dnia, ponieważ nie odwiedza mnie zbyt często. – William rozpiera się na fotelu i patrzy w górę, aby tym łatwiej przypomnieć sobie wszelkie minione rozmowy, których echa mogą unosić się wciąż pod sufitem. – Ciągłe powtarzał: „Ona jest taka dobra, Williamie. Bardzo dobra. Szczęściarz, który weźmie ją za żonę, poślubi świętą kobietę”.

– No, dobrze, ale co Henry na to, że pani Fox zadaje się z dziwkami?

– Nic na ten temat nie mówił. Ale nie sądzę, żeby mogło mu się to podobać.

– Biedny Henry. Mroczny cień grzechu kładzie się między nim a jego miłością.

William grozi mu palcem z drwiącą dezaprobatą.

– No, no, Bodley, wiesz, że Henry mógłby się poczuć okropnie urażony, słysząc, że używasz

tego słowa, by opisać jego uczucia wobec pani Fox.

– Jakiego słowa? „Grzech”?

– Nie, nie, „miłość”! – ćwierka William. – Każda sugestia, że Henry kocha się w pani Emmeline Fox...

– Ach, to jasne jak słońce – mówi drwiąco Ashwell. – Co on sobie myśli, że co każe im się tak często spotykać? Nieodparty urok dyskusji o Piśmie Świętym?

– Tak, tak, ależ tak! – woła William. – Musicie pamiętać, że oboje są wściekle pobożni. Każdy szept na temat reformy albo jakiegoś potknięcia Kościoła u nas, w Anglii, czy też za granicą stanowi dla nich przedmiot wprost przemożnego zainteresowania. – („Więc dlaczego nie zaciekawiała ich nasza najnowsza książka?” – mruczy Bodley). – A jeśli chodzi o to, że pani Fox pracuje w Towarzystwie Ocalenia Kobiet, to z tego, co mówi Henry, wynika, iż ona robi to wszystko dla Pana Boga. Znacnie to powiedzenie: dusza, którą sprowadzi się na powrót do owczarni...

– Nie, nie, stary przyjacielu – poprawia go Bodley. – Do owczarni sprowadza się owce, a duszę na łono.

– Natomiast co do Henry’ego – mówi dalej William – to wciąż upiera się jak osioł, by zostać pastorem. A może plebanem, proboszczem albo wikarym? Im częściej tłumaczy mi, czym różnią się od siebie te stanowiska, tym mniej dostrzegam między nimi różnic.

– Różnice tkwią w dziesięcinie i tym, jaką jej część można schować do własnej kieszeni – mówi Bodley, puszczając oko.

Ashwell parska i wyciąga z wewnętrznej kieszeni surduta zgniecioną bryłkę owiniętego w bibułkę rachatłukum.

– To jakiś kompletny absurd – mamrocze pod nosem, odgryzając kawałek i chowając resztę z powrotem. – Taki piękny okaz męczyzny jak Henry: najlepszy wioślarz w naszej paczce i mistrz pływacki. Jeszcze go widzę, jak półnagi biega po Midsummer Common. Co mu strzeliło do głowy, żeby ucześć się chorowitej wdowy? Tylko mi nie mów, że chodzi o jej śnieżnobiałą duszę... Na odległość potrafię poczuć męczyznę, który goni za kobietą w rui!

– Ale jak on może na nią patrzeć? – jęczy Bodley. – Przecież pani Fox przypomina charta! Ma pociągłą twarz, cerę jak podeszwa i pomarszczone czoło... A poza tym zawsze jest niesłychanie czujna i skupiona, zupełnie jak pies oczekujący rozkazów!

– Zaraz, zaraz – upomina go William. – Czy nie przywiązujesz zbyt wielkiego znaczenia do urody cielesnej?

– Tak, ale do diabła, Williamie... czy ożeniłbyś się z wdową, która wygląda jak pies?

– Ależ Henry nie zamierza poślubić pani Emmeline Fox!

– Oooh! To skandal! – Bodley krzywi się, kryjąc twarz w dłoniach.

– Mogę przysiąc, że jedyne, czego pragnie mój brat, to z nią rozmawiać – oświadcza William.

– Och, tak – szydzi Ashwell, zdejmując surdut, ponieważ temat zaczyna go rozgrzewać. – Rozmawiać. Rozmawiają, spacerując po parku albo siedząc w jakiejś zacisznej herbaciarni w mieście lub na plaży, i nieustannie patrzą sobie w oczy. Słyszałem, że pływali nawet razem łódką po Tamizie, bez wątpienia po to, by dyskutować o listach do Tesaloniczan.

– Bez wątpienia – upiera się William.

Ashwell wzrusza ramionami.

– A jego szalone pragnienie zostania pastorem: czy żywi je od dawna?

– Ach, od wielu lat.

– W Cambridge nigdy tego nie zauważyłem, a ty, Bodley?

– Proszę? – Bodley przetrząsa kieszenie porzuconego surduta Ashwella w poszukiwaniu resztek rachatłukum.

– Ojciec zabronił mu nawet wspominać o tym pomysłe – wyjaśnia William. – Henry pragnął więc zrealizować swój plan w tajemnicy, ale jakkolwiek przykro mi to przyznać, nie udało mu się go ukryć przede mną. Zawsze był strasznie pobożny, nawet w dzieciństwie. Wiecznie rozpaczał, że jesteśmy rodziną, która modli się tylko raz, a nie dwa razy dziennie.

– Powinien był brać też pod uwagę modlitwę przed jedzeniem – zauważa zamyślony Bodley.

(„Ją właśnie miał na myśli”, rzuca dowcipnie Ashwell).

– W moim domu wszyscy modlili się dwa razy dziennie, i dlatego zostałem ateistą. Natomiast jedna modlitwa dziennie podsycza tylko pobożność i budzi w takich biednych głupcach jak Henry pragnienie zostania duchownym.

– Tak czy owak ojciec był ogromnie rozgoryczony – mówi William. – Przez długi czas planował, że to Henry, jego ukochany imiennik, obejmie po nim firmę. Ale oczywiście (tu patrzy przyjaciółom prosto w oczy) będę to jednak ja.

Bodleyowi i Ashwellowi odbiera mowę. Są wyraźnie zaskoczeni, że William wyraża się w ten sposób o Rackham Perfumeries, bo zazwyczaj nie należy w jego obecności poruszać tego tematu. A niech się dziwują! Niech się próbują domyślić, jak bardzo się zmienił od wczoraj!

Oczywiście chciałby opowiedzieć im o Sugar – wyśpiewać jej wszystkie zalety i (no, dobrze: tak) odegrać się na nich trochę za kilka ostatnich lat, bo życie Bodleya i Ashwella w tym czasie zdawało mu się zawsze szalenie wesołe w porównaniu z jego egzystencją. Aż nazbyt dobrze wie jednak, jaką dostanie odpowiedź: „No, to sprawdźmy tę Sugar!”. I co wtedy zrobi? Odwoła wszystko? Zacznie ją fałszywie szkalować niby stary chłop-jąkała, który próbuje przekonać rabującego dom żołdaka, że nie warto gwałcić jego córki? Próżny trud. Dla takich ludzi jak Bodley i Ashwell wszystkie kobiece skarby są własnością publiczną.

– No, a czy słyszeliście coś więcej o tej niezwyklej dziewczynie, o której mi ostatnio opowiadaliście? – pyta w końcu, zamiast rozmawiać o Sugar.

– O jakiej niezwyklej dziewczynie?

– No, o tej gwałtownicy... Ze szpicrutą... Rzekomo nieślubnej córce jakiegoś tam lorda...

– Lucy Fitzroy! – wykrzykują chórem Bodley i Ashwell.

– Owszem, na Boga, to dziwne, że o niej wspominasz – rzecze Ashwell, po czym przyjaciele odwracają się twarzami ku sobie i unoszą brwi, co oznacza, że będą mówić na przemian.

– Tak, to cholernie dziwne.

– Doszły nas pewne nowiny na jej temat, och, zaledwie trzy godziny po naszym spotkaniu, kiedy wspomnieliśmy ci o niej po raz pierwszy, prawda, Bodley?

– Góra dwie godziny i trzy kwadransy później.

– Nowiny? – podpuszcza ich William. – Jakie nowiny?

– To niezbyt wesoła historia – mówi Ashwell. – Podobno jeden z wielbicieli Lucy dał jej popalić.

– Popalić? – powtarza jak echo William, którego uczucia dla Sugar każą mu nadać temu określeniu całkiem niewinne znaczenie.

– Tak – mówi Bodley. – Zaatakował ją jej własną szpicrutą.

– Wychłostał ją bardzo okrutnie.

– Zwłaszcza po twarzy i ustach.

– Podobno zupełnie straciła bojowego ducha.

Bodley, zauważywszy, że zgasło mu cygaro, wyjmuje je z ust i przez chwilę analizuje jego potencjał, nim wrzuci niedopałek do kominka.

– Cóż, jak się pewnie domyślasz, pani Georgina nie pokłada w niej już większych nadziei. Nawet jeśli jest gotowa zaczekać, aż Lucy wyzdrowieje, blizny pozostaną.

Ashwell, spuściwszy oczy, skubie nogawki swych spodni.

– Biedna dziewczyna – rozpacza.

– Tak – uśmiecha się głupkowato Bodley. – Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie!

Na te słowa krzywią się Ashwell i Rackham.

– Bodley! – woła jeden z nich. – To wstętnie!

Bodley szczyrzy zęby i rumieni się niczym skarcony uczeń. W tym momencie drzwi do biblioteki otwierają się gwałtownie, a do pokoju wpada zdyszana i zmartwiona Janey.

– Prze... przepraszam – mówi, stając na palcach, jak gdyby z tyłu napierał na nią groźny ohydny potop, który rozleje się za chwilę po zadymionym męskim królestwie.

– No, co tam, Janey? – (Do diaska, przecież ta dziewczucha patrzy na Bodleya: czy nie wie nawet, kto jest panem w tym domu?)

– Panie... jeśli łaska... to znaczy. – Janey podskakuje w górę i w dół w nerwowym tańcu, nie tyle dygając, ile dając mu na migi do zrozumienia, że musi iść siusiu. – Och, panie... twoja córka... jest... ona jest cała we krwi, panie Rackham!

– Moja córka? We krwi? Wielki Boże, co takiego? Gdzie widziałaś krew?

Janey kurczy się ze strachu i podnosi lament.

– Wszędzie, panie!

– Hmm... ach... – Williamowi puszcza nerwy; jest zdumiony, że ten nieoczekiwany wypadek spada mu głowę, tak jakby nie mógł się tym zająć ktoś inny. – Idź lepiej do tej, no... jak ona się nazywa...

Janey, której zdaje się, że William ją oskarża, wpada niemal w szal.

– Niańki nie ma, panie, poszła po doktora Curlew. Nie mogę znaleźć panny Playfair, widocznie też gdzieś wyszła, a panna Tillotson nie chce...

– Tak, tak, teraz rozumiem.

– Upokorzenie towarzyskie pali ramiona Rackhama, jak gdyby był Herkulesem, który przywdział śmiertcionośną tunikę centaura Nessosa. Nie da się ukryć, że obecnie w domu jest za mało służby, że te służące, których jeszcze nie odprawił, nie nadają się do zażegnania zaistniałego kryzysu, i że na dodatek – co zawstydza Williama jeszcze bardziej – ma, niestety, niepełnosprawną żonę. A zatem bez względu na gości musi wstać i osobiście zająć się tą sprawą.

– Przepraszam was, przyjaciele... – zaczyna, ale Ashwell, który współczuje Williamowi w nieszczęściu, wykorzystuje tę chwilę i wydaje Janey następujące polecenie:

– No, nie stój tak, Janey... przyprowadź dziecko tutaj.

– Tak! – wtrąca Bodley. – Oto czego potrzeba człowiekowi w deszczowy poranek: dramatu, rozlewu krwi... i kobiecego czaru.

Na skinięcie głową Williama służąca wybiega i słyszą teraz zwierzęce ryki dziecka. Początkowo stłumione, potem (zapewne kiedy otwierają się drzwi do pokoju dziecinnego) stają się coraz głośniejsze pomimo szumu deszczu. Płacz narasta, zwiastując zbliżanie się idącej po schodach dziewczynki, aż w końcu rozbrzmiewa naprawdę bardzo donośnie, a towarzyszą mu niespokojne, śpiewne szepty i kojące słowa.

– Proszę, panienko Sophie – kwili Janey, wprowadzając do biblioteki jedyne dziecko Williama i Agnes. – Proszę. – Ale nie udaje się jej namówić Sophie Rackham, żeby wrzeszczała ciszej.

Pomimo całej wrzawy jesteś zaintrygowany: wyobraź sobie tylko, William jest ojcem! Nie miałaś o tym pojęcia, chociaż spędziłeś w jego towarzystwie sporo czasu, i to w najbardziej intymnych okolicznościach! Jak wygląda jego córka? Ile ma lat? Trzy? Sześć? Nie umiesz tego odgadnąć. Jej ociekającą krwią i łzami buzię wykrzywia grymas. Pod zakrwawionym fartuszkiem widać jakąś wypukłość, którą Sophie podtrzymuje przez tkaninę zakrwawioną ręką, żeby nie wysunęła się na zewnątrz, ale można już dostrzec dwie bezwładne nogi szmacianej lalki i dwie dyndające, byle jak przyszyte stopy. Sophie zaciska wciąż palce, próbując wcisnąć nogi lalki pod fartuszek, i przez cały czas przeraźliwie krzyczy. Po twarzy dziewczynki cieknie bulgocąca krew, która skapuje z jej potarganych, jasnych włosów, plami perski dywan i jasne białe stopy dziecka.

– Na Boga, co się stało? – William z trudem łapie oddech, ale Bodley zrywa się już z krzesła, gestem dłoni nakazuje Janey, żeby się odsunęła, i klęka przed zakrwawioną dziewczynką, ujmując w dłonie jej główkę.

– C-cco jej jest, Bodley?

Następuje chwila straszliwej ciszy, a potem Bodley oświadcza ponurym głosem:

– Obawiam się, że to... epistaksja! Krwotok z nosa! Szybko, mów, dziecino: który z nas powinien zaopiekować się lalką?

William opada z powrotem na fotel, odczuwając zarówno ulgę, jak i złość.

– Bodley! – Rackham przekrzykuje nieustanne lamente Sophie. – Nie ma się z czego śmiać. Dziecko z łatwością może stracić życie.

– Bzdura – rzuca lekceważąco Bodley, klęczący wciąż przed dziewczynką.

– Uderzyłaś się w nos, czy tak? Jak to się stało, co? Sophie? – Dziewczynka wrzeszczy nadal wniebogłosy, a Bodley ciągnie lalkę za nogi, by zwrócić na siebie uwagę córki Williama.

Zachęcony jej reakcją, unosi nieco fartuszek i odstawia zabawkę.

– A teraz, Sophie, musisz odłożyć swojego małego przyjaciela – mówi ostrzegawczo. – Napawasz go śmiertelnym strachem! – Przerażliwe wrzaski natychmiast znacznie cichną, a Bodley naciera dalej. – Sądząc po tym, jak płaczesz, zdaje ci się zapewne, że zostanie sierotą... Że będzie sam na świecie! Uspokój się, połóż go... Albo nie, daj mi go na chwilę. Zobacz, jak szeroko otwiera oczy ze strachu! – Lalka, hinduski chłopiec z wyhaftowanym na piersi napisem „Twinings”, rzeczywiście ma szeroko otwarte oczy. Jego czekoladowobrazowa gliniana głowa wygląda niepokojąco prawdziwie w porównaniu z bezwładnym szmacianym ciałem, a miękki jutowy tułów spowijają bawełniane szmatki, mające imitować bluzę i spodnie. Sophie patrzy swojemu kulisowi w twarz, widzi w niej strach – i podaje lalkę džentelmenowi.

– A teraz – ciągnie Bodley – musisz mu pokazać, że nic ci nie jest, i chyba nie możesz tego zrobić taka zakrwawiona. – (Ryk Sophie przeszedł już w chlipanie, chociaż dziewczynka puszcza ciągle nosem szkarłatne bańki).

– Ashwell, daj mi chusteczkę.

– Moją czy twoją?

– Rusz głową; moja wciąż jest stosunkowo czysta. – Bodley nie spuszcza wzroku z Sophie; w jednej ręce trzyma lalkę, a drugą wyciąga za plecy i niecierpliwie przebiera palcami, aż wreszcie przyjaciel podaje mu chusteczkę. Potem Bodley bierze się do dzieła i wyciera twarz Sophie z krwi tak energicznie, że dziewczynka chwieje się na nogach. Czyszcząc jej buzię, Bodley kątem oka zauważa Janey i śpiwnym głosem szkolnego nauczyciela wydaje jej polecenie:

– Rusz się, Janey. Będę potrzebował teraz wilgotnej szmatki, prawda?

Służąca otwiera usta, zbyt oszołomiona, by się ruszyć.

– Przynieś mi mokrą szmatkę – Bodley cierpliwie powtarza to samo, ale prościej. – Dwie części tkaniny na jedną część wody.

William kiwa głową, zdejmując zakłęcie z Janey, która biegnie wykonać polecenie, a tymczasem spod chusteczki zaczynają wyłaniać się rysy twarzy jego jedyne dziecko. Dziewczynka pociąga już tylko nosem, unosząc główkę zgodnie z rytmem, wyznaczanym przez ocierającą jej twarz chusteczkę, tkwiącą w rękach nieznajomego, którego instynktownie obdarza zaufaniem.

– Patrz! – mówi Bodley, wskazując małego Hindusa. – Chłopiec już czuje się o wiele lepiej, nie widzisz?

Sophie kiwa głową i wyciąga rączki po lalkę, a z jej ogromnych, zaczerwienionych oczu spływają ostatnie łzy.

– No, dobrze – ocenia Bodley. – Tylko uważaj! Nie zakrwaw go całego. – Ujmuje rąbek fartuszek w dwa palce i unosi go w górę, żeby dziewczynka mogła zobaczyć, jaki jest mokry. Sophie bez oporu pozwala mu zdjąć wspomnianą część garderoby, więc Bodley ściąga z niej fartuszek szybkim ruchem.

– No, już – oświadcza czule.

Wraca Janey z wilgotną flanelą i sama zabiera się do wytarcia buzi dziecku, ale Bodley odbiera jej gałganek i osobiście przemywa twarz dziewczynki. Sophie Rackham, której rysy zostały pozbawione kamuflażu i której policzki są już mniej opuchnięte, okazuje się poważnie wyglądającym dzieckiem o pospolitej urodzie, która z pewnością nie czyni jej odpowiednią kandydatką na modelkę, mogącą reklamować mydła Pears’ – albo i mydła Rackhama. Duże oczy Sophie mają kolor kobaltowy, jak chińska porcelana, są jednak wyłupiaste i melancholijne, a jej kędzierzawe, jasne włosy zwisają smętnie. Dziewczynka przypomina nade wszystko jakieś domowe zwierzątko, kupione dla dziecka, które wkrótce potem umarło. Wygląda jak nikomu niepotrzebne stworzenie – choć bowiem właściciele zapewniają mu strawę i dach nad głową, a nawet od czasu do czasu głaszczą je czule, nie ma po co żyć.

– Na ubranku twojego małego przyjaciela jest plama, którą musimy zmyć – mówi do dziecka Bodley. – Liczy się każda sekunda.

Dziewczynka kładzie swoją maleńką rączkę na jego dłoni i razem zmywają krew z pleców Hindusa. Sophie zrobiłaby wszystko dla nieznajomego, który okazuje jej współczucie, absolutnie

wszystko.

– Słyszałem raz o jednej lalce, która ubrudziła sobie włosy sosem żurawinowym – mówi Bodley. – Nikt tego nie zauważył, dopóki nie było już za późno. Sos bowiem zastygł jak smoła, więc trzeba było zgolić jej wszystkie włosy, no i złapała zapalenie płuc.

Sophie patrzy na niego niespokojnie. Jest zbyt nieśmiała, żeby zadać pytanie.

– Nie, nie umarła – mówi Bodley. – Ale od tamtej pory jest zupełnie łysa. – Unosi brwi tak wysoko, jak potrafi, wydymając wargi z udanym żalem nad wszystkimi istotami, które nie mają na głowach innych włosów prócz brwi. Sophie chichocze.

Ten chichot, nie licząc wrzasków, przy których akompaniamencie weszła do pokoju, to jedyne dźwięki, jakie wydaje dziewczynka w ojcowskiej bibliotece. Niania zawsze małej powtarza, że nic nie wie, Sophie wie jednak, iż dobrze wychowanych dzieci nie widać ani nie słychać. Już wywołała przecież zamieszanie, za co na pewno otrzyma reprimendę. Musi więc jak najszybciej ucichnąć i zniknąć, żeby złagodzić zasłużoną karę.

Lecz nawet teraz, kiedy stoi w milczeniu, garbiąc się w ramionach, aby zajmować jak najmniej miejsca w pokoju, William zdumiewa się, że jest już taka duża. Ma wrażenie, że nie dalej jak w zeszłym tygodniu była jeszcze śpiącym cichutko w łóżeczku niemowlęciem, podczas gdy trawiona gorączką Agnes szlochała w innym pokoju – w swojej sypialni. Ależ Sophie nie jest już nawet berbeciem, jest... jak by ją nazwać? Dziewczynką! Tylko jak to możliwe, że nie dostrzegł dotąd przemiany? Nie o to chodzi, że nie widuje jej dość często, by nie zauważyć, jak rośnie – spotyka ją przecież, och... co najmniej kilka razy w tygodniu! Mimo to nigdy przedtem nie odniósł wrażenia, że jest już taka... duża. Boże wszechmogący, przypomina sobie teraz dzień, kiedy jego ojciec podarował tę ohydłą lalkę małej Sophie – przywiózł ją z jakiejś podróży handlowej do Indii. Była to maskotka firmy Twinings, niegdyś siedząca okrakiem na pełnym herbaty blaszanym słoni. Czy nie tego samego dnia ojciec oświadczył głośno, w obecności służby, że William powinien „przysiąc fałdów” i zacząć się uczyć handlu perfumami? Tak! A to dziecko o nieładnej twarzy, ta dziewczynka z zakrwawionymi stopami, to zwrócone do niego plecami, wyrosnięte niemowlę, które błaznuje teraz z jego starym druhem, Philipem Bodleyem... jest żywym wcieleniem lat, które minęły od tamtej pory – lat zawoalowanych grózb i wymuszanych oszczędności. Jakże bardzo chciałby być ojcem z pism kobiecych, ojcem, który unosi w górę uśmiechniętego brzdąca niby trofeum na oczach swojej kochającej małżonki! Ale William nie ma już kochającej małżonki, a jego córka jest naznaczona nieszczęściem.

William chrząka.

– Janey – mówi. – Nie uważasz, że pan Bodley zrobił już wystarczająco dużo dla Sophie?

*

Za kim powinniśmy pójść teraz? Sądzę, że za Janey. Panowie Bodley i Ashwell i tak już się zbierają, a kiedy wyjdą, William Rackham niezwłocznie powróci do lektury dokumentów ojca. Całymi godzinami nie będzie się właściwie ruszał z miejsca, o ile nie jesteś więc szczególnie zainteresowany ceną surowej juty z Dundee, będącej tanim substytutem waty, albo sekretami produkcji saszetek antymigrenowych, pełnych aromatycznych ziół i korzeni, zapewne nieco ciekawiej spędzisz czas w towarzystwie Janey i Sophie, które siedzą właśnie w pokoju dzieciennym, czekając na powrót Beatrice.

Janey kuca obok Sophie na podłodze i trzyma się za brzuch, cierpi bowiem na najstraszliwsze w swym życiu bóle żołądka. Najprawdopodobniej zaszkodziły jej skradzione resztki śniadania Rackhamów... To kara boska, bo ból przeszywa jej wnętrzności na wylot, jak ostry szpikulec. Janey kołysze się w przód i w tył, objawszy ramionami kolana, na których spoczywa złożony, zakrwawiony fartuszek Sophie. Co, na Boga, ma zrobić? Czy kucharka ukarze ją za to, że opuściła kuchnię? Czy niania ukarze ją, bo nie dopilnowała dziecka Rackhamów, które zrobiło sobie krzywdę? Czy panna Playfair ukarze ją za to, że pobiegła sprawdzić, dlaczego Sophie wrzeszczy, zamiast skończyć najpierw porządki w jadalni? Czy panna Tillotson ukarze ją za to... za cokolwiek, za co zechce dzisiaj ją ukarać? Jak to się mogło stać? Skąd te wszystkie krwawe katastrofy i niewykonane polecenia? To ona, ona jest wszystkiemu winna, a tysiące dziewcząt walczą o jej

miejsce. Och, żeby tylko pan Rackham nie zwolnił jej z pracy! Gdzie by się wtedy podziała? Do domu daleko, a leje jak z cebra! Skończy na ulicy, otóż to, właśnie! Jedyne, co ma, to godność, wie jednak, że brak jej odwagi, by umrzeć za nią z głodu! Ale nie, tylko nie to; będzie jeszcze ciężiej pracować dla Rackhamów, tak, będzie, ciężiej niż dotąd – potrzeba jej tylko trochę więcej czasu, żeby się nauczyć, co właściwie wchodzi w zakres jej nowych obowiązków.

– Kim był ten pan?

Janey odwraca się, słysząc mało jej znany dźwięk głosu Sophie Rackham. Mruży oczy, próbując nie patrzeć na bristolskiego bąka, który wiruje na podłodze, muskając niemal spódnicę Sophie, boi się bowiem, że na jego widok jeszcze bardziej rozboli ją brzuch.

– Proszę, panienko Sophie?

– Kim był ten pan? – pyta dziewczynka, kiedy bąk przechyla się niczym pijanica.

– Który pan, panienko Sophie? – Janey mówi piskliwym z bólu głosem.

– Ten miły.

Janey wzrusza ramionami, usiłując przypomnieć sobie jakiegoś miłego pana.

– Nie znałam tam nikogo, nigdyżem żadnego nie widziała – mówi błagalnie. – Prócz pana Rackhama.

Sophie znowu wprawia bąka w ruch.

– Pan Rackham to mój ojciec, wiesz o tym? – pyta, marszcząc brwi. Chce czegoś nauczyć Janey: jej zdaniem służba także zasługuje, żeby się uczyć. – A jego ojciec, czyli ojciec mojego ojca, jest bardzo ważnym człowiekiem. Ma długą brodę i jeździ do Indii i do Liverpoolu, wszędzie. To ten Rackham na opakowaniach mydeł i perfum.

Janey używa resztek mydła niezużytych w kuchni, które raz w tygodniu wydziela jej kucharka, a flakonu perfum dziewczyna nigdy nie widziała na oczy. Uśmiecha się i kiwa głową w męczarniach, udając, że rozumie.

– A ten miły pan – zaczyna znowu Sophie. – Czy nigdy przedtem do nas nie przychodził?

– Nie wiem, panienko Rackham.

– Dlaczego?

– Bo ja... Przez cały czas robiłam tylko w zmywalni. Teraz robię też w kuchni... Czasami jedzenie podaję i... różne inne rzeczy. Ale nie... jeszcze nie znam za dobrze tego domu.

– Ja też nie. – Zakazana przyjaźń z najniższą ze służących w domowej hierarchii to wstydliva przyjemność. Mała Sophie patrzy wprost w twarz Janey, ciekawa, czy znajdzie między nimi coś niezwykłego, skoro wymieniły już tak intymne zwierzenia. To mogłby być szczególny dzień, początek nowego życia; ba, tak przecież zaczynają się przyjaźnie w bajkach! Mała otwiera oczy tak szeroko, jak może, i uśmiecha się, zezwalając służącej, żeby otworzyła przed nią serce i zaproponowała (na przykład) tajemną schadzkę w porze, o której Sophie powinna już dawno spać.

Błąda jak papier Janey odwzajemnia uśmiech, kołysząc się na piętach. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, a potem nagle pada na kolana na podłogę i puszcza na parkiet dziecinnego pokoju bladą smugę wymiocin. Wstrząsają nią dwukrotnie torsje jak nieme krzyki, po czym dziewczyna otwiera znowu usta i wymiotuje raz jeszcze. Żółć, gotowana herbata, poranna owsianka kucharki i lśniące kawałeczki bekonu wylewają się na wyfroterowane klepki.

Kilka chwil później z rozmachem otwierają się drzwi: to zjawia się wreszcie Beatrice i w tym momencie wszystko w rezydencji Rackhamów poza pokojem dziecinnym wraca do normy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki; doktor Curlew idzie po schodach na górę do sypialni pani Rackham, szkolni przyjaciele pana Rackhama wychodzą, Letty wraca ze sklepu papierniczego, a deszcz przestaje padać. Tylko tu, w pokoju Sophie – gdzie z natury rzeczy powinien zawsze panować absolutny porządek – króluje rozgardiasz: czuć okropny smród, panienska jest rozchełstana, bosa, ma zmierzwione włosy, a pomywaczka chodzi na czworakach, choć nigdzie nie widać kubła ani szmaty, gapi się głupekowato w wymiociny na środku pokoju i... a to co takiego? Fartuszek Sophie, cały pokryty krwią!

Prężąc się z wściekłości, Beatrice Cleave z całą mocą wbija swój bazylijski wzrok w dziecko Rackhamów, piekło jej życia, grzesznicę, której nie można zaufać nawet na pięć minut, bezużyteczną córkę niegodnego dziedzica zasługującej na pogardę fortuny. Mała Sophie kuli się

pod ciężarem tego spojrzenia i wskazuje Janey drżącym, brudnym palcem.

– To jej sprawka.

Beatrice krzywi twarz, kampanię przeciwko błędom językowym dziecka postanawia jednak odłożyć na później, dopóki nie wyjaśni najpierw kilku innych tajemnic.

– Więc tak – powiada i bierze się pod boki, gdy pierwsze promienie słońca wpadają przez okno pokoju dziecinnego, barwiąc kałużę wymiocin srebrem i złotem. – Zacznijmy od początku!...

Nim jednak ruszymy dalej... Wybacz, jeżeli się mylę, ale sądząc po tym, jak patrzysz na dom Rackhamów – na wypastowane schody, pełne służących korytarze i oświetlone lampami gazowymi bogato zdobione pokoje – odnoszę wrażenie, że w twoim mniemaniu jest on bardzo stary. Przeciwnie, dom Williama powstał całkiem niedawno. Na tyle niedawno, że jeśli na przykład Rackham uzna, iż przez okna w salonie nie może przeciekać deszcz, musi tylko sięgnąć po wizytówkę stolarza, który gwarantował szczelność futryn.

W dzieciństwie Henry'ego Caldera Rackhama, kiedy Notting Hill było jeszcze podmiejską wioską w parafii Kensington, w miejscu, w którym pięćdziesiąt lat później obserwowałeś, jak William i Agnes bez większego powodzenia próbują jeść razem śniadanie, pasły się krowy. Porto Bello było wówczas farmą, podobnie jak Notting Barn. Wormwood Scrubs porastał zagajnik, a w Shepherds Bush wciąż spotykało się pasterzy⁸. Materiały budowlane, z których zbudowano jadalnię Rackhamów, spoczywały nadal w stanie naturalnym w kamieniołomach i lasach, a trwający w kawalerstwie ojciec Williama był zbyt zajęty swoimi fabrykami i farmami, aby poważnie rozważać wychowanie czy choćby spłodzenie dziedzica.

Dopóki się nie ożenił, Henry Calder Rackham mieszkał w stosunkowo okazałym domu w Westbourne, lubił jednak żartować (zwłaszcza rozmawiając z niepoprawnymi snobami, z którymi nie udało mu się zaprzyjaźnić), że jego prawdziwym domem jest dworzec Paddington, ponieważ „interes może zejść na psy każdego dnia, jeżeli człowiek nie pilnuje robotników”. „Praca” nigdy nie była dla Henry'ego Caldera Rackhama słowem wulgarnym, chociaż – co ciekawe – jak dotąd nie zyskało mu ono uznania własnych pracowników. Widok człowieka w czarnym ubraniu i cylindrze, przechadzającego się po żelaznych rampach ponad ich głowami, nie wzbudza raczej poczucia solidarności z właścicielem w tyrających w fabryce ludziach. Z drugiej strony jednak Calder Rackham zapewne pozostaje w głębi duszy prostym wieśniakiem... choć robotnicy pracujący na jego polach lawendowych także niespecjalnie go chyba polubili. Czy to możliwe, że trudzą się, fałszywie mniemając, iż proste, wiejskie ubranie, w jakim ich zawsze odwiedza, to jego słabość, a nie ulubiony strój?

Czymś, czego zdaniem starego Rackhama ludzie także nie doceniają, jest jego namiętna natura. Plotkarze zarówno w mieście, jak i na wsi szeptali na ogół, że miałby większe szanse, zalecając się do szlifierki niż do samicy rodzaju ludzkiego, wyobraź zatem sobie ich zdziwienie, gdy nieoczekiwanie ożenił się z pewną cholernie atrakcyjną kobietą! Zapominali języka w gębie za każdym razem, kiedy się nią pysznił.

A jednak choć pojawienie się w jego życiu żony zaskoczyło ich, jej odejście dziewięć lat później nikogo nie zdziwiło. Co więcej, o tym, że małżonka go zdradza, wszyscy wiedzieli chyba grubo wcześniej niż ofiara cudzołóstwa, czyli on – co napawało go wyjątkową goryczą. Potem nastąpiły niekończące się spekulacje na temat tego, czy Rackham wypędził żonę, czy też odeszła od niego sama. Co za różnica? Ulotniła się z jego życia, pozostawiając mu dwoje małych dzieci, chłopców. Dlatego praktyczny jak zawsze, nawet w obliczu nieszczęścia, Henry Calder Rackham wynajął kolejną służącą, mającą przejąć obowiązki, które przedtem pełniła matka jego synów, a sam zajmował się dalej interesami.

Mijały lata, chłopcy dorośli bez jakichkolwiek złych skutków rozstania z matką, a interes kwitł, aż wreszcie Rackham senior musiał zacząć zastanawiać się, gdzie powinien zamieszkać młody Henry, dziedzic jego majątku. W tym czasie, w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, najładniejsze rejony Notting Hill już nie były terenami wiejskimi. Wprawdzie w Potteries, na zachód od miasta, roiło się wciąż od Cyganów i chlewów, a poronione próby przekształcenia połowy parafii w tor wyścigów zepsuły krajobraz całej okolicy, pojawiły się jednak pewne oznaki,

8 *Scrub* (ang.) – zagajnik; *shepherd* (ang.) – pasterz (przyp. tłum.).

że skupisko domów wokół Landbroke Square może stać się wyborną lokalizacją nieruchomości. I rzeczywiście, pod koniec lat sześćdziesiątych tereny te zyskały miano miejsca, gdzie z powodzeniem mogą żyć zamożni obywatele, nieaspirujący do miana najwytworniejszej śmietanki towarzyskiej. Ponadto niedaleko przebiegała linia kolejowa, a po przejęciu firmy młody Henry musiałby wszak często korzystać z pociągów.

Tak więc Henry senior kupił swojemu następcy w Chepstow Villas duży, ładny, zaledwie dziesięcioletni dom w idealnym stanie. Co do tego, gdzie ostatecznie będzie mieszkał William, jego drugi syn, cóż... chłopak musiał sam rozwiązać ten problem.

Kiedy przyszłość stała się teraźniejszością, okazało się jednak, że rozwój imperium Rackhama nie przebiega zgodnie z planem. Ze swej strony Henry senior dotrzymał umowy co do joty: wykorzystując swój urok osobisty i dyskretnie udzielając pożyczek, wszedł w dobre towarzystwo, w którym do swoich przyjaciół zalicza dziś sędziów, parów oraz przedstawicieli najróżniejszych zamożnych, wykształconych sfer. Henry junior jednak, jego pierworodny, mieszka niczym mnich w nędznym domku niedaleko Brick Field, William z kolei, otrzymawszy najlepsze wykształcenie, jakie można zdobyć za pieniądze, kontentuje się rezydencją w Chepstow Villas i udaje dżentelmena, choć nie ma prywatnych dochodów, które pozwoliłyby mu zasłużyć na to miano. Minęło już wiele lat, odkąd chłopak ukończył uniwersytet, a do tej pory nie zarobił sam ani pensa! Czy William zamierza tak żyć, pozostawiając brzemień odpowiedzialności na barkach starego ojca i pisząc dla własnej satysfakcji wiersze, których nikt nie drukuje? Najwyższa już pora, aby zauważył, że monogram „R” wkomponowany jest nawet w żelazną konstrukcję bramy jego domu!

A widać, że dom ten już ledwo zipie. Ogrody to obraza, szczególnie wokół szczytów i na tyłach kuchni. Nie ma powozu ani konia w stajni. Maleńki bungalow stangreta, w którym żaden stangret dotąd nie zamieszkał, a który William w okresie krótkotrwałego i namiętnego zainteresowania sztuką przebudował na pracownię malarską, stoi bezużyteczny. Niskie inspekty przypominają szklane trumny, pełne po brzegi wszelkiego rodzaju chwastów, czyli śmiecia, który rośnie bez opieki ogrodnika. Wszystko to jest pożałowania godne, nie mogło być jednak inaczej: Henry senior, usiłując uzdrowić Williama, zadał temu domowi serię tralunatycznych ciosów, a w konsekwencji cała jego krew, czyli służba, spłynęła z peryferii rezydencji do jej obłąkanego serca.

W domu nie ma właściwie nic szczególnego, co mogłoby komukolwiek zaimponować, może wyjąwszy cudzoziemca, jak ty. Możesz podziwiać liczne wysokie pokoje, ciemne, wyfroterowane podłogi i setki mebli, które trafią do sklepów handlujących w twoich czasach antykami, choć przede wszystkim chyba robi na tobie wrażenie bezgłośna instytucja służby domowej. W domu Rackhamów wszystko to jest jednak oczywiste. Zdaniem topniejącego grona ich znajomych, to podejrzany dom: pachnie w nim odwołanymi *soirees*, smętnymi przyjęciami w ogrodzie, brzękiem zastawy, którą Agnes tłucze przy obiedzie, krępującymi pożegnaniem i ponurym exodusem gości. Pachnie tu bezludnymi pokojami, w których stoły stękają pod brzemieniem różnych smakołyków, a puste podłogi rozbrzmiewają ciężkimi krokami osamotnionego gospodarza. Nie, nie ma żadnego powodu, dla którego ktokolwiek miałby wciąż odwiedzać Rackhamów – nie po tym wszystkim, co zaszło.

Zasłony w sypialni Agnes są grube i niemal zawsze zaciągnięte, który to szczegół nie umyka uwadze wścibskich sąsiadów, zagląających Rackhamom w okna z Pembridge Mews. Brak słońca ma swoje niezbyt szczęśliwe konsekwencje: pokój Agnes trzeba oświetlać za dnia, cuchnie więc w nim łojem ze świec (pani Rackham nie ufa lampom gazowym). Co więcej, kiedy ośmiela się opuścić sypialnię i służba gasi świece (Agnes boi się bowiem, by nie zaproszyć ognia), w pokoju panuje grobowa ciemność, gdy wraca.

I taką ciemność widzimy tego ranka, kiedy pani Rackham pojawia się w sypialni po heroicznej próbie małżeńskiego śniadania z Williamem. Staje w progu ze swoją pokojówką, dysząc ciężko po długiej wspinaczce na górę. Clara nie może jednocześnie trzymać świecy i podtrzymywać pani, otwiera zatem drzwi łokciem, po czym obie, nic nie widząc w mroku, wchodzą do pokoju; nogi stawiają ostrożnie. Traf chce, że kiedy otwierają drzwi sypialni, pani Rackham słyszy zatraskujące się na dole drzwi frontowe. Czy to jej mąż? Dokąd wychodzi? – zastanawia się, gdy pokojówka

wprowadza ją do pokoju, który zmienił się nie do poznania.

Białe łóżko widać wyraźnie w półmroku, ale co to takiego tam, w kącie? Szkielet na wpół spowity bandażami? A obok... duży pies?

Clara zapala lampę naftową i tajemnicze postaci stają się widoczne: szkielet w kącie pokoju to zeliwny manekin krawiecki, owinięty pasami tkaniny na suknię, a obok stoi przypominająca posrebrzanego dobermana maszyna do szycia.

– Proszę mi podać rękę, pani Rackham.

Agnes, ciężko stawiając nogi, podchodzi posłuszenie, ale nie jak staruszka – raczej jak dziecko zbudzone ze złego snu, które ktoś prowadzi z powrotem do łóżka.

– Wszystko będzie dobrze, pani Rackham. – Clara odrzuca kołdrę. – Teraz może pani trochę odpocząć w spokoju. – Do wtóru tych i innych błahych słów ukojenia pokojówka rozbiera swoją panią i kładzie ją do łóżka. Potem podaje jej ulubioną szczotkę, a pani Rackham zaczyna machinalnie czesać włosy, zmartwiona, bo tu i ówdzie splątały się wskutek upadku.

– Jak wyglądam?

Clara, która składa szlafrok pani w kostkę wielkości poszwy na poduszkę, przerywa tę czynność, żeby przyjrzeć się Agnes.

– Pięknie, psze pani – mówi z uśmiechem.

Jej uśmiech jest nieszczerzy. Wszystkie uśmiechy pokojówki są nieszczere, Agnes dobrze o tym wie. Clara czuje się jednak w obowiązku szafować nimi hojnie, a nie kryje się za nimi nic złego, o czym pani Rackham również wie, i dlatego przyjmuje je z wdzięcznością. Zawarła z pokojówką ciche porozumienie, na mocy którego w zamian za dożywotnie zatrudnienie Clara zaspokaja każdy kaprys pani, jest świadkiem jej wszystkich klęsk i nigdy na nic się nie skarży. Niesie jej pociechę od świtu do północy, a od czasu do czasu także w trudnych chwilach między północą a świtem. Jest jej powiernicą we wszystkich, nawet najbardziej idiotycznych kłopotach, z których Agnes zdarza się jej zwierzać, a jeśli pani prosi ją po godzinie, by o nich zapomniała, Clara wyciera tablicę swej pamięci do czysta, tak jak zebrałaby ścierką rozlane przez nieuwagę mleko.

Co jednak najważniejsze, pokojówka pomaga swojej pani nie wykonywać poleceń, jakie wydają jej ci dwaj niegodziwcy, doktor Curlew oraz William Rackham.

Jeśli zaś chodzi o Agnes, życie z Clary umożliwia jej prowadzenie w bezpiecznych warunkach pewnej gry, na którą składa się zestaw nieskomplikowanych ćwiczeń, wykonywanych w asyście niegroźnej zausznicy. Otóż pani Rackham z pomocą Clary na nowo nabywa umiejętności towarzyskich, których bardzo potrzebuje na nadchodzący Sezon. Na przykład prosi ją czasem, by udawała tę czy tamtą damę, i wtedy odgrywają razem krótkie scenki dramatyczne, żeby Agnes nauczyła się właściwie zachowywać w takich sytuacjach. Wprawdzie Clara nie jest zbyt przekonująca, ale pani Rackham wcale to nie przeszkadza. Mogłaby upaść na duchu, gdyby pokojówka zbyt udalnie naśladowała damę z towarzystwa.

Po chwili, pokrzepiona pieszczotą miękkich, starannie uczesanych włosów, odkłada szczotkę i wspiera się na poduszkach.

– Mój nowy poradnik kosmetyczny, Claro – rozkazuje cicho. Kiedy służąca podaje żadaną książkę, Agnes otwiera ją na rozdziale zatytułowanym *Jak bronić się przed wrogiem* – którym w tym wypadku jest starość. Pani Rackham masuje policzki i skronie, stosując się możliwie najdokładniej do instrukcji w tekście, ma jednak problemy z pocieraniem skóry „w kierunku przeciwnym do tego, z którego mogą nadejść groźne zmarszczki”, albo – wiem nie ma jeszcze żadnych zmarszczek. „Kiedy się zmęczysz, zmień rękę”, powiada książka, a Agnes niewątpliwie jest już zmęczona. Jak jednak, skoro ma tylko dwie ręce, mogłaby je zmienić? I skąd może wiedzieć, czy naciera skórę we właściwy sposób, ze „stanowczym, acz delikatnym” naciskiem? I jakie mogą być skutki niestosowania nawilżacza, który zaleca autor? Książki nigdy nie informują o tym, co człowiek naprawdę powinien wiedzieć.

Zbyt zmęczona, by kontynuować te zabiegi, przewraca kartkę, chcąc się przekonać, o czym jest mowa dalej.

Skóra twarzy marszczy się z tej samej przyczyny, co skórka jabłka, i wskutek działania tych samych procesów. Mięsz owocu pod skórą kurczy się i ściąga, gdy wysychają soki...

Agnes natychmiast zamyka z trzaskiem książkę.

– Zabierz ją, Claro – mówi.

– Tak, psze pani. – Clara wie, co robić: w głębi na piętrze znajduje się specjalny składzik, do którego trafiają rzeczy niepotrzebne.

Potem Agnes zerka ukradkiem na maszynę do szycia. Nic nie uchodzi jednak uwagi Clary.

– A może, psze pani – mówi – weźmiemy się znów do twojej nowej sukni? Najgorsze już za nami, prawda?

Twarz Agnes rozpogadza się. Co za szczęście, że ma coś do roboty, coś, dzięki czemu może wypełnić czas – i to w takiej chwili. Nie zapomniała przecież, że lada moment będzie musiała przyjąć doktora Curlew.

Na miłość boską, dlaczego nie zgodziła się na propozycję Williama, że wstrzyma Beatrice idącą po lekarza? Był gotów to uczynić – popędzić przez cały dom i na ulicę, jeśli byłoby trzeba, żeby odwołać polecenie! A ona odrzuciła jego propozycję! Szaleństwo! Kiedy leżała jednak na podłodze, przez krótką chwilę miała nad nim upajającą władzę – władzę, dzięki której mogła wyszydzić ofiarowaną jej gałązkę oliwną. Opór, jaki mu stawiała w ten sposób – choć trzeba przyznać, leżąc u jego stóp – był dla niej czymś w rodzaju zemsty.

Agnes wpatruje się w nieskończoną suknię i wyobraża sobie, że otula jej ciało niczym jedwabna zbroja. Potem uśmiecha się nieśmiało do Clary, która odwzajemnia uśmiech swojej pani.

– Tak – mówi Agnes. – Naprawdę uważam, że czuję się dość dobrze, by pracować dalej.

Po kilku minutach warkot maszyny do szycia zagłusza tykanie zegara. Kończąc każdy szew i każdą zaszewkę, kobiety przerywają pracę, wyciągają suknię spod igły i ubierają w nią manekin. Po wielekroć stroją bezpłciowe ciało, które za każdym razem wydaje się nieco bardziej kształtne i kobiece.

– Czynimy czary! – Pani Rackham śmieje się gardłowo, zapominając niemal, że doktor Curlew jest już w drodze, a w jego obciążonej rękawiczką dłoni kołysze się lekarska torba.

Szycie jest jednak dla niej czymś więcej niż tylko rozrywką. Potrzeba jej co najmniej czterech sukni więcej, jeżeli ma żywić nadzieję, że weźmie udział w Sezonie w przyszłym roku, a uparła się, iż w przyszłym roku – na Boga – stanowczo weźmie w nim udział. Jeżeli bowiem coś zachwiało wiarą Agnes we własną równowagę umysłową, to niemożność uczestnictwa w atrakcjach Sezonu w tym roku. I jeśli jest coś, co może jej tę wiarę przywrócić, to (by tak rzec) wyrównanie tej straty.

To prawda, że od dnia urodzin nie nauczono jej właściwie robić dobrze niczego, a tylko wyglądać pięknie w towarzystwie. Nie dlatego jednak szyje te wspaniałe, wymyślne kreacje, w których ma nadzieję szybować nad podłogą w obcych domach. Wzięcie udziału w Sezonie to dla niej jedyna rzecz, dzięki której dowiedzie niezbitcie, że nie jest obłąkana. Agnes nie miała bowiem pewności co do tego, gdzie dokładnie przebiega rzekoma granica między zdrowiem umysłowym a szaleństwem, dlatego wyznaczyła ją sobie sama. Jeśli tylko uda się jej pozostać po właściwej stronie, okaże się zdrowa na umyśle, najpierw w oczach świata, potem małżonka, a ostatecznie – nawet doktora Curlew.

A w swoich własnych? W swoich własnych oczach nie jest ani zdrowa umysłowo, ani szalona – jest po prostu sobą... Agnes Pigott, jeśli łaska. Zajrzyj w jej serce, a ujrzysz ładny, przypominający kartę modlitewną obrazek, przedstawiający młodość Najświętszej Marii Panny. Zobaczysz Agnes, ale nie taką, jaką znamy, lecz Agnes, która się nie starzeje i nie zmienia, pozostaje nieskalana i nie jest pasierbicą żadnego Unwina ani żoną jakiegoś tam Rackhama. Jej włosy są bardziej jedwabiste, suknie gęściej plisowane, biust zachowuje jędrność bez względu na wpływ czasu, a pierwszy Sezon dopiero dla niej nadejdzie.

Agnes wzdycha. W rzeczywistości od jej pierwszego Sezonu minęło tyle lat, że nie chce o nich pamiętać, a ambicje pani Rackham na następny rok są skromne. Marzenie, by znaleźć się w gronie pierwszych dziesięciu tysięcy przedstawicieli śmietanki towarzyskiej, które zdawało się jej całkowicie możliwe do spełnienia, gdy była pasierbicą lorda Unwina, rozwiało się teraz, kiedy stało się jasne, że William, jeśli w ogóle ma przed sobą jakąś przyszłość, nigdy nie zostanie sławnym pisarzem, wbrew temu, co sobie dawniej wyobrażała. Będzie kierował wytwórnią perfum – gdy

wreszcie zmusi się, by wziąć na siebie tę odpowiedzialność – a wówczas, jeśli zdobędzie wielki, ogromny majątek, jego gwiazda, być może, rozbłyśnie powoli na towarzyskim firmamencie. Do tego czasu jednak niższe szczeble modnej socjety są wszystkim, na co Rackhamowie mogą mieć nadzieję. Agnes o tym wie. Nie jest zadowolona, ale wie o tym, i postanawia wykorzystać tę okoliczność jak najlepiej.

Dlaczego więc czeka na Sezon z taką nadzieją? Nie chce, aby mężczyźni uważali ją za piękność, bo takie sytuacje prowadzą jedynie do nieszczęść. Nie oczekuje też podziwu kobiet – z ich strony spodziewa się jedynie uprzejmej nonszalancji i złośliwych plotek za plecami. Szczerze mówiąc, tak naprawdę nie wyobraża sobie, by miała w następnym Sezonie nawiązać jakiegokolwiek stosunki towarzyskie – przeciwnie, zamierza po prostu prześlizgnąć się przez cały ten okres, niemal nikogo nie zauważając, posługując się w rozmowach jedynie największymi banałami i nie słuchając niczego, co wymagałoby od niej czegokolwiek więcej niż chwili uwagi. Jak nauczyło ją dotychczasowe doświadczenie, to zdecydowanie najbezpieczniejsza strategia. Bardziej niż czegokolwiek pragnie szczęścia bycia akceptowaną poza więzieniem swojej własnej sypialni i chce nareszcie włożyć na siebie coś ładniejszego niż gęsto poplamione i sprane koszule nocne.

– Wiesz, pani – mówi Clara – pani Whympers zzielenieje z zazdrości, kiedy cię ujrzy w tej sukni. Spotkałam w mieście jej pokojówkę. Mówiła, że pani Whympers aż usycha z tęsknoty za podobnym fasonem, ale za bardzo przytyła, by nosić suknie w tym stylu.

Pani Rackham śmieje się jak dziecko. Doskonale wie, że niemal na pewno jest to kłamstwo. (Clara zawsze zmyśla takie rzeczy). Agnes czuje się lepiej z każdą chwilą; ból głowy mija; może poprosi nawet pokojówkę, by odsłoniła okna...

W tej chwili rozlega się jednak pukanie do drzwi.

Clara nie ma wyboru, jak tylko pozwolić, by fragment sukni, który podtrzymuje, zsunął się na podłogę, i opuścić swoją otuloną jedwabiem panią; wstaje więc z przepaszającym uśmiechem i biegnie wpuścić lekarza. Do pokoju wpływa długi cień.

– Dzień dobry, pani Rackham – mówi lekarz, wślizgując się zgrabnie do środka. Perfumowane powietrze w kobiecym sanktuarium zostaje skażone łatwo rozpoznawalnym zapachem, który rozciąga górujący nad otoczeniem medyk. Stawia torbę na podłodze przy łóżku, przysiadając na skraju materaca i daje Clarze znak skinieniem głowy. Co oznacza, że pokojówka jest wolna. To skinienie to rozkaz.

Agnes, która odsunęła krzesło przed maszyną do szycia i odwróciła się twarzą do lekarza, patrzy, jak Clara wychodzi. Wie, że wpadła już w sidła, lecz mimo to szarpie się w potrzasku.

– Przykro mi, że fatygowałeś się taki szmat drogi, panie – mówi. – Bo na nieszczęście... To znaczy, na szczęście dla mnie, chociaż nie dla ciebie, czuję się już dobrze. Jak widzisz, panie.

Zacny doktor nie odpowiada.

– To niewątpliwie miło ze strony mojego małżonka, że pana wezwał...

Doktor marszczy brew. Albowiem należy do ludzi, którzy nie tolerują nieścistości. – Ach, ależ William dał mi do zrozumienia, że to ty nalegałaś, pani, aby mnie zawezwać.

– Tak, cóż, bardzo mi przykro, naprawdę – odpowiada Agnes, obserwując z przerażeniem, że na te słowa lekarz zgodnie ze swoim zwyczajem pochyła nieznacznie głowę, jak gdyby nie chciał uronić ani jednego z jej niedorzecznych kłamstw. – Zapewne w chwili, kiedy źle się poczułam... bałam się najgorszego, ale teraz już całkiem doszłam do siebie.

Doktor Curlew wspiera swoją pięknie przystrzyżoną brodę na splecionych dłoniach.

– Moim zdaniem jesteś bardzo blada, jeśli wolno mi to zauważyć, pani.

Agnes próbuje ukryć narastający lęk za bojaźliwym półuśmiechem.

– Ach, przecież bladość może nadawać mojej twarzy puder, czyż nie?

Doktor Curlew przybiera zakłopotaną minę. Agnes dobrze ją zna i uważa, że jest to najzłośliwszy i najbardziej oburzający wyraz twarzy w repertuarze jego lekarskich grymasów.

– Czy jednak nie ostrzegałem cię, pani, abyś dla zdrowia cery nie stosowała żadnych kosmetyków?

Agnes wzdycha.

– Owszem, ostrzegałem mnie, doktorze.

– Prawdę mówiąc, sądziłem...

– ...że pozbyłam się już wszystkich kosmetyków; tak? – odpowiada Agnes.

– A więc...

– A więc masz słuszość, panie – wzdycha. – To nie może być puder. Lekarz czubkami palców dotyka brody i głęboko wciąga powietrze do płuc.

– Proszę, pani Rackham – próbuje jej przemówić do rozsądku. – Wiem, że nie lubisz badania. Nie zawsze jednak to, czego nie lubimy, jest dla nas niekorzystne. Można uniknąć wielu okropnych nawrotów w przebiegu tej skądinąd uleczalnej choroby, jeśli tylko zająć się nią na czas.

Agnes rozsiada się na krześle i zamyka oczy. Nie może powiedzieć nic poza tym, co już tyle razy nie odnosiło skutku. *Jestem zbyt zmęczona, żeby dać się zbadać.* „Jesteś zmęczona? A zatem musisz być chora”. *Jestem za bardzo chora, żeby dać się zbadać.* „Po badaniu na pewno poczujesz się lepiej”. *Badasz mnie, panie, co tydzień; czy stanie się coś złego, jeśli choć raz zaniechasz tego zwyczaju?* „Nie mówisz chyba poważnie, pani; tylko kobieta szalona rujnuje sobie zdrowie z własnej woli”. *Nie jestem szalona!* „Oczywiście, że nie. Dlatego proszę cię o pozwolenie, zamiast ignorować twoje prośby, jak zignorowałbym prośby pensjonariuszki domu dla obłąkanych”. *Ale jestem dzisiaj zbyt zmęczona...* I tak w kółko.

Czy jest obłąkana, ponieważ sądzi, że doktor Curlew ją terroryzuje? I że pozwala sobie na coś, na co nie powinien sobie pozwalać żaden lekarz? Utraciła kontakt ze światem zewnętrznym – może więc nie zauważyła, jak bardzo zmienił się ostatnimi czasy stosunek lekarzy do pacjentów? Czy lekarz królowej też ją terroryzuje i grozi jej? Chyba nie, bo w takim wypadku królowa zapewne zwolniłaby go. Jakże cudownie byłoby powiedzieć doktorowi Curlew, że jest zwolniony, a ona nie potrzebuje już jego usług.

Na razie jednak Agnes, jak zwykle, ulega i kładzie się na łóżku, a zacny doktor rozsuwa zasłony, by słońce mogło oświetlić jego dzieło. Pani Rackham koncentruje się na grupce zgaszonych świec i liczy krople zastygłego na nich wosku. Traci rachubę, zaczyna od nowa i znowu traci rachubę, przez cały czas próbując nie zwracać uwagi na elektryczny dreszcz lęku, przebiegający ją od palców stóp aż po cebulki włosów, gdy doktor Curlew zadziera jej szlafrok i obnaża nogi.

Tymczasem William Rackham najpierw puka, a potem dzwoni do drzwi domu pani Castaway, czekając niecierpliwie, aż ktoś mu otworzy. Podmuchy wilgotnego wiatru szarpną nogawki jego spodni, a przemykające obok grubo ubrane ładaczniczki przyglądają mu się uważnie. Skóra głowy piecze go od olejku, którym obficie natarł sobie włosy. Mija cała minuta; ale służba jest tu opieszła, jak w jego własnym domu!

Po kolejnej minucie słychać odgłos otwieranych drzwi i William spostrzega w wąskiej szparze nieufnie łypiące kobiece oko.

– Sugar jest zajęta – rozlega się nieprzyjazny głos Amy Howlett. – Może zechcesz przyjść nieco później, panie.

– Tak się jednak składa, że chciałem rozmawiać z twoją... z panią Castaway – odpowiada William. – Chodzi mi wyłącznie o interes.

– W tym domu każdemu chodzi o interes – mówi szyderczo dziewczyna.

Zastanawiając się, jak jakkolwiek mężczyzna może całować i przytulać istotę tak cyniczną, William próbuje raz jeszcze:

– Mimo to nalegam... Mam dla pani Castaway pewną propozycję, która z pewnością wielce ją zainteresuje.

Na te słowa panna Howlett natychmiast otwiera szeroko drzwi, do których jest już odwrócona plecami.

Wszystko w salonie pani Castaway wygląda mniej więcej tak jak wtedy kiedy William – pan Hunt – złożył tu pierwszą wizytę. Jak poprzednio jego uwagę przykuwają liczne ryciny z Marią Magdaleną, buzujący ogień i pani Castaway, która siedzi przy biurku, odziana od stóp do głów w szkarłat. Tym razem nie ma jednak śladu panny Lester i jej instrumentu – krzesło wiolonczelistki

jest puste. Tymczasem Amy Howlett opada niedbale na swoje miejsce z chrzęstem marszczonych spódnic i popatruje chytrze na wchodzącego Williama. Następnie opuszcza ręce, przechyla głowę do tyłu i zaciąga się dymem, a potem robi coś wyjątkowo nieoczekiwanego: otwiera usta, aby popisać się żonglerską sztuczką. Podtrzymuje papierosa na czubku języka i prawie go połyka, po czym chwyta zębami tłący się wciąż niedopałek i zaciąga się, przez cały czas ani razu nie mrugając powiekami.

– Mam wielką nadzieję, że zechcesz wybaczyć nam maniery Amy, panie – wzdycha pani Castaway, wskazując Williamowi fotel. – Chociaż jej sposób bycia bardzo pociąga niektórych naszych gości.

Amy uśmiecha się idiotycznie.

– Doprawdy, nie chciałam cię obrazić, panie... panie... – Nie mogąc przypomnieć sobie jego nazwiska, porzuca uprzejmości i odwraca głowę, wzruszając ramionami.

– Hunt – odpowiada William. – George W. Hunt.

Pani Castaway mruży powieki tak mocno, że przekrwione białka jej oczu znikają niemal całkiem z pola widzenia, a ciemne źrenice lśnią niczym obślinione cukierki lukrecjowe. William nie przypomina sobie, aby poprzednim razem rajfurka wydawała mu się równie groźna i potężna.

– Więc czym możemy służyć, panie Hunt? – pyta jękliwie starucha, a samogłoski marszczą jej uszminkowane usta. – Nie spodziewaliśmy się, że tak szybko zawitasz do nas ponownie.

William oddycha głęboko, pochyla się naprzód i wyłuszcza swoją propozycję. Mówi szczerze, szybko i nerwowo. Jego pan Hunt jest nieśmiałym, lecz bogatym człowiekiem. Źródło jego majątku? Ach, jest skromnym wspólnikiem, a właściwie tylko udziałowcem w olbrzymim domu wydawniczym o dochodach brutto w wysokości dwudziestu tysięcy funtów rocznie. Tytułów jest zbyt wiele, żeby je wszystkie wymieniać, ale są wśród nich dzieła Macaulaya, Kenelma Digby'ego, Sheridanana Le Fanu i Williama Ainswortha. Pan Hunt jest nawet dziś umówiony na spotkanie ze swoim starym druhem, Wilkie – Wilkie Collinsem – za... (wyciąga srebrny zegarek) cztery godziny. Najpierw jednak...

Przedstawia swoje argumenty, lecz argumentując, dba o to, aby jednocześnie zadawać pytania. Zadawanie pytań (jak wciąż podkreśla Henry Calder Rackham w korespondencji, którą William dopiero co przeczytał) jest niezwykle istotne, jeśli chce się podporządkować swojej woli ewentualnego partnera w interesach. *Pytaj, namawia go starzec, pokarz, że rozumiesz tródnosci, jakie ma jegomość, z którym chcesz dobić targu, a potem dowiedz, że umiałbyś je rozwionzać.* William rozpędza się, na czoło występuje mu pot, a strumień słów leje się z ust. *Nie pozwól, żeby zapadała cisza, którą tamten mugłby wypełnić pytaniami,* oto kolejna rada, którą starzec powtarza w kółko, William nie pozwala więc, by zapadała cisza. *Patrz rozmufcy w oczy,* William patrzy więc w oczy pani Castaway i wraz z upływem kolejnych minut sądzi, że zaczyna trafiać jej do rozsądku. Pani Castaway staje się coraz bardziej otwarta, kiedy Williamowi przychodzi wymienić jej zyski – i kiwa z powagą głową, gdy Rackham oznajmia, w jaki sposób zamierza je powiększyć.

– A zatem chcę zostać wyłącznym sponsorem Sugar. Czy przyjmujesz moją propozycję, pani? – konkluduje William.

Na co rzecze pani Castaway:

– Przykro mi, panie Hunt. Nie.

Zaskoczony William patrzy na Amy Howlett, jak gdyby spodziewał się, że dziewczyna skoczy mu na pomoc, Amy jednak pólleży w fotelu, skubiąc paznokcie, a jej bystre oczy zezują na niego niewinnie.

– Ale dlaczego? – woła William, usiłując nie podnosić zbyt głośno, obawia się bowiem, by jakiś ukryty w pokoju wykidajło nie chwycił go za kołnierz. – Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałabyś mi odmówić. – (Co poradziłby mu Henry Calder Rackham? *Powtórz rozmufcy to, co sam ci przed chwilą powiedział.*) – Powiedziałaś, pani, że Sugar zabawia co wieczór przeciętnie dwóch, najwyżej trzech dżentelmenów. Ja zaś proponuję, że zapłacę tyle, na ile wycenisz koszty obsługi owych trzech klientów, Sugar wypłacę natomiast taką kwotę, jaką ona sama uzna za stosowną. Zatem twój zysk się nie zmniejszy, tyle tylko, że pochodzić będzie od jednego, nie zaś od kilku mężczyzn.

Pani Castaway, zamiast uderzyć się pomarszczoną dłonią w czoło na znak, że doznaje olśnienia poniewczasie, odpowiada na prośbę Williama w sposób, który napawa go lękiem. Zaczyna mianowicie gmerać w jednej z szuflad biurka, z której wyciąga w końcu stos niesfornych papierów, a potem chwyta wielkie, mosiężne nożyczki i tnie w powietrzu ostrzami.

– To kwestia bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje, panie Hunt – mruczy rajfurka, rozkładając papiery na biurku. W jej oczach pojawiają się iskierki. Pani Castaway dzieli uwagę między Williama i sprawę, do której chce powrócić bez zwłoki. – Po pierwsze, jesteśmy małym domem i te rachuby przemawiają przeciw nam. Jeśli trzecia część oferty, z której jesteśmy znani, stanie się permanentnie niedostępna...

Oboje wzdrygają się na dźwięk dzwonka u drzwi. Amy Howlett pojękuje, podnosząc wzrok ku niebu.

– Gdzie się podziewa ten chłopak? – wzdycha, po czym podrywa się z miejsca.

– Muszę pana przeprosić, panie Hunt – mówi pani Castaway, kiedy Amy wypada raptownie z pokoju, by jeszcze raz zastąpić śpiącego Christophera. – Jedna z zasad, których tu przestrzegamy, wymaga, by żaden z naszych gości nie widział nigdy drugiego. Gdybyś zechciał zatem przejść na chwilę do sąsiedniego pokoju, panie... – I pani Castaway wskazuje Williamowi drogę nożyczkami.

Potem kiwa głową z macierzyńską powagą, a William posłusznie stosuje się do jej prośby.

– Źródłem bólu jest wyłącznie twój sprzeciw, pani – powiada dokładnie w tej samej chwili doktor Curlew.

Wyciera palce białą chusteczką, chowa ją do kieszeni i schyla się, aby ponowić próbę badania. O, tak, pani Rackham sprawia, że ciężko pracuje na swoje honorarium.

Tylko nie Sugar, ty łajdaku, ty świniu, myśli William, który skręcając się ze złości, stoi w sąsiednim pokoju z uchem przytkniętym do drzwi. *Nie ma jej. Rozmyśliłeś się. Kutas ci opadł.*

– ...jest wcześniej... – słyszy głos pani Castaway.

– ...Sugar... – pada odpowiedź jakiegoś mężczyzny.

Włoski na karku Williama, który drży z nienawiści, stają dęba. Ma ochotę wypaść ze swojej kryjówki, zaatakować rywala i zrobić z niego miazgę.

– ...nie brak nam jednak innych smakołyków...

Serce Williama bije jak szalone – czuje, że jego przyszłość zawisła na włosku, i czeka, aż ktoś go uratuje albo straci w otchłań. Jak to możliwe? Kilka dni temu Sugar w ogóle nie istniała, a teraz William stoi tu z zaciśniętymi pięściami, prawie gotów, by zabić z jej przyczyny człowieka!

Zdaje się jednak, że tym razem obejdzie się bez rozlewu krwi. Mężczyzna w salonie został odesłany do Amy Howlett. Dostał to, na co zasłużywał, łajdak jeden. Ośmielił się poprosić o usługi Sugar, i dlatego William ma nadzieję, że Amy spierze go tak, iż klient wyzionie ducha.

– ...nie podamy więc wina... Rozumiem twój pośpiech, panie... To jakby tysiąc i jedna noc, wtloczona w kilka minut...

William słyszy muzykę tej umowy. To dziwne, że słowa za zamkniętymi drzwiami stają się właściwie niesłyszalne, choć dźwięk brzęczących monet słychać bardzo wyraźnie!

– Panie Hunt?

Dzięki Ci, Boże.

Dopiero teraz William spostrzega, gdzie się ukrywa: stoi w maleńkim składzie aptecznym, szczerze zaopatrzonym w bandażę i słoje z lekarstwami. Widać też flaszki z mocnymi alkoholami, środki poronne, oznaczone skrzyżowanymi piszczelami i maleńkimi trupimi główkami, a także perfumowane specyfiki antyseptyczne, produkowane przez... produkowane przez... (wpatruje się w nie z bliska, by sprawdzić, czy nie zobaczy na nich znaku róży albo stylizowanej litery „R”)... firmę Beechams.

– Panie Hunt?

– Pani Rackham?

Wiele mil dalej Agnes przewraca się na łóżku na bok, by doktor Curlew mógł spenetrować ją głębiej.

– Dobrze – pomrukuje z roztargnieniem lekarz. – Dziękuję. – Próbuje znaleźć macicę Agnes, która zgodnie z jego wiedzą, powinna znajdować się dokładnie cztery cale za wejściem do pochwy. Ponieważ jego środkowy palec ma dokładnie cztery cale długości (zmierzył go), jest zdumiony bezskutecznością swoich poszukiwań.

*

– Czyniła pani aluzje do... pewnych komplikacji, których nie wziąłem pod uwagę – podpowiada William.

– A jest ich wiele, bardzo wiele – wzdycha pani Castaway. Zachowuje się nieco zniechęcająco, bo jest już zajęta swoimi wycinkami i kroi arkusze papieru, które siedzącemu w pewnym oddaleniu Williamowi przypominają kartki wyrwane z książki. – I właśnie przypominałam sobie o następnej: otóż nasz dom zawarł, jeśli nawet nie umowę, to z pewnością... porozumienie o współpracy z pubem „Fireside”. Znasz go, panie? Ach, tak, oczywiście. – Pani Castaway znowu spuszcza wzrok i manewruje nożycami, którymi wykonuje właśnie koliste cięcie. – No więc, panie Hunt, każdy, kto ceni walory Sugar równie wysoko jak ty, niewątpliwie doskonale rozumie, że stanowi ona atrakcję lub jeśli wolisz, kartę atutową pubu „Fireside”. Tak w każdym razie sądzą jego właściciele. A zatem oddajemy im przysługę, być może niezbyt wymierną finansowo, lecz mimo wszystko cenną. Tak więc jestem pewna, że gdyby Sugar miała... zniknąć, bez względu na to, z jak pochlebającego nam powodu, właściciele pubu staliby się o parę groszy stratni. Rozumiesz, panie Hunt?

Małeńka ludzka postać obleka się w kształt koloru białej kartki – z perspektywy Williama – i rycinowej szarości, patrząc z pozycji pani Castaway.

Ależ ona naprawdę jest obłąkana, myśli William, widząc, jak otoczona aureolą, wycięta z ilustrowanej papistowskiej książki święta sfruwa, trzepocząc, na stół. Jak tu się targować z szaloną kobietą? Czy byłby bardziej przekonujący, gdyby ujawnił swoje prawdziwe nazwisko? Która tożsamość – z punktu widzenia wariatki, która niszczy książki, wycinając z nich Marie Magdaleny – mogłaby zrobić na niej większe wrażenie: autentycznego dziedzica renomowanej firmy perfumeryjnej czy fałszywego udziałowca w prestiżowym wydawnictwie? I po co, do diaska, pani Castaway mówi o „Fireside”? Czy chodzi o zwykłą łapówkę, czy może spodziewa się, że William kupi cały ten cholerny pub?

Zmusz swego rozmufcę, żeby chociaż raz powiedział „tak” – ojciec podkreśla to zielonym atramentem. *Reszta to szczegóły.*

– Ależ to są tylko szczegóły, pani – oświadcza Rackham. – Czy nie moglibyśmy... (szczęśliwa myśl) wezwać Sugar, by zesłała na dół? Tu idzie o jej przyszłość... Z całym szacunkiem dla kwestii, które raczyłaś podnieść, pani...

Pani Castaway bierze następną kartkę – na jej niezadrukowanej stronie widnieje stempel wypożyczalni książek.

– Jest jeszcze jedna rzecz, której nie uwzględniłeś, panie Hunt. Otóż nie bierzesz pod uwagę, że Sugar może preferować... proszę mi wybaczyć, nie chcę cię urazić... że może preferować różnorodność.

William puszcza te słowa mimo uszu; wie, że nie ma sensu się oburzać.

– Pani, proszę... Zaklinam cię... Pozwól przemówić Sugar we własnym imieniu.

Oddaj mi ją, oddaj mi ją, myśli, patrząc surowo w oczy rajfurki. Nigdy w życiu nie pragnął niczego równie gorąco – toteż zdumiewa go temperatura tego pragnienia. Jeśli ono się ziści, William więcej nie poprosi Boga o nic, o nic, aż do śmierci.

Pani Castaway wysuwa palce z nożyczek, odsuwa fotel i wstaje. Z sufitu zwisają trzy jedwabne sznury – rajfurka pociąga jeden z nich. Kogo wzywa ten dzwonek? Wykidajkę, który wyrzuci go z domu? Czy Sugar? Spojrzenie pani Castaway niczego nie zdradza.

Boże wszechmogący, to daleko trudniejsze niż zdobycie ręki Agnes, myśli William. Gdyby tylko ta rajfurka zechciała zaryzykować i zaufać mu jak kiedyś lord Unwin!

Siedząc tak w burdelu pani Castaway i czekając, aż zjawi się Sugar albo krzepki stróż, William przypomina sobie, jak ów zasuszony, stary arystokrata zaprosił go do palarni, gdzie przy kieliszku porto odczytał mu warunki umowy małżeńskiej między Agnes Unwin i kawalerem Williamem

Rackhamem. Pamięta, że nie rozumiał nic z prawnych postanowień, toteż kiedy lord Unwin skończył i zagadnął wesoło, chyba jakoś tak: „No, i jak ci się to podoba?”, William nie wiedział, co odpowiedzieć. „W takim razie jest twoja i niechaj Bóg ma cię w swojej opiece”, oświadczył wtedy bez ogródek lord Unwin, ponownie napełniając mu kieliszek.

Na schodach pojawił się cień... Czy to...? Tak! To ona! W niebieskim, pikowanym szlafroku i bamboszach, z rozwianymi, zmierzwionymi włosami, ciągle zaspana, niech jej Bóg błogosławi, a szlafrok na jej piersi zdobią ciemne ślady kropli wody. Serce Williama, jeszcze tak niedawno kipiące od morderczych uczuć wobec pani Castaway, przepełnia nagle czułość.

– Ależ to pan Hunt – mówi cicho Sugar, przystając w pół drogi na dół. – Bardzo mi miło widzieć znów pana tak szybko. – Przepraszającym gestem wskazuje swój dezabil, a przeciąg na schodach rozwiewa pasemka włosów na jej policzkach oraz nagiej szyi. Jak mógł nie zauważyć wcześniej, że Sugar ma nienaturalnie chudą szyję? No i te usta: są blade i suche niczym strzępy koronki – przyjmuje za mało płynów! Bardzo, bardzo pragnie wcierać maść w jej usta, które będą całować jego palce!...

– Pan Hunt ma dla ciebie pewną propozycję, Sugar – mówi pani Castaway. – Panie Hunt?

Stara wiedźma! Nie poprosiła jej nawet, by usiadła – jak gdyby była pewna, że jego propozycja wyda się Sugar na tyle absurdalna, że odrzuci ją, jeszcze zanim zejdzie na dół. William wymienia z Sugar spojrzenie, co dodaje mu otuchy. Spojrzenie to mówi: Znamy się, nieprawdaż, ty i ja.

Rackham szarmancko prosi ją, by usiadła, i Sugar zajmuje fotel panny Lester. William powtarza swoją małą orację, tym razem jednak zwolniony z obmierzłego obowiązku zwracania się do pani Castaway, przemawia, patrząc Sugar prosto w oczy. (Są wciąż zaspane; dziewczyna oblizuje wargi spiczastym, czerwonym językiem, tym samym, który... skup się, Rackham!) Przemawia mniej nerwowo niż przedtem, a kiedy powtarza bajeczki na temat George'a W. Hunta, wymienia z dziewczyną potajemny uśmiech, w którym kryje się wzajemne zrozumienie tego, co jest już częścią ich intymnej historii. Kiedy przychodzi jednak do rachunków, wyraża się precyzyjnie i stanowczo. Ze względów dyplomatycznych wspomina o obawach pani Castaway i uwzględnia je w swoim przemówieniu. Wszyscy, oświadcza pogodnie, dzięki jego propozycji tylko się wzbogacą, nikt zaś nie ucierpi na tym ani trochę.

– Nie powiedziałaś jednak jeszcze, ile zamierzasz płacić Sugar, panie – oponuje starucha z drugiego końca pokoju.

William wzdryga się. Pytanie wydaje mu się karygodnie niedelikatne, a poza tym jej w ogóle nic do tego. To nie jest jakiś podrzędny burdel!

– Zapłacę tyle, ile sobie zażyczy – mówi. I niemal niedostrzegalnie kiwa głową w jej stronę, aby dać dziewczynie do zrozumienia, że nie żartuje.

Sugar mruga powiekami i przeczesuje pomarańczowe loki swoich niesfornych włosów. Zaporowy ogień faktów i liczb nieco ją oszołomił, jak gdyby po przebudzeniu dzisiejszego ranka zamierzała przystąpić do dyskusji *nad Zasadami ekonomii politycznej* Johna Stuarta Milla, a nie do spożycia jajka na miękko. W końcu otwiera usta, żeby coś powiedzieć.

– Dobrze, panie Hunt – mówi z przebiegłym uśmiechem. – Zgadzam się.

Tak! Powiedziała „tak”! Rackham właściwie nie posiada się z radości, ale musi przecież panować nad sobą, musi. Nie przystoi mu dziecinny entuzjazm – jest wszak rzekomo wydawcą!

Tak więc pochyła się nad biurkiem pani Castaway i patrzy, jak rajfurka spisuje umowę *daną dwudziestego czwartego dnia listopada, 1874 roku*. Szkoda jej atramentu i fatygi: starucha nie wie, że William podpisze wszystko, nawet kartkę z wypisanym na niej tylko tym jednym słowem: „Wszystko”! Pani Castaway chce jednak czegoś więcej, dlatego William czyta, co sływa jej spod pióra, a ona – wyjątkowo eleganckim i zgrabnym charakterem pisma (tu należy oddać jej sprawiedliwość) pisze kolejne słowa: *Zwany dalej „Pubem”*... Boże wszechmogący! Chce sypanąć mu piaskiem w oczy, Rackham wie, że tak... Ale co z tego? W porównaniu z fortuną, która wkrótce będzie do niego należeć, stopień jej pazerności okaże się lilipuci.

Tak czy inaczej, co mogłaby zrobić, gdyby się rozmyślił? Ścigać nieistniejącego człowieka po salach sądowych kurewstwa? *Regina* rozpatruje sprawę „Castaway przeciw Huntowi”? Przystań już

bazgrać, babo, i zostaw trochę miejsca na podpisy!

Patrząc w przeszłość, „sądzi, że umowa małżeńska z Agnes była nadzwyczajnie *laissez-faire* – i stawiała mu znacznie mniejsze wymagania niż obecnie pani Castaway. W kontrakcie małżeńskim można spodziewać się przejawów opiekuńczości rodzicielskiej, lord Unwin jednak (jak teraz wspomina William) w sumie nie zadbał o Agnes. Jej wiano nie było wcale wielkim majątkiem – nie przekraczało kwoty, którą młoda kobieta z trudem wydałaby w ciągu roku czy dwóch – a Unwin nie wyznaczył Williamowi terminu, do kiedy miałby się uniezależnić finansowo. Umowa nie określała także, jak wielką, pełną modnych strojów garderobę powinien zapewnić Agnes, i nie wspominała, że nie wolno mu dopuścić do obniżenia dotychczasowego stylu i poziomu jej życia. Z punktu widzenia lorda Unwina jego nowy zięć mógł pozbyć się więc wszystkich toalet Agnes, jej biżuterii, książek i służących. Chociaż nie powiedział tego wprost, umywał ręce – niewątpliwie dlatego, że wiedział już (przebiegły, stary opój!), jaki to robak toczy mózgowicę jego pasierbicy.

Przez dom przebiega słabe echo zatraskiwanych drzwi: to wychodzi klient panny Howlett. William patrzy kątem oka na Sugar, ale dziewczyna siedzi wciśnięta w fotel, wspierając głowę na zgiętym w łokciu ramieniu. Ma zamknięte oczy. Rękaw jej szlafroka zwisa bezwładnie, odsłaniając blade ciało posiniaczonego przedramienia, na którym widnieją niebieskie ślady palców. To niechybnie ślady jego palców – czy nie? Przebiega go dreszcz, gdy zdaje sobie sprawę, że ta umowa nie polega wyłącznie na zaufaniu, jakie pokładają w nim obie kobiety, lecz także na jego zaufaniu do nich. Co mogłoby je powstrzymać, aby bez jego wiedzy nie przyjmować klientów jak dotychczas? Nic, chyba że zadba o to, by stać się nieobliczalnym i nie uprzedzać ich nigdy o swoich wizytach... Oszałał, z pewnością oszałał – a jednak kusi go trochę, żeby się uśmiechnąć, gdy składa zamaszty podpis na sygnowanej fałszywym nazwiskiem umowie, jaką zawiera z rajfurką i dziwką.

– Z ogromną przyjemnością potwierdzam uroczyste zawarcie naszej umowy – mówi William, wydobywając dziesięć gwinei, które uzyskał ze sprzedaży pewnych od dawna nieużywanych, a należących do Agnes przedmiotów.

Pani Castaway przyjmuje pieniądze. Jej twarz przybiera nieoczekiwane starczy, zmęczony wyraz.

– Jestem pewna, że potrafisz sobie wyobrazić większe przyjemności niż składanie podpisów, panie Hunt – mówi. – Obudź się, Sugar, kochanie.

Agnes wpatruje się w niewielkie, rogowe uchwyty szuflad nocnej szafki, zapamiętując starannie wszystkie pokrywające je maleńkie rysy i pęknięcia. Cień głowy lekarza pada na jej twarz – a jego palce nie tkwią już w jej pochwie.

– Obawiam się, że nie wszystko jest tak, jak należy.

Te słowa docierają do pani Rackham jak podsłuchana rozmowa, którą toczą ludzie na przeciwległym peronie. Zaczyna śnić, zamyka oczy, jej twarz błyszczący od potu, ona zaś śni sen, który śniła już wielokrotnie, choć nigdy przedtem na jawie. Śni się jej podróż...

Lecz doktor Curlew przemawia wciąż do pacjentki, by ją przywołać do rzeczywistości. Delikatnie, acz stanowczo dźga palcem obnażony brzuch pani Rackham.

– Czujesz miejsce, którego dotykam, pani? Tam właśnie przesunęła się twoja macica, znacznie wyżej, niż powinna, powinna bowiem znajdować się raczej... tutaj. – Palec lekarza przesuwa się w dół, ku gęstwinie blond włosów, na które Agnes zerkała ukradkiem najwyżej dwadzieścia razy w życiu, w dodatku zawsze wstydliwie. Tym razem jednak nie odczuwa wstydu, bo palec lekarza nie przesuwa się (jak mniema we śnie) po jej ciele, lecz po leżącej gdzieś poza nim powierzchni: być może po szybie. Siedzi w pociągu, który zaczyna się toczyć, a wtedy ktoś na peronie dotyka palcem okna jej przedziału.

Agnes zamyka oczy.

Na górze, w pokoju Sugar, William odpina kołnierzyk, a Sugar klęczy u jego stóp, wciskając twarz w rozporek jego spodni.

– Rrrrrr – mruczy.

Guziki koszuli Williama są mocno przyszyte – włożył najlepsze ubranie, chcąc zaimponować pani Castaway. Rozpina je z trudem i rzuca okiem na sekretarzyk, usłany papierami jak poprzednim razem. Wyglądają na papiery należące do mężczyzny, nie są to bowiem kartki barwionego papieru ryżowego, koperty w kwieciste wzory, oprawione przepisy kulinarne, ilustrowane pruderyjnymi akwarelami homilie ani zagadki czy łamigłówki z popularnej prasy. Nie, te papiery leżą na biurku Sugar w bezładnych stosach pośród ogarków, są zapisane, pokryte kleksami i zmięte, na samym wierzchu spoczywa zaś jakaś gęsto zadrukowana broszura, upstrzona na marginesach wykonanymi tuszem notatkami.

– Widzę, że masz jakąś naprawdę niełatwą robotę – zauważa William.

– Mężczyzny to nie zainteresuje – szepcze Sugar, delikatnie ściskając jego pośladki obiema rękami. – Chodź, weź mnie.

Zasłony łóżka są już przewiązane i rozsunięte jak teatralna kurtyna. W lustrze nad wezłowiem William widzi dziewczynę, prowadzącą jego drżące odbicie ku zmiętej pościeli, która pachnie jeszcze ich ciałami.

– Moja cipka zaczyna ociekać sokami na samą myśl o tobie, panie Hunt – szepcze Sugar.

– Nie, mów mi William, naprawdę. I proszę, pozwól, że jeszcze raz cię zapewnię, iż odtąd nie musisz już robić nic innego, tylko...

– Mmm, tak – odpowiada dziewczyna, pociągając go za sobą na łóżko, po czym zarzuca mu na głowę swój miękki, obszerny szlafrok; William kręci się pod nim, ale Sugar okrywa go przytulnie, unieruchamia i przygarnia do siebie. Czuje gorący, wilgotny oddech mężczyzny, sunący znad brzucha wyżej, w kierunku otaczającego jej szyję światła.

– Oooch, nie, jeszcze nie – jęczy Sugar, przytrzymując go przez szlafrok. – Moje piersi płoną z pożądania.

William zaczyna je lizać – dzięki Bogu, delikatnie. Spała z mężczyznami, którzy rzucali się na jej brodawki niczym niedźwiedź na miód – ale usta tego klienta są miękkie, język gładki, a Sugar niemal nie czuje jego zębów. Jest zupełnie łagodny i dysponuje mnóstwem łatwych pieniędzy. Jeśli życzy sobie zapisać jej imię w umowie, to cóż, dlaczego nie?

Ale – Jezu drogi – musi uważać, by nie zobaczył, co leży na jej biurku. Matka zupełnie niespodziewanie wezwała ją na dół tak wcześniej, gdy była martwa dla świata i pogrążona we śnie, z głową wciśniętą głęboko w poduszkę. Czy mogła przypuszczać, że taka zaspana zapomni, by uprzątnąć biurko? W tym stanie ledwie udało się jej zwlec na dół, nie skrucając karku. A skąd mogła wiedzieć, czego od niej chcą? Chyba nikt nie mógłby mieć do niej pretensji, że nie zdołała odgadnąć, iż będzie ślubować dozgonną wierność mężczyźnie...

Mimo to musi być na przyszłość ostrożniejsza: nie może zostawiać tak swoich papierów na wierzchu, żeby ten jegomość mógł w nich węszyć. Co leży na samej górze? Usiłuje sobie przypomnieć, unosząc szlafrok, żeby klient złapał oddech... Czyżby ta straszna broszurka o... och, Boże, tak! Blednie na myśl o tym, w co mógłby wetknąć swój nos, gdyby nie odwróciła jego uwagi.

Na sekretarzyku spoczywa bowiem otwarty traktat medyczny, skradziony z czytelnicy biblioteki publicznej na Trevor Square. Tekst sam w sobie nie byłby dla Williama żadnym zaskoczeniem – zapewne czytał już kiedyś takie rzeczy:

Żadna kobieta nie może zostać poważną myślicielką, nie wystawiając na szwank swej funkcji rodzicielki i matki dzieciom. Tak zwane intelektualistki to zwykle młode kaleki albo wprost hermafrodytki, które w innych okolicznościach mogłyby zostać zdrowymi żonami.

Zamknijmy więc uszy na syrenie głosy, oferujące nam liczne intelektualne dzieła kobiecego autorstwa za cenę słabowitej, wątłej i chorowitej rasy. Zdrowe, sprawne macice będą nam w przyszłości bardziej przydatne niżli kolejne przykłady niewieściej pisaniny.

Nie, nie chodzi o sam tekst, lecz o zanotowane na marginesach ręką Sugar komentarze, których jej nowy dobroczyńca nie powinien w żadnym wypadku zobaczyć; tu: Pompatyczny dureń!, tam: Tyrania!, dalej: Nieprawda, nieprawda, nieprawda!; i zanotowana gniewnie pełnym kleksów pismem uwaga na zakończenie, pod tekstem: *Jeszcze zobaczymy, stary, głupi syfilityku! Wkrótce*

nadejdzie nowe stulecie, a wtedy ty i tobie podobni mężczyźni będziecie już MARTWI!

Przetrząsając kieszenie torby w poszukiwaniu pudełka z pijawkami, doktor Curlew zauważa pod łóżkiem pacjentki okładkę pisma, którego lektury nie aprobuje. (Jest to „London Periodical Review”, który Agnes czyta z zupełnie niewinnego powodu, pragnie bowiem wiedzieć – na wypadek, gdyby w następnym Sezonie ktoś ją zapytał o zdanie – co powinna sądzić o nowych dziełach malarskich, których nie mogła obejrzeć, o nowej poezji, której nie czytała, i o ostatnich wydarzeniach historycznych, których nie była świadkiem).

– Przepraszam, pani Rackham – mówi lekarz, wciąż nie zdając sobie sprawy, że pacjentka nie słucha go już od pewnego czasu. Doktor Curlew podnosi gorszące go pismo, by mogły je zobaczyć niewidzące oczy Agnes. – Czy to należy do pani?

Nie czeka na odpowiedź – karci ją, impregnowany na usprawiedliwienia. Nie robiłoby mu też różnicy, gdyby nie był to „London Periodical Review”, tylko *The Shadow of Ashlydyat* pióra pani Henry Wood⁹ lub tym podobny śmieć. Zbyt ekscytująca, wyczerpująca albo podniosła lektura, za częste kąpiele, zbyt dużo słońca, za ciasne gorsety, lody, szparagi oraz termofory: oto niektóre spośród licznych przyczyn chorób macicy. Ale mniejsza o to, bo ma remedium na tę dolegliwość.

Doktor Curlew przez chwilę przygląda się płatowi białej skóry za uchem Agnes, a potem precyzyjnie przykładą tam pierwszą pijawkę. Pani Rackham wybiera ten właśnie niefortunny moment, żeby opuścić swój sen z nadzieją, iż tymczasem świat znów stał się bezpieczny. Patrzy, jak trzymana w uścisku pesety pijawka wznosi się ku niej w powietrzu. Zanim udaje jej się uciec w nieświadomość, odnotowuje zimne dotknięcie szczypiec za uchem, a chociaż nie czuje, jak pijawka zaczyna ssać, wyobraża sobie wodnistą spiralę krwi, płynącą w górę z jej wnętrzości ku głowie niczym szkarłatna glista w lepkiej cieczy. Po chwili jednak znajduje się znów we śnie, a kiedy doktor Curlew przykładą drugą pijawkę, pociąg Agnes jedzie dalej.

Dłonie doktora łagodnie przekręcają spoczywającą na poduszce głowę pani Rackham o sto osiemdziesiąt stopni, albowiem pijawki trzeba przystawić także za drugim uchem.

– Przepraszam, pani Rackham.

Agnes nie rusza się – jej podróż błyskawicznie dobiega końca. Dwóch starców niesie ją na noszach z położonej gdzieś na wiejskim odludziu stacji końcowej pod bramę Klasztoru Zdrowia. Zakonnica biegnie otworzyć olbrzymią żelazną furtę, na której szeleści bluszcz i malwy. Starcy ostrożnie stawiają nosze na oświetlonej słońcem trawie i zdejmują czapki, a obok Agnes kłęką zakonnica, która kładzie jej na czole chłodną dłoń.

– Dziecko, dziecko kochane – szczebiocze z pełnym czułości zniecierpliwieniem. – I co my z tobą zrobimy?

Zaspokoiwszy pożądanie, William może obejrzeć swoją zdobycz dokładniej, przygląda się więc dziewczynie z miłosną uwagą. Sugar, którą obejmuje ramieniem, zapewne śpi, bo jej rzęsy ani drgną. Przebiera palcami włosy dziewczyny, podziwiając wszystkie niespodziewane, skryte w czerwieni barwy, które w nich znajduje: smugi czystego złota, kosmyki blond i pojedyncze ciemnokasztanowe pasemka. Takiej cery nie widział nigdy w życiu: na rękach i nogach Sugar, na jej biodrach i brzuchu widnieją... jak mógłby je nazwać? Tygrysie pręgi. Wirujące, geometryczne wzory łuszczonej się suchości przeplatają się z zaczerwienionym naskórkiem. Pręgi są symetryczne, jak gdyby wyrysował je jakiś pracowity esteta lub afrykański dzikus. (Gdyby był tu doktor Curlew, powiedziałby Williamowi, a przede wszystkim Sugar, że dziewczyna cierpi na niezwykle rozpowszechnioną odmianę łuszczycy, która – jeśli by sprecyzować tę diagnozę – przechodzi w rzadziej spotykane i bardziej efektowne schorzenie, zwane ichtiozą. Doktor Curlew mógłby jej też przepisać kosztowne balsamy, które wcale nie goiłyby spękanych dłoni ani łuszczących się na udach Sugar płatów skóry lepiej niż tanie olejki, jakie dziewczyna stosuje). Lecz w oczach Williama te wzory są czarujące, stanowią bowiem adekwatny wyraz zwierzęcej natury Sugar, która nawet pachnie jak zwierzę, a w każdym razie wydaje mu się, że właśnie tak pachną zwierzęta, bo w

9 Pani Henry [Ellen] Wood (1814 – 1887), autorka blisko czterdziestu powieści sensacyjnych, prekursorka współczesnej powieści kryminalnej. *The Shadow of Ashlydyat* należy do jej najlepszych utworów (przyp. tłum.).

żadnym wypadku nie jest ich miłośnikiem. Narządy rodne dziewczyny wydzielają silną, aromatyczną woń, a włosy łonowe połyskują od potu i nasienia.

Unosi nieznacznie głowę, by lepiej zobaczyć jej piersi. W pozycji leżącej biust Sugar wydaje się niemal całkowicie płaski, lecz jej brodawki są pełne i niewątpliwie kobiece. (A kiedy William bierze ją od tyłu, ma ją za co ścisnąć). Prawdę mówiąc, jest zachwycony każdym ciałem jej ciała – wydaje mu się niemal, że Sugar jest urządzeniem skonstruowanym wyłącznie po to, żeby go doprowadzać do orgazmu.

Chwyta dziewczynę za ramię, chcąc zbudzić ją na tyle, by zadać jej pytanie, które pragnie postawić od niemal godziny.

– Sugar?

– Mmm?

– Czy... czy lubisz mnie choć trochę?

Dziewczyna śmieje się ochryple, zwraca głowę ku niemu i ociera się o jego policzek.

– Och, taaak, Williamie – odpowiada. – Przecież jesteś moim wybawicielem. Orędownikiem...

– Sugar ujmuje jego genitalia w swoją szorstką dłoń. – Jeszcze nie mogę uwierzyć w ten uśmiech fortuny.

William przeciąga się i zamyka oczy w rozmarzeniu, a Sugar ukradkiem skubie zębami swoje łuszczące się usta, zmartwiona, że nie może całkiem oderwać klinowatego płatka naskórka z wargi, choć lada chwila zapewne sam odpadnie. Powinna raczej zostawić go w spokoju, inaczej zacznie lecieć krew. O ile pieniędzy poprosi go tym razem? Duża, miękka dłoń Williama spoczywa na jej piersi. Wtula się w jej spiczastą, wystającą łopatkę i Sugar czuje bicie jego serca. Ma szczęśliwą minę. Przychodzi jej do głowy – chociaż nie, podejrzewała to od chwili, w której po raz pierwszy spojrzała mu w oczy – że pomimo nieprzyzwoitego kabotyństwa William jest jak dziecko poszukujące ciepłego łóżka do spania. Jeśli tylko pogłodzi go po głowie i zsunie mu ze spoconego czoła przetłuszczone kosmyki złocistych włosów, da jej wszystko, o co go poprosi.

William oddycha głęboko, zapada już niemal w sen, kiedy rozlega się ciche, niepewne pukanie do drzwi.

– Ki diabeł? – mruczy.

Ale Sugar rozpoznaje pukanie.

– Christopher! – woła *sotto voce*. – Czego chcesz?

– Przepraszam bardzo, ale mam wiadomość od pani Castaway – głos chłopaka dobiega przez dziurkę od klucza. – Dla tego dżentelmena. Mam mu przypomnieć, znaczy się, gdyby zapomniał, że jest umówiony na spotkanie. Z niejakim panem Wilkie Collinsem.

William odwraca się do Sugar z zakłopotanym uśmiechem.

– Wzywają mnie obowiązki – mówi.

Kilka godzin później Agnes Rackham czuje, jak drobne, kobiece dłonie Clary mechanicznie głaszczą ją przez kołdrę, jest jednak pogrążona w zbyt głębokim śnie, by mogła rozpoznać ich dotyk.

Sen, osiągnąwszy swój niebiański finał, zaczyna się na nowo od początku. Agnes znajduje się w drodze do Klasztoru Zdrowia: specjalnie dla niej przygotowano przedział, który – o ile to możliwe – ma przypominać jej pokój. Pani Rackham leży więc na łóżku pod oknem w przedziale sypialnym, którego ścianki pokrywa stosowna tapeta, a na nich wiszą w ramach portrety jej rodziców.

Pani Rackham podnosi głowę z poduszki i wygląda na peron, gdzie panuje ożywiony ruch. Pasażerowie biegają tu i tam, bagażowi uginają się pod ciężarem walizek, gołębie podfruwają z trzepotem skrzydeł pod wysokie sklepienie, a na odległym, najbliższym ulicy peronie niecierpliwie postukują kopytami dorożkarskie szkapę. Antypatyczny mężczyzna, który pukał palcem w jej okno, już odszedł, a zamiast niego podchodzi uśmiechnięty zawiadowca, który woła przez szybę:

– Wszystko w porządku, panienko?

– Tak, dziękuję – odpowiada Agnes, układając się z powrotem na poduszce. Rozlega się gwizdek na peronie i pociąg rusza miękko.

*

Mniej więcej godzinę później zaszyty w swym gabinecie William Rackham przeszukuje szuflady biurka i z niejakim zaskoczeniem zdaje sobie sprawę, że nie ma już żadnych dotyczących firmy dokumentów, których nie przeczytał. W końcu więc przebrnął przez wszystkie – wycisnął z nich całą esencję. Przed nim spoczywa duży, oprawny w skórę notes, a w nim widnieją zanotowane jego własnym, kanciastym charakterem pisma liczne pytania, pozostające bez odpowiedzi, które już wkrótce mimo wszystko uzyska.

Upojony maderą i swoim wielkim wyczynem, zdziera brązowe opakowanie z dziewiczej paczki listowego papieru Rackham Perfumeries, wyciąga pojedynczą kartkę, układa ją starannie na biurku, przyciska łokciem, zanurza pióro w kałamarzu i pod firmowym znakiem róży pisze:

Drogi Ojcze,

Chodź teraz ze mną, z dala od ohydnych ulic miasta, z dala od domów, cuchnących kłamstwem i strachem, i z dala od fałszowanych z ohydny cynizmem umów. Miłość istnieje. Chodź ze mną do kościoła.

Jest chłodny, ale słoneczny niedzielny poranek cztery miesiące później. W czystym powietrzu nie unosi się nic poza delikatnym zapachem deszczu oraz latającymi tu i ówdzie wróblami. Ciemna, mokra murawa wzdłuż prowadzącej do kościoła ścieżki upstrzona jest maleńkimi, białymi pączkami, które wkrótce zmieniają się w żonkile. Rozwinięte kwiaty można natomiast zobaczyć...

(Co? Sugar? Dlaczego myślisz o Sugar? Przestań się o nią martwić – przecież została już komuś przyrzeczona! Spróbuj nie myśleć także o Williamie. Wszystko jest pod kontrolą, zapewniam cię. Między ojcem a synem nastąpiła wymiana stopniowo coraz cieplejszych listów – a przekazanie władzy poszło gładko. Och, początkowo starzec zachowywał się niczym niewierny Tomasz i nie dowierzał Williamowi, który szczegółowo opisał strukturę firmy, kompetencje dyrektora oraz sposób, w jaki zamierza pełnić jego obowiązki, ojciec sądził bowiem, że tą pochlebczą metodą syn usiłuje wyłudzić po prostu fundusze, aby pozwolić sobie na wystawne święta Bożego Narodzenia. Stary szybko jednak dał się przekonać, że oto jest świadkiem narodzin tylko nieco mniej cudownych aniżeli narodziny Zbawiciela: narodził się bowiem William Rackham, rekin przedsiębiorczości. Obecnie stosunki między nimi są całkiem poprawne, a upokorzenia Williama należą do przeszłości, zatem nie ma sensu dłużej się nad nimi rozwodzić).

Jako się rzekło, rozwinięte kwiaty zobaczyć można w kościele: w szarych, półprzezroczystych wazonach albo na czepkach niektórych parafianek. Tutaj nakrycia głowy co elegantszych dam zdobią nie tylko kwiaty, lecz także motyle i wypchane ptaki. Panie wychodzą gęsiego z ławek, przyglądając się nawzajem swoim sukniom i czepkom, i tylko ta dziwaczka, Emmeline Fox, nie jest strojnie ubrana. Trzyma głowę wysoko, jakby była piękna, i prostuje grzbiet, jakby była silna. U jej boku kroczy jak zwykle Henry Rackham, człowiek, któremu na mocy prawa należało się stanowisko najważniejszego Rackhama w Rackham Perfumeries, lecz który (o czym wszyscy wiedzą) utracił już do niego tytuł.

Henry jest przystojnym, wysokim mężczyzną – hmm, w każdym razie wyższym od swego brata. Ma także bardziej niebieskie oczy, ostro zarysowany podbródek i płaski brzuch, a jego nie mniej złociste włosy układają się wyjątkowo posłuszenie, w przeciwieństwie do włosów Williama. Dawniej, nim stało się jasne, że Henry nie zamierza skorzystać z prawa pierworództwa, interesowało się nim wiele kandydatek na żonę, z których każda widziała w nim przyzwoitego, choć nieco nazbyt poważnego mężczyznę, każda też sugerowała mu, że dziedzic wielkiej firmy będzie potrzebował oddanej małżonki, i opuszczała go, kiedy zaczynał mówić lekceważąco o pieniądzach. Jedna z tych dam (obecna dziś w kościele, świeżo poślubiona Arturowi Gillowowi, producentowi chłodziarek) pocałowała go nawet w czoło, by sprawdzić, czy nie uleczy go w ten sposób z nieśmiałości.

Nie o takiej miłości jednak mówiłam. Miłość, o której mówiłam, jest prawdziwa. To miłość dwojga przyjaciół do Boga i siebie nawzajem.

Henry zbliża się do kruchty swojego kościoła – choć w istocie nie jest to, niestety, jego kościół, a po prostu kościół, do którego chodzi – i czuje wpadający do wnętrza podmuch świeżego powietrza. Nie interesują go perfumy, choć zauważył, że ich stężenie zwiększa się w murach świątyni z tygodnia na tydzień. Dziś zapach perfum bije równie mocno od tych dam (stojących w zasięgu głosu proboszcza), które rozprawiają na temat Pisma Świętego, jak i od tamtych, stojących nieco dalej, które omawiają nadchodzący Sezon.

Msza dobiega końca, toteż Henry i pani Fox nie zamierzają zwlekać ani chwili, gardzą bowiem sposobnością wymiany plotek z innymi obecnymi w kościele wiernymi z Notting Hill. Ściskają

dłoń proboszczowi, Henry komplementuje go za to, w jaki sposób dał odpór teorii Darwina, po czym oboje wychodzą. Plotkarze odprowadzają ich wzrokiem, ponieważ jednak taki afront spotyka ich co niedziela od miesiący, nie zadają sobie nawet trudu, by mimochodem skomentować zachowanie tych dwojga. No bo po co, skoro tyle już powiedziano na temat Henryego Rackhama i pani Fox, a żadne z nich nie chwyta przynęty, choć wszyscy starają się ze wszystkich sił, by szeptać możliwie najgłośniej.

Henry i pani Fox schodzą ostrożnie w dół stromą zwirowaną ścieżką, prowadzącą na cmentarz. Nie trzymają się pod ramiona, lecz używają złożonych parasoli jako lasek. Na samym dole ścieżka zakręca ostro i przez chwilę biegnie wzdłuż cmentarza, a potem łączy się z główną drogą – tędy właśnie idą, mijając po prawej stronie maślanożółte nagrobki, po lewej z kolei czarne pnie zimozielonych drzew.

– Jaki piękny poranek – mówi Emmeline Fox. (Nie, naprawdę tak myśli! Nie, nie mówi tego tylko po to, żeby podtrzymać rozmowę! Czas, który spędziłeś na ulicach i w domu rozpusty, napełnił cię cynizmem – a jest naprawdę piękny, niedzielny poranek, i oto zachwyca się nim pewna dama). Przepenia ją miłość do Stworzenia. Boskie wspaniałości są nieskończone, przebogate – otaczają ją ze wszystkich stron... (A ty, o czym myślisz? Zdecydowanie za długo przebywałeś w niewłaściwym towarzystwie!)

– Tak, dzień jest bardzo piękny – zgadza się Henry Rackham. Rozgląda się i prosi wspaniałą naturę, aby go obdarzyła pięknem, ale natura nie chce zastosować się do jego prośby. Henry mruży oczy, wpatrując się w zielonkawą światłość, i gorąco pragnie poczuć się tak jak jego urzeczona towarzyszka.

Problem w tym, że choć promienie słońca przeświecają zza drzew jak na płótnie Dyce'a¹⁰, zatytułowanym *George Herbert in Bemerton*, nie robią na Henrym takiego wrażenia jak pikowana tkanina stanika pani Fox. I choć młode wróble szeleszczą w listowiu i skaczą na bruku, nie mogą równać się wdziękiem z kroczącą obok Henry'ego panią Fox. A co do światła – jej twarz w słońcu wygląda wprost cudownie.

Jakaż ona jest piękna! Ubrana niby anioł – anioł w szarej serży. Choć Henry przypatruje się także „liliom polnym”¹¹, są one dla niego nazbyt pospolite i krzykliwe pstrokate – nie może zatem przedkładać ich stroju nad skromne kreacje pani Fox. Ponadto jej głos jest niski i melodyjny, a przypomina... cichą muzykę fagotu, toteż brzmi znacznie bardziej kojąco niż ćwierkanie wróbli czy szczebiot innych kobiet.

– Nie słuchasz mnie, Henry? – pyta go nagle Emmeline.

Henry oblewa się rumieńcem.

– Mów dalej, pani Fox. Podziwiałem tylko... cud boskiego Stworzenia.

Pani Fox zatyka uchwyt parasola za pasek, by unieść obie ręce. Spociała się na stromej dróżce, ociera więc czoło pod lokami gęstych włosów.

– Mówiłam tylko, że życzyłabym sobie, aby wreszcie skończyły się te spory, dotyczące pochodzenia człowieka. Wszystko jedno jak.

– Przepraszam, ale co masz na myśli, pani, mówiąc „wszystko jedno”? – Pytania, które Henry kieruje pod jej adresem, brzmią zawsze delikatnie, nie chce jej bowiem urazić.

– Cóż – wzdycha pani Fox. – Życzyłabym sobie, aby wreszcie można raz na zawsze rozstrzygnąć, czy pochodzimy od Adama, czy od małp pana Darwina.

Henry przystaje zdumiony. Pani Fox zaskakuje go w podobny sposób zawsze, przy każdym spotkaniu, kiedy Rackham najmniej się tego spodziewa.

– Ależ moja droga pani Fox! Chyba nie mówisz poważnie!

Emmeline spogląda na niego z ukosa i oblizuje wargi, ale nie mówi nic, żeby go uspokoić.

– Moja droga pani Fox – zaczyna znowu Henry, mrugając powiekami na widok ciągnącej się przed nimi cętkowanej słońcem drogi. – Różnica między jednym i drugim poglądem na pochodzenie człowieka równa się... ależ tak, równa się różnicy między wiarą i ateizmem!

10 William Dyce (1806 – 1864) – szkocki malarz i projektant, którego malarstwo wpłynęło m.in. na prerafaelitów (przyp. tłum.).

11 Ewangelia w g św. Mateusza, 6,28 (przyp. tłum.).

– Och, Henry, nie, wcale nie. – W głosie pani Fox pobrzmiewa zniecierpliwienie, co każe mu przypuszczać, że zaraz zacznie opowiadać o swojej pracy w Towarzystwie. – Gdybyś tylko znał tych nieszczęśników, pośród których pracuję! Zrozumiałbyś wtedy, że szalejąca w naszych kościołach i ratuszach dyskusja nic dla nich nie znaczy. Uważają ją jedynie za zwyczajną kłótnię między jednym a drugim zastępem bufonów. „Wiemy wszystko, panienko”, powiadają. „Mamy zdecydować, kim byli nasi dziadowie: małpami czy parą nagich niewiniątek w ogrodzie”. I śmieją się, bo obie te koncepcje wydają im się równie idiotyczne.

– Zapewne z ich punktu widzenia, lecz nie z perspektywy Stwórcy.

– Tak, ale czy nie rozumiesz, Henry, że takie spory nie pomogą nam nawrócić tych ludzi? Musimy przyjąć do wiadomości, że nie interesuje ich, skąd pochodzi życie. Znacznie ważniejszym problemem, którym należy się zająć, jest to, że oni pogardzają wiarą. Oni, ci prostaczkowie, Henry, którzy stanowili podporę Kościoła w czasach, kiedy świat nie był jeszcze skażony miastami i fabrykami. Ogarnia mnie niesłychany smutek na myśl o tym, jacy oni byli wtedy naiwni i pobożni, orali ziemię... Popatrz!

Pani Fox wskazuje leżącą nieopodal łąkę, która kiedy przyjrzeć jej się bliżej, okazuje się sceną wytężonej pracy. Widać na niej maleńkich robotników, wozy z drewnem i ziemią oraz olbrzymią maszyną o tajemniczym przeznaczeniu.

– Zapewne kolejny dom – wzdycha pani Fox, odwracając się tyłem do placu budowy, tak że jej turniura opiera się o przełaz w płocie. – Najpierw przychodzą domy, potem sklepy, a wreszcie... – (wywraca oczy, podkreślając bezbożność handlu) – Powszechny Zaopatrzeniowiec. – Emmeline gładzi swoje wychudzone ramiona, drżąc na całym ciele. – Mimo to przypuszczam, że twój ojciec będzie zadowolony.

– Mój... ojciec? – Henry nie od razu pojmuje, o co jej chodzi: jedyny ojciec, o którym regularnie myśli, zamieszkuje w niebiesiech.

– Tak – odpowiada pani Fox. – Więcej domów i ludzi to lepszy interes, prawda?

Henry opiera się ostrożnie o sąsiedni przełaz. Chociaż jest nieco stropiony z powodu pokrewieństwa z arcspekulantem, który dał mu imię, czuje się zobowiązany go bronić.

– Mój ojciec lubi naturę, jak wszyscy, ani mniej, ani więcej – zauważa. – I jestem pewien, że nie chce się przyczynić do jeszcze większego jej zanieczyszczenia. Poza tym, chyba nie słyszałaś? Ustąpił ze stanowiska dyrektora firmy, której kierownictwo sprawuje obecnie William.

– Ach, tak? Czyżby się rozchorował?

Henry, niepewny, którego Rackhama pani Fox ma na myśli, odpowiada:

– Mój ojciec jest zdrowy jak ryba. Jeżeli chodzi o Williama, to nie wiem, co mu strzeliło do głowy.

Pani Fox się uśmiecha. Fundamentalne i niedające się pogodzić różnice między Henrym a jego bratem stanowią dla niej źródło ukrytej rozkoszy.

– To doprawdy zaskakująca wiadomość – oświadcza. – Sądziłam zawsze, że twój brat jest człowiekiem snującym mnóstwo planów, z których niewiele jednak realizuje.

Henry znów się czerwieni, zdaje sobie bowiem sprawę, że jest bratem utracjusza i nicponia. A co osiągnął on, Henry? Czy pani Fox i na niego patrzy z góry, zadzierając nosa, ponieważ nie zdołał wziąć losu w swoje ręce? (Poza tym, dlaczego ludzie ciągle powtarzają, że ona ma długi nos? Jest przecież idealnie proporcjonalny w stosunku do reszty jej twarzy!)

Emmeline opiera się nadal o przełaz w płocie. Odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy, a stoi tak blisko, że Henry słyszy jej oddech i widzi, jak przez rozchylone usta pani Fox uchodzi powietrze. Pozwala sobie puścić wodze fantazji i chociaż gardzi sobą, konfabuluje dalej: jest oto pastorem i kopie dół w żyznej, ciemnej ziemi ogrodu na plebanii, a u jego boku stoi złocąca się w słońcu Emmeline, trzymając w rękach młode drzewko, przygotowane do posadzenia. „Powiedz kiedy” – mówi do Henry’ego.

Henry z pewnym trudem porzuca owo rozkoszne marzenie na jawie i powraca do rzeczywistości. Zachowanie pani Fox uległo zmianie. Wygląda na mniej ożywioną niż przedtem – ba, zdaje się nieomal przygnębiona. Dotknęła ją pospolita, zagadkowo powszechna w życiu człowieka zmiana nastroju, która mimo wszystko łamie Henry’emu serce.

– Posmutniałaś, pani – odzyskuje wreszcie głos.

– Och, Henry – wzdycha pani Fox. – Nie da się powstrzymać tego, co już się zaczęło. Wiesz o tym, prawda?

– Za... zaczęło?

– Nie da się powstrzymać pochodu postępu. Triumfu maszyn. Jesteśmy w pociągu pospiesznym, który wjeżdża w dwudziesty wiek. Nie można wskrzesić przeszłości.

Henry zastanawia się nad tym przez chwilę, lecz okazuje się, że przeszłość albo przyszłość jako abstrakcje niewiele go obchodzą. Tylko dwie idee jarzą się wyraźnie w jego myślach: marzenie, w którym wraz z panią Fox kopie dół w ogrodzie na plebanii, oraz gorące pragnienie, aby odegnąć jej smutki.

– Przeszłość to coś więcej niż zaszłość – rzuca Henry i krzywi się na mimowolny rym. – Przeszłość to także normy postępowania. Nie sądzisz, że gdybyśmy tylko chcieli, moglibyśmy je zachować, pani?

– Ach, to przyjemna myśl. Ale współczesny świat gwałci prawość, Henry. Na każdy możliwy do pomyślenia sposób.

Henry rumieni się, myśląc o jej stadku prostytutek, pani Fox idzie jednak o coś więcej.

– W zeszłym tygodniu pojechałam do miasta, żeby odwiedzić pewną nieszczęsną rodzinę, u której już wcześniej bywałam, pragnęłam bowiem poprosić ich raz jeszcze, by posłuchali słów naszego Zbawiciela. Byłam zmęczona i nie chciało mi się iść pieszo taki kawał drogi. Zanim zorientowałam się, co czynię, siedziałam w ciągniętym przez lokomotywę wagoniku metra, oczarowana przemianą ciemności w światło, i pędziłam przez podziemia za cenę sześciu pensów. Nie odzywałam się do nikogo, jak gdybym była duchem. Tak mi się to spodobało, że przegapiłam stację, na której miałam wysiąść, i nie odwiedziłam tej rodziny.

– Przy... Przyznaję, że niezupełnie domyślałam się, do czego zmierzasz, pani.

– Oto jak będzie wyglądał koniec naszego świata, Henry! Dajemy świadectwo głupocie, rojąc sobie, że nadejście ostatnich dni obwieści jakiś kolosalny Antychryst, wymachujący zakrwawionym toporem. Antychrystem są nasze własne pragnienia. Za te sześć pensów całkowicie uwolniłam się od odpowiedzialności. Odpowiedzialności za dobrobyt tych biednych, obdartych nieszczęśników, którzy mozolili się, aby wykopać tunel kolei podziemnej, za tę groteskową kwotę, którą wydałam na przejazd, i za gwałt na ziemi, która powinna pozostać niewzruszona pod moimi stopami. Siedziałam w przedziale, podziwiając migające mi przed oczami mroczne tunele, nie mając najbledszego pojęcia, gdzie jestem, i nie zważając na nic prócz własnej przyjemności. Utraciłam status stworzenia Bożego, w każdym sensownym znaczeniu tego pojęcia.

– Jesteś zbyt surowa wobec siebie, pani. Jedna przejażdżka metrem nie przyspieszy nadejścia Armagedonu.

– Nie byłabym tego taka pewna – mówi pani Fox, która ma ochotę się uśmiechnąć. – Sądzę, że nadchodzą bardzo dziwne czasy. Czasy, w których nasze uwielbienie postępu skomplikuje i skompromituje wszystkie wybory moralne. – Spogląda w niebo, jak gdyby szukając potwierdzenia w Bogu. – Widzę świat, który pogrąża się w chaosie, my zaś tylko mu się przyglądamy, niepewni, w jaki sposób należało czy też należy zapobiec katastrofie.

– Ale pracujesz przecież dla Towarzystwa!

– Albowiem muszę coś zrobić, póki jeszcze mogę. Każde poszczególne istnienie ludzkie wciąż jest dla mnie bezcenne.

Henry usiłuje odtworzyć drogę, która przywiodła do tego wniosku. Choć zgadza się całym sercem, że każdy człowiek jest bezcenny, nie może nie zauważyć, że deski w płocie, o który się oboje opierają, są zimne i wilgotne oraz że pani Fox nie czuje zimna ani wilgoci, ponieważ ją chroni turniura, a jego nie. Proponuje więc grzecznie, żeby ruszyli dalej.

– Wybacz mi, Henry – mówi pani Fox, wprawiając raptownie w ruch swe zeszywniałe ciało. – Czy znów się przeze mnie spóźnimy? Zaczynam bujać w obłokach, kiedy zapuszczam korzenie.

– Ależ skąd! Poza tym ja także byłem już nieco zmęczony!

– To bardzo miło z twojej strony, Henry – mówi pani Fox, przyspieszając kroku. – I wiesz co? Mówiłam o Darwinie naprawdę to, co myślę. Ostatecznie Kościół mylił się już wcześniej... na

przykład w sprawach nauki. Czyż nie utrzymywał, że Słońce krąży wokół Ziemi? I czy nie uśmiercał ludzi hołdujących przeciwnemu sądowi? Dzisiaj natomiast każdy podręcznik szkolny uczy, że to Ziemia obraca się wokół Słońca. Tylko czy to coś zmienia? Wcale bym się nie dziwiła, gdyby kobiety, na rzecz których pracuję, nadal wierzyły, że jest dokładnie na odwrót. Nie do mnie należy korygowanie ich poglądów na kosmologię czy pochodzenie człowieka. Ja walczę o to, by uratować od śmierci ich ciała i dusze! – Pani Fox przyciska w marszu do piersi swą delikatną piąstkę. – Och, gdybyś tylko wiedział, w jakim stanie moralnej anarchii żyją ci ludzie!...

Henry wstydzi się, bo bardzo pragnie poznać ów stan anarchii moralnej, w którym żyją prostytutki pani Fox. Ach, ta deprawacja, której pani Fox jest niewątpliwie świadkiem! Henry może jedynie powstrzymać się od zadawania pytań, które pod pozorem zainteresowania moralną czystością w mieście kryją palącą ciekawość, by choć na moment dotknąć czegoś całkiem innego. Czasami zaciska szczęki i gryzie się w język, powstrzymując żądanie, by pani Fox zechciała powiedzieć więcej.

Dziwne jest jednak to, że nawet kiedy Henry zupełnie nad sobą panuje i porozumiewa się z panią Fox na czystej moralnie płaszczyźnie, Emmeline – niewątpliwie całkowicie niewinnie – kieruje rozmowę na bardziej zmysłowe tory.

Nie tak dawno, na przykład, pani Fox i on przechadzali się wokół jeziora Serpentine, prowadząc dyskusję na temat życia pozagrobowego.

– Wiesz, Henry – mówiła wtedy Emmeline. – Często nachodzą mnie wątpliwości, czy istnieje piekło. Już sama śmierć jest wystarczająco okrutna. Och, nie chodzi mi o taką śmierć, jaka zapewne spotka ciebie czy mnie, ale o śmierć w męczarniach, dotykającą tak często nieszczęśników, pośród których pracuję. Nasza doktryna religijna każe nam wierzyć, że ludzie ci pójdą do piekła, czym jednak jest dla nich piekło? Na widok kobiety, która umiera na jakąś szkaradną chorobę i gorzko żałuje każdej chwili spędzonej na tej ziemi, zastanawiam się, czy ona już nie doświadczyła najgorszego.

– Ależ sprawiedliwi muszą niewątpliwie otrzymać jakąś nagrodę! – zaproponował Henry, zaniepokojony herezją pani Fox, nie z obawy, że Bóg się na nią rozgniewa (Bóg bowiem z pewnością nie mógłby nie docenić jej zacnych intencji), ale dlatego, że bał się, by nie ściągnęła na swoją śliczną główkę gniewu Kościoła.

– Czy niebo nie jest wystarczającą nagrodą? Czy musimy jeszcze oglądać kary, jakim są poddawani potępieńcy? – zaprotestowała z kolei pani Fox.

– Oczywiście, oczywiście, że nie – odpowiedział pospiesznie. – Nie chodziło mi o to, że pragnę przyglądać się cierpieniom grzeszników, chociaż istnieją ludzie sprawiedliwi, którzy tego chcą, z pewnością zaś nie można dopuścić, aby ktokolwiek w niebie dyszał żądzą zemsty...

Emmeline pochyliła się nad brzegiem jeziora, machając ręką do tłustej, szarej kaczki, która zniknęła pod wodą.

– Nie sądzę, aby nasze zbawione dusze mogły odczuwać mściwość – powiedziała.

– W takim razie... poczucie niesprawiedliwości.

Uśmiechnęła się, a jej oblicze rozjaśniły refleksy światła odbitego od zmarszczonej tafli jeziora.

– Wydaje mi się, że byłoby bardzo dziwne, gdyby zbawione dusze mogły żywić tego rodzaju uczucia. – Tu pani Fox wyciągnęła jedwabiste ramię nad wodę, trzepocząc palcami, aby zwabić stworzenia, które mogły kryć się pod jej powierzchnią.

– Ale... dusze muszą przecież coś odczuwać... – upierał się Henry. – Nie jesteśmy ludźmi Wschodu, którzy mniemają, że rozplną się w boskości niczym kłęb dymu. – Pani Fox zdawała się go jednak nie słuchać. Wpatrywała się w roziskrzoną wodę, czekając, aż kaczka wypłynie. Henry odchrząknął. – Jak sądzisz, pani Fox? Co nasze dusze będą odczuwać w niebie?

– Och – odpowiedziała Emmeline. W nakrapianym słońcem cieniu pod rondem kapelusza jej oczy spoglądały na niego zagadkowo, a oblizane usta lśniły jak liście na wodzie. – Sądzę, że chyba... miłość. Najcudowniejszą... nieskończoną... idealną... miłość.

Zawsze rozbrajała go w ten sposób! Używając zaledwie kilku słów i specyficznego tonu, przebijała bezpretensjonalnie jego platonicką zbroję, a bezradnego Henry'ego opadały wtedy nieczyste myśli, w których niczym *tableaux vivants* pojawiały się najrozmaitsze niesamowite

scenariusze: oto gałęzie czepiają się sukni pani Fox i zdzierają ją z niej; oto pani Fox zostaje napadnięta przez jakiegoś zdeprawowanego łajdaka, któremu – być może – udaje się obnażyć jej piersi, zanim Henry powali go na ziemię; oto ubranie pani Fox staje w ogniu, co zmusza Henry'ego do bezzwłocznego działania; oto pani Fox w somnambulicznym śnie przychodzi do niego nocą, a on przywraca jej godność, otulając ją swoim własnym szlafrokiem.

Pobudzonego w taki sposób Henry'ego zaczynały trawić lubieżne myśli. Nalegał wtedy na panią Fox, żeby opowiadała mu o pracy z upadłymi kobietami, choć wiedział doskonale, że o ile pragnie się dowiedzieć pewnych rzeczy, o tyle inne woli sobie jedynie wyobrazić.

– A jak... jak ubierają się te nieszczęsne istoty? – zapytał pewnego razu w podobnych okolicznościach, gdy przechadzali się razem w St James's Park.

– W zasadzie w zgodzie z aktualnie obowiązującą modą – odparła, nie podejrzewając niczego, pani Fox. – Niektóre preferują jednak nieco bardziej staroświecką prezencję. Poznałam kilka upadłych kobiet, które wciąż cheszą się z przedziałkiem pośrodku i nie przycinają grzywki. Ogólnie rzecz biorąc, powiedziałabym, że są o kilka miesięcy spóźnione w stosunku do najnowszych nakazów mody, jeśli chodzi o kolory, ale nie jestem najlepszym sędzią w tych sprawach. Dlaczego o to pytasz?

– Ale ich stroje... czy nie są... frywolne?

– Frywolne?

– Czy te kobiety nie... obnażają swoich ciał na pokaz?

Pani Fox głęboko zamyśliła się nad tym pytaniem, by odrzec w końcu:

– Chyba tak. Ale chodzi nie tyle o ich stroje, ile raczej o sposób, w jaki je obnoszą. Suknie, które na mnie wydają się zupełnie przyzwoite, na nich mogą niekiedy przypominać wyzywające stroje Jezabel. Te kobiety potrafią stać, siedzieć, poruszać się i chodzić w najwyższym stopniu nieprzyzwoicie.

Henry zastanawiał się, jak bezwstydnie może siedzieć dziwka, w przeciwieństwie do kobiety cnotliwej. Jak stać, jak się poruszać? Na szczęście został wtedy ocalony sam przed sobą (choć było to wątpliwe wybawienie) przez Bodleya i Ashwella, którzy w tej chwili przybiegli do nich przez park.

Dzisiaj, słonecznego, niedzielnego poranka, w otoczeniu widocznego wszędzie wokół danego od Boga cudu wiosny, Henry Rackham odczuwa znów podniecenie pod swoim sztywnym strojem. Pani Fox woła: „Och, gdybyś tylko znał stan moralnej anarchii, w którym żyją ci ludzie!...” – a przecież on rozpaczliwie pragnie właśnie go poznać. Prosi ją więc, aby opowiedziała mu coś więcej, i pani Fox czyni zadość tej prośbie.

Kroczą dostojnie dalej, a ona snuje jedną ze swoich opowieści o Towarzystwie Ocalenia Kobiet. (W tych historiach nigdy nie występują obnażone ciała ani uściski, lecz mimo to Henry słucha z płonącymi uszami). Emmeline opowiada o pewnym niedawnym zdarzeniu, kiedy to ją i jej siostry z Towarzystwa wpuszczono do pewnego domu rozpusty, gdzie poznały dziewczynę, której najwyraźniej nie pozostało już wiele czasu na tym świecie. Kiedy pani Fox wyraziła zaniepokojenie stanem jej zdrowia, burdelmama odparła, że dziewczyna znajduje się w dobrych rękach, lepszych aniżeli ręce jakiegokolwiek lekarza, i że – jeśli ma być szczerą – pani Fox też nie wygląda najlepiej, czy nie chciałaby zatem położyć się do łóżka w jednym z pokoi gościnnych?

– Muszę przyznać, że byłam zaszokowana jej perfidią.

– Tak, doskonale rozumiem – mruczy Henry. – To wyjątkowo przewrotna i wszeteczna propozycja.

– Nie, nie, to nie jej propozycja tak mnie zaszokowała, lecz niechęć tej kobiety wobec medycyny! Ci ludzie żyją w świecie postawionym na głowie: Bóg i lekarze są źli, a prostytutka dobra!

Henry pochrząkuje ze współczuciem. W jego myślach materializuje się wizja świata odwróconego do góry nogami: oczami wyobraźni widzi całą czeredę różowych kobiet, które wiją się i koziołkują niczym żaby w stawie.

– Czy twoim zdaniem wyglądam na chorą? – pyta nagle pani Fox.

– W żadnym wypadku! – wykrzykuje Henry.

– Cóż, w każdym razie czuję się chora tutaj – pani Fox przykłada rękę do piersi – kiedy myślę o nieszczęsnych dziewczętach, tkwiących w szponach tej niegodziwej kobiety, i wyobrażam sobie, jak okrutnie muszą być traktowane.

Henry ze wszystkich sił stara się nie wyobrażać sobie, jak mogą być traktowane te nieszczęsne dziewczęta, i czuje ulgę na widok kogoś, kto rozprasza jego myśli, a zbliża się od strony Union Street.

– Proszę spojrzeć, pani Fox – mówi Rackham. – Czy to nie nasza znajoma?

Zmierzają ku nim truchtem niska, pulchna dama, odziana w pyszną purpurę z czarnymi lamówkami – ostatnimi oznakami żałoby. Na jej czepku podskakują farbowane pióra, z których można by złożyć niemal całego ptaka, a parasol, który wdowa trzyma w dłoni, odznacza się kontynentalnymi rozmiarami.

– Być może ty ją znasz – powiada pani Fox. – Ale ja na pewno nigdy jej nie spotkałam.

(Ściśle rzecz biorąc, nadchodzą dwie kobiety, ale służąca jest nikim, nie zasługuje więc na to, żeby przywołać jej imię).

– Dzień dobry, lady Bridgelow – mówi Henry, kiedy tylko dama znajduje się w zasięgu jego głosu. W odpowiedzi kobieta wysuwa rękę w purpurowej rękawiczce z czarnej mufki i pozdrawia go z poważną miną.

– Dzień dobry, panie Rackham. – Dama przygląda się pani Fox spod lekko przymkniętych powiek. – Chyba nie znam pańskiej towarzyszki.

– Proszę pozwolić, że przedstawię panią Emmeline Fox.

– *Enchantée*. – Lady Bridgelow kiwa głową, uśmiecha się, po czym wraz ze służącą wymija Henry'ego oraz panią Fox i rusza dalej przed siebie, postukując obcasami czarnych bucików na bruk.

Henry czeka, aż obie kobiety znajdą się wystarczająco daleko, a potem zduszonym z irytacji głosem zwraca się do pani Fox:

– Zostałaś obrażona.

– Na pewno jakoś to przeżyję, Henry. Pamiętaj, że przywykłam do ludzi, którzy zatrząskują mi drzwiami przed nosem i obrzucają mnie wulgarnymi słowami. O, spójrz! Jesteśmy na William Street. Nie sądzisz, że to znak Opatrzności, nakazujący nam skrócić w prawo i złożyć wizytę twojemu bratu?

Henry marszczy brwi, bo jak zawsze czuje się nieswojo, słysząc, że pani Fox sympatyzuje z koncepcją, którą surowsi od niego moralisci mogliby uważać za bluźnierstwo.

– Sądzę, że lady Bridgelow wracała od Williama.

– Z pewnością nie z kościoła – zauważa pani Fox. – Ale powiedz mi, Henry: nie wiedziałam, że twój brat skłonny jest przyjmować wizyty przedstawicieli arystokracji.

– Cóż, William i lady Bridgelow są w pewnym sensie sąsiadami. – (Teraz wszystko mu się przypomina; brat opowiadał mu wiele o tej damie, jak gdyby Henry powinien się nią bardzo interesować).

– Jak to sąsiadami? Ich rezydencje dzieli z pewnością co najmniej kilkanaście domów.

– Tak, ale... – Henry usiłuje sobie przypomnieć ostatnią rozmowę z bratem. Po części dotyczyła ona samobójstwa, czyż nie? – Och, tak: William jest jedyną osobą, która nie ma za złe lady Bridgelow, że jej mąż odebrał sobie życie.

– Odebrał sobie życie?

– Owszem, zastrzelił się, jak sądzę.

– Biedak. A czy po prostu nie mógł się z nią rozwieść?

– Pani Fox!

Tuż przy bramie, prowadzącej do posiadłości Williama Rackhama, stoi kundel, który najpierw unosi z nadzieją łeb, a potem zaczyna lizać się po genitaliach, nieświadom, że nie zyska sobie w ten sposób szacunku.

– Nie patrz w tamtą stronę – mówi z naciskiem Henry, wprowadzając panią Fox na teren posiadłości swego brata.

Emmeline odwraca się, lecz widzi tylko psa spoglądającego na nią prosząco melancholijnymi, brązowymi oczami, kiedy brama zamyka mu się przed nosem. *Biedactwo*, myśli pani Fox.

– Czy to nie pies Williama? – pyta, kiedy ruszają razem ścieżką w stronę domu.

– O ile mi wiadomo, William nie trzyma żadnych zwierząt domowych.

– Od czasu naszej ostatniej wizyty mógł sobie kupić psa. – Ale moim zdaniem nie zdecydowałby się chyba na kundla.

Henry przystaje przed frontowymi drzwiami domu brata (które mogły być drzwiami jego domu), ozdobionymi dekoracyjnym, mosiężnym monogramem „R”, i dzwoni. Jeszcze zanim sznur dzwonnka przestaje się kołysać, odnosi wrażenie, że odkąd był tu ostatnio przed kilkoma tygodniami, *sans* pani Fox, w domu Williama wiele się zmieniło. Może to dlatego, że wskutek wywołanej energicznym polerowaniem transmutacji mosiężna litera błyszczy niby złoto, może dlatego, że drzwi otwierają się nie po kilku minutach, lecz sekundach, a może dlatego, że Letty wita ich tak skwapliwie, iż można by sądzić, że właśnie pokryto ją świeżą warstwą serwilizmu jak farbą. Za plecami służącej, w przedpokoju, stoją lśniąco, odkurzone meble, niczym na wystawie sklepowej.

– Chodźcie, chodźcie! – woła William Rackham i jowialnie macha do nich ze schodów, znajduje się bowiem w połowie drogi na piętro. Henry z trudem go poznaje, gdyż górną wargę i podbródek brata porasta ciemny, gęsty mech, a ponadto William ostrzygł się jeszcze krócej niż ostatnio, niemal do gołej skóry. Nie tylko nie włożył dziś najlepszego, odświętnego stroju, ale jest w ubraniu, jakie nosi na co dzień, aczkolwiek bez surduta, który zastąpił sięgającą kostek nóg bonzurką o pikowanych klapach. Jeżeli chodzi o kończyny, to w jednej ręce trzyma szkło powiększające, w drugiej cygaro, a na nogach ma wyjątkowo dziwaczne dwukolorowe buty. Najbardziej rzucającą się w oczy nowością jest jednak jego promienny uśmiech.

W ten sposób zaczyna się wielkie przedstawienie. Uważaj, żebyś się nie poślizgnął na świeżo wypastowanej podłodze!

– Tędy, tędy!

Pan domu oprowadza brata i jego towarzyszkę po całej rezydencji. Atmosfera melancholii, która przepełniała onegdaj rezydencję Rackhamów niczym charakterystyczny zapach, została tymczasem skazana na banicję. Wymieniono wszystkie okna, usunięto stare schodki w ogrodzie, a w salonie wstawiono nowe przeszklone drzwi. Dom pachnie farbą, klejem do tapet oraz świeżym powietrzem. Henry’ego ogarnia wstyd, bo w przedpokoju pracują jeszcze trzej robotnicy – przyklejają kilka ostatnich pasów tapet na ścianie pod krytycznym okiem Agnes, która wstała z łóżka, aby ich przypilnować.

Czy Henry nie zauważył, że płot wokół posiadłości nie jest już brązowy od rdzy, lecz różowy niczym świeża róża? Nie? Ha! Mój brat, jak zwykle, żyje w swoim świecie! A co powiecie na teren wokół domu? Jest różnica, co? Ogrodnik nazywa się Shears – naprawdę! Czy to nie świetne? Shears!¹² Cha! Cha! Jest pracowity jak wół: właśnie kogoś takiego było trzeba, by oddać znów niesforne zarośla wokół szklarni we władanie człowieka.

Ale zmienia się nie tylko dom i jego otoczenie. William Rackham ma jeszcze mnóstwo pomysłów i roboty, w każdym razie dla innych. Dla służących na przykład.

Źle zorganizowana służba jest teraz zorganizowana dobrze. Zdjęto dodatkowe obowiązki z Janey, która dzięki temu z powrotem stała się zwykłą pomywaczką i niewątpliwie nie posiada się z radości, że odpowiada znów wyłącznie za ścierki, miotły i szczotki. Przyjęto do pracy nową podku-chenną, aby przejęła także część obowiązków Letty, która dzięki temu może poświęcić więcej czasu gościom i rodzinie, a wkrótce Rackhamowie zgodzą także nową pokojówkę; William dysponuje więc teraz niemal kompletem służących płci żeńskiej – i nie może już najmować więcej służby, dopóki nie zamieszka w znacznie okazalszym domu (w przyszłości, w przyszłości!). Mógłby zatrudnić wprawdzie kolejnego mężczyznę, nie potrafi się jednak zdecydować, na jakim stanowisku. Ogrodnik jest imponującym, a co więcej, niezbędnym nabytkiem, ale myśl o zatrudnieniu lokaja nieszczególnie przypada Williamowi do gustu. Stangret? Hmm... Owszem,

12 *Shears* (ang.) – sekator (przyp. tłum.).

wstrzymuje się jednak z przyjęciem go do pracy do chwili, gdy zakupi powóz. Chociaż kto wie? Może w końcu wcale go nie kupi. Ostatnio jest zbyt zajęty, by tracić czas na przejażdżki i towarzyskie popisy, choć jeśli Agnes podczas następnego Sezonu zgłosi taką potrzebę, to może nabędzie wtedy powóz dla niej.

Pamiętaj jednak, że nic nie może równać się z prestiżem, jaki przynoszą domowi służący płci męskiej. Służące to nie to samo: byle sklepikarza czy oszczędną damulkę stać na jedną albo dwie dziewczyny. Mimo to ogrodnik stanowi wspaniały początek, czyż nie? Zdaży uratować trawniki przed anarchią!

Tak, William Rackham jest już kimś innym, to jasne. Sprawia wrażenie człowieka, któremu nieustannie brakuje czasu: jest aktywny dwadzieścia cztery godziny na dobę. Interes perfumeryjny to praca dla tyрана, ale ktoś musi ją przecież wykonywać, skoro stary Rackham już odchodzi. (Co? Nie, ojciec jest całkiem zdrowy, to tylko taka przenośnia). Ale rzecz w tym, że to poważna robota, zajmująca siedem dni w tygodniu. (Nie chmurz się, kochany bracie; i znów, ot, tak się tylko wyraziłem. Jak było w kościele? Poszlibyśmy na mszę z prawdziwą przyjemnością, ale musieliśmy pilnować robotników. Co? Że jest niedziela? Tak, tak. Ale brakowało już tylko kilku pasów tapety, a chcieli skończyć pracę, dlatego błagali, żeby mogli przyjść dzisiaj i mieć to już z głowy. Nic dziwnego, to Żydzi).

Chcąc zniechęcić brata do krytyki, William wygłasza panegiryczną przemowę na temat perfum, opowiadając o cudzie tajemniczych procesów rządzących zapachami. Tłumaczy, że zapachy, podobnie jak dźwięki, pobudzają receptory węchowe subtelnie i z dokładnie określoną mocą. Istnieją oktawy woni, podobnie jak dźwięków. Najwyższa nuta to ta, którą wyczuwamy, kiedy najmocniejszy element zapachu wietrzeje na chusteczce; średnia, czyli nuta modyfikująca, zapewnia zapachowi pełny, soczysty charakter; a później, kiedy znikną już najbardziej lotne substancje, pozostaje dźwięczna podstawa, czyli nuta końcowa: a co jest tą końcową nutą, bracie? Lawenda, jeśli łaska!

William odgrywa rolę dobrego gospodarza, a służba wnosi herbatę i ciasto, w samą porę, pięknie podane. Podczas gdy Henry i pani Fox wydają pochwalne pomruki, Rackham obserwuje ich badawczo, porównując się w duchu z gośćmi.

O Emmeline myśli: *Ashwell ma słuszność, jej twarz naprawdę przypomina pysk charta. Ciekawe, czy rzeczywiście jest chora, czy tylko tak wygląda.*

A o swym bracie: *Wygląda na tak zażenowanego, jak gdyby miał krosty na tyłku. Ciekawe, że na to mu przyszło, bo z nas dwóch to on zawsze lepiej się zapowiadał... Lecz oto siedzimy tu razem, w słoneczne popołudnie, i spójrzcie tylko: to mnie przypada w udziale pokazać Henry'emu, jak bierze się życie za kark i zmusza do postuszeństwa.*

– Dziękuję wam obojgu za wizytę – mówi, kiedy przychodzi pora pożegnania.

Pani Fox, odruchowo ubiegając Henry'ego, odpowiada jako pierwsza:

– Nie ma za co, panie Rackham. Energia, z jaką zabrałeś się do poprawy warunków życia w swoim domu, jest, cóż... zdumiewająca. Świat strasznie potrzebuje takiego animuszu, szczególnie na innych polach.

– Miło mi to słyszeć – mówi William.

– Tak, bardzo miło – odpowiada jak echo Agnes, dorzucając te trzy słowa do mniej więcej dwudziestu, będących jej dotychczasowym wkładem do rozmowy. Chociaż w granatach i czerniach wygląda urzekająco, nie odzyskała jeszcze umiejętności komunikowania się ze światem.

– Mam nadzieję – mówi William, przekazując gości pod opiekę Letty – że reszta dnia upłynie wam równie przyjemnie.

Henry, który jeży się, słysząc, że William sugeruje, iż on i pani Fox mogliby zechcieć wykorzystać Boży dzień na samolubne rozrywki, odpowiada:

– Pani Fox i ja na pewno spędzimy ten dzień... najgodniej, jak potrafimy. I po tych słowach Letty odprowadza Henry'ego wraz z panią Fox do drzwi.

W domu Rackhamów zapada cisza – jeżeli można mówić o ciszy, skoro tapeciarze zbierają w przedpokoju swoje narzędzia. William, który zachrypnął nieco po tym przedstawieniu, zapala papierosa. Agnes siada w pobliżu, wpatrując się nieobecny wzrokiem w biskopt, którego i tak

nie zje. Po zażyciu pigułki szczawianu ceru, którą popiła herbatą, już czuje, że jej niedobrze.

Mija co najmniej pięć minut, zanim pyta:

– Zatem dziś jest niedziela?

– Tak, kochanie.

– Myślałam, że sobota.

– Nie, niedziela, kochanie.

Następuje kolejna długa pauza. Agnes ukradkiem drapie się w nadgarstki, odzwyczaiła się bowiem od noszenia na co dzień wąskich rękawów i tkanin innych niż bawełna. Splata palce, aby powstrzymać się od dalszego drapania. Po chwili:

– Czy to naprawdę Żydzi?

– Kto, kochanie?

– Ci robotnicy, którzy u nas pracują.

– Biorąc pod uwagę premię, jaką im płacę, muszą być Żydami – sarka William. – Ale wiesz, że boli mnie, gdy każę mojej nieocenionej żoneczce czekać na cokolwiek, co jej się słusznie należy.

Agnes spuszcza głowę i w zakłopotaniu przebiera swoimi maleńkimi paluszkami. Będzie musiała przyzwyczaić się do nowego męża. A jeśli zamierza wziąć udział w tegorocznym Sezonie, musi się nieco lepiej orientować, jaki jest dzień tygodnia.

Pożegnawszy się z panią Fox i odprowadziwszy ją wzrokiem, Henry wraca do swojego skromnego domu na Gorham Place, leżącego na samej granicy terenów zajmowanych przez garncarzy i hodowców świń. Spotkanie z Williamem wzburzyło go pomimo udzielonej mu przez panią Fox przy pożegnaniu rozsądnej rady, by nie osądzał brata zbyt surowo za wulgarne i bezbożne zachowanie. – To tylko chłopiec, który dostał nową zabawkę – zawyrokowała, niewątpliwie słusznie, ale jednak... Co za wstyd. I co za ulga wrócić do własnego domu, do małego azylu, gdzie nic się nigdy nie zmienia, wszystko jest proste i funkcjonalne, i gdzie nie uświadczy się ani jednego sługi (poza nim samym, czyli sługą Bożym).

Prawdę mówiąc, dom Henry'ego jest nie tyle skromny, ile nędzny. Należy do najmniejszych domostw w okolicy, a jeśli nie liczyć maciupieńkiego ogródka, jego właściciel nie posiada ani kawałka ziemi, i gdyby ktoś stanął na środku sypialni, rozkrzyżowując ramiona niczym Chrystus, dosięgnąłby końcami palców przeciwległych ścian. Dom jest ponadto kiepsko uszczelniony, toteż nawiedzają go przeciągi, a nocami przez okna często wciska się do wnętrza woń gotowanej słoniny, która Henry'emu nigdy jednak nie przeszkadza. Mnóstwo ludzi musi sobie jakoś radzić w znacznie gorszych warunkach.

Poza tym Henry odnosi się podejrzliwie do przesadnych wygód – gdyż odciągają człowieka od myślenia. Przykłęka przy kominku, przygotowuje podpałkę, rozpala ogień i pojedynczo wsuwa bryłki węgla w płomienie. W ten sposób przypomina sobie, co czerpie z Bożej ziemi, i myśli o tym, że każda gałązka i każdy kawałek węgla to przywilej – który daje mu przewagę nad nieszczęśnikami, drżącymi przez całe życie w wiecznej, podziemnej wilgoci. By pomóc opornym płomieniom wzbić się w górę, Henry dorzuca do ognia kilka stronik ze starych numerów „Illustrated London News”, mnąc ryciny, które przedstawiają katastrofy kolejowe, popularnych łyżwiarzy figurowych i odwiedzających Anglię czarnoskórych bogaczy. Zgniata w dłoni artykuł wychwalający pod niebiosa cud elektryczności – czytał go i nie zrobił na nim większego wrażenia. „Profesor Gallup zadziwił publiczność opowieściami o przyszłości, kiedy odróżnienie dnia od nocy stanie się kłopotliwe, a każda wykonywana przez człowieka czynność będzie zależna od urządzeń elektrycznych”. Przecież to wizja piekła.

Kiedy tylko ogień zaczyna grać, leniwym krokiem nie wiadomo skąd przybywa do pokoju kotka Henry'ego. Nazywa się po prostu Puss, co ma pedantycznemu właścicielowi nie pozwolić traktować jej jak człowieka, choć może raczej nadał jej to imię, aby złagodzić nieuchronny ból, gdy ją kiedyś utraci. Zwierzak kładzie się na poczeriałym od popiołu dywanie i pozwala swemu panu gładzić się po futerku.

Po chwili zaczyna się typowe niedzielne popołudnie Henry'ego. Puss śpi w saloniku, on siedzi zaś w gabinecie obok i oddaje się lekturze Biblii. Niestety, ściany dzielące jego *sanctum sanctorum*

od świata zewnętrznego są cienkie, toteż Henry'emu nie jest łatwo znaleźć prawdziwą ciszę w pokoju. Życie toczy się dalej i śmiało daje mu o tym znać.

Na każdy odgłos, zdradzający, że ktoś z sąsiadów spędza niedzielę inaczej niż po bożemu, Henry marszczy brwi z dezaprobatą. On sam w dniu Pańskim nie robi nic poza tym, że dwa razy idzie do kościoła, odwiedza brata, rozmawia z panią Fox (jeśli nadarza się po temu okazja) i oddaje się lekturze pobożnej literatury. Posłuchaj tylko jednak, co dzieje się za oknem! Czy nie słysząc, jak ktoś ładuje na wóz coś wielkiego, wykrzykując przy tym różne polecenia? I czy nie słysząc podekscytowanego psa, którego do szczekania zachęcają gwizdy właściciela? I słuchaj dalej! Czy to nie jakieś dziecko wrzeszczy „hop-la”? Czyżby cały świat opanował motłoch, złożony z niedzielnych robotników i hulaków, których jego brat, William, prowadzi w tańcu w mgłę egoistycznej przyjemności?

Dla Henry'ego świętowanie niedzieli jest czymś znacznie głębszym niż obowiązek. Podobnie jak wiele innych Bożych praw, taki nakaz wydaje się surowy i arbitralny, choć jest w rzeczywistości sprawiedliwy i mądry niczym wychowanie odebrane od matki. (Wprawdzie Henry niezbyt dobrze pamięta matczyną miłość, albowiem matka zniknęła z jego dzieciństwa jak śniegowy bałwan w deszczową noc, czytał jednak rozmaite świadectwa osób, które takiej miłości doświadczyły). Szaleńcze tempo współczesnego życia nie pozwala nawet na chwilę wytchnienia – jedynie kiedy podporządkowujemy się czwartemu przykazaniu, zyskujemy błogosławioną ciszę i spokój. I nie mówmy przy tym, że Henry jest jak uczony w laboratorium, który ani myśli o spacerze z psem albo grze w piłkę; jest bowiem człowiekiem, który w odpowiedzi na rzucone wyzwanie przepłynął kiedyś w grudniu, kompletnie ubrany, rzekę Cam, który wiosłował jak szatan, który fechtował wściekle i biegał na przełaj, jak gdyby napędzała go maszyna parowa. Co jednak zyskał dzięki tym wysiłkom? Nazwisko, które uwieczniono na posrebrzanych trofeach, kilka par zdartych butów i podziw kompanów, o których raczej wolałby zapomnieć. Mocny uścisk dłoni Bodleya, gratulującego mu pięknego popołudniowego występu w meczu krykieta. („Ten Rackham to sportowiec najwyższego lotu! Nudzi przeraźliwie, kiedy gędzi o występach tego świata, ale jeśli uda się go skłonić, żeby zmienił temat, okazuje się jednym z najporządniejszych facetów pod słońcem!”) Henry ma nadzieję, że Bóg wybaczy mu, iż kiedy Anglia ginęła, on grywał w głupie gry i przyjaźnił się z bluźniercami. Teraz czyta Biblię, mamrocząc pod nosem, aż wreszcie połączenie mocy jego głosu oraz głosu Boga tłumi hałasy, jakie czynią ludzie, nieświęcący dnia świętego.

W tygodniu Henry wciąż nie może sobie znaleźć miejsca. Rąbie drwa na mniejsze szczapy, których nie potrzebuje; wędruje na ulicę w Bayswater, na której mieszka pani Fox, w nadziei, że może jego przyjaciółka wyjdzie z domu, gdy będzie przechodził obok, po czym udaje się do Hyde Parku i dalej; spacer bez celu aż do Kensal Garden Cemetery to dla niego bułka z masłem. Ale w niedzielę odpoczywa, czyta Biblię i życzy sobie, by wszyscy ludzie postępowali tego dnia tak samo.

Pozostawmy teraz Henry'ego, pochylonego nad Księgą Nehemiasza, i przyłączmy się do Williama Rackhama w jego ulu pracowitości. Właśnie przechadza się po swoim mocno przeredzonym ogrodzie i pali fajkę – och, nie, to przecież nie William, prawda? To jakiś inny mężczyzna, średniego wzrostu i z krótkimi włosami: jest nim Shears, ogrodnik. Gdzie zatem jest William? Robotnicy opuścili już dom, a pani Rackham udała się na górę na spoczynek. A gdzie podziewa się pan domu? Gdybyś zapytał Letty, powiedziałaaby ci, że pojechał do miasta.

Niedziele w sercu Londynu bywają całkiem przyjemne – a w każdym razie weselsze niż w Notting Hill. Williama zastajemy na spacerze w Embankment Gardens, gdzie obserwuje bawiących się bezbożników. Wbrew prawu pływają oni łódkami po Tamizie, łowią ryby, grają w piłkę i wypuszczają gołębie z klatek. William idzie między nimi prosto, jak strzelec, i nie uczestniczy w tych uciechach, które bawią go niejako *en passant*. Nikt w żadnym wypadku nie mógłby wziąć Rackhama za jednego z tych biednych wyrobników, którzy wypełniają swój jedyny wolny dzień tygodnia męczącymi przyjemnościami – odróżnia go od nich lepszej jakości strój i zdecydowany krok.

Świat jest doprawdy przyjemnym cyrkiem!, myśli William, przyglądając się figlom miłośników gołębi, a nieopodal weekendowym fircykom, usiłującym zepchnąć łodzie z rozchichotanymi

wybrankami swych serc na ciemne wody Tamizy. Po bardzo długim czasie odkrywa na nowo zwykłą przyjemność bycia raczej widzem niż (jak to nazwać?)... interwidzem (znakomicie brzmi, tak, musi gdzieś użyć tego określenia).

Dosyć już tej zadumy! Patrz raczej na świat, przed siebie! Oto doskonałe dewizy dla każdego, a zwłaszcza dla człowieka, którego bank zmienił ton upomnień na nutę *rapprochement*. Patrząc, jak znikają jego długi, a mnożą się aktywa, zero za zerem i akr za akrem, William przestał myśleć o sobie. A raczej, ściślej mówiąc, przestał poszukiwać siebie w swoim wnętrzu – przygląda się natomiast Williamowi Rackhamowi, szefowi firmy Rackham Perfumeries, który robi to i tamto, sprawia to i owo oraz odnosi sukcesy.

Ścieżką nieopodal przejeżdża mężczyzna na welocypedzie. Pot na czole cyklisty błyszczą w słońcu, a oczy wychodzą mu z orbit, tak uważnie śledzi ciągnącą się przed nim ścieżkę. Mocno naciągnął czapkę na czoło, by nie sfrunęła mu z głowy, a pod jej daszkiem trzepocą błazeńskie kędziory rozwiewanych wiatrem włosów. Nieszczęśnik, błędzi! Powinien obciąć włosy krótko, wzorem dyrektora Rackham Perfumeries. Upodobanie do długich włosów to słabość z minionej epoki: człowiek przyszłości nosi się tak jak William.

Nie zatrzymując się, Rackham gładzi swoje bokobrody – łączą się ładnie z wąsami i brodą, którą niedawno zapuścił, a która w przeciwieństwie do jego czupryny nie jest blond, ale intensywnego, ciemnobrunatnego koloru. To nie próżność każe mu z przyjemnością wyglądać widoku swojego odbicia w lustrze; po prostu podoba mu się soczystość brązu, w bardziej abstrakcyjnym, estetycznym sensie – i nie dotyczy to tylko włosów, równie dobrze może to być tytoń, kora drzewa czy świeża warstwa farby.

Na ścieżkę wpada piłka, którą William bez wahania posyła szybkim kopnięciem z powrotem w stronę graczy; ostatecznie stać go teraz na to, aby pucować buty choćby i tysiąc razy dziennie.

Cieszy się także, iż przekupieni paroma szylingami i darmowym piwem policjanci pozwolili kilku piwiarniom złamać prawo, okazuje się bowiem, że spacer obudził w nim pragnienie. Być może powinien był pojechać dorożką do rozlewni perfum, zamiast wędrować piechotą naokoło przez park, nastąpiła jednak tak wspaniała pogoda, że żał mu było stracić ten piękny dzień. Poza tym jest jeszcze kwestia trawienia: za dużo zjadł na lunch, więc przechadzka dla zdrowia przyspieszy przemianę materii.

Jeżeli jest coś, czego nie życzy sobie dzisiejszego popołudnia, to leżeć w ramionach Sugar na łóżku, pod którym będzie stał śmierdzący nocnik, pełen jego odchodów. (Czy mógłby kazać zainstalować w jej pokoju water-klozet? Ach, w przyszłości, w przyszłości).

Ostatnie pół mili drogi do rozlewni to o pół mili za dużo, William przywołuje więc dorożkę. Nie ma sensu tracić wszystkich sił, a poza tym rozlewnia znajduje się w niezbyt atrakcyjnej okolicy. Otaczają ją brudne szopy na wynajem, w których straganiarze zamykają swoje ręczne wózki, a wzdłuż całej ulicy walają się obrzydliwe warzywa i owoce, za bardzo już zepsute, by ktoś zechciał je zbierać.

Jednakże pośród tej ohydy kryje się przystań rozlewni, mały zameczek zmyślnej przedsiębiorczości, chroniony przez nieduży pancierz z poczerńiałej czerwonej cegły. Kiedy Rackham senior zabrał niedawno Rackhama juniora na wycieczkę po wszystkich trzech rodzinnych fabrykach, najbardziej zainteresowała Williama właśnie ta rozlewnia, której fasada, o dziwo, kryła magiczne wnętrza: miniaturowy Crystal Pałace z blachy i szkła, w dodatku znajdujący się w ciągłym ruchu niczym karuzela. Miał on jakiś nadludzki powab, który – ku zdziwieniu Williama – wcale nie naruszał najwyższych zasad estetyki. Od czasu tej pierwszej wizyty w rozlewni William zastanawia się, jak ona wygląda, gdy nie ma w niej robotników, a maszyny śpią.

Przystając w końcu przed masywną, żelazną bramą fabryki, William odczuwa dreszcz wzruszenia, wsuwając klucz do zamka. Jeszcze kilka kroków – i kolejnym kluczem otwiera wielkie, podwójne drzwi.

Fabryka jest przestronna, ciemna i cicha jak kościół. Oglądając ją bez ojca, bez niepozwalających mu się skupić robotników i bez kłębow pary, po raz pierwszy pojmując, jak ogromne przedsiębiorstwo odziedzyczył. Kroczy z szacunkiem przez halę wielkości placu

miejskiego o wysypanej trocinami posadzce, spoglądając w górę na ogromne rampy, pochylnie, prowadnice, rury niczym kolumny, biegnące od paleniska po sam dach, ciemne kratownice i błyszczące stoły – słowem, na wszystkie gigantyczne rzeźby na cześć perfum. Ile piękna kryje się w rozmieszczonych w regularnych odstępach deseniach nitów, precyzyjnej geometrii pylonu i poprzeczki albo w tysiącach stojących w gotowości maleńkich, szklanych flakoników. W dzieciństwie miałby tu wspaniały plac zabaw! Ojciec zawsze przyprowadzał tu jednak małego Henry'ego, nigdy zaś Williama. A co mały Henry myślał o tym pałacu, o leżącej u jego stóp koronie imperium? William nie przypomina sobie, by jego brat kiedykolwiek wspominał o wizycie w rozlewni. Niewątpliwie Henry'ego już wtedy kusiły świątynie zupełnie innego rodzaju.

– Ach, pokładałem w tym chłopcu wielkie nadzieje – wyznał ojciec, oprowadzając Williama po fabryce. – Miał dużo rozumu i krzepy, myślałem więc, że rozwinie się... no, w każdym razie, że zostanie kimś ważniejszym niż pastor.

Sądziłeś, że wydestylujesz z pobożnego ducha Henry'ego jakąś bardziej użyteczną esencję, co? – chciał zapytać William, powstrzymał się jednak, wiedząc, że jego ojciec jest całkowicie nieczuły na metafory. Dlatego uciekł się do delikatnej dyplomacji.

– Mniejsza o to, ojczu. Każdy dojrzewa inaczej, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, prawda? Niech żyje przyszłość! – Następnie otoczył ojca ramieniem, a był to między nimi gest intymności tak śmiały i niespotykany, że ojciec i syn właściwie nie wiedzieli, jak się zachować w takiej sytuacji. Na szczęście starca nie opuszczało wciąż świeże poczucie winy, że skazał syna na spędzenie świąt Bożego Narodzenia w ubóstwie, choć naturalnie powinien był go wspomóc, w odpowiedzi poklepał więc nawet Williama po ramieniu.

Pozbawiony w tej chwili towarzystwa ojca, William wychodzi na podwórzec na tyłach fabryki i przygląda się hałdom węgla oraz ciężkim wozom, na których spoczywają poplątane sterty lejców i uzd. Rackham wyciąga rękę i dotyka czekających na załadunek stosów skrzyń, jak gdyby dotykał pomnika w parku publicznym. Jaka szkoda, że w niedzielę wszystko musi tu stać beczynnienie! Och, nie chodzi o to, że wątpi, iż robotnicy potrzebują nieco odpoczynku i religii, jeden dzień w tygodniu, ale mimo wszystko szkoda. W tej chwili rodzi się w jego umyśle pomysł opowiadania pod tytułem *Bezbożne automaty*, w którym pewien wynalazca konstruuje mechanicznych ludzi, pracujących w niedziele w fabryce perfum. Na końcu do fabryki wjeżdżają mechaniczni pastory i namawiają mechanicznych robotników, by przestrzegali święta. Ha!

Płoszy go głośny łomot za plecami. Odwraca się natychmiast, ale dostrzega tylko (gdy kieruje wzrok na ziemię) małego pieska, który wyłania się zza chwiejnej, nieforemnej sterty drewna opałowego. Kundel do złudzenia przypomina psa, który kręci się pod domem Rackhamów, z tą różnicą, że jest suką.

Zwierzę nic go nie obchodzi, William boi się jednak, że może narobić jakichś szkód w fabryce, dlatego podnosi jeden z wielu leżących na posadzce osmalonych pogrzebaczy i wymachuje nim groźnie, a wtedy pies czmycha w obłoku kurzu i trocin. Zadowolony z takiego obrotu sprawy, William krzywi się jednak zmartwiony, gdy zdaje sobie sprawę, że ponieważ osobiście pozamykał starannie wszystkie drzwi i bramy, odciął psiemu intruzowi drogę ucieczki.

Spogląda na zegarek, konstatuje, że jest głodny, i wraca pod główną bramę. Właściwie ma nadzieję, że suka będzie tam czekać, pokornie pogodziwszy się z wygnaniem, nigdzie jej jednak nie widać i William, chcąc nie chcąc, zamyka zwierzę w fabryce, szczękając kluczem w zamku.

W sypialni na piętrze domu pani Castaway Sugar pracuje nad swoją powieścią, a w przyległym pokoju Amy Howlett wsuwa rączkę chińskiego wachlarza w odbyty dyrektora szkoły, który przychodzi tu w tym celu co niedziela. Na dole Christopher gra w remika z Katy Lester na miękkiej stercie wyprasowanej bielizny pościelowej. Pani Castaway drzemie przy biurku, a lepki, błyszczący klej w albumie wysycha powoli, zamieniając się w matowe szkliwo. Hałas dobiegający z Silver Street jest tak przytłumiony, że Sugar słyszy gorączkową paplaninę dyrektora szkoły. Wyteża słuch, żeby zrozumieć, co mówi, lecz znaczenie jego słów ginie, gdy głos przenika przez ścianę.

Sugar opiera podbródek na kłykciach palców dłoni, w której trzyma pióro. Na stronie pomiędzy jej spowitymi w jedwab łokciami lśni niedokończone zdanie. Bohaterka powieści poderżnęła

właśnie gardło pewnemu mężczyźnie, a problem polega na tym, w jaki sposób powinna uchodzić z niego krew. „Uchodzić” wydaje się jej zbyt łagodnym określeniem; czasownik „lać się” przywodzi na myśl nieostrożność; bezkolicznik „chlustać” jest wykluczony, bo użyła go już w innym miejscu, kilka linijek wcześniej. Czasownik „wylewać” sugerowałby, że mężczyzna panuje częściowo nad sytuacją, nad którą absolutnie żadnej kontroli nie ma, a „wyciekać” brzmi za słabo w kontekście okrutnej rany, jaką zadała ofierze bohaterka. Sugar zamyka oczy i w niesamowitym teatrze swoich myśli ogląda, jak z rozciętego gardła mężczyzny wydobywa się krew. Kiedy rozbrzmiewa ostrzegawczy dzwonek pani Castaway, zaskoczona dziewczyna wzdyga się.

Pospiesznie omiata wzrokiem sypialnię. Panuje w niej ład i porządek. Papiery są schowane, wyjąwszy tę jedną, leżącą na biurku kartkę.

Krew rzyga, pisze dziewczyna, gdy opieszła Opatrzność podsuwa jej wreszcie poszukiwane słowo. Pióro tymczasem wyszło, początkowo więc niewidoczny tekst przechodzi w gęsty kleks, ale Sugar poprawi czytelność tego, co napisała, później. Na razie kartka wędruje do szafy! Czasu starczy tylko na szybkie siusiu, pod warunkiem że natychmiast wyleje mocz przez okno; Sugar zauważyła, iż jej pan Hunt jest wyczulony na nieprzyjemne zapachy.

Kilka, nie, wiele godzin później William Rackham budzi się z głębokiego snu w ciepłym, pachnącym łóżu. Jest rozleniwiony i zadowolony, choć nie do końca świadom, gdzie się znajduje i jaka aktualnie jest pora. Nad jego głową świeci lampa gazowa, osłonięta zwiewną tkaniną, za oknem natomiast widać jedynie ciemność. Szelest papieru uświadamia mu, że nie jest sam.

– Ki diabeł? – mamrocze.

W łóżku leży ktoś u jego boku. Unosi głowę i widzi wspartą na poduszkach Sugar, pogrążoną w lekturze „London Journal”. Dziewczyna ma na sobie szmizjerkę, a palce poplamione atramentem, poza tym jednak wygląda zupełnie tak samo, jak kiedy ją widział ostatnio.

– Która godzina?

Sugar wychyla się z łóżka, odsłaniając pupę. Łuszczące się desenie ichtiozy promieniają na skórze obu jej pośladków niczym blizny po tysiącach razów, są jednak idealnie symetryczne, jak gdyby była obiektem jakiegoś obłąkanego estety.

Dziewczyna odwraca się i podaje mu kamizelkę; ze zwisającej kieszonki dynda łańcuszek zegarka.

– Boże wszechmogący – mówi William, zerkając na swój chronometr. – Jest już dziesiąta. Wieczór!

Sugar wydyma wargi, gładząc go po policzku poplamioną atramentem ręką o łuszczącą się skórę.

Zaskoczony Rackham mruga powiekami i przeczesuje włosy, przestraszony (nim przypomina sobie, jak krótko kazał się ostrzyć), że pozostało mu ich na głowie tak mało.

– Muszę... muszę już wracać do domu – mówi.

Sugar unosi długą, obnażoną nogę i opiera ją na kolanie drugiej, odsłaniając przed Williamem pochwę.

– Mam nadzieję – uśmiecha się – że to jest twój drugi dom.

W domu Rackhamów kilkanaście zegarów wybija jednocześnie jedenastą. Wszyscy leżą w łóżkach, wyjąwszy tu i ówdzie jakąś służącą, nadal mozolnie usuwając kurz, ostatnie strużyny i w ogóle wszelkie ślady po pracy robotników. Była to hałaśliwa niedziela, nareszcie jednak wokół króluje cisza.

Agnieszka Rackham siada na łóżku w ciemności, jeśli nie liczyć kwadratowej jak okno plamy światła księżycy, udrapowanego na jej kolanach niczym lśniący koc, i zastanawia się, czy Bóg się gniewa. Jeżeli tak, to ma nadzieję, że na Williama, nie na nią. Gdyby wiedziała wcześniej, że jest niedziela, jeszcze bardziej starałaby się, aby nie robić nic albo prawie nic.

Łosoś, którego zjadła na kolację, ciąży jej na żołądku. Był właściwie przeznaczony dla Williama, ale Rackham nie wrócił na kolację, więc Letty zamierzała zabrać lśniące stworzonko z powrotem do kuchni, gdzie kucharka utarłaby je na pulpę i przyrządziła z niej jakąś inną potrawę na

śniadanie – na przykład pasztet albo coś w tym rodzaju. Szkoda było jednak zmarnować taką cudowną rybę, zjadła ją więc Agnes. Choć łosoś był raczej niewielki, okazał się dla niej za duży, nie mogła się jednak powstrzymać, by nie zjeść go w całości. Chciała zobaczyć, jak wygląda na talerzu obrany z mięsa kręgosłup, a teraz leży w łóżku z bólem brzucha. Obżarstwo. I to w niedzielę.

Gdzie jest William? W pierwszych dniach po ślubie prawie nie wychodził z domu. Potem zaczął wychodzić i wracał pijany. Ostatnio znów znika, wraca jednak trzeźwy. Ale dokąd on chodzi? Co można robić w mieście w taki ziąb, po zamknięciu sklepów? Sezon jeszcze przecież nawet się nie zaczął...

Istnieje zapewne jakaś skomplikowana, podtrzymująca pracę angielskiej cywilizacji maszyna, którą muszą zajmować się mężczyźni. Nic się nie dzieje samo przez się; nawet zwykły zegar z wahadłem staje, jeśli go nie nakręcać. Agnes podejrzewa, że społeczeństwo jako takie także przestałoby funkcjonować, gdyby mężczyźni nieustannie nie oliwili jego mechanizmów, nie nakręcali go i nie majstrowali przy nim.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Wraca William! Agnes wyobraża sobie, jak Letty biegnie z lampą w rękę, schodzi po świeżo wypastowanych stopniach i idzie przez wyłożony nowym dywanem hol otworzyć drzwi swemu panu. Jest tak cicho, że dobiega ją głos męża w holu: nie rozróżnia poszczególnych słów, ale słyszy ich ton i nastrój. Głos Williama brzmi wesoło i władczo, a on sam jest trzeźwy jak duchowny. Stoi z Letty na schodach i komenderuje: „Wracaj natychmiast do łóżka, niebogo!”. Najwyraźniej nie ma ochoty na kolację; szczęśliwie się więc składa, jako że jego łakoma żona zjadła przecież całego łososa.

Agnes nie rozumie zmiany, jaka zaszła w Williamie. Zaledwie kilka miesięcy temu jego późny powrót oznaczałby zapewne, że będzie się zataczać i kłać na schodach. A te napady wściekłości, jakich dostawał, kiedy wspominała o pieniądzach albo jego ojcu? Zniknęły bez śladu, jak gdyby były tylko koszmarnym snem. Rackham senior i Rackham junior nagle zaczęli się świetnie rozumieć, ona zaś, Agnes, znowu jest bogata i nie pragnie niczego poza zdrowiem.

Słyszy jego kroki – wyczuwa je niemal – gdy mąż przechodzi pod drzwiami jej sypialni. Nie ma w tym nic niezwykłego: nie śpią ze sobą od lat. Co więcej, na myśl, że William mógłby złamać dzisiaj niepisaną umowę i wejść do jej pokoju, panią Rackham ogarnia na chwilę przeszywający lęk, który dobrze zna. A jednak musi przyznać, że ostatnimi czasy mąż jest dla niej dobry – prawie tak czarujący jak przed laty. Radzi się jej we wszystkim, niemal nigdy nie rani okrutnym słowem, a nie dalej jak wczoraj oświadczył, że nie musi sama sobie szyć, jeżeli maszyna do szycia znudziła się jej; niech każe szyć sobie suknie na zamówienie, jak dawniej.

Ona wie jednak, że dla zdrowia powinna dalej szyć, dba bowiem w ten sposób o dyscyplinę umysłową i ćwiczy zręczność palców, a szycie jest mniej męczące niż tkanie gobelinów. Skoro już mowa o tkaniu gobelinów: jeżeli mają ostatnio więcej pieniędzy, czy nie mogłaby nająć kogoś do pomocy przy pracy nad haftowaną kopią obrazu *Monarch of the Glen* Landseera?¹³ Po ukończeniu gobelin wyglądałby wprost nadzwyczajnie, ale ta robota od tak dawna jej ciąży, że nie potrafi nawet o niej myśleć, nie wspominając najgorszych miesięcy choroby. Jeleń w większej części jest już ukończony, podobnie jak co bardziej interesujące elementy pejzażu; lecz na samą myśl o całym tym niebie i górach Agnes traci serce do pracy. Czy ktoś nie mógłby dokończyć tego za nią? Na przykład jedna z tych szwaczek, które ogłaszają się w kobiecych pismach (*ELSPETH, kończy tkanie gobelinów, etc, ceny niewygórowane. Adres w redakcji*). Tak, jutro poruszy ten temat w rozmowie z Williamem.

Pieką ją oczy po nieprzespanej nocy, kiedy przygląda się plamie okna na kołdrze. Cienie okiennych ram, dzielących prostokąt światła na cztery kwadraty, niespodziewanie przypominają jej chrześcijański krzyż. Czyżby to znak? Czy Bóg gniewa się na nią, że wydawała polecenia tym robotnikom, tapeciarzom? Ale ona tylko mówiła: sama nie kiwnęła nawet palcem! A gdyby milczała, robotnicy umieściliby ozdobną tapetę na ścianie na absolutnie niewłaściwej wysokości! Poza tym wtedy nie wiedziała jeszcze, że jest niedziela!

13 Sir Edwin Landseer (1803 – 1873) – angielski malarz, rzeźbiarz i rytownik; *Monarch of the Glen* należy do jego najśłynniejszych obrazów (przyp. tłum.).

Przestraszona, wstaje i zaszuwa zasłony, kryjąc krzyż za nimi i pograżając pokój w głębokim mroku. Wskakuje z powrotem pod kołdrę, okrywa się po szyję i próbuje udawać, że znów jest w swoim starym domu, w czasach bezgrzesznego dzieciństwa. Z braku namacalnych dowodów, które wskazywałyby, że jest inaczej, powinno być jej łatwo sobie wyobrazić, iż nic się nie zmieniło przez te wszystkie lata, odkąd sypiała słodko w domu rodzinnym.

Lecz nawet w zupełnych ciemnościach rzeczywistość zakłóca jej wspomnienie tamtego domu. Choć stara się, jak może, nie potrafi przenieść się w dzieciństwo, jakie powinno być jej udziałem; nie umie wyrugować z tych wspomnień lorda Unwina ani zastąpić go swoim prawdziwym ojcem. Za każdym razem, kiedy stara się zobaczyć jego twarz, znajoma fotografia nie chce ożyć, a zamiast ojca majaczy nad nią ojczym, który uśmiecha się drwiąco w ponurej ciszy.

Tłumiąc jęk strachu, Agnes chwyta poduszkę, na której sypiał William, i przyciska ją do piersi. Tuli poduszkę mocno, kryjąc twarz w delikatnie perfumowanym lnem.

W domu pogasły tymczasem wszystkie światła z wyjątkiem lampy w gabinecie Rackhama. Wyjąwszy Williama, wszyscy domownicy leżą już w łóżkach, jak lalki w swoim domku. Gdyby willa Rackhama była zabawką i mógłbyś podnieść dach, aby zajrzeć do wnętrza, zobaczyłbyś, jak William siedzi w samej koszuli za biurkiem i pracuje nad korespondencją, w której – słowo honoru! – nie ma zupełnie nic, co mogłoby cię zainteresować. W innym pokoju, po drugiej stronie korytarza, ujrzałbyś skulone w nieco za małym łóżeczku dziecięce ciało: jest to Sophie Rackham, o której na razie nie warto nawet wspominać. W następnym pokoju natomiast dostrzegłbyś Agnes, okrytą szczelnie białą kołdrą, spod której widać tylko jej jasne włosy niczym na wpół zanurzony w kremie kawałek ciastka. A pod odwróconym do góry nogami dachem, który trzymałbyś w ręku, zobaczyłbyś odwrócone do góry nogami służące i ich skromny dobytek w klinkach na poddaszu.

William pracuje jeszcze przez pewien czas, zanim zamyka księgę rachunkową i rozprostowuje swoje krótkie kończyny. Jest rad: oto przetrwał kolejną nużącą niedzielę w myśl zasady: jak najwięcej wypoczynku, jak najmniej religii. Zrzuca ubranie, wkłada koszulę nocną, gasi światło i wsuwa się do łóżka, a kilka minut później zaczyna cicho chrapać.

Także Agnes już odpływa w sen. Jej drobna, zwrócona ku niebu dłoń zsuwa się z poduszki na skraj łóżka. Potem ręka śpiącego Williama ześlizguje się na skraj jego łóżka, jak gdyby chciał wyciągnąć ją do Agnes. Chwilę później ich dłonie znajdują się dokładnie na tej samej wysokości, i gdyby Rackhamowie rzeczywiście mieszkali w domku dla lalek, mogliśmy podnieść nie tylko dach, ale i niektóre ścianki działowe, a potem połączyć sypialnie i palce małżonków, jakbyśmy zapinali spinkę naszyjnika.

Później jednak William Rackham, któremu już coś się śni, przewraca się na drugi bok.

Sypialnię Agnes Rackham, gdzie nigdy nie otwiera się okien i w której zawsze są zamknięte drzwi, wypełnia co noc jej oddech. Najpierw wydechy osuwają się z poduszki na podłogę, a potem oddech po oddechu wznoszą się w górę i układają jeden na drugim jak niewidzialne piórka, aż wreszcie sięgają sufitu i gęstnieją z godziny na godzinę.

Nadszedł już ranek i trudno uwierzyć, że znajdujesz się w sypialni, bo ten pokój przypomina raczej najmniejszą fabrykę świata, która przez całą noc pracuje wyłącznie po to, żeby zamieniać tlen w dwutlenek węgla. Instynktownie zwracasz się ku zasłonom; są zaciągnięte i nieruchome jak rzeźby. Cienki niczym rozeń pręt słońca przebija półmrok przez szczelinę w aksamicie, pada na dziennik Agnes, otwarty na stronie, którą wczoraj czytała, i oświetla pojedynczą linijkę jej pisma.

Naprawdę powinnam częściej wychodzić z domu, upomina autorka samą siebie literkami koloru indygo, tak maleńkimi, że można je odczytać jedynie mrużąc oczy.

Patrzysz na łóżko, gdzie – jak sądzisz – spoczywa wciąż otulona kołdrą Agnes. Ale łóżko jest puste.

Agnes Rackham ma teraz nowy zwyczaj. Każdego ranka, jeśli tylko dobrze się czuje, spaceruje samotnie po ulicy przed domem. Wyzdrowieje, choćby miała paść trupem.

Zbliża się Sezon i pozostało strasznie mało czasu, aby odzyskać pewne niezbędne na ten czas umiejętności – na przykład zdolność pokonywania pieszo i bez pomocy odległości dłuższych niż te, które przebywa w domu. Przynależność do wyższych sfer nikomu nie przychodzi naturalnie – wymaga ćwiczeń, czyli odpowiedniego przygotowania. A sześć okrążeń sali balowej może się ostatecznie rozciągnąć nawet do mili.

Tak więc Agnes chodzi na spacer. I – co dziwne – doktor Curlew ocenia jej decyzję pozytywnie, uważa bowiem, że brak jej czerwonych ciałek. A zatem nie napotyka sprzeciwu, gdy kilka razy w tygodniu Clara odprowadza ją rano do bramy frontowej, skąd z parasolem w rękę Agnes już sama wychodzi chwiejnie na chodnik, niespokojnie nasłuchując stukotu kopyt na wymarłej, brukowanej ulicy.

Prawie zawsze wita ją tam kundel, który koczuje przed bramą posiadłości Rackhamów, Agnes jednak nie boi się. Nigdy nie napędził jej strachu i ani razu na nią nie szczeknął. Za każdym razem, gdy pani Rackham mija go, powłócząc nogami, przygotowana na wściekłe podmuchy wiatru, które szarpią jej spódnice i wyrywają parasol, pies, machając ogonem albo ziewając, łaskawie zapewnia ją, że jest do niej przyjaźnie nastawiony. Przypomina jej niedzielną pieczeń nadnaturalnej wielkości – jest pulchnym, porośniętym ciemnobrunatną sierścią psiakiem i nikt, kogo Agnes zna, nie ma równie łagodnych oczu jak on. Co prawda, pewnego razu o mało nie wdepnęła w jego odchody; wtedy poczuła do niego obrzydzenie, ale nie okazała mu pogardy, obawiając się, by nie urazić zwierzaka – albo by nie wzbudzić w nim agresji. Innym razem spostrzegła, jak wylizuje pewną część swego ciała, czerwoną niczym obdarty ze skóry palec, nie rozpoznała jednak tego organu, biorąc go za jakąś charakterystyczną dla psów narośl, coś w rodzaju płetwy albo rogu zaatakowanego przez bolesne zapalenie, i ominęła kundla majestatycznie z niezręcznym uśmiechem litości na twarzy.

Jeśli chodzi o istoty rodzaju ludzkiego, Agnes spotyka ich tu bardzo niewiele. Notting Hill, choć ani trochę nie jest już dzielnicą tak spokojną jak kiedyś, nie stało się jeszcze częścią metropolii. Gdy człowiek wybiera starannie trasę spaceru, może się skupić na kolejnym kroku, nie kłopotząc się dodatkowym wyzwaniem, jakim jest spotkanie z innymi przechodniami. Najbardziej ruchliwa okazuje się Kensington Park Road, ponieważ po tej wielkiej arterii komunikacyjnej kursuje omnibus, stąd Agnes w miarę możliwości stara się jej unikać.

Każdego ranka wędruje nieco dalej. Każdego dnia nabiera sił. Skończyła pięć nowych sukien i pracuje nad szóstą. Ogród, dzięki Shearsowi, wypiękniał wspaniale. A William przez cały czas jest

w znakomitym humorze, choć (czego Agnes nie może nie zauważyć) postarzał się nagle niedawno, albowiem zapuścił brodę oraz wąsy.

Nie jedli razem śniadania od czasu, kiedy zasłała, ale zapoczątkowali nowy zwyczaj i spotykają się teraz podczas lunchu. Agnes uważa, że tak jest pod każdym względem o wiele bezpieczniej. Poranny spacer wzbudza w niej dobry apetyt, nie ryzykuje zatem, że skompromituje się, nie mogąc przełknąć nadgryzionego kęsa, kiedy pochłaniający łapczywie swoje danie William zapyta, czy jego małżonka dobrze się czuje.

Dzisiaj oboje jedzą z wielkim apetytem, a kucharka przeszła po prostu samą siebie. Przyrządziła nadzwyczaj smaczną galantynę z polędwiczki wieprzowej, szynki, gotowanego ozora, grzybów i kiełbasy. Danie wygląda wyjątkowo elegancko i jest tak pyszne, że dwukrotnie przywołują do stołu Letty, by dokroiła im kilka kawałków.

– Ciekawe, co to takiego – mruczy William, wyłuskując coś z auszpiku. – Kawałeczek orzeszka pistacjowego, kochanie – informuje go Agnes, dumna, że wie coś, czego nie wie jej mąż.

– Ciekawe – mówi William i Agnes zdumiewa się, albowiem jej mąż podnosi lśniący okruszek do nosa i obwąchuje go uważnie. Ostatnio wącha wszystko: nowe rośliny w ogrodzie, klej do tapet, farbę, serwetki, papier, własne palce, a nawet zwyczajną wodę. – Nos staje się chyba moim najbardziej wrażliwym organem zmysłowym, kochanie – powtarza, zanim pograży się w wyjaśnieniach dotyczących niemal niedostrzegalnych, lecz zasadniczych (z punktu widzenia przemysłu kosmetycznego) różnic między jednym a drugim płatkami kwiatowym. Agnes cieszy się, że William z takim uporem dąży do opanowania tajemnic swojej profesji, szczególnie dlatego, iż nieoczekiwanie pozwoliła im ona znacznie podnieść poziom życia, ma jednak nadzieję, że nie będzie wąchał wszystkiego w Sezonie, kiedy oboje znajdą się w mieszanym towarzystwie.

– Ach, czy już ci mówiłem? – pyta William. – Wieczorem idę zobaczyć Wielkiego Flatellego.

– Czy on ma coś wspólnego z perfumami, kochanie?

William uśmiecha się z przymusem.

– W pewnym sensie. – Ale po chwili, sięgając po śliwkowy pudding, wyprowadzają z błędu. – Nie, skarbie. To artysta.

– Czy powinnam go znać?

– Bardzo wątpię. Występuje w Lumley Music Hall.

– Ach, to dobrze.

Właściwie nie musi mówić nic więcej, dokuczają jej jednak świadomość, że utraciła kontakt ze światem zewnętrznym, po chwili dodaje więc:

– Lumley to nadal Lumley, czy tak?

– Co masz na myśli, kochanie?

– Chodzi mi o to, czy... Czy ten teatrzyk nie został w jakiś sposób uszlachetniony?

– Uszlachetniony?

– Czy nie uzyskał wyższej rangi niż dawniej?... Nie stał się modniejszy?... – Słowo „znakomity” nie przychodzi jej do głowy.

– W żadnym wypadku. Przypuszczam, że będę siedział w otoczeniu szczerbatych kobiet i mężczyzn w wełnianych czapkach.

– Cóż, skoro odpowiada ci takie towarzystwo... – mówi Agnes, krzywiąc się. Pudding jest dla niej za tłusty, lecz choć odczuwa już dolegliwości gastryczne po spożyciu sporej ilości galantyny, nie może się jednak oprzeć małemu kawałkowi ciasta na deser.

– Człowiek nie może żyć tylko kulturą wysoką – ucina dowcipnie William.

Agnes zaczyna jeść ciasto. I ono okazuje się tłustsze, niż się spodziewała, a poza tym dręczy ją podejrzenie, że jest coś jeszcze, o czym powinna wiedzieć.

– Jeżeli... – waha się. – Jeżeli spotkasz tam kogoś... znaczy w Lumley... Kogoś ważnego, na kogo mogłabym trafić w Sezonie... To powiesz mi o tym, prawda?

– Oczywiście, kochanie. – William unosi do nosa kawałek ciasta, który obwąchuje. – Porzeczeki, rodzynek i skórka pomarańczowa nasączona sherry. Migdały. Gałka muszkatołowa. Kminek... Wanilia. – Rackham wyszczerza zęby w uśmiechu, jak gdyby oczekując na oklaski.

Agnes uśmiecha się niewyraźnie.

Niecałe pół mili dalej na zachód od posiadłości Rackhamów pani Emmeline Fox, która jest ubrana jak do wyjścia, ale wciąż siedzi w kuchni, kaszle w chusteczkę do nosa. Dokuczają jej dziś pogoda; ciężkie powietrze przyprawia ją o ból głowy i duszności. Musi jednak do jutra otrząsnąć się ze złego samopoczucia, inaczej bowiem nie będzie mogła uczestniczyć w wizytach domowych z ramienia Towarzystwa.

Zastanawia się, czy nie wstąpić do ojca i nie poprosić go o łyk jakiegoś lekarstwa, ale uznaje, że tylko by go zmartwiła. Poza tym kto wie, do jakich nagłych wypadków mógł zostać wezwany ze swoją torbą pełną medykamentów i rozmaitych utensyliów? Albowiem ojciec Emmeline to doktor James Curlew, człowiek niezwykle zajęty.

Zamiast więc pójść do ojca, połyka łyżeczkę soli wątrobowych, które popija łykiem gorącego kakao, by zabić w ten sposób ich smak. Ponadto kakao rozgrzewa ją całą, nie tylko obejmujące filiżankę zimne dłonie albo wrażliwy żołądek, tkwiący głęboko w brzuchu. Właściwie nagle pani Fox robi się zbyt gorąco: na czole czuje kłujące kropelki potu, a wąskie rękawy zaczynają uciskać jej ramiona, szybko wychodzi zatem z kuchni do ogrodu.

Ma większy dom niż Henry i bujniejszy ogród, który zarósł jednak nieco od czasu swojej największej świetności, kiedy kopał w nim mąż pani Fox. Bertram lubił wszystko, co osobliwe, próbował więc ciągle hodować rozmaite egzotyczne warzywa i dawał je kucharce, którą zatrudniali w dawnych czasach. Wciąż jeszcze rosną tu nieco ocienione chwastami wężymordy i splecione korzenie kozibród. Ojciec od czasu do czasu przysyła jej swojego ogrodnika, by wyciął największy gąszcz i odstonił chodnik, chwasty jednak pienią się całe lato, zimą zaś jedynie się przyczajają. Teraz powracają znów do życia i są soczystozielone, a wielki zagon w kształcie trumny, na którym Bertie hodował monstrualne selery wielkości człowieka (jak one się nazywały – karczochy hiszpańskie?), to teraz już jałowa, umęczona ziemia.

Bertie zawsze obojętnie odnosił się do wszystkiego, co potrafi przetrwać, fascynowało go natomiast to, co efemeryczne i spektakularne. Ale był dobrym człowiekiem. Dom, w którym mieszkali, jest dla niej samej za duży, Emmeline mieszka w nim jednak ciągle z powodu Bertiego – ze względu na jego pamięć. Pozostawił po sobie bardzo niewiele i nigdy nie dzielił się z nią głębszymi myślami (o ile w ogóle je miał); ale tak czy inaczej najlepszym sposobem upamiętnienia ich małżeństwa jest mieszkać wciąż w tym domu.

Pani Fox stoi teraz w ogrodzie, trzymając nadal w dłoniach filiżankę kakao, a jej rozpalone czoło studzi wiatr. Zaraz poczuje się lepiej. Nie jest chora. Powinna była wieczorem otworzyć okna i wywietrzyć dom, bo wczoraj było wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku. Sama jest sobie winna, że boli ją głowa.

Dopija kakao. Czuje, że już ją ożywia i orzeźwia. Jak to możliwe? Widocznie kakao zawiera tajemniczy składnik – myśli pani Fox – który nasycza jej leniwą krew zastrzykiem jakiegoś analeptyku albo wręcz środka pobudzającego. W pewnym sensie Emmeline stoi w sumie niewiele wyżej od narkomanów, których spotyka, pracując w Towarzystwie Ocalenia Kobiet – są to otumanieni morfiną niewolnicy, którzy nie potrafią się skupić na słowach Chrystusa dłużej niż dwie minuty, bo różowe oczy zaraz zaczynają uciekać im na boki. Uśmiecha się, przechyla głowę do tyłu, żeby owiewał ją wiatr, i wciska krawędź filiżanki w podbródek – Emmeline Fox: uzależniona od kakao. Wyobraża sobie, że zdobi okładkę dwupensowego kryminału – jest zamaskowanym złoczyńcą w męskich spodniach i pelerynie, który ucieka przed policją, skacząc po dachach, a swoją nadludzką siłę czerpie wyłącznie ze złych nasion kakaowca. Stojący na ziemi konstable z otwartymi z wściekłości i rozpaczony ustami bezsilnie wyciągają do niej swe krótkie, grube ramiona. Ale jedynie Bóg może sprowadzić panią Fox na ziemię.

Otwiera oczy i przebiega ją dreszcz. Pot pod pachami stygnie – a jej plecy przebiega chłód. Czuje w tchawicy drapanie, każące kasłać, kasłać i kasłać bez końca. Nie poddaje się; wie, jak by się to skończyło.

Wraca do domu, płucze garnek po mleku, wyciera kuchenkę i chowa na miejsce wszystkie sprzęty, których potrzebowała, żeby zrobić kakao. Zna niewiele kobiet, które potrafiłyby sobie poradzić z tego rodzaju pracami domowymi, nawet gdyby ktoś przystawił im nóż do gardła; ona

jednak wykonuje wszystkie te czynności niemal automatycznie. Jej służąca „do wszystkiego”, Sarah, nie mieszka z nią i wróci dopiero jutro, lecz mimo to pani Fox stara się jej pomagać, jak tylko może. Uważa, że ona i Sarah przypominają raczej ciotkę i siostrzenicę niż panią i służącą.

Och, dobrze wie, że krążą o niej plotki, rozsiewane przez damy, które uważają, iż Emmeline przynosi wstyd wyższym sferom niczym sankiulotka w przebraniu albo okropna jakobinka. Gdyby tylko mogły, usunęłyby ją – czy może raczej kazałyby ją usunąć – sprzed swoich oczu.

Taka niechęć ze strony jej sióstr smuci panią Fox, która nie podejmuje jednak specjalnych wysiłków, by osłabić ich antypatię albo się jej sprzeciwić, nie pragnie bowiem, żeby przyjmowano ją życzliwie w posiadłościach wytwornych dam, lecz w nędznych domach biedaków.

Tak czy owak, całe zamieszanie wynika jedynie stąd, że Emmeline czasem pracuje! Jej zdaniem w przyszłości wszystkie kobiety znajdą jakieś pożyteczne zatrudnienie, a obecny system społeczny nie przetrwa, stworzono go bowiem wbrew Bogu i zdrowemu rozsądkowi. Nie można kształcić przedstawicieli niższych warstw, żywić ich lepiej, poić czystą wodą, poprawiać ich warunków mieszkaniowych czy doskonalić wrażliwości moralnej i spodziewać się, że ambicje tych biedaków nie zaczną w końcu sięgać poza poddaństwo. Nie można również zapełniać gazet oburzającymi opowieściami o ludzkiej nędzy i spodziewać się, że sprzeciw nie skłoni nikogo do działania. Jeżeli codziennie publikuje się nazwy wciąż tych samych ulic i dzielnic ubóstwa, podając wszelkie szczegóły cierpień naszych bliźnich, czyż nie jest nieuniknione, że coraz bardziej rosnąca w siłę armia chrześcijan zakasze w końcu rękawy i zacznie domagać się pomocy dla potrzebujących? Pani Fox jest przeświadczona, że nawet te damy i dżentelmeni, których na razie nie gryzie jeszcze sumienie, już wkrótce zauważą, że brak rąk do pracy, a wtedy wszyscy z wyjątkiem najbogatszych będą musieli zapoznać się osobiście z tak egzotycznymi dla nich przedmiotami, jak ścierki albo zmywaki.

Smarując masłem kromkę chleba, pani Fox przewiduje, że w nadchodzącym stuleciu takich kobiet jak ona nie będzie się uważać za dziwaczki. W przyszłości w Anglii zaroi się od dam pracujących na rzecz bardziej sprawiedliwego społeczeństwa, które w ogóle nie będą trzymały pod swym dachem służby. (Jej służąca, Sarah, mieszka z niedomagającym dziadkiem i przychodzi do Emmeline tylko co drugi dzień, by wykonywać cięższe domowe prace za sówite wynagrodzenie, dzięki któremu nie wróci do prostytucji. Sarah jest warta tyle złota, ile waży, ale nawet takie kobiety jak ona znikną, gdy prostytucja zostanie wykorzeniona).

Emmeline zastanawia się, czy krótki spacer nie zrobi jej dobrze na płuca. Ma jedną torbę, pełną wełnianych rękawiczek, i drugą, pełną skarpet, które powinna zanieść pani Lavers, organizującej w przyszłym miesiącu pomoc dla biedaków w Irlandii. (Fenianistka!¹⁴ – powiedzieliby niewątpliwie plotkarze; albo: Papistka!). Dom Laversów znajduje się zaledwie o kilka minut stąd, może więc zaraz zanieść im te torby, pod warunkiem że obie ważą mniej więcej tyle samo, by mogła dźwigać jedną w lewej, a drugą w prawej ręce.

Wszystkie pokoje w domu pani Fox, wyjąwszy jej małą sypialnię, są zastawione pudłami, torbami, książkami i paczkami, właściwie bowiem jej dom stanowi prowizoryczny magazyn Towarzystwa Ocalenia Kobiet, a także kilku innych organizacji charytatywnych. Emmeline wchodzi na schody, wsuwa głowę do pokoju, w którym mieściła się kiedyś małżeńska sypialnia, i stwierdza, że nie ma tam tego, czego szuka. Na korytarzu stoi niebezpiecznie przechylony na bok stos egzemplarzy Nowego Testamentu w przekładzie na... na... nie potrafi sobie w tej chwili przypomnieć, na jaki język, ale człowiek z Towarzystwa Biblijnego wkrótce przybędzie, żeby zabrać te książki.

Nie udaje jej się znaleźć skarpet ani rękawiczek, wraca więc na dół, by posmarować masłem drugą kromkę chleba – to wszystko, co ma w domu do jedzenia. Zazwyczaj na poniedziałek zostaje spory kawałek pieczeni z niedzieli, ale wczoraj pani Fox pozwoliła służącej najeść się do syta, nie spodziewając się, że dziewczyna okaże apetyt godny labradora.

Dla tych, którzy stoją wyżej ode mnie, myśli, gryząc chleb, jestem godną pożałowania wdową, która ugrzęzła na płyciźnie ubóstwa; ci zaś, którzy stoją niżej ode mnie, uważają mnie za

14 Członkini ligi związanej w XIX wieku wśród Irlandczyków w Stanach Zjednoczonych i Irlandii na rzecz rewolucji i obalenia brytyjskich rządów w Irlandii (przyp. tłum.).

rozpieszczoną istotę, żyjącą w raju. Wszyscy jesteśmy przedmiotem niechęci i zazdrości zarazem. Wszyscy, z wyjątkiem najuboższych, albowiem niżej od nich znajduje się już tylko rynsztok piekła.

Zdecydowana znów znaleźć skarpetki i rękawiczki, Emmeline podejmuje dokładne poszukiwania. Wkłada nawet czepek, pragnąc uświęcić swoje intencje na wypadek, gdyby kusiło ją, żeby zrezygnować. Ku swemu zadowoleniu niemal natychmiast znajduje obie torby, ustawione jedna na drugiej w szafie. Kiedy je stamtąd wyciąga, wzbija tuman kurzu i zanim udaje jej się przed nim zasłonić, kaszle, kaszle i kaszle tak długo, aż opada na kolana. Po policzkach spływają jej łzy, kiedy drżącymi rękami przyciska do ust chusteczkę. Potem, gdy jest po wszystkim, Emmeline odpoczywa u stóp schodów, kołysząc się spokojnie i patrząc na kwadrat światła, który wpada do wnętrza przez mleczone szkło frontowych drzwi jej domu.

Nie uważa się za osobę chorą. Jej zdaniem jest zdrowa na tyle, na ile zdrowa może być kobieta o naturalnie słabych płucach. Nie uważa też, skoro poruszyliśmy już temat jej słabości, iżby była brzydka. Bóg dał jej pociągłą twarz, z której ona jest jednak zadowolona. Przypomina trochę Disraelego, ma jednak nieco łagodniejsze rysy. Nie przeszkodziło jej to w zdobyciu męża, prawda? A jeśli nigdy nie będzie miała drugiego... Cóż, jeden jej wystarczy. Wracając natomiast do zdrowia, chociaż to Bertie miał rumiane policzki i często się uśmiechał, właśnie on podupadł na zdrowiu jako pierwszy, nie ona. Co tylko dowodzi, że nie plotkarze decydują o długości ludzkiego życia, lecz Bóg.

Oddychając ostrożnie, Emmeline wstaje, podchodzi bliżej, bierze torby do rąk i sprawdza, czy są jednakowo ciężkie. Okazuje się, że tak. Niesie je do drzwi, przystając jedynie na moment, żeby przed wyjściem przyjrzeć się w zwierciadło swojej fryzurze.

Na drugim końcu świata, na wschód od domu pani Emmeline Fox, przechadza się właśnie Henry Rackham. (Cóż to za wspaniały dzień na spacer! Nie przewidziałeś, że podreperujesz sobie zdrowie, wędrując ciągle za tymi wszystkimi postaciami, prawda?)

Henry idzie krętą, cienistą ulicą, której nigdy dotąd nie odwiedzał. Patrzy pod nogi, by nie poślizgnąć się na łajnie, i bacznie obserwuje wszystkie zaułki oraz schody w suterrenach, żeby nikt go zniecacka nie napadł. Idzie na sztywnych nogach, a jego determinacja tylko nieznacznie przewyższa strach; może co najwyżej mieć nadzieję (albowiem w tych okolicznościach nie ma prawa się modlić), że żaden jego znajomy nie zobaczy, jak Henry wkracza do tego śmierdzącego labiryntu.

Wie, w jakie dni pani Fox pracuje dla Towarzystwa, a kiedy siedzi w domu; zna na pamięć rozkład jej codziennych zajęć i nie zapominał, że w poniedziałki odpoczywa. Dlatego właśnie zdecydował się odwiedzić dzisiaj St Giles, czyli okolicę, w której Emmeline może pełnić swoje obowiązki. Tłumi sprowokowane smrodem kaszlnięcie i coraz głębiej zapuszcza się w nieznaną okolicę.

Wszelkie oznaki dostatku giną mu z oczu już po kilku minutach; bryły i perspektywa Oxford Street, na wpół zapomniane, znikają, albowiem wymazuje je z pamięci koszmary widok zepsucia – widok, który obejmuje ulicę, zrujnowane domy po obu jej stronach oraz ciała i moralność tutejszych odrażających mieszkańców.

Dalibóg, myśli Henry, ta dzielnica to peryferie piekła, prawdziwa hodowla przyszlętych klientów kostnicy. W gazetach piszą, że od lat pięćdziesiątych wiele zmieniło się tu na lepsze, ale czy to może być prawda? Widział już gnijący w rynsztoku psi łeb i wystający, spuchnięty, toczony przez robactwo jęzor zwierzęcia; widział obrzucające się kamieniami półnagie dzieci o wynędzniałych twarzach, które wykrzywiała wściekłość i wesołość; widział mnóstwo zjaw, wyglądających przez potłuczone okna, upiorów o nieobecnych wzroku, nieokreślonej płci i ciałach tylko niewiele mniej poszarpanych niż okrywające je łachmany. Niepokojąco wiele tych straszylet zdaje się mieszkać pod ziemią, w piwnicach, do których można zstąpić tylko po mrocznych schodach albo – w niektórych wypadkach – rozklekotanych drabinach. Z szeregu okien zwiesza się mokre, upstrzone plamami sadzy pranie; tu i ówdzie na wietrze trzepocze podarte prześcieradło niczym flaga, której znakami szczególnymi są bukieciki wyblakłych, brunatnych kleksów krwi.

Henry Rackham przybył tu wyłącznie w jednym celu: żeby wspomóc ubogich. Nie w taki

sposób, w jaki pomaga tym ludziom pani Fox, a jednak by ich wspomóc.

Zaledwie kilka chwil później zaczyna go brzydka kobieta w średnim wieku, choć może nieco młodsza, ubrana w obszerną, pocerowaną i połataną gęsto suknię w stylu regencji. Nie nosi nakrycia głowy i ma gołą szyję, a kiedy uśmiecha się na powitanie, prezentuje wszystkie zęby, jakie jej jeszcze zostały; czy jest więc prostytutką?

– Dajcie bidnej nieszczęśnicy parę pensów, panie.

A zatem to żebraczka.

– Czy trzeba ci jedzenia? – pyta Henry, pilnując się, żeby nie wyjść na durnia. Ze wszystkich sił pragnie być hojny, ale wydaje mu się, że od nieznajomej wionie alkoholem.

– Rzekłeś, panie. Trza mi właśnie jedzenia. Głodna jezdem, nicem od wczoraj nie jadła. – Oczy kobiety, która załamuje swoje spuchnięte ręce, błyszczą chciwie.

– Czy chcesz... – Henry waha się, nie ulegając jej drapieżnemu spojrzeniu, które szarpie jego duszę jak ptak smakowitego robaka. – Czy chcesz, abym ci towarzyszył tam, gdzie sprzedaje się żywność? Kupię ci wszystko, co zechcesz.

– Ależ nie, panie – odpowiada nieznajoma, najwyraźniej zgorszona. – Muszem dbać o swojom reputacje. O dzieciach muszem myśleć.

– O dzieciach? – Nie przypuszczał, że ta kobieta ma dzieci, bo w niczym nie przypomina pulchnych matek o gładkiej cerze, jakie Henry widuje w kościele.

– Mam ich pięcioro, panie – zapewnia kobieta, unosząc dłonie, jak gdyby zamierzała chwycić go za ramię. – Pięcioro, dwoje to jeszcze oseski, co to strasznie płaczom, a mój mąż tego nie znosi, panie, bo mu nie dajom spać. No to je tłucze, panie, tłucze je, jak leżom w łóżeczkach, żeby byli cicho. Tom se myślała, panie, że gdybyś mi dał łaskawie parę pensów, mogłabym kupić u aptekarza „Błogosławieństwo Matki” i uspić moje maleństwa, coby spały potem jak aniołki.

Dłoń Henry’ego wędruje już do kieszeni, gdy zdaje sobie sprawę, jak straszne rzeczy mówi ta kobieta.

– Ależ... nie możesz pozwolić, żeby twój mąż bił dzieci! – oświadcza stanowczo. – Mógłby im wyrządzić wielką krzywdę...

– Ach, tak, panie, ale un taki zmęczony, tyra po całych dniach i w nocy mus mu spać, a maleństwa krzyczom strasznie, jakem już mówiła. Jak jedno ucichnie, inne zaczynajom płakać, że strzymać z tom szóstkom nie można.

– Masz sześcioro dzieci? Przed chwilą mówiłaś, że pięcioro.

– Sześcioro, panie. Ale jedno jest takie ciche, jakby go nie było.

I oto na zakazanej ulicy dochodzi do dziwnego impasu – Henry ściska w dłoni monetę i waha się, a kobieta oblizuje wargi, bojąc się powiedzieć coś więcej, żeby nie spłoszyć jego szczodrobliwości.

– Dzieci nie płaczą dla psoty – mówi Henry, ciągle mocując się z wizją niewinnych, leżących w łóżeczkach dzieci, które bije ojciec. – Twój mąż powinien to zrozumieć. Dzieci płaczą, kiedy są głodne albo smutne.

– Rzekłeś, panie – odpowiada skwapliwie kobieta, kiwając potakująco głową i wpatrując mu się głęboko w oczy. – Ty je rozumiesz. Głodne som. I strasznie, strasznie smutne.

Henry wzdycha, wyzbywając się podejrzeń. Nie ma dobroczynności bez zaufania, a w każdym razie bez gotowości do podjęcia ryzyka. No, dobrze, więc ta kobieta spożywała niedawno mocny alkohol i na swój sposób jest ordynarnie przypoehlebna: cóż z tego? Dobroć nie pogłębi zepsucia żebraczki, a rodziny, bez względu na to, ile naprawdę osób liczy, nie można obwiniać o jej grzechy.

– Proszę – mówi, wsuwając monetę w drżącą dłoń kobiety. – Tylko pamiętaj, żebyś wydała wszystko na jedzenie.

– Dzieńki, panie, dzieńki – kracze nieznajoma. – Za tom matom monetę, co to dla ciebie znaczy tyle, co nic, panie, postawiłaś na stole suty posiłek dla bidnej wdowy i jej dzieci. Pomyśl se o tym, panie!

Henry myśli, marszcząc brwi, a kobieta czmycha w ciemną szczelinę, dzielącą dwie kamienice.

– Jest wdową? – mruczy pod nosem, ale nieznajomej już nie widać.

W lepszym świecie Henry otrzymałby kilka chwil łaski, żeby przemyśleć to spotkanie i

zastanowić się, co robić dalej, niepokoi go bowiem natłok sprzecznych emocji. Jednakże błysk jego monety zauważyli już inni mieszkańcy ulicy, nie mniej wyraźny, niż gdyby na niebie nad ich głowami eksplodował fajerwerk. Zaczynają otaczać go wypełzające ze wszystkich zakamarków obdartusy, których szcurze oczy jarzą się chytrze. Henry rusza przed siebie, spłoszony, choć jednocześnie zadziwiająco zdecydowany. W jego krwi krąży jakaś nieznana substancja, przekształcająca strach w coś całkiem innego: w pełną napięcia gotowość i niezwykle poczucie jedności z własnym ciałem.

Pierwszy podchodzi do niego groteskowo chromający jegomość o szcurzej mordce. W kościstej dłoni ściska nóż garbarski. Unosi ostrze wysoko, by Henry mógł je zobaczyć, ale wygląda to tak, jak gdyby kulawiec po prostu pokazywał mu zupełnie niewinny przedmiot, który przez roztargnienie zgubił jakiś przechodzień. Henry uważa, że wokół nie rośnie niebezpieczeństwo, lecz halucynacyjny nastrój farsy.

– Dawaj wszystkie pieniądze – rzeźi człowieczek, wykrzywiając twarz jak szympana i wymachując brudnym ostrzem dwa łokcie od piersi Henry’ego.

Henry wbija wzrok w oczy napastnika, który jest od niego niższy o głowę i o połowę lżejszy.

– Niechaj ci Bóg wybaczy – warczy Rackham, wnosząc pięści, które okazują się prawie tak wielkie jak niedorozwinięta czaszka rzezimieszka. – I niech mnie także wybaczy, albowiem jeśli zbliżysz się jeszcze o krok, przysięgam, że polecisz na ziemię.

Rzęząc straszliwie, mężczyzna cofa się, o mało nie przewraca na obluzowanej kostce – a potem odwraca się i kuśtykając, odchodzi. Kilkoro innych mieszkańców St Giles przestaje napierać na Rackhama i także się wycofuje, uznając, że tak czy owak nie jest mięczakiem, za jakiego go początkowo wzięli.

Nie zniechęca się tylko jedna osoba – i tylko ona wciąż się do niego zbliża. Jest to wychudzona, młoda kobieta, ubrana, jak sądzi Henry, w białą koszulę nocną, męski, czarny płaszcz i udającą szal koronkową zasłonę. Podobnie jak żebraczka, kobieta nie nosi żadnego nakrycia głowy, ale w przeciwieństwie do tamtej jest rudowłosa, a jej dziecięca twarzyczka wygląda nieco młodziej. Śmiało zachodzi mu drogę i niedbale rozwiązuje szal, odsłaniając piegowaty dekolt.

– Oddam ci rękę za szylinga, panie – mówi. – A za dwa każdą inną część mojego ciała.

Nareszcie. Kobieta stoi w cieniu Henry’ego i czeka.

Spływa na niego całkowicie niespodziewany spokój, abstrakcyjna pogoda ducha, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył, nawet na progu snu bez marzeń sennych. Od dawna obawiał się tej chwili i pragnął jej jednocześnie – i oto nadeszła jego inicjacja w zmysłowym podziemiu, z którym pani Fox walczy z taką godnością i pewnością siebie. W wyobraźni bardzo często widział tę dziewczynę (albo kogoś, kto mgliście ją przypominał), teraz stojącą przed nim we własnej osobie. Ku swojej uldze Henry dostrzega, że nie jest to żadna syrena, ale zwyczajne dziecko – dziecko z zaschniętą w kącikach oczu ropą i szramą na podbródku.

Nim zdobył się na odwagę, aby tu dzisiaj przyjść, bał się ogromnie, że jego szlachetne intencje to tylko pozory, kruche iluzje, które przetrwały jedynie wskutek figla, jakiego mu spłatała geografia. Dręczył go mianowicie wielki niepokój, że jeśli z łaski Boga dostanie własną parafię, to obchodząc jej najuboższe miejsca, natknie się w pierwszej kolejności na taką właśnie bezbronną nieszczęśnicę, która stoi przed nim w tej chwili, i zgwałci ją. Lecz oto i ona: prostytutka, nierządnicą, przeklęta istota, która jasno daje mu do zrozumienia, że może z nią zrobić wszystko, czego zapragnie. A czego chce Henry? prostytutka stoi w jego cieniu, płytko oddycha otwartymi ustami, czeka na zgodę i podnosi na niego wzrok, nie zdając sobie sprawy, że przekazała mu właśnie bezcenny dar – zwierciadło, w którym odbija się jego własna natura. Teraz Henry już wie: wie, że tym, czego pragnie, czego pożąda jego grzeszne serce, z pewnością nie jest jej drobne, chude, odziane w łachmany ciało.

– Nie możesz sprzedawać swojego ciała kawałek po kawałku, panienko – mówi łagodnie Henry. – Jest ono całością, która należy do Boga.

– Moja ciałość należy do każdego, kto zapłaci dwa szylingi, panie – upiera się prostytutka.

Henry krzywi twarz i zanurza rękę w kieszeni.

– Proszę – mówi, wręczając jej dwa szylingi. – A teraz powiem ci, czego chcę za te pieniądze.

Dziewczyna przekrzywia głowę, a śmiertelny spokój jej oczu zakłóca iskierka lęku.

– Chcę, żebyś... – Henry waha się. Wie bowiem, że ten świat jest bezwzględnie nikczemny i pozbawiony powagi moralnej, i Henry nie mógłby powiedzieć nierządniczy: „Idź i nie grzesz więcej”. Stara się jednak, jak może, żeby się uśmiechnąć i nie sprawiać wrażenia człowieka zbyt surowego. – Chcę, żebyś potraktowała te dwa szylingi jako symbol czegoś, czego nie musisz już robić... – (Nim kończy to zdanie, zaskoczenie na jej twarzy podpowiada mu, że dziewczyna nie domyśla się, co Henry chce powiedzieć). – Ach... to znaczy, że proszę, byś nie robiła już tego, co musiałabyś zrobić, aby zarobić owe dwa szylingi... – (Dziewczyna wciąż marszczy brwi, nic nie rozumiejąc, i przygryza zębami dolną wargę). – Chodzi mi o to, że... na litość boską, panienko, cokolwiek zamierzałaś zrobić, nie czyn tego!

Dziewczyna natychmiast uśmiecha się od ucha do ucha.

– Pojmuję, panie! – Po czym odchodzi leniwym krokiem, kołysząc się w biodrach bardziej niż jakakolwiek przyzwoita kobieta, którą Henry’emu zdarzyło się dotąd spotkać.

Henry ma już dość. Jest zmęczony, tęskni za bezpieczeństwem i ładem swojego gabinetu w domu przy Gorham Place. Fala adrenaliny, która pozwoliła mu obronić się przed człowiekiem o szczurzej twarzy, opadła, a pozostawiony przez nią ślad obcych Henry’emu uczuć nie jest już ożywczy, lecz jedynie otepiający.

Ciężkim krokiem zawraca w stronę zamożniejszej części miasta, gdzie będzie mógł przywołać omnibus i podjąć niewdzięczne zadanie przemyślenia tego, czego się dzisiaj dowiedział. Jednak spiesząc labiryntowymi ulicami, zerkając w boczne alejki i ślepe zaułki, by sprawdzić, czy nie zdoła uciec z St Giles na skróty, spostrzega przypadkiem... czy tak? Tak, to tamta żebra-czka, której dał pieniądze na jedzenie – wdowa z agresywnym mężem i pięciorgiem albo sześciorgiem dzieci.

Kobieta siedzi w otwartych drzwiach zrujnowanego domu, bokiem do przechodniów, kryjąc pod wachlarzem spódnicy brudny szczyt sześciu kamiennych stopni. Za nią, tuż za progiem, siedzi zgarbiony mężczyzna o włosach czarnych i sztywnych jak włosie szczotki kominiarskiej. Ma na sobie wełnianą kamizelkę, niebieski szal, mundurową kurtkę i szerokie spodnie, a kobieta bezwstydnie wspiera głowę na jego nogach. Dzielią się kupioną niedawno flaszką alkoholu, którą oddają sobie z rąk do rąk i której zawartość żłopia z widocznym zadowoleniem.

Henry staje jak wryty i z otwartymi ustami przygląda się tej scenie, rozgrywającej się nie więcej niż dwadzieścia stóp dalej. Zbyt skonsternowany, żeby podejść bliżej, i zbyt oburzony, by uciekać, zastyga w bezruchu z zacisniętymi pięściami. Kobieta zauważa Henry’ego między jednym a drugim haustem, rozpoznaje go natychmiast i wykrzykuje: – Patrz, Dug! To nasz wybawca! – Oboje aż skręcają się ze śmiechu, charcząc i bryzgając śliną, a ich usta lśnią od alkoholu.

Henry, któremu odbiera mowę, stoi w miejscu z rozpalonymi rumieńcem policzkami i zaciska pięści tak mocno, że paznokcie wbijają mu się w ciało.

– Przepędź go stąd, Dug – mówi kobieta, bo widok patrzącego na nich spode łba gamonia najwyraźniej psuje jej radość libacji. – Przepędź go.

Kosmaty mężczyzna wstaje niezdarnie, usiłując nie nadepnąć na spódnice swojej towarzyszki. O mało nie przewraca się przy tym na wznak na schody, udaje mu się jednak utrzymać równowagę. – Haaaa! – wrzeszczy. Ponieważ jednak okrzyk ten nie sprawia większego wrażenia na nieproszonym gościu, mężczyzna odwraca się i zsuwa spodnie, wystawiając chude, blade pośladki ku zdumionemu Henry’emu. Następnie, choć spodnie płaczą mu się wokół kostek, odwraca się przodem, by sprawdzić, jakie wrażenie wywrze na intruzie w tej pozycji. A potem? Nie podejrzewając, że Henry stoi jak skamieniały nie tyle ze strachu, ile na widok jego członka, mężczyzna wyplątuje swój sflaczały organ z kępy czarnych włosów, rozsiewając wokół kropelki uryny.

Choć Henry Rackham stoi o kilka jardów poza ich zasięgiem, odskakuje do tyłu z okrzykiem obrzydzenia. Krzyczy też kobieta, której wesołość zmienia się nagle w furję, gdy parująca ciecz zrasza jej spódnice.

– Żeś mnie ochlapał, ty cholerny idioto!

Po chwili zaczynają się szamotać. On bije ją wściekle po głowie, a ona usiłuje szturchnąć go i

kopać. Mężczyzna, chcąc ją powstrzymać, przydeptuje butem jej spódnicę, kiedy wciąga spodnie – wtedy zaś kobieta bez wahania z całej siły wali go z góry butelką dżinu w kościsty łeb i mężczyzna pada jak długi na schody.

– Chryste! – krzyczy kobieta, kiedy rozlany alkohol dosięga ziemi długim, srebrzystym łukiem. Błyskawicznie podnosi (jakimś cudem ocalała) flaszkę, a kiedy mężczyzna wije się u jej stóp, przyciskając ręce do zakrwawionego czoła, żebraczka wpycha sobie lśniąca szyjkę butelki głęboko w usta i wysysa łapczywie to, co w niej zostało.

Upiorny czar pryska wreszcie, Henry może więc w końcu odwrócić się plecami do tych ludzi, pierwszych nędzarzy, z jakimi nawiązał w życiu bliższy kontakt, a potem na miękkich nogach powlec się do domu.

Zasiadając tego wieczora w Lumley Music Hall w otoczeniu mężczyzn w wełnianych czapkach i szczerbatych kobiet, William Rackham delectuje się świadomością, że może znów pokazać się w takim miejscu bez obawy, iż ktoś weźmie go za drugorzędną osobistość. Teraz, kiedy umocniły się podstawy jego fortuny, a fakt, że zajął fotel dyrektora, stał się powszechnie wiadomy (przynajmniej wśród osób, które uważają za swój obowiązek wiedzieć, „kto jest kim”), rzadko mu się zdarza, by bawiąc poza domem, nie słyszał szeptów: „Oto William Rackham”. Teraz więc, kiedy każda nitka jego ubrania jest najwyższej jakości i odpowiada najnowszym trendom w modzie, William może być absolutnie pewien, że nawet ci plebejusze, którzy go nie znają, niechybnie dostrzegą w nim zamożnego dżentelmena – który dla przyjemności postanowił zasmakować rozrywek, w jakich gustują ludzie mniej majątni niż on.

Oczywiście William nie jest dziś jedyną osobą na widowni, która pospolituje się, przebywając z plebejuszami. Publiczność w Lumley to złożony w przeważającej części z prostaków przekładaniec, z dodatkiem kilku zamożnych dżentelmenów. William uważa jednak, że wyróżnia go wśród nich bobrowy anielec i spodnie z jeleniej skóry, a zwłaszcza nowy cylinder o najniższej główce w całym teatryku. (Nie, to nie tamten stary nowy kapelusz, lecz jeszcze nowszy nabytek – nie widzisz, że jest niższy? Poza tym nie wyprodukowała go spółka Billington&Joy, lecz firma Staniforth's, „Wytwórca wysokiej jakości kapeluszy od 1732 roku”, proszę bardzo).

Lumley nie należy do przybytków, gdzie płaszcze i kapelusze można przy wejściu oddać na przechowanie, nie jest to zatem przyjemnie chłodne miejsce dla grubo ubranych gości, ale przynajmniej nadarza się im sposobność, by mogli nawzajem porównać swoje kreacje. Mimo to trudno powiedzieć, ilu przedstawicieli sfery towarzyskiej, do której należy William, bawi dziś w teatryku, ponieważ widownia jest pełna, a jej widok z góry zasłania mu piana okropnych czepków. Dzisiejsze przedstawienie już się zaczęło, a ponieważ w tłumie w otoczeniu setek lamp gazowych robi się ciepło, hultajstwo zaczyna zdejmować marynarki, odsłaniając ukryte pod spodem koszule, kobiety natomiast chłodzą się wachlarzami z taniego papieru i sklejki.

W rzędzie przed Rackhamem nie siedzi ani jedna taka niewiasta – czego William żałuje, nie miałby bowiem nic przeciwko temu, aby dosięgnął go powiew trzepoczącego wachlarza. Ostatecznie nie jest uodporniony na bodźce, jakich doznają ludzie prostsi od niego – tak jak im, Williamowi występuje pot na czoło, a pod kolejnymi warstwami garderoby robi mu się gorąco. Rackham czuje krople potu na twarzy w zapuszczonym niedawno zaróście i wywołane ich łaskotaniem swędzenie, powinien się jednak powstrzymać od drapania. Zbyt wielu widzów tłoczy się w tym teatryku! Czy niektórych z nich nie należało raczej odesłać z kwitkiem?

Z oparcia fotela Williama zwiesza się nowy płaszcz, a na jego kolanach spoczywa nowiutka laska, Rackham wyobraża sobie bowiem, że wieńcząca ją srebrna gałka mogłaby stanowić niezwykle łakomy kąsek dla złodzieja. Woli też trzymać w rękach giemzowe, pasiaste rękawiczki, nawet kiedy klaszcze, nie zdając sobie sprawy, że wygląda wtedy, jak gdyby usiłował zatłuc bezbronnego gryzonia.

Po jego lewej ręce siedzą Bodley i Ashwell. I oni są za grubo ubrani, choć nie aż tak jak Rackham, lepiej znają bowiem Lumley. I oni czują się pewnie na tle tłumu pospólstwa; zaczęli się nieco nudzić na swoim parnacie, pomyśleli więc, że można by zwlec się na dół i sprawdzić, co dają w Lumley. Przystudiowali już program, a teraz z niecierpliwością oczekują na występ Wielkiego

Flatellego: „Sensacja nad sensacjami: czarodziej gazów: kto go usłyszy, mdleje! Włochy oburzone! Francja u jego stóp! Człowiek-orkiestra wiatrów!!!”.

Obejrzeni tymczasem występ ładnej, ale staromodnie pulchnej dziewczyny, która śpiewała humorystyczne ballady, a potem „debiutującego w Londynie” niejakiego pana Epidermę, starca obdarzonego pewną kuriozalną umiejętnością: rozciągał on mianowicie całymi garściami elastyczną skórę na swojej nagiej piersi, a potem za pomocą metalowych uchwytów zawieszał na niej różne ciężkie przedmioty. Teraz dochodzi już kwadrans po ósmej, a Wielkiego Flatellego wciąż nie widać, toteż William i jego dwaj przyjaciele przyłączają się do chóralnych pomruków, towarzyszących wysiłkom fertycznego człowieczka, który na odległej scenie naśladuje odgłosy rozmaitych zwierząt, które tropią, ścigają, a na końcu pozerają jakiegoś ptaka.

– Dawać tu Flatellego! – woła jakiś plebejski głos, który skłania Williama do refleksji, jak pożyteczni potrafią być prostacy, kiedy należy zachować się arogancko. Pierwszego krzykacza wspierają zaraz inni, więc naśladowca zwierzęcych głosów miota się dalej w gęstniejącej niechęci publiki.

Wreszcie dwadzieścia pięć na dziewiątą na scenie pojawia się osławiony Włoch, wzbudzając powszechny aplauz.

– *Buona sera*, Londynie! – wrzeszczy, zgarniając z powietrza oklaski otwartymi dłońmi i przyciskając je do piersi jak niewidzialne bukiety. Chociaż ma wypomadowane czarne wąsy i nosi czarny frak, jest podejrzenie wysoki jak na Włocha, a kiedy owacje cichną i artysta rozpoczyna swoją preambułę, jego kontynentalny akcent dźwięczy fałszywie w uszach takiego intelektualisty jak Ashwell. („Jest Żydem. Założę się, o co chcesz; to Żyd”, szepcze do Williama).

– Moje nazwyczajne instrumento kryje się tu, z tyłu – wyjaśnia Wielki Flatelli. – Zabieram go wszędzie *con me*. – (Na widowni słychać chichoty, kiedy Flatelli w milczeniu ogląda się przez ramię niby mim). – Nie trzeba go dmuchare, dotykare ani ściskare... – (Klika siedzących z tyłu sali homoseksualistów chichocze rubasznie). – Żwięk jest jednak *molto delicato*, dlatego prosię, żebyście słychali *molto, molto* uważnie. Moja piersią *canzonelia* to stara, piękna jak wiatr... angielska melodia. Nosi tytuł *Greensleeves*¹⁵.

Przykładając do ust palec, żeby wymusić na publiczności absolutną ciszę, Flatelli zgina się wpół, a jego asystent o poważnym obliczu wtacza na scenę umieszczoną na wózku tubę, wzmacniającą dźwięk. Jej wypolerowany ustnik styka się niemal z siedzeniem wielkiego artysty. Rozbrzmiewa ostatnia przygrywka (artysta uroczyście odrzuca poły fraka) i rozpoczyna się puszczanie wiatrów.

Przez kilka sekund w powietrzu wibruje łatwa do rozpoznania melodia, odtwarzana na specyficzny, piskliwy sposób, w miarę wiernie, jak gdyby ktoś grał *Greensleeves* na grzebieniu albo (choć to trochę naciągane porównanie) na fagocie. Potem słychać śmiech, który narasta od tłumionych chichotów po chrapliwy rechot, toteż William i jego towarzysze, siedzący z dala od sceny, muszą pochylić się naprzód i nadstawić uszu.

*

Zegar wybija dziesiątą w skądinąd śmiertelnie cichym domu, a Agnes Rackham leży w łóżku. Nie potrzebuje pytać służby, by wiedzieć, że jej mąż nie wrócił jeszcze z miasta. Jest nadzwyczaj wyczulona na odgłos zamykanych gdziekolwiek w domu drzwi i zdaje się jej, że wyczuwa wibracje, w jakie wprawiają podłogę albo nogi łóżka. Pani Rackham leży w ciemności i ciszy i myśli, po prostu myśli.

Cał albo dwa za lewym okiem w jej głowie gnieździ się guz wielkości przepiórczego jajka. Pani Rackham nic nie wie o jego istnieniu. Guz siedzi sobie spokojnie, a głowa Agnes przyjmuje go bez sprzeciwu, jak gdyby tak maleńki gość na pewno nie mógł jej sprawić żadnego kłopotu. Śpi sobie, miękki i idealnie owalny. Nikt go nigdy nie znajdzie. Fotografia rentgenowska zostanie wynaleziona dopiero dwadzieścia lat później, a doktor Curlew, bez względu na to, jakie części ciała

15 Imię niestałej kochanki, bohaterki ballady opublikowanej w 1584 roku, wspomnianej m.in. przez Shakespeare'a w *Wesołych kumoszkach z Windsoru* (przyp. tłum.).

pani Rackham będzie jeszcze badał, nie zamierza atakować skalpelem oczodołów pacjentki. O istnieniu tego guza wiemy tylko ty i ja. To nasza mała tajemnica.

Agnes Rackham też ma swój mały sekret. Jest samotna. Dusi się z samotności w niewietrzzonej przestrzeni swojego pokoju o zasłoniętych oknach, w gęstej, niewidocznej mgłę perfum i własnego oddechu. Wracając pamięcią do minionego dnia, nie przypomina sobie niczego, co nasyciłoby jej niepokieszone serce, w przeciwieństwie do łakomego brzucha, który i tak dostaje zawsze, co mu się należy – a nawet za dużo. Kolację jadła samotnie (i przejadła się), obiad jadła samotnie (i bardzo się objadła), na podwieczorek ani na śniadanie nie mogła patrzeć z powodu dolegliwości gastrycznych, a lunch spożyła z Williamem, czuła się jednak jeszcze bardziej samotna niż bez niego – i wtedy jednak zjadła o wiele za dużo.

Ale nie czuła się bardziej samotna niż zwykle, bo wszystkie dni jej życia są bliźniaczo podobne. Kiedy całymi godzinami szyje i wygląda przez okno, żeby zobaczyć, co porabia ogrodnik, albo gdy deliberuje, czy powinna się uczesać sama, czy kazać to zrobić Clarze, tęskni za prawdziwą przyjaźnią i cierpi z powodu jej braku. Doktor Curlew nie zdiagnozował nigdy owej tajemnej dolegliwości, choć Agnes jest pewna, że to właśnie ona pogarsza jej stan zdrowia o wiele bardziej niż jakakolwiek choroba, którą rzekomo wykrył. A co by zrobił, gdyby o niej wiedział? Co mógłby jej przepisać, żeby złagodzić ból, jaki odczuwa nocą, kiedy nie może zasnąć i myśli, że nie ma na tym niedobrym świecie absolutnie nikogo, kto by ją kochał?

Och, to prawda, że gdy w końcu zasypia, sny witają ją z otwartymi ramionami, lecz kiedy godzinami nie może zasnąć, czuje się w ogromnym łożu niczym rozbitek na bezludnej wyspie albo jak dama z *Shalott*¹⁶, zepchnięta na ciemne jezioro w łodzi o wiele za dużej dla samotnej kobiety.

Agnes nie pragnie kochanka ani nawet kochanki. Nie wie nic, absolutnie nic o wnętrzu swego ciała; i nie chce nic o nim wiedzieć. Samotność, choć sprawia jej ból, nie ma właściwie fizycznego oblicza; wisi w powietrzu, opada ciężko na meble, sączy się przez pościel. Ach, gdyby na tej wielkiej tratwie łóżka znalazł się obok ktoś, kto lubi ją i darzy zaufaniem, ktoś, kogo i ona mogłaby polubić i komu potrafiłaby ufać z wzajemnością! Nikogo takiego nie ma jednak na calutkim świecie. Płaci się kochanej Clarze za to, by była dla niej dobra, lecz kiedy pokojówka kończy pracę, biegnie natychmiast na górę, udając się na zasłużony odpoczynek z dala od pani Rackham. Inne służące nie mają zbyt wiele do czynienia z Agnes; boją się jej i – o czym nie wiedzą – ona także trochę się ich boi. O psie nie ma mowy; może kupi sobie kotka, jeżeli istnieją koty bez pazurów. Brat Williama, Henry, jest dla niej bardzo miły (myśli teraz o ewentualnych przyjaciółach, a nie o kimś, z kim mogłaby dzielić łożę), ale ogólnie biorąc, zdecydowanie za poważny – Agnes woli bowiem rozmyślać o rzeczach przyjemnych, nie zaś o wszystkich problemach tego świata. Natomiast co do Williama, to mąż na zawsze stracił jej zaufanie. Bez względu na to, jak teraz się zachowuje, jakie zapewnia jej luksusy, jak dwornie zwraca się do niej podczas lunchu, ile nowych sukien, czepków i butów pozwala jej kupować i jak bardzo próbuje zasłużyć sobie na jej przebaczenie – ona mu nie przebaczy. Kiedy ma się do czynienia z diabłem, bez kija nie podchodzi – a kij, którym posługuje się Agnes Rackham w kontaktach z małżonkiem, jest długi jak chmielowa tyka.

Czy można się dziwić, że mając tak mało nadziei na przyjaźń w życiu na jawie, Agnes woli towarzystwo zakonnic z Klasztoru Zdrowia? Witają ją i dbają o nią, nie oczekując żadnej nagrody, chcą tylko jej uśmiechu. Szczególnie jedna z nich ma takie słodkie, sympatyczne oblicze... Ale wizyty Agnes w Klasztorze Zdrowia kończą się zawsze zbyt szybko, skąpy Bóg ogranicza je bowiem do kilku krótkich godzin jej snu. Podróż koleją do Klasztoru przez ciągnące się bez końca pola i lasy zajmuje niekiedy niemal całą noc, toteż czas, jaki pozostaje zakonnicom na opiekę nad Agnes, jest żałośnie krótki – i liczy zaledwie kilka minut, tuż przed przebudzeniem. Kiedy indziej podróż zdaje się przebiegać wyjątkowo szybko – ekspresowa lokomotywa ciągnie wtedy wagon przez płamę zieleni – i Agnes trafia pod opiekę świętych sióstr, zanim jej łyzy zdążą wsiąknąć w poduszkę. Ale w takie noce jazda powrotna trwa chyba bardzo długo, bo kiedy pani Rackham dociera do rana, niczego już nie pamięta.

16 *The lady of Shalott*, poemat Alfreda Tennysona (1809 – 1892), opublikowany pierwotnie w roku 1832, opowiadający o uwięzionej dziewicy; obraz ją przedstawiający namalował m.in. Holman Hunt (przyp. tłum.).

Nie wierzy, że istnieje coś takiego jak sny. Wyznaje filozofię, wedle której pewne wydarzenia mają miejsce, kiedy się czuwa, inne zaś, gdy się śpi. Zdaje sobie sprawę, że niektórzy ludzie – szczególnie mężczyźni – nieufnie traktują to, co się dzieje, kiedy człowiek ma zamknięte oczy i leży nieruchomo w pościeli, ona nie żywi jednak podobnych wątpliwości. Gdyby zlekceważyła nocne wydarzenia jako nierealne, oznaczałoby to, że przyznaje sobie moc twórczą, instynktownie zaś wie, iż nie ma żadnych podobnych zdolności. Stworzyć coś z niczego: tylko Bóg to potrafi. Jakie to znamienne, że ludzie w swojej potwornej zarozumiałości i bezwstydnym bluźnierstwie odrzucają ten pogląd! Jakie to znamienne, że dezawuuują połowę swojego życia, twierdząc, że nie istnieje i że wszystko to tylko fantazmaty!

Różnicy między płciami, myśli Agnes, nigdzie nie widać lepiej niż w powieściach. Mężczyźni udają zawsze, że wszystko zmyślają, że bohaterowie książki to jedynie marionetki ich wyobraźni, Agnes wie jednak, że powieściopisarz niczego nie zmyśla. Autor bowiem łączy po prostu ze sobą wiele różnych prawd, korzysta z doniesień prasowych, rozmawia z prawdziwymi żołnierzami, sprzedawcami owoców, skazańcami albo konającymi dziewczynkami – w zależności od tego, jakich informacji potrzebuje. Pisarki są daleko bardziej szczerze: kochany czytelniku, powiadają, oto co mi się przydarzyło.

Z tego względu pani Rackham o wiele bardziej ceni powieści pisane przez kobiety. Co tydzień otrzymuje „London Journal” i „Leisure Hour”, gdzie pojawiają się najnowsze odcinki utworów, wychodzących spod piór takich autorek, jak Clementine Montagu, pani Oliphant, Pierce Egan (to nie może chyba być mężczyzną?)¹⁷, pani Harriet Lewis i innych współczesnych pisarek. Ponadto wypożyczalnia książek Mudie’s dostarcza jej, w charakterze specjalnych prezentów, oprawione dzieła pani Riddell i Elizy Lynn Litton, by mogła przeczytać je w całości za jednym zamachem.

Nawet kiedy Agnes nie jest przykuta do łóżka, powieści są dla niej prawdziwym dobrodziejstwem, albowiem nieustannie zapełniają jej życie szlachetnymi i interesującymi ludźmi, którymi prawdziwy świat nie szafuje zbyt hojnie. Sympatyczna bohaterka książki, twierdzi Agnes, jest prawie tak dobra jak autentyczna przyjaciółka z krwi i kości. („Z krwi i kości” to jednak doprawdy wstrętne określenie, jeżeli się nad nim głębiej zastanowić!)

Ostatnio Agnes Rackham nie ma wprawdzie wiele czasu na lekturę, bo cały wolny czas poświęca przygotowaniom do Sezonu. Stała się przede wszystkim niewolnicą maszyny i szyje na niej jedną suknię za drugą, a kiedy nie szyje, przegląda czasopisma w poszukiwaniu wykrojów. Spod jej igły wyszły już całe akry tkanin – a dalsze czekają wciąż na swoją kolej. Na wieszakach w garderobie wisi dziewięć już gotowych sukien – dziesiąta natomiast, nie całkiem wykończona, okrywa stojący w ciemności sypialni manekin.

Oczywiście, dziesięć toalet na pewno nie wystarczy. Czy William jest naprawdę szczerzy, mówiąc, że Agnes ma jego błogosławieństwo i może zamówić u krawca „tyle sukien, ile tylko chce”? To znaczy ile? Czy zdaje sobie sprawę, na jakie wydatki byłby narażony, gdyby zechciała trzymać go za słowo? Boi się, że wtedy stosunki między nimi znów się zepsują, jak nie tak dawno, kiedy to William nie miał żadnego zrozumienia ani cierpliwości dla niewieścich wymagań i z trudem powściągał rozdrażnienie oraz dezaprobatę, Agnes zaś stale była bliska łez.

Szkoda, że nie może zrobić tego, co wiele innych dam, posiadających maszyny do szycia, robi właśnie w tej chwili – czyli przerobić nie do poznania sukni z ubiegłego Sezonu. Któregoś szalonego popołudnia w Nowy Rok, zainspirowana pewnym wykrojem, który znalazła przypadkiem w jakimś czasopiśmie, zniszczyła bowiem wszystkie swoje najpiękniejsze suknie. Dobrze pamięta (jakie to dziwne, co człowiek pamięta, a co zapomina!) ów feralny tekst: *Resztki tkanin i zastłon, które wyszły z mody, nie muszą leżeć bezużytecznie. Wykorzystaj je więc do niewymagającej wysiłku zabawy dla siebie i wzbudź zachwyt swoich dzieci.* Dalej następowały proste instrukcje i szczegółowe rysunki, które precyzowały, jak opanować sztukę wytwarzania z resztek krawieckich trójwymiarowych kolibrów naturalnej wielkości, przy czym uszycie jednego ptaka miało trwać *nie dłużej niż kwadrans.*

Ogarnął ją wtedy niepokonany szal, którego intensywność wspomina do dzisiaj z pewnym

17 Agnes myli się: Pierce Egan (1814-1880) był mężczyzną (przyp. tłum.).

przeżeniem. Nie miała w domu żadnych resztek czy ścinków, ale pragnienie uszycia kilku kolibrów paliło ją jak gorączka. Choć Clara błagała, żeby pani zechciała poczekać do rana, gdy będzie mogła nabyć cały stos końcówek w Whiteley's, domu towarowym w Bayswater, męka czekania choćby jedną chwilę okazała się nie do zniesienia. Agnes rzuciła się więc na swoje „stare” suknie – „Nie będę ich więcej nosić”, oświadczyła – i zaczęła ciąć je na kawałki nożycami krawieckimi. O zachodzie słońca podłogę pokryły porzucane wszędzie strzępy sukni balowych i staników, z których powstały później dziesiątki ptaków: kolibrów miękkich, atlasowych, jakby chorych, o bezwładnie zwisających główkach; kolibrów jędrnych, wyglądających jak żywe, uszytych ze sztywnych halek; kolibrów białych, jedwabnych, poruszanych powiewem, jaki wzbudzała Agnes, wdeptując wściekle pedały maszyny do szycia; i wreszcie kolibrów z ciemnego aksamitu, pozostających w całkowitym bezruchu. Dziwne, że niektóre suknie udawało się jej zniszczyć w mgnieniu oka, jak gdyby przekłuwała nożycami balony, inne natomiast w mniejszym czy większym stopniu zachowywały swój pierwotny kształt i wyglądały tylko na... okaleczone. Do tych ostatnich raz po raz wracała z nożyczkami w rękach, by uszyć więcej ptaków.

Popadłam wtedy w obłąd, wzdycha w poduszkę Agnes.

Jej powieki zamykają się z trzepotem rzęs. Gdzieś w pobliżu gwizdże lokomotywa. Wstaje słońce – nie powoli, jak zwykle, lecz w ciągu kilku sekund, jak gdyby ktoś zapalił lampę gazową. Ogromny, szeroki świat rozjarza się błękitem i zielenią, kolorami podróży, a potem wszystkie przykrości po prostu znikają.

Poza sypialnią Agnes, w „realnym świecie”, jak chętnie mawiają mężczyźni i historycy, noc jeszcze się nie skończyła. Na ulicach uboższych dzielnic nie zamknęły swoich podwojów sklepy spożywcze, nabiałowe oraz jadłodajnie; ich klientami są sprzedawcy zapalek i rzeźuchy, jak również uliczne prostytutki, które – co rozumiały – chcą sobie wynagrodzić długie godziny stania na zimnie. Przychodzą też żebracze dzieci, nagabujące handlarzy o nienadające się do sprzedaży kawałki szynki albo sera holenderskiego, które mogłyby zanieść ojcu na kolację. Ojciec z kolei ma do dyspozycji niezliczone piwiarnie, czynne przez całą noc.

Ulicami tego „realnego” świata – w pobliżu Lumley Music Hall – kroczą, maszerują i idą, zataczając się, trzej zamożni dżentelmeni, nieco podpici: panowie Bodley, Ashwell i Rackham. W zasadzie nic sobie nie robią z ciemności, chłodu i zacinającego deszczu, zauważają jedynie, że ich chwilami głośna sprzeczka nie odbija się echem, jak należy.

– *Caput mortuum!* – woła Bodley, uciekając się do dawnych inwektyw uniwersyteckich.

– *Bathybius!* – replikuje Ashwell.

– Jesteś głuchy jak pień, kretynie! – wrzeszczy Bodley.

– Ty brudasie, lepiej przeczyść uszy! – syczy Ashwell. – To była *Córka węglarza* i nic mnie nie przekona, że się mylę.

– A skąd, to było *Nie płacz, śliczna oblubienico*, jak pragnę zdrowia. Mam ci zanucić refren, ty idioto?

– Głupcze, myślisz, że to coś da? Musiałbyś go wypierdzieć, żeby mnie przekonać!

William Rackham nie wtrąca się do tej dyskusji ani słowem, kontentując się rolą obserwatora.

– A twoim zdaniem co to było, Bill? – pyta Bodley.

Rackham w odpowiedzi rzuca mu chmurne spojrzenie spode łba: tak bardzo chciał popisać się dzisiaj swoją nową laską, że zostawił w domu parasol, a właśnie zaczyna padać.

– Bóg raczy wiedzieć – wzrusza ramionami. – Do diaska, całe to przedstawienie było jedną wielką klapą. Prawie nic nie słyszałem. Lumley absolutnie nie nadaje się do takich występów. Lepsza byłaby jakaś mała i intymna sala. I widzowie na tyle dobrze urodzeni, żeby umieli zachować się przyzwoicie.

Bodley uderza się otwartą dłonią w czoło i robi chwiejny krok w tył.

– Lord Rackham przemówił! – oświadcza. – Drżycie, impresariowie.

– Kościół – mówi Ashwell – oto właściwe miejsce dla występów Wielkiego Flatellego, co, Bill? Widownia niewielka, wszyscy zachowują się odpowiednio, wspaniała akustyka...

William spluwa do rynsztoka, którego rozmiękła zawartość zaczyna się rozplýwać.

– Cieszę się, że tak łatwo was zadowolę, ale moim zdaniem zostaliście dziś haniebnie oszukani. Pomyślcie o tych biedakach, którzy nie bardzo mogą sobie pozwolić, by tracić zarobki na taki... dęty szwindel!

– Słyszałeś, Ashwell? Pomyśl o biedakach!

– Harują przez cały tydzień, żeby usłyszeć wysokiej klasy pierdnięcie, i co dostają?

– Gównu!

– Wracam do domu – mówi Rackham, wypatrując dorożki w rozświetlonym gazowym światłem deszczu.

– Och, nie, Bill, nie zosta-a-a-a-wiaj nas samych.

– Niech was diabli porwą. Jadę do domu. Zrobiło się zimno i pada.

– Znamy dużo ciepłych i suchych miejsc, które może odwiedzić mężczyzna, prawda, Ashwell?

– Ciepłych i wilgotnych, cha, cha, cha.

Bodley w natchnieniu rozpina płaszcz i zaczyna szperać po kieszeniach.

– Tak się składa, że mam przy sobie... zaczekajcie, przyjaciele, zaraz ją znajdę... – Wyciąga pogniecioną rozprawę wielkości groszowego wydania Nowego Testamentu i wymachuje nią w świetle pobliskiej latarni. – Oto nowiutka, znakomita edycja *Dalszych hulank w Londynie*. Jej przygotowanie zajęło cały rok, nie oszczędzono kosztów, wydawca gwarantuje, że wszystkie kłamstwa są prawdziwe, a dziewice nietknięte. Przystudiowałem ją pi... pilnie. Niektóre domy publiczne przesunęły się o kilka szczebli wyżej w porównaniu z poprzednim wydaniem. Był zwłaszcza taki jeden... – Bodley przerzuca wytłuszczone już kartki. – Ach! Tak, ten tutaj: dom pani Castaway. Na Silver Street.

– To tylko rzut kamieniem! – mówi Ashwell.

– Sugar – oświadcza Bodley. – O tę dziewczynę mi chodzi: Sugar. Piszą, że słowa nie mogą oddać jej sprawiedliwości. Luksus za niewygórowaną cenę. Istny skarb. I tak dalej, i tak dalej, w tym stylu. A domowi pani Castaway przyznano aż cztery gwiazdki.

– Cztery gwiazdki! Ruszajmy tam bez zwłoki! – Ashwell obraca się na pięcie, wymachując laską. – Dorożki! Dorożki! Trzeba nam dorożki!

Williamowi zastyga na chwilę krew w żyłach, przychodzi mu bowiem do głowy, że Sugar zdradza go i pracuje normalnie, jak dawniej. Potem jednak przypomina sobie, że *Dalsze hulanki...* to istny katalog bujdy. Sugar ze stronic tego przewodnika nie jest prawdziwą Sugar, którą zna.

Kiedy Bodley i Ashwell chwieją się na nogach, wyśpiewując na dwa idiotyczne głosy słowa „dorożka” i „Sugar”, William wspomina swoje ostatnie spotkanie z dziewczyną sprzed trzech dni. Pamięta, jaką minę zrobiła, gdy wyprowadził ją z błędu i powiedział prawdę. – Nazywam się William Rackham – powiedział. – Jestem dyrektorem firmy Rackham Perfumeries. – Dlaczego nie miałyby wiedzieć, kim naprawdę jest?

Kiedy jednak wyszło sztydło z worka, a William wysłuchał wyrazów zdumienia i podziwu z jej strony, zaczął żałować, że nie ma już więcej sekretów, by wzbudzić jeszcze większe zdumienie i podziw. Sądząc, że szczęście, jakie ją spotyka, wydaje się dziewczynie snem, postanowił zrobić coś bardziej konkretnego i oświadczył, że Sugar może poprosić o wszystko, czego zapagnie (pod warunkiem że będą to perfumy, kosmetyki albo mydła). Na co Sugar, czego należało się spodziewać, odpowiedziała prośbą o broszurę reklamową jego firmy.

– Dorożki! Dorożki! – ciągle krzyczy Ashwell. – Chodźcie, moi dzielni towarzysze, spróbujmy zatrzymać jakiś powóz za rogiem.

– Spokojnie, Ashwell – przestrzega go William. – Czy nie wzięłaś pod uwagę, że dziewczyna, której ci się zachciewa, może być zajęta?

– Do diabła, Bill, gdzie twoje umiłowanie przygód? Zaryzykujmy!

– My?

– Trzej mężczyźni, trzy otworki. Rachunek zgadza się wprost idealnie! William uśmiecha się i kręci przecząco głową.

– Przyjaciele – powiada, kłaniając się im z drwiącą powagą. – Życzę wam powodzenia w poszukiwaniach tej... jak ona się nazywa... tej Sugar. Żałuję, ale jestem zbyt zmęczony, żeby jechać z wami. Opowiedzcie mi, jak było, kiedy spotkamy się następnym razem!

– Zgoda! – woła Bodley. – *Au revoir!* – Chwieje się na nogach i wsparty na ramieniu Ashwella odchodzi, wyśpiewując aż do rogu ulicy: – Do pani Castaway! Do pani Castaway!

– *Au Renoir!* – woła za nimi William, ale przyjaciele znikają mu już z oczu.

Kapuśniaczek nie jest już kapuśniaczkiem – ciężkie krople deszczu rozbryzgują się o Williamowy płaszcz, co grozi przekształceniem go w nasiąkniętą wodą brzemię, a dorożki jak nie było, tak nie ma. Jednakże chociaż to dziwne, teraz, gdy został sam, opuszcza go zły nastrój. Bodley i Ashwell, którzy dawniej mieli na Williama szalenie kojący wpływ, dzisiaj wieczorem podziałali na niego niby porcja tranu z wątroby dorsza. Jakże to męczące zachowywać trzeźwość wśród podchmielonych towarzyszy! Być może powinien wypić nieco więcej, ale – do diabła – nie chciał... Po co pić sześć szklanec, skoro by rozgrzać żołądek, wystarczą tylko dwie? I po co wędrować od jednej kobiety do drugiej, kiedy wystarczy jedna, by zadowolić lędźwie? A może po prostu William zaczyna się starzeć?

– Nie przyda ci się parasol, łaskawy panie?

Słyszysz za sobą kobiecy głos, odwraca się gwałtownie i widzi obdartą, młodą kobietę o ładnych, brązowych oczach, kształtnych brwiach i przypominającej szpadel szczękę – która nie jest na tyle odpychająca, by William nie mógł przelecieć nieznanym. Dziewczyna kryje się pod poszarpaną i połamaną parasolką, ale w lewej ręce trzyma drugi, zamknięty parasol w o wiele lepszym stanie.

– Zapewne tak – rzecze Rackham. – Pokaż, co tam masz.

– Został mi tylko ten jeden, szlachetny panie – odpowiada przepaszająco dziewczyna i wywraca oczami, krzywiąc się na deszcz, jak gdyby chciała powiedzieć: „Miałam ich kilkadziesiąt, ale wszystkie sprzedałam”.

William przygląda się parasolowi, waży go w dłoniach, przesuwając palcem po rączce z kości słoniowej i zagląda między czarne, nawoskowane fałdy.

– Bardzo zacny – mruczy pod nosem. – A jeśli dobrze odczytałem napis na metce, należy do niejakiego pana Gilesa Gordona. To dziwne, że go wyrzucił! Wiesz co, panienko? Pan Gordon mieszka tak blisko, że moglibyśmy zapytać go nawet zaraz, czy dobrze mu służył, prawda?

Dziewczyna przygryza wargę i unosi swoje ładne brwi z niepokojem.

– Proszę, panie – skomli. – Parasol dał mi mój stary. Nie chcę mieć kłopotów. Normalnie to ja nie robię takich rzeczy, tylko że ten parasol wpadł mi w reńce, no i... – Gestykuje bezradnie, jak gdyby sądząc, że William zrozumie kierującą nią zasadę ekonomiczną: parasol wysokiej klasy wart jest więcej niż kobieta bez klasy.

Sytuacja staje się patowa. Dziewczyna przyciska rękę do piersi w obronnym, wymownym geście.

Po chwili: – Masz – mówi gburowato William, wręczając jej kilka monet: mniej, niż wart jest parasol, ale więcej, niż dziewczyna ośmieliłaby się zażądać za swoje ciało. – Jesteś zbyt słodka, żeby z mojego powodu trafić do więzienia.

– Och, dzięki ci, panie – woła nieznaną i daje nogę w najbliższą boczną uliczkę.

William marszczy brwi, zastanawiając się, czy słusznie postąpił. Jak na zawołanie, o ironio, wspaniałym zbiegiem okoliczności zza rogu wytacza się z turkotem dorożka, czyniąc dokonany przed chwilą zakup zbędnym – poza tym Rackham nie chce, by plątał mu się po domu cudzy parasol. Z ukłuciem żalu wyrzuca swój nowy nabytek: może znowu znajdzie go ta dziewczyna, a jeśli nie, to... cóż, na tych ulicach nic się nie marnuje.

– Dokąd ma pan życzenie, panie naczelniku? – krzyczy dorożkarz.

Do domu, myśli Rackham, zaciska dłoń na kłamce i dźwiga się w górę, wyciągając nogi z błota.

Głowa Sugar z cichym, głuchym odgłosem opada na stos kartek, nad którymi pracuje. Dochodzi wpół do pierwszej w nocy, jesteśmy w domu pani Castaway. Wokół unosi się stęchła cisza, zapach popiołu i świecowego łoju. Sugar omal nie dusi się w gęstej pajęczynie własnych włosów, kiedy z westchnieniem odzyskuje świadomość.

Wstaje zza biurka i mruga powiekami, nie mogąc uwierzyć, że przysnęła, chociaż zaledwie przed chwilą zastanawiała się głęboko, jakiego słowa powinna użyć w tekście. Atrament na kartce, na którą osunęła się jej głowa, rozmazał się i wciąż lśni. Sugar podchodzi niepewnie do łóżka, żeby przypatrzeć się swojej twarzy w lustrze. Błada skóra jej czoła naznaczona jest maleńkimi, nieczytelnymi, purpurowymi literkami.

– A niech to – mówi.

Kilka minut później leży w łóżku i przegląda to, co napisała. W jej opowieści pojawia się nowa postać, którą spotyka taki sam nędzny los jak wszystkich bohaterów.

– *Proszę – błagał, bezskutecznie szarpiąc jedwabne wstęgi, którymi był przywiązany do słupków baldachimu łóżka. – Puść mnie! Jestem ważnym człowiekiem!*

– *Słyszałam jeszcze wiele podobnych prośb, ale nie zwracałam na nie uwagi. Zajęłam się osetką i sztyletem.*

– *Powiedz mi jednak, podniecony panie, którą część twego ciała winien przeniknąć sztylet, by sprawić ci rozkosz?* – zapytałam w końcu.

Mężczyzna nie odpowiedział, a jego twarz powlekleła się upiorną szarością.

– *Bogactwo wyboru krępuje ci język – podsunęłam mu odpowiedź. – Lecz nie obawiaj się: objaśnię ci wszystkie możliwości i wspaniałe doznania, jakie kryją...*

Sugar marszczy brwi i rozmazany tekst, odbity niby w lustrze na jej czole. Czuje, że czegoś tu brak. Tylko czego? Długi łańcuch innych bohaterów, występujących wcześniej w rękopisie, każe jej wznosić się na szczyty gotyckiego okrucieństwa – i Sugar zawsze z największą przyjemnością szykuje im przerażający los. Dziś jednak, przy ostatniej ofierze, nie potrafi odnaleźć potrzebnej iskry nienawiści, która rozpałiłaby jej prozę. Musi wytoczyć z tego mężczyzny krew, w duchu słyszy jednak obcy głos pokusy: *Och, na litość boską, daruj życie temu nieszczęsnemu głupcowi.*

Miękniesz, karcisz się Sugar. No, dalej, wbij w niego nóż, wbij mu go głęboko w gardło, w tyłek, w bebecchy, aż po rękojęść.

Ziewa i przeciąga się w wygrzanej, czystej pościeli. Sypia w niej samotnie już od dawna, więc przesycona jest wyłącznie zapachem jej ciała. Jak zawsze na łóżku leży kilka przełożonych woskowanym płótnem czystych prześcieradeł, więc kiedy wierzchnie zostanie zabrudzone, z łatwością może je ściągnąć i odsłonić świeże. Zanim w jej życie wkroczył William Rackham, Sugar zdejmowała kolejne prześcieradła z monotonną regularnością; teraz całymi dniami wszystkie spoczywają nie niepokojone. Christopher każdego ranka wchodzi na górę, by zabrać brudną pościel, ale przed drzwiami Sugar nie znajduje nic.

Luksus.

Dziewczyna wsuwa się głębiej pod kołdrę, a na piersi ciąży jej rękopis. Składają się nań rozmaite szpargały i kartki różnych formatów, zamknięte w sztywnej, tekturowej teczce, na której widnieje kilkanaście tytułów. Wszystkie są zamazane, a pod atramentową listą skreśleń ocalały tylko słowa:

napisała Sugar.

Jej powieść to dzieje żywota pewnej młodej prostytutki o sięgających pasa rudych włosach i orzechowych oczach, która pracuje w domu swojej matki, przerażającej kobiety nazwiskiem

Jettison. Nie licząc kilku szarzy wyobraźni – na przykład opisów morderstw – jest to historia jej własnego życia, a w każdym razie życia, jakie wiodła dawniej na Church Lane; historia nagiego, płaczącego dziecka, zwiniętego w kłębek pod zakrwawionym kocem i przeklinającego cały świat; historia pełnych nienawiści uścisków i obrzydliwych pocałunków; historia wyuczonej uległości oraz ukrytego pragnienia zemsty. Jest to także inwentarz zwyrodniałych mężczyzn, tłoczących się w kolejce ludzkich śmieci, paskudnie brudnych, śmierdzących dżinem, whisky albo piwem, sprośnych, o brudnych paznokciach, niemytych zębach, mężczyzn zezowatych, zgrzybiałych, trupio bladych, otyłych, krótkonogich, o włochatych tyłkach i monstualnych członkach – a wszyscy oni czekają na swoją kolej, by wyrwać i pożreć ostatnią ocalałą część niewinności.

Czy w opowieści Sugar występuje szczęśliwy los? Nie! Szczęście, jakie jej przyniósł William Rackham, wszystko by zepsuło. Bohaterka musi doświadczać wyłącznie ubóstwa i poniżenia; ona nigdy nie przeprowadzi się z Church Lane na Silver Street i żaden mężczyzna nigdy nie zaproponuje jej nic, czego pragnie – a przede wszystkim nie przyniesie dziewczynie wybawienia i nie ułatwi jej życia. Gdyby było inaczej, powieść pomyślana jako krzyk wściekłego gniewu mogłaby przekształcić się w jedno z tych romansideł, które kończą się zdaniami w rodzaju „A potem, drogi czytelniku, poślubiłam go” – a których Sugar nie cierpi z całego serca.

Nie, jedno jest pewne: ta opowieść nie może mieć szczęśliwego zakończenia. Bohaterka Sugar mści się na mężczyznach, których nienawidzi. Świat pozostaje jednak w męskich rękach, dlatego pomsta nie ujdzie jej na sucho, a zakończenie należy do nielicznych epizodów, które autorka zaplanowała z góry – książka zamknie się śmiercią bohaterki. Sugar uważa taki koniec za nieunikniony i ma nadzieję, że podobnego zdania będą czytelnicy.

Czytelnicy? Ależ tak! Bez wątpienia zamierza złożyć manuskrypt u wydawcy, gdy tylko skończy pisać. Mógłbyś jednak zapytać z niedowierzaniem, na Boga, kto opublikuje tę książkę i kto ją przeczyta? Tego Sugar nie wie, jest jednak pewna, że ma jakieś szanse. Przecież wydaje się dziś zarówno bezwartościową pornografią, jak i szacowne powieści, nawołujące elegancko do reform społecznych. (Ba, zaledwie kilka lat temu Wilkie Collins ogłosił drukiem powieść pod tytułem *The New Magdalen*, słabą, ugrzecznoną historyjkę, w której pewna prostytutka nazwiskiem Mercy Merrick żywi nadzieję na zbawienie... Jest to książka, którą należałoby cisnąć ze złością w ką, ale jej sukces dowodzi, że publiczność dojrzała już, by czytać o kobietach, które widziały w życiu więcej niż jednego kutasa...) Tak, niewątpliwie gdzieś w świecie znajdą się otwarte umysły, łaknące nieupiększonej prawdy – zwłaszcza w bardziej wyrafinowanej i tolerancyjnej przyszłości, która już puka do drzwi. Kto wie, może Sugar będzie mogła nawet żyć z pisania: kilkuset wiernych czytelników powinno wystarczyć – nie pragnie bowiem sukcesu na miarę Rhody Broughton.

Znów budzi się z westchnieniem, zaniepokojona. Rękopis zsunął się jej z piersi, a kartki rozsypały się na kołdrze. Na samym wierzchu leży pierwsza strona.

Wszyscy mężczyźni są tacy sami, głosi tekst Jeżeli nauczyłam się czegoś w życiu na tej ziemi, to właśnie tego. Wszyscy mężczyźni są tacy sami.

Dlaczego mówię to z takim przekonaniem? Przecież na pewno nie znam wszystkich mężczyzn na świecie! Przeciwnie, kochany czytelniku, znam ich bodaj wszystkich!

Nazywam się Sugar...

Sugar zasypia.

Henry Rackham rozwija papier, wyjmując czerwone serca, ciemne wątroby i blad różowe szyjki kurze, które zakupił od sprzedawcy jedzenia dla zwierząt domowych, po czym rzuca kilka ochłapów na kuchenną podłogę. W jednej chwili dopada ich jego kotka i chwytając mięso w pyszczek, a kiedy połyka z wysiłkiem, jej połyskliwy grzbiet przebiegają skurcze. Kiedyś Henry szepem błagał ją o większą powściągliwość – bał się, żeby się nie rozchorowała, teraz jednak patrzy na nią przychylnie w obliczu łapczywości natury. Wie, że za kilka minut kotka będzie leżeć przed kominkiem z miną niewinną i pogodną jak księżyc. Zamruczy, czując dotyk jego dłoni, i polizę ją, albowiem chociaż Henry umyje ręce, zwierzę wciąż będzie wyczuwać woń daru: krwawego mięsa.

Czego można nauczyć się od kota?, myśli Henry. Być może tego, że wszystkie stworzenia bywają łagodne i spokojne, jeśli nie są głodne.

Jak jednak wytłumaczyć nikczemność istot, które mają co jeść? Kto wie, być może odczuwają one innego rodzaju głód. Łakną łaski, szacunku i boskiego przebaczenia. Jeśli je nim nakarmić, legną obok baranka.

Henry w grubych wełnianych skarpetach przechodzi cicho do saloniku i klęka przed kominkiem. Oczywiście, kiedy tylko zaczyna rozgarniać węgle w palenisku, zjawia się, mrużąc, jego zaspana kotka. Ni z tego, ni z owego Henry zaczyna wspominać, co często mu się zdarza, swoje pierwsze spotkanie z panią Fox – a w każdym razie chwilę, w której po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę. Choć teraz wydaje mu się niepojęte, by mógł nie zauważyć kobiety jej urody, pani Fox utrzymuje, że modliła się obok niego przez kilka tygodni, zanim zdarzyło się to, co tak wyraźnie pamięta.

Było to w 1872 roku, w sierpniu. Pani Fox wniosła świeżą, jasną światłość do wnętrza, stanowiącego wcześniej *camera obscura* Zgromadzenia Modlitewno-Dyskusyjnego Północnego Kensington. Była jakby spełnieniem jego modlitw, albowiem Henry żywił w sercu przekonanie, że Chrystus nie pragnął nigdy tak jezuickiego chrześcijaństwa, jakie proponowało Z.M.D.P.K.

Trevor MacLeish sprowokował ją, aby tamtego sierpniowego dnia zaznaczyła swoją obecność na zebraniu. Jako posiadacz bakalaureatu z nauk przyrodniczych, będący zawsze na bieżąco w tej dziedzinie, zgłosił wątpliwości co do sposobu udzielania wiernym komunii. „Dowiedziano niezbicie, że choroby przenoszą się z człowieka na człowieka, jeżeli z jednego naczynia korzysta, a zwłaszcza pije, więcej niż jedna osoba” – powiedział. Twierdził, że każdy powinien spożywać konsekrowane wino z osobnego kielicha. Ktoś wtedy zapytał, czy nie wystarczy wytrzeć brzeg naczynia, by usunąć bakterie, MacLeish upierał się jednak, że są one odporne na tego rodzaju zabiegi.

Co więcej, MacLeish przyniósł do siedziby Zgromadzenia petycję w tej sprawie, adresowaną do samego arcybiskupa Canterbury, pod którą brakowało jedynie podpisów. Henry sponseśniał na propozycję podpisania petycji, ponieważ uważał całe tę aferę za idiotyzm, obawiał się jednak wyrazić swoją opinię, aby nie posądzono go o papistowski obskurantyzm. Wtedy zabrała głos pewna młoda dama, nowa członkini Zgromadzenia Północnego Kensington, niejaka pani Fox, która oświadczyła:

– Doprawdy, panowie, to niezgodny z Biblią nonsens.

MacLeish zmienił się na twarzy, ale po chwili, wedle wskazówek pani Fox, wszyscy otworzyli swoje egzemplarze Pisma na Ewangelii według św. Łukasza i odszukali wersy 37-41 w rozdziale 11, po czym dama, choć nikt jej do tego nie zachęcał, odczytała ów tekst, kładąc szczególny nacisk na następujące słowa: „Właśnie wy, faryzeusze, dbacie o czystość zewnętrznej strony kielicha i misy, a wasze wnętrza pełne jest zdzierstwa i niegodziwości”¹⁸.

Przyjemnie było popatrzeć, jak czerwony niby rak MacLeish składa ukradkiem swoją petycję na czworo – lecz uświadomić sobie, że istnieje na świecie ktoś taki jak pani Fox, było prawdziwą rozkoszą. To zaś, że niewiasta, i to taka, której niepospolita uroda zapewne utrudnia życie religijne, może być znakomicie odczytana w Biblii, wydawało się Henry’emu niemal cudem. Zaprzagnął wtedy usłyszeć ją raz jeszcze. I nadal uwielbia jej słuchać.

Następnym razem, gdy William odwiedza Sugar, przynosi ze sobą dwie książki, które obiecał jej dostarczyć podczas ostatniego spotkania.

– Och! Pamiętałeś! – woła dziewczyna, łasząc się do niego jak szczenię. Jest ubrana wyjściowo, w suknię z ciemnobłękitnego i czarnego jedwabiu; włosy ma starannie ułożone, a wszystkie fałdy równiutko zaprasowane. Miękkie rękawy szepczą i szeleszczą, kiedy obejmuje go w pasie ramionami, a jej pachnące włosy są lekko wilgotne.

William spostrzega ponad ramieniem dziewczyny, że w sypialni panuje idealny porządek: Sugar zawsze dba o ład z myślą o nim. Na wytapetowanych ścianach widać blade, nieokopcone dymem prostokąty tam, gdzie kiedyś wisiały marne pornograficzne grafiki, a chociaż od chwili, kiedy stąd zniknęły, minęło kilka miesięcy, ich nieobecność nie przestaje go wzruszać, ponieważ Sugar

18 Cytat za Biblią Tysiąclecia, podobnie jak w innych miejscach (przyp. tłum.).

pozbyła się rycin, by sprawić mu przyjemność. Jak ona to powiedziała? Ach, tak: – Od tej chwili tylko ty i ja decydujemy, co dzieje się w tym pokoju! – Ma giętki język, nawet... dosłownie.

William kładzie dłonie na jej kościstych barkach i czule odsuwa ją na odległość ramienia, a dziewczyna uśmiecha się do niego szeroko. Jest dwakroć piękniejsza niż ostatnio. Przyglądał się jej już wiele razy, ale zawsze jedynie jakby w półcieniu, teraz zaś widzi ją w pełnym świetle dnia! Dzisiaj Sugar ma pełniejsze usta, jeszcze kształtniejszy nos i jaśniejsze oczy, a w jej kasztanowych brwiach (jak mógł nie zauważyć tego wcześniej!) widać pojedyncze, ciemnopurpurowe włoski.

– Tak, tak, oczywiście, że pamiętałem. – William odwzajemnia szeroki uśmiech dziewczyny. – Mój Boże, jakaś ty śliczna.

Sugar spuszcza głowę i czerwieni się. Tak, Rackham gotów jest przysiąc, że to prawdziwy rumieniec, bo przecież nikt nie potrafi udawać, że się rumieni! Widać naprawdę sprawił jej przyjemność tym komplementem!

– Którą chcesz najpierw? – pyta, wyciągając zza pazuchy obiecane książki.

– Ty zdecyduj – mówi Sugar, cofając się w stronę łóżka.

William podaje jej świeżo wydrukowany egzemplarz *Skuteczności modlitwy* pióra panów Philipa Bodleya i Edwarda Ashwella. Wyjaśnia, że ten skromny tomik wywołał już sensację, szczególnie wśród licznych duchownych, z którymi Bodley, syn biskupa Bodleya, prowadził „nieformalne” pogawędki. Autorom grożą liczne procesy o zniesławienie, ale ponieważ książka podaje jedynie inicjały rozmówców i nazwy miejscowości, z których pochodzą (wielebny H. ze Stepney: *Nie łudzę się, że zrozumieć, dlaczego Bóg uważa za konieczne, bym cierpiał na lumbago*), wysiłki oskarżycieli spełzną zapewne na niczym.

Sugar przysiadła na brzegu łóżka, kartkuje szczupłą książeczkę i szybko poznaje się na jej zjadliwości. Zna takich mężczyzn jak Bodley i Ashwell. Perorują głośno, dostają często ataków śmiechu i udają, że pragną deflorować dziewice, choć w tajemnicy pożądamy uścisków grubych, piersiastych matron.

(jeżeli lekko licząc, 2 500 000 brytyjskich dzieci modli się codziennie o zdrowie dla swoich mamus i tatusiów, to czy na podstawie aktualnych danych na temat śmiertelności wolno nam wnioskować, że młodociani petenci, zanoszący prośby do Wszchemogącego, powinni raczej próbować chronić swoich rodziców w inny sposób?)

O, tak, zna podobnych mężczyzn doskonale. Zawsze są podpici i zawsze trochę skrepowani, chędożą bez końca, nie mogą się spuścić, a potem nie chcą sobie pójść. Czy powinna zatem chwalić ich dzieło? Sugar odtwarza w swojej niezwykłej pamięci tamten dzień, kiedy William opowiadał jej o obu przyjaciółach, swoich kompanach z oddalającej się coraz bardziej młodości. Czy może zaryzykować?

Dziewczyna uśmiecha się.

– Ależ to... – Przygląda się wyrazowi jego twarzy i stawia wszystko na jedną kartę. – ...zwykła dziecinada.

William marszczy brwi; przez chwilę wydaje się bliski dezaprobaty, a może nawet gniewu, potem rozsmakowuje się jednak w swojej wyższości wobec przyjaciół oraz irytacji, jaką wzbudzają w nim ich infantylne żarty. Pomiedzy Williamem a Sugar zapanowuje nagle miłosa harmonia tkliwości.

– Owszem – odpowiada Rackham niemal w zadziwieniu. – Prawda?

Sugar rozkłada się wygodnie, opiera łokieć na materacu i wypina biodro pod opinającą je ciasno spódnica.

– Jak sądzisz, czy autorzy nie mają nic lepszego do roboty?

– Nie, nic – potwierdza William. Jakie to dziwne, że nigdy dotąd nie zdał sobie z tego sprawy! To jego dwaj najstarsi przyjaciele, a okazuje się, że ziele między nimi przepaść, którą mógłby zasypać jedynie wtedy, gdyby zaczął znów próżnować jak oni albo gdyby Bodley i Ashwell znaleźli sobie coś lepszego do roboty. Cóż za przenikliwość z jej strony! I mówi to ta czarująca

młoda kobieta, którą dane mu było szczęśliwie zdobyć na własność. Doprawdy, nadeszły dziwne i ważne lata jego życia.

William zabiera jej książkę Bodleya i Ashwella, do której Sugar najwyraźniej traci cierpliwość, i z wahaniem wręcza dziewczynie katalog wyrobów Rackham Perfumeries na zimę 1874 roku. (Katalog wiosenny nie jest jeszcze gotowy). Sugar znów go zdumiewa, ponieważ patrzy mu prosto w oczy i pyta:

– Ale, ale, powiedz mi, Williamie... jak interesy?

Żadna kobieta nigdy nie zadała mu takiego pytania, które jest daleko bardziej nieobyčajne niż rozmowa o cipach i kutasach.

– Och... doskonale, doskonale – odpowiada.

– Nie, pytam poważnie – mówi Sugar. – Jak idą interesy? Konkurencja jest zapewne straszliwa.

Zakłopotany William mruga powiekami i chrząka.

– Cóż, hmm... śmiem twierdzić, że firma Rackham pnie się w górę.

– A twoi rywale?

– Pears i Yardley są nie do pokonania, a Rimmel i Rowland trzymają się całkiem dobrze. Nisbett miał w zeszłym roku kiepskie wyniki i chyba pada. Hinton ledwie zipie, niewykluczone, że wyzienie ducha...

Jakże dziwna staje się ta rozmowa! Czy między nim a Sugar wszystko jest możliwe? Najpierw literatura, a teraz coś podobnego!

– To dobrze – dziewczyna uśmiecha się z przymusem. – Na pohybel twoim rywalom: oby zaczęli padać jeden za drugim. – Po chwili otwiera i przegląda katalog. William siedzi tuż przy niej. Otacza Sugar ramieniem i wciska kolana w jej rozgrzaną spódnicę.

– Pod koniec zimy mydło, płyny kąpielowe i tym podobne rzeczy zawsze sprzedają się dobrze – informuje ją William, żeby przerwać ciszę.

– Doprawdy? – pyta Sugar. – Może dlatego, że o tej porze roku ludzie myją się chyba chętniej niż zwykle.

William się śmieje. Przebywają w swoim towarzystwie już od piętnastu minut i oboje są wciąż całkowicie ubrani jak pierwsze lepsze małżeństwo.

– Być może – odpowiada. – Ale przede wszystkim ma to związek z Sezonem. Damy lubią zaopatrywać się w kosmetyki zawczasu, więc kiedy przychodzi maj i trzeba stawić czoło tłumom klientów w sklepach, kupują tylko imponujące, efektownie opakowane prezenty, bo zapasy zgromadziły już wcześniej.

Sugar czyta uważnie. Kiedy Rackham gładzi ją po policzku, dziewczyna czule wtula się w jego dłoń i całuje go w palce, nie odrywając wzroku od katalogu. Nawet kiedy William kłęka u jej stóp i sięga pod spódnice, Sugar czyta dalej, przesuając się tylko nieco do przodu na łóżku, by łatwiej sięgnął celu, poza tym jednak udaje, że nie wie, co z nią robi. Williama podnieca ta gra. Przez warstwy miękkiej tkaniny, która po chwili spowija go ciemnością, słyszy stłumiony i jednocześnie wyraźny szelest odwracanej kartki – a zapach kobiecego podniecenia wionie mu prosto w nos.

Kiedy jest już po wszystkim, Sugar leży na brzuchu na łóżku, wciąż pochłonięta lekturą. Dysząc po wysiłku, odczytuje na głos poszczególne hasła.

– Mleczko Lawendowe firmy Rackham. Lawendowe Puszki firmy Rackham. Lawendowe Kulki Przeciwmołowe firmy Rackham. Inkarnatkowe Krople firmy Rackham. Kruczy Olejek firmy Rackham... – Dziewczyna mruży oczy, odczytując wypisane drobnym drukiem nazwy, i przewraca się na bok. – Wysokiej klasy nieszkodliwy ekstrakt, niebędący farbą do włosów, barwi szybko i trwale. – Sugar marszczy brwi, przeglądając katalog.

– Oczywiście ten ekstrakt jest farbą – parska William, zawstydzony i jednocześnie nieco poruszony szczerością i intymnością relacji, w którą wciąga go Sugar.

– Śnieżny Pył firmy Rackham – ciągnie Sugar. – Czy twoją piętą achillesową są cuchnące stopy? Spróbuj Balsamu do Stóp firmy Rackham, który nie jest produkowany na bazie mydła. Receptura medyczna sporządzona na podstawie danych naukowych. Aureolina firmy Rackham. Daje powszechnie podziwiany złocisty kolor za cenę dziesięciu szylingów i sześciu pensów, chociaż nie jest farbą. Poudre juvenile firmy Rackham...

William spostrzega, że jej francuski akcent wcale nie jest zły, a nawet lepszy, niż można by się spodziewać. Od pasa w górę Sugar jest równie *soignée* jak każda znana mu dama, kiedy tak recytuje nazwy produktów jego firmy niczym poezję; a od pasa w dół...

– Lekarstwo Przeciwkaszlowe firmy Rackham. Nie zawiera żadnych szkodliwych substancji. Płyn Kąpielowy firmy Rackham. Jedna butelka wystarcza na cały rok. Czy cuchną ci stopy? Aby oszczędzić sobie rumieńców wstydu, stosuj Siarkowe Mydło firmy Rackham, które nie zawiera ołowiu, w cenie jednego szylinga i sześciu pensów...

Nagle William wpada w rozdrażnienie: czy Sugar z niego drwi? W przypominającym cichy pomruk głosie dziewczyny nie słychać żadnych śladów braku szacunku. Nogi ma wciąż rozwarte i widać wyciekającą spomiędzy nich białą obfitość nasienia firmy Rackham. A jednak...

– Kpisz ze mnie? – pyta William.

Sugar odkłada katalog i pochyla się nad Rackhamem, żeby pogłaskać go po głowie.

– Oczywiście, że nie. Dla mnie to są wszystko nowe rzeczy. Chcę się czegoś nauczyć.

William, któremu pochlebiają te słowa, wzdycha zawstydzony. – Jeżeli pragniesz uzupełnić luki w wykształceniu, przeczytaj lepiej Katullusa niż katalog Rackhama.

– Och, ale to nie ty go napisałeś, prawda, Williamie? – pyta dziewczyna.

– Powstał jeszcze za czasów twego ojca, czy nie tak?

– Niewątpliwie jest pióra kilku autorów.

– Z których na pewno żaden nie może ci dorównać elegancją stylu – mówi Sugar i rzuca Rackhamowi łagodne wyzwanie, wpatrując się w niego uważnie.

William sięga po spodnie.

– Nie wiedziałbym nawet, jak zacząć.

– Och, mogłabym ci pomóc. Podsuwałabym ci różne pomysły. – Sugar uśmiecha się lubieżnie.

– Jestem w tym bardzo dobra. – Znow sięga po katalog i wskazuje palcem jakiś wiersz. – Zauważyłam na przykład, jak się zachnąłeś, kiedy to przeczytałam: „Czy cuchną ci stopy?”. Zgadzasz się, jest to dosyć plebejskie sformułowanie.

– Och, tak – stęka William i słyszy głos ojca, wyobrażając sobie, jak stary Rackham kreśli te ohydne słowa swoim idiotycznym, zielonym atramentem, nieznacznie wysuwając język z pomarszczonych ust.

– Zastanówmy się zatem nad jakimś innym sformułowaniem, godnym firmy Rackhama – mówi Sugar, osłaniając spódnicą nogi aż po kostki. – To znaczy, godnym firmy pana Williama Rackhama.

Oszołomiony William otwiera usta, żeby zaoponować, ale szybka niczym ptak dziewczyna rzuca się na niego i kładzie mu spierzchnięty palec na ustach.

– Cśśś – ucisza go.

W położonym wiele mil dalej domu kobieta, którą William przysięgł przed Bogiem kochać, czcić i chronić, uważnie ogląda w lusterku swoje odbicie. Na jej czole, tuż poniżej zwiewnej, złocistej grzywki, pojawił się nabrzmiały, pulsujący pryszcz. To nie do wiary, zważywszy na to, jak często i starannie przemywa gąbką twarz, ale pryszcz urósł – i już.

Pod wpływem nagłego impulsu Agnes usiłuje wycisnąć krostę kciukiem i palcem wskazującym. Ból rozlewa się po jej twarzy jak płomień, pryszcz jednak nie ustępuje, zaognia się tylko bardziej. Powinna była uzbroić się w cierpliwość i zastosować Balsam na Wypryski firmy Rackham. A teraz krostka wrosła już głęboko.

Pani Rackham trzyma lusterko w ręce i widzi w swych oczach strach. Miała już kiedyś pryszcz dokładnie w tym samym miejscu. Okazał się wtedy zwiastunem czegoś o wiele, wiele gorszego. Bóg chyba ją jednak oszczędzi, teraz, u progu Sezonu? Agnes wydaje się, że w różowej muszli ucha wewnętrznego rozbrzmiewa pulsowanie jej nieszczęsnego mózgu.

Dlaczego, och, dlaczego jest kobietą tak wątłego zdrowia? Przecież nikogo nie skrzywdziła i nie zrobiła nic złego. Kiedyś, jeszcze zanim przyszła na świat, mogła z pewnością wybierać między wieloma różnymi powłokami cielesnymi, czekającymi na nią w wielu różnych miejscach, a każde z tych ciał zostałoby następnie wyposażone we własną świętą przyjaciół, znajomych i wrogów. Być

może to miejsce i ciało, które obecnie zajmuje, przypadło jej do gustu z najbliższych na świecie powodów, a teraz klamka zapadła, i nie może go już opuścić! Niewykluczone, że kiedy dokonywała wyboru, jakiś potny duszek rozproszył jej uwagę... Wyobraża sobie, że spoglądała wtedy na ziemię z góry, z niebios, ze świata duchów, przyglądała się wszystkim ładnym ciałom, jakie miała do dyspozycji, i próbowała się zdecydować, czy miło byłoby być panną Agnes Pigott, podczas gdy wokół tłoczyły się inne duchy, pragnące powrócić do życia w ludzkiej postaci. (Niechaj Bóg broni, by doktor Curlew znalazł kiedyś jej ukryty kuferek z książkami o spirytyzmie i życiu pozagrobowym. Bo jeśli go znajdzie, to koniec!)

Ach, te głębokie myśli jednak wcale jej nie pomagają. Musi zaakceptować ciało, w którym żyje, bez względu na to, czy dokonała niewłaściwego wyboru, czy nie, albowiem jeśli ma dać sobie radę w nadchodzącym Sezonie, powinna znajdować się w pełni niczym nieograniczonych władz cielesnych.

Próbuje więc bohatersko przeżyć kolejny dzień, zmuszając się do różnych trywialnych czynności – czesze włosy, piłuje paznokcie, prowadzi dziennik – i stara się, jak może, nie zwracać uwagi na wynikające z jej niezdarności pomyłki. Na skórze Agnes niespodziewanie pojawiają się drobne zadrapania i otarcia; sińce rozprzestrzeniają się na jej ciele jak ospa; mięśnie szyi, ramion i pleców ma tak napięte, że zdaje się, iż lada chwila pękną, a lśniąca krosta na czole ciągle pulsuje bólem.

Proszę, nie, proszę, nie, proszę, nie, powtarza bez przerwy jak różańcową modlitwę. *Nie chcę znowu krwawić.*

Uważa, że krwawienie z podbrzusza jest przerażające i nienaturalne. Nikt nie wyjaśnił jej nigdy, czym jest menstruacja – nigdy nie słyszała nawet tego słowa i nie widziała go w druku. Doktor Curlew, jedyny człowiek na świecie zdolny ją oświecić, nie czyni tego, zakłada bowiem, że nie jest możliwe, by jego pacjentka wyszła za mąż, urodziła dziecko i dożyła dwudziestej trzeciej wiosny życia, nie mając elementarnej wiedzy o podstawowych procesach życiowych. Doktor jednak się myli.

Wszystko to nie jest jednak takie dziwne: przed poślubieniem Williama siedemnastoletnia wówczas Agnes miesiączkowała zaledwie kilka razy, a od tamtej pory wciąż choruje. Każdy wie, że ludzie chorzy krwawią – krwawienie jest objawem ciężkiej choroby. Jej ojciec (prawdziwy) też przecież krwawił na łożu śmierci, choć wcale nie był ranny, a Agnes pamięta jeszcze, że kiedy w dzieciństwie zobaczyła leżące w kałuży krwi jagniątko, niania powiedziała jej, że zwierzę jest „chorowite”.

Cóż, teraz to ona, Agnes, jest chorowita. I krwawi od czasu do czasu.

Nie wykryła w tym krwawieniu żadnej regularności. Dolegliwość pojawiła się po raz pierwszy, kiedy ukończyła siedemnaście lat, i została uleczona dzięki modlitwie oraz postom, a potem, po ślubie, nie powracała przez blisko rok. Później znów zaczęła jednak pojawiać się co miesiąc albo dwa – a czasem nawet trzy, jeśli Agnes się głodziła. Za każdym razem żona Williama żywi nadzieję, że krwawi po raz ostatni, a teraz modli się, aby los oszczędził ją do sierpnia.

– Po Sezonie. Możecie mnie wziąć po Sezonie – obiecuje demonom, które źle jej życzą. Czuje jednak, że jej brzuch już pęcznieje.

Kilka dni później, kiedy William bawi w interesach w Dundee (gdzie to może być, na Boga), Sugar postanawia obejrzeć jego dom. A dlaczego nie? Gdyby nie wyszła, próżnowałaby tylko w swoim pokoiku w domu pani Castaway, utknęła bowiem na ostatnim bohaterze powieści, nie mogąc się zdecydować, jaki los mu przypadnie.

Współpraca z Williamem nad tekstami do nowych katalogów firmy okazała się niezwykle owocna – zarówno dla niego, jak dla niej. Rozentuzjasmowany William, chcąc zanotować jakąś jej propozycję, wyciągnął z kieszeni starą kopertę, na której zrzędzeniem losu widniał jego adres. – A co powiesz na to: „Przywróć swoim włosom należny im blask?!” – spytała, starając się zapamiętać ulicę i numer domu.

Siedzi teraz w omnibusie w otoczeniu starsuszków i uczciwych młodych kobiet, jadących z miasta do North Kensington. Jest poniedziałkowe popołudnie, pogoda zmienia się co chwila, ona

zaś jedzie zobaczyć, gdzie szanowny William Rackham udaje się zazwyczaj na nocny spoczynek. Sugar ma na sobie luźną, gładką wełnianą suknię w kolorze niebieskim, najmniej gustowną z całej jej kolekcji i tak niemodną, że każda kobieta, która nie przekroczyła jeszcze trzydziestki, wyglądałaby w niej żałośnie. I rzeczywiście, Sugar odnosi wrażenie, że w kilku jadących omnibusem damach jej widok budzi litość, przynajmniej jednak nikt nie podejrzewa, że jest prostytutką. W przeciwnym wypadku znalazłaby się w kłopotliwej sytuacji, albowiem w zamkniętym pojeździe nie ma innej możliwości, jak tylko siedzieć twarzą w twarz z towarzyszami podróży.

– To już High Street – szepcze jakiś starzec do swojej żony, siedzącej obok Sugar. – Szybko jedziemy.

Sugar przygląda się krajobrazowi ponad pomarszczonymi obliczami staruszków. Świat za oknem jest słoneczny, zielony i ogromny. Omnibus zwalnia, a potem staje.

– Chepstow Villa-a-a-s!

Sugar wysiada w ślad za wiekową parą. Nie oddalają się od niej spieszonym krokiem i nie mają nic przeciwko temu, że idzie za nimi, sądzą bowiem, że jest porządna jak oni. Wybrała widocznie idealne przebranie.

– Chłodno, nie sądzisz? – mruczy jedno z miłych staruszków do drugiego, choć słońce mocno grzeje spocone plecy Sugar.

Jestem młoda, myśli. *Mnie oświecła inne słońce niż ich*. Idzie powoli, puszczając starców przodem. Grunt pod jej stopami jest wyjątkowo płaski; w pewnym sensie tutejszy bruk przypomina parkiet. W wyobraźni Sugar widzi armię robotników, którzy na oczach pogodnych obywateli cierpliwie kończą brukowanie ulicy, jak gdyby to była dziecinna układanka. Idzie dalej, wciąga w nozdrza świeże powietrze i wybałusza oczy na okazałe nowe domy, próbując chłonąć atmosferę Notting Hill i zrozumieć, co mówi o człowieku mieszkaniu w takiej dzielnicy. *Mój William oddycha miejscowym powietrzem, a nie zgnilizną miasta*, zdaje sobie sprawę Sugar.

To, czego dowiedziała się dotąd o Williamie Rackhamie, raczej nie wystarczyłoby do napisania książki. Wie, które naturalne otwory ciała ceni sobie najwyżej (ma w tej kwestii tradycyjne upodobania, chyba że jest w złym humorze) i co sądzi o rozmiarach swojego dyszla (budzą one chyba szacunek, prawda, choć są zapewne mężczyźni hojniej wyposażeni przez naturę), a poza tym dobrze zapamiętała wszystkie jego sądy na temat literatury, włącznie z ostatnimi ciętymi uwagami, jakie wygłosił pod adresem George Eliot. Ale William Rackham jako głowa rodziny i obywatel? To nieuchwytna istota, niepozwalająca się utożsamić z kochankiem, którego Sugar pieści.

Idzie więc teraz ulicą, przy której stoi jego dom, zdecydowana dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Jak tu cicho! I przestronnie! Wszędzie widać jeziora zieleni i drzewa! Jedyne z rzadka spotyka nielicznych przechodniów – nie oferują nic na sprzedaż, są zamyśleni i swobodni, po prostu się przechadzają. Powozy strasznie leniwie wytaczają się na ulicę, po czym równie spokojnie odjeżdżają. Nigdzie nie słychać głośnych śmiechów, okrzyków rozpacz czy hałasujących zakładów fabrycznych, nie widać przyprawiających o zawrót głowy kominów na zrujnowanych domach i nie czuć woni odchodów – w oczy rzucają się tylko zasłony w oknach i ptaki na drzewach.

Pewien wielki, stojący z dala od ulicy dom otacza świeżo pomalowane żeliwne ogrodzenie. Przechodząc obok, Sugar gładzi jego warkocze i węzły. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że dominującym motywem ozdobnej konstrukcji jest monogram „R”, powtarzający się setki razy pośród fantazyjnych wzorów.

– Eureka – szepcze Sugar.

Poprawiając przekrzywiony czepek, zerka przez oczko największego „R”, jakie udaje jej się znaleźć. Otwiera szeroko usta ze zdumienia, przyglądając się domowi, jego kolumnom, portykom, podjazdowi i ogrodowi.

– Mój Boże. Kochany Willie, będziesz musiał dbać o mnie troskliwiej niż dotąd – mówi cicho.

W tej chwili jednak otwierają się frontowe drzwi domu Rackhama, a Sugar natychmiast cofa dłoń z ogrodzenia i ucieka. Spieszy za róg, na boczną, idącą łukiem uliczkę, nie rozglądając się ani w lewo, ani w prawo, i żałuje, że nie jest niewidzialna. Nic więcej nie może zrobić, jeżeli nie

chce biec – a turniura i tak obija się już o jej pupę. Zrywa się silny wiatr, choć dotąd było bezwietrznie (a może wiał jej w plecy i delikatnie popychał Sugar do przodu?), który szczypie dziewczynę w twarz, o mało nie zrywa jej czepka z głowy i szarpie za suknię. Sugar znajduje schronienie i znika za pierwszym napotkanym po drodze pomnikiem: marmurową kolumną, upamiętniającą poległych w wojnie krymskiej.

Wygląda zza cokołu, dotykając policzkiem nazwisk martwych młodzieńców – drobnych ubytków w marmurowej gładzi. Ulicą Pembroke przechodzi szczupła blondynka o idealnej figurze, ubrana w czekoladowośmietankową suknię. Idzie żwawo, kołysząc lekko biodrami, co widać, gdy się zbliża. Jej oczy są tak duże i błękitne, że ich urodę da się zauważyć nawet z odległości dwudziestu jardów.

Sugar nie ma najmniejszych wątpliwości, że jest to małżonka Williama Rackhama.

Wspominał o niej raz czy dwa, porównując ją z Sugar, nie powiedział jednak, jak się nazywa, dziewczyna nie zna więc imienia tej ładnej, młodej kobiety, która tymczasem podchodzi coraz bliżej. Chyba „Wiecznie Chora”. Nie licząc pełnego biustu, pani Rackham zajmuje ciało niezwykle dzieciennych rozmiarów. Zresztą ciało to nie jedyny dziecienny aspekt jej osoby; Sugar jest ciekawa, czy ta kobieta zdaje sobie sprawę, że idąc ulicą, przygryza dolną wargę?

Kiedy pani Rackham mijają pomnik, dzieje się coś dziwnego: oto w całym North Kensington następuje niezwykle zjawisko meteorologiczne – słońce, choć zasłaniają je płachty ciemnoszarych obłoków, świeci wciąż tak intensywnie, że nawet chmury zaczynają się jarzyć jaskrawym blaskiem. W dole cała uliczka wypełnia się rozproszonym światłem, nadającym nienaturalną wyrazistość każdemu kamieniowi, listkowi i latarni. Wszystkie kształty rysują się ostro i żaden kontur nie blednie, chociaż są obnażone i jednocześnie zamglone blaskiem równie zdradliwym jak światło zorzy polarnej.

Pani Rackham staje jak wryta, unosząc wzrok ku niebu w widocznym przerażeniu. Schowana za kolumną, Sugar widzi skurcz białej szyi żony Williama – która konwulsyjnie przełyka ślinę – dostrzega błysk strachu w jej oczach i zaogniony, czerwony pryszcz na czole.

– Wszyscy święci i aniołowie, ratujcie! – woła pani Rackham, a potem odwraca się na pięcie i ucieka. Choć jej maleńkich stopek właściwie nie widać pod suknią, obszytą jakby pieniącą się koronką, sunie z powrotem do domu w dół ulicy niczym paciorek na sznurku – nienaturalnie prosto i szybko. Po chwili śliczny czekoladowy koralik postaci pani Rackham skręca i znika w bramie posiadłości Williama, jak gdyby posłuszny krzywiźnie sznurka, na którym wisi.

Kilka sekund później chmury znowu odsłaniają słońce i świat traci niesamowitą wyrazistość. Wszystko wraca do normy – bogowie zostali przebłagani.

Sugar wstaje, strzepując pył ze spódnic. Porusza się ociężale, jak wyrwana z głębokiego snu. W jej głowie kołocze tylko jedna myśl: *Dlaczego William nie powiedział mi, że jego żona ma taki piękny głos?* W uszach Sugar głos pani Rackham, nawet sparaliżowanej strachem, brzmi niczym głos ptaka – rzadkiego ptaka, poszukiwanego ze względu na piękny śpiew. Czy jest na świecie mężczyzna, który mogąc obcować z tym głosem, kiedy tylko zapragnie, nie słuchałby go jak najczęściej? Czy jest na świecie ucho, które mogłoby się takim głosem zmęczyć? To głos, z jakim Sugar chciałaby się urodzić: nie chrapliwy i niski, jak jej krakanie, lecz czysty, wysoki i melodyjny.

Wracaj do domu, głupia, mówi do siebie ostrzegawczo, kiedy pierwsze krople deszczu rozpryskują się o cokół. *To świeże powietrze uderza ci do głowy.*

*

Kilka dni później Henry Rackham składa wizytę swojemu bratu, Williamowi, ponieważ rozpaczliwie pragnie się komuś zwierzyć, nie ma jednak na świecie żadnego powiernika, wyjąwszy panią Fox, której w żadnym wypadku nie może jednak wyznać tego właśnie sekretu.

Trzeba powiedzieć, że stosunki między braćmi nie zawsze układały się harmonijnie. Choć łączą ich więzy krwi i chociaż Henry usprawiedliwia rozmaite podejrzone postęпки swego brata, nie może nie dostrzegać dzielących ich obu różnic. Pobożność, na przykład, nigdy nie była mocnym punktem Williama, mimo że – sądząc po ich rozmowach sprzed lat – obaj gorąco pragną naprawiać świat i reformować angielskie społeczeństwo.

Z punktu widzenia Williama jego starszy brat stanowi nader ponure towarzystwo. Jak ujął to kiedyś w rozmowie z Bodleyem i Ashwellem, Henry ma w oczach spojrzenie wilkołaka, który najpierw gwałci dziewice, a potem, nękany wyrzutami sumienia, biczuje się w zamczysku, otoczonym przez żądnych jego krwi wieśniaków z płonącymi pochodniami w rękach – niestety, braterskie odwiedziny nie przebiegają nigdy według tak smakowitego scenariusza. Przeciwnie, Henry, używając irytująco mglistego i mętnego języka, jęczy zawsze, że nie nadaje się do niczego, do czego pcha go ambicja. Zaiste byłby żalosnym dyrektorem Rackham Perfumeries! Całkiem możliwe, że przeniesienie na Williama praw do sukcesji to jedyny mądry uczynek w życiu tego nudziarza!

Mimo to William ostatnio postanowił być wielkoduszny i gościnnie dla brata, jak również wybaczać mu wszystkie jego wady. Decyzja ta wynika z obecnej pozycji Williama: jako nowa głowa rodu Rackhamów powinien przyjmować wizyty i służyć radą krewnym, którzy znajdują się w tarapatach.

Owego deszczowego popołudnia, kiedy Henry wykrztusza wreszcie swój sekret, w domu jest tak zimno, że obaj bracia żałują, iż w posiadłości Williama zagościła już wiosna. Owszem, wyniesienie zimowych mebli to obowiązek towarzyski, do którego należy się stosować, Agnes jednak spełniła go nieco za wcześnie, dlatego teraz, skutkiem jej poleceń, kominek w salonie jest nie do użycia. Wprawdzie siła przyzwyczajenia nakazuje braciom siedzieć w jego pobliżu, kominek jest jednak pusty i wymięciony, w palenisku zaś, gdzie powinny buchać płomienie, pyszni się niewielki filodendron i koronkowe zasłonki, haftowane w krokusy, drozdy i inne symbole wiosny. Henry wyciąga szyję w kierunku brata i kominka, chcąc ogrzać się przy ogniu, który nie płonie.

– Williamie – mówi, a na jego zmarszczonym czole tworzy się bruzda, którą brat pamięta jeszcze z czasów, gdy Henry był zaledwie siedmioletnim chłopcem. – Czy sądzisz, że to rozsądne z twojej strony spotykać się tak często z Bodleyem i Ashwellem? Wiesz, że wydali właśnie pewną książkę... *Skuteczność modlitwy*... Widziałeś ją?

– Podarowali mi egzemplarz – przyznaje William. – Wieczni chłopcy, co?

– Tak, chłopcy... – wzdycha Henry. – Potrafią jednak czynić zło jak mężczyźni.

– Och, czy ja wiem? – odpowiada William, który krzyżuje ręce na piersiach, ponieważ przenika go ziąb, i rzuca okiem na zegar. – Kierują przeciw swoje nauki do... ach... do „nawróconych” to chyba w tym wypadku niewłaściwe określenie? No, więc powiedzmy, że do „odwróconych”. Jak myślisz, ilu ludzi naprawdę zmieni swój stosunek do modlitwy po lekturze tej książki?

– Każda dusza ludzka jest bezcenna – unosi się gniewem Henry.

– Ach, niedługo wszystko rozejdzie się po kościach – uspokaja go młodszy brat. – Skandal wokół ostatniej książki Ashwella, *Nowej Duncjady*, trwał przez dwa miesiące, a potem...? – William raptownie rozczapierza dłoń, naśladując gestem rozwiewający się w powietrzu kłęb dymu.

– Tak, ale oni objeżdżają z tą książką całą Anglię. Wyruszyli z nią na coś w rodzaju... wielkiego *tournée*. Prezentują ją w klubach robotniczych i tym podobnych miejscach niby dwugłową żyrafę. Czytają na głos fragmenty z podziałem na role, parodiują anemicznych, leciwych duchownych albo popędliwe wdowy, a potem proszą publiczność o pytania...

– Skąd ty to wszystko wiesz? – pyta William, bo sam na ten temat nic nie słyszał.

– Nieustannie gdzieś się na nich natykam! – woła Henry, jak gdyby rozpaczał nad własną bezsilnością. – Jestem przekonany, że mnie prześladują... To nie może być wyłącznie przypadek. Ty jednak, Williamie, musisz być ostrożny... Nie, nie uśmiechaj się... Williamie, oni zaczynają cieszyć się złą sławą, a jeśli będziesz widywany z nimi w dobrej komitywie, ich zła sława zapewne przypadnie w udziale także tobie.

William wzrusza beztrząsramionami. Jest teraz zbyt zamożny, aby obawiać się plotek ze strony świętoszków, a tak czy inaczej zauważył, że najlepsze sfery ostatnio wręcz poszukują towarzystwa ludzi cieszących się złą sławą, chcąc przydać swoim przyjęciom nieco pikanterii.

– To moi przyjaciele, Henry – upomina go łagodnie. – Od dawna... od prawie dwudziestu lat.

– Tak, tak, kiedyś byli też moimi przyjaciółmi – stęka starszy brat. – Nie potrafię jednak być wobec nich lojalny jak ty, po prostu nie potrafię! Przysparzają mi jedynie wstydu. – Henry zaciska swoje szerokie dłonie na kolanach, aż bieleją mu kłykcie. – Czasami, choć ciężko mi się do tego

przyznać, pragnę nie mieć z nimi nic wspólnego i najzwyczajniej w świecie wyrzucić ich z pamięci wraz ze wspomnieniem człowieka, którym kiedyś byłem. Czasami pragnę obudzić się pewnego dnia w nowym świecie, wśród całkiem obcych ludzi, którzy znalazliby mnie tylko jako... jako...

– Jako osobę stanu duchownego? – podpowiada William, wpatrując się litościwie w dłoń Henry’ego, zaciskając się na jego nieforemnych kolanach niczym na brzegu ambony.

– Tak – wyznaje Henry i (och, na litość boską!) zwiesza głowę.

– Nie przyjąłeś przecież święceń, co? – pyta William, zastanawiając się, czy to jest właśnie ów bardzo wstydlivy sekret, który brat usiłuje mu z takim trudem wyjawiać.

– Nie, nie – denerwuje się Henry. – Wiem, że nie jestem jeszcze na nie gotowy. Mojej duszy wciąż daleko do... ach... jakiegokolwiek czystości.

– Ale czy nie chodzi w tym wszystkim o to... wybac, jeśli mówię od rzeczy... Czy nie chodzi jednak o to, że... ach... że człowiek oczyszcza się, kiedy przyjmuje święcenia? To znaczy, czy nie jest tak, że przyjęcie święceń jest aktem przemiany człowieka?

– Absolutnie nie! – oponuje Henry.

W głębi serca obawia się jednak, że tak właśnie jest. W rzeczywistości, przynajmniej odkąd poznał panią Fox, wstrzymuje się przed podjęciem pierwszych kroków na drodze do święceń kapłańskich, ponieważ przeraża go myśl, że egzaminatorzy zajrzą mu w duszę i oznajmią, iż jest niegodny nie tylko koloratki czy ambony, ale w ogóle życia chrześcijańskiego.

Jako osobie świeckiej taka straszliwa opinia będzie mu oszczędzona, choć bowiem Henry sam bywa swoim najsurowszym krytykiem, pod jednym względem jest dla siebie wyrozumiały: nie wierzy mianowicie, by grzechy nie pozwalały mu starać się być przyzwoitym człowiekiem. Dopóki pozostaje osobą świecką, może grzeszyć myślą, mową, a nawet uczynkiem, potem zaś odbyć pokutę i powziąć mocne postanowienie poprawy na przyszłość, nie sprawiając ewentualnego zawodu nikomu prócz siebie samego i Boga. Jego grzechy nie przywiodą do upadku nikogo poza nim; sam jest kapitanem swojej duszy, jeśli zatem skieruje ją na niepewne wody, nie narazi niewinnych ludzi na katastrofę. Jeśli jednak chce przewodzić innym, nie może być tak marnym kapitanem; musi stać się lepszy i silniejszy. Inaczej jeszcze surowsi od niego sędziowie będą mieli prawo – więcej: obowiązek – żeby go potępić. A deprawację to Henry ma chyba wyraźnie wypisaną na twarzy? I zapewne każdy domyśla się, że jego duszę toczą cielesne żądze.

Być może właśnie poczucie, że z wyjątkiem pani Fox wszyscy, a zatem także jego bywały w świecie brat, odkryli już jego sekret, pozwala zasiadającemu przed ozdobionym plisowanymi zasłonkami kominkiem Henry’emu wyznać swoje grzechy w ów deszczowy dzień.

– Williamie, ja... rozmawiałem w ubiegłym tygodniu z prostytutką – mówi.

– Doprawdy? – pyta William, którego ta obiecująca nowina wytrąca z odrętwienia. – Czy pani Fox przyprowadziła ją na jakieś publiczne spotkanie?

– Nie, nie – krzywi twarz Henry. – Rozmawiałem z nią na ulicy. Prawdę mówiąc, ja... rozmawiam z prostytutkami na ulicy już od pewnego czasu.

Zapada cisza, w której bracia najpierw patrzą sobie w oczy, a potem wbijają spojrzenia w swoje buty.

– Tylko rozmawiacie?

– Oczywiście, nic więcej. – Nawet jeśli Henry spostrzega, że brat garbi się lekko w odruchu rozczarowania, nie zbija go to z tropu. – Mam teraz w zwyczaju przechadzać się po nędznych dzielnicach Londynu, po High Street... nie, nie po tutejszej High Street, mówię o High Street w St Giles... I rozmawiam z każdym, kto mnie tam zagadnie...

– A jak rozumiem, nagabują cię głównie prostytutki.

– Tak.

Oszołomiony William drapie się w tył głowy. Żałuje, że w kominku, gdzie stoi ten idiotyczny filodendron, nie pali się ogień, który mógłby rozgarnąć pogrzebaczem.

– Może to coś w rodzaju... próby mającej cię przygotować do przyszłego zawodu? Upatrzyłeś sobie St Giles na swoją parafię?

Henry wybuchając pozbawionym cienia wesołości śmiechem. – Jestem głupcem, który igra z ogniem – mówi, cedząc słowa z goryczą. – I jeśli w porę nie oprzytomnieję, ten ogień mnie

pochłonie. – Zaciska pięści, a jego oczy płoną gniewem; można by pomyśleć, że zagraża mu William, nie zaś jego własne pożądanie.

– Cóż... hmm... – William marszczy brwi, na przemian krzyżując i prostując nogi. – Miałem cię zawsze za rozsądnego faceta i jestem pewien, że nie brak ci... siły woli. Poza tym przekonasz się, że wszelkie fascynacje zwykle szybko się kończą. To, co dziś nas urzeka, jutro może stracić wszelki urok. Hmm... Powiedz mi teraz jednak coś o tych prostytutkach. Dlaczego one cię interesują?

Ale Henry wpatruje się przed siebie nieobecny wzrokiem jak nawiedzony.

– Niektóre z nich to jeszcze dzieci, dzieci!

– Cóż, tak... sam często powtarzam, że to hańba...

– A patrzą na mnie tak, jak gdybym to ja był winien ich nieszczęścia. – Tak, owszem, potrafią tak patrzeć...

– Próbuję sobie wmówić, że powoduje mną litość, że chcę im tylko pomóc, jak pani... jak inni wolontariusze. Że chcę im tylko pokazać, że nimi nie gardzę i wierzę, iż są takimi samymi stworzeniami Bożymi jak ja. Lecz kiedy wracam do domu, kładę się do łóżka i próbuję zasnąć, nie myślę już o tym, jak pomóc tym nieszczęśnikom. Myślę o uściskach.

– O uściskach? – Boże, nareszcie, oto sedno sprawy!

– Oczami wyobraźni widzę je w swoich objęciach... wszystkie naraz, wszystkie są bowiem ucieleśnione w jednej kobiecie bez twarzy. Właściwie nie powinienem mówić, że jest bez twarzy, ma ona bowiem twarz, ale składają się na nią... oblicza wielu kobiet. Rozumiesz? Ta kobieta jest...

– (przychodzi mu do głowy porównanie z Trójcą, ale powściąga język, na którego końcu zawisa bluźnierstwo) – ...jest jakby ich wspólnym ciałem.

William trze oczy z irytacją. Jest zmęczony; nie wyspał się w gospodzie w Dundee, źle spał w pociągu, a po powrocie do domu pracował do późna w nocy.

– A więc... – podejmuje wątek, zdecydowany za wszelką cenę zmusić brata, żeby przeszedł do rzeczy – co czynisz w wyobraźni z tym ich wspólnym ciałem?

Henry podnosi wzrok, a jego twarz powleka się niepokojącym blaskiem natchnienia (czy może to tylko promienie słońca wpadają w końcu przez okno?).

– Obejmuję je, to wszystko! – oświadczają. – Czuję, że mógłbym trzymać tę kobietę w uścisku przez całe życie... Przytulam ją do siebie, trwam w bezruchu i nic innego nie robię, trzymam ją tylko, zapewniając, że odtąd wszystko już będzie dobrze. Przysięgam, to nie żądza! – Henry śmieje się nieszczerze. – Znam smak żądzy, a to jest inne uczucie... – Spogląda na Williama i wtedy nagle opuszcza go odwaga. – Choć może tylko tak mi się wydaje.

William uśmiecha się z nadzieją, że Henry weźmie to za objaw współczucia. Uważa, że w podobnym położeniu znajdują się zapewne katolicy księża, gdy wysłuchują spowiedzi bardzo młodych ludzi. Rozpakowują olbrzymią paczkę grzechów z kolejnych warstw trupio sinego papieru tylko po to, by znaleźć w środku błahostkę.

– Tak... – wzdycha. – Czy zatem mogę coś dla ciebie zrobić, bracie?

Najwyraźniej wyczerpany swą spowiedzią, Henry prostuje się na krześle.

– Zrobiłeś już wiele, Williamie, po prostu dlatego, że zechciałeś wysłuchać mojego bredzenia. Wiem, że jestem głupcem i hipokrytą, który próbuje przedstawiać swoje grzechy w przebraniu cnoty. Bo widzisz, wybierałem się dziś do St Giles... Ale zamiast pójść tam, wstąpiłem do ciebie.

William chrząka, nieco skonsternowany. Zważywszy na wszystko, wolałby, żeby Henry ruszył do pierwotnie obranego celu i zostawił w spokoju obciążonego licznymi obowiązkami brata, któremu te odwiedziny pochłonęły wiele cennego czasu. W Dundee sądził jeszcze, że umowa podpisana z tymi przeklętymi żydowskimi handlarzami jutą to doskonały pomysł, ale im dłużej o niej myśli, tym wydaje mu się mniej korzystna. Dlatego potrzebuje każdej wolnej chwili, aby przemyśleć rzecz raz jeszcze, zanim te cholerne skrzynie z ładunkiem juty wylądują na nabrzeżu.

– Cóż, cieszę się, że mogłem ci pomóc, Henry – mruczy. Po chwili jego spojrzenie pada na pękata, wypchaną po brzegi niczym wór włamywacza torbę, którą brat postawił w zasięgu ręki na podłodze. – Wybacz, że pytam, ale co to takiego?

Henry po raz ostatni czerwień się przed wyjściem. Bez słowa otwiera torbę, ujawniając jej

różnorodną zawartość, na którą składa się ser holenderski, jabłka, marchew, bochenek chleba, grube pęto wędzonej kiełbasy, kilka puszek kakao i herbatniki.

William patrzy bratu w oczy, ponieważ nic z tego nie rozumie.

– One zawsze mówią, że są głodne – wyjaśnia Henry.

Później, o wiele później, już po powrocie Henry'ego do domu, długo po zachodzie słońca i przygotowaniu pierwszej wersji pewnego ważnego listu, William składa głowę na ciepłej poduszce – elastycznej i miękkiej, jak należy. Po chwili zapada nieuchronnie w sen.

Kiedy wtula się głębiej w obciążoną bawełną kopę kaczyc piór, delikatna kobieca dłoń gładzi go po policzku. Nawet we śnie William wie, że nie jest to jego matka. Jego matka odeszła. – Stała się złą kobietą – mówi ojciec, więc nie ma jej z nimi, mieszka wśród innych złych ludzi, a William i Henry muszą teraz być dzielnymi chłopcami. Kim zatem jest kobieta, która go gładzi po twarzy? To pewnie jego niania.

Zasypia jeszcze głębiej, przebijając głową skorupę snów. Pokój, w którym leży, natychmiast rozrasta się do ogromnych rozmiarów, obejmując cały kosmos, a w każdym razie znany ludzkości świat. Do portów wpływają statki, trzeszczące pod ciężarem jutowych worów, których William nie chce: to zły znak, a symbolizuje go ponure niebo, wiszące nad jego głową. Gdzie indziej jednak słońce oświetla pola lawendy, które w tym roku z pewnością dadzą bardziej obfity plon niż kiedykolwiek za czasów jego ojca. W całej Anglii, zarówno w sklepach, jak i w domach prywatnych, charakterystyczny znak „R” zajmuje eksponowane miejsce. Arystokratki, wszystkie nadzwyczaj podobne do lady Bridgelow, przeglądają wiosenny katalog Rackham Perfumeries, dyskretnie wzdychając z aprobatą na widok kolejnych produktów.

Budzi go ze snu głośnie parsknięcie – odgłos jego chrapania. Sztynny kutas półprzytomnego Williama sterczy bezużytecznie pod kołdrą, zdezorientowany. Rackham odwraca się, przytula do smukłego, gorącego kobiecego ciała, wciska się w plecy dziewczyny i dopasowuje wygodnie do kształtu jej pośladków. Przygarnia ją ramieniem, wdycha bijący z jej włosów zapach perfum i długo, długo śpi.

Rano William Rackham uświadamia sobie, że po raz pierwszy od sześciu lat przespał całą noc u boku kobiety. Posiadł już w życiu wiele kobiet i przespał wiele nocy, niezwykle rzadko jednak łączył jedno i drugie!

– Wiesz? – mówi w zadumie do Sugar, jeszcze nie całkiem rozbudzony ze snu. – Po raz pierwszy od sześciu lat przespałem całą noc u boku kobiety.

Sugar całuje go w ramię. „Biedactwo”, chce powiedzieć, ale w ostatniej chwili gryzie się w język.

– I co, warto było czekać? – mruczy Sugar.

William odwzajemnia pocałunek i mierzwi jej rudą czuprynę. Poprzez mgłę ukontentowania wzbijają się z trudem w górę troski dnia codziennego. Dundee. Dundee. Na czole Rackhama pojawia się zmarszczka, gdy przypomina sobie świeżo napisany list, który przyniósł wczorajszego wieczora, aby pokazać Sugar.

– Powinienem już wstać – mówi, unosząc się na łokciach.

– Listy zabiorą najwcześniej za godzinę – zauważa ze spokojem Sugar, jak gdyby czytanie w jego myślach przychodziło jej zupełnie naturalnie. – Mam tu koperty i znaczki. Poleż jeszcze trochę.

Oszołomiony William opada z powrotem na poduszki. Czy naprawdę jest jeszcze tak wczesna pora? Na Silver Street panuje gwar, hałasują wozy, psy i rozgadani przechodnie, wydawałoby się więc, że nadeszło przedpołudnie. A cóż to za dziwna postać towarzyszy mu w łóżku? Wspomina treść spisanej drobnym drukiem umowy Rackhama z firmą, handlującą jutą, przęcąc swe nagie ciało jak kotka.

– Ton mojego listu... – William się niepokoi. – Jesteś pewna, że nie brzmi zbyt przymilnie? Zrozumieją, o co mi chodzi? Jak myślisz?

– Znaczenie twojego listu jest jasne jak słońce – mówi Sugar i siada na łóżku, żeby się uczesać.

– Ale czy nie za jasne? Ci ludzie mogą narobić mi kłopotów, jeśli nadepnę im na odcisk.

– Napisałeś dokładnie tak, jak należy – zapewnia go Sugar, powolnymi, rytmicznymi ruchami przeciągając metalowe zęby grzebienia poprzez spletaną, pomarańczową aureolę swych włosów. – Tu i ówdzie trzeba było jedynie złagodzić kilka słów. – (Nawiązuje do zmian, które William wprowadził za jej radą do listu, zanim poszli do łóżka).

Rackham przewraca się na bok i patrzy, jak Sugar się czesze. Za każdym razem, kiedy dziewczyna napina mięśnie, pasiaste, tygrysie desenie jej dotkniętej dziwną chorobą skóry poruszają się niemal niedostrzegalnie na biodrach, udach i plecach. Z każdym szarpnięciem grzebienia masa bujnych włosów opada na blade ciało Sugar tylko po to, by unieść się znów za chwilę. William chrząka, żeby powiedzieć jej, jak bardzo... jak bardzo zaczyna się do niej przywiązywać.

Potem uderza go niemiły zapach.

– Fuj... – William krzywi twarz i siada na łóżku, wyprostowany jak struna. – Czy pod łóżkiem stoi nocnik?

Sugar przestaje się czesać, bez wahania zagląda pod łóżko i wyciąga spod niego ceramiczne naczynie.

– Oczywiście – mówi, przechylając nocnik, żeby zajrzeć do środka. – Ale jest pusty.

William chrząka, bo imponuje mu jej męska higieniczność, nie ma jednak pojęcia, że Sugar w nocy wstała cichcem, wykonała kilka wilgotnych czynności fizjologicznych i opróżniła naczynie. Nieświadom tego, Rackham pochłonięty jest teraz wyzwaniem, jakie rzucają mu okoliczności, i aż świerzbi go ręka – a raczej nos – poszukuje bowiem prawdziwego źródła fetoru. Gramoli się boso z łóżka, a jego wrażliwy narząd powonienia każe mu zbadać całą sypialnię Sugar. W końcu z zakłopotaniem stwierdza, że odór bije z podeszew jego butów, stojących tam, gdzie zżuł je wczorajszego wieczora.

– Musiałem po drodze wdepnąć w psią kupę. – Marszczy brwi, przesadnie zawstydzony stwardniałym już obrzydlistwem, którego nie potrafi usunąć i nie może znieść. – Do diabła, na tej ulicy stoi za mało latarni. – Wkłada skarpetki, po czym rozgląda się w poszukiwaniu spodni, zamierzając wynieść swoje pohańbione buty z czystutkiego buduaru Sugar.

– Londyn to brudne miasto – potwierdza dziewczyna, skromnie okrywając swe ciało mlecznobiałym szlafrokiem. – Paskudztwo zalega na ziemi, pływa w wodzie i unosi się w powietrzu. Zauważyłam, że nawet podczas krótkich spacerów do „Fireside”, chociaż powinnam dodać, że już tam nie chodzę, osiada mi na skórze warstwa czarnej sadzy.

William zapina koszulę, przyglądając się z uznaniem świeżej twarzy, jasnym oczom i białemu szlafrokowi Sugar.

– Cóż, muszę przyznać, że w moich oczach wyglądasz na osobę, która dba o czystość.

– Staram się, jak mogę – uśmiecha się Sugar, krzyżując na piersi ramiona obleczone w śmietankowe rękawy. – Chociaż uważam, że odrobina płynu kąpielowego twojej firmy nie mogłaby mi zaszkodzić. A może macie coś do oczyszczania wody pitnej? Chyba nie chcesz, żeby zabrała ci mnie cholera!

Trafiłam w dziesiątkę, myśli Sugar, widząc, że Williama przebiega dreszcz.

– Zastanawiam się nad jedną rzeczą – ciągnie dziewczyna w zamyśleniu rozmarzonym głosem. – Nie masz czasami dosyć miasta, Williamie? Nie chciałbyś mieszkać w przyjemniejszej i czystszej okolicy? – Urywa, gotowa podsunąć mu konkretne lokalizacje („...na przykład w Notting Hill albo w Bayswater...”), ale powściąga język, sądząc, że Rackham wymieni nazwy tych dzielnic jako pierwszy.

– Prawdę mówiąc, mieszkam w Notting Hill – wyznaje.

Sugar pozwala, by na jej twarzy rozbłysła maleńka iskierka zwycięskiej radości, którą sprawia jej zdobycie jego zaufania.

– Ach, jak cudownie! – woła. – Nie sądzisz, że to idealne miejsce? Wszędzie jest stamtąd blisko, ale to o wiele bardziej cywilizowana okolica niż centrum.

– Myślę, że da się tam żyć... – mówi William, zapinając kołnierzyk. – Chociaż są tacy, którzy powiedzieliby, że Notting Hill jest niemodne.

– Jestem innego zdania! Każdy wie, że można tam znaleźć kilka wspaniałych zakątków. Na przykład ulice między Westbourne Grove i Pembridge Square cieszą się sławą szalenie atrakcyjnego miejsca.

– Ależ ja właśnie tam mieszkam!

Na te słowa Sugar odrzuca głowę do tyłu, wydaje niski, chrapliwy chichot i wyciąga długą, białą szyję. Jej śmiech oznacza, że można polegać na Williamie Rackhamie, wybiera on bowiem zawsze to, co najlepsze.

– Mogłam się tego domyślić – mówi Sugar.

– Do diabła, domyślasz się prawie wszystkiego – stwierdza ponuro William.

Sugar patrzy mu badawczo w oczy, analizuje ton jego głosu i dochodzi do wniosku, że Rackham nie gniewa się na nią, jest tylko pod wrażeniem jej przenikliwości.

– Kobięca intuicja. – Sugar mruga do niego. – Jakoś to wszystko wyczuwam. – Pieści dłońmi swój biust, a potem pozwala im zbłądzić w okolice podbrzusza. – Tu, głęboko, w środku.

Potem, doszedłszy do wniosku, że powinna pozwolić mu już wyjść, zrywa się rażno z łóżka i podchodzi do sekretarzyka, z którego wcześniej uprzątnęła wszystkie swoje papiery. Na blacie leży tylko list Williama do handlarzy jutą.

– A teraz lepiej przygotujmy to pismo.

Ubrany już kompletnie, nie licząc butów, William podchodzi do biurka. Sugar przystaje u jego boku z powagą i przygląda się, jak po raz kolejny odczytuje treść listu, uznaje ją za zadowalającą, wkłada kartkę do koperty, którą podaje mu sama, i pisze swój adres, nie próbując zasłonić go przed jej wzrokiem. Dopiero wtedy Sugar z zadowoleniem zamyka oczy. Owoc, po który tak niedawno musiała się zakradać potajemnie, William daje jej teraz dobrowolnie, dziewczynie nie pozostaje zatem nic innego, jak zatopić w nim zęby.

– *Litości – poprosił błagalnie raz jeszcze.*

Williama już nie ma, a Sugar siedzi przy biurku i kończy nareszcie kłopotliwy rozdział.

Ścisnęłam rękojęść sztyletu, lecz okazało się, że nie mam siły (zapewne siły woli, choć także siły fizycznej, bo zabicie człowieka to niełatwa sprawa), aby zatopić nóż w ciele tego mężczyzny i popełnić największe w życiu zło. Dokonałam już wielu podobnych aktów przemocy, ale tej nocy nie mogłam się na to zdobyć.

A jednak ów człowiek musi zginąć: nie mogę go wypuścić, skoro go uwięziłam! Co miałam począć, drogi czytelniku?

Odłożyłam nóż i przyniosłam miękki kawałek bawełny. Mój uwięziony kochanek przestał się szamotać, a na jego twarzy odmalowało się uczucie ulgi. Nawet kiedy przechyliłam flakonik z cuchnącą cieczą, którą nasączyłam szmatkę, nie stracił nadziei, sądząc zapewne, że przetrę mu rozpalone czoło.

Wstrzymując oddech, z udanym współczuciem przytknęłam śmiercionośny gałganek do jego nosa i ust, by całkowicie odciąć dopływ powietrza. – Słodkich snów, przyjacielu.

Henry Rackham, choć nie wie, co to orgazm, jest w siódmym niebie. Bawi w domu pani Fox, siedzi na fotelu, który należał zapewne do jej męża, i zajada ciasto.

– Przepraszam na chwilę, Henry – tak brzmiały ostatnie słowa pani Fox, zanim dystyngowanym krokiem wyszła z salonu. Oczami wyobraźni Henry wciąż widzi, jak pani Fox stoi przed nim, jej czerwona sukienka rozjaśnia pokój, a łagodne maniery ocieplają nastrój. Nawet powietrze nie chce pozwolić jej odejść.

– Dolać panu herbaty, panie Rackham?

Henry podrywa się i rozsypuje okruszki na kolana. Zapomniał o Sarah, służącej pani Fox; przestała dla niego istnieć. A przecież, choć słabo widoczna na tle porozrzucanych wszędzie papierów i książek, stoi tuż obok, trzymając tacę z herbatą w wyciągniętych rękach. Na jej ustach igra cień uśmiešku, po którym Henry domyśla się, że wygląda chyba jak pomyłony.

– Mam jeszcze dość, dziękuję – odpowiada.

Poczucie szczęścia opuszcza go natychmiast – a może raczej Henry odsuwa je tylko na wyciągnięcie ręki, by lepiej mu się przyjrzeć. Czym jest w istocie? Niczym innym jak oczarowaniem przedstawicielką płci przeciwnej. A oczarowanie to coś iście przerażającego.

To prawda, nie jest katolikiem: i jeśli tylko zechce, może zostać zarówno duchownym, jak i mężem. Pani Fox z kolei jako wdowa jest kobietą wolną. Pomijając jednak mało prawdopodobną ewentualność, że Emmeline zechciałaby za męża takiego nudziarza i niezgułę jak on, zdaniem Henry’ego pozostaje jeszcze do pokonania pewna przeszkoda natury religijnej.

To oczarowanie... fascynacja... miłość, jeśli ośmieli się ją tak nazwać, choć słyszy go Wszchemogący... owa miłość posiada moc pożerania czasu – długich godzin i dni – który można poświęcić zbożnym uczynom. Spełniając dobre uczynki, traktujemy czas po gospodarsku, lecz miłość do kobiety sprawia, że go trwonimy. Można naśladować Chrystusa kilkanaście razy w ciągu jednego ranka i zachować dość sił, by dalej czynić dobro, lecz rozpamiętywanie – choćby i wyimaginowanych – pragnień ukochanej pochłania niekiedy całe dni, jednakże nic z tych rozmyślań nie wynika.

Henry dobrze o tym wie! Za często ma wrażenie, że czas, który upływa między jednym a drugim spotkaniem z panią Fox, jest snem, zwyczajnym antraktem. Wystarczy, że Emmeline uśmiechnie się do niego, aby ten uśmiech stał się dla niego ważniejszy niż wszystko. Mijają dni, życie płynie, a on przeżywa jej uśmiech niemal całym swym jestestwem. Jak to możliwe?

Popija herbatę, zakłopotany bacznym spojrzeniem służącej. Sądzi, że Sarah przygląda mu się cokolwiek natrętnie: Henry nie może, na przykład, po kryjomu zebrać okruszków ciasta ze spodni tak, żeby tego nie zauważyła. Co jest z tą dziewczyną? Kto wie, może będące nawróconymi grzesznicami służące nie potrafią zachowywać się równie dyskretnie jak kobiety, które nigdy nie zaznały hańby. Na czoło występuje mu pot, którego pojawienie się można (jak sądzi z nadzieją) wyjaśnić bijącą z filiżanki parą. Czym ta dziewczyna – polecona przez Towarzystwo Ocalenia Kobiet – różni się od ulicznic, które spotyka w St Giles? Jej niegustowna szata okrywa nagie ciało, żywe naczynie o grzesznym pochodzeniu i przeszłości.

Sarah nie jest piękna – a w każdym razie Henry nie uważa jej za piękność. Jawnie przypomina mu, czym jest upadła niewiasta, ale poza tym nic go nie obchodzi. Wspomnienie dotyku palców pani Fox, zamkniętych w jego dłoni, jest dla Henry’ego daleko bardziej uwodzicielskie niż jakiegokolwiek fantazje, które mogłaby w nim wzbudzić ta zbawiona nierządnicą. A przecież Sarah jest w wieku pani Fox, podobnego wzrostu i podobnej tuszy... Jak to możliwe, że Henry pozostaje pod urokiem jednej z tych kobiet, a jest obojętny wobec drugiej? Czy Bóg próbuje w ten sposób czegoś go nauczyć?

Służąca odchodzi i Henry zajmuje się okruchami na spodniach. Co powiadają w tej materii

wielcy filozofowie chrześcijańscy? Przypominają, że kobieta rozkwita i umiera niczym kwiat. Upływa dziesięć lub dwadzieścia lat, nim przeminie jej uroda, po następnych kilku dekadach przemijają ci, którzy ją oglądali, aż wreszcie sama zamienia się w proch. W przeciwieństwie do kobiety wszechmogący Bóg żyje wiecznie i jest twórcą wszelakiego piękna, które ukształtował w pierwszym tygodniu Stworzenia.

A jednak o ileż trudniej jest kochać Boga z taką namiętnością, jaką wzbudza urodziwa kobieta! Czy to możliwe, że Bóg chciał właśnie tak urządzić świat? Czy tacy zaprzysięgli wrogowie kobiet jak MacLeish to jedyni mężczyźni, którzy nadają się do stanu duchownego? A poza tym, co się stało z panią Fox? Powiedziała, że wychodzi jedynie na chwilę... Wizja jej czerwonej sukni rozwiała się już, a ciepłe ślady głosu Emmeline zniknęły w ciszy.

Henry siedzi w fotelu Bertiego Foxa i uśmiecha się smutno. Co począć? Pragnienie zaimponowania pani Fox to jedyna rzecz, która może natchnąć go odwagą do przyjęcia święceń; a jednak gdyby zdobył miłość Emmeline, czy obchodziłoby go cokolwiek innego na świecie? Przez całe swoje życie, dopóki jej nie spotkał, czuł się nieszczęśliwy – czy więc potrafiłby oprzeć się syreniej pieśni zwierzęcej chuci, gdyby pani Fox należała do niego? To wstyd, że zawsze podchodzi do darów Opatrzności z ciężkim sercem, a kiedy ma okazję napić się herbaty w salonie ślicznej wdowy, odczuwa tak wielką radość, że z trudem tłumi chętkę bujania się na krześle! Niechaj Bóg wybawi od szczęścia człowieka, który pragnie naprawiać świat!

Ale co to za odgłos? Z góry, choć zagłuszają go podłogi i korytarze domku pani Fox, dobiega... czy to... kaszel? Tak: przerażający, konwulsyjny kaszel, jaki rozbrzmiewa czasem w mrocznych piwnicach zapuszczonych, zrujnowanych domów. Czy to możliwe, że kaszle kobieta obdarzona głosem, który Henry z biegiem czasu nauczył się kochać?

Przez kilka dalszych minut siedzi jak sparaliżowany z niepokoju i wyęcza słuch, a potem pani Fox wraca do salonu. Ma rumieńce na policzkach, poza tym jednak wygląda całkiem zdrowo i jest opanowana.

– Przepraszam, że kazałam ci czekać tak długo, Henry – mówi tonem łagodnym i słodkim jak syrop przeciwkaszlowy.

Agnes odkłada na kolana najnowsze wydanie „Illustrated London News”, osobiście dotknięta i zmartwiona zarazem. Dowiedziała się właśnie z pewnego artykułu, że przeciętna Angielka żyje 21 917 dni. Boże, dlaczego gazety zawsze piszą o takich nieprzyjemnych sprawach? Nie mają nic lepszego do roboty? Świat schodzi na psy.

Wstaje, upuszcza gazetę na podłogę i podchodzi do okna. Sprawdziwszy najpierw, czy parapet nie jest brudny (pierwsze skrzydlate owady wykluły się już, niestety, tej wiosny, ostrożności więc nigdy za wiele), Agnes opiera się dłońmi o jego brzeg, przykłada rozpalone, lepkie od potu czoło do lodowatej szyby i wygląda na ogród. Na starej topoli widać plamki pączków, lecz także pasożytujący, zielony grzyb; trawa jest równiutko przystrzyżona, a tu i ówdzie wgnieciona w ciemną ziemię kosą i motyką. Na widok tego, co Shears robi z ogrodem, panią Rackham ogarnia melancholia. Owszem, wstydziła się bardzo tego, jak wyglądała zieleń, nim zajął się nią Shears, ale teraz, kiedy wziął się do roboty, brakuje jej jasnych stokrotek wokół drzew i ciemnozielonych łodyg mieczyków pośród płyt na ścieżce, tym bardziej że na ich miejscu nic jeszcze nie zasadził. Powiada, że czeka, aż trawa „odpowiednio” odrośnie.

Agnes czuje, że znów nachodzi ją napad płaczu, i aby go powstrzymać, z całej siły ściska brzeg parapetu. Mimo to łzy żalu za stokrotkami i dziko rosnącą trawą spływają jedna za drugą po jej policzkach, a ciekną tym gęściej, im szybciej Agnes mruga powiekami.

Dwadzieścia jeden tysięcy dziewięćset siedemnaście dni. W jej wypadku mniej, bo żyje już przecież tak długo. Ile dni życia jej zostało? Zapomniała arytmetyki, nie umie więc rozwiązać tego zadania. Jedno natomiast jest jasne: dni jej żywota – w najokrutniejszym i najbrutalniejszym sensie tego zwrotu – są policzone.

Wie, że nie zawsze tak było. Kobiety w czasach Mojżesza żyły tak długo jak obecnie nikt, przynajmniej w Anglii. Jednak i dziś jeszcze na Wschodzie oraz w najdalszych zakątkach Imperium można znaleźć mędrców (i chyba uczone kobiety?), którzy rozwiązywali zagadkę starzenia się i

dolegliwości fizycznych, dzięki czemu żyli w dobrym zdrowiu przez całe pokolenia. O ich tajemnicach mówią broszury spirytystyczne, które Agnes przechowuje w koszyku z szyciem; są tam autentyczne obrazki, przedstawiające cuda świętych, którzy po sześciu miesiącach wstają z grobów żwawi i uśmiechnięci, tańczących w płomieniach egzotycznych czarnoskórych dżentelmenów i tak dalej. Niewątpliwie istnieją też inne książki – starożytne podręczniki zakazanej wiedzy – które szczegółowo objaśniają wszelkie techniki, jakie stosują ci ludzie. Wszystko, co człowiek wie, zostało gdzieś opublikowane – to jednak, czy wypożyczalnia Mudie's pozwoli ciekawskiej kobiecie zajrzeć do takich ksiąg, to całkiem inna sprawa.

Och, nie warto zaprzętać sobie tym głowy! Jest przeklęta, dla niej już za późno, Bóg odwrócił się od niej, ogród został zniszczony, boli ją głowa, nie ma ani jednej sukienki w odpowiednim kolorze, pani Jerrold nieuprzejmie nie odpowiedziała na jej list, pomiędzy zębami szczotki, którą się czesze, zawsze jest pełno włosów, a niebo czernieje złowrogo, kiedy tylko Agnes ośmieli się zrobić krok za próg. Krztusząc się, otwiera okno i wysuwa głowę na zewnątrz, a jej skrzywioną twarz owiewa świeże powietrze.

Pomywaczka Janey wychodzi na dwór przez drzwi, mieszczące się tuż pod oknem sypialni Agnes, by przynieść kubel żyznej ziemi potrzebnej w piwnicy, gdzie hoduje się pieczarki. Agnes widzi, że ciało dziewczyny pręży się z wysiłkiem pod czarną, gładką sukienką, której guziki napinają się podobnie jak biały węzeł kokardy fartuszek. Panią Rackham zalewa fala współczucia dla tej małej nieszczęśnicy, trudzącej się u niej na służbie. Z jej oczu spływają dwie ciężkie łzy, które spadłyby wprost na głowę Janey, gdyby nie porwał ich wiatr, nim dosięgły odchodzącą dziewczynę.

Dopiero kiedy pani Rackham cofa się od okna i szerzej stawia nogi, by złapać równowagę, zauważa, że zaczyna krwawić.

Mąż dowie się wkrótce, co uczyni za chwilę jego małżonka, ale przez tych kilka minut, nim zauważy ją służba, William siedzi nieświadomy niczego w swoim gabinecie i nie myśli o Agnes już od wielu godzin.

Wprawdzie jest przejęty chorobą, tak się jednak składa, że nie swojej żony. W jego głowie zagnieździło się zmartwienie, które rozrasta się z zastraszającą szybkością niby chwast. Niewinny żarcik Sugar na temat cholery przypomniał mu o ponurych statystykach: oto choroby, rodzące się w niehigienicznych warunkach w Londynie, zabijają co dzień kilkanaście osób, w tym także prostytutki. Tak, Sugar zdaje się świeża niczym róża, ale – jak sama przyznała – niełatwo przychodzi jej dbać o zdrowie, bo zewsząd otacza ją brud, wilgoć i zgnilizna. Kto wie, jakie paskudztwa przynoszą jej współlokatorki? Kto wie, jakie zarazki pełzają po ścianach domu pani Castaway, zagrażając także sypialni Sugar? Dziewczyna zasługuje na coś lepszego, podobnie – ma się rozumieć – jak on. Czy naprawdę musi przeprować się przez trzęsawiska paskudztwa, by spotkać się ze swoją kochanicą? Już wie, co powinien zrobić – to oczywiste! Dysponuje przecież odpowiednimi funduszami! Księgi rachunkowe powiadają, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy sprzedaż samej tylko wody lawendowej...

Kalkulacje Williama przerywa nerwowe pukanie.

– Wejść! – woła.

Drzwi otwierają się i w progu staje wielce wzburzona Letty.

– Och, panie Rackham, przepraszam, ale och, panie Rackham... – Pokojówka kłania się pokornie i przewraca oczami, popatrując to na Williama, to znów na schody, po których przed chwilą wbiegła.

– No, co tam? – pyta William. – Co się stało, Letty?

– Chodzi o panią Rackham, panie – mówi piskliwie dziewczyna. – Już posłano po doktora Curlew, ale... pomyślałam, że może zechcesz zobaczyć ją na własne oczy, panie... Natychmiast zamknęłyśmy drzwi... nic nie robiłyśmy...

– Och, na litość boską! – woła William, zarówno zniecierpliwiony, jak i wystraszony niezborną opowieścią. – Zaprowadź mnie na miejsce tej katastrofy. – Po czym szybko zbiega na dół za Letty, zapinając po drodze guziki kamizelki.

Tymczasem w swoim salonie pani Fox nie zachowuje się zbyt grzecznie wobec gościa, składa bowiem na pół kartki, które bierze z leżącej na jej kolanach sterty, po czym wsuwa je do kopert i liże ich brzegi, ani na chwilę nie przerywając rozmowy. Kiedy przed wieloma miesiącami Henry Rackham zobaczył ją po raz pierwszy w trakcie tej czynności, był równie zaskoczony, jak gdyby pani Fox uniosła lusterko do twarzy i zaczęła dłubać w zębach, teraz jednak już przywykł do tego widoku. Dzień jest po prostu dla niej za krótki, i dlatego musi czasem robić kilka rzeczy naraz.

– Czy mogę ci pomóc, pani? – proponuje Henry.

– Bardzo proszę – odpowiada pani Fox, podając mu połowę stosu kartek.

– Co to jest?

– Wersety z Biblii – mówi pani Fox. – Dla noclegowni.

– Aha. – Henry zerka na kartkę przed jej złożeniem i natychmiast rozpoznaje cytat z Psalmu 31: „Zmiłuj się nade mną, Panie, bo jestem w ucisku, od smutku słabnie me oko, a także moja siła i wnętrzości...”, i tak dalej, aż po wezwanie, żeby być mocnym i mężnego serca. Charakter pisma pani Fox jest nadzwyczaj czytelny, biorąc pod uwagę, ile razy musiała przepisywać te same ustępy.

Henry składa kartkę, wsuwa ją do koperty, liże jej brzegi i zakleja starannie.

– Ale czy te nieszczęśnice z noclegowni umieją czytać? – pyta.

– Ubóstwo może dotknąć każdego z nas – odpowiada pani Fox, składając kolejne kartki. – Te wersety są jednak przeznaczone dla strażników i dochodzących pielęgniarek, do czytania na głos. Pielęgniarki chodzą między długimi rzędami łóżek i czytają teksty, które w ich mniemaniu mogą przynieść ulgę cierpiącym na bezsenność.

– Szlachetne zajęcie.

– Mógłbyś się mu poświęcić, Henry, gdybyś tylko chciał. Mnie nie chcą na to pozwolić. Powiadają, że nie mogliby mi zagwarantować bezpieczeństwa, jak gdyby nasze bezpieczeństwo nie leżało wyłącznie w rękach Boga.

Zapada cisza, w której słyhać tylko cichy jak szept szelest składanych kartek i odgłosy lizania. Milcząca prostota wspólnego zajęcia przynosi Henry’emu niemal nieznośną przyjemność; byłby szczęśliwy, gdyby mógł spędzić następne pięćdziesiąt lat w salonie pani Fox, pomagając jej prowadzić korespondencję. Niestety, liczba noclegowni w Wielkiej Brytanii jest skończona i wkrótce wszystkie koperty są już zaklejone. Pani Fox mruży oczy i oblizuje usta, krzywiąc się z obrzydzeniem, wyczuwa bowiem na swoim różowym języku kwaskowy smak kleju, podobnie jak Henry.

– Pomoże nam na to kakao – zapewnia pani Fox.

Letty prowadzi swego pana korytarzami, które widział nie więcej niż sześć razy – odkąd przejął dom rodziny Rackhamów – w tych korytarzach uwija się bowiem służba. Letty i William Rackham stają przed drzwiami kuchni. Dziewczyna pokazuje mu na migi, że jeśli żadne z nich nie wyrządzi najmniejszego hałasu i wejdą niezauważeni, zapewne zobaczą coś nadzwyczajnego.

William, który ma szczerą ochotę nie zważać na te głupstwa i wtargnąć od razu do środka, odrzuca pokusę i stosuje się do sugestii Letty. Popchnięte drzwi uchylają się nieznacznie i bezszelestnie jak kurtyna w teatrze, odsłaniając nie tylko pograżoną w półmroku, wysoką ciemnicę, gdzie służba przygotowuje posiłki dla Williama, lecz także (co Rackham widzi, spoglądając na podłogę) dwie kobiety, pochłonięte czynnością, która nie powinna go ani trochę dziwić – gdyby jedna z tych kobiet nie była jego żoną.

Oto bowiem na kamiennej posadzce klęczą ramię w ramię Agnes i pomywaczka Rackhamów, Janey. Obie zwrócone są do niego tyłem i z wypiętymi pośladkami poruszają się po kuchni na czworakach, na zmianę maczając szczotki do podłóg w wiadrze pełnym wody z mydłem. A przy tym rozmawiają.

Agnes szoruje posadzkę z mniejszą wprawą, dorównuje jednak Janey energią, a pod skórą jej drobniutkich dłoni rysują się napięte ścięgna. Rąbek sukni pani Rackham przywiera do mokrej podłogi, jej ozdobiona turniura pupa kołysze się na boki, a stopy w bamboszach nerwowo szukają punktu oparcia.

– No, pani – mówi Janey. – Wszystkie naczynia staram się myć jednako, alem nie mogła chyba

wiedzieć, że miski do rąk bndom takie usmolone, co nie?

– Nie, nie, oczywiście, że nie – dyszy Agnes, szorując szczotką posadzkę. – Więc właśnie, nic żem nie zmiarkowała – ciągnie Janey. – Nic. I tak se stoję, a kucharka krzyczy na mnie i wrzeszczy, i wymachuje mi tymi miskami przed nosem, a ja nie mogę zaprzeczyć, że od spodu lepiom się od brudu, ale jak babcię kocham, pani, to byli miski do mycia rąk, a kucharka chyba musi wiedzieć, że normalnie zawsze som czyściutkie...

– Tak, tak – mówi ze współczuciem jej pani. – Biedna dziewczyna.

– A to... to tutaj to krew – zauważa Janey, wskazując starą plamę na listwie podłogowej, do której dotarła teraz z panią Rackham. – Kapła już dawno, hen, ale nie chce zejść, choćby ją nie wiem ile razy szorować.

Pani Rackham kuca obok, żeby zobaczyć plamę, i muska Janey ramieniem.

– Daj, ja spróbuję – prosi, dysząc.

William wybiera ten moment, by zainterweniować. Wchodzi dostojnie do kuchni, stukając głośno obcasami o mokrą posadzkę. Idzie prosto ku Agnes, która odwraca się do niego, wciąż klęcząc, Janey natomiast nie odwraca głowy, ale zastyga, siedząc w kucki jak pies, przyłapany na psocie, za którą dostanie lanie.

– Witaj, Williamie – mówi spokojnie Agnes, mrugając raptownie powiekami, bo na spocone czoło zsunął się jej niesforny kosmyk włosów. – Czy doktor Curlew już przyszedł?

Wbrew jej oczekiwaniom William nie odpowiada jednak z bezsilnym zniecierpliwieniem, lecz schyla się, wsuwa jedną rękę pod jej turniurę, drugą zaś pod plecy i – donośnie stękając z wysiłku – dźwiga Agnes w górę. Kiedy oszołomiona małżonka osuwa się bezwładnie na jego pierś, William oświadcza głośno:

– Po doktora Curlew posłano bez mojej zgody. Pozwolę mu zaaplikować ci środek nasenny, a potem poproszę, żeby opuścił nasz dom. Moim zdaniem przychodzi do nas za często i bawi tu za długo... Poza tym, czy czujesz się lepiej po tych jego wizytach?

Z tymi słowami William wychodzi z kuchni, unosząc małżonkę na rękach. Niesie ją przez kolejne drzwi i korytarze, a potem wstępuje na schody.

– Zawiadom mnie, gdy przyjdzie doktor Curlew – poleca zmartwiałej Clarze, która wychodzi z cienia i drepcze obok po schodach. – I powiedz mu, by podał Agnes jedynie środek nasenny, nic więcej! Będę w gabinecie.

Tam więc udaje się William Rackham, gdy jego żona bezpiecznie leży już w łóżku.

– Wiesz co, Henry? – mówi w zadumie pani Fox, przyglądając się dzielącej ich chybotliwej stercie zaadresowanych kopert. – Jestem szczęśliwa, że nie mam dzieci.

Henry o mało nie krztusi się łykiem kakao.

– Naprawdę? A to czemu?

Pani Fox rozpiera się wygodnie na krześle, pozwalając, by na jej twarz padł promień słońca, który sączy się do środka przez zasłony w oknach. Na jej skroniach widać fiołkowe żyłki, których Henry dotąd nie zauważył, i czerwoną plamę na jabłku Adama; jeżeli kobiety mają jabłko Adama, czego Henry wcale nie jest pewien.

– Czasami myślę, że dysponuję skończoną ilością... – pani Fox zamyka oczy w poszukiwaniu właściwego słowa – ...energii, jaką mogę dać światu. Gdybym miała dzieci, otrzymałyby większość z niej, a tak... – Pani Fox na poły z żalem, na poły z zadowoleniem wskazuje otaczające ich zewsząd filantropijne różności: bałagan dobroczynności, jaki panuje w jej domu.

– Czy to oznacza, że twoim zdaniem wszystkie chrześcijanki powinny pozostać bezdzietne, pani? – ośmiela się spytać Henry.

– Och, nie powiedziałabym nigdy, że powinny – rzecze w odpowiedzi pani Fox. – A jednak pomyśl tylko, jak wielką siłę dobra wyzwoliłby taki stan rzeczy.

– A Boże przykazanie: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się”?

Pani Fox uśmiecha się i wygląda przez okno, mrużąc oczy w migotliwym świetle popołudnia. Zapewne to tylko chmury, ale jeśli uruchomimy wyobraźnię, zobaczymy, być może, maszerującą przed domem ogromną armię, niezliczone hordy wojowników zasłaniających słońce i koło o

milionie szprych, utworzone z ich ciał.

– Moim zdaniem rozmnożyliśmy się już wystarczająco, nie sądzisz? – wzdycha pani Fox. – Doskonale udało nam się zapęlić świat przerażonymi i głodnymi ludźmi, nieprawdaż? Dzisiaj pytanie brzmi: co z nimi wszystkimi począć?

– Mimo to cud nowego życia...

– Och, Henry, gdybyś tylko widział... – Pani Fox chce mu opowiedzieć o swoich doświadczeniach z pracy w Towarzystwie Ocalenia Kobiet, ale zmienia zamiar; wizje chorych na syfilis noworodków, które prostytutki upychają w kredensach, i gnijących w Tamizie dziecięcych zwłok są niesmaczne nawet dla niej, tym bardziej że oboje właśnie piją kakao.

– Doprawdy, w rodzeniu dzieci nie ma nic wyjątkowego – ciągnie pani Fox. – Natomiast jeśli chodzi o szczerą dobroczynność... Może powinieneś sobie wyobrazić, że dobre uczynki to jajka, my, kobiety, jesteśmy zaś kurami. Zapłodnione jaja stają się zbyteczne, mogą z nich bowiem wykluć się już jedynie kurczęta, pomyśl jednak, jak pożyteczne jest surowe jajko! I ile jaj potrafi znieść jedna kura!

Henry rumieni się aż po same uszy, których szkarłatna barwa kontrastuje ponętnie z jego złocistymi lokami.

– Oczywiście żartujesz, pani.

– Naturalnie, że nie – uśmiecha się pani Fox. – Nie słyszałeś, co powiadają o mnie Bodley i Ashwell? Jestem śmiertelnie poważna. – Nagle osuwa się na oparcie krzesła, a głowa zwisa jej bezwładnie, najprawdopodobniej ze zmęczenia. Przestraszony i jednocześnie zafascynowany, Henry patrzy, jak Emmeline odycha głęboko i jak faluje jej biust okryty stanikiem, pod którego miękką tkaniną prężą się dwie łagodne wypukłości.

– P-p-pani Fox? – jąka się Henry. – Żle się pani czuje?

*

Kiedy doktor Curlew wchodzi do gabinetu Williama Rackhama, ten wita go uprzejmie, ale bez respektu. Ta okoliczność potwierdza, zdaniem lekarza, charakter zmian, jakie zauważył w posiadłości Rackhamów i to, że traktują go tu inaczej, począwszy od czterech czy pięciu ostatnich wizyt. Zniknęły fotelowe pogawędki, cygara i pełne szacunku spojrzenia. Dziś doktor Curlew czuje się tak, jak gdyby wezwano go tu w charakterze zwykłego pigularza, a nie wybitnego uczonego, specjalisty od chorób umysłowych.

– Teraz zaśnie – mówi.

– To dobrze – odpowiada Rackham. – Proszę wybaczyć, ale nie będziemy rozmawiać o szczegółach ostatniego nawrotu choroby mojej żony. Jeżeli rzeczywiście jest to nawrót choroby.

– Jak sobie życzysz, panie.

Proszę mi także wybaczyć, myśli William, jeżeli odprawię cię stąd, zanim znów mi powiesz, że Agnes powinna trafić do zakładu dla obłąkanych. Jestem bogatym człowiekiem i nie ma takiego problemu, z którym nie dałbym sobie rady we własnym domu. Jeśli Agnes straci rozum i będę potrzebował pielęgniarek, zatrudnię je. A jeśli pewnego dnia dostanie ataku szału i nie obejdzie się bez pielęgniarzy, aby ją obezwładnić, to stać mnie także na zatrudnienie pielęgniarzy. Nie dosięgnie mnie niczyja litość, doktorze; znaj zatem swoje miejsce.

William instruuje lekarza, że odtąd ma ich odwiedzać raz w miesiącu, nie zaś raz na tydzień, dziękuje mu za przybycie i przekazuje go pod opiekę Letty. Kiedy Curlew wychodzi, wydaje mu się, że widzi na jego twarzy cień upokorzenia – myli się jednak, albowiem ludzie pokroju doktora mają do dyspozycji tyle ludzkich luster, które odbijają ich znaczenie i pozycję, że kiedy jedno z owych zwierciadeł pokazuje jakiś ich mniej pochlebny wizerunek, zwracają się po prostu ku innemu. Następną pacjentką doktora będzie staruszka, która czci go jak bóstwo, a w Rackhamowym lustrze Curlew przejrzy się innym razem, w innym świetle. Los Agnes Rackham jest przypieczętowany; lekarz będzie tylko czekać.

Odprawiwszy spokojnie doktora Curlew, William zastanawia się nad odwiedzeniem żony. Chce sprawdzić, czy już spokojnie śpi, odrzuca jednak ten pomysł, wie bowiem, że Agnes nie lubi, gdy

wchodzi do jej sypialni. Mimo to życzy małżonce jak najlepiej, a nawet wyobraża sobie jej twarz, na której maluje się wyraz beztrioski.

To dziwne, ale odkąd poznał Sugar, myśli o Agnes coraz łagodniej i czulej – żona nie ciąży mu już niby brzemień, stanowi raczej pewnego rodzaju wyzwanie. Jak kierowanie Rackham Perfumeries, które kiedyś wydawało mu się okropną niemożliwością, stało się dla Williama ciekawą przygodą dzięki wsparciu Sugar, tak uzdrowienie Agnes może stanowić dla niego próbę sił. Wie, co jest najbliższe sercu jego żonki, i da jej tego tyle, ile tylko zapragnie. Wie, czego Agnes nie cierpi, oszczędzi jej więc najgorszego.

Zdeterminowany i rozpogodzony, William wraca do spraw niecierpiących zwłoki: oblicza dokładnie, ile pieniędzy potrzeba, żeby ustrzec Sugar przed niebezpieczeństwami, które zagrażają jej tam, gdzie obecnie mieszka.

Kiedy jej mąż duma nad szczegółami planowanej operacji, naszprycowana morfiną Agnes Rackham zasypia. Śni, że specjalnie przystosowany dla chorej wagon kolejowy czeka na stacji, cały w kłębach pary. Ona leży już opatulona w przedziale, w uroczym łóżeczku przy oknie, z głową uniesioną na poduszkach, by mogła wyglądać na zewnątrz. Zawiadowca puka w jej okno, pyta, czy ma wszystko, czego potrzebuje, ona zaś odpowiada: – Tak. – Potem rozlega się gwizdek i Agnes wyrusza do Klasztoru Zdrowia.

Dwa tygodnie później zastajemy Williama Rackhama podczas końcowych oględzin mieszkania, w którym począwszy od tego wieczora, zamierza spędzać tyle czasu, na ile pozwolą mu jego liczne zajęcia. Właśnie wychodzi ostatni z najętych robotników, którzy ustawiali meble – i teraz William może przyjrzeć się efektom oraz ocenić, czy elegancki apartament przy Priory Close w Marylebone naprawdę jest wart małą fortunę, którą za niego zapłacił.

Zaferowany, krząta się w korytarzu, układając bukiet czerwonych róż w kryształowym wazonie. Niektórym kwiatom, jeśli trzeba, przycina łodygi. Nie przywiązywał tyle wagi do estetycznych detali od czasu, kiedy jako dandys studiował w Cambridge. Sugar wyzwała w nim... cóż, szczerze mówiąc, ona wyzwała w nim „wszystko”. To eleganckie mieszkanie jest godnym jej miejscem – niczym szkatułka przeznaczona na skarb, za jaki ją uważa.

Kontrakt z panią Castaway został już podpisany, a starucha zgodziła się nań bez sprzeciwu; co mogła zrobić innego? William jest teraz dziesięciokrotnie potężniejszy niż kilka miesięcy temu, kiedy podpisał z nią pierwszą umowę, pani Castaway przeciwnie – skarłała. W mlecznym świetle poranka, gdy widział ją po raz ostatni, wydawała mu się mniej przerażająca niż onegdaj w czerwonym, gniewnym blasku kominka, a jej krzykliwy strój zbladł, upstrzony plamkami wirującego w promieniach słońca kurzu. William przedstawił rachunki od najlepszych producentów mebli, tapicerów, glazurników, szklarzy i wielu innych rzemieślników, zatrudnionych przez pana George'a Hunta, a także dowód wpłaty tysiąca funtów na założone na to nazwisko konto. (Oczywiście, William wie, że gdyby chciał, mógłby już zrezygnować z tej maskarady, kontynuuje ją jednak bez najmniejszego wysiłku, dlaczego więc nie miałyby oszczędzić sobie wstydu? A co do konta bankowego na nazwisko George W. Hunt – hmm, może się okazać, że to znakomity pomysł także z innych względów, jeżeli tylko nie pomylił się w prawie podatkowym!)

Zapewne imponuje pani Castaway bez względu na to, jakie nazwisko nosi, nie musiał więc przekonywać jej w żaden sposób (wyjąwszy argument w postaci zwitka banknotów), aby unieważniła starą umowę i powierzyła Sugar jego opiece.

– Dbałam o nią najlepiej, jak umiałam, w miarę możliwości – tak brzmiały jej ostatnie słowa. – Tuszę, że będziesz postępował w ten sam sposób, panie, ku naszej obopólnej korzyści po wsze czasy.

Oglądając teraz mieszkanie na Priory Close, William odrzuca wspomnienie jej straszliwej, woskowej, starczo pomarszczonej twarzy i stwierdza, że wszystko jest w porządku – bez zarzutu, w idealnym stanie. Upewnia się, że ich miłosne gniazdko posiada doskonałą lokalizację, jest świetnie wyposażone, a wystrój wnętrza zachowuje harmonijną równowagę między męskimi i żeńskimi upodobaniami. Przysiada kolejno na wszystkich krzesłach i na szezlongu, napawając się widokiem

wnętrza z rozmaitych perspektyw. Otwiera i zamyka drzwiczki, okna, wieka oraz dotyka krawędzi wszystkich kredensów, szafek, półek biblioteczki oraz innych mebli, by sprawdzić, czy nie lepią się do rąk albo nie skrzypią.

Jego niepokój budzi jednak łazienka. Czy słusznie postąpił, każąc założyć wannę z gorącą wodą? Nieładne rury przypominają gigantyczną aparaturę w jednej z fabryk Rackhama – czy Sugar nie byłaby bardziej zadowolona z wolno stojącej, dużej balii? Ach, William pragnie jednak, by dbała o higienę, a nowe wanny kąpielowe marki Ardent to ostatni krzyk mody. Instrukcja obsługi kranu z gorącą wodą jest rzeczywiście nieco skomplikowana, a ponadto istnieje ryzyko eksplozji, to prawda, Sugar jest jednak mądrą dziewczyną i William nie wierzy, by mogła zginąć wskutek wybuchu w wannie. Tym bardziej że tak bezpiecznych wanien jak Ardent nie było dotąd na rynku. „Kiedyś każdy będzie miał taką wannę w domu” – powiedział mu sprzedawca. (Na co William, którego kusiło, aby pokazać temu jegomościowi, jak należy prowadzić interesy, omal nie odpowiedział: „Nie, nie, nie, powinieneś raczej powiedzieć: zwykli śmiertelnicy zawsze będą się myli w sławnym cebrzyku – natomiast posiadaczami takich wanien będą jedynie ludzie modni i zamożni”).

Potem Rackham przechodzi wolnym krokiem do sypialni i po raz dziesiąty uważnie ogląda łóżko. Przesuwa w palcach prześcieradło i kołdrę, po czym kładzie się na chwilę na poduszkach, żeby nacieszyć oko wiszącymi na ścianie reprodukcjami (to *chinoiserie*, nie pornografia) oraz połyskującymi w słońcu wzorami tapet. Śmie twierdzić, że wszystko to przypadnie dziewczynie do gustu.

Z zewnątrz rezydencja nie prezentuje się zbyt imponująco; właściwie nie różni się niczym od innych domów po obu stronach ulicy. Drzwi z holu wychodzą bezpośrednio na Priory Close, są jednak częściowo ukryte w ciemnej baszcie ganku, co zapewnia osłonę przed wścibskimi oczami sąsiadów. Na górze nikt nie mieszka, William wynajął bowiem także pierwsze piętro i postanowił, mając na względzie dyskrecję (choć dostałby ładny grosz, gdyby przyjął jakichś lokatorów!), że pokoje na piętrze pozostaną puste.

Spogląda na zegarek. Jest dziewiąta wieczorem, 17 marca 1875 roku. Nie pozostaje mu nic innego, jak po raz ostatni odwiedzić panią Castaway i zawieźć Sugar do jej nowego lokum.

Henry Rackham wędruje po tylko na poły oswojonych peryferiach cywilizowanego świata, wieczorową porą, w ciemnościach. Z natury nie jest nocnym markiem – należy do ludzi, którzy budzą się o świcie i mają problemy z powstrzymaniem ziewania, kiedy słońce zachodzi. Dziś jednak Henry wstaje z ciepłego łóżka, pospiesznie naciąga na nocną koszulę byle jakie ubranie, na ten niedbały strój narzuca długi zimowy płaszcz – i wychodzi na spacer.

Przez pierwsze dwie mile wędruje ulicami, przy których stoją domy i latarnie, rzędzące jednak stopniowo coraz bardziej, by wreszcie ustąpić błyskającym ogniskom odległych obozowisk cygańskich, niesamowitej łunie, unoszącej się nad Great Western Railway, i naturalnej iluminacji, jaką zapewnia Bóg. Henry podąża przed siebie w świetle pełni księżyca. Obok biegnie jego ogromny cień, skacząc na wybojach zwinnie niczym stado czarnych szczurów. Nie zwraca na niego uwagi, skupiony na własnych, niezdarnych nogach i stopach, kroczących nieprzerwanie w niezasnurowanych butach.

Jestem potworem, myśli.

Chociaż panuje ziąb i trzeba wypatrywać drogi w ciemnościach, Henry wciąż widzi Emmeline Fox oczami duszy – albo jakimiś innymi oczami, które pozwalają mu ją oglądać spoczywającą swobodnie na wznak w wyłożonym poduszkami buduarze, naga, zepsuta i tak ponętą, że gotów jest rzucić się na nią. Ta wizja okazuje się tylko niewiele mniej wyrazista niż wtedy, gdy po raz pierwszy zerwał z siebie kołdrę wraz z pokusami lubieżnego snu. A jednak pomimo świetlistej ostrości obraz jego drogiej przyjaciółki jest cholernie fałszywy. Albowiem Henry nigdy nie widział pani Fox, jak ją Pan Bóg stworzył, a tylko jej ręce i twarz; stąd wszystko, co teraz ogląda poniżej szyi i powyżej nadgarstków Emmeline, to jego nikczemna fantazja. Obdarzył ją ciałem swego własnego projektu, zszytym bez szwów z fragmentów aktów greckich bogiń i nimf wodnych, ale najbardziej wulgarne aspekty jej cielesności podsunął mu sam diabeł. Do pani Fox należy jedynie

twarz.

Ale, Tak!, szepcze Emmeline, leniwie wyciągając do niego widmowe, blade ramiona. *Tak*.

Henry przywiera do drewnianej balustrady mostu zawieszzonego nisko nad Grand Junction Canal, rozpina ubranie i krzyczy z pożądania.

– Dokąd jedziemy? – pyta szeptem Sugar.

Dorożka mija z hurkotem wszystkie miejsca, które William mógł mieć na myśli, kiedy (co niezwykle!) kazał jej się ubrać na „małą wycieczkę”. Sądziła najpierw, że może pragnie z sentymentu odwiedzić „Fireside” – ostatnio zrobił się bowiem dziwnie nostalgiczny i wspomina ich romans, jak gdyby znali się już od wielu lat. Ale nie, gdy zobaczyła oczekującą dorożkę, zorientowała się, że nie pojedą do pubu. A teraz nie tylko minęli już wszystkie najlepsze piwiarnie i restauracje, lecz także skręcili w ulicę, którą nie można dojechać do Cremorne Gardens.

– Cel tej podróży na razie znam tylko ja. – William przekomarza się z nią łagodnie, gładząc dziewczynę po ramieniu w ciemności wnętrza dorożki. – Ty zaś poznasz go wkrótce.

Sugar nie cierpi psikusów ani zagadek.

– Jakie to podniecające! – dyszy, przyciskając nos do szyby w oknie.

William uważa, że jej dziecinna ciekawość jest urocza – i wyjątkowo przyjemnie kontrastuje z zachowaniem Agnes owego dnia, kiedy zabrał ją jako świeżo poślubioną małżonkę do nowego domu. Oglądała się przez całą drogę, choć błagał, żeby tego nie robiła – Sugar natomiast patrzy przed siebie z nieskrywaną ciekawością. Agnes zachowywała się tak niesympatycznie (wierciła się cały czas i pochlipywała), że William żałował, iż nie może palnąć jej mocno w głowę, aby straciła przytomność i ocknęła się dopiero w przytulnym, nowym domu – z kolei tę dziewczynę pragnie posadzić sobie na kolanach, tutaj, w tej dorożce, żeby przebiegające pojazdy drgania pomogły jej ujeżdżać jego erekcję. Jednak poza tym, że gładzi Sugar po ramieniu, nie robi nic innego: to ważna chwila w jej życiu – w życiu ich obojga – i dlatego nie wolno jej zepsuć.

Tymczasem dziewczyna wpatruje się w ciemność szeroko otwartymi oczami. Czy William wiezie ją do swojej rezydencji w Notting Hill? Nie, skręcili w prawo w Edgware Road, zamiast jechać dalej prosto. Czy chce ją wywieźć w jakieś odludne miejsce za miastem, by tam tym łatwiej zamordować ją i porzucić ciało? Opisała już tyle podobnych zabójstw w swojej powieści, że taka ewentualność wydaje się jej całkiem prawdopodobna; tak czy inaczej, czy prostytutki nie giną najczęściej z rąk swoich kochanków? Ot, choćby i w zeszłym tygodniu, jak powiedziała jej Amy, na Hampstead Heath znaleziono jakąś „pohańbioną” kobietę bez głowy...

Wystarczy jedno spojrzenie z boku, by dodać jej otuchy: William promienieje z dumy i pożądania, Sugar przyciska zatem znów nos do szyby i przykładą usta do rozprzestrzeniającego się na niej obłoczek mgiełki, którą jej oddech zasnuł szkło.

Podróż dobiega końca i William nakazuje dziewczynie wysiąść na ciemnym dziedzińcu, okolonym bardzo nowoczesnymi domami o identycznych fasadach. Skąpe światło okolicznych latarni przechwytyją dwa potężne, dostojne drzewa o gałęziach splecionych w skomplikowane, iście gotyckie wzory. Kiedy dorożka odjeżdża z turkotem w dal, zapada cmentarna cisza. William prowadzi Sugar pod ramię na ciemny choć oko wykol ganek jednego z osobliwych nowych domów.

Rackham idzie obok, chociaż w ciemności mający tylko jako niewyraźny kształt. Sugar słyszy jednak jego oddech i szelest swojej sukni, gdy Rackham ociera się o nią, szukając dziurki od klucza. Musi być bardzo cicho, skoro słyhać nawet równie nieuchwytnie szmery! Cóż to za miejsce, że panuje tu takie poczucie swobody i wolności? Sugar poddaje się nagle nieznaney, ale potężnej emocji. Serce wali jej jak młot, nogi uginają się pod nią i zaczynają drżeć, jak gdyby miała jednak paść ofiarą morderstwa. Słysząc odgłos zapalanej zapalniczki, przypominający trzask rozdieranej tkaniny, po czym dziewczyna widzi oświetloną lucyferycznym płomykiem twarz Williama, który nachyla się, by wsunąć klucz do zamka i otworzyć drzwi. Jego porośnięte bokobrodami oblicze wydaje się jej całkowicie obce.

Ten mężczyzna odmienia moje życie, myśli Sugar, kiedy klucz zgrzyta w zamku i otwierają się drzwi. *Rzuca je na szczęście, jak monetę*.

William zapala lampę w holu i poleca Sugar, żeby pod nią stanęła, sam zaś wchodzi szybko do pozostałych pomieszczeń, gdzie również zapala światło. Potem wraca i ujmując ją delikatnie za rękę.

– To wszystko – powiada, wyciągając dłoń w teatralnym geście – należy do ciebie. Wszystko.

Na chwilę zapada cisza i bezruch, jak w *tableau vivant* złożonym z trzech elementów: mężczyzny, kobiety i wazonu czerwonych róż.

Po chwili, kiedy Rackham prowadzi ją do salonu, Sugar wykrzykuje ze zdumieniem:

– Och, Williamie! Och, dobry Boże! – Przez całą drogę przygotowywała się, żeby udawać wzruszenie, bez względu na to, czym będzie jego mała niespodzianka, teraz jednak wcale nie musi grać, jest bowiem tak oszołomiona, że kręci się jej w głowie.

– Drżysz – zauważa William, ujmując w dłonie jej rękę, jak gdyby chcąc się upewnić, że naprawdę przebiegają ją dreszcze. – Dlaczego?

– Och, Williamie! – W oczach Sugar pojawiają się łzy. Spogląda to na Williama, to na niewiarygodnie wspaniały pokój. – Och, Williamie!

Dziwi go ta manifestacja wdzięczności, do której podchodzi początkowo z nieśmiałą nieufnością, jakiej nie żywi nigdy wobec przejawów pożądania z jej strony. Kiedy jednak uświadamia sobie, że jest autentycznie zdumiona i przejęta, pęka z dumy na myśl, iż to za jego sprawą. Zdaje się, że dziewczyna lada chwila zemdleje, William ujmując ją więc za ramiona i odwraca ku sobie. Zręcznie rozwiązuje jedwabną wstążkę pod brodą kochanki, a kiedy zsuwa jej czepek i wyciąga spinki z włosów, złocistobrunatne loki Sugar wysypują się spod niego niczym świeżo ostrzyżona wełna z koszyka. William czuje w sercu ukłucie: ach, gdyby można było tę chwilę pruć przez całą wieczność!

– No i co? – dopytuje się lekko natarczywie. – Nie chcesz obejrzeć swojego nowego mieszkania?

– Och, tak! – woła dziewczyna i odsuwa się sprężystym krokiem. Rozpromieniony William patrzy, jak Sugar tańczy po pokoju, zaznajamia się fizycznie z całym otoczeniem, bierze w posiadanie wszystkie przedmioty i powierzchnie, których dotyka otwartą dłonią, po czym wybiega do drugiego pokoju. Obserwując kochankę, William mimo woli przypomina sobie Agnes, błakającą się pierwszego dnia po domu w Chepstow Villas jak chore, rozdrażnione dziecko, ślepą na wszystko i niepamiętającą wszystkich przygotowań, które poczynił jej mąż.

– Mam nadzieję, że o niczym nie zapomniałem – szepcze jej do ucha, dopadając dziewczynę, kiedy przystaje jak urzeczona przy biurku w gabinecie. Przyjmuje w oszołomieniu jego pocałunki, wpatrując się w swoje odbicie w politurowanych meblach.

– Co to za pokój? – pyta.

William ociera się pieszczotliwie brodą o jej szyję.

– Pokój krawiecki, ubieralnia, gabinet, co tylko zechcesz. Nie wstawiałem tu za dużo mebli, bo pomyślałem, że możesz potrzebować tego i owego z twojego dawnego pokoju u pani Castaway.

– To ona o tym wie?

– Ależ oczywiście. Zawarliśmy umowę.

Twarz Sugar pokrywa się bladością, bo nagle nawiedzają ją koszarne wizje: oto starucha w krwawo czerwonej sukni wchodzi po schodach do jej sypialni, a potem otwiera drzwiczki szafki, za którymi spoczywają białe kartki rękopisu *Upadku i wzlotu Sugar*. Pani Castaway nie wolno ich tknąć! Albowiem opisana na stronicach powieści Sugar właścicielka domu publicznego nazwiskiem „pani Jettison” jest oskarżana o wiele, wiele zbrodni, a przede wszystkim o zniewolenie własnej, niewinnej córki, nieustraszonej bohaterki tej prozy.

– Mój pokój... mój stary pokój... – głos jej się załamuje. – Co... co postanowiliście...

– Nie martw się – Rackham wybucha śmiechem. – Zabdałem o twoją prywatność. Nikt w nim niczego nie ruszy, dopóki nie każesz przewieźć tu swoich rzeczy. Tym także się zajmę, kiedy tylko zechcesz. – Tu William gładzi ją uspokajająco po twarzy, by przywrócić jej rumieniec.

Zaskoczona dziewczyna podchodzi do okien, patrząc, jak zbliża się do nich jej poćwiartowane odbicie. Szyby osadzone są pod minimalnie różnymi kątami, toteż cztery części jej odbitej postaci nie zbiegają się, dopóki dziewczyna nie podchodzi tak blisko, że staje się przezroczysta i znika całkowicie. Na zewnątrz znajduje się maleńki, otoczony murem ogródek, który trudno dojrzeć w

ciemności, choć widać, że porasta go bujnie... cóż, jakaś roślinność, będąca żywym dowodem na to, iż nowe mieszkanie Sugar mieści się na parterze w o wiele bardziej zielonej okolicy niż Silver Street. Opuszczają ją wątpliwości, a powraca radość.

– Och, Williamie – woła jeszcze raz. – To wszystko jest naprawdę tylko dla mnie?

– Tak, tak – śmieje się Rackham. – Tylko dla nas. Wynająłem to mieszkanie na stałe.

– Och, Williamie!

I Sugar znów podskakuje, a potem ściąga rękawiczki i rzuca je na podłogę, żeby przesuwając palcami po grzbietach książek na półkach biblioteczki i biało-różowych pasach, wytłoczonych w tapecie. William nie odstępował jej na krok, kiedy dziewczyna w podskokach przebiega z pokoju do pokoju, wszędzie wykonując ten sam okolicznościowy taniec i zapoznając się z otoczeniem przez dotyk. Rackham nakupił jej całe wagony najróżniejszych prezentów! Mieszkanie zapchane jest bibelotami: bezużytecznymi, brzydkimi, pięknymi, pomysłowymi, niepraktycznymi – choć wszystkie, o ile Sugar wyznaje się cokolwiek na tych sprawach, są kosztowne.

– Pokażę ci coś jeszcze, pokażę ci coś jeszcze! – powtarza William. – Jest tu także wanna z ciepłą wodą. Łatwo ją obsługiwać. Nawet dziecko...

I Rackham demonstruje, co należy zrobić, by cieszyć się luksusem nowoczesności, nie ryzykując nieszczęścia.

– Powtórz te wszystkie czynności – zachęca ją William, bo Sugar wygląda na nieco zdezorientowaną. – Pokaż mi, że umiesz już obchodzić się z tym urządzeniem. – I okazuje się, że dziewczyna już wie, naprawdę wie.

Im lepiej zdaje sobie sprawę, jak wielki majątek zainwestował w nią William, tym szybciej wiruje w pędzie z pokoju do pokoju, od stołu do szafki i dalej, do biblioteczki, a po drodze ociera się grzbietem o ściany niby samica w rui. Zamiast słów wydaje z siebie tyle pełnych aprobaty pisków i jęków, że William chwyta ją za przegub dłoni i prowadzi do łóżka, olbrzymiego i jeszcze bardziej zdobnego potwora niż ten, którego już znają na wylot.

Zauważa, że Sugar pytająco przygląda się wezglowiu, już w chwili, kiedy zaczyna rozpinąć trzewiki: nad łóżkiem brak bowiem zwierciadła i lustrzanego odbicia, nie licząc refleksu, którego dostarcza wypolerowana powierzchnia ciemnego drewna. William marszczy brwi i zastanawia się, czy podjął trafną decyzję: nie potrafił się zmusić, żeby jak jakiś prostak kazać przykręcić lustro do połyskliwej deski z tekowego drewna. Och, zastanawiał się nad tym, wspominając, że bardzo lubi przyglądać się w lustrze swojej sztywnej męskości, która wnika w Sugar, a potem wyłania się z niej oślizgła i mokra. Posunął się nawet do tego, że rzekł do tapicera: – Zastanawiam się, mój dobry człowieku, czy byłoby możliwe...

Ale rozmyślił się w pół zdania i poprosił o coś innego: – ...wyciąć tu, na górze, taką małą, ozdobną literę „R”?

Teraz zaś William badawczo zagląda jej w oczy, nie zważając, że Sugar obnaża dla niego swoje ciało.

– Brakuje ci tego lustra? – pyta.

Dziewczyna wybucha śmiechem.

– Przecież ty na mnie patrzysz, po co mi lustro?

Gdy staje teraz przed nim tylko w staniku, spodnie Williama wypełnia w kroku wypukłość. Rackham popycha dziewczynę na łóżko i patrzy, jak otwiera szeroko oczy ze zdziwienia na widok kopuły baldachimu – owszem, to najwspanialsza belgijska koronka! Nie może już dłużej opierać się pokusie i chce powiedzieć jej wszystko: jak wiele trudu sobie zadał, dobierając meble, jak wyszukiwał różne rzadkie i trudno dostępne produkty, jak się targował... Nie, tak jest jednak lepiej, nie powinien rozwiewać bajkowego czaru swojego podarunku.

Boże wszechmogący, nigdy jeszcze nie miała tak mokrej cipy! I to on wprawił ją w takie podniecenie!

– Kochany Williamie – wzdycha Sugar, kiedy William w nią wchodzi. – Ale tu nie ma kuchni.

– Kuchni? – Tylko sekundy dzielą go od erupcji. – Kuchnia nie będzie ci potrzebna, gąszo – stęka. – Ja ci... dam... wszystko, czego potrzebujesz. – I Rackham tryska nasieniem w jej pochwie.

Później Sugar leży w jego ramionach, setki razy całuje pierś Williama i prosi o przebaczenie, że w tak subtelnej chwili wydawała się pochłonięta czymś innym. Mówi, że jego wielkoduszność i hojność oszołomiły ją kompletnie – i że wciąż nie może dojść do siebie. To dla niej za dużo wrażeń naraz, bo aż kręci się jej w biednej głowie, ale jej cipa przecież wie, co robić, o czym William może chyba zaświadczyć! A jeżeli ma żal, że jego orgazmowi po raz pierwszy, odkąd się poznali, nie towarzyszył równoczesny wybuch jej ekstazy, to cóż, z największą ochotą zaczeka, aż jego męskość odżyje. Czy woli może, żeby go wzięła w usta? Zapewnia, że już sam smak jego kutasa wystarczy, by doprowadzić ją prawie do orgazmu.

Nie, wzdycha William, nie trzeba. Jest zmęczony; dla niego był to także ważny i ciężki dzień. Poza tym Sugar miała rację, zastanawiając się, gdzie będzie przygotowywać posiłki w swoim nowym mieszkanku, ale on już o to wszystko zadbał. Otóż Rackham – a raczej jego bank – będzie przysyłał jej pocztą tygodniówkę, która z naddatkiem wystarczy, żeby zapewnić dziewczynie niezależność. Przy Marylebone Road jest wiele znakomitych miejsc, w tym sale śniadaniowe w Aldsworth Hotel, które może polecić bez wahania – serwują tam wyjątkowo smaczne omlety. W Warwick z kolei przyrządzają znakomite dania rybne: czy Sugar lubi ryby? Owszem, uwielbia. A jaką rybę lubi najbardziej? Och, lubi wszystkie ryby. I niech Sugar nie martwi się też o pranie ani o utrzymanie czystości w mieszkaniu; znajdzie jej jakąś dziewczynę do pomocy...

– Ależ nie, Williamie, naprawdę nie trzeba – protestuje Sugar. – Wiesz, że kiedy chcę, doskonale sama daję sobie radę. – (W duchu przyznaje, że to nieprawda – nigdy nie kiwnęła w domu nawet palcem. Ale jeśli to ma być jej mieszkanie, niechaj należy do niej pod każdym względem!)

Spoczywa obok Williama na świeżo ochrzczonej łóżku, lecz coraz rozpaczliwiej pragnie zostać sama. Ten jego prezent... uwierzy w niego dopiero, jeśli Rackham wyjdzie, a mieszkanie nie zniknie razem z nim. Co może zrobić, żeby go skłonić do wyjścia? Całuje jego piersi coraz szybciej, jak gdyby kierował nią nerwowo tik, a potem łagodnie sunie ku genitaliom, mając nadzieję, że tak czy inaczej rozwiąże w ten sposób problem.

– Muszę już iść – mówi William, poklepując ją po plecach między łopatkami.

– Już? – pyta płacząco Sugar.

– Wzywają mnie obowiązki. – William, nie mieszkając, wdziewa koszulę. – Poza tym myślę, że chcesz się zapoznać bliżej ze swoim małym gniazdkiem.

– Z naszym małym gniazdkiem – sprzeciwia się Sugar. (*Twoje spodnie leżą tam, ty głupcze! No, tam, tam!*).

Kilka minut później, kiedy Rackham głaszcze ją na pożegnanie, Sugar całuje jego palce i mówi:

– Czuję się tak, jak gdyby wszystkie moje urodziny wypadły jednocześnie tego samego dnia!

– Wielkie nieba! – oświadcza Rackham. – Przecież ja nawet nie wiem, kiedy ty obchodzisz urodziny!

Sugar uśmiecha się, wybierając na pożegnanie z chaosu konkurencyjnych odpowiedzi najbardziej właściwe słowa, *les mots justes* pieczętujące transakcję.

– Od teraz dniem moich urodzin będzie dzisiejsza data – mówi.

Gdy zamykają się drzwi, Sugar przez kilka minut nie rusza się z obawy, że William może wrócić. Potem wysuwa z wolna nogi poza brzeg łóżka, sięga stopami nieznaną jeszcze podłogi i wstaje. Mocno wymięty stanik zsuwa się z jej piersi. W zadumie wygładza go dłońmi i zastanawia się, czy William, który chełpił się, że pomyślał „o wszystkim”, nie zapomniał, na przykład, o żelazku. Ubiera się. Szczotkuje starannie spódnice małą szczoteczką, którą wyciąga z torebki. Potem zamienia szczoteczkę na lusterko, układa włosy i zeskubuje kilka płatków suchej skóry z warg, zanim wychodzi z sypialni.

– Powoli, powoli – mówi do siebie ostrzegawczo, na głos. – Masz teraz tyle czasu, ile tylko zapagniesz.

W pierwszej kolejności idzie do... gabinetu. Tak, do swojego własnego gabinetu. Staje przy oknie i wygląda do ogrodu. Rankiem oświeci go słońce, a na schludnych trawnikach i grządkach egzotycznych roślin, których nazw Sugar nie zna, załśni zapewne rosa. Z okienka w domu pani

Castaway nie było widać nic poza brudnymi dachami i spieszącymi wiecznie przechodniami – a tutaj jest trawa i... różne ładne rośliny.

Czerwone róże w przedpokoju to zupełnie inna rzecz: ich zapach dosłownie drażni jej powonienie. Jak długo powinna trzymać te róże w wazonie, zanim wyrzuci je do śmieci, gdzie ich miejsce? Nigdy nie cierpiała ciętych kwiatów, a szczególnie róż; nie lubi ich zapachu i nie może patrzeć, jak usychają i rozsypują się, kiedy przekwitną. Kwiaty, które toleruje – jak hiacynty, lilie, orchidee – umierają sprężyście na łodygach, wyprostowane do ostatka.

Mimo wszystko ten bukiet jest oznaką staranności, z jaką William Rackham przygotował dla niej mieszkanie. Zadał sobie wiele zachodu: i sownie wynagrodził jej trud, jaki włożyła w oswojenie Williama! Im dokładniej przygląda się wnętrzu mieszkania, tym więcej znajduje dowodów troskliwości kochanka: oto rozciągacz i pudernica do rękawiczek, prawidła na buty, stojak na pierścionki, miechy do kominka i termofory. Czy William naprawdę sam pomyślał o tych wszystkich rzeczach, czy po prostu przebiegł przez jakiś dom towarowy na Regent Street, kupując wszystko, co wpadło mu w oko? Bo niewątpliwie widać tu kilka bardzo dziwnych przedmiotów. Na przykład tkwiącą wciąż w pudełku szczotkę magnetyczną, którą rzekomo można kręcić loki i leczyć bóle głowy. Przed garderobą leży fachowo wypchany gronostaj, zwinięty w kłębek, jak gdyby czekał, aż zedrą z niego skórę, przerobią ją na etolę i powieszą w szafie. Na kominkach stoi pełno różnych ozdób ze srebra, szkła, porcelany i mosiądzu. Są także dwie toaletki, ale większa z nich jest mniej atrakcyjnie wykończona, co każe przypuszczać, że Rackham, nabywszy ją, rozmyślił się i kupił także drugą, mniejszą, pozostawiając Sugar ostateczną decyzję. Czy to oznacza, że ma jego błogosławieństwo, gdyby chciała dokonać w mieszkaniu jakichś zmian? Jest jeszcze za wcześnie, by można odpowiedzieć na to pytanie.

Do diabła z tymi różami! Wypełniają swoim zapachem całe mieszkanie... Ale nie, to niemożliwe, żeby jeden bukiet pachniał tak mocno. Powietrze jest przesycone tajemniczą perfumą, jak gdyby cały dom został nasączony mydłem zapachowym. Sugar nie bez wysiłku otwiera okno i wciąga świeże nocne powietrze w nozdrza. Dziewczyna wysuwa głowę na zewnątrz, oddycha głęboko, wciągając delikatny zapach mokrej trawy, i uderza ją brak wszystkich tych woni, do których przywykła: mięsa, ryb, odchodów perszeronów i kuców oraz brudnej wody, gulgoczącej w rurach.

Kiedy tak stoi, czując zapach nocnego powietrza, ciepła fala nasienia ścieka jej w majtki po udach; Sugar krzywi się, zaciska lewą rękę w kroczu, a prawą zamyka okno. Co teraz? Czy nie byłoby zdumiewające, gdyby za drzwiami garderoby znalazła wielką, srebrzystą misę i pudełko z trującymi proszkami, dokładnie tam, gdzie przecież powinny stać? Otwiera drzwi szafy. Jest pusta.

Biegnie z powrotem do sypialni i zagląda pod łóżko z obu stron. Ani śladu nocnika. Za kogo Rackham ją ma? Za...? Nie może znaleźć odpowiedniego słowa, o ile takie w ogóle istnieje... Przypomina sobie jednak, że mieszkanie wyposażone jest przecież w łazienkę. Słodki Jezu, łazienka! Idzie tam natychmiast chwiejnym krokiem.

Jest to niesamowite, małe pomieszczenie o połyskliwej, drewnianej podłodze koloru zaparzonej herbaty i lśniących, trójkolorowych ścianach – na dole ciągnie się ozdobny pas brązowych kafli, wyżej oplatająca całą łazienkę wstęga czarnej tapety, a na samej górze atlasowa warstwa musztardowożółtej farby, sięgająca sufitu. Trzy kolory sprawiają, że na ceramiczną wannę, umywalkę i muszlę klozetową sływa dziwne światło.

Sugar siada na klozecie. Jest dokładnie taki sam jak na parterze u pani Castaway, tyle tylko że wydziela absurdalny zapach róż, woda została bowiem spryskana różaną esencją. *Zaraz się go pozbędę*, myśli Sugar, opróżniając pełny do bólu pęcherz. Oddając mocz, odkręca kran nad umywalką, by podmyć się i wytrzeć luksusowym, bawełnianym ręcznikiem. Zauważa, że wszystkie półki są zastawione produktami firmy Rackhama: leżą tu mydła najróżniejszych rozmiarów i kolorów, sole do kąpieli, fiołki z różnymi maściami, słoiczki kremów oraz puderniczki. Wszystkie te przedmioty zwrócone są literą „R” do przodu. Sugar wyobraża sobie Williama, który musiał poświęcić mnóstwo czasu, żeby poustawiać je w ten sposób, a potem cofał się o kilka kroków i podziwiał swoje „R” spod przymrużonych powiek – a na tę myśl przebiegają dreszcz rozkoszy i przerażenia. Jak bardzo Rackham stara się sprawić jej przyjemność! I jak gorąco pragnie uznania z

jej strony! Będzie musiała użyć wszystkich tych przeklętych kosmetyków, które jej tu zostawił, a potem wychwalać je przed nim pod niebiosa, jeżeli nie chce napaść sobie biedy.

Ale nie dziś wieczorem. Sugar naciska spłuczkę i wszystkie jej wydaliny jakimś magicznym sposobem połyka świat podziemi.

Kiedy wychodzi z łazienki, spostrzega, że mieszkanie wcale nie zniknęło, pozostaje luksusowe i milczące, pełne lśniących przedmiotów, które dopiero zaczyna uznawać za własne. Nagle ramiona dziewczyny zaczynają drżeć, a do oczu napływają jej łzy.

– Och, dobry Boże – płacze. – Jestem wolna!

Raz jeszcze zrywa się i znów przebiega z pokoju do pokoju, tym razem jednak zachowuje się gorzej: nie jak popiskujące melodyjnie zachwycone dziewczę, ale jak mały ulicznik, który miota się od ściany do ściany, prychając i krzycząc w prostackim uniesieniu.

– To wszystko moje! Wszystko dla mnie!

Chwyta stojące w wazonie róże, ściska je w garści i zaczyna nimi wymachiwać, chlapiąc dokoła wodą jak oszalała. Uderza kwiatami o najbliższą framugę, mrucząc coś z gniewnym zadowoleniem na widok syjących się płatków. Kręci się jak fryga, bijąc rozpadającym się bukietem o ściany, aż podłoga zaczyna spływać czerwienią, a roztrzaskane łodygi zwisają bezsilnie.

Potem, zawstydzona i przestraszona tą orgią, podchodzi niepewnym krokiem do biblioteczki – własnej, pięknie wykonanej, zrobionej na wysoki połysk, oszklonej i zamykanej na kluczyk – po czym otwiera ją jednym gwałtownym ruchem na całą szerokość. Wybiera z półki najdostojniej wyglądający tom, trzymając go w rękę, podchodzi do fotela przed kominkiem, siada i zaczyna czytać – a w każdym razie udaje, że czyta. Jej myśli zerwały się z uwięzi i odplynęły zbyt daleko, by mogła przyznać, że przecież wcale nie czyta. Siedzi w poważnej pozie, z łokciem wspartym na ramieniu fotela, i wprost emanuje powagą. Jedną ręką podtrzymuje książkę, a drugą podpiera się niedbale i swobodnie. Wpatruje się w zadrukowaną stronicę, szklistymi oczami nie widzi jednak słów, lecz siebie, Sugar, siedzącą samotnie w eleganckim, ładnie umeblowanym pokoju – Sugar, która z powagą czyta książkę, jak gdyby ciężkie tomiszcze stanowiło kotwicę, niepozwalającą jej opuścić własnego miejsca.

Siedzi w tej pozycji nie wiedząc jak długo, co jakiś czas przewracając kolejne strony. Przygląda się z góry swym bladym, pokrytym skomplikowanym deseniem palcom, które suną po drobnym druku. Gdyby nie to, że są dotknięte ichtiozą, można by je wziąć za błędzące po kartkach książki palce jakiejś szlachetnie urodzonej damy (bo damy też chyba cierpią na tę chorobę?). Sugar jest pewna, że w tej chwili gdzieś w jakiejś zacisznej posiadłości autentyczna dama siedzi w identycznej pozie, jak ona tutaj, i czyta. Ponieważ obie czytają jednocześnie, stają się w końcu jakby jedną kobietą.

Po chwili jednak czar rozwiewa się, pryska. Sugar przyznaje, że wcale nie czyta; nie ma najmniejszego pojęcia, o czym traktuje książka i jaki nosi tytuł. Niczym malarz, który zdał sobie sprawę, że słońce już zaszło, i z rezygnacją pakuje swoje przybory, dziewczyna zamyka książkę i kładzie ją na podłodze pod fotelem. A kiedy wstaje, stwierdza, że ogarnia ją absurdalna słabość, że uginają się pod nią kolana i że od stóp do głów jest zlana lepkiem potem.

Wlece się do sypialni i siada ciężko na łóżku. Na nocnym stoliku stoi kryształowy dzban z wodą, a obok niego szklanka. Sugar chwyta dzban i nie zważając, że rozlewa wodę, wypija co najmniej dwie pinty wprost z naczynia. Zaspokoiwszy pragnienie, kładzie się na poduszkach, a mokre włosy oblepiają jej szyję i piersi.

– Tak, jestem wolna – mówi znów, tym razem jednak z mniejszym uniesieniem. Oczy się jej kleją; niektóre członki jej ciała ogarnia niemoc, jak gdyby już pograżyły się we śnie. Sugar wstaje niepewnie, żeby zajrzeć do garderoby w sypialni. Jest pusta. Rackham kupił jej mnóstwo różnych rzeczy, zapomniał jednak o bieliźnie do spania. Czy kiedy przyjechał po nią do pani Castaway, nie mógł jej powiedzieć, żeby zabrała ze sobą koszulę nocną?... No tak, ale w ten sposób zdradziłby jej zawczasu, na czym polega jego wielka niespodzianka.

Słania się na nogach ze zmęczenia. Z trudem udaje jej się pogasić wszystkie światła i wrócić do sypialni, gdzie ściąga ubranie, rzuca je na podłogę i kładzie się do łóżka. Wstaje jednak zaledwie po kilku minutach, choć jej łaknące snu ciało protestuje, zawrócone na samej granicy słodkiego

zapomnienia. Sugar klęka przy łóżku i podnosi róg prześcieradła, chcąc potwierdzić swoje domysły, a mianowicie: że to łóżko, w przeciwieństwie do jej starego łóżka u pani Castaway, nie jest wyposażone w kilka warstw czystej pościeli i impregnowanego płótna. Leży na prześcieradle, które zaplamił Rackham. Dziewczyna ściąga je z łóżka i kładzie się naga na gołym materacu.

Jutro kupisz sobie tyle prześcieradeł, ile zechcesz, mówi do siebie, kiedy okrywa ją ciepła, zbyt kowna kołdra, po czym z wdzięcznością pozwala swym myślom pograć się w głębinach nieświadomości. Rano się zastanowi, czego jej potrzeba, a czego nie kupił Rackham; rano wykuje swą zbroję niezależności.

Rano okaże się, że zapomniała zgasić ogień w kominku – palenisko poczernieje od umęczonych popiołów; z dołu, z przegrzanego salonu pani Castaway, nie buchnie ciepło, a za drzwiami nie będzie czekał Christopher z wiaderkiem węgla. A Sugar po raz pierwszy w życiu będzie zmuszona stawić czoło ciężkim, realnym wyzwaniom nowego dnia.

Część trzecia

Prywatne mieszkania i lokale publiczne

Ponieważ wjeżdża do miasta nieznaną drogą, a widok zasłania jej poranna mgła i para, buchająca z pyska dorożkarskiego konia, eleganckiej młodej kobiecie zdaje się, że nigdy tu przedtem nie była. Kiedyś sądziła, że zna te ulice jak swoje pięć palców, musi jednak przyznać, iż teraz nawet własne palce, tkwiące w dziewiczo białych, obcisłych giemzowych rękawiczkach, zdają się jej obce.

Londyn jest u progu Sezonu i coraz więcej przedstawicieli śmietanki towarzyskiej przybywa z wiejskich posiadłości do stolicy. Na Oxford Street panuje taki ruch, że tworzą się zatory, dlatego dorożkarz skręcił w boczną uliczkę. Porusza się sprawnie w społecznym labiryncie miasta: elegancka młoda kobieta mija najpierw eleganckie nowe domy, wzniesione dla *nouveaux riches*, potem wyciąga szyję, by przyrzeć się lepiej nieco starszym i wspanialszym kamienicom, będącym własnością poprzedniego pokolenia bogaczy, a wreszcie przejeżdża wzdłuż starodawnych czynszówek, w których mieszkali niegdyś parowie i politycy, a w których dziś gnieźdzą się zastępy wynędzniałych plebejuszy. Wygłodniali mężczyźni i kobiety o tępym spojrzeniu obserwują ją ze wszystkich zaułków i klatek schodowych – już od dawna wyglądają Sezonu, głodni pracy, którą im przyniesie. Nie mogą się już doczekać, by zacząć wymiatać końskie odchody spod nóg dam i robić pranie młodym dżentelmenom.

W końcu dorożkarz kieruje konia w Great Marlborough Street i nagle pojawia się znajomy widok.

– Możesz mnie tu wysadzić! – woła młoda dama.

Dorożkarz ściąga wodze.

– Czy nie powiedziała pani Silver Street?

– Tak, ale możesz mnie wysadzić tutaj – powtarza Sugar. Opuszcza ją odwaga i potrzebuje więcej czasu, nim stanie twarzą w twarz z panią Castaway. – Mam zawroty głowy. Spacer dobrze mi zrobi.

Dorożkarz przygląda się jej chytrze, kiedy Sugar wysiada. Klientka zachowuje się wobec niego swobodnie, co nie świadczy o niej dobrze; nie może być kobietą, za jaką ją początkowo wziął.

– Uważaj na siebie, panienko – uśmiecha się.

Sugar odwzajemnia uśmiech i płaci. Świerzbi ją język, żeby odpowiedzieć coś złośliwego – dlaczego nie miałyby dać mu jasno do zrozumienia, jak łajdaczka łajdakowi, że wie, co o niej myśli? Ale lepiej nie, bo może spotka go kiedyś w towarzystwie Williama.

– Będę uważać – mówi skromnie i odwraca się na pięcie.

Słońce przebiło się tymczasem przez pokrywą chmur i oświetla już cały West End, nieco ogrzewając chłodne powietrze, Sugar dygocze jednak pod sukienką i płaszczem, bo jej koszulka i majtki, niewprawnie wyprane w wannie i suszone przy kominku, są wciąż mokre. Zdarzył się jej też przykry wypadek przy prasowaniu prześcieradła, w którym wypaliła dziurę – będzie musiała się zastanowić, czy jej pensja (pierwsza koperta od bankiera Rackhama nadeszła pocztą dziś rano) wystarczy na pokrycie kosztów tego rodzaju katastrof. William przysłał jej mnóstwo pieniędzy – tak dużo, że każda mniej wystrojona kobieta mogłaby zostać natychmiast aresztowana, gdyby nie wymieniła pokątnie banknotów na monety – ale zapewne w przyszłości pensja dziewczyny nie będzie równie wysoka, a Rackham podarował jej taką sumę tylko na początek. Być może, by mimo wszystko oszczędzić sobie wstydu proszenia go o zatrudnienie praczki, będzie mogła kupować nowe prześcieradła i bieliznę co tydzień! Jest to pociągająca i niegodziwa myśl.

Na Carnaby Street roi się od żebraków, w tym wielu dzieci. Niektóre ściskają w dłoniach bukietki marnych kwiatów albo koszyki z rzeżuchą; inne bez żenady wyciągają do niej brudne dłonie i nagie, posiniaczone albo pokryte krwawymi bliznami ramiona. Sugar zna wszystkie dziecięce sztuczki, jak cuchnący kawał mięsa, ukryty za podartą koszuliną, przez którą potem żałośnie sączy się ropa, rzekome wrzody, preparowane z owsa, octu i soku jagodowego, czy malowane sadzą sińce pod oczami. Wie jednak także, że otaczająca ją ludzka nędza jest jak

najbardziej realna, a pijani rodzice tylko czekają, by sprawić lanie dziecku, które przyniesie do domu za mało pieniędzy.

– Pół pensa, panienko, pół pensa – błaga filigranowa dziewczynka w sukience koloru błota i za dużym czepku. Sugar nie ma jednak drobnych, tylko dwa lśniące szylingi i banknoty, które dostała od Rackhama. Waha się, zaciska kurczowo palce w nowych rękawiczkach i idzie dalej – trwa to jedną chwilę.

Do domu pani Castaway wchodzi tylnym wejściem. Choć nie powinna chyba zakradać się tu jak złodziej, postąpiłaby zapewne równie niestosownie, pukając do frontowych drzwi bez klienta. Ach, gdyby tylko można było jakimś magicznym sposobem pozbyć się wszystkich z domu na czas jej wizyty! Sugar wie jednak dobrze, że matka prawie nigdy nie opuszcza salonu, Katy jest zbyt schorowana, by wychodzić, a Amy wstaje dopiero po południu.

Zakrada się po schodach do pokoju. W domu unosi się ten sam zapach, co zawsze – przemożna woń pleśni, stęchlizna owiniętych szmatami rur wodociągowych i tynku sypiącego się z prowizorycznie naprawianych ścian, a także smród dymu z cygar, przesyconego alkoholem potu, mydła, łożu oraz perfum.

W sypialni niespodzianka: cztery duże, drewniane skrzynie czekają, aż je zapakuje. Obok, wsparte o nie, stoją gęsto nabite gwoździemi wieka. Rackham rzeczywiście pomyślał o wszystkim.

– Przyniósł je jakiś olbrzym – mówi od progu Christopher i dziewczyna wzdryga się na dźwięk jego dziecinnego głosu. – Gadał, że wróci się po nie, jak będzie trza.

Sugar odwraca się do chłopca. Christopher jest w butach i ma uczesane włosy, poza tym jednak nie widać w jego wyglądzie nic niezwyčajnego. Stoi w progu jej dawnego pokoju z gołymi, czerwonymi, opuchniętymi ramionami, gotów zabrać brudną bieliznę jak co dzień.

– Witaj, Christopher.

– Wniósł te skrzynie na ramieniu i czmytał je jednym paluszkiem, jak słomiane koszyki. – Najwyraźniej chłopak nie ma ochoty na poznawanie skomplikowanych spraw dorosłych. Nagłe zniknięcie Sugar z jego życia nie jest czymś, czym należałoby się emocjonować – w przeciwieństwie do zdumiewającej siły nieznanego olbrzyma, który wniósł na górę te wielkie, drewniane skrzynie, podtrzymując je na ramieniu jednym palcem. Christopher wpatruje się w dziewczynę niczym podróżnik wyobrażony na puszcze herbaty, ujarzmiający groźnym spojrzeniem afrykańskich dzikusów. Jeżeli Sugar uważa go za kogoś, kto przywiązuje się do ludzi, jest w głębokim błędzie.

Dziewczyna przygryza w rozpacz wargi, bo mija czas, a Christopher ani drgnie.

– Zaczne skrzynie – komentuje chłopak, jak gdyby w swoim młodym życiu musiał obok innych umiejętności poznać również sekrety stolarki. – Dobrze drewno.

Odwracając się do niego plecami, by ukryć zdenerwowanie, Sugar zaczyna się pakować. Powieść jest bezpieczna, bo najwyraźniej nikt nie ruszał rękopisu pod jej nieobecność. Sugar przyciska manuskrypt do piersi i najszybciej jak może umieszcza go na dnie najbliższej skrzyni. Mimo to oczy chłopaka otwierają się szeroko ze zdumienia na widok tyłu stronic zapisanego papieru.

– To niewysłane listy? – pyta.

– Zdadzę je jeszcze wysłać – wzdycha Sugar.

Potem pakuje książki – te prawdziwe, drukowane, autorstwa innych pisarzy. Jest wśród nich Richardson, Balzac, Hugo, Eugene Sue, Dickens, Mary Wollstonecraft i pani Pratt. Żółta teczka z wycinkami z gazet. Garść tanich powieści popularnych o krzykliwych okładkach, na których widać omdlewające albo martwe kobiety, tajemniczych mężczyzn, dachy i kanały. Broszury na temat chorób wenerycznych, kształtów i wymiarów czaszek przestępców, cnót kobiecych i sposobów przeciwdziałania przebarwieniom skóry oraz innym oznakom starości. Pornografia wierszem i prozą. Tom Edgara Poe z wyraźnie widocznym na obwolucie stemplem: *Własność wypożyczalni książek W.H. Smitha*, oraz surowym ostrzeżeniem, że wszystkie książki zawierające mapy lub ryciny będą starannie sprawdzane – czy „są nienaruszone i nie brakuje w nich stronic”. Nowy Testament, który Katy Lester dostała kiedyś od Towarzystwa Ocalenia Kobiet. Cienki tomik pod tytułem *Modern Irish Poets, 1873* (nieczytany, prezent od pewnego klienta z Cork). I tak dalej, i tak

dalej, aż skrzynia zostaje wypełniona do połowy.

– Czytałażeś to wszystko?

Sugar wrzuca na wierzch swoje trzewiki i buty.

– Nie.

– Na nowym mieszkaniu będziesz miała więcej czasu na czytanie?

– Mam nadzieję, że tak.

Dziewczyna zawija przybory do kąpieli w ręcznik i upycha je pod brudnoszarymi butami, którym przydałyby się nowe zelówki i cholewki z nowymi otworkami na sznurowadła. Miedniczy nie ma sensu zabierać, skoro Sugar jest teraz właścicielką wanny.

– To dobra miska.

– Nie będzie mi potrzebna.

Chłopak przygląda się, jak Sugar pakuje drugą, długą skrzynię, przypominającą trumnę z surowego drewna. Nadaje się idealnie do przewożenia odzieży – co niewątpliwie przewidział William Rackham. Dziewczyna kolejno układa w skrzyni warstwy długich sukien, kształtne staniki i obfite turniury tworzą więc dwa mniej więcej równe wzgórci. Zauważa, że fałdy ciemnozielonej sukni, którą miała na sobie owej deszczowej nocy, kiedy poznała Williama, pokrywa delikatny puszek pleśni.

Zapełnia sukniami dwie skrzynie i połowę trzeciej – a resztę wolnego miejsca wykorzystuje na kapelusze i czepki. Schylając się, by jak najciaśniej poustawiać pudła z kapeluszami, wyczuwa obecność nowego gościa, który staje w progu.

– No, i jaki jest ten twój pan Hunt?

Do pokoju wchodzi Amy, z za której sukni nie widać już Christophera. Jest półnaga, nie przejmuje się jednak ani trochę swoimi nieuczesanymi włosami czy dyndającymi swobodnie pod koszulą piersiami o ciemnych brodawkach. Jak zwykle widok jej macierzyńskiego biustu podkreśla, że Amy całkowicie ignoruje syna – niechciany owoc swego łona.

– Nie gorszy od innych – odpowiada Sugar, choć ciężar skrzyń widomie przeczy jej słowom. I dlatego dodaje po chwili: – Jak widzisz, jest bardzo hojny.

– Widzę – mówi bez uśmiechu Amy.

Sugar próbuje znaleźć odpowiedni temat, mogący zainteresować prostytutkę, której specjalnością jest wulgarny język i lanie gorącego łożu na genitalia uczciwych dżentelmenów, ale jej myśli zaprzęta tylko to, czego dowiedziała się w łóżku od Williama. Czy zapachy można porównać do klawiszy instrumentów muzycznych? Jaka jest różnica między perfumami prostymi a złożonymi? *Czy wiesz, Amy, że jeżeli umiejętnie połączyć znane nam wonie, można uzyskać zapach właściwie dowolnego kwiatu, wyjąwszy tylko jaśmin?*

– Jak się tu wszyscy miewacie? – wzdycha Sugar.

– Po staremu – odpowiada Amy. – Katy jeszcze się trzymie, nie umarła. A cały brud z ulicy zbieram ja.

– Macie jakieś plany?

– Plany?

– Co do tego pokoju.

– Jej Salonowość poluje na Jennifer Pearce.

– Jennifer Pearce? Od pani Wallace?

– No, mówię przecież.

Sugar oddycha głęboko i marzy, żeby ktoś wybawił ją z tej sytuacji. Rozmowy z Amy nigdy nie były łatwe, ta jednak jest wyjątkowa. Na czoło pod grzywką występuje jej pot – ma ochotę wymówić się zawrotami głowy i czmychnąć na dół.

– No, lepiej pójdę się wypacykować dla moich wielbicieli – mówi nagle Amy. – Może spotkam dzisiaj swojego księcia z bajki, co? – Wychodzi ociężale, potracając Christophera jak kręgiel.

Sugar opada z sił i zmęczona opiera się o brzeg skrzyni.

– Nie jest mi lekko, wiesz? – wyznaje.

– No, to ci pomogę – mówi Christopher, podchodzi bliżej i bez namysłu chwyta drewniane wieko z gwoździami. – Tyn człek zostawił młotek, a sytkie gwoździe som już gotowe. – Potem

skwapliwie mocuje wieko skrzyni, omal nie miażdżąc palców Sugar.

– Tak... tak... dobrze, właśnie tak... dziękuję – mówi dziewczyna, postępując kilka kroków w tył. Robi się jej niedobrze, bo nie potrafi go dotknąć, pocałować, zmierzwić mu włosów czy pogłodzić dzieciaka po policzku; bo jest jej wstyd, że wycofuje się chyłkiem do drzwi i wychodzi na korytarz, na którym tyle razy stawiał dla niej wiadro gorącej wody. – Uważaj na palce!...

Przy akompaniamencie radosnego stukotu Sugar umyka na dół.

Po chwili wahania, stojąc pod tylnymi drzwiami domu rozpusty, znanego jako dom pani Castaway, dziewczyna uznaje, że może stąd odejść na zawsze bez dalszych pożegnań. Jednak nie rusza się z miejsca – bo nie przestaje się wahać. Potem próbuje zmusić się do wyjścia siłą woli: i znów bez powodzenia. Sugar rozumie język siły i przymusu, ale tylko wtedy, kiedy przemawia do niej w nim ktoś obcy. I dlatego zwraca do salonu.

Jej matka siedzi skulona tam gdzie zwykle, zajęta tym co zawsze: wkleja papierowe święte do albumu. Sugar nie czuje na ten widok zdziwienia, lecz zniechęcenie – nożyczki zgrzytają w kościstych szponach matki, a słoik z klejem stoi w pogotowiu. Pani Castaway siedzi zgarbiona nad stołem, jakby dotknięta zanikiem kręgosłupa. Obwisłym, szkarłatnym biustem niemal dotyka bezładnej, niewysokiej kupki wycinków, przedstawiających grawiurowe dziewice o głowach otoczonych szarymi albo różowo-niebieskimi aureolami.

– Nie ma końca mojej robocie – wzdycha sobie, choć może chce w ten sposób dać do zrozumienia, że zauważyła obecność Sugar.

Poirytowana dziewczyna nerwowo marszczy brwi. Aż za dobrze wie, do czego posuwa się matka, by jej robocie istotnie nie było końca: co miesiąc wydaje sporą sumkę na książki, czasopisma, grafiki i święte obrazki, spływające z każdego zakątka globu. Wydawcy dewocjonaliów od Pensylwanii po Rzym są bez wątpienia przekonani, że najpobożniejsza chrześcijanka na świecie mieszka właśnie tu, przy Silver Street w Londynie.

– No, taaak – mówi jęklonie pani Castaway, baczenie przyglądając się przekrwionymi oczami nowej Magdalenie z Towarzystwa Biblijnego w Madrycie. – Można powiedzieć, że zaczyna ci się przelewać, co?

Sugar puszcza tę złośliwość mimo uszu. Staruszka ciągle gędzi o łaskawym dla młodych ludzi losie i nie potrafi nie porównywać go ze swoim żalonym życiem. Gdyby sam Pan Bóg przyklął na jedno kolano przed panią Castaway i poprosił ją o rękę, odmówiłaby, uznając tę propozycję za zenująco niedostateczne zadośćuczynienie jej cierpień; a gdyby Sugar zginęła w pożarze w swoim obecnym domu, pani Castaway stwierdziłaby zapewne, że i tak była szczęściarą, ponieważ znalazła kogoś, kto poświęcił dla niej ogromny majątek.

Sugar oddycha głęboko i zerka na pudło od wiolonczeli Katy Lester, oparte o pusty fotel przy kominku.

– Katy już chyba w ogóle nie wstaje z łóżka – zauważa, podnosząc nieco głos, by nie zagłuszał go dobiegający z góry nieustanny stukot młotka.

– Wstała wczoraj, kochanie – szepcze pani Castaway, zręcznie manewrując nożyczkami, którymi wycina kolejną ludzką postać. – I moim zdaniem grała wyjątkowo ładnie.

– Czy ona ciągle... pracuje?...

Pani Castaway przykłada wycinankę do gęsto już zapełnionej kartki w albumie, aby zobaczyć, gdzie powinna przykleić nowy obrazek. Rozmieszcza święte wedle dość skomplikowanych zasad; wycinanki mogą na siebie zachodzić, lecz po to tylko, by zamaskować okaleczone ciała... Nową płaczącą piękność można więc wkleić tak, żeby zasłoniła odciętą dłoń innej świętej, a wtedy ów wąski klin wolnego miejsca wypełniłaby doskonale... gdzie jest ten maciupeńki obrazek z francuskiego kalendarza?...

– Mamo, czy Katy ciągle pracuje? – powtarza pytanie Sugar, tym razem nieco głośniej.

– Och... wybac mi, kochanie. Tak, tak, oczywiście, że pracuje. – Pani Castaway zamyślona miesza klej. – Wiesz, im jest bliższa śmierci, tym większą popularnością się cieszy. Niektórych klientów muszę odprawiać z kwitkiem, wyobrażasz sobie? Nie odstrasza ich nawet wygórowana cena. – Oczy pani Castaway wilgotnieją. Odbija się w nich przewrotność niedoskonałego świata i

jej osobisty żal, że jest za stara, by w pełni z niej skorzystać. – Jakby się kto pytał, na sanatoriach można dziś zbić majątek.

Łomot na górze niespodziewanie ustaje, po czym zapada cisza. Mija dziewiętnaście lat, odkąd pani Castaway i Sugar rozpoczęły wspólne życie w cuchnącej norze przy Church Lane; i sześć lat od tamtej wietrznej nocy, gdy matka Sugar (w znacznie nędźniejszym przyodziewku niż dziś, w migotliwym półmroku starego domu) podeszła na palcach do łóżka swojej córki i powiedziała, że nie będzie już musiała drzeć z zimna: przyszedł bowiem pewien zacny dżentelmen, który ją ogrzeje. Od tamtej pory pani Castaway przywodzi na myśl senny koszmar, a jej człowieczeństwo stało się wątpliwe. Sugar wyteża pamięć, żeby przypomnieć ją sobie ze znacznie odleglejszej przeszłości jako mniej cierpką, a bardziej opiekuńczą postać historyczną, zwaną po prostu „matką”, która opatulą ją w nocy i nigdy nie wspominała, jak zarabia na życie. Tymczasem zaś tu i teraz pani Castaway miesza klej w słoiku, co pewien czas wyciąga z niego pędzelek i namaszcza album glutem lepkiej mazi.

– Słyszałam... – mówi, niemal krztusząc się, Sugar. – Słyszałam od Amy, że zastanawiasz się, czy nie mogłaby mnie zastąpić Jennifer Pearce.

– Ty jesteś niezastąpiona, kochanie – uśmiecha się staruszka, błyskając upstrzonymi szkarłatem szminki zębami.

Sugar krzywi się, próbuje jednak ukryć grymas, marszcząc nos.

– Sądziłam, że panna Pearce nie gustuje w mężczyznach.

Pani Castaway wzrusza ramionami.

– Nikt nie gustuje w mężczyznach, kochanie. Ale to przecież mężczyźni rządzą światem, my zaś musimy padać przed nimi na kolana, hmm?

Sugar czuje, że swędzą ją ręce, a zwłaszcza przedramiona i nadgarstki. Tłumiąc pokusę, by rozdrapać je do żywego mięsa, próbuje skierować rozmowę z powrotem na Jennifer Pearce.

– Jennifer jest dobrze znana w kręgach biczowników, mamó. Więc jestem ciekawa, czy... czy nie zamierzasz zmienić charakteru tego domu?

Pani Castaway pochyla się nad swoim rękodziełem i korzystając z okazji, że klej jeszcze nie zasechł, przysuwa ramię ostatniej Magdaleny nieco bliżej biodra świętej obok.

– Z czasem wszystko się zmienia, kochanie – mruczy pod nosem. – A takie stare kwoki jak ja czy pani Wallace są tylko... – podnosi wzrok i wytrzeszcza oczy w teatralnym grymasie – ...straganiarkami na targowisku namiętności, gdzie muszą znaleźć niezajętą jeszcze przez nikogo niszę.

Sugar chwyta się dłońmi za przeguby i mocno zaciska palce. *Dlaczego to zrobiłaś?*, myśli. *Dlaczego zrobiłaś coś takiego własnej córce? Dlaczego?* Jest to pytanie, którego nigdy nie ośmieliła się zadać. Otwiera usta, żeby się odezwać.

– Ja... jak brzmi ta umowa? – pyta. – Znaczy, między tobą i p-panem Huntem?

– Daj spokój, Sugar – strofuje ją pani Castaway. – Młoda jesteś, całe życie przed tobą, więc lepiej nie zwracaj sobie ślicznej główki interesami. Zostaw te sprawy mężczyznom. I takim pomarszczonym, starym grzybom jak ja.

Czy w błyszczących, różowych oczach staruchy lśni błaganie? Czy iskierka strachu? Sugar jest zbyt przygnębiona i rozwścieczona chorobliwym świadem, żeby naciskać dalej.

– Muszę już iść, mamó – mówi.

– Oczywiście, kochanie, oczywiście. Nic cię tu przecież nie trzyma. Idź do przodu i pnij się w górę z panem Huntem! – Tu pani Castaway obnaża znów upstrzone szkarłatem zęby w niewesołym, krzywym uśmiechu.

Kilka minut później na Regent Street Sugar gwałtownie zdejmuje rękawiczki, podciąga wąskie rękawy aż do łokci i drapie się wściekle, dopóki jej skóra nie zaczyna przypominać startego korzenia imbiru. Nie drapie się do krwi wyłącznie dlatego, by nie zasłużyć na gniew Williama Rackhama.

– Niech będzie przeklęty Bóg – zawodzi, a elegancko ubrani przechodnie odsuwają się od niej skonsternowani – i całe jego straszliwe, plugawe Stworzenie.

Wróciwszy do mieszkania, do własnego mieszkania w Marylebone, dziewczyna wchodzi do

wanny i niemal całkowicie znika pod kołderką z aromatycznej piany. Powietrze jest wilgotne, a w łazience unosi się para, zmiękczająca musztardowy kolor, który przybiera odcień kurzego żółtka. Dziesiątki małych monogramów „R” mrugają do niej przez pachnącą lawendą mgłą z porozstawianych wszędzie buteleczek, flakoników i słoików.

Trzyście lat, myśli Sugar. Miałam trzyście lat.

Ramiona pieką ją i kłują pod wodą, są to jednak o wiele przyjemniejsze doznania niż swędzenie. W ręce ścisną gąbkę, którą ociera policzki, kiedy łyżę zaczynają ją za bardzo łaskotać.

Rozumiesz, że jeśli mamy prowadzić szczęśliwy i zgodny dom, nie mogę traktować cię inaczej niż inne dziewczyny, powiedziała przed laty pani Castaway. *Wdepnęliśmy w to razem. W co, mam?*

Sugar przymyka powieki i przyciska gąbkę do oczu. Kiedyś ta mała gąbka żyła i pływała w morzu. Czy była wtedy bardziej miękka, czy twarda i mięsista? Nie zna się na gąbkach i nie widziała morza, bo nigdy w życiu nie wyjeżdżała z Londynu. Co się z nią stanie? Czy William znudzi się nią i wypędzi ją z powrotem na ulicę?

Nie odwiedza jej od czasu, kiedy przywiózł ją do tego mieszkania – już dawno temu. Powiedział, że będzie teraz straszliwie zajęty... Czy jednak jest aż tak zapracowany, żeby nie znaleźć czasu dla swojej Sugar? Może już się nią znudził. Jeżeli tak, to jak długo będzie mogła zachować swoje gniazdko? Czyszczenie jest opłacone, a pensja przychodzi prosto z banku, nie ma więc czego się bać – z wyjątkiem samego Williama. Może nie starczy mu odwagi, żeby ją stąd wyrzucić? Może pozwoli jej tu mieszkać długie lata, pod warunkiem że będzie siedzieć bardzo, bardzo cicho... A może opłaci mordercę, żeby poderżnął jej gardło...

Mimo woli Sugar wybucha śmiechem. Który to tydzień miesiąca? Pewnie dostanie niedługo kobiecej przypadłości, skoro chodzą jej po głowie tak zwariowane myśli.

Z jednej małej buteleczki Lait de Lavage firmy Rackham Perfumeries powstaje mnóstwo piany! Musi pochwalić ten środek, kiedy William przyjdzie ją odwiedzić. Czy jednak uwierzy w jej szczerość? W jaki sposób mu powiedzieć, że naprawdę podziwia produkt jego firmy? Jakim tonem powinna się posłużyć?

– Twój płyn do kąpieli jest cudowny, Williamie – mówi w zaciszu swojego zasnutego parą mieszkanka. Jej słowa brzmią fałszywie: przypominają pocałunki dziwki.

– Twój płyn kąpielowy jest naprawdę wspaniały. – Dziewczyna marszczy brwi i zgarnia garść piany z powierzchni wody. Usiłuje podrzucić drżące bąbelki do góry, by wzniosły się w powietrze, lecz bańki mydlane lepią się do jej dłoni.

– Uwielbiam ten twój płyn do kąpieli – grucha Sugar. Ale słowo „uwielbiam” brzmi w jej ustach jeszcze fałszywiej niż wszystkie pozostałe.

Sugar czeka na Williama całymi dniami, a William nie przychodzi. Dlaczego? Ile na Boga może mu zajmować prowadzenie dobrze już prosperującego interesu o ustalonej renomie? Wystarczy zapewne od czasu do czasu napisać po prostu jakiś list? Bo William nie musi chyba osobiście doglądać każdego kwiatka!

Wtedy, w nocy, kiedy dostała to mieszkanie, czuła się tak, jak gdyby podarowano jej mały zakątek raj. Puściła przeszłość w niepamięć i postanowiła zasmakować w swoim nowym życiu wszystkiego – samotności, ciszy, czystości, świeżego powietrza, małego ogródka, spacerów wśród zieleni Priory Close i posiłków w najlepszych hotelach. Doprowadzi swoją powieść do wzruszającego końca przy akompaniamencie śpiewu ptaków, siedzących w gałęziach drzew.

Ale aureola wokół jej luksusowego sanktuarium zaczęła gasnąć niemal natychmiast, a piątego dnia wyblakła już zupełnie. Sugar boi się ciszy w tym mieszkaniu: każdego ranka budzi się o wiele wcześniej niż na Silver Street, w grobowej martwocie przedmieścia, otoczona sąsiadami, których nie widuje i którzy właściwie w ogóle mogliby dla niej nie istnieć. W świetle dnia małe ogródki okazują się zacienionym placykiem, leżącym nieco poniżej poziomu ulicy i otoczonym płotem z metalowych prętów. Wyglądając przez okno ponad krzewami róż, dziewczyna widzi z żabiej perspektywy kamienny skraj chodnika, którym – jak się jej zdaje – nikt nigdy nie przechodzi bez względu na porę dnia. Och, owszem, pewnego razu usłyszała niskie, męskie głosy jakichś

przechodniów i popędziła do okna, żeby ich posłuchać, okazało się jednak, że to cudzoziemcy.

Każdego ranka o świcie myje się i ubiera, a potem nie ma co robić: książki, którymi William ozdobił biblioteczkę – techniczne poradniki, dotyczące macerowania, destylacji i metod pozyskiwania substancji zapachowych z roślin, wypełniające wszystkie półki – nic jej nie obchodzi... Napisze, oczywiście, swoją powieść, kiedy przywiozą jej skrzynie. A kiedy to zrobią? Wtedy gdy William da hasło swoim ludziom. Tymczasem Sugar spędza mnóstwo czasu w wannie.

Możliwość jadania posiłków w hotelach Marylebone, początkowo bardzo miła jej sercu, nie spełniła oczekiwań Sugar. Po pierwsze, kiedy wychodzi z domu, zawsze boi się, że William przyjedzie z wizytą, gdy ona będzie zasiadać do śniadania czy lunchu. Poza tym jedzenie w Warwick i Aldsworth to nic specjalnego – nie mają nawet jej ulubionych ciastek, tylko te przekłete ciastka z płatków owsianych, które są zupełnie do niczego. W dodatku nie ma wątpliwości, że kelnerzy w Warwick patrzą na nią dziwnie i szepczą coś między sobą, kiedy udaje, iż jest bez reszty pochłonięta omletem albo wędzonym śledziem. A co do Aldsworth, Boże, trzeba było widzieć, jaką minę zrobił tamtejszy kelner, kiedy poprosiła o dodatkową porcję śmietany! Skąd miała wiedzieć, że tylko dziwka może zażądać dokładki! Nie wróci tam, o nie – chyba że pod osobistą eskortą Williama...

Dlaczego on tak długo nie przychodzi, na Boga? Może przyjechał ją odwiedzić w dniu, kiedy wybrała się do pani Castaway – choć odkładała tę wyprawę tak długo, jak tylko mogła, obawiając się, że Rackham przyjedzie pod jej nieobecność. Kto wie, może wychodząc na posiłki i do okolicznych sklepów, by kupić czekoladki, wodę zdrojową i nowe prześcieradła, rozminęła się z Williamem już kilka razy!

Wreszcie szóstego dnia rankiem uśmiecha się do niej litościwy los... Nie, William nie przychodzi, pojawia się jednak coś innego: przypadłość kobieca. Chociaż krwawienie to przekłeta udręka, dziewczynie jest lżej na duszy: ciemna chmura odsłania w końcu horyzont i Sugar widzi drogę, jaką powinna kroczyć dalej.

Po prostu nie może pozwolić, żeby ją porzucił, zanim Rackham zdąży choć o tym pomyśleć. Musi wpleść się w jego życie tak, by nie potrafił jej już z niego wypłatać, by nie traktował jej jak zwykłą kochankę, lecz przyjaciółkę, by stała mu się bliska niczym rodzona siostra. Oczywiście, chcąc zasłużyć sobie na takie miejsce w jego życiu, musi wiedzieć wszystko o Williamie Rackhamie, absolutnie wszystko – musi znać go lepiej niż jego własna żona i lepiej niż on sam.

Od czego zacząć? Cóż, czekanie na Williama w głuchej ciszy mieszkania z całą pewnością nie jest właściwą odpowiedzią na to pytanie: w ten sposób Sugar kusi tylko los, by zepchnął ją do rynsztoka. Musi zacząć działać, i to bez zwłoki!

W widmowej poświacie kolejnego pochmurnego, zwiastującego burzę przedpołudnia Agnes Rackham stoi w oknie, mrugając raptownie powiekami. Zjawia zniknęła. Powróci. Na razie jednak zniknęła.

Nie była w takim nastroju, odkąd w dzieciństwie nawiedzały ją wizje jej ulubionej świętej – św. Teresy z Avila. Całe zło zaczęło się owego strasznego dnia, kiedy lord Unwin powiedział, że teraz on jest jej ojcem i że nie będzie więcej żadnej Najświętszej Marii Panny, krucyfiksów, różańców ani spowiedzi. Agnes modliła się wtedy żarliwie o siłę, która pozwoliłaby jej podtrzymać płomień wiary na przekór temu dyszącemu i sapiącemu ze złości protestanckiemu wilczysku. Niestety, miała zaledwie dziesięć lat, była więc zbyt słabo zahartowana, by cierpieć jak męczennica. Wszelki opór dziecka wobec nakazów ojczyzna łamała nowa niania, pochodząca z obozu anglikańskiego, a matka nie udzielała jej jakiegokolwiek pomocy, pozostając zapewne pod przemożnym wpływem złego uroku swojego nowego małżonka. Rozpaczliwe modlitwy Agnes do św. Teresy, będące dawniej intymnymi rozmowami, zaczęły wkrótce przypominać samotne szepty dziecka, które boi się ciemności.

Teraz, trzynaście lat później, znów zanoszą się na jakieś boskie i tajemnicze wydarzenia. Tylko patrzeć, jak zaczną dziać się cuda.

Agnes przemierza wyższe piętra domu Rackhamów, zaglądając do wszystkich pokoi, wyjąwszy te, do których pod żadnym pozorem nie wolno jej wchodzić. Wszystkie służące pracują na dole,

więc sprzyjającym zbiegiem okoliczności ich izdebki są puste: Agnes odwiedza je po kolei i staje w małych okienkach, wychodzących na posiadłość Rackhamów z różnych stron. Szczególnie ładny widok na stajnie za Chepstow Villas rozciąga się z okna Letty; zjawy jednak nie widać.

Agnes jak we śnie wraca do swojej sypialni i tam, z własnego okna, spostrzega zjawę ponownie, w bocznej uliczce, nie dalej niż w odległości pięćdziesięciu jardów! Tak! Tak! Widzi kobietę w bieli, która niczym wartownik wpatruje się w dom Rackhamów przez pręty kutego ogrodzenia. Tym razem jednak Agnes unosi rękę i macha, nie dając zjawie czasu, żeby zdążyła rozwiać się w powietrzu.

Przez kilka sekund kobieta w bieli stoi nieruchomo i nie reaguje, ale Agnes ciągle macha i macha, energicznie trzepocząc wieńczącą jej wiotki nadgarstek dłonią jak dziecięcą grzechotką. W końcu kobieta w bieli pozdrawia ją w odpowiedzi gestem tak delikatnym i niezdecydowanym, jak gdyby nigdy przedtem nie machała do żadnego śmiertelnika. Potem chmury przeszywa głąchy grom i kobieta w bieli rozplywa się wśród drzew.

Nadchodzi pora lunchu, ale emocje Agnes nie opadają prawie wcale; w jej przegubach i skroniach pulsuje poczucie ogromnego szczęścia. Szalejące żywioły dostosowują się do nastroju pani domu, chłuszczą biczami deszczu okienne szyby i dmą wichrem w kominach, każąc jej bez żenady wirować z rozpostartymi szeroko ramionami. Wie jednak, że musi panować nad sobą, zachowywać powagę i udawać, że świat jest dzisiaj dokładnie taki sam jak wczoraj, albowiem jej mąż to oczywiście mężczyzna, mężczyźni zaś potwornie gardzą spontaniczną radością.

Słychać szuranie krzesel i brzęk talerzy, kiedy Agnes i William siadają na wyznaczonych miejscach przy stole w jadalni, mamrocząc pod nosem modlitwę w podziękowaniu za dary, które będą za chwilę spożywać. Światło z najwyższym trudem przebija się przez wodnistą aurę burzy i chociaż Letty rozsuwa zasłony na całą szerokość, jest go wciąż za mało, służąca musi więc postawić w końcu na stole między małżonkami trzy płonące świece, by rozświetliły ich zupełnie różne dania.

– Mam anioła stróża, kochanie – mówi Agnes, kiedy tylko służące kończą podawać do stołu i jeszcze zanim nabija na widelec pierwszą kostkę piersi gołębiej na zimno, którą wyciąga z gniazda, ułożonego z liści sałaty oraz serc karczochów.

– Kogo, kochanie? – William jest bardziej zaaferowany niż zwykle, ma bowiem (co powtarza każdemu, kto znajdzie się w zasięgu jego głosu) pełne ręce roboty.

– Anioła stróża – powtarza Agnes, kraśniejac z zadowolenia.

William podnosi wzrok znad talerza, na którym piętury się gorąca zapiekanka z gołębia i smażone ziemniaki z masłem.

– Masz na myśli Clarę? – próbuje zgadnąć, choć wcale nie jest w nastroju na błazeńskie wynurzenia niewieście, musi bowiem rozwiązać problem firmy Hopsom&Co.

– Nie rozumiesz, kochanie – obstaje przy swoim Agnes, która pochyła się naprzód rozpromieniona i zapomina zupełnie o jedzeniu, gorąco pragnie bowiem podzielić się z mężem swoim objawieniem. – Mam prawdziwego anioła stróża. To boski duch w kobiecej postaci. Strzeże naszego domu... strzeże nas dniem i nocą.

Kąciki ust jej małżonka drżą w grymasie niezadowolenia, który William bohatercko usiłuje przeobrazić w uśmiech. Miał wrażenie, że stan zdrowia Agnes znacznie się poprawił po tamtej katastrofie na podłodze w kuchni i dwóch dniach głębokiego snu, wywołanego końską dawką środka nasennego, którą zaaplikował jej doktor Curlew.

– No, tak – wzdycha. – Oby tylko nie wtargnął do domu i nie ukradł naszych nowych sztuczków.

Zapada cisza, w której William odkrawa porcję zapiekanki i skupia się na tym, jak podnieść ją do ust, nie brudząc swojej obfitej już brody. Pochłonięty tą czynnością, nie zauważa, że atmosfera w pokoju ulega przemianie chemicznej, równie niezwykłej jak przemiana pulpy zmiażdżonych płatków kwiatowych w oleistą, pachnącą pomadę.

– Moim zdaniem ta kobieta przychodzi z Klasztoru Zdrowia – oświadcza drżącym głosem Agnes, odsuwając na bok talerz z nietkniętym jedzeniem i mocno ściskając serwetkę w zbielejącej piątce.

– Z Klasztoru Zdrowia? – William podnosi wzrok, poruszając szczękami. W zniekształcającym otoczenie świetle nowego srebrnego kandelabru (chyba odrobinę za dużego w stosunku do stołu w jadalni?) oczy małżonki wydają mu się niejednakowych rozmiarów – bo lewe wygląda na bardziej okrągłe i błyszczące niż prawe.

– No, przecież znasz to miejsce – mówi Agnes. – Jeżdżę tam we śnie.

– Przy... przyznaję, że nie wiedziałem dotąd, dokąd jeździsz we śnie – odpowiada William, uśmiechając się z zakłopotaniem.

– Tamtejsze zakonnice to najprawdziwsze anioły – zauważa Agnes, jak gdyby chcąc wyjaśnić jakieś zamierzchłe nieporozumienie. – Domyślałam się tego od dawna.

– Aggie... – mówi William tonem łagodnego ostrzeżenia. – Może zmienimy temat?

– Pomachała do mnie – ciągnie z uporem Agnes, drżąc na całym ciele z oburzenia. – Zaczęłam do niej machać, a ona pozdrowiła mnie gestem w odpowiedzi.

William ciska nóż i widelec na stół, wbijając w żonę swoje najsurowsze, ojcowskie spojrzenie: jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Czy ta kobieta, którą uważasz za anioła stróża, ma skrzydła? – pyta sarkastycznie.

– Oczywiście, że tak – cedzi Agnes. – Za kogo mnie uważasz? – Widzi jednak odpowiedź w jego oczach. – Williamie, nie wierzysz mi, prawda?

– Nie, kochanie – wzdycha Rackham. – Nie wierzę.

Teraz wyraźnie widać, jak w skroniach Agnes pulsuje tętno niczym owad uwięziony między przezroczywą skórą i pęczniejącą coraz bardziej czaszką.

– Ty w nic nie wierzysz, prawda? – pyta Agnes niskim, nieprzyjemnym głosem, jakiego nigdy jeszcze nie słyszał z jej ust.

– Co... co proszę, kochanie? – pyta niepewnie William.

– Ty nie wierzysz w nic – mówi Agnes, patrząc na niego gniewnie przez płomień świecy. Jej głos brzmi coraz ostrzej z każdą kolejną sylabą, a wszystkie ślady jego rytmicznej melodyjności nikną w opryskliwych, pełnych obrzydzenia słowach. – W nic oprócz Williama Rackhama. – Agnes obnaża swoje równiutkie zęby. – Wielki łotr z ciebie. I wielki głupiec.

– Co proszę, kochanie?! – William jest zbyt zdumiony, żeby wpaść w gniew. Prawdę mówiąc, boi się, bo nowy głos Agnes brzmi dziwnie i szokująco w jej przypominających pączek róży usteczkach, niby warczenie psa albo rwąca jak potok mowa człowieka, który otrzymał od Ducha Świętego dar języków.

– Możesz sobie prosić, ile chcesz, ty głupcze – złorzeczy Agnes. – Brzydę się tobą.

William zrywa się na nogi, rozrzucając dookoła resztki jedzenia i sztućce. Kandelabr przewraca się z hukiem, migoczą płomienie, roztopiony wosk i srebro. Zatrwożony Rackham krzyczy strasznie i rzuca się na świecę, żeby zdusić ogień gołymi rękami.

Kiedy ma już pewność, że w jadalni nie rozpęta się piekło, Agnes leży bez czucia na podłodze, i to nie w swojej zwykłej, swobodnej, eleganckiej pozie, lecz odsłaniając halnę, z rozrzuconymi szeroko rękami i nogami na podobieństwo powykręcanej szmacianej lalki, jak gdyby jakiś strzelec wyborowy trafił ją w kręgosłup.

Na cienistym ganku przy Priory Close 22 drzwi otwierają się gościnnie w odpowiedzi na pierwszy dzwonek i William wchodzi do środka. Przez chwilę nic nie widzi i nie poznaje stojącej przed nim ubranej na biało kobiety. Świeżo umyte, ciemne włosy Sugar kontrastują ze śnieżnym jedwabiem stanika, a jej zazwyczaj blade policzki pokrywa rumieniec. Rackham zaskoczył ją w pachnącym nieładzie, kiedy kończyła toaletę – dla niego.

– Wejź, wejź – prosi gorąco Sugar, bo wściekły deszcz za jego plecami pada pod bardzo ostrym kątem i bębni już o podłogę w holu.

– Najwyższy czas, żebym przestał robić z siebie głupca i zatrudnił stangreta – mruczy pod nosem Rackham, kiedy dziewczyna prowadzi go na pokoje. – To nie do wytrzymania...

Bojaźliwie cofa się, zdumiony, kiedy kochanka rzuca mu się z pomocą. Szepcząc kojąco, dziewczyna kładzie dłonie na jego ramionach i pomaga mu zdjąć nasiąknięty wodą płaszcz.

– Nowa suknia? – pyta William.

– Tak – przyznaje Sugar, czerwieniąc się jeszcze bardziej. – Kupiłam ją za pieniądze, które dostałam od ciebie. – Nie udaje jej się jednak powiesić przemoczonego płaszcza, bo wysoki, lekki wieszak natychmiast przewraca się pod jego ciężarem. Sugar chwyta ulster w ramiona, kiedy słyhać dźwięk upadającego na podłogę metalowego stojaka. – Nie chciałam, żeby to wyglądało na ekstrawagancję – dodaje z zaniepokojeniem, unosząc płaszcz nad głowę i wieszając go za futrzany kołnierz na kinkiecie. – Po prostu nie przywieziono jeszcze mojej starej garderoby.

Rackham uderza się otwartą dłonią w czoło.

– Ach! Wybacz! – jęczy. – Tkwę po uszy w robocie.

– Williamie, twoja ręka... – Sugar chwyta jego dłoń, odwraca ją grzbietem do dołu i przygląda się świeżym oparzeniom i bąblom. – Oooch, to straszne... – Czule całuje jego rany miękkimi, suchymi wargami.

– To nic – mówi William. – Mały wypadek, świecznik się przewrócił. Ale jak mogłem zostawić cię w tych warunkach na tak długo... Jutro rano każę ci przysłać skrzynie. Gdybyś tylko wiedziała, ile miałem kłopotów!...

Ulster Williama znowu spada z głośnym odgłosem na podłogę.

– A niech to diabli! – wybucha Rackham. – Powiniennem być ci kupić porządny wieszak. Przeklęty Żyd zapewniał, że ten stojak tylko tak wygląda, ale jest stabilny, a to zwykła tandeta! – Kopie leżący na podłodze wieszak, aż brzęczy mosiądz.

– To wszystko nieważne, nieważne – szybko zapewnia go Sugar, podnosząc płaszcz z podłogi i niosąc go do salonu. W kominku buzuje ogień; dziewczyna przekonała się już, że ubrania schną szybko, jeśli rozwiesić je na stojącym przy biurku krześle.

Rackham idzie za nią, zawstydzony, że ta wytworna istota w sukni z białego jedwabiu zajmuje się pracą, którą powinna wykonywać raczej nieatrakcyjna niewolnica, odziana w perkal i czern. Ależ ona jest śliczna! Chciałby ją chwycić za rękę i... i... cóż, szczerze mówiąc, dziś nie chce nic z nią robić. Wolałby, żeby Sugar przygarnęła jego głowę do piersi – osłoniętej suknią, jedwabistej, białej piersi – i delikatnie pogładziła go, nic więcej.

– Marna ze mnie imitacja dobroczyńcy – wzdycha William, kiedy dziewczyna wiesza jego płaszcz na zaimprovizowanej suszarce. – Najpierw zostawiam cię samą na wiele długich dni, bez garderoby na zmianę. Potem zjawiam się tu, ledwo powłóczę nogami, przemoczony, jak gdyby dopiero co wyłowiono mnie z Tamizy, a chwilę później robię z siebie osła i demoluję ci mieszkanie...

Sugar prostuje się i po raz pierwszy tego dnia patrzy swojemu Rackhamowi prosto w oczy. Dopiero teraz widzi, że coś jest nie w porządku: że ciąży mu na duszy coś bardziej przykrego niż wywrotny wieszak na ubrania czy brzydka, deszczowa pogoda. Ma skrzywioną twarz, jest przygarbiony... Przypomina niemal Williama Rackhama, jakiego poznała tamtej pierwszej nocy w „Fireside”, skulonego i nieufnego niczym zbity pies – tyle tylko, że dzisiaj William roztacza wokół zapach żądź, które Sugar rozpoznaje z większym trudem niż wtedy.

– Coś ci leży na sercu – mówi swoim najłagodniejszym, pełnym największego szacunku głosem. – Taki mężczyzna jak ty nie powinien przejmować się głupstwami.

– Ach, to nic, nic takiego – odpowiada William, spuszczać wzrok. (Ależ ona jest spostrzegawcza! Czy naprawdę przejrzała go na wylot?)

– Chodzi o interesy?

William opada ciężko na fotel i wpatruje się spod przymrużonych powiek w majaczący przed nim kieliszek brandy; jest nieco oszołomiony, bo o tym właśnie marzył. Przyjmuje kieliszek z rąk Sugar, która posuwistym krokiem wycofuje się na drugi fotel.

– Tak, o interesy.

Zaczyna z ciężkim sercem, wzdychając głęboko, obawia się bowiem, że będzie musiał tłumaczyć dziewczynie najbardziej podstawowe rzeczy. Ale ku jego zdumieniu okazuje się, że nie musi tego robić: ona wszystko rozumie! Po kilku minutach omawiają już szczegóły sprawy Hopsoma, zupełnie jak gdyby dziewczyna była jego współniczką w interesach.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – wtrąca w pewnej chwili William.

– Zaczęłam czytać książki, które zostawiłeś mi na półkach – uśmiecha się szeroko Sugar. (Tak,

istotnie, to prawda: czekała na taką okazję jak dziś, i tylko dlatego zmusiła się do lektury długich, nudnych, drukowanych maczkiem wywodów).

Rackham potrząsa głową ze zdumieniem.

– Czy ty mi się... śnisz?

Sugar przeciąga się nieznacznie na fotelu i oddycha głęboko, aby jej pierś wyraźnie się uniosła.

– Och, jestem bardzo realna – przypomina mu o swoim istnieniu. Wracają więc skwapliwie do problemu firmy Hopsom&Co. Sugar radzi sobie z dyskusją lepiej, niż przypuszczała, prawdopodobnie dlatego, że – jak się okazuje – cała wiedza Williama o perfumach pochodzi z książek, nie zaś z doświadczenia. Mniejsza o to; podstawy handlu są tak proste, że potrafi je pojąć nawet imbecyl: człowiek musi zwyczajnie przekonać klientów, że okazuje im wspaniałomyślność, podczas gdy w rzeczywistości każe im słono płacić za coś, co wyprodukował tanim kosztem. Rozmowę z nudziarzem również rządzą pewne podstawowe zasady. Zasada numer jeden: pokornie przepaszaj za swoją niewiedzę nawet wtedy, kiedy dobrze znasz problem, który nudziarz zaczyna właśnie poruszać. Zasada numer dwa: kiedy już zmęczy się wyjaśnieniami, udawaj, że chwytasz wszystko w lot.

– Nie mam natury kupca, jestem raczej artystą – mówi William ze stoickim westchnieniem. – Ale koniec końców, może to i lepiej. Urodzony kupiec nie podejmuje ryzyka i boi się zmian, jeżeli wszystko idzie po jego myśli. Natomiast urodzony artysta gotów jest ryzykować. – Ostatnie słowa wypowiada cichym, płaczkowym głosem i wydaje jej się ostatnią osobą, gotową postawić wszystko na jedną kartę. Co się z nim dzisiaj dzieje? No, przynajmniej pije brandy...

Sugar delikatnie draży problem Hopsoma, pocieszając Williama, który wyłuszcza wreszcie, o co chodzi. Okazuje się jednak, że to trywialna sprawa! Otóż firma Hopsom&Co. jest małym producentem przyborów toaletowych i kosmetyków, karzełkiem w porównaniu z Rackhamem, podobnie jak Rackham jest karzełkiem w porównaniu z Pearsem. Do tej pory pan Hopsom nie sprzedawał lawendy pod żadną postacią, ostatnio złożył jednak Williamowi wizytę i zaproponował, że wydzierżawi część jego upraw, o ile właściciel dysponuje polami, które mógłby oddać mu warendę. William obiecał rozważyć tę propozycję, ale kiedy tylko za Hopsomem zamknęły się drzwi, przyszło mu do głowy, że może pójść znacznie dalej niż tylko wydzierżawić swoje uprawy. Dlaczego bowiem nie miałby zaopatrywać Hopsoma w lawendę w jej całkowicie już przetworzonej postaci – a zatem w mydła, wody toaletowe, olejki, talki i tak dalej – po znacznie niższych cenach niż koszty, które musiałby ponieść odbiorca, chcąc produkować podobne kosmetyki we własnych, znacznie mniejszych fabrykach? Pan Hopsom mógłby przecież sprzedawać te wyroby pod szyldem własnej firmy. A jakie korzyści, pyta Sugar, miałby z tego Rackham? Cóż, taka umowa rozwiązałaby problem surowca i produktów, które... jak by to powiedzieć... nie spełniają standardów najwyższej jakości. Co roku niebывała ilość zebranej już z pół lawendy wędruje na śmietnik, choć można by ją przetworzyć i odzyskać pieniądze, których jest warta. Podobnie marnują się także gotowe towary, na przykład mydła, które są choć trochę zniekształcone, pokryte krostkami albo smugami niedokładnie rozpuszczonego barwnika.

Nie chodzi jednak o to, że produkty, które William sprzedawałby Hopsomowi, musiałyby być koniecznie gorszego gatunku; przeciwnie, firma dokładałaby jak zawsze wszelkich starań, żeby surowiec był najwyższej jakości, a gotowe wyroby wolne od najmniejszych nawet wad. W rezultacie mogłoby się więc okazać, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć nikt nie potrafiłby odróżnić (powiedzmy) wody lawendowej Hopsoma od wody Rackhama.

Ale... och, ale... co począć z owym jednym przypadkiem na dziesięć? Co będzie, jeśli (załóżmy taką ewentualność czysto teoretycznie) Hopsom otrzyma pewnego razu partię perfum gorszego gatunku albo jeżeli w świeżo dostarczonej skrzyni z mydłem wskutek jakiegoś nieszczęśliwego zbiegu okoliczności znajdzie dużo więcej niż zwykle mocno zdeformowanych kostek tego wyrobu? Co będzie, jeśli (mówiąc otwarcie) pan Hopsom będzie uważał się za oszukanego i złoży skargę na Williama? Ba, co jeśli Hopsom (kierowany – założmy taką ewentualność czysto teoretycznie – perfidną niewdzięcznością pomimo wspaniałomyślnych warunków, na jakich dostarczano towar jego firmie) spróbuje zszargać nazwisko Rackhama?

– Nie musisz się już tym zamartwiać, Williamie, bo mam dla ciebie odpowiedź – mówi Sugar.

– Właściwa odpowiedź na to pytanie nie istnieje – jęczy William, pijąc czwarty już kieliszek brandy. – Wszystko w tej kwestii zależy od przypadku...

– Wcale nie, wcale nie – uspokaja go Sugar. – Ten pan Hopsom, nie wiesz przypadkiem, czy nie ma na imię Matthew?

– Tak, Matthew – mówi William i marszczy czoło, bo usiłuje odgadnąć, w której z niepotrzebnych mu już ksiązek dziewczyna mogła znaleźć tę informację.

– A czy nie jest znany w niektórych kręgach jako „Koński” Hopsom?

– Owszem... tak.

Sugar chichocze figlarnie i rzuca się, by klęknąć u stóp Williama.

– Więc jeśli pan Hopsom kiedykolwiek będzie ci sprawiał kłopoty – mówi Sugar, opierając się szczupłymi, bladymi ramionami o jego obleczoną w ciemną nogawkę nogę – radzę, byś szepnął mu wtedy do ucha tylko dwa słowa. – Pochyliła się niżej, delikatnie uderza go ręką w udo, naśladując rytmiczne bicowanie, i szepcze: – Amy Howlett.

William przez kilka chwil patrzy w jej wesołe oczy po części z nieufnością, po części ze zdumieniem, a potem śmieje się głośno.

– Na Boga! – woła. – To już szczyt wszystkiego!

– Wcale nie – mruczy Sugar, wtulając się policzkiem w jego krocze. – Nie ma szczytów, na które nie mógłby się wznieść taki mężczyzna jak ty...

Kładzie dłoń w miejscu, gdzie – jak sądzi – przyrodzenie Williama powinno już pęcznieć w erekcji, okazuje się jednak, że Sugar się myli. Rozmowa przebiegła nadspodziewanie pomyślnie, problem Hopsoma został rozwiązany, a jednak... A jednak Rackham wierci się niespokojnie pod dotykiem jej dłoni, jest niezdecydowany i zakłopotany.

– Kochany Williamie – mówi ze współczuciem dziewczyna, osuwając się z powrotem na podłogę i skromnie splatając dłonie na kolanach, wokół których falują jej spódnice. – Ciągle coś cię gnębi. Widzę to. Co się stało, na Boga? Czym się tak strasznie martwisz?

William wpatruje się w nią uważnie przez całe dwadzieścia sekund. Marszczy brwi, waha się. Czyżby pozwoliła sobie na zbyt wiele? Rackham kaszle i chrząka, sposobiąc się widocznie, żeby coś powiedzieć.

– Moja żona jest obłąkana – mówi.

Sugar przechyla głowę w geście niemego przerażenia, przebiegłszy w myślach i odrzuciwszy najpierw takie reakcje werbalne, jak „Doprawdy?”, „No, coś podobnego!” czy „To straszne!”. Przez całe swoje życie zawodowe nieustannie dowiaduje się od mężczyzn, że mają szalone małżonki, ale nie wpadła dotąd na żadną korzystną z jej punktu widzenia odpowiedź.

– Kiedy się pobraliśmy, była słodką, dobroduszną dziewczyną, którą mógłby się szcycić każdy mężczyzna – rozpacza William. – Czasami zachowywała się dość dziwnie, ale kto z nas nie jest trochę dziwakiem? Nie mogłem wiedzieć, że stanie się potencjalną rezydentką przytułku dla umysłowo chorych... że w moim własnym domu... – Zbolały Rackham urywa i zamyka oczy. – Była najszczęśliwszą dziewczyną na świecie, kiedy ją poznałem, a teraz mną gardzi.

– To prawdziwa tragedia – wzdycha Sugar, ośmielając się położyć mu rękę na kolanie w niepewnym geście współczucia, tym razem William jednak nie odsuwa się. – Sądzę, że kochałaby cię nadal, gdyby umiała.

– Najbardziej mnie złości... to znaczy, najbardziej dziwi mnie to, że jest codziennie inna. Czasami bywa normalna, jak ty albo ja, a potem ni z tego, ni z owego robi albo mówi coś absolutnie skandalicznego.

– Na przykład...? – głos Sugar brzmi cicho i powściągliwie.

– Wierzy, że jeździ we śnie do jakiegoś katolickiego klasztoru. Wierzy, że opiekują się nią anioły. Mówi, że do niej machają.

Sugar wtula się rozpalonym policzkiem w brzuch Williama i obejmuje go przyjaźnie z nadzieją, że jej rumieniec zblednie, zanim znów będzie musiała pokazać mu twarz. A co mogła uczynić, jeśli nie pomachać w odpowiedzi, kiedy pani Rackham przyłapała ją przed domem i machała do niej?

– Nie dalej jak w zeszłym tygodniu zhańbiła się, myjąc z naszą służącą podłogę w kuchni – ciągnie zgnębiony William. – Trzeba było wezwać lekarza. A doktor uważa, że trzymać ją w domu

w tym stanie to z kolei szaleństwo z mojej strony... Nie ma pojęcia, jak słodką i dobrą była kiedyś żoną! Teraz Agnes spędza połowę swojego życia, śpiąc, odurza się różnymi miksturami albo nie wstaje z łóżka ze zwyczajnego lenistwa. Nie wiem już naprawdę, to wszystko przechodzi ludzkie pojęcie...

Sugar gładzi go po kolanie, miarowo i odruchowo, jak psa. Czuje, że w majtki spływa jej strużka krwi, ale nic nie wskazuje na to, by William Rackham miał ujawnić dzisiejszego wieczora swój stosunek do miesiączkujących kobiet.

– Od jak dawna... Agnes jest tak chora? – pyta Sugar.

– Ach! Któż może wiedzieć, co kryło się w jej głowie, zanim mnie poznała! Ale... powinienem zapewne odpowiedzieć, że jej obłęd... – William zaciska i prostuje palce poparzonej dłoni w poszukiwaniu właściwego słowa – ...ujawnił się w pełni dopiero po połogu.

– Ach tak? – słowa Sugar znów brzmią lekko jak odgłos biegnącej myszy. – Masz dziecko?

– Mam jedno dziecko, tak – wzdycha William. – Córkę, niestety.

Wtulony głęboko w brzuch Williama policzek dziewczyny przebiega ostry skurcz oburzenia, zbyt gwałtowny, by mogła go powstrzymać, ma jednak nadzieję, że Rackham przez ubranie nic nie poczuje. Jakie to dziwne... nauczyła się wysłuchiwać od mężczyzn najróżniejszych nikczemnych obelg z całkowitym spokojem – na przykład wymierzonych ogólnie w płęć niewieścią diatryb, w których jej ciało zwano plugawą kloaką, a cipę wrotami piekieł – od czasu do czasu zdarza się jednak, że jakaś niewinna uwaga, mająca wykazać, jak bardzo bezwartościowe i niepotrzebne są córki, wzbudza w niej wybuch wściekłości. Zaciska zęby i mocniej obejmuje swojego mężczyznę, aby dokonać egzorcyzmu i wypędzić z siebie diabła gniewu w gwałtownym przyptywie czułości.

– Wskutek choroby twoja żona zapewne straciła przyjaciół? – pyta Sugar, by przerwać panującą ciszę.

William półleży w fotelu, rozluźniając się w objęciach dziewczyny.

– Ach, wiesz, to dziwne... Sądziłem, że tak, ale najwyraźniej byłem w błędzie. Zbliża się Sezon i przyszło mnóstwo zaproszeń. To zdumiewające, zważywszy, co wyprawiała Agnes w zeszłym roku.

– A co wyprawiała?

– Och... najróżniejsze rzeczy. Śmiała się, kiedy nie było z czego, ale zachowywała powagę, gdy kto inny znalazłby powód do śmiechu. Wykrzykiwała rozmaite bzdury albo przestrzegała ludzi przed wymagowanymi niebezpieczeństwami. Któregoś dnia podczas obiadu weszła pod stół i poskarżyła się, że mięso było krwiste. Nie spamiętam już, ile razy zemdłała. Och, Boże, ciągle musiałem kazać odwozić ją do domu!... – Sugar czuje, że William kręci głową. – A jednak proszę bardzo, dostała rozgrzeszenie. Trudno zrozumieć ludzi z wyższych sfer!

Sugar ociera się uchem o jego brzuch. Sądząc po dochodzącym z niego burczeniu, William nic dzisiaj nie jadł, i dlatego alkohol szybko rozwiąże mu język.

– A czy nie przyszło ci do głowy, że otrzymaliście tak dużo zaproszeń ze względu na ciebie? – pyta Sugar.

– Ze względu na mnie? – William wzdycha głęboko i głowa dziewczyny unosi się na wysokość co najmniej trzech cali. – Nie przepadałem nigdy za balami, piknikami i proszonymi obiadami. Wolę sam organizować sobie wolny czas. Nie wiem zresztą, czy w ogóle będę go miał w tym roku, bo jestem koszmarnie zajęty.

– Tak, ale czy nie sądzisz, że są ludzie, którzy śledzili bacznie... twój niezwykle wzlot? Stałeś się arcyważną osobistością, Williamie, w dodatku bardzo szybko. A ważne osobistości są wszędzie mile widziane. Te zaproszenia... cóż, chyba nikt nie odważyłby się zaprosić cię gdziekolwiek bez małżonki, prawda?

William przesuwa ręką po jej plecach, powstrzymując dłoń na wypukłości turniury, i Sugar domyśla się, że go przekonała.

– Ależ ze mnie kiep... – mówi w zadumie William niskim głosem, w którym czuć brandy i uciszony niepokój. – Nawet nie zauważyłem, ile zmieniło się w moim życiu na lepsze...

– Musisz uważać na fałszywych przyjaciół – radzi Sugar i znów zaczyna pieścić Williama w kroku. – Im jesteś bogatszy, tym więcej osób nie zawaha się przed niczym, by wkraść się w twoje

łaski.

William wzdycha i przyciąga jej głowę do swojego krocza.

Potem, kiedy z trudem wzbudzony penis Williama kurczy się do rozmiarów niedopałka, Sugar naciska go dalej w nadziei, że wydobędzie z kochanka jeszcze coś.

– Och, jakże się stęskniłam za tym boskim smakiem – mówi w uniesieniu, by uratowany optymizm Rackhama nie sflaczał na podobieństwo jego członka. – Tak długo cię nie widziałam! Nie myślałeś wcale o swojej małej, pożądającej cię rozpaczliwie konkubinie, którą porzuciłeś tu samą bez garderoby na zmianę?

– Miałem pełne ręce... – Ale Sugar śmieje się, nie pozwala mu dokończyć przeprosin i całuje go po rękach, które obsypuje szelmowskimi całusami z komiczną gwałtownością, aby pokazać, że wcale nie zranił jej uczuć. Rackham parska, bo pocałunki Sugar go łaskoczą, a kiedy kuli się, w gęstwinie jego zarostu widać podwójny podbródek. – Przejęcie steru firmy i kierowanie nią pochłania więcej czasu, niż mi się wydawało. Sprawa Hopsoma była tylko jednym z wielu problemów, jakimi musiałem się zajmować przez kilka ostatnich dni. A w najbliższych tygodniach właściwie nie ubędzie mi zajęć. Wkrótce wyjeżdżam na nasze pola lawendowe w Mitcham, żeby sprawdzić, dlaczego...

– Na pola lawendowe? – wtrąca podekscytowana Sugar.

– Tak...

– Tam, gdzie rośnie lawenda?

– No, tak, oczywiście...

– Och, Williamie! Bardzo chciałabym zobaczyć coś takiego! Czy wiesz, że nigdy nie widziałam żadnych roślin uprawnych, nie licząc tych, które są w londyńskich parkach? – Dziewczyna przykłęka na podłodze i osuwa się tak nisko, jak tylko może, by William mógł spojrzeć z góry w jej zachwyconą twarz. – Pola pełne lawendowych kwiatów! Dla ciebie to zapewne najwyciszej – czajniejszy widok na świecie, ale dla twojej małej Sugar jest jak bajka! Och, Williamie, mógłbyś mnie zabrać ze sobą?

Rackham kręci się na fotelu z uśmiechem i jednocześnie marszczy czoło. W jego przesyconym alkoholem oraz zmysłowymi doznaniem mózgu walczą o głos obawy i złe przeczucia.

– Jesteś tak słodka, że nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności... – bełkocze. – Ale pomyśl, że może wybuchnąć skandal: oto ty, nikomu nieznana młoda kobieta, przechadzasz się samotnie w moim towarzystwie, po moich polach, na oczach wszystkich robotników...

– Czy wioska, o której mówisz, nie leży gdzieś na drugim końcu Anglii?

– Mitcham? To w Surrey, kochanie... – William uśmiecha się szeroko, widząc po wyrazie twarzy Sugar, że ta druga nazwa też nic jej nie mówi. – Na tyle blisko, by plotki stamtąd dotarły do Londynu,

– Więc w takim razie nie powinnam jechać sama! – oświadcza rezolutnie dziewczyna. – Mógłby mi towarzyszyć jakiś inny mężczyzna. Albo może raczej... – Dostrzega na czole Williama przebłysk nieufności. – To ja powinnam komuś asystować, na przykład jakiemuś starcowi. Tak, tak, znam nawet takiego człowieka, to pewien chromy kaleka, którego mogłabym przedstawiać jako mojego dziadka. Jest głuchy i ślepy... no, prawie. Nie sprawiałby nam żadnego kłopotu. Pchałabym go po prostu jak niemowlę... na wózku inwalidzkim.

Rackham wytrzeszcza oczy z niedowierzaniem.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Nigdy w życiu nie mówiłam poważnie! – woła Sugar. – Och, Williamie, zgódź się!

Rackham wstaje chwiejnie, śmiejąc się ze swoich niezdarnych ruchów i upojonej absurdalności przesyconego alkoholem świata.

– Nie mogę tu zasnąć – mamrocze pod nosem, zapinając spodnie. – Rano przychodzi do mnie z wizytą Hopsom...

– Powiedz „tak”, Williamie – błaga Sugar, pomagając mu wsunąć koszulę w spodnie. – Nie chodzi mi o to, żebyś zgodził się na propozycję Hopsoma, ale na moją prośbę.

– Muszę się jeszcze nad tym zastanowić – mówi Rackham, kołyszając się nad krzesłem, na którym wisi jego ulster, ciągle lekko parując. – Kiedy nie będę aż tak pijany!

Podnosi płaszcz za kołnierz, a potem pozwala, by Sugar pomogła mu trafić ramionami w nieposłuszne rękawy. Ciężki ulster, parzący z gorąca na zewnątrz i wilgotny w środku, roztacza wokół jakiś dziwny zapach; William i Sugar stykają się czołami i wybuchają śmiechem, bo jawnie niemiła woń budzi ich wesołość.

– Kocham cię! – śmieje się Rackham, a dziewczyna obejmuje go mocno, przyciskając policzek do jego zarośniętej twarzy.

Tymczasem burza minęła. Nad Priory Close zapada noc, która uśmierza deszcz i ucisza wiatr. Czarne niebo mieni się gwiazdami, a gładkie ulice lśnią w świetle latarni jak srebro. Na usianym kominami horyzoncie księżyc w pełni mruga niczym syrena, wabiąca wszystkich lunatyków, od ruder Shoreditch po królewskie sypialnie Westminsteru.

– Uważaj na siebie, serce moje! – woła Sugar z rozjarzonego światłem holu swojego nowego mieszkania, które stało się drugim domem Williama.

Kiedy dorożka odjeżdża i milkną jej dzwonki, w Chepstow Villas zapada martwa cisza, a posiadłość Rackhama majaczy w ciemności wysoko niby pomnik albo wspaniały, aczkolwiek pretensjonalny, nagrobek jakiegoś znakomitego, wygasłego rodu. William dygocze z zimna i irytacji, jaką wzbudza w nim głośnie skrzypienie furtki, przez którą właśnie przechodzi. Trzeźwieje już nieco i popada w wyjątkowo paskudny nastrój, zgnębiony pozbawionym wszelkich oznak radości powitaniem, jakie gotuje mu jego własny dom. Zniknął nawet pies, który tak chętnie nawiedza frontową bramę, a chodnik, wiodący przez bezlitośnie przystrzyżony ogród, połyskuje niesamowicie w świetle księżyca. Przelotny, złowieszczy widok pustej powozowni, częściowo skrytej pod drzewami przed wzrokiem Williama, przypomina mu o jeszcze jednej pozycji na długiej liście spraw do załatwienia.

Dzwoni do drzwi, zdaje sobie jednak sprawę, że jest już bardzo późno, zaczyna więc nieporadnie szukać klucza. Przez ozdobne okno ponad architrawem sączy się słabe światło, którego jednak wystarczy, by rzucić cień na palce Rackhama, kiedy pochyla niżej głowę w poszukiwaniu tych przeklętych kieszeni, które ciągle gdzieś mu umykają. (Boże wszechmogący! Gdyby jego firma produkowała odzież, a nie perfumy, kieszenie wszywano by zupełnie inaczej!)

Znajduje klucz i już prawie udaje mu się wsunąć go do dziurki, gdy Letty otwiera drzwi. Opuchnięte oczy służącej świadczą o tym, że William zbudził ją z głębokiego snu. W skąpym świetle świecy, którą trzyma Letty, widać na jej lewym, zaczerwienionym policzku odcisnięte fałdy rękawa – z kolei pokojówka na pewno zauważyła spuchnięty, czerwony nos i spocone czoło swego pana.

– Gdzie Clara? – pyta William, kiedy Letty pomaga mu zdjąć płaszcz. (Ma silniejsze, ale nie tak sprawne dłonie jak Sugar).

– Poszła spać, panie Rackham.

– To dobrze. Ty też już się kładź, Letty. – Zanim on sam uda się na spoczynek, ma jeszcze do spełnienia pewien obowiązek, z którego wywiąże się o wiele łatwiej, jeśli przeklęta Clara nie będzie mu się pętać pod nogami.

– Dziękuję, panie Rackham.

William patrzy, jak Letty wchodzi na schody, czeka, aż pokojówka zniknie w swojej klitce na poddaszu, a potem sam idzie na górę, prosto do sypialni Agnes.

Wchodzi do pokoju, w którym jest tak duszno, że nie ma czym oddychać, niby w zamkniętym szklanym słoju – myśli. Kiedy przed laty zalecał się do Agnes, biegała jak mała dziewczynka po zielonej murawie Regent's Park, a jej spódnice łopotały na wietrze – teraz zaś włości pani Rackham stanowi ów zasłonięty grubymi kotarami grobowiec. Ostrożnie pociąga nosem; gdyby nie wypił tyle brandy, wyczułby zapewne zapach alkoholu, który jakiś początkujący lekarz rozlał na dywan, kiedy nasączał spirytusem aptecznym kawałek waty, by natrzeć plecy Agnes.

William podchodzi do łóżka, unosząc wysoko świecę, i widzi twarz żony, ukrytą częściowo w zbyt dużych jak dla niej i zbyt miękkich poduchach. Kiedy zmysły Agnes rejestrują obecność męża, jej usta przebiega słaby skurcz; zaczyna trzepotać krótkimi, cienkimi rzęsami.

– Claro? – skomli Agnes.

– To ja. William.

Powieki pani Rackham podnoszą się do połowy, ukazując nic niewidzące białka, w których jej wirujące, szarobłękitne źrenice pojawiają się i znikają jak ryby. Widać, że jest odurzona, znajduje się w połowie drogi do swojej bajkowej krainy i lewituje gdzieś w labiryntach tych klasztorów czy zamków, które tak chętnie odwiedza.

– Gdzie Clara?

– Za progiem – kłamie William. Jak ona bardzo boi się zostać z nim sam na sam! Jak bardzo się brzydzi, kiedy jej dotyka! Żal mu jej tak bardzo, że chciałby machnąć nad nią czarodziejską różdżką i raz na zawsze wypędzić z niej chorobę; lecz niechęć do małżonki odzywa się w nim naraz z podobną siłą, i gdyby naprawdę trzymał w ręce różdżkę, mógłby równie dobrze grzmotnąć nią Agnes w głowę, żeby roztrzaskać jej tę żalostną jajowatą czaszkę.

– Jak się czujesz, kochanie?

Odwraca ku niemu twarz; przez chwilę usiłuje skupić na nim wzrok, chociaż oczy zamykają się jej ze zmęczenia.

– Jak zagubiony czepek, płynący ciemną rzeką – szepcze. W głosie Agnes brzmi dawna melodyjność: ma taki piękny głos, nawet kiedy bredzi.

– Pamiętasz, co powiedziałaś, zanim straciłaś przytomność? – pyta William, przysuwając bliżej świecę.

– Nie, kochanie – wzdycha Agnes i odwraca się, kryjąc nos w ciepłym, białym zagłębieniu w poduszce, pełnym jej własnych włosów. – Czy powiedziałam coś złego?

– Tak, coś bardzo złego.

– Przepraszam, Williamie, bardzo cię przepraszam. – Bawełniane gniazdko poduszki tłumi nieco jej głos. – Wybaczysz mi?

– Będę przy tobie w zdrowiu i chorobie, Aggie, składałem przysięgę małżeńską.

William przez chwilę stoi w bezruchu. Smakuje powoli przeprosiny Agnes, które stopniowo rozgrzewają go jak brandy. Potem, uznając, że nie może mieć nadziei na nic więcej, odwraca się, by odejść.

– Williamie?

– Mmm?

Jej twarz ponownie wynurza się z poduszek, ale w świetle świecy w przerażonych oczach Agnes błyszczą teraz łzy.

– Czy ciągle jestem twoją małą dziewczynką?

William stęka z bólu pod wpływem tego nieoczekiwanego ciosu w jego najczulsze wspomnienia. Kropelki gorącego łoju kapią mu na poparzoną, pokrytą już bąblami dłoń – i Rackham zaciska jednocześnie pięści i powieki.

– Śpij już, najdroższa – prosi ją ochryple, cofając się w stronę drzwi. – Jutro będzie nowy dzień.

Pewnego słonecznego popołudnia, pod koniec kwietnia 1875 roku, grupka robotników, rozrzuconych na wielkim, falującym polu lawendy, przerywa na chwilę pracę. Stoją po kolana w morzu kwiatów z gatunku *Lavandula*, a motyki i kosze na ślimaki nieruchomieją w ich rękach, gdy przyglądają się idącej miedzą pięknej, młodej kobiecie.

– Co to za jedna? – szepczą do siebie, a oczy robią im się z ciekawości okrągłe jak spodki. – Co to za jedna? – Ale nikt z nich jej nie zna.

Dama ma na sobie suknię w kolorze lawendy; białe rękawiczki i czepek nieznajomej wyglądają niby kwiaty, wieńczące łodygi jej nadgarstków i szyi. Suknia jest finezyjnie ułożona i fryzowana jak sznur, nadając kobiecie wygląd słomianej kukły naturalnej wielkości.

– A tyn tam z niom to kto?

Kobieta nie idzie bowiem samotnie i wykonuje pewną czynność – z najwyższą ostrożnością pcha w labiryncie pól wózek inwalidzki, na którym spoczywa jakiś niewielki ciężar. Jest to kaleki starowina, opatulony szczelnie pledami i szalami, o głowie obwiązanej chustką, chociaż dzień jest ciepły. Dalej, obok starca i pchającej go na wózku kobiety, idzie trzeci tego dnia gość na polach: William Rackham, ich właściciel. Dużo mówi; starzec odzywa się od czasu do czasu; kobieta prawie cały czas milczy; kiedy procesja mija kolejne szeregi robotników, z rozmowy tych trojga udaje im się złović zaledwie kilka słów.

– Jak myślisz, kto jezd ta kobita? – pyta ogorzała żona równie ogorzałego męża.

– Po mojemu to córka starego. Abo wnuczka. A tyn stary musi jezd bogaty. Pewnikiem nasz Billy Kińdziorek kce z nim jakieś interesa robić.

– To trza mu się spieszyć. Dziadyga wykorkuje pewnikiem zara.

– Hopsom miol przynajmniej dwo kulosy.

Po tych słowach wracają do roboty, zanurzając się w dwóch osobnych morzach lawendy.

Dalej przerywają jednak pracę kolejni robotnicy. Za czasów ojca Williama na plantacji nie widywano dam. Rackham senior wolał trzymać wysoko urodzone niewiasty z dala od pól, bał się bowiem, że zaczną im krwawić serca. Ostatnią kobietą, która gościła na tutejszych plantacjach, była przed dwudziestu laty jego własna żona, która wtedy jeszcze go nie zdradzała.

– Och, ależ ona pikna – wzdycha ogorzała robotnica, patrząc spod przymrużonych powiek w ślad za dziwną sylwetką kobiecą.

– Jakbyś nie tyrała jak wół, to tyż byłabyś pikna. – Jej towarzysz niedoli spluwa pod nogi.

– Wrrr! – warczy starzec na wózku inwalidzkim. Odór stęchłej odzieży i rzadko mytego ciała rozwiewa się na świeżym powietrzu, w zapachu wilgotnej ziemi i całych akrów lawendy, o którą dba się tu troskliwie.

Sugar pochyla głowę, wciąż pchając starca na wózku, a jej usta zawisają w pobliżu jego obwiązanej chustą głowy, mniej więcej tam, gdzie powinno znajdować się ucho.

– Spokojnie, spokojnie, pułkowniku Leek – mówi. – Pamiętaj, że przyjechałeś tu dla przyjemności.

Ale pułkownik nie odczuwa żadnej przyjemności, a w każdym razie chce, by Sugar tak myślała. Przed podniesieniem jawnego buntu powstrzymuje go tylko pragnienie nagrody, wynoszącej sześć szylingów i więcej whisky w ciągu jednego dnia, niż pani Leek pozwala mu wypić na miesiąc. Niewątpliwie starzec nie jest ani trochę zainteresowany odgrywaniem roli czyjegokolwiek dziadka.

– Muszę się wysikać.

– Lej w spodnie – syczy słodko Sugar. – Niech ci się wydaje, że jesteś w domu.

– Masz naprawdę dobre serce. – Pułkownik odwraca głowę, ukazując zaropiałe oko i owrzodzone, bezzębne dziąsła. – Zważniałaś. Już zapomniałaś St Giles, co, ulicznico?

– Pamiętaj, sześć szylingów i whisky... dziadku.

I Sugar pcha dalej wózek, a w górze, nad wypieszczonym sercem Rackham Perfumeries, przygrzewa słońce.

William Rackham idzie osobno, by uczynić zadość wymogom nienagannyh manier, wystrojony w najlepsze, odświeżone ubranie, choć jest dopiero środa. Nie dla niego moleskinowe spodnie i gumiaci ojca; nowoczesną firmą kosmetyczną zarządza się dziś przede wszystkim głową, a władzę sprawuje piórem. Za wszystkim, co dzieje się na tych plantacjach, za każdą przyciętą łodyżką i każdym zginającym nad nią grzbiet robotnikiem, kryją się jego myśli i pisemne polecenia – a w każdym razie William próbuje sprawić takie wrażenie na gościach.

Oczywiście zdaje sobie sprawę, że związek między starcem a Sugar nie jest tak przyjacielski, jak twierdziła dziewczyna, ale już jej wybaczył. Co więcej, gdyby pułkownik Leek konfidencjonalnie szeptał z nią na stronie, Rackham mógłby nawet poczuć ukłucie zazdrości. Tak jest jednak lepiej: chory na płuca starzec mamrocze chrapliwie i bardzo niewyraźnie, pracujący w polu niewiele zatem zrozumieją z tego, co przypadkiem uda im się podsłuchać, a to, że Sugar wiezie go na wózku, jest bardziej wymowne niż wszelkie deklaracje na temat więzów krwi.

– Dlaczego nie cieszysz się słońcem? – upomina pułkownika Sugar, kiedy wszyscy troje posuwają się w górę łagodnym Beehive Hill.

Starzec kaszle, odkrztuszając gromadzącą się w płucach flegmę.

– Słońce jest szkodliwe – chrypi. – To słońce rodzi robaki w nogach rannych żołnierzy. A kiedy nie ma wojen, od słońca płowieją tapety.

Sugar sunie dalej, tocząc ten gadający kamień Syzyfa na wzgórze, i posyła Williamowi pełen otuchy uśmiech. *Nie zwracaj na niego uwagi*, mówi mu bez słów. *Ty i ja wiemy, co warte jest to miejsce... I co ten wspaniały dzień znaczy w naszym życiu.*

– Tak jak myślałem, wykorzystują mnie niczym pasożyty, jeśli im tylko pozwolę – mruczy William. – Wydaje im się, że dam wiarę każdej bajeczce, jaką mi opowiedzą.

Sugar pochyla współczująco głowę, zachęcając Rackhama, żeby wyjaśnił jej, co ma na myśli.

– Przysięgają, że przycinają starsze krzaki od tygodnia – mówi szyderczo William. – A robią to najwyżej od wczorajszego popołudnia! Nie widzisz, jak wybują?

Sugar odpowiada mu spojrzeniem. Jej zdaniem robotnicy są o wiele bardziej zarośnięci i zaniedbani niż lawenda.

– Moim zdaniem wszystko wygląda wspaniale – mówi.

– Powinni sadzić o wiele więcej młodych roślin – mówi stanowczo William. – O tej porze roku szybko się ukorzeniają.

– Khrr-khrr-khrr! – kaszle pułkownik.

– Nawet mi się nie śniło, że twoja plantacja może być tak wielka – zauważa Sugar, żeby skierować rozmowę z powrotem na komplementy i pochlebstwa. – Te pola zdają się ciągnąć bez końca.

– Ach, ale nie cała ta ziemia jest moja – mówi Rackham. Wykorzystując to, że docierają na wzniesienie, wskazuje w dół, na długi szereg pobielonych tyczek, stojących wzdłuż miedzy. – Te tyczki wyznaczają granicę innej plantacji. Lawenda rośnie tym lepiej, im gęściej się ją sadi. A pszczołom jest wszystko jedno, na czyich krzewach siadają. Tak więc część tej ziemi należy do kilku perfumierii; ja jestem właścicielem tylko czterdziestu akrów.

– Czterdzieści akrów! – Sugar ma blade pojęcie, ile to jest, rozumie jednak, że to ogromna powierzchnia w porównaniu do (powiedzmy) Golden Square. Więcej: gdyby jakiś olbrzymi szpadel wykopał ze spróchniałych fundamentów wszystkie ulice, na jakich w życiu mieszkała, można by je wrzucić w przypominający miękka poduchę sam środek tego lawendowego rajku, a wtedy pograżyłyby się cicho w miękkiej, brunatnej ziemi i wszelki ślad zaginałby po nich na zawsze.

A jednak – jak przypomina jej wielokrotnie William – tutejsza plantacja jest tylko jedną z wielu należących do jego imperium. Posiada on więcej plantacji w innych zakątkach kraju – na każdej zaś uprawia się tylko jeden gatunek – nadto po Atlantyku pływają statki wielorybnicze, które pozyskują ambre i olbrot dla Rackham Perfumeries. Sugar spogląda na ogromne morze lawendy i porównuje je do kulki zmiażdżonych płatków, która zmieściłaby się w jej dłoni. Tyle tu dobra, i w takim nadmiarze! Esencji lawendowej, za której flakonik musiałaby zapłacić w sklepie pokaźną sumę, jest

tutaj, u źródła, tak dużo, że gdy zwyczajnie przelewa się ją do beczulek, robotnicy niewątpliwie wdeptują rozlane resztki w błoto. Ta myśl wydaje się dziewczynie magiczna i nieprzyzwoita zarazem, jak wyobrażenie jubilerów brodzących po kostki w klejnotach, które najpierw miażdżą pod butami, a potem zmiatają do worków.

– Doprawdy, pułkowniku – mówi błagalnie Sugar do siedzącego na wózku starca, na poły w zachwycie, na poły zaczepnie. – To wszystko jest takie... wspaniałe. Musisz chyba przyznać, że to miła odmiana odpocząć raz na jakiś czas od pani Leek?

– Co? Miła odmiana? – Starzec wierci się wściekły na skrzypiącym siedzeniu, usiłując przywołać co bardziej smakowite fakty w swojej encyklopedycznej pamięci, gdzie przechowuje informacje o najróżniejszych katastrofach. – Sady Granville'a spłonęły na popiół dwa i pół roku temu! – wykrzykuje triumfalnie. – Dwanaście ofiar śmiertelnych! Fabryka zapalek sztormowych w Goteborgu, w Szwecji, dwudziestego siódmego ubiegłego miesiąca: czterdzieści cztery osoby zginęły w pożarze, dziewięć odniosło śmiertelne obrażenia! Plantacja bawełny w Wirginii spaliła się w Boże Narodzenie zeszłego roku, w pół dnia, razem z dzikusami! – Pułkownik urywa, przynosi spojrzanie na Williama Rackhama i mówi z drwiną: – Tu też mogłoby być niezłe ognisko, co?

– Tak się składa, panie – odpiera William z protekcyjną wyższością – że rozpalamy w Mitcham wspaniałe ognisko rok w rok. Bo widzisz, moje pola dzielą się w zależności od wieku uprawianych na nich roślin. Te, które dobiegają piątego roku i wyrodnieją ze starości, zostają spalone pod koniec października. Zapewniam cię, że ogień jest tak wielki, iż całe Mitcham pachnie lawendą.

– Och, to cudownie! – woła Sugar. – Jak bardzo chciałabym być tu w takiej chwili!

William kraśnieje z dumy, unosi głowę i wysuniętym podbródkiem wskazuje ze wzniesienia na swoje kwiatowe imperium. Dokonał prawdziwego cudu – on, jeszcze niedawno bezużyteczny próżniak w finansowych tarapatach, jest dzisiaj panem ogromnej plantacji, na której niczym polne myszy uwijają się wśród lawendy śmieszni, opaleni na brąz robotnicy. Do niego należą także odgłosy pracy, zapach milionów kwiatów, a nawet wiszące nad nimi niebo, albowiem ktoś jest prawdziwym właścicielem tego wszystkiego, jeśli nie on? Och, to prawda, podobno cały świat należy wciąż do Boga, gdzieś jednak powinna chyba przebiegać granica stanu Jego posiadania? Tylko szalenciec mógłby się upierać, że Pan Bóg jest właścicielem stacji Pad-dington albo krowiego placka na polu – dlaczego więc William Rackham, do którego należy ta plantacja, ziemia i wiszące nad nią niebo, miałby nie docenić swojej własności? William przypomina sobie ustępy z Pisma, które jego ojciec lubił cytować pełnemu wątpliwości młodemu Henry'emu: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie *poddaną* – Rackham senior kładł nacisk na to słowo – abyście panowali [...] nad wszystkimi zwierzętami, pełzającymi po ziemi”.

William dobrze pamięta ten cytat i czuje się niemal tak, jak gdyby jego duch powrócił do drobnej powłoki cielesnej, którą zajmował jako siedmio-latek, kiedy po raz pierwszy gościł na tej plantacji, płacząc się pod nogami starszego brata. Ojciec, wtedy jeszcze ciemnowłosy i barczysty, uznał, że pola lawendowe stanowią tę część imperium, która najbardziej przypadnie do gustu chłopcu mającemu ją pewnego dnia odziedziczyć.

– A czy tym panom i paniom wolno zabierać do domu część lawendy, którą zbierają, ojcze? – Z przeszłości dobiega czysty niby dzwon dziecinny głos Henry'ego; tak, Henry'ego, albowiem William nigdy, nawet w wieku siedmiu lat, nie zadałby ojcu równie głupiego pytania.

– Nie potrzebują niczego stąd zabierać – łagodnie oświecił swojego pierworodnego Henry Calder Rackham. – Pracując wśród lawendy, cali przechodzą jej zapachem.

– To chyba dla nich bardzo przyjemna nagroda. – (Ależ ten Henry był durniem, przez całe życie!)

Ojciec wybuchnął rubasznym śmiechem.

– Nie pracują jednak tylko dla niej, chłopcze. Trzeba im jeszcze płacić. – Wyraz niedowierzania na twarzy Henry'ego powinien był zwrócić uwagę starego Rackhama, że wybrał niewłaściwego syna na swego dziedzica. Jednak mniejsza o to, mniejsza... Ci, którzy są godni zaszczytów, z czasem ich dostąpią.

– Wrrr!

Nie zwracając uwagi na zwierzęce pomruki pułkownika Leeka, William raz jeszcze ogarnia wzrokiem swoje włości przed zejściem z Beehive Hill. Wszystko wygląda tak samo jak za jego szczenięcych lat, chociaż nie mogą to być ci sami robotnicy, którzy pracowali na plantacji Henry'ego Caldera Rackhama dwadzieścia jeden lat temu, albowiem ludzi, podobnie jak bezużyteczne pięcioletnie rośliny, wrywa się i niszczy, kiedy słabną.

Williaina i jego gości mija jakaś pomarszczona, tęga dziewczyna, dźwigająca na plecach wiązkę chrustu. Chcąc im się podlizać, kiwa spode łba na powitanie.

– Opowiadałeś o pięcioletnich krzewach lawendowych, panie Rackham – rozlega się głos Sugar.

– Tak – odpowiada głośno William, kiedy za pierwszą objuczoną dziewczyną nadchodzi druga.

– Są firmy kosmetyczne, które zbierają lawendę z krzewów sześcioletnich, ale Rackham Perfumeries do nich nie należy.

– Po jakim czasie od zasadzenia można zbierać lawendę?

– Po dwóch latach. Chociaż najlepsze krzewy są trzyletnie.

– A ile wody lawendowej można wyprodukować z tutejszych zbiorów?

– Och, kilkanaście tysięcy galonów.

– Czy to nie zdumiewające, dziadku?

– Co? Dziadku? Przecież ty nawet nie wiesz, kim był twój dziadek!

Sugar wyciąga szyję, upewniając się, że dziewczyny dźwigające chrust nie mogą jej usłyszeć.

– Ściągniesz na nas nieszczęście – strofuje wściekłym szeptem pułkownika Leeka, szarpiąc ostrzegawczo za rączki jego wózka. – Miałabym mniej kłopotów z ulicznym żebrakiem.

Starzec obnaża zęby w uśmiechu i kręci okropną głową, strząsając z niej chustę.

– I co z tego? – szydzi. – Fortele i wybiegi zawsze się źle kończą. Przebieranki! Wytworny strój! Ha! Opowiadałem ci kiedyś o poruczniku Carpie, z którym służyłem podczas ostatniej wojny? – (Pułkownik nie ma jednak na myśli wojny przeciw Aszantom ani powstania w Indiach, lecz wojnę krymską). – To był dopiero fortel! Carp przebrał się w kobiecy płaszcz i czepek, żeby przedostać się za linię wroga... Ale wiatr zadarł mu płaszcz na głowę i proszę bardzo, nasz porucznik kuśtyka z dyndającym między nogami muszkietem. Nigdy nie widziałem człowieka, którego naszpikowano by tyłoma kulami. Ha! Fortele!

Wskutek tej tyrady na polu wokoło podnosi się kilka ludzkich głów.

– To bardzo interesująca anegdota, panie – komentuje chłodno William.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Williamie – mówi Sugar. – Zaraz zaśnie. Zawsze śpi po południu.

Pułkownik Leek porusza ze złości szczeniastymi szczękami.

– To było dziesięć lat temu, ulicznico, kiedy chorowałem! Dzisiaj czuję się lepiej!

Sugar pochyła się nisko nad pułkownikiem, wpija palce w cienkiej rękawiczce w jego prawe ramię, a drugą ręką delikatnie gładzi go po lewym.

– Whisssky – mówi mu śpiwnie do ucha. – Whisssky.

Kilka minut później, kiedy pułkownik Leek bezwładnie póleży na wózku, chrapiąc, William Rackham i Sugar przystają w cieniu dębu, by z oddalenia przyjrzeć się pracy na polach. Twarz dziewczyny pokrywa rumieniec, nie tylko dlatego, że nie przywykła do fizycznego wysiłku, jakiego wymaga pchanie inwalidzkiego wózka – poza tym bowiem czuje się bardzo szczęśliwa. Przez całe życie uważała się za osobę stworzoną do życia w mieście i sądziła, że wieś (którą wyobrażała sobie jedynie na podstawie jednobarwnych rycin i romantycznej poezji) nie ma jej nic do zaoferowania. Teraz jednak odrzuca to mniemanie w radosnym uniesieniu. Musi uczynić wszystko, by nie była to ostatnia przechadzka pod tym wspaniałym, błękitnym niebem, po miękkiej, porośniętej zielenią ziemi. Chce jak najczęściej oddychać tutejszym powietrzem.

– Och, Williamie – mówi. – Czy zabierzesz mnie tu jeszcze kiedyś, na to wielkie ognisko?

– Oczywiście, że tak – mówi William, bo widzi przed sobą twarz jaśniejącą ze szczęścia i wie, że to on jest jego sprawcą.

– Obiecujesz?

– Tak, dam ci moje słowo.

Sugar odwraca się z zadowoleniem na północny wschód: daleko, bardzo daleko, widać welon deszczu, z którego wyłania się tęcza. William przygląda się dziewczynie z tyłu, osłaniając oczy przed słońcem. Długie spódnice sukni jego kochanki szeleszczą łagodnie na wietrze, a kiedy Sugar podnosi rękę, żeby osłonić twarz, pod obcisłą tkaniną rysują się jej łopatki. Nagle William przypomina sobie, co zazwyczaj czuje, gdy dotyka piersi Sugar; wspomina kościste biodra dziewczyny, które pozostawiają sińce na jego miękkim brzuchu, i podniecający dotyk jej szorstkich, splekanych rąk na jego członku. Wspomina bujność włosów, rozsypujących się na jej nagim ciele, i tygrysie kompozycje na skórze Sugar, przypominające graficzne instrukcje, które wskazują palcom Williama, gdzie ma ją podtrzymać, kiedy w nią wchodzi, w pasie czy za pośladki. Pragnie ją teraz objąć; żałuje, że nie może kazać ludziom zejść z pól na dwa kwadransy, by kochać się z nią na trawie. Dlaczego nie przyjeżdżał do niej co noc? Czy jest mężczyzna godny tego miana, który nie chciałby mieć tak prześlicznego ciała jak najczęściej przy sobie? Tak, tak będzie, w przyszłości musi ją odwiedzać znacznie częściej – ale nie dzisiaj; dzisiaj ma mnóstwo roboty. Sugar odwraca się. W jej oczach widać łzy.

Powrotna podróż do Londynu w wynajętej karecie ciągnie się długo jak kara czyścowa, a deszcz, tak jeszcze odległy, kiedy Sugar bawiła na plantacji Rackhama, wychodzi im na spotkanie i bębni teraz o dach. Ze względu na złe warunki jazdy kareta zwalnia, a poza tym zatrzymuje się na tajemnicze postoje w różnych wioskach i siołach, gdzie woźnica wysiada i znika na dwie, pięć albo dziesięć minut. Wróciwszy, majstruje przy uprzęży, wyciera spocone konie, sprawdza, czy wózek inwalidzki starca stoi wciąż bezpiecznie na dachu, pod przytulnym, brezentowym przykryciem, i z niewiadomych przyczyn trzęsie podwoziem, a wraz z nim całą kabiną. Nie spieszy mu się.

Tymczasem wewnątrz Sugar dygocze z zimna i zaciska zęby, żeby przestały dzwonić. Wciąż jest tylko w lawendowej sukni, nie ma nawet szala. Wiedziała, że będzie dziś wozic pułkownika Leeka, i chciała zrobić cudne wrażenie na Williamie, nie włożyła więc na siebie nic więcej; dlatego cierpi teraz z braku ciepłego odzienia. Ostatnia rzecz, jakiej pragnie, to przytulić się do starca, żeby ją ogrzał; pułkownik cuchnie, a ponieważ nie mógłby oprzeć się na poręczach swego wózka, zapewne osunąłby się jej na kolana.

– Podczas rześkiej ulewy zawala się most w Hawick w roku 1867 – cedzi starzec w dzielącą ich chłodną, ciemniejszą przestrzeń. – Trzy ofiary śmiertelne, nie licząc inwentarza.

Sugar oplata swe ciało ramionami i wygląda przez zachłapanie błockiem i deszczem okno. Wiejski krajobraz, który wydawał się jej tak kolorowy i cudowny, kiedy przechadzała się u boku Williama po plantacji lawendy, zszarzał teraz, opustoszał i przypomina sto mil kwadratowych zaniedbanego Hyde Parku, w którym nie ma ani latarni, ani wesołych spacerowiczów. Kareta powoli toczy się naprzód ku zagubionej metropolii.

– Bee! – beka pułkownik Leek, a w kwaśnym powietrzu rozchodzi się niemiła woń whisky i soków żołądkowych.

Podróż pociągami byłaby o niebo szybsza, nie wspominając o tym (choć William wspomniał), że znacznie tańsza, ale kaleki starzec przysparzałby im nieustannych kłopotów na każdej stacji po drodze, a poza tym i tak potrzebowaliby powozu, żeby przetransportować go na Charing Cross, i potem znowu w Mitcham, by przewieźć pułkownika na plantację, zdawało się więc, że rozsądniej będzie wynająć karete na cały dzień. Ale tak się tylko wydawało.

– Moim zdaniem najdalej za pół roku on cię wyrzuci na ulicę jak psa – mówi pułkownik Leek.

– Nie pytam cię o zdanie – odparowuje Sugar. (Przebiegły stary łotr: wypuścił strzałę, trafiając w samo sedno jej niepokojów. William Rackham powinien siedzieć teraz obok niej, bawić ją ciekawą rozmową i grzać jej dłonie w swych dłoniach; dlaczego, och, dlaczego nie wracają razem?)

Pułkownik chrząka, żeby oczyścić zapchaną tchawicę przed kolejną tyradą.

– Fauny Gresham, w 1834 roku jest kochanką Ansteya, magnata żeglugowego, zamieszkałą w Mayfair. W roku 1835, porzucona, siedzi już w więzieniu Holloway. Jane Hubble, znana jako Natasza, w 1852 zostaje kochanką lorda Finbara i mieszka w Admiralty House. W roku 1853 jest trupem, unoszącym się w jednym z dopływów Tamizy...

– Oszczędź mi szczegółów, pułkowniku.

– Niiiiikt nikogo nigdy nie oszczędza, nigdy! – odszczekuje starzec. – Oto czego nauczyło mnie długie życie, odkąd chodzę po tej ziemi.

– Gdybyś wciąż mógł chodzić o własnych siłach, starcze, wracalibyśmy pociągiem i byłibyśmy już z powrotem w Londynie.

Zapada cisza, w której zniewaga dociera powoli do świadomości pułkownika.

– Podziwiał widoki, ulicznico – mówi szyderczo starzec, wskazując przypominającą gargulec głową zalewane potokami deszczu okno. – Miła odmiana dla oka, co? Wspaniałały widok.

Sugar odwraca wzrok od pułkownika i jeszcze ciaśniej obejmuje się ramionami. William dba i troszczy się o nią, tak, na pewno. Powiedział nawet, że ją kocha... Był wtedy wprawdzie pijany, ale nie jak bela. No i pozwolił jej pojechać na plantację, choć wytrzeźwiawszy, mógł oświadczyć, że uważa sprawę za niebyłą. Co więcej, obiecał, że pozwoli jej tu jeszcze przyjechać, pod koniec października, czyli... za niecałe siedem miesięcy.

Próbuje pocieszać się, że Rackham zatrudnia wielu pracowników, przywykł już więc do tego, iż z jego osobistego konta wypływają co tydzień znaczne kwoty – a zatem koszty utrzymania Sugar nie stanowią dla niego specjalnego i znaczącego wydatku. Sugar musi zaś myśleć o sobie nie jak o utrzymaniu, ale raczej jak o fragmencie tkanego przez pokolenia wielkiego gobelinu zysków i strat. Powinna teraz tylko poprowadzić sama przędzę i na zawsze, nieusuwalnie, wpleść w ów gobelin swoją postać. Zrobiła już na tym polu niebywale postępy: pomyśl tylko – zaledwie przed miesiącem była jeszcze pospolitą prostytutką! Więc za pół roku, kto wie...

– To gaduła – gdera pułkownik Leek pod gęstwą chust i szali. – I tchórz. Niegodziwiec.

– Kto? – pyta z irytacją Sugar, która chciałaby być tak szczelnie opatulona jak on, nie pragnie jednak ciepła za cenę cuchnących dodatkowych atrakcji.

– Ten twój perfumiarz.

– Nie jest gorszy od innych – replikuje Sugar. – Ma lepsze serce niż ty.

– A gównu – chichocze stary wiarus. – Myśli tylko o tym, jakby posadzić ten swój tłusty zad na szczycie drabiny społecznej, i kocha wyłącznie siebie. Naprawdę nie widzisz, że gotów jest mordować, żeby osiągnąć awans towarzyski? Pchnąłby cię w kałużę błota i przeszedłby po tobie, żeby nie zabrudzić sobie butów.

– Nic o nim nie wiesz – ucina Sugar. – Co ktoś taki jak ty rozumie z jego świata?

Rozwścieczony pułkownik aż podskakuje i Sugar boi się, że starzec zaraz runie głową na podłogę.

– Nie zawsze byłem poborcą burdelowym, łózkowa szcurzyco – rzezi. – Przeżyłem więcej, niż sobie wyobrazasz!

– No, dobrze, przepraszam – mówi pospiesznie Sugar. – Masz, napij się jeszcze. – Podaje mu butelkę whisky.

– Mam dość – stęka pułkownik i z powrotem wsuwa się pod stos dzianiny. Sugar przygląda się flaszce, której zawartość chlupocze i połyskuje w rozedrganym półmroku.

– Prawie nic nie wypileś.

– Łyczek wystarczy na długo – mruczy starzec, jakby przygaszony po wybuchu gniewu. – Sama się napij, to się przestanieś trząść.

Dziewczyna przypomina sobie, jak pułkownik wysysa whisky z butelki, a jego bezzębne usta zamykają się wokół gładkiej, przezroczystej szyjki.

– Nie, dziękuję.

– Wytarłem szyjkę.

– Fuj! – Sugar wzdryga się bezradnie.

– Tak jest, ulicznico – drwi pułkownik. – Ty przecież nie weźmiesz do ust żadnego paskudztwa!

Sugar ostro jęczy z irytacji – co do złudzenia przypomina odgłos, jaki wydaje w ekstazie – i mocno splata ręce na piersiach. Zaciska usta, by stłumić szczykanie zębów, i liczy do dwudziestu; potem, wciąż jeszcze wzburzona, odlicza kolejne miesiące. Poznała Williama Rackhama w listopadzie; a teraz, w kwietniu, została jego kochanką, ma własne mieszkanie i tyle pieniędzy, że może sobie kupić wszystko, co zechce. Kwiecień, maj, czerwiec... Dlaczego nie ma go tu obok niej, w karcie? Nie chce kupić nic z wyjątkiem jego nieustającego pożądanego...

Pułkownik Leek zaczyna głośno chrapać, stając się jakby ohydny uosobieniem wszystkich dźwięków i odoru St Giles. Nie może tam wrócić, nigdy. Ale co będzie, jeśli Rackham się nią znudzi? Kiedy odwiedził ją ostatnio zaledwie kilka dni temu (po trzydniowej rozłące), ich zbliżenie było tak pospieszne, że William nie zadał sobie nawet trudu, aby ją rozebrać. („Za godzinę oczekuję mnie u adwokata – wyjaśnił. – Mówiłaś, że ten Grinling wydaje ci się krętaczem, i na Boga, okazuje się, że miałaś słuszość”). A wcześniej? Był w bardzo szczególnym nastroju! Zapytał jakoś dziwnie, czy podoba jej się wystrój mieszkania, zachęcał, żeby powiedziała prawdę, a kiedy przyznała, że łabędź na kominku nie przypadł jej do gustu, William beztrudnie złamał ptakowi porcelanową szyję. Sugar śmiała się razem z nim, ale jaką on prowadzi grę, u licha? Czy pozwala jej na większą szczerą, czy może chciał raczej dać do zrozumienia, że jest człowiekiem, który z radością skręci kark każdemu, kto przestanie być mu potrzebny?

Mieszkanie w Marylebone, do którego kareta wiezie ją tak strasznie powoli, powinno jarzyć się w jej zniecierpliwionej wyobraźni niczym oświetlona ogniem przystań, ale Sugar widzi je inaczej – jako martwy apartament, który czeka, aż ożywi go rozmowa i żar namiętych uścisków. Kiedy jest sama, krząta się w ciszy, często myje włosy, zmusza się do studiowania książek, które pozostawiają ją uczuciowo doskonale obojętną, i czuje, że otacza ją świetlista mgiełka niepokoju. Może powtarzać na głos: „To moje”, tyle razy i tak głośno, jak chce, nikt jednak jej nie odpowie.

Przywieziono wreszcie skrzynie z jej rzeczami, ale Sugar już w większości wyrzuciła je na śmietnik – jak książki, których nigdy nie przeczyta po raz drugi, albo broszury z zapiskami na marginesach, które wzburzyłyby Williama, gdyby je kiedyś przeczytał. Po co przyciągać rybiki (fuj!), przechowując te książki w komodach i szafach, skoro są jak bomba, mogąca w każdej chwili wybuchnąć jej w twarz? Wystarczy, że musi się martwić, by William nie znalazł jej powieści. Kiedy wychodzi, niepokoi się, czy Rackham nie przyjdzie pod jej nieobecność i nie przetrząśnie wszystkich szuflad i schowków. Wybiega na ulicę tylko wtedy, gdy już mdli ją z głodu i czuje, że jeśli będzie czekać dłużej, zagłodzi się na śmierć. W hotelach i restauracjach, w których spożywa posiłki, kelnerzy obsługują ją w milczeniu, jak gdyby cierpliwie czekając chwili, kiedy zniknie im z oczu raz na zawsze.

Gdyby tylko umiała sobie przypomnieć, ile dokładnie kieliszków brandy wypił William, gdy mówił, że ją kocha!

– Chrrr-hmm – chrząka pułkownik Leek, drżący konwulsyjnie w snach sprzed wielu lat. – Gadaj prawdę, człowieku!... Co z moimi nogami? Będę kulał, tak?... Będę chodzić o lasce, to chcesz powiedzieć? Chrrr... Gadaj, niech cię szlag... uff... uff... Gadaj.

Rankiem deszcz ustaje i biją kościelne dzwony. Henry Rackham budzi się z koszmarnych snów o erotycznym upokorzeniu. Leży na wpeł odkryty w zmiętej pościeli, w promieniach słońca, cały w kremowożółtym blasku lejącym się przez okno. Bóg mimo wszystko sprawił cudny dzień; boskiego imperatywu wiecznego odrodzenia nie niweczy zło, jakie mogło się załęgnać w godzinie ciemności. Bóg nigdy nie traci nadziei, pomimo podłości człowieka...

Henry wyplątuje się z pościeli, zbrukanej tą samą substancją, która plami jego koszulę nocną. Rozbiera się do naga, jak zawsze wstrząśnięty zwierzęcością swojego obnażonego ciała, jest bowiem wyjątkowo gęsto owłosiony, a włosy na ciele ma ciemniejsze i bardziej kędzierzawe niż delikatne, jasne loki na głowie. Henry wie, że włosy rosną człowiekowi wskutek grzechu nieczystości. Adam i Ewa w raju nie byli owłosieni, bezwłose są także idealnie proporcjonalne ciała bohaterów antycznych i akty, które dopuszcza sztuka nowoczesna. Gdyby Henry kiedykolwiek znalazł się w otoczeniu rozebranych mężczyzn, jego przywodząca na myśl małpę postać wskazywałaby na niego jako nałogowego onanistę, który wkrótce zmieni się w dziką bestię. W herezji Darwina tkwi jednak ziarno prawdy: bo chociaż rodzaj ludzki nie pochodzi od zwierząt, to człowiek może się stoczyć do poziomu dzikusa.

Kiedy Henry wlecze się do łazienki, dzwony wciąż biją. Ceremonia pogrzebowa? Na pewno nie ślub, na to jest za wcześnie. Pewnego dnia dzwony zabiją dla niego... Czy będzie na to gotowy?

Obmywa się gąbką zmoczoną w zimnej wodzie: takie ciało jak jego nie zasługuje na luksus. Z biegiem lat owłosienie na ciele Henry'ego zgęstniało, a zmoczone wodą, tworzy przylegające do

brzucha i ud desenie, przypominające gotyckie ornamenty. Nabrzmiały penis zwisa ohydnie na podobieństwo gadziego łba, a jądra, które Henry obmywa, przelewają się irytująco i ani trochę nie są skurczone, i gładkie niczym muszle, jak narządy płciowe postaci ze starożytnych rzeźb.

Bodley i Ashwell zapewniali go, że wyuzdane kobiety też bywają mocno owłosione – być może więc dzięki dawnym kolegom uniwersyteckim w snach Henry’ego występują tak często kosmate nimfy. Czy może jednak obwiniać Bodleya i Ashwella o to, że śni o rozwiątej niczym sukub pani Fox, która ze śmiechem ujmuje jego członek i wprowadza go sobie między nogi, pomagając mu prześliznąć się przez ciepłe, wilgotne futro...?

Och, chciałbym wreszcie dorosnąć, rozpacza Henry, bo nawet w takiej chwili jego członek unosi się pod wpływem podniecenia. *Który mężczyzna w moim wieku wciąż zachowuje się tak, jak gdyby dopiero wkroczył w wiek dojrzewania? Kiedy, och, kiedy ziści się dla mnie werset 13,11 z Pierwszego Listu do Koryntian? Przyjaciele radzą mi przyjąć święcenia jak najszybciej, abym nie zaczął „za późno”. Ach, Panie, gdyby wiedzieli, że jestem tylko małym chłopcem, uwięzionym w potwornym, plugawym kokonie...*

Częściowo ubrany, nagi już jedynie od pasa w górę, Henry siada ciężko w fotelu przed kominkiem, zmęczony, choć dzień właściwie jeszcze się nie zaczął. Pragnie, by ktoś podał mu filiżankę herbaty i gorące śniadanie, ale... nie, nie może przyjąć służącej. Z łatwością byłoby go na nią stać – ojciec jest znacznie hojniejszy, niż głoszą plotki – ale nie, nie ma mowy o służącej. Pomyśleć tylko: kobieta z krwi i kości w jego domu, kobieta, która sypia z nim pod jednym dachem, rozbiera się przed pójściem do łóżka i kąpie naga w wannie!... Jak gdyby miał mało kłopotów.

– Służące to łaska boska dla każdego dorastającego chłopca – powiedział mu kiedyś Bodley podczas jednego z tych spotkań, których jedynym celem było zmuszanie młodzickiego Henry’ego do ucieczki wśród salw śmiechu jego rówieśników. – Zwłaszcza takie, które przyjeżdżają prosto ze wsi. Są ogorzałe, czyste i świeżutkie.

Kotka Henry’ego wchodzi teraz cicho do pokoju i podejmuje kuriozalne wysiłki w celu nawiązania z nim kontaktu, trykając go łebkiem w tydki niczym koziołek. Resztki mięsa zepsuły się, więc Henry nie ma dla niej nic do jedzenia.

– Nie możesz poczekać? – szepcze, ale bezmyślne zwierzę patrzy na swego pana, jak gdyby był niespełna rozumu.

Jemu też burczy w brzuchu. Może bardzo stara służąca nie stanowiłaby większego zagrożenia? Ale ile powinna mieć lat? Pięćdziesiąt? Czy żona rzeźnika, ta, która odkłada najlepsze okrawki dla jego kotki i zawsze się uśmiecha, nie ma przypadkiem pięćdziesięciu lat? A przecież Henry’emu zdarzało się zastanawiać, jak wygląda nago. Więc ile taka służąca powinna by mieć lat? Siedemdziesiąt?

Spogląda na ogień i swoje stopy w gęsto pocerowanych skarpetach, przypominające oblepione ziemią bulwy. Potem przygląda się obnażonym, splecionym na piersiach ramionom. Widok własnych brodawek nie budzi w nim żadnego zmysłowego zainteresowania – ale niemal identyczne guzki, które wyobraża sobie na piersiach kobiecych, są obdarzone mocą, która zmusza go do masturbacji. Brzydziłby się siebie, gdyby jego piersi miały napełnić się mlekiem – lecz kiedy wyobraża sobie damski biust, jego krągłości stają się bajecznie atrakcyjne. A obrazy wystawiane w Royal Academy? Te wszystkie Magdaleny, starożytne heroiny i święte męczennice? Nie obchodzi go, kogo przedstawia dana postać, byle tylko zobaczyć obnażone kobiece ciało! Tak szczegółowo ogląda obrazy w galerii, że inni zwiedzający mają go zapewne za konesera – choć może doskonale zdają sobie sprawę, że Henry przygląda się piersiom o różowych koniuszkach i perłowym udem. A jednak czemu tak naprawdę się przygląda? Warstwie różowej farby! Warstwie wyschniętej farby olejnej, pociągniętej werniksem. Mimo to potrafi stać przed jednym obrazem kilkanaście minut, pragnąc, aby srebrzysty lok udrapowanej szaty wyslizgnął się spomiędzy kobiecych nóg, bo wtedy mógłby go pochwycić i szarpnąć, odsłaniając... odsłaniając co? Trójkąt płótna? Gotów jest zaryzykować zbawienie nieśmiertelnej duszy dla kawałka martwego płótna! Wszystkie tak zwane tajemnice wiary chrześcijańskiej, zagadki przekraczające zdolność ludzkiego rozumienia, nie są wcale trudne do pojęcia, jeśli człowiek naprawdę wysili umysł, ale to zupełnie co innego!...

Kotka nie daje za wygraną i podnosi rwestes, nauczyła się już bowiem, że to najlepszy sposób oderwania Henry'ego od trosk niezwiązanych z kocim światem. Piętnaście minut później rozpaczliwe miauczenie wypędza jej ubranego, uczesanego i ogolonego pana na ulicę w poszukiwaniu mięsa.

Po powrocie już bardziej nad sobą panuje. Szybki spacer i świeże powietrze dobrze mu zrobiły – ubranie jest wygrzane i okrywa teraz jego ciało niczym druga elegancka skóra, nie zaś źle dopasowana odzież. Ulice i budynki Notting Hill wydały się Henry'emu znajome i niezmiennie, co przypomniało mu, jak mało świat realny podobny jest do amorficznej, płynnej scenerii, w której rozgrywają się jego sny. Krzepiąca moc kamienia pod stopami: oto prawda, nie zaś niematerialne fantazmaty. Najbardziej jednak dodało mu otuchy to, że widział żonę rzeźnika i – dzięki Bogu – nie pożądał jej. Uśmiechnęła się, dała mu okrawki dla kotki i wołowy ozór, a on nie fantazjował, że rozbiera się rozpustnie na jego oczach, odsłaniając godną bogini figurę. Była po prostu żoną rzeźnika; i nikiem więcej.

– Masz, kocieczku – mówi, rzucając zwierzęciu śniadanie na kuchenną posadzkę. – I pozwól mi teraz pomyśleć.

Henry pogrąża się w zadumie, przygotowując omlet, na który przepis zna prawie na pamięć, zerka więc tylko raz do bardzo starego wydania *New System of Domestic Cookery* pióra pani Rundell (to prezent od pani Fox; na obwolucie widać wyblakłe, wykaligrafowane dziecinnie nazwisko *Emmeline Fox*, powyżej zaś dedykację, pisaną ciemnogrnatowym atramentem i znacznie pospolitszym, jak również bardziej wyrobionym charakterem pisma: *Wielce cenionemu przyjacielowi Henry'emu Rackhamowi, na Boże Narodzenie 1874 roku od...*). Henry posypuje ziołami skwierczącą kałużę ubitych trze-paczka jaj, zanim się zbyt zetną, a potem jego uwagę do tego stopnia pochłania zawily podpis młodej pani Fox, że zapomina złożyć w porę omlet i nieco przypala go od spodu. Mimo to potrawa doskonale nadaje się do jedzenia. Londyńska biedota byłaby wdzięczna losowi za znacznie podlejsze jadlo.

– To prosta sprawa, kocieczku – tłumaczy swojemu domownikowi o wielkich jak spodki oczach, zabierając się do jedzenia. – Z małżeństwa między mężczyzną a kobietą rodzi się potomstwo. Tak jest od tysięcy lat. Podobnie rośliny i kwiaty wzrastają po deszczu. To konieczna, boska zasada, nie-mająca absolutnie nic wspólnego z gorączką, pożądaniem i lubieżnymi snami.

Nieprzekonana kotka podnosi na niego wzrok.

– Mężczyzna, który ma w życiu misję do spełnienia, nie powinien poświęcać prokreacji więcej niż chwilę uwagi. – Henry nabija na widelec kawałek jajecznej masy, wsuwa go do ust i zaczyna jeść. – Tak czy inaczej – dodaje, przełykając – jedyna kobieta na świecie, z którą może i chciałbym się ożenić, nie zamierza wychodzić powtórnie za mąż.

Kotka przechyla łebek na bok. – Miau?

Henry z westchnieniem rzuca kawałek omleta pod jej futrzaste łapki.

– Halo! Pastorze!

Chociaż ktoś te słowa wykrzykuje, ledwo słychać głos, albowiem wsysają go i pochłaniają czarne dziury ulicy – ziejące pustką okna, zrujnowane zaułki, popsute drzwi i studnie bez dna. Siwy mężczyzna w nieokreślonym wieku, który już od pewnego czasu obserwuje nadchodzącego Henry'ego, wyłania się z okopconych schodów sutereny niczym powstający z martwych Łazarz. Brudnymi, sękatymi dłońmi chwyta się liny służącej jako poręcz i podejrzliwie mruży oczy podbiegłe krwią, zwieńczone krzaczastymi brwiami.

– Szukasz pan kogoś konkretnie?

– Być może ciebie, panie – odpowiada Henry, zbierając się na odwagę, kiedy podchodzi bliżej, albowiem mężczyzna jest bardzo muskularny i zdjął już wierzchnie okrycie, ma więc swobodę ruchów na wypadek, gdyby miało dojść do bitki. – Ale dlaczego nazywasz mnie „pastorem”?

– Boć wyglądasz jak pastor. – Siwy mężczyzna staje z Henrym pierś w pierś i bierze się pod boki. Jego spodnie są koloru błota. W majaczącej za plecami nieznanego ciemności klatki schodowej szamocze się rozpaczliwie pies, który bezradnie drapie pazurami po kamieniach i spróchniałych deskach, albowiem nie może wydostać się po zbyt stromych stopniach na

powierzchnię, w ślad za swoim panem.

– Niestety, nie jestem pastorem – mówi z żalem Henry. – Wybacz mi śmiałość, panie, wyglądasz jednak na człowieka, który wiele w życiu wycierpiał. Ba, na człowieka, który nadal cierpi. Czy nie byłoby z mojej strony nadużyciem, gdybym poprosił, żebyś mi coś o sobie opowiedział?

Mężczyzna jeszcze bardziej mruży oczy, co zupełnie zmienia układ jego krzaczastych jak bokobrody brwi. Potężną dłonią o zrogowaciałej skórze przylizuje włosy, które rozwiewa mu na czole cuchnący podmuch wiatru.

– Nie jeźdź pan psarzem, co? – pyta.

Henry powtarza w duchu to dziwne słowo, usiłując rozgryźć jego znaczenie.

– Proszę? – musi jednak zapytać nieznanego.

– No, *psarzem* – powtarza tamten. – Takim jegomościem, co to pisze książki o biedakach, których biedacy nie potrafią przeczytać.

– Nie, nie, nie jestem pisarzem – zapewnia go pospiesznie Henry, co chyba zjednuje mu nieco większy szacunek, albowiem mężczyzna cofa się o krok. – Jestem... jestem człowiekiem, który wie zbyt mało o biedakach, jak wszyscy, którzy sami biedy nie zaznali. Może zatem mógłbyś mi powiedzieć, co twoim zdaniem powinienem wiedzieć na ten temat.

Mężczyzna uśmiecha się szeroko, przechyla głowę na bok i drapie się w podbródek.

– Dasz mi pieniędzy, panie? – pyta.

Henry zaciska szczęki; wie, że w tej sytuacji należy zachować stanowczość, albowiem jeśli zostanie kiedyś pastorem, niewątpliwie będzie musiał często odpowiadać na to pytanie.

– Pod warunkiem że najpierw czegoś się o tobie dowiem.

Siwy odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

– Tak, tak! – oświadcza. – Dyc tu masz los bidaka w paru sowach. Takie ludzie jak ty dostajom pieniądze, nawet jak som leniwe albo nikczemne, a takie ludzie jak my muszom se rasować stare portki, zasony wisząc w powybijanych łoknach i hymny śpiwać, jak wam czyścimy buty, żebyście nam dały jaki grosz! – I znów wybucha śmiechem, otwierając usta na tyle szeroko, że Henry przez mgnienie oka widzi jego sine dziąsła.

– Czy nie masz żadnej pracy? – próbuje znów zagadnąć.

Na te słowa mężczyzna poważnieje i mruży powieki raz jeszcze.

– Może i mam – wzrusza ramionami. – A ty?

Henry spodziewa się ataku z tej strony, ale postanawia, że nie da się tak łatwo zapędzić w kozi róg.

– Bierzesz mnie za kogoś, kto nie przepracował ciężko w życiu ani jednego dnia – mówi. – I masz słuszość. Ale ja nic nie poradzę na to, że urodziłem się bogaty, a ty nie możesz nic poradzić, że jesteś biedakiem. Czy mimo to nie moglibyśmy porozmawiać jak człowiek z człowiekiem?

Mężczyzna znowu mocno drapie się w podbródek.

– Zbzikowany dziwak z ciebie, co? – mamrocze.

– Być może – mówi Henry, uśmiechając się po raz pierwszy, odkąd otworzył usta. – Czy teraz powiesz mi, co twoim zdaniem powinienem o tobie wiedzieć?

W ten oto sposób rozpoczyna się inicjacja Henry'ego, który traci religijne dziewictwo, odpowiadając szczerze na głos powołania.

Stoją tak obaj przez godzinę lub dłużej pośród ohydy St Giles, gdzie duszne wyziewy unoszą się do słońca, a z rynsztoków bije odór niczym zapach gotującej się zupy. Od czasu do czasu mijają ich inni mężczyźni, kobiety i psy – niektórzy przechodnie usiłują przyłączyć się do rozmowy, ale siwy mężczyzna wulgarnie przepędza intruzów.

– Tera tożes mię naprawdę rozgrzał, jak trza – wyznaje rozmówca Henry'ego, mamrocząc pod nosem, a potem znów wrzeszczy na kręcących się dokoła „natrętów”, którzy czekają „na swoją kolej, psia ich mać”, by porozmawiać z „pastorem”.

– Ależ ja nie jestem pastorem – zaprzecza Henry za każdym razem, gdy siwy mężczyzna przegania kolejnego gapia.

– Posłuchaj mię, bo właśnie dochodzę do najważniejszego – burczy nieznanomy i peroruje dalej.

Ma bardzo dużo do powiedzenia na różne tematy, Henry wie jednak, że ważne są nie szczegóły, lecz sprawy podstawowe. W większości to, co mówi ten człowiek, można w sumie znaleźć w książkach i broszurach, ale rozwiązania, które w domu, w świetle gabinetowej lampy, wydają się Henry'emu oczywiste, nie mogłyby chyba znaleźć zastosowania na ulicy. On, który uważa prawość za jeden z najważniejszych ideałów, konstataje z niesłychanym zdumieniem, że dla takich ludzi jak ten nieszczęśnik nie ma ona żadnej wartości, występki natomiast wydaje im się nie tylko pociągającym, ale wręcz koniecznym instrumentem w walce o przetrwanie. Najwyraźniej każdy, kto zamierza walczyć o dusze tych ludzi, nie zajdzie daleko, jeśli tego nie zrozumie, Henry jest więc wdzięczny losowi, że pozwolił mu odkryć tę prawdę tak wcześnie.

– Porozmawiamy jeszcze kiedyś, panie – przyrzeka, kiedy mężczyźni zaczyna wreszcie brakować słów i tematu. – Jestem ci wielce zobowiązany za wszystko, czego się od ciebie dowiedziałem. Dziękuję, panie.

Henry uchyla kapelusza, cofa się i opuszcza swojego zaskoczonego informatora.

Dalej na Church Lane Henry zauważa czterech małych chłopców, zbitych w konspiracyjne stadko przy bocznych drzwiach jakiejś piwiarni. Ośmielony sukcesem w rozmowie z siwym mężczyzną, pozdrawia ich wesoło:

– Dzień dobry, chłopcy! Co tu porabiacie? – Reakcja wyrostków rozczarowuje go jednak; chłopcy pierzchają w popłochu jak szczury.

Potem spostrzega kobietę, która nadchodzi od strony leżących dalej lepszych dzielnic – jest ubrana w suknię koloru terakoty i wygląda, zdaniem Henry'ego, na osobę uczciwą i porządną. Ma spuszczonego wzrok i stąpa ostrożnie po bruku. Idzie uważnie, omijając psie odchody, ale kiedy widzi Henry'ego, unosi spódnicę wyżej – Henry nigdy dotąd nie widział, żeby kobieta podciągała spódnicę tak wysoko, odsłaniając nie tylko noski, ale i zapinane na guziki cholewki butów, a nawet plisowane na łydkach nogawki majtek. Uśmiecha się do niego, jak gdyby pytała: „A jak mam się zachowywać na tej ulicy pełnej paskudztwa?”

Pierwszą myślą Henry'ego jest minąć ją jak najszybciej, potem jednak przypomina sobie, że jeśli chce spełnić swoją misję, nie może lekceważyć podobnych okazji. Bierze głęboki oddech, prostuje ramiona i podchodzi bliżej.

Ledwie otwiera usta, żeby ją powitać, a Sugar już obsypuje go pocałunkami.

– Hola! – śmieje się, kiedy jej wilgotne tego dnia usta wylewnie i gwałtownie skubią go w uszy, powieki oraz szyję. – Czym sobie zasłużyłem na takie pieszczoty?

– Przecież dobrze wiesz – mówi dziewczyna, obejmując go tak mocno, by poczuł ucisk jej dłoni przez ubranie na plecach. – Dzięki tobie wszystko się zmieniło.

William zrzuca z ramion ulster i wiesza go na masywnym, żeliwnym wieszaku, który dostarczono ze sklepu zaledwie wczoraj.

– Masz na myśli to? – drażni się z nią, próbując przesunąć wieszak, który ani drgnie, co przypomina Sugar o poprzednim wątlym i wywrotnym meblu.

– Wiesz, o co mi chodzi – mówi dziewczyna, wycofując się do sypialni. Ma na sobie tę samą zieloną sukienkę, w której przyszła do pubu, kiedy się poznali; pieczołowicie oczyściła ją z pleśni za pomocą zapalek, waty i Uniwersalnego Rozpuszczalnika Rackhama. – Nigdy nie zapomnę dnia, który spędziłam na twojej plantacji lawendy.

– Ja też – mówi William, idąc za nią. – Każdy pamiętałby pułkownika Leeka.

Sugar kuli się ze wstydu.

– Przepraszam, Williamie. Myślałam, że będzie się zachowywał przyzwoicie... Dał mi słowo, że będzie grzeczny, naprawdę. – Przysiada na brzegu łóżka, splata dłonie na kolanach i spuszcza lekko głowę, a wtedy bujna grzywka opada jej na oczy. – Wybaczysz mi? To wszystko dlatego, że znam niewiele mężczyzn.

William siada obok i nakrywa jej splecione ręce swoją szeroką dłonią.

– Ach, pułkownik Leek nie jest gorszy niż niejeden z tych beznadziejnych pijaków, z którymi muszę prowadzić interesy. Świat roi się od odrażających nikczemników.

– W dzieciństwie zastępował mi dziadka, którego nigdy nie miałam – zauważa ze smutkiem

Sugar. Czy to właściwy moment, by wzbudzić w nim współczucie? Zerka na bok, chcąc sprawdzić, czy strzała nie chybiła celu, ale na twarzy Williama, który mocniej zaciska teraz dłoń na jej rękach, maluje się współczucie, i Sugar już wie, że poruszyła jego serce.

– Twoje dzieciństwo musiało być piekłem na ziemi.

Dziewczyna kiwa głową i wcale nie musi się starać, żeby z jej oczu spłynęły prawdziwe łzy. Ale co będzie, jeśli William należy do tych mężczyzn, którzy nie mogą znieść widoku płaczącej kobiety? Czy nie pomyśli, że Sugar udaje? Coś pękło w jej piersi, gdzie zapadają tego rodzaju decyzje; zawiódł zawór bezpieczeństwa, dziewczyna traci panowanie nad sobą i pozwala unieść się fali niekontrolowanego wzruszenia.

– St Giles cieszy się fatalną opinią – zauważa William.

– Kiedyś było tutaj jeszcze gorzej – odpowiada Sugar. – Zanim New Oxford Street nie przecięła tej dzielnicy na pół. – Z niewiadomego powodu to, co mówi, wydaje się jej niebywale śmieszne, parska więc śmiechem, aż obsmarkuje sobie czubek nosa. Co się z nią dzieje, u licha? Wzbudzi w nim obrzydzenie... Ale nie, William podaje jej chusteczkę; wyciąga z kieszonki wielką, ozdobioną monogramem kwadratową płachtę białego jedwabiu, którą podsuwa dziewczynie, by wytarła nos.

– Czy masz... masz jakieś rodzeństwo? – pyta nieśmiało.

Sugar potrząsa przecząco głową, kryje twarz w miękkiej chusteczce i odzyskuje panowanie nad sobą.

– Jestem jedynaczką – mówi z nadzieją, że łzy całkiem nie zmyły delikatnego, brązowego tuszu, którym podkreśla kolor swoich blado-pomarańczowych rzęs. – A ty?

– Ja?

– Nie masz siostry?

– Nie – odpowiada z widocznym żalem William. – Mój ojciec ożenił się późno i wcześniej stracił żonę.

– Stracił?

– Zhańbiła go i ojciec ją odprawił.

Odzyskawszy panowanie nad sobą, Sugar opiera się pokusie, żeby głębiej wściubiać nos w tę sprawę, dochodzi bowiem do wniosku, że uzyska odpowiedzi na większą liczbę pytań, jeśli nie będzie nazbyt dociekliwa.

– Jakie to smutne – mówi. – A twoja żona, Agnes, ma liczną rodzinę?

– Nie – odpowiada William. – Jeszcze mniej liczną niż moja. Jej ojciec zszedł z tego świata, gdy była dzieckiem, a matka umarła, kiedy Agnes ukończyła szkołę. Jej ojczym jest lordem: mieszka za granicą, często podróżuje i ożenił się niedawno z jakąś damą, której nigdy nie widziałem na oczy. A jeżeli chodzi o rodzeństwo, to Agnes mogłaby mieć trzy albo cztery siostry, ale wszystkie zmarły w niemowlęctwie. Niewiele brakowało, aby i ona umarła.

– Może dlatego jest tak słabego zdrowia?

W oczach Williama pojawia się ból, słyszy bowiem w myślach chrapliwy, pełen obłąkańczej nienawiści głos Agnes: „Brzydzę się tobą!”.

– Może – wzdycha.

Sugar gładzi dłoń Rackhama, wsuwa palce pod mankiety jego koszuli i wciska szorstkie opuszki w nadgarstki kochanka, wie bowiem, że to go podnieca, kiedy znajduje się w odpowiednim nastroju.

– Mam za to brata – dodaje z ożywieniem William.

– Brata? Naprawdę? – pyta dziewczyna takim tonem, jak gdyby posiadanie rodzeństwa czyniło Rackhama osobą niestęchanie mądrą i przedsiębiorczą. – A jakim on jest człowiekiem?

William kładzie się na łóżku i wbija wzrok w sufit. – Jakim jest człowiekiem? – powtarza niby echo, kiedy Sugar opiera się głową o jego pierś. – Oto jest pytanie...

– Witaj, panie – woła prostytutka, życzliwie, ale bezceremonialnie, jak gdyby chciała mu się przypocholebić, lecz jednocześnie sprawić wrażenie, że nie obrazi się, jeśli jej odmówi. – Chcesz mieć miłą panienkę? Niedrogo?

Jest ładna i o wiele bardziej zadbana niż tamta piegowata dziewczyna, która przed kilkoma

tygodniami powiedziała Henry'emu na tej samej ulicy, że odda mu swoją rękę za szylinga. Jednak Henry ku swojej ogromnej uldze nie reaguje na zachowanie tej małej, urodziwej kusicielki inaczej niż na słowa jej obdarłej koleżanki po fachu; odczuwa jedynie litość. Tęsknoty, które go nawiedzają, kiedy kroczy przy pani Fox, opuszczają Henry'ego i odlatują daleko; teraz chce po prostu wypaść jak najlepiej i dowiedzieć się od tej nieszczęśnicy tyle, ile dowiedział się od swego mężczyzny.

– Chciałbym... tylko z tobą porozmawiać – zapewnia. – Jestem dżentelmenem.

– Och, to dobrze, panie – zauważa dziewczyna. – Nie gadam z takimi, co nie som dżentelmenami. Ale pogadajmy u mnie w domu. Chodźże ze mną, panie, to całkiem niedaleko. – Mówi z gminnym akcentem, chociaż nie gwarą londyńską; może być uwiedzioną pokojówką z wiejskiej posiadłości albo ofiarą innych konsekwencji życia na prowincji.

– Nie, zostań – powstrzymuje ją Henry. – Mówiłem serio, chcę tylko porozmawiać.

Nieufność, nieobecna na twarzy dziewczyny, gdy traktowała go jako współnika przestępstwa, teraz marszczy jej czoło.

– Och, nie jestem zbyt dobrą rozmówczynią, panie – odpowiada, zerkając za siebie. – Nie zatrzymuję cię.

– Nie, nie – protestuje Henry, domyślając się przyczyn tej niechęci. – Zapłacę ci za czas, jaki mi poświęcisz. Tyle, ile zawsze bierzesz od klientów.

Prostytutka przechyla głowę pytająco, jak dziecko dość już dojrzałe, by wiedzieć, że dana mu obietnica nie zostanie spełniona.

– No to szylinga proszę – proponuje dziewczyna, a Henry bez wahania wsuwa rękę do kieszonki kamizelki i daje jej nie jednego, ale dwa szylingi.

– Pójdźże więc, panie – mówi dziewczyna, ściskając monety w swojej drobnej dłoni. – Zaprowadzę cię gdzieś, gdzie se będziemy gadać, ile dusza zapragnie.

– Nie, nie – oponuje Henry. – Rozmawiać możemy tutaj, na ulicy. Dziewczyna śmieje się gardłowo, nie zakrywając ust. (Pani Fox ma słuszność: upadłą kobietę można rozpoznać z łatwością).

– Doskonale, panie. A co chcesz usłyszeć?

Henry oddycha głęboko. Zdaje sobie sprawę, że dziewczyna uważa go za głupca, dlatego modli się o łaskę, która pozwoli mu nie popełnić głupstwa. Prostytutka splata ręce na plecach, niewątpliwie po to, aby lepiej wyeksponować swe ciało. Jest piersiasta, ale szczupła w talii, i do złudzenia przypomina kobiety, których wizerunki wykorzystuje się w reklamach pasty do butów albo choćby perfum jego brata. Jednakże dla Henry'ego ta dziewczyna jest tylko zmierzającą na zatracenie nieszczęśnicą i nikim innym. Serce mocno bije mu w piersi, ale jedynie ze strachu, że nieznajoma użyje swego ślicznego języczka, by wydrwić jego wiarę albo dobrą wolę, a potem odejdzie z pogardliwą miną i pozostawi go, z jego jękaniem, samego na ulicy. Poza tym, że czuje bicie swego serca, jest jakby pozbawiony powłoki cielesnej, jak gdyby był słupem dymu albo jak gdyby jego ciało było tylko piedestałem duszy.

– Jesteś... prostytutką – upewnia się w domysłach.

– Tak, panie. – Dziewczyna mocniej zaciska dłonie na plecach, prostując się niby odpytywana uczennica.

– A kiedy straciłaś cnotę?

– Jak miałam szesnaście lat, panie, z moim mężem.

– Z mężem, powiadasz? – pyta Henry, wzruszony jej nieznajomością nauk moralnych. – A zatem wcale nie straciłaś cnoty!

Prostytutka, wciąż się uśmiechając, potrząsa przecząco głową.

– Ja mu nie byłam wtenczas poślubiona. Pobraliśmy się w hańbie, jak to mówią.

Czy ona z niego kpi? Henry zaciska szczęki, chcąc jej pokazać, że wie już to i owo o prostytutce.

– Odeszłaś później od niego? – pyta. – Czy on cię porzucił?

– Można powiedzieć, że mnie porzucił, panie. Umarł.

– A co sprawia, że prowadzisz życie prostytutki? Złe towarzystwo? To, że społeczeństwo zamknęło przed tobą drzwi? Czy... pożądanie?

– Pożądanie, panie, jak najbardziej – odpowiada dziewczyna. – Pożądanie jedzenia. Jak mija dzień i nic nie zjem, to go pożadam, panie. Jedzenia, znaczy się. – Wzrusza ramionami i najpierw wydyma, a potem oblizuje usta. – Słaba jeźdem.

Henry oblewa się rumieńcem: niegłupia z niej kobieta, może nawet jest sprytniejsza niż on. Jaka przyszłość czeka duchownego, który okaże się mniej bystry od swoich parafian? (Pani Fox zapewnia go, że jest inteligentnym mężczyzną i że byłby z niego wspaniały pastor, ale ona po prostu chce być dla niego miła i przesadza...) Bo nie ma wątpliwości, że aby człowiek o tak przeciętnej umysłowości jak Henry mógł się okazać dobrym pasterzem parafii, Bóg powinien mu nie szczędzić wyjątkowej czystości ducha, nieziemskiej prostoty...

– Skończyłeś już ze mną, panie?

– Och... nie! – Henry wzdryga się i znowu patrzy w oczy prostytutki, oczy, które (jak zauważa nagle) są koloru oczu pani Fox i do złudzenia przypominają je również kształtem. Odchrząkuje, po czym pyta: – Czy porzuciłabyś dotychczasowe życie, gdybyś miała pracę?

– Ja przecież pracuję, panie – uśmiecha się szeroko dziewczyna. – Ciężko pracuję.

– No, tak... – zgadza się Henry. – Nie... – oponuje po chwili. – Ale... – Marszczy czoło, oniemiały. Ten stary cynik, MacLeish (jak sobie teraz przypomina), mówił mu kiedyś o daremności wszelkich dyskusji z biedakami. „Wbrew temu, co sądzicie, nie potrzeba im więcej wykształcenia. I tak potrafią wyprowadzić w pole filozofa i posługiwać się cyrkowymi sztuczkami logicznymi. Są dla nas o wiele za sprytni!” Ale pani Fox zbiła wtedy jego argument, tak jest... Co ona takiego wtedy powiedziała?

Prostytutka przechyla głowę na bok i przysuwa się do Henry’ego, próbując przebić wzrokiem rozmarzony blask jego zapatrzonych w dal oczu. Figlarnie macha do niego drobną rączką, jak gdyby stała na dalekim brzegu.

– Dziwak z ciebie, co, panie? – mówi. – Święty młodzianek. Podobasz mi się.

Henry czuje, że krew znowu uderza mu do głowy, a policzki zalewa rumieniec znacznie bardziej ognisty niż poprzednio. Pulsuje mu cała twarz, nawet koniuszki uszu, wygląda z pewnością jak skończony osioł!

– Zna... znam pewnego człowieka – jąka się Henry – który prowadzi własną firmę. To wielkie przedsiębiorstwo, ciągle się rozrasta. Mów... mógłbym się postarać... – (Bo czyż William nie wspominał, że potrzebuje nowych pracowników, i to szybko?) – ...jestem pewien, że mógłbym ci się wystarać o pracę u niego.

Ku jego zdumieniu uśmiech znika z twarzy dziewczyny. Po raz pierwszy, odkąd się spotkali, prostytutka przybiera pogardliwą minę. Henry nagle zaczyna się jej bać; jak każdy mężczyzna boi się utracić iskierkę uznania w oczach kobiety; po prostu boi się, że ona odejdzie. Pragnie przekazać dziewczynie dobrą nowinę boskiej wielkoduszności, jaką Pan okazuje człowiekowi w potrzebie, i natchnąć ją świadectwem wiary, która potrafi rozświetlić nawet najbardziej ponurą niedolę. To pragnienie zapiera mu dech w piersi, wie jednak, że w tym wypadku słowa nie wystarczą, zwłaszcza tak słabe. Ach, gdyby potrafił obdarzyć ją łaską Boga przez dotyk i pobudzić dziewczynę do nowego życia!

– O jaką pracę chodzi? – dopytuje się prostytutka. – We fabryce?

– No... tak, chyba tak.

– Panie – oświadcza wzburzona dziewczyna. – Robiłam już we fabryce i wiem, że coby dostać takie dwa szylingi – (unosi monety, które dał jej Henry) – musiałabym tyrać przez cały dzień, ryzykować życie, zginać grzbiet w smrodzie bez chwili wytchnienia i prawie w ogóle nie spać.

– Ale nie zostałabyś potępiona! – wypala zdesperowany Henry. Kiedy tylko wymawia jednak słowo „potępiona”, sam niejako wymierza sobie karę, prostytutka odwraca bowiem wzrok i z irytacją wsuwa monety w szparę kieszeni spódnicy, najwyraźniej uznawszy, że poświęciła mu już tyle czasu, na ile zasłużył. Wbijają wzrok w domy po drugiej stronie ulicy i zauważa:

– Pastorskie sztuczki, panie, to tylko pastorskie sztuczki. – Znowu przygląda mu się podejrzliwie. – Boś ty jezd pastor, no nie?

– Nie.

– Nie wierzę ci – pociąga nosem dziewczyna.

– Naprawdę nie jestem pastorem – zapewnia błagalnie Henry, przypominając sobie św. Piotra i pianie kura.

– No to powinieneś nim zostać – mówi prostytutka, wyciągając rękę, by delikatnie dotknąć ciasno zawiązanego krawata Henry’ego, jak gdyby koniuszki jej palców mogły w jakiś czarodziejski sposób przemienić go w koloratkę.

– Niech ci Bóg błogosławi! – woła Henry.

Zapada chwila ciszy, w której jego okrzyk zawisa w powietrzu, a potem dziewczyna pochyła się do przodu, opiera ręce na kolanach i zaczyna chichotać. Śmieje się pół minuty albo i dłużej.

– Dziwny człek z ciebie, panie – sapie, a ramiona wciąż trzęsą się jej od śmiechu. – Ale ja muszę już iść...

– Zaczekaj! – błaga ją Henry, a w jego głowie zaczyna roić się od spóźnionych pytań. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby ich jej nie zadał. – Czy wierzysz, że masz duszę?

– Duszę? – z niedowierzaniem powtarza jak echo dziewczyna. – Znaczącego ducha ze skrzydłami, co to niby jeźd we mnie? Hmm... – Otwiera usta i z drwiącą miną wydyma pogardliwie wargi, a potem, zauważywszy żalony wyraz twarzy Henry’ego, powściąga język i łagodnieje. – Pewna jeźdem, że mam wszystko, co i ty, panie – wzdycha. Wygładza sukienkę na brzuchu, przesuwając dłońmi po rysujących się pod tkaniną kształtach. – A teraz muszę już iść. Ostatnie pytanie, szanowni panowie, proszę bardzo!

Henry chwieje się na nogach, przerażony, tkwi bowiem w uścisku zła. Zaledwie przed kilkoma minutami znajdował się w rękach Boga: co dzieje się z nim teraz? Jego opanowanie gdzieś zniknęło i Henry czuje, że miota się jakby w gęstych oparach snu. Oto jego śliczna prostytutka gotowa jest odpowiedzieć na jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Jak zatem powinno ono brzmieć? Przerażony Henry słyszy swój głos:

– Czy jesteś... czy jesteś owłosiona?

Dziewczyna mruga oczami ze zdumienia.

– Owłosiona, panie?

– Na ciebie. – Henry nieokreślonym gestem wskazuje jej stanik i spódnice. – Czy masz na ciele włosy?

– Włosy, panie? – prostytutka szczyrzy zęby w swawolnym uśmiechu. – Oczywiście, tak jak i ty! – Bez namysłu chwyta spódnice i podciąga je wysoko pod biust. Jedną ręką przytrzymuje zadartą suknię, a drugą ściąga długie majtki, odsłaniając ciemny trójkąt owłosionego łona.

Gdzieś na ulicy rozlega się głośny śmiech. Henry przez dłuższą chwilę nie odrywa wzroku od łona prostytutki, a potem zamyka oczy i zwraca się do niej plecami. Został tak wychowany, że właściwie nie potrafi odwrócić się od kobiety, nie zakończywszy najpierw uprzejmie rozmowy, ale mimo to udaje mu się odejść. Czuje, że głowa mu płonie. Rusza ulicą sztywnym, niepewnym krokiem, jak gdyby seks prostytutki utkwiał w jego ciele głęboko niczym miecz.

– Chciałem tylko usłyszeć twoją odpowiedź! – woła chrapliwie przez ramię. Coraz więcej nieuchwytnych, podziemnych głosów Church Lane dołącza do chóralnego śmiechu, chociaż ich właściciele nie wiedzą, z czego się śmieją.

– Na Boga, panie! – odkrzykuje prostytutka. – Coś ci się chyba należało za tego drugiego szylinga!

– No, więc sama widzisz – mówi William, kiedy Sugar gładzi jego porośnięte gęstym futrem piersi. – Henry i ja różnimy się jak dzień i noc. Ale mimo wszystko on nie jest złym człowiekiem. Kto wie? Może jeszcze wszystkich nas zadziwi i będzie kowalem swego losu.

Sugar przerywa pieszczoty rosnącej męskości Williama.

– Chodzi ci o to, że... twój brat mógłby przejąć kontrolę nad Rackham Perfumeries?

– Nie, nie, firma jest moja na zawsze. Nikt już nie może mi jej odebrać – mówi William, choć na myśl o takim zagrożeniu jego erekcja słabnie i dziewczyna musi ją znów podtrzymać. – Nie, miałem na myśli to, że Henry może osiągnąć to... nie wiem, to, czego mógłby życzyć sobie taki mężczyzna jak on... – Rackham postępuje, gdy Sugar go dosiada.

Przekonała się, że to najlepszy sposób postępowania z mężczyzną. Lata kontaktów z licznymi

kochankami nauczyły ją jednego: mężczyzna bezsilny jest nieszczęśliwy, a nieszczęśliwi mężczyźni potrafią być niebezpieczni. Gdy przyjąć ich w ciepłą dziurkę, wraca im jednak animusz. Kiedy wzwód jest słaby, kochanek znajduje się pod wpływem alkoholu, smutek albo zmartwienie ciężą mu na sercu, gdy jego duszą targają wątpliwości, kiedy widzi swoją nagość i wydaje się sobie ohydny albo absurdalny, kiedy ogląda własną męskość i nagle dopada go śmiertelny strach, że może po raz ostatni dźwiga się ona z kępki włosów łonowych – wtedy najlepiej jest pielęgnować jego powstającego członka, aż choć na chwilę zakotłusze się w powietrzu o własnych siłach, a później wsunąć go do przytulnej pochwy. Potem ster przejmie natura.

Nadeszła wiosna i wszyscy, którzy znają Agnes Rackham, nie mogą się nadziwić, że powstała z martwych. Jeszcze niedawno leżała jak trup w dusznym, zaciemnionym pokoju, a teraz, barwnie ubrana, rozjaśnia dom swym śpiewnym, anielskim głosem, przygotowując się do nadchodzącego Sezonu.

– Rozsuń zasłony, Letty! – woła Agnes z każdego pokoju, gdzie się pojawi.

Ćwiczy przez cały dzień: uczy się trzymać prosto, odwracać skromnie, uśmiechać zalotnie i chodzić tak, aby nie było widać, jak stawia kroki. Płynne poruszanie się jest umiejętnością, którą są w stanie opanować jedynie nieliczni przedstawiciele elit towarzyskich.

– Połóż mi książkę na głowie, Claro, i odejdz jak najdalej! – mówi do pokojówki.

Ale Agnes nie trzusi się jedynie w czterech ścianach swojego domu, podejmuje bowiem częste wycieczki na Oxford Street, a także Regent Street, skąd wraca z dużymi i małymi paczkami w biało-różowe paski. Wprawdzie książę Walii bawi wciąż na Riwierze, ale dla Agnes Rackham przyjęcie, które trwa sto dni, już się rozpoczęło. Znowu czuje się nieomal jak debiutantka!

Oczywiście, wszystko to dzięki jej aniołowi stróżowi. Świadomość, że jest na świecie istota, która ją kocha i dobrze jej życzy, dodaje otuchy pani Rackham! Jakaż to ulga wiedzieć, że istnieje ktoś, kto ją naprawdę rozumie! Jej anioł stróż wie, że Agnes ma wyższe powody, by dążyć do sukcesu podczas Sezonu – nie chodzi bowiem o frywolną zachciankę, lecz walkę dobra ze złem. Zło było przyczyną jej choroby i uczyniło wszystko, co w jego mocy, żeby pozbawić ją należnego miejsca w wyższych sferach; ale Agnes wypędza teraz zło ze swojego życia – z pomocą swojej duchowej wybawicielki oraz pewnych maleńkich, różanych pigułek, które podsunęła jej pani Gooch. Są mniejsze od cekinów, a jedna wystarczy aż nadto, żeby usunąć ból głowy!

Wczoraj dostarczono dwa tuziny rękawiczek z koziej skóry. Na początek będzie dość, choć Agnes spodziewa się zużyć ich znacznie więcej, jako że tych głupich rękawiczek nie można prac. („Doprawdy, Claro, nie pojmuję, skąd tyle krzyku na temat ogromnego postępu nauki, skoro my, kobiety, musimy wciąż wyrzucać zużyte artykuły pierwszej potrzeby i kupować nowe”). Jedna nowa para znajduje się już na rozciągaczu, ale pani Rackham wciąż nie może wsunąć w rękawiczki kciuków i nawet talk nic nie pomaga. To absurd! Przecież kciuki jej nie pogrubiały, prawda? Clara zapewnia swą panią, że są szczupłe jak zawsze.

Rękawiczki to tylko jeden z setek problemów, które powinna rozwiązać. Na przykład wkrótce będzie musiała zdecydować, jakich perfum używać w tym Sezonie. W ubiegłych latach unikała perfum Rackhama, obawiając się, że jako chodząca reklama firmy swego teścia stanowić będzie obrazę dobrego smaku. Jednakże pisma kobiece ogłosiły ostatnio jednomyślnie, że prawdziwie wytworna kobieta ogranicza się do *eau de Cologne* i wody lawendowej, a ponieważ te produkty nie różnią się od siebie bez względu na to, od jakiego producenta pochodzą, czy nie mogłaby jednak stosować kosmetyków Rackhama? Ostatecznie tylko ona wiedziałaby, czego używa – to zaś nadałoby jej wyborowi wyłącznie moralny charakter. I jeszcze jedno: czy na Dzień Krokietu w Carcajoux powinna włożyć białą, jedwabną suknię? Nie wiadomo, jaka będzie pogoda, i dlatego Agnes mogłaby ubłocić swą kreację i zamoczyć, ale w białym byłoby jej naprawdę do twarzy; poza tym żadna inna dama nie wystąpiłaby chyba w tym kolorze. Oczywiście, może polecieć pani Le Quire (swojej nowej krawcowej), aby przyszyła do spódnicy *port-jupe*, ale czy w ten sposób rozwiąże problem? Agnes podejrzewa, że trudno byłoby jej grać w krokietu i jednocześnie podciągać rąbek sukni na łańcuszku.

Odwiedziny pani Gooch i jej doskonałe rady na temat lekarstw oraz życzliwych farmaceutów („Ten stary tetryk Gosling palnie ci tylko kazanie, ale inni, jeżeli kobieta słodko zatrzepocze rzęsami, nie robią najmniejszych problemów”) do tego stopnia odmieniły życie Agnes, że postanowiła gościć odtąd jak najwięcej dam. Niech każdy się dowie, że pani Agnes Rackham znowu

„przyjmuje”!

Wyrzuciła wszystkie bilety wizytowe, które przysyłano jej w minionym mrocznym okresie, w czasie choroby i finansowych niepowodzeń. Zastąpiły je nowe wizytówki – od nowych znajomych, którzy przybywają odwiedzić nową Agnes Rackham.

Dzisiaj przyszła pani Amphlett. Kochana kobieta. Pojawiła się między czwartą a piątą, nie zaś trzecią a czwartą, potraktowała więc Agnes nie jak kogoś, kto usiłuje wrócić do towarzystwa po chorobie, lecz jak osobę całkowicie zdrową, zasługującą na zwyczajną, czysto towarzyską wizytę. To bardzo miło z jej strony!

Widzianą przelotnie przed dwoma laty na jakiejś sali balowej panią Amphlett Agnes pamiętała jak przez mgłę, wydała się jej jednak zdumiewająco odmieniona. Wtedy bowiem (mówiąc wprost) pani Amphlett była piegowata i rumiana, dzisiaj natomiast do salonu wkroczyła smukła jak trzcina dama o czystej, bezkrwistej cerze. Oczywiście oszalała z ciekawości Agnes chciała zlekceważyć zasady dobrego wychowania i natychmiast zapytać, jak doszło do owej przemiany, ale w końcu pani Amphlett sama zdradziła jej swoją tajemnicę: po pierwsze, stosuje dietę złożoną z wody, surowej marchwi i kilku łyków zupy ogonowej, po drugie zaś, używa płynu Rowlands' Kalydor i dokonuje drobnego „retuszu” twarzy za pomocą pudru.

– Nigdy bym cię nie poznała, pani! – skomplementowała ją Agnes.

– Jest pani bardzo miła.

– Mówię całkiem szczerze.

(Prawdę rzekłszy, choć pani Amphlett wyglądała ślicznie, Agnes poczuła się odrobinę zmieszana, albowiem ta kochana kobieta wspomniała kilkakrotnie o „dziecku” i „macierzyństwie”, jak gdyby sądziła, że jest to odpowiedni temat konwersacji. Czyżby wróciła do życia towarzyskiego po położeniu nieco za szybko? Agnes długo się nad tym zastanawiała, odrzuciła jednak tę myśl w przypływie wielkoduszności. Nie należy narzekać na kogoś, kto może okazać się sojuszniczką w Sezonie!)

– A ty, pani Rackham, wyglądasz wprost kwitnąco. Jaka jest więc twoja tajemnica?

W odpowiedzi Agnes posłała jej jedynie uśmiech, bo nauczyła się już, że o swoim aniele stróżu nie powinna wspominać nikomu, kogo nie darzy absolutnym zaufaniem.

Teraz pani Rackham stoi przy oknie w sypialni. Pragnie, aby jej anioł stróż objawił się pod drzewami, właśnie tu, przed bramą posiadłości Rackhamów. Aż ją kusi, żeby mu pomachać. Nie ma jednak sensu prosić o cud; cuda zdarzają się wyłącznie wtedy, kiedy Bóg ze zmęczenia przemyka na moment swoje surowe oczy, a Matka Boska wykorzystuje Jego nieuwagę i obdarza człowieka zabronioną łaską. Agnes uważa, że Bóg jest anglikaninem, natomiast Matka Boska wyznaje prawdziwą wiarę – dlatego stosunki między nimi są dosyć kłopotliwe, bo oboje w niczym nie mogą dojść do porozumienia. Wiedzą jednak, że jeśli się rozstaną, w powstałą szczelinę wskoczy radośnie diabeł, dlatego tolerują się wzajemnie i dbają o świat najlepiej, jak potrafią.

Agnes podchodzi do lustra i uważnie przygląda się swojej twarzy. Ma prawie dwadzieścia pięć lat, unosi się więc nad nią widmo starości. Musi starać się ze wszystkich sił, aby chronić ciało przed chorobą i rozkładem, snem nie zdoła bowiem uleczyć wszystkich dolegliwości. Co noc podróżuje do Klasztoru Zdrowia, gdzie niebiańskie siostry dają jej opiekę i ukojenie, ale jeśli pojawia się u ich zwieńczonej bluszczem furty w zbyt opłakanym stanie, kręcą głowami i karzą ją łagodnie. To zaś oznacza, że rano, kiedy się zbudzi, wciąż będzie odczuwać ból.

Teraz też cierpi. Lewym okiem, za którym w głębi czaszki pulsuje krew, dostrzega migotliwy miraż – padający śnieg. Czy to możliwe, by nie zauważyła, że zwraca małą różową pigułkę razem z tym nieszczęsnym rosołem z kurczaka? Może powinna połknąć jeszcze jedną?... Ale jako że nieszczęsny rosół pozostawił w ustach pani Rackham smak goryczki, wolałaby jednak zażyć kordiału Godfrey'a.

Nad prawym okiem Agnes widnieje blizna, ledwo widoczna w półksiężycu złocistej brwi pamiątka z dzieciństwa po pewnym upadku. Pozostanie tam już na zawsze jak nieusuwalna skaza. Jak przerażająco bezbronne jest ciało ludzkie! Pani Rackham marszczy brwi, ale za chwilę znów się rozpogadza, by rysy zmarszczek nie utrwaliły się zbyt na jej czole.

Zamyka oczy i wyobraża sobie, że za jej plecami staje anioł stróż. Dotyka skroni Agnes

chłodnymi, alabastrowo gładkimi dłońmi i masuje ją czule. Eferyczne palce przenikają przez skórę i dalej, do wnętrza czaszki. Są niematerialne, a przecież ich pieszczota jest przyjemna niczym drapanie kojących swędzenie paznokci. Znajdują źródło bólu, ciągną i odrywają z duszy Agnes kęs zła niczym pajęczynę białej błonki z pomarańczy. Agnes przebiega dreszcz rozkoszy, gdy czuje, że oczyszcza się jej naga dusza.

Otwiera oczy i z zaskoczeniem stwierdza, że leży jak długa na podłodze. Patrzy w wirujący wolno sufit i zmartwioną, odwróconą do góry nogami twarz Clary.

– Mam wezwać pomoc, psze pani? – pyta służąca.

– Oczywiście, że nie – mówi Agnes, mrużąc oczy. – Nic mi nie jest.

– Ten doktor Harris jest chyba bardzo miły – podsuwa Clara, mając na myśli lekarza, który cucił panią Rackham, kiedy ostatnio zemdląła. – Nie jak doktor Curlew. Czy mam...?

– Nie, Claro. Pomóż mi wstać.

– Wielce się przejął pani omdleniami – nie ustępuje służąca, podnosząc panią z podłogi.

– Był młody... I jak pamiętam, przystojny – dyszy Agnes, nieco chwiejnie przyjmując pozycję pionową, ponieważ nie opuszczają jej zawroty głowy. – Z pewnością chciałybyś go... znowu zobaczyć, ale nie powinnyśmy chyba marnować jego cennego czasu?

– Chodzi mi wyłącznie o pani zdrowie – upiera się dotknięta do żywego Clara. – Pan Rackham mówił, że mamy go zawiadomić, jakby się pani źle czuła.

Palce Agnes zaciskają się kurczowo na ramieniu służącej niczym szpony.

– Nie wolno ci mówić o tym Williamowi.

– Ale pan Rackham powiedział...

– Pan Rackham nie musi chyba wiedzieć o wszystkim – oświadcza Agnes w płomiennym uniesieniu, wie bowiem, jak jeszcze raz zmusić Clarę, by była jej posłuszna. – Na przykład nie musi wiedzieć, skąd wzięłaś pieniądze na ten gorset. Bardzo ci w nim do twarzy, ale... my, kobiety, mamy prawo do swoich tajemnic, czy tak?

Clara blednie.

– Tak, psze pani.

– A teraz bądź tak miła i przynieś mi kordiał Godfrey'a – wzdycha Agnes.

Łagodne powiewy, wciskające się przez okno jak rozbawione i dokuczliwe duchy dzieci, szeleszczą rękopisem powieści Sugar. Już dawno odłożyła pióro, ale wiatr szarpie leżącą na wierzchu kartkę i usiłuje nadziać ją na ciemny od atramentu czubek stalówki, wypisującej iście eoliczną zawieruchę nonsensu. Sugar tego nie widzi: przymrużonymi oczami wpatruje się bezmyślnie w zalaną słońcem roślinność w swoim ogródku.

Miała nadzieję, że kiedy przysunie biurko pod otwarte okna tak blisko, by wdychać świeże powietrze Priory Close i poczuć zapach ziemi spod różanego krzewu, spłynie na nią natchnienie i zacznie pisać. Jak dotąd nic jednak nie przyszło jej do głowy – na szczęście nie zasnęła, a to i tak dużo, bo kiedy zabiera rękopis do łóżka...

Dalej na ścieżce, którą niemal nikt nigdy nie przechodzi, skaczą dwa wróble, zbierające materiał do budowy gniazda. Czy nie byłoby miło, gdyby zbudowały je właśnie tutaj, na różanym krzewie? Ale nie, cienista grządka zaniedbanej zieleni interesuje je tylko o tyle, o ile mogą zwędzić z niej jakąś gałązkę, gniazdują bowiem gdzie indziej.

Kartka łopocze znów na wietrze; tym razem pióro osuwa się, spadając z łoskotem na blat. Sugar instynktownie rzuca się w tamtą stronę i przewraca kałamarz. Trzy albo cztery wielkie krople czarnego atramentu ściekają z biurka i rozbryzgują się na jej jadeitowych spódnicach.

– Niech będzie przeklęty Bóg i całe Jego... – zaczyna gniewnie Sugar, po czym wzdycha. To przecież nie koniec świata. Może spróbować wywabić plamę – a jeśli atrament nie puści albo nie będzie miała czasu, to cóż, najwyżej kupi sobie nową suknię. Z banku Williama przyszła dzisiaj rano kolejna koperta, która dołączyła do poprzednich w najniższej szufladzie komody. Jego hojność nie zmniejszyła się, a może nie pomyślał, by zmienić złożone bankierowi zlecenie. Tak czy inaczej, dziewczyna ma coraz więcej pieniędzy i nie byłaby w stanie wydać ich wszystkich, nawet gdyby regularnie plamiła sobie odzież atramentem.

Musi skończyć powieść. Takie dzieło nie wyszło dotąd drukiem; na pewno wzbudzi sensację. Jeśli zarozumiali głupcy, jak uniwersyteccy koledzy Williama, potrafili wywołać zamieszanie swoimi nędznymi bluźnierstwami, to wystarczy pomyśleć, jaki rozgłos zdobędzie tego rodzaju powieść – pierwsza książka mówiąca całą prawdę o prostytutce! Świat jest już gotów na przyjęcie prawdy; nadeszła epoka nowoczesności; co roku ukazują się kolejne sprawozdania, opisujące ubóstwo statystycznie, nie zaś za pomocą sentymentalnej gadaniny. Potrzeba teraz tylko wielkiej powieści, która pobudzi wyobraźnię czytelnika – wstrząśnie nim, rozżośli go, wzruszy, przerazi, oburzy. Historii, która weźmie czytelnika za rękę i poprowadzi ulicami, gdzie nie stanęła dotąd jego noga; potrzeba opowieści ujawniającej nigdy dotychczas niewidziane uczynki i niesłyszane głosy, skrywane jak pod kołdrą. Potrzeba opowieści odważnie wskazującej winnych. Dopóki nie zostanie opublikowana, głos prostitutek nadal będzie tłumiony przez całun wielkiego społecznego zła, a winni ich nędzy zostaną na wolności...

Sugar wpatruje się w wyrysowane przez wiatr atramentowe desenie. Pora zastąpić je czymś bardziej znaczącym. Wszystkie upadłe kobiety świata mają nadzieję, że powie prawdę. – Ta historia – powtarzała tym swoim przyjaciółkom, które umiały czytać – nie jest tylko o mnie, lecz o nas wszystkich... – W tej chwili, w swoim słonecznym gabinecie przy Priory Close, Sugar oblewa się potem.

– Umieram, Shush. – Tak powiedziała do niej Elizabeth w ostatnią noc swego życia, poprzedzając dzień, kiedy poznał Sugar w sklepie papierniczym na Greek Street. – Jutro już będę padliną. Sprzątną pokój i wrzucą mnie do rzeki. Węgorze wyjedzą mi oczy.

– Nie wrzucą cię do rzeki. Nie pozwolę na to. – Elizabeth uściśnęła jej dłoń diabelnie mocno, choć pozostała z niej sama skóra i kości.

– Tak? A co zrobisz? – zarzęziła z drwiną. – Zaprosisz moich rodziców i wszystkich krewnych na elegancki chrześcijański pogrzeb, na którym pastor będzie opowiadał, jaka to była ze mnie zacna kobieta?

– Jeżeli chcesz, to tak.

– Chryste Panie, Sugar, ty obrzydliwa kłamczucho! Jak ci nie wstyd!

– Mówię poważnie. Jeżeli chcesz pogrzebu, urządzę ci pogrzeb.

– Chryste Panie, Chryste... Ależ ty głupstwa gadasz. To tak się dostałaś na West End? Mówiłaś każdemu mężczyźnie, że ma największego kutasa, jakiego w życiu widziałaś?

– Nie musisz mnie obrażać tylko dlatego, że umierasz.

Śmiech oczyścił nieco atmosferę, ale dłoń Elizabeth wciąż zaciskała się na jej ręce niby szczęki psa.

– Nikt mnie nie będzie pamiętał – powiedziała konająca, oblizując ściekający po twarzy pot. – Węgorze wyjedzą mi oczy i nikt nigdy nawet się nie dowie, że żyłam.

– Bzdura.

– Umarłam już dawno, kiedy pierwszy raz rozłożyłam nogi. „Od dzisiaj nie mam córki”, tak powiedział mój ojciec.

– Bo był głupi.

– Całe moje życie spłynęło jak szczyzny rynsztokiem. – W mdłym, żółtawym świetle trudno było powiedzieć, czy Elizabeth płacze, tym bardziej że po policzkach ciekły jej krople potu. – Staralam się, Shush. Staralam się, jak mogłam, żeby nie trafić na czarną listę Boga. Nawet kiedy już zostałam dziwką, starałam się, jak mogłam, na wszelki wypadek, gdybym dostała kiedyś drugą szansę. Wybierz dowolny dzień z ostatnich dwudziestu lat mojego życia i zobacz, jak się starałam, a będziesz musiała przyznać, że nie poddałam się łatwo.

– Oczywiście, że nie. Wszyscy o tym wiedzą.

– A wiesz, że nikt nie przyszedł mnie odwiedzić? Nikt, Tylko ty jedna.

– Na pewno odwiedziłyby cię wszystkie dziewczyny, gdyby mogły. Boją się i tyle.

– Och, na pewno, na pewno. Masz największego kutasa, jakiego w życiu widziałam...

– Chcesz pić?

– Nie. Czy napiszesz o mnie w swojej książce?

– W jakiej książce?

- W tej, nad którą pracujesz. *Kobiety kontra mężczyźni*, tak chyba się nazywała?
- To było wiele lat temu. Od tamtej pory nosiła już kilkanaście tytułów.
- Napiszesz w niej o mnie?
- Chcesz tego?
- Nieważne, czego chcę. Pytam, czy o mnie napiszesz?
- Jeżeli chcesz, to tak.
- Chryste Panie, Sugar. Jak ci nie wstyd!

Sugar wstaje zza biurka i podchodzi do okna, by pozbyć się wspomnienia lepkiej, kurczowo zaciśniętej na swej ręce dłoni Elizabeth. Nerwowo zaciska i prostuje palce, wyobrażając sobie, że ciągle pokrywa je pot konającej, choć wie, że to jej własna wydzielina piecze ją w szczelinach popękanych dłoni, pokrytych jakby garbowaną skórą. Podnosi ręce i odwraca je pod słońce. Wyglądają ostatnio okropnie, pomimo iż co noc smaruje je Creme de Jeunesse firmy Rackham. Ach, dużo by dała za słoik niedźwiedziego sadła, którego zawsze było pod dostatkiem u pani Castaway – nie wyobraża sobie jednak, gdzie mogłaby je kupić w Marylebone.

Zerka po sobie i zauważa, że plamy na jej sukni rozlały się i połączyły w jeden wielki kleks; powinna się przebrać na wypadek, gdyby przyszedł William. Dziewczyna zamyka pomazane stronice rękopisu w twardych okładkach. Spogląda na nią zastęp przekreślonych tytułów; kilka pierwszych jest gęsto zamazanych, tak że nie można ich odczytać, ale późniejsze są niedbale przekreślone pojedynczą kreską. Wciąż można odczytać tytuł *Kobiety kontra mężczyźni*, podobnie jak następujący zaraz po nim *Gniewny krzyk z bezimiennego grobu*. Ostatni, *Upadek i wzlot Sugar*, został nabazgrany od niechcenia, z wahaniem, cienkimi literami. Sugar otwiera rękopis na pierwszej stronie i czyta: „Wszyscy mężczyźni są tacy sami...”, a potem dwadzieścia albo pięćdziesiąt następnych słów, które ogarnia jednym spojrzeniem. Jakie to dziwne, że wielokrotnie czytany wcześniej fragment można przeczytać tak szybko, natomiast nowy tekst wymaga mozolnej lektury słowo po słowie. Cała pierwsza strona rozbrzmiewa w jej myślach niemal automatycznie, jak katarynka, której korbką obraca małpka.

Nazywam się Sugar – a jeżeli nie, nie znam innego imienia.

Jestem kimś, kogo nazwalibyście kobietą upadłą, zapewniam was jednak, że nie upadłam z własnej woli – ktoś mnie popchnął. Nikczemny mężczyzno, wieczny Adamie, oskarżam cię!

Sugar przygryza z zakłopotaniem wargę, mocno, aż do krwi.

Mijają dwie godziny. Schowała tymczasem powieść do szuflady, zamiast manuskryptu przeczytała najnowsze wydanie „Illustrated London News” i siedzi znowu w wannie. Spędza w niej teraz prawie pół życia na wypadek, gdyby niespodziewanie odwiedził ją William. Rozumiesz chyba, że dziewczyna nie uważa jednak, by Rackham był wart całego tego zachodu; nie chodzi także o to, że nim gardzi, a jeśli pogarda jest nieco za mocnym słowem, że darzy go co najmniej zdrową niechęcią... Uważa po prostu, że zainteresowanie Williama jej osobą jest chyba rzeczą cenną, powinna więc je podtrzymywać, jak długo się da. Jeżeli zdoła umocnić jego uczucie-miłość, jak sam powiedział – będzie miała jedyną w życiu szansę, aby oszukać los. Pod skrzydłami Rackhama wszystko jest możliwe...

Ze wszystkich zakamarków apartamentu przy Priory Close Sugar czuje się najlepiej, jak w domu, w tej właśnie czarno-musztardowej łazience, w tej małej, wyłożonej glazurą komnatce. Pozostałe pokoje są zbyt duże, za puste; sufity wiszą tam nieco za wysoko, a ściany i podłogi są zbyt nagie. Wolałaby, żeby były przytulne i zastawione jej własnymi meblami oraz bibelotami, boi się jednak kupić cokolwiek sama, a poza tym nie wie nawet, co by to mogło być. Tylko mała łazienka wydaje się jej ciepła i ładnie wykończona pomimo niesamowitego połysku: wstęga czarnej tapety idealnie nadaje się do tego, by zawiesić na niej wzrok, drewniana podłoga błyszczy w padającym z góry świetle, ręczniki na brązowych wieszakach są miękkie i puszyste, a wszystkie buteleczki i słoiki z produktami firmy Rackhama cieszą ją niczym zabawki. Najbardziej krzepiący jest jednak widok wilgotnej mgiełki pary, wiszącej nad wanną i kłębiącej się lekko na

podobieństwo chmury.

Wie, że nie powinna kąpać się tak często. Kąpiele źle działają na jej skórę. To dlatego ma tak bolące i popękane dłonie; nie potrzebuje Creme de Jeunesse ani niedźwiedziego sadła, powinna po prostu rzadziej zanurzać się w gorącej, pełnej mydlin wodzie! Wie o tym, a jednak każdego dnia, ba, czasem dwa razy, napełnia wannę i wchodzi do wody, ponieważ uwielbia kąpiele. A jeśli „uwielbia” nie jest odpowiednim słowem, można powiedzieć, że kąpiele przynoszą jej... ukojenie. Ostatnio bywa strasznie roztrzęsiona, wylewa łzy bez powodu, cierpi na napady niepokoju, nocą zaś śni dawno już zapomniane – jak jej się wydawało – koszmary z dzieciństwa. Ona, kobieta, która jeszcze niedawno mogła usłyszeć z ust mężczyzny pytanie: „Dlaczego nie miałbym cię teraz zabić?”, i potrafiła rozbroić go jednym mrugnięciem oka, wydaje się zamieniać obecnie w dziewczynę, która nie zniosłaby spokojnie zaczepnego gwizdu na ulicy.

– Miękiesz – mówi do siebie, a jej głos, tak brzydki i niemelodyjny w porównaniu z głosem Agnes Rackham, odbija się echem w zaparowanej łaźience. – Miękiesz – powtarza, próbując wyartykułować to słowo o ton wyżej. Śpiewnie, musi mówić śpiewnie, ale udaje jej się tylko zaszczebotać. – Masz głos jak sodomita – stwierdza Sugar i ciska gąbką w swoje wystające nad wodę stopy.

Prawa dłoń piecze jak diabli; gdy wyciskała gąbkę, mydło dostało się w szczeliny jej spękanych rąk, we wrażliwe, niemal krwawiące rany. W tym sensie, to znaczy cieleśnie, jest bez wątpienia delikatniejsza niż dawniej.

– Och, Willamie, co za cudowna niespodzianka! – mówi znów na próbę, szukając śpiewnego głosu, a potem wybucha śmiechem, który odbija się przenikliwym echem od glazury. Kiedy puszcza wiatry, bąbelki zepsutego powietrza unoszą się w górę i pękają na powierzchni z wilgotnym, cuchnącym sykiem.

Sugar wie, że dzisiaj William raczej nie przyjedzie. Sezon jest tuż, a zatem (jak wyjaśnił z żalem podczas ostatniej wizyty) na wszystko braknie mu czasu, będą go bowiem ciągnąć z jednego przyjęcia na drugie i wlec „pod przymusem” do teatrów i oper.

– A kto może cię do tego zmusić? – ośmieliła się zapytać. – Agnes?

Westchnął, wstawszy już z łóżka, i sięgnął po spodnie.

– Nie, nie powinienem obarczać Agnes odpowiedzialnością za brak czasu. Zasady wyrafinowanej gry, jaką prowadzimy, tego wesołego tańca, w którym musimy uczestniczyć bez względu na to, czy nam się to podoba, czy nie... ustalają wyższe autorytety niż moja mała żonka. Winne są... – (tu jakby przepaszając, że wychodzi w takim pośpiechu, zatrzymał się na chwilę, by pogłaskać Sugar po świeżo umytej głowie) – ...wyższe sfery!

W sypialni na łóżku Agnes Rackham leżą dziesiątki niewielkich kartoników, ułożonych (z grubsza) w kształt ludzkiej postaci.

– Wiesz, co to jest? – pyta Agnes Clare, która wchodzi właśnie do pokoju i przygląda się tej wystawce ze zmarszczonym ze zdziwienia czołem.

Clara przygląda się bliżej kartonikom. Nie wie, czy pani sobie z niej żartuje, czy też, jak zwykle, przemawia przez nią szaleństwo.

– To... zaproszenia, psze pani.

Istotnie, mozaikowa postać o nienaturalnie wąskich biodrach i dużej głowie została ułożona wyłącznie z *cartes d'invitation*, zapraszających Agnes na nadchodzący Sezon.

– To coś więcej niż zaproszenia, Claro – mówi Agnes, zachęcając służącą, by rozwinęła skrywane upodobanie do symbolizmu. Nieszczęsna służąca znów podejrzewa jednak, że jest przedmiotem drwin, ale pani Rackham kładzie kres jej cierpieniom dopiero po dłuższej chwili.

– To dowody przebaczenia, Claro – mówi.

Służąca kiwa potakująco głową i na znak swej pani wychodzi z ulgą z sypialni.

A przecież – o czym Clara nie wie – pani Rackham ma całkowitą rację i wcale nie przemawia przez nią szaleństwo, albowiem wielu damom i dżentelmenom, pragnącym uczestniczyć w Sezonie, okres, jaki rozpoczyna dzień prima aprilis, przyniesie gorzkie upokorzenie, gdy zorientują się, że wyższe sfery im nie wybaczyły. Oto na zaproszenia, wystosowane przez te osoby na przyjęcia oraz

inne mające odbyć się w maju imprezy, nadeszły odpowiedzi z informacją *Niestety, nie możemy się stawić*, a co gorsza, owe zaproszenia pozostały nieodwzajemnione. Dlatego w coraz dłuższe kwietniowe wieczory niektórzy mężczyźni przesiadują do późnych godzin nocnych przy dogasających kominkach i wpatrują się w nie kamiennym spojrzeniem, zarezerwowanym zazwyczaj na wypadek bankructwa lub przyłapania małżonki na zdradzie; kobiety z kolei popłakują i obmyślają bezsilną zemstę. Możemy mieć niemal całkowitą pewność, że jeśli bal u Damy Jak Jej Tam ma się odbyć 14 maja, a 14 kwietnia nie nadeszła jeszcze ozdobiona wstążką *carte d'invitation*, zostaliśmy skazani na banicję.

Co nie oznacza, że klęska towarzyska następuje natychmiast; zaledwie kilka osób, które przed rokiem świeciły niby gwiazdy w znakomitszych konstelacjach, zostaje rok później strąconych na samo dno; zazwyczaj aby uznać się za kogoś, kto pozostaje w niełasce, należy przeprowadzić szatańsko skomplikowane obliczenia w dziedzinie matematyki towarzyskiej. Ale Agnes Rackham nie musi tego robić, bo stoją przed nią otworem wszystkie drzwi.

To raczej Henry'emu i pani Fox kwietniowa poczta nie dostarczyła żadnej radości. Oboje otrzymali po kilka zaproszeń – to więcej niż nic, ale mniej niż kiedykolwiek przedtem.

Oboje schowali zaproszenia do szuflad i odpisali: *Niestety, nie możemy się stawić*. W wypadku pani Fox powodem odmowy jest zły stan zdrowia; nie może już fizycznie wytrzymać długiego stania w miejscu, przechadzek, gry w krokieta i tym podobnych poświęceń, jakich wymaga Sezon. Podupała na zdrowiu tak wyraźnie, że nawet nieznajomi natychmiast to dostrzegają, pomrukując pod nosem: „Długo nie pociągnie”. Przyjaciół i członków rodziny oślepia zaś wciąż na poły wspomnienie jej dawnego animuszu, dlatego szepczą, że „Emmeline źle wygląda” i „powinna odpocząć”. Radzą jej, by skorzystała z wiosennego słońca, bo nie ma lepszego lekarstwa na niedokrwienie. – I czy naprawdę uważasz, że powinnaś spędzać tyle czasu w dzielnicach biedoty? – pytają ją taktownie.

W drugą niedzielę kwietnia pani Fox i Henry Rackham jak zwykle po nabożeństwie przechadzają się aleją wśród drzew.

– Cóż – oświadcza zimno Henry. – Ja na przykład wcale nie żałuję, że ominą mnie nadchodzące zabawy i hulanki.

– Ja też nie – mówi pani Fox. – Ale nie dlatego się martwimy, prawda? Nie chodzi o to, że ominie nas zabawa. Rzecz w tym, że zostaliśmy odrzuceni. Zastanawiam się dlaczego? Czy oboje jesteśmy nietykalni? Czy naprawdę pozostajemy poza nawiasem społeczeństwa?

– Widocznie tak. – Henry pełen smutku marszczy czoło, idąc przed siebie powolnym krokiem. Jak zwykle nie dostrzegł ironii w jej słowach, co zdaniem Emmeline jest jedną z jego najcudowniejszych słabości.

– Ach, Henry – mówi pani Fox. – Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Nie mamy naszym znajomym nic do zaoferowania. Spójrz tylko na siebie: mogłeś być dyrektorem wielkiej firmy, ale odrzucasz wszelkie stanowiska i zaszczyty, zadowolając się tylko skąpą pensją, a poza tym mieszkasz w maleńkim domku niczym zwykły robotnik. Niewątpliwie śmietanka towarzyska uznała, że jeśli cię wpuszczą na salony, to kto wie, czy do ich drzwi nie zastukają lada moment inne wyrzutki społeczeństwa? – Spostrzega, że Henry oblewa się rumieńcem. Ach, dlaczego on się tak czerwieni? Wart jest dziesięciu członków „śmietanki towarzyskiej”!

– Poza tym – ciągnie pani Fox – jesteś człowiekiem, który nie godzi się na to, aby miejsce Boga zajmowała rozrywka i... cóż, musisz przyznać, że taka postawa nie czyni cię duszą towarzystwa na przyjęciach.

Henry chrząka i oblewa się jeszcze ciemniejszym pąsem.

– Cóż, zostałem wprawdzie zaproszony na wiele przyjęć do mojego brata, poprosiłem jednak, aby mnie oszczędził.

– Och, Henry, ależ pani Rackham wprost przepada za tobą.

– Tak, ale na przyjęciach u Williama zawsze sadzają mnie naprzeciw kogoś, kogo nie znoszę, i w ten sposób na resztę wieczoru zostaję skazany na wyjątkowo męczącą konwersację. Postanowiłem w tym roku, że dosyć tego. I tak zbyt często natykam się na Bodleya i Ashwella.

– Kochany Henry – uśmiecha się pani Fox. – Nie powinieneś zwracać na nich uwagi. To szakale, ty zaś jesteś lwem. Małomównym i łagodnym, przyznaję, ale...

– Nie prosiłem jednak Williama, żeby nie zapraszał ciebie, pani. – Gniew sprawia, że Henry idzie coraz szybciej i Emmeline z trudem dotrzymuje mu kroku, drepcząc po bruku znacznie mniejszymi niż jego stopy stopkami w zgrabnych trzewiczkach.

– Ach, cóż – mówi, unosząc nieznacznie suknię, by swobodniej iść. – Nieatrakcyjne wdowy nigdy nie cieszyły się szczególnym wzięciem, jak sądzę. A tym bardziej wdowy, które pracują. Jeśli zaś jeszcze praca takiej damy polega na resocjalizacji upadłych kobiet... no!

– To praca charytatywna – stwierdza Henry. – Wielu ludzi ze śmietanki towarzyskiej zajmuje się dobroczynnością. – Kroczy coraz szybciej, gdyż Emmeline powiedziała, że jest nieatrakcyjna, Henry spieszy więc, aby uprzedzić przepełniającą go pokusę, by wysławiać jej urodę pod niebiosa.

– Towarzystwo Ocalenia Kobiet to chyba istotnie organizacja charytatywna – zgadza się pani Fox. – Przynajmniej w tym sensie, że nikt nam nie płaci za pracę. – (Drobiać obok Henry'ego, wsuwa dłoń w rękaw w poszukiwaniu schowanej tam chusteczki). – Chociaż poznałam panie święcie przekonane, że pobieram pensję... jak gdyby żadna kobieta nie chciała wykonywać takiej pracy, nie będąc w poważnej potrzebie. Bo widzisz, właściwie nikt nie wie, czy Bertie pozostawił mnie w dobrej, czy złej sytuacji finansowej. Ach, plotki, plotki... usiądźmy na chwilę, proszę.

Docierają do kamiennego mostku, którego łukowate balustrady są na tyle niskie, gładkie i czyste, że można na nich siedzieć. Henry dopiero teraz zauważa, iż pani Fox oddycha z wysiłkiem, a na jej bladej twarzy lśnią kropelki potu.

– Straszny ze mnie osioł. Znowu kazałem ci iść zbyt szybko – mówi Henry.

– Nic nie szkodzi – dyszy pani Fox, ocierając skronie chusteczką. – Jest piękny dzień, w sam raz na żwawy spacer.

– Wyglądasz na zmęczoną.

– Chyba się przeziębiam. – Uśmiecha się, by dodać mu otuchy. – Przeziębiam się, i to teraz, kiedy zrobiło się cieplej. Widzisz? U mnie jak zawsze wszystko jest na opak! – Jej pierś faluje gwałtownie niczym pierś ptaka; mając jednak na uwadze, jakie wrażenie może wyrzucić ten widok na Hen-rym, chwytą szybko oddech między kolejnymi wypowiedziami. – Ty też wyglądasz na zmęczonego.

– Ostatnio źle sypiam.

– Mój ojciec dysponuje... bardzo skutecznymi lekami na bezsenność – oświadcza pani Fox. – Mógłbyś też spróbować ciepłego mleka.

– Wolę zdać się na siły natury.

– Masz słuszość – mówi pani Fox, przymykając oczy, by oprzeć się nagłej fali zawrotów głowy. – Kto wie? Może dzisiaj będziesz spał jak dziecko.

Henry kiwa głową, splatając dłonie między nogami.

– Jeśli Bóg pozwoli.

Siedzą jeszcze przez chwilę. Niewidoczna woda gulgocze gdzieś pod ich stopami, a wkrótce potem na most wchodzi kolejna wracająca z kościoła para, pozdrawiając ich niemal niedostrzegalnym gestem.

– Wiesz, Henry – mówi pani Fox, kiedy przechodnie znikają. – Moje siostry w Towarzystwie Ocalenia Kobiet namawiają mnie... żeby nie pracowała tak ciężko podczas Sezonu... Żeby trochę odpoczęła... i skorzystała z nadchodzących atrakcji... – Mruży oczy i spogląda na wschód, jak gdyby mogła stąd dostrzec nędzne rudery. – A przecież z dala od tych ulic nic nie potrafię osiągnąć... Tymczasem zaś każdego dnia kolejna kobieta staje na progu, za którym nie istnieje już nadzieja dobrego życia, lecz tylko dobrej śmierci.

– Emmeline patrzy na przyjaciela, ale Henry spuszcza wzrok.

Wpatruje się w pełne światłocienia wytwory swej wyobraźni. Oto jakaś anonimowa kobieta, cała i zdrowa pomimo tysięcy wcześniejszych zbliżeń cielesnych, staje wreszcie na „progu”, o którym mówiła przed chwilą pani Fox, i oddaje się zgubnej kopulacji, w trakcie której wnika w nią robak śmierci. Od tej chwili jej los jest przesądzony. Zarasta sierścią, wyrodnije, przybiera zwierzęcą postać. Na łożu śmierci zatwardziała grzesznica jest już potwornie kosmata, włosy

bowiem porastają nie tylko jej wzgórek łonowy, lecz także pachy, ramiona, nogi i piersi. Henry wyobraża sobie przypominającą małą postać o kobiecej figurze, wijącą się w delirium agonii na brudnym materacu, na oczach przerażonych chirurgów, którzy oświetlają ją lampami, trzymanymi w wysoko uniesionych, drżących dłoniach. Owe „dzikuski”, które marynarze przywożą z Borneo, to zapewne właśnie konające ofiary seksualnego rozpasania! Bo czyż przedstawiciele wyspiarskich ras nie cieszą się złą sławą jako...

– No tak – wzdycha pani Fox. Wstaje i oczyszcza z pyłu turniurę swojej sukni maleńką szczoteczką, którą wyjmuje z torebki. – Powinniśmy urządzić sobie własny, prywatny Sezon, Henry, tylko ty i ja. A głównymi atrakcjami naszego programu będą rozmowy, spacer i życiodajne słońce.

– Nic nie mogłoby mi sprawić większej przyjemności – potwierdza Henry, zadowolony, że pani Fox nie jest już taka zdyszana. Ale choć słońce mocno piecze ich oboje, twarz Emmeline pozostaje przeraźliwie blada, a usta nieprzystojnie rozchylone, jak gdyby jej wargi na przekór dobrym obyczajom rozwierał jakiś cielesny imperatyw.

Sugar spogląda przez ramię na swoje odbicie w lustrze, by odpowiednio pokierować dłońmi i dobrze zapiąć suknię. W rękach trzyma zakrzywione przyrządy o długich uchwytach, zwane „kurewskimi hakami” dlatego, że dzięki nim kobieta może przywdziać suknię bez pomocy pokojówki.

Kiedy zapina już ostatni guzik na karku, przebiega dwoma palcami wokół jedwabnego podbicia ciasnego kołnierzyka, uwalniając niesforne włosy. Wybrała tę niemodną, szaroburą suknię, ponieważ William nigdy jej tak nie widział, nie rozpozna więc Sugar, jeśli ujrzy ją w tym stroju z daleka. Uczesała się z przedziałką i związała włosy z tyłu w ciasny kok, żeby nie było widać loków spod czepka; na co dzień jednak nie nosi takiej fryzury.

– Może być – uznaje.

Zmęczyła się już czekaniem na Williama. Mijają długie dni, a on nie przychodzi; potem zaś, jeśli ją odwiedza, przybywa zaabsorbowany zmartwieniami, jakich przysparza mu jego sekretne życie – to znaczy życie, które utrzymuje w tajemnicy przed nią. Wszyscy jego przyjaciele i rodzina znają go lepiej niż ona, chociaż ta wiedza do niczego nie jest im potrzebna – to bardzo niesprawiedliwe!

Cóż, Sugar nie zamierza pozostawać w cieniu. Jej życie nie posuwa się do przodu ani trochę, gdy siedzi beczynn timer w mieszkaniu, suszy włosy przed kominkiem, przegląda gazety, czyta o cłach i akcyzie, przygotowując się do rozmów, których nie przeprowadza, powtarza sobie, że nie jest głodna, i opiera się pokusie napełnienia wanny. Im lepiej William będzie sobie radzić bez niej w świecie, w którym Sugar nie odgrywa żadnej roli, tym mniej chętnie będzie się jej zwierzać. Tymczasem z niepotrzebnych mu książek o perfumach dziewczyna może się dowiedzieć, jak wytwarzać spirytusowy ekstrakt z tuberozy albo że olejek z kasji stanowi tani substytut cynamonu, musi jednak wiedzieć o Williamie Rackhamie znacznie więcej! Więcej, niż William chciałby jej o sobie opowiedzieć.

Zdecydowała zatem, że będzie go szpiegować. Będzie go śledzić krok w krok, oglądać to samo, co on, i – choćby na odległość – poznawać ludzi, z którymi się spotyka. Jego świat stanie się jej światem; Sugar wychłepcze całą wiedzę o Rackhamie do ostatniej kropli. A potem, kiedy William znajdzie wreszcie czas, żeby ją odwiedzić, i wesprze zmarszczone czoło na jej piersi, zdumie się, jak instynktownie Sugar rozumie kłopoty i nieomylnie wyczuwa potrzeby kochanka. Bezprawnie dzieląc z nim życie, zyska przywilej dzielenia go oficjalnie.

Przystaje, żeby przed wyjściem z domu ostatni raz przejrzeć się w lustrze. Jest tak odmieniona, że sama z trudem poznaje swoje odbicie.

– Doskonale – mówi, zdejmując parasol ze szkaradnego, lecz solidnego wieszaka. A co się stało z tym wywrotnym stojakiem, który William kopnął z takim gniewem? Potem wyniósł go na ulicę, skąd następnego dnia zniknął. Czyżby dopadli go zbieracze starzyzny? Czy na porządnym, przyzwoitych ulicach Marylebone zdarzają się takie rzeczy?

Sugar wychodzi na świeże powietrze i rozgląda się. Wokół nie widać żywej duszy.

Przez następne trzy i pół dnia albo – jak oblicza – przez pięćdziesiąt pięć godzin, nie licząc czasu, który poświęca na sen, usiłuje stać się cieniem Williama Rackhama.

Znaczną większość owych pięćdziesięciu pięciu godzin traci, kręcąc się w pobliżu rezydencji w Chepstow Villas w oczekiwaniu, aż William wyjdzie z domu. Niecierpliwie obracając w dłoniach parasol, spaceruje tam i z powrotem po ulicy oraz wokół stajni, obchodząc posiadłość Rackhamów z trzech stron, by nie zdrętwiały jej stopy i nie rozstroił się umysł. Co on tam robi? Z pewnością nie gra z żoną i córką w gry salonowe! Czy w takim razie prowadzi firmową korespondencję? Jeżeli tak, to ile czasu może mu zająć napisanie kilku listów, skoro sprawa Hopsoma została rozwiązana? Rackham Perfumeries to wielkie przedsiębiorstwo, zatrudniające mnóstwo pracowników różnych szczebli; czy nie ma wśród nich – jak im tam – podwładnych, podkomendnych, którzy zajmują się wszelkimi bardziej przyziemnymi sprawami? A może to śniadanie zajmuje Williamowi tyle czasu? Nic dziwnego, że tyje, jeśli spędza przy śniadaniu pół przedpołudnia. W przeciwieństwie do niego Sugar zaczyna kolejny dzień szpiegowskiej obserwacji od bułki albo jabłka, które kupuje u straganiarza w drodze do Chepstow Villas.

Na szczęście przez kilka pierwszych dni poranki są ciepłe. Ogrodnik krząta się ciągle po ogrodzie, zadowolony, że młoda rośliność wzrasta tylko w miejscach dla niej wyznaczonych – dziewczyna nie może więc wystawać zbyt długo w tym samym miejscu także dlatego, że mógłby ją zobaczyć. Miała nadzieję, że ponieważ jest ciepło, córka Williama będzie mogła bawić się przed domem, niania nie wypuszcza jednak dziecka na dwór. Sugar nie wie nawet, jak dziewczynka ma na imię; pewnego ranka ogrodnik zawołał: „Dzień dobry, panienko Sophie!”, spoglądając w górę, w okno na piętrze, a wkrótce potem wyszła do niego statecznie wyglądająca służąca, która szepnęła mu coś do ucha, i wtedy skruszony ogrodnik spuścił głowę. Zatem dziewczynka ma na imię Sophie – chyba że Shears pozdrawiał nianię, nie dziecko. Jakie to upokarzające znać każdą żyłkę na kutasie Williama, a nie wiedzieć, jak się nazywa jego córka! Wszystkie próby wydobywania jej imienia z Williama, podejmowane tak, by nie odniósł wrażenia, że kochanka ciągnie go za język, spełzły na niczym; a Sugar nie może ryzykować i wspomnieć imienia Sophie, być może bowiem Rackham nie wymienia go celowo z sobie tylko wiadomych powodów. Tak więc dopóki niania nie uzna, że jest dość ciepło, by mała mogła bawić się na powietrzu, należy uznać, że córka Williama nazywa się Sophie.

Drugiego dnia w asyście pokojówki wychodzi z domu pani Rackham. Zmierza zdecydowanym krokiem przed siebie i Sugar chce iść za nią, Agnes bowiem najwyraźniej wybiera się do miasta, a jej czarujący głos, choć zbyt odległy, by mogła rozpoznać, co mówi, rozbrzmiewa niesiony wiatrem niczym dźwięk piszczałki Szczurołapa z Hameln. Postanawia jednak pozostać w ukryciu pod cienistą kopułą drzew; powinna śledzić Williama, nie zaś jego żonę. Poza tym gdy w jednym z okien domu Rackhamów rozsuwają się zasłony i Agnes wygląda na świat, zbyt często kieruje wzrok prosto na kręcącą się przed domem Sugar. Na całe szczęście dziewczyna zasłania się woalką i parasolem, albowiem w przeciwnym wypadku pani Rackham z pewnością zapamiętałaby jej twarz.

Nie, Sugar czeka na Williama. To jego zachowania i przyzwyczajenia musi dokładnie poznać. A podczas pierwszych pięćdziesięciu pięciu godzin śledztwa spostrzega, że chociaż William ciągle opowiada, jaki to z niego indywidualista i jak mało wie o nim co zwyczajniejsi rywale w interesach, sam postępuje wedle utartych obyczajów.

O drugiej po południu łapie omnibus do miasta. Każdego z tych pierwszych trzech dni wychodzi na spotkanie ogromnego, niezgrabnego pojazdu, wsiada, po czym zajmuje miejsce twarzą do słońca. Sugar, która wpada w stalową paszczę omnibusu w ostatniej chwili, idzie na wyższy pokład, na dach, i siada nad głową Williama. O tej spokojnej godzinie nie musi przeciskać się upokarzająco przez tłum urzędników w melonikach – dzieli więc twarde ławy i rześkie powietrze z ludźmi, którzy podobnie jak ona mają swoje powody, aby nie podróżować na dolnym pokładzie. Pierwszego dnia siedzi wśród stadka korpulentnych matek z raczkującymi dziećmi, nazbyt rozdokazywanymi, by można ryzykować jazdę z nimi w kabinie; nazajutrz jej sąsiadem jest jakiś starzec z owiniętą sznurkiem paczką długości sześciu stóp; trzeciego dnia spotyka znów matkę z

dzieckiem, czworo odświętnie ubranych, rozemocjonowanych turystów, rozmawiających w jakimś cudzoziemskim języku, i bladego młodzieńca, który kurczowo zaciska kościste dłonie na tajemniczej książce w ciemnej okładce.

Podczas trzeciej podróży Sugar popełnia błąd – składa parasol i rozsiada się wygodnie, przekonana, że William wysiadzie na tym przystanku, co zwykle, w pobliżu biur swojej firmy przy Air Street. William faktycznie wysiada, ale blady młodzieniec, zachwycony urodą ubranej na szaro kobiety o twarzy zasłoniętej woalką, sądząc zapewne, że jej swobodna poza wyraża senne znużenie, właściwe postaciom na obrazach prerafaelitów, podrywa się szarmancko, by pomóc nieznajomej, gdy tylko Sugar wstaje.

– Pozwól, pani – prosi, wyciągając ramiona w cokolwiek wytartych rękawach, a w jego oczach jarzy się nieodgadniona tęsknota.

Sugar obawia się, że wysiadający właśnie William Rackham mógłby się odwrócić i podnieść na nich wzrok, nieruchomiejąc więc z wahaniem na stopniu.

– Nie trzeba, nie trzeba – szepcze, zdając sobie sprawę, że jej cichy, ochryply głos może jedynie wywołać nieporozumienie. – Dziękuję. – Po czym omnibus odjeżdża, unosząc z sobą Sugar.

Właściwie jednak nie robi jej to różnicy. Wysiada na następnym przystanku i wraca pieszo pod biuro Rackhama, mieszczące się w ponurym, szarym budynku z mosięzną tabliczką, na której widnieje ozdobna litera „R”.

William codziennie bawi w tym gmachu przez blisko dwie godziny, robiąc Bóg wie co. Sugar chciałaby niepostrzeżenie przeniknąć do jego świątyni, musi jednak krążyć po ulicy, licząc z nudów przejeżdżające powozy.

O piątej William kupuje ciastko, zawsze w tej samej cukierni, zjada je, czeka, aż ruch uliczny nieco się zmniejszy, i wraca do domu. Dziewczyna wolałaby, żeby pojechał na Priory Close (bo w takim wypadku pojechałaby za nim i spotkałaby się przed domem, a wtedy ona udawałaby, że wyszła zażyć spaceru dla zdrowia). William jednak nie wysiada na wcześniejszym przystanku – jedzie do końca, aż do Chestow Villas.

Jednak za każdym razem, gdy Rackham wraca do domu, cierpliwość Sugar zostaje w pewnym sensie nagrodzona.

Pierwszego wieczora William i Agnes wychodzą na obiad do lady Bridge-low, a ponieważ ich rezydencje dzieli najwyżej kilkanaście domów, udają się pieszo – Sugar podąża za nimi, w bezpiecznej odległości. Spostrzega, że chociaż małżonkowie idą obok siebie, nie trzymają się pod rękę; nie tylko okazują sobie w ten sposób wzgardę, lecz niemal nie zwracają na siebie uwagi. William kroczy z lekko zaciśniętymi pięściami, przygarbiony, jak gdyby zbierał się na odwagę, by stawić czoło straszliwemu wyzwaniu.

Po kilku godzinach, kiedy państwo Rackhamowie wracają do domu w rozświetlonej latarniami ciemności, dysonans między małżonkami jeszcze się pogłębia; Sugar, wdzięczna losowi za padający kapuśniaczek, przed którym może skryć się pod parasolem, rusza w ślad za nimi.

– Cóż, było szalenie miło – oświadcza z zakłopotaniem William. – Jak zawsze.

Agnes nie odpowiada. Kroczy naprzód niczym automat, przyciskając prawą rękę do skroni.

– Boli cię głowa, kochanie? – pyta William.

– To nic – odpowiada Agnes.

Przez chwilę idą w milczeniu, a potem William wybucha śmiechem. – Ten Bunce... ciekawy jegomość, co? Doprawdy, Constance dobiera sobie osobliwych przyjaciół.

– Tak – zgadza się Agnes, kiedy dochodzą do frontowej bramy posiadłości, a Sugar, szeleszcząc suknią, mija ich w półmroku. – Szkoda tylko, że nie cierpię lady Bridgelow z całego serca. Czy to nie dziwne, że dama z tytułem szlacheckim może być tak wulgarna i schlebiać najniższym gustom?

Sugar jest niemal pewna, że William nie odpowie na to pytanie.

Następnego wieczora Rackhamowie pozostają w domu. Dziewczyna spaceruje po okolicy tak długo, jak może, marznie coraz bardziej, a potem przywołuje dorożkę i wraca na Priory Close. Kiedy przyjeżdża na miejsce, okazuje się, że jest zaledwie wpół do dziewiątej, chociaż myślała, że dochodzi północ. Może William jednak przyjedzie jeszcze do niej w odwiedziny! Sugar błąka się po mieszkaniu niczym zdesperowane zwierzę, krążąc po miękkim dywanie jak przedtem po ulicach,

aż wreszcie zanurza się w cieplej, parującej, kojącej niczym miłosny uścisk kąpieli.

Jednak trzeciego wieczora jej decyzja, aby poświęcić godziny bezczynności na szpiegowanie Williama, zostaje wreszcie sownie nagrodzona.

Rackham wychodzi z domu dobrze po zmroku, sam, po czym przywołuje dorożkę. Bogowie sprzyjają Sugar, albowiem tuż za nią turkocze następny fiakier, dziewczyna nawet przez chwilę nie musi się więc martwić, że William jej ucieknie.

– Za tą dorożką – poleca woźnicy, który uchyla kapelusza z drwiącym uśmiechem.

Zatrzymują się w Soho, przed małym teatrzykiem zwanym Tewkesbury Palace. William opuszcza dorożkę, nie widząc wysiadającej dwadzieścia stóp za nim Sugar, i płaci za kurs, podobnie jak dziewczyna. Potem wchodzi w oświetlony blaskiem latarni tłum i rozgląda się szybko dookoła, obawiając się złodziei kieszonkowych, nie zauważa jednak podążającej za nim kobiety w woalce.

Sugar zastanawia się, czego William tu szuka? Tewkesbury to cieszące się złą sławą miejsce spotkań homoseksualistów, a do Rackhama podchodzi właśnie dwóch elegancko ubranych dżentelmenów, którzy wyciągają do niego ręce. Zdumiona, wydyma na chwilę usta z obrzydzenia: czyżby ci dwaj wystrojeni jegomościowie, którzy czule poklepują teraz Williama po plecach, odciągnęli go od jej łóżka? To niemożliwe! Nikt nie gra lepiej od niej na cichym, męskim flecie!

Ale po kilku sekundach obawy Sugar znikają. Nieznajomi mężczyźni to Bodley i Ashwell, którzy umówili się tu z Williamem, by wspólnie obejrzeć główną atrakcję Tewkesbury: niejakiego Unthana, znanego jako „Paganini stóp”, a na plakatach zwanego Jedynym bezrękim skrzypkiem na świecie!”

Sugar staje w pstrokatej kolejce, złożonej ze zwykłych robotników i zamożnych koneserów muzyki, by kupić bilet wstępu. Choć od Rackhama i jego towarzyszy dzieli ją zaledwie dwóch widzów, w głośnym gwarze tłumu słyszy jedynie strzępy ich rozmowy.

– ...gdybym ja nie miał rąk – mówi Ashwell. – ...ten malarz, impresjonista!

– Tak! – woła Bodley. – Specjalne protezy ramion! I człowiek wytrwale dzierży pędzel w dłoni!

Trzej przyjaciele śmieją się hałaśliwie, ale Sugar nie widzi w ich słowach nic zabawnego. Sztuka nigdy nie była jej mocną stroną, zniechęcały ją do niej wszystkie te Magdaleny i Najświętsze Panienki, które kolekcjonuje pani Castaway. Teraz, czekając w kolejce przed wejściem do drugorzędnego teatrzyku w Soho, dziewczyna wbija sobie do głowy, że powinna uzupełnić wiadomości o sztuce.

Wchodzi do Tewkesbury, mieszczącego się w dawnym budynku giełdy wełnianej, gdzie można by dawać koncerty kameralne, ale odbywają się tu pokazy ludzkich monstrów i występy sztukmistrzów. Dziewczyna z trudem przeciska się do przodu w ciżbie widzów. Jak tu ohydnie cuchnie! Czy ci ludzie nigdy się nie kąpią? Nie przypomina sobie, by kiedykolwiek wcześniej zwracała uwagę na kompletny brak higieny wśród prostego ludu. Starając się płytko oddychać w duchocie, dziewczyna zajmuje miejsce w rzędzie za Williamem i jego przyjaciółmi.

Na scenie czas oczekiwania umilają publiczności kolejne występy kilku artystów estradowych. Zaostrzają widowni apetyt na główną atrakcję wieczoru marnymi piosenkami i sztuczkami magicznymi, w których nie ma jednak nic czarodziejskiego. Bodley i Ashwell mruczą głośno i wymieniają żarciki; William siedzi spokojnie, jak gdyby jego towarzysze byli dziećmi, które łaskawie zabrał na wycieczkę.

W końcu na sali rozlegają się owacje i gwizdy, a maszynista wynosi na scenę duży taboret o czterech nogach i stawia go przy rampie. Kilka chwil później na leżącej obok poduszce z czerwonego aksamitu kładzie skrzypce i smyczek, co publiczność nagradza znów aplauzem i kilkoma okrzykami radości. Potem na scenę wkracza wreszcie Unthan, który okazuje się mężczyzną niskiego wzrostu, wystrojonym w elegancki frak z długimi połami, jaki noszą muzycy, lecz bez rękawów. Na jego gładko ogolonej twarzy o wyraźnie nieangielskich rysach maluje się nieco małpi wyraz pełnej niepokoju melancholii. Kędzierzawe włosy skrzypka przylegają gładko do jego czaszki równymi bruzdami dzięki częstemu używaniu grzebienia i dużej ilości olejku.

Unthan z najgłębszą powagą zajmuje miejsce, po czym stopami zaczyna zzuwać buty i pończochy, nie zwracając uwagi na chichoty z widowni. Składa starannie pończochy i pojedynczo

wsuwa je do butów, a następnie ujmuje skrzypce nagimi palcami stóp i zręcznie unosi je na lewe ramię, przytrzymując instrument podbródkiem. Opuszcza lewą stopę na deski sceny, przesuwając palce prawej wzdłuż gryfu niczym krab, i zatrzymuje się w miejscu, w którym będzie mógł wydobyć ze strun niskie dźwięki. Zgięty w pół, pozornie bez najmniejszego wysiłku sięga lewą stopą po smyczek, unosi go zamasyście i opiera na strunach. Z fosi dla orkiestry dobiega cichy klekot, a potem muzycy zaczynają grać cichą i smutną melodię, która wydaje się obecnym niemal znajoma – dopóki „Paganini stóp” nie rozpoczyna występu.

Gra okropnie, wzbudzając na widowni falę zażenowania, a nawet oburzenia. Unthan po prostu znęca się nad muzyką! Niektórzy widzowie odczuwają jednak także litość, wzruszeni widokiem drobnego, wywijającego smykiem kaleki, który zachowuje dumny i uroczysty wyraz małpiej twarzyczki, chociaż nad jego zmarszczonym czołem zwiesza się już masa rozwichrzonych, falujących włosów. Kiedy mniej więcej dwadzieścia minut później Unthan wyczerpuje swój skromny repertuar, nastrój publiczności zmienia się i wielu widzów – w tym Sugar – ma łzy w oczach, nie wiedząc jednak dlaczego. Gdy milknie rozbrzmiewające echem finałowe *crescendo*, Unthan gra ostatni, wibrujący tusz i gwałtownie opuszcza stopy na scenę, a wtedy skrzypce i smyczek spadają mu na kolana. Całkowicie już rozczochrany, „Paganini stóp” wydaje przejmujący okrzyk, nie wiedzieć, triumfu czy męki, i prostuje grzbiet. Rozlegają się trwające pełne trzy minuty owacje.

– Cha, cha! – śmieje się tubalnie Bodley. – Wybornie!

Po przedstawieniu panowie Bodley, Ashwell i Rackham krążą ulicami Soho, pijani jak beły i w doskonałych humorach, chociaż zacina deszcz. Są zgodni, że Unthan wart był pieniędzy wydanych na bilety, co niestety zbyt rzadko zdarza się w świecie, w którym przyjemności często nie spełniają oczekiwań, jakie rozbudzają ich zapowiedzi.

– Cóż, moi przyjaciele – oświadcza William. – Po występie tego sk... sk... skrzypka każda następna forma rozrhywki to obniżenie lotów. Wrhacam do domu.

– Mój Boże, Bodley! – wykrzykuje Ashwell. – Słyszysz?

– Nie namówimy cię na małe jebanko, Bill?

– Na pewno nie z tobą, Philipie.

– Okrutny sztych. – Panowie zwalniają kroku i zatrzymują się, co pozwala Sugar przemykać coraz bliżej z cienia w cień, aż wreszcie dziewczyna kryje się w jakimś ślepym zaułku, tak ciasnym, że z trudnością mieści spódnice jej sukni. Woalka przesiąknięta jest własnym, wilgotnym oddechem dziewczyny, a plecy Sugar oblewa pot, kiedy nastawia uszu. – Och, przecież nastąpiła już wiosna, Bill – mówi Bodley. – Londyn rozkwita cipkami. Nie czujesz ich zapachu?

Rackham zadziera błażeńsko nos i wciąga powietrze.

– Końskie łajno – oświadcza autorytatywnie, jak gdyby poddawał analizie skład perfum. – Psie gównu. Piwo. Dym z cygarh. Sadza. Łój wołowy. Zgniła kapusta. Piwo... Czy wspominałem już o piwie? Oliwa, którą mam posmarhowane włosy. Nie czuję ani uncji cipki, panowie... Ani drhachmy.

– Czyżby? A ja właśnie coś sobie przypomniałem, Bill – mówi Ashwell. – Bodley i ja chcemy ci o tym powiedzieć już od pewnego czasu. Pamiętasz ten wieczór, kiedy poszliśmy na Wielkiego Flatellego? Zajrzeliśmy potem do *Dalszych hulank w Londynie* i odszukaliśmy pewną dziewczynę, którą przewodnik wyjątkowo zachęcająco zachwalał...

– Chodzi o niejaką Sugarh, jeżeli dobrze pamiętam? – pyta William obojętnie, chociaż jest wstawiony.

– Zdarzyła się dziwna rzecz, wiesz? Bodley i ja poszliśmy ją odwiedzić, ale kiedy się przedstawiliśmy, powiedziano nam, że nie ma jej w domu.

– Biedne szelmy – drwi William. – Czy nie ostrzegałem, że może się tak zdarzyć?

– Owszem, pamiętam – ciągnie Ashwell. – Ale spróbowaliśmy ponownie, znacznie później tego samego wieczora...

– ...a potem, po kilku tygodniach, po raz trzeci – wtrąca Bodley.

– I tylko po to, żeby dowiedzieć się w końcu, iż owa Sugar w ogóle już tam nie pracuje! „Jakiś

zamożny dżentelmen uczynił ją swoją kochanką”, jak powiedziała nam właścicielka burdelu.

Sugar, której oddech pod woalką wilgotnieje nagle nie do zniesienia, próbuje niezdarnie przypiąć przezroczystą zasłonę do czepka z tyłu głowy.

– Jakże mi przykrho – mówi William z kpiącym współczuciem. – Ktoś was uprzedził, i to w ostatniej chwili!

Cał po cał Sugar pochyła się ku nim, dziękując losowi za deszcz, który chłodzi jej policzki, nie pozwalając, żeby oddech zamienił się w kłęb pary i zdradził miejsce ukrycia dziewczyny w mrocznym zaułku.

– Tak, ale ciekawe, kto to taki? Kto?

Teraz ich widzi; na szczęście spoglądają w inną stronę. William wybucha śmiechem, brzęcącym nad wyraz szczerze i naturalnie!

– Ja z całą pewnością nikogo takiego nie znam – powiada. – Wszyscy moi znajomi bogacze to chodzące wzory cnót. Dlatego muszę się spotykać z wami, bo z nimi nie sposób wytrzymać!

– Bądź poważny, Bill... Gdybyś usłyszał choć słówko...

– ...gdzie możemy znaleźć tę dziewczynę...

– Jeśli nie teraz, to kiedy znudzi się swojemu panu...

– To powiedz nam, bo ciągle mamy straszną ochotę, żeby z nią poswawolić.

William znów się śmieje.

– Coś podobnego... Żeby zadawać sobie tyle trudu tylko ze względu na jakąś króciutką wzmiankę w *Dalszych hulankach*... Ach, ta siła rhe... rheklamy!

– Zrobimy wszystko, żeby spróbować wszystkiego – przyznaje Bodley. – Oto przekleństwo nowoczesnego mężczyzny – stwierdza Ashwell. – A teraz dobrej nocy, przyjaciele – mówi Rackham. – To był niezwykle interesujący wieczór.

Mężczyźni podają sobie dłonie, nie zdejmując rękawiczek, i obejmują się, po czym Bodley, który gwizdże najlepiej z całej trójki, ściąga rękawiczkę i wsuwa do ust kciuk wraz z palcem wskazującym, żeby przywołać dorożkę dla Williama.

– Dziękuję bardzo – mówi Rackham. – Naprawdę muszę wracać już do domu.

– Oczywiście, oczywiście. A my musimy... co my musimy, Ashwell?

I obaj przyjaciele znikają w mroku, pozostawiając Williama pod latarnią w oczekiwaniu na rychłe przybycie dorożki. Sugar przygląda się kochankowi od tyłu. Rackham trzyma dłonie splecione na plecach tuż nad miejscem, gdzie – kiedy jest nagi – w rowku między jego pośladkami widać niezwykle wystającą kość ogonową. Wydaje się wyższy niż w rzeczywistości; rzuca w jej kierunku długi cień, czarny jak smoła na tle bruku oświetlonego latarniami gazowymi.

– Najwyższy czas, żebyśmy i my znaleźli się już w łóżkach – mówi Bodley albo może Ashwell? Zniknęli jej z oczu, a ich głosy cichną stopniowo.

– Ma się rozumieć. Ale gdzie konkretnie?...

– Myślałem o domu pani Tremain.

– Mają tam nie najlepsze wino.

– Fakt, ale za to świetne dziewczyny.

– Pozwolą nam przywieźć własne?

– Własne dziewczyny?

I już ich nie ma. William stoi przez kilka chwil w bezruchu i wznosi głowę ku niebu, jak gdyby nasłuchiwał nadjeżdżającej dorożki. Potem niespodziewanie zaciska dłoń na słupie latarni i obraca się powoli wokół jak dokazujący urwis. Chichocze pod nosem, krążąc po ciasnym okręgu, i wymachuje w powietrzu drugą ręką.

– Porzućcie wszelką nadzieję, prhóźniaki! – woła ochryłym głosem. – Nie ma jej... nie dostaniecie Sugarh... Nikt jej nie dostanie! Nikt nigdy już jej nie dotknie... – (William okręca się wciąż wokół latarni). – Nikt!

Kiedy wybucha znów śmiechem, nadjeżdża dorożka.

Sugar wyłania się ze swojej kryjówki dopiero, gdy William wsiada. Wie, że nie musi się spieszyć, zawołał bowiem wesoło: – Chepstow Villas, Notting Hill! – Wraca do domu spać, i ona może więc wreszcie zrobić to samo.

Kiedy cichnie stukot końskich kopyt, dziewczyna wychodzi, lekko kulejąc, w krąg światła. Napięte od dawna niczym struny skrzypiec mięśnie odmawiają posłuszeństwa – a jedna noga Sugar ścierpła zupełnie. Ocierając się o ściany w ciasnym zaułku, powalała suknię, na której bladej tkaninie pozostało lśniące piętno sadzy. A jednak jest w siódmym niebie. Rackham należy do niej!

Kuśtyka chodnikiem, dysząc i śmiejąc się chrapliwie pod nosem. Wraca jej czucie w nodze. Marzy o chwili, w której zanurzy się w ciepłej kąpieli w domu, i wie, że dzisiejszej nocy będzie spała jak dziecko. Usiłuje zagwizdać na dorożkę, ale kiedy tylko składa buzię w ciup, wargi rozciągają się jej w szerokim uśmiechu i zaczyna znów gardłowo chichotać. Ciągłe się zaśmiewając, rusza szybkim krokiem w stronę głównej ulicy.

Po drodze natyka się na nieznanego mężczyznę, który zdąża w przeciwnym kierunku niepewnym krokiem. Masywny, potężnie zbudowany, wygląda na grubą – w każdym sensie tego słowa – rybę, a bijąca od niego na wietrze woń zdradza, że jest pijany. Ma spuszczonego wzrok, ale kiedy dostrzega rąbek damskiej sukni, rozwianej nad ciemnym chodnikiem, z zaciekawieniem unosi głowę. Jego pulchna twarz rozjaśnia się natychmiast, poznaje bowiem Sugar, chociaż dziewczyna nie przypomina sobie, by kiedykolwiek przedtem widziała go na oczy.

– Czy to... czy to nie Sugar? – jąka się utrzymujący z trudem równowagę grubas. – Moja ty syreno marnotrawna, gdzieś ty się podziewała? Błagam cię, zaprowadź mnie do swojego łóżka, gdziekolwiek ono jest, i zajmij się moim kutasem!

– Przykro mi, panie – odpowiada Sugar i nieznacznie pochyla głowę w ukłonie, wymijając go pospiesznie, jako że widzi przed sobą ciekawsze perspektywy. – Postanowiłam zostać zakonnice.

– Między bezdennym rynsztokiem potępienia a jasną drogą do rajy stoimy my! – rozlega się dostojny kobiecy głos.

Emmeline Fox kuli się w sobie, zasłaniając wykrzywioną twarz filiżanką parującej herbaty. Pani Borlais znów daje się ponieść emocjom.

– Możemy tylko wyciągać ręce przed siebie... Ach, módlmy się, aby chwyciła je jakaś zdesperowana dusza!

Pozostałe członkinie Towarzystwa Ocalenia Kobiet, stojące w sali obrad, patrzą po sobie, pragnąc się zorientować, czy przywódczyni wzywa je do modlitwy w dosłownym sensie, czy też używa po prostu natchnionej retoryki. Dwanaście elegancko ubranych dam, w większości jeszcze mniej urodziwych niż poszarzała na twarzy pani Fox, porozumiewa się bez słów – ich oczy pozostają otwarte, a dłonie nie wznoszą się w modlitewnym geście. Za pokrytymi sadzą oknami siedziby Towarzystwa przy Jermyn Street kłębią się miliony nienawróconych mieszkańców Londynu, a za szybą migoczą cienie ich widmowych postaci.

Do pani Fox podchodzi z czajnikiem w dłoni pani Nash. Pani Nash jest kobietą prostoduszną; ma nadzieję, że przerwa między dyskusją a wymarszem do pracy w terenie potrwa na tyle długo, by mogła nalać koleżankom z Towarzystwa kolejną filiżankę herbaty.

Myli się jednak: – Siostry, pora nam ruszyć w drogę – oświadcza pani Borlais i daje zebrany osobisty przykład, zmierzając kaczym krokiem do westybulu. Pośród siedzących tam kobiet rozlega się szmer sprzeciwu, nie dlatego, by bały się wyzwania ewangelizacji, ale dlatego, że pani Hibbert zapomniała dziś biskwitów, musiała więc wyjść, ażeby je zakupić, to zaś oznacza, że większość członkiń jest wciąż o jednym tylko herbatniku – a niektóre nie jadły zgoła nic. Przywódczyni gestem daje im jednak znak, żeby powstały, cóż zatem mają począć? Owszem, już za chwilę będą się zmagać z grzechem w mrocznych kloakach Shoreditch; czy jednak odważą się jeść biskwity na ulicy? Nie.

Pani Borlais wyczuwa, że ich entuzjazm słabnie, uznaje jednak, że to dlatego, iż upadają na duchu.

– Zaklinam was, siostry – woła – abyście pamiętały, że ocalenie od potępienia chociaż jednej duszy jest warte tysiącokrotnie więcej niżli wyrwanie ciała z pazurów dzikiej bestii. A przecież gdybyście uratowały człowieka przed jakąś dziką bestią, byłybyście z siebie dumne do końca swoich dni! Bądźcie więc dumne, siostry!

Pani Fox staje za panią Borlais jako pierwsza, mimo że nie ma cierpliwości do tej próżnej gadaniny. Jej zdaniem postawa członkini Towarzystwa Ocalenia Kobiet nie ma znaczenia – nieważne, czy jest dumna, zniechęcona, żarliwa lub zmęczona. To stany ducha i ciała, które przemijają. Miliony chrześcijan odczuwały kiedyś dumę, miliony zniechęcenie, a wszystko, co z nich zostało, to tylko dusze, dusze zaś udało im się zbawić. „Liczy się ocalenie, a nie ratownicza” – tak brzmiało zawsze motto Emmeline, które przyświecałoby również Towarzystwu, gdyby to ona mu przewodziła. Pani Fox nigdy nie stanie jednak na jego czele: wie, że urodziła się na dysydentkę, której przeznaczeniem jest sprzeciwiać się grupie.

– Chodźmy więc – powiada lekceważąco, aby zasypać przepaść, dzielącą dzikie bestie i niezjedzone biskwity.

Wszystkie członkinie w liczbie dwunastu ruszają zatem w drogę. Idą razem, jak zawsze, niczym żołnierze ubrani po cywilnemu. A jednak w niecałą godzinę po wymarszu Emmeline Fox odłącza się od swoich towarzyszek, by podjąć delikatną misję odnalezienia pewnego brzemiennego dziecka w cuchnącym, ślepym zaułku.

Tymczasem Sugar siedzi w lśniącej czystości, jasno oświetlonej herbaciarni na Westbourne

Terrace nad filiżanką wystygłej specjalności zakładu i nadgryzionym racuchem z mąki pszennej. Podśluchoje siedzącą przy sąsiednim stoliku służącą, która wesoło je, pije i rozmawia ze swoją przyjaciółką. Sugar siedzi samotnie, wbiwszy bezmyślnie wzrok w dryfujące w jej herbacie odbicie zawieszanej pod sufitem lampy. Jest odwrócona plecami do rozmawiających, a uszy ma czerwone.

Nie sądź po pozorach: Sugar zazwyczaj nie spędza w ten sposób wtorkowych popołudni; prawdę mówiąc, dziś czyni to po raz pierwszy. No nie, naprawdę! Otóż William Rackham wyjechał do Cardiff, gdzie zabawi do czwartku, a Agnes Rackham jest niedysponowana. Zamiast mitrzyć więc czas, cóż szkodzi Sugar śledzić pokojówkę Agnes, Clare – która ma dziś wolne popołudnie – i przekonać się, co z tego wyniknie.

Trzeba przyznać, że na razie pomysł okazuje się jak najbardziej wart zachodu. Clara jest cudownie gadatliwa, a w każdym razie w towarzystwie tej Irlandki, do której zwraca się (jeśli Sugar dobrze słyszy) „Shnide” – jest to pokojówka jakiejś damy, ubrana identycznie jak Clara. W herbaciarni panuje cisza, a na sali siedzi zaledwie pięcioro gości; wciąż rozbudowywany dworzec Paddington odciąga klientów, skazując ten lokal na zagładę. Na szczęście dla Sugar, która miałaby kłopoty z podsłuchaniem rozmowy na gwarnej stacji, Clara i Shnide uradziły, że w herbaciarni będzie im znacznie przyjemniej, z dala od tych wszystkich cuchnących obcokrajowców i dzieci. Sugar bardzo powoli sączy herbatę i chwilami zabawia się widokiem mikroskopijnego odbicia obu służących w swojej łyżeczce, słuchając płynącej od ich stolika fali plotek oraz wyrazów niezadowolenia.

Oto czego się tymczasem dowiedziała: William Rackham to okropny typ, prawdziwy tyran. Najpierw trzymał dom w lekkim uścisku wiotkiej dłoni, a teraz kieruje nim żelazną ręką. Kiedyś nie był w stanie spojrzeć nikomu w oczy, a teraz „potrafi przejrzeć człowieka na wskroś”. W ubiegłym tygodniu wygłosił mowę o tym, że każdy dorównujący mu majątkiem bogacz mógłby w jednej chwili zatrudnić bardziej elegancką służbę, on jednak nawet o tym nie myśli, wie bowiem, jak ciężko jego dziewczęta pracują na utrzymanie. Oczywiście wszystkie służące z sutereny są teraz przerażone.

Ale William Rackham nie jest najgorszy: nie, niechęć Clary wzbudza przede wszystkim pani domu, ta chytra, dwulicowa istota, która jednego dnia udaje chorobę i słabość, aby kiedy indziej tym bardziej dokuczać nic niepodjęzawającej służbie niespodziewanymi napadami złego humoru i niestychanymi poleceniami.

– W grudniu łośńskiego roku sądziłam, że umrze. A dzisiaj czasem myślę, że to prędzej ja skonam.

Clara powiada, że chciałaby znaleźć posadę u jakichś mniej wymagających chlebobawców, ale obawia się, że Rackhamowie nie wystawią jej dobrych referencji. – To by do nich pasowało – syczy. – Dobrej służącej nie pozwolą odejść, a złą wyrzucą na bruk.

– Jesteśmy niewolnicami – potwierdza Shnide. – Traktują nas nie lepiej niż niewolnice.

Potem zaczynają rozmawiać o swoich przyjaciółach płci męskiej i okazuje się, że obie mają kochanków. Sugar bardzo dziwi ta informacja – wciąż zapomina, że samotne kobiety poszukują towarzystwa mężczyzn, nawet kiedy nie muszą. Zrozumiałaby, gdyby szukały stręczycieli albo jakichś bogatych opiekunów. Ale szukać przyjaciół? Przyjaciół bez pieniędzy, którzy mieszkają w noclegowniach, jak ten Johnny Clary i Alfie Shnide? Co może im się w nich podobać? Sugar zamienia się w słuch, kiedy jednak służące całują się i wstają, nie jest ani trochę mądrzejsza niż przedtem. Jak te dwa kłębki nienawiści, te dwie drobne plotkary, mogą wyznawać komuś „miłość”? (Szczególnie jeśli ten ktoś jest ohydny, zarośnięty, śmierdzący jak pies mężczyzną o przetłuszczonych włosach i brudnych paznokciach...)

– Pamiętaj, co ci powiedziałam – mówi Shnide. – Nie pozwól mu traktować cię jak szmatę.

O kim mówi Irlandka? O Johnnym Clary? Czy o Williamie Rackhamie? Clara uśmiecha się z przymusem, jak gdyby teraz czuła się na siłach podporządkować sobie jednego, drugiego albo obu naraz. *Ty prostaczo!* Sugar ma ochotę jej nawymyślać. *Ta twoja prawdziwa miłość najprawdopodobniej leży teraz z kutasem wciśniętym głęboko w jakąś dziurę! A William wyrzuci cię na ulicę jak zgniłe jabłko, jeżeli kiedykolwiek ośmielisz mu się sprzeciwić!* Jej wściekłość jest tym większa, że pojawiła się nagle i w pełni dojrzała, buchając w milczącej ciemności niczym ogień w

zamkniętym magazynie. Sugar przygryza wargę, podczas gdy obie służące, paplając bez ustanku, wychodzą na zalaną słońcem ulicę; dziewczyna ściska filiżankę w dłoni, modląc się, żeby jej nie rozgnieść, i pragnąc zarazem na poły, aby jednak pękła.

– Smakowała herbatka? – chwilę później pyta ją sarkastycznie właściciel herbaciarni, kiedy Sugar płaci mu za przywilej podsłuchiwania dwóch służących przez całą godzinę w przyjemnym otoczeniu.

Pilnuj się, do cholery, syczy Sugar w duchu, wśród myśli kłębiących się w jej rozpalonej do czerwoności głowie. *Dla ciebie każdy klient jest na wagę złota.*

– Owszem, dziękuję – odpowiada i spuszcza skromnie wzrok, jak gdyby była damą w każdym calu.

Kilka godzin później Agnes Rackham staje w oknie sypialni Clary – nie jest to pokój, który zazwyczaj odwiedza, ale ostatnio trudno odgadnąć, gdzie pojawi się jej anioł stróż, a sypialnia na strychu stanowi doskonały punkt obserwacyjny. Agnes spod przymrużonych powiek wpatruje się przez szybę w cętkowane słońcem drzewa, pod którymi po wschodniej stronie posiadłości Rackhamów pojawia się czasem jej anioł. Nikogo nie widać – a w każdym razie nikogo, na kogo warto by zwrócić uwagę. Shears krząta się w ogrodzie: okręca drucikami łodygi kwiatów, żeby rosły prosto, a także wrywa chwasty i upycha je do kieszeni spodni. Gdyby tylko sobie poszedł, może objawiłby się jej anioł stróż. Agnes zauważyła, że przybierający postać kobiety anioł lęka się obcych.

W sypialni Clary unosi się niemiły zapach perfum. Jakie to dziwne, że ta dziewczyna zawsze skrupulatnie dba o to, by niczym nie pachnieć za dnia, ale przed pójściem spać naciera się perfumami. Agnes odchodzi od okna i schyla się, żeby powąchać poduszkę służącej. Zalutuje czymś wulgarnym: tanimi perfumami od Hopsoma – albo może Rackhama. Jaka szkoda, że Wiliam musi firmować takie śmieci; w przyszłości, jeśli jego gwiazda nadal będzie błyszczeć, być może skoncentruje się wyłącznie na produkcji najbardziej wytwornych i ekskluzywnych perfum – perfum dla księżniczek.

Agnes chwieje się na nogach. Znowu bardzo boli ją głowa; jeżeli nie będzie uważać, przewróci się i znajda ją śpiącą na łóżku Clary, z twarzą wtuloną w tę odurzającą poduszkę. Prostuje plecy, podchodzi znowu do okna. I oto pod nakrapianymi cętkami słońca drzewami, ledwo widoczna między jaśniejącymi prętami świeżo pomalowanego płotu, sunie migotliwa postać jej anioła stróża. Po chwili znika, wessana z powrotem w eter; tak szybko, że pani Rackham nie ma czasu, żeby jej pomachać. Ale widziała ją.

Agnes wybiega z pokoju Clary, dysząc ciężko. Serce jej trzepocze, biust piecze, jak gdyby ktoś mocno ścisnął ją za piersi, a ból w głowie rozkosznie ustępuje, kurczy się do wielkości kawałka lodu, tkwiącego za lewym okiem, i można go wytrzymać; bo lodowa pięść w czasie Agnes roztopiła się i teraz jest nie większa niż owoc winnego grona.

Idzie po schodach – ponurych, niewyłożonych dywanem schodach dla służby – niżej, gdzie zaczyna się właściwy dom. Wbiega do salonu, w którym po raz kolejny zadziwia i zachwyca ją nowa tapeta. Siada przy pianinie. Stoją na nim otwarte nuty utworu pod tytułem *Crocuses Ahoy*; Agnes zanotowała na nim, gdzie powinna uwzględnić trzydziestkidwójki. Gra pierwsze akordy, potem jeszcze raz i jeszcze raz, i znowu. Nuci nową, cichą i słodką melodię, którą sama wymyśla, akompaniując sobie na pianinie. Śpiewa z początku z wahaniem, ale potem nutki zaczynają układać się w ujmującą melodię. Jest dzisiaj niebywale twórcza! Prawdziwa z niej kompozytorka! Postanawia śpiewać swoją piosenkę tak długo, jak tylko zdoła, wznieść ją aż do nieba, by wryła się Bogu w pamięć, i czekać, aż ten ześle wreszcie kogoś, kto ją dla niej zapisze, wydrukuje ładnie i poniesie w najdalsze zakątki świata, aby kobiety mogły ją nucić wszędzie. Śpiewa i śpiewa, tymczasem zaś służba dyskretnie odkurza dom, a w kuchni, ukrytej w suterenie, oskubana, bezwładna i lekko jeszcze parująca kaczka rozwiera na desce swe krostowate nogi.

Później zmęczona muzykowaniem Agnes idzie do sypialni i bawi się nowymi kapeluszami. Paraduje w nich dumnie wyprostowana przed lustrem i wygładza zmarszczki na osłoniętych

jedwabną tkaniną biodrach. Widzi w zwierciadle pewną siebie młodą kobietę (słowo „kobieta” stało się ostatnio bardzo modne w czasopiśmie dla pań, zatem z pewnością można go bezpiecznie używać), w pełnej zbroi połyskliwego stanika; Agnes jest dumną, elegancką kobietą, która nie ma się czego wstydzić.

– Znów jestem piękna – słyszy swój własny głos.

Sięga po najbliższe pudło, unosi wieko i wyciąga zwój krepy. W środku na tle jadeitowego filcu kapelusza połyskują szmaragdowoszklane oczy wypchanego drozda, zdobiącego nakrycie głowy. Agnes wyciąga z pudła skarb za rondo i niepewnie gładzi pióra martwego ptaka. Jeszcze przed rokiem bałaby się, że ożyje na jej głowie; teraz z niecierpliwością czeka, aż będzie mogła pochwalić się nim publicznie, ponieważ wygląda naprawdę bardzo ładnie.

– Nie boję się.

Nie, Agnes się nie boi, co ostatnio udowadnia wszędzie. Wchodzi na sale balowe albo do pełnych niebezpieczeństw jadalni i sunie przez nie majestatycznie niczym ktoś, kto usiłuje wyminąć groźnego psa, zagadując go wesoło. Niewątpliwie niejedna dama, która tak uprzejmie ją pozdrawia, kryje w głębi duszy ostrą, kobiecą zawiść i chciałaby zranić z rozkoszą panią Rackham, ale Agnes wcale to nie obchodzi. Nie ustępuje nikomu!

Tymczasem odniosła wiele sukcesów, albowiem zabawa, która trwa sto dni, już dawno się zaczęła, a Agnes okazuje się jedną z jej nieoczekiwanych gwiazd, tym bardziej popularną, że dostarcza małego *frisson* ryzyka umęczonym, lecz żadnym rozrywki uczestnikom Sezonu, lecącym ku światłu, jakim jest pani Rackham.

– *Agnes Rackham? Nie, zaiste, kochanie, ona jest czarująca! Tak, kto by pomyślał! Ale pozwól, że ci opowiem, jaki wydała obiad! Wszystko było czarno-białe, dosłownie wszystko, kochanie. Czarne stoły i krzesła, białe obrusy, czarne świeczniki, biała porcelana, sztuczce pomalowane na białą, białe serwetki, czarne miski z wodą do rąk. Nawet jedzenie było czarno-białe, słowo daję! Podano solę z przypieczoną na czarno skórką, czarne grzyby i pieczoną dynię... w białym sosie. Alfred był jednak poirytowany, nie serwowano bowiem czerwonego wina – tylko białe! Ale w miarę upływu czasu humor mu się poprawiał. Pani Rackham była bardzo wesoła i śpiewała cicho najśłodszym z możliwych głosów. Z początku nikt nie wiedział, jak się zachować – czy powinniśmy udawać, że nic nie słyszymy? – ale potem pan Cavanagh, adwokat, zaczął podśpiewywać „pom, pom, pom” tym swoim tubalnym barytonem, w niższej tonacji, wszyscy uznali więc, że nie ma w tym nic gorszego. Z kolei po obiedzie podano lody, z sosem z lukrecji! Wtedy poczuliśmy się już szalenie swobodnie, prawie jak jacyś okropni dowcipnicy, ale nikomu to nie przeszkadzało. Naprawdę dziwna kobieta z tej pani Rackham. Ale, och! Bawiliśmy się świetnie. O mało nie umarłam ze śmiechu!*

Oryginalne pomysły, jak czarno-biały obiad, to znak rozpoznawczy rosnącej sławy Agnes. W głowie roi się jej od nowych pomysłów; jedyny problem polega na tym, jak wykorzystać najlepsze z nich, skoro liczba zaplanowanych imprez jest ograniczona. Aromatyzowane cynamonem świece? Przepaski na oczy i paczki, których zawartość trzeba rozpoznać po omacku? Oba pomysły będą musiały poczekać, pierwszy do dwudziestego czwartego, a drugi do dwudziestego dziewiątego dnia miesiąca...

Agnes jest pod każdym względem najnowocześniejsza z nowoczesnych kobiet. Plecy jej sukni to idealne łuki, których linii nie łamią kokardy ani falbanki. Słyszała pogłoskę, że dni pancernych staników są policzone i że do łask wracają poloneski: jeśli to rzeczywiście kiedyś nastąpi, Agnes będzie gotowa! Co do kapeluszy, to podarowała wszystkie swoje stare nakrycia głowy pani Jordan, by przekazała je instytucjom charytatywnym. Nowe kapelusze Agnes przystrojone są kolibrami, wróblami i kanarkami; kapelusik z szarego aksamitu (specjalnie oznaczony, żeby nie zapomniała włożyć go na przedstawienie w Royal Albert Hall 12 czerwca) zdobi turkawka, której widok z pewnością wzbudzi liczne głosy uznania. (Wzdychające z zachwyty damy nie będą zdawać sobie sprawy, że ten spory ptak wcale nie ciąży jej na głowie! Coś się dzieje z tymi stworzeniami, kiedy się je wypycha, Agnes nie wie co, ale przecież z łatwością można by nosić na głowie i sześć wypchanych turkawek, choć oczywiście byłoby to prostackie – jeden ptak wystarczy w zupełności). Jeśli zaś chodzi o ozdobiony gołębiem kapeluszek w kolorze granatowym, to... instynktowny dobry

smak pani Rackham każe jej się nad tym jeszcze zastanowić. Po dłuższym namyśle postanawia usunąć gołębia i zastąpić go niebieską sikorką, ponieważ... cóż, w gołębiach jest jednak coś pospolitego, bez względu na to, ile mogłoby kosztować ich wypchanie.

Ach! Decyzje, decyzje! Agnes świeci blaskiem w tym Sezonie nie tylko z uwagi na swój odważny gust: sprzyjają jej również okoliczności, co widać najlepiej na przykładzie koloru włosów, który wszedł właśnie w modę – jest to bowiem kolor włosów pani Rackham! Agnes ma już jasne treski, których tak rozpaczliwie pożądają dzisiaj wszystkie kobiety, jak również wielki wybór peruczek, które pozwalają jej konstruować skomplikowane fryzury, będące *de rigueur* w kręgach śmietanki towarzyskiej. Tymczasem wszystkie jej rywalki mają duże kłopoty z nabyciem jasnych peruk, ponieważ fabryki skupują głównie ciemne włosy od francuskich chłopek.

Kwestia figury: i tutaj sprzyja jej szczęście! Wąski stan i chude jak szczapy ramiona, które stały się jej udziałem wskutek choroby, idealnie spełniają wymagania nowej mody; ba, Agnes waży nawet o kilka uncji mniej, niżby należało. Podczas gdy inne damy torturują się głodówkami i dietą, pani Rackham odziedziczyła *la ligne* bez wysiłku. Czy można się dziwić, że nadal nie je zbyt dużo, choć czuje się już dobrze? Obżerać się teraz, kiedy ma najszczuplejszą talię w życiu, byłoby przestępstwem, a Królowa, niech Ją Bóg ma w opiece, stanowi ostrzegawczy przykład tego, co grozi damie drobnej budowy ciała, która nie zachowuje umiaru w jedzeniu i picciu. Agnes zauważyła, że kawałek owocu i jeden lub dwa plastry zimnego mięsiwa wystarczą jej w zupełności, szczególnie w połączeniu z porcją tej słodkiej, niebieskiej nalewki, którą poleciła jej pani Gooch. Leżąc samotnie w łóżku, pani Rackham ze szczególną przyjemnością liczy swoje zębra.

W ubiegłym tygodniu przymierzyła suknię, którą w grudniu uszyła na maszynie z pomocą Clary – ale stan i rękawy okazały się wygniecione i workowate! Zamiast więc próbować usunąć usterki, dała sobie spokój i zaczęła szyć nową suknię pod okiem biegłej krawcowej. Cóż za ekstrawagancja! Problem oszczędności już jednak nie istnieje: William jest teraz bogaty, a pensja, którą jej wypłaca, zdaje się nieograniczona. Dawne pełne dezaprobaty spojrzenia i wyrzuty zniknęły bez śladu; William wręcz zachęca ją do wydatków i uśmiecha się łagodnie, kiedy Agnes kieruje procesją służących, wnoszących na górę rozmaite pakunki.

William stara się, jak może, by się z nią pogodzić – Agnes musi to przyznać. Nic nie złagodzi bólu, który wycierpiała, ale... cóż, nie ma wątpliwości, że teraz mąż o nią dba. Poza tym wygląda naprawdę przystojnie z tą nową brodą i ubiera się elegancko.

Zauważyła też, że William posiadał nieodzowne w pewnych kręgach manieri, które świadczą o tym, że zbił majątek już dawno temu, chociaż w rzeczywistości dopiero go gromadzi. Ćmiąc z poważną miną cygareto, Rackham odchyła więc teraz głowę do tyłu, jak gdyby zastanawiał się nad jakimś pytaniem metafizycznym, i emanuje mocą, którą zapewniają mu pieniądze, lecz nie wspomina słowem o Rackham Perfumeries, rozprawia natomiast o książkach, malarstwie i wojnach w Europie. (Choć Agnes z wojen w Europie nic sobie nie robi: nawet jeśli Paryż spłonie do szczętu, ona będzie samodzielnie projektować suknie!) Podczas ostatnich przyjęć wszystkie ustosunkowane osobistości zdają się ciągnąć w ten kąt pokoju, w którym siedzi William. Wyobraźcie sobie tylko! William Rackham, wieczny student, próżniak – człowiekiem sukcesu!

Jeśli chodzi o jej występy publiczne, to radzi sobie znakomicie, lepiej, niż mogła przypuszczać. Ani razu nie straciła przytomności i ani razu nie doszło w tym Sezonie do takich incydentów jak w minionych latach, kiedy inni goście złośliwie komentowali zupełnie normalne uwagi albo zachowania pani Rackham, okrywając ją hańbą. Wiele się po tych wypadkach nauczyła i teraz bezustannie ma się na baczności.

Zerka w lustro w garderobie – to lustro lubi najbardziej, ponieważ może je ustawiać pod dowolnym kątem, a kiedy uklęknie i podniesie wzrok, widzi się w nim jak gdyby z lotu ptaka. Jako że nie ma chyba nikogo na świecie, kto byłby niższy od niej, jest to okoliczność wprost nieoceniona. Agnes przykłęka, podnosi wzrok i widzi to samo, co Bóg i ludzie z balkonów w Royal Albert Hall: wyjątkowo urzekającą osobkę, przynoszącą chwałę płci niewieściej. Szeroko otwiera jasniebieskie oczy, aby wygładzić zmarszczkę na czole. *Basta*, mówi głos zza lustro.

Kłęcząc nad fantazyjnym deseniem tureckiego kobierca, pani Rackham znów odczuwa słabość i dźwiga się ciężko. Wystarczy trochę chłodnego powietrza w oknie, aby zażegnać niebezpieczne

zawroty głowy.

Co przypomina jej, jak idealnie ułożył się dla niej plan imprez w tegorocznym Sezonie! Jak gdyby opracowano go specjalnie dla pani Rackham! Tylko bardzo nieliczne zobowiązania zmuszają ją do przebywania w załoczonych salach; przeciwnie, na ogół bawi się na dworze, w ogrodach, na dziedzińcach, ulicach i w pawilonach. Już samo świeże powietrze działa na nią jak środek tonizujący, a kiedy tylko robi jej się słabo, chwyta się czegoś i udaje, że podziwia jakiś widok. Gdy zaś wszystkie oczy wznoszą się ku górze, by oglądać ognie sztuczne, nikt nie spostrzeża, że w ustach Agnes znika niewielka pigułka!

Nie ma nic przeciwko temu, by chodzić na przedstawienia operowe i koncerty; choć musi wówczas przebywać w pomieszczeniach zamkniętych, może pozwolić swobodnie błądzić myślom, wyjąwszy antrakty. Siedzi sobie wygodnie obok męża, a jej duch unosi się w górę, spoglądając na swą powłokę cielesną pomiędzy kandelabrow.

(To niezwykle widok, tak samo dla postronnych obserwatorów jak i dla Agnes. Ostatnio szyje suknie i rękawiczki z nowego materiału, który lśni w półmroku. Gdy zatem w teatrze albo operze w oczekiwaniu na mającą się rozegrać na scenie tragedię zapada ciemność, Agnes Rackham pozostaje widoczna. Publiczność na balkonach widzi, jak jej biała dłoń unosi maleńką lornetkę do oczu, z których potem spływają łzy wzruszenia, albowiem w lornetce ukryte są sole trzeźwiące, których ostre opary mogą drażnić oczy, zwłaszcza jeśli wejdą z nimi w kontakt).

W ten sposób Agnes przesiedziała na *Lohengrinie* Wagnera w wykonaniu zespołu Królewskiej Opery Włoskiej, na *Hugonotach* Meyerbeera i *Requiem* Verdiego, którym w Royal Albert Hall dyrygował signor Verdi we własnej osobie, niepokojąco cudzoziemskiej urody. Była też obecna i zauważona na *Hamlecie* w wykonaniu pana Henry'ego Irvinga w Lyceum, a chociaż bardziej podobała się jej zaprezentowana niejako na zakąskę sztuka *F/5/7 out of Water* pióra pani Compton, wiedziała dobrze, że nie powinna nikomu o tym mówić. Zapragnawszy urozmaicenia i chcąc podnosić ten temat w rozmowach, Agnes poszła także na *Hamleta* w reżyserii signora Salvaniego, przedstawienie grane w całości po włosku w Theatre Royal, które wydało jej się nieporównanie lepsze, szczególnie z uwagi na o wiele dynamiczniejszą scenę pojedynku i nieco pospolitą Ofelię, która za tę właśnie zwyczajność jeszcze bardziej zasługiwała na śmierć niż jej angielskie wcielenie. (Agnes przebiega wciąż dreszcz na wspomnienie spotkania z przerażającym płótnem Millaisa w galerii sztuki przed laty: przeżyła wtedy wstrząs na widok niewinnej, podobnej do niej młodej damy – na szczęście nie blondynki! – martwej topielicy o szeroko otwartych oczach, przed którą tłoczyli się mężczyźni, wyrażający się z podziwem o tym, jak malarz ją „odrobił”).

Agnes jest sama w sypialni. Czyni znak krzyża, a potem nerwowo rozgląda się dokoła w obawie, czy mimo wszystko ktoś jej nie widział w trakcie tej czynności.

– Clara? – pyta na wszelki wypadek, ale Clara bawi wciąż poza domem i na pewno plotkuje z Sinead, dziewczyną od pani Maxwell, albo jest zajęta tym, czym zwykle zajmuje się w wolne popołudnia.

Powinnam najać pokojówkę, która dorównywałaby mi inteligencją, myśli nieoczekiwanie Agnes. Słowo daję, kiedy próbowałam wytłumaczyć jej, jak ważny był występ Psycho, okazało się, że nie ma zielonego pojęcia, o czym mówię.

(Informacja do wiadomości pechowców, którzy nie mieli okazji zobaczyć tego przedstawienia w Lyceum: Agnes wspomina pierwszy pokaz Psycho, mechanicznej lalki wielkości dziecka, która – jak to określono w programie – tańczy i popisuje się różnymi sztuczkami „bez pomocy sznurków i jakiegokolwiek asysty”).

Dla Agnes pokaz Psycho stanowi, jak dotąd, najlepszy spektakl teatralny Sezonu. Występ wywarł na niej tak głębokie wrażenie, że niemal nie słyszała zrzędzenia Bodleya i Ashwella, siedzących gdzieś po lewej ręce jej męża. Była całkowicie przekonana, że Psycho porusza się w pełni niezależnie od stojącego obok niego na scenie dżentelmena i że ożywiająca go dusza pochodzi z niewidzialnego Skądinąd. Sztuczki magiczne, które wykonywał Psycho obracającymi się bezszelestnie kończynami, nie znaczyły nic dla niej same w sobie – bardziej elektryzowało ją to, że ten mały mechaniczny człowieczek jest nieśmiertelny. O ile dusza Agnes musiałaby trafić do czyśćca, gdyby jej ciało przypadkiem uległo rozkładowi i zniszczeniu (na przykład w pożarze, jaki

mógłby wybuchnąć nawet tu, w tym teatrze!), o tyle Psycho by przetrwał. Nawet gdyby został zmiażdżony, można by go zwyczajnie stopić i odlać na nowo, a wtedy jego dusza po prostu wślizgnęłaby się z powrotem w ciało. Ach, cóż za szczęśliwe stworzenie!

Pani Rackham stoi przy oknie, ścisną w dłoni chusteczkę i rozgląda się po posiadłości w poszukiwaniu śladów anioła stróża. Shears macha do niej z klombów hortensji. Agnes uśmiecha się, a potem spogląda na swoją zaciśniętą pięść. Kiedy ją otwiera, chusteczka w całości rozkwita na jej dłoni. Ach, jakże chciałaby być taką chusteczką!

Ostatnio dużo rozmyśla o śmierci i zmartwychwstaniu. To dziwne powody do zadumy pośród gwaru Sezonu, ale pani Rackham nic na to nie może poradzić: takie są filozoficzne skłonności jej umysłu. Potrafi być wesoła i czarująco śpiewać dla gości, ale naprawdę, czy w życiu jest coś równie ważnego jak pytanie, co dzieje się z ciałem człowieka po śmierci?

Nikommu ani słówka, ale Agnes podejrzliwie traktuje niebo, jakie opisuje tradycyjna religia; i nie ma ochoty trafić po śmierci do raju zaludnionego duchami. Chce się raczej obudzić w najzupełniej cielesnej powłoce w Klasztorze Zdrowia, by zacząć lepsze życie. Niemal każdej nocy śni się jej ten sam sen, w którym przechodzi pod opuszczaną kratą bramy klasztornej już nie jako Agnes Rackham z Chepstow Villas w Notting Hill, lecz zarazem niejako duch.

Jak miło byłoby porozmawiać o tych sprawach z Henrym, jej szwagrem. Agnes chowa pod łóżkiem kilka ezoterycznych książek, w których znajdują się wzmianki o raju na ziemi. Pismo Święte obiecuje (a w każdym razie tak utrzymują jego autorzy), że pewnego dnia cnotliwi wstaną z martwych ciałem... Niewątpliwie Henry mógłby jej powiedzieć o tym coś więcej, skoro tak dobrze zna Biblię i inne mistyczne dzieła! (Poza tym Agnes go lubi. Henry nie jest podobny do innych znanych jej osób wyznania anglikańskiego; otacza go jakaś nieuchwytna... katolicka aura. Przypomina jej trochę świętego i męczennika. William powiedział kiedyś, że Henry nie jest jeszcze duchownym, ponieważ uważa, że nie osiągnął odpowiedniej czystości ducha i szlachetności moralnej; Agnes podejrzewa jednak, że to wszystko bzdury, prawdziwy problem polega bowiem na tym, iż to dla Henry'ego anglikanizm nie jest dość czysty i szlachetny).

– Czy Henry również został zaproszony? – pyta Williama, ilekroć wychodzą razem na jakieś przyjęcie.

– Nie – odpowiada za każdym razem jej mąż lub mówi: „Diabli wiedzą” albo „Jeżeli tak, to wątpię, czy się pojawi”. I oczywiście Henry Rackham nigdy nie przychodzi.

– A tutaj będzie? – dopytuje się uparcie Agnes na otwartych imprezach publicznych. – Tu przecież może przyjść dosłownie każdy.

– Henry nie cierpi opery – odpowiada niechętnie William, zły, że marnuje znów swój cenny czas na obowiązki towarzyskie. Albo też: „Henry nie pochwała sztuki teatralnej. I szczerze mówiąc, wcale mu się nie dziwię”.

– Zobacz, Williamie, widzę panią Abernethy.

Po czym, postanawiając robić dobrą minę do złej gry, Agnes oddycha głęboko, przyciska do piersi lornetkę z solami trzeźwiącymi i rusza z tłumem gości przez połyskliwy hol, by zająć miejsce pośród... cóż, jeśli nie pierwszych dziesięciu, to z pewnością pierwszych dwudziestu tysięcy najznamienitszych obywateli miasta.

Choć Agnes bardzo pragnie odwrócić się na jakiejś imprezie Sezonu i przypadkowo zauważyć zmierzającego ku niej Henry'ego Rackhama, jej życzenie nie zostaje spełnione. Ktoś jednak przez cały czas wiernie towarzyszy pani Rackham, choć ona o tym nie wie; jest ktoś, kto przeciska się przez tłum, żeby być blisko niej, kto nie zważając na złą pogodę, odwiedza te same teatry, co ona, i kto słono płaci, by siedzieć w pobliżu i przyglądać się delikatnie lśniącym w przyćmionym świetle sukniom Agnes.

Sugar uczestniczy w swoim pierwszym Sezonie.

Oczywiście, bierze w nim udział bezprawnie, a zatem w innym charakterze niż goście należący do śmietanki towarzyskiej. O ile jednak może i na ile ją stać, partycypuje w Sezonie. Drzwi i progi niektórych domostw przekraczają wyłącznie nieliczni wybrańcy, otoczeni aureolą szlachetnego urodzenia, uzbrojeni w zaproszenia od pani Iks czy baronowej Igrek, ilekroć zatem Rackhamowie

znajdują się w takim gronie, Sugar nie może ich śledzić. Lecz kiedy odwiedzają mniej ekskluzywne imprezy, zwłaszcza pod gołym niebem albo w ogromnych wnętrzach, w których kłębi się gwarny tłum, możesz być pewny, że Sugar podąży śladem małżonków, chłonąc otaczającą atmosferę i kręcąc się w cizbie niby śmieć, który unosi się na wodzie w forwaterze barki towarowej.

Chcąc jak najmniej zwracać na siebie uwagę, Sugar przestrzega ściśle zasad skromnego ubioru. Jej garderoba, dawniej tak bogata w zielenie, błękity i złocistości, wyblakła teraz, przybierając odcienie szarości i brązów; można powiedzieć, że dziewczyna chodzi w wytwornej żałobie. Na tle tych mrocznych odcieni rudy kolor jej włosów staje się raczej przekleństwem niż błogosławieństwem, a cera Sugar sprawia wrażenie chorobliwie bladej. Wszyscy mówią do niej „proszę pani”, a dorożkarze pomagają jej wysiadać, by nie skrzyła nogi w kostce, stawiając stopę na twardej nawierzchni ulicy, po której nie zwykła chodzić. Nie dalej jak kilka dni temu jakiś urwis na Piccadilly Circus zaproponował, że za pół pensa wytrze jej mokry parasol w swoją brudną koszulę, co tak ją zaskoczyło, że dała mu sześć pensów.

Szacunek, którym się cieszy, wydaje jej się niebywale zaskakujący, tym bardziej że gdziekolwiek śledziłaby Rackhamów, nigdy nie jest jedyną dziwką w tłumie. Teatry, sale operowe, boiska i ogrody to w Sezonie miejsca najchętniej odwiedzane przez prostytutki wyższej klasy, w tych miejscach nie brakuje bowiem samotnych dżentelmenów, którzy krążą po balkonach albo kryją się za ogromnymi namiotami, pragnąc, żeby ktoś wybawił ich od nudy. Kiedyś na takich imprezach bywała Amy Howlett, zanim straciła cierpliwość, by bez końca czekać na klienta.

Kryjąc twarz za wachlarzem lub woalką, Sugar podejmuje sezonową grę – z prawdziwą przyjemnością. Dlaczego nigdy wcześniej tego nie robiła? To prawda, pensja, jaką wypłaca jej Rackham, wynosi więcej niż zarobki u pani Castaway, dziewczyna właściwie nie może jednak twierdzić, że była dotąd za biedna, by teraz dopiero postawić nogę w sali koncertowej. Mimo to przez te wszystkie lata zamykała się w pokoju na piętrze jak więźniarka! Och, tak, zgoda, napisała – a raczej pisała – powieść, ale czy wyjście do teatru byłoby czymś tak naprawdę błazeńskim? To dziwne, ale przypomina sobie, że w książce jej autorstwa „Sugar” zaczepia jedną ze swoich ofiar na Haymarket po przedstawieniu *Miarki za miarkę* – dramatu, który czytała wielokrotnie w ciszy przy świecy, nigdy nie zadała sobie jednak trudu, by kilka ulic dalej zobaczyć go na scenie. Dlaczego w ten sposób pędziła wtedy życie?

Cóż, nadrabia teraz stracony czas. Podążając w ślad za Rackhamami, na trasie ich wędrówek odwiedziła już wszystkie teatry i opery w Londynie – a w każdym razie tak się jej wydaje. W zatłoczonych szatniach tych połączonych pałaców zdejmuje pelerynę albo płaszcz, rozgląda się wokół i obserwuje czyniące to samo autentyczne damy. Czy dostrzegają jej uważne spojrzenie? A jeśli tak, to czy którejś z nich przychodzi do głowy, że Sugar przywykła raczej do towarzystwa kobiet ubranych jedynie w gorsety i majtki, zmuszonych ukrywać sińce na odsłoniętych piersiach pod warstwą pudru?

Ale nie, zamożne kobiety akceptują ją bezdyskusyjnie, a Sugar nie spodziewała się, że ich uznanie sprawi jej taką przyjemność. Spodziewała się, iż będzie nimi pogardzać jak zawsze, lecz przebywając wśród nich, przestaje odczuwać nienawiść. Właściwie – prawdę mówiąc – odczuwa niemal dreszcz emocji, gdy tylko któraś z dam w jakiś sposób okazuje jej szacunek... Kiedy na przykład uśmiecha się do niej uprzejmie w okolicach wieszaka na kapelusze, szepcze w toalecie: „Proszę bardzo, pani ma pierwszeństwo”, albo cofa się na wyłożonych dywanem schodach, żeby ją przepuścić... I nawet takie powierzchowne oznaki szacunku sprawiają, że dziewczynę przebiega dreszcz satysfakcji.

A co się dzieje około trzeciej po południu, kiedy w poszukiwaniu Agnes Rackham dziewczyna lawiruje w bezładnym tłumie robiących sprawunki przechodniów na Regent Street? Co chwila potraça rozgadane damy, dźwigające rozmaite pakunki, i zalewa ją istny deszcz przeprosin. W domu towarowym Billington&Joy tłoczą się wokół niej sprzedawcy, którzy błagają, by pozwoliła im służyć sobie pomocą, i Sugar musi uciekać, żeby pani Rackham nie obejrzała się i nie zauważyła swojej rywalki! Uśmiechając się zza woalki do subiektów, Sugar usiłuje wyjaśnić nieporozumienie, oświadczając, że jest jedynie przyzwoitką pewnej młodej damy, która robi zakupy w innej części sklepu.

I – do diabła! – sprzedawcy najwyraźniej dają jej wiarę.

Tak, Sugar na razie cieszy się Sezonem. Zgiełk i harmider wcale jej nie męczą; to miła odmiana. Wszystkie te samotne, jałowe dni w mieszkaniu przy Priory Close wyleczyły ją z pragnienia samotności; powab milczenia, tak atrakcyjny za jej młodszych lat, wygasł. Teraz ma chęć się bawić.

Trzeba jednak przyznać, że nie wszystkie spotkania z Rackhamami dostarczają jej rozrywki. Przedstawienia teatralne i koncerty czasem nieco się dłużą, szczególnie wtedy, kiedy są grane po włosku i gdy w fotelu nie jest zbyt wygodnie. Pośladki Sugar drętwieją niejedną raz podczas teatralnych maratonów z udziałem porośniętych bokobrodami Hamletów i Malvoliów albo statecznych dam o potężnych biustach, wyśpiewujących wzniosłe trele. Choć jednak boli ją tyłek, czuwa przez cały czas, co rusz obrzucając wzrokiem siedzących w pobliżu Rackhamów.

Najczęściej manifestowanym przez Williama uczuciem podczas przydługich spektakli jest znudzenie; czyta program, tłumnie ziewanie i błędzi spojrzeniem od ludzi na widowni po wiszące w górze żyrandole. Niejednokrotnie zdarza mu się patrzeć na samą Sugar, nie rozpoznaje jej jednak, widząc w półmroku tylko czepek dziewczyny albo nieokreślonego koloru suknię pośród zbyt licznych strojów. Czasami przysypia, na ogół jednak niespokojnie prze naprzód, by jakoś przeżyć ten Sezon.

W przeciwieństwie do niego Agnes śledzi wszystkie szczegóły każdego przedstawienia z największą uwagą, często podnosi do oczu operową lornetkę, uśmiecha się, kiedy trzeba, i bije brawo z nerwową gwałtownością drapiącego się zapchlonego kocura. W przerwach między owacjami pani Rackham siedzi nieruchomo, a jej jakby przezroczysta, zagadkowa twarz jarzy się niczym oblicze figury wniebowziętego świętego. Czy dobrze się bawi? Skąd Sugar ma to wiedzieć? Przyjemność odczuwa się w duchu, a udawać ją jest najłatwiej w świecie.

Sugar zaznaje jednak prawdziwej przyjemności. Musi być autentyczna, odczuwa ją bowiem nawet wtedy, kiedy nikt na nią nie patrzy.

Najcenniejszym dla Sugar odkryciem, dokonanym podczas pierwszego Sezonu, jest dobra muzyka. Przez całe życie pozostawała na nią obojętna – bądź też traktowała ją z niechęcią. Muzyka była dla niej zawsze nieznośnie naznaczona ubóstwem, fanatyzmem religijnym, pijaństwem i chorobą: przymilnym pomrukiem żebraków, rżeniem nakręcanych przez małpki katarynek, balladami, które śpiewają goście w „Fireside”, kołysząc wzniesionymi kufłami, i nabożnym biciem dzwonów kościelnych. Co do Katy Lester, która przez tyle lat grywała na wiolonczeli u pani Castaway, Sugar dopiero teraz uświadamia sobie, jak bardzo nie cierpiała jej muzyki. „To bardzo piękne, Katy”, mawiała, kiedy dziewczyna kończyła jakiś ponury utwór, choć chciała raczej powiedzieć: „Cieszę się, że jesteś tutaj z nami, a nie z jakimś mężczyzną na górze, ale proszę cię, czy mogłabyś przestać piłować tę przeklętą deskę?”.

Podczas swojego pierwszego Sezonu Sugar słucha muzyki, jakiej dotąd nie знаła. Wspaniałej, podnoszącej na duchu i będącej natchnieniem, granej przez wielkie orkiestry na lśniących instrumentach, których nazw nie zna. Z dala od beznadziei salonu pani Castaway i nędzy ulicy muzycy zebrali się jedynie po to, by czynić radosną wrzawę – tak właśnie powinno być. Nawet wiolonczela robi na niej wrażenie, kiedy nie gra na niej Katy Lester; tym bardziej że zamiast jednego porysowanego, starego instrumentu, upstrzonego plamkami sadzy z kominka, Sugar widzi ich aż osiem. Są wypolerowane na wysoki połysk, a muzycy wodzą po nich smykami z niebywałą energią i precyzją. Jakie to dziwne, oglądać tylu mężczyzn – bo orkiestra składa się wyłącznie z artystów płci męskiej – którzy oddają się zajęciu nie tylko niewinnemu, lecz wręcz... szlachetnemu. Nie myślą o niczym, tylko o muzyce. Czy to możliwe? Tylu mężczyzn razem, w jednym miejscu, i nie powstaje z tego żadne zło? Sugar przygląda się, jak delikatnie podtrzymują swoje instrumenty albo pospiesznie przerzucają kartki spoczywających na stojakach partytur, przerywając na chwilę ruchy smyczków lub dęcie, choć w górze i dookoła rozbrzmiewają wciąż wspaniałe dźwięki.

– Brawo! – woła dziewczyna razem ze wszystkimi, gdy koncert dobiega końca. Jest tak podekscytowana, że zapomina, po co tu przyszła; stoi w wiwatującym tłumie na balkonie, na który wstęp kosztuje pięć szylingów, klaszcze w dłonie i wpatruje się jak urzeczona w stojących na scenie muzyków, nie zaś w Williama i Agnes, siedzących niżej na parterze, na miejscach za dziesięć

szylingów i sześć pensów.

Owe spontaniczne reakcje, to zatracenie, Sugar włącza do repertuaru swoich zachowań stopniowo. Na pierwszym koncercie, na którym towarzyszyła Rackhamom, bała się otworzyć usta, chociaż wokoło zerwały się owacje; ba, ledwie zdobyła się na klaskanie. Ale powoli, koncert po koncercie, nauczyła zapominać się w muzyce i teraz delectuje się tym wrażeniem. Przedwczorajszego wieczora, kiedy pod sklepieniem Royal Albert Hall rozbrzmiało kończące wykonanie *Hugonotów* uderzenie cymbałów, Sugar poderwała się na nogi i zaczęła wiwatować głośno, jak wszyscy, po czym zerknąwszy w lewo, zauważyła spojrzenie nieznanego starca o porośniętej bokobrodami twarzy. Był równie wzruszony jak ona. W tej jednej chwili oboje dowiedzieli się o sobie wszystkiego, co trzeba; stali się sobie tak bliscy, jak to tylko możliwe; a przecież najprawdopodobniej nie spotkają się już nigdy.

– Brawo! – wykrzyknął stary dżentelmen, a ona krzyczała wraz z nim, nie śmiejąc spojrzeć na niego ponownie w obawie, że iskra łączącego ich porozumienia mogła już przygasnąć.

Oczywiście, Sugar wie, że otaczają ją ludzie, którzy – gdyby tylko znali jej prawdziwą pozycję społeczną – odsunęliby się od niej w strachu, iż mogłaby ich skalać. Dla nich jest tylko śmieciem. Cóż z tego, że wiele z owych kulturalnych dam o wiele bardziej przypomina prostytutkę niż ona? Cóż z tego, że w świątecznym tłumie roi się od najrozmaitszych pstrokato ubranych pań, obficie zlanych perfumami i ukrywających pod warstwą pudru przyszcze? To jednak ona, Sugar, niezłomnie skromna i świeżo wykapana, jest tutaj tajną gorszycielką. Jakże niewiele trzeba, aby ci wszyscy ludzie ujrzeni w niej jedynie kupę ekskrementów w ludzkiej postaci. Damy posyłają Sugar uśmiechy i przepraszają dziewczynę, jeśli ją potrąca, ale wyłącznie dlatego, że nie wiedzą, kim jest. Och, jakie to szczęście przebywać między ludźmi, którzy jej nie znają!

– Czyż on nie jest boski? – mówi z entuzjazmem pomarszczona, dystygowana dama, siedząca obok Sugar w Royal Albert Hall. Oczy ma zaczerwienione od dymu męzowskich cygar, a jej siwiejące włosy pokrywa kilka nie całkiem do siebie pasujących trefek koloru blond. – I przyjechał aż z Włoch!

Dama ma na myśli stojącego niżej na scenie signora Verdigo, figlarnego starego szelmę, który w tej właśnie chwili krótką, grubą batutę kieruje na członków Towarzystwa Chóralnego Royal Albert Hall i owym magicznym gestem nakazuje im wstać, zachęcając w ten sposób publiczność, by nagrodziła oklaskami wysiłek, jaki włożyli w wyśpiewanie jego nowego *Requiem*.

– Tak, jest boski – odpowiada Sugar. Te słowa brzmią w jej ustach dziwnie, choć nie zaczepnie. Signor Verdi poruszył ją – nie tylko melodiami swego *Requiem*, lecz także dlatego, że dzięki niemu dziewczyna zaczęła rozumieć, iż to monumentalne dzieło muzyczne, ową architektoniczną konstrukcję dźwięków, mogącą rywalizować z samym gmachem Royal Albert Hall, napisał na pomazanych kartkach jeden człowiek: ten stary Włoch, któremu włosy opadają na oczy. To on nakazał dudnić rozbrzmiewającym teraz w jej brzuchu kontrabasom, kiedy przytknął pióro do papieru, prawdopodobnie późną nocą – był w samej koszuli, a w pokoju obok chrapała signora Verdi. Idzie tu o rodzaj męskiej mocy, o której dziewczyna przedtem nie myślała, mocy wyniośle niezainteresowanej zniewoleniem jej, wykorzystaniem czy uwięzieniem, mocy, której jedynym celem jest nakazać powietrzu, by wibrowało rozkoszą.

A zatem tak: – Jest boski – odpowiada pomarszczonej matronie z niedopasowanymi trefkami i w nagrodę otrzymuje od niej uśmiech. Dopiero kiedy oklaski cichną, a bardziej leciwi widzowie wstają do wyjścia, Sugar zdaje sobie sprawę, że zapomniała zupełnie o Rackhamach. Czy są wciąż w gmachu opery? Nigdzie ich nie widać. Może przeoczyła coś wyjątkowo istotnego, jakąś niemą rozmowę między Agnes a Williamem, która powiedziała by jej bardzo wiele, gdyby ją zobaczyła? Może Agnes publicznie uczyniła coś niewybaczalnego?

Z czasem Sugar uznaje, że nie jest tak źle dać się ponieść emocjom, słuchając wspaniałej muzyki. Nie może obserwować Rackhamów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę; są zatem szczegóły, których nie zauważy. Poza tym szpieguje ich z prawdziwym poświęceniem: jeśli tylko nie słucha – wyłącznie dobrej – muzyki, ma oko na Rackhamów właściwie bez przerwy, nawet kiedy rozwścieczeni aktorzy walcą na szpady na scenie albo gdy blaszane kukły tańczą na niewidocznych sznurkach.

Co udaje jej się ustalić, obserwując Rackhamów z wysoka podczas tych wszystkich przedstawień? Niewiele. William raczej nie zerwie się z miejsca w ST James's Hall i nie wykrzyczy wszem wobec swoich najskrytszych lęków; a Agnes, choć William zaręcza, że jest zdolna do najdziwniejszych wybryków, trzyma tymczasem swoje szaleństwo na wodzy nawet w najbardziej niesamowitych wnętrzach. Sugar jest jednak przekonana, że jeśli tylko pozna życie publiczne Rackhamów – czyli będzie oglądać i słuchać tego, co oni – to pozna również ich życie prywatne. Co więcej, nie wiadomo, czy pewnego dnia William, leżąc z nią w łóżku, nie wspomni któregoś z tych koncertów albo przedstawień, jak na przykład *Prometheus in Albion* pana Waltera Farquhara, bo pod koniec tego spektaklu był wyjątkowo ożywiony i krzyczał: „Brawo!...”. Jeżeli Sugar zdoła odnaleźć poemat, na którym opiera się sztuka, i wyzna, że go uwielbia, William będzie mógł opowiedzieć jej treść przedstawienia, a wtedy ona przybliży mu poemat, z czego wyniknąć może wyjątkowo miłe *tête-à-tête!*

Po innej premierze Sugar widzi Williama wychodzącego z teatru. Agnes idzie obok. Czyżby wspierała się na jego ramieniu? Zapewne jest zmęczona albo źle się czuje, bo niewątpliwie nie jest to przypływ uczucia. *Zabierz ją do domu i połóż spać, na litość boską, Williamie, myśli Sugar. A potem przyjedź do mnie.* Ale kiedy tylko Rackhamowie opuszczają widownię, ktoś wprowadza ich w krąg jakichś uśmiechniętych nieznajomych – i Sugar spędza wieczór w samotności.

Zdecydowanie najciekawsze i najbardziej owocne obserwacje, dzięki którym dziewczyna naprawdę zyskuje poczucie, że dobrze zna Rackhamów, udaje jej poczynić podczas imprez plenerowych, a pogoda w tym roku nadzwyczaj dopisuje. Nawet po zachodzie słońca jest przyjemnie; nocą wrażenie ciepła potęgują czarodziejskie lampiony, piece ulicznych handlarzy, koksownicy, rozświetlone okna pubów oraz widoczne wszędzie stadka bogato wystrojonych dam. (Cóż, nie wszędzie, oczywiście. Na Church Lane w St Giles, jak zawsze, króluje na pewno ciemność i brud. Ale kto chciałby odwiedzić tę dzielnicę?)

Podczas Grand Garden Fête na Muswell Hill za pół korony nabywa prawo wstępu na rozświetlony księżycowym światłem teren nowego Alexandra Palace, którego bramy przekracza zaledwie kilka sekund po Williamie i Agnes. (Prostacy przychodzą tu jedynie za dnia). Od tej chwili, o ile będzie unikać porozwieszanych na drzewach lampionów, może niepostrzeżenie towarzyszyć Rackhamom niemal na wyciągnięcie ręki.

Śledzi Williama i Agnes już od kilku tygodni. Zna łuk pleców Rackhama i jego rozkołysany tyłek jak... no, jak własną kieszeń. Dobrze wie, że Agnes nie kołysze biodrami (prawie wcale) i że turniura podskakuje jej w górę i w dół (gwałtownie). W tłumie, szczególnie wśród przechodniów, Agnes Rackham jest zazwyczaj tą kobietą, którą prawdopodobnie najtrudniej byłoby wziąć za prostytutkę. Powściągliwość i nieprzystępność manifestują się w każdym szczególe jej filigranowego ciała. Ależ ona jest piękna! Jej skóra nie jest szorstka i piegowata jak skóra Sugar, lecz gładka niczym świeżo rozpakowana kostka mydła, a włosy Agnes mają kolor, jaki powinny mieć kobiece włosy, i są delikatne niczym jedwabny haft. Ponadto pani Rackham ma idealną figurę – czy to możliwe, by idąca za nią Sugar nie czuła się jak potwór? Wystarczy porównać jej płaską pierś, męskie, nienaturalnie wielkie dłonie i na poły męski, na poły wyuzdany chód ze ślicznym biustem, delikatnymi rączkami i pełnymi wdzięku ruchami Agnes Rackham. No i ten głos, oczywiście. Nawet kiedy pani Rackham mówi coś zupełnie trywialnego („Nie, dziękuję, Williamie” albo „Masz cukier na wąsach”), wydaje się, że cicho nuci. Ach, żeby mieć taki głos! Nie niski i ochrypy, lecz śpiewny i melodyjny. Jak, u licha, kobieta obdarzona takim głosem może być chodzącym utrapieniem, za które William uważa swoją żonę?

Śledząc Rackhamów tak często, Sugar nauczyła się odczytywać oznaki świadczące o istniejącej między nimi intymnej dysharmonii. Ich ciała, nawet całkowicie ubrane, są dla nich objęte wzajemną anatamą – a jednak, co nieuniknione, Agnes czasami trzyma go pod ramię. W takich wypadkach William prowadzi małżonkę nerwowo, jak gdyby wystraszony, że pani Rackham lada chwila rozpadnie się u jego boku na kawałki, a wtedy wszystkie oczy zwrócą się na niego i na pobojowisko, jakie pozostawił na chodniku. Agnes z kolei sunie na pozór niezależnie od niego, niby automat, którego nie można popędzać. Zdarza się jednak, że kiedy widzi w oddali coś albo

kogoś, na kogo zwraca uwagę – na przykład jakąś damę, z którą bez względu na wszystko musi porozmawiać – przyspiesza często kroku i ciągnie Williama za sobą niczym wagon, o którego hak pocztowy¹⁹ zaczepił nieszczęśliwie rękawem jakiś dzentelmen.

W pewnej chwili podczas Grand Garden Fête wysoko nad namiotami i głowami gości unosi się wielki, błękitny balon, na widok którego rozemocjonowana publiczność zaczyna gestykulować z ożywieniem. Agnes nie widzi nic. Sugar spostrzega, że William pochyla się i przemawia do żony, zachęcając ją, aby spojrzała w górę na skąpane w świetle księżyca dziwo. Ale choć pani Rackham kiwa głową, jak gdyby mówiła: „To bardzo ładne, kochanie”, nie próbuje nawet unieść głowy. Zdaje się, że by zdobyć jej uznanie, potrzeba czegoś więcej niż płynący w powietrzu niebieski balon.

Jeszcze dziwniejszy jest incydent, do którego dochodzi na torze wyścigowym w Sandown Park, kiedy Sugar korzysta z kolejnej doskonałej sposobności, aby podążać za Rackhamami jak cień, i to w jasnym świetle dnia.

Samemu parkowi Sugar nie bardzo może się przyjrzeć, albowiem dosłownie roi się w nim od widzów. Zdaje się, że przybyła tu połowa mieszkańców Londynu, wywodzących się ze wszystkich warstw społecznych (no, Sugar musi przyznać, że nie ma tu przedstawicieli najuboższych... poza tym jednak są wszyscy). Nie widać ni cala ziemi, którego nie stratowałaby napierająca zewsząd horda mężczyzn, kobiet, dzieci i psów. To, co przede wszystkim przyciągnęło tu tych wszystkich ludzi, czyli konie wyścigowe i dżokeje, miga jedynie przelotnie przed oczami Sugar. Stare, potężne szkapy pociągowe i kuce, ciągnące wozy z napojami oraz łakociami, nie wiedzą, że gdzieś w pobliżu reprezentanci rasy końskiej, ale z wyższej kasty, stają dęba lub może nawet pędzą galopem jak wiatr. Co chwila słychać krzyki, które każą Sugar myśleć, że oto rozpoczęła się gonitwa albo że widzowie fetują zwycięzcę, wtedy jednak jeden z węzłów w tłumie rozsypuje się nieco, ujawniając prawdziwą przyczynę zamieszania: ktoś zemdlał, gdzieś wybuchła bójka albo powóz przejechał komuś po nodze.

Sugar nie ogląda więc wyścigów, natomiast pilnie obserwuje Rackhamów. Małeńka jak dżokej Agnes trzyma się z dala od największego ścisku, żeby jej nie stratowali. Biedny William! Jak bezradnie zaciska dłoń! Jak błagalnie spogląda w niebo, prosząc o cud, który skruszyłby serce jego małżonki! Być może pragnie posadzić ją sobie na ramionach niczym małe dziecko, żeby lepiej widziała... Ale krępy William wciska się w tłum w nadziei, że w ten sposób zrobi miejsce dla Agnes. Nawet jeśli pani Rackham nie zobaczy koni, może z jego pomocą dojrzy gdzieś sułtana Zanzibaru, a William nie wątpi, iż sprawiłoby jej to przyjemność!

– Do diabła, ale tu tłoczno w tym roku! – wykrzykuje, podejmując przymilną próbę odczytania jej myśli. Agnes jednak odwraca się od niego, a w jej oczach pojawia się strach, mąż bowiem przeraził ją beztróskim wezwaniem otaczających ich zewsząd sił demonicznych.

Tak więc Rackhamowie pozostają ostatecznie na zewnątrz tłumu, a Sugar, zamiast oglądać wyścigi konne, obserwuje *pas de deux* w wykonaniu małżonków. Żona trzyma się blisko swojego opiekuna, cofa się jednak, kiedy ten chce ją dotknąć; natomiast jej pełen galanterii, a zarazem poirytowany mąż sztywnieje niemal, rozpaczliwie poszukując w rzeczywistym, rozpychającym się po chamsku świecie miejsca dla kruchej i wrażliwej istoty, jaką jest jego małżonka. Repertuar gestów, wyrażających subtelny dysonans między nimi, zdaje się niewyczerpany.

Po chwili Sugar spostrzega innego tancerza tam, gdzie nie ma tłumu: złodziejaszka. Początkowo bierze go za dandyś, wymuskanego fircyka, nazbyt bojaźliwego, by mógł zaryzykować wejście w tłoczącą się gawieź, potem orientuje się jednak, jak dziwnie krąży za plecami widzów, i zauważa niemal lubieżną rozkosz, z którą przysuwa się do nich, aby po chwili cofnąć się niczym najdelikatniejszy gwałcieł na świecie albo niby-owad, który zapyla kwiat. Bez wątpienia ma dzisiaj bajecznie dobry dzień.

Nie powinna przejmować się ani trochę, że ten łajdak powolutku przysuwa się coraz bliżej Williama i Agnes; ostatecznie na pewno nie zbiednieją, jeśli ich okradnie, a poza tym to, jak zareagują na tego rodzaju nieszczęście, pozwoli jej dowiedzieć się o nich więcej. Upewnia się

19 Dziewiętnastowieczne pociągi w Anglii wyposażone były w żelazne haki, dzięki którym przejeżdżający skład mógł zbierać na stacjach zawieszoną w specjalnych torbach pocztę (przyj. tłum.).

jednym spojrzeniem, że zgodnie z najnowszą modą, jakby wymarzoną dla złodziei, Agnes nosi miękką, różową torebkę przewieszoną przez plecy. A zatem, jak mawiają w branży, pani Rackham „sama się prosi”, żeby ją okraść. Dlaczego więc Sugar nie miałaby po prostu odsunąć się dalej i z przyjemnością obejrzeć prawdziwego zawodowca w akcji? Do diaska, ten facet porusza się z o wiele większym wdziękiem niż baletnicy, których widziała przed tygodniem w Crystal Palace...

A mimo to, mimo to... Wyrzut sumienia, który dusi ją, gdy obserwuje złodzieja, staje się nie do zniesienia, jak gdyby ktoś wbijał jej tępy nóż w gardło. Musi ostrzec panią Rackham! Jak mogłaby tego nie zrobić? Jak może po prostu spokojnie sobie stać niczym milcząca współniczka tego drania? Sugar chrząka, czego w gwałnym tłumie nikt nie słyszy, i powtarza po cichu słowa ostrzeżenia, które wykrzyknie do Agnes. A kiedy krzyknie, jej głos zabrzmiał jeszcze bardziej ordynarnie niż zwykle. *Kim, na Boga, jest ta prostacka kobieta, która wrzeszczy do mnie tak chrapliwie*, pomyśli pani Rackham...

Za późno; właściwa chwila nadeszła i minęła. Złodziej otarł się o panią Rackham, zatrzymując się tylko na moment. Sugar wie, że wtedy ostrą niczym skalpel brzytwą rozpruł jej torebkę i zabrał z niej, co tylko mu się podobało. Williama zostawia w spokoju; zapewne ma już dość zegarków.

Aż mdli ją ze wstydu, kiedy obserwuje, jak złodziej ostrożnym, tanecznym krokiem wchodzi głębiej w tłum, a potem Sugar zupełnie traci go z oczu. Ludzie wspinają się teraz na palce, prostują plecy, jak mogą, i wyciągają szyje; gonitwa dobiega końca. William podejmuje ostatnią desperacką próbę utorowania drogi dla Agnes i wprowadzenia jej do pierwszego rzędu widzów. Jego dłoń kołysze się nieporadnie na wysokości pleców żony, bo Rackham nie jest pewien, czy może jej dotknąć. W tej chwili spostrzega sflaczałą torebkę, która zwisa bezwładnie niczym przekłuty balon, pochyła się więc i szepcze coś do ucha małżonce.

Błąda jak marmur Agnes odwraca się plecami do tłumu. Postępuje kilka kroków naprzód, oddalając się od ludzkiej ciżby, i przystaje na wydeptanej ziemi, mniej więcej dziesięć stóp od Sugar, nie zwraca jednak uwagi na kobietę w woalce pod parasolem. W jej szeroko otwartych oczach, którymi tępo wpatruje się w pustkę, wzbierają łzy. Z tyłu podnosi się potężny, ekstatyczny krzyk; to widzowie podrzucają w górę czapki albo wymachują cylindrami.

William staje przy Agnes i obejmuje ją pocieszycielskim ramieniem.

– No, powiedz, co straciłaś? – pyta nieco grubiańsko, najwyraźniej pragnąc wynagrodzić jej stratę jak najszybciej i mieć już wszystko za sobą.

– Fotografiej mojej matki – mówi Agnes, dygocząc pod dotykiem jego ręki. – Reszta nie ma znaczenia.

– Jaką fotografię? – pyta zaskoczony William, jak gdyby jego żona przyznała się właśnie, że nosi w torebce wypchaną zebra albo żeliwną praskę do serów.

– Fotografiej mojej matki – powtarza Agnes, a jej policzki lśnią od łez. – Była w medalionie. Zawsze ją z sobą nosiłam.

William otwiera usta, by skrytykować niemądre postępowanie żony, ale po namyśle powstrzymuje się od komentarza i odzywa dopiero kilka chwil później:

– Odszukam tego fotografa. Jeżeli ma porządek w pracowni, może znajdzie oryginalne klisze...

– Och, nie bądź idiotą, Williamie – mówi Agnes, zamykając spuchnięte powieki. – Tę fotografię zrobiono na długo przedtem, zanim się poznaliśmy. Wtedy jeszcze dla mnie nie istniałeś.

William puszcza małżonkę, zakłada rękę za głowę i spogląda na tłum, próbując zrozumieć żelazną logikę rozumowania Agnes. Gonitwa się zakończyła i część eleganckich widzów idzie już do czekających powozów i dorożek. Z kalendarium Sezonu można wykreślić kolejną imprezę, na której należało się pokazać, a elegantki, rozchodząc się, zerkają ukradkiem na rąbki swoich sukni, by sprawdzić, czy aby nie uwalnęły ich błotem na wyścigach.

– Chodźmy do domu, kochanie – mówi William.

Agnes stoi jak wryta na małym spłachetku ziemi niczyjej, ciągle płacząc.

– Do domu? – powtarza niczym echo, jak gdyby nie miała pojęcia, o jakim to fantastycznym miejscu mówi William.

– Tak – mówi Rackham i prowadzi filigranową małżonkę do wyjścia, mijając jakąś kobietę z tanim parasolem w ręku. – Tędy.

Tak więc Rackhamowie przywołują dorożkę, podobnie jak Sugar. Ich wspólne eskapady zazwyczaj kończą się w ten sposób: tak często, że dziewczyna już się do tego przyzwyczaiła. Rackhamowie opuszczają tę czy inną imprezę i jadą z powrotem do „domu”, a Sugar, ich cień, powraca spieszenie do mieszkania przy Priory Close, łudząc się, że William odwiedzi ją właśnie tego wieczora. Nie może ciągle chodzić za nim w odległości dwudziestu kroków lub kręcić się wokół jego domu i ogrodu; czasami powinna być tam, gdzie spodziewa się ją zastać, gotowa na przyjęcie go.

Jak dotąd nie można powiedzieć, by kierowała się nieomylnym instynktem, decydując, kiedy podążać za Williamem, a kiedy pędzić z powrotem na Priory Close. W ciągu trzech ostatnich tygodni odwiedził ją dwukrotnie. Za pierwszym razem zaskoczył dziewczynę zupełnie, dopiero co weszła bowiem do mieszkania, wciąż roztaczając wokół woń dymu tytoniowego z tego samego teatru, z którego przyjechał Rackham. (Po chwili wahania uznała, że najlepiej będzie powiedzieć mu prawdę, i stąd William ją się dziwować, co za zbieg okoliczności sprawił, że poszli na to samo przedstawienie. Odbyli wtedy naprawdę miłą rozmowę, a następnie namiętny stosunek, jak zawsze). Za drugim razem, wróciwszy do domu, Sugar znalazła na podłodze w holu napisaną odręcznie kartkę:

*Smutny, nie mogę dłużej czekać na próżno;
Czy ja przybyłem za wcześnie, czy może ty za późno?*

(Przez kilka następnych dni głowiła się nad znaczeniem tych marnych rymów, poddając je wyczerpującej egzegezie i usiłując odgadnąć prawdziwe uczucia autora).

Dzisiaj, wracając do domu po dniu na wyścigach, Sugar otwiera drzwi swojego pogrążonego w ciemności miłostnego gniazda i natychmiast zaczyna ją drażnić cisza, w której słyszy własny oddech. Boli ją głowa; zrywa z niej brzydki czepek, a potem zdejmuje spinki i przeczesuje włosy palcami. Czesze się z ascetycznym przedziałkiem pośrodku już od tak dawna, że odczuwa ból, kiedy potrząsa głową. Pot wgrzyzł się w jej delikatną skórę za uszami. Jak zauważyła w lustrze w holu, twarz ma pokrytą ciemną warstwą kurzu.

Do wanny leje się woda, a dziewczyna myszkuje po domu w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Nie jadła przez cały dzień, nie licząc jabłka rano, bułeczki z kremem, którą pochłonęła w dorożce w drodze do Sandown Park, i kęsa kiełbaski na torze wyścigowym. Kupiła ją, skwierczącą jeszcze z gorąca, na straganie, był to jednak błąd: przypominała kiełbaski, które Sugar uwielbiała, gdy mieszkała na Church Lane, gdzie pan Bing, wędliniarz, krążył ze swoim parującym wózkiem od domu do domu, a ona i Caroline zrywały się z łóżek, by kupić jak największe, najtłustsze, i najbardziej przypieczone pęta. Dziś jednak kiełbaska nie smakowała jej tak jak wyroby wędliniarskie pana Binga, a raczej jak wątroba wieprzowa, usmażona w starej parafinie. Naprawdę, kto mógłby przełknąć coś podobnego? Wypluła odgryziony kawałek, ale i tak przez kilka godzin odczuwała dolegliwości gastryczne.

I teraz jest głodna. Jak wilk! A w tym przeklętym mieszkaniu nigdy nie ma nic do zjedzenia! Wszędzie unosi się słaba woń lawendowego mydła, zamiast zapachu jadła, wina i miłości. (Kiedy Sugar wpada w niedobry nastrój, nic nie jest w stanie poprawić jej humoru poza myślą, że William śpi smacznie w jej łóżku, ona zaś łapczywie pożera soczystego, gorącego pieczonego kurczaka. A jeśli chodzi o to, skąd miałby się wziąć ten kurczak, to... cóż, jeśli Rackham zamawia sześć japońskich pigw do swojego ogrodu w Notting Hill, to z całą pewnością potrafi sprowadzić jednego kurczaka do Marylebone!...)

W gabinecie, na biurku, gdzie nigdy nie leży jej powieść, dostrzega dupkę chleba wielkości pięści. To wszystko, co pozostało z bochenka, który kupiła w piątek na ulicznym straganie, wracając z Crystal Palace. Zdziwiona sprzedawczyni spojrzała na Sugar krzywo, albowiem jej klientelę na co dzień stanowią biedacy, a nie damy w długich, futrzanych płaszczach.

Wanna jest już pełna. Sugar gryzie czerstwy chleb (przylepka ma bardzo dziwny kształt – czyżby podjadały ją myszy? – ach, lepiej o tym nie myśleć) i przełyka łapczywie, żeby nie czuć

smaku. I to ma być życie w luksusie, życie na wyższym poziomie, który – jak sądziła – osiągnie, opuszczając dom pani Castaway?... A co chrapliwie wykrzykiwał William, gdy kręcił się wokół latarni? „Nikt jej nie dostanie” – tak powiedział... „Nikt nigdy już jej nie dotknie”, dlaczego więc – na Boga! – nie przyjdzie i sam jej nie dotknie? Czyżby nasycił się już swoją branką? No i ta przeklęta kartka: *Czy ja przybyłem za wcześnie, czy może ty za późno?* Co chciał przez to powiedzieć?

Sugar bierze kąpiel. Jak zwykle siedzi w wannie o wiele za długo, upomina się daremnymi groźbami, zanurza coraz głębiej w brudnych mydlinach, a potem zastyga w bezruchu, żeby nie łaskotała jej zimna woda. Kiedy wychodzi z kąpieli, jest już późny wieczór, a gdy kończy suszyć włosy, zbliża się północ. Siada na swoim ogromnym, nieskalanym łóżku, pachnąca, czysta, ubrana w śnieżnobiałą koszulę nocną.

No dalej, ty świnió, myśli. Przybądź mi na ratunek.

Przystojny, szlachetny i cnotliwy Henry Rackham, któremu – jak się zdawało – było kiedyś pisane stać się najważniejszym z Rackhamów i kierować firmą Rackham Perfumeries, a który teraz jest zaledwie bratem wybitnej osoby, stoi samotnie na usianej psimi odchodami ulicy, czekając na prostytutkę. Jego pokryty kroplami deszczu płaszcz paruje lekko w popołudniowym słońcu.

Nie, nie jest aż tak źle, jak można by sądzić: Henry czeka bowiem na konkretną prostytutkę.

Nie, nie, ciągle nic nie rozumiesz! Henry ma nadzieję porozmawiać z kobietą, którą spotkał tu przed kilkoma tygodniami, żeby... żeby doprowadzić rozmowę do stosowniejszej konkluzji. Albo – jak mogłaby to ująć pani Fox (która jest zwolenniczką mówienia wszystkiego wprost) – żeby poprawić nieco swój wizerunek safandudy.

Poświęciwszy sprawie wiele namysłu, Henry uznał, że jego błąd, a zatem także i grzech, nie polegał na tym, iż w ogóle rozmawiał z tą kobietą. Nie, zgrzeszył dopiero później. Wszystko szło doskonale, dopóki nie poniosła go cielesna ciekawość, a wtedy sprowokowana jego chucią dziewczyna podciągnęła spódnicę i... cóż, reszta odcisnęła mu się w pamięci obrazem ciemnego, trójkątnego stygmatu, wypalonego jakby fizycznie w jego galaretowatej substancji mózgowej. Zgrzeszył tak samo jak ona, ale pozostaje pytanie: co dalej? Duszy tej dziewczyny grozi niebezpieczeństwo, a przecież byłoby drwiną z nauki Chrystusa, gdyby nigdy nie rozmawiał z nią nikt, tylko źli ludzie, i gdyby odepchnęli ją uczciwi, porządni chrześcijanie.

Dlatego Henry stoi teraz na Church Lane, w St Giles. Koszyk z jedzeniem oddał już ulicznym urwisom (autentycznie głodnym, jak zapewnia sam siebie) i kilka razy wdepnął w łajno. Odrzucił propozycję jakiegoś wątlego, przypominającego fretkę człowieczka, który chciał wyczyścić mu buty; Henry sam przykląkł na ulicy, by doprowadzić obuwiu do porządku, próbując w trakcie tej czynności wciągnąć fretkowatego faceta w rozmowę o Bogu. (Bezsukutecznie; rozbawiony człowieczek parsknął tylko i odszedł). Kilku nieznanym zawołało do Henry'ego: „Hej tam, pastarze!”, i wybuchnęło śmiechem, znikając w ciemnych progach i oknach, gdy tylko się odwracał. Jak dotąd nikt nie usiłował go napaść ani obrabować. Może z tych małych zarodków wyrośnie kiedyś powołanie do kapłaństwa.

Henry czeka więc na rogu Church Lane i Arthur Street, smażąc się w słońcu i spoglądając spod przymrużonych powiek na przechodniów. Nie stoi tu zbyt długo, ale w tym czasie zaczęły go już cztery prostytutki – a w każdym razie kobiety, które wziął za prostytutki. Zaproponowały mu (w tej kolejności): kilka kobiałek rukwi, wskazówki topograficzne, miłe, cieniste miejsce, gdzie mógłby odpocząć, i „najbardziej kojące pieszczoty w Londynie”. Na wszystkie te propozycje Henry odpowiada (kolejno): „Nie, dziękuję”, „Nie, dziękuję”, „Nie, dziękuję” i „Nie, dziękuję, niech ci Bóg wybaczy”. Czeką na kobietę w ceglastej sukni. Kiedy zmaże swój grzech, będzie mógł się poświęcić innym nieszczęśnikom.

Prostytutka pojawia się w końcu na ulicy, wygląda jednak zupełnie inaczej niż ostatnio, a zatem gdyby nie zapamiętał dobrze jej sercowatej twarzy, pozwoliłby dziewczynie przejść koło siebie zupełnie obojętnie. I tak jednak musi się pochylić, żeby zyskać pewność, że to naprawdę ona. Dziewczyna jest inaczej ubrana, co niepokoi Henry'ego, bo w jego myślach stała się istotą symboliczną, o raz na zawsze określonym wyglądzie – jak obraz wiszący w kościele. Mimo to, nie licząc różowego szala i sfatygowanej, niebieskiej sukni, jest to ta sama dziewczyna, która stąpa po brudnym bruku równie ostrożnie jak poprzednio. Henry odchrząkuje.

Prostytutka (tak, rozpoznaje jej ładny, zadarty nos!) ignoruje go, a w każdym razie udaje, że nie zna Henry'ego, dopóki niemal nie wpadają na siebie. Wtedy jednak zadziera głowę, namaszcza go spojrzaniem i uśmiecha się szeroko.

– Witaj, panie – mówi. – Masz jeszcze jakieś pytania?

– Tak – Henry odpowiada natychmiast stanowczym głosem. – Za pozwoleniem.

– Za dwa szylingi pozwolę ci prawie na wszystko – kpi dziewczyna. – A w każdym razie na wszystko, co może zaproponować ktoś taki jak ty.

Henry zaciska szczęki. Czyżby sugerowała, że jest mniej męski niż inni mężczyźni, czy tylko że jest mniej rozpustny? I dlaczego mówi dzisiaj z tak silnym cockneyowskim akcentem? Kiedy rozmawiali ostatnim razem, wydawało mu się, że pochodzi z północy...

Dziewczyna jak siostra przywołuje Henry'ego do porządku, szarpiąc go za rękaw, jak gdyby dobrze знаła jego skłonności do bujania w obłokach i postanowiła nie pozwolić mu, aby bez reszty pogrążył się w rozmyślaniach.

– Ale tym razem nie róbmy tego na ulicy – poddaje prostytutka. – Porozmawiajmy w jakimś cichym, przyjemnym pokoiku.

– Z miłą chęcią – bezzwłocznie zgadza się Henry, wywołując tym razem zdziwienie dziewczyny. Przez jej twarz przemyka osobliwy grymas, na poły asekuracyjny, na poły przerażony, po chwili jednak znika.

– No, tośmy się umówili – mówi.

Henry idzie obok, a prostytutka prowadzi go ulicą, oglądając się często, żeby sprawdzić, czy gdzieś się nie zawieruszył jak nieposłuszny pies. Czyżby sądziła, że jest tylko prostodusznym głupcem? Nie powinno go obchodzić, co o nim myśli. Jedyne Bóg może zrozumieć, dlaczego przyjął jej zaproszenie.

– Wykwintnie to tu nie jest – mówi dziewczyna, wprowadzając go do zrujnowanej georgiańskiej kamienicy. Na pierwszy rzut oka Henry odnosi wrażenie, że fasada ma kolor i fakturę skórki wieprzowej, a popękana sztukateria kryje chyba bąble pleśni. Brak czasu nie pozwala mu przyjrzeć się dokładniej, bo dziewczyna ciągnie go już przez usłane kurzymi piórami podwórko, do drzwi, a potem dalej, do pogrążonego w półmroku westybulu. On, Henry Rackham, pastor *in spe* tej parafii, przekracza próg burdelu.

Kroczy po tureckich, lecz wytartych dywanach, pod którymi skrzypią cicho deski podłogowe. Ściany w korytarzu są wklęsłe z jednej strony i wypukłe z drugiej. Pasiasta tapeta wybrzusza się i marszczy niczym niedopasowane ubranie, a dekorują ją oprawne w ramki ryciny, tkwiące za nieprzezroczystymi szybkami, zasnutymi mgiełką dymu. Gdzieś z głębi domu dochodzi zapach stęchłej wilgoci, który przywodzi na myśl... przywodzi na myśl wszystko, czego Henry Rackham nigdy nie zaznał.

– Na piętrze można odetchnąć świeżym powietrzem – odzywa się idąca u jego boku kobieta, która najwyraźniej wciąż się niepokoi, że Henry z niej zrezygnuje. Gdyby wiedziała, jak ozdrowieńcza jest dla niego konfrontacja z tą nędzą! Niejeden raz prosił panią Fox, by opisała mu, jak naprawdę wygląda dom rozpusty, i pomimo jej szczerości wciąż wyobrażał go sobie w różowej tonacji fantastycznych bachanaliów. Nic – ani zdrowy rozsądek, ani pilna lektura reportażu prasowych, ani słowa pani Fox – nie zdołało wymazać z jego wyobraźni wizji domu publicznego jako cudnej jaskini zmysłowych rozkoszy. Teraz, kiedy ochłonął pod wpływem zapachu prawdy, wchodzi do salonu: jest to ponury pokój, przypominający smętny skład starych mebli, pożółkłej ozdobnej porcelany i różnych militariów, oświetlony lampami naftowymi, chociaż przez grube zasłony w kolorze bekonu przebija się z trudem słońce.

Wejścia na schody strzeże zgrzybiały starzec na wózku inwalidzkim, o twarzy niemal całkowicie zasłoniętej chustami i narzutami z dzianiny.

– Siedem pensów za pokój – mamrocze stary, nie zwracając się do nikogo konkretnie. Henry macha ręką ze zniecierpliwieniem, ale jego prostytutka trzepocze przepaszająco rzesami, jak gdyby nie mogła wiedzieć, że klient okaże się na tyle naiwny, by sądzić, iż ktoś taki jak ona dysponuje własnym pokojem.

– To zaledwie siedem pensów, panie – szepcze. – Co to dla takiego człowieka jak ty...

Henry wyciąga już pieniądze z kieszeni spodni, kiedy dociera do niego prawda: ta kobieta jest towarem nędzarzy i dla nędzarzy. Nie jest przeznaczona do konsumpcji dla kogoś takiego jak on; być może w tej śmierdzącej norze nie powstała nigdy stopa żadnego dżentelmena, należącego do jego warstwy społecznej. Nawet ubranie, które ma na grzbiecie Henry, warte jest więcej niż cokolwiek, co widać w tym pokoju: meble, porcelana, odznaczenia wojskowe i w ogóle wszystko.

– Nie mam siedmiu pensów, masz tu szylinga – szepcze ze wstydem Henry, dając starcowi pieniądze. Sękaty szpon zaciska się na monetach, a wtedy wełniany kaganiec chusty zsuwa się z twarzy starucha, odsłaniając spuchnięte, truskawkowe nosisko, pokryte siateczką popękanych naczynek policzki i obrzydliwie bezzębne usta.

– Nie spodziewaj się reszty – rzeźi mężczyzna, zionąc wrzodowymi gazami i alkoholem, po czym gwałtownie odjeżdża na bok, przepuszczając Henry’ego i prostytutkę.

– No, tak – mówi Henry, oddychając głęboko, kiedy zaczynają wchodzić na schody. – Jak ci na imię?

– Caroline – odpowiada dziewczyna. – I patrz pod nogi, panie... Stopnie, co to z nich sterczą gwoździe, są ździebko zdradliwe.

*

Henry za dwa szylingi kupuje dwadzieścia minut. Caroline przysiada na brzegu łóżka, ale najpierw obiecuje wystrzegać się wszelkich sprośności. Henry nie siada – zajmuje miejsce przy otwartym oknie. Właściwie nie patrzy na dziewczynę, kierując do niej pytania. Zdaje się raczej zwracać do poczerńiałych dachów i zaśmieconych chodników Church Lane. Od czasu do czasu odwraca się, żeby przez pół sekundy popatrzeć na Caroline, a ona posyła mu uśmiech, który Henry uprzejmie odwzajemnia. Dziewczyna jest zdania, że jego uśmiech okazuje się nieoczekiwanie słodki, a Henry uważa, że jej łóżko przypomina wyłożone szmatami koryto.

Przez owe dwadzieścia minut Henry dowiaduje się wiele o różnych rodzajach prostytutek i ich środowisku. Caroline jest „dziewczyną uliczną”, mieszkającą w domu publicznym, gdzie płaci za pokój (choć woli, aby czynił to jej klient) za każdym razem, kiedy z niego korzysta. Zapewnia jednak, że dom wygląda tak nędznie i ponuro jedynie dlatego, iż należy do „skapej” pani Leek; istnieją natomiast inne podobne przybytki, którymi właściciele „interesują się naprawdę”. Zna nawet taki dom, który należy do matki jednej z tamtejszych dziewcząt. – Jest niczym pałac, panie – mówi Caroline, choć nigdy tam nie była, zresztą podobnie jak w pałacu, ale wydaje jej się, że to musi być prawda, bo ta sama rajfurka prowadziła kiedyś dom na Church Lane, zaledwie trzy numery dalej, mieszkają tam teraz źli ludzie, ale kiedy zajmowała go pani Castaway, było w tym domu tak czysto, że można było jeść z podłogi. A jej córka to została kochanką jakiegoś bardzo bogatego człowieka, ale nawet kiedy mieszkała tutaj, była zawsze jak księżniczka – nie żeby Caroline widziała kiedykolwiek prawdziwą księżniczkę, widziała jednak obrazki, i dlatego wie, że ta dziewczyna, Sugar, wcale nie wyglądała gorzej od księżniczek na obrazkach. Widzisz więc, panie, co można osiągnąć, kiedy właściciel interesuje się domem. Weźmy, na przykład, sypialnię Caroline: nie ma być z czego dumna, wie o tym. – Ale gdybyś to ty, panie, tu robił, z tym staruchem na dole, i gdyby tak tu cuchło wilgociom, to czy polerowałbyś klamki i wstawiałbyś bukiety kwiatów do wazonu? Oj, chyba nie!

Henry wypytuje ją o burdele i dowiaduje się, że „są różne i różniste”. Niektóre to „prawdziwe więzienia, panie, więzienia”, gdzie brutalni stręczyciele i stare wiedźmy przetrzymują nieszczęsne dziewczyny „głodne i półnagie”. Inne należą do „najważniejszych” ludzi, a dziewczyny „nie wstajom tam z łóżek dla nikogo z wyjątkiem biskupów i królów” (nad tą informacją Henry musi się przez chwilę zastanowić). Jedno jest dla niego oczywiste: że jasne rozróżnienia przybytków rozkoszy, o jakich jest mowa w książkach, niewiele znaczą w świecie realnym, w którym istnieje pewna hierarchia, owszem, ale nie kategorii, lecz raczej poszczególnych domów publicznych, a nawet poszczególnych prostytutek, przy czym łatwość, z jaką mogą one zmieniać status w obrębie swej społeczności, okazuje się zdumiewająca.

W ciągu tych dwudziestu minut, które kupił za swoje dwa szylingi, Henry dowiaduje się też więcej o Caroline. Ku jego przerażeniu, dziewczyna dla swojej dawnej cnotliwości żywi wyłącznie pogardę. *Cnotą nie zapłaci się za mieszkanie, drwi Caroline; jeżeli ludzie, co to tak ceniom cnotę w kobiecie, gotowi byliby ją gościć, karmić i odziewać, zamiast jedynie przyglądać się z boku jej żalostnemu życiu, może zachowałaby dziewictwo znacznie dłużej.*

A niebo? Co Caroline myśli o niebie? Cóż, nie sądzi, by miała tam trafić, ale nie widzi się też w piekle, które jest tylko dla naprawdę „złych” ludzi. Na temat Boga i Jezusa nie ma zdania, uważa

jednak, że diabeł może być „pożyteczny”, jeżeli naprawdę karze nikczemników, ona zaś ma nadzieję, że nikczemnicy, których w życiu spotkała, a szczególnie właściciel pewnej firmy krawieckiej, będą cierpieć straszliwe katusze po śmierci, chociaż w głębi duszy Caroline uważa, że jakoś się jednak wywiną.

– A czy nie chciałaś wrócić kiedyś do domu? – pyta Henry, kiedy wskutek zmęczenia całą tą gadaniną w głosie Caroline zaczyna pojawiać się znowu północny akcent.

– Do domu? Znaczą gdzie? – rzuca dziewczyna.

– Sądzę, że do Yorkshire – mówi łagodnie Henry.

– Byłaś tam kiedyś?

– Przejazdem.

Pod wstającą Caroline skrzypi łóżko. Po pełnym irytacji westchnieniu prostytutki Henry domyśla się, że jej zdaniem dwadzieścia minut minęło.

– W Yorkshire jest chyba dosyć dziwek, panie – odpowiada z goryczą Caroline.

Rozstając się, wpadają w zakłopotanie, oboje zdają sobie bowiem sprawę, że Henry przekroczył pewną granicę i sprawił dziewczynie ból. Henry jest przerażony, zostawia ją wszak z cieniem rozpaczony na twarzy; przyszedł tu wprawdzie w nadziei, że napełni ją bojaźnią Bożą, nie może jednak znieść myśli, iż wzbudził w niej bolesną tęsknotę za domem. Widzi, że Caroline jest z natury wesoła; to wstrętne z jego strony, iż zabrał jej uśmiech! Ona natomiast nie wie, jak pozbyć się tego nieszczęsnego gamonia. Jeśliby go pocałowała, złamałaby umowę, ale gdyby zatrzasnęła mu przed nosem drzwi do sypialni, patrząc na jego pełną szczerą troski twarz, postąpiłaby chyba bardzo okrutnie.

– Chodź, panie, odprowadzę cię na dół – mówi Caroline, albowiem mięknie jej serce.

Minutę później Henry Rackham stoi w bocznej uliczce, zadziera głowę i przypatruje się domowi, z którego wyszedł, a ściślej mówiąc, patrzy w okno na piętrze, okno, przez którego lepką od brudu szybę jeszcze przed chwilą wyglądał. Zniknęło spoczywające na jego barkach brzemie, tak ciężkie, że pozbywszy się go, czuje się bardzo lekko, jakby fruwał. Tu, obok niego, w tej uliczce, stoi Jezus Chrystus, a z niebios, z góry, przygląda mu się Bóg.

Jak bardzo mu ulżyło! Gdyby na tutejszym bruku nie było tyle gnoju i błota, upadłby na kolana w dziękczynnej modlitwie. Albowiem kiedy wychodził, ona – znaczy ta kobieta, Caroline – dotknęła jego ręki i popatrzyła mu w twarz, on zaś nie odczuł do niej żadnego pożądania, ani do niej, ani do żadnej innej kobiety jej profesji. Miłość, którą żywił do Caroline, kiedy odwzajemniał jej uśmiech, była miłością, jaką Henry darzy każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko, które znajduje się w niebezpieczeństwie; Caroline była dla niego jedynie nieszczęśnicą, która nie zdaje sobie sprawy, że stoi nad przepaścią.

Nic nie jest już niemożliwe, wszystko może się stać między nim a podobnymi Caroline dziewczynami z tej olbrzymiej metropolii! Niech inni mężczyźni starają się o ich wdzięki; on i pani Fox postarają się zdobyć ich dusze!

– Wybacz mi, ojcze, ponieważ zgrzeszyłam.

Z tymi słowy, rzuconymi z dziewczęcym pośpiechem, dusza Agnes Rackham wstępuje znów w jej ciało, które znajdowało się ostatnio w tym miejscu przed trzynastu laty. Ponieważ od tamtej pory urosła o kilka cali, odruchowo garbi się nieco i kurczy, dlatego ma przed oczami dokładnie ten sam fragment kratki konfesjonału, w który zawsze wpatrywała się w dzieciństwie. Doskonale pamięta wszystkie szczegóły, z których żaden dotąd się nie zmienił: drewniana kratka nie jest ani gładka, ani szorstka, a przetykana złotą nicią konopna zasłonka nie wygląda na mniej czy bardziej wystrzępioną niż przed laty.

– Kiedy byłaś ostatni raz u spowiedzi?

Gdy słowa księdza dobiegają przez kratkę, serce Agnes zaczyna walić w piersiach (które zdają się jej dziecinnie płaskie) jak młotem; nie dlatego, że niepokoi ją pytanie czy odpowiedź, jakiej będzie musiała udzielić, lecz raczej dlatego, że ma gorącą nadzieję usłyszeć ten sam głos, który ją niegdyś strofował i udzielał rozgrzeszenia. Czy to ten głos? Ten sam? Sześć słów nie wystarczy, żeby go rozpoznać.

– Trzynaste lat temu, ojciec – szepcze pani Rackham. Zaskakujące wyznanie!

– Dlaczego tak dawno, dziecko? – Agnes uchem dotyka prawie kratki, a mimo to nie jest pewna, czy zna ten głos.

– Byłam wtedy bardzo młoda, ojciec – wyjaśnia pani Rackham, niemal muskając ustami kratkę.

– Mój ojciec... to znaczy, nie ty, ojciec... I nie mój Ojciec Niebieski... i nie mój...

– Tak, tak – ponagla ją nieco rozdrażniony ksiądz i wtedy Agnes wie już bez żadnych wątpliwości, że to on! Ojciec Scanlon we własnej osobie!

– Mój ojczym zmusił nas do przejścia na anglikanizm – reasumuje rozgorączkowana Agnes.

– A teraz umarł? – domyśla się ojciec Scanlon.

– Nie, ojciec, bawi za granicą. Ale ja jestem już dorosła i sama wiem, co mam myśleć.

– Doskonale, dziecko. Pamiętasz, jak się spowiadać?

– Och, tak, ojciec! – wykrzykuje Agnes zawiedziona, że ksiądz nie podziela jej mniemania, iż minione lata to ledwie okamgnienie. Niewiele brakuje, by (chcąc mu pokazać, z kim ma do czynienia) zaczęła odmawiać *Confiteor*, bo nauczyła się kiedyś na pamięć spowiedzi powszechnej po łacinie, gryzie się jednak w język i ostatecznie wybiera angielszczyznę.

– Spowiadam się Bogu Wszechmogącemu, Najświętszej Maryi Pannie zawsze Dziewicy, błogosławionemu Michałowi Archaniołowi, błogosławionemu Janowi Chrzycielowi, świętym Apostołom Piotrowi i Pawłowi, wszystkim świętym i tobie, ojciec, że bardzo zgrzeszyłam myślą, mową i uczynkiem. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Dlatego błagam Najświętszą Maryję Pannę, zawsze Dziewicę, błogosławionego Michała Archanioła, błogosławionego Jana Chrzyciela, świętych (tu ojciec Scanlon kaszle i pociąga nosem) Apostołów Piotra i Pawła, wszystkich świętych oraz ciebie, ojciec, byście modlili się za mnie do Pana Boga naszego.

Jednostajny pomruk zza kratki konfesjonau zachęca ją do wyznania grzechów. Agnes poszła do spowiedzi dobrze przygotowana i wyjmuje z nowej torebki kartkę, na której poprzedniego wieczora zanotowała wszystkie swoje grzechy w kolejności, w jakiej pojawiają się w jej prowadzonym od trzynastu lat dzienniku. Odchrząkuje cichutko.

– Oto moje grzechy. 12 czerwca 1862 roku oddałam komuś pierścionek, który dostałam kiedyś od przyjaciółki. 21 czerwca tego samego roku powiedziałam tejże przyjaciółce, która mnie o to pytała, że ciągle mam ów pierścionek. 3 października 1869 roku, kiedy wszystkie nasze róże zaatakowała rdza, ukradłam idealnie piękny kwiat z ogrodu sąsiada, a później tego samego dnia wyrzuciłam go, bo bałam się, że ktoś mnie może zapytać, skąd mam tę różę. 25 stycznia 1873 roku umyślnie rozdeptałam owada, który nie chciał mi zrobić żadnej krzywdy. 14 czerwca 1875 roku, czyli ściśle biorąc, w przeszłym tygodniu, kiedy bolała mnie głowa, naubliżałam pewnemu policjantowi. Powiedziałam, że jest niedołągą i że należałoby zwolnić go ze służby.

– Co jeszcze? – zachęca ją ksiądz, dokładnie w ten sam sposób, jak kiedy była dzieckiem.

– To wszystko, ojciec – zapewnia go Agnes.

– I to są wszystkie grzechy, jakie popełniłaś przez trzynaste lat?

– Ależ tak, ojciec.

Ksiądz wzdycha. Słysząc, że wierci się w konfesjonale.

– Dalej, dalej, dziecko – mówi. – Musi być ich więcej.

– Jeśli tak, ojciec, to nic mi o nich nie wiadomo.

Ksiądz znowu wzdycha, tym razem nieco głośniejsze.

– Nie popełniłaś żadnych głupstw? – podsuwa. – Nie zgrzeszyłaś pychą?

– Być może coś przeoczyłam – przyznaje Agnes. – Zdarza się, że kiedy ogarnia mnie senność albo złe samopoczucie, nie prowadzę dziennika sumiennie.

– No, dobrze... – mamrocze ksiądz. – Zadośćuczynienie, zadośćuczynienie... Po upływie tak długiego czasu niewiele można zrobić. Jeśli wciąż utrzymujesz kontakt z tą przyjaciółką, której pierścionek kiedyś komuś oddałaś, powiedz jej o tym i poproś o przebaczenie. Co do tego kwiatu...

– stęka ksiądz – to nie myśl o nim więcej. Jeśli natomiast chodzi o owady, możesz je rozdeptywać, ile wola, jak bowiem jest jasno powiedziane w Biblii, podległe są twojej władzy. Jeżeli odnajdziesz tego policjanta, którego obraziłaś, przeproś go. A teraz pokuta. Za kłamstwo i obraźliwe słowa zmów trzy zdrowaśki. I spróbuj naprawdę wejrzeć głębiej w swoją duszę. Niewielu ludziom udaje

się przeżyć trzynaście lat i nie popełnić w tym czasie żadnego grzechu.

– Dziękuję, ojcze – szepcze Agnes, ściskając mocno kartkę w dłoni i pochylając głowę, by otrzymać rozgrzeszenie.

– *Dorninus noster Iesus Christus te absolvat* – mamrocze starczy głos. – *Et ego auctoritate ipsius te absolvo...* – Spod przymkniętych powiek Agnes spływają łzy i jedna po drugiej ściekają jej po policzkach. – *...ego te absolvo a peccatis tuis, in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen.*

Agnes Rackham wstaje od konfesjonału lżejsza niż powietrze i szybko zajmuje miejsce w tylnych ławkach. Przyszła do kościoła tego popołudnia potajemnie, w woalce na głowie i w pospolitej, popielatej sukni – a zatem niewątpliwie w zupełnie innej kreacji niż te, w jakie stroi się na sezonowe imprezy, ponieważ nie chce, by rozpoznano ją tutaj, w kościele św. Teresy w Cricklewood. Tylne ławki, stojące z dala od zgromadzonych wiernych, ołtarza i kandelabrow, toną w takiej ciemności, że kiedy Agnes przeciska się na miejsce, o mało nie przewraca się o poduszkę klęcznika, której nie odłożył do schowka jakiś parafianin. Wysoko w górze widać świeżo odmalowane, błękitne jak niebo sklepienie, usiane złocistymi gwiazdami, świecącymi nierzeczywistym światłem.

Zadowolona Agnes siedzi teraz w półmroku, kryjąc twarz w cieniu wiszącego nad nią gzymsu. Za chwilę rozpocznie się msza – ojciec Scanlon wyłania się właśnie z konfesjonału i idzie w kierunku ambony. Zsuwa z ramion fioletową stułę, po czym wręcza ją jednemu z ministrantów, który podaje mu inną. Prawie nic się nie zmienił! Najbardziej charakterystyczna cecha jego wyglądu to brodawka na czole – wcale się nie zmniejszyła i jest tak duża jak zawsze.

Urzeczona Agnes przygląda się przygotowaniom do mszy. Pragnie w niej uczestniczyć, wie jednak, że nie może. To, że nie zna nikogo z obecnych, nie oznacza wcale, że nikt z nich nie zna jej (ostatecznie jest małżonką Williama Rackhama, sławnego Williama Rackhama), a Agnes nie może sobie pozwolić na to, aby stać się obiektem plotek. Nie nadeszła jeszcze odpowiednia pora, by świat dowiedział się, że powróciła na łono prawdziwej wiary.

– *Introibo ad altare Dei* – intonuje ojciec Scanlon, rozpoczynając mszę, a Agnes z cienia przypatruje się księdzu, wtórując mu po łacinie. Wyobraża sobie, że zajmuje miejsce na rozświetlonym świecami ołtarzu; kiedy ojciec Scanlon pochyla się, by go ucałować, Agnes też schyla głowę; kiedy ksiądz czyni znak krzyża, żegna się i ona; cieknie jej ślinka do ust, gdy wyobraża sobie, że dotyka nimi chleba i wina, a jej wilgotne wargi rozchylają się na przyjęcie Boga.

– *Dominus vobiscum* – szepcze w zachwycie razem z ojcem Scanlonem. – *Etcum spiritu tuo.*

Potem, kiedy kościół pustoszeje, pani Rackham śmiało wkracza w krąg światła, aby pozostać sam na sam z religijnymi wspomnieniami z dzieciństwa. Przechodzi wzdłuż ławek, w których siadywała z matką – chociaż siedzieli w nich dzisiaj inni ludzie, z łatwością rozpoznaje je po rysach i szparach w drewnie. Wszystkie ozdoby są na swoim miejscu, przybyła tylko nowa mozaika w apsydzie, ukazująca niebiańską koronację Najświętszej Marii Panny, przedstawionej w zdecydowanie za krzykliwych kolorach i z nieco krzywym nosem. Płaskorzeźba za ołtarzem, ukazująca Wniebowzięcie, pozostała natomiast krzepiąco niezmienną – widać na niej Matkę Boską, ulatującą w górę z pulchnych, zaciskających się szponiasto rączek ohydnych cherubinów, rojących się u Jej stóp.

Agnes zastanawia się, kiedy nabierze dość odwagi, żeby odrzucić anglikanizm publicznie i wynająć sobie prywatną ławkę w kręgu światła ołtarza. Ma nadzieję, że nastąpi to już niedługo. Nie wie tylko, kogo może zapytać, ile kosztowałoby wynajęcie ławki i czy koszty najmu opłaca się tygodniowo, czy rocznie. Właśnie w takiej sprawie przydałby się jej William, gdyby tylko mogła mu zaufać.

Ale wszystko po kolei: musi uczynić coś, by skrócić czas cierpień swojej matki w czyśccu. Czy ktoś poza nią modlił się wstawienniczo za Violet Unwin po jej śmierci? Zapewne nie. Sądząc po pogrzebie, na który przyszli wyłącznie anglikańscy druhowie lorda Unwina, matka nie miała już przyjaciół pośród katolików.

Agnes zawsze sądziła, że jej matka pozostanie w czyśccu przez bardzo długi czas, po pierwsze,

za karę, że w ogóle poślubiła lorda Unwina, po wtóre zaś dlatego, że pozwoliła mu odebrać jej i Agnes ich religię. Violet Unwin potrzebne jest naprawdę mocne wstawiennictwo.

Pani Rackham otwiera swoją nową torebkę w świetle kandelabrow, stojących na ołtarzu, po czym spomiędzy puderniczek, soli trzeźwiących oraz haftek wyciąga mocno wymiętą i wytłuszczoną kartę modlitewną, po której jednej stronie widnieje wizerunek Jezusa, a po drugiej modlitwa o odpuszczenie grzechów, gwarantująca skrócenie czyścicowej kary o kilka dni, tygodni, a nawet miesięcy. W zaistniałych okolicznościach Bóg najprawdopodobniej nie będzie wymagał od niej przyjęcia komunii świętej, ale pod każdym innym względem Agnes jest gotowa do modlitwy: była u spowiedzi, stoi przed krucyfiksem i zna na pamięć *Zdrowaś Mario*, *Ojcie nasz* oraz *Dziękuję Panu za Papieża*. Odmawia te modlitwy powoli i wyraźnie, po czym odczytuje słowa z karty.

– ...przebili mi ręce i stopy – kończy Agnes. – I porachowali wszystkie kości. – Zamyka oczy, czekając, aż wewnątrz jej dłoni i podbicie stóp przebiegnie dreszcz, który odczuwała zawsze, kiedy w dzieciństwie odmawiała tę modlitwę za mgliście pamiętane ciotce i ulubione postaci historyczne.

Chcąc dodać jeszcze swojej modlitwie skrzydeł, pani Rackham podchodzi do nawy, gdzie stoją świece wotywny, i zapala jedną z nich. Mosiężna stuoka taca wygląda jak zawsze; gromadzących się wokół otworów glutów stopionego wosku nikt chyba nie usuwał od czasu, kiedy Agnes stała tu po raz ostatni.

Potem przechodzi pod ambonę, czego nie śmiała nigdy uczynić w dzieciństwie, albowiem wieńczy ją masywna rzeźba orła z rozpostartymi skrzydłami, który dźwiga na grzbiecie Biblię i celuje dziobem wprost w patrzącego nań człowieka. Agnes nieustraszenie – a może raczej należałoby rzec, że prawie bez lęku – unosi głowę, po czym wpatruje się w martwe, drewniane oczy ptaka.

W tej chwili zaczyna bić dzwon kościelny, pani Rackham musi więc tym uważniej patrzeć orłu w oczy, ponieważ zaczarowane zwierzęta ożywają zwykle w takiej właśnie chwili. Bim, bom, śpiewa dzwon, lecz rzeźbiony ptak nie rusza się, a kiedy bicie ustaje, Agnes odwraca wzrok.

Chciałaby odwiedzić ukrzyżowanego Chrystusa za amboną, by sprawdzić, czy dobrze pamięta, że Jego środkowy palec odłamał się kiedyś, po czym przyklejono go na miejsce, wie jednak, iż płynie czas i musi wracać do domu. William pewnie już zachodzi w głowę, gdzie ona się podziewa.

Kiedy idzie do wyjścia boczną nawą, przypomina sobie szereg wiszących wysoko na ścianie obrazów, przedstawiających drogę Chrystusa na Golgotę – tyle tylko, że mija je teraz w odwrotnej kolejności – od zdjęcia z krzyża po sąd przed obliczem Piłata. Te przerażające obrazy również nie zmieniły się od trzynastu lat, zachowując zawerniksowany nastrój grozy. W dzieciństwie bała się scen męki, ukazanych na tle ponurego, burzowego nieba: zamykała oczy, widząc na upiornie szarej skórze połyskliwy ślad po uderzeniu brzoową różgą, wąskie strużki ciemnej krwi, płynące z rozdartego cierniami czoła, a szczególnie przybijaną do krzyża prawą rękę Chrystusa. W tamtych czasach wystarczyło, żeby przypadkiem spojrzała na opadający młot, a zaraz kurczowo zaciskała dłoń w pięść, którą w obronnym geście wkręcała w fałdy spódniczki.

Dzisiaj patrzy na te obrazy zupełnie inaczej, od tamtej pory bowiem sama dużo wycierpiała i wie, że są na świecie gorsze rzeczy niż śmierć w męczarniach. Co więcej, rozumie coś, czego nie potrafiła pojąć jako dziecko, a mianowicie: dlaczego Jezus, który potrafił przecież czynić czary, pozwolił, żeby Go zamordowano? Zazdrości otoczonemu aureolą cierpiącemu, podobnie jak Psycho i mużułmańscy mistycy z pism ezoterycznych, należał On bowiem do istot, które można zabić, lecz które potrafią następnie powstać z martwych, całe i zdrowe. (Agnes musi przyznać, że o Chrystusie nie da się wprawdzie powiedzieć, że zmartwychwstał cały i zdrowy, bo przecież oprawcy przebili Mu ręce i stopy gwoździami, ale skądinąd nie jest to dla mężczyzny tak wielkie nieszczęście jak dla kobiety).

Zatrzymuje się w drzwiach kruchty i przed wyjściem przygląda się przez chwilę twarzy Jezusa, na którego Piłat wydaje wyrok. Tak, na pewno się nie myli: maluje się na niej pogodny spokój niemal zadowolonego z siebie człowieka, który wie: „Ja nie mogę umrzeć”. Dokładnie taką samą minę ma pewien płonący na stosie afrykański kacyk (przedstawiającą go rycinę wykonał naoczny świadek, a w każdym razie tak zapewnia autor książki zatytułowanej *Cuda i ich mechanizm*, która obecnie spoczywa pod łóżkiem Agnes). Historia poucza, że wielu ludzi przeżyło własną śmierć, a

tymczasem ona, która z takim oddaniem zgłębiała to zagadnienie, wciąż pozostaje poza kręgiem wtajemniczonych! Dlaczego? Nie prosi o sławę – nie jest wszak Synem Bożym, nikt zatem nie musiałby wiedzieć, że powstała z martwych, ona sama zaś milczałaby jak grób!

Nie powinna jednak psuć sobie tego cudownego dnia niemiłymi myślami. Nie dzisiaj, kiedy otrzymała rozgrzeszenie i wtórowała po łacinie księdzu, którego pamięta z dzieciństwa. Wybiega z kościoła, nie rozglądając się w prawo ani w lewo, i nie ulega pokusie, żeby pokręcić się dłużej wśród wystawionych na sprzedaż dewocjonaliów i przypatrywać się – jak dawniej – malowanym miniaturom, by wybrać spośród nich najpiękniejszego Baranka, najpiękniejszą Marię Pannę, najpiękniejszego Chrystusa i tak dalej. Musi wracać do Notting Hill i trochę odpocząć.

Na dworze zapada już zmrok. Agnes przez chwilę nie wie, jak wrócić do domu, potem jednak wszystko sobie przypomina. Wspaniały dar od Williama – jej własny powóz. Nie może wciąż uwierzyć, że należy do niej, ale oto stoi przecież i czeka na nią po drugiej stronie ulicy, naprzeciw kościoła, przed warsztatem kamieniarskim. Cisawe konie z klapkami na oczach odwracają spokojnie łby w jej stronę, na kozle zaś, otoczony kłębam fajkowego dymu, siedzi...

– Cheesman? – woła Agnes, ale cicho, niemal do siebie, albowiem wciąż jeszcze musi się upewniać, że nowy sługa istotnie należy do niej.

– Cheesman! – woła ponownie, tym razem na tyle głośno, że woźnica słyszy. – Zawieź mnie z powrotem do domu, proszę.

– Świetnie, pani Rackham – pada odpowiedź i już po kilku chwilach Agnes siedzi w przytulnej kabinie, dotykając nieśmiało tapicerki, gdy powóz z szarpnięciem rusza. Jest naprawdę piękny! Bardziej okazały niż brougham pani Bridgelow, który kosztował, jak utrzymuje William, sto osiemdziesiąt funtów. Ponieśli zatem poważny wydatek, powóz jest jednak wart swej ceny – a co więcej, kupili go w samą porę, albowiem do końca Sezonu pozostało już niewiele czasu.

Wybaczyła Williamowi, że nie skonsultował się z nią w tej sprawie – brougham jest naprawdę idealny, a poza tym trudno o lepszego woźnicę niż Cheesman (zaczniemy od tego, że jest wyższy i przystojniejszy niż stangret pani Bridgelow). Ponadto Williamowi najwyraźniej bardzo zależało na tym, by zakup powozu zachować w tajemnicy. I rzeczywiście, zdumiała się niepomierne, gdy wspominając przed tygodniem, że ma coś do załatwienia w mieście, zapytała małżonka, kiedy odchodzi następny omnibus, on zaś odpowiedział:

– Czy nie byłoby lepiej, gdybyś pojechała powozem, kochanie?

– Jak to? Czyim powozem? – spytała oczywiście.

– Naszym, kochanie – odpowiedział William, po czym wziął żonę za rękę i zaprowadził do powozowni, by mogła obejrzeć swój prezent urodzinowy.

A teraz ten cudowny Cheesman wiezie ją do domu; jest jej prezentem urodzinowym w ludzkiej postaci, człowiekiem małomównym i dyskretnym, na którym – o czym już wie – może polegać. W ostatnią niedzielę zawiózł ją do kościoła – anglikańskiego – w Notting Hill, a w następną zawiezie ją tam znowu, ale dzisiaj zabrał ją na mszę i Agnes wie, że zrobi to znowu, kiedy mu tylko każe. Ba, gdyby poleciała wieźć się do meczetu albo synagogi, Cheesman najprawdopodobniej zaciąłby tylko konie zwiniętym teraz batem i ruszyliby od razu w drogę!

Jutro zawiezie ją do Opery Królewskiej, gdzie madame Adelina Patti śpiewa w *Dinorah*. I wszyscy zobaczą, jak wysiada ze swego nowego powozu (to znaczy Agnes, a nie madame Patti). *Kto to taki?* – będą szeptać ludzie, kiedy jej przypominająca Kopciuszka postać wyłoni się z wypolerowanego pojazdu, z którego jej białe spódnice wyleją się niby piana... Rozgorączkowana ze zniecierpliwienia, drżąca wciąż wskutek wzruszenia, jakiego dostarczyło jej rozgrzeszenie ojca Scanlona, i ukołysana we wnętrzu własnego broughama, Agnes zapada w drzemkę, składając policzek na aksamitnej poduszce z ozdobnymi frędzlami, którą William podarował jej w tym właśnie celu, a tymczasem konie unoszą ją z powrotem do domu.

To, że Rackhamowie mają już własny powóz, nie jest dla Sugar żadną tajemnicą. Osobiście pomagała Williamowi wybrać odpowiedni pojazd z katalogu i doradzała mu, snując różne domysły na temat potrzeb i pragnień jego małżonki.

Tak, dzięki Bogu, karta się odwróciła i Rackham znowu regularnie ją odwiedza. Powiada, że ma

już dość i że nie życzy sobie, aby ciągnano go nieustannie z jednego pompatycznego spektaklu na drugi, kiedy ma tyle roboty. Pokazał się wszędzie, gdzie trzeba, wytrzymał nawet odczyty o pterodaktylach w Instytucie Królewskim i *Hamleta* po włosku, teraz uważa jednak, że dość już wycierpiał, na Boga, w imię przynależności do wyższych sfer.

Bóg wie, że w co najmniej połowie tych imprez wziął udział jedynie ze strachu, iż Agnes może dostać kolejnego „ataku”, a wtedy musiałby się przeciw niej zająć. Wydaje się jednak, że nawiedzająca ją tajemnicza choroba minęła, Agnes bowiem nie mdleje i nie ulega już publicznie napadom hysterii. Ba, zachowuje się wręcz wzorowo, niech więc go diabli porwą, jeśli od tej pory aż do września będzie jej towarzyszył na każdym koncercie, przedstawieniu, *garden party*, bankiecie dobroczynnym, wyścigu koni, wystawie kwiatów, wernisazu albo w każdym parku. Na farmie w Mitcham we wtorek zarażono się śmiertelnie sześciu robotników – wypadek ten nie miał wprawdzie nic wspólnego z Rackham Perfumeries, policja musiała jednak podjąć śledztwo – a gdzie był wtedy William? Chrapał wściekle w Lyceum, oto gdzie był, podczas gdy jakiś gruby komediant w tekturowej koronie udawał, że umiera otruty. William wcale nie potrzebował tej nędznej lekcyjki, by wiedzieć, gdzie przebiega granica między fikcją a rzeczywistością! Odtąd będzie eskortował Agnes tylko na te imprezy, których w żadnym wypadku nie może opuścić.

Och, i tak, oczywiście, strasznie tęsknił za Sugar. Nie potrafi nawet wyrazić, jak bardzo.

Dziewczyna promienieje ze szczęścia, bo jego gorący uścisk i powrót emocjonalnej bliskości między nimi dodają jej otuchy. Bała się, że utraciła nad nim władzę, ale nie, William ufa jej jeszcze bardziej niż dotąd. Niepotrzebnie się martwiła; mocno wplotła się już w gobelin jego życia.

– Ach, co ja bym bez ciebie zrobił! – wzdycha William, kiedy leżą spleceni w uścisku, rozgrzani i nasyceni. Sugar naciąga mu na piersi kołdrę, żeby go otulić, i w trakcie tej czynności wypuszcza spod pościeli zapach ich uczucia, albowiem Rackham znów objął w posiadanie niemal każdy cal jej ciała.

Sprawa Hopsoma skończyła się dobrze. Hopsom jest w zasadzie zadowolony, a Rackham zachował dobre imię, i to w znacznej mierze dzięki doskonałym radom Sugar. Nowy katalog firmy święci ogromne sukcesy. Został całkowicie oczyszczony z prostackiego języka starego Rackhama, a eleganckie sugestie Sugar podniosły jego poziom tak wysoko, że firma odnotowała wyraźny wzrost zamówień wśród szlachty i ziemiaństwa. Jeszcze kilka tygodni temu William powtarzał: „To cię nie zainteresuje” albo „Wybacz, to nie jest dobry temat do rozmowy!”; teraz jednak opowiada jej otwarcie o swoich planach i kłopotach handlowych, i widać wyraźnie, że opinia Sugar jest dlań bezcenna.

– Nie zazdrość niczego Pearsowi, serce moje – szepcze Sugar kojąco pewnej nocy, kiedy w przypiływie melancholii, zaspokoiwszy już chuć, William wyznaje, że czuje się karzełkiem w porównaniu z tym przemysłowym kolosem. – To proste, oni mają ziemię i dostawców, których ty nie masz, i tyle. Ale dlaczego nie miałbyś się zastanowić, jak mógłbyś konkurować z Pearsem? Na przykład... na przykład atrakcyjnymi ilustracjami na afiszach reklamowych i opakowaniach. Wiesz przecież, że ilustracje stały się szalenie popularne; założę się, że co najmniej połowa klientów Pearsa to ludzie, których przyciąga urok tych obrazków.

– Ale moja firma stosuje już ilustracje – przypomina jej William, ocierając rąbkiem prześcieradła swój spocony, owłosiony tors. – Maluje je dla nas pewien artysta z Glasgow, a my na ich podstawie zamawiamy ryciny. I słono nas to kosztuje.

– Tak, ale gusta publiczności szybko się zmieniają, Williamie. Na przykład weź grafikę, która ukazała się ostatnio w „Illustrated London News”: z całym szacunkiem dla twojego człowieka z Glasgow, fryzura na tym rysunku dawno już wyszła z mody. Dziewczyna ma przyklejoną do czoła sztuczną grzywkę, a dzisiaj grzywka powinna zwisać swobodnie. Kobiety zwracają uwagę na takie rzeczy...

Sugar zamyka dłoń na genitaliach Rackhama i czuje, jak jego jądra poruszają się w mosznie, a męskość powoli ożywa. Kochanek przyznaje jej rację, i Sugar dobrze o tym wie.

– Pomogę ci z tymi ilustracjami, Williamie – mówi przymilnie. – Kobiety z opakowań produktów firmy Rackham będą tak nowoczesne, że dogonią przyszłość.

Przez kilka następných dni William zgodnie z obietnicą coraz częściej pozostawia wir Sezonu żonie, sam zaś spędza zyskany w ten sposób czas w towarzystwie Sugar albo pracując nad problemami Rackham Perfumeries, albo też (najchętniej) w towarzystwie Sugar pracując nad problemami Rackham Perfumeries. Trzy razy w tygodniu dziewczyna gości go w łóżku, a raz w tygodniu William śpi u jej boku do samego rana! W dodatku rankiem wcale mu się nie spieszy; Sugar kupiła zapasy mydła do golenia, brzytwy, ser i w ogóle wszystko, czego mógłby zaprzagnąć, wychynawszy ze swojego nocnego leża.

Któregoś piątku William musi jednak wyjechać do Birmingham, by obejrzyć pewną upadłą fabrykę opakowań – jej cena wywoławcza zdaje się zbyt dobra, by mogła być prawdziwa. Dlatego wieczorem, który William spędza w jakiejś gospodzie w Brummie, Sugar wybiera się śladem Agnes do Opery Królewskiej, aby obejrzyć *Dinorah* Meyerbeera.

„Spotykają się” w foyer – w tym sensie, że Sugar ośmiela zbliżyć się nieco do pani Rackham. W rojnym tłumie przed przedstawieniem nigdy nie dzieli je więcej niż krok, a Sugar kryje się to za jednym, to za drugim widzem, zerkając na Agnes znad czyichś watowanych, czarnych ramion albo bufiastych rękawów.

Oliwkowe i białe jak kość słoniowa kolory sukni pani Rackham podkreślają jej chorowity wygląd. Uśmiecha się do każdego, kto mógłby na nią spojrzeć, ale wzrok ma szklisty, niepotrzebnie ścisła tak mocno wachlarz i leciutko chwieje się na nogach.

– Jak cudownie cię widzieć! – ćwierka radośnie do jednej i drugiej damy, ale widać, że jej uprzejmość jest nader powściągliwa; Agnes, wymawiając się pod byle pretekstem, po zaledwie chwili rozmowy cofa się w tłum. O siódmej siedzi już na swoim miejscu na widowni i czeka na przedstawienie, a tym samym rezygnuje z okazji popisania się swoim wspaniałym strojem przed ciżbą urzeczonej publiczności. Masuje tylko skronie palcami i czeka.

Dwie godziny później, kiedy jest już po wszystkim, klaszcze anemicznie, choć dookoła zrywa się głośny i powszechny aplauz. Pośród okrzyków „bis!” pani Rackham przeciska się między widzami i zmierza spiesznie do wyjścia. Sugar natychmiast rusza za nią, choć boi się trochę, że w rzędzie, w którym siedziała, widzowie dojdą do wniosku, iż przedstawienie nie przypadło jej do gustu. Wręcz przeciwnie! Było majestatyczne, wspaniałe! Czy Sugar może klaskać i krzyczeć „bis!”, potykając się o kolana widzów i depcząc im po nogach w pospiesznym pościgu za umykającą panią Rackham? Nie, to byłoby zbyt absurdalne – trudno, najwyżej zrobi nie najlepsze wrażenie.

W holu kłębi się już zdumiewająco wielu miłośników opery. To zaprawiona w bojach elita, ospali z nudów baronowie i baronessy, krytycy z monoklami, którzy przypalają sobie nawzajem cygara, frywolna młodzież, niecierpliwie czekająca, by czmychnąć na inną imprezę, i stare bogate wdowy, tak obolałe, że nie mogą już dłużej pozostać. Słychać gwar, rozmowy o dorożkach, pogodzie i wspólnych znajomych; mężczyźni parszczą z niechęcią, mówiąc o przedstawieniu, i pogardliwie porównują je z innymi inscenizacjami *Dinorah*, które kiedyś gdzieś widzieli; głosy kobiece krytykują gust Adeliny Patti i jej dzisiejszą kreację, natomiast głosy hermafrodytyczne równie donośnie wynoszą ją pod niebiosa. Agnes Rackham próbuje precyzyjnie się przez ludzką ciżbę, by umknąć z gmachu opery.

– Ach! Agnes! – woła otyła dama w ohydnej, bijącej w oczy atlasowej sukni barwy klareta. – Co o tym myślisz?

Agnes staje jak wryta i odwraca się do kobiety, która ją zatrzymuje.

– Nic nie myślę – mówi niezwykle niskim i niemelodyjnym głosem. – Chciałam jedynie zaczerpnąć trochę świeżego powietrza...

– Wielkie nieba, tak, rzeczywiście bardzo źle wyglądasz! – wykrzykuje jejmość, której nazwiska pani Rackham nie pamięta. – Czy aby na pewno dobrze się odżywasz, moja droga?

Sugar, która stoi tuż za plecami Agnes, dostrzega dreszcz, który przebiega wzdłuż guzików jej sukni na plecach. Zapada milczenie, a gwar dookoła nieco cichnie, zapewne zwykłym zbiegiem okoliczności, nie zaś dlatego, że wszyscy czekają z zaciekawieniem na odpowiedź pani Rackham.

– Jesteś gruba i brzydka, i nigdy cię nie lubiłam. – Wyraźnie słychać te słowa, wypowiedziane chrapliwym, monotonnym głosem, zupełnie niepodobnym do głosu Agnes, być może dlatego, że

dobycią się gdzieś z głębi jej trzewi, nie z krtani, która wydaje zazwyczaj wysokie dźwięki, przypominające brzmienie fletu. Głos ten sprawia, że włosy na karku Sugar jeżą się, i paraliżuje bezimienną damę jak warczenie rozwścieczonego psa. – Brzydzę się twoim mężem... – ciągnie Agnes – ...jego zaślinionymi, czerwonymi wargami i okropnymi zębami starucha. Twoja troska o mnie jest fałszywa i jadowita. Na podbródku rosną ci włosy. A poza tym kobieta otyła w żadnym wypadku nie powinna nosić atłasu. – Tu pani Rackham odwraca się na pięcie i wybiega z holu, przyciskając do czoła dłoń w białej rękawiczce.

Sugar spieszy za nią, mijając upokorzoną anonimową damę i jej świtę, której członkowie, czyli starcy o obwisłych wargach, kulą się w sobie, jak gdyby zasady prowadzonej przez nich gry zostały zupełnie postawione na głowie; nie zdziwiłby ich zatem kolejny atak ze strony jakiejś nieznajomej.

– Przepraszam – chrypi Sugar i znika, podczas gdy tamci patrzą w ślad za nią z rozdziawionymi ustami.

Pośpiech jest usprawiedliwiony: Agnes ani na chwilę nie zatrzymuje się w szatni, ale od razu wybiega z gmachu opery na oświetloną gazowymi latarniami ulicę. Ledwie odźwierny wyciąga gumiąstą szyję przez otwarte drzwi, gdy wpada w nie Sugar, ocierając się o jego nos ramieniem, skrytym pod rękawem aksamitnej sukni.

– Proszę o wybaczenie! – oboje wołają jednocześnie, ot, słowa na wiatr.

Dziewczyna rozgląda się po zatłoczonej Bow Street. Panuje tu rozgardiasz, który tworzą kłębiący się handlarze, nierządnicę, cudzoziemcy i normalni ludzie. Przez chwilę Sugar obawia się, że w tym kalejdoskopie straci gdzieś Agnes z oczu, tym bardziej że nieprzerwany strumień pojazdów konnych zasłania jej drugą stronę ulicy. Nie musi się jednak martwić: bez ciemnozielonego płaszcza i czarnego parasola, których pani Rackham nie odebrała z szatni, łatwo ją zauważyć; jej białe spódnice suną nad czarnym chodnikiem, wijąc się wśród przechodniów, Sugar musi więc tylko podążać za najbliższą suknią na ulicy i mieć nadzieję, że istotnie należy ona do Agnes.

Ten pościg trwa niecałe trzydzieści sekund, ponieważ pani Rackham skręca raptownie w wąską uliczkę, której ciemność wykorzystują dla swoich potrzeb dziwki i złodzieje – a także dżentelmeni, gdy muszą się wysikać. I trzeba trafu, że kiedy tylko Sugar wślizguje się w brudną szczelinę zaułka, gdzie otacza ją ostry smród ludzkich odchodów, słyszy wyraźnie cichy odgłos oddalających się kroków.

Z całą pewnością nie są to kroki Agnes, bo nieco dalej widać kompletnie nieruchomą panią Rackham, która leży z rozrzuconymi rękami twarzą do ziemi w nieczystościach i piachu. Jej spódnice połyskują w ciemnościach niczym sterta śniegu, który jakimś cudem przetrwał nadejście wiosny.

– A niech to diabli... – dyszy sparaliżowana z niepokoju i niepewności Sugar. Ogląda się i utwierdza w przekonaniu, że z perspektywy przechodniów na Bow Street, biegnącej zaledwie pięć jardów za jej plecami, znajduje się w innym świecie, jakby w mrocznym czyścicu; zarówno ona, jak i Agnes pozostają poza głównym strumieniem światła latarni, który niepomny niczego, płynie dalej bez nich. A jednak Sugar wie doskonale, że niedaleko za rogiem znajduje się Scotland Yard i jeśli jest w Londynie jakieś miejsce, gdzie mogą ją zatrzymać mundurowi policjanci, aby zapytać, co jej wiadomo o leżącej bez życia kobiecie, to właśnie tutaj.

– Agnes? – Nieruchome ciało nie udziela żadnej odpowiedzi. Lewa stopa pani Rackham jest nienaturalnie wykręcona, a prawe ramię wyciągnięte daleko w bok, jak gdyby spadła z wielkiej wysokości.

– Agnes? – Sugar przykłęka obok. Wsuwa dłoń w ciemność, pod miękkie, jasne włosy, żeby dotknąć policzka pani Rackham. Bije od niego ciepło, a raczej żar jej ciała. Policzek jest gładki i żywy jak nagie piersi Sugar. Dziewczyna unosi głowę Agnes z zimnego, zapiaszczonego bruku i czuje, jak jej palce przebiega nagle prąd.

– Agnes? – Usta dotykające ręki Sugar ożywają, mamroczą coś niezrozumiale i łaskoczą ją, jak gdyby poszukując pośród palców kciuka, który gotowe są ssać. – Agnes, obudź się!

Panią Rackham przebiega skurcz niczym śniącego kota. Rękami i nogami bije słabo w ziemię.

– Clara? – jęczy Agnes.

– Nie – szepcze Sugar, nachylając się do jej ucha. – Nie jesteś jeszcze w domu.

Agnes dźwiga się na kolana z wydatną pomocą dziewczyny. W ciemności nie widać, czy lśniącem paskudztwem na nosku, podbródku i biuście pani Rackham jest krew, czy błoto, a może jedno i drugie?

– Nie patrz na mnie – przykazuje jej łagodnie Sugar, kiedy ostrożnie chwytą panią Rackham pod ramiona i podnosi ją na nogi. – Pomogę ci, ale nie patrz na mnie.

Realność nieszczęścia, jakie ją spotkało, stopniowo dociera teraz z każdą chwilą do powracającej do przytomności Agnes.

– Wielkie nieba, jestem... brudna! – Wstrząsa nią dreszcz. – Jestem cała brudna! – Jej drobne rączki trzepoczą bezsilnie nad stanikiem i opadają na kolana, okryte powalanymi błotem spódnicami. – Jak ludzie mogą zobaczyć mnie w tym stanie? Jak ja wrócę do domu? – Pod wpływem błagalnego impulsu pani Rackham zwraca się do swojej wybawicielki, Sugar cofa się jednak.

– Nie patrz na mnie – powtarza znowu, mocno ściskając Agnes za ramię. – Pomogę ci. Zaczekaj tutaj. – I po tych słowach zawraca, ruszając biegiem w kierunku świateł Bow Street.

Przystając ponownie w głównym nurcie rzeki przechodniów, Sugar rozgląda się wokół i obrzuca badawczym spojrzeniem każdego z osobna: czy w tym wirującym, rozgadany rojowisku ludzkim znajdzie się ktoś, kto może ofiarować jej to, czego szuka? Na przykład sprzedawcy kawy, otoczeni parą, unoszącą się z ich straganów?... Nie, są zbyt obdarci, mają jutowe czapki i poplamione fartuchy... Więc może te damy, które czekają, żeby przejść na drugą stronę ulicy, i dumnie gładzą swoje futrzane etole, patrząc na przejeżdżające powozy? Nie, właśnie wyszły z opery; Agnes może je znać; a poza tym i tak prędzej by umarły niż... A tamten żołnierz w pięknej, czarnej pelerynie? Nie, upierałby się, żeby wezwać policję... Może więc ta kobieta, otulona długim, purpurowym szalem... Ale to na pewno prostytutka, która przysporzyłaby im tylko kłopotów...

– Och! Proszę pani! Przepraszam! – woła Sugar, podbiegając do jakiejś tęgiej jejmości, która dźwiga kosz nadgniłych truskawek. Uboga i zaniedbana kobiecina, sądząc na oko, Irlandka albo wariatka, posiada mimo wszystko pewien atut (nie licząc kosza rozpačkanych owoców), a mianowicie: obszerny, niemodny, jasnoniebieski płaszcz, który okrywają od szyi po kostki.

– Pyszne truskawki – odpowiada kobieta, zezując przymilnie na Sugar.

– Chodzi mi o twój płaszcz – mówi dziewczyna, otwierając torebkę i szukając w niej najbardziej błyszczących monet. – Sprzedaj mi go. Dam ci za niego dziesięć szylingów.

Sugar wyciąga kolejne monety, sześć, siedem, osiem, a skulona w sobie kobieta zaczyna się już oddalać, nerwowo oblizując wargi.

– Ja nie żartuję! – nalega Sugar, wyciągając kolejne szylingi i trzymając je w otwartej dłoni tak, by odbijały światło.

– Przeca nie gadam, że se żartujecie, pani – mówi kobieta, zginając się w półkłonie i wywracając w oszołomieniu przekrwionymi oczami. – Ale zrozumcie, pani, moja okryjebida nie jest na sprzedaż. Pyszne...

– Masz źle w głowie? – krzyczy zniecierpliwiona Sugar. Lada chwila jakiś nikczemnik, nawiedzający regularnie ten zaułek, może znaleźć zwiniętą w kłębek Agnes, leżącą w ciemności na ziemi; kto wie, czy jakiś mężczyzna nie postępuje właśnie, podryzując jej gardło, żeby ukraść naszyjnik albo srebrny medalion. – Ten twój płaszcz to przecież tylko stara, szmatława bawełna... Możesz kupić sobie coś lepszego na Petticoat Lane, kiedy tylko zechcesz!

– Tak, tak, pani – odpowiada prosząco nędzne popychadło, ściskając kołnierz płaszcza. – Ale dzisiaj jest mi strasznie zimno, a mam pod spodem tylko takom ciniutkom, nianom sukienkę.

– Na litość boską – syczy Sugar, wpadając niemal w histerię ze zniecierpliwienia, bo wyobraża sobie, jak ząbkowane ostrze oddziela od tułowia głowę Agnes, a z jej rozdartej szyi bucha krew. – To dziesięć szylingów! Popatrz! – Wyciąga rękę, podsuwając kobiecie lśniące, nowe monety niemal pod sam nos.

Chwilę później dochodzi do wymiany. Sprzedawczyni truskawek przyjmuje pieniądze, a Sugar uwalnia ją od płaszcza, odsłaniając nagie ramiona kobiety, przezroczystą jak mgiełka spódnicę i obwisły, rozdęty stanik, poplamiony gęsto mlekiem z jej piersi – ponieważ elementem

transakcji staje się więc także grymas obrzydzenia. Potem Sugar odchodzi już bez słowa, składając i przyciskając dyskretnie płaszcz do swojej aksamitnej piersi, gdy wraca po własnych śladach w ciemny zaułek.

Zastaje Agnes dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ją zostawiła; można odnieść wrażenie, że podczas nieobecności Sugar pani Rackham nawet nie drgnęła, jak gdyby zmieniła się w kamień wskutek baśniowych czarów. Nie trzeba jej przypominać, żeby posłusznie odwróciła twarz na widok swojego anioła stróża, którego wysoka, niemal męska postać zbliża się do niej, niosąc na wysokości piersi jakiś tajemniczy, blady, migotliwie połyskujący przedmiot. Szczury, które krążyły wokół spódnic Agnes, obwąchując jej miękkie, skórzane trzewiki, pierzchają w popłochu w czerń.

– Coś ci przyniosłam – mówi Sugar, przystając obok. – Nie ruszaj się, to cię okryję.

Kiedy płaszcz handlarki opada na Agnes, jej ramiona przebiega skurcz. Potem pani Rackham wydaje słaby okrzyk, niewiele głośniejszy od westchnienia, trudno jednak powiedzieć, czy jest to wyraz rozkoszy, bólu, czy strachu. Gmera ręką na piersi, niepewna, jak się zapina ten nieznamy płaszcz... Ależ nie! To wcale nie to: Agnes czyni znak krzyża.

– ...i Ducha Świętego... – szepcze drżącym głosem.

– A teraz powiem ci, co masz robić – oświadcza Sugar, chwytając Agnes za łokcie przez ziemistą tkaninę płaszcza. – Musisz wyjść z tego zaułka, a potem skrócić w prawo. Słuchasz mnie?

Agnes kiwa potakująco głową i kwili, co przypomina do złudzenia erotyczne jęki, jakie wydaje Sugar, kiedy wsuwa się w nią twardy kutas.

– Kiedy wrócisz na główną ulicę, pójdziesz prosto, nie więcej niż sto jardów – ciągnie Sugar, delikatnie, z każdym krokiem popychając Agnes w stronę światła. – Potem skręć znowu w prawo, przy wózku kwiaciarza: tam czeka na ciebie Cheesman. Dopilnuję, żeby nie stało ci się nic złego. – Pochylając się nad nią, dziewczyna obrzuca Agnes ukradkowym spojrzeniem i spostrzega lśniąca smugę błota i krwi, którą wyciera rękawem ciemnego rękawa swojej sukni.

– Niech ci Bóg błogosławi, niech ci Bóg błogosławi – mówi Agnes. Rusza chwiejnie naprzód, chociaż przechyla się w tył i traci poczucie równowagi, nie mogąc utrzymać pionu. – William powiada, że jesteś tylko ułudą, oszukańcym wytworem mojej wyobraźni.

– Mniejsza o to, co mówi William. – Jak ona drży w jej uścisku! Jak dziecko... choć o tym, jak drżą dzieci, Sugar wie tylko z powieści, nie z doświadczenia. – Pamiętaj, masz skrócić w prawo koło wózka kwiaciarza.

– Taka piękna, bbbbia... biała szata – mówi Agnes, która odzyskuje odwagę i równowagę. – Pewnie powie, że ją też wymyśliłam...

– Nie mów nic Williamowi. Niech to zostanie naszą tajemnicą.

– Ta... tajemnicą? – Dotarły już obie do wylotu zaułka, a świat wciąż opływa je dookoła, jak gdyby były niewidzialnymi duchami, pochodzącymi z innej rzeczywistości.

– Tak – mówi w olśnieniu Sugar, bo nagle wpada jej do głowy, co powinna powiedzieć. – Zrozum mnie, Agnes, aniołom nie wolno robić... tego, co ja dla ciebie zrobiłam. Ktoś mógłby się za to strasznie na mnie pogniewać.

– Ma... Matka Boska?

– Matka...? – O co jej chodzi, u diabła? Sugar nie jest pewna, aż wreszcie w jej wyobraźni rozbłyskuje wspomnienie albumów pani Castaway, pełnych ponurych, trupich, umazanych przezroczywym klejem Madonn. – Tak. Matka Boska.

– Och! Niech ci Bóg błogosławi! – Na ten okrzyk mijający ich dandys zatrzymuje się na chwilę w pół kroku, bo nasek pani Rackham powrócił już w wartki nurt życia.

– Idź, Agnes – nakazuje Sugar, popychając ją leciutko.

Pani Rackham dochodzi niepewnym krokiem na Bow Street. Idzie we właściwą stronę, prosto jak maszyna. Nie patrzy w lewo ani w prawo, choć gdzieś dalej na ulicy powstaje nagle zamieszanie z udziałem policji i mocno gestykulujących przechodniów; Agnes pokonuje wymagane sto kroków i zgodnie z poleceniem skręca w prawo przy postoju dorożek. Dopiero wtedy Sugar opuszcza swój punkt obserwacyjny i rusza za nią; kiedy dochodzi do wózka kwiaciarza i wygląda zza węgła, pani Rackham siedzi już bezpiecznie w swoim broughamie, Cheesman wspina się na kozioł, a uradowane konie parskają, gotowe do drogi.

– Dzięki Bogu – mruczy Sugar i odwraca się chwiejnie, bo nagle ogarnia ją słabość. Teraz musi znaleźć dorożkę dla siebie.

Tymczasem zamieszanie na Bow Street dobiega już końca i gęsta ciżba gapiów rozchodzi się z miejsca zdarzenia. Dwóch policjantów dźwiga nosze, na których spoczywa jakaś ludzka postać, owinięta szczelnie białym prześcieradłem. Choć zdają sobie sprawę, jakie stanowią zagrożenie dla ruchu ulicznego, funkcjonariusze pieczołowicie ładują bezwładny ciężar na wóz z plandeką i dają sygnał do odjazdu.

Dopiero dwie godziny później, kiedy po powrocie do zacisznego mieszkania przy Priory Close Sugar leży w ciepłej kąpieli i wpatruje się w spowity parą sufit, przychodzi jej do głowy pewna myśl:

To były zwłoki tej sprzedawczynie truskawek.

Krzywi twarz i wynurza się spod wody. Jej mokre włosy są tak ciężkie, że niemal wciągają ją z powrotem, a namydlone łokcie dziewczyny ześlizgują się z gładkiej emalii wanny.

Bzdura, myśli. To był jakiś pijak. Albo żebrak.

Wstaje i splukuje się dzbankiem zimnej wody. Mydliny wirujące wokół jej kolan są szare od sadzy, unoszącej się w cuchnącym powietrzu miasta.

Każdy bandyta i rabuś na Bow Street widział, jak ta kobieta bierze ode mnie pieniądze. Półnaga w nocy, z dziesięcioma szylingami...

Sugar wychodzi z wanny i owija się w swój ulubiony śnieżnobiały ręcznik, najlepszy, jaki udało jej się kupić u Petera Robinsona podczas ostatniej wyprawy na zakupy, jeżeli położy się teraz spać, włosy źle się ułożą; naprawdę, powinna wysuszyć je i rozczesać przed kominkiem, żeby nabrały zwiewnej puszystości, którą zachwyca się William. Może się jutro wysypiać przez cały dzień; Rackham będzie wtedy w drodze powrotnej z Birmingham.

Starcy umierają z głodu w Londynie każdego dnia. Pijacy giną pod kołami powozów. To nie była sprzedawczynie truskawek. Chrapie teraz w swoim łóżku, a te dziesięć szylingów schowała pod poduszkę.

Dziewczyna kuca nago przed kominkiem. Wilgotne loki rozsypują się jej na twarzy, a wtedy Sugar zaczyna się czesać – i czesze się bez końca. Cienkie niby łańcuszki naszyjników strumyczki wody ściekają jej po rękach i ramionach, parując w bijącym z paleniska ciepłe. Na dworze zrywa się gwałtowny wiatr, który śwista i zawodzi wokół domu, niosąc drobne śmieci, którymi miota o szyby w gabinecie. Coś chrzęści w kominie; trzeszczy też drewniany szkielet domu, ukryty pod tynkiem i tapetami.

A na koniec rozlega się pukanie, na dźwięk którego Sugar o mało nie umiera ze strachu: pukanie do drzwi wejściowych. Czy to jej wybujała wyobraźnia? Nie, znowu je słyhać! William? A kto to może być, jeżeli nie on? Dziewczyna zrywa się na nogi, na poły w panice, na poły podekscytowana. Dlaczego wrócił tak szybko? I co z tą fabryką opakowań? „Rozmyśliłem się w pół drogi do Birmingham”, wyobraża sobie tłumaczenie Williama. „Nic, co jest dobre, nie może być takie tanie”. Jezu, gdzie się podziała jej koszula nocna?

Ale pod wpływem impulsu biegnie do drzwi nago. Dlaczego nie? Rackham będzie zaskoczony i zachwycony na widok swojej śmiałej, bezpruderyjnej kurtyzany w stroju Ewy, kiedy zobaczy świeżo rozpakowany prezent, jakim jest jej miękkie, czyste ciało, pachnące perfumami jego firmy. Niełatwo będzie mu nad sobą zapanować, gdy Sugar tanecznym, swawolnym krokiem poprowadzi go do sypialni...

Otwiera drzwi, wpuszczając do domu potężny powiew ostrego powietrza, który natychmiast smaga jej pokryte gęsią skórką ciało. Na zewnątrz, na czarnym jak atrament ganku, nie ma żywego ducha.

Henry Rackham po raz drugi pociąga za sznur dzwonka, obracając w palcach bilet wizytowy, który – jak się obawia – będzie musiał zostawić, jeśli nie pozwolą mu odwiedzić pani Fox osobiście. Przecież widział ją ostatnio bardzo niedawno, czy może być zatem prawdą, że od tej pory Emmeline zapadła na śmiertelną chorobę? Mosiężna tabliczka na drzwiach domu jej ojca, która pełni wyłącznie funkcję informacyjną, teraz Henry’emu kojarzy się nagle ze światem, w którym króluje choroba i śmierć: JAMES CURLEW, LEKARZ OGÓLNY I CHIRURG.

Drzwi otwiera leciwa pokojówka doktora. Henry zdejmuje kapelusz i przyciska go do piersi. Nie jest w stanie wykrztusić ani słowa.

– Proszę wejść, panie Rackham.

Kiedy służąca prowadzi go do holu, Henry z trudem opiera się pokusie, by nie odepchnąć arogancko kobiety, która niezręcznie pomaga mu zdjąć płaszcz; Rackham spostrzega bowiem doktora Curlew, który znika już niemal z pola widzenia na schodach.

– Doktorze! – woła Henry, wyszarpując ramiona z rękawów płaszcza.

Curlew przystaje na najwyższym stopniu, odwraca się i zaczyna cicho schodzić. Ignoruje jednak gościa i zachowuje się raczej jak ktoś, kto o czymś zapomniał.

– Panie – woła Henry. – Jak... jak miewa się pani Fox?

Curlew przystaje wysoko nad głową Henry’ego.

– Diagnoza potwierdziła się, ma gruźlicę – mówi głucho. – Cóż więcej mogę powiedzieć?

Henry zaciska swoje wielkie dłonie na tralkach balustrady, podnosząc na lekarza okolone czerwonymi obwódkami oczy z zapuchniętymi powiekami.

– Czy nie ma nic...? – pyta błagalnie. – Czytałem, że... że można robić jakieś kompresy płucne, chyba tak się to nazywa.

Lekarz śmieje się bardziej do siebie niż do Henry’ego.

– Są nic niewarte, Rackham. To tylko czary-mary i lodowata woda. Śmiem twierdzić, że lepszy skutek odniosą twoje modlitwy.

– Czy mogę się z nią zobaczyć? – prosi Henry. – Dołożę wszelkich starań, by jej nie denerwować...

Curlew znów zaczyna wchodzić na górę, niedbale pozostawiając gospodarski obowiązek gościnności w rękach pokojówki.

– Tak, tak, jak najbardziej – mówi przez ramię. – Jak ci sama powie, czuje się doskonale. – I po tych słowach doktor Curlew znika.

Służąca prowadzi Henry’ego przez skromne korytarze i spartańsko urządzonej salonu domu lekarza – domu, który w przeciwieństwie do rezydencji Williama jest całkowicie niesfeminizowany. Nie ma tu ucieczki przed ponurym utylitaryzmem, dopóki Henry nie dociera do oszklonych drzwi, wychodzących na ogród, gdzie pozwolono naturze delikatnie stroić nagą ziemię. Henry wygląda przez nieskazitelnie przezroczystą szybę na zalany słońcem kwadrat przystrzyżonego trawnika, na którego skraju widzi wypielegnowane, zimozielone krzewy, pośrodku zaś najważniejszą dla niego, poza Jezusem Chrystusem, osobę na świecie.

Pani Fox pólżeży w wiklinowym fotelu na biegunach, ubrana, jak gdyby spodziewała się wizyty. Ma ciasno zapięty stanik, na nogach buciki, zamiast domowych pantofli, i starannie, fantazyjnie uczesane włosy – prawdę mówiąc, bardziej fantazyjnie niż zazwyczaj. Na kolanach trzyma otwartą książkę, w którą wpatruje się bacznie. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie.

– Pani Fox?

– Henry! – wykrzykuje zachwycona, upuszczając książkę na trawę obok fotela. – Jak miło cię widzieć! Myślałam już, że zwariuję z nudów.

Henry podchodzi bliżej, nie mogąc uwierzyć, że doktor Curlew z taką pewnością siebie wydaje

wyrok śmierci na kogoś, kto jest po prostu ucieleśnieniem życia. Medycy nie zjedli przecież wszystkich rozumów! Czyż nie mogą się mylić? Jednak pani Fox, śledząc wyraz zakłopotania na jego twarzy, bezlitośnie wyprowadza go z błędu.

– Niedomagam, Henry – mówi z uśmiechem. – Dlatego choć raz w życiu siedzę spokojnie! Dziś rano trzymałam nawet nogi na podnóżku, ale to wszystko, na co wyrażam zgodę bez oporu. Siadaj, Henry, proszę; trawa jest całkiem sucha.

Henry spełnia jej prośbę, choć pani Fox myli się, bo jego spodnie natychmiast przesiąkają wilgocią na siedzeniu.

– No, cóż – ciągnie pani Fox dziwnym tonem, w którym pobrzmiewa zarówno ulotna radość, jak i gorzkie zmęczenie. – Jakie jeszcze wieści mam ci do przekazania? Słyszałeś już może, że... jak by to powiedzieć? ...że zostałam elegancko usunięta z szeregów Towarzystwa Ocalenia Kobiet. Moje towarzyski z organizacji uznały, że jestem zbyt osłabiona, bym mogła pełnić swoje obowiązki. Bo widzisz, pewnego dnia zmęczyłam się marszem z Liverpool Street Station do domu rozpusty i musiałam odpocząć na schodach na zewnątrz, gdy tymczasem moje koleżanki weszły do środka. Starłam się być jak najbardziej pożyteczna, zamieniłam więc kilka ostrych słów z zamtuzowym cerberem, ale moje siostry najwyraźniej uznały, że je zawiodłam. Dlatego w ostatni wtorek przysłały mi list, w którym proponują, abym ograniczyła swoje wysiłki do prowadzenia korespondencji z parlamentarzystami. Wszystkie członkinie Towarzystwa życzą mi jak najszybszego powrotu do zdrowia, i to wyjątkowo kwieciście. Tymczasem jednak chcą chyba, żebym zanudziła się na śmierć.

Przestraszony swobodą, z jaką pani Fox pozwala temu ostatniemu słowu spłynąć ze swoich ust, Henry z trudem zmusza się, żeby wyciągnąć nieco więcej szczegółów.

– Czy ojciec... mówił ci... co to jest albo co to może być za... ach... no, choroba?

– Och, Henry, jak zawsze wszystko owijasz w bawełnę! – strofuje go czule pani Fox. – Zapadłam na gruźlicę. A w każdym razie tak mi powiedziano, ja zaś nie mam powodów, żeby w to nie wierzyć. – W jej oczach zapalają się isierki gorączki, płonące takim samym blaskiem jak wtedy, kiedy na spacerach po nabożeństwie dyskutuje z Henrym o prawdach wiary. – Wiem, że nie umrę, a w każdym razie nie teraz jeszcze, i nie podzielałam rozpowszechnionej opinii na mój temat, którą wyznaje także mój uczony ojciec. Mam w sobie coś w rodzaju... jak to opisać? Coś w rodzaju kalendarza moich dni, który otrzymałam od Boga. Na każdej stronie tego kalendarza odnotowane zostały wszystkie sprawy, jakie mam do załatwienia, i wszystkie spotkania, które muszę odbyć w służbie Bożej. Nie twierdzę, że wiem dokładnie, ile jest w sumie tych stron, czuję jednak, że mój kalendarz wciąż pozostaje dość gruby i wbrew temu, co wszyscy myślicie, nie stał się już tylko cienkim plikiem. Zatem zachorowałam na gruźlicę, tak? Doskonale, zachorowałam. Ale wyzdrowieję.

– Och, jaka ty jesteś dzielna duchem, pani! – woła Henry, który pada nagle na kolana i chwytą ją za rękę.

– Och, bzdura – replikuje pani Fox, ale splata swoje chłodne palce z palcami dłoni Henry'ego i ścisła je delikatnie. – Bóg wciąż ma dla mnie robotę, i tyle.

Na chwilę oboje milkną. Przez ich splecione dłonie przepływają tam i z powrotem szczere, nieme uczucia; uścisku, w którym niewinny impuls złączył ich ręce, nie potrafi jeszcze rozerwać przyzwoitość. Ogród skąpany jest w słońcu, a zza otaczającego go czarnego płotu nadlatuje duży, czarny motyl, trzepocząc nad krzewami w poszukiwaniu kwiatów. Pani Fox wysuwa palce z dłoni Henry'ego z takim wdziękiem, że staje się jasne, iż nie chce go odprawić, po czym przykładą rękę do piersi.

– A teraz mów, Henry – zwraca się do niego, wzdychając głęboko. – Co nowego u ciebie?

– U mnie? – Rackham mruga powiekami, zamroczony jej oszałamiającym, pożądlivym dotykiem. – Ja... ach... – Ale wtedy nagle wraca mu pamięć i znajduje odpowiednie słowa. – Miło mi cię zawiadomić, że dzieje się bardzo wiele. – Henry rumieni się, spuszcza oczy i kieruje spojrzenie na trawę między swymi rozchylonymi kolanami. – Prowadziłem pewne badania pośród ludzi ubogich i nieszczęśliwych, mając nareszcie na względzie przygotowania do... – Rumieni się jeszcze bardziej, a potem uśmiecha szeroko. – Ty już wiesz do czego.

– A zatem przeczytałeś tę książkę Mayhewa²⁰, którą ci pożyczyłam?

– Tak, ale zrobiłem coś więcej. Zacząłem... w ciągu kilku ostatnich tygodni zacząłem też prowadzić rozmowy z nędzarami i nieszczęśnikami na ulicach, które zamieszkują.

– Och, Henry, doprawdy? – Pani Fox nie mogłaby być z niego bardziej dumna, niż gdyby powiedział, że spotkał Królową i uratował ją od śmierci z rąk skrytobójców. – Opowiadaj, opowiadaj... Jak to było?

Tak więc Henry klęka przed nią i opowiada wszystko, a raczej prawie wszystko. Opisuje miejsca, w których rozmawiał z bezrobotnymi, ulicznikami i prostytutką (nie wspomina tylko, jak pewnego razu naszła go chuć). Emmeline słucha uważnie, z rozjaśnionym obliczem, ale ponieważ jest jej niewygodnie, wierci się w fotelu, jak gdyby chciała, żeby wiklina zdarła jej ciało do kości. Snując swoją opowieść, Henry nie może nie zauważyć, że pani Fox bardzo wychudła. Czy to jej obojczyki rysują się pod suknią? Cóż znaczą jego zamiary, jeśli faktycznie są to jej obojczyki? Wyobrażał sobie, że kiedy zostanie duchownym, będzie miał zawsze u boku Emmeline, a ona będzie służyć mu radą i zachęcać go, by zwierzał się jej ze swoich niepowodzeń i smutków. Jego ambicja jest silna tylko wtedy, kiedy przywdziewa zbroję wsparcia pani Fox, a bez niej staje się zaledwie lekkim, bezbronnym marzeniem. Ona nie może umrzeć!

To niesamowite, ale w tej właśnie chwili Emmeline wyciąga rękę i kładzie mu ją na dłoni, mówiąc:

– Niech Bóg pozwoli, abyśmy mogli w przyszłości prowadzić razem tę walkę!

Henry patrzy jej w oczy. Przed kilkoma minutami powiedział, że kobiety lekkich obyczajów nie mają nad nim żadnej władzy; że nawet w odpychającym ubóstwie tych istot widzi tylko i wyłącznie dusze. To wszystko prawda, ale nagle, kiedy zaczyna drżeć jego dłoń, której dotyka pani Fox, zdaje sobie sprawę, że ta szlachetna i cnotliwa kobieta, powalona brutalną ręką choroby, wciąż budzi w nim szatańskie pożądanie.

– Niechaj Bóg pozwoli – szepcze chrapliwie Henry.

– Church Lane, tylne wejście do rajy, proszbardzo!

Odwiozłszy elegancko ubraną damę do odrażającej części Old City, dorożkarz wydaje sarkastyczne parsknięcie; koń, który widocznie podziela jego poglądy, w pożegnalnym geście pogardy pozostawia na bruku kopiec gorącego łajna. Odrzucając pokusę, żeby zrugać woźnicę, Sugar trzyma jednak język za zębami, płaci za kurs, a potem rusza na palcach ku domowi pani Leek, unosząc w górę rąbki swojej sukni. Ta ulica, co za trzęsawisko plugastwa! – a świeży koński nawóz stanowi najmniejsze z tutejszych zagrożeń. Czy zawsze tak tu cuchnęło, czy może Sugar za długi mieszka w swym nowym domu, gdzie unosi się tylko zapach krzewów różanych i kosmetyków Rackhama?

Sugar puka do drzwi przybytku pani Leek, słyszy przytłumione „wejść!” pułkownika, po czym wchodzi do środka, jak tylekroć w dzieciństwie. Zapach unoszący się we wnętrzu wcale nie jest przyjemniejszy niż na dworze, a widok okropnego starucha i wciąż rosnącej zbieraniny obrzydliwych kła-motów w salonie wcale nie dodaje dziewczynie otuchy, podobnie jak nędza i gnój na ulicy.

– Ach, oto i nasza konkubina! – kracze złośliwie pułkownik, ograniczając się do tego powitania.

– Myślisz, że sprzyja ci los, co?

Sugar głęboko wciąga powietrze do płuc, a potem zdejmuje rękawiczki i wpycha je do torebki. Już gorzko żałuje, że kiedy wpadła wczoraj na Caroline na New Oxford Street, obiecała złożyć jej wizytę, pragnęła bowiem jak najszybciej przerwać zapowiadającą się na długą pogawędkę rozmowę z przyjaciółką. To doprawdy niesamowity zbieg okoliczności, że Caroline jednego roku spotkała ją dwukrotnie w mieście, w którym mieszka kilka milionów ludzi – a wczoraj akurat w chwili, kiedy Sugar spieszyła się na Euston Station, by z dala obserwować przyjazd pociągu z Birmingham! Z perspektywy czasu okazuje się, że byłoby lepiej, gdyby spędziła kilka minut więcej na ulicy w

20 Henry Mayhew (1812 – 1887) – angielski dramaturg i dziennikarz. Pani Fox ma zapewne na myśli cykl jego artykułów poświęconych filantropii, opublikowanych w 1851 roku w formie książkowej pod tytułem *London Labour and the London Poor* (przyp. tłum.).

towarzystwie Caroline, bo William i tak nie przyjechał tym przeklętym pociągiem, a teraz powstaje ryzyko, iż przyjedzie dziś rano i zapuka do drzwi jej mieszkania, gdy ona będzie bawić tutaj, marnotrawiąc czas w burdelu cuchnącym uryną starca!

– Czy Caroline jest wolna, pułkowniku Leek? – pyta obojętnie Sugar.

Zachwycony, że jest uprzywilejowanym strażnikiem tej informacji, starzec rozpiera się na swoim wózku, a wtedy najwyższe warstwy chusty zsuwają się z jego ust. Sugar wie, że pułkownik wyrzyga zaraz jakiś komunikat ze swojego odrażającego rejestru nieszczęść.

– Szczęśliwy los! – mówi drwiąco. – Ja ci pokażę szczęśliwy los! Pewna kobieta z Yorkshire nazwiskiem Hobbert odziedziczyła w 1852 roku posiadłość swego ojca; trzy dni później zawaliła się brama rezydencji, grzebiąc ją pod gruzami. Rysowniczką roślin, Edith Clough, została wybrana spośród kilku tysięcy kandydatów, by towarzyszyć profesorowi Eyde podczas wyprawy na Grenlandię w 1861 roku; pożarła ją tam jakaś wielka ryba morska. A w przeszłym roku, w listopadzie, Lizzie Sumner, kochankę lorda Price’a, znaleziono w jej domku w Marylebone z głową...

– Tak, tak, to prawdziwa tragedia, pułkowniku. Ale czy Caroline jest wolna?

– Poczekaj dwie minuty – warczy starzec i ponownie zagłębia się w swoje okrycia.

Sugar ukradkiem przesuwa czubkami palców po siedzisku najbliższego krzesła, po czym spoczywa na nim. Zapada błogostawiona cisza, a ciało pułkownika flaczeje stopniowo w przeświecającym zza grubej kotary słońcu. Sugar przygląda się pokrytym rdzą muszkietom na ścianie; niestety, pół minuty później pułkownik przerywa milczenie.

– Więc jak się miewa twój perfumowy potentat, co?

– Obiecałeś, że nikomu o nim nie powiesz – rzuca ostro Sugar. – To była część naszej umowy.

– Nicem im nie powiedział – charczy pułkownik Leek, wywracając oczami i podnosząc wzrok ku górze, na gołębnik pokoi, do których nigdy nie wchodzi, a gdzie używając kończyn i genitaliów, mężczyźni dokonują heroicznych czynów, gdzie mieszkają i nocują trzy rozwiązłe kobiety i gdzie pani Leek czytuje w swojej norze szmirowate powieści. – Nie ufasz chyba słowu honoru mężczyzny, nierządnicu.

Sugar wpatruje się w swoje palce. Skóra bardzo jej się teraz łuszczy, dziewczyna odczuwa więc ból. Może zapyta Caroline, czy nie ma trochę niedźwiedziego sadła.

– A Williamowi wiedzie się znakomicie, dziękuję – mówi. – Lepiej być nie może.

– Wciska ci od czasu do czasu w prezencie kostkę mydła, co?

Sugar patrzy w jego zaczerwienione oczy i zastanawia się, czy ta uwaga nie była ohydną, sprośną aluzją. Nie sądziła, że czyny lubieżne wzbudzają jakieś zainteresowanie pułkownika Leeka.

– Jak dla mnie jest dość hojny – wzrusza ramionami.

– Tylko nie wydaj wszystkiego od razu.

Głuchy odgłos zatraskiwanych tylnych drzwi rozbrzmiewa odległe w stęchłym powietrzu. Oto dom rozpusty wypuścił w jasny świat jakiegoś zadowolonego klienta.

– Sugar! – To głos Caroline, która pojawia się na schodach ubrana jedynie w szmizjerkę. Z tej perspektywy i w tym świetle blizna po ranie, jaką odniosła kiedyś w fabryce kapeluszy, staje się niepokojąco widoczna na jej piersi. – A zepchnijże pułkownika na bok, jak nie chce sam odjechać. To fotel na kółkach, nie?

Chcąc uniknąć takiego poniżenia, pułkownik Leek odjeżdża spod schodów.

– ...z głową prawie odciętą od tułowia jedwabną chustą – kończy starzec, gdy Sugar biegnie na górę do pokoju swojej przyjaciółki.

Podsunąwszy dziewczynie jedyne krzesło w sypialni, Caroline waha się, a potem siada na łóżku. Sugar natychmiast pojmuje, o co chodzi, i proponuje, że pomoże jej zmienić pościel.

– Nie mamy czystej pościeli – mówi Caroline. – Ale tę możemy na chwilę rozwiesić, co by się przewietrzyła.

Wspólnymi siłami ściągają prześcieradło i próbują udrapować je tak, żeby wyeksponować w otwartym oknie jego najbardziej wilgotną część. Kiedy tylko im się to udaje, słońce zaczyna świecić ze zdwojoną siłą.

– Mam dzisiaj szczęście, co? – uśmiecha się szeroko Caroline.

Zakłopotana Sugar odpowiada uśmiechem. Na Priory Close rozwiązuje ten problem w o wiele prostszy sposób: co tydzień, kiedy nikt nie widzi, bierze wielką paczkę poplamionej pościeli i przekracza bramę niewielkiego parku, skąd zaraz potem wychodzi z pustymi rękami. Następnie udaje się do sklepu Petera Robinsona, gdzie kupuje sobie nową pościel. No, bo co ma zrobić, skoro nie zatrudnia praczki? Oczami wyobraźni wyraźnie widzi teraz Christophera i jego szczupłe, czerwone ramiona, okolone banieczkami mydlin...

– Nic ci nie jest, Shush?

Sugar opanowuje grymas na twarzy.

– Trochę boli mnie głowa – mówi. – To słońce tak strasznie świeci.

Od jak dawna szyby w oknach Caroline są ohydnie zasnuwane? Ostatnio nie były chyba aż tak brudne? A czy w jej pokoju zawsze tak cuchnęło?

– Przepraszam cię, Shush. Jeszcze nie zrobiła swoich ablucyj.

Caroline przenosi miednicę na drugi koniec łóżka, kryjąc się za nim nieco, bo ma na względzie gościa. Pochyla się i rozpoczyna rytuał antykoncepcyjny: nalewa wodę do miski, odkręca różne fiolki. Sugar przebiega zimny dreszcz, kiedy przygląda się, jak jej przyjaciółka bez skrępowania zadziera wymiętą koszulę, trzymając już w drugiej ręce tłoczek owinięty na czubku starą szmatką. Dziewczyna nie przypomina sobie, by umazane nasieniem, ozdobione dołeczkami poślądki Caroline były dawniej tak pulchne.

– Ach, ile to zachodu, co nie? – mruczy Caroline, kucając i zabierając się do dzieła.

– Mhm – odpowiada Sugar, odwracając wzrok. Nie odprawia tego rytuału już od pewnego czasu; prawdę mówiąc, odkąd przeniosła się na Priory Close. Nie ma to większego sensu, kiedy William zostaje na całą noc, a zresztą, nawet kiedy u niej nie nocuje... cóż, Sugar bierze przecież długie, bardzo długie kąpiele, a chyba w żaden sposób nie mogłaby umyć się dokładniej niż wtedy, kiedy zanurza się w ciepłej, czystej wodzie, w której jej nogi łagodnie dryfują na boki pod białym kożuszkim aromatycznej piany.

– Jużem prawie skończyła – mówi Caroline.

– Nie spiesz się – odpowiada Sugar, zastanawiając się, czy William w tej właśnie chwili nie puka do drzwi ich miłosnego gniazda. Patrzy, jak prześcieradło wydyma się na ciepłym wietrze, a widniejące na nim lśniąca kształty blakną niczym śluz ślimaka. Boże, jaka ta pościel jest obrzydliwa! Sugar ma poczucie winy, ponieważ co tydzień wyrzuca w parku, koło jej nowego domu, niemal nieużywaną pościel, a Caroline musi sypiać i pracować w tych starych szmatach! *Masz tu prawie nową pościel, Caddie... Trzeba ją tylko wyprać...* Nie, to wykluczone.

Caroline podchodzi do okna, dźwigając ciężką miskę. Niczym duch znika od pasa w górę za wydymającym się prześcieradłem.

– Uwaga na głowy – mruczy wesoło i łamiąc obowiązujące prawo, wylewa wodę, której rozbryzgi ściekają po tylnej ścianie domu.

– Muszem ci opowiedzieć... Muszem ci opowiedzieć o moim ostatnim stałym kliencie – oświadcza kilka minut później, kiedy na wpeł ubrana, siada już na gołym materacu i zaczyna się czesać. – No, spotkałam się z nim już cztery razy. Spodobałby ci się, Shush. Ma gadane.

I Caroline zaczyna opowiadać o swoich spotkaniach z pewnym ponurym, poważnym mężczyzną, którego nazywa „pastorem”. Jest to trywialna opowieść, nic nowego w świecie prostytucji. Sugar z trudem skrywa zniecierpliwienie; jest pewna, że wie, jak kończy się ta historia.

– A potem ciągnie cię do łóżka, tak? – podsuwa, żeby Caddie skończyła jak najszybciej.

– Nie! – woła Caroline. – I to jest właśnie dziwne! – Usiłując opanować wesołość, kołysz bosymi stopami w powietrzu, a Sugar widzi, że są strasznie brudne. Czy ktoś, kto ma tak brudne nogi, może sobie roić, że kiedykolwiek zdoła uciec z St Giles?

– Może jest bardziej zboczony, niż ci się wydaje.

– Nie, nie jest ciotą, znam się na tym! – śmieje się Caroline. – Spytałam się go nie dalej jak w przeszłym tygodniu, co byłoby w tym straszego, gdyby poszedł ze mną do łóżka... chociaż raz... żeby się przekonał, czy mu się to podoba, a przynajmniej, żeby wiedział, co też takiego widzą w tym insi mężczyźni. – Mruży oczy, wyteżając pamięć, aby przypomnieć sobie dokładnie odpowiedź

pastora. – Stał tam, przy oknie, jak zawsze, w ogóle na mnie nie patrząc, i powiedział... co on wtenczas powiedział?... Powiedział, że jeśli wszyscy tacy jak on mężczyźni będą ulegać pokusie, na świecie już na zawsze zostaną takie nieszczęsne upadłe wdowy jak ja, umierające z głodu dzieci, jak mój syn, nikczemni kamienicznicy i mordercy, bo ludzie nie dość miłują naszego Pana Boga.

– A co ty na to? – pyta Sugar, błędząc wzrokiem po niezliczonych śladach ubóstwa w pokoju Caroline, jak listwy podłogowe, zbyt zbutwiałe, by można je odmalować, ściany zbyt krzywe, by je wytapetować, i deski w podłodze zbyt zjedzone przez korniki, by warto je pastować; właściwie niczego nie można tu niczym upiększyć, należałoby raczej spalić ten pokój i zrobić wszystko od nowa.

– Powiedziałam, że nie wiem, jak tacy mężczyźni jak on mogliby nie pozwolić, żeby na świecie nie było takich bidnych upadłych wdów jak ja i żeby ich dzieci nie umierali z głodu, chyba że oni zeniliby się z nimi i brali je na utrzymanie.

– A on? Nie zaproponował, że się z tobą ożeni i weźmie cię na utrzymanie?

– O mało co! – śmieje się Caroline. – Za drugim razem, jakem go widziała, gadał, że znajdzie mi uczciwe zajęcie. To się go spytałam, czy to by była praca we fabryce, a jak on powiedział, że tak, to ja mu powiedziałam, że praca we fabryce to mnie się nie uśmiecha. Myślałam, że to koniec, ale on tydzień temu znowu o tym gadał. Mówił, że pytał się kogoś i może załatwić mi pracę nie we fabryce, a w jakimś magazynie. I że jakbym chciała, to on mi to załatwi, wystarczy, że szepnie tylko słówko do ucha właściwej osobie, a jak mu nie wierzę, to firma nazywa się Rackham Perfumeries, że niby ja na pewno o niej słyszałam.

Sugar wzdryga się jak spłoszony kot, ale na szczęście Caroline podchodzi do okna i odruchowo gładzi prześcieradło.

– I co mu powiedziałaś?

– Że każda praca, jaką mi załatwi, wykończy mnie, wykończy mnie na śmierć, i to za mniej niż szylinga tygodniowo. Powiedziałam mu, że dla ubogiej kobiety każda „uczciwa” praca to jakby to samo, co powolna śmierć. – Caddie wybucha nagle śmiechem i przygładza uczesane włosy kilkoma ruchami dłoni. – Ach, Sugar – mówi, rozpościerając ramiona szeroko, by objąć niejako swój pokój i wszystko, co on symbolizuje. – Jakie inne zajęcie prócz tego może dać nam utrzymanie bez wielkiego znoju, a na dokładkę jeszcze odpoczynek i sen?

I piękne stroje, i biżuterię, myśli Sugar. Oprawne w skórę księgi, ryciny w srebrnych ramkach, dorożki na jedno machnięcie rękawiczką, wizyty w operze, wannę od Ardentia i własne mieszkanie. Wpatruje się w twarz Caroline i myśli: Co ja tu robię? Dlaczego przyjmujesz mnie miło? Dlaczego tak się do mnie uśmiechasz?

– Muszę już iść – mówi. – Potrzebujesz pieniędzy? – Nie, wcale tego nie mówi, to znaczy, nie wspomina o pieniądzech. Odpowiada tylko: „Muszę już iść”.

– Och! Jaka szkoda!

Tak, szkoda. Szkoda. Szkoda. „Potrzebujesz pieniędzy?” Zapytaj ją o to: „Potrzebujesz pieniędzy?”

– Mam w domu straszny bałagan. Bo widzisz, przyjechałam prosto do ciebie.

Powiedz to, tchórzliwa kobieto. „Czy potrzebujesz pieniędzy?” Trzy proste słowa. Masz znacznie więcej w torebce, niż wynoszą miesięczne zarobki Caddie. Więc powiedz to, tchórzku... ty gnido... ty kurwo!

Ale Caroline uśmiecha się, obejmuje przyjaciółkę i Sugar odchodzi, nie dając jej na pożegnanie nic poza pocałunkiem.

W dorożce w drodze powrotnej na Priory Close („Dostaniesz szylinga ekstra, jeśli się pospieszysz”) Sugar aż brzydzi się swoją niegodziwością. Podeszwy jej butów śmierzdzą; chce wytrzeć je o gęstą, zieloną trawę w parku, w którym co tydzień zostawia zużytą pościel. Kiedy przychodzi następnym razem, paczki już nie ma; czy to nie znaczy, że zabierają ją stamtąd jacyś nędzarze? A jeśli pościel znajduje parkowy strażnik, to paczka trafia chyba w końcu do potrzebujących jako dar? Chryste Panie, w Londynie roi się od filantropów, a niektórzy z nich zapewne dbają i o takie sprawy? *Ty tchórzliwa kurwo!*

Kiedy Sugar klepała biedę, myślała zawsze, że jeśli kiedykolwiek się wzbogaci, będzie wspomagać wszystkie ubogie kobiety jej profesji, a już na pewno te z nich, które zna osobiście. Śniąc na jawie w swoim pokoju u pani Castaway, podierała się łokciami nad kartkami swojej powieści, wyobrażając sobie, że oto odwiedza jedną ze swoich starych przyjaciółek i przynosi jej kilka ciepłych, zimowych koców albo zapiekankę mięsną. Jakże łatwo byłoby robić takie rzeczy, gdyby nie unosił się nad nimi niemiły zapaszek dobroczynności! Sugar nie rozdawałaby darów niby zarozumiała dobrodziejka, która okazuje dobroć gorszym od siebie, lecz przejawiałaaby raczej zdrową radość, przywodzącą na myśl ulicznego urwisa, który pokazuje koledze śmiało i nieuczciwie zdobyty łup.

Teraz jednak, kiedy posiada odpowiednie środki, by spełnić te marzenia, nieprzyjemny zapaszek dobroczynności staje się równie realny jak smród końskiego łajna, bijący z podeszew jej butów.

Powróciwszy bezpiecznie do mieszkania, Sugar przygotowuje się na przyjęcie Williama. Później, kiedy popołudnie zaczyna się jej dłużyć, a Rackham nie przychodzi, dziewczyna kręci się po gabinecie, targana wyrzutami sumienia, aż wreszcie wyciąga z ukrycia rękopis swojej powieści. Oddycha głęboko, kładzie postrzępione, ciężkie papierzyska na biurku i siada.

Światło pada na szyby pod takim kątem, że wyglądają niemal jak lustra. Pośród zieleni w ogrodzie majaczy jej własna twarz, wieńcząca niematerialne ciało, które wzbija się w powietrze z ziemi niby słup dymu. Ciemne liście krzewów różanych rysują się deseniem na skórze twarzy; włosy dziewczyny, w rzeczywistości pozostające w bezruchu, wirują i migoczą wraz z każdym powiewem wiatru w ogrodzie; a na biuście Sugar drżą widmowe azalie.

Upadek i wzlot Sugar. Tak brzmi tytuł powieści, znany jej dobrze jak blizna.

Przypomina sobie wizytę na polach lawendowych w Mitcham. Jak badawczo przyglądali się jej ci pokorni robotnicy Rackhama, gdy przechodziła w pobliżu! Uznali, że jest damą odwiedzającą harujących w pocie czoła biedaków; w ich oczach nie było widać żadnego zrozumienia, jedynie dziwną mieszaninę kociej niechęci i psiego szacunku. Każdy z tych robotników, którzy z uniżeniem odsuwali się od jej powiewających szeroko spódnic, był pewien, że kto jak kto, ale ona z całą pewnością nie wie, jak to jest leżeć i drzeć zimą pod zbyt cienkim kocem, mieć zakrwawione golenie po pchlich ukąszeniach, a we włosach wszy.

– Ależ ja wiem, jak to jest! – oponuje Sugar. I rzeczywiście, stronice, leżące przed nią na zdobionym kościu słoniową biurku, zostały napisane, kiedy żyła w biedzie, i pełne są jej opisów. Czy dzieciństwo Sugar nie było równie beznadziejne jak dzieciństwo tych wszystkich robotników, tyrających dla Rackham Perfumeries? Zgoda, jej powodzi się teraz lepiej niż im, ale nie w tym rzecz: oni też mogliby odmienić swoje życie, gdyby tylko wykazali się sprytem... Jednakże tamtego dnia na polach lawendowych z zawiścią i bez nadziei obserwowali piękną damę, kroczącą u boku ich pracodawcy!

– Ależ ja przemawiam w ich imieniu! – protestuje znów Sugar i w intymnym rezonansie milczącego gabinetu słyszy, że teraz wymawia samogłoski nieco inaczej niż przed rozpoczęciem Sezonu. A może zawsze brzmiały tak melodyjnie? *Opowiedz coś, Shush, tym swoim zabawnym głosem*, tak mawiały kiedyś dziewczyny na Church Lane, na poły drwiąco, na poły z podziwem. *Co mam wam opowiedzieć!*, pytała, a one odpowiadały niezmiennie: *Coś o zemście. Tylko żeby w tym były brzydkie słowa. Bo wulgarne słowa brzmią bardzo śmiesznie, kiedy ich używasz, Sugar. Ile z tych dziewcząt umie czytać? A gdyby powiedziała tamtym robotnikom na polach lawendowych, że mieszkała kiedyś w londyńskiej dzielnicy nędzy, ilu z nich dałoby jej wiarę, a ilu splunęłoby tylko w odpowiedzi?*

Nie, jak wszyscy beznadziejni orędownicy ubogich w dziejach ludzkości, Sugar musi stanąć twarzą w twarz z upokarzającą prawdą: poniżeni być może bardzo pragną, by usłyszano ich głos, ale kiedy w ich imieniu występuje ktoś z bardziej uprzywilejowanej sfery, będą przewracać oczami i szydzić z jego mowy.

Rozdrażniona Sugar zagryza wargi. Jej gminne pochodzenie nie jest chyba bez znaczenia? Przypomina sobie, że gdyby William postanowił wyrzucić ją z tego komfortowego gniazda, zostałaby bez domu i bez jakiegokolwiek źródła dochodów, popadłaby więc w takie tarapaty, jakich

nie znają robotnicy rolni. A jednak... a jednak dziewczyna nie potrafi wyrzucić z pamięci tych pomarszczonych, obdartych kobiet i mężczyzn, którzy składali jej ukłony, po czym cofali się, powłócząc nogami i szepcząc niespokojnie: *Co to za jedna? Co to za jedna?* Sugar wpatruje się w swoje odbicie w oknie, w migoczącą głowę i ramiona, otoczone liśćmi i kwiatami. *Kim jestem?*

Nazywam się Sugar. Tak głosi jej rękopis w miejscu następującym zaraz po wstępnej tyradzie autorki przeciwko mężczyznom. Zna każdą linijkę na pamięć, przepisywała je bowiem i odczytywała na nowo niezliczoną ilość razy.

Nazywam się Sugar; a jeżeli nie, nie znam innego imienia. Jestem kimś, kogo możecie nazwać kobietą upadłą...

Zamiast przeczytać zawstydzająco pompacyjne zdanie: *Nikczemny mężczyzno, wieczny Adamie, oskarżam cię!*, które czyha na nią pod koniec tego akapitu, Sugar przewraca kartkę, a potem następną i następną. Popada w przygnębienie, wertując kolejne kartki, zapisane gęstym, atramentowym maczkiem. Spodziewała się, że spotka tu samą siebie, albowiem obdarzyła imienniczkę swoją twarzą i ciałem, wliczając w to piegi na piersiach, ale w pożółkłym rękopisie widzi jedynie słowa i znaki przestankowe, czyli hieroglify, które utraciły dla niej znaczenie, chociaż pamięta, że patrzyła, jak zapisuje je własną ręką – ba, pamięta nawet, jak wysychał atrament pojedynczych, rozmazanych liter. Melodramatyczne morderstwa: cóż dzięki nim osiągnie? A wszystkie te marionetki, te męskie ofiary, które spotyka makabryczny koniec: czy w ten sposób można pomóc chociaż jednej realnie istniejącej kobiecie?

Mogłaby zapewne zmienić fabułę i zastąpić ją jakąś mniej sensacyjną i ponurą opowieścią. Mogłaby spróbować znaleźć jakąś pośrednią drogę między wybuchem goryczy a ugrzecznonymi, ocenianymi książkami takich autorów, jak James Anthony Froude, Felicia Skene czy Wilkie Collins, którzy nieśmiało sugerują, że prostytutkom, jeśli tylko na to zasłużą, zostanie być może oszczędzona kara ognia piekielnego. Za mniej więcej dwadzieścia lat nadejdzie nowy wiek, pora już chyba zatem na nieco mocniejsze słowa? Popatrz na ten stos kartek, na dzieło jej życia – na pewno warto ocalić z niego setki różnych idei!

Lecz kiedy przegląda rękopis, zaczynają ogarniać ją wątpliwości. Bo niemal każdą linijkę, każdą uwagę albo opinię zaprawia goryczą, plugawi i przenika uprzedzenie oraz ignorancja, a także coś gorszego: ślepa nienawiść do wszystkiego, co piękne i czyste.

Patrzyłam, jak piękne damy paradują przed gmachem opery. (Tak napisała Sugar przed trzema laty, wtedy zaledwie szesnastoletnie dziecko, zamknięte niczym w klasztorze w pokoju na piętrze u pani Castaway, o szarej, porannej godzinie, kiedy klienci już wyszli, a pozostali domownicy spali). *Ależ to oszustki! Są fałszywe od początku do końca. Fałszywie i pretensjonalnie zachwycają się muzyką; witają się fałszywie; fałszywie brzmią ich głosy i ton.*

Z jaką próżnością udawały, że nie są kobietami, lecz jakąś inną, wyższą formą życia! Ich suknie balowe zostały uszyte w ten sposób, by sprawiać wrażenie, że noszące je damy nie zwyczajnie idą na dwóch umięśnionych nogach, lecz płyną jak obłoki. – Och, nie – zdawały się mówić. – Ja nie mam nóg ani cipy między udami, ja unoszę się swobodnie w powietrzu. Nie mam też piersi, tylko łagodne półkule, które modelują mi stanik. Kto chce zobaczyć coś tak obrzydliwego jak piersi, niech idzie sobie obejrzyć wymiona mamek. Co do nóg i cipy między udami, to jeśli ktoś ma ochotę je zobaczyć, musi iść do dziwki. My jesteśmy istotami idealnymi, niepowtarzalnymi duchami, i interesujemy się wyłącznie tym, co w życiu najszlachetniejsze i najlepsze. Na przykład: niewolniczą pracą nieszczęsnych szwaczek, torturowaniem naszych służących, pogardą dla ludzi, którzy czyszczą nocniki z naszego szlachetnego, dziewiczego gówna, i niekończącym się korowodem głupawych, pustych, bezsensownych zajęć, w których próżno szukać

W tym miejscu kończy się tekst na stronie, a Sugar nie ma odwagi, żeby przewrócić ją i czytać dalej. Zamyka więc rękopis i wspiera się na nim łokciem, chowając podbródek w dłoni. Ciągle ma świeżo w pamięci wieczór, kiedy słuchała *Requiem* signora Verdiego. Niewątpliwie na widowni siedziały damy, dla których koncert stanowił jedynie okazję, by popisywać się pięknymi strojami, a potem plotkować, były jednak i takie, które opuszczały widownię jak w transie, zapomniawszy całkiem o Bożym świecie. Sugar wie, że tak było: widziała to w ich twarzach! Damy stały z

powagą, jak gdyby nadal słuchały muzyki; a kiedy coś je sprowokowało, by ruszyć się z miejsca, szły jakby we śnie do wtóru pulsującego im wciąż w głowach rytmicznego *adagio*. Sugar napotkała spojrzenie jednej z takich dam i obie uśmiechnęły się do siebie – niewymuszonym, szczerym, otwartym uśmiechem! – widząc nawzajem w swoich oczach miłość do muzyki.

Gdyby ktoś wręczył jej młot ikonoklasty kilka lat, a nawet jeszcze kilka miesięcy temu, z przyjemnością zrównałaby z ziemią wszystkie gmachy oper, a wszystkie piękne damy, uciekające z płonących domów, wysłałaby prosto w objęcia nędzy. Teraz jednak nie jest tego pewna... Mściwa wizja rozpieszczonych damulek, które porastają brudem i gniją w fabrykach albo warsztatach tkackich ramię w ramię ze swoimi plebejskimi siostrami – czy tak powinna wyglądać sprawiedliwość? Czy nie należy raczej zrównać z ziemią fabryki i puścić z dymem warsztaty tkackie zamiast gmachy oper i wspaniałe domy? Dlaczego to ludzie żyjący lepiej mieliby równać do tych, którym wiedzie się gorzej, a nie odwrotnie? Czy naprawdę byłoby niewybaczalnym kabotyństwem zapomnieć o swojej cielesności, jak prawdziwa dama, i żyć jedynie myślą i uczuciem? Czy kobietę taką jak Agnes naprawdę można winić za to, że nie potrafi sobie wyobrazić istnienia czegoś takiego, jak owinięty sukrem tłoczek, służący do usuwania obcego nasienia z... pisi? (Słowo „cipa”, nawet w ciszy własnych myśli, zdaje się dziewczynie niewypowiedzianie wulgarne w ustach Agnes).

Raz jeszcze otwiera swój drogocenny rękopis na chybił trafił, wciąż mimo wszystko żywiąc nadzieję, że znajdzie w nim coś, z czego może być dumna.

– Powiem ci, co zamierzam zrobić – rzekłam do mężczyzny, kiedy szamotał się bezsilnie w pętach. – Sprawię, że kutas, z którego jesteś tak dumny, zrobi się wielki i sztywny, jak lubisz. A potem, kiedy już ci stanie, wezmę ten cienki, stalowy drut, obwiążę nim twój członek u nasady. Bo chcę ci wręczyć mały podarunek, jak mi Bóg miły!

Sugar z jękiem zamyka rękopis. Nikt na świecie nie będzie chciał tego czytać i nikt tego nie przeczyta.

Czuje, że wzbiera w niej fala żalu nad sobą – więc pozwala jej się rozlać i kryje twarz w dłoniach. Jest późne popołudnie, William nie przyszedł, a w ogrodzie szczebioczą maleńkie błękitne ptaszki, piękne, niewinne stworzenia, które zadają kłam jadowitej brzydocie jej podłej opowieści... Chryste, pewnie zbliża się miesięczne krwawienie, skoro nachodzą ją tego rodzaju myśli. Jeśli te szczebioczące maleńkie błękitne sikorki zdają się jej narzędziem sprawiedliwości, to chyba pora sięgnąć po *les chauffoirs*...

Dźwięk dzwonka napędza jej takiego stracha, że łokciami strąca z biurka powieść, której kartki rozsypują się na wszystkie strony po całym gabinecie. Sugar rzuca się, żeby je pozbierać. Miota się na czworakach po pokoju. Ledwie wciska rękopis z powrotem do garderoby i zamykają kopniakiem, kiedy William otwiera już drzwi frontowe – albowiem William, oczywiście, ma swój własny klucz.

– Williamie! – woła Sugar z nieskrywaną ulgą. – To ja! To znaczy: jestem!

Od pierwszego uścisku, jaki wymieniają w korytarzu przy wieszaku, wyczuwa, że jej powracający Ulisses nie znajduje się w miłosnym nastroju. Owszem, jest bardzo rad ją widzieć i cieszy się, że Sugar wita go jak bohatera, ale w jego zachowaniu znać także pewną powściągliwość, kiedy się do niej przytula, unika bowiem taktownie jakiegokolwiek kontaktu między jej wzgórkiem Wenery i własnym wzgórkiem łonowym. Sugar natychmiast łagodnieje, rozluźnia uścisk i gładzi go po zaróżnionym policzku.

– Wyglądasz na okropnie zmęczonego! – zauważa tonem szczerego współczucia, jakie mogłyby wzbudzić liczne rany klute po trafieniach włócznią albo przynajmniej ślady pazurów rozwścieczonego kota. – Czy spałeś choć trochę, odkąd widziałam cię ostatni raz?

– Prawie wcale – przyznaje William. – Na ulicach wokół mojej gospody roiło się od pijaków, którzy śpiewali na całe gardło do samego rana. A ostatniej nocy martwiłem się o Agnes.

Sugar w geście empatii z uśmiechem przechyla głowę na bok i zastanawia się, czy nie powinna

skorzystać z tej rzadkiej okazji, jaką jest wzmianka o pani Rackham, i czy William nie będzie się o to gniewał. Zastanawiając się nad tym, eskortuje go przyjaźnie do... no, do którego pokoju? Tymczasem do salonu. Tak, już się zdecydowała: zarówno Agnes, jak i sypialnia mogą trochę poczekać, dopóki Sugar na dobre nie poprawi kochankowi kiepskiego nastroju.

– Proszę – mówi, sadzając go na otomanie i nalewając mu brandy. – To ci pomoże zapomnieć o Birmingham.

Zadowolony William osuwa się na siedzenie, rozpinając guziki kamizelki, spod której wylewa mu się brzuch, i rozluźnia krawat. Dopóki dziewczyna nie otoczyła go troskliwą opieką, nie zdawał sobie sprawy, że właśnie za tym tęskni, odkąd wrócił wczoraj do domu. Niska sprawność jego pokojówek i bezrozumna obojętność rozkojarzonej małżonki okazały się kiepskim powitaniem i narobiły mu apetytu na coś lepszego.

– Cieszę się, że jest na świecie ktoś, kto wita mnie z radością – mówi William, odchylając głowę do tyłu i oblizując mokre od brandy usta.

– Ja zawsze, Williamie – mówi Sugar, kładąc mu dłoń na spoconym czole. – Ale powiedz mi, kupiłeś tę fabrykę?

Rackham jęczy w odpowiedzi i kręci przecząco głową.

Sugar siada obok na otomanie i jak na zawołanie nawiedzają muza.

– Niech zgadnę. – (Naśladuje ochryple, ale przymilny głos łajdaka, należącego do kasty fabrykantów z Północy). – Dobry inżynier i worek cementu to wszystko, czego potrzeba, aby doprowadzić tę fabrykę do porządku, co, panie Rackham?

William przez chwilę nie wie, jak zareagować, a potem wybucha śmiechem.

– Dokładnie tak powiedział.

– Jej udany prostacki akcent z Birmingham przypomina raczej gwarę z Yorkshire, ale poza tym Sugar trafia w dziesiątkę, do diaska. Jej mózg to w samej rzeczy iście cudowny mechanizm! Mięśnie pleców i karku Rackhama rozluźniają się, kiedy dociera do niego, że nie musi tłumaczyć jej decyzji, jaką podjął w sprawie zakupu fabryki, bo ona i tak wszystko rozumie. Jak zwykle.

– Cóż, Sezon dobiega już końca, dzięki Bogu – mruczy William, wychylając resztkę brandy. – Zbliżają się upały. Nie będzie już więcej przyjęć ani teatrów, czeka mnie tylko jeszcze jeden parszywy wieczorek muzyczny...

– Myślałam, że ze wszystkiego już się wymówiłeś... – Tak, prawie ze wszystkiego.

– ...bo myślałeś, że Agnes wraca do zdrowia. William wpatruje się w dno kieliszka i marszczy brwi.

– Muszę przyznać, że ostatnio zachowywała się zupełnie znośnie – wzdycha. – W każdym razie przy ludziach. A tak czy owak, lepiej niż podczas ubiegłego Sezonu. Chociaż w zasadzie nie mogłaby zachowywać się gorzej niż w zeszłym roku... – Zdając sobie sprawę, jak słabe uznanie wyraża dla małżonki, stara się nadać swojemu głosowi nieco weselszy ton. – Agnes jest nadpobudliwa, ale na pewno nie bardziej niż wiele innych kobiet.

– Rackham krzywi się: nie chciał, żeby zabrzmiało to nieelegancko.

– Nie czuła się jednak tak dobrze, jak byś sobie tego życzył? – podsuwa Sugar.

William kiwa głową potakująco, ale dwuznacznie, niczym lojalny małżonek pod przymusem.

– Przynajmniej przestała głądzić o tym, że pilnuje jej jakiś anioł stróż w kobiecej postaci... Choć kiedy tylko gdzieś wychodzimy, za każdym razem ogląda się przez ramię... – Rackham zapada w otomanę i opiera się łokciem o udo Sugar. – Ale przestałem ją prowokować, bo to tylko działa jej na nerwy. Moim zdaniem niechby się nią opiekowały i duchy, jeżeli dzięki temu zostanie przy zdrowych zmysłach...

– A czy obecnie jest przy zdrowych zmysłach?

William na chwilę milknie. Sugar gładzi go po głowie; węgle trzaskają i osuwają się w palenisku.

– Czasami zastanawiam się, czy Agnes dochowuje mi wierności – mówi.

– Bo ciągle wpatruje się w tłum, przysięgłbym, że w nadziei ujrzenia konkretnej osoby... Zastanawiam się więc, czy jakby tego wszystkiego było mało, nie mam na dodatek jakiegoś konkurenta?

Sugar uśmiecha się z ciężkim sercem, a lepkie niczym syrop szachrajstwo ciąży jej jak kobiecie brnącej przez coraz głębszą wodę w szybko nasiąkających spódnicach i halkach.

– Może wypatruje swojego anioła stróża? – podsuwa sprytnie.

– Hmm. – William pod wpływem jej dotyku układa się wygodniej na otomanie, ale nie jest w pełni przekonany. – W zeszłym tygodniu byliśmy na wieczorku muzycznym i kiedy rozbrzmiewała właśnie jakaś pieśń Rossiniego, Agnes zemdląła na siedząco. Straciła przytomność tylko na krótką chwilę, a kiedy ją odzyskała, szepnęła: „Tak, niech ci Bóg błogosławi, unieś mnie... masz takie silne ramiona!”. „O czyich ramionach mówisz, kochanie?”, pytam, a ona na to: „Ćśśś, mój drogi, ta dama ciągle śpiewa”.

Sugar ma ochotę się rozeźmiać, ale nie jest pewna, czy może sobie na to pozwolić. Śmieje się jednak. Bez żadnych konsekwencji. Najwyraźniej William ma do niej tak wielkie zaufanie jak nigdy.

– Czy to możliwe, żeby Agnes była ci niewierna? – mruczy dziewczyna.

– Przecież nie bywa nigdzie bez twojej wiedzy i zgody?

William chrząka, wyrażając w ten sposób powątpiewanie.

– Kazałem Cheesmanowi przysiąc, że będzie mi donosił, dokąd ona jeździ. I na Boga, dotrzymuje słowa. – Rackham mruży oczy, przebiegając w myślach cele wycieczek Agnes, a potem mruga z irytacją powiekami, kiedy dochodzi do pozycji zakreślonej na czerwono. – Z początku myślałem, że jej zakazane wizyty w katolickim kościele w Cricklewood to... potajemne schadzki. Ale Cheesman powiada, że Agnes wchodzi tam i wychodzi sama. Czy ona może coś knuć, słuchając mszy?

– Nie wiem. Nigdy nie byłem w kościele – mówi Sugar, a jej wyznanie brzmi wyzywająco i ryzykownie, jest bowiem skokiem na niebezpieczną wodę autentycznej intymności, sięgającej głębiej niż na długość członka.

– Nigdy nie byłaś...? – sapie William, unosząc głowę. – Chyba nie mówisz poważnie.

Sugar uśmiecha się smutno i odgarnia lok włosów z twarzy kochanka.

– Wiesz, miałam dosyć nietypowe dzieciństwo, Williamie.

– Ale... do diabła, pamiętam, że kiedy dyskutowaliśmy o księżce Bodleya i Ashwella, wykazałaś się biegłością w kwestiach religijnych...

Sugar zamyka oczy, a wewnątrz jej czaszki staje się przerażającym, ciemniejącym, chaotycznym kłębowiskiem Magdalen i Marii.

– To pewnie dzięki naukom mojej matki. Przez całe lata czytywała mi fragmenty Biblii na dobranoc. A poza tym znam przecież całe mnóstwo książek, prawda? – wzdycha.

William wyciąga rękę, żeby pieścić biodra i piersi dziewczyny sennymi, leniwymi palcami, a kiedy dłoń Rackhama wiotczeje i ostatecznie spoczywa na jego własnej piersi, Sugar zastanawia się, czy kochanek przypadkiem nie usnął jej z głową na kolanach. Ale nie, po minucie ciszy jego niski głos rozbrzmiewa echem między jej udami.

– Jest nieobliczalna, w tym tkwi problem – mówi. – Jednego dnia zachowuje się normalnie, a drugiego jak kobieta kompletnie obłąkana. Jest nieodpowiedzialna.

Sugar zastanawia się nad moralną arytmetyką jego słów, zdobywa się na odwagę i pyta:

– A co byś zrobił, gdyby Agnes była... szalona, ale odpowiedzialna?

Zawstydzony William zaciska szczęki, po czym wyraz jego twarzy znowu łagodnieje.

– Ach, ona chyba ciągle jeszcze dojrzewa. Kiedy dorośnie, jej stan się poprawi. Była bardzo młoda, gdy wzięłem ją za żonę... Może nawet za młoda. Bawiła się wciąż lalkami... I takie bywają jej ataki wściekłości: dziecinne. Przypominam sobie, że w kwietniu na uroczystości w Muswell Hill odbywało się przedstawienie kukielkowe. Pan Punch jak zwykle wymachiwał kijem, tłukąc na kwaśne jabłko swoją małżonkę. Agnes bardzo się zdenerwowała, chwyciła mnie za ramię i zaczęła błagać, żebym zabrał od niego panią Punch. „Szybko, Williamie!”, powiedziała. Jesteś teraz bogatym i ważnym człowiekiem: nikt nie śmie cię powstrzymać”. Uśmiechnąłem się, ale ona mówiła całkiem serio! To jeszcze dziecko, rozumiesz?

– A... czy dziecinność to jej najgorsza cecha? – pyta Sugar, wspominając rozciągnięte na ulicy ciało Agnes i jej bezwładne ręce i nogi, powalane błotem. – Nic więcej jej nie dolega?

– Och, doktor Curlew uważa, że jest o wiele za chuda, należałoby więc wysłać ją do sanatorium i podtuczyć wołowiną oraz maślanką. „Lepiej odkarmione kobiety widywałem w przytułkach”, powiada.

– A jakie jest twoje zdanie? – Odczuwa głębokie wzruszenie: wypytuje go o opinię, ale nie w sprawach kupieckich, lecz dotyczących jego życia prywatnego. I William otwiera się przed nią! Otwiera się coraz bardziej, z każdym słowem!

– Nie mogę zaprzeczyć, że w domu Agnes żywi się chyba wyłącznie sałatą i morelami – mówi William. – Ale kiedy idzie w gości, zjada wszystko, co postawią przed nią na talerzu, jak mała, grzeczna dziewczynka. – Rackham wzrusza ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: „W tych sprawach też jest dziecinna”.

– Cóż, twój lekarz będzie musiał przyjąć do wiadomości, że „pulchność” wyszła z mody – konkluduje Sugar. – Agnes nie jest jedyną szczupłą damą w Londynie.

Zachęca w ten sposób Williama, żeby zmienił temat, ale on jeszcze nie ma na to ochoty.

– W rzeczy samej, w rzeczy samej – odpowiada. – Jest jednak kolejny powód do niepokoju. Ustało jej miesięczne krwawienie.

Po plecach Sugar przebiega lodowaty dreszcz – gdyby nie on, zamarłaby w bezruchu. Myśl o tym, że William... ba, że w ogóle jakiś mężczyzna tak dobrze zna ciało Agnes, stanowi dla niej wstrząsającą niespodziankę.

– Skąd o tym wiesz?

William wzrusza znów ramionami, wciąż trzymając głowę na jej udach.

– Tak twierdzi doktor Curlew.

Zapada znowu cisza, którą Sugar wypełnia, wyobrażając sobie, że zaszytletowuje owego doktora Curlew w jakimś ciemnym zaułku. Jego postać rysuje się niewyraźnie, czemu trudno się dziwić, albowiem dziewczyna nigdy nie widziała go na oczy, ale wypływająca z niego krew okazuje się czerwona jak krew wszystkich mężczyzn z kart *Upadku i wzlotu Sugar*.

William nagle chichocze.

– Nigdy nie była w kościele!... – dziwuje się, walcząc z sennością. – A ja myślałem, że wiem o tobie wszystko.

Sugar odwraca twarz, ze zdumieniem konstatując, że po policzkach spływają jej ciepłe, łaskoczące łzy. Jeżeli jest coś, co mogłoby ją sprowokować do pogardliwego śmiechu, to fakt, że William niczego o niej nie wie, teraz jednak wzruszają żal i litość – litość nad nim, nad sobą, nad nimi, nad dwojgiem tulących się do siebie ludzi. Och! Jakiego potwora William pieści w ramionach!... Jaka przerażająca trucizna płynie w jej żyłach! Jakie ma beznadziejnie zepsute wnętrza, zatrute wstrętnymi wspomnieniami i goryczą niedostatku! Szkoda, że nie może przebić klingą swego serca, by wytrysnęła z niego zgnilizna, która chlusnęłaby z sykiem i zniknęła w jakiejś szparze podłogi, pozostawiając Sugar czystą i lekką. Jakim niewinnym głuptasem jest ten jej William o rumianych policzkach – bez względu na jego męską arogancję, flirciarstwo i jakby psią tchórzliwość; w porównaniu z nią jawi się niewiniątkiem. Uprzywilejowana pozycja społeczna sprawiła, że w duchu pozostał miękki; spokojne dzieciństwo uchroniło go od łakomego robaka nienawiści; dziewczyna wyobraża sobie, że kiedy był chłopcem, klękał przy łóżku i modlił się pod nadzorem sympatycznej niani: „Niech Bóg błogosławi Mamusi i Tatusiowi”.

Och, Boże, gdyby tylko wiedział, co w niej siedzi!...

– Mam dla ciebie kilka niespodzianek – odzywa się Sugar swoim najbardziej uwodzicielskim tonem, ocierając swe policzki rękawem.

Gwałtownie ożywiony, William unosi głowę z jej kolan i szeroko otwiera przekrwione oczy.

– Zdradź mi jakiś swój osobisty sekret – mówi nagle z chłopięcym entuzjazmem.

– Sekret?

– Tak, jakiś mroczny sekret.

Sugar śmieje się, a do jej oczu napływają nowe łzy, które ukrywa zgiętym w łokciu ramieniem.

– Nie skrywam żadnych mrocznych tajemnic – zaprzecza. – Naprawdę. Kiedy powiedziałam, że mam dla ciebie kilka niespodzianek, chodziło mi o...

– Wiem, o co ci chodziło – mruczy czule William, wsuwając rękę pod jej suknię. – Ale powiedz

mi o sobie coś, o czym nie wiem... Cokolwiek. Coś, o czym oprócz ciebie nie wie nikt inny na świecie.

Dziewczyna skręca się w męczarniach, bo pragnie powiedzieć mu wszystko, odsłonić przed nim swoje najstarsze i najgłębsze blizny, zaczynając od pewnej gry, jaką prowadziła z nią pani Castaway, kiedy Sugar była małą dziewczynką: skradała się mianowicie do łóżeczka, po czym błyskawicznym ruchem ściągała kołderkę z na wpół lodowatego ciała dziewczynki. – Tak postępuje Bóg – mówiła wtedy matka tym samym ohydnie donośnym szeptem, którym opowiadała jej bajki. – Bóg uwielbia tak robić. – Zimno mit mamó! – wołała wówczas Sugar. A pani Castaway stała w świetle księżyca, przyciskając kołdrę do piersi i przykładając rękę do ucha. – Ciekawa jestem, czy Bóg cię usłyszał – odpowiadała. – Bo wiesz, kobiecych głosów to On chyba nie słyszy...

William wtula się twarzą w brzuch Sugar, mruczy, by dodać jej otuchy, i czeka, aż dziewczyna wyjawi mu jakiś sekret.

– Umieć... Umieć... – męczy się Sugar. – Umieć tryskać wodą z pochwy. Zaskoczony William podnosi na nią wzrok.

– Co takiego?

Sugar chichocze i przygryza wargę, by opanować emocje.

– Pokażę ci. Posiadam taką wyjątkową umiejętność. Niestety, bezużyteczną...

William otwiera usta ze zdumienia, gdy Sugar zrywa się, przynosi z łazienki szklankę letniej wody i siada na podłodze u jego stóp. Nie bawiąc się w żadne erotyczne subtelności, podwija spódnice, ściąga majtki i zadziera nogi za głowę, bokami kolan dotykając niemal uszu. Jej cipa otwiera się szeroko niczym dziób pisklęcia, a Sugar drżącą ręką wlewa do niej mniej więcej pół szklanki wody.

– Boże wszechmogący! – woła William, kiedy dziewczyna stawia z powrotem stopy na podłodze i pełznąc jak krab, wyrzuca z pochwy cienki strumień wody. Oblewa otomanę, zaledwie o kilka cali od jego spodni.

– Następnym razem cię trafię – sapie groźnie Sugar, biorąc go na cel, pozwala jednak najpierw Rackhamowi na unik i dopiero potem tryska znów wodą.

– To niemożliwe! – śmieje się Rackham.

– Nie ruszaj się, hultaju! – woła Sugar, wypuszczając z pochwy ostatni, najwyższy strumień. Potem Rackham rzuca się na nią i przygważdża jej ręce do podłogi, wciskając lekko kolano w unoszący się szybkim oddechem brzuch dziewczyny.

– Czy to już wszystko? – dopytuje się, całując ją w usta.

– Tak – mówi Sugar. – Jesteś już bezpieczny. – Po czym zmieniają pozycję, by William mógł się wślizgnąć między jej nogi.

– A ty? – pyta Sugar, pomagając mu zdjąć ubranie. – Zdradzisz mi jakąś swoją tajemnicę?

William uśmiecha się przepraszająco, gdy jego męskość wyłania się ze swoich powijaków.

– A czy istnieje na świecie taka tajemnica, która mogłaby dorównać twojej? – pyta i nie wracają do tego więcej.

Daleko stąd w nędznej sypialni wilgotnego i obskurnego domu pewna prostytutka, zaskoczona wizytą niespodziewanego gościa, wyciąga dłoń i inkasuje trzy szylingi.

– Masz więcej pytań, panie? – Patrzy porozumiewawczo, ale jej głos drży lekko; sądząc po wykrzywionej grymasem twarzy gościa, tym razem odwiedza ją w zupełnie innym celu.

Mężczyzna podchodzi do łóżka sztywnym krokiem kaleki i przysiadła na brzegu. Kwadrat wpadającego przez okno światła kładzie się tuż obok, pozostawiając go w cieniu.

– Kobieta, którą kocham, jest umierająca – oświadcza niskim, ochryplym z emocji głosem.

Caroline kiwa powoli głową, oblizując wargi, niepewna, jak inaczej mogłaby odpowiedzieć; odkąd umarło jej dziecko, śmierć innych ludzi znaczy dla niej znacznie mniej, niż powinna.

– Przykro mi – mówi, ściskając pieniądze w dłoni, żeby okazać mu szacunek i nie zakłócać ciszy brzękiem monet. – Ba... Bardzo mi przykro.

– Posłuchaj mnie.

– Słucham cię, panie. Kobieta, którą kochasz...

– Nie – charczy mężczyzna, wbijając wzrok w podłogę.

Gościowi głowa opada na piersi i zaczynają mu drżeć ramiona. Składa ręce jak do modlitwy i zaciska palce, aż przybierają biało-szkarłatną barwę, a z jego gardła wydobywają się zdławione słowa, zbyt ciche i zniekształcone szlochem, by można je zrozumieć.

Caroline nieśmiało przysuwa się bliżej. Kiedy mężczyzna płacze coraz spazmatyczniej, siada obok na łóżku. Stary jak świat materac zapada się, a ich ciała delikatnie stykają się biodrami, mężczyzna chyba tego jednak nie zauważa. Caroline pochyla się, mimowolnie naśladowując pozę, w której zastygł, a potem wyteża słuch.

– Niech będzie przeklęty Bóg – szlocha Henry, po czym powtarza bluźnierstwo wyraźniej i gwałtowniej: – Niech będzie przeklęty Bóg!

Wiedząc, że tym razem prostytutka słyszy jego słowa, traci zupełnie panowanie nad sobą. Kilka chwil później ryczy niby osioł na dziedzińcu rzeźni, jego ciałem wstrząsają dreszcze, a dłonie zaciskają się ciągle z taką siłą, że kości niechybnie popękają mu na kawałki.

– Nieeeech bęęęedzie przeeeeekłety Bóóóóg! – krzyczy znowu Henry przeraźliwie, a Caroline obejmuje go ze współczuciem, chociaż zarazem z lękiem i nieśmiało, albowiem kto wie, do jakiej przemocy jest zdolny pogrążony w rozpacz człowieka?

– Obudź się – syczy jakiś surowy głos. – Nie zapominaj, gdzie jesteś.

Sugar podrywa się przestraszona, ponieważ przysnęła.

Mrugając powiekami pod wpływem kolorowych promieni słońca, wpadającego do środka przez witrażowe szybki, prostuje się w ławce, wygładza niegustowną suknię i poprawia brzydki jak noc szal. Siedząca obok niej leciwa matrona, spełniwszy swój pobożny obowiązek, ponownie zwraca wzrok na daleką ambonę, z której proboszcz wciąż przemawia z zapalem do morza kłęczników.

Sugar przygląda się pozostałym wiernym, zajmującym miejsca w kościele w tylnych rzędach, obawiając się, że i oni zauważyli, iż zasnęła, wszyscy mają jednak obojętne miny. Spostrzega jakiegoś niedorozwiniętego chłopca, który robi coraz większego zeza, usiłując ugryźć własny nos dolnymi zębami. Obok niego, najbliżej drogi ucieczki na słoneczny plac, siedzi płaskonosa matka z dwojgiem dzieciaków na ręku. Kołysze malców łagodnie i delikatnie, żeby nie zbudzić ich z drzemki.

Prawdę rzekłszy, śpi większość zgromadzonych – jedni odrzucili głowy do tyłu i oddychają przez otwarte usta, inni zwiesili podbródki, kryjąc je w sztywnych, podniesionych kołnierzykach, a jeszcze inni wspierają się na ramionach członków rodziny. Bardzo trudno oprzeć się senności, jest bowiem upalnie, słońce świeci kolorowym blaskiem, a proboszcz wygłasza kazanie monotonnym głosem: w ten sposób powstaje istny spisec czynników usypiających.

Sugar ukradkiem masuje sobie zeszywniały kark i wspomina, jak doskonałym pomysłem jest wizyta w kościele. William znów wyjechał (tym razem do Yarmouth, tylko na jeden dzień), czy mogłaby więc pożyteczniej spędzić niedzielny poranek, niż towarzysząc rodzinie Rackhamów w kościele?

Trzeba jednak przyznać, że niewielu Rackhamów przyszło na nabożeństwo. Liczebność ich rodzinnego kontyngentu znacznie zmalała, niestety, od czasów miodowego miesiąca Williama i Agnes, którzy bywali tu kiedyś wraz z Rackhamem seniorem i całą swoją służbą, a parafianki cmokały, dając do zrozumienia oszołomionej pani Rackham, że wkrótce zaczną przyprawiać do kościoła własną wesołą rodzinę.

Bez względu na wyjazd do Yarmouth – William rzadko chodzi teraz do kościoła. Po co miałby słuchać jakiegoś gaduły, wygłaszającego niezrozumiałe tyrady z ambony? W świecie interesów nie dyskutuje się o niczym, co nie jest rzeczywiste lub nie istnieje; gdyby tylko religia mogła pochwalić się tym samym! A zatem zazwyczaj Agnes zastępuje go w kościele, wraz z tymi służącymi, bez których można akurat obejść się w domu. Dzisiejszego ranka jednak zamiast Agnes przyszła do kościoła jej rozgoryczona pokojówka. (Clara nie śpi, ale nie dlatego, że jest bardziej pobożna od drzemiących wiernych, lecz dlatego, że aż kipi ze złości, ponieważ Letty, której państwo ufają na tyle, by pozwalać jej chodzić na wieczorną mszę, w rezultacie ma w niedzielę wolny dzień. Poza tym Clara zazdrości Cheesmanowi, który może krążyć przed kościołem, palić papierosy i odczytywać inskrypcje na nagrobkach. A poza tym: czemu nikt nie szturchnie parasolką tej głupiej

pomywaczki, Janey, która chrapie!)

Sugar wierci się niespokojnie w kościelnej „ławce dla ubogich”, kilkanaście rzędów za drobnym, ledwo widocznym stąd dzieckiem, które może, ale nie musi, być córką Williama Rackhama. Kimkolwiek jest owa dziewczynka, ani drgnie przez całą mszę. Znika niemal całkowicie pod sztywnym, brązowym płaszczem i za dużym na nią kapeluszem. Sugar wmawia sobie, że może dowiedzieć się czegoś o małej na podstawie kilku wymykających się spod rąk kosmyków jasnych włosów, ale mimo woli opadają jej powieki. Nie może się doczekać kolejnych hymnów, albowiem choć musi wtedy śpiewać nieznane słowa do nieznanych melodii, to przynajmniej otrząsa się ze snu. Tymczasem kazanie ciągnie się bezlitośnie, niczym monotonna jak odgłos piłowania pieśń, która nie dochodzi nigdy do *crescendo*.

Po lewej stronie, na skraju pierwszego rzędu, wierci się niespokojnie jakiś przystojny mężczyzna o wzburzonym obliczu. Ma podpuchnięte oczy, jest niedbale ostrzyżony i w ogóle wygląda dość dziwnie jak na parafianina, który znajduje się najbliżej ołtarza i opłaca stałe miejsce w kościele. Od czasu do czasu, kiedy nie zgadza się z proboszczem, wzdycha tak głęboko, że widać to z tylnych rzędów, a nawet słycać.

Proboszcz wiesza psy na niejakim Henrym Thompsonie za herezje, których sensu Sugar nie może odgadnąć, przespała bowiem najważniejszą część kazania, mniema jednak, iż rzeczony sir Thompson hołduje wyjątkowo wstrętnym i obrzydliwym poglądom, a co więcej, zdobywa sobie coraz szerszą rzeszę zwolenników. Proboszcz sugeruje oskarżycielsko, że nie jest wykluczone, iż nawet tego ranka pośród jego parafian kryją się już jednostki, które sir Henry Thompson sprowadził na manowce. *Och, Boże*, modli się Sugar, *spraw, żeby już zamilkli*. Ale kiedy jej modlitwa zostaje wysłuchana, wszelkie nadzieje na pokój Boży okazują się stracone.

Tymczasem cichną ostatnie hymny i parafianie z wolna się rozchodzą, wielu pozostaje jednak na miejscach, żeby przejrzeć kościelne kalendarze. Nie ma wśród owych wiernych gwałtownego mężczyzny z pierwszego rzędu, który prze na oślepie do wyjścia główną nawą, rozdając przy okazji kilka przypadkowych szturchańców. Kiedy nieznajomy mija Sugar, dziewczyna rozumie nagle, że człowiek ów jest niewątpliwie „nudnym i niezdecydowanym” starszym bratem Williama, który „ostatnio zachowuje się cholernie dziwnie”.

Po Henrym główną nawą sunie gęsiego zdyscyplinowana procesja najelegantszych i najcnotliwszych parafian z Notting Hill – mężczyźni prążą się ze stoickim spokojem w ciemnych garniturach, damy zaś paradują w najmodniejszych kreacjach, rezygnując jedynie z ostentacyjnego blasku biżuterii. Za nimi podąża częściowo zasłonięta przez spódnice swojej statecznej opiekunki dziewczynka, która może, ale nie musi, być córką Williama Rackhama. Podobnie jak on, mała pozbawiona jest podbródka, ma natomiast szaroniebieskie oczy Agnes i tęskną, poddańczą minę przyłapanego w szkodzie bydłatka – dokładnie taką samą, jaką przybrał Rackham, kiedy Sugar ujrzała go po raz pierwszy w zadymionym świetle „Fireside”. Czy podobieństwo może dowodzić ojcostwa? Na pewno niewystarczająco: nie wiadomo zatem, czyje to dziecko. Jednak gdy oczy małej i Sugar spotykają się na chwilę, dochodzi między nimi do pewnego rodzaju porozumienia, a wtedy, po raz pierwszy tego dnia, w domu ponoć Bożym, w ciężkim powietrzu rozbłyska nagle iskierka życia duchowego.

To ty, Sophie, prawda?, myśli Sugar, ale dziewczynki już nie widać.

Kiedy czuje się bezpieczna, Sugar wychodzi z ławki i podąża za parafianami na zalany słońcem plac. Opiekunka popędza – ba, niemal popycha – dziewczynkę w stronę powozu Rackhamów. Cheesman, stojący beczynnym pod marmurową kolumną, wokół której wiją się lubieżnie dwa naturalnej wielkości anioły, rzuca papierosa i przydepuje go.

Ponieważ mała przedstawicielka rodu Rackhamów została już uprowadzona, Sugar wypatruje jedyne pozostałego przed kościołem członka rodziny, czyli brata Williama, Henry’ego, i przekonuje się, że nie jest jedyną kobietą, która podąża jego śladem. Oto bowiem jakaś schorowana niewiasta o wymizerowanym obliczu, którą Sugar widziała przed mszą, gdy służąca odprowadzała ją na miejsce, opuszcza teraz kościół w asyście tej samej służki. Podpierając się mocno laską, dama macha do Henry’ego i woła go po imieniu, najwyraźniej zdecydowana, żeby go dogonić.

Williamowego brata przebiega jakby prąd elektryczny. Mężczyzna staje raptownie na baczność,

zdejmuje kapelusz, przylizuje nieumyte włosy, wkłada starannie kapelusz i poprawia krawat. Nawet przez gruby woal Sugar widzi, że zdołał dokonać cudu, pozbył się bowiem grymasu złości i gorzkiego zniechęcenia na twarzy, kryjąc je pod maską spokojnego współczucia.

Chora kobieta, wciąż pod eskortą służącej, nie porusza się krokiem człowieka chromego (a zatem nie idzie jakby na trzech nogach), lecz trzyma się laski niby poręczy na skraju zawrotnej przepaści. Jest blada i chuda niczym obdarta z kory gałąź; jej lewa ręka, znajdująca się ponad ramieniem służącej, naprawdę do złudzenia przypomina gałązkę, prawa natomiast, ściskająca mocno laskę, przypomina raczej skręcony korzeń. W morderczym upale, sprawiającym, że wszyscy wokoło mają zaróżowione albo (jak w wypadku dam w co bardziej wyszukanych kreacjach) czerwone oblicza, twarz tej kobiety jest blada. Jedynie na jej policzkach widać szkarłatne cętki, które pojawiają się i gasną z każdym krokiem.

Nie ujdzie śmierci, nieszczęsna, myśli Sugar, bo od razu rozpoznaje gruźlicę. Kiedy tylko jednak owa kropelka współczucia zaczyna krążyć w jej żyłach, Sugar czuje, że zalewają ją fale wyrzutów sumienia: *Ty tchórze, dlaczego nie wrócisz do pani Castaway i nie odwiedzisz Katy? Na pewno jest w gorszym stanie niż ta nieznajoma, o ile w ogóle jeszcze żyje.*

– Ach! Henry! Miałeś nadzieję, że się ode mnie uwolnisz?

Gruźliczce udało się odepchnąć służącą, idzie więc teraz sama, siląc się na swobodę. Na widok jej przygarbionej sylwetki i mocno zacisniętych palców Henry nagle budzi się z odrętwienia i podbiega do niej, omal nie dotykając po drodze piersi Sugar.

– Niech pani pozwoli, pani Fox – mówi, wyciągając ramiona niczym ciężkie narzędzia, którymi nie potrafi się posłużyć. Pani Fox odrzuca jednak jego propozycję, uprzejmie kręcąc głową.

– Nie trzeba, Henry – zapewnia go, zatrzymując się, żeby odpocząć. – Dzięki tej lasce poruszam się całkiem pewnie... kiedy nie grozi mi już stratowanie w tłumie.

Oburzony Henry spogląda gniewnie przez ramię pani Fox na wszystkich tych nikczemnych, godnych pogardy ludzi, którzy mogliby zdeptać Emmeline, w tym także na Sugar, stoi bowiem najbliżej. Potem brat Williama zwiesza jednak jakby niepotrzebne ramiona, którymi nie pozwolono mu podtrzymać pani Fox.

– Nie powinnaś podejmować takiego ryzyka, pani – protestuje Henry.

– Też mi ryzyko! Uch! – sztydzi pani Fox. – Zapytaj wynędzniałą prostytutkę... pod Adelphi Arches... co to jest ryzyko...

– Wolałbym tego nie robić – mówi Henry. – Podobnie jak wolałbym, żebyś wypoczywała teraz w swoim domu.

Ale pani Fox, która zatrzymała się, łapie oddech wyłącznie siłą woli, jak gdyby wysysała ją laską prosto z ziemi.

– Będę chodzić do kościoła, dopóki mogę – oświadcza. – Ostatecznie Kościół ma pewną olbrzymią przewagę nad Towarzystwem Ocalenia Kobiet, a mianowicie: nie przyśle mi listu z poleceniem, żebym więcej już nie przychodziła.

– Tak, ale twój ojciec mówi, że powinnaś odpoczywać.

– Odpoczywać? Mój ojciec chce, żebym wyjechała.

– Żebyś wyjechała? – Twarz Henry'ego wykrzywia grymas nadziei, strachu i niezrozumienia. – Dokąd?

– Do Folkestone Sands. – Pani Fox pociąga nosem. – To podobno Eden dla chorych... czy może raczej Szeol.

– Pani Fox, proszę! – Henry niespokojnie rozgląda się dookoła na wypadek, gdyby w pobliżu kręcił się proboszcz, ale dostrzega tylko jakąś nieznajomą w wyswiechtanej sukni i woalce. Kobieta odwraca się powoli i z wahaniem, jak gdyby niepewna, w którą stronę chce iść.

– Chodź, Henry, pójdziemy razem – mówi pani Fox. Henry jest przerażony.

– Chyba nie aż do...?

– Owszem, do samego końca... do powozu ojca – żartuje pani Fox. – Chodź, Henry. Są na świecie ludzie, którzy każdego ranka muszą pokonać pięć mil w drodze do pracy.

Zupełnie wyprowadzony z równowagi, Henry otwiera już usta, żeby zawołać: „Ale nie...”, zdąża jednak ugryźć się w język i ani słowem nie wspomnieć o śmiertelnej chorobie. – Ale nie w

niedzielę – odpowiada ponuro.

Idą dalej dobrze sobie znaną drogą pośród drzew, cienistą aleją, z dala od zalanej słońcem kongregacji; ich śladem podąża kobieta w wyświechtanej sukni i woalce. Ponieważ zachowuje pewien dystans, a pani Fox traci oddech, Sugar nie wszystko słyszy; ich słowa stają się szeptami na wietrze, jak unoszący się puszek mlecza, jednak łopatki pani Fox, poruszające się z wysiłkiem pod suknią, przemawiają do dziewczyny głośno i wyraźnie.

– Po co miałabym leżeć bez ruchu i samotnie w łóżku, skoro jest ciepło i mogę pójść na spacer w dobrym towarzystwie... – dyszy pani Fox (tu Sugar nie słyszy kilku następnych słów). – ...sposobność, żeby śpiewać na chwałę Pana... – (i kilku dalszych).

Kiedy pani Fox wspomina, że jest „ciepło”, Sugar przebiega po plecach zimny dreszcz litości, albowiem za woalką ścieka jej pot z rzęs. Panuje nieznośny upał i dziewczyna żałuje, że w tym zebraczym przebraniu odmówiła sobie luksusu parasolki. W żyłach wycieńczonej towarzyszki Henry’ego musi krążyć zaiste lodowata krew!

– ...taki piękny dzień... w domu marzyłabym i tylko wpadłabym w przygnębienie...

Henry podnosi wzrok na rozpalone niebo, modląc się w duchu, by słońce naprawdę świeciło tak łagodnie, jak chce pani Fox.

– ...nie sądzisz, że jest coś nieodparcie chorobliwego w widoku człowieka leżącego w łóżku w białej pościeli? – naciska pani Fox.

– Porozmawiajmy o czymś innym – prosi Henry. Po lewej stronie widać cmentarz, a między drzewami prześwitują nagrobki.

– No więc... – dyszy pani Fox. – Co sądzisz o kazaniu?

Henry ogląda się przez ramię, aby mieć pewność, że proboszcz ich nie śledzi, spostrzega jednak tylko kobietę w wyświechtanej sukni, a dalej, z tyłu, na ścieżce, służącą doktora Curlew.

– Sądzę, że po większej części było... bardzo dobre – mruczy. – Ale moim zdaniem nie należało atakować sir Henry’ego Thompsona.

– To prawda, Henry, to prawda – wzdycha pani Fox. – Thompson śmiało podnosi kwestię pewnego zła... – (tu Sugar znów umyka kilka słów) – ...pora się przyznać... Samo pojęcie pochówku... należy do mniejszego świata... niż ten, w którym żyjemy... – Emmeline przystaje na chwilę, chwieje się, wsparta na lasce, i macha ręką w stronę cmentarza. – Skromna, podmiejska nekropolia, jak ta tutaj... Nie pozwala nam się nawet domyślać... co się stanie, kiedy nastąpi wzrost populacji... Czytałeś tę... doskonałą książkę... *What Horror Brews Benath Our Feet?*

Jeżeli pada odpowiedź na to pytanie, Sugar jej nie słyszy.

– A powinienes ją przeczytać, Henry... Powinienes. To ci otworzy oczy. Trudno o bardziej wymowną... obronę kremacji. Autor opisuje... jak wyglądały stare londyńskie cmentarze... zanim zostały zamknięte... Trujące opary... widać gołym okiem...

Jej słowa zaczynają sprawiać ból i przykrość Henry’emu, który co chwila rzuca niespokojne spojrzenie przez ramię, nie na Sugar jednak, lecz na służącą doktora, najwyraźniej życzyłby sobie bowiem, aby podeszła do nich i uspokoiła panią Fox.

– Bóg stworzył nas... – sapie Emmeline – ...z garści prochu... toteż nie pojmuję... dlaczego niektórzy ludzie sądzą, że nie potrafiłby... wskrzesić człowieka z urny... pełnej prochów.

– Pani Fox, proszę nie mówić nic więcej.

– Ciekawa jestem, jaką substancjalność... zdaniem zwolenników pochówku... zachowują nasze ciała... po sześciu miesiącach od złożenia w ziemi?

Na szczęście służąca właśnie w tym momencie decyduje się przebiec w pośpiechu obok Sugar i zdecydowanym ruchem ująć chorą pod ramię.

– Bardzo przepraszam, panie Rackham – mówi pokojówka, kiedy pani Fox opiera się na niej całym ciężarem ciała i omal nie pada na ziemię. Henry kiwa głową, uśmiechając się upiornie, a zarazem bezsilnie, jak gdyby przyznawał w ten sposób, że panią Fox powinna trzymać w ramionach raczej niemłoda już pokojówka niż on.

– Oczywiście, oczywiście – mówi i odsuwa się na bok, patrząc, jak dwie drobne kobiety, z których każdą mógłby dźwignąć w górę jedną ręką, gdyby tylko chciał, odchodzą razem chwiejnie, krok za niepewnym krokiem. Nieruchomy jak słup Henry Rackham czeka, aż obie panie wsiądą

bezpiecznie do ponurego powozu lekarza, a potem odwraca głowę w stronę kościoła. Sugar kryje twarz za woalką i słaniając się na nogach, mija go z zawstydzoną miną, zdaje sobie bowiem sprawę, że Henry musi wiedzieć, iż od dłuższego czasu ogląda jego męczarnie.

– Dzień dobry – mówi dziewczyna.

– Dzień dobry – odpowiada ciężko Henry, unosząc rękę do kapelusza na wysokość kilku cali, po chwili jednak nieuprzejmie opuszczają ku ziemi.

– Och, myśl o Henrym nie daje mi spokoju! – jęczy tego wieczora William z udawaną rozpaczą, leżąc w łóżku Sugar. – Dlaczego na ofiarę wyznań wybrał właśnie mnie?

– Może nie ma nikogo innego, komu mógłby się zwierzyć – mówi Sugar, a potem sama decyduje się na odrobinę poufałości i dodaje: – A ty jesteś przecież jego bratem.

Zrzucili kołdrę, aby ochłodzić spoczone, rozpalone ciała. Choć martwi się o Henry'ego, William jest raczej w dobrym nastroju, pewny siebie niczym otoczony przez samice lew, który grzeje się na słońcu nad jeszcze ciepłą, dopiero co upolowaną zdobyczą. Podróż do Yarmouth okazała się nadzwyczajnym sukcesem: William i pewien importer nazwiskiem Grover Pankey czuli się w swoim towarzystwie kapitalnie, palili cygara na plaży i ubili interes, zapewniający Rackham Perfumeries dostawy śmiesznie tanich słoiczków z kości słoniowej na kosztowne balsamy.

Obcując (cieleśnie z Sugar, nie z Pankeyem), William był nadal dumny ze swego triumfu, co przydawało mu wdzięku, którego Sugar do tej pory nie znała. Długo i niezwykle czule pieścił jej piersi i całował pępek, a wtedy otworzyła się w niej jakaś twarda, ukryta skorupa, dotąd przed nim zamknięta. Dziewczyna myśli w duchu, że nie jest taki najgorszy, a może nawet należy do najmniej złośliwych ludzi na świecie, i co więcej: naprawdę polubi! jej ciało, które traktuje jako coś żywego, a nie (jak na początku) niczym puste naczynie, w które gniewnie wrzuca swoje nasienie.

– Tak, jestem jego bratem – wzdycha William. – I boli mnie, że Henry czuje się taki nieszczęśliwy. Jak jednak mogę mu pomóc? Wszystko, o co proszę, odrzuca jako niemożliwe do spełnienia, a wszystko, co robi, irytuje mnie. Wracam z Yarmouth w doskonałym nastroju i cieszę się jak dziecko, że ominęło mnie kolejne nudne kazanie doktora Crane'a, a kilka minut później w moim własnym salonie Henry powtarza mi je, do diaska, słowo w słowo!

Aby dać Sugar próbkę tego, co musiał znieść, William streszcza jej tyradę proboszcza wymierzoną przeciwko kremacji.

– A co myśli na ten temat Henry? – pyta dziewczyna, gdy William kończy dwuminutową rekapitulację trwających godzinę męczarni, które Sugar sama musiała przecież znieść.

– Ha! Jak zwykle paraliżuje go niezdecydowanie! – woła William. – Powiedział, że jego rozum przemawia za kremacją, ale serce za tradycyjnym pochówkiem.

Sugar powstrzymuje impuls, który każe jej podzielić się z Williamem wizją swojej wyobraźni: oto dwaj pracownicy krematorium przybierają uroczyste miny i ćwiartują zwłoki, po czym jeden z nich wrzuca odciętą głowę trupa do pieca, a drugi wynosi gdzieś na łopacie zakrwawione serce.

– A ty? – pyta dziewczyna.

– Powiedziałem mu, że osobiście opowiadam się raczej za pochówkiem, ale nie ze względu na jakieś wydumane powody religijne. Ludzie pobożni uciekają się do najdziwniejszej ekwilibrystyki intelektualnej, żeby skomplikować rzeczy proste! Chyba nawet napiszę na ten temat jakiś esej... – Przytula ją, bo pot na ich ciałach już wysycha, po czym wyjaśnia, że wyższość pochówku nie ma nic wspólnego z religią, lecz z realiami społecznymi i ekonomicznymi. Pogrążeni w rozpacz, przyjaciele i członkowie rodziny muszą odczuć, że zmarły odchodzi od nich w tym samym ciele, które zajmował, kiedy widzieli go po raz ostatni. Rozkład ciała powinien być powolny, jak blaknięcie wspomnień o zmarłym. Spalić na popiół człowieka, który w myślach bliskich jawi się wciąż jak żywy, to czysta perwersja. A poza tym, co by się wtedy stało z grabarzami? Czy „kremacjoniści” o tym pomyśleli? Co z karawaniarzami, posługaczami i tak dalej? Grzebanie zmarłych to przemysł, który zapewnia wiele miejsc pracy, więcej, niż wyobraża sobie zwykły człowiek. Ba, nawet firma Rackham Perfumeries ucierpiałaby, gdyby zarzucić pochówek, bo ustałby wówczas popyt na pachnące odświeżacze powietrza do trumien i kosmetyki, które William sprzedaje grabarzom.

– Co na to wszystko Agnes? – pyta obojętnie Sugar w nadziei, że dowie się, dlaczego pani Rackham nie przyszła dzisiaj rano do kościoła.

– Ominęło ją to wszystko, dzięki Bogu. Bawi nad morzem.

– Nad morzem?

– Tak, jest w Folkestone Sands.

Sugar dźwiga się na łokieć i delikatnie podciąga kołdrę, by okryć pierś Williama. Nie jest pewna, jak długo jeszcze może go ciągnąć za język.

– Co ona tam robi?

– Mam nadzieję, że nabiera ciała, objadając się ciastem i lodami. – William zamyka oczy i wzdycha głęboko. – I że nie sprawia nikomu żadnych kłopotów.

– Dlaczego? Czy ostatnio sprawiała komuś kłopoty?

William nie jest jednak w nastroju, by opowiadać Sugar o balu u lady Harrington i widowisku, jakie zrobiła z siebie jego małżonka, którą z zatłoczonej sali balowej musiało wynieść dwóch młodych zawstydzonych oficerów marynarki, bo zostawiała za sobą na wypolerowanej podłodze długą, lśniąca smugę żółtych wymiocin, nie wspominając o głęboko urażonej gospodyni. Być może opowiedziałby Sugar o tym wszystkim, gdyby był to po prostu zwyczajny atak choroby, lecz zanim Agnes zemdląca, przez kilka minut prawiała lady Harrington różne impertynencje, nie zważając na ostrzeżenia, które William szeptał jej do ucha. Jeszcze w powozie w drodze do domu nie chciała się pokajać, cierpiała na zaburzenia mowy, a jej oczy błyskały szaleństwem w ciemności, gdy nieustannie kiwała się w przód i w tył na siedzeniu naprzeciw.

– Wiesz, że lady Harrington nigdy nam tego nie wybaczy – powiedział wtedy William, mając z jednej strony ochotę uderzyć ją w twarz tak mocno, żeby głowa obróciła się jej o trzysta sześćdziesiąt stopni, a z drugiej wziąć ją w ramiona i odgarnąć mokre włosy z twarzy.

– Ach, lady Harrington nie jest nam potrzebna – parsknęła Agnes. – Wygląda jak kaczka.

Był przerażony, ale roześmiał się. Poza tym Agnes w pewnym sensie miała rację, i to nie tylko w kwestii powierzchowności lady Harrington. Odkąd majątek Williama osiągnął obecne rozmiary, pomniejsi arystokraci – tacy, których fortuny pochłania hazard i alkohol i których rezydencje chyły się dyskretnie ku upadkowi – pchają się jedni przez drugich, żeby mu nadskakiwać.

– To żadne usprawiedliwienie – skarcił żonę. – Obraziłaś gospodynię, to jak profanacja Najświętszego Sakramentu.

– Sakrament, sakrament, sakrament, sakrament – wycharczała dziwnym, znużonym głosem Agnes w turkoczącym w ciemności powozie. – I Duch Święty, amen...

– Williamie?

Głos nagiej Sugar, która leży obok niego w łóżku, przywołuje Williama do rzeczywistości.

– Hmm? – odpowiada, mrużąc oczy. – Ach... tak. Agnes. Nie, właściwie nikomu nie sprawiła kłopotu. Ot, kobieca słabość. – Rackham sięga po koszulę, wstaje i zaczyna się ubierać. – Prawdę mówiąc, wiązę ogromne nadzieje z jej pobytem w Folkestone Sands. Podobno morskie powietrze leczy różne chroniczne dolegliwości. A jeżeli choroba nie ustąpi, będę musiał pójść za radą mojej przyjaciółki, lady Bridgelow, i wysłać ją za granicę.

– Za granicę? – Orzechowe oczy Sugar otwierają się szeroko. – Ale dokąd?

William milknie na chwilę, wciągnąwszy kalesony do kolan; jego kutas jeszcze jest wilgotny, a nabrzmiąle, rozgrzane jądra kołyszą się swobodnie.

– Podejmę tę decyzję – mówi tonem łagodnego ostrzeżenia – kiedy i o ile zostaną do tego zmuszony.

Jeszcze zanim pociąg zwalnia przed wjazdem na stację w Folkestone, przez okna wpływa ostry zapach morza i słychać krzyki mew, głośniejsze niż stukot kół.

– Ach, czuje pani? – Służąca unosi się, kiedy pociąga za ozdobny chwost, podnosi roletę i wdycha głęboko powietrze, wpadające przez otwarte okno. – To prawdziwe lekarstwo, nie ma co do tego wątpliwości.

Pani Fox zamyka książkę, którą trzyma na kolanach, i uśmiecha się.

– Pachnie bardzo ładnie, Lauro, w tym względzie przyznam ci rację. Ale ładnie pachnie również

pieczeń wieprzowa, a przecież jej zapach, jak dotąd, nigdy nikogo z niczego nie wyleczył.

Mimo to pani Fox nie może zaprzeczyć, że morskie powietrze działa na jej organizm wzmacniająco. Słona bryza otwiera maleńkie, zamknięte dotąd naczynka, łączące nos i głowę, a skutek tego jest tak upajający, że Emmeline nie może już dłużej czytać. Nim wsunie książkę z powrotem do stojącego obok koszyka, raz jeszcze spogląda na tytuł: *Skuteczność modlitwy*, pióra Philipa Bodleya i Edwarda Ashwella. Cóż za męcząca książka! Całkowicie chyba celu, modlitwa nie jest bowiem żadnym magicznym zaklęciem, dzięki któremu można żywić nadzieję na spełnienie swych życzeń bez żadnego wysiłku, lecz formą podziękowania, które człowiek składa Bogu za to, że stał przy jego boku, kiedy oddawaliśmy się jakiemuś zbożnemu dziełu. Taki niewybredny cynizm i sokratejskie, kuglarskie sztuczki są typowe dla mężczyzn, którzy ślęczą nad statystykami, chociaż za oknem miliony ludzi rozpaczliwie błagają o ratunek.

Prędkość, z jaką pracują tłoki parowe, spada, daje się poczuć szarpnięcie i po chwili zgrzyt hamulców zwiastuje wjazd pociągu na stację. Za oknami migają kolorowe plamy. Rozlega się gwizdek.

– Folkestooooone!

Emmeline siedzi i czeka w przedziale, podczas gdy inni pasażerowie przepychają się w ciasnym korytarzyku. Przyznaje, chociaż ze smutkiem, że w obecnym stanie zdrowia nie ośmieliłaby się wsunąć swojego wątłego ciała w ciżbę znacznie silniejszych bliźnich. Ponuro wspomina, jak kiedyś wraz z koleżankami z Towarzystwa przeciskała się w grupie rozwrzeszczanych, tupiących nogami gapiów, aby rozdzielić uczestników jakiejś bójki ulicznej, a kiedy okazało się, że są nimi mąż i żona, zrobiła to gołymi rękami – no, może niezupełnie, bo była w rękawiczkach. Zdyszani, zakrwawieni małżonkowie wyglądali na zupełnie skonsternowanych – i spoglądali po sobie z niebotycznym zdumieniem!

Wagon drży pod ciężkimi krokami tragarzy, którzy krzątają się na dachu, wyładowując torby i kufry podróżne, podczas gdy wściekłe erupcje pary z kilku lokomotyw mieszają się z gwarem ludzkich głosów. Zażywni dorożkarze ścigają się w tłumie, by dopaść najzamożniej wyglądających podróżnych, a bagażowi zataczają się, dźwigając olbrzymie walizy i plażowe parasole pod pachami. Wszędzie jest pełno dzieci: chłopców w piłśniowych czapkach i zbyt obszernych płaszczach oraz dziewczynek w miniaturowych replikach modnych w poprzedniej dekadzie kreacji dla dorosłych. Niezgrabnie – niosą bowiem koszyki, wiaderka i łopatki – podskakują i tańczą wokół swoich matek i niań. Emmeline widzi jedną podekscytowaną dziewczynkę, która wiruje gwałtownie, wpada pod nogi jakiegoś marynarza, po czym przewraca się na ziemię niczym kręgiel. Jednak zamiast wrzeszczeć, staje chwiejnie na nogi, balon jej radości jest bowiem zbyt ogromny, by mógł go przekłuć jeden drobny wypadek. Ach, jak cudownie jest upaść i móc wstać! Emmeline nie może się na to napatrzeć i czuje ukłucie zazdrości.

Kiedy morze ludzi wylewa się już przez wielkie portale dworca na położony dalej wspianiały bulwar, Laura bierze walizkę i parasol pani Fox, po czym wysiada kaczym krokiem na peron. Emmeline rusza za nią; podpira się lekko laską, bo wypoczywała przez całą drogę z Londynu. W zasadzie czuje się zupełnie dobrze i tylko pełne litości spojrzenia funkcjonariuszy straży kolei przypominają jej, jak widoczna jest jej choroba dla świata.

Ojciec pani Fox wynajął jej apartament w hotelu leżącym możliwie najbliżej plaży i przysłał najpierw leki, żeby czekały na córkę przy jej nowym łóżku. Jeśli chodzi o odżywianie, to Laurze nakazano jeść tak często, jak zechce, a nawet częściej, żeby zachęcała w ten sposób panią Fox, bez względu na to, czy kupi coś u przemierzającego plażę przekupnia, czy zamówi jakieś danie z jadłospisu w hotelowej restauracji. Najważniejsze jest jednak to, by pani Fox zażywała możliwie dużo odpoczynku, leżąc gdzieś w cichym miejscu nad morzem. W żadnym wypadku nie wolno jej znaleźć się w bliskości kąpieliska i dołączać do tych awanturniczych plażowiczek, które ośmielają się brodzić przy brzegu. Jeśli naprawdę już śmiertelnie się znudzi, może – z błogosławieństwem doktora Curlew – obserwować z daleka owe odważne kobiety, które wybiegają z wynajętych kabin w strojach kąpielowych i pędzą na płyciznę, by zaznać dreszczyku emocji. Emmeline powinna jednak pozostać pośród suchej większości kuracjuszy, na bezpiecznym terenie, gdzie dzieci budują zamki z piasku poza zasięgiem fal.

W palących promieniach słońca liczebność suchej większości kuracjuszy rośnie z każdą chwilą. Laure i panią Fox, idące deptakiem na plażę, mijają grupki mężczyzn i kobiet, wystrojonych tak, jakby wybierali się na wyścigi konne. Jedni niosą leżaki, inni książki, a niektórzy nawet sekretarzyki. Na każdym dziesięciuro naiwnych urlopowiczów przypada tu zapewne jeden handlarz. Konie ciągną kabiny kąpielowe na kąpielisko dla pań, za nimi zaś podąża kwartet dęty, trąbiąc hymny do rytmu grzechoczącego kubka, do którego muzycy zbierają pieniądze.

– Tam chyba będzie ładnie – mówi Laura, kiedy schodząc na dół, przystają w połowie ogromnych, kamiennych schodów, które znikają na samym dole w piasku, ale pani Fox nie podnosi wzroku, musi bowiem uważać, gdzie postawić stopę i oprzeć laskę. Chodzenie po sypkim piasku bez pomocy – zadanie niełatwe nawet dla zdrowego człowieka – przekracza jej możliwości; w końcu Emmeline niechętnie ujmuje Laure pod ramię. Dyszy gwałtownie, łapiąc morskie powietrze, i zaczyna się jej kręcić w głowie. Wszędzie dookoła widzi rozbawionych plażowiczów i handlarzy, zdających się jej wytworami snu, który zniknie, gdy tylko mrugnie okiem – i pozostawi ją samotną na pustej plaży.

Pokonując kilka ostatnich jardów, dzielących je od upatrzonego przez Laure miejsca, parę razy omal nie wpadają na objuczonych przekupniów. Pierwszy sprzedaje parasolki; drugi modele statków; trzeci nakręcane ptaki, które – jak głośno zaświadcza – fruwały; czwarty z kolei oferuje owinięte w papierowe serwetki kawałki śliwkowego placka i macha zawzięcie ręką, żeby odstraszyć krążące nad głową zuchwałe mewy.

– To tutaj, pani – powiada Laura, kiedy wkraczają w cień trawiastego pagórka. Pani Fox przysiadła zulgą na ziemi, opierając się plecami o pochyłość. Horyzont chwieje się zawrotnie, tworząc niepewną granicę między olbrzymim błękitnym niebem i akwamarynowym morzem.

– Zostaw mnie samą... na chwilę – sapie pani Fox z przymilnym uśmiechem, który ma oznaczać, że będzie grzeczna.

– Oczywiście, psze pani – mówi Laura. – Polecę przynieść nam coś do zjedzenia. – Emmeline nie ma czasu, żeby zaoponować, bo służąca biegnie już z powrotem w tumult i gwar.

Później tego popołudnia pani Fox leży na plaży i wpatruje się w lazurowe niebo, osłaniając spódnicą na w pół zagrzebany w piasku kawałek placka śliwkowego. Zdołała namówić Laure, by poszła na pokaz: „Psycho, Zdumiewający Mechaniczny Człowiek (Sensacja Sezonu w Londynie!)”, który odbywa się w pobliskim Folkestone Pavilion. Emmeline dawno przestała już rozróżniać krzyki dzieci od ptasich pisków, bo wszystkie odgłosy pochłania dostojny, kojący szum fal.

Nie chciała tu przyjeżdżać, naprawdę nie chciała, ale teraz, kiedy jest już w Folkestone, odczuwa zadowolenie, albowiem nad morzem rozmyśla się jej znacznie lepiej. Zakłęte labirynty, którymi krążyły ostatnio myśli pani Fox, pozostały w zadymionej i brudnej metropolii. Tu, nad ogromnym, przedwiecznym morzem, wreszcie myśli jasno.

Plażą ostrożnie nadchodzi zabłąkana mewa, skuszona kawałkiem ciasta, obawiająca się jednak ludzkiej podłości. Emmeline podnosi lepki, zapiaszczony placek i delikatnie rzuca go ptakowi pod łapki.

– I co ja mam zrobić z moim przyjacielem, Henrym, panie Mewa? – szepcze Emmeline, kiedy ptak dziobie ciasto na kawałki. – A może jesteś raczej panią Mewą? Albo panną? Nie sądzę jednak, by w twoich kręgach takie rozróżnienia miały jakieś znaczenie, co?

Zamyka oczy i zbiera wszystkie siły, żeby powstrzymać kaszel. Na dnie koszyka, pod książką Bodleya i Ashwella, spoczywa w ukryciu wygnieciona, posklejana krwią chusteczka do nosa – pełna szczątków jej płuc, jak twierdzi ojciec, choć Emmeline zawsze wyobrażała sobie płuca jako przestronne miechy albo blade, przezroczyste balony. Mniejsza z tym: krew jest prawdziwa, a ona nie może sobie pozwolić, żeby utracić jej więcej.

Wywołująca kaszel fala swędzenia w gardle stopniowo mija. Emmeline trudniej jednak odepchnąć poważniejszą pokusę, a mianowicie: rozmyślanie o Henrym. Jakże bardzo pragnie, by był tu u jej boku! Jakaż idyllą byłaby podróż pociągiem, gdyby mogła ją spędzić na poważnej dyskusji z Rackhamem zamiast na przymusowej rozmowie o głupstwach z Laurą! Byłoby też o wiele lepiej, gdyby to on, a nie leciwa pokojówka ojca, zamykał ją w objęciach, kiedy uginają się pod nią kolana! Silne palce Henry’ego szczelnie wypełniłyby wgłębienia między jej zębami.

Nosiłby ją na rękach, gdyby było trzeba. Mógłby położyć ją delikatnie na łóżku jak swoją kotkę.

Pożądam go.

Stało się, wypowiedziała te słowa, chociaż nie na głos. Nie musi powtarzać ich głośno: Bóg i tak je słyszy. A jej cielesne pożądanie, choć Pan go nie potępia, nie stanowi przecież (jak wyraźnie powiada św. Paweł w liście do Koryntian) żadnego powodu do dumy. Podobnie okoliczność, że ona i Henry nie zamierzają popełnić żadnej nieprzyzwoitości, nie oznacza przecież, że nie ma powodu do niepokoju. Kto mógłby autorytatywnie stwierdzić, że werset dwudziesty ósmy z piątego rozdziału Ewangelii św. Mateusza nie odnosi się zarówno do wdów, jak i żon, do kobiet, jak i do mężczyzn? W starożytnej Galilei niewątpliwie na kobiety spadał ciężar prac domowych i opieki nad dziećmi, toteż zapewne nie mogły słuchać kazań wygłaszanych przez wędrownych kaznodziejów; czy nie jest więc możliwe, że z perspektywy góry, na której stanął, Jezus widział tylko mężczyzn?

„Každy, kto pożądlawie patrzy na kobietę...” Gdyby Jezus widział w tym tłumie kobiety, z pewnością dodałby: „...albo mężczyznę”. Co ma dla Emmeline poważne konsekwencje, ponieważ jeśli można cudzołożyć myślą, to czyż nie można popełnić w ten sam sposób grzechu rozpusty? Żli chrześcijanie zazwyczaj tak interpretują Pismo, aby usprawiedliwić swoje występki; dobrzy chrześcijanie powinni postępować zaś odwrotnie i odważnie czytać Biblię między wierszami, by zauważyć karcący mars na czole miłościwego, ale niezadowolonego Wszchemogącego. A zatem w sercu pani Fox jest grzesznicą.

Albowiem owszem, pożąda całego Henry’ego, nie zaś tylko jego silnych rąk, które mogą ją podtrzymać, gdy mdleje. Pragnie poczuć na sobie ciężar jego ciała; chce, żeby wtulił swoją pierś w jej biust; pragnie zobaczyć go uwolnionego z ciemnej skorupy ubrania i odkryć tajemny kształt jego bioder, najpierw dłońmi, a potem ściskając je nogami. Stało się, rzekła. Wypowiedziane przed chwilą słowa lśnią niczym cudowny napis na ściankach jej serca – tej maleńkiej świątyni, do której nieustannie zagląda Bóg. Jej dusza powinna być lustrem, w którym Bóg może się przejrzeć, ale teraz... teraz zobaczyłby w nim twarz Henry’ego Rackhama. Tę prześliczną twarz...

Emmeline otwiera oczy i prostuje się, a potem dodaje do swoich grzechów idolatrię. Krótkoszyja mewa podnosi na kobietę wzrok, zastanawiając się, czy pani Fox nie czyni przypadkiem zakusów na soczystą grudę jej żeru. Po chwili uspokojony ptak powraca do przerwanej uczy.

Pani Fox uważa, że może rozwiązać swój problem tylko w jeden sposób, a mianowicie, poślubiając Henry’ego. Mąż i żona nie mogą przecież popełnić grzechu rozpusty, ani w myślach, ani w rzeczywistości. A jednak gdyby za niego wyszła, nikczemnie i egoistycznie wykorzystaby swojego najdroższego przyjaciela, bo Henry nie chce się żenić, co powtarzał wielokrotnie. Czy mógłby jaśniej dać do zrozumienia, że nie chce od niej niczego prócz przyjaźni?

– Ciało jest samolubne – powiedział kiedyś podczas jednej z rozmów, jakie toczą zwykle na temat ostatniego kazania. – Duch jest natomiast hojny.

Przeraża mnie myśl, jak łatwo człowiek może spędzić życie, zaspokajając swoje zwierzęce instynkty.

– Och, jestem pewna, że Bóg nie będzie miał nic przeciwko temu, abyś spędził jeszcze kilka minut, spacerując ze mną w słońcu – odparła dowcipnie, ponieważ Henry był tego dnia ponury, ona zaś miała nadzieję go rozweselić.

– Jakże gardzę swym próżniactwem! – rozpaczwał dalej, głuchy na jej zaloty. – Zostało mi już tak niewiele czasu!

– Ach, doprawdy, Henry – powiedziała. – Jak trzydziestoletni mężczyzna może mówić coś takiego! Masz niemal całą wieczność, żeby zrealizować swoje ambicje!

– Wieczność! – powtórzył żalobnie Rackham. – Cóż za wspaniałe słowo! Tuszę, że nie jesteśmy chyba reinkarnacjonistami, którzy uważają, że człowiek żyje tyle razy, ile mu się podoba.

– Człowiekowi wystarczy jedno życie – zapewniła go. – Prawdę mówiąc, zdaniem niektórych nieszczęśników, jakich spotykam, pracując charytatywnie, nawet to jedno życie dłuży się czasem nieznośnie...

Lecz kiedy Henry raz podjął już temat, za nic nie chciał go porzucić; zło, które rodzi wszelka

opieszalność, obudziło w nim zdolności krasomówcze godne najwspanialszych kazań i doskonale wróżyło jego przyszłej karierze duchownego.

– Tak, ludzie rozmaicie doświadczają czasu – zgodził się. – Ale zegar Boga chodzi z przerażającą precyzją. W dzieciństwie w każdej minucie życia nabywamy różnych umiejętności. Przychodzimy na świat, uczymy się chodzić, mówić oraz tysiący innych rzeczy w ciągu kilku krótkich lat. Nie potrafimy jednak dostrzec, że wyzwania dojrzałości są innej natury niż wyzwania dzieciństwa. Kiedy stajemy przed zadaniem wzniesienia nowego kościoła, czujemy się zapewne tak jak wtedy, kiedy budowaliśmy pierwszy zamek z piasku, lecz może minąć nawet dziesięć lat, nim pierwszy raz położymy kamień węgielny. – (Jakie to dziwne, myśli Emmeline, że wspomina te słowa, siedząc na plaży i przyglądając się, jak mali chłopcy budują zamki z piasku!)

– I taki też jest los wszystkich naszych wielkich ambicji i nadziei na osiągnięcie tego, o co prosi swym wołaniem ten nieszczęsny świat – podsumował Henry. – Mijają dekady, my zaś ufamy wieczności!

– Tak, ale na litość boską, Henry – usiłowała przypomnieć mu Emmeline – żaden chrześcijanin nie może osiągnąć wszystkiego. Możemy tylko starać się ze wszystkich sił.

– Właśnie! – zawołał. – Ja zaś widzę, jak bardzo ty się starasz i jak ja się staram, i jest mi wstyd!

Grzejąc się w złocistym słońcu Folkestone Sands, Emmeline przywołuje uśmiech na wspomnienie poważnej twarzy Henry’ego tamtego popołudnia, na wspomnienie jego kochanej twarzy, wykrzywionej grymasem gorącego idealizmu. Bardzo pragnęłaby całować tę twarz, wygładzić zmarszczki na czole przejętego Henry’ego i przyciągnąć go do siebie tu i teraz w uścisku tak mocnym, na jaki byłoby stać jej wątle ramiona...

Trzeba powrócić jednak do bieżącej sprawy: do małżeństwa.

Dlaczego ich przyjaźń miałaby ucierpieć, gdyby Emmeline wyszła za Henry’ego? Czy nie mogliby się przyjaźnić, jak teraz, z tą tylko różnicą, że mieszkaliby pod jednym dachem? (Musiałby to jednak być jej dom; nie pomieściliby się u Henry’ego!) Mógłby zająć osobną sypialnię, gdyby zgodził się posprzątać panujący w niej bałagan. (Kiedy pani Lavers przyjdzie wreszcie zabrać te torby z odzieżą, przeznaczoną na dary dla ubogich? A czy pojawi się u niej jeszcze ktoś z Afrykańskiego Towarzystwa Biblijnego?) W stanie, w jakim się znajduje, mieć w domu mężczyznę byłoby rzeczą praktyczną, a także rozkoszną, jeśli tym mężczyzną byłby Henry. Na początek mógłby przynosić węgiel, a potem pomagać jej prowadzić korespondencję. Gdyby zaś w porze wieczornego spoczynku była strasznie zmęczona, mógłby ją wnieść po schodach i z najwyższą delikatnością złożyć na...

Pani Fox uśmiecha się ponuro na myśl o widomej nieustępliwości swych niegodziwych pragnień. Jej choroba, bez względu na to, co właściwie Emmeline dolega, nie zbliżyła jej ani trochę do Boga, chociaż ogląda ciągle piękne ryciny, przedstawiające chore na suchoty, leżące w otoczonych aureolami łóżkach, nad którymi unoszą się anioły. A może wcale nie cierpi na gruźlicę, tylko na jakiś rodzaj hysterii? Mówiąc bez ogródek, czy nie znajduje się na drodze do Bedlam?²¹ Zamiast dryfować ku eterycznym bramom niebios, zapewne staje się coraz bardziej odpychająca jak zwierzę: kaszle krwią, na jej szyi i ramionach pojawiają się krosty, poci się obficie wszystkimi porami skóry, a kiedy budzi się ze snu na jawie o Henrym Rackhamie, stwierdza, że powinna umyć się porządnie między nogami...

Hańba! A jednak nigdy nie potrafiła się wstydzić. Stojąc przed wyborem między samobiczowaniem a poprawą swojego postępowania, zawsze pójdzie bardziej sensowną z tych dwóch dróg. A zatem... co by się stało, gdyby ją i Henry’ego połączył węzeł małżeński? Czy byłoby to takie straszne? Henry zapewne boi się, że ojcostwo złamałoby jego karierę duszpasterską, ale ona przecież nie może mieć dzieci, czego dowodzi brak potomstwa z jej związku z Bertiem.

Jak jednak składa się propozycję małżeństwa? Jak właściwie przebiega ów proces, za którego sprawą człowiek przekracza granicę między kurtuazyjnym skinięciem głową a wspólnym spoczynkiem w ciepłym łóżku, aż do śmierci? Biedny stary Bertie przyklęknął na jedno kolano, ale uganiał się za nią jeszcze od czasów szkolnych. Jeżeli Henry jest jak najdalszy od myśli o

21 Bedlam – słynny londyński szpital dla obłąkanych (przyp. tłum.).

małżeństwie, to on raczej go jej nie zaproponuje, prawda? Ona zaś nie może mu się chyba oświadczyć? Nie dlatego, że uchybiałoby to konwenansom (ma ich serdecznie dość!), lecz dlatego, że mogłaby w ten sposób urazić Henry'ego, który zacząłby ją lekceważyć. Utrata jego szacunku byłaby dla niej ciosem ponad siły, w każdym razie na pewno w tym kiepskim stanie zdrowia, w jakim się teraz znajduje.

– A zatem powinnam poczekać – mówi głośno pani Fox. – Aż poczuję się lepiej.

Na dźwięk ludzkiego głosu mewa ucieka, porzucając ostatnie okruszyny, a Emmeline odchyła głowę i opiera ją na trawiastej pochyłości, przekrzywiając przy okazji czepek, którego szpilki wbijają się jej w skórę. Przebiegają ją nagle dreszcze rozdrażnienia, zrywa więc czepek, a potem mości się znów wygodnie i pojękuje z ulgą, którą odczuwa, kiedy jej odkryta, spocona głowa kryje się przytulnie w ciepłym zagłębieniu za plecami.

Decyzja, jaką podjęła w sprawie Henry'ego, rozchodzi się po ciele Emmeline niczym lekarstwo albo obfity posiłek, dostarcza jej jednak więcej przyjemności, albowiem ani medykamenty, ani jedzenie ostatnio zupełnie na nią nie działają. Jakim cudownym środkiem wzmacniającym okazuje się mocne postanowienie! Zmęczenie opuszcza już jej członki i wsiąka w piasek, na którym spoczywa pani Fox.

Mewa, która upewniła się tymczasem, że skrzekliwy jęk, jaki wydała kobieta, był jedynie chwilowym zakłóceniem, powraca i znów zaczyna dziobać zapiaszczoną grudę. Ptak unosi łebek i gwałtownymi ruchami wyciąga szyję, by przełknąć kawałek ciasta, co wygląda, jak gdyby kiwał głową na znak, że zgadza się z decyzją pani Fox. Tak, musi poczekać, aż poczuje się lepiej, a potem... potem weźmie życie w swoje ręce, ofiarowując je Henry'emu Rackhamowi.

– A czy on odpowie „tak”, panie Mewa? – pyta Emmeline, ale ptak rozpościera skrzydła, zrywa się z kupki wzburzonego piasku i odlatuje nad morze.

W innym zakątku Folkestone Sands oparta o skałę Agnes Rackham krzyczy ze strachu, kiedy klekoczący głośno drewniany ptak rozbija się u jej stóp. Agnes podkurcza nogi, zgniatając rozłożone na kolanach pismo kobiece, które właśnie czytała, po czym szczelnie owija się spódnicą.

Clara, która w przeciwieństwie do swojej pani nie jest pogrążona w lekturze artykułu pod tytułem *Sezon: Kto błyszczał najjaśniej, kiedy i gdzie*, zauważa nadlatujący pocisk i tylko mruży oczy, kiedy ten uderza o ziemię. Spokojnie, bez pośpiechu, jak gdyby chciała utrzymać pani nosa swoją apatią, służąca wyciąga rękę i podnosi ptaka za skrzydło, wykonane ze sklejki i papieru.

– To tylko zabawka, psze pani – odzywa się słodkim głosem.

– Zabawka? – powtarza jak echo zdumiona Agnes, rozprostowując nogi. – Tak, psze pani – przytakuje Clara. Podnosi ptaka, którego rozklekotane skrzydła przestały już trzepotać, i pokazuje go Agnes. Jest to wąż, niedbale pomalowana konstrukcja, napędzana za pomocą mosiężnego kluczyka i maleńkiego blaszanego mechanizmu. – Jeden handlarz sprzedaje je tu na wozie. Mijałyśmy go po drodze.

Agnes odwraca się, żeby spojrzeć w kierunku, który wskazuje Clara, ale widzi tylko wybiegającego zza łagodnego pagórka chłopczyka w wieku sześciu albo siedmiu lat w błękitnym marynarskim ubranku i słomianym kapelusiku. Dzieciak hamuje z poślizgiem na widok nieznajomej damy i służącej, która trzyma w rękach jego zabawkę.

– Proszę, panienko – mówi piskliwie. – To mój latający ptak.

– A zatem powinieneś uważać, gdzie go posyłasz – odpowiada z przyganą w głosie Clara.

– Przepraszam, panienko, ale on nie chce latać prosto – mówi błagalnym głosem chłopczyk i drapie się nerwowo po łydce czubkiem bucika, zasnuwanego ciasno na nodze. Służąca mierzy go gniewnym spojrzeniem, woli więc patrzeć na panią o wielkich, niebieskich oczach, która się uśmiecha.

– Ach, biedny chłopiec – mówi Agnes. – Nie bój się, ona cię nie ugryzie.

– I gestem nakazuje Clarze oddać dziecku zabawkę.

Agnes w zasadzie lubi dzieci, pod warunkiem że nie są niemowlętami i nie należą do niej, a ona zażywa ich towarzystwa w małych dawkach. Szczególnie mali chłopcy bywają czarujący.

– Czy on naprawdę fruwa? – pyta chłopczyka Agnes.

– No... – Dzieciak marszczy brwi, nie chcąc nadszarpnąć reputacji ptaka.

– Ten handlarz, co je sprzedaje, pokazywał, jak doskonale lata, i twierdził, że wszystkie fruwać równie dobrze, ale ja mam takiego ptaka i mój brat też, i oba wcale za dobrze nie latają. Podrzucamy je tak wysoko, jak tylko potrafimy, ale zawsze spadają zaraz na ziemię. Czy mogę już iść, psze pani? Mama kazała, żebym zaraz wracał.

– Doskonale, paniczku – uśmiecha się Agnes. – To ładnie, że jesteś szczerzy. Oto twoja zabawka.

Jakże łatwo jest uszczęśliwić dziecko! Pani Rackham odprawia chłopczyka łaskawym skinieniem ręki, a kiedy tylko mały odchodzi, Agnes zwraca się do Clary i mówi:

– Idź i kup mi takiego ptaka. A sobie jakieś słodycze, jeżeli masz ochotę.

– Tak, psze pani, dziękuję – mówi służąca i spieszy wypełnić polecenie. Z turniury jej błękitnej sukni z każdym kolejnym krokiem sypie się piasek.

Agnes czeka, aż Clara zniknie jej z oczu, po czym sięga po książkę, którą dziewczyna zostawiła na kocu, ciekawi ją bowiem, co takiego czyta służąca. Ach, to powieść, *Dziwne losy Jane Eyre*. Agnes też ją czytała, wypożyczyła bowiem tę książkę w Mudie's, choć doktor Curlew zabronił jej lektur. Agnes zdaje sobie sprawę, że ten sfatygowany wolumin należy do Clary, i czuje dreszcz przerażenia, jest bowiem coś niesamowitego w tym, że oto pokojówka delektuje się straszliwą opowieścią o kobiecie, którą choroba wpędza w szaleństwo, a mąż zamykają w wieży i podejmuje starania, aby poślubić inną. Krzywiąc się, pani Rackham odkłada książkę na koc.

Kiedy prostuje plecy, powraca pulsujący za lewym okiem ból. Jakże to dziwne, że to nikczemne doznanie ma czelność się utrzymywać, chociaż połknęła niejedną różową pigułkę pani Gooch, żeby je usmierzyć! Zazywała pastylki przez całą drogę z Londynu, podczas gdy Clara drzemała. Teraz Agnes miętosi w dłoniach torebkę, kusi ją bowiem, by łyknąć nieco laudanum z buteleczki, której zawartość udaje wodę lawendową. Ale nie, powinna oszczędzać laudanum na czarną godzinę, kiedy już będzie odchodzić z bólu od zmysłów.

Niech twoje myśli będą lekkie i słodkie, mówi do siebie z naciskiem. Nieraz się przekonała, że ciężkie myśli potęgują ból. Jeżeli zdoła przestać się zamartwiać i nie pozwoli, by w jej umyśle pozostało cokolwiek poza radosnymi wspomnieniami i poczuciem tego, co hinduscy mistycy zwą „nirwaną”, wyrwie jeszcze, być może, ukojenie z paszczy utrapienia.

Jest tyle rzeczy w życiu, za które powinna być wdzięczna losowi... Wielce udany Sezon... powóz i własny stangret... anioł stróż, który gotów jest narazić się na gniew Boży, by ustrzec ją przed złem... Poza tym wreszcie skończyły się te jej okropne krwawienia... i powróciła w końcu do prawdziwej religii swojego dzieciństwa...

Ból narasta i Agnes próbuje sobie wyobrazić, że idzie na mszę, siada w rozświetlonej blaskiem świec ciszy starego kościoła i słucha ukochanego ojca Scanlona. Nie jest to łatwe, bo rozpraszają ją śmiejące się dzieci, ryk fal i natarczywe nawoływania handlarzy, ale udaje się jej przenieść w tamten czas, chociaż zaledwie na chwilę, w której słysząc mamrotanie człowieka, oferującego kuracjom przejazdki na osiołku, imaginuje sobie, że to łaciński śpiew. Po chwili rozbrzmiewają jednak dźwięki katarynki – i czar pryska.

Biedny, zaślepiony William... Jeśli istotnie tak bardzo troszczy się o zdrowie Agnes, przysłużyłby się jej o wiele lepiej, gdyby zamiast na plażę, gdzie piecze się jak placek, wysłał ją na tydzień do kościoła – do jej kościoła, rzecz jasna. Ogarniają nieodmiennie ogromne zadowolenie, kiedy usadowi się już wygodnie w swoim przytulnym sanktuarium! Natomiast co druga niedziela – kiedy to zmuszona jest zasiadać pośród anglikanów i wysłuchiwać kazań nieznośnego doktora Crane'a, żeby nie narażać się na plotki – wydaje się jej niesłychanie ponura... Doktor Crane gardłuje zawsze przeciw ludziom, o których Agnes nigdy nie słyszała, w jego głosie nie ma ani trochę melodyjności, a ponadto fałszuje, śpiewając pieśni kościelne; doprawdy, jakim to durniom pozwala się dziś przywdziewać księżą sukienkę! Najwyższy czas, żeby złożyła publiczne oświadczenie, iż powraca do prawdziwej wiary. Nie ma chyba wątpliwości, że jest dziś dość bogata, by uszło jej to na sucho! Któż ośmieliłby się ją tknąć i powiedzieć „nie”? Zwłaszcza teraz, kiedy opiekuje się nią anioł stróż...

Pani Rackham obserwuje jasny brzeg morza, osłaniając dłonią oczy przed słońcem i łudząc się nadzieją, że pośród dzieci, osiołków oraz rzędów kabin kąpielowych uda się jej dostrzec wysoką

zjawę zmierzającej ku niej Świętej Siostry. Ale nie. Pragnąć jej odwiedzin było niemądre z jej strony. Wymknąć się z Klasztoru i spotkać się z nią w labiryntach Londynu, gdzie niełatwo jest wejrzeć nawet Bogu, to jedno; ale odwiedzić Agnes w Folkestone Sands, gdzie Święta Siostra nie skryje się przed bacznym spojrzeniem z niebios, to całkiem inna sprawa...

Ach, czemu nie przywiozła tu swojego pamiętnika? Zostawiła go w domu z jakichś absurdalnych powodów, bo bała się, na przykład, żeby nie wpadł do wody... Gdyby go miała przy sobie, mogłaby przerzucać jego kartki i zaznać pociechy, widząc na nich ślady palców Świętej Siostry. Albowiem każdej nocy, kiedy Agnes śpi, Święta Siostra czyta jej pamiętnik w świetle swej własnej, nadprzyrodzonej aury, pozostawiając na kartkach ledwo widoczne ślady palców. (Oczywiście, nie chodzi o to, że palce Świętej Siostry są nieczyste w jakimkolwiek sensie; wspomniane ślady powstają wskutek przepelniającej ją mocy wewnętrznej). (I nie, Agnes wcale sobie tego nie zmyśla, bo czasem, kiedy zasypia, zamyka pamiętnik, a kiedy się budzi, jest otwarty – czasem zaś odwrotnie).

A swoją drogą: na jak długo William zamierza ją tu umieścić? Nawet tego nie wie! Wie to kierownik hotelu, ją jednak, osobę, której ta sprawa bezpośrednio dotyczy, pozostawia się w niewiedzy! Agnes nie należy do ludzi o zdecydowanych poglądach, uważa jednak, że jest to skandaliczny przykład pogwałcenia praw kobiet. Czy William spodziewa się, że będzie przesiadywać całymi tygodniami na plaży i czekać, aż ściemnieje jej cera, a zapas leków wyczerpie się całkowicie?

Ale nie, niech twoje myśli będą słodkie i lekkie. Miło byłoby napisać list do Świętej Siostry, wysłać go i dostać od niej odpowiedź. Czy ządałaby zbyt wiele, prosząc, żeby zdradziła jej sekretne położenie Klasztoru Zdrowia? Tak, Agnes domyśla się, że zapewne prosiłaby o zbyt wiele. Jeżeli będzie grzeczną dziewczynką, Siostra w końcu sama jej o tym powie. Wszystko będzie dobrze.

Nagle czuje gorycz na języku. Oblizuje wargi i spuszcza wzrok na dłoń, w których kryje buteleczkę laudanum. Na wszelki wypadek, obawiając się, że Clara zaraz wróci, pospiesznie chowa lekarstwo do torebki. Ma nieposłuszne ręce, skoro wyciągają flakonik z bezcennym płynem, kiedy ona pogrąża się w rozmyśleniach, i tak bezczelnie przykładają go do ust! Ile wypła? Będzie naprawdę bardzo niedobrze, jeżeli Clara po powrocie zastanie ją leżącą bez przytomności na plaży.

Postępując z wysiłku, Agnes wstaje i usiłuje otrząść suknię z piasku. Jego ziarnka drapią jej dłoń, są ostre jak szkło, które przecież podobno wytwarza się z piasku, prawda? Czy może William z niej zakpił? Pani Rackham przygląda się swoim miękkim, bladym ręką, niemal spodziewając się zobaczyć na nich skomplikowany deseń krwawych pręg, ale nie: albo William kłamał, albo Agnes została ulepiona z twardszej gliny, niż sądzi.

Uznaje, że spacer przewietrzy jej głowę i nie pozwoli zasnąć. Długie siedzenie na słońcu wywołuje senność, a poza tym w miejscach, gdzie uciskają suknie, zrobiło się jej o wiele za gorąco. Ufa, że na samym brzegu (zakładając, iż skład chemiczny oceanów nie uległ zmianie od czasu jej ostatniego pobytu nad morzem) powietrze będzie wilgotne od mikroskopijnych kropelek wody niczym chłodna, słona mgiełka – a tego jej właśnie potrzeba.

Agnes kieruje się nad morze i idzie dostojnym krokiem nad samym brzegiem, gdzie piasek jest mokry i ciemny. Z wdziękiem, jak gdyby tańcząc jakiś dworski taniec, omija kolejne fale srebrzystej piany, która wylewa się na plażę, i dostosowuje się do ich rytmu. Morze okazuje się jednak niezgrabnym partnerem do tańca, zaczyna mylić kroki i chwilę później fala rozlewa się zbyt daleko. Płytki wir zalewa buciki Agnes, woda wsiąka w cienką skórę, przecieka przez dziurki od sznurowadeł i ciągnie rąbek sukni. Nie jest to żadne nieszczęście... W hotelu czekają na nią dwie ogromne walizy pełne sukien i butów, a zimna woda między palcami u stóp dostarcza jej wcale nie nieprzyjemnej sensacji, której sygnał wędruje natychmiast do mózgu i budzi ją ukłuciem – chociaż rozumiesz chyba, że Agnes naprawdę nie śpi, jak można bowiem spać, tańcząc na brzegu morza?

Jednakże w obawie, że może potknąć się na jakimś częściowo ukrytym pod piaskiem kamieniu, upaść i utonąć, nim zdąży się zorientować, że upadła (któż może bowiem wiedzieć, jak szybko dzieją się takie rzeczy?), Agnes zaczyna oddalać się od fal i zmierza z powrotem... z powrotem... z powrotem tam, skąd przyszła. Ciężą jej nasiąkniętą wodą spódnicę, zbyt ciężkie, by mogła unieść je wysoko. Najrozsądniej byłoby zatrzymać się tutaj, rozłożyć suknię na piasku i ruszyć dalej dopiero

wtedy, gdy przeschnie.

Na chwilę zamyka oczy i wtedy świat przewraca się do góry nogami, a ziemia i niebo zamieniają się miejscami. Ziemia – mającząca teraz w górze – chłoszcze ją niewidzialnymi mackami, przygarnia mocno do swojego wielkiego, ciepłego brzucha i oplata ciasno, by nie runęła w dół, w nicość. Agnes zwisa z wywróconej do góry nogami *terra firma* jak ćma na suficie, wpatrując się w dół, w ogromną, bezkształtną próżnię jaskrawego błękitu. Wybałuszonymi oczami, na wpół oślepiąca, spogląda w otchłań. Gdyby ziemia rozluźniła chwyt i puściła ją, całą wieczność spadałaby jak szmaciana lalka w bezdenną studnię.

Jest przerażona i kręci się jej w głowie. Odwraca głowę na bok, wtula twarz w wilgotną ziemię i wciska policzek w piasek, zamykając jedno oko, ponieważ razi ją światło. Litościwy świat zaczyna znów z wolna wirować w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i powraca do swojego właściwego położenia. Z oddali zbliża się ku niej jakaś zjawą, przypominająca zakonnicę w czarnym habicie i białym kornecie, o twarzy przesłoniętej woalką. Z każdym krokiem zakonnicy otaczający ją krajobraz zielenieje, a szklista połyskliwość rozprasza się w barwie pastelowego seledynu. Plażę porasta mech niczym zielony rumieniec, a potem, listek za listkiem, pojawia się las, który zasłania niebo. Przerażliwe krzyki mew i dzieci cichną, przemieniając się w trele i ćwierkanie drożdów. Maleje także potężny szum oceanu, aż wreszcie słychać tylko słaby szmer wiejskiego strumyka. Kiedy Święta Siostra zbliża się na tyle, by Agnes mogła ją rozpoznać bez żadnych wątpliwości, Folkestone Sands znika jej z oczu, które widzą teraz dużo bardziej znajomy krajobraz snów pani Rackham, czyli spokojne okolice Klasztoru Zdrowia.

– Och, Agnes – oświadcza Święta Siostra z pełnym czułości zniecierpliwieniem. – Ty znowu tutaj? Co z tobą będzie? – Po czym zakonnica cofa się, aby do pani Rackham mogły się zbliżyć dwie niewyraźne postacie.

Agnes próbuje przemówić, ale jej język przypomina pozbawiony unerwienia kawałek mięsa. Udaje się jej tylko jęknąć, kiedy czuje dotyk silnych dłoni, biorących ją pod ramiona i kolana, dłoni należących do dwóch żyłastych staruchów, którzy wykonują różne prace fizyczne na rzecz zakonnicy z Klasztoru Zdrowia. Starcy podnoszą Agnes z łatwością niby małe dziecko i delikatnie kładą na noszach.

A jej reakcja? Jest godna pożałowania. Pani Rackham wzdyga się w konwulsjach, otwiera szeroko usta i zalewa swoich wybawicieli silnym strumieniem gorących, żółtych wymiocin.

Widząc, jak policjant ołówkiem wpisuje do notesu jej nazwisko, Clara Tillotson zaczyna ronić łzy złości i strachu.

– Ale pani nakazała mi odejść – mówi błagalnym głosem. – Chciała, żebym jej kupiła coś takiego. – Podsuwa stróżowi prawa pod nos ptaka z drutu i sklejki, z mosiężnym kluczykiem na grzbiecie.

Dwóch silnych mężczyzn, wezwanych na pomoc z firmy dostarczającej kabiny kąpielowe, układa właśnie panią Rackham na noszach. Lekarz położył już otwartą dłoń na lepkim czole Agnes i zmierzył jej temperaturę w ustach. Rozpoznaje ostrą migrenę i podejrzewa suchoty, uznaje jednak, że nie ma konieczności, by wieźć ją do szpitala, choć chora powinna odpocząć w pokoju hotelowym z dala od słońca.

– Kto jest jej najbliższym krewnym? – pyta policjant Clare, kiedy mężczyźni wynoszą nieprzytomną Agnes z plaży.

– William Rackham – odpowiada nosowym głosem służąca.

– Sławny William Rackham?

– Nie wiem – pochlipuje Clara, wpatrując się z niepokojem w ciemną plamę wymiocin na piasku. Przerażają myśl o tym, jakie znaczenie może mieć owa plama dla jej dalszego zatrudnienia na służbie u Rackhamów.

– Perfumy Rackhama? Jeden flakonik wystarczy na cały rok”?

– Chyba tak. – Clara nie wie nic na temat produktów firmy swojego pana: pani ma je w pogardzie.

– Czy możesz się z nim skontaktować, panienko?

Służąca wyciera nos w chusteczkę. O co mu chodzi? Czyżby sądził, że Clara potrafi fruwać, poleci w mgnieniu oka do Notting Hill i przekaże Williamowi nowiny przez okno na piętrze? Mimo wszystko służąca kiwa potakująco głową.

– To dobrze – odpowiada policjant i zamyka notes. – Zostawiam zatem sprawę w twoich rękach.

Niebo zaciągnęło się groźnie i za chwilę chyba lunie deszcz. Rodzice odciągają baraszkujące dzieci od zamków z piasku; przechadzający się plażą dandysi poszukują schronienia przed ulewą; z morza wyłaniają się dziwnie poubierane nereidy, które znikają następnie w kabinach kąpielowych; handlarze coraz szybciej przetaczają wózki ze swoim towarem tam i z powrotem, zapewniając chrapliwymi okrzykami wycofujący się tłum, że oddadzą wszystko za półdarmo.

Pani Fox dawno już wróciła do hotelu, narzekając, że cały ten wypoczynek śmiertelnie ją męczy. Nie ma najmniejszego pojęcia, że pani Rackham bawi w Folkestone, a co więcej – jako że to nie ona była ową Samarytanką, która znalazła Agnes bez zmysłów nad brzegiem morza – jest jej pisane powrócić do Londynu, ani razu nie widząc pani Rackham na oczy.

A Sugar? Czy to nie Sugar była tą kobietą, którą ujrzała Agnes, nadchodzącą ku niej w owym świecie na opak? Nie, Sugar siedzi w swoim apartamencie przy Priory Close, próbując za wszelką cenę przebrnąć przez *Art of Perfumery* pióra G.W. Septimusa Piesse'a, a największym akwenem w okolicy jest pełna wody wanna, stojąca w jej mieszkaniu. W myślach nieszczęsnej Sugar nie ma dla pani Rackham ni odrobiny miejsca, dziewczyna głowę ma bowiem pełną rozmaitych wiadomości, dotyczących lawendy i olejków zapachowych. Czy informacja, że olejek ananasowy jest niczym więcej, jak tylko maślanem tlenku etylenu, może kiedyś na coś jej się przydać? Po co miałaby pamiętać recepturę kremu różanego (funt olejku migdałowego, funt wody różanej, pół drachmy olejku różanego, po jednej uncji spermy i białego wosku)? Sugar zastanawia się, który mężczyzna potrafi pisać o spermie, mając na myśli wyłącznie wieloryby.

– Chryste Panie – mruczy dziewczyna, bo łapie się na tym, że prawie traci świadomość i wypuszcza z rąk książkę, która zamyka się między jej udami. – Obudź się!

– No, i jak było nad morzem? – pyta lady Bridgelow, bezszelestnie odstawiając filiżankę na spodek. – Ja nie wybrałam się w tym roku na wybrzeże: wszystkie kurorty najechała hafastra. Ach, dziękuję ci, Rose.

Rose, nowa pokojówka Rackhamów, nalewa z góry herbatę wprost do filiżanki lady Bridgelow. Służąca trzyma ciężki czajnik pewną ręką, a jej rumiany, pachnący karbolowym mydłem nadgarstek odcina się od białego mankietu, co podoba się lady Bridgelow.

Jest pogodne, chłodne popołudnie na początku września. Minęło kilka tygodni, od kiedy William przywiózł z Folkestone Sands swoją małżonkę, chudsza i dziesięciokrotnie bardziej zdziwaczała niż w dniu, kiedy wysłał ją nad morze, a która teraz, właśnie w tym momencie, kryje się na piętrze, dla gości bowiem stanowczo „nie ma jej” w domu.

Gwoli sprawiedliwości należy jednak przyznać, że nie tylko Agnes Rackham zachowuje się ostatnio dziwnie: na początku roku zrobiło się ciepło wyjątkowo wcześnie, od końca sierpnia panują jednak równie rzadko spotykane chłody, jak gdyby aura chciała zrezygnować ze swojej wcześniejszej, nienależnej ludziom wielkoduszności. Promienne, poranne słońce blednie teraz i szarzeje na ogół już w południe, a rześki, chłodny wiatr stanowi zapowiedź tego, co zapewne gotuje światu natura. Z drzew całymi chmurami opadają liście, noc przychodzi wcześnie, a w całej Anglii malarze pejzażyści ze wstrętem opuszczają zachmurzoną prowincję. Znajomi kupcy Williama, którzy są właścicielami sadów, zostali zmuszeni do przeprowadzenia wcześniejszych zbiorów, albowiem owoce wiszą niebezpiecznie nisko i same właściwie spadają w ręce zbieraczy, a jeśli ci spóźnią się choćby godzinę, gniją poobijane na ziemi. Dzięki Bogu, że tymczasem zebrano lawendę z pól. Sugar była zawiedziona, że nie widziała żniw na własne oczy, ale nawet najzręczniejszy gracz nie może zadbać o wszystko, mając na głowie Sezon i chimeryczną żonę. Ognisko, na którym pod koniec października pali się pięcioletnie rośliny – na to przedstawienie ją zabierze, dał Sugar swoje słowo.

W rezydencji Rackhamów w Notting Hill służba pod schodami i na piętrach przygotowuje się do nadejścia jesieni, która – jeśli tak się jej spodoba – potraktuje Anglię bardzo surowo. Wyjęto już grube draperie, przesypane kulkami przeciwmolowymi; spiżarnie są pełne puszkowanych homarów, sardynek, łososi, żółwiego mięsa i tym podobnych rzeczy; owoce i warzywa zachomikowano w piwnicach; przetkano przewody kominowe; Janey nabawiła się jakiejś uciążliwej dolegliwości, kiedy czyściła piec; Cheesman sprawdził, czy nie przecieka dach i drzwi powozu, a Letty i Rose usunęły z kominków letnie dekoracje, zastępując je suchymi polanami. Shearsa, który mamrocze coś pod nosem i marudzi od świtu do nocy, najlepiej omijać z daleka.

Lady Bridgelow również pogodziła się z tym, że lato już minęło, i idąc za tym przeświadczeniem, zmieniła strój, przez co wygląda nieco – choć niewiele – starzej niż na dwadzieścia dziewięć wiosen, które ma. Siedzi otulona szczelnie w kostium z serży, aby mieć pewność, że – jak chętnie powtarza – nie „nadweręży” zdrowia. William pogrubił, jest bowiem ciepło ubrany, a poza tym przytył podczas Sezonu. Jego gęsta, równo przyszyżona broda zwiesza się nad krawatem; ubrany jest w wełnianą kamizelkę, ciężkie tweedowe spodnie i także marynarkę, którą usiłuje dyskretnie rozpiąć, choć nie powinien już dłużej szarpać się z nią na oczach gościa.

– O innych nadmorskich kurortach nie mogę nic powiedzieć, ale z tego, co widziałem, Folkestone to ostatnio istny cyrk – odpowiada William na pytanie lady Bridgelow. – To oczywiście wina kolei.

– Ach, cóż, żyjemy w epoce nowoczesności – stwierdza filozoficznie lady Bridgelow, przełamując posypany cukrem herbatnik. – Ci z nas, którzy mają własne powozy, będą musieli znaleźć sobie jakiś raj, którego te hordy pospólstwa jeszcze nie odkryły. – W tym miejscu lady Bridgelow sprawnie i szybko konsumuje ciasteczko, by nie dać sobie przerwać. – Zresztą nie

rozumiem, jak wybrzeże może pociągać kogoś, kto nie jest rekonwalescentem.

– Tak, słusznie – mówi William, podając Rose pustą filiżankę po herbacie.

– A jak się miewa twoja małżonka? – pyta współczująco lady Bridgelow znad pełnej filiżanki.

– Och, jestem pewien, że to nic poważnego – wzdycha Rackham. – Podejrzewam, że się przeziębiła.

– Bardzo brakuje jej nam w kościele – zapewnia go lady Bridgelow. William uśmiecha się ze smutkiem. Wszyscy już wiedzą, że Agnes niemal co niedziela chodzi na katolicką mszę, on zaś nie ma serca, żeby jej tego zabronić. Choć apostazja pani Rackham jest godna pożałowania i mimo że William wstydzi się, czując dezaprobatę sąsiadów, pragnie, żeby Agnes była szczęśliwa, ona zaś nigdy nie bywa szczęśliwsza niż wtedy, kiedy mąż pozwala jej jechać do Cricklewood i być po trosze papistką.

Miał wielką nadzieję, że małżonka wróci znad morza pulchniejsza i rozsądniejsza! Ale Agnes spędziła na wybrzeżu zaledwie osiem z czternastu dni, za które zapłacił, i zamiast spokojnie wrócić wraz z Clarą pociągami do Londynu, przysłała mu kartę pocztową, w której skarżyła się, że w hotelu mieszkają Amerykanie, a w wodzie pitnej pełno jest jakichś żyjątek; William powinien więc natychmiast przyjechać i zabrać ją do domu. *W imię wszystkiego, co święte, zaklinam cię, proszę!* – tak zakończyła swą prośbę na pocztówce przedstawiającej na odwrocie zabawny skądinąd wizerunek osiołka z przytwierdzoną do głowy spiralną muszlą, opatrzony podpisem *Jednorożec, Folkestone Sands*. William, upokorzony na myśl, że listonosz mógłby przeczytać pisane ręką Agnes kolejne karty pocztowe podobnej treści, udał się do Folkestone najszybciej, jak tylko mógł, zastając małżonkę w idealnej równowadze ducha i najwyraźniej kontentą, ona zaś potraktowała go niby nieproszonego gościa, którego łaskawie postanowiła odprawić.

– Jak się tu czuła? – zapytał dyskretnie Clarę, kiedy wraz ze służącą przyglądał się stękającym z wysiłku tragarzom, którzy wynosili na plecach z hotelu absurdalnie wielkie walizy Agnes.

– Nie mam powodów, by się uskarżać, panie – odparła Clara z miną osoby, która spędziła cały tydzień pod pręgierzem, gdzie bezustannie obrzucano ją zgniłymi owocami.

Po powrocie do domu Agnes, nie tracąc ani chwili, zaczęła dawać wszystkim do zrozumienia, że zbawienny urok wybrzeża nie podziałał na nią ani trochę, a w każdym razie nie tak, jak życzyłby sobie tego doktor Curlew. Kiedy tylko wypakowano jej pamiątki z Folkestone, Agnes zademonstrowała swój nowy kaprys – pewien głupawy rytuał, który na nieszczęście wszedł jej odtąd w zwyczaj. Otóż każdego ranka przed śniadaniem pani Rackham usiłuje wypuścić w powietrze z parapetu okna swojej sypialni nakręcaną latającą zabawkę. To, że rozklekotany mechanizm spada na ziemię jak kamień, jak również to, że drewnianemu ptakowi odpadł już dziób i pękło lewe skrzydło, nie zniechęca Agnes do odprawiania owego rytuału. Każdego ranka po śniadaniu Shears znajduje zabawkę wbity po szyję w świeżo skopaną ziemię albo zaplątaną w gałęzie krzewów, po czym bez słowa odnosi ją z powrotem do domu. (I lepiej niech nic nie mówi! – protesty, jakie zgłaszał podczas Sezonu, kiedy pani Rackham ogołociła jego krzewy, żeby sprokurować dla zaproszonych na obiad gości „czerwony dywan” z płatków różanych, nie wyszły mu na zdrowie).

– Nieszczęsna kobieta – cmoka lady Bridgelow. – Naprawdę jest mi jej żal. My, którzy cieszymy się dobrym zdrowiem, powinniśmy okazywać większą wdzięczność łaskawej dla nas fortunie. Daję słowo, mój mąż ciągle mi to powtarzał, póki żył. – Na te słowa oczy lady Bridgelow robią się szkliste, a głowa opada jej na oparcie krzesła, jak gdyby kobieta ujrzała ducha swego małżonka. – Aaaach... biedny Albert – wzdycha, pozwalając, by Rose nałożyła jej na talerzyk kawałek ciasta imbirowego. – Czasami czuję się bez niego taka samotna... szczególnie wtedy, kiedy sobie uprzytamniam, że mam przed sobą jeszcze długie lata życia...

Po chwili lady Bridgelow gwałtownie prostuje plecy. Jej wzrok staje się jasny, a cofnięty podbródek nadaje obliczu damy stanowczy wyraz.

– Mimo to nie powinnam chyba usychać z tęsknoty, prawda? Mam przecież syna, w którym Albert wciąż żyje. Jest do niego tak cudownie podobny! Wiesz, zastanawiam się, czy... czy gdyby ten biedny człowiek był wciąż wśród nas... i gdybym miała mu urodzić jutro drugiego syna, to czy on też tak zdumiewająco przypominałby ojca? Wiesz, przypuszczam, że tak!... Musisz mi jednak

wybaczyć tę paplaninę. Mogę mieć tylko nadzieję, że kiedy sam będziesz miał syna, naturalną kolejną rzeczą zaczniesz zdradzać objawy podobnego szaleństwa. – Lady Bridgelow klepie się po kolanach, jak gdyby to były pieski pokojowe, które chce zbudzić z drzemki. – Tak, cóż, ale ty masz przecież swoje sprawy, a ja zajęłam ci za dużo czasu. Wybacz, proszę.

– Nie, nie – mówi William, kiedy dama wstaje, zbierając się do wyjścia. – Było mi bardzo przyjemnie, naprawdę.

Rackham mówi szczerze: lady Bridgelow zawsze jest mile widziana w jego salonie i to, że musi ją odprowadzić do drzwi, sprawia mu przykrość. Nie przypomina ani trochę innych utytułowanych osobistości, jakie dane mu było poznać: pomimo wszystkich jej wysokich koneksji jest w niej jakaś pociągająca figlarność. Zdaje mu się, że dostrzegają nawet w sposobie, w jaki lady Bridgelow zbiega po stopniach przed domem i usiłuje wskoczyć do powozu bez pomocy stangreta, który nie zdążył zejść z kozła. Potem dama raz jeszcze macha Williamowi na pożegnanie, wciąga suknię do kabiny i znika.

Patrząc, jak powóz wytacza się z podjazdu, William uznaje, że najsympatyczniejszym rysem charakteru lady Bridgelow jest to, iż tak otwarcie utrzymuje z nim stosunki nawet na oczach swoich wysoko urodzonych znajomych. Nigdy nie ma mu za złe, że prowadzi – jak to delikatnie określa – „przedsiębiorstwo”; ba, często wręcz powtarza, że przyszłość należy do przemysłu. Rackham wolałby tylko, by lady Bridgelow nie interesowała się tak bardzo Agnes, tym bardziej że ku utrapieniu Williama jego małżonka nie odwzajemnia owej troski.

– Nie ufam jej za grosz – oświadczyła całkiem niedawno Agnes podczas jednego z coraz częstszych ataków, które sprawiają, że pani Rackham pozbywa się zahamowań. (Jest to ciężka zniewaga, jeżeli wziąć pod uwagę zamożność Agnes). To, że później, kiedy atak minął, zaprzeczała stanowczo, jakoby w ogóle wygłosiła taką uwagę, nie ma nic do rzeczy.

Jednak stan zdrowia Agnes poprawi się, William jest pewien, że tak – prawie pewien. Ostatecznie, nie licząc codziennego incydentu „z drewnianym ptakiem”, dzisiaj od rana nie wydarzyło się jeszcze żadne nieszczęście, prawda? A jest już niemal południe...

Zadumany William stoi w przedpokoju, gość bowiem odjechał, a dom jak przedtem jest pogrążony w ciszy. Lady Bridgelow, ilekroć go odwiedza, wnosi do rezydencji szmer łagodnej normalności, który – niestety – znika, kiedy tylko dama wychodzi, znów pozostawiając za sobą atmosferę mglistej niepewności. Tak, w domu panuje cisza, ale co to oznacza? Czy Agnes w milczeniu szyje na piętze suknię, czy może knuje jakieś kolejne szaleństwo? Czy śpi niewinnym snem, czy leży jak długa na podłodze w delirycznym omdleniu? William nasłuchuje niespokojnie, wstrzymując oddech u stóp schodów.

Po kilku sekundach niespodziewanie uzyskuje odpowiedź na te pytania: bo oto gdzieś z bardzo bliska dobiega go śliczny, jak uznałby każdy słuchacz, odgłos zręcznych, pieszczących klawisze fortepianu paluszków. Agnes Rackham jest dzisiaj w muzycznym nastroju! Dom natychmiast jaśnieje i staje się prawdziwym domem dla wszystkich jego mieszkańców. William rozluźnia zaciśnięte dłonie i uśmiecha się.

Curlew może sobie mówić o „zakładzie dla obłąkanych”, ile tylko chce: William Rackham nie przyzna się tak łatwo do porażki! A poza tym: żywi chyba także małżeńskie współczucie i litość dla żony? Jest świadom, że począwszy od października, rycina przedstawiająca jego oblicze będzie widniała na każdym wyrobie produkowanym przez Rackham Pefumeries (doskonały pomysł autorstwa Sugar), toteż wybrał w tym celu fotografię ukazującą go w dobrotliwym, wręcz ojcowskim świetle. Co pomyślałyby damy, kupujące kosmetyki Rackhama, gdyby dowiedziały się, że odpowiedzialny za produkcję tych słodko pachnących luksusów człowiek, który ponadto próbuje wprowadzić wizerunek swojego dobrotliwego oblicza do każdego domu w kraju, skazuje własną żonę na pobyt w domu wariatów? Nie, Agnes zasługuje na to, aby otrzymać jeszcze jedną szansę, a prawdę mówiąc, setki i tysiące dalszych szans! Do diabła, jest jego żoną, którą William winien miłować i czcić zarówno w zdrowiu, jak i w chorobie.

– Wezwij Cheesmana – Rackham wydaje polecenie Letty, kiedy wciąż trwa bezcenna chwila, w której fortepianowa gra brzmi nadal czarująco, a w obsesyjne *arpeggio* nie zaczynają na razie wkładać się dysonanse. – Wychodzę.

Paroksyzm mija i zaledwie kilka sekund później, zanim gorzki przyływ wyrzutów sumienia przywraca go do zupełnej przytomności, Henry Rackham słania się ze zdumienia na odgłos pukania do jego frontowych drzwi. *Ki diabeł..?* Nikt go przecież nie odwiedza, nikt! To pewnie jakaś pomyłka.

Wyciera się szybko i dokłada wszelkich starań, by wyglądać przyzwoicie, ale w pośpiechu nie może znaleźć kapci, toteż udręczony natarczywym stukaniem, powłócząc nogami, podchodzi do drzwi w skarpetkach.

Otwiera i widzi na chodniku przed progiem swego domu zdumiewający obraz niewieściej urody: dwie młode kobiety o świeżych buziach, zapewne bliźniaczki, które dopiero co osiągnęły dorosłość, ubrane identycznie – w szare suknie, różowe czepki i płaszcze. Stoją za przykrytym budą wózkiem, przypominającym wóz kwiaciarza albo wyjątkowo duży wózek dziecięcy, chociaż nie widać w nim kwiatów ani dzieci.

– Proszę pana – mówi jedna z nich. – Przybywamy w imieniu marznących, głodujących kobiet i dzieci ze Skye.

Henry przygląda się im, nic nie rozumiejąc, kiedy do domu niby smagnięcie bata wpada chłodny wiatr, który przypomina mu poniewczasie, że ma obficie i nieprzyjemnie zroszone potem czoło.

– Z wyspy Skye, panie – wyjaśnia druga dziewczyna śpiewnym głosem, brzmiącym dokładnie tak samo jak głos jej siostry. – W Szkocji. Wiele rodzin musiało porzucić swoje ziemie, panie, i prawdopodobnie zginie nadchodzącej zimy, która zapowiada się surowa. Czy dysponujesz może jakimś zbędnym odzieniem, panie?

Henry mruga powiekami jak idiota, rumieniąc się zawczasu, wie bowiem, że cokolwiek powie, będzie się jękał.

– Od... oddałem całe swoje zbę... zbędne odzienie pewnej... ach... damie, która działa w wielu organizacjach dobroczynnych. – Dziewczęta przyglądają mu się z łagodnym niedowierzaniem, jak gdyby przywykły, że zbywa się je podobnymi kłamstwami, choć są zbyt dobrze wychowane, by kwestionować takie wykręty. – Mam na myśli panią Emmeline Fox. – Henry brnie żałośnie z nadzieją, że to nazwisko wszystko wyjaśni.

– Przeszłej zimy ludzie na wyspie musieli się żywić chrząstnicą.

– Wodorostami, panie – uzupełnia druga dziewczyna, widząc zmieszanie Henry'ego.

Pierwsza dziewczyna oddycha głęboko, wypina kształtny biust i otwiera usta, by znów coś powiedzieć, ale Henry ma już tego dosyć.

– Przyjmiecie pieniądze? – pyta ochryplym głosem, kiedy na scenie wydarzeń pojawia się kotka, która ociera się łebkiem o kostki Rackhama i tym samym zwraca uwagę dziewcząt na jego nieobute stopy.

Bliźniaczki patrzą po sobie, co ma oznaczać, że nikt dotąd nie złożył im podobnej propozycji, i przybierają miny mówiące, iż nie mają najmniejszego pojęcia, w jaki sposób mogłyby na nią zareagować.

– Nie śmiałybyśmy nalegać, panie... – mówi jedna, spuszczać wzrok na chodnik, ale Henry chwyta się jej słów, uznając je za odpowiedź twierdzącą, i zaczyna przeszukiwać kieszenie spodni.

– Proszę – mówi, wyciągając garść monet wraz ze strzępami wycinków z gazet i zapomnianymi znaczkami pocztowymi. – Czy waszym zdaniem dwa szylingi wystarczą? – Henry krzywi się na wspomnienie tego, co kiedyś kupił za tę właśnie sumę. – Nie, weźcie trzy. – Wyławia błyszczące szylingi spomiędzy plew ćwierćpensówek, pensów i różnych śmieci.

– Dziękujemy, panie – odpowiadają dziewczyny jednym głosem, a ta, która stoi bliżej, wyciąga do niego rękę. – Nie będziemy cię już więcej kłopotać.

– Nie sprawiłyście mi żadnego kłopotu – odpowiada, po czym ku jego wielkiej uldze dziewczyny odchodzą, prowadząc wózek, a ich turniury podskakują w zgodnym rytmie w górę i w dół.

Henry zamyka drzwi i wraca do ciepłego saloniku, jedyne wygodnego pokoju w swoim domu. Na podłodze przy kominku leży zwinięta chusteczka do nosa. Rackham rzucił ją na podłogę

zaledwie przed kilkoma minutami, nie musi jej więc rozwijać, by się przekonać, że jest kleista od śluzu jego własnego nasienia.

Ponownie zasiada ciężko na fotelu. Jest mu zimno w dłonie i stopy, ma rozpaloną głowę i swędzi go krocze; ba, całe jego niezgrabne ciało, otaczające w niemiłym uścisku lepką od polucji duszę, składa się jakby ze źle dopasowanych elementów. Hańbę Henry'ego wieńczy Puss, która wchodzi cicho do pokoju, zmierza wprost ku zaplamionej chusteczce i obwąchuje ją z zainteresowaniem.

– Psik – karci kotkę Henry, odpędzając ją stopą w wełnianej skarpetce. – To jest brudne.

Zabiera zwierzakowi chusteczkę sprzed nosa i znowu zgniatają w dłoni. Wypranie jej stanowi dla niego zbyt zniechęcające wyzwanie; gotów jest podjąć taki wysiłek, kiedy zapaskudzi koszulę nocną (oto jeden z powodów, dla których uparcie nie chce zatrudnić praczki), ale ten kwadracik taniej tkaniny nie wydaje mu się wart upokorzenia, jakim byłoby napełnienie wodą blaszanej balii, nad którą stałby następnie, szorując gluty swojego lepkiego nasienia namydlonymi palcami. A co robią w takiej sytuacji inni onaniści? Czy po prostu oddają pozlepianą bieliznę do prania służącym płci żeńskiej, które odtąd z pewnością już na zawsze gardzą swoimi panami? Czy grzech nieczystości to rzadkość w życiu mężczyzn obdarzonych silniejszą wolą niż on? Henry wrzuca chusteczkę do kominka, wstydząc się rozpaczliwie, że marnuje kawałek dobrej bawełnianej tkaniny, kiedy niezliczeni biedacy drżą z zimna, ponieważ nie mają czym załatać ubrań (chodzi mu o biedaków w Londynie, mniejsza o wyspę Skye!). Chusteczka ląduje dokładnie pośrodku kupki rozżarzonych węgli, najpierw skwierczy, potem czernieje, aż wreszcie rozwija się, stając w jasnych płomieniach.

Pani Fox umiera, a on nie jest w stanie jej pomóc. Ta myśl wciąż powraca i trapi go nieustannie, w godzinie najczarniejszej rozpacz, w chwilach bezmyślnej niefrasobliwości, we śnie i na jawie. Pani Fox umiera, on zaś nie potrafi jej ulżyć, uleczyć jej ani rozbawić. Emmeline przez cały dzień polega na szezlongu w ogrodzie swojego ojca albo kiedy aura jest niesprzyjająca, w ponurym salonie leży na tym samym szezlongu i wygląda przez okna na ledwie widoczny ślad, który pozostawiła na trawniku, wychodząc przed dom. Jak zapewnia Henry'ego między jednym dręczącym atakiem kaszlu a drugim, nic ją właściwie nie boli, jest tylko przeraźliwie znudzona. Czy chciałaby trochę bulionu wołowego, pyta Rackham. Nie, nie chce bulionu; on też by nie chciał, gdyby go skosztował. Pani Fox pragnie jedynie chodzić, spacerować w promieniach słońca, ale słońce znika, a kiedy przebija się przez chmury i świeci przez chwilę wspaniale, Emmeline błaga go, by zachował cierpliwość, bo musi zebrać siły, tymczasem zaś sposobność spaceru mija. Prawdę mówiąc, Emmeline właściwie w ogóle nie chodzi już o własnych siłach, a on nie może nosić jej na rękach. Raz – tylko jeden raz – Henry nieśmiało podsunął, by skorzystała z wózka inwalidzkiego, odmówiła jednak w ostrych słowach, jakich nigdy dotąd nie słyszał z jej ust. Gdyby tak bardzo nie obawiał się, żeby jej nie urazić, mógłby ją oskarżyć o grzech pychy.

A jednak pani Fox patrzy na niego błagalnie, szeroko otwartymi oczami, twarz ma bladą jak ściana, a usta opuchnięte i spierzchnięte. Czasem urywa w pół zdania i wpatruje się w niego bez przerwy przez całą minutę. Milczy, oddycha tylko, widać bowiem, jak pulsuje jej szyja, a na skroniach nabrzmiwiają niebieskawe żyłki. *Moc pokonania śmierci jest w twoich rękach*, zdaje się mówić Emmeline, *dlatego więc pozwalasz jej mnie zabrać*?

– Dobrze się czujesz, pani? – pyta wtedy Henry albo zadaje inne równie głupie pytanie.

– Oczywiście, że nie – wzdycha pani Fox, wyzwajając go z więzów swojego straszego, ufego spojrzenia mrugnięciem cienkich niczym papier powiek.

W te rzadkie dni, kiedy czuje się silniejsza, wykorzystuje chwilowe przyływy energii, by się od niego opędać. Wczoraj nastał właśnie taki dzień – pani Fox wpadła w kapryśny nastrój, była zarumieniona i niespokojna, a oczy nabiegły jej krwią. Wydawało się, że na godzinę zapadła w sen, jej usta wypowiadały bezdźwięcznie jakieś słowa, a pierś ledwo unosiła się oddechem. Potem Emmeline przebiegł dreszcz, ocknęła się, uniosła nieco na łokciach i zadała prowokacyjne pytanie:

– Och, Henry, mój drogi, jeszcze nie poszedłeś? Jaki z tego pożytek, że siedzisz tu przez całe popołudnie... i gapisz się na sztachety w płocie na tyłach domu mojego ojca... Jestem pewna, że policzyłeś je już wielokrotnie. – Mówiła dziwnym, niepokojącym, trudnym do rozszyfrowania

tonem, balansującym na granicy towarzyskiej zaczepki i najprawdziwszej udreki.

– Mogę... mogę zostać jeszcze trochę dłużej – odparł Henry, patrząc przed siebie.

– Musisz zająć się swoim własnym życiem – powiedziała z naciskiem pani Fox. – I nie marnować go u boku kobiety pogrążonej w drzemce. Jeszcze nie zapomniałam, jak bardzo nie cierpisz próżnować! A ja pewnego dnia wrócę znów do zdrowia... Chociaż nie jutro i nie w przyszłym tygodniu. Ale w końcu poczuję się lepiej... Wierzysz mi, prawda, Henry?

– Z Bożą pomocą... – zamruczał.

– Powiedz mi jednak coś – ciągnęła z zapalem pani Fox. – Twoje powołanie... czy uczyniłeś coś w kwestii wypełnienia swojego powołania?

Wtedy Henry zaczął żałować, że nie wyszedł, zanim nadeszła ta chwila.

– Nachodzą mnie wątpliwości – powiedział, bojąc się przesadnie, że pani Fox słyszy echo dudniących w jego głowie słów (*Niech będzie przeklęty Bóg!*) równie wyraźnie jak on. – Zważywszy wszystko, nie sądzę, żebym nadawał się na duchownego.

– Bzdura, Henry – zawołała Emmeline, chwytając go za ramię, by musiał na nią spojrzeć. – Byłbyś najlepszym... najserdeczniejszym, najszczerzym, najbardziej prawdomównym, nn... najprzystojniejszym... – Zachichotała bojaźliwie, a wtedy z jej nosa wysunęła się jasna macka krwawej flegmy.

Wstrząśnięty widokiem odrażającej wydzieliny, Henry ponownie wbił wzrok w ogrodzenie, usiłując zdobyć się na wyznanie.

– Dopuszciam się... moja wiara...

– Nie, Henry – załkała pani Fox, rżąc rozpaczliwie. – Zamilcz! Nie chcę tego słuchać! Bóg jest ważniejszy... niż choroba jednej znikomej kobiety. Obiecuj mi, Henry... obiecuj mi... Obiecuj, że nie zrezygnujesz... z wypełnienia swej misji.

Na co, jako zapomniany przez Boga tchórz, pozbawiony moralnego kręgosłupa łotr i nędzny nędznik, udzielił jej jedynej odpowiedzi, jakiej mógł udzielić – odpowiedzi, którą chciała usłyszeć.

– Ach, moja słodka... chciałbym, żebyśmy mieszkali pod jednym dachem.

Serce Sugar bije mocniej, kiedy echo tych słów drży w piersi dziewczyny, a William ociera się zarośniętym policzkiem o jej biust. Nigdy nie sądziła, że tego rodzaju uczuciowe wyznanie z ust mężczyzny może sprawić, iż z radości zakręci się jej w głowie, szczególnie jeśli będzie pochodzić od korpulentnego jegomościa o nieprzyjemnie łaskoczących bokobrodach, ale serce Sugar wali zenująco głośno, i to wprost do jego ucha.

– Moje mieszkanie jest bardzo eleganckie i wygodne – mówi Sugar, pragnąc ze wszystkich sił, by William zaprzeczył. – A także przytulne.

Rackham wzdycha, przesuwając palcem wskazującym po pasiastych, tygrysiach deseniach spierzchniętej skóry na jej udzie.

– Wiem, wiem... – Jego ręka spoczywa czule w bujnej delcie między nogami dziewczyny. (Ostatnio często tak robi: gładzi ją i pieści nawet wtedy, kiedy sam się już nasyci. Wkrótce, pewnego dnia, jeżeli Sugar zdobędzie się na odwagę, weźmie go za rękę i poinstruuje, co powinien robić dalej). – A przecież chociaż tak często trafiają mi się problemy, które bardzo chciałbym z tobą omówić, i staram się, jak mogę, by znaleźć chwilę wolną od obowiązków, nie mogę wyrwać się z domu – żali się William.

Sugar gładzi go po włosach, wcierając olejek makassarowy w splekaną skórę swojej otwartej dłoni.

– Ale omówiliśmy już chyba wszystko, prawda? – pyta. – Kształt litery „R” na nowych mydłach, ognisko, w którym pali się pięcioletnie rośliny i na które przywozę znów pułkownika, pytanie, co zrobić z sadami bżów Lemerciera oraz jak pozbyć się zgrzybiałych starych druhów twojego ojca z biura firmy w Londynie...

Sugar przez cały czas myśli: *Powiedz, jak bardzo mnie kochasz, powiedz mi.*

– Tak, tak – mówi William. – Ale jest jeszcze coś, co mnie od ciebie odrywa. – Z pełnym irytacji jękiem unosi głowę z jej piersi i kryje twarz w dłoniach. – Ach, to dziwne, ale przekonuje się, że prowadzenie handlowego imperium, chociaż związane z tyloma intrygami, jest, niech to

diabli porwą, o wiele łatwiejsze niż bycie głową rodziny.

Sugar podciąga kołdrę aż do pępka.

– Więc Agnes źle się czuje?

– Nawet o niej nie myślałem – mamrocze znużony William, jak gdyby jego rodzina składała się z całego mrowia krewnych, z których każdy wymaga nieustającej opieki.

– A zatem... chodzi o twoje dziecko? – *No, dalej, mów*, myśli Sugar. *Wymień imię swojej własnej córki. Dlaczego nie chcesz tego zrobić?*

– Owszem, mam problem z dzieckiem – oświadcza William. – I to diabeł – nie uciążliwy. Beatrice, nasza piastunka, oznajmiła wszem wobec, że jej skromnym zdaniem moja córka osiągnęła wiek, w którym opieka samej tylko niańki już jej nie wystarczy. – Rackham krzywi komicznie twarz, przybierając pochlebczą, niewieściami minę, i skomli, przedrzeźniając Beatrice: – Ja nie mam wykształcenia, panie Rackham. Panience Sophie potrzeba guwernantki, panie Rackham”. Oczywiście to, że pani Barrett urodziła właśnie dziecko, potrzebuje dla niego niańki i opowiada wszem wobec, że pieniądze na zatrudnienie nowej służącej nie grają roli, z pewnością nie ma nic wspólnego z tym, że Beatrice aż piszczy, żebym dał jej błogosławieństwo na drogę.

– A więc... ile Sophie ma lat? – pyta Sugar, przeciągając się i wypinając piersi, aby William pomyślał o czymś innym, nie ojej wścibskim języku.

– Ach? moja córka liczy sobie zaledwie pięć lat! – mówi szyderczo William. – Nie, niech pomyślę. Sześć. Tak, sześć. Obchodziła szóste urodziny, kiedy Agnes bawiła nad morzem. A teraz pozwól, że o coś cię zapytam, Sugar. Czy naprawdę sądzisz, że sześciolatnie dziecko potrzebuje opieki nauczycielki?

Dziewczyna przywołuje wspomnienie z czasów, kiedy sama była sześciolatnim dzieckiem. Siedzi na stołeczku u boku matki, lewą stopę ma obandażowaną, ugryzł ją bowiem szczur, i czyta podniszczony egzemplarz straszliwie makabrycznej powieści gotyckiej, zatytułowanej *Mnich*, z której niewłaściwie nie rozumie.

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, Williamie. Ledwie zaczęłam chodzić, udzielono mi surowej lekcji życia, ale ja miałam... – (krzywi się, wspominając, że czytywała na głos książki pani Castaway, która szczydziła z niej, jeśli niepoprawnie wymawiała słowa, jakich ze względu na swój zbyt młody wiek nie mogła znać) – ...wyjątkowe dzieciństwo.

– Hmm. – William nie oczekiwał takiej odpowiedzi, i dlatego zmienia temat. – Także mój brat Henry jest dla mnie niewyczerpanym źródłem trosk.

– Czy tak?

– Bardzo przeżywa chorobę swojej przyjaciółki.

– Kogo?

– To bardzo... – (Rackham szuka przymiotnika, który z szacunku dla stanu zdrowia pani Fox nie byłby dla niej nazbyt niepochlebny) – ...wartościowa kobieta, nazwiskiem Emmeline Fox. Zanim zapadła na suchoty, była najjaśniejszą postacią w Towarzystwie Ocalenia Kobiet.

Sugar zastanawia się, czy powinna udawać, że nie wie nic na temat tej organizacji, której przedstawicielki odwiedzały od czasu do czasu Silver Street. Pani Castaway zawsze przyjmowała je gościnnie, a czasem zapraszała na koncerty wiolonczelowe w wykonaniu Katy Lester; dopiero potem zaczynała traktować gości sarkastycznie i drwiąco, a kiedy wypraszała damy za próg, tonęły już we łzach.

– Należała do Towarzystwa Ocalenia Kobiet? – powtarza jak echo Sugar. – To taka organizacja dobroczynna. Resocjalizuje prostytutki.

– Doprawdy? – Sugar dyskretnie podnosi koszulkę z podłogi i zaczyna się ubierać. – Z jakim skutkiem?

– Nie mam pojęcia – wzrusza ramionami William. – Uczą uliczne dziewczyny... nie wiem... szycia i tym podobnych rzeczy. Zdaje mi się, że lady Bridgelow znalazła podkuchenną właśnie przez Towarzystwo. Dziewczyna jest jej niebywale wdzięczna i bardzo gorliwie stara się dobrze pracować, a lady Bridgelow powiada, że nikt by nie podejrzewał, kim była, nim przyszła do niej na służbę. – (Sugar nie może dalej się ubierać, ponieważ William siedzi na jej majtkach). – Kiedy szukałem nowej pokojówki – kontynuuje zamyślony Rackham – zastanawiałem się, czy nie

zatrudnić dziewczyny polecanej mi przez Towarzystwo, ale teraz cieszę się, że tego nie zrobiłem. Rose warta jest tyle złota, ile sama waży.

Sugar z niejakim wahaniem szturcha go, żeby wstał z jej majtek, co William czyni bez sprzeciwu, toteż ośmielona dziewczyna postanawia podjąć znacznie poważniejsze ryzyko.

– A twój brat? – pyta. – Czy i on należy do Towarzystwa Ocalenia Kobiet?

– Nie, nie – mówi William. – Organizacja zrzesza wyłącznie kobiety.

– Więc może jest członkiem jakiegoś podobnego stowarzyszenia?

– Nie... czemu o to pytasz?

Sugar oddycha głęboko. Boi się nie tego, że nadużyje zaufania Caroline, ale że zirytuje Williama i wzbudzi jego niechęć.

– Mam pewną znajomą, z którą spotykam się od czasu do czasu, kiedy... kupuję owoce – zaczyna ostrożnie. – Ona jest prostytutką... – (Czyżby William zmarszczył brwi? Czy pomyliła się w ocenie zaufania, jakie do niej ma? Teraz nie może jednak zrobić nic innego, jak tylko mówić dalej). – A kiedy widziałyśmy się ostatnim razem, opowiedziała mi dziwną i osobliwą historię...

Tak więc Sugar relacjonuje kochankowi opowieść Caroline o pewnym niedoszłym pobożnym społeczniku, który płaci jej po dwa szylingi za rozmowę. William słucha spokojnie, dopóki Sugar nie wspomina, jak ów jegomość proponuje prostytutce uczciwą pracę w jednym z zakładów Rackhama. Sapie na te słowa, domyśla się bowiem, kim jest ów nieznajomy, a kiedy Sugar kończy, potrząsa ze zdumieniem głową.

– Panie Boże wszechmogący!... – wzdycha. – Czy to możliwe? Czy to może być Henry? Nie sądzę, żeby mógł to być ktoś inny... Zresztą pamiętam, że pytał, czy nie miałbym nic przeciwko temu, aby zatrudnić u siebie jakąś nieszczęsną kobietę bez referencji... Boże wszechmogący... – William nieoczekiwanie wybuchu śmiechem. – A to szelma! Zatem mimo wszystko jest mężczyzną!

Sugar odczuwa wyrzuty sumienia, chociaż nie jest pewna, kogo zdradziła – Henry'ego czy Caroline.

– Och, ależ on nie tyka jej nawet palcem – dodaje pospiesznie. William parska i z politowaniem przechyla głowę na bok, dziwiąc się niewieściej łatwowierności.

– Może nie dotknął tej kobiety, ty gąsko, kiedy się z nią widział ostatnim razem – mówi. – Ale skąd wiesz, z iloma innymi dziwkami się spotyka?

Sugar milczy. Wstydzi się Jednak przebiegają przyjemny dreszcz, ponieważ czule i po ojcowsku nazwał ją gąską.

– Kto by pomyślał! – William mruczy wciąż pod nosem i chichocze. – Mój pobożny brat, Henry! Mój świętszy od wszystkich brat, Henry! Cha, cha! Wiesz, muszę przyznać, że nigdy nie czułem do niego takiej sympatii jak w tej chwili. Niech mu Bóg błogosławi! – Wyciąga do niej ramiona i z wdzięcznością całuje ją w policzek, choć Sugar nie wie za co.

– Chyba go... nie wyśmiejesz? – pyta prosząco, niespokojnie gładząc Williama po ramieniu.

– Sądzisz, że mógłbym kpić z własnego brata? – strofuje ją William z zagadkowym uśmiechem.

– Który znajduje się teraz w takim stanie ducha? Boże uchovej. Będę wcieleniem dyskrecji.

– Jak myślisz, kiedy zobaczysz się z nim w najbliższym czasie? – pyta Sugar w nadziei, że jeśli miną tygodnie albo miesiące, szczegóły jej opowieści mogą zatrzeć się w pamięci Williama.

– Dzisiaj wieczorem – odpowiada Rackham. – U nas na obiedzie.

Tego wieczora, aby rozproszyć smutek i mrok, który Henry wnosi zazwyczaj do domu, William każe podwoić liczbę świec, oświetlających jadalnię, i przystroić stół wesołymi, kolorowymi kwiatami. Zza progu – takie jest przynajmniej jego zdanie – pokój sprawia nieodparcie miłe wrażenie. I chociaż kuchnia, przemyślnie oddzielona od reszty domu niczym głęboki loch, została zaprojektowana w ten sposób, by nie wydobywały się z niej zapachy gotowanych potraw, nos Williama, który w ciągu kilku ostatnich miesięcy stał się tak wrażliwy, że potrafi teraz odróżnić *Lavandula delphinensis* i *Lavandula latifolia*, wyczuwa woń najznakomitszego posiłku. Do diabła, robi wszystko, aby wypędzić z domu smutek, jak mu Bóg miły.

Agnes oświadczyła, że wbrew swoim zwyczajom zje obiad z braćmi. Niepokojąca perspektywa?

Wcale nie, myśli sobie William: jego małżonka zawsze miała słabość do Henry'ego, a tego wieczora jest w wyśmienitym nastroju. Chichocze i podśpiewuje, nadzorując rozwieszanie zimowych zasłon w oknach.

– Wiem, że to niełatwe w zaistniałej sytuacji, ale spróbujmy nie rozmawiać o pani Fox, dobrze?
– prosi William, mijają bowiem kolejne minuty, odmierzające czas, jaki pozostał do zapowiedzianego przybycia Henry'ego.

– Będę udawać, że Sezon trwa wciąż w najlepsze, kochanie – mówi Agnes i niemal kokieteryjnie mruga do niego. – I nie powiem absolutnie nic na żaden temat.

Henry trochę się spóźnia, a kiedy wchodzi zarumieniony do domu i służba pozbawia go zmoczonego przez deszcz kapelusza oraz płaszcza, William ciepło otacza gościa ramieniem, po czym prowadzi brata prosto na pokoje. W jadalni Henry staje twarzą w twarz z wizją elizejskiej obfitości: w rześcicie oświetlonym pokoju jest ciepło, wszędzie stoją róże, rozłożone serwetki pyszną się niczym pawie ogony, a nowa, ładna pokojówka stawia właśnie na stole wazę złocistej zupy. Pani Rackham, ubrana w brzoskwińowe i kremowe barwy, siedzi już na swoim miejscu i uśmiecha się do Henry'ego zza kolorowej aureoli kwiatów i srebrnych sztućców.

– Przyjmijcie moje przeprosiny – mówi Henry. – Byłem... ach...

– Siadaj, Henry, siadaj. – William wielkopańskim gestem wskazuje mu krzesło. – Nie przywiązujemy zbytnej wagi do czasu.

– Niewiele brakowało, żebym wcale nie przyszedł – mówi Henry, mrużąc oczy w blasku.

– Zatem tym bardziej jest nam miło, że jednak jesteś z nami – rozpromienia się Agnes.

Dopiero kiedy gość zasiada przed pełnym kieliszkiem wina, lśnącymi talerzami, śnieżnobiałymi serwetkami i kandelabrami, a wszystkie te przedmioty rzucają jasne światło na twarz Henry'ego, William zdaje sobie sprawę, jak niechlujnie wygląda jego brat. Włosy, które rozpaczliwie wołają o fryzjera, Henry zawinął za uszy, z wyjątkiem jednego kosmyka, kołyszącego się na boki nad jego spoconym czołem. Wygląda na to, że od dłuższego czasu nie widziały mydła ani olejku. Potem William przygląda się odzieniu Henry'ego, które sprawia wrażenie wymiętego i zwisającego, jak gdyby jego brat wychudł lub czołgał się po ziemi niczym Nabuchodonozor, albo jedno i drugie. Szpilka w kołnierzyku jego koszuli, którą odsłania przekrzywiony krawat, błyszczący irytująco w świetle świec, prowokując Williama, żeby wyciągnąć rękę i wyprostować go – zaczyna się jednak obiad.

Henry bierze do ust łyżkę kaczego rosółu, nawet na nią nie spoglądając, woli bowiem wpatrywać się przekrwionymi oczami w niewidzialne zwierciadło, wiszące gdzieś po lewej ręce Williama, w którym odbija się jego udręka.

– Nie powinienem tak się obżerać – rzuca nie wiadomo do kogo, podnosząc łyżkę do ust jak automat. – W Szkocji niektórzy ludzie odżywiają się wodorostami.

– Och, ale w tej zupie właściwie nie ma prawie wcale tłuszczu – zapewnia go Agnes. – Została idealnie odtłuszczona. – Zebrany grozi dłuższa cisza, której balon przebija tylko siorbanie Henry'ego niczym ukłucie szpilki. *Czy to dlatego nie zapraszano go nigdzie podczas Sezonu?*, zastanawia się Agnes. – A co do wodorostów – ciągnie natchniona pewną myślą pani Rackham – to podano nam je kiedyś na obiad, prawda, Williamie? U pani Alderton, były w jakimś sosie. Z małżami i miecznikiem. Sądząc po odrobinie, jakiej spróbowałam, mają wielce osobliwy smak. Bardzo się ucieszyłam, że podano je *à la Russe*, bo inaczej musiałabym zrzucić wszystko pod stół.

William marszczy brwi, przypominając sobie nagle, jak przed dwoma laty najadł się wstydu u pani Cuthbert, kiedy pies gospodyni skoczył w kierunku Agnes, wszedł pod biały, adamaszkowy obrus i głośno mlaskając, zaczął łapczywie pałaszować ukryte pod stołem jedzenie.

– Społeczeństwo zamknęło przede mną drzwi – oświadcza ponuro Henry, kiedy służąca wynosi jego miseczkę po zupie. – Nie chodzi mi o bale i obiady, lecz o społeczeństwo, o nasze społeczeństwo, o ludzką społeczność, której rzekomo wszyscy jesteśmy częścią. Nie ma nic, co mógłbym dla kogokolwiek uczynić, nie mam nic do spełnienia.

– Ojej – mówi Agnes, przyglądając się szwagrowi szeroko otwartymi oczami, kiedy służba wnosi do jadalni danie główne. – Czy nie miałeś jednak nadziei zostać duchownym?

– Nadzieja! – woła Henry obrażonym tonem, pozbawionym jakiegokolwiek nadziei.

– Jestem pewna, że byłbyś absolutnie doskonałym duszpasterzem – mówi stanowczo Agnes.

Henry zaciska szczęki dokładnie w tej samej chwili, kiedy skwierczące wciąż z gorąca udko duszonej kuropatwy spada z widelca na jego talerz.

– Lepszym niż ten nudny doktor Crane – dodaje Agnes. – Doprawdy, nie wiem, dlaczego jeszcze chce mi się chodzić na jego kazania. Ciągłe ostrzega mnie przed czymś, czego nie mam najmniejszego zamiaru popełnić...

I tak wieczór toczy się dalej, kęs za kęsem, a ciężar rozmowy bierze na siebie Agnes (co chwila pokrzepiająca się czerwonym winem), William natomiast z rosnącym przerażeniem przygląda się owemu żalosnemu stworzeniu, jakim stał się jego brat.

Kiedy już udaje mu się zmusić do mówienia, Henry wielokrotnie wspomina o rażącej bezcelowości wszelkich działań, a w każdym razie tych, które podejmuje jego bezwartościowa osoba. Głos mu się załamuje i chwilami przechodzi w pomruk, by rozbrzmieć potem gwałtowną goryczą, a nawet sarkazmem – co jest w jego wypadku zachowaniem szokującym. Jego ogromne dłonie przez cały czas pracowicie kroją kuropatwę na coraz mniejsze kawałki, które – ku irytacji Williama – Henry rozgniatą następnie na pulpę razem z warzywami i pozostawia nietknięte.

– Nie zasługuję na sympatię, jaką mi okazujecie – wzdycha w odpowiedzi na kolejne słowa otuchy ze strony gospodyni. – Wy i... pani Fox widzicie mnie w zupełnie innym świetle, ja jednak wiem, jaki naprawdę jestem...

Agnes rzuca spojrzenie Williamowi, a jej jasne oczy błagają o pozwolenie wymówienia zakazanego imienia wiadomej kobiety. Jego odpowiedź, którą wypisuje co chwila na swoim zmarszczonym czole, brzmi odmownie, ale Agnes nie potrafi jej odczytać i wykrzykuje natychmiast:

– Pani Fox ma całkowitą słuszność, Henry, całkowitą! W dziedzinie wiary jesteś człowiekiem rzadko spotykanej uczciwości, wiem o tym! Mam w tych sprawach szczególną intuicję, widzę aurę wokół głów pewnych ludzi... Nie, nie patrz na mnie takim groźnym wzrokiem, Williamie. To prawda! Wiara promieniuje i otacza ludzi jak... jak mgiełka latarni gazowe. Nie, Williamie, to prawda. – Agnes pochyla się nad stołem ku Henry'emu, muskając niemal biustem swoje nietknięte jedzenie i niebezpiecznie przybliżając twarz do płonącego kandelabru, żeby zagadnąć szwagra na poły drwiącym, na poły zaś konspiracyjnym tonem: – Spójrz na swojego brata, który teraz ucisza mnie tak wściekle. Nie ma za grosz bojaźni Bożej w tym... – Agnes urywa i uśmiecha się z afektowaną skromnością. – Ale naprawdę, Henry, nie powinieneś myśleć o sobie tak źle. Jesteś najpobożniejszą osobą, jaką znam.

Henry aż skręca się ze wstydu.

– Proszę cię – mówi. – Stygnie ci jedzenie.

Agnes puszcza te słowa mimo uszu; jest u siebie w domu i może jeść tak mało, jak jej się podoba, czyli naprawdę bardzo niewiele.

– William opowiedział mi kiedyś pewną historię – ciągnie. – Mówił, że w wieku chłopięcym usłyszałeś kazanie, którego autor utrzymywał, że teraz, w dzisiejszych czasach, Bóg przemawia tylko poprzez Pismo, nie wprost do naszych uszu. William twierdził, że to kazanie tak cię rozgniewało, iż niczym starożytni prorocy odmawiałeś sobie jedzenia i snu tylko po to, by móc usłyszeć Boga! – Pani Rackham splata swe drobne dłonie i uśmiecha się, kiwając głową, by milcząco dać szwagrowi do zrozumienia, że kiedyś postąpiła podobnie, a w nagrodę poczuła na szyi tchnienie boskiego szeptu.

Henry wbija w brata gniewne, pełne bólu spojrzenie.

– Za młodu wszyscy jesteśmy niespełna rozumu – rzuca William, pocąc się obficie i życząc sobie w duchu, żeby ktoś albo coś wpadło do pokoju i zdmuchnęło te wszystkie przeklęte świece. – Sam, jak pamiętam, twierdziłem w latach młodości, iż tylko mężczyźni pozbawieni w ogóle wyobraźni i uczucia mogą zajmować się interesami...

To męskie wyznanie nie robi wrażenia na Agnes, która odsunęła już swój talerz na bok i teraz pochyla się nad stołem, by tym swobodniej kontynuować bezpośrednią rozmowę z Henrym.

– Podobasz mi się, Henry – mówi nieco bełkotliwie Agnes. – Zawsze mi się podobałeś. Powinieneś być przejść na katolicyzm. Myślałeś kiedyś o tym, by zostać katolikiem?

Nie wiedząc, co robić, upokorzony Henry rozgniała łyżeczką mus owocowy na brązowożółtą papkę.

– Zmiany są równie dobre jak wypoczynek – zapewnia go Agnes, znów popijając wino. – Albo nawet lepsze. Byłam niedawno na wywczasach, ale wcale nie czułam się szczęśliwa...

Na te słowa William chrząka z dezaprobatą i liznąwszy, że nie powinien dłużej zwlekać z interwencją, wyciąga rękę, aby przesunąć kandelabr, który stoi między nim a żoną.

– Nie uważasz, że dość już wypijaś, kochanie? – mówi mocno stanowczym tonem.

– Wcale nie – odpowiada Agnes, na poły krnąbrnie, na poły czarująco. – Po tej słonej kuropatwie zachciało mi się pić. – Upija kolejny mały łyżeczek z kieliszka, całując czerwony płyn przypominającymi pączek róży ustami.

– Na stole stoi woda w karafce, kochanie – przypomina jej William.

– Dziękuję, mój drogi... – odpowiada Agnes, ale ani na chwilę nie przestaje wpatrywać się w Henry'ego, uśmiechając się i kiwając głową, jak gdyby chciała powiedzieć: *Tak, tak, wszystko w porządku, ja wszystko rozumiem, przede mną nie musisz nic ukrywać.*

– Pocztą pantoflową doszła mnie wiadomość, że doktor Crane rozważa możliwość kupienia domu, w którym uprzednio mieszkali ci... no... jak oni się nazywali? – pyta nieco rozpaczliwie William.

Agnes włącza się dźwięcznie do rozmowy, nie po to jednak, żeby podsunąć mu zapomniane nazwisko, lecz aby ponownie ośmieszyć pastora.

– Nie cierpię chodzić do kościoła, by wysłuchiwać napomnień, a ty? – pyta Henry'ego, wydymając wargi. – Po co przeżywać te wszystkie przykre rozczarowania wieku dojrzałego, jeżeli człowiek dorosły i tak nie może sam decydować o sobie?

W tej atmosferze obiad przebiega przez następne pięć albo dziesięć długich minut. Tymczasem służba w milczeniu uprząta nakrycia, pozostawiając tylko wino i źle dobrane towarzystwo przy stole. W końcu Agnes traci siły, głowa opada jej na zgięte w łokciu ramię, a policzek dotyka niemal rękawa. Powoli, ale nieubłaganie, głowa pani Rackham osuwa się coraz niżej, na przedramię.

– Chce ci się spać, kochanie? – pyta William.

– Chcę dać odpocząć oczom – mamrocze w odpowiedzi Agnes.

– Nie lepiej dać im odpocząć, ułożywszy głowę na poduszce? Rackham rzuca tę propozycję bez większej nadziei, że żona usłyszy jego słowa, choć zdaje sobie sprawę, iż jeśli do niej dotrą, powinien spodziewać się gniewnej repliki. Lecz Agnes powoli zwraca ku niemu twarz, trzepocze powiekami, zakrywającymi jej szarobłękitne oczy, i mówi:

– Taaak... chętnie...

Speszony William odsuwa krzesło od stołu i składa leżącą na kolanach serwetkę.

– Czy mam... czy mam zadzwonić na Clare, żeby cię odprowadziła do pokoju?

Agnes gwałtownie prostuje się na krześle, mruga oczami i posyła Williamowi protekcyjny uśmiech.

– Nie potrzebuję Clary, żeby położyła mnie do łóżka, ty głuptasie – szydzi pani Rackham, dźwigając się chwiejnie. – Co miałyby zrobić? Wnieść mnie na górę po schodach? – Po czym, zatrzymując się tylko na krótką chwilę, żeby powiedzieć gościowi „dobranoc”, Agnes z wdziękiem odchodzi od stołu, odwraca się na pięcie i niemal wcale nie kołyszając biodrami, opuszcza w milczeniu pokój.

– No, niech mnie diabli porwą... – mruczy William, nazbyt oszołomiony, aby ugryźć się w język i powstrzymać bluźnierstwo, którego jego pobożny brat mimo wszystko chyba nie zauważa.

– Ona umiera, Bill – mówi Henry, uporczywie wpatrując się przed siebie.

– Co? – pyta William, nieco zaskoczony tym domysłem. – Po prostu trochę za dużo wypija, to wszystko...

– Pani Fox – mówi Henry, któremu z głębin umęczonej duszy udaje się wydobyć głos, jakiego należałoby od niego oczekiwać, gdyby brał właśnie udział w debacie publicznej. – Ona umiera. Umiera. Każdego dnia na moich oczach wycieka z niej życie jak krew. Już wkrótce, w przyszłym tygodniu, jutro, pojutrze, bo przecież nie znamy dnia ni godziny, prawda, zapukam do drzwi domu jej ojca, a służąca powiadomi mnie, że ona nie żyje. – Henry przemawia gorzko i rzeczowo, jak

gdyby z każdym słowem dusił w palcach wąty płomyczek nadziei.

– Spokojnie, spokojnie – wzdycha William, który nagle poczuł się zupełnie wyczerpany, kiedy Agnes opuściła plac boju.

– Tak, śmierć przyjdzie nocą, jak złodziej, prawda? – mówi szyderczo Henry, kontynuując dyskusję z wyimaginowanym apologetą. – A Pismo powiada, że właśnie tak przyjdzie Chrystus. – Henry chwytając kieliszek z winem i opróżnia go jednym haustem, krzywiąc się z pogardą. – Ale to opowiastki dla małych dzieci. Są jak świecidełka i lizaczki...

Rozdrażniony William z rosnącym zniecierpliwieniem usiłuje powstrzymać wybuch.

– Mówisz, jak gdyby ta biedna kobieta już spoczywała w grobie. Jeszcze nie umarła! A dopóki żyje, jest człowiekiem mającym swoje potrzeby i pragnienia, które wciąż można spełnić.

– Nie ma nic...

– Na litość boską, Henry! Przestań powtarzać w kółko jedno i to samo! Mówimy o kobiecie, która... gotuje się do pożegnania swojego ziemskiego żywota, ty zaś byłeś jej najdroższym przyjacielem. Czy chcesz mi powiedzieć, że nie ma nic, co mógłbyś uczynić, by choć w jakimś stopniu odmienić jej uczucia?

Te słowa chyba przebijają się wreszcie przez czarną skorupę rozpaczy Henry'ego.

– Ona... ona przeszywa wzrokiem moją duszę, Bill – szepcze Henry, którego nawiedza wspomnienie spojrzenia Emmeline. – Jej oczy... patrzą tak błagalnie... Czego ona ode mnie chce? Czego?

– Boże wszechmogący! – wybuchają William, który nie może dłużej tego znieść. – Jak możesz być tak głupi? Chce, żebyś ją wychędożył! – Zrywa się z krzesła i przysuwa twarz do twarzy Henry'ego. – Weź ją do łóżka, ty głupcze, ona na ciebie czeka! Ożeń się z nią jutro! Ożeń się z nią dziś wieczorem, jeżeli zdołasz obudzić jakiegoś pastora! – Wzburzenie Williama narasta z każdą chwilą, podsyca je zaś wzrok brata, w którym kryje się wyraz słusznego zgorszenia. – Ty nędzny kołtunie! Nie wiesz, że chędożenie jest przyjemnością, którą odczuwają także kobiety? Twoja pani Fox na pewno to zrozumiała, pracując dla swojej organizacji dobroczynnej. Dlaczego nie chcesz pozwolić, żeby poczuła tę rozkosz chociaż raz przed śmiercią!

Brzęczą kieliszki i drżą płomienie świec, kiedy poblady z wściekłości Henry zrywa się na nogi, zaciskając swoje olbrzymie pięści.

– Pozwolisz, że cię opuszczę – mówi wściekłym szeptem.

– Tak, wyjdź stąd! – krzyczy William, wskazując mu drzwi zabawnie teatralnym gestem. – Wracaj do swojego obskurnego domku i śnij, że świat jest szlachetniejszy i czystszy niż w rzeczywistości. Ale ty, Henry, jesteś osłem i hipokrytą. – (Powstrzymywane przez długie lata słowa tryskają teraz strumieniem z ust Williama). – Nie narodził się jeszcze taki mężczyzna, który jak szalony nie dałby wszystkiego, żeby zobaczyć, co kobieta ma między nogami. Wszyscy ci patriarchowie i eklezjaści, wyśpiewujący hymny na chwałę abstynencji i czystości, gonili za cipami, wszyscy co do jednego! I dlaczego mieliby tego nie robić? Po co oddawać się samogwałtowi, skoro na świecie istnieją kobiety, które mogą nas przed nim uchronić? Posiadłem w życiu dziesiątki, setki kurew, a kiedy mi staje, wystarczy, że pstryknę palcami, i po godzinie jestem zaspokojony. Co do ciebie, bracie, który wyglądasz, jak gdybyś nie potrafił odróżnić prostytutki od klęcznika, niechaj ci się nie zdaje, że nie wiem, co wyprawiasz. Och, tak, że nie wiem o tych twoich... o twoich eskapadach. O tych tak zwanych rozmowach opowiadają już wszystkie dziwki w Londynie!

Z wrywającym się z głębi trzewi okrzykiem Henry wybiega z pokoju i otwiera drzwi z taką siłą, że odbijają się od ściany, drżąc potężnie. William niepewnym krokiem wychodzi za nim, podejmując ciężki pościg, a widząc, że jego brat pokonał już pół długości wykładanego posadzką holu, woła:

– Wybierz sobie z głowy, że zostaniesz świętym, Henry! Pokaż jej, że jesteś mężczyzną!

Potem, czując, że powiedział już dość, wraca do jadalni i opiera się plecami o najbliższą ścianę, dysząc ciężko. Od strony drzwi frontowych dochodzą go odległe odgłosy sprzeczki: to Letty prosi pana Rackhama, aby pozwolił podać sobie płaszcz, Henry zaś zachowuje się wciąż jak zaszczuty niedźwiedź. Po chwili zdaje się, że cały dom drży w posadach, kiedy starszy brat z impetem trzaska

drzwiami.

– No i dobrze – chrypi William (ochryplł bowiem od wrzasku). – Wygarnąłem mu wszystko. A co z tego wyniknie, zobaczymy.

Serce wali Williamowi w piersi – zapewne zaniepokojone widokiem zaciśniętych pięści brata i jego pełnego wściekłości spojrzenia, czyli przerażającą kombinacją gestów i min, którym nie musiał stawiać czoła, odkąd Henry przestał być dzieckiem. Powłócząc nogami, Rackham podchodzi do stołu w jadalni, bierze kieliszek i napełnia go winem z opróżnionej niemal zupełnie butelki. Potem wypija wzmacniający płyn do dna, na którym pozostaje tylko osad, i rusza na górę. Wchodzi po schodach coraz bardziej zdecydowanym krokiem, nie kieruje się jednak do swojej własnej sypialni, lecz do pokoju Agnes.

Na Boga, ma już dość cudzych pruderyjnych kaprysów i ckliwych wykrętów. Uważa, że najwyższy czas, aby spędzić syna.

Jest późna noc. Henry siedzi przy kominku i wrzuca do ognia wszystko, co napisał przez z górami dziesięć ostatnich lat: wszystkie myśli i opinie, które pewnego dnia miał nadzieję wygłosić z ambony własnego kościoła.

Zgromadził absurdalne mnóstwo pokrytego atramentem papieru, luźne kartki, koperty, oprawne w okładki zeszyty i zszywane notesy – wszystkie starannie wypełnione prostym, nieeleganckim pismem, wszystkie opatrzone uwagami, odnotowanymi za pomocą wymyślonych przez Henry'ego znaków stenograficznych, oznaczających na przykład *konieczne dalsze studia* lub *ale czy to rzeczywiście prawda?* albo *rozwinąć tę myśl*. Najsmutniejszym z wszystkich hieroglifem, który widnieje na marginesach niemal każdego skrawka jego rękopisów z ostatnich trzech lat, jest odwrócony trójkąt, nieco przypominający lisi łeb, oznaczający: *Zasięgnąć opinii pani Fox*. Strona po stronie Henry pali dowody swojej próżności.

Puss mruczy u jego stóp, pochwała bowiem bez zastrzeżeń tę zabawę, dzięki której jej futro tak się rozgrzewa, że niemal zajmuje się ogniem. Węgiel też jest przyjemny i pali się powoli, ale papier jest nieporównanie lepszy, o ile tylko uda się skłonić człowieka, żeby ciągle dorzucał do kominka.

Henry zajmuje się teraz grubym notatnikiem, który (wraz z kilkunastoma podobnymi zeszytami) wyrzucił jego ojciec podczas „wiosennych porządków” w biurach firmy w 1869 roku. Przypomina sobie, że powiedział wtedy starcowi: – Boli mnie serce, kiedy widzę, jak marnuje się taki dobry papier. Znajdę inne zastosowanie dla tych notatników. – Próżność! A to co takiego? *Radujcie się i cieszcie nadzwyczajnie*, głosi napis na okładce; to jeden z wielu tytułów, jakie wymyślił dla swojego pierwszego zbioru kazań, który zamierzał wydać drukiem. I znowu próżność! Z jękiem udręki odrywa kartonową okładkę od grzbietu i wrzuca ją w płomienie.

Z kominka wściekle bucha gorąco, a Henry rozsiada się wygodnie w fotelu i zamyka oczy, czekając, aż temperatura spadnie. Jest zmęczony, okrutnie zmęczony, i chce mu się spać. Sen owładnąłby go z niezwykłą łatwością, gdyby tylko nie otwierał oczu jeszcze przez kilka minut. Ale nie, nie zaśnie. Trzeba zniszczyć wszystko.

Jednak zanim na nowo zabiera się do dzieła,omal nie wyskakuje ze skóry, słysząc pukanie do frontowych drzwi. *Ki diabeł...?* Zerka na stojący na kominku zegar: jest dokładnie północ, pora, o której wszyscy przywoici ludzie powinni leżeć już w łóżkach, w tym nawet pracowite dziewczęta, poruszone ciężkim losem mieszkańców wyspy Skye. Ktoś jednak wciąż cicho, lecz natarczywie puka, wywabiając Henry'ego z saloniku do nieoświetlonego przedpokoju. Czy ów nieproszony gość może być nikczemnym bandytą, który przyszedł tu, żeby go zabić, splądrować dom i ukraść kilka znajdujących się w nim cennych, zabytkowych przedmiotów? Dalej więc, proszę bardzo.

Stając w skarpetkach u drzwi, Henry uchyla je nieznacznie i patrzy przez szparę w ciemność. Na chodniku, na progu jego domu, okryta od stóp do głów obszerną peleryną z kapturem, stoi pani Fox.

– Proszę cię, wpuść mnie – mówi grzecznie, jak gdyby w tej sytuacji nie było nic dziwnego, poza tym, że Henry zdaje się być pozbawiony dobrych manier, pozwala bowiem damie czekać na zimnie.

Oslupiały Rackham cofa się od drzwi, a pani Fox wślizguje się do przedpokoju, zsuwając kaptur

z głowy. Odślania rozpuszczone włosy, których nie podtrzymują spinki ani szpilki, a które okazują się gęstsze i bardziej puszyste, niż przypuszczał dotąd Henry.

– Wracaj do ciepłego pokoju, głuptasie – strofuje go łagodnie Emmeline, wchodząc do saloniku i nie czekając na dopełnienie formalności. – Jest zimno i słońca, a ty nieubrany.

Istotnie, Henry przygląda się sobie i nie może zaprzeczyć, że ma na sobie tylko nocną koszulę.

– Co... co cię tu sprowadza, pani? – jąka się, wchodząc za nią w krąg światła. – Trudno... trudno mi uwierzyć... Myślałem...

Emmeline staje za jego pustym fotelem i kładzie ręce na okrywającym oparcie pokrowcu. Z twarzy pani Fox zniknęła upiorna bladość, jej policzki nie wyglądają już na zapadnięte, a usta są wilgotne i różane.

– Wszyscy się mylą, Henry – mówi pani Fox ciepłym, dźwięcznym głosem, całkowicie wyleczonym z gruźliczego rżenia. – Mylą się wszyscy tragicznie.

Henry stoi z szeroko otwartymi ustami. Zwiesza ramiona wzdłuż ciała jak paralytyk, a włoski na karku stają mu dęba. Puss, ciągle zwinięta w kłębek przy kominku, sennie spogląda na niego z pogardą, jak gdyby chciała powiedzieć: *Nie przesadzaj!*

– Niebo nie jest próżnią ani wielką mgłą eteru, w której unoszą się bezcielesne duchy – ciągnie pani Fox i cofa dłonie z oparcia fotela, aby figlarnie trzepocząc palcami, naśladować bezsilny łopot skrzydeł. – Jest prawdziwe i materialne niczym londyńskie ulice, które wypełnia energia, trud i ogień życia. Nie mogę się już doczekać, kiedy je zobaczysz... A jego widok otworzy ci oczy, Henry, otworzy ci oczy.

Henry przymyka powieki, bo realność tej kobiety, jej namacalna obecność, bardzo znajomy kształt twarzy i goszczący na niej wyraz zapierają mu dech w piersi: patrzy na niego rozbrajającym, po części niewinnym, po części zaczepnym spojrzeniem, towarzyszącym zawsze najbardziej heretyckim wyznaniom pani Fox. Nie pierwszy raz sprawia, że Henry czuje się w ten sposób, że jest wstrząśnięty pogodą ducha, z jaką ona igra z bluźnierstwami, że boi się, jakoby jej poglądy mogły ściągnąć na nią gniew wiadomych mocy, zarazem wydaje się jednak oczarowany błyskiem tego, co Emmeline niespodziewanie pokazuje mu jako najbardziej elementarną prawdę. Podchodzi do niej, jak tyle razy przedtem, żeby ją ostrzec, powstrzymać groźną miną, za którą kryje się jego pryncypialność, choć jednocześnie porywa go pragnienie, by spojrzeć na świat z jej punktu widzenia.

– Miałam słuszność – ciągnie pani Fox, kiwając głową na widok zbliżającego się do niej Henry'ego. – Ludzie w niebie nie czują nic oprócz miłości. Najcudowniejszej... nieskończonej... doskonałej... miłości.

Przerażony i zaintrygowany, Henry siada – niemal opada – na fotel, unosząc na nią wzrok. Pani Fox rozpina górny guzik peleryny i pozwala jej opaść na podłogę. Jej nagie ramiona lśnią niczym marmur, a śliczne piersi spoczywają na oparciu fotela, kiedy pochyla się, żeby go pocałować. Jej twarz nigdy tak nie wyglądała w jego snach: wszystkie włoski w brwiach Emmeline są nastroszone, pory skóry, które wyraźnie widać z bliska, rozszerzone, a białka oczu nieznacznie nabiegłe krwią, jak gdyby niedawno płakała, choć już się uspokoiła. Czule dotyka dłonią policzka Henry'ego, a potem zdecydowanym ruchem wsuwa mu haczykowato zgięte palce pod brodę, wskazując jego ustom drogę do swoich ust.

– Pani Fox... za nic na świecie nie ośmieliłbym się... – usiłuje protestować Henry, ale ona czyta w jego myślach.

– W niebie nie zawiera się małżeństw, Henry – szepcze Emmeline, pochylając się nad nim coraz niżej, aż jej włosy opadają mu na piersi, a Rackham czuje na czole ciepły oddech swojej przyjaciółki. – Ewangelia według św. Marka, rozdział dwunasty, werset dwudziesty piąty.

Podciąga mu nocną koszulę powyżej kolan, ale Henry chwytą ją łagodnie za nadgarstki, by nie pozwolić jej odślonić swej nagości. Emmeline ma silne przeguby, w których bije puls, i Rackham wyczuwa dłońmi jej tętno.

– Och, Henry – wzdycha pani Fox, odsuwa się na bok i przysiadła nagimi pośladkami na poręczu fotela. – Przestań się certolić... nie można powstrzymać tego, co już się zaczęło, nie rozumiesz?

Gdy Henry tak ją trzyma, unieruchamiając jej ręce w przegubach, uświadamia sobie nagle, że

opanowuje go jakaś dziwna, delikatna zgodność woli, mocy i pożądania: jest od niej silniejszy, może więc miotać nią na wszystkie strony, zgiąć ją w pół i zakryć jej piersi własnymi łokciami albo szeroko rozkrzyżować ramiona – ostatecznie jednak to ona decyduje o ich ruchach, to ona dzierży władzę. Gdy Henry rozluźnia uścisk, obejmują się; choć nie jest tego godny, bierze ją w posiadanie, jak gdyby miał do niej prawo, jak gdyby on i Emmeline byli tylko parą zwierząt, które spotkały się szóstego dnia Stworzenia, kiedy grzech jeszcze nie istniał.

– To wszystko szakale, Henry – szepcze. – Ty zaś jesteś lwem.

– Pani Fox... – dyszy Henry, który dusi się nagle pod swoją nocną koszulą. Od ognia w kominku robi się tak gorąco, że ubrania nie są im potrzebne, pozwala więc pani Fox, by rozebrała go do naga jak siebie.

– Wiesz co? Już najwyższy czas, żebyś zwracał się do mnie po imieniu – szepcze mu do ucha, gdy pewną ręką znajduje jego męskość i wprowadza ją w to gościnne miejsce, które jak można by myśleć, Bóg stworzył jedynie po to, by Emmeline mogła przyjąć w siebie Henry'ego. Zespoleni, podejmują dalej dzieło w idealnej harmonii; on porusza się głęboko w niej, ona zaś przywiera do niego coraz ciaśniej, wtula się mocno policzkiem w jego twarz i liże go w podbródek jak kotka. – Mój ukochany, taaak – jęczy pani Fox i zastania uszy Henry'ego rękami, żeby odległy, natrętny dźwięk dzwonu wozu strażackiego nie zakłócił jego zbliżającej się ekstazy. – Spuść się we mnie.

Jeszcze kilka tyknień zegara i nastanie 29 września Roku Pańskiego 1875. Uwięziona bez nadziei na ucieczkę w domu zła, dwa tygodnie po bliźniaczych tragediach, czyli śmierci Henry'ego Rackhama i nieopisanym nieszczęściu, które spadło również na nią w blasku tego samego, złośliwego księżycy, Agnes siada na łóżku i pociąga sznur dzwonka. Znow krwawi; Clara musi przyjść natychmiast, umyć ją i zmienić jej opatrunki.

Służąca szybko zjawia się na wezwanie. Wie, po co jest potrzebna; niesie miednicę parującej wody. Mydło i gąbka pływają w niej jak martwe stworzenia morskie, wyrwane ze swojego naturalnego środowiska.

– Będzie więcej krwi – szepcze niespokojnie Agnes, ale Clara już odrzuca kołdrę, żeby odsłonić przypominające pieluchę zwoje opatrunków swej chlebobawczyni. Nie wolno jej pytać, dlaczego pani Rackham zachowuje się tak, jak gdyby powszechna pośród kobiet przypadłość wymagała troski, z jaką należałoby pielęgnować śmiertelną ranę; obowiązkiem Clary jest jedynie służyć.

– To szósty dzień, psze pani – mówi, zwijając w rulon zakrwawione płótno. – Jutro już na pewno będzie koniec.

Agnes nie widzi podstaw do takiego optymizmu, skoro materia wszechświata została rozdarta na dwoje.

– Jeśli Bóg pozwoli – mówi, z obrzydzeniem odwracając oczy od swojego stygmatu. A była już prawie pewna, że została uleczona z owej dolegliwości, którą wyobrażała sobie jako młodzieńczą chorobę, przemijającą wraz z osiągnięciem dojrzałości; jak bardzo raduje się diabeł, że rozwiął te złudzenia!

Agnes odwraca wzrok, kiedy Clara myje i wyciera jedyną część jej ciała, której nigdy nie przyglądała się w lustrze. Ona, która dobrze zna każdy włos w swoich brwiach, która codziennie śledzi rozwój każdej nowej plamki na skórze i która gdyby było trzeba, potrafiłaby dokładnie narysować swój podbródek, widziany pod rozmaitymi kątami, ma bardzo mgliste pojęcie o tej części swego ciała, którą nazywa „podbrzuszem”. Wie tylko, że wskutek pożałowania godnego błędu konstrukcyjnego nie zostało ono zamknięte, jak należy, a zatem jest narażone na działanie sił i wpływu zła.

Doktor Curlew niewątpliwie zawarł pakt z owymi siłami, toteż z trudem skrywa radość, jaką wzbudza w nim jej upadek, który jak na złość nastąpił właśnie teraz, gdy także William zaczął go darzyć niechęcią! Wizyty lekarza zostały miłosiernie ograniczone na okres Sezonu, wczoraj jednak William pozwolił doktorowi bawić w domu przez całą godzinę. Co więcej, obaj panowie udali się do biblioteki, gdzie długo rozmawiali – o czym? W koszmarnych snach Agnes widzi siebie związaną na dziedzińcu domu dla obłąkanych, gdzie zaczepiają ją ohydne staruchy i prychający idioci, a doktor Curlew i William wolnym krokiem wychodzą przez bramę. Śni jej się także, że bierze kąpiel w wannie pełnej ciepłej, czystej wody, zasypia, po czym budzi się zanurzona po szyję w zimnej, gęstej i lepkiej jak auszpik krwi.

Wyczerpana, Agnes opada z powrotem na poduszkę. Clara wyszła, ona zaś, już czysta, leży wygodnie w pościeli. Gdyby tylko sen zechciał ją unieść do Klasztoru Zdrowia! Dlaczego Święta Siostra zapomniała o niej? Nie pojawiła się ani na chwilę, nie zostawiła nawet odcisku palca... Na pogrzebie Henry'ego Agnes cały czas rozglądała się w poszukiwaniu swojego anioła stróża w nadziei, że objawi się jej chociaż z daleka, wśród drzew za cmentarzem. Ale nic. A nocami, nawet kiedy sen zaczyna się obiecująco, nigdy nie udaje się jej dotrzeć dalej niż na stację kolejową; tam czeka niespokojnie w pociągu, który złowrogo drży, lecz nigdy nie rusza z miejsca. Przebiegają go wiecznie milczący bagażowi, aż wreszcie staje się przeraźliwie jasne, że pociąg wcale nie służy jako środek lokomocji, lecz więzienie.

– Siostro, gdzie jesteś? – woła w ciemności Agnes.

– Tuż obok, psze pani – odpowiada Clara kilka chwil później przez szparę w drzwiach sypialni. Z pewnym zniecierpliwieniem, jeśli słuch Agnes nie myli.

– Poczta, panie Rackham, jeśli pan pozwoli – mówi następnego ranka Letty, wahając się, czy wejść do gabinetu pana. Niesie srebrną tacę, na której piętrzy się wielki stos listów i kart kondolencyjnych.

– Daj tylko białe koperty. Dziękuję ci, Letty – mówi William, który nie podnosi się z biurka, i skinieniem palca nakazuje słudze wejść. – A karty kondolencyjne zanieś pani Rackham.

– Tak jest, proszę pana, – Letty oddziela korespondencję handlową – „ziarno”, by tak rzec – od otoczonych czarną obwódką plew, kładzie zebrane żniwo na jedynym, niewielkim skrawku wolnego miejsca, pośród zalegających biurko pana papierów i bibelotów, po czym wychodzi z gabinetu.

Zmęczony William masuje rękami twarz, nim podejmuje wyzwania, jakie niesie dzień; ma przekrwione z niewyspania oczy, rozpacza po stracie brata, odczuwa wyrzuty sumienia, ponieważ zranił żonę i... hmm... cierpi istne męki z powodu uciążliwych obowiązków. Okazuje się, że nic nie sprawia więcej kłopotów niż śmierć, wyjąwszy tylko małżeństwo.

Atoli firma Black Peter Robinson wyposażyła dom w ekspresowym tempie. Zaledwie dwadzieścia cztery godziny po złożeniu zamówienia przywieziono pudła z sukniami z krepy, żałobne czepki, żakiety, szale *etcetera*, a ich błyskawiczną dostawę pocztową przyspieszyły magiczne słowa: „dostarczyć bezzwłocznie na pogrzeb”. Był to jednak początek, nie koniec zamieszania. Kiedy tylko służące przywdziały żałobne stroje, zaczęły na gwałt okrywać czarnym sukniem meble i sprzęty domowe, rozwieszać czarne zasłony, przywiązywać czarne wstążki do sznurów od dzwonek i robić Bóg wie co jeszcze. A potem czekał go absurdalny wybór trumny... Kiedy mebluje się mieszkanie Sugar, można wybierać spośród pięćdziesięciu różnych modeli wieszaków, ale jakim trzeba być człowiekiem, żeby po śmierci rodzzonego brata oglądać z przyjemnością pięćset modeli rozmaitych trumien? – Dżentelmen o tak wysokich wymaganiach jak pan, co widać po jakości wyrobów pańskiej firmy, od razu dostrzeże różnicę między Dębem Obligato a Wiązem Ex Voto... – Sępy! Ale dlaczego William musi brać na siebie ciężar tej orgii niepotrzebnych wydatków? Dlaczego sprawą nie mógł się zająć Henry Calder Rackham? Przecież stary nie ma ostatnio prawie nic do roboty. Ale:

– Wszyscy oczekują, że to ty wykażesz inicjatywę, Williamie. Ja już zostałem odsunięty na boczny tor; w oczach świata ty jesteś teraz „Rackhamem”. – Chytry, stary łotr! Najpierw tyrania i gwałt, a teraz pochlebstwa! Jaki ma w tym cel? Chodzi mu o to, żeby to on, William Rackham, był owym nieszczęśnikiem, który będzie musiał przekopać się przez stosy papierów, zawierających szczegółowe opisy trumien, obić, wieńców, wstążek do kapeluszy i Bóg wie ilu jeszcze setek innych rzeczy i spraw do załatwienia, chociaż cały pogrążony jest przecież w braterskiej rozpaczce.

No, a sam pogrzeb!... Jeżeli jest coś, za co chętnie zapłaciłby zupełnie nadzwyczajną sumę, byłoby to jakieś cudowne lekarstwo, które wymazało by z jego pamięci całą tę pożałowania godną ceremonię. Było to ponure, kiepskie przedstawienie, pusty rytuał, z którego nic nikomu nie przyszło, a nad którego przebiegiem w ulewnym deszczu czuwał nieznośny doktor Crane. Stawiła się cała zgraja świętoszkowatych hipokrytów z Mac Leishem – człowiekiem, którego Henry za życia wprost nie cierpiał – na czele! Doprawdy, jedyną osobą spoza rodziny, która miałaby powód, żeby po coś przyjść na ten pogrzeb, była pani Fox, przebywająca jednak wówczas w szpitalu. Mimo to nad grobem stanęło dwudziestu czterech żałobników. Dwudziestu czterech pompatycznych tępaków za dużo! Cała ceremonia, wliczając między innymi wydatki na czterokonne powozy, paziów oraz wynajętych żałobników, niosących strusie pióra, będzie kosztowała Williama nie mniej niż sto funtów, kiedy przyjdzie mu zapłacić rachunki. I po co to wszystko?

Nie w tym rzecz, że skąpi bratu pieniędzy; chętnie dałby Henry’emu trzy razy więcej, żeby kupił sobie porządny dom, zamiast mieszkać w tej łatwopalnej norze, w której wyzionął ducha. Rzecz w tym, że... niech to diabli, jaki Henry ma pożytek z tego, że żywi żegnają go tak hucznie? To jakiś obłęd przyoblekać wszystkich i wszystko w czerń: po kie licho? Dom Rackhamów jest teraz ponury jak kościół – a nawet jeszcze bardziej! Służące snują się po nim jak zakrystianie...

Dźwięk dzwonka jest stłumiony, więc często wcale go nie słysząc, do diaska! Cały ten rytuał pachnie papizmem. Doprawdy, tego typu bolesną zabawę należałoby zostawić Kościołowi rzymskiemu, jest to bowiem jedna z tych bzdur, dzięki której – jak mniemają katolicy – można wskrzesić zmarłego!

Pozostanie we wdzięcznej pamięci tych, którzy mieli błogostawione szczęście go znać – świat stracił kogoś, kogo zyskały niebiosy; takie epitafium na nagrobek Henry'ego ułożył William z niewielką pomocą kamieniarza. Żałobnicy wyciągali szyje, żeby je odczytać – czy wydawało im się, że brat mógłby lepiej oddać cześć bratu? Uczucia przybierają inny wyraz, kiedy zapisać je zimnym, kamiennym pismem, najzimniejszym i najtwardszym, jakie można sobie wyobrazić.

William sięga po poranną korespondencję i przerzuca koperty, przyglądając się nazwiskom nadawców: Clyburn, Firma Szklarska; R.T. Arburick, Producent opakowań, skrzyń i in.; Greenham&Bott, Kancelaria Prawnicza; Greenham&Bott, Kancelaria Prawnicza; Henry Rackham (Sr); Towarzystwo na rzecz Powszechnego Oświecenia; G. Pankey, ESQ.; Tuttle&Son, Profesjonalni Ratownicy.

Tę ostatnią kopertę William rozcina w pierwszej kolejności. Wyjmuje z niej osiem kartek, z których każda opatrzona jest nagłówkiem TUTTLE&SON, PROFESJONALNI RATOWNICY. Tekst na pierwszej stronie głosi:

Wielce Szanowny Panie Rackham!

Poniżej zamieszczamy spis przedmiotów, uratowanych 2 września 1875 roku z domu przy Gorham Place 11, w Notting HM, z pożaru, który częściowo strawił rzeczony budynek. Wszystkie przedmioty, których w spisie brak, należy uważać za zniszczone bądź ukradzione przez rozmaite osoby pozbawione skrupułów, które pojawiły się na miejscu zdarzenia przed przybyciem przedstawicieli firmy Tuttle&Son.

KATEGORIA 1: PRZEDMIOTY W CAŁOŚCI ALBO W ZASADZIE NIEUSZKODZONE

1 kot (obecnie pod naszą opieką, prosimy o dalsze instrukcje)

1 Kuchenka

1 szafka kuchenna z czterema szufladami

Różne utensylia kuchenne, garnki, patelnie etc.

Różne dobra kuchenne, sosy, przyprawy etc....

Przeglądając kolejne kartki, William dostrzega tu i ówdzie kilka dziwnych pozycji:

Różne ryciny, oprawione, a mianowicie: „Letni dzień” Edmunda Cole’a „Pobożny łapserdak” Alfreda Wynne’a Forbesa „Pozornie bez tytułu” pani F. Clyde „Panny mądre i głupie” Johna Bramletta, R.A....

Książki, głównie o treści religijnej, w łącznej liczbie 371 (na żądanie dostarczymy kompletny spis)

Globus na mosiężnym stojaku (lekko nadpalony)...

Co przeczytawszy, William bezsilnie wzdycha, z politowaniem i zniecierpliwieniem. Nadpalony globus! Co on? czy zresztą ktokolwiek, miałby począć z nadpalonym globusem? W tym zamieszaniu, które wywołała wiadomość o śmierci Henry'ego, zdawało mu się, że wzywając ratowników, okazuje zdrowy rozsądek, nie chciał bowiem pozwolić, by dom Henry'ego splądrowali niegodziwi nędzarze, ale co teraz, kiedy już udało mu się uniknąć tej hańby? Gdzie ma przechować doczesne rzeczy Henry'ego? Skoro rodzony brat Williama nie żyje, na co mu jego kuchenka albo umywalka?

Rzuca list na biurko i wstaje, by podejść do okna. Wygląda na swoją posiadłość i dalej, na ulicę, po której – jak utrzymuje Agnes – przechadzają się anioły, teraz jednak widać na niej tylko obdartych przechodniów. Żaden z nich nie jest wyższy od Henry'ego i żaden nie trzyma się tak prosto jak on. Ach, wysoki i prosty jak struna Henry! William zastanawia się, czy nie jest hipokrytą, skoro tak teraz rozpacza, podczas gdy za życia brat irytował go potwornie. Może i tak, ale więzy

krwi to w końcu więzy krwi.

Wychowywali się razem, prawda. Próbuje przypomnieć sobie ich wspólne dzieciństwo z czasów, kiedy Henry był jeszcze za młody, by wznieść między nimi barierę za sprawą swej pobożności, ale przypomina mu się bardzo niewiele. Widzi jedynie nieostry jak poruszona fotografia obraz dwóch chłopców, bawiących się na pastwiskach, na których miejscu dawno już wytyczono ulice, kryjąc wszelkie ślady ich dawnej obecności pod fundamentami domów.

Henry'ego z późniejszych lat nie wspomina zbyt czule. Przypomina sobie brata na uniwersytecie, idącego zdecydowanym krokiem do biblioteki przez zalaną słońcem murawę. Henry przyciska do piersi kilka książek i udaje, że nie słyszy żartobliwych zaczepki Williama, Bodleya i Ashwella, którzy leżą na trawie, jak gdyby wybrali się na piknik. Potem William wybiega pamięcią naprzód, wspomina nędzny, mały domek Henry'ego, zapchany od góry do dołu dewocjonaliami i pozbawiony cygar, poduszek, mocnych alkoholi oraz wszystkiego, co mogłoby zachęcić gości do odwiedzin. Wspomina, jak Henry zachodził kiedyś co niedziela do posiadłości Rackhamów, by opowiadać o wszelkich wzniosłych i skłaniających do refleksji wydarzeniach, które umknęły uwadze brata.

Z pewnym wysiłkiem William cofa się w czasie i widzi dwunastoletniego Henry'ego, który po zakończeniu rodzinnej modlitwy odczytuje rozprawkę własnego autorstwa, poświęconą relacjom między pracą duchową i doczesną. Służący, usadzeni według hierarchii ważności, kręcą się nerwowo na swoich miejscach, nie wiedząc (gdy Henry kończy), czy powinni bić brawo, czy raczej zachować pełne szacunku milczenie!

– Doskonale, doskonale – oświadczył Henry Rackham senior. – Mądrego mam chłopaka, co?

William odczuwa nagle ból w prawej ręce, a kiedy opuszcza wzrok, okazuje się, że wciska siłą już pięść w drewniany parapet. W jego oczach pojawiają się łzy dziecinnej zazdrości, a w uszach pobrzmiwają echem słowa strażaków, którzy zapewniali go, że Henry udusił się dymem na długo przedtem, zanim ogarnęły go płomienie.

Ociera twarz rękawem i czuje w piersi pod szyją konwulsyjny skurcz, który może przerodzić się w wybuch płaczu, w tym momencie jednak znów przerywa mu pukanie.

– Tak, czego tam? – woła ochryple.

– Przepraszam, panie – odpowiada Letty, odrobinę uchylając drzwi. – Przyszła lady Bridgelow. Czy pan albo pani Rackham jesteście w domu?

William gwałtownym ruchem wyciąga zegarek z kieszonki kamizelki, by sprawdzić, która godzina, nigdy bowiem nie zdarzyło się, by lady Bridgelow składała im wizyty, nie przestrzegając wyznaczonych przez konwenans pór. I rzeczywiście, nie pogwałciła przyjętych obyczajów: to raczej jego własne wewnętrzne poczucie czasu zostało zakłócone. Boże, strawił długie godziny na bujaniu w obłokach i melancholijnych rozmyśleniach! Sądził, że pozwolił sobie na zaledwie chwilę słabości, ale tymczasem minął cały ranek, on zaś stoi teraz z oczami mokrymi od łez zazdrości, jaką wzbudza w nim wspomnienie ojca, który przed osiemnastu laty faworyzował starszego brata! Czy szaleńcy i hipochondrycy tak właśnie spędzają długie godziny próżniaczego dnia? Boże wszechmogący! Jest w życiu miejsce na smutek, ale ktoś w końcu powinien wziąć na siebie brzemień odpowiedzialności; ktoś musi obracać przecież kołem żywota.

– Tak, Letty – mówi, odchrząknawszy. – Powiedz lady Bridgelow, że jestem w domu.

Tydzień później Agnes Rackham pisze, co następuje:

Droga pani Fox!

Dziękuję za list, na który odpowiadam na prośbę Williama.

Ogromnie się cieszę, pani, że postanowiłaś przejąć ruchomości Henry'ego, jestem bowiem przekonana, że w innym wypadku zostałyby niczemnie rozsprzedane. Zdecydowałam zaopiekować się kotką Henry'ego, dopóki nie wyjdzie pani ze szpitala. William powiada, że pozostałe rzeczy przewieziono już do twego domu i złożono tam, gdzie tylko można było znaleźć wolne miejsce. Utrzymuje, że to mały domek, a tragarze skarżyli się, że mieli trudne zadanie, proszę cię jednak usilnie, pani, abys nie brata sobie do serca skarg źle wychowanych robotników.

Czy w szpitalu jest bardzo nieprzyjemnie? W przeszłym tygodniu i mnie dotknęła straszna dolegliwość, ale już minęła.

Odczułam ulgę, przeczytawszy, że tak jak ja uważa pani żałobę i związane z nią dziwactwa za okropne. Cóż to za męczący ceremoniał! Mam chodzić w sukniach z krepy przez trzy miesiące, w czerni przez dwa, a potem w częściowej żałobie jeszcze przez kolejny miesiąc. A pani? Wyznaję, że nie wiem, jakie zasady obowiązują w twoim wypadku.

Proszę mnie źle nie zrozumieć, pani Fox; kochałam Henry'ego miłością, której nie żywiłam dla żadnego innego mężczyzny, i do tej pory ronię nad nim łzy, ale żałoba przysparza mi okrutnych cierpień! Nie mogę zadzwonić na służbę z prośbą o zrobienie najprostszej rzeczy, jak otwarcie okna albo dorzucenie polana do ognia, bo zaraz zjawia się jakieś upiorne widmo w czerni. Kiedy odwiedzam miejsca publiczne, zapewne zdaję się wszystkim istotą czarną jak atrament, a chociaż broszura firmy Petera Robinsona usiłuje dowodzić, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, ponieważ hiszpańska koronka jest bardzo stylowa, a w czarnych rękawiczkach dłonie sprawiają wrażenie cudownie drobnych, pozostaję wciąż niepokieszona. Bóg i tak obdarzył mnie drobnymi dłońmi!

Czerń, czerń, wszystko jest czarne. Każdy Ust trzeba pisać na tym straszliwym żałobnym papierze z czarną obwódką. Zdaje mi się, że ciągle na nim piszę, ponieważ otrzymujemy niekończący się strumień *cartes pour condoler*, a William chciałby, żebym w jego imieniu odpowiadała na wszystkie kondolencje. Powiada, że powinnam zrozumieć, iż w tym stanie ducha nie może tego zrobić osobiście. Nie jestem jednak pewna, czy naprawdę go rozumiem: być może chodzi mu jedynie o to, że jest zbyt zajęty. Niewątpliwie myśl o okrutnym losie, jaki spotkał Henry'ego, nie dręczy go tak jak mnie. Drzę i krzyczę czasem, kiedy o tym myślę. To taka straszliwa śmierć... zasnąć przed kominkiem i zginąć w płomieniach. I mnie często zdarzało się zasypiać, kiedy ogień palił się jeszcze w kominku, zawsze miałam jednak obok Clare, która go gasiła. Być może powinnam była ofiarować Henry'emu jakąś służącą. Skąd jednak mogłam wiedzieć, że tego potrzebuje?

Czarne, wszystko jest czarne, ja zaś czuję się samotna przez cały długi dzień. Czy to grzech tęsknić do towarzystwa i rozrywki w tak smutnym czasie? jeśli nikt nie może nas odwiedzać z wyjątkiem rodziny oraz bliskich przyjaciół, to jaką pociechę mogą czerpać z tego tacy ludzie jak ja, którzy właściwie nie mają krewnych ani znajomych? Czarujący ludzie, których poznałam w czasie minionego Sezonu, nie mogą mnie odwiedzać, tak jak ja nie mogę odwiedzać ich. Z pewnością zapomną mnie teraz, spowija mnie bowiem ciemność. Williamowi to dobrze – trzy tygodnie jego żałoby dobiegły już końca, może więc robić wszystko, na co mu przyjdzie ochota, ale jak ja wytrzymam najbliższe miesiące?

Serdecznie,

Agnes Rackham

PS: Kotka Henry'ego ma się doskonale i tak uwielbia śmietankę, że można pomyśleć, iż nigdy jej dotąd nie piła.

Church Lane, St Giles, prosto jak strzelił, niewiele dalej na wschód. Sugar splata ręce wokół kubka parującego kakao z wdzięcznością, że dostała coś ciepłego, i uśmiecha się zakłopotana do swojej gospodyni. Jej słomkowitzka suknia jaśnieje blade, ale wokół w nieoświetlonym pokoju panuje monotony, brudnoszary mrok, w którym Caroline nieomal znika jej z oczu, kiedy cofa się, żeby usiąść na łóżku. Z tym otoczeniem kontrastuje wygląd Sugar, którą gospodyni usadziła na honorowym miejscu, podsuwając jej jedyne krzesło w pokoju, a która uważa, że bije od niej oślepiający blask niby od egzotycznego ptaka, pyszniącego się wspaniałym upierzeniem obok pospolitej dzierzby. Żałuje ogromnie, że włożyła tę suknię – która wygląda przecież tak skromnie w jej własnym mieszkaniu!

Jako osoba taktowna Caroline oświadczyła, że bardzo się cieszy, iż Sugar nosi taki „elegancki przyodziewek” – czy jednak może to być prawda, skoro sama jest skazana na swoje ponure, niemodne suknie? A brudne jak święta ziemia gołe stopy Caddie, zwisające z łóżka? Czy nie są to nogi zwierzęcia, niewrażliwe na chłód? Sugar podnosi kubek do ust, ale nie pije. Woli poczuć na

twarzą parę i grzać dłonie o ścianki gorącego, glinianego naczynia.

– Aż tak ci ręce zmarzły, co?

Sugar śmieje się z zakłopotaniem i niechętnie upija łyk podłego napoju.

– Zimne ręce, ciepłe serce – mówi, rumieniąc się pod warstwą Poudre Juvenile firmy Rackhama. Dobrze wie, dlaczego jest jej tak zimno: ponieważ przywykła, że w mieszkaniu przy Priory Close jest ciepło od rana do nocy. Ostatnio odruchowo rozpala ogień w kominkach we wszystkich pokojach, aż okna zaczynają lśnić skroploną parą, a aromatyczny zapach wciska się w każdy kąt mieszkania. Raz w tygodniu – a ostatnio dwa razy – pewien człowiek przynosi jej do domu worek suchych polan, ubóstwo zaś stało się Sugar tak obce, że nie pamięta nawet nominału monety, jaką wręcza dostawcy.

– A jak tam twój pan ‘Unt’? – pyta Caroline, szukając szczotki do włosów.

– Mmm? Och, dobrze. Jak najlepiej.

– Pułkownik po spotkaniu z nim był w doskonałym humorze przez kilka dni.

– Tak, przed chwilą powiedziała mi o tym pani Leek. Dziwne... mnie pułkownik dawał do zrozumienia, że miał stanowczo dość całej tej wycieczki.

– On tylko tak gada – pociąga nosem Caddie, zadowolona, że znalazła ohydny, kosmaty od martwych włosów szczotkę z bukszpanu. – Ledwie wrócił do domu, zaraz zaczął śpiewać.

Wizja podśpiewującego pułkownika Leeka jest nazbyt groteskowa, żeby mogła ją sobie wyobrazić, ale to nie ma znaczenia; Sugar cieszy się, że będzie mogła go ponownie wykorzystać. Może tym razem uda się jej upić starca, zanim dotrą na plantację lawendy, dzięki czemu pułkownik zapewne lepiej zagra swoją rolę.

Caroline kontynuuje toaletę i przygląda się odbiciu swojej twarzy w stojącym na bieliźniarce lusterku.

– Starzeję się, Shush – rzuca niedbale, niemal wesoło, mrużąc oczy w poszukiwaniu naturalnego przedziałka.

– Jak wszyscy – mówi Sugar, ale w jej ustach te słowa pachną obrzydliwym fałszem.

– No, tylko że ja zaczęłam się starzeć wcześniej od ciebie. – Co mówiąc, Caroline pochyla nisko głowę i rozczesuje zwieszające się nad kolanami włosy. Jej głos, dobiegający zza rozkołysanej, brunatnej kurtyny, brzmi cicho.

– Wiesz, że Katy Lester nie żyje, co nie?

– Nie, nie wiedziałam – mówi Sugar, biorąc duży łyk kakao. Czuje, jak w jej brzuchu formuje się gęsta lodowata wstęga, chociaż pije ciepły napój. Przypomina sobie, że codziennie myślała przecież o Katy, no, prawie codziennie, odkąd opuściła dom pani Castaway. Myśli nie zastąpią jednak tego, z czego Sugar nigdy nie słyszała: potrafiła, mianowicie, siedzieć z umierającymi dziewczynkami po całych nocach i trzymać je za rękę, jak długo było trzeba. Przez kilka ostatnich miesięcy nawiedzały ją niepokojące przeczucia i domyślała się, że Kate zapewne jest już bliska śmierci, nie potrafiła jednak zmusić się, żeby ponownie odwiedzić panią Castaway, a teraz jest za późno. Czy przesiedziałyby całą noc przy Caroline, gdyby ta była umierająca, a Sugar w tym czasie mogłaby pójść do łóżka z Williamem? Chyba nie.

– Kiedy umarła? – pyta i czuje, że zaczyna boleć ją brzuch, dziewczynę ogarnia bowiem coraz większe poczucie winy.

– Nie wiem – odpowiada Caroline, która ciągle się czesze i czesze. – Jak mija więcej niż kilka dni, to tracę rachubę czasu. Już dawno.

– Kto ci o tym powiedział?

– Pani Leek.

Sugar czuje, że przez stanik i ciasne rękawy jej sukni sączy się pot. Próbuje wymyślić jakieś następne pytanie – nieważne jakie. Takie, które za pomocą trafnie dobranych słów mogłoby dowiedzieć głębi i szczerości jej uczucia do Kate. Ale nie ma nic, co Sugar chciałaby szczególnie wiedzieć. Nic, tylko: – Co się stało z jej wiołonczelą?

– Z czym? – Caroline unosi głowę, rozczesując przedziałek we włosach, które lśnią nie tylko od tych fryzjerskich zabiegów, lecz także dlatego, że należałoby je umyć.

– Z instrumentem, na którym grała Kate – wyjaśnia Sugar.

– Spalili go chyba – mówi obojętnie Caroline. – Spalili wszystko, co choć raz miała w rękach. Żeby wypędzić chorobę z domu, gadała pani Leek.

Całe życie spłynęło jak szczyzny rynsztokiem..., łka jakiś głos w głowie Sugar. *Węgorze wyjedzą mi oczy i nikt nigdy nawet się nie dowie, że istniałam.*

– Masz jeszcze jakieś nowiny z... z naszego dawnego domu? – pyta. Caroline spina teraz włosy byle jak, nie zwracając się do lustra. Jeden tłusty kosmyk opada jej na czoło, prowokując Sugar do niedelikatnych myśli, w których chwytła przyjaciółkę za ramię i zmusza, żeby zaczęła toaletę od nowa.

– Jennifer Pearce dobrze se radzi – mówi Caddie. – Została zastępcą dowódcy, jak mówi pani Leek. Jest też nowa dziewczyna... nie pomnę, jak się nazywa. Ale to już dzisiaj zupełnie inny zakład. Nie taki normalny jak kiedyś, jeżeli wiesz, o co mi chodzi. Teraz to raczej jaskinia biczowników.

Sugar krzywi się, zdumiona, że ta wiadomość sprawia jej taką przykrość. Prostytucja to przecież prostytutka, chyba bez względu na to, co jeden człowiek robi drugiemu? A mimo to myśl, że w znajomych kątach domu pani Castaway rozbrzmiewają okrzyki bólu, nie zaś jęki rozkoszy, rozsnuwa dziwną aurę nostalgii wokół cielesnych transakcji, które uważała niegdyś za obrzydliwe. W jednej chwili mężczyźni, którzy płacą kobiecie kilka szylingów, żeby ulżyć sobie między jej nogami, kojarzą się Sugar z czymś smętnie niewinnym.

– Nie przypuszczałam, że matka ośmieli się konkurować z panią Sanford z Circus Road – mówi.

– Ach, znaczy nie słyszałaś? Pani Sanford wychodzi z gry. Stary kochanek chce jom przenieść na dożywocie do swojego domu na wsi. Będą jej tam we wszystkim usługiwać i dostanie kunie, a za to wszystko będzie musiała tylko chłostać go jedwabnym biczkiem, kiedy nie będzie mu zbyt dokuczać podagra.

Sugar rozpromienia się, nie wkłada jednak serca w swój uśmiech. Oczami wyobraźni widzi nieszczęsnego małego Christophera, który przystaje za drzwiami jej dawnej sypialni. Chude jak szczapy ramiona chłopaka są zaczerwienione i całe w mydlinach, przytargał bowiem na górę wiadro wody, a tymczasem w pokoju jakaś obca kobieta chłostuje zakrwawiony grzbiet klęczącego przed nią kwiczącego grubasa.

– A co... co nowego u ciebie? – pyta Sugar.

Caroline w poszukiwaniu natchnienia unosi wzrok na sufit pełen plam, kołysząc się na boki na łóżku.

– Aaach – mówi w zadumie, a na jej ustach pojawia się słaby uśmiech, kiedy przypomina sobie mężczyzn, których ostatnio poznała. – No... jużem od bardzo dawna nie widziała mojego przystojnego pastora. Mam nadzieję, że nie porzucił mnie dlatego, że jest zbyt zepsuta, żeby se zasłużyć na zbawienie.

Sugar na chwilę spuszcza wzrok na swoje okryte żółtą suknią kolana, zastanawiając się, czy powinna coś powiedzieć, czy nie. Pamięć o śmierci Henry'ego pali ją w sercu żywym ogniem; gdyby udało się jej podzielić tym z Caroline, może ból ustąpi.

– Przykro mi, Caddie – mówi po namyśle. – Ale już nigdy nie spotkasz swojego pastora.

– Czemu nie? – śmieje się Caroline. – Bo co, odbiłaś mi go? – Jest jednak na tyle bystra, żeby zmiarkować prawdę, i niespokojnie zaciska dłoń w pięści.

– On nie żyje, Caddie.

– Ach, nie, kurwa mać, do diabła! – krzyczy Caroline, bijąc się pięściami po kolanach. – Kurwa, kurwa, kurwa. – W jej ustach jest to najbardziej gorzki okrzyk cierpienia i żalu, przypominający monotonną, pełną udręki litanię. Dziewczyna pada na wznak na łóżko i dyszy ciężko, waląc pięściami w pościel.

Po kilku chwilach wzdycha, rozprostowuje dłonie i swobodnie splata ręce na brzuchu. Długie lata tragicznego życia nauczyły ją otrząsać się w gnieniu oka nawet z najgorszych nieszczęść.

– Skąd wiesz, że umarł? – pyta głucho.

– Ja... po prostu wiedziałam, kto to jest, i tyle – mówi Sugar. Gwałtowność reakcji Caroline na wieść o losie Henry'ego zdenerwowała ją; spodziewała się wyłącznie przejawów zainteresowania i niczego więcej.

– To co on był za jeden?

– Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie, Caddie? Nie licząc nazwiska, znałaś go o wiele lepiej ode mnie. Ja go nawet nigdy nie spotkałam.

Caroline siada na łóżku. Jest zarumieniona i ma spuchnięte policzki, ale jej oczy są suche.

– Porządny był z niego gość – mówi.

– Przykro mi, że ci powiedziałam, że nie żyje. Nie wiedziałam, że tyle dla ciebie znaczy.

Caroline wzrusza ramionami. Jest zażenowana, ponieważ zdradza czułe emocje związane z klientem.

– Ach – mówi. – Na tym świecie som tylko mężczyźni i kobiety, co? No to trza o nich dbać, no nie? Bo jak nie o nich, to o co? – Podnosi się z łóżka, podchodzi do okna i staje przy parapecie, gdzie przystawał Henry, żeby wyglądać na dachy domów przy Church Lane. – Tak, był przyzwoitym człowiekiem. Ale pastor już to pewnie powiedział na pogrzebie. Czy może zakopali go gdzieś pod płotem i przebili mu serce osinowym kołkiem? Jak bratu mojej babki, kiedy se życie odebrał.

– To chyba nie było samobójstwo, Caddie. Zasnął w saloniku, przy kominku leżało mnóstwo papierów i dom stanął w ogniu. Chociaż może on celowo tak to urządził, żeby oszczędzić potem kłopotów rodzinie.

– Znaczy się, nie był taki głupi, na jakiego wyglądał. – Caroline pochyla się, przyciska nos do szyby i mrużąc oczy, obserwuje ciemniejące coraz bardziej niebo. – Mój biedny, przystojny, maleńki pastorek. Nie chciał nikomu zrobić krzywdy. Dlaczego nie zabijajom się ci, co krzywdzom innych, a ci, co som dobrzy, nie żyją wiecznie, co? Moim zdaniem tak powinno wyglądać niebo.

– Muszę już iść – mówi Sugar.

– Och, nie, zostań jeszcze – prosi Caddie. – Zaraz zapalę świece. – Spostrzega, że Sugar siedzi sztywno i prosto, otaczając ciągle dłońmi kubek, a w mroku jaśnieje pęk żółtych spódnic jej sukni. – Może nawet napalę w kominku.

– Ale nie ze względu na mnie, proszę cię – mówi Sugar, spoglądając na nędzny stosik polan w wiklinowym koszyku. – Szkoda drewna, jeżeli... zamierzasz zaraz wyjść.

Ale Caroline kuca już przy kominku i szybkimi ruchami wprawnych rąk nakłada dREW do paleniska.

– Trza mi też myśleć o klientach – mówi. – Nie mogę pozwolić, żeby mi uciekali i gadali, że w pokoju jest za zimno, co? Bo wtedy pułkownik dostaje swojom zapłatę, ale ja nie.

– Dobrze, pod warunkiem że nie robisz tego dla mnie – mówi Sugar i natychmiast żałuje swojej bezwzględności, chociaż ma nadzieję, że Caroline jest zbyt mało rozgarnięta, by się przejąć. Rozdrażniona, ubolewa w duchu, że nie uciekła stąd wcześniej, i chowa kubek z kakao pod krzesłem. (Cóż, i tak już wystygło; dlaczego miałyby się zmuszać do picia zimnego kakao, zimnego, paskudnego kakao? Prawdę mówiąc, smakuje jak trutka na szczury...)

To jednak nie koniec upokorzeń. Wprawa, z którą Caroline roznieca ogień, stanowi dla Sugar bolesną lekcję pogładową, bo przypomina jej, jaką metodę ona stosuje w takiej sytuacji: oto marnuje ogromne ilości podpałki, całymi garściami dorzuca do kominka delikatne, suche, dziewicze drewno, aż zdaje się, że samo tarcie wystarczy, żeby rozpalić także większe polana. Tymczasem Caroline buduje skromny stosik z wytatuowanych stemplami drzazg ze skrzyń i kawałków starych mebli, które ozywają, podpalone jej jedyną zapalką, trzeszcząc i sycząc w płomieniach. Odwrócona wciąż plecami do Sugar, Caroline kontynuuje przerwana rozmowę.

– No, to jak to jest być kochanicą starego Rackhama, co?

Sugar oblewa się gorącym rumieńcem i czerwienieje jak burak. Ktoś ją zdradził! Ale kto? Zapewne pułkownik... Przysięgi tej starej świni są nic niewarte...

– Skąd o tym wiesz?

– Nie jestem głupia, Shush – mówi sucho Caroline, delikatnie rozdmuchując płomienie przez szpary w stosie drewna. – Powiedziałaś, że utrzymuje cię jakiś bogacz, potem mój nieszczęsny pastor mówił, że może mi znaleźć robotę u Rackhama, a dzisiaj ty mi gadasz, że też znasz mojego pastora... No, a ja oczywiście słyszałam, że jakiś Rackham spalił się niedawno we własnym domu...

– Ale jak się o tym dowiedziałaś? – pyta natarczywie Sugar. Caroline nic nie czyta, a niebo nad Church Lane jest pokryte tak szczelnie smolistym całunem, że całe Notting Hill mogłoby pójść z dymem, którego tutaj nikt by nie zauważył.

– Czy chcę, czy nie, dochodzą mnie wieści o wielu katastrofach – wzdycha Caroline i teatralnym gestem wskazuje w dół, na podłogę, na przeżarty przez korniki, przypominający plaster miodu dom pani Leek oraz jej salonik, gdzie przesiaduje pułkownik ze swoimi gazetami.

– Ale dlaczego nazywasz mojego... towarzysza „starym Rackhamem”?

– Bo to jest chyba stary grzyb, co nie? Pamiętam, że moja rodzona matka używała jakichś perfum Rackhama na specjalne okazje. – Caddie mruży oczy, przywołując odległe jak księżyc wspomnienie. – Jeden flakonik wystarczy na cały rok!”

– Nie, nie – mówi Sugar (karbując sobie w pamięci, żeby poradzić Williamowi, aby usunął ten prymitywny slogan z reklam produktów Rackhama).

– Nie jestem utrzymanką ojca, lecz syna. Znaczy tego drugiego, który żyje. Przejął kierowanie firmą dopiero w tym roku.

– I jak on cię traktuje?

– Cóż... – Sugar wskazuje bujny kłęb spódnic swojej kosztownej sukni. – Jak widzisz...

– Ubrania nic nie znaczą – wzrusza ramionami Caroline. – Może łoś cię pogrzebaczem albo każe ci lizać swoje buty.

– Nie, nie – odpowiada natychmiast Sugar. – Nie mogę narzekać. – Odczuwa nagłą potrzebę opróżnienia pęcherza i chce już sobie pójść (wysika się gdzieś na zewnątrz, nie tutaj!). Caroline jednak, niech jej Bóg błogosławi, jeszcze nie skończyła.

– Och, Shush, ale ci się poszczęściło! Sugar wierci się na krześle.

– Chciałabym, żeby wszystkie kobiety miały takie szczęście jak ja.

– A ja to nie?! – śmieje się Caroline. – Ale kobita musi mieć wdzięk i musi coś umieć, żeby mogła sobie złowić taki majontek. A flądry jak ja... nie mają tego, co trza, żeby sprawić dżentelmenowi przyjemność... Chyba że tutaj – (klepie dłonią pościel, i to przez krótką chwilę). – Zadowolenie sprawia, że przez chwilę zezuje na Sugar, bo zdaje sobie sprawę, że przyszło jej do głowy coś rzeczywiście błyskotliwego. – Czy nie tak mówią ludzie, Shush? Że trza mieć urok, jakiś magiczny urok. Jeżeli dorwę mężczyznę, jak ma sztywnego kutasa, jest w mojej mocy. Mój głos brzmi w jego uszach jak muzyka, mój chód przypomina mu krok anioła w chmurach, na widok moich piersi wspomina swoją ukochaną mamkę i zagłada mi głęboko w oczy, jakby widział w nich raj. Ale kiedy tylko kutas mu zwiotczeje... – Caroline parska i bezwładnie zwiesza dłoń w przegubie, próbując przedstawić tym gestem koniec namiętności. – Mój Boże, ależ go wtenczas drząźni mój prostacki język! I mój niezgrabny chód! I moje obwisłe wymiona! A kiedy patrzy mi w twarz po raz drugi, widzi we mnie tylko najbardziej zapuszczoną ulicznicę i wie, że dotykając mnie gołą ręką, popełnił największy błąd swojego życia! – Caroline uśmiecha się z wesołą przekorą i spogląda na przyjaciółkę, sądząc, że na jej ustach także zagości uśmiech; ku swemu zdumieniu widzi jednak, że Sugar skrywa twarz w dłoniach i wybucha płaczem.

– Shush! – woła zdumiona, podbiega do niej i otacza ramieniem wstrząsane spazmatycznym szlochom plecy dziewczyny. – Co się stało? Co ja takiego powiedziałam?

– Ja już nie jestem twoją przyjaciółką! – łąka Sugar, tłumiąc słowa rękami, którymi zasłania twarz. – Jestem dla ciebie obca i nienawidzę tego miejsca, nienawidzę go. Och, Caddie, jak możesz ścierpieć mój widok? Ty jesteś biedna, a ja żyję w luksusie. Ty tkwisz tu jak w pułapce, a ja jestem wolna. Ty masz otwarte serce, ja zaś kryję w duszy wiele tajemnic. Ciągłe knuję albo intryguję i nie obchodzi mnie nic, co nie dotyczy Rackhamów. Zastanawiam się nad każdym słowem dwa razy, zanim otworzę usta. Nic, co mówię, nie płynie z serca... – Sugar zaciska pięści i wbija je wściekle w mokre od łez policzki. – Nawet te łzy są fałszywe. Postanowiłam je wylać, żeby poczuć się lepiej. Jestem fałszywa! Fałszywa! Fałszywa do szpiku!

– Dość tego, dziewczyno – próbuje ją ukoić Caroline, przygarniając do piersi głowę i ramiona Sugar. – Dość. Jesteśmy, jakie jesteśmy. A to, czego nie czujesz... no, jak czegoś nie czujesz, to znaczy, żeś coś straciła, że tego po prostu nie ma, i tyła. Płacz nikomu nie przywróci błony dziewiczej.

Sugar jednak wciąż szlocha i szlocha. Po raz pierwszy, odkąd przestała być dzieckiem – bardzo małym dzieckiem, zanim jej matka zaczęła ubierać się na czerwono i używać nazwiska „Castaway” – wypłakuje się w ten sposób obcej kobiecie.

– Och, Caddie – chlipie Sugar. – Jesteś dla mnie za dobra.

– Ale ciągle nie dość dobra, co? – drażni się z nią starsza koleżanka i daje jej sójkę pod żebro. – Widzisz? Potrafię czytać w twoich myślach, dziewczyno, widzę cię na wskroś. I muszę powiedzieć, a nie łzę... – Tu Caroline urywa, aby zwiększyć napięcie. – ...że czytałam już w paskudniejszych myślach. Trzymają się w objęciach w ciemniejącym pokoju, po którym zaczyna rozchodzić się ciepło od ognia; wreszcie Sugar odzyskuje równowagę ducha, a pochyloną nad nią Caroline zaczynają boleć plecy.

– Auuu! – mówi starsza kobieta, udając, że skarży się na ból, po czym zwalnia uścisk. – Załatwiłaś mi plecy na cacy, nie ma co. Bolał mnie gorzej, niż kiedy klient każe mi unieść tyłek i nogi w górę, żeby zrobić to ze mną w takiej pozycji.

– Naprawdę muszę już iść – mówi Sugar i czuje, że bolesne parcie na pęcherz powraca ze zdwojoną siłą. – Robi się późno.

– Owszem, owszem. Gdzie moje buty? – Caroline wyciąga trzewiki spod łóżka, drażniąc się z Sugar i z niewinną miną machając jej przed oczami nocnikiem. Otwartą dłońią strzepuje brud ze stóp i wzuwa buciki. – Jeszcze jedno pytanie – dodaje, zaczynając je zapinać. – Zawsze przychodzi mi do głowy, żeby cię o to zapytać, kiedy już sobie pójdziesz. Pamiętasz, jak spotkałam cię kiedyś w sklepie papierniczym na Greek Street? Kupowałaś wtenczas wielki zapas papieru do pisania. Setki, całe setki kartek. Po co ci to było?

Sugar ociera piekące od płaczu oczy. Wystarczy najmniejszy impuls, by znów się rozpląkała.

– Nigdy ci o tym nie mówiłam? Piszę... pisałam... książkę.

– Książkę? – Caroline z niedowierzaniem powtarza jak echo. – Przysięgasz na Boga? Prawdziwą książkę, taką jak... jak... – (Rozgląda się po pokoju, ale dookoła nie widać żadnej książki, wyjąwszy nie większy od puszki po tytoniu Nowy Testament, który dostała kiedyś od pastora, a którym zatyka teraz mysią dziurę w boazerii). – ...taką jak w księgarni?

– Tak – wdycha Sugar. – Taką jak w księgarni.

– I co? Skończyłaś ją?

– Nie. – To wszystko, co Sugar zamierza powiedzieć, widzi jednak po minie Caroline, że to jej nie wystarczy. – Ale... – improwizuje – ...wkrótce zacznę pisać nową. Mam nadzieję, że lepszą.

– Będzie tam o mnie?

– Jeszcze nie wiem – odpowiada zrozpaczona Sugar. – Na razie ją tylko obmyślam. Caddie, ja muszę... skorzystać z twojego nocnika.

– Stoi pod łóżkiem, kochanie.

– Tylko nie patrz. – Sugar znów się rumieni, wstydząc się tym razem, że się wstydzi. Za dawnych lat ona i Caroline zachowywały się niczym zwierzęta w jakimś zdegenerowanym Edenie; gdyby kiedykolwiek powstała taka konieczność, mogłyby się położyć nago ramię przy ramieniu i rozłożyć nogi dla takich kreatur jak Bodley i Ashwell. Teraz jej ciało należy wyłącznie do niej i Williama.

Caroline rzuca jej dziwne spojrzenie, ale puszcza słowa Sugar mimo uszu. Żwawo przesiada się z łóżka na krzesło i wraca do zapinania butów, a Sugar przykuca nad nocnikiem poza zasięgiem jej wzroku.

Zapada cisza, w każdym razie w pokoju Caroline; na zewnątrz, na Church Lane, życie szumi, ryczy i głądzi dalej; dwóch mężczyzn zaczyna się kłócić, wykrzykując coś w chyba cudzoziemskim języku, a potem rozlega się chrapliwy śmiech jakiejś kobiety. Sugar natęża się, jak może, żeby sobie ulżyć, drżając jej kolana i pięści, ale nic z niej nie leci.

– Mów do mnie – prosi. – Co?

– Wszystko jedno.

Caroline zastanawia się przez chwilę. – Dziwka! – wrzeszczy ktoś na ulicy, po czym kobiecy śmiech cichnie w niewidocznej klatce schodowej.

– Pułkownik życzy se tym razem coś więcej niż whisky – mówi Caroline. – Chce tabaki.

Sugar wybucha śmiechem i – dzięki Bogu! – pod żółtą kopułą jej spódnic rozlega się wreszcie stłumiony odgłos ciurkającego do nocnika strumyczka moczu. – To dostanie tabaki.

– Gada, że ma być indyjska. Ciemna i kleista jak tabaka, co ją zażywał w Delhi, kiedy wybuchł tamten bunt.

– Jeżeli tylko można tu taką kupić, zdobędę ją bez względu na cenę. – Sugar wstaje ze łzami ulgi na twarzy i ukrywa dowód swej słabości pod łóżkiem, które obchodzi z daleka.

– Wiesz co? – trąluje dalej Caroline. – Chciałabym się znaleźć w jakiejś książce. Znaczą się, o ile napisałyby ją moja przyjaciółka.

– Dlaczego, Caddie?

– No, to chyba łatwo skumać, co nie? Wróg tak by cię opisał, że wyszłabyś na niezłe kró...

– Nie, chodziło mi o to, dlaczego chciałabyś być bohaterką książki?

– No... – Oczy Caroline robią się szkliste. – Wiesz, że zawsze chciałam, żeby ktoś namalował mój portret. A jak nie mogę mieć portretu... – Wzrusza ramionami, nagle onieśmielona. – To namiastka nieśmiertelności, co nie? – Widząc wyraz twarzy Sugar, Caroline wybucha ostrym prostackim śmiechem. – Ha! Nie myślałaś, że znam takie mądre słówka, co? – Znowu się śmieje, ale jej wesołość gaśnie w smutnym, bardzo smutnym uśmiechu, kiedy duch Henry'ego Rackhama wypływa bezpowrotnie przez komin w spirali dymu. – Nauczyłam się ich od jednego mojego przyjaciela.

Chcąc rozwiązać melancholijny nastrój, Caroline mruga do Sugar i mówi:

– No, muszę iść do roboty, kochanie, bo inaczej mężczyźni z tej parafii nie będą mieli kogo chędożyć poza swoimi żonami.

Po tych słowach przyjaciółki całują się na pożegnanie. Sugar schodzi po koszmarnych schodach sama, zostawiając Caroline, by mogła spokojnie dobrać dodatki do wieczorowej kreacji.

– A patrzaj pod nogi! – woła starsza kobieta. – Niektóre stopnie są zbutwiałe!

– Wiem! – odkrzykuje Sugar. Istotnie, kiedyś pamiętała dokładnie, którym stopniom można ufać, po których zaś stąpało już zbyt wielu ciężkich mężczyzn. Przylega do poręczy i w napięciu schodzi skrajem, gotowa przytrzymać się balustrady, gdyby drewno nagle zapadło się pod jej stopami.

– Nadciąga burza katastrof] – rzezi pułkownik Leek, wytaczając się *na* wózku z mrocznego cienia na dole.

Kiedy Sugar czuje wreszcie pod nogami twardy grunt, a raczej to, co uchodzi za takowy w butwiejącym domu Leeków, uznaje, że nie ma ochoty stać i wysłuchiwać bredni starucha ani ponownie obcować z charakterystycznym smrodem jego ciała, zanim to będzie konieczne.

– Doprawdy, pułkowniku, jeżeli zamierzasz zachowywać się w ten sposób podczas naszej następnej wizyty na farmie... – mówi ostrzegawczo, przeciskając się obok niego i podciągając spódnice, żeby nie otrzeć się o brudny wózek inwalidzki. Pułkownik jednak wcale nie czuje się przywołany do porządku, lecz obrażony, toteż stękając z wysiłku, rusza za Sugar. Dziewczyna przyspiesza odwrót w nadziei, że pozostawi Leeka daleko w tyle, ale starzec ściga ją przez całą długość wąskiego korytarza, ocierając się łokciami o ściany. Przemieszcza się z mozołem, a metalowy szkielec jego wózka zgrzyta i grzechocze.

– Jesień! – ujada jej pod nogami pułkownik. – Jesień przynosi wysyp nowych katastrof] Oto na stacji kolejowej w Penzance panna Delvinia Clough została pchnięta nożem w serce, a napastnika nie zdołano ująć. W Derry zawalił się nowo wybudowany budynek, w którego gruzach zginęły trzy osoby! Henry Rackham, brat tego perfumiarza, spłonął we własnym domu! Czy mniemasz, że zdołasz umknąć przed nadciągającym kataklizmem?

– Owszem, ty stary łajdaku – syczy Sugar rozgniewana na niego za to, że celowo czy nie, ujawnił przecież, iż jej tajemniczy George Hunt to postać fikcyjna. – Tak, mniemam, że uda mi się umknąć stąd w tej chwili! – I z tymi słowy otwiera drzwi gwałtownie, a potem wybiega z domu pani Leek, nie oglądając się za siebie.

– Ach, tym razem nie rób sobie kłopotu... Nie przywoź tego starca – mówi William, kiedy znów spotyka się z kochanką.

– Nie, to żaden kłopot – mówi Sugar. – Wszystko już załatwione. Będzie potulny jak baranek,

możesz być spokojny.

Siedzą na otomanie w salonie mieszkania przy Priory Close, całkowicie ubrani, i zachowują się tak przyzwoicie, jak tylko można by sobie życzyć. William nie ma teraz czasu na obłapki; na dywanie u jego stóp leżą dwa niewielkie, zmięte arkusiki papieru pakowego i kilka misternie ozdobionych papierowych opasek, a ostateczną decyzję musi podjąć przed odejściem następnej poczty. Sugar radzi mu, by wybrał wzory złoto-oliwkowe, albowiem wyglądają najlepiej, i William skłonny jest się z nią zgodzić, chociaż opaska błękitno-szmaragdowa też prezentuje się świeżo i higienicznie, a licząc w tysiącach sztuk, byłaby dużo, dużo tańsza. Co do samego papieru, to ustalili, że cieńszy bardzo ładnie przylega do mydła, podkreślając jego kształt, a potem tytułem eksperymentu spróbowali potraktować go brutalnie i okazało się, że można rozerwać ten papier tylko w warunkach, na jakie nie naraziłby opakowania żaden rozsądny sklepikarz. A zatem w tej sprawie William już podjął decyzję; teraz musi tylko wybrać wzór opaski, i dlatego odwraca wzrok od leżących przed nim próbek, ufa bowiem, że kiedy spojrzy na nie ponownie, pokieruje nim instynkt.

– Nie – mówi z uporem William. – Niech stary zostanie w domu.

Sugar dostrzega w jego oczach stalowy błysk i ogarnia ją lęk na myśl o tym, co może dla niej znaczyć. Czy to początek ochłodzenia ich stosunków? Na pewno nie – przecież zaledwie przed minutą powiedział jej z krzywym uśmiechem, że została jego „prawą ręką”. A zatem: jeżeli tylko pułkownik popadł w niełaskę, to z którym ze znanych sobie mężczyzn Sugar mogłaby pojechać do Mitcham, aby nie stracić szacunku w oczach pracujących na polu?

W mgnieniu oka dokonuje przeglądu wszystkich mężczyzn, jakich w życiu poznała: tam, gdzie powinna ujrzeć ojca, jest tylko mroczna pustka; potem widzi dwóch olbrzymich kamieniczników o gniewnych twarzach, przez których płakała jej matka (było to bardzo dawno temu, zanim pani Castaway skreśliła płacz z repertuaru swoich zachowań); pewnego „miłego dżentelmena”, który przyszedł ją ogrzać w nocy, kiedy straciła dziewictwo; a później wszystkich kolejnych mężczyzn, mglistą procesję półnagich ciał, przypominającą karnawałowe monstrum, złożone nie z dwóch, lecz z setek zrosniętych istot. Przypomina sobie pewnego jednonogiego klienta, bo jego kikut objął się o jej kolano; pamięta także cienkie wargi mężczyzny, któremu niemal udało się ją udusić, zanim Amy przybiegła jej z pomocą; pamięta jakiegoś idiotę o cofniętym czole, który miał większe piersi niż ona; pamięta gęsto porośnięte włosami męskie karki i zamglone kataraktą oczy; pamięta kutasy wielkości fasolki i wielkości ogórków, kutasy o purpurowych główkach, wygięte pośrodku albo wyróżniające się znamionami, pręgami, tatuażami oraz bliznami, pozostałymi po próbach samokastracji. W Upadku i wzlocie Sugar pomieściła części ciał wielu mężczyzn, których znała i porznęła wszystkich nożem z zemsty. Wielkie nieba, czy nie zna żadnego mężczyzny, który nie budzi w niej wstrętu?

– Mmu... Muszę przyznać, że w takim razie mam problem, bo nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby stanowić dla mnie odpowiednią eskortę – mówi, odsuwając od siebie pomysł przechadzki po polach z małym Christopherem pod rękę.

– Daruj sobie eskortę – mruczy Rackham, który znów skupia się na papierowych opaskach, leżących u jego stóp.

– Och, ależ Williamie – protestuje Sugar, nie wierząc własnym uszom. – Czy nie wybuchnie skandal?

William pochrząkuje z irytacją, bo znowu rozważa, czy lepiej wybrać złoto-oliwkową, czy raczej błękitno-szmaragdową opaskę.

– Do diabła, nie pozwolę się szantażować żadnym ptasim mózdzkom. Niechaj parobkowie szepczą między sobą, jeśli mają ochotę! Jeśli natomiast ośmielą się zrobić coś więcej, wylecą na zbity pysk... Boże wszechmogący, jestem szefem wielkiego przedsiębiorstwa i dopiero co pochowałem brata; mam poważniejsze zmartwienia, przez które nie sypiam w nocy, niż plotki, które rozsiewać mogą ludzie niższego stanu. – Rackham pochyla się mocno do przodu i chwytając ręką opaskę w złotooliwkowym kolorze. – Tam do kata z kosztami – oświadczają. – Podobają mi się, a to, co mnie się podoba, przypadnie także do gustu moim klientom.

Sugar, której kręci się w głowie z radości, obejmuje go, on zaś całuje ją po ojcowsku w czoło.

– List, musimy napisać list – przypomina jej William, by nie zaczęła zbyt dokazywać.

Sugar przynosi mu papier i pióro, a William błyskawicznie pisze list do drukarza. Potem, dziesięć minut przed odejściem ostatniej poczty, przystaje w holu i pozwala, by Sugar pomogła mu włożyć płaszcz.

– Jesteś skarbem – mówi wyraźnie, choć trzyma kopertę w zaciśniętych zębach. – Niezastąpiona, tylko tym słowem można cię określić.

Zapina szybko guziki, otrzepuje płaszcz i znika.

Oswobodzona z więzów powagi, Sugar podrywa się natychmiast, kiedy tylko zamykają się za nią drzwi. Wydając triumfalne piski, rusza w tan po pokojach, kręcąc piruety, aż wirują jej spódnice i włosy. Tak! Nareszcie będzie mogła iść u jego boku i mniejsza, co pomyśli o tym świat! Tak przecież powiedział, prawda? Ze nie pozwoli się szantażować jakimś ptasim mózdzkiem z powodu ich związku! Co za radosny, wielce radosny dzień!

Radość Sugar psuje jedynie to, że powinna złożyć kolejną wizytę na Church Lane, aby poinformować Leeków o zmianie planów. A może jednak nie musi ich wcale odwiedzać? Olsniona pewną myślą, sięga po czysty papier listowy, siada przy biurku i drżąc ze zdenerwowania, zanurza pióro w kałamarzu.

Droga pani Leek!

Moja wycieczka w najbliższy piątek została odwołana, a zatem nie przyjadę po pułkownika.

(Przez dłuższą chwilę nie może wymyślić nic więcej, potem jednak dodaje:)

Nie musicie zwracać mi pieniędzy, które wam dałam.

Z poważaniem,

Sugar

Mimo że na pewno już nie zdąży wysłać listu, dziewczyna przez następnych dziesięć albo piętnaście minut zastanawia się nad post scriptum, w którym chciałyby dopisać coś w rodzaju: *Proszę przekazać Caroline, że ją kocham*, choć nie aż tak wylewnie. Angielszczyzna, niestety, zna bardzo niewiele synonimów słowa „kochać”. Sugar bierze je wszystkie pod uwagę, ale ostatecznie prawdopodobieństwo, że pani Leek zechciałyby przekazać wyrazy czułości komukolwiek, a w szczególności jednej ze swoich rezydentek, wydaje się niewielkie. Zatem kiedy słońce znika, a nad Priory Close zaczyna się niepogoda, Sugar postanawia wstrzymać się ze swoim ckliwym wyznaniem, dopóki sama nie spotka Caroline. Zakleja list w kopercie, zamierzając wysłać go natychmiast, gdy tylko się przejaśni.

– Gotuj się! – krzyczy William Rackham do drepczących niespokojnie ludzi z pochodniami. – Doskonale, podpalać ognisko!

Wokół piętującego się stosu nad sękatymi gałęziami oraz szarymi liśćmi pochylają się pochodnie namoczone w łoju i już po trzydziestu sekundach zapach lawendy miesza się z wonią płonącego drewna. Mężczyznom twarze rozjaśniają się w uśmiechu, kiedy machając rękami, rozpraszają gryzący oczy dym: przywilej władzy, która pozwala rozpocząć dzieło zniszczenia, pochlebia skromnej dumie tych ludzi i rozświeśla, choćby tylko tego popołudnia, nędzną egzystencję robotników, pracujących na lawendowych plantacjach za dziewięć pensów dziennie i darmową lemoniadę.

– Do diabła, cosik mi się widzi, że potrzeba dużo więcej ognia, coby rozpaść ten stos – powiada jeden z nich, wymachując płonąca pochodnią jak mieczem. I rzeczywiście, widać, że niepodsypane ognisko prędzej zgaśnie, nim pochłonie górę wyrwanych z korzeniami roślin. W niebo zaczyna wzbijać się obłok dymu, który przesłania płynące coraz niżej chmury.

– To znak firmowy wysokiej jakości naszych produktów – William informuje Sugar. – Krzewy słabo się palą, ponieważ nie zostały całkiem wyjałowione; jest w nich jeszcze życie. Ale moja firma nie usiłuje wycisnąć szóstych zbiorów z roślin, które nie są już w pełni sił witalnych.

Sugar patrzy na niego, bo nie wie, co odpowiedzieć. William zwraca się do niej, jak gdyby

wciąż uchodziła za córkę albo wnuczkę jakiegoś leciwego kupca, która obwozi po polach nieobecnego pułkownika Leeka. Istnieje między nimi dystans, a nie – jak sobie wyobrażała – bliskość, która umożliwiłaby im spacer pod rękę.

– Widziałem kiedyś ognisko z sześcioletnich krzewów, stanęło w płomieniach, szuuuu! Jak sterta suchych paproci – mówi głośno William, przekrzykując gwar głosów i trzaski płonącego drewna. – Zapewniam cię, że olejek wydestylowany z tych ostatnich zbiorów byłby produktem zaledwie trzeciego gatunku.

Sugar kiwa głową, milczy i wpatruje się w rosnące płomienie. Drżąc z zimna, bo plecy owiewa jej chłodny wiatr, i krzywiąc się z gorąca, które bucha im w twarze, duma, czy rzeczywiście życie na wsi odpowiadałoby jej tak, jak to sobie kiedyś wyobrażała. Robotnicy kładą pochodnie wokół całego obwodu ogniska i rozmawiają o podsycaniu płomieni. Mówią z dziwacznym akcentem i Sugar zastanawia się, czy osiągnęła ostatnio taki poziom wyrafinowania, że już ich nie rozumie, czy może faktycznie są aż tak prości.

Robotnicy wydają się jej istotami z innej planety; w swoich strojach, na które składają się byle jak połatane buty, szorstkie, brązowe spodnie i bawełniane koszule bez kołnierzyków, wyglądają jak zwierzęta: zahartowane stado dwunogów, którym nie wadzi zimny wiatr ani gorące płomienie.

Jest wdzięczna losowi, że są tak pochłonięci ogniskiem, ponieważ dzięki temu poświęcają jej mniej uwagi, ona zaś pragnie uniknąć dzisiaj ich badawczych spojrzeń. Ubrała się w ciemną, spokojną suknię, nieprzypominającą krzykliwie lawendowego stroju, który przyciągał wszystkie oczy podczas jej pierwszej wizyty. Skoro nie może uwiesić się na ramieniu Williama, pragnie pozostać anonimowa.

Fale dymu, w którym roi się od wściekle strzelających wężyków iskier i węgla, biją w ciemniejące niebo; robotnicy wiwatują i śmieją się na widok rozżarzonych owoców ich wysiłków. Jednak kiedy lawendowe opary gęstnieją, dziewczyna coraz bardziej boi się, że zemdleje; strach ten jest całkiem uzasadniony, biorąc pod uwagę stan, w jakim znajduje się Sugar, dokucza jej bowiem brak snu, głód i przeziębienie, którego – jak podejrzewa – nabawiła się podczas wizyty w nieogrzewanej sypialni Caroline. Czy zatem lepiej oddychać głęboko, aby razem z oparami wciągać do płuc jak najwięcej świeżego powietrza, czy może powinna raczej wstrzymać oddech? Sugar próbuje obu rozwiązań i postanawia oddychać normalnie, o ile tylko zdoła. Szkoda, że nic nie zjadła przed wyjazdem na farmę! Ale już wtedy za bardzo kręciło się jej w głowie, tak niecierpliwie czekała bowiem na tę chwilę.

– Prawdopodobnie przez pewien czas nie będę mógł cię teraz odwiedzać – mówi nagle William, niemal muskając ustami jej zarumienioną twarz. Nie przemawia już głosem mistrza ceremonii, lecz mężczyzny, który wtula się w jej nagie ciało w miłosnym nastroju.

Zmącony umysł Sugar usiłuje zinterpretować jego słowa.

– Zapewne masz dużo zajęć o tej porze roku – mówi.

William machnięciem dłoni nakazuje robotnikom odstąpić od ogniska, albowiem nie muszą już go podsycać. Lawendowe opary najwyraźniej nie działają na niego tak jak na Sugar.

– To prawda, ale nie w tym rzecz – odpowiada półgębkiem William, odprowadzając wzrokiem odchodzących robotników. – Mam pewne problemy domowe... Nic nie układa się nigdy, jak należy... mówię ci, to istne gniazdo szerszeni... Boże, co za dom!...

Sugar koncentruje się z trudem, oszołomiona unoszącym się wokół aromatem lawendy.

– Chodzi o nianię Sophie? – zgaduje, ale choć sili się na współczujący ton, jej słowa (jak sądzi) brzmią chyba cokolwiek ostro.

– Domyślasz się prawdy... jak zawsze – mówi William, który teraz ośmiela się przysunąć do niej. – Tak, Beatrice Cleave złożyła wymówienie, niech Bóg błogosławi jej nieczułemu sercu. Nadal jest przeświadczona, że Sophie potrzebuje guwernantki, nie może się już doczekać, kiedy przeniesie się do pani Barrett, i niewątpliwie jest też niezadowolona, że przebywa w domu pogrążonym w żałobie.

– A czy tak trudno znaleźć guwernantkę? – pyta Sugar, której serce zaczyna walić jak młotem.

– To prawie niemożliwe. – William rzuca groźne spojrzenie. – Możesz być pewna, że w najbliższej przyszłości będę miał w związku z tym ręce pełne roboty. Marnych guwernantek jest

całe mnóstwo i nie ma żadnego sposobu, żeby się ich pozbyć, bo kiedy oferujesz żałośnie niską płacę, zgłaszają się tylko najgorsze kandydatki; a gdy proponujesz wysokie wynagrodzenie, wszystkie przedstawicielki płci niewieściej motywuje chciwość. Mój anons ukazał się w „Timesie” we wtorek wieczorem i już dostałem około czterdziestu listów.

– A czy guwernantki nie może wybrać Agnes? – ośmiela się spytać Sugar. – Nie.

– Nie?

– Nie.

Dziewczynie zaczyna kręcić się w głowie. Chwieje się na nogach, a serce bije jej tak mocno, że wprawia żebra w drżenie. Po chwili Sugar słyszy swój własny słaby głos:

– Williamie?

– Tak?

– Czy naprawdę żałujesz, że nie możemy mieszkać pod jednym dachem?

– Z całego serca – odpowiada natychmiast Rackham, nie tyle sentymentalnym, ile raczej znudzonym i poirytowanym tonem, jak gdyby przeszkody, stojące na drodze ich idealnemu związkowi, były denerwującymi restrykcjami handlowymi albo bezsensownymi przepisami. – Szkoda, że nie mogę po prostu machnąć czarodziejską różdżką!...

– Williamie? – Sugar z trudem łapie oddech. Czuje, że język ma spuchnięty od lawendy, a ziemia, na której stoi, zaczyna powoli wirować niczym ogromny korek na oceanie, tak ogromnym i ciemnym, że całkiem niewidocznym. – Cny... Chyba mam dla ciebie rozwiązanie... Znaczy... dla nas. Pozwól mi zostać guwernantką twojej córki. Mniemam, że mam wszystkie niezbędne kwalifikacje i wiedzę, z wyjątkiem znajomości muzyki, któ... której nauczę się z książek, jestem tego pewna. A Sophie mogłaby przecież trafić na gorszą guwernantkę niż ja, która uczyłabym ją czytania, pisania, arytmetyki i d... dobrych manier.

W blasku ognia oblicze Williama wydaje się zniekształcone. Rackham ma zaczerwienione oczy od płomieni i obnaża ognistożółte zęby w odruchu zdumienia albo oburzenia, a tymczasem Sugar rozpaczliwie prosi dalej:

– Mogłabym... mogłabym zamieszkać w pokoju, który zajmuje teraz niania Sophie... To nieważne, jeśli jest bez wygód. Czułabym się szczęśliwa, gdybym tylko mogła być blisko ciebie...

Jej głos załamuje się na ostatnim słowie, przechodząc w cichy szloch. Sugar stoi, chwiejąc się na nogach, i ciężko dyszy w oczekiwaniu na odpowiedź Williama, który powoli, och, jak bardzo powoli, odwraca się do niej. Wielkie nieba, usta wykrzywia mu grymas obrzydzenia!...

– Nie chcesz chyba... – zaczyna, ale przerywa mu jakiś gburowaty, wieśniaczy głos:

– Wielmożny panie Rarck'm! Czy mogię na słówko?

William odwraca się, żeby odpowiedzieć intruzowi, a Sugar nie jest w stanie ustać dłużej na nogach. Całe ciało dziewczyny przebiega fala mdlącego gorąca, a kiedy wewnątrz jej czaszki zalewa ciemność, Sugar traci przytomność i pada na ziemię. Nie czuje nawet uderzenia, tylko – o dziwo – chłodne żdźbła trawy, które kłują ją w twarz.

Potem, po bardzo długim czasie, Sugar odnosi jakby dalekie wrażenie, że ktoś bierze ją na ręce i niesie, ale kto i dokąd, tego nie wie.

Część czwarta

Na łonie rodziny

Przez całą długą noc tysiące galonów deszczu, skraplającego się z wszystkich bez wyjątku wyziewów londyńskich ulic i słodkich oparów dalekich jezior, spadają z nieba na dom w Chepstow Villas. Jedno z okien sypialni lśni w ciemności niczym latarnia morska, a kiedy nawałnica przybiera na sile, samotne światełko chwieje się, jak gdyby dom unosił się na falach. O świetle jednak okazuje się, że rezydencja Rackhamów stoi na swoim miejscu, a ciemne chmury opadają z siłą i wygląda zza nich blade, czyste niebo. Burza – na razie – przeszła.

Mimo to dom i teren rezydencji stoją w błyszczących pozostałościach potopu. Alejka dojazdowa spływa wodą, a drobny, czarny żwir, którym jest wysypana, ziarnko po ziarnku sunie ku bramie wejściowej. Wokół domu tryska z rynien roziskrzona woda, która ścieka też po ścianach willi i obmywa okna, chociaż są już nieskalanie czyste. W ogrodzie listki jarzą się w blasku słońca, a gałęzie wiszą nisko nad ziemią – natomiast szpadel, wczoraj mocno wbity w ziemię, pochyła się właśnie i przewraca.

W kuchni, w suterenie, tocząca wokół kaprawymi oczami, Janey wyciera kałuże wody, która dostała się w nocy do domu przez zatłuszczone otwory wentylacyjne, okno w zmywalni i klatkę schodową. Dorzuca węgla pod miedziane kotły, żeby wyschła podłoga i odtajały jej palce, zanim zabierze się do nieco bardziej skomplikowanej roboty. Chociaż nie widzi jeszcze światła dziennego, słyszy ptaki, które powoli zaczynają śpiewać.

Gdyby Sugar znajdowała się teraz w alejce przy Pembridge Crescent, pod osłoną drzew, skąd kilka miesięcy temu machała do pani Rackham, zobaczyłaby, że małżonka Williama stoi już w oknie sypialni i wygląda na świat przez błyszczącą szybę. Agnes spała bowiem niemal bez przerwy wczorajszego popołudnia i od tamtej pory nie zmrużyła oka przez całą ciemną noc, czekając, aż słońce pójdzie za jej przykładem i wstanie. Na biegunie północnym (o ile może ufać temu, co piszą w książkach) przez cały czas panuje dzień, a nigdy noc, co z pewnością przypadłoby jej do gustu. Nie całkiem rozumie jednak, jak to jest: czy w takim razie na biegunie czas stoi w miejscu? A jeżeli nie, to może chociaż nie zwiększa się tam liczba przeżytych przez człowieka lat? Agnes zastanawia się, co by wołała: nie zmieniać się nigdy, ponieważ dookoła nic nigdy się nie zmienia, czy też oswiecić, pozostając na zawsze dwudziestotrzyletnią kobietą? Oto łamigłówka, dzięki której może ćwiczyć swój umysł.

Obawiając się, że ryzykuje ból głowy już na początku dnia, Agnes zapomina o biegunie północnym i zamiast o nim myśleć, idzie przez ciemny i milczący dom, schodzi po schodach i wędruje dalej korytarzami, aż wreszcie dociera do ciepłej i jasnej kuchni, w której wre praca. Służących nie dziwi jej widok, albowiem ostatnio składa tu wizyty co dnia – wiedzą, że nie przyszła się poskarżyć, nie przerywają więc pracy. Otoczona mgiełką smakowitej pary, nowa podkuchenna – jak ona się nazywa? – wyjmuje z pieca świeży bochen wiedeńskiego chleba, a kucharka wyciąga widelcem z misy z marynatą baranie ozory, wybierając te tylko, które jej pan uznać może za godne swego stołu.

Agnes idzie prosto do zmywalni, gdzie Janey, wyczyściwszy już kamienny zlew, szoruje zlew drewniany. Dziewczyna stoi na palcach, a jej pośladki kołyszą się z wysiłku; usiłując stękać i sapać jak najciszej, nie zauważa wejścia pani Rackham.

– Gdzie jest nasz Puss?

Janey podrywa się, jak gdyby dostała kuksańca, ale szybko powściąga nerwy.

– Pewnikiem siedzi za tamtym kotłem, psze pani – mówi, wskazując kierunek spuchniętą, czerwoną ręką. Zastanawiasz się, dlaczego Janey i Agnes mówią o kocie Henry’ego per „on”? Ponieważ kotka Henry’ego, wbrew temu, co mówiono dotąd, okazała się samcem. Rankiem, kiedy kot pojawił się w kuchni Rackhamów, kucharka podniosła go do góry za ogon, by sprawdzić, jakiej jest płci – czego nieszczęsny Henry Rackham najwyraźniej nigdy nie uczynił.

Agnes przykłęka na gładkiej posadzce przed największym kotłem.

– Nie widzę go – mówi, usiłując przebić wzrokiem cień.

Janey jest przygotowana na taką ewentualność: sięga po miseczkę, do której podkuchenna wrzuciła kilka ochłapów, jak królicze i kurze serca, szyjki oraz nerki, po czym stawiają w pobliżu kotła. Puss wyłania się natychmiast zza kotła, mruczac sennie.

– Kochany Puss – mówi Agnes, gładząc go po grzbiecie miękkim jak mufka i gorącym niczym świeżo wyjęty z pieca chleb.

– Nie jedz tego paskudztwa – radzi zwierzakowi, który obwąchuje ciemne, lepkie podroby. – Janey, przynieś śmietankę.

Dziewczyna wykonuje polecenie, a Agnes wciąż gładzi kota, drażniąc go, niewoląc i zarazem zmuszając powolnymi, rytmicznymi ruchami, żeby położył się na brzuszku w odległości zaledwie kilku cali od miski.

– Dzisiaj przychodzi twoja nowa pani – mówi. – O tak. Potrafisz łamać serca, prawda? Ale oddam cię jej, oddam. Będę bohaterska i zadowolę się wspomnieniami. Ty mały czarodzieju. – Agnes znów głaszcze zwierzę i znowu nie pozwala mu dobrać się do mięsa.

– Ach! – wykrzykuje zachwycona, kiedy Janey wraca z porcelanową miseczką. – Masz tu swoją śliczną, czystą, białą śmietankę. A teraz pokaż mi, co potrafisz z nią zrobić.

Rankiem ostatniego dnia, jaki spędzi w mieszkaniu przy Priory Close, Sugar siedzi przy biurku, drży z zimna na całym ciele i wygląda przez nakrapiane deszczem okno do ogródka. Świadomość, że wkrótce będzie musiała go porzucić, czyni nagle to miejsce niezwykle cennym, choć kiedy tu mieszkała, nie uczyniła nic, aby nim się zająć; padające od kilku tygodni ulewne deszcze powymywały ziemię z zadbanych grządek, łodygi azalii wieńczą smętnie zwisające brunatne, przegniłe kwiaty, a o szybę wspiera się od zewnątrz mokra kupa zwiędłych liści. Ach, ale to przecież mój ogród, myśli Sugar, zdając sobie sprawę, że zachowuje się idiotycznie.

Prawdę mówiąc, właściwie każdy cal mieszkania wywołuje w niej ukłucie nostalgii albo poczucie straty, i to pomimo całego niepokoju i niezadowolenia, jakich tu doświadczyła. Spędziła przy Priory Close tyle długich godzin, krążąc samotnie po mieszkaniu, a teraz żałuje, że się stąd wyprowadza! Obłąd.

Bez przerwy trzęsie się z zimna. Wygasła ogień już dawno, a żeby William, kiedy tylko przyjedzie, nie musiał czekać, i dlatego zrobiło się chłodno. Mieszkanie zdaje się teraz jeszcze zimniejsze, ponieważ pozbawiono je już ozdób i wystroju, a blade, jesienne światło, mieszające się niepokojąco ze światłem lamp gazowych, sprawia, że ogołoczone ściany wyglądają nawet gorzej niż przedtem. Dłonie Sugar zbieleły z zimna, a z atramentowoczarnych rękawów jej sukni wystają bezkrwiste nadgarstki; kiedy chucha na kłykcie, jej oddech okazuje się letni i wilgotny. Jest cała ubrana na czarno, włożyła już nawet żałobny czepek i trzyma w pogotowiu rękawiczki na kolanach. Cały dobytek, który chce zabrać ze sobą, zgromadziła na prośbę Williama w salonie, skąd łatwiej będzie go wynieść; reszty na pewno Rackham jakoś się pozbędzie. Wszystkie nawet nieznacznie poplamione rzeczy – jak prześcieradła, ręczniki albo ubrania – wyrzuciła już na ulicę, nie bacząc, ile kosztowały, uznała bowiem, że przydadzą się zbieraczom starzyzny. (Deszcz już je zmoczył, ale przy odrobinie ciepłości jakiś nieszczęśnik z pewnością zdoła jeszcze coś z nich odzyskać).

W dyskusji, jaką odbyła z Williamem na temat przeprowadzki, nie wspominali o łóżku, choć Sugar sądzi, że jej nowa kwatera okaże się naprawdę bardzo maleńka. Zastanawia się, na przykład, czy będą mieli dość miejsca, żeby wyciągnąć nogi i robić to wszystko, co zwykle robią na łóżku. Na myśl o tym, że jej nagie stopy wysuwają się gwałtownie przez okienka maleńkiego, ostro sklepionego stryszku, jak gdyby była postacią z *Alicji w Krainie Czarów*, dziewczyna chichocze, tłumiąc atak histerycznego śmiechu.

Na jaką posadę się zgłosiła, na Boga? Za kilka godzin będzie jedyną osobą odpowiedzialną za Sophie Rackham – *jak ona sobie z nią poradzi, u licha?* Jest przecież uzurpatorką i tak skandalicznie jawną oszustką, że... nawet dziecko przejrzy ją na wylot! Od nauczycielki wymaga się znajomości różnych twierdzeń, sentencji i złotych myśli, ale co znajduje w swojej pamięci Sugar, gdy łamie sobie głowę w ich poszukiwaniu?

Znajduje pewne zdarzenie sprzed bodaj pięciu lat, kiedy wkrótce po wyjściu klienta obdarzonego iście końskim prąciem do jej łóżka została wezwana matka. Obejrawszy obrażenia,

jakich doznała Sugar, pani Castaway uznała, że rozerwanego przyrodzenia córki nie trzeba będzie zszywać, bo samo się zrośnie, a kiedy zamykała już apteczkę, udzieliła dziewczynce doskonałej porady, jak unikać „krwawych ran między nogami”:

– Zapamiętaj sobie: wszystko boli bardziej, jeśli się opierasz.

– Twoje ozdrowienie to ponoć istny cud, pani – zwraca się Agnes Rackham do Emmeline Fox.

Pani Fox mamrocze pod nosem słowa podziękowania, otrzymawszy od Rose kakao i kawałek ciasta.

– Cuda zdarzają się rzadko – delikatnie, lecz stanowczo przypomina swojej gospodyni. – A Bóg czyni je zazwyczaj tylko wtedy, kiedy zawiodą wszystkie inne środki. Ja wolę myśleć, że zostałam wyleczona dzięki troskliwej opiece.

Ale Agnes nie chce o tym słyszeć. Oto siedzi przed nią kobieta, którą widziała ostatnio, kiedy kulała boleśnie przed kościołem niczym groteskowe *memento mori*, wzbudzając nieprzyzwoite szeptki, pełne obrzydzenia i litości. A dzisiaj pani Fox jest chyba w nadzwyczajnej formie i widać to szczególnie na jej twarzy; kości czaszki Emmeline, które tak upiornie mocno odciskały się pod skórą jej twarzy, otula teraz szczelnie warstwa mięśni, a oczy córki doktora Curlew nie są już zapadnięte. Ba, pani Fox wygląda niemal ładnie! Poza tym nie zapominajmy, że przyszła bez laski, przybrawszy równie zdecydowaną, jak i tajemniczą postawę, która świadczy o tym, że tchu i sił wystarczy jej na cały dzień.

– Przebywałaś w Klasztorze Zdrowia, prawda? – szepcze Agnes.

– Nie, w szpitalu św. Bartłomieja – odpowiada pani Fox. – Pisałaś do mnie, pani, kiedy tam leżałam, co z pewnością pamiętasz... – Ale Emmeline wcale nie jest pewna, czy Agnes pamięta, że pisała do niej listy, ponieważ szczerze powiedziawszy, odnosi wrażenie, że pani Rackham jest dzisiaj nieco roztrzępiona i rozkojarzona. Na przykład w holu stoją walizki, stos pudeł na kapelusze, zwinięte parasole i tak dalej, co wskazuje wyraźnie, że jeden z domowników wyprowadza się, lecz kiedy Emmeline taktownie zagadnęła o to Agnes, ta wydawała się nie słyszeć pytania.

– Może przyszłam nie w porę? – Emmeline zarzuca haczyk po raz wtóry. – Te walizki w holu...

– Ależ skąd! – mówi Agnes. – Mamy jeszcze kilka godzin.

– Na co?

Ale na nieuprzejme wścibstwo pani Rackham reaguje identycznie jak na dużo subtelniejsze indagacje.

– Mamy jeszcze kilka godzin czasu, zanim być może przeszkodzi nam w rozmowie coś, co i tak nas w żaden sposób nie dotyczy.

Rose podsuwa jej srebrną tacę, z której pani Rackham bierze kawałeczek ciasta, leżący z samego brzegu po lewej stronie, gdzie zgodnie z otrzymanymi dyspozycjami służba kładzie zawsze najcieńsze kawałki. Ten, który Agnes trzyma w palcach, jako jedyny wyszedł cało z wielu nieudanych prób pokrojenia ciasta rozgrzanym nożem w kuchni na dole i jest tak cieniutki, że przez owoce prześwituje światło stojących w salonie lamp.

– Ależ pani Fox – uśmiecha się sztucznie Agnes, skubiąc kawałeczek wilgotnego ciasta. – Czy chcesz powiedzieć, że z paszczy... no wiesz, z czyjej paszczy, pani, nie wyrwało cię coś niezwyklejszego niż troskliwa opieka?

Emmeline zaczyna się zastanawiać, czy podczas długich miesięcy jej niedyspozycji zasady konwersacji towarzyskiej nie uległy przypadkiem radykalnej zmianie: cóż to za przedziwne *tête-à-tête!* Mimo to odpłaci pani Rackham pięknym za nadobne.

– Nigdy nie rozpowiadałam na prawo i lewo, że mam suchoty. Ludzie twierdzili, że cierpię na gruźlicę, a ja nie zaprzeczałam. Są chyba ważniejsze tematy, o które warto się spierać, nie sądzisz, pani?

– Henry byt absolutnie pewien, że spoczywałaś już na łożu śmierci – mówi niezrażona niczym pani Rackham.

Pani Fox z niedowierzaniem mruga powiekami i przez chwilę można odnieść wrażenie, że za chwilę wybuchnie. Potem jednak głowa Emmeline osuwa się na oparcie fotela, a jej duże, szare oczy wilgotnieją.

– Henry widział mnie w najgorszym stanie, to prawda – wdycha pani Fox. – Zapewne byłoby dla niego lepiej, gdybym zniknęła na jakiś czas i powróciła dopiero, kiedy byłoby po wszystkim. – Wpatrując się znad przepaści tragedii w zamgloną dolinę nieodległej przeszłości, w której ciągle można dostrzec Henry’ego, Emmeline nie zauważa, że Agnes kiwa infantylnie głową, zelektryzowana jej słowami, które (jak mniema) dopuszczają ingerencję mocy nadprzyrodzonych. – Wciąż jednak powtarzałam mu, że wyzdrowieję. Pamiętam, że opowiadałam Henry’emu o czymś, co nazywam danym mi od Boga kalendarzem moich dni. Nie wiem dokładnie, ile zawiera stron, ale czuję, że pozostało mi ich znacznie więcej, niż powszechnie sądzono.

W tym momencie Agnes skręca się niemal z podniecenia. Och, jak to by było cudownie mieć w sobie taki magiczny kalendarz i stwierdzić (wbrew statystykom z tego makabrycznego artykułu w gazecie, którego najzwyczajniej nie umie wymazać z pamięci), że pozostało jej więcej niż dwadzieścia jeden tysięcy dziewięćset siedemnaście dni życia na ziemi! Czy ośmieli się zażądać wyjawienia tej tajemnicy, tu i teraz, w swoim salonie, owego chłodnego przedpołudnia na początku listopada? Nie, rozumie, że musi postępować ostrożnie: pani Fox przybiera bowiem pewną specyficzną, zagadkową minę, którą Agnes poznaje, widziała ją bowiem na portretach mistyków i ludzi, którzy w minionych stuleciach przeżyli własną śmierć. Ba, choćby w książce zatytułowanej *Ilustrowane świadectwa spirytualizmu*, którą ukrywa pod haftowaną właśnie robótką, znajduje się wykonana na podstawie fotografii rycina, przedstawiająca pewnego czerwonoskórego amerykańskiego dżentelmena z „naszyjnikiem” z jadowitych węży na szyi i twarzą wprost niesamowicie przypominającą oblicze pani Fox!

– Proszę, powiedz mi jednak, pani, co przyniosłaś w tej paczce? Emmeline z wysiłkiem przerywa zadumę i sięga po leżący na podłodze ciężki, owinięty w papier pakunek, wsparty o nogę fotela.

– Książki – odpowiada, wyciągając jakiś dziewiczo wyglądający tom, który podaje pani Rackham. Potem podsuwa jej kolejno pozostałe książki: są to cienkie rozprawy o takich tytułach, jak *Pobożność chrześcijańska w stosunkach codziennych*, *Głupota archeologów* oraz *Mysł Carlyle’a i doktryna chrześcijańska: przyjaciele czy wrogowie?*

– Mój Boże – mówi Agnes, próbując okazać wdzięczność, choć jest rozczarowana, albowiem te publikacje raczej nie zwiastują treści, z którymi chciałyby się zaznajomić. – To bardzo wielkodusznie z pani strony...

– Jeśli spojrzysz na strony przedtytułowe, pani, przekonasz się, że wielkoduszność nie ma tu nic do rzeczy. Te książki należą do twojego męża, a w każdym razie są mu dedykowane jako prezenty od Henry’ego. Nie mam pojęcia, w jaki sposób trafiły z powrotem do niego, ale pomyślałam, że powinnam je wam oddać.

Zapada niezręczna cisza i Agnes uznaje, że podczas tej wizyty prawdopodobnie niczego więcej już się nie dowie.

– Cóż – mówi pogodnie. – Może zejdziemy na dół do kuchni i sprawdzimy, czy nikt tam na panią nie czeka?

Mijają ponad dwie godziny, kiedy Sugar po raz pierwszy pomyślała, że William się rozmyślił, i przeszło godzina, odkąd przekonana, że nigdy więcej już go nie zobaczy, rozpląkała się rzewnymi łzami ze strachu i żalu nad sobą, gdy powóz Rackhama z hałasem zatrzymuje się przed domem i William puka do drzwi.

– Wcześniej nie mogłem – oświadcza sucho.

Potem nie odzywa się już ani jednym słowem, woli bowiem nadzorować woźnicę, który ładuje bagaże na dach broughama. Sugar, nie otrzymawszy polecenia, żeby czekać, ani zaproszenia, żeby wyjść, kręci się w holu, sztywna niczym wieszak na okrycia, podczas gdy objuczony Cheesman z głupkowskim uśmiechem na twarzy wchodzi i wychodzi ociężałym krokiem z domu. Naciągając ciasne, czarne rękawiczki, Sugar dostrzega kątem oka, jak stangret dźwiga jedną z jej walizek na swoich szerokich barach. Zdaje się jej, że słyszy, jak Cheesman węszy wokoło, spodziewając się odkryć jakieś kompromitujące ją zapachy. Jeśli tak jest w istocie, to szuka na próżno, bo zapach powietrza w mieszkaniu jest jakiś dziwnie sterylny.

Kiedy załadunek dobiega końca, William gestem nakazuje jej opuścić dom, Sugar wychodzi więc za nim na ulicę.

– Proszę uważać, panienko – radzi jej rozbawiony Cheesman, gdy kilka chwil później dziewczyna gramoli się do powozu Rackhamów, czując na pośladkach delikatne muśnięcia jego dłoni. Odwraca się, żeby przesyć go ostrym niby sztylet spojrzeniem, ale Cheesman znika.

– Tak się cieszę, że cię widzę – szepcze Sugar do swego wybawiciela, układając szeleszczący nadmiar czarnych spódnic na siedzeniu naprzeciw.

W odpowiedzi William przykładą do ust palec wskazujący i unosi krzaczaste brwi, wskazując kozioł, gdzie siedzi Cheesman, który chwyta właśnie za lejce.

– Zostawmy to na później – upomina ją szeptem.

Wielkie drzwi frontowe rezydencji Rackhamów uchylają się nieznacznie, a potem szerzej, kiedy służąca spostrzega swojego pana i nową guwernantkę. Zawiasy skrzypią, ponieważ drzwi założono ledwie w zeszłym tygodniu: są to masywne, imponujące wierzeje, ozdobnie intarsjowane i opatrzone starannie wyrzeźbioną literą „R”.

– Letty – oznajmia majestatycznie William Rackham. – To jest panna Sugar. Służąca dyga. – Dzień dobry, panienko. – Nie otrzymuje jednak żadnej odpowiedzi.

– Witaj w domu Rackhamów – mówi sam pan domu. – Mam nadzieję... nie, wierzę, że będziesz u nas szczęśliwa.

Sugar przekracza próg i wchodzi do holu, gdzie natychmiast otaczają ją oznaki zamożności. Nad jej głową zwiesza się gigantyczny żyrandol, rozświetlony wpadającym przez okna słońcem. Ogromne wazony z kwiatami, porośniętymi tak bujnym, zielonym listowiem, że przypominają krzewy, stoją na politurowanych stolikach po obu stronach szerokich schodów. Na ścianach, tam, gdzie pozostało choć kilka stóp wolnego miejsca, wiszą w pięknych ramach obrazy, przedstawiające sielankowe pejzaże. Przy wejściu do łukowato sklepionego korytarza, prowadzącego do jadalni i salonu, kołysze się złociste wahadło szafkowego zegara – którego tykanie słychać równie wyraźnie jak niepewne kroki Sugar na gładkiej, wyłożonej posadzką podłodze. Wzrok dziewczyny śledzi spiralę mahoniowych poręczy w kształcie litery „L” aż po następną kondygnację; przebiegają dreszcz emocji, bo wie, że gdzieś tam, na górze, na tym samym piętrze, które zajmują Rackhamowie, mieści się także jej pokój.

– Bardzo piękny dom – mówi Sugar, zbyt poruszona jego widokiem, aby mieć pewność, czy rzeczywiście tak myśli. Gospodarz wykonuje powitalne gesty; pokojówki biegają tu i tam; bagaże jej poprzedniczki stoją w holu – a całe to zamieszanie powstało z jej przyczyny; czuje się więc jak bohaterka powieści Samuela Richardsona albo sióstr Bell, których nazwisko jednak wcale nie brzmi „Bell”, tylko jakoś inaczej, ale jak? W głowie dźwięczy jej tylko „Bell, Bell, Bell”, jak dzwon... I nie może sobie przypomnieć prawdziwego nazwiska tych sióstr...

– Panno Sugar?

– Tak, tak, proszę mi wybaczyć – mówi, gwałtownie się ocknąwszy. – Podziwiałam tylko...

– Pozwól, że pokażę ci twój pokój – mówi William. – Letty, Cheesman pomoże wnieść bagaże na górę.

Idą razem po schodach, sunąc dłońmi po gładkich poręczach, jedno z lewej, drugie z prawej strony, dzieli ich więc stosowny dystans, a kroki obojga tłumi pokrywający schody dywan. Sugar przypomina sobie, ile razy wchodzili wspólnie na piętro w domu pani Castaway; a szczególnie wyraźnie pamięta ów pierwszy raz, kiedy William był jeszcze próżniakiem w tarapatach finansowych, nędzną, zastraszoną kreaturą, owładniętą wściekłym pragnieniem, by rzucić na kolana cały świat. Zerka na bok, idąc z nim teraz po schodach: czy ten brodaty dżentelmen naprawdę jest tym samym George'em W. Huntem o dziecinnej twarzy, który niecały rok temu błagał, żeby Sugar zechciała go „poniżyć”?

„Nie ma nic takiego, na co nie zgodziłabym się z najwyższą przyjemnością”, zapewniła wtedy.

– A oto twój pokój – oznajmia William, który wskazawszy Sugar drogę na piętro, wprowadza ją teraz do środka przez otwarte na oścież drzwi.

Pokój jest mniejszy i skromniejszy, niż się spodziewała. Przy pojedynczym oknie stoi wciśnięte

pod ścianę wąskie, drewniane łóżko, starannie zaślane kołdrą i flanelowymi kocami. Na bladożółtej, brzozonej komódce z uchwytemi z białej porcelany przycupnęło lusterko na stojaku, osadzone w zawiasach. Dalej widać stół, dość wygodnie wyglądający fotel i małe stoliki. Na więcej mebli po prostu nie ma tu miejsca. Plamki haczyków po obrazach, wiszących kiedyś na splewiałej niebieskiej tapecie, przypominają rozgniecione owady; przy kominku stoi pusty, brzydki wazon ceramiczny. Nagie deski podłogowe, chociaż nie wszystkie, zakrywa spory dywan niezłej jakości, choć nie jest tak wspaniałej roboty jak perskie kobierce, które widziała na dole.

– Beatrice żyła i mieszkała bardzo skromnie – przyznaje William, zamykając za nimi drzwi. – Nie chcę przez to powiedzieć, że musisz żyć tak samo... chociaż powinnaś zrozumieć, że istnieją granice stanu posiadania guwernantki, których nie należy jawnie przekraczać.

Pocatuj mnie tylko, myśli Sugar, wyciągając do niego rękę, którą po krótkim jak mgnienie oka wahaniu William ujmuje i ściska niczym dłoń współpracownicy w interesach.

– Potrafię żyć skromnie, naprawdę – mówi Sugar, czerpiąc pociechę ze wspomnienia (bardzo niedawnego) drżących palców Williama, zaciśniętych na jej nagich biodrach.

Słysząc pukanie do drzwi i William rozluźnia uścisk, żeby wpuścić służącą, po czym bez słowa opuszcza pokój dostojnym krokiem. Wchodzi Letty, przechylona na bok pod ciężkim brzemieniem sakwojaża Sugar, zawierającego, między innymi, rękopis jej powieści. Na widok służącej, którą pękaty bagaż przyciąga do ziemi, Sugar podbiega bliżej i próbuje przejąć od niej ciężar.

– Oooch, dam sobie radę, panienko, naprawdę – woła dziewczyna, wzburzona tym, co najwyraźniej stanowi dla niej szokujące naruszenie dobrych obyczajów. Sugar cofa się, skonfundowana; jeżeli w domowej hierarchii stoi znacznie wyżej ponad służącymi, to skąd pochodzi jej głęboko ugruntowane mniemanie, że guwernantki muszą być pokorne i wszyscy nimi gardzą? Przypuszcza, że z lektury powieści – ale czyż powieści nie są ekstrawagancko upiękkszöną prawdą?

Na schodach słysząc człapanie obutych stóp postępującego z wysiłku potężnego mężczyzny i Letty wybiega z pokoju, żeby wpuścić Cheesmana. Stangret wchodzi ciężkim krokiem, przyciskając walizkę do piersi.

– Powiedz tylko, gdzie ją postawić, panienko – uśmiecha się szeroko. Sugar rozgląda się po małym pokoiku, który już wydaje się jej za ciasny, choć stoi w nim zaledwie jeden sakwojaż.

– Na łóżku. – Wskazuje mebel, zdając sobie sprawę, że ze wszystkich możliwych odpowiedzi ta właśnie najprawdopodobniej pobudzi srośną wyobraźnię Cheesmana, ale... cóż, poza łóżkiem nie ma tu właściwie innego miejsca, na którym Sugar mogłaby się wygodnie rozpakować.

– Się wie, że na łóżku jest najlepiej, panienko.

Sugar przygląda mu się, kiedy mija ją chwiejnie, żeby z przesadną delikatnością postawić walizkę na łóżku. Jest wysoki, a zdaje się jeszcze wyższy ze względu na sięgający kolan, zapinany na mosiężne guziki płaszcz, szczupłą budowę ciała i smukłe palce. Ma pociągłą, ospowatą twarz o przypominającym siodło podbródka, rozwichrzone, znamionujące twardego charakter brwi, kędzierzawe, ciemne, poskromione oliwką i grzebieniem włosy oraz usta pełne równych, białych zębów, stanowiących wyraźnie najbardziej niezwykły (biorąc pod uwagę pochodzenie Cheesmana) element jego aparycji, z którego zresztą jest najbardziej dumny. Chociaż okrywa go gruby płaszcz, męska arogancja wystaje spod niego niby niewidoczna pika, na którą nadzieja kobiety. Już w chwili, kiedy się do niej odwraca, unosi beczelnie brew i pyta: „To wszystko, panienko?”; Sugar wie, jak będzie go traktować.

– Na razie tak. – Odpowiada powściągliwie, ale wprawnie przybiera minę i pozę sugerującą, że mogłaby go pożądać nawet wbrew samej sobie; jest to wielce wyrafinowana poza, której nauczyła się kiedyś od pewnej dziwki imieniem Lizzie, a którą potem udoskonaliła, ćwicząc przed lustrem. Łączy w sobie strach, pogardę i bezradne podniecenie, które mężczyźni pokroju Cheesmana wzbudzają (jak sądzą) wszędzie, gdzie tylko się pokażą.

Głupawy uśmieszek oraz iskry w oczach wychodzącego woźnicy upewniają ją, że podjęła właściwą decyzję. Nie może mieć nadziei, iż Cheesman wymaże z pamięci to, co już wie; dla niego pozostanie na zawsze dziwką Williama, a nie guwernantką Sophie, niechaj zatem cieszy się marzeniem, że pewnego dnia wpisze ją na listę swoich zdobyczy. Sugar musi tylko zachować

delikatną równowagę między przyciąganiem go i odpychaniem, a wówczas oczaruje stangreta na tyle, by nie chciał wyrządzić jej krzywdy i nie odważył się nigdy posunąć tak daleko, by ryzykować utratę swojej posady.

Dobrze, w takim razie Cheesmana mam już z głowy, myśli Sugar, tłumiąc odruch paniki, jak gdyby wszyscy domownicy Rackhamów nie byli niczym innym, jak tylko problemami, które należy rozwiązać.

Podchodzi do łóżka, opiera się rękami o walizkę i wygląda przez okno. Niewiele z niego widać: tylko pusty, mokry od deszczu pas ogrodu, okalającego rezydencję Rackhamów... Ale Sugar nie musi przecież już więcej nikogo szpiegować, prawda? Tak! Jej wysiłki nie poszły na marne, staranna pielęgnacja Williama została nagrodzona, i oto dziewczyna znalazła się dzisiaj tu, w bezpiecznym schronieniu pod dachem domu Rackhama, z błogosławieństwem zarówno jego, jak i Agnes! Naprawdę nie ma powodów, żeby bebechy drżały jej z niepokoju...

– Panno Sugar?

Sugar wzdyga się, ale to tylko ta (jak ona się nazywa?) Letty stoi znów w drzwiach. Letty ma niezwykle dobrotliwą i przyjazną twarz. Z Letty Sugar nie będzie miała problemów, będzie...

– Panno Sugar, pan Rackham prosi na herbatę.

Dziesięć minut później panna Sugar z filiżanką herbaty w ręku siedzi niczym sparaliżowana w gęsto zastawionym bibelotami salonie; służąca, która podobnie jak guwernantka jest w żałobie, roznosi na tacy ciasto; William Rackham rozprawia zaś o dziejach Notting Hill. Tak jest, Notting Hill. Peroruje bez ustanku niczym doktor Crane na ambonie, a słowa spływają z jego ust mechanicznym strumieniem – opowiada, które rodziny pobudowały się w Chepstow Villas jako pierwsze, za ile sprzedano Portobello Farm, kiedy dokładnie Kensington Gravel Pits Gate zmieniła nazwę na Notting Hill Gate, i tak dalej.

– Zapewne zainteresuje cię także, że na High Street mieści się otwarta zaledwie w zeszłym roku bezpłatna wypożyczalnia książek. Ile parafii może się pochwalić taką placówką?

Sugar stara się słuchać go jak najuważniej, ale jej myśli zaczynają wirować niczym różyczki kalafiora we wrzątku. Nie dość, że dziewczynie dokuczają panująca w pokoju atmosfera nierealności, kiedy towarzyszy im pokojówka, to na dobitkę ku zdumieniu Sugar William nie porzuca gry pozorów, kiedy Rose wychodzi, i kontynuuje wykład.

– ...od pastucha do sklepikarza w jedyne dwa pokolenia!

Tu Rackham zawiesza głos dla większego efektu, a Sugar nie wie, jak zareagować, i uśmiecha się. Czy jeśli nazwie go teraz po imieniu, wywabi Williama z nieznanego jej ukrycia, w którym się zaszył, czy może raczej napyta sobie biedy?

– Te walizki w holu... – zaczyna.

– Należą do Beatrice Cleave – mówi William, ścisząc głos i przybierając wreszcie bardziej poufały ton.

– Więc ona na mnie czeka? – Tu Sugar musi stłumić kolejny mały napad paniki na myśl o kobiecie, którą przybyła zastąpić. Kobieta owa istniała dotąd w jej wyobraźni wyłącznie jako niebyt, teraz zaś przeistoczyła się w przerażająco fachową opiekunkę do dzieci, która w dodatku potrafi przejrzeć na wylot każdą oszustkę.

– Niech sobie czeka – pociąga nosem William i spogląda mściwie ku niebu. – Nie mogła wybrać bardziej niedogodnej chwili na porzucenie posady w moim domu. Jestem pewien, że jeszcze przez kilka minut może posiedzieć z założonymi rękami, kiedy ty tymczasem spokojnie dopijesz herbatę.

– Mmm. – Sugar podnosi filiżankę do ust, herbata okazuje się jednak za gorąca.

William wstaje z fotela i zaczyna krążyć tam i z powrotem po salonie, gładząc kieszenie swojej kamizelki.

– Beatrice powie ci wszystko, co powinnaś wiedzieć o mojej córce, a także, w co nie wątpię, znacznie więcej. Jeżeli zaczniesz zanudzać cię na śmierć, radzę, żebyś szepnęła jej słówko o kolei, bo Beatrice spieszy się na pociąg.

– A Agnes?

William staje jak wryty, a jego ręce nieruchomieją w niedokończonym geście.

– Co „Agnes”? – pyta, mrużąc oczy.

– Czy Agnes... ach... czy Agnes do nas dołączy? – Sugar uważa, że to zupełnie rozsądne pytanie; czyżby pani Rackham nie miała żadnych wymagań, związanych z wychowaniem własnej córki? William jednak wydaje się zdumiony.

– Czy Agnes do nas dołączy? – powtarza jak echo.

– No, do mnie, Beatrice i... Sophie.

– Nie sądzę – odpowiada William takim tonem, jak gdyby rozmowa zboczyła na tory wiodące do królestwa baśni. – Nie.

Sugar kiwa głową, chociaż nic nie rozumie, i popija parzącą herbatę tak szybko, jak może, przegryzając ciastem. Z kawałeczka drożdżówki, który trzyma w ręku, wypada rodzynek i znika natychmiast wśród ciemnych deseni dywanu. Dyskretny dotąd zegar zaczyna głośno tykać.

Po krótkim namyśle William odchrząkuje i zwraca się do niej z powagą *sotto voce*. – Jest coś, o czym, miałem nadzieję, nie będzie trzeba mówić. Sądziłem, że sprawa będzie oczywista albo że powie ci o niej Beatrice. Jednak na wypadek, gdyby tak się nie...

W tej chwili rozmowę w cztery oczy przerywa Letty, która ośmiela się wejść do salonu, a zdając sobie sprawę, że nie jest mile widziana, zaczyna natychmiast drzeć i giąć się w przypominających nerwowe tiki ukłonach.

– Czego chcesz, Letty? – rzuca William, gromiąc ją niemal morderczym spojrzeniem.

– Błagam o wybaczenie, panie, ale chodzi o Shearsa. Znaczący, chce z panem rozmawiać. Znalazł w ogrodzie coś, co należy do pani Rackham.

– Boże wszechmogący, Letty! – warczy William. – Shears wie, co powinien zrobić z tym przeklętym ptakiem...

– Ale to jest coś innego, panie. – Służąca cała się kurczy.

William zaciska pięści; można by sądzić, że zaraz wpadnie we wściekłość i wypędzi Letty z salonu. Nieoczekiwanie po chwili opuszcza jednak ręce, oddycha głęboko i zwraca się do gościa.

– Przepraszam, panno Sugar – mówi... i wychodzi.

Sugar zostaje sama wśród salonowych bibelotów. Pozostaje nieruchoma jak wazon i wyteża słuch, żeby zorientować się, co zaszło. Nie śmie wstać z miejsca, ale przechyla głowę jak pies, nasłuchując słów, które mogłyby spłynąć do salonu z holu, stanowiącego centrum zamieszania.

– Co to jest, u diabła? – pyta niecierpliwie William, a akustyka wnętrza nadaje jego barytonowi ostre brzmienie. Odpowiedzi ogrodnika nie słychać wyraźnie: są to tenorowe, jakby lekceważące pomruki, niepróbujące nawet konkurować z donośnością nerwowego pytania pana domu. – Co takiego? Zakopane w ziemi?! – wrzeszczy William. – A kto je zakopał? – (Pada kolejna stłumiona odpowiedź, tym razem z ust duetu Shears-Letty). – Zawołajcie Clarę! – rozkazuje William. – Ach, spójrzcie tylko, jak wygląda podłoga!...

Mija kilka minut, zanim do chóru dołącza niewyraźny, ale niewątpliwie pełen pokory głos Clary, który drży tym bardziej, im częściej William przerywa jej niewyraźną relację. – Zacząć wszystko od nowa? – dopytuje się Rackham. – Od nowa? Co to ma znaczyć? – Odpowiedź dziewczyny, bez względu na treść, nie robi na nim wrażenia i William klnie. Potem znów rozlega się głos Shearsa, kiedy Clara zaczyna szlochać, kichać, albo jedno i drugie. – Nie, nie, nie – jęczy William, z irytacją odrzucając propozycję ogrodnika. – Tylko patrzeć, jak zażąda ich zwrotu. Schowaj je w jakieś bezpieczne, suche miejsce... – (Tu słychać dalsze pomruki). – Nie wiem, gdziekolwiek, gdzie nie zobaczą ich goście! Do diabła, dlaczego cały świat jest na mojej głowie? – Z tymi słowami pozostawia problem w rękach służby i wraca do salonu stanowczym, energicznym krokiem, od którego (co wyczuwa Sugar) podłogę przebiega drzenie.

„Masz jakieś kłopoty, kochany?”, chce go zapytać, kiedy William wchodzi do pokoju, ale kochanek jest teraz tak niepodobny do mężczyzny, którego usta całowały jej brzuch, że Sugar nie ośmiela się odezwać i tylko patrzy na niego pytająco.

– Dzienniki Agnes... – wyjaśnia William, potrząsając głową z niedowierzaniem. – Dwanaście zeszytów, albo i więcej... Agnes... zakopała je w ogrodzie. Albo kazała je zakopać Clarze... – Oczy Rackhama zachodzą mgłą, kiedy wyobraża sobie, jak do tego doszło; oto służąca w żałobie

sapie i stęka ze szpadlem w rękę; wykopuje dół; a potem czarna, mokra ziemia zamyka się nad oprawnymi w płótno zeszytami. – Wyobrażasz sobie coś podobnego?

Sugar współczująco marszczy brwi w nadziei, że William tego właśnie od niej oczekuje.

– Ale po co Agnes miałyby robić coś takiego? William opada na fotel i wbija wzrok w swoje kolana.

– Oświadczyła Garze, że... „zrywa z przeszłością!” „Że zaczyna wszystko od początku!” „Od nowa!” – Na oczach Sugar jego niedowierzanie zmienia się w smutek; Rackham potrząsa znów głową, a w zmarszczkach na jego czole można bez trudu odczytać, co następuje: *Czy jest w Anglii jeszcze choć jeden żonaty mężczyzna, który musi znieść to, co ja?*

Gdyby siedzieli w mieszkaniu przy Priory Close, wzięłyby go w ramiona i pogłaskała po głowie; przyciągnęłyby go do piersi i przypomniała mu, że istnieją kobiety, które robią wyłącznie to, czego żądają od nich ich mężczyźni: ni mniej, ni więcej. Tu jednak, w salonie Rackhamów, gdzie głośno tyka zegar, gdzie wiszą oprawione w ramki ryciny, przedstawiające rośliny ogrodowe, gdzie leżą haftowane serwetki oraz perski kobierzec i gdzie zaginął rodzynek...

– Zdaje się, że chciałeś mi coś powiedzieć? – mówi Sugar. – Zanim przeszkodziła nam służąca.

William ociera usta wierzchem dłoni i opanowuje się bez pomocy jej krzepiących ramion.

– Tak – mówi, pochylając się ku niej na tyle blisko, na ile pozwalają mu zasady dobrego wychowania. – Oto co chciałem powiedzieć: byłoby najlepiej, gdybyś... przez najbliższy czas... to znaczy, dopóki nie odwołam tego polecenia... – William zaciska jedną rękę na drugiej, modląc się o natchnienie, które pozwoli mu ujawnić prawdę, nie obnażając jej całkowicie, do cna. – Byłoby najlepiej, gdybyś opiekowała się Sophie w taki sposób, żeby... ach... jak najmniej zaprzętać tym Agnes. Prawdę mówiąc, powinnaś zadbać o to, żeby zawsze, gdy Agnes będzie na nogach... to znaczy, kiedy... – (Tu William wykonuje nieokreślony gest, którym obejmuje cały dom) – ...żeby Agnes... żeby... ach... żeby Agnes mogła się zajmować własnymi sprawami, nie angażując się...

Sugar nie jest już w stanie dłużej tego wytrzymać.

– Chodzi ci o to, że Agnes nie powinna widzieć Sophie na oczy – wyjaśnia słowa Williama.

– Otóż to. – Widać, że spada mu kamień z serca, ale jego uczucie ulgi maści niemal natychmiast kolejna trudność; zachowuje się tak, jak gdyby zapragnął zdjąć z żony stygmat obłędu. – Nie mówię, że nastąpiłby koniec świata, gdyby Agnes zobaczyła, że schodzisz z Sophie ze schodów albo że nakazuję ci uwięzić moją córkę w pokoju dzieciennym, ale...

– Ale powinnyśmy zachować ostrożność – podsumowuje Sugar, intuicyjnie odzyskując jego zaufanie i pragnąc, by czerpał pociechę z jej zdecydowanego tonu oraz łagodnego, spokojnego spojrzenia.

– Właśnie. – William rozpięra się w fotelu i oddycha głęboko niczym człowiek, któremu przed chwilą wyrwano ząb, choć zabieg ów nie był tak bolesny i krwawy, jak się obawiał.

– Nie sądzisz, że pora już, aby przekazać ci insygnia władzy? – pyta William, kiedy tykanie zegara znów staje się natarczywe.

W sypialni Sophie Rackham panuje skromna surowość. Jeśli nie liczyć wciśniętego w ciemny kąt dzieciennego łóżeczka, można by wziąć ów pokój za celę w żeńskim klasztorze: klasztorze założonym przez zakon, który już dawno odrzucił wszelkie „rozrywki”, wyjąwszy modlitwę i cichą kontemplację. Na ścianach nie ma ani jednego obrazka, nie widać też żadnych ozdób czy zabawek; prawdę mówiąc, połysku ciemnych, politurowanych powierzchni nie maści nie tylko choćby jedna maskotka, ale nawet pyłek kurzu. W biblioteczce o wysokości i szerokości trumny stoi równiutko kilkanaście książek, z których wszystkie wyglądają na pozycje niemiłosiernie trudne.

– Jestem nianią Sophie – mówi Beatrice Cleave takim tonem, jak gdyby domagała się gratulacji albo współczucia. – Pracowałam w tym domu przez sześć lat.

Myśлом Sugar zagraża fala hysterii, kusząc ją, by odpowiedzieć: „*En-chantee!* A ja jestem kochanką Williama Rackhama i przebywam w tym domu od zaledwie czterdziestu pięciu minut”. Ale dziewczyna przełyka tylko ślinę ze ściśniętym gardłem i mówi:

– Jestem panna Sugar.

– Byłam zarówno mamką, jak i opiekunką dziecka – mówi obdarzona wydatnym biustem

Beatrice, która poza wszystkim wygląda na osobę mało elastyczną. – Widziałam wzlot, upadek i ponowny wzlot rodu Rackhamów.

Sugar nie przychodzi do głowy żadna odpowiedź. Mogłaby jedynie zapewnić Beatrice, że jeśli już ostatecznie straciła pokarm, zawsze może starać się o posadę w domu pani Gili na Jermyn Street, specjalizującym się w dziwkach o dużych piersiach.

– Czas leci – mówi, rozglądając się jeszcze po pokoju.

Wbrew pierwszemu wrażeniu sypialnia Sophie ma dokładnie takie same wymiary, jak przylegający do niej pokój Sugar, a tylko wydaje się większa, ponieważ stoi tu tak niewiele sprzętów. Na brzegu szerokiego krzesła z prostym oparciem siedzi Sophie, nieszczęsna, woskowa kruszynka, ubrana w najbardziej ponury, nieciekawy i odświętny strój, jaki Sugar kiedykolwiek zdarzyło się widzieć. Dziecko przypomina w nim postać z dioramy Stowarzyszenia Abstynentów. Sophie nie została tymczasem przedstawiona nowej opiekunce, wpatruje się więc w podłogę, a chwilami dla odmiany w swoje buciki.

– Przekonasz się, że Sophie jest w zasadzie dzieckiem o dobrym charakterze – mówi Beatrice. – Nie widzę w niej złych skłonności, chociaż na ogół woli gapić się w okno niż robić cokolwiek innego. Przekonasz się także, mam nadzieję, że nie jest głupia, zauważysz jednak, że bardzo łatwo zbić ją z pantafelku.

Sugar obrzuca Sophie spojrzeniem, żeby zobaczyć, w jaki sposób dziecko przyjmuje słowa krytyki pod swoim adresem, ale dziewczynka wciąż przygląda się nawoskowanemu parkietowi.

– Czasami zachowuje się jak rozkapryszony niemowlę, a wtedy traci rozsądek. Nie jest to przyjemny widok. W takich chwilach wymaga twardej ręki, inaczej bowiem wyrosłaby na... – Beatrice urywa, chociaż za chwilę zniknie na zawsze z rezydencji Rackhamów. – Na pacjentkę Bedlam.

Sugar uprzejmie kiwa głową z nadzieją, że jej twarz nie zdradza rosnącej antypatii wobec tej kobiety o obleczonym w czarną suknię jędrnym biuście, wąskich wargach i języku znamionującym nadspodziewanie gruntowne wykształcenie. Kiedy William po raz pierwszy wspomniął o niani swej córki, wyobrażała ją sobie zupełnie inaczej – jako kobietę nieco cięższą od Caroline, całą w uśmiechach i pochodzącą z prowincji, albo jako zdziecinniałą, sympatyczną rodowitą mieszkankę Londynu, skłoną do sentymentalnej wylewności. Obawiała się nawet, że w ostatniej chwili nastąpi orgia płaczu i uścisków, a rozgorączkowana Sophie będzie się czepiać spódnic pulchnej opiekunki wśród rozpaczliwych okrzyków w rodzaju: „Moja ty dziecinko!”, i tym podobnych lamentów.

Tymczasem tu i teraz w zimnym pokoju widać trzy osoby w żałobie, które kurczowo tkwią na swoich miejscach, a Beatrice nie trzyma Sophie w ramionach, lecz co najwyżej zerka na nią z ukosa niczym brzuchomówca, który chce zmusić siłą woli osamotnioną lalkę, by stała w bezruchu i nie przewróciła się do góry nogami. Gdzie są te nianie o różanych policzkach, tryskające zmysłowością naturalnej miłości? Zdaje się, że to kolejny – wynikający z lektury zbyt wielu romansów – przesąd, skazany na śmierć w obliczu twardej rzeczywistości.

– Trzeba ci wiedzieć, że dziewczynka się moczy – mówi Beatrice. – Co noc. – Po czym unosi brew w stoickim geście, mającym zachęcić Sugar, żeby przyjęła do wiadomości, jakich ogromnych problemów musiała, oczywiście, nastęczać niani wspomniana okoliczność w minionych sześciu latach.

– To... godne współczucia – mówi Sugar, zerkając znów na małą Sophie, która wydaje się całkowicie pochłonięta zaczarowanym światem klamerek u swoich bucików.

– Latem nie jest tak trudno poradzić sobie z tą uciążliwością – mówi Beatrice. – Lecz zimą to istny koszmar. Chodź ze mną, pokażę ci, gdzie najlepiej suszyć w domu prześcieradła.

– Mmm, tak, będę ci wdzięczna – odpowiada Sugar, którą ogarnia nagle przedziwna chęć obicia twarzy Beatrice Cleave zasikany pantofelkiem.

– To niewielka zaleta, ale Sophie nie należy bynajmniej do dzieci, które nie znoszą wody – ciągnie Beatrice. – Wręcz przeciwnie, wyjątkowo lubi się kąpać. Co nakazuje mi wspomnieć... – Jej oczy świecą ciekawie, kiedy przygląda się szczupłej figurze Sugar. – Mniemam, że szczegółowo ustaliłaś zakres twych obowiązków z panem Rackhamem? Ja przez te sześć lat byłam niańką, nauczycielką i Bóg wie kim jeszcze, i nie skarżyłam się na nic, rozumiem jednak, że ty, jako

guwernantka, możesz nie chcieć robić... pewnych rzeczy.

Sugar otwiera usta, okazuje się jednak, że jej język pozostaje chwilowo beзуżyteczny. Nie przypuszczała, a William jej nie uprzedził, że będzie musiała robić coś więcej niż tylko uczyć Sophie.

– Ja... uzgodniliśmy... mmm... znaczy pan Rackham i ja – jąka się Sugar – że zapewnię Sophie wszechstronną opiekę.

Beatrice unosi brwi i patrzy na nią spokojnie, chociaż zalewa ją deszcz niewidzialnych ciosów przesiąkniętego uryną pantofelka.

– Zawsze możesz nalegać, żeby wzięli pokojówkę do dziecka – mówi Beatrice tonem, który sugeruje, że byłby to absolutnie doskonały pomysł i że pan Rackham niestety zaniedbuje swoje obowiązki, skoro do tej pory tego nie załatwił. – Pieniądze wpływają do tego domu strumieniem, panno Sugar... strumieniem. Czy wiesz, że nowe drzwi frontowe zainstalowano nie dalej jak w przeszłym tygodniu?

Sugar potrząsa głową, a gdy Beatrice zaczyna zdawać jej szczegółową relację z drzwiowej inwestycji, obejmującą każde związane z nią utrapienie i każdą śrubkę, dziewczyna całkiem poważnie zastanawia się, w jaki sposób poruszyć kwestię pociągu i nie wyjść na idiotkę.

– Jestem pewna, że Sophie nie będzie sprawiać mi kłopotu – mówi, kiedy Beatrice urywa, aby zaczerpnąć tchu, gdy kończy opowiadać, iż dwóm stolarzom „oszustom” (jak uważa niania) Rackhamowie zapłacili za kawał rzeźbionego drewna niemal taką kwotę, za którą można wynająć pokojówkę do dziecka na cały rok. – Nie wątpię, że wychowałaś ją tak dobrze, iż nie pozostaje mi nic innego, jak tylko... ach... kontynuować twoje dzieło.

Beatrice marszczy czoło i zapomina na chwilę języka w gębie, albowiem komplement odniósł skutek tam, gdzie zawiódł wyimaginowany pantofelek. Zanim jednak Sugar wykorzystuje sposobność, by zrobić leciutką aluzję do dalekich podróży i bezcenneści czasu, niania powraca do rzeczywistości.

– Chodź, pokażę ci, gdzie można rozwieszać mokrą pościel Sophie – mówi. Po czym, kiedy rusza ku drzwiom z nową guwernantką, pierwszy raz zwraca się tylko do dziecka: – Zostań w pokoju, Sophie. – Odziany w czerń manekin, siedzący wciąż bez ruchu na brzegu krzesła z wysokim oparciem, mruga ogromnymi, błękitnymi oczami, które ma po matce, i nie śmie nawet odwrócić głowy, by spojrzeć, jak obie wychodzą.

Przez całą drogę na dół Beatrice mówi o Sophie, a raczej o jej niezdarności, wadach postawy, krótkiej pamięci, nieuzasadnionych uprzedzeniach, jakie dziewczynka żywi wobec niektórych całkowicie odpowiednich dla niej części garderoby, oraz o zagadnieniu ogromnej wagi, jakim jest nieugięta postawa opiekunki wobec niechęci Sophie do brokułów. Idą dalej przez bogato zdobione korytarze pod schodami, a Beatrice przedstawia guwernantce listę rzeczy, na które można Sophie pozwolić, kiedy jest grzeczna, i rzeczy, których można jej zabraniać, jeśli „zbyt grzeczna nie jest”. Lista owa jest tak wyczerpująca, że Beatrice nie kończy, ale jedynie przerywa jej recytację, gdy wchodzi do ciasnego, klaustrofobicznego pomieszczenia, przylegającego do kuchni.

– Kiedyś była tu piwniczka na wino – wyjaśnia Beatrice, kiedy spowija je ciepło i przyjemny zapach mydła do prania. – Ale potem panu Rackhamowi skończyło się wino i nie miał funduszy, by uzupełnić zapasy. – Tu Beatrice rzuca Sugar znaczące spojrzenie. – To było kilka lat temu, ma się rozumieć... Zanim pana Rackhama nasza ta osobliwa odmiana.

Sugar kiwa głową, dziwnie poruszona świadomością, że to ona była ową „odmianą”, o której mówi Beatrice. Tymczasem niania ściąga bawełniane prześcieradło z długiej, miedzianej rury o niewiadomym przeznaczeniu, łączącej przeciwległe ściany.

– Później dostał bzika na punkcie fotografii – ciągnie Beatrice, składając na piersi prostokątne płótno – i przez jakiś czas mieściło się tu coś, co się nazywa „ciemnią”. Ale potem pan Rackham miał wypadek z jakąś trucizną i nie można było usunąć jej zapachu, choć ciągle zmywano podłogę; później przyszedł jakiś człowiek i powiedział, że to przez wilgoć, i dlatego przeprowadzili tędy rurę od kotła... – Beatrice urywa w pół zdania, mrużąc oczy. – A to co takiego?

W ciemnym kącie na podłodze leży coś, co z daleka wygląda jak kupka śmieci, ale z bliska okazuje się stosem przemoczonych i ubłoconych zeszytów czy notatników.

– Muszę porozmawiać ze służącą odpowiedzialną za ten bałagan. – Beatrice pociąga nosem. – To przecież nie kloaka.

– Ach, ale musisz zdążyć na pociąg – wypala Sugar. – Prawda? Proszę, zostaw już to w moich rękach. – Po czym, jakby w odpowiedzi na modły dziewczyny, gdzieś w pobliżu bije zegar: „bim, bom, bim”, a potem znowu „bom”.

Kiedy Beatrice Cleave wreszcie wychodzi, jej bagaże znikają z holu, a służba nie stoi już przy oknach i nie przygląda się, jak powóz maleje w oddali, Sugar powraca samotnie do sypialni, gdzie Sophie kazano „zostać”. Bo cóż innego dziewczyna miałaby począć?

Spodziewała się, że William odszukają po wyjeździe niani, aby zgotować jej nieco cieplejsze powitanie, ale Rackham rozplątał się w powietrzu, a Sugar nie może przecież wtykać nosa do wszystkich pokoiów w domu w poszukiwaniu kochanka, prawda? Stanowczo. Z każdym krokiem na wyłożonych dywanem schodach pojmuję coraz lepiej, że krótka godzina łaskawości Williama dobiegła dla niej końca. Nie jest już gościem w tym domu, ale... guwernantką.

A w chwili, kiedy otwiera drzwi do sypialni, przygotowuje się na ponury widok, który przygnębi ją i przesyje dreszczem: widok Sophie Rackham, siedzącej na krześle prosto, jakby potknęła kij, i przypominającej niesamowity eksponat muzealny, jak wypchane, ale nie całkiem martwe zwierzątko, zeszywniałe z przerażenia i nieufności, wpatrujące się szeroko otwartymi oczami głęboko w Sugar i czekające na... no właśnie, na co?

Kiedy Sugar wchodzi do pokoju, wita ją jednak zupełnie inny widok. Mała Sophie, chociaż z całą pewnością siedziała tam, gdzie jej kazano pozostać, czekała widać zdecydowanie za długo, i w końcu usnęła na krześle. Jej postawa, którą tak złośliwie krytykowała Beatrice, jest teraz zdecydowanie niewłaściwa, albowiem dziewczynka na wpełź leży w poprzek siedziska z głową zwieszoną na bok, w pomarszczonej i pomiętej sukience, z jedną ręką spoczywającą bezwładnie na kolanach, a drugą dyndającą w powietrzu. Kosmyk jasnych włosów Sophie unosi się w rytm jej oddechu, a na czarnej tkaninie ciasno zapiętego stanika widać czarniejszą od niego plamę śliny, wyciekającej z ust dziewczynki.

Sugar podchodzi cicho i przyklęka, zbliżając twarz do buzi śpiącego dziecka. Pograżona we śnie dziewczynka ma pucułowate policzki i wysuwa dolną wargę do przodu, widać więc teraz wyraźnie, że twarzyczka Sophie ani trochę nie dziedziczy urody Agnes; kiedy panienska zamyka wielkie, szaroniebieskie oczy, nie ma w niej żadnego podobieństwa do matki, widać jedynie podbródek, czoło i nos Williama. Jakie to smutne, że patrząc na tę zaledwie sześciolletnią dziewczynkę, z łatwością się dostrzega, iż czekają staropanieństwo – o ile nie pomoże jej majątek Rackhamów! Posturę odziedziczyła także po Williamie, a chociaż jeszcze jest w szczenięcym wieku, widać, że nosi w sobie skłonność do tycia. *Dlaczego nie pozwolić jej spać?*, odzywa się kuszący głos tchórzostwa i współczucia. *Niech sobie śpi całą wieczność.* Sugar wie jednak, co powinna zrobić, klęczy więc i czeka w nadziei, że bliskość jej oddechu wystarczy, by zbudzić dziewczynkę.

– Sophie? – szepcze Sugar.

Dziecko przebiega dreszcz. Sophie budzi się z wilgotnym mlaśnięciem i na jedną beczenną sekundę los uśmiecha się do Sugar, guwernantka zyskuje bowiem sposobność, by stać się pierwszą osobą, którą widzi zbudzona ze snu dusza, gdy nie ma jeszcze czasu na strach albo niechęć. Półprzutomna Sophie mruga powiekami – nadal jest zbyt oszołomiona, żeby rozpoznać, czyja to twarz migocze jej przed oczami – albowiem dla kogoś świeżo wyrwanego z objęć snu jest to daleko mniej fundamentalna kwestia aniżeli pytanie, czym różni się ten świat od tamtego, który przed chwilą zniknął, i jakie jest życie na jawie? Kiedy tylko dziewczynka zaczyna się domyślać, że najprawdopodobniej popełniła jakiś straszliwy grzech i powinna spodziewać się kary, Sugar wyciąga rękę i kładzie ją łagodnie na ramieniu dziecka, mówiąc:

– Nic się nie stało, Sophie. Po prostu zasnąłaś, to wszystko. Zeszywniała i obolała, Sophie pozwala, by nieznamoma pomogła jej wstać z krzesła, a Sugar w tej właśnie chwili w dziecięcej sypialni uznaje, że pełnienie obowiązków guwernantki nie będzie tak trudne, jak początkowo myślała. Rumieni się, odczuwa bowiem ulgę, i popełnia pierwszy błąd.

– My już się znamy – mówi. – Pamiętasz?

Sophie, która ze wszystkich sił stara się opanować i zmienić w ową dziwną, nową istotę, w uczennicę, robi stropioną minę. Oto pierwsze pytanie nowej guwernantki okazuje się zagadką; a może to nawet jakaś sztuczka, która mają zmylić?

– Nie, panienko – przyznaje. Ma identyczny głos jak Agnes, ale cichszy i nie tak ślicznie modulowany; owszem, jest dźwięczny, bardziej przypomina jednak dzwoneczek żałobny niż obój *d'amore*.

– W kościele – podpowiada jej Sugar. – Patrzyłam na ciebie, a ty odpowiedziałas mi spojrzeniem. (Już w chwili, kiedy wypowiada te słowa, zdaje sobie sprawę, że opisują raczej mało istotne wydarzenie).

Sophie przygryza dolną wargę. Niania powtarzała jej setki razy, że powinna bardziej uważać w kościele, i oto nadchodzi kara!

– Nie pamiętam, panienko – odpowiada z dziecinną rozpaczą, a nad jej głową unosi się cień uczniowskiej czapki z oślimi uszami.

– Nie szkodzi, nie szkodzi – mówi Sugar i dźwiga się z kolan. Dopiero kiedy obie wstają, widać wszystko w niepokojąco oczywistej skali: Sophie nie sięga guwernantce nawet do pasa.

– No tak. – Sugar naciska, popełniając drugi błąd. – Bardzo się cieszę, że Beatrice wyjechała, a ty? – Dziewczyna ma nadzieję, że zwracając się do niej niczym jedno dziecko do drugiego, przybiera figlarnie konspiracyjny ton, aby mała nie miała wątpliwości, kogo Sugar darzy większą sympatią: Sophie czy Beatrice.

Córka Williama podnosi na nią wzrok (ich twarze dzieli tak ogromna odległość!), po czym odpowiada błagalnie: – Nie wiem, panienko. – Marszczy czoło ze zdenerwowania i mocno zaciska na kolanach swoje drobne rączki. Teraz, kiedy jest już całkiem rozbudzona, dziwny, nowy świat okazuje się jednak niebezpieczny.

Co robić? Co robić? Sięgając w głąb studni przeczytanych książek, żeby wydobyć z niej wszystko, co znajdzie na temat dzieci, Sugar pyta: – Masz może jakąś lalkę? – Uważa, że to głupie pytanie, wzbudza ono jednak niespodziewanie iskrę w oczach Sophie.

– W pokoju dziecinnym, panienko.

– W pokoju dziecinnym? – Sugar wzdyga się i uprzytamnia sobie, że jeszcze tam nie była. Przecież będzie prowadzić lekcje z Sophie właśnie w pokoju dziecinnym, a dotąd go nie widziała! Owszem, podczas wykładu, jaki wygłosiła Beatrice na temat odpowiedniego traktowania dziecka Rackhamów, niejednokrotnie wspominała o pokoju dziecinnym, ale ostatecznie opuściła dom, nie pokazawszy guwernantce pomieszczenia, „które, jak sądzę, będziecie odtąd nazywali klasą”. Może by to zrobiła, gdyby Sugar nie wspomniała w końcu o pociągu i nie wypłoszyła jej z domu.

– To mnie tam zaprowadź – mówi, po chwili wahania wyciągając dłoń do Sophie. Czy dziewczynka ją przyjmie? Ku jej ogromnej uldze, dziecko bierze ją za rękę.

Przy pierwszym dotyku ciepłych palców małej Sugar odczuwa coś, czego nigdy by się nie spodziewała: wzruszenie wynikające z bliskości cudzego ciała. Ona, którą pieściły tysiące mężczyzn i która stała się niewrażliwa na niemal wszystkie czułości z wyjątkiem najbardziej brutalnych penetracji, odczuwa teraz mrowienie, nieomal wstrząs zmysłowej inicjacji, za którym pojawia się nieśmiałość. Jakże ohydne są jej palce w porównaniu z paluszkami Sophie! Czy dziewczynka nie brzydzi się jej spękanej, zgrubiałej skóry? Czy Sugar powinna trzymać ją mocno, czy raczej delikatnie? I która z nich powinna zdecydować, kiedy rozluźnić uścisk?

– Prowadź – mówi Sugar, kiedy wychodzą z pokoju.

Rezydencja Rackhamów znów zdaje się opuszczona i przypomina nie tyle dom, ile cichy skład zegarów, zwierciadeł, światła, obrazów i kilkunastu różnych rodzajów tapet. Pokój dziecinnny wciśnięty jest w ogonek korytarza w kształcie litery „L”, a Sugar i Sophie mijają po drodze kilkoro zamkniętych drzwi.

– To pokój dumania ojca – szepcze niepytana Sophie.

– A ten?

– Nie wiem, panienko.

– A te pierwsze drzwi, tam z tyłu?

– Tam mieszka mama.

Wchodzą więc do klasy, której widok okazuje się krzepiący, przynajmniej w porównaniu z sypialnią Sophie. Jest to spory pokój z nieprzeciętnie dużym oknem, mieszczący kilka szafek, kuferek, biurko i zabawki, których – prawdę powiedziawszy – Sugar nie miała aż tyle nigdy w życiu. Tu widać malowane, drewniane zwierzęta z arki Noego (choć samej arki brak), tam zaś dość prymitywny, ale spory domek, mieszczący meble dla lalek. W kącie Sugar dostrzega konia na biegunach, przykrytego „siodłem” z dzianiny, i stertę koszyków o wesołych barwach, pełnych rozmaitych figurynek i drobiazgów, zbyt małych, by można je rozpoznać z tej odległości. Dalej na czterech drewnianych nogach stoi w pogotowiu matowa, zielona, nieużywana tablica, zakupiona specjalnie na otwarcie nowego rozdziału w życiu Sophie Rackham.

– A gdzie twoja lalka?

Sophie otwiera kuferek i wyciąga z niego sflaczałą, szmacianą lalkę o ciemnej, brunatnej główce, należącej do szeroko uśmiechniętego hinduskiego chłopca, na którego wytartej, bawełnianej piersi widnieje wyhaftowane słówko „Twinings”. Trudno o bardziej obrzydliwą zabawkę, ale Sophie obchodzi się z nią delikatnie, z nutką smutku, jak gdyby pogodzona, że zawsze jest w niej nieco mniej życia, niż mogłaby sobie życzyć.

– Dostałam ją od dziadka – wyjaśnia Sophie. – Powinna siedzieć na słońcu, ale wtedy puszcza z herbatą nie była jeszcze pusta.

Sugar zastanawia się przez chwilę nad tym, co powiedziała dziewczynka, a potem puszcza jej słowa mimo uszu.

– Dlaczego trzymasz lalkę w kufierku? – pyta. – Nie chciałyś z nią spać?

– Niania mówi, że nie powinnam trzymać starej, śmierdzącej lalki w moim ładnym, czystym pokoju, panienko – odpowiada Sophie, w której stoickość zaczyna się wkradać nutka smutku. – A kiedy wchodzi tutaj, nie lubi patrzeć na jego czarną twarz.

Sugar czekała na taką okazję, żeby się zrehabilitować.

– Ale w tym kufierku musi być bardzo ciemno i ponuro – mówi. – I chłopczyk na pewno czuje się tam samotny!

Oczy Sophie robią się jeszcze większe niż zazwyczaj; dziewczynka nie ma pojęcia, czy może zaufać nowej guwernantce.

– Nie wiem, panienko – mówi.

Sugar znów przyklęka, na pozór po to, by bliżej przyjrzeć się lalce, ale naprawdę dlatego, żeby Sophie mogła spojrzeć jej w twarz.

– Znajdziemy lepsze zastosowanie dla tego kufierka – mówi, wsuwając jedną z dyndających nóg lalki pod pachę Sophie. – A teraz powiedz mi, jak się nazywa ten chłopiec?

Kolejna zagadka.

– Nie wiem, panienko. Dziadek mi nie powiedział. – A ty jak go nazywasz?

– Nie dałam mu żadnego imienia, panienko. – Sophie przygryza wargę, boi się bowiem, że za takie uchybienie, choć popełnione tylko wobec figurki ze szmatek i gliny, może zostać skarcona.

– Myślę, że powinnaś nadać mu jakieś imię – stwierdza Sugar. – Ładne, angielskie imię. I wtedy chłopczyk będzie mógł zamieszkać w twoim pokoju.

Twą Sophie jeszcze przez kilka chwil wyraża zwątpienie, ale kiedy niezwykła nowa guwernantka kiwa potakująco, by dodać jej otuchy, dziewczynka bierze głęboki oddech i woła:

– Dziękuję, panienko!

Kiedy się cieszy, wcale nie jest taka brzydka.

Podczas gdy Sophie pokazuje pannie Sugar kolejne cudenka ze swojego pokoju, kilkadziesiąt ulic dalej Emmeline Fox siedzi na schodach w swoim domu, odpoczywając przed dalszą drogą na piętro. Jak na kobietę, która nie całkiem odzyskała zdrowie, sporo dzisiaj zrobiła, jest zatem wniebowzięta, że może usiąść z głową wspartą o wyłożony dywanem stopień i poddychać w milczeniu.

Czy ciągle kaszle? Może jeszcze trochę. Ale z pewnością wyrwała się z wiadomo czyjej paszczy, wedle określenia pani Rackham. Jakie to słodkie, a zarazem uciążliwe, czuć ból zmęczenia w nogach, uwierający w łopatkę twardy brzeg stopnia, bicie serca i pulsujące w skroniach tętno.

Pozwolono jej zatrzymać to ciało, ów nędzny, zbudowany z kości i ścięgien wehikuł duszy, jeszcze nieco dłużej; oby Bóg dał, żeby dobrze wykorzystała.

Wizyta u pani Rackham była okrutnie męcząca, zwłaszcza powrót piechotą do domu ulicami Notting Hill; Emmeline niosła bowiem kota siedzącego w wiklinowym koszyku (potężny zwierzak, wcale nie był lekki jak piórko!). Postanowiła, że obejdzie się bez dorożki, a nawet bez swojej służącej, Sarah; ludzie nie przestaną więc plotkować – tym bardziej jeśli ktoś odkryje prawdę i dowie się, że Sarah wróciła do prostytucji, albowiem podczas Sezonu jej „niedomagający dziadek” zadłużył się po uszy na wyścigach konnych.

Następna posługaczka, także wywodząca się z trzódki ulicznych nawróconych przez Towarzystwo, ma zacząć u niej pracę w najbliższą środę, ale Emmeline chce przedtem nieco posprzątać dom, by nie zniechęcać dziewczyny u progu uczciwego życia. I teraz tym właśnie się zajmuje: robi porządek w pokojach. No, oczywiście nie dosłownie w tej chwili; siedzi bowiem na schodach w pół drogi na górę i przez mleczną szybę frontowych drzwi przygląda się ledwie widocznym przechodniom na ulicy.

Doczesny dobytek Henry’ego przywieziono, kiedy pani Fox leżała w szpitalu św. Bartłomieja i nie mogła pilnować robotników, w tym czasie zaś jej domek przekroczył już pewną granicę – granicę, powiedzmy sobie szczerze, oddzielającą bałagan od kompletnego chaosu. Wolnego miejsca w pokojach zostało tyle, co... no, jak to się mówi, co kot napłakał. Oczywiście Puss od pierwszej chwili objawia wyjątkową ciekawość i dezorientację w nowym otoczeniu, toteż wędruje schodami w górę i w dół, wchodzi do pokoju jednymi drzwiami, a wychodzi drugimi, odnawiając znajomość z meblami i bibelotami swojego pana, porozstawianymi i poupychanymi w nieznanym zwierzęciu miejscach. Szczególnie interesuje go zadziwiający przypadek łóżka Henry’ego, które stoi na boku, oparte o ścianę bawialni, materac zaś zwisa bezwładnie z jego żelaznego szkieletu niczym pijak i nie nadaje się do użytku ani dla człowieka, ani dla kota. Od dnia, kiedy Emmeline wpuściła go do domu, przynajmniej sześć razy próbował zwrócić jej na to uwagę w oczywistej nadziei, że jego pani postawi łóżko, jak należy.

Emmeline musi przyznać, że jej dom przypomina teraz sklepik ze starzyzną na Cheapside. Liczba wszystkich jej sprzętów kuchennych podwoiła się: ma dwie kuchenki, dwie szafki na porcelanową zastawę, dwa kubki na lód, dwa garnki rosółowe, dwa czajniki, dwa naczynia do gotowania potraw w kąpieli wodnej i tak dalej, i tak dalej – dysponuje nawet dwiema półeczkami na przyprawy, których zestawy są niemal identyczne. Na pewno nie jest to szczęśliwa okoliczność, biorąc pod uwagę, że pani Fox wcale nie stała się lepszą kucharką niż dawniej i że właściwie straciła chęć, aby doskonalić swoje umiejętności kulinarne.

Krześla i stołki w całym domu stoją poukładane na sobie, po dwa albo po trzy, niektóre trzymają się niepewnie, inne zaś są splecione na amen. Jednakże niewątpliwie największy bałagan wynika z nadmiaru książek, biblioteka Emmeline wzbogaciła się bowiem o księgozbiór Henry’ego. We wszystkich pokojach, a nawet na korytarzach, piętrzą się wysokie sterty książek; niektóre zostały zbudowane logicznie, jak zamki na plaży, od największych do najmniejszych tomów, inne wręcz odwrotnie, kuszą więc siłą ciężenia i delikatną mordkę kota Henry’ego. Pani Fox nie może winić pracowników firmy przewozowej za to, że poukładali książki byle jak, albowiem to ona wyjmowała tytuły z pudeł, zresztą tylko po to, by sprawdzić, co ocalało z pożaru, a co nie. Jednak jej umiejętność składowania dobytku pozostawia wiele do życzenia i kilka stosów książek już zdążyło runąć. Na przykład od początku niezbyt stabilna wieża, wzniesiona z kilkudziesięciu egzemplarzy Nowego Testamentu, po które człowiek z Towarzystwa Biblijnego nigdy nie wrócił, rozsypała się na podeście schodów, a niektóre pechowe egzemplarze przeleciały nawet nad poręczą i wylądowały na parterze.

Torby z garderobą stanowią nieco miłszy dla oka, ale bardziej przygnębiający widok. Nie przechowuje w nich, jak zazwyczaj, nieodebranych darów – wełnianych rękawic, skarpet z dzianiny i starannie pocerowanej pościeli, przeznaczonej dla ubogich z Londynu i okolic – lecz odzież Henry’ego. Trzy pełne jego ubrań torby stoją zamknięte w sypialni Emmeline, przewiązane sznurkiem i ostemplowane znakiem firmowym Tuttle&Son.

Puss płacze się jej pod nogami, miauczy i robi, co może, by trącić ją łebkiem w nogę przez

rozłożystą zaporę spódnic. Zanim posuwa się aż do tego, by wślizgnąć się pod suknię, Emmeline wstaje. Ależ jest zmęczona! Nastało dopiero popołudnie, ale bardzo chce się jej spać. Co więcej, nie ma ochoty na drzemkę, lecz na długi, głęboki sen, który oddzieliłby jeden dzień od drugiego. Bezbożnie pragnie, by Stwórca choć raz złagodził swoje prawa i pozwolił nocy zapaść kilka godzin wcześniej. Jutro można by chyba wyrównać tę stratę kilkoma dodatkowymi godzinami światłości?

Zdrętwiała Emmeline – tak bardzo, że niemal tęskni za swoją laską – wlecze się do kuchni, sądząc, że Puss może ma ochotę coś zjeść, skoro obejrzał już dom.

– Czy tego właśnie chcesz, Puss? – pyta, kiedy kot waha się na progu kuchni, obwąchując brudne włosie miotły.

Czym może go nakarmić? Teraz, kiedy zakwaterowała zwierzaka w swoim domu, musi się poważnie zastanowić, jak go przekonać, żeby został na stałe. Inspekcja szafek i chłodni potwierdza, że ponieważ ostatnio nie gotuje, w domu brak śmietanki i surowego mięsa, Emmeline jada bowiem raczej w restauracjach (tak, wie, że to wstyd; tyle jest na świecie ubogich rodzin, którym muszą wystarczyć tylko skrawki baraniny i skórki od chleba, a ona, proszę, ucztuje jak kurtyzana! Ale pozbawiona pomocy służącej, nie miała po prostu sił, żeby gotować, a poza tym i tak nie może się teraz dostać do tej z dwóch kuchenek, która jest podłączona do przewodu kominowego). Właściwie to szkoda, że nie może zabrać kota do restauracji i zamówić posiłku również dla niego... Bez wątplenia jest to tego rodzaju zdroworozsądkowe rozwiązanie, które ludzie zawsze są gotowi odrzucić bez namysłu! Ach! Jak bardzo angielskie społeczeństwo nie cierpi pragmatyzmu! Nie pragmatyzmu, dzięki któremu buduje się fabryki, lecz pragmatyzmu, który ułatwia życie obywatelom! Powinna to przedyskutować z Henrym, kiedy następnym razem...

Emmeline z westchnieniem otwiera kolejną szafkę i wyciąga gomółkę sera Leicester, stanowiącego jej podstawowe pożywienie, gdy w domu nie ma służącej. Puss miauczy z niecierpliwością na ten widok.

– Koty chyba nie jadają takich rzeczy? – pyta, upuszczając mały kawałek sera między łapy zwierzaka, który jednak rzuca się na zdobycz i zaczyna pożerać z wielkim smakiem. Oto kolejny obalony przesąd; każdego dnia można się nauczyć czegoś nowego. Opierając się o niepotrzebną jej kuchenkę Henry’ego, karmi kota serem kawałek po kawałku, aż wreszcie Puss ma już dość albo zaczyna odczuwać zbyt wielkie pragnienie, żeby jeść dalej. Wtedy Emmeline wskazuje mu miseczkę z wodą, którą zwierzę kontempluje bez entuzjazmu; mleko kupi mu jutro.

Sama też powinna coś przekąsić – zjadła dziś tylko chleb, odrobinę sera i ciasto z owocami u pani Rackham, które popiła herbatą. Normalny apetyt jeszcze jej nie wrócił, a co więcej, nie doszła wciąż do siebie po nieprzyjemnym odkryciu, jakiego po powrocie ze szpitala dokonała w pudle z napisem **PRODUKTY ŁATWO PSUJĄCE SIĘ**, którego zawartość – po krótkim pobycie w magazynie firmy Tuttle&Son i dłuższym u niej w domu – faktycznie okazała się zepsuta.

Pani Fox pochyla się nad stertą miedzianych rondli, żeby otworzyć następną szafkę, w której – jak sądzi – została chyba puszka herbatników, ale zamiast nich natrafia znów na książki. Kilka, choć może nawet kilkanaście minut później, skończywszy kartkować *New System of Domestic Cookery* pióra pani Rundell i przyjrząwszy się uważnie dedykacji na stronie przedtytułowej: *Mojemu drogiemu przyjacielowi, Henry’emu Rackhamowi, Boże Narodzenie 1874*, Emmeline z bólem wchodzi po schodach na piętro, krok za krokiem.

Na podeście tuż pod drzwiami do swojej sypialni zauważa dwa niewielkie, ciemnobrunatne przedmioty, które z daleka wyglądają na cygara, ale z bliska okazują się odchodami, na domiar złego bardzo cuchnącymi. Emmeline zamyka oczy i czuje, że płyną z nich łzy. Nie da rady, nie da rady zejść znowu na dół i wrócić na górę. Dlatego przynosi z sypialni chusteczkę do nosa, którą wyjmuje z pudełka pełnego chusteczek, pamiętającego tak przecież niedawne czasy, kiedy o każdej porze dnia i nocy mogła ogarnąć ją nieprzeparta chęć, by pluć krwią. Ostrożnie nakrywa koci kał miękką, bawełnianą tkaniną i zwijają w kłębek, przypominający nieco kulkę zapachową. W takim opakowaniu ekskrementy na pewno mogą poczekać do rana.

Zaczyna się rozbierać w swojej strasznie zabałaganionej sypialni i dopiero potem, gdy częściowo rozpięła już suknię, nieoczekiwanie dociera do niej, dlaczego nie może znaleźć koszuli nocnej. Otóż dziś rano nieco nazbyt energicznie usiłowała sprać z niej starą plamę krwi i musiała

później zszywać rozdartą tkaninę, następnie zaś – niech Bóg wspomóż jej dziurawą jak sito pamięć – zostawiła koszulę na dole, przewieszoną przez oparcie krzesła. *Nie dam rady, nie dam rady, nie dam rady*. Raz w życiu będzie musiała położyć się spać w bieliznie.

Z trudem ściąga suknię i halkę drżącymi ze zmęczenia rękami, ale kiedy zostaje tylko w koszulce i majtkach, spostrzega poniewczasie, że lepi się cała od potu i swędzą ją pachy, krocze oraz rowek między pośladkami. Chwiejąc się na nogach, przez krótką chwilę duma, czy nie pomodlić się o siły, żeby zejść na dół, wyrzucić kocią kupę, przynieść koszulę nocną i zagotować sobie wodę do mycia, uznaje jednak, że byłoby rzeczą niegodną zajmować Boga takimi sprawami. Dlatego ostatecznie zdejmuje także bieliznę, po czym z westchnieniem ulgi naga i rozpalona wślizguje się do łóżka.

Tylko grzesznicy albo obłożnie chorzy kładą się spać za dnia, myśli pani Fox. Jutro musi lepiej gospodarować siłami i nie forsować ciała, którego przecież o mało nie straciła.

Dotyk pościeli jej nagiemu ciału zdaje się bosko przyjemny, członki Emmeline ogarnia słodka niemoc, a chociaż mogąca ją usprawiedliwić noc wciąż jest jeszcze daleko, pani Fox czuje, że odpływa w sen, i tylko mgliście zdaje sobie sprawę, iż w łóżku obok niej coś się ostrożnie porusza. Dopiero gdy budzi się rano, odkrywa, że to niezmiernie zadowolony z życia Puss, który spoczywa zwinięty w kłębek w jej nogach.

Łóżko Sugar, w sam raz dla kobiety, która sypiała w nim poprzednio, dla niej jest za małe. Pierwszej, długiej nocy w domu Rackhamów, zmałonej spazmatycznym, dalekim szczekaniem psa, dziewczynie śnią się najdziwniejsze rzeczy. Niedługo przed świtem, kiedy kolejny raz przewraca się na bok, wysuwa spod kołdry długą, szczupłą, obnażoną nogę i uderza nią o bok walizki. We śnie zdarzenie to przekłada się na dotyk szorstkich palców mężczyzny, który chwyta ją za łydkę i przesuwa dłoń ku górze, w kierunku jej krocza.

– Nie będziesz więcej drzeć z zimna – mówi pani Castaway. – Przyszedł pewien miły dżentelmen, żeby cię ogrzać.

Sugar próbuje się zwinąć w kłębek, uderza stopą o słupek baldachimu nowego łóżka i budzi się.

Na kilka chwil zupełnie gubi się w nieznanym, ciemnym, małym pokoju wysoko nad ziemią, przyzwyczała się bowiem do przestronnego, parterowego mieszkania przy Priory Close, oświetlonego zawsze łagodnym blaskiem latarni ulicznych. Czuje się niemal tak, jak gdyby wróciła do swojej starej sypialni u pani Castaway, tyle tylko, że pokój Sugar u matki był znacznie większy od tego. Poza tym tutaj spod łóżka dochodzi jakiś ziemisty, wilgotny zapach, przypominający zgniłą woń w pierwszym domu, gdzie mieszkała – w ruderze na Church Lane.

Sugar przechyła się, wsuwa rękę pod łóżko i muska palcami stosik powalanych ziemią dzienników Agnes. Ach, tak, teraz sobie przypomina. Ledwie za Beatrice Cleave zamknęły się drzwi frontowe, zakradła się na dół, do piwnicy, i niezauważona przez nikogo, przywłaszczyła sobie te zeszyty. Potem wepchnęła je pod łóżko i pobiegła zająć się Sophie.

Ach, Sophie.

Sugar po omacku znajduje zapałkę, zapala dwie świece, stojące na brzydkiej, żółtej toaletce, i przeciera oczy, by wygnać z nich resztki snu *Jestem guwernantką*, mówi do siebie, gdy migotliwy świat nabiera ostrych konturów. Niemal natychmiast odczuwa ucisk w brzuchu, a potem ostre ukłucie bólu. Od kilku dni niemal nic nie je i nie wypróżnia się. Zmroził ją niepokój, który zaczyna teraz znikać, i dlatego burczy jej w brzuchu.

Zegar wskazuje wpół do szóstej rano. Jak długo spała? Dość długo; wczoraj położyła się spać niemal zaraz po Sophie, o iście dziecięcej porze, bo zaledwie o siódmej. Spodziewała się, że William ją odwiedzi, i nie chciała zasnąć – zastanawiała się nawet, czy nie poświęcić trochę uwagi swojej lechtaczce, by przygotować się na to spotkanie – ale złożony głowę na obco pachnącej poduszce, po kilku minutach odpłynęła w sen. Jeżeli William istotnie przyszedł się z nią zobaczyć – choć nie ma żadnych dowodów, że tak było – wyszedł, nie budząc jej.

Sugar odtwarza w pamięci zdarzenia ubiegłego dnia w odwrotnej kolejności, licząc od chwili, kiedy położyła Sophie do łóżka – dziewczynka zasnęła na jej oczach, jak na zawołanie. A może tylko udawała? Sugar też potrafi udawać, że śpi, jeśli może jej to przynieść korzyść...

To mata aktoreczka, ostrzegam cię, brzmiała jedna z mądrości, jakie rzuciła jej na odchodnym Beatrice. *Owinie cię wokół palca, jeśli dasz jej po temu choćby najmniejszą sposobność.*

Sugar przypomina sobie łagodny oddech Sophie na poduszce, świeżo wykrochmaloną pościel i koce, którymi okryła ją tylko do połowy obleczonego w sztywną, białą koszulkę nocną ciała, nie śmiała bowiem zakryć dziecka aż po szyję.

Co się zdarzyło wcześniej? Słyszała modlitwę Sophie. Litanię złożoną z prośb o Boże błogosławieństwo. Za kogo i o co modliła się Sophie? Sugar nie pamięta. Myśl, że dziś wieczorem usłyszy niewątpliwie te same modlitwy, zdaje się jej zarazem krzepiąca i niepokojąca.

A co było wcześniej, nim Sophie zmówiła modlitwę? Ach, tak, Sugar kąpała dziewczynkę w balii, stojącej obok łóżka. Właściwie Sophie umyła się sama, guwernantka zarzuciła tylko ręcznik na jej drobne, mokre ramionka i skrepowana odwróciła wzrok, a kiedy po brudną odzież panienki Rackham przyszła praczka, dziewczyna zbladła, jak gdyby przyłapano ją na jakiejś niegodziwości.

A jeszcze wcześniej? Ach, tak, była afera ze środkiem na przeczyszczenie. Beatrice podkreślała z naciskiem, że co wieczór trzeba koniecznie podawać dziecku proszek przeczyszczający. Ba, ostatnie słowa, jakie skierowała do Sugar przed wyjściem z domu, brzmiały: „Tylko pamiętaj, żeby dawać jej na przeczyszczenie!”, ale wyraz obrzydzenia, jaki pojawił się na twarzy dziewczynki na widok wstrętnego lekarstwa, nakazał Sugar natychmiast opuścić łyżkę, którą niemal wsuwała jej już do buzi.

– Nie chcesz, Sophie?

– Niania mówi, że pożałuję, jeśli nie wezmę lekarstwa, bo będę się źle czuła, panienko.

– No, to mi powiesz, jeżeli źle się poczujesz, i wtedy dam ci lekarstwo – odparła Sugar, po czym ku uldze dziecka strząsnęła straszliwą mieszaninę rabarbaru, magnezji i imbiru z powrotem do blaszanej puszki.

Nie prowadziła z nią wczoraj żadnych regularnych lekcji, bo chciała się dowiedzieć, co Sophie już umie. Okazało się, że bardzo wiele, i dlatego dziewczynka bardzo się zmęczyła, przypominając sobie oraz powtarzając wszystko. Na wiedzę Sophie składały się w większości opowieści biblijne i umoralniające kazania, ale nie brakowało jej także wiadomości z zakresu, jak mówiła Beatrice, „spraw ogólnych”, wiedziała bowiem, na przykład, które krainy należą albo powinny należeć do Anglii. Recytowała też rozmaite dziecięce rymowanki i krótkie wierszyki o tym, jak ważną rzeczą jest cnota, a następnie poruszyła temat słoni indyjskich, o których wiedziała najwięcej.

– Mają mniejsze uszy – oświadczyła, podając najpierw wiele innych rewelacji.

– Mniejsze od czego? – zapytała Sugar.

– Nie wiem, panienko – przyznała Sophie po chwili, bo najpierw zamilkła w osłupieniu. – Niania wie.

Przez całe popołudnie, kiedy to wymieniane fakty łączyły się z fikcją, tworząc coraz większe pomieszanie z poplątaniem, Sugar uśmiechała się i powtarzała: „Bardzo dobrze, Sophie”. Nie wiedziała, co powinna mówić, ale wydawało jej się, że tak czy inaczej należy chwalić dziecko. Sądząc po reakcji dziewczynki – która odczuwała coraz większą ulgę i coraz bardziej kraśniała z dumy – słowa „dobrze” i „Sophie” nader rzadko słyszała dotąd w jednym zdaniu. Sugar tymczasem karmiła nimi dziewczynkę w takiej ilości, że gdyby były to zabronione jej cukierki, mała rozchorowałaby się po nich potwornie.

Tyle jeśli chodzi o wczorajszy dzień, dziś trzeba jednak zacząć formalną edukację Sophie, czyli *przygotować baranka na ofiarę*, jak ujęła tę kwestię pani Castaway, kiedy Sugar ośmieliła się zapytać, co to właściwie znaczy „wykształcenie”.

W szarówce wczesnego poranka przy świecach Sugar otwiera książkę, którą Beatrice podała jej takim gestem, jak gdyby to był jakiś święty kielich. – Pan Rackham zakupił tę książkę osobiście – powiedziała. – Zawiera wszystko, co Sophie powinna wiedzieć. – Książka nosi tytuł *Historyczne i różne inne pytania na użytek młodzieży*, jest bardzo gruba, a jej stronicę pokryte są gęstym drukiem. Nazwisko autora, czyli Richmal Mangnall, brzmi niczym warczenie psa, który nie chce oddać trzymanej w pysku piłeczki.

Sugar przygląda się pierwszemu pytaniu, dotyczącemu starożytnych królestw, jakie założono po biblijnym potopie, ale utyka w tym miejscu, bo nie jest pewna, jak prawidłowo wymawia się słowo „chaldejski”, a za nic w świecie nie chciałaby zaczynać lekcji z Sophie od pomyłki. Czyta więc dalej, a kiedy dochodzi do pytania: „Co to były amfiktonie albo konfederacje amfiktoniczne?”, nabiera niemal całkowitej pewności, że część materiału z podręcznika pozostaje jeszcze poza zasięgiem Sophie. Postanawia przeskoczyć kilka tysięcy lat albo – inaczej mówiąc – kilkanaście stron i zacząć naukę od narodzin Jezusa, o którym Sophie przynajmniej już słyszała.

A zatem załatwione. Sugar odkłada podręcznik Mangnalla na bok i wyciąga z ukrycia dzienniki Agnes. Ku swemu zdumieniu widzi (zauważa to dopiero teraz), że każdy zeszyt jest opasany klamerką i zamknięty na małą, mosiężną kłódkę. Grudki ziemi sypią się na jej kolana, kiedy usiłuje zerwać jedną, ale filigranowa kłódka okazuje się mocniejsza, niż można sądzić po jej wyglądzie. W końcu, dręczona wyrzutami sumienia, Sugar wsadza w zamek czubek noża, i wtedy dopiero mechanizm ustępuje.

Zeszyt otwarty na przypadkowej stronicy przedstawia Agnes z roku 1869 następującymi słowami:

Ogarnia mnie dziś przerażenie – jestem pewna, że czeka mnie ciężka próba, cięższa niż wszystkie, które przyszło mi przejść do tej pory... Właśnie w tym momencie wchodzi Gara i mówi, że doktor Curlew już idzie, by „pomóc mi w nieszczęściu”. Co on ma na myśli? Wiem, że kiedy był u nas ostatnio, gorzko narzekałam i może powiedziałam nawet, że po tylu długich miesiącach choroby nie pragnę niczego prócz śmierci, ale nie mówiłam tego serio! Boję się jego czarnej torby – są w niej noże oraz pijawki. Błagałam Clare, żeby nie pozwoliła mu mnie skrzywdzić, gdybym zemdląca, ale ona chyba mnie nie słucha i plecie coś o jakimś dziecku, o które wszyscy bardzo się martwią – że niby jest już bardzo późno i że wkrótce musi się urodzić. Czyje to może być dziecko? Życzyłabym sobie, żeby William raczył mnie rzetelniej powiadamiać, kogo zaprasza do domu...

Szytych bólu przedziera się w dół przez jelita Sugar. Dziewczyna przysiadła z jękiem na nocniku i zgina się wpół, aż rozpuszczone włosy opadają na jej nogi, okryte koszulą nocną, a swędzące od potu czoło dotyka kolan. Sugar zaciska dłonie w pięści, nie udaje się jej jednak wypróżnić i skurcz mija.

Wraca do łóżka, znów sięga po dziennik Agnes i kartkuje go, by znaleźć fragment, który przedtem czytała, mniemając, że na następnej stronie dowie się, w jaki sposób Sophie przyszła na świat. Ale kolejna notatka, następująca po opisie położu, którego pani Rackham nie była świadoma, zaczyna się tak:

Właśnie wróciłam od pani Hotten, gdzie zjadłam pierwszy obiad poza domem, odkąd wróciłam do zdrowia. Albo Hottenowie to dziwacy, albo kiedy chorowałam, dobre obyczaje zostały przewrócone do góry nogami. Otóż pan Hotten zawiązał sobie serwetkę na piersi, a mnie kazano jeść melona tyżeczka. Nie podano szczypców do szparagów, a w jednym z kartofli znalazłam nawet „oczko”. Wszyscy mówili ciągle o Baringsach i żartowali na temat wydatków, jakich wymaga godność para. Pani Hotten śmiała się z otwartymi ustami. Przez cały wieczór dziwiłam się albo nudziłam. Więcej tam nie pójdę. Ciekawe, kiedy pani Cecil odpowie na moje zaproszenie?

I tak dalej, i tak dalej. Sugar kartkuje zeszyt: znajduje jedynie więcej podobnych zapisków. A gdzie William? Gdzie Sophie? Ich imiona w ogóle nie występują w dzienniku, choć Agnes bywa przecież na przyjęciach, pewnie u boku męża, a potem wraca do domu, zapewne do swojej nowo narodzonej córki.

U pani Amphlett spotkałam panią Forge, panią Tippett, panią Lott, panią Potter, panią Ousby... I taki spis nazwisk wypełnia kolejne stronicie, łączone niestrudzenie haftem zaimka ja, ja, ja, ja, ja, ja, ja, ja, ja.

Sugar otwiera nożem kłódeczki dwóch innych zeszytów. Tu i ówdzie czyta po kilka wersów, przeraża ją jednak ogrom trudu, jakiego wymaga lektura całego dziennika. Oto ma przed sobą dwadzieścia notatników i setki pokrytych męcząco drobnym pismem stron, a zamiast jakichś odkrywczych informacji, które mogłyby się jej przydać, gdyby – na przykład – natknęła się dziś na panią Rackham na schodach, znajduje wyłącznie narzekania na kiepskiej jakości porcelanę, ponurą pogodę i kurz pokrywający poręcz schodów. Jeszcze przed kilkoma tygodniami Sugar byłaby niesłuchanie przejęta, gdyby udało się jej wydobyć ze skrzynki pocztowej albo ze śmietnika choćby jeden list, pisany ręką pani Agnes Rackham; ślęczałaby wtedy nad każdą jego linijką, żeby wycisnąć wszystko, co istotne. A teraz spoczywa przed nią całe życie Agnes w postaci stosu brudnych jak święta ziemia pamiętników, ona zaś nie wie, od czego powinna zacząć.

W końcu uznaje, że może zacząć tylko w jeden sposób: od początku. Otwiera kolejne zeszyty i układa je chronologicznie, aż wreszcie trzyma w dłoniach najstarszy z nich.

Pierwsza strona pierwszego, najmniejszego i najcieńszego, zeszytu zawiera kilka falstartów, zapisanych schludnym, choć nieco pochyłym pismem. Data – 21 kwietnia 1861 roku – została wykaligrafowana szczególnie starannie.

Kochany Pamiętniku!

Naprawdę mam nadzieję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Lucy prowadzi dziennik i mówi, że to wspaniała i ciekawa rzecz. Lucy to moja najlepsza przyjaciółka, ~~mieszka~~~~mieszkała~~ mieszka w domu obok, w którym ~~mieszkam~~~~mieszkałam~~

Druga próba rozpoczęcia pamiętnika widnieje dokładniej pod pierwszą. Tekst jest napisany równie starannie jak poprzednio i dowodzi, że Agnes postanowiła nie zrażać się jednym niepowodzeniem.

28 kwietnia 1861 r.

Kochany Pamiętniku!

Naprawdę mam nadzieję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Myślę, że się przekonasz, iż takiej wiernej dziewczynki jak ja nie ma na całym świecie. W maju skończę dziesięć lat. Kiedy byłam młodsza, czułam się bardzo szczęśliwa, chociaż mieszkaliśmy w mniejszym domu niż teraz. Potem ktoś zabrał nam mojego kochanego papę i mama powiedziała, że nie powinnam być bez ojca, i

Dwa kolejne zapiski nie są już równie kunsztowne, jak gdyby Agnes pisała je pospiesznie – w nadziei, być może, że po prostu siła rozpędu pozwoli im wziąć przeszkody, na których wywróciły się wcześniejsze notatki.

Kochany Pamiętniku!

Dzień dobry. Nazywam się Agnes Pigott, choć raczej powinnam powiedzieć, że tak się nazywałam, bo teraz

Kochany Pamiętniku! Ja

Następna notatka, niedatowana i najwyraźniej nabazgrana we wściekłym pośpiechu, zajmuje dwie obustronnie zapisane kartki.

Moja kochana, najukochańsza święta Tereso!

Czy to wielki grzech nienawidzić ojca, który nie jest moim prawdziwym ojcem? Nienawidzę go z całych sił, nienawidzę go tak, że kiedy zagryzam wargi, ranie usta do krwi. To zły człowiek, który rzucił czar na mamę, żeby zapomniała o naszym kochanym papie, a ona patrzy na niego jak pies, który czeka na mięso. Nie widzi tego, co ja – okrucieństwa w jego oczach i uśmiechu, który nie jest uśmiechem. Nie wiem, co się z nami stanie, bo on zabronił nam chodzić do kościoła – do prawdziwego kościoła – zabiera nas tylko do swojego kościoła, a to jest bezwstydną oszóstwo. Prawie nikt nie jest tam odpowiednio ubrany i wszystko jest takie gminne, że mają nawet Gminny Modlitewnik. Nie sądzę, kochana święta Tereso, żebyś widziała kiedyś któryś z tych kościołów wewnątrz. Tam, gdzie powinna stać Nasza Pani, jest tylko póstka i nie ma nic, co można by wziąć do domu, oprócz ulotki z prośbom o wsparcie Funduszu Budowy Dzwonnicy. ~~Mój ojciec~~ ~~Mój nowy ojciec~~ Lord Unwin mówi, że wszystko jest tu takie samo, jak w moim starym kościele, tyle tylko, że tam się mówi dworskim angielszczyznom, ale on nie rozumie (a może tylko udaje, że nie rozumie), że jeśli opuścić albo źle wymówić chociaż jedno słówko zaklęcia, to zaklęcie wcale nie zadziała, jak w „Zaczarowanym lesie Kolumbiny”, kiedy Kolumbina zapomina, żeby powiedzieć „zabda hanifah”, i traci swoje skrzydła. Lord Unwin nienawidzi Kościoła i Naszej Pani i wszystkich świętych, powtarza „Nie bendzie więcej bzdór w tym domu”, a kiedy mówi o bzdórach, to chodzi mu o ciebie, święta Tereso.

Dlaczego już więcej się do mnie nie odzywasz? Czy mury mojego nieszczęsnego, nowego domu stanowią zaporę dla twojego głosu? Nie mogę uwierzyć, że on jest silniejszy od ciebie. Jeżeli nie możesz muwić do mnie głośno, może mogłabyś szeptać, kiedy panna Pitt zabiera mnie na spacer, albo zapewne mogłabyś sprawić, by Twoja odpowiedź pojawiła się rano na tej stronie (albo na następnej, jeżeli na tej już zabraknie miejsca). Zostawię piuro w kałamarnicy, ale proszę, nie rozlej atramentu, bo panna Pitt (moja nowa guwernantka) jest bardzo surowa.

Ach, tak, musisz wiedzieć, jakie mam pytania, a mam takie jak: gdzie jest mój kochany papa i

kiedy go znowu zobaczę? I jak długo jeszcze mama i ja będziemy pozostawać w mocy tego złego człowieka? On muwi, że pośle mnie do szkoły dla młodych dam, jak tylko można najszybciej. Bardzo się tego boję, bo to znaczy, że będę musiała zostawić mamę, no i słyszałam, że nauka w szkole trwa wiele lat. Poza tym nie chcę być młodą damą, bo im nie wolno już bawidź się kółkiem i zamiast się bawidź, muszą wychodzić za mąż.

Na resztę zeszytu składają się czyste, kremowe, zagadkowe kartki. Sugar czuje, że jej kiszki atakuje kolejne ukłucie, znów siada więc na nocniku, a wtedy tryska z niej parzące kiszki plugastwo. Obejmuje się ramionami, drżąc na całym ciele i zagryzając wargi, a zamiast bluźnić albo wykrzykiwać okropne przekleństwa, oddycha głęboko i w skupieniu między kolejnymi skurczami. *Jestem guwernantką.*

Kiedy niedługo potem, o wpół do siódmej, Rose przynosi jej filizankę herbaty, Sugar jest już całkowicie ubrana. Niesforne, gęste włosy upięte ma w ciasny kok, a ciało odziane w czerni. Pokój jest posprzątany, pamiętników nie widać – leżą schowane pod łóżkiem, zawinięte w tę samą złachaną, starą suknię, w którą Sugar przebierała się, idąc do kościoła, do którego chodzili Rackhamowie. Bóg jeden wie, po co ciągle przechowuje tę suknię – teraz nie musi się już przecież przebierać! Ale zatrzymała ją i dzisiaj mimo wszystko na coś się jej przydała.

– Dzień dobry, panno Sugar – mówi służąca, a jej nos marszczy się tylko na krótką chwilę, gdy czuje wiszący wciąż w powietrzu smród sraczkki.

– Nie... nie wiedziałam, na jakie herbatniki możesz mieć ochotę, panienko.

– I Rose podsuwa jej talerz, na którym leżą trzy różne rodzaje biskwitów.

– Dziękuję ci, Rose – odpowiada Sugar, wzruszona niemal do łez życzliwością służącej. Albo ta dziewczyna nie czytuje powieści, albo pan domu nakazał jej surowo, by była dla guwernantki wyjątkowo grzeczna. – To bardzo miło z twojej strony. Czy mogłabyś mi powiedzieć, jak się otwiera okno w tym pokoju? Próbowałam, ale bez powodzenia.

– Okno zostało zamalowane z zewnątrz i w ogóle nie da się otworzyć, panienko. – Rose pochyla głowę w przeproszającym ukłonie. (Po niedawnym szale remontowym drobne niedogodności życia codziennego spotkały zresztą wszystkich mieszkańców domu). – Poproszę pana Rackhama, żeby kazał ogrodnikowi wziąć drabinę i naprawić to okno.

– Nie trzeba, nie trzeba. – Sugar stanowczo nie chce przysparzać Williamowi najmniejszych problemów, obawia się bowiem, że guwernantka o bardziej typowym pochodzeniu, którą by normalnie zatrudnił, byłaby mniej kłopotliwa od niej. Niech Rackham przychodzi na górę zobaczyć się z nią dlatego, że jej pożąda, a nie po to, by zajmować się skutkami pospiesznego remontu. Zachęcająco skinąwszy głową służącej, Sugar popija letnią herbatę i próbuje biskwita.

– Chrr! – burczy jej głośno w brzuchu, kiedy Rose odwraca się ku drzwiom.

Kilka minut później w sypialni, która wygląda niemal identycznie jak jej pokój, Sugar budzi Sophie, całą zasikaną. Nieprzytomna dziewczynka mruży oczy w świetle lampy; nie może się poruszyć, skrepowana nocną koszulką i oblepiającym jej mokre ciało prześcieradłem. Wygląda, jak gdyby ktoś oblał ją dzbankiem moczu od kolan aż po pierś.

– Fuj... wielkie nieba, Sophie – mówi Sugar, ugryzłszy się w język, aby powstrzymać się od mniej miłych komentarzy.

– Przepraszam, panienko – odpowiada dziewczynka. – Jestem niegrzeczna – mówi obojętnym, nie płaczącym ani żalonym głosem, jak gdyby recytując element wiedzy ogólnej, który umknął jej wczoraj.

Blaszana balia z ciepłą wodą stoi już przy łóżku. Przyniósł ją ktoś, kto w domu Rackhamów zajmuje się tym, czym u pani Castaway mały Christopher. Sugar pomaga Sophie wstać z łóżka i zdjąć koszulkę nocną w taki sposób, żeby nie zmoczyła sobie buzi siuškami. Potem dziewczynka daje sobie radę sama. Jej przysadziste ciało i cienkie ramiona znikają w pianie mydła kąpielowego Rackhama (które wciąż *pieni się daleko lepiej niż inne mydła!*, dopóki William nie wprowadzi w tym sloganie zmian, jakie podsunie mu Sugar).

– Bardzo dobrze, Sophie – mówi Sugar, odwracając wzrok. Włoski na karku stają jej dęba,

kiedy zauważyła dwoje połykających w ciemnościach oczu; należą one do lalki Sophie, która leży krzywo na toalecie z podbródkiem wspartym na piersi i wyszczerza w uśmiechu malowane zęby. Sugar i lalka przypatrują się sobie, dopóki nie ustaje plusk wody w balii, a wtedy guwernantka odwraca się do Sophie. Dziewczynka wstaje i czeka, żeby ją wytrzeć. Łopatki Sophie drżą z zimna, więc Sugar zaraz owijają ręcznikiem, ale wtedy kątem oka dostrzega gładką, dziecięcą pochwę między jej nogami, sprężystą, wyraźnie widoczną, lśniącą od wody waginę, i mimo woli wyobraża sobie, jak wsuwa się w nią nabrzmiąły kutas o fiołkoworóżowej główce.

– Przepraszam, panienko – mówi Sophie, słysząc, że guwernantka rozpaczliwie jęknęła.

– Nie zrobiłaś nic złego, kochanie – mówi Sugar, spoglądając w okno, kiedy dziewczynka kończy się wycierać. Słońce chyba już wstaje; tak czy inaczej noc wycofuje się, a na kolanach Sugar leży już przygotowana bardzo mała halka.

O wpół do dziewiątej, kiedy obie zjadły po miseczce owsianki, którą Rose przyniosła im na górę, Sugar prowadzi Sophie tam, gdzie jeszcze do wczoraj mieścił się pokój dziecinny. Idą na palcach, mijając zamknięte drzwi, najpierw pokoju Williama, a potem sypialni Agnes, gdzie kryją się rzeczy osobiste Rackhamów, a być może także ich właściciele. Cichutko jak myszki albo złodzieje Sugar i Sophie wchodzą do nieoświetlonego pokoju na końcu korytarza, gdzie czeka już tablica i koń na biegunach.

Służąca rozpałała ogień w kominku, dzięki czemu temperatura w klasie podniosła się do poziomu znośnego chłodu. Kiedy Sugar zapala lampy, Sophie podchodzi prosto do biurka i siada. Jej stopy w przyciasnych bucikach dyndają kilka cali nad podłogą.

– Myślę, że zaczniemy od dyktanda – mówi Sugar, której kiszki wydają wciąż głośnie dźwięki. – Najpierw podam ci kilka dowolnie wybranych słów, żeby sprawdzić, jak sobie radzisz z ortografią, kiedy jesteś jeszcze na wpół śpiąca!

Sophie nie rozumie tego żartu; zdaje się, że bierze propozycję Sugar za autentyczną próbę przyłapania jej na błędzie przez zaskoczenie. Mimo to kładzie na biurku czystą kartkę papieru i siada czujnie skupiona, czekając na pierwsze upokorzenie tego dnia.

– Kot – mówi panna Sugar.

Z głową nisko pochyloną nad kartką Sophie pisze to słowo, ściskając nieporadnie pióro w maleńkiej ręczce, a jej wielkie oczy rzucają błyski, kiedy stara się nadać atramentowym literom doskonałą i kaligraficznie piękną postać.

– Pies.

Pióro znów się zanurza w kałamarzu. Na twarzy dziewczynki pojawia się grymas rozgoryczenia, kiedy pierwszą literę zniekształca ciemny kleks; guwernantka chce ją z pewnością złapać właśnie w taką pułapkę! Następna próba.

– Nauczyciel.

Dziewczynka znów mozolnie stawia litery, ale (o ile Sugar może to ocenić, patrząc na tekst do góry nogami) nie namyśla się długo nad pisownią. Kto tutaj z kogo robi właściwie durnia?

– Nałożni... nie... ach... dziewczyna.

Dziewica, podpowiada upiorny sufler w głowie Sugar, przebiegły diabeł o głosie pani Castaway.

– Ach... – (Sugar rozgląda się w poszukiwaniu natchnienia). – Okno.

Pozostała nietknięta, czekała bowiem specjalnie na ciebie, panie.

– Kura.

Kurwa.

Słońce świeci coraz jaśniej, przepędza cienie w klasie i rozgrzewa zatęchłe powietrze. Sugar ociera wilgotne czoło czarnym rękawem. Nie sądziła, że dyktando to taka ciężka praca.

Sophie Rackham jest posłuszna przez cały ranek. Pisze, czyta na głos, słucha jednej z bajek Ezopa, a potem objaśnia jej morał. Podczas pierwszej oficjalnej lekcji historii dziewczynka jest po prostu wzorem zdyscyplinowania; panna Sugar podaje jej rozmaite informacje pięć albo sześć razy, a Sophie powtarza je tak długo, aż udaje się jej wreszcie wyryć albo przynajmniej zapisać owe

wiadomości w pamięci. W ten sposób dziewczynka dowiaduje się, że w pierwszym wieku naszej ery Rzymianie założyli Londyn, Tytus zburzył Jerozolimę, a Rzym za panowania Nerona strawił pożar. Zapamiętanie tych nagich faktów zajmuje jej najwyżej dziesięć minut, które Sugar poświęca głównie na korygowanie wymowy nazwy Świętego Miasta, Sophie bowiem z uporem nazywa je „Jerzolimą”. Reszta poranka upływa jednak bardzo szybko, kiedy Sugar odkłada na bok Mangnalla i usiłuje odpowiadać na pytania, które nasuwają się dziewczynce podczas lekcji, jak na przykład: gdzie był Londyn, zanim położyli go Rzymianie; dlaczego Tytus nie lubił Jerzolimy i jak Rzym mógł się zapalić, skoro wtedy padało? Potem, kiedy guwernantce udaje się rozwiązać te zagadki (choć w wypadku Tytusa zwyczajnie zmyśla), Sugar musi stawić czoło nieco bardziej fundamentalnym kwestiom, jak: „Co to jest stulecie i skąd ludzie wiedzą, że w ogóle żyją w jakimś stuleciu?” oraz „Czy słonie mieszkają w Londynie?”

– A widziałaś kiedyś słonia w Londynie? – pyta podchwytliwie Sugar.

– Ja nigdy nie byłam w Londynie, panienko – odpowiada dziewczynka.

W południe, kiedy rozkład zajęć przewiduje dwugodzinną przerwę, podczas której Sophie może się bawić, Sugar także cieszy się wolnym czasem. Powszechny w innych rodzinach obyczaj, polegający na tym, że starannie ubrane i grzeczne dziecko schodzi na dół, by spożyć lunch albo obiad z rodzicami, widocznie nie jest przestrzegany w domu Rackhamów.

Jasne poranne słońce zastępuje deszcz. Rose przynosi przysługującą guwernantce i jej uczniocy porcję lunchu, który służba serwuje na dole (komu? – zastanawia się Sugar), po czym znów znika. Lekcje rozpoczną się dopiero o drugiej i Sugar pragnie odpoczynku, choćby po to, by pozbyć się dokuczliwych dolegliwości fizycznych – ma bowiem zdrętwiałe, zziębnięte stopy, lepkie od potu pachy, a także obolałą i swędzącą dupę. Zajadając pudding marchewkowy, przeszukuje zasoby swojego słownictwa w poszukiwaniu wyrazu, którym mogłaby zastąpić słowo „dupa” – nie może być nim „odbyt”, mimo wszystko brzmiący również wulgarnie, potrzebne jest jej zatem jakieś delikatne, całkowicie niewinne i eleganckie określenie, którego można by użyć w dobrym towarzystwie. Szuka bezskutecznie. Jeżeli chce zostać kompetentną guwernantką, musi oczyścić jednak swoje słownictwo i myśli. Bez względu na to, jak mało uwagi poświęcał dotąd William swojej córce, z pewnością nie życzyłby sobie, żeby uczyła się ordynarnego języka.

– Bądź grzeczna, Sophie – mówi Sugar, szykując się, by zamknąć dziewczynkę w pokoju dzieciennym, a ściślej biorąc: w klasie.

– *Bądź grzeczna, słodka dziewico, i niechaj mądrzy Judzie* – recytuje Sophie, zartobliwie korzystając z okazji, aby dokończyć wiersz, jakby to był katechizm – *czynią rzeczy szlachetne, miast o nich śnić na jawie; w ten bowiem sposób życie, śmierć i wielka nieskończoność zbudzi się pieśnią miłą i słodką*²².

– Bardzo dobrze, Sophie – mówi Sugar i zamyka drzwi.

Wróciwszy do pokoju, stwierdza, że ktoś opróżnił i umył jej nocnik, a także rozpylił w powietrzu esencję lawendową. Łóżko jest posłane, pościel zmieniona, a szczotka do włosów, szkatułka na spinki, haczyk do zapinania haftek i tym podobne rzeczy leżą równiutko ułożone na kocu. Zawiniątka, w którym schowała pod łóżkiem pamiętniki Agnes, nikt – dzięki Bogu! – nie ruszał. Na toaletce stoi karafka z wodą, a obok czysta szklanka i złożona na pół kartka.

Sugar chwyta ją, sądząc, że jest to liścik od Williama. Ale informacja została sporządzona ręką Rose i brzmi następująco: *Shears zajmie się oknem* – Rose.

Sugar rozbiera się, pierze te części garderoby, które musi uprać, a potem wkłada pikowany na piersiach szlafrok w kolorze burgunda, w którym niezwykle podoba się Williamowi. Siada na łóżku, okrywa stopy kocem i czeka. Choć kusi ją, by czytać dalej pamiętniki Agnes, nie może ryzykować, bo kiedy przyjdzie William – a przecież na pewno przyjdzie – może nie zapukać przed wejściem, i jak się wtedy przed nim Sugar wytłumaczy? Nawet gdyby zapukał, to przecież pamiętniki są całe w ziemi i Sugar potrzebowałaby trochę czasu, żeby umyć ręce...

Zegar tyka. Deszcz bębni w szyby okienne, na chwilę cofa się, potem znów powraca. Palce u jej

22 Jest to wiersz *A Farewell. To C.E.C.* Charlesa Kingsleya (1819 – 1875) (przyp. tłum.).

stóp tają jeden po drugim. William nie przychodzi. Sugar przypomina sobie gorączkowy uścisk jego palców, gdy bierze ją od tyłu, napierając dłońmi na jej barki, ogarnięty jakby obłąkańczą nadzieją, że ich dwa ciała zleją się w końcu w jedno – jak gdyby w jakimś gwałtownym, nadzwyczajnym skurczu mięśni mógł wessać ją w swoje krocze lub schować się cały w jej pochwie.

Za dziesięć druga Sugar znów się ubiera, zapina czarną suknię guwernantki i odwiesza burgundowy szlafrok z powrotem do garderoby. Ku swojej uldze przypomina sobie, że jest środa – dzień, kiedy William sprawdza, ile zamówionego w ubiegłym tygodniu towaru przybyło faktycznie do portu. O tej porze bawi zapewne na Air Street, marszcząc brwi nad dokumentami przewozowymi od nadawców i układając już w głowie treść listów, które dziewczyna pomoże mu napisać, kiedy Rackham ochłonie. To nudny obowiązek, ale należy go spełnić.

Reszta dnia szybko mija. Sugar odkrywa, że Sophie uwielbia słuchać głośnego czytania. Dlatego choć uczy ją dalej na pamięć fragmentów podręcznika Mangnalla i rozwiązuje problemy, wynikające z lektury owej szacownej książki, guwernantka czyta dziewczynce na głos bajki Ezopa, naśladując przy tym głosy różnych zwierząt. W pewnym momencie, zakwakawszy ze szczególnym animuszem jak kaczka, zerka kątem oka na Sophie i zdaje się jej, że zauważa jakby skurcz warg dziewczynki, który można uznać za szybko stłumiony uśmiech. W każdym razie Sophie ma bez wątpienia szeroko otwarte, błyszczące oczy i prawie wstrzymuje oddech, by nie uronić ani jednego słowa.

– Kocie wąssssssy – mówi Sugar w nagłym przypiływie odwagi.

Tuż przed czwartą na podjeździe słychać chrzęst i brzęk, a kiedy Sugar i Sophie podchodzą do okna, ich oczom ukazuje się wyjeżdżający z powozowni brougham. Wygląda na to, że pani Rackham wybiera się na „domową” herbatkę do którejś ze znajomych dam, a może nawet zamierza złożyć parę krótkich wizyt w kilku domach. Nadciąga już zmrok i pada drobny deszcz, kiedy Agnes wybiega z salonu na podjazd, cała w oślepiającym blasku różowej toalety. Równie różowa parasolka pani Rackham błyszczy w zapadającym zmierzchu. Cheesman pomaga jej wsiąść, po czym uwozi małżonkę Williama w dal.

– Mnie pewnie zrobiłoby się niedobrze w powozie – mówi Sophie, przyciskając nos do szyby.

O siódmej, po obiedzie, na który podano pieczeń, i po upływie jednej czy dwóch godzin, spędzonych w sypialni, gdzie czekała znowu na Williama, Sugar wraca do Sophie, żeby wypełnić ostatnie obowiązki. Mimo woli przychodzi jej do głowy, że nie ma sensu kąpać Sophie przed snem, skoro najprawdopodobniej rano trzeba będzie to zrobić jeszcze raz, dziewczynka przywykła chyba jednak do wieczornych kąpiei, a Sugar za nic nie chce naruszać zwyczajów, panujących w domu Rackhamów. Tak więc rozpoczyna wiadomy rytuał, po czym przyodziewa słodko pachnące dziecko w gładką, białą koszulkę nocną.

– Niech Bóg błogosławi papie i mamie – mówi Sophie, klękając przy łóżku i składając swoje malutkie rączki w piramidkę na kołdrze. – Niech Bóg błogosławi niani. – Mówi to takim tonem, jak gdyby wypowiedziała magiczne zaklęcie, nie jest więc chyba istotne, że dwie osoby z wymienionego przez nią triumwiratu niemal wcale nie interesują się jej życiem, a trzecia odeszła od niej, by zaopiekować się innym dzieckiem, noszącym nazwisko Barrett. Ojciec, matka i niania stanowią dla Sophie postaci niemal baśniowe niczym Ojciec, Syn i Duch Święty albo Duży Niedźwiedź, Średni Niedźwiedź i Maleńki Niedźwiadek z dziecięcej bajki.

– ...i dziękuję, że jestem małą dziewczynką, co mieszka w Anglii, i że mam dom i łóżko, i niech Bóg błogosławi małym Murzynkom w Afryce, którzy nie mają łóżek, i niech Bóg błogosławi wszystkim żółtym dzieciom w Chinach, które muszą jeść szczury...

Spojrzenie Sugar, która wpatruje się w białe, bose stopki Sophie, wystające spod jej koszulki nocnej, staje się powoli ironiczne. Choć guwernantkę dręczyły wyrzuty sumienia, gdy upiększała niemającymi nic wspólnego z prawdą historyczną sentymentalnymi anegdotami decyzję Konstantyna Wielkiego o zaprzestaniu prześladowania chrześcijan, najwyraźniej nie robi nic innego, jak tylko podąża śladem Beatrice Cleave. Dziewczynce już nakładzono do głowy mnóstwo różnych bzdur i czekają na nią kolejne.

– Chcesz... Chcesz, żebym ci przeczytała bajkę na dobranoc? – pyta Sugar, otulając Sophie

kołderką, tym razem aż po szyję.

– Proszę, panienko.

Ale kiedy Sugar przynosi książkę, okazuje się, że jest już za późno.

Leżąc tego wieczora w swoim łóżku, kiedy przestała już czekać na Williama, Sugar rozkłada na kocu kilka wybranych zeszytów z zapiskami Agnes – jeden spoczywa na jej kolanach, a pozostałe leżą w zasięgu ręki. Wie już, co robi, jeśli usłyszy kroki Williama u drzwi: zdmuchnie świecę i pod osłoną ciemności wrzuci pamiętniki z powrotem pod łóżko. Wtedy jeśli Rackham będzie w takim nastroju, jak przypuszcza, najprawdopodobniej nawet przy zapalanej świecy nie zauważy, że Sugar ma brudne ręce. Wytrze je spokojnie, gdy William bezpiecznie wtuli twarz w jej piersi.

Następna próba kontynuowania pamiętnika, jaką podejmuje Agnes, skończywszy tyradę wymierzoną przeciw ojczymowi i jego szatańskim planom wysłania jej do szkoły, pochodzi z 2 września 1861 roku i została odnotowana na dziewczęcej stronie nowego zeszytu, opatrzonego wspaniałym napisem: *Abbots Langley, Szkoła dla dziewcząt*. Trudno dopatrzeć się tu śladów nieszczęść, jakich spodziewała się zaznać autorka w tego rodzaju placówce edukacyjnej – albowiem Agnes nie tylko wyróżnia nazwę szkoły dumnym, ozdobnym pismem, lecz dekoruje ponadto marginesy fantazyjnymi, akwarelowymi przedstawieniami szkolnego godła, którym jest wieniec z malw, oraz dewizą szkoły, brzmiącą: *Comme Il Faut*.

Zwracając się ponownie do „kochanego Pamiętnika”, nie zaś do „świętej Teresy” albo jakiegoś innego nadprzyrodzonego korespondenta, dziesięcioletnia Agnes w następujący sposób rozpoczyna nieprzerwany ciąg wspomnień z sześciu lat, które spędziła w szkole.

Cóż, jestem więc w Abbots Langley (koło Hampstead). Panna Warkworth i panna Barr (dyrektorka) mówią, że rządna dziewczynka nie opuści tego miejsca, dopóki z nią nie „skończą”, ale nie martw się o mnie, kochany Pamiętniku, bo chodzi im o to, że skończona uczennica musi być mądra i piękna. Dużo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że byłoby dobrze, gdybym i ja była mądra i piękna, bo wtedy mogłabym dobrze wyjść za mąż, za żołnierza prawdziwej wiary. Opisałabym mu mojego papę, a on by powiedział: „Ależ ja go przecież spotkałem, gdy walczył w dalekich krajach!” i zaraz po naszym ślubie wyruszyłby na poszukiwanie go. Mama i ja zamieszkałybyśmy razem u niego, czekając, aż wróci wraz z papą.

Nie wiem, w jaki sposób panna Warkworth i panna Barr oraz inne nauczycielki zamierzają mnie „wykończyć”, ale widziałam kilka starszych dziewcząt, które mieszkają w Abbots Langley od lat i wyglądają na bardzo szczęśliwe, a niektóre z nich są bardzo wysokie i zgrabne. Jestem pewna, że w strojach wieczorowych wyglądałyby jak owe damy z pięknymi oficerami u boku, które widziałam na obrazach.

Mierzkam w pokoju, który muszę dzielić z dwiema innymi dziewczynami. (Wydaje mi się, że fszystkich jest trzydziścioro. Bardzo się tym martwiłam, zanim tu przyjechałam, bo wiedziałam, że będę musiała mieszkać z obcymi dziewczętami, które mogą być okrutne, i prawie robiło mi się niedobrze ze strachu na myśl, że mogłabym być zdana na ich łaskę. Ale te dwie dziewczynki z mojego pokoju nie są wcale takie złe. Jedna nazywa się Letitia (tak chyba się pisze to imię) i chociaż jest trochę starsza ode mnie i mówi, że pochodzi z lepszej rodziny, jakaś choroba tak ją oszpeciła, że brak jej odwagi, żeby się puszyć. A ta druga dziewczynka płacze i pocionga nosem, odkąd przyjechała, ale nie mówi nic.

Na obiedzie niektóre dziewczęta (które wyglądały tak staro, że najpierw wzięłam je za nauczycielki – przypuszczam więc, że te są prawie „skończone”) próbowały mnie zmusić, żebym powiedziała, kim jest mój ojciec, a ja nie chciałam powiedzieć, bo bałam się, że będą się śmiały z papy. Ale wtedy jedna z nich powiedziała: „Ja wiem, kim jest jej ojciec – to lord Unwin”, i wtedy wszystkie nagle zamilkły! Może zdradziłam trochę papę, bo nie broniłam go i nie powiedziałam, kto jest moim prawdziwym ojcem, ale czy nie uwarzasz, że powinnam się cieszyć drobnymi korzyściami, jakie odnoszę teraz jako pasierbica lorda Unwina? Bez wzglądu na to, czy to źle, czy nie, dziękuję za fszystko, co mi pomaga mniej cierpieć, bo nie cierpię cierpieć. Fszystkie zadrapania i skaleczenia na moim sercu nie zagoiły się jeszcze ani trochę, dlatego boję się, że każda następna

rana może być ostatnia. Jeśli tylko los oszczędzi mi kolejnych, dotrwam bezpiecznie do zamążpójścia, a potem nie będę miała już żadnych zmartwień. Życz mi powodzenia!

(Z tożą mogę rozmawiać swobodnie, kochany Pamiętniku, bo listy, które wysyłam pocztą, muszę oddawać pannie Barr w niezaklejonej kopercie).

Mam ci jeszcze coś do powiedzenia, ale właśnie weszła panna Wiek (o której więcej jutro) i upomniła nas, żebyśmy zgasiły już światło. Tak więc, kochany Pamiętniku, muszę cię zamknąć na klucz i poprosić, żebyś się na razie o mnie nie martwił, bo zdaje się, że może mimo wszystko wytrzymam jakoś w tej szkole!

Twoja kochająca Przyjaciółka,

Agnes

Sugar czyta następne dwadzieścia albo trzydzieści stron, nim pada ofiarą zmęczenia, a także – bądźmy szczerzy – bezwonnym oparów śmiertelnej nudy. Agnes lojalnie dotrzymuje obietnicy, że o pannie Wiek napisze „więcej jutro”, i rzeczywiście: panna Wiek oraz wszystkie inne nauczycielki, w które Agnes z braku talentu literackiego nie potrafi tchnąć życia, podnoszą głowy bez twarzy nie tylko jutro, lecz także jutro, jutro i znów jutro²³.

Tuż przed zaśnięciem Sugar pragnie unieść się w powietrze niby duch i ujrzeć w tej chwili mieszkańców domu Rackhamów takimi, jakimi są naprawdę. Chciałaby przeniknąć ciężkie, drewniane drzwi gabinetu Williama i sprawdzić, co robi; więcej, chciałaby mu zajrzeć do wnętrza mózgu i wydobyć powody, dla których jej nie odwiedza. Chciałaby zobaczyć Agnes, prawdziwą Agnes z krwi i kości, bo choć jej dotykała i chociaż zna jej zapach, pragnie się przekonać, co pani Rackham robi nocą w swoim pokoju... Sugar jest pewna, że już sam widok śpiącej Agnes powiedziałaby jej więcej niż te prehistoryczne, utyłane ziemią wspomnienia!

Na końcu wyobraża sobie, że wpływa do pokoju Sophie i łagodnie szepcze jej do ucha, by wyskoczyła z łóżka i usiadła jeszcze raz na nocniku. Nie jest to fantazja, wymagająca jakichś nadprzyrodzonych zdolności: gdyby tylko chciała, z łatwością mogłaby ją zrealizować. Sophie na pewno byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby następnego ranka zbudziła się w suchym łóżku! Sugar oddycha głęboko, zbierając się na odwagę, żeby odrzucić na bok ciepłą kołdrę i pobiec boso przez ciemność do pokoju Sophie. Wszystko, co musi znieść, żeby wypełnić tę misję miłosierdzia, to kilka minut nieprzyjemnego chłodu. Tak! Już wstaje, już biegnie korytarzem na palcach, ze świecą w dłoni!

Lecz tak jak w dzieciństwie, kiedy – co wciąż pamięta – śniło się jej czasami, że wstaje z łóżka, aby skorzystać z nocnika, po czym budziła się w kokonie mokrej pościeli, gdy zaczynała siusiać, pochrapującej Sugar i teraz śni się tylko, że wypełnia swą misję miłosierdzia, której szczęśliwe zakończenie trzepocze w pułapce umysłu dziewczyny niby ćma.

Następnego ranka, w zimnym świetle świtu, kiedy wiatr zawodzi i wyje drwiąco, a szemrzący śnieg z deszczem wali w okna wschodniej ściany rezydencji Rackhamów, Sugar podchodzi na palcach do łóżka Sophie, odkrywa kołdrę i znajduje dziewczynkę zlaną od stóp do głów, jak zwykle.

– Przepraszam, panienko.

Co może jej odpowiedzieć? „Cóż, nie mamy czystej pościeli, na dworze pada, a ja będę wkrótce przyjmować gości, którym nie spodoba się twój nieprzyjemny zapach... Co zatem, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić, moja mała, żałosna kruszynko?” Te słowa dźwięczą echem w pamięci Sugar, kusząc ją, by wypowiedzieć je głośno tym samym nieprzyjemnym, słodko-gorzkim tonem, którym zwracała się do niej pani Castaway przed piętnastu laty. Pojawiają się na końcu jej języka niebywale szybko – po chwili jednak dziewczyna połyka je z przerażeniem.

– Nie przejmuj się, Sophie. Zaraz cię umyjemy.

Sophie z wysiłkiem ściąga przemoczoną koszulkę, która przywarła do jej ciała i oblepia rysujące się pod spodem żebra dziewczynki. Sugar przychodzi dziecku z pomocą, zdejmując zapaskudzoną koszulkę i zwija ją w wałeczek, kamuflując kaszlnięciem głęboki wdech, który bierze

23 Aluzja do słynnego monologu z V aktu *Makbeta* Shakespeare'a (przyp. tłum.).

w chwili, gdy kwaśny mocz zaczynają piec w szczelinach popękanej skóry dłoni i palców. Kiedy naga dziewczynka wstaje z cuchnącego moczem łóżka i wchodzi do balii, Sugar odruchowo spostrzega, że pochwa Sophie przybrała barwę wścieklej czerwieni.

– Umyj się porządnie, Sophie – radzi beztrzesko, odwracając wzrok i spoglądając w cień, nie udaje się jej jednak uciec od wspomnienia widoku swoich podrażnionych genitaliów, które zaczęła oglądać w pękniętym lustrze na Church Lane, kiedy tylko otyły staruch o włochatych dłoniach zostawił ją wreszcie w spokoju. – *Mam sprytny środkowy paluszek, o tak!* – powtarzał, dźgając ją i szturchając między nogami. – *To wyjątkowo figlarny jegomość! Uwielbia bawić się z małymi dziewczynkami i daje im rozkosz, jakiej nigdy wcześniej nie zaznały!*

– Skończyłam, panienko – mówi Sophie. Nogi drżą jej z zimna, a w świetle lamp z ramion dziewczynki unosi się para.

Sugar owija Sophie ręcznikiem, na wpół podnosi ją z balii i pomaga jej się wytrzeć, osuszając wszystkie naturalne szczeliny i otwory ciała swojej uczennicy. Potem, zanim dziewczynka zdąży włożyć majtki, przesypuje jej krocze Śnieżnym Pudrem Rackhama i delikatnie wklepuje talk w bolące miejsca. W powietrzu unosi się zapach lawendy – przypudrowana pochwa Sophie jest blada niczym twarz dziwki, ozdobiona wąskimi, czerwonymi ustami, które znikają zaraz w lekkim obtoczku zasyпки, pod osłoną białej bawełny.

Sugar najpierw zapina źle dopasowaną niebieską sukienkę Sophie i obciąga jej biały fartuszek, a potem zdejmuje prześcieradło z materaca (nakrytego pod spodem drugim, nawoskowanym prześcieradłem, jak jej materac u pani Castaway!) i wrzuca je do balii, żeby się odmoczyło. Ciekawi ją, dlaczego prześcieradło trzeba natychmiast wyprać i rozwiesić, żeby wyschło w tym paskudnym pomieszczeniu na dole, chociaż nocną koszulką Sophie i w ogóle praniem zajmuje się w tym domu służba? Czyżby praczka poskarżyła się kiedyś, że w żadnym wypadku nie będzie codziennie przyjmować porcji brudnej pościeli? A może na pomysł tego rytuału wpadła Beatrice Cleave i nie kryje się za nim nic innego, jak tylko chęć przypomnienia Sophie, ile kłopotów sprawia niani, która i tak tyle już przez nią wycierpiała.

– Ciekawe, co by się stało, gdybyśmy oddały to prześcieradło do prania razem z innymi rzeczami – zastanawia się Sugar, zanurzając ręce po łokcie w letniej, żółtawej wodzie. Po chwili wyciąga z niej ciężki zwój pościeli i zaczynają wykręcać, czekając na odpowiedź Sophie.

– Jest zbyt zabrudzone, panienko – mówi dziewczynka, z całą powagą odgrywając wobec nowej domowniczki rolę przewodnika po twardej rzeczywistości królestwa Rackhamów. – Mój brzydki zapach rozszedłby się po wszystkich wysprzątanym zakątkach domu i wsiąkłby w ładne, czyste łóżka, wszędzie.

– Czy niania ci to mówiła?

Sophie waha się; najwyraźniej zaczyna się codzienne przesłuchanie, musi więc uważać, by odpowiadać poprawnie.

– Nie, panienko. Każdy... o tym wie.

Sugar nie wraca już do kwestii prania i wykręca prześcieradło tak mocno, jak potrafi. Zostawia Sophie samą, żeby się uczesała, po czym wynosi z pokoju kłęb mokrej pościeli, raz jeszcze podążając śladem Beatrice Cleave.

Na piętrze wciąż jest dość ciemno, ale hol na dole wypełnia już delikatnie mleczne światło dnia, a rozbryzgi słońca sięgają połowy wysokości schodów, dzięki czemu Sugar z wyższej kondygnacji schodzi pewniej niż z niższej. Co by pomyślał William, gdyby spotkał ją biegnącą przez dom z kłębem mokrej, cuchnącej pościeli w rękach? Próżne domysły, ponieważ Sugar po drodze nie spotyka nikogo. Choć wie, że o tej godzinie na dole w domu Rackhamów praca wre jak w ulu, nie dochodzą jej stamtąd żadne odgłosy i czuje się tak, jak gdyby była jedyną osobą przemierzającą wspaniałe korytarze rezydencji. Wokół panuje taka cisza, że dziewczyna łowi uchem ledwo słyszalny chrzęst gęstego włosia dywanu pod swoimi stopami.

Dziwna mała piwnica o ścianach połączonych miedzianą rurą jest ciepła niczym piec, z którego przed półgodziną wyjęto ciasto. W kącie, gdzie przed kilkoma godzinami leżały pamiątki Agnes, zanim zwędziła je Sugar, usunięto skrupulatnie wszelkie ślady błota i brudnej wody – i wbrew obawom dziewczyny, na miejscu zeszytów nie spoczywa surowa w tonie notatka, zapowiadająca,

że kradzież zostanie ukarana natychmiastowym zwolnieniem winowajcy ze służby.

Sugar rozwiesza prześcieradło na miedzianej rurze. Dopiero teraz spostrzega, że talk uwięziony w szczelinach jej popękanych dłoni zmieszał się z wodą z balii, obrysowując dziwaczne wzory wysuszonej skóry na rękach dziewczyny siecią kremowych linii. Grudki i kropelki perfumowanej mazi lepią się teraz do prześcieradła niczym gęsta sperma.

Williamie, gdzie jesteś?, myśli Sugar.

Ranek poświęcają na dzieje Cesarstwa Rzymskiego i dyktando, a potem Sugar na osłodę czyta dziewczynce dwie bajki z cienkiej, oprawionej w płótno książki o postrzępionych stronicach i rozdartym grzbiecie. *Wydanie z ilustracjami i poprawionymi morałami*, głosi strona tytułowa, na której widnieje także odręczna dedykacja:

Kochana Sophie, pewna moja dobra przyjaciółka zganiała mnie za to, że na ostatnią Gwiazdkę podarowałam ci Biblię, stwierdziła bowiem, że jesteś jeszcze o wiele za młoda, by czytać Pismo Święte. Mam nadzieję, że ta książka spodoba ci się prawie tak samo jak Biblia. Najlepsze życzenia od twojego męczącego wujka Henry'ego.

– Pamiętasz wujka Henry'ego? – pyta lekko Sugar w przerwie między opowieściami o dziwnych czarach i cudownych ocaleniach.

– Zakopali go w ziemi – mówi Sophie, marszcząc czoło, po chwili namysłu.

Sugar czyta dalej. Bajki to dla niej nowość; pani Castaway nie pochwałała bajek, ponieważ skłaniają dzieci do wiary w to, że wszystko zawsze kończy się dobrze, w rzeczywistości zaś: „Już niedługo przekonasz się, dziecino, że nic nigdy nie kończy się w ten sposób”. Pani Castaway wołała karmić maleńką Sugar podaniami ludowymi (im były straszniejsze, tym lepsze), wybranymi epizodami ze Starego Testamentu (Sugar wciąż umie wymienić wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na Hioba) i autentycznymi, z życia wziętymi opowieściami; a zatem – prawdę mówiąc – karmiła ją tym wszystkim, co zawierało cały zestaw niezасłużonych cierpień i najwyraźniej szalonych czynów.

W południe wraz z przysługującą Sugar i Sophie porcją lunchu Rose przynosi im także pewną wiadomość. Otóż pani Rackham przyjmuje na dole gości i chciałaby ich oprowadzić – znaczy się, tych gości – po całym domu. Dlatego pan Rackham życzy sobie, by w żaden sposób nie przeszkadzać pani Rackham w urzeczywistnieniu tych zamiarów. *W żaden sposób*, rozumiecie, panie? – Jeżeli macie ochotę, jest jeszcze galantyna, a zaraz przyniosę wam ciasto – dodaje Rose, aby osłodzić im gorzyc internowania.

Kiedy służąca wychodzi, guwernantka i jej uczennica milkną. Panująca tego listopada aura sprawia, że poranne słońce blednie, w pokoju zapada półmrok, a okna stukają na wietrze. Plusk deszczowych kropel zamienia się w ostrzejszy werbel gradu.

– Cóż, goście dużo tracą, jeżeli nie obejrzą twojego ślicznego pokoiku – mówi w końcu Sugar.

– A raczej, jak powinnam powiedzieć, twojej klasy. To najweselszy pokój w całym domu, poza tym masz tam bardzo interesujące zabawki.

Na chwilę znów zapada cisza.

– Mama nie widziała mnie od dnia moich urodzin – mówi Sophie, wpatrując się w leżący na talerzyku orzeszek pistacjowy, i myśli, czy pod rządami nowego reżimu, który nastał po odejściu Bęatrice, uda się jej uniknąć kary za to, że nie zamierza zjeść ostatniego kawałka swojej galantyny.

– A kiedy obchodziłaś urodziny? – pyta guwernantka.

– Nie wiem, panienko. Niania wie.

– Zapytam twojego ojca.

Sophie patrzy na Sugar szeroko otwartymi oczami, jako że naturalna familiarność, z którą guwernantka zdaje się traktować wysoko postawione i tajemnicze postaci ze świata dorosłych, robi na niej wrażenie.

Sugar bierze książkę pani Mangnall, otwierają na chybił trafił i zawiesza wzrok na następującym fragmencie: „...zwany powszechnie «komplutensjańskim poliglotą» od Complutum, łacińskiej nazwy Alcali”. Bez wahania postanawia więc raczej opowiedzieć Sophie jakąś historię

biblijną, upiększoną własnymi przypisami do rozmaitych postaci i uwagami dotyczącymi mody, jaka panowała wówczas w Galilei, a potem może poczyta jej znów Ezopa.

– A co takiego stało się w dniu twoich urodzin? – pyta uczennicę monotonnym głosem, kartkując Biblię. – Zbroiłaś coś?

Sophie poświęca temu pytaniu nieco namysłu, a na jej zmarszczonej, nieco pulchnej twarzyczce migoczą srebrnoszare iskierki światła, zapalające się na chłostanej gradem szybie. – Nie pamiętam, panienko – mówi wreszcie dziewczynka.

Sugar wydaje pełne sympatii chrząknięcie, jak gdyby chciała powiedzieć: „To nic ważnego”. Postanawia, że nie będzie czytać dziecku Księgi Hioba i zastanawia się nad Księgą Estery, ale przypomina sobie, że roi się w niej od zabójstw oraz dziewic podlegających rytualnemu oczyszczeniu, a potem grzęźnie w Księdze Nehemiasza, której niekończące się wyliczenia są jeszcze nudniejsze niż pamiętniki Agnes Unwin. Rozgląda się po pokoju w poszukiwaniu natchnienia i zauważa słoczone w kąciu drewniane figurki malowanych zwierząt.

– Opowiem ci o potopie i arce Noego – oświadcza, zamykając książkę.

Tego wieczora, położywszy Sophie, Sugar wraca do swojego pokoju, by spędzić w nim długą noc. Wie, że William jest w domu, a Agnes pojechała do kogoś w odwiedziny – są zatem idealne warunki, by Rackham mógł złożyć wizytę swojej kochance. Skryta przed wzrokiem ciekawskich w obskurnym, przypominającym pudełko pokoiku o ścianach pokrytych ohydłą, okaleczoną haczykami tapetą, z której zniknęły obrazy, Sugar zabawia się sama ze sobą na łóżku. Jej piersi, przykryte pikowanym szlafrokiem w kolorze burgunda, pachną perfumami.

Po godzinie zaczyna się nudzić, wyciąga więc spod łóżka pamiętniki Agnes. Deszcz bębni o szyby. Może to dobrze, że Shears nie przyszedł do tej pory na górę i nie zerwał pieczęci farby z framug, ponieważ niesiona wiatrem woda sprawia wrażenie, jak gdyby bardzo pragnęła dostać się do środka.

Tymczasem w Abbots Langley, w wyremontowanym, pełnym dorastających dziewcząt klasztorze, trwa wciąż proces edukacji Agnes Unwin. O ile Sugar się nie myli (czytając między wierszami opowieści Agnes, pisanej bez wytchnienia, lecz działającej na nią jak środek nasenny), pilna nauka nie jest już dla niej sprawą numer jeden, zastąpiło ją bowiem rosnące zainteresowanie „umiejętnościami”, które powinna opanować prawdziwa dama. Agnes nie ma nic do powiedzenia o takich przedmiotach, jak geografia albo język angielski, odnotowuje natomiast radość z pochwał, które otrzymuje za wykonane własnoręcznie koronki; pisze natomiast o cierpieniach, jakie sprawiają jej spacerunki wokół szkoły w towarzystwie nauczycielki niemieckiego albo francuskiego, podczas których musi na wyrwyki odmieniać czasowniki. Mijają lata, a Agnes nigdy nie osiąga lepszych wyników w nauce niż przeciętne. W zeszytach ma wiele ocen, oznaczonych literą „D” (co znaczy „dość dobrze”), z kolei zajęcia z muzyki i tańca są dla niej źródłem radości, która nie wymaga właściwie wysiłku. Jedno z niewielu barwnych wspomnień w opowieści Agnes przedstawia ją przy pianinie w pracowni muzycznej w towarzystwie swojej najlepszej przyjaciółki, Laetiti, która siedzi dwie oktawy dalej, po jej lewej ręce, i na znak batuty odgrywa razem z nią tę samą melodię, którą jednocześnie grają cztery inne uczennice, siedzące w klasie przy dwóch innych pianinach. Słaba znajomość ortografii nie ściągła na Agnes surowszych kar niż łagodne napomnienia, a jeśli chodzi o arytmetykę, często unika reprimendy za błędy, o ile uda się jej wykaligrafować wyniki kształnymi cyferkami.

Agnes nie pomija w pamiętniku ani jednego dnia, Sugar jednak nie może pozwolić sobie na podobną sumienność, tu i ówdzie opuszcza więc po kilka stron. Szuka nagrody za to, że ryzykuje przyłapanie na gorącym – a raczej brudnym – uczynku, bo William może przecież niespodziewanie wpaść do jej pokoju i zobaczyć, że czyta skradzione pamiętniki jego żony. A poza tym, Boże kochany, ile tego szkolnego bajdurzenia zdoła jeszcze przełknąć? Gdzie w tym wszystkim jest prawdziwa Agnes? Gdzie kobieta z krwi i kości, która mieszka na tym samym piętrze? Gdzie jest owa dziwna, udręczona istota, żona Williama i matka Sophie? Agnes z pamiętników to tylko bajkowa, zmyślona postać, równie nierealna jak Królowna Śnieżka.

Na odgłos pukania do drzwi Sugar wzdyga się gwałtownie i strąca pamiętnik z kolan.

Wystarczą jej dwie nerwowe sekundy, żeby go podnieść, wrzucić pod łóżko, wytrzeć ręce o dywan i trzykrotnie oblizać usta, by nadać im blask.

– Tak? – pyta.

Drzwi otwierają się na oścież i w progu staje elegancko ubrany, starannie uczesany i wypomadowany William, jaki mógłby objawić się w drzwiach biura oczom któregoś ze swoich kontrahentów. Jego twarz pozostaje bez wyrazu.

– Wejdz, panie – prosi dziewczyna, ze wszystkich sił starając się tak modulować głos, by brzmiał na poły poważnie i uroczyście, na poły zaś uwodzicielsko.

William wchodzi i zamyka drzwi.

– Byłem koszmarnie zajęty – mówi. – Boże Narodzenie za pasem.

Absurdalność tego oświadczenia w konfrontacji z jej napiętymi nerwami sprawia, że Sugar omal nie wybucha śmiechem.

– Do usług... – mówi, zaciskając za plecami palce o ostrych paznokciach, by ból przypomniawszy jej, że cokolwiek zamierza teraz uczynić (przedyskutować z Williamem co bardziej szczegółowe kwestie promocji jego produktów czy przytulić go do piersi), przeraźliwy, histeryczny śmiech z pewnością jej nie pomoże.

– Opanowałem już chyba sytuację – mówi. – Wprawdzie zamówienia na konfekcjonowane perfumy wyglądają nawet gorzej, niż oczekiwałem, ale za to kosmetyki idą jak woda.

Sugar zaciska pięść tak mocno, że łzy napływają jej do oczu.

– A jak tobie się wiedzie? – pyta William swobodnie i zarazem smutno. – Tylko mów prawdę: wcale bym się nie zdziwił, gdybyś przeklinała dzień, w którym zamieszkałaś pod tym dachem.

– Ależ skąd – protestuje Sugar, mrugając oczami. – Sophie jest dobrze wychowanym maleństwem i pilnie się uczy.

Twarcz Williama zasnuwa delikatny cień; nie jest to jego ulubiony temat.

– Wyglądasz na zmęczoną... masz sińce pod oczami – mówi.

Sugar z wysiłkiem nadaje swojej twarzy świeższy i żywszy wyraz, chociaż wcale nie musi tego robić: William nie narzeka, przemawia przez niego jedynie troska. I co za ulga wiedzieć, że pamięta, jak powinny wyglądać jej oczy!

– Chcesz, żebym ci najał pokojówkę do dziecka? – proponuje William. Jego głos stanowi dziwną kompozycję subtelnych odcieni, niczym zapachowa kompozycja perfum. Pobrzmiwa w nim rozczarowanie, jak gdyby i on marzył, że kiedy tylko Sugar przekroczy próg jego domu, rozpoczną wspólne życie w nieustającym cielesnym szczęściu; słysząc w nim bojaźń, jak gdyby Rackham wiedział, że to on jest winien temu, iż ich życie wygląda w istocie inaczej; skruchę za wszelkie przykrości, jakie mogła wyrządzić jej jego córka; strach na myśl o tym, że będzie musiał znaleźć kolejną służącą, kiedy ma tysiące innych spraw do załatwienia; żal, który odczuwa na widok kochanki, leżącej w małym, prostym łóżku Beatrice Cleave; czułość, jak gdyby żałował, że nie może przywrócić blasku oczom Sugar jedną pieszczotą; i również pożądanie, tak. Pytanie Williama składa się zaledwie z siedmiu słów, a przecież zostało nasycone tymi wszystkimi ulotnymi jak nuty subtelnościami, które tworzą oktawę fachowo dobranej zapachowej.

– Nie, dziękuję – mówi Sugar. – Nie trzeba, naprawdę nie trzeba. To prawda, nie wyspałam się tu porządnie jeszcze ani razu, ale jestem pewna, że to kwestia nowego łóżka. Brakuje mi naszego starego łoża z Priory Close: spanie w nim było prawdziwą przyjemnością, prawda?

William pochyla głowę – właściwie nie przytakuje, lecz wykonuje jedynie gest przyzwolenia. To wszystko, czego jej trzeba; dziewczyna natychmiast podchodzi, otacza go ramionami i kładzie mu dłonie na krzyżu, unosząc udo, które wtula między nogi kochanka.

– Ja też za tobą tęskniłam – mówi, ocierając się policzkiem o jego ramię. Wyczuwa słaby zapach męskiego pożądania, unoszący się zza niemal hermetycznie zapiętego kołnierzyka koszuli, a kutas Williama twardnieje pod wpływem delikatnego nacisku jej nogi.

– Nie mogę zmienić wymiarów tego pokoju – mówi ochryple Rackham. – Oczywiście, kochany, ja wcale nie narzekam – grucha cicho Sugar.

– Wkrótce przyzwyczaję się do tego łóżeczka. Trzeba je tylko... – (Przesuwa dłoń na krocze kochanka, czubkami palców wodząc wzdłuż jego nabrzmiałego członka). – ...ochrzcić.

Popycha Williama kilka kroków w tył, przysiada na brzegu łóżka, wyswabdzając jego kutasa ze spodni i natychmiast bierze do ust. Przez kilka chwil Rackham stoi w milczeniu jak posąg, potem jednak zaczyna jęczeć i – dzięki Bogu! – gładzić ją po głowie, nieporadnie, lecz niewątpliwie z czułością. *Jest ciągle w mojej mocy*, myśli Sugar.

Kiedy William zaczyna rytmiczne ruchy, dziewczyna kładzie się, po czym podciąga koszulę powyżej piersi, a wtedy Rackham rzuca się na nią ze stłumionym okrzykiem – lecz wbrew obawom Sugar jej cipa okazuje się tak wilgotna, że nie mogłaby mu zgotować lepszego powitania, gdyby miała na wyszykowanie się nawet całe pół godziny.

– Tak, mój kochany, spuść się, spuść – szepcze Sugar, kiedy William jest już bliski orgazmu. Dziewczyna splata mocno ramiona i nogi na plecach kochanka, obsypując jego kark pocałunkami. Niektóre są chytrze wykalkulowane, inne płyną z serca, Sugar nie wie jednak, ile składa jednych, a ile drugich. – Jesteś moim mężczyzną – zapewnia go, kiedy szpara między jej pośladkami spływa ciepłą wilgocią.

Kilka minut później wyciera mu krocze ręcznikiem, który z braku bieżącej wody moczy w szklance.

– Pamiętasz nasz pierwszy raz? – mruczy prowokująco.

William usiłuje się rozpogodzić, ale jego uśmiech przechodzi w grymas udreki.

– Wtedy byłem prawdziwą zakałą rodziny – wzdycha, wpatrując się w sufit.

– Och, ja wiedziałam, że zapowiadasz się na wielkiego człowieka – pociesza go Sugar, gdy deszcz przestaje padać i dom Rackhamów spowija w końcu cisza. Wytarty do sucha i ubrany, William leży w jej ramionach, chociaż we dwoje z trudem mieszczą się na łóżku.

– Wiesz, wszystko przez ten mój interes... – mówi z zadumą i żalem. – Mam oczywiście na myśli przedsiębiorstwo, Rackham Perfumeries. Tracę całe godziny, dni i tygodnie na prowadzenie firmy.

– To wina twojego ojca – mówi Sugar, powtarzając starą skargę Williama, jak gdyby w nagłym porywie wyrażała swoje własne zdanie. – Gdyby zbudował firmę na nieco lepiej pomyślanych podstawach...

– Otóż to. Ale dlatego spędzam całą wieczność, odkrywając jego błędy i podpierając stemplami... no wiesz...

– Wzniesioną przez niego wątłą konstrukcję.

– Właśnie. I przez cały ten czas zaniedbuję... – (Tu William wyciąga rękę, żeby pogłodzić dziewczynę po twarzy, a wtedy jego noga zsuwa się z wąskiego materaca). – ...zapominam o życiowych przyjemnościach.

– A ja przecież właśnie po to tu jestem – mówi Sugar. – Żeby ci o nich przypominać. – Zastanawia się, czy to dobry moment, aby zapytać, czy wolno jej pukać do drzwi jego pokoju, nie czekając, aż on zastuka do niej, ale oboje podrywają się z miejsca, słysząc chrzęst miażdżonego kołami i kopytami żwiru na podjeździe; albowiem wraca Agnes.

– Twoja żona ostatnio lepiej się czuje, prawda? – pyta Sugar, kiedy William się podnosi.

– Bóg raczy wiedzieć. Tak, chyba tak. – Rackham przygładza włosy i zbiera się do wyjścia.

– A kiedy Sophie obchodzi urodziny? – pyta Sugar, nie chcąc go wypuścić, nie dowiedziawszy się niczego o tej dziwnej rodzinie i o domu, w którym teraz mieszka, przypominającym labirynt tajemnych pokoi, których lokatorzy niezwykle rzadko zdają się pamiętać o swoim istnieniu.

William marszczy brwi, przebiegając w myślach spis ważnych spraw, a wielu wyjątkowo kłopotliwych.

– W sierpniu... Któregoś tam sierpnia.

– Ach, zatem nie jest tak źle – odpowiada Sugar. – Jak to?

– Sophie mówiła mi, że Agnes unika jej od dnia urodzin.

William mierzy ją najdziwniejszym w świecie spojrzeniem, w którym widać irytację, wstyd i głęboki smutek, o jaki Sugar nigdy dotąd nawet go nie podejrzewała.

– Mówiąc o „dniu urodzin”, Sophie ma na myśli dzień, w którym przyszła na świat. – William niecierpliwie otwiera drzwi, boi się bowiem, że jego żona właśnie dzisiejszego wieczora wysiądzie z powozu szybciej niż zazwyczaj. – W tym domu Agnes uchodzi za kobietę bezdzietną –

podsumowuje.

I z tymi słowy Rackham przekracza próg, macha surowo ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: „Zostań!”, po czym zamyka drzwi.

Wiele godzin później dziewczyna wciąż nie śpi. Leży w łóżku, nie może już jednak wytrzymać dłużej w ciemnościach, a kiedy w domu Rackhamów zalega absolutna cisza i Sugar nabiera całkowitej pewności, że wszyscy zniknęli w nieznanym jej pokojach, wstaje z łóżka i zapala świecę. Niosąc woskowy płomień, wychodzi boso na korytarz. Czuje się bardzo mała, idąc na palcach w mroku wspaniałej i zagadkowej rezydencji, choć kiedy mija zakazane drzwi, rzuca ogromny cień.

Bezszelestnie niczym wilczyca albo bajkowy duch przenika do sypialni Sophie i skrada się do jej łóżka. Córka Williama śpi głębokim snem, a powieki dziewczynki niemal niedostrzegalnie drgają z wysiłku, jakiego wymaga od niej utrzymanie skórnej woalki powiek na ogromnych, odziedziczonych po matce oczach. Oddycha przez otwarte usta, od czasu do czasu poruszając wargami, jak gdyby reagowała na jakiś śniony albo zapamiętany bodziec.

– Obudź się, Sophie – szepcze Sugar. – Obudź się.

Sophie otwiera oczy, trzepocząc powiekami; jej szarobłękitne źrenice drżą chaotycznie niczym oczy dziecka, które zapada w śpiączkę po zażyciu kordiału Godfrey'a, Street's Infant Quietness albo innego środka nasennego. Sugar wyciąga nocnik spod łóżka.

– Wskocz na chwilę z pościeli – mówi Sugar, przesuwając dłoń w dół po ciepłych, suchych plecach Sophie, okrytych koszulką nocną, kiedy podnosi jej drobne, ciężkie ciało. – Tylko na chwilę.

Sophie niemrawo próbuje spełnić polecenie. W jej rozbieganych oczach maluje się oszołomienie, wywołane głęboką ciemnością wokół.

Sugar ujmuje gładkie dłonie dziecka w swoje spękane, łuszczące się ręce i unosi je w górę.

– Zaufaj mi – szepcze.

Obłąd! Czysty obłąd!

Zdaniem służących bodaj najgorszą zmorą domu Rackhamów jest to, iż państwo mają paskudny zwyczaj czuwać do późna w nocy, kiedy powinni już dawno spać, natomiast kiedy powinni być na nogach, śpią sobie w najlepsze.

Jak na przykład teraz. Oto Clara ze świecą w ręku skrada się na palcach korytarzem. Jest w pół do pierwszej, pora, o której umęczone służące niewątpliwie powinny już móc złożyć głowy na poduszkach, pewne, że ich panowie i panie nie będą ich więcej zaprzętać aż do rana. Ale co tu się dzieje?

Zerkając przez dziurkę od klucza kolejno do wszystkich sypialni, Clara konstatuje, że dosłownie żaden członek rodziny Rackhamów jeszcze nie śpi.

Clara uważa, że to czysty obłąd. Czy William Rackham spodziewa się, iż za zaszczyt usługiwania jego rodzinie będzie mu całować buty z wdzięczności tylko dlatego, że podniósł jej roczną pensję o dziesięć szylingów? Dziesięć szylingów, doskonale, ale ile jest wart smaczny sen? Clara wciąż nie dosypia! Weźmy choćby dzisiejszy wieczór! Drzwi wciąż otwierają się i zamykają, a ona musi sprawdzić, skąd dobiegają hałasy, któż bowiem może wiedzieć, co wpadnie znów do głowy pani Rackham? Dziesięć szylingów rocznie... czy to znaczący wydatek dla człowieka, którego oblicze zdobi plakaty reklamowe w omnibusach? Właściwie prawie już się zdecydowała, żeby zażądać od niego szylinga za każdą godzinę snu, którą traci przez jego obłąkaną żonę! Co ta nieszczęsna kobieta znowu wymyśliła? Na pewno coś głupiego. A jutro, kiedy wierna pokojówka, ślaniając się na nogach, będzie musiała przy niej warować, gotowa na każde skinienie, pani Rackham będzie najprawdopodobniej wylegiwać się w łóżku, w którym prześpi cały Boży dzień, śliniąc zalaną słońcem poduszkę.

Co do dzieciaka Rackhamów, to dziewczynka powinna kłaść się spać o siódmej wieczorem i wstawać nie wcześniej niż o siódmej rano. Ta nowa guwernantka – panna Sugar – najwyraźniej nie ma pojęcia, jak się obchodzić z dziećmi... Co ona za głupstwa wyprawia! Clara zagląda przez dziurkę od klucza do sypialni Sophie Rackham i widzi – czysty obłąd! – chwiejący się na wszystkie strony płomień świecy oraz cień panny Sugar, obejmującej dziecko. Ona wtrąca się w nie swoje sprawy, i Clary to wcale nie dziwi. Zwąchała prawdę od razu, kiedy ta kobieta znalazła się w progach rezydencji Rackhamów: bije od niej zapach nikczemności. Samozwańcza guwernantka o niewyparzonym jęzorze, która w wielce podejrzanym sposobie kołysze biodrami – skąd, u licha, Rackham ją wziął? Może z Towarzystwa Ocalenia Kobiet. Zabawia się teraz po nocy z małą Sophie, a Emmeline Fox mówi o takich jak ona, że im się udało, i nazywa je „chodzącymi sukcesami”.

No, a Rackham? Dlaczego jeszcze nie śpi? Clara zagląda do pokoju Williama przez dziurkę od klucza i widzi wyraźnie biurko tego wielkiego człowieka, przy którym wielki człowiek siedzi i pracowicie pisze. Nie może zaczekać do rana z przekonywaniem kolejnych klientów, żeby kupowali jego perfumy? Czy może te bazgroły to powieść, o której ciągle powtarzał kiedyś żonie, że ją układa? *William zamierza opublikować powieść, Claro*, mawiała pani Rackham przynajmniej raz w miesiącu podczas chudych lat. *Najlepszą powieść na świecie. I już niedługo nie będziemy musieli znosić szykan ze strony jego ojca.*

Clara podchodzi do drzwi sypialni Agnes i pochyla się, by zajrzeć do wnętrza przez dziurkę. Pani Rackham pozapalała wszystkie lampy w pokoju i wystroiła się w karmazynową suknię. Szaleństwo! Ale przynajmniej nie była na tyle bezczelna, by wezwać pokojówkę, żeby pomogła jej się ubrać... Tylko dlaczego chodzi tam i z powrotem po pokoju? I co to za książka, którą unosi wysoko niczym kościelny śpiewnik? Przypomina księgę rachunkową – ale oczywiście ta biedna głuptaska, pani Rackham, nie potrafi nawet zliczyć do czterech.

Clara chciaaby podglądać panią dłużej, ale Agnes nagle zatrzymuje się i spogląda prosto w dziurkę od klucza, jak gdyby dostrzegła zza drzwi blask oka służącej. Doskonały słuch? Zwierzęca czujność? Szósty zmysł wariatki? Clara nie wie dokładnie, z czym ma do czynienia, ale nauczyła się już tego wystrzegać. Wstrzymuje oddech i cicho, na palcach, szybko wraca do łóżka.

Agnes Rackham prostuje dumnie plecy – na ile jest to możliwe w wypadku osoby jej wzrostu – i spogląda na sufit. Dostrzega pająka, który wspina się właśnie na brzeg gipsowej rozety. Nie boi się pajaków, a w każdym razie nie takich chudych i wiotkich jak ten, toteż nie życzy sobie, by go usunąć. Znajduje się wciąż pod wrażeniem przeczytanej niedawno broszury, którą przysłano jej aż z Ameryki – pod tytułem *Boska sieć świata*, pióra Ambrosiusa M. Lawesa – i dlatego wie, że ten mały pająk jest żywą istotą, jak ona, chociaż należy do stworzeń niższego rzędu.

Co więcej, pani Rackham jest w nadzwyczajnie dobrej formie. Dokuczliwy ból głowy, który zepsuł jej cały miniony dzień, ustąpił, i teraz Agnes czuje się jakby odświeżona i oczyszczona. Doprawdy, powinna nauczyć się reagować od razu – kiedy żołądek powiada, że nie należało jeść obiadu, musi go zwracać natychmiast! Chwila przykrości, i zaraz czuje się jak nowo narodzona!

Ponieważ dopisuje jej samopoczucie, zaczęła dzisiaj nowy zeszyt swoich pamiętników – nie, nie pamiętników – pomyliła się, a raczej „pomyśliła”, czyli właściwie przejęzyczyła w myślach. Nie, przyrzekła już sobie, że pamiętników więcej pisać nie będzie. Są bardzo nużące, a poza tym roi się w nich od skarg i narzekań, które lepiej ukrywać przed wścibskim wzrokiem obcych.

Nie, teraz pisze coś znacznie poważniejszego i głębszego. Pomimo wszystkich triumfów, jakie święciła w Sezonie, był to ostatni Sezon, w którym brała udział. Dojrzała w niej świadomość innego przeznaczenia, którego wołanie musi przyjąć do wiadomości. Od lat obraca się wśród dam z wyższych sfer jako dama z wyższych sfer, sprzeciwiając się swojej ukrytej naturze. Od lat zachłannie czyta też wszystkie książki o wiedzy tajemnej, które wpadają jej w ręce, powtarzając sobie, że robi to wyłącznie z ciekawości; teraz przyszedł czas, by powiedziała prawdę.

Podnosi swój nowy pamiętnik – nie, nie pamiętnik – do światła. Jak powinna go zatytułować? To duży, piękny zeszyt, wielkości księgi rachunkowej, pozbawiony jednak linii i kratek. Na jego dziewiczej stronie wykaligrafowała gotykiem tytuł najładniej, jak potrafi: *Oświecone myśli i nadpszyrodzone refleksje Agnes Pigott*. W skrócie będzie nazywać tę książkę... „Księgą”.

Chodzi tam i z powrotem po sypialni, czytając wciąż w kółko pierwszą, gęstą od słów stronę, z której zapisaniem wstrzymywała się w imię ceremoniału, dopóki nie wybiła północ. Teraz jest kwadrans na pierwszą i oto Agnes trzyma przed sobą spisany dla potomności tekst, w którym skreślone ciemnym atramentem literki „o” jeszcze lśnią!

Lekcja 1. Bóg i człowiek

Bóg jest Trójcą. Ale tylko niewielu ludzi wie, że wszyscy jesteśmy trójcami. Najpierw mamy pierwsze ciało (które będę nazywać ciałem ojca), a jest to ciało, które zamieszkujemy na co dzień. Po wtóre, posiadamy ciało drugie (które będę nazywać ciałem słonecznym. Ciał tych strzegą dla nas rajscy aniołowie w tajemnych miejscach na całym świecie, gdzie oczekują na dzień Zmartwychwstania. Po trzecie, posiadamy trzecie albo duchowe ciało, które nazywać będę ciałem świętego ducha, zwanym także duszą).

Lekcja 2. Często popełniany błąd

Większość cierpienia na świecie wynika z niewiedzy naszego drugiego ciała. Człowiek popełnia błąd, myśląc, że kiedy jego pierwsze ciało ginie, musi spędzić resztę wieczności pod postacią ducha. Tak nie jest! Wszystkie wielkie i godne zaufania autorytety, w tym św. Jan Ewangelista, pan Uriah Nobbs i in., zgadzają się co do tego, że życie pośmiertne prowadzić będziemy na naszej ziemi, a wszyscy zbawieni otrzymają na tę okoliczność nowe ciała.

Lekcja 3.

Agnes krąży po sypialni w poszukiwaniu odpowiednio imponującej Lekcji 3. Zastanawia się, czy nie napisać o Klasztorze Zdrowia i własnym aniele stróżu, ale odrzuca ten motyw jako zbyt osobisty. Wszystko, co od tej pory napisze, musi posiadać wymiar uniwersalny i zawierać

fundamentalne prawdy. Gdyby roztrząsała własne doświadczenia, „Księga” za bardzo przypominałaby pamiętnik – a pamiętniki to umarłe myśli, stracone dni wczorajsze i próżność. Jak przemowa nad trumną.

I dlatego ani trochę nie żałuje, że zakopała swoje wspomnienia ani że mogą toczyć je robaki, bo nic jej to nie obchodzi! Poczynając od dzisiejszej nocy, każde słowo pani Rackham będzie nieśmiertelne!

Wysadziwszy Sophie na nocniku, Sugar wraca bezpiecznie do łóżka, otwiera następny zeszyt Agnes Unwin i układa go sobie na kolanach. Nieznacznie unosi udo, by światło świecy padało na stronicę, po czym zaczyna czytać.

W Abbots Langley jest rok 1865 i Agnes w końcu zaczyna się mienić damą. Podług kryteriów Sugar pani Rackham nie uczyniła jeszcze nic dojrzałego i nie splamiła się żadną poważną myślą, Agnes uważa jednak, że jest już nieomal „skończoną” kobietą. Eleganckie panienki z kolorowych pism, niegdyś jej idolki, stały się obecnie rywalkami, zatem na wypadek, gdyby pamiętnik pani Rackham jeszcze tego nie wiedział, autorka informuje go szczegółowo, jaką fryzurę nosi ostatnio (zaczesała włosy za uszy, ma dwa grube loki po bokach i mały, „pieczętujący” całosek kok na karku). Ubiera się w repliki najmodniejszych francuskich toalet, które szyje na zajęciach z krawiectwa i haftowania. Choć nigdzie nie wspomina o czymś tak obrzydliwym jak cielesność, jest już najprawdopodobniej na tyle rozwinięta, żeby jej piersi wypełniły sukienki, które opisuje z takim uwielbieniem.

Choć ukończyła tymczasem trzynaście lat, plan jej zajęć szkolnych jest jeszcze chudszy niż wtedy, gdy miała lat dziewięć, zredukowano go bowiem do minimum: pozostał taniec, muzyka, francuski i niemiecki. Te ostatnie przedmioty stanowią dla Sugar przeszkodę nie do pokonania: francuski zna słabo, a niemieckiego wcale, pani Castaway uważała bowiem, że o ile mężczyźni cenią dziewczęta, które umieją trochę po francusku, o tyle Niemczyzna przypomina odgłosy, jakie może wydawać stary pastor, kiedy wymiotuje. Tak więc, jeśli Agnes zaczyna wpis do pamiętnika od słów *Bonjour, mon cher journal* albo *Liebes Tagebuch*, Sugar ziewa i przerzuca stronicę.

Mała panna Unwin uczy się gawoty, kaczuczy i menueta, ale choć tańce te mają na celu salonowe zbliżenia, Agnes najwyraźniej nie wie absolutnie nic na temat płci męskiej. Jej doświadczenia uczuciowe, jeżeli nie liczyć potajemnych i krótkotrwałych zauroczeń nauczycielkami albo koleżankami, równają się zeru. Pozwoliła dyskretnie umrzeć swojej dawnej nadziei na poślubienie żołnierza, który miałby wyruszyć na poszukiwanie jej prawdziwego ojca; dziś wyimaginowany mąż Agnes to cudowny szlachcic, właściciel zimowej rezydencji na południu Francji. Oczywiście, snuje kolejną fantazję, która tym razem jednak nie bierze się znikąd:

Dzisiaj zabrano ze szkoły Eugenie, całą we łzach. Za miesiąc poślubi swojego tajemniczego korespondenta ze Szwajcarii! Pomyślałam sobie, że w tej sytuacji byłoby okrucieństwem przypominać jej o moich pędzelkach do akwareli. Może odeśle mi je pocztą.

Sugar głośno parska, co jest wyrazem jej bezradnej pogardy. Jakże rozkosznie byłoby wyleczyć Agnes z egoizmu siarczystym policzkiem! Później jednak przypomina sobie, że kiedy pomagała jej w zaułku przy Bow Street, pani Rackham nie była nikim więcej jak tylko zakrwawionym i przerażonym dzieckiem, które drżało w jej ramionach i błagało, by zabrać je do domu.

W całym tym zamieszaniu Eugenie zapomniała też swojego albumu z kotkami, pisze czternastoletnia panna Unwin. Niektórych słodkich maleństw nie zdążyła jeszcze nawet do niego wkleić! Na honor, jeżeli ten szwajcarski bankier kocha Eugenie choć w połowie tak mocno, jak powiada, niech lepiej się postara, by odzyskała swój album!

Dopiero teraz Sugar wszystko rozumie: ta głupawa, tańcząca menueta młoda dziewczyna w rzeczy samej jest damą, i dlatego nigdy już nie dorośnie. Tak, wszystkie damy, które Sugar dotąd w życiu widziała, wszystkie te wyniosłe paniusie, które wysiadają z powozów z minami wielkich hrabin, przechadzają się pod osłoną parasolek w Hyde Parku albo wchodzą dostojnie do opery, to dzieci. Nie zmieniają się ani trochę od czasu zabawy lalkami i rysowania, rosną jedynie i nabierają paru „umiejętności”, by potem, w wieku piętnastu bądź szesnastu lat, kiedy wciąż zdaje im się, że można postawić je w kącie, jeśli nie będą umiały odmienić jakiegoś czasownika albo nie zechcą zjeść puddingu, powrócić do domów, do swoich adoratorów. A kim oni są? To pewni siebie

młodzieńcy, którzy poznali już świat, mają nieślubne dzieci i przeszli ospę. Znudzeni rozkoszami młodości, zaczynają interesować się instytucją małżeństwa, oglądają rozkwitłe w nowym roku wytwornie ubrane dzieci i wybierają sobie spośród nich młodziutkie żony.

Laetitia, biedactwo, nieco ostatnio cuchnie, notuje Agnes na ostatniej stronie kolejnego zeszytu. *Co za nieszcześnie, jest nie tylko brzydka, ale w dodatku śmierdzi! Ja jednak jestem o wiele za dobrze wychowana, żeby jej o tym powiedzieć! Niech Bóg błogosławi edukacji, albowiem uczy nas ona, że powinniśmy szanować uczucia bliźnich. Jakże piękny byłby świat, gdyby wszystkie dziewczęta posłano do Abbots Langley! – gdzie nigdy nie padają gniewne słowa, a wszyscy doskonale wiedzą, jak trzeba się zachowywać. Czy istnieje jakaś „mai du monde”, której edukacja nie umiałaby wyleczyć? Je ne crois pas!*

Potrząsając z niedowierzaniem głową, Sugar zamyka zeszyt i sięga, licząc chronologicznie, po następny.

Liebes Tagebuch, głosi napis na jego pierwszej stronie. *Ich hatte einen zehr ermudenden tag. Welche Erleichterung zu dir zusprechen...*

Zeszyt zamyka się z trzepotem stronic, a Sugar zdmuchuje świecę.

Tymczasem dość już poźółkłych kartek z przeszłości! Życie toczy się dalej i zanim się obejrzymy, nastanie rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty szósty.

Jeśli nie brać pod uwagę opinii Gary, że rezydencja Rackhamów w niczym nie jest ani trochę lepsza od Bedlam, kolejne dni listopada mijają spokojnie. Wschody i zachody słońca następują po sobie w określonych porach, a dom w Chepstow Villas nie rozbrzmiewa przeraźliwymi wrzaskami ani odgłosami kłótni. Żałoba po śmierci Henry'ego Rackhama dobiega końca i znów wszyscy ubierają się kolorowo. Posiłki są smaczne; służba haruje ciężko, uczciwie wypełnia swoje obowiązki i nie zasługuje na naganę czy zwolnienie. William spędza swój czas, planując rekordowe Boże Narodzenie dla Rackham Perfumeries, będą to bowiem święta, które udowodnią konkurencji, jak bardzo urosła jego skromna firma od czasów, kiedy zarządzał nią ojciec. Agnes powierza swoje mądrości „Księdze” i nie zdradza najmniejszej ochoty, żeby odkopać pamiętniki, nie, absolutnie żadnej, pomimo nawiedzających ją żałosnych wizji zeszytów, które wilgotnieją w zimnej, brudnej ziemi. Przyjęła wizytę pani Vickery i zamiast plotkować jak zwykle, zadziwiła ją opowieścią o znakomitej książce pana Allana Kardeca *Ewangelia przez duchy objaśniona*.

Jeśli chodzi o Sugar, to jej obawy, że nie poradzi sobie z wychowaniem Sophie, zniknęły. Sądziła, że czekają ją napady złego humoru i okrutna bezczelność ze strony dziecka – że jej życie będzie wyglądało jak w powieściach, w których nieszcześnie guwernantki ronią zawsze łzy upokorzenia – ale raz jeszcze okazuje się, że powieści się mylą, a każda nauczycielka mogłaby jej pozazdrościć tak pilnej i grzecznej uczennicy jak panna Rackham. W rzeczy samej Sophie zdaje się traktować ją z respektem i podziwem, choćby za to, że guwernantka posiada cudowną moc, która leczy nocne moczenie. Co rano Sophie budzi się w suchej, ciepłej pościeli i mruga z niedowierzaniem, konstatując ten zdumiewający fakt. Panna Sugar musi być kimś niezwykłym, skoro wie, co to było Cesarstwo Rzymskie, i na dodatek potrafi zapanować nad nocnymi wyciekami cudzego, niedobrego psipsi!

Sugar jest dumna ze swojego sukcesu i jak sięga pamięcią, z niczego nie była tak dumna jeszcze nigdy. Wywołane kontaktem z uryną podrażnienie skóry Sophie ustąpiło całkowicie, pozostawiając tylko ślad w postaci blad różowego pączka między jej pulchnymi udkami. I tak powinno być. Wszystko powinno tak właśnie się układać.

Sugar jest pełna podziwu dla dziecka i każdego popołudnia podaje dziesięć nowych słówek, których pisowni Sophie ma się nauczyć. Dziewczyna ośmieliła się nawet napisać do Williama liścik, który podpisała jako „panna Sugar”, a w którym zamiast go błagać, żeby odwiedził jej łóżko, składa górnolotną prośbę o zakup nowych książek do nauki dla Sophie. Wsuniecie listu pod drzwi jego gabinetu było, pod pewnym względem, czynem równie łajdackim jak onegdaj salonowa sztuczka z tryskaniem wodą z pochwy.

Ku zaskoczeniu Sugar, jej zuchwalstwo zostaje nagrodzone w przeciągu trzydziestu sześciu godzin. Bo oto kiedy następnego deszczowego poranka ona i Sophie wchodzą zaspane do klasy,

znajdują na biurku tajemniczą paczkę.

– Ach! – mówi Sugar, rozwijając brązowy papier pakowy. – To te książki, o które prosiłam Wi... ech... twojego ojca.

Sophie otwiera szeroko oczy, nie tylko dlatego, że nie może się napatrzeć na nowiutkie książki, lecz że panna Sugar widocznie pozostaje w bardzo bliskich stosunkach z ową tajemnicą, jaką pozostaje dla dziewczynki ojciec.

– Czy to... prezenty? – pyta.

– W żadnym wypadku – oświadcza Sugar. – Te książki są ci niezbędne do nauki. – Po czym pozwala Sophie obejrzeć zdobycz: oto podręcznik do historii, opatrzone rycinami na każdej kolejnej stronie, przewodnik po wszystkich krajach Imperium Brytyjskiego, kompendium dotyczące przedmiotów, które wedle instrukcji można wykonać, używając papieru, kleju i sznurka, oraz elegancki, cienki tomik wierszy pióra Edwarda Leara.

– To nowoczesne, aktualne książki – zachwyca się Sugar. – Bo jesteś przecież nowoczesnym dzieckiem, żyjącym dziś, tu i teraz, rozumiesz?

Zdaje się, że oczy Sophie wyjdą z orbit, dziewczynka jest bowiem oszołomiona zdumiewającą myślą, że historia porusza się niczym pojazdem, którym może jechać sześciolatnia dziewczynka. Zawsze wyobrażała sobie historię jako pokryty pajęczyną gmach, do którego kolosalnego fundamentu maleńka Sophie Rackham przylega niby pyłek.

Do południa dziewczynka nauczyła się na pamięć kilku wierszy pana Leara, pisarza współczesnego, ba, tak współczesnego, że ułożył te rymy już po narodzinach Sophie Rackham!

*Kiedy Puchacz i Kicia wyruszyli w rejs życia
W zgrabnej łódce groszkowozielonej,
Wzięli w drogę parówki, duży zapas wiśniówki
I stój miodu z nalepką „The Honey”.
Puchacz najrozmaitsze piosnki brzdąkał na cytrze
I tak śpiewał w kierunku Nord-West:
„Kiciu, cudna osobo! Kiciu, życia ozdobo!
Urodziwą mą Kicią tyś jest!
Tyś jest!
Tyś jest!
Urodziwą mą Kicią tyś jest!”²⁴*

I Sophie dyga szybko z rzadko spotykaną u niej spontanicznością.

– No, prawie dobrze – mówi Sugar z uśmiechem. – Przeczytajmy ten wierszyk jeszcze raz. – Za uśmiechem guwernantki kryje się pewna tajemnica: nie sili się na cierpliwość dla niej samej, bo mści się w ten sposób na matce. Nigdy nie zapomniła tamtego dnia na Church Lane, gdy jako siedmioletnie dziecko popełniła błąd, polegający na tym, że wyrecytowała swoją ulubioną rymowankę w obecności pani Castaway o jeden raz za dużo.

– Nie, moja kruszynko – powiedziała matka łagodnym tonem, jakim wygłaszała zwykle pogrózki. – Dostyc już tego, dobrze? – Pani Castaway zawsze tak mówiła, kiedy chciała uciąć jakiś temat, a rymowanka Sugar umarła wtedy jak rozdeptany karaluch.

– Już pora, żebyś uczyła się poezji dla dorosłych – oświadczyła pani Castaway. Podeszła do biblioteczeki i przebiegała palcami (o paznokciach pomalowanych już wówczas na czerwono) wzdłuż grzbietów książek. – Ale nie żadnych tam Wordsworthów – mruzczała pod nosem. – Bo mogłabyś rozsmakować się w górach i rzekach, co? A my przecież nigdy nawet nie zamieszkamy w takiej okolicy... – Potem z uśmiechem zdjęła z półki dwa tomiki wierszy i ważyła je w dłoni. – Proszę cię, dziecko. Spróbuj poczytać Pope’a. Albo nie, jeszcze lepiej: Rochester’a.

Sugar zabrała zakurzoną książkę do kącika i przestudiowała ją wyjątkowo sumiennie! Okazało się jednak, że z każdym kolejnym przeczytanym wersem zupełnie zapomina, co zdołała zrozumieć

24 Przekład Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.).

z poprzedniego, chociaż i tak nie było to zbyt wiele. Miała tylko wrażenie, że wokół unosi się woń męskiej wyższości.

– A jakich innych poetów lubisz poza tym, mamó? – ośmieliła się spytać, kiedy oddała jej tomik, zawstydzona swoją głupotą.

– Chyba nigdy ci nie mówiłam, że lubię czytać wiersze, co? – odparła kwaśno pani Castaway, wsuwając Rochesterę na półkę tak gwałtownie, że książka stuknęła o ścianę. – Nie cierpię poezji.

– *Kicia na to: Puchaczu, czułych strun potrącać* – recytuje teraz Sugar dziewczynce swoim najszczerzym i najbardziej krzepiącym głosem. – *Jakichż w pieśni twej żądz czuć gorączkę! Jeszcze dziś się pobierzmy i do siebie naleźmy! No tak, dobrze, lecz skąd wziąć obrączkę?*²⁵ Czy mogłabyś powtórzyć to za mną, Sophie, a potem ćwiczyć dalej recytację, dopóki nie wrócę?

Sophie i Sugar wymieniają uśmiechy. Dziewczynka wyobraża sobie sowy i kotki, a guwernantka siedzącą w oślej ławce panią Castaway. Widzi, jak jej dłonie o czerwonych paznokciach drżą w bezsilnej wściekłości, kiedy otacza ją cała klasa dziewczynek, powtarzających tę samą rymowanąkę po raz tysięczny.

– Chcę usłyszeć ten wierszyk na pożegnanie – mówi Sugar, przystając u drzwi klasy.

Zaszywszy się w sypialni w czasie popołudniowej przerwy, Sugar czyta pamiętniki Agnes, zabijając czas, jaki pozostał jej do wznowienia lekcji. Okazuje się, że szkolne dni panny Unwin wreszcie dobiegają końca.

I dzięki Bogu! Sugar przeczytała już tysiące słów, przebrnęła przez jedwabne, atlasowe i bawełniane zwały fikcyjnych sukien, ulotnych przyjaźni i mętnych refleksji w nadziei, że kiedy pewnego razu odwróci kolejną stronicę, udręczona małżonka Williama nagle ukaże się całkiem obnażona. Tymczasem jej szkolne pamiętniki przypominają powieść, której okładka szumnie zapowiada straszliwe zbrodnie i szaleńcze namiętności, fabuła okazuje się jednak nudna jak flaki z olejem.

Podczas swoich ostatnich dni w Abbots Langley Agnes wciąż do bólu pozostaje przy zdrowych zmysłach. Końcowy zapis, dokonany ostatniego poranka w szkole, a datowany na 3 maja 1867 roku, to istny popis konwencji. Agnes układa nawet wierszyk na cześć szkoły – siedem zwrotek o tak kulawych rymach żeńskich, że właściwie utwór staje się całkiem bezpłciowy.

Nikt bowiem nie może powstrzymać gnającej naprzód przyszłości! – konkluduje autorka, choć przyszłość z jej wiersza od dawna przestała pędzić, zatrzymana w biegu przez śmiercionośne piguły sentymentalizmu.

Uporawszy się z odą pożegnalną, Agnes podejmuje zadanie znalezienia jakiejś pamiątki z Abbots Langley, którą mogłaby zabrać ze sobą do domu.

Obawiam się, że pozostałe dziewczęta zwendziły już wszystkie możliwe drobiazgi. Spinacze do bielizny, nuty, spinki, które wypadły z włosów panny Wiek, i karty do gry: wszystko już zabrały. Dzisiaj nawet zauważyłam przy obiedzie, że brakuje tyżek.

Na następnej stronie widnieją podpisy dwudziestu czterech uczennic z Abbots Langley, złożone na pośliskim papierze w kilku pełnych kleksów rzędach. Agnes pisze dalej, na odwrocie:

Jak widzisz, poprosiłam, żeby się podpisały, i podpisały się wszystkie, nawet Emily, której postanowiłam wybaczyć grzechy, jakie popełniła przeciwko mnie na gimnastyce. Kochany Pamiętniku, nigdy nie będę już miała takich przyjaciółek! Bardzo płakałam, kiedy zobaczyłam ich podpisy w zeszyście! Papier całkiem rozmiękł od świeżych łez, co z łatwością poznasz, bo rozmazał się atrament.

Jak różne są pożegnalne nadzieje młodych dam! Niektóre z nas wyjdą wkrótce za mąż, ale to nie dla mnie, bo mama jest chora i muszę jej pomóc wyzdrowieć. Inne, mające przed sobą nieco mniej ciekawe perspektywy, zostaną guwernantkami: oby znalazły hojnych chlebobawców i sympatyczne

uczennice! Ale nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co stanie się z tymi, którym nie udało się zostać damami (np. co będzie z Emily).

Kochany Pamiętniku, miałam nadzieję napisać znacznie więcej, ale dzień prawie już minął, a ja muszę jutro wstać wcześniej przed podróżą. Cóż za żalotne pożegnanie! I ależ jestem skołowana! Napiszę do ciebie później, już z domu!

*Twoja kochająca przyjaciółka,
Agnes*

I tak kończą się zapiski w tym zeszytce.

Następny zaczyna się od notatki, sporządzonej pismem tak drobnym i gęstym, że przypomina ścieg na skraju sukni:

Mama nie żyje, a i ja wkrótce umrę. Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Oszczędź mamie Twego gniewu, Twej srogiej sprawiedliwości i wiecznych płomieni. Ty, który oszczędziłeś Marię Magdalenę, błagam Cię. Ale nikt mnie nie słyszy. Moje modlitwy zamieniają się w pot na sófście i ściekają z niego z powrotem na podłogę. Mama wykrwawiła się do cna; on (jej „mąż”) stał obok i nawet nie kiwnął palcem. Teraz zabrali mamę do grobu na cmentarzu, gdzie nikt jej nie zna. Każdego dnia nasz dom nawiedza coraz więcej demonów. Chichoczą w krokwiach. Szepczą za boazerią. Czekają, aż będą mogły mnie zniewolić. I on też czeka, żeby mnie zniewolić.

Sugar przeszukuje cały stos pamiętników i odczytuje zapiski na pierwszych stronach, by sprawdzić, czy przypadkiem nie pominęła przez nieuwagę zeszytu poprzedzającego ten, który właśnie czyta. Ale nie. Jednego tygodnia gimnastyka i malwy, drugiego plama zakrzepłej krwi w kształcie krucyfiksu. Co więcej, nie jest to krew z nakłutego szpilką kciuka, mająca przypieczętować uroczyste jakąś dziewczęcą przysięgę; to gęsta ciecz, kryjąca twardy skrzep w miejscu, gdzie na prawdziwym krucyfiksie powinna się znajdować głowa Chrystusa.

Widzisz tutaj moją własną krew, wyjaśnia Agnes poniżej. Krew płynącą z głębi mojego ciała, z jakiejś tajemnej rany. To, co zabiło moją mamę, teraz zabija mnie. Ale dlaczego? Dlaczego, skoro jestem niewinna?

Sugar przewraca kartkę i znajduje znacznie, znacznie więcej: atramentowa platanina jest tak gęsta, że papier przybiera purpurową barwę.

W ciemności mego snu żelazne ślimacznice łóżka miękną i wydymają się niby usta, które psują kropelki mojej krwi, przeciekające przez przypominający plaster miodu materac. Pod łóżkiem demony szare jak pieczarki czekają, aż spłynie strumyczek krwi, który pijają, i stają się różowe. Piją, aż czerwienieją, i zdaje się, że lada chwila pękną. Ta dziewczyna jest wyjątkowo smakowita, wołają. O wiele smakowitsza niż jej matka! Dajcie nam więcej tego boskiego nektaru!

W tym domu, gdzie nawet różaniec został zakazany, nie ma dla mnie ratunku. Na jego rozkaz wszyscy, którzy mogliby mi pomóc, zamykają się w pokojach. Na oknie w mojej sypialni widać znak w postaci obłoku pary, który pozostawił nosek Matki Boskiej, kiedy przycisnęła go do szyby, i ślady jej palców.

Bardzo chciałabym się położyć do łóżka! Ale nie dam im ssać swojej krwi! Będę chodzić w kółko po pokoju i pisać te słowa na stojąco, podtrzymując zeszyt zgiętym w łokciu ramieniem. Usta demonów będą ssały nicość. A kiedy nie będę już miała sił, żeby dłużej chodzić, wczolgam się do kominka i nakarmię je gorzkim, pełnym popiołu wywarem!

Mimo tej bohaterskiej deklaracji Agnes najwyraźniej osłabia później w swym postanowieniu i mimo wszystko położyła się do łóżka. Wpis z następnego dnia zaczyna się tak:

Budzę się w łóżku pełnym krwi, a jednak żyję.

Tu następuje kolejna tyrada, chociaż nieco mniej ognista niż pierwsza. Pomimo iż panna Unwin często używa takich słów, jak „przeznaczenie” i „koniec”, nęka ją podejrzenie, że śmierć przespała dogodny dla niej moment.

Podano właśnie wystawny obiad i fszyscy mnie namawiali, żebym wzięła w nim udział. Mama nie żyje, życie ze mnie wypływa, a oni chcą, żebym się zajadała bekasami i przepiórkami! Zjadłam jednego ortolana na grzance z masłem, trochę deseru i zaczęłam błagać, żeby pozwolono mi wstać od stołu.

Z każdym następnym dniem Agnes ma coraz większe trudności z utrzymaniem histerycznego tonu swojej rozpacz. Granice jej szaleństwa podgryzą normalność, która zarażają myślami o doczesności. Lord Unwin, choć Agnes stara się go przedstawić jako współnika szatana, zabierają pewnego sobotniego popołudnia na koncert „Mendelshona” do Crystal Palace. Strach przed śmiercią w kałuży krwi okazuje się nieuzasadniony i Agnes „niemal całkiem zapomina” o swojej śmiertelnej chorobie na czas „naprawdę bardzo pięknego” koncertu. Kiedy piątego dnia krwawienie ustaje zupełnie, dziewczyna dochodzi do wniosku, że wstawi! się za nią jakiś litościwy anioł. Zaczyna pisać większymi literami, demony w krokwiach dachu zmieniają się w gołębie, a kilka dni później Agnes narzeka już, że kucharka dodała za dużo pieprzu do indyjskiej potrawy z ryżem, cebulą i jajkiem.

W ten sposób panna Unwin wychodzi cało z podróży w wiek dojrzały. Wszyscy, począwszy od jej ojczyma po dostawcę dzikiego ptactwa, prawią jej komplementy, mówią, że rozkwitła i stała się damą, nikt jednak nie informuje dziewczyny, iż przeistoczyła się w kobietę.

– A kiedy jego kutas wysunie się z ciebie cały zakrwawiony, powiedz: „Och, panie, zabrałeś mi dziewictwo!”. I potem popłacz trochę, jeżeli potrafisz.

Tak mówi dawno zapomniany głos Sadie, prostytutki od pani Castaway jeszcze z czasów Church Lane, która instruuje Sugar, w jaki sposób młoda dziewczyna może wykorzystać kobiecą przypadłość.

– A jeśli mi nie uwierzy?

– Oczywiście, że uwierzy. Jesteś wygolona, gładka jak niemowlę i nie masz biustu, więc coś cię może zdradzić?

– A jeśli okaże się, że widział mnie gdzieś już wcześniej?

– Nie ma takiej możliwości. Pani Castaway poszukuje amatorów defloracji, pochodzących wyłącznie spoza Londynu. Właścicielki domów publicznych z całej Anglii rozpuszczają wici i szepczą odpowiednią informację do uszu tych, którzy chcą ją usłyszeć. Taki jegomość to zazwyczaj kupiec albo pastor i *wyrhaża się jak whielkie phanisko*.

– A co będzie, jeżeli zacznę krwawić, zanim we mnie wejdzie?

– Czy wszystko ci trzeba tłumaczyć? Musisz być po prostu czyściutka jak łza! Jeżeli będzie się ociągał, powiedz mu, żeby popatrzył sobie na coś ciekawego za oknem, i szybko się podetrzyj, kiedy odwróci wzrok.

– Za moim oknem nie ma nic ciekawego.

Sadie na tę odpowiedź uniosła tylko brew, jak gdyby mówiła: *Teraz rozumiem, dlaczego twoja matka uważa cię za niewdzięcznicę*.

Sugar zamyka pamiętnik Agnes, zirytowana, że musi wydmuchać nos. Wodniste smarki wsiąkają w chusteczkę wraz ze spływającymi po jej policzkach łzami. Jest 30 listopada 1875 roku, a Sadie od dawna nie żyje. Została zamordowana wkrótce potem, kiedy opuściła dom pani Castaway i podjęła pracę u pani Watt.

– Znalazła sobie lepsze miejsce – skomentowała sarkastycznie tę wiadomość pani Castaway. – Przecież nieraz mówiła, że to zrobi, czyż nie?

Sugar rzuca brudną chusteczkę na podłogę i ociera twarz rękawem, który z kolei wyciera o łóżko. Czarna suknia, jaką dziś włożyła, nie była w praniu od dnia, kiedy dziewczyna zamieszkała w domu Rackhamów. Ona, która do niedawna wkładała codziennie inną suknię, teraz dzień w dzień chodzi w tych samych szmatach. Urosła jej grzywka i Sugar powinna podciąć włosy, ale na razie jeszcze utrzymuje je w ryzach za pomocą spinek i szpilek.

Jej pokój wygląda równie skromnie jak wtedy, gdy się do niego wprowadziła. Nie licząc kilku kosmetyków – dawnych podarunków od Williama – nie wniosła do swojej sypialni nic nowego. Ryciny i rozmaite drobiazgi z Priory Close, podobnie jak jej ulubione stroje, spoczywają wciąż nierozpakowane w leżących na szafie walizkach. Ma więcej garderoby, jest jej kilka pełnych skrzyń, ale nie wie nawet, gdzie się podziały, bo William zdeponował je gdzieś „na przechowanie”.

– Wystarczy, że o nie poprosisz, a zaraz ci je sprowadzę – zapewniał ją, jak się wydaje, bardzo dawno, bo przeszło miesiąc temu, kiedy wciąż była jego kochanką, zajmującą mieszkanie pachnące płynami kąpielowymi i świeżym potem.

Dziewczyna podchodzi do okna, żeby wyjrzeć. Deszcz już nie pada i starannie przycięte krzaki oraz żywopłoty rezydencji Rackhamów połyskują teraz srebrzyście szpinakową zielenią. Ogrodnik Shears patroluje okolice odległego płotu, sprawdzając, czy *Hedera helix* ładnie rozkłada się wachlarzem na kratkach, ostatnio bowiem zbyt wielu ciekawskich podglądało dom. Dochodzi za pięć druga po południu, jest więc już pora, by guwernantka powróciła do swojej uczennicy. Bóg jeden wie, co porabia pan domu i o kim teraz myśli.

Sugar uważnie przygląda się swojej twarzy w lustrze, przypudrowuje nos i odskubuje płatek suchej skóry z dolnej wargi. Skończył się jej Creme de Jeunesse firmy Rackham i nie wie, jak ma poprosić o kolejny. Jedyne, co przychodzi jej do głowy, to dopisać nazwę kremu do listy książek dla Sophie.

Idąc do klasy na piętrze, zatrzymuje się najpierw przed drzwiami Williama, potem zaś przed drzwiami sypialni Agnes i ukradkiem zagląda do obu pokoi przez dziurkę od klucza. Gabinet Williama jest zalany popołudniowym słońcem, ale pusty; widocznie gospodarz bawi gdzieś w szerokim świecie, czyniąc go sobie powolnym. W sypialni Agnes jest ciemno; dzień pani Rackham albo już się skończył, albo jeszcze nawet nie zaczął.

Sugar pod wpływem impulsu zerka też przez szyldzik zamka do pokoju dziecinnego, sądząc, że może przyłapie dziewczynkę na jakiejś psocie. Ale nie. Sophie siedzi na podłodze przy biurku i krótkimi paluszkami rozplątuje frędzle na brzegach dywanu, wpatrując się z zadowoleniem w jego wypłowiałe tureckie desenie.

– Nie „zapas wiśniówki”, tylko „gotówki”, zapas gotówki, zapas gotówki... – mruczy do siebie, by nic już nie mogło wymazać tych słów z jej pamięci.

– Niech Bóg błogosławi papie – mówi Sophie tego wieczora, złożąwszy na kołdrze dłonie, które w świetle świec rzucają ukośny cień. – Niech Bóg błogosławi mamie. I pannie Sugar.

Sugar z lękiem wyciąga rękę, chcąc pogłodzić dziewczynkę po głowie, ale płomień świecy groteskowo powiększa cień jej dłoni, cofają więc gwałtownie.

– Nie jest ci zimno, Sophie? – pyta, kiedy dziecko kładzie się z drzeniem w świeżej pościeli.

– Nnnie bbbardzo, pppanienko.

– Porozmawiam z Rose, żeby dała ci jeszcze jeden koc. Ta pościel jest całkiem nieodpowiednia na tę porę roku.

Sophie podnosi na nią wzrok w zadziwieniu: do ogromnego inwentarza rzeczy i zjawisk, które panna Sugar rozumie, należy dodać teraz także ściśle określoną zależność między rodzajem pościeli i porami roku.

Wpół do dziewiątej. Dom Rackhamów pogrąża się w ciemności, ciszy i spokoju. Nawet Clara byłaby zadowolona, gdyby nie leżała już w swoim pokoju z nosem utkwionym w czasopiśmie „Servant”. Pani Rackham siedzi na dole w salonie, po raz kolejny oddając się lekturze powieści zatytułowanej *Porwanie Lady Antonie*; trzeba przyznać, że w zasadzie nie jest to książka traktująca o ezoteryce, ale mimo wszystko czyta się ją doskonale, zwłaszcza kiedy człowiekowi dokuczają bóle głowy. William wyjechał do Plymouth – albo Portsmouth – w każdym razie do jakiegoś tam Mouth. Takie jednodniowe – i coraz częstsze – wyprawy są absolutnie niezbędne, kochanie, jeżeli nazwisko Rackhamów ma być znane jak świat długi i szeroki.

Gdyby Clara miała chęć zajrzeć do pokoi na piętrze przez dziurkę od klucza, nie zobaczyłaby nic, co mogłoby ją zirytować. We wszystkich pokojach jest ciemno, tylko w sypialni guwernantki

pali się stałe, nieruchome światło. Clara uważa, że tak jest właśnie najlepiej: kiedy mieszkańcy domu Rackhamów śpią, jak panna Sophie, albo czytają w łóżku, jak panna Sugar.

Sugar przeciera oczy, zdecydowana, by skończyć lekturę kolejnego zeszytu pamiętników Agnes. Tak czy inaczej musi się czymś zająć, żeby nie zasnąć do północy, kiedy jak zwykle wysadzi Sophie na nocnik. Z każdą taką wizytą Sugar coraz rzadziej upomina swoją podopieczną; niedługo dziewczynce wystarczy płynący od progu szept, a wkrótce potem może już zaledwie jego wspomnienie. Zrozumienie historii świata i mechaniki kosmosu zapewne zajmie Sophie nieco więcej czasu, ale guwernantka obiecała sobie, że nauczy ją trzymać mocz jeszcze przed końcem roku.

Tymczasem – jak wynika z pamiętników – Agnes Unwin skończyła właśnie szesnaście lat.

Mama byłaby ze mnie bardzo dumna, zauważyła w zamyśleniu autorka. Zapewne zresztą widzi mnie z góry, z czyścica – jeżeli rozpozna swoją córkę po czubku głowy z takiej odległości. Notatki nie precyzują, jakie powody do dumy mogłaby mieć pani Unwin, choć Agnes z naciskiem podkreśla, że bardzo wypiękniała.

Ilekróć mam chęć rozpaczać, oświadcza dalej, nad okrucieństwem losu i mojej samotności w tym zapomnianym przez Boga domu, wyliczam moje przymioty. Przede wszystkim mam piękne włosy i oczy...

Depresja i menstruacja uczyniły z panny Unwin wyjątkowo zadziwiającą osobkę, na przemian zidiociała i całkowicie banalną. Kiedy nie krwawi, dzieli swoje zainteresowania mniej więcej w równym stopniu między stroje, *garden parties*, bale, buty, kapelusze i sekretne rytuały, mające zachować jej nieskalaną katolicką duszę, chociaż Agnes udaje, że należy do obrządku anglikańskiego. Unika słońca, jak również wszelkich, wyjąwszy najmniej forsowne, ćwiczeń fizycznych, jada jak ptaszek i zdaje się cieszyć na ogół dobrym zdrowiem.

Za każdym razem, kiedy dopada ją wiadoma „przypadłość” menstruacyjna – która pojawia się bardzo nieregularnie – Agnes traktuje ją jak zagrażającą życiu chorobę, wywołaną przez złe duchy. Dzień przed krwawieniem skarży się, że u Grimshawów w wazie z zupą widziała z całą pewnością ślad palca; nazajutrz zaś żegna wszystkie problemy doczesne i poświęca kilka pozostających jej godzin życia na post i modlitwę. Z tajemnych kryjówek wypełzają łaknące jej krwi demony. Agnes, przerażona, że wślizgną się do jej łóżka, robi, co tylko może, aby nie zasnąć, i wacha sole trzeźwiące. (*Przypuszczam, że może za głęboko i za często wczoraj je wdychałam, bo zaczęło mi się zwidywać, że mam dwadzieścia paków u rąk i trzecie oko*). Nie pozwala służbie wyrzucać brudnych chusteczek, obawia się bowiem, że znajdą je demony, pali więc zakrwawione kłęby bawełny w kominku, wzbudzając wszechogarniający smród, którego źródła lord Unwin każe nieustannie poszukiwać kominiarzom.

Choć Agnes ze wszystkich sił stara się oczernić lorda Unwina, stary arystokrata nie spełnia warunków, które pozwoliłyby nazwać go potworem, za jakiego uchodzi w oczach autorki; prawdę rzekłszy, Sugar uważa wręcz, że lord jest całkiem przyzwoitym ojczymem. Nie bije pasierbicy; nie głodzi jej (Agnes sama się głodzi, on zaś namawia ją ciepło „z wielkim okrucieństwem”, by spróbowała nabrać nieco ciała); a także zabiera ją na koncerty i obiady. Co więcej, jako pobłażliwy, choć niezbyt troskliwy opiekun, bez sprzeciwu finansuje najbardziej kosztowne i ekstrawaganckie zachcianki Agnes.

Pozostaje nieugięty tylko w jednej kwestii: Agnes musi wyznawać anglikanizm. Więcej: musi chodzić do kościoła jako jedyna przedstawicielka rodziny, ponieważ Unwin osobiście nie ma ochoty uczestniczyć w nabożeństwach. – Wiara to domena niewieścia, kochana Aggie – powiada. Agnes zmuszona jest więc chodzić do kościoła i znosić okropne pieśni, których co gorsza nie śpiewa się po łacinie.

Poruszam ustami, ale nie śpiewam, zapewnia swój pamiętnik niczym prostytutka, która przekonuje koleżankę po fachu, że wprawdzie bierze w usta, ale nie połyka spermy.

Nie licząc tych cotygodniowych upokorzeń i przypadłości, które co kilka miesięcy atakują jej narządy wewnętrzne, własny wizerunek Agnes, mieniającej się osobą cudownie ocaloną z tysięcy

straszliwych opresji, pozostaje chyba w niezgodzie z rzeczywistością. Śmietanka towarzyska nieustannie zapraszają na *garden parties*, bale i pikniki, gdzie panna bawi się „nadzwyczaj przyjemnie”. Jak sama twierdzi, ma przynajmniej sześciu adoratorów, których lord Unwin nie zniechęca ani nie popiera, dziewczyna flirtuje więc nieśmiało ze wszystkimi. Żaden z nich, o ile Sugar może zorientować się w tej kwestii na podstawie skąpych opisów, nie pracuje: wszyscy są arystokratami o różowych policzkach.

Elton jest słodki i męski, pisze pewnego dnia Agnes. Zdjął płaszcz i podwinął rękawy, sterując naszą łódeczką na pych. Strasznie marszczył czoło, ale płynęliśmy prawie w linii prostej, a kiedy wybraliśmy miejsce na postój, pomógł nam wszystkim wysiąść na brzeg.

Jedna tego rodzaju historyjka starcza za wszystkie. Agnes obraca się w świecie ludzi wysoko urodzonych, w którym ambitni kupcy, pertraktujący z zapoconymi dokerami w Yarmouth albo targujący się o cenę juty, po prostu nie istnieją. Innymi słowy, jest to świat, w którym ludzie pokroju Williama Rackhama są nie do pomyślenia.

Z dołu, w świecie z 30 listopada 1875 roku, dochodzi stłumiony dźwięk dzwonka u drzwi, a potem krzyk:

– Williaaaaam, pokaż się, łotrze!

Sugar wzdryga się na ten męski głos, zakłócający ciszę domu Rackhamów.

– Tchórz! Strachajło! Wyciągaj szpadę i wyłaź zaraz z ukrycia!

Odzywa się inny, aczkolwiek równie donośny męski głos. Na dole są jacyś intruzi! Sugar wstaje z łóżka i klęka przy drzwiach sypialni, uchylając je nieznacznie, żeby wyjrzeć przez szparę. Nie widzi nic oprócz rysujących się na tle ściany balasków w balustradzie na piętrze i jaskrawego blasku żyrandola. Głosy stają się jednak coraz wyraźniejsze: to Philip Bodley i Edward Ashwell, obaj pijani w sztok.

– Jak to, jest w Yarmouth? Chowa się raczej pod łóżkiem! Unika starych przyjaciół! Żądamy szatysz... szatyszfakcji!

Przez następne pół minuty wzburzone błagania Rose splatają się z dowcipnymi, zawadiackimi przechwałkami Bodleya i Ashwella, po czym ku zdumieniu wszystkich na arenę wkracza pani Rackham.

– Doprawdy, panowie, pozwólcie, aby Rose pomogła wam zdjąć płaszcze – mówi słodko, a jej śpiewne tchnienie wzmacnia dobra akustyka holu. – Spróbuję was zabawić najlepiej, jak potrafię, chociaż nie jestem przecież moim mężem.

To nadzwyczajne zaproszenie, biorąc pod uwagę, jak stanowczo Agnes unikała dawniej Bodleya i Ashwella. I niewątpliwie w ten sposób uspokaja ich obu, ścisząc bowiem głosy do parsknięć i pomruków.

– Słyszałam, że wkrótce ukaże się... ach... wasza kolejna książka?

– W następny wtorek, pani Rackham. To nasze najlepsze dzieło!

– Nie wątpię, że przyniesie wam dużo zadowolenia. Jaki nosi tytuł?

– Och, eee... jego tytuł mógłby zapewne obrazić uszy damy...

– Nonsens, panowie. Nie jestem wątlym kwiatuszkiem, za jaki ma mnie William.

– Cóż... – (Tu słyhać zakłopotane pochrząkiwania). – ... *Wojna z wielkim społecznym złem: kto ją wygrywa?* – (Rozbrzmiewa pijacki chichot).

– To bardzo ciekawe, że udaje się wam wydawać jedną książkę za drugą, chociaż nie ma wśród nich ani jednej powieści, wszystkie bowiem składają się wyłącznie z waszych opinii na rozmaite tematy! – mówi słodko Agnes. – Musicie mi powiedzieć, jak to robicie. Czy może jest jakiś wydawca, który was wspiera? Bo nie wiem, czy wiecie, panowie, ale ten temat ostatnio szalenie mnie interesuje...

Głosy cichną jeszcze bardziej, gdy Agnes prowadzi Bodleya i Ashwella do salonu.

– Kwestia... wielkiego społecznego zła? – pyta z niedowierzaniem Ashwell.

– Nie, nie, nie – świergocze kokieteryjnie Agnes, przechodząc pod schodami. – Kwestia publikacji...

I już ich nie ma.

Sugar klęczy u drzwi swojej sypialni jeszcze kilka minut, ale dom zalega znowu cisza, a przez szparę wpada zimne powietrze, pokrywając gęsią skórą jej ramiona i piersi, osłonięte jedynie cienką koszulą nocną. Nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą słyszała, Sugar wraca do łóżka i do przerwanej lektury pamiętników Agnes Unwin.

Czyta dalej, nastawiając uszu, by w razie czego usłyszeć, co dzieje się na dole, i oddychając płytko na wypadek, gdyby któryś z gości podniósł głos. Usiłuje narzucić sobie dyscyplinę i czytać każde słowo, ale nie ma już cierpliwości do wyczerpujących list różnych balów i krawców, które układa Agnes, choć może to obecność Bodleya i Ashwella na dole rozprasza jej uwagę. Bez względu na powód Sugar opuszcza kolejne stronicie w poszukiwaniu śladów jakichś bardziej interesujących zapisków: na przykład zbitych ciasno, mikroskopijnych literek, znamionujących szaleństwo.

Pełne słów, chociaż wyzute z wszelkiego znaczenia, stronicie przelatują z szelestem jedna po drugiej, a wraz z nimi mijają kolejne miesiące. Dopiero w lipcu 1868 roku Agnes Unwin po raz pierwszy wzmiankuje Williama Rackhama. Ach, jest to jednak nie byle jaka wzmianka!

Zostałam dziś przedstawiona bardzo wyjątkowemu człowiekowi, pisze siedemnastoletnia Agnes. Jest to po części dzikus, po części prorok, a po części fircyk!

Tak oto, ku niejakiemu zaskoczeniu Sugar, w życiu Agnes pojawia się William, młody, olśniewający, ekstrawagancki i wielce tajemniczy dandys, który powrócił właśnie z podróży po Europie. W dodatku jest wysoki! (Chociaż kobiecie tak niskiego wzrostu jak Agnes zapewne wszyscy mężczyźni wydają się wysocy). A jednak bez względu na to, ile cali mierzy naprawdę William, wyraźnie wyróżnia się spośród wszystkich arystokratycznych synalków o ptasich mózdkach, do których towarzystwa Agnes bardziej przywykła.

Ów energiczny młodzieniec nazwiskiem Rackham porusza się w kręgach towarzyskich panny Unwin z pyszałkowatą śmiałością i mimo swojego podejrzanego pochodzenia najwyraźniej zupełnie się nie boi, że ktoś może mu utrzcęć nosa. Opanował pewną umiejętność, polegającą na tym, że kiedy przedziera się gdzieś w tłumie gości, dezorganizuje go i zmusza do przegrupowania szyków, w efekcie zaś ludzie na pozór mimo woli otaczają następnie Williama półkołem, podczas gdy on (wykorzystując swoją wyższość intelektualną) spycha innych mężczyzn na margines, pozostając w otoczeniu głównie młodych kobiet, które zabawia opowieściami o Francji i Maroku. Z początku Agnes woli nawiązywać z nim kontakt jako przedstawicielka owego stadka dam, aby jaśniejąca aura młodzieńca nie oświeślała wyłącznie jej zarumienionego oblicza. Jednakże wskutek pewnego obrotu spraw, który autorka określa z żalem jako *tellement genant!*, Rackham, który z całego damskiego towarzystwa upodobał sobie właśnie Agnes, znajduje sposoby, by mówić z nią sam na sam. W obawie, że pamiętnik mógłby ją oskarżyć o współudział w tych schadzках, autorka wypiera się tego stanowczo i narzeka, że kiedy tylko na horyzoncie pojawia się William Rackham, jej towarzyszkі znikają, pozostawiając ją samą, on zaś podchodzi do niej, oblizując się jak najedzony kocur!

Choć panna Unwin twierdzi, że umizgi Williama stają się „wyjątkowo niepokojące”, opisuje swojego prześladowcę w następujący sposób:

Jest krzepki, ma jednak ładnie zarysowaną twarz i dłonie, a także bujne, kędzierzawe, złociste włosy. W jego oczach migoczą bestroskie iskielki. Patrzy na wszystkich zbyt śmiało, prosto w twarz, chociaż udaje, że nie jest tego świadomy. Ubiera się tak, jak niewielu mężczyzn ośmiela się dziś ubierać, w kraciaste spodnie, żółto-zielone kamizelki, czapeczki myśliwskie i tym podobne rzeczy. Zaledwie raz widziałam go w poważnej czerni (i muszę powiedzieć, że jest mu w niej bardzo do twarzy!), ale kiedy zapytałam go, dlaczego nie chodzi częściej w tym kolorze, odparł, że: „Czerń jest dobra na niedzielę, na pogrzeby i dla nudziarzy. Czego zatem mogę się obawiać, ubierając się tak, jak się ubieram? Że nie będę wpuszczany do kościołów, na pogrzeby i do towarzystwa nudziarzy. Dlatego właśnie noszę na co dzień strój myśliwski i szlafrok!”.

Jego ojciec jest człowiekiem interesu – tego William nie kryje. Jest sprawą mojego ojca, w jaki sposób radzi sobie w świecie, to zaś, jak ja sobie radzę, to moja sprawa”. Nie potrafię ostatecznie ustalić, z czego się utrzymuje: być może z pisania. Z pewnością jednak nie zasługuje na wysoką pozycję na mojej liście zalotników.

Ta niezdecydowana próba surowej oceny Williama nie robi wrażenia na Sugar, która nie tylko wie, jak kończy się ta historia, ale nie może również nie zauważyć, że kilku niczym niewyróżniających się adoratorów sprzed kilku miesięcy zniknęło bez śladu z kartek pamiętnika, podczas gdy Williamowi autorka poświęca więcej atramentu, niż przeznaczyła go dotąd na jakiegokolwiek innego zalotnika. Niedługo potem Agnes zaczyna zapisywać rozmowy z Williamem w całości, począwszy od „dzień dobry” aż po „adieu”, a biegnie przelewać je na papier natychmiast po rozstaniu, by nie uronić ani nie przekreślić żadnej z jego mądrości. Jesienią 1868 roku zapiski, w których jest mowa o Williamie, stają się tak obrazowe, że przypominają w lekturze fragmenty powieści:

– Skończmy już tę pogaduszkę o błahostkach – powiedział nagle, wysunął do przodu dwa palce i zamknął z trzaskiem wachlarz tuż przed moim nosem. Przestraszyłam się, ale on miał uśmiech na twarzy. – Czy za dziesięć lat ktoś z nas będzie jeszcze pamiętać, o czym dzisiaj rozmawialiśmy? – zapytał.

Spąsowiałam cała, ale nie opuściła mnie przytomność umysłu. – Nie sądzę, żebyśmy mieli przyjemność znać się za dziesięć lat.

Na te słowa przycisnął ręce do piersi, jak gdybym przebiła mu serce. Nie chcąc go obrazić, dodałam pospiesznie: – Tak czy inaczej, muszę wyznać, że nie mam ci nic więcej do zaoferowania poza rozmową o błahostkach, albowiem tylko taką konwersację uczono mnie prowadzić, panie. Nie podróżowałam po świecie i w porównaniu z tobą jestem jedynie nieciekawą i powierzchowną osobką.

Miałam nadzieję, że pochlebię mu tą przemową, on jednak potraktował ją bardzo poważnie i odpowiedział z naciskiem: – Och, jesteś jednak bardziej interesująca i mniej powierzchowna niż wszystkie młode damy, które znam! Tkwią w tobie jakieś głęboko ukryte pragnienia, których nikt nie umie się domyślić... Nikt oprócz mnie. Zachowujesz się jak młoda dama wśrut innych młodych dam, ale naprawdę nie jesteś jedną z nich. Jesteś inna, a co więcej, widzę, że o tym wiesz.

– Panie Rackham! – tylko tyle zdołałam odpowiedzieć, tak bardzo się przez niego zarumieniłam. Potem zrobił coś szalenie dziwnego, a mianowicie: wyciągnął ręce, raz jeszcze ujął pakami skrzydła mojego wachlarza i otworzył go tak, aby zasłaniał mi twarz. Wtedy usłyszałam, jak tłumaczy swoje zachowanie:

– Pojmuję teraz, że nie powinienem był rozświecić tajemnic twojej duszy; wystraszyłaś się, a ja za nic w świecie nie chciałem cię przestraszyć. Wróćmy zatem do rozmowy o błahostkach. Spójrz tam, Agnes, popatrz na panny Garnett i ich kapelusze. Zauważyłem wcześniej dzisiejszego popołudnia, że im ich zazdrościsz... Tak jest, nie wypieraj się. Ale już nie musisz być zazdrosna! Byłem w Paryżu nie dalej niż dwa tygodnie temu i wszyscy są tam zgodni, że moda na takie kapelusze minęła.

To spotkanie jest punktem zwrotnym miłości Agnes do Williama Rackhama, bo od tej pory panna Unwin roztrząsa jego każde słowo niczym wierny apostoł. Żadna jego uwaga, bez względu na to, jak niefrasobliwa, nie może nie posiadać głębszego znaczenia, a kiedy raczy być mądrym, jest mądrzejszy niż wszyscy ludzie, jakich Agnes zna. Wie mnóstwo o różnych wierzeniach religijnych i podsumowuje ich słabe punkty doprawdy pysznym określeniem – brzmi to jakoś tak: Jest więcej na niebie i ziemi, niż to się śniło naszym filozofom”. (Ach, gdyby tylko nie zjadła obiadu, nim zasiadła do pisania pamiętnika, przypominałaby to sobie dokładnie!) Jeżeli William w ogóle bywa w kościele, to wyłącznie na nabożeństwach anglikańskich, wyznaje jednak heretycką opinię, że religijność angielska pozostaje w opłakanym stanie od czasów Henryka VIII – a jest to przekonanie, które Agnes, oczywiście, podziela. William potrafi przepowiadać pogodę, zna się na

kwiatach i tkaninach, z jakich szyje się kobiece stroje, i zna prywatnie kilku artystów, którzy regularnie wystawiają swoje prace w Royal Academy. Co za człowiek! Trudno jest tylko ustalić precyzyjnie źródła jego dochodów, ale – jak to ujmuje Agnes:

Jest autorem, uczonym i człowiekiem nauki, mądrzejszym niż jakikolwiek mąż stanu. Dlaczego nie miałby być niezdecydowany, którą podążyć ścieżką, skoro nadał może przemierzyć je wszystkie? Czuję, jak serce wali mi w piersi, gdy się do niego zbliżam, a kiedy się rozstajemy, ogarnia mnie jakaś' niemoc. Choć jestem pewna, że zdołam go odepchnąć, gdyby ośmielił się mnie dotknąć, na poły chciałam, aby to uczynił, a czasem w wolnych chwilach, kiedy już nie ma go przy mnie, wyobrażam sobie, że czuję, jak mocno mnie obejmuje. Każdego ranka budzę się, pragnąc, by pierwszą rzeczą, jaką tego dnia zobaczę, była jego twarz, a kiedy kładę się wieczorem do łóżka, jego twarz jest pierwszą rzeczą, którą widzę w swoich snach. Czyżbym traciła zmysły?

Na dole rozlega się ogłuszający łoskot. Pęka szkło albo porcelana, słychać kilka tubalnych okrzyków zdziwienia, a potem uderzenie drzwi o ścianę, po którym cały dom przebiega drżenie.

– Wynoście się stąd! Precz z moich oczu! – krzyczy Agnes.

Sugar w jednej chwili klęka znów przy uchylonych drzwiach, wciskając twarz w niedużą szparę. Cienie i światło wirują pod schodami, gdy scysja przenosi się w stronę wyjścia. Drzwi od salonu zostały otwarte tak gwałtownie, że żyrandol w holu kołysze się wciąż łagodnie pod sufitem.

– Pani Rackham! – protestuje któryś z gości. – Nie trzeba...

Rozlega się głośny stukot i niepokojący odgłos „piiing”, ktoś bowiem przewraca na podłogę stojak na kapelusze.

– Nie będziesz mi mówić, co powinnam robić, a czego nie, ty opasły, zapijaczony pies! – krzyczy Agnes. – Obaj jesteście bezużyteczni... i groteskowi!

– Moja droga pani Rackham...

– Dla was nie ma nic drogiego prócz plugastwa! Czyciele brudu! Szczury kanałowe! Włosy śmierdzą wam jak zepsute banany! W głowach macie sieczkę! Wynoście się z mojego domu!

– Takh, takh... – mamrocze któryś z gości.

– Nasze płaszcze, Bodley... – przypomina mu jego towarzysz, kiedy do domu wpada ostry powiew lodowatego powietrza.

– Po co wam płaszcze? – woła słabnącym głosem Agnes. – Niech was ogrzeje wasza brudna, gruba skóra! I wasze prostytutki!

– Ach, jesteście, Rose!... – mówi Ashwell w przypiływie dobrej woli. – Myślę, że twoja pani dostała chyba... ach... jednego ze swoich ataków...

– Nie, nie dostałam jednego „ze swoich ataków”! – Agnes szaleje ze złości. – Usiłuję jedynie opróżnić mój dom z pewnych nieczystości, bo boję się, że w nie wdepnę! Nie, nie dotykaj ich, Rose, gdybyś wiedziała, skąd przyszli!...

Bodley, bardziej pijany z nich dwóch, nie jest już w stanie znieść dłużej tych impertynencji.

– Jeżeli wolno mi zauważyć, pani Rhackham, twoja postawa stanowi jeden z powodów, dla których phostytucja tak... tak bahdzo się szerzy! – peroruje. – Jeżeli zamiast obhażać swoich gości, zadałabyś sobie thud, żeby przeczytać nasze badania w tym zakhesie...

– Ty zarozumiała głupcze! Myślisz, że nie wiem, kim są prostytutki! – krzyczy przeraźliwie Agnes, a łamiący się głos zdaje się odbijać od wszystkich metalowych i szklanych powierzchni w domu. – Owszem, wiem! To chytne prostaczki, które poniżają się do tego stopnia, że całują wasze wstrętne pyski za pieniądze! Ha! Dlaczego nie całujecie się nawzajem za darmo, wy małpy?

Na te słowa Bodley i Ashwell pierzchają, rozbrzmiewa trzask drzwi frontowych, Agnes wydaje ostatni, gardłowy krzyk wściekłości, a potem słychać już tylko stłumione uderzenie ciała, padającego na posadzkę w holu.

Na kilka chwil zapada cisza, po czym rozlega się piskliwy, wysoki, zdenerwowany głos Rose.

– Panno Tillotson! Panno Tillotson!

Sugar, która wciąż klęczy, wycofuje się rakiem od uchylonych drzwi i jak na grzeczną dziewczynkę przystało, wskakuje do łóżka.

– Dziesięć szylingów podwyżki to mi się należy... – (sapnięcie) – ...już za jeden taki wieczór jak dziś – skarży się na schodach jakiś głos.

– Uważaj na jej palce – odpowiada mu jęklonie drugi.

Pod nieobecność pana domu, który zaniósłby nieprzytomną Agnes na piętro, jej ciężar przyjmują na swoje barki Rose, Letty i Clara. Transport nieprzytomnej zajmuje im sporo czasu, służące sapią i stękają, ale w końcu procesja mija pokój Sugar i wkrótce potem zapada znowu cisza.

Sugar walczy z sennością tak długo, jak potrafi, czekając, aż zasną pozostali domownicy. Wprawdzie zdarzyła się potworna katastrofa, dziewczyna nie może jednak pozwolić, by zakłóciło to jej dobrą pracę z Sophie. Idźcie wszyscy do łóżek i pozwólcie wystąpić wreszcie na scenie nieszczęsnej guwernantce!

Sugar sprawdza, która godzina. Kwadrans na dwunastą – z pewnością więc wszystkie służące znajdują się już w objęciach Morfeusza. Muszą wstać wcześniej rano; powinny o tym pamiętać, jeśli nie chcą napytać sobie biedy. Zwłaszcza Clara z tą swoją posępną miną i błyskającymi, podejrzliwymi oczkami – niech lepiej już da sobie spokój do jutra, mała żmija. Niech wreszcie złoży swój paskudny, dziobaty policzek na poduszce i pozwoli spokojnie wirować Ziemi, chociaż przez kilka godzin...

Za dziesięć minut północ. Sugar idzie na palcach lodowatym korytarzem w kierunku sypialni Sophie. Wszystkie kominki w domu już wystygły i ciepło nie wzbija się w górę; krokwie trzeszczą na wietrze, a o dach bębni grad. Guwernantka przenika do sypialni Sophie niczym duch, zastaje jednak dziewczynkę siedzącą już na łóżku. Światło świecy wydobywa z mroku jej szeroko otwarte oczy.

– Miałaś zły sen, Sophie? – pyta łagodnie Sugar i ujarzmia chybotliwe cienie, stawiając świecę na toalecie tuż obok hinduskiej lalki, otulonej, jak zauważa, białym szalikiem z dzianiny.

– Moja mama miewa czasem takie ataki, panienko – oświadcza Sophie dziwnym, jakby pouczającym tonem. – Bywa wtedy bardzo niegrzeczna, krzyczy, a potem mdleje.

– Nic się nie stało, Sophie – mówi Sugar, bo chociaż wie, że to nieprawda, nie przychodzą jej do głowy odpowiedniejsze słowa pociechy. – Zrobiłaś już... zrobiłaś już to, co trzeba? – Ukuty przez nią eufemizm brzmi kabotyńsko w jej ustach; ustach, które jeszcze niedawno zachęcały Williama, żeby nappełnił jej cipę swoją spermą.

Sophie gramoli się z łóżka i posłusznie siada na nocniku. Dziewczynka zna wyłącznie eufemizmy i jeśli Sugar będzie miała w tej kwestii coś do powiedzenia, panna Rackham nigdy w życiu nie pozna innych wyrażen na określenie czynności fizjologicznych.

– Niania mówiła, że moja mama skończy w Bedlam – cytuje z pamięci Sophie, kiedy strużka jej dziecięcych siuszków ciurka po brzegu porcelanowego naczynia. Po chwili dodaje (na wypadek, gdyby encyklopedyczna wiedza guwernantki nie obejmowała tego ponurego szczegółu): – To taki dom, gdzie trzyma się obłąkanych, panienko.

Zdechnij i zgnij w piekle, stara kwoko, myśli Sugar.

– To bardzo nieładnie ze strony twojej niani, że tak powiedziała.

– Ale mama będzie musiała tam pójść, prawda, panienko? – pyta z uporem dziewczynka, kiedy z pomocą guwernantki wraca do łóżka.

Sugar wzdycha.

– Sophie, środek nocy, kiedy wszyscy powinniśmy już spać, to nie jest dobra pora, żeby zamartwiać się takimi sprawami.

– A która godzina, panienko? – pyta zupełnie już rozbudzona dziewczynka.

Sugar zerka na stojący na kominku zegar.

– Za minutę północ. – Sugar okrywa Sophie kocem aż po szyję. W pokoju jest tak zimno, że drżą jej ręce, ale oczy dziecka błagają, żeby została.

– Muszę wracać do swojego łóżka, Sophie. – Tak, panienko. Czy jest już jutro?

Sugar patrzy na zegar i zastanawia się, czy nie powinna skłamać. – Jeszcze nie – przyznaje. – Zobacz, pokażę ci zegar. – Przynosi ciężki czasomierz z kominka; jest wyjątkowo brzydki – stalowoszary, cętkowany i ma kształt kopiastej galaretki owocowej. Ostrożnie tuli zegar w dłoniach

i pozwala Sophie obserwować, jak pod poźółką, szklaną pokrywą jego oblicza mijają kolejne sekundy. Na dworze wyje wiatr, zagłuszając tykanie mechanizmu czasomierza.

– Teraz jest już jutro – oświadcza z ulgą Sophie, jak gdyby ku ogólnemu zadowoleniu rozwiązała właśnie jakiś kłopotliwy spór.

– Nie tylko, maleńka – mówi Sugar, która nagle przypomina sobie dzisiejszą datę. – Poza tym zaczął się grudzień. Ostatni miesiąc roku, który przynosi nam zimę i Boże Narodzenie. A co będzie, kiedy skończy się grudzień, Sophie?

Sugar czeka, gotowa zaakceptować jako trafną odpowiedź zarówno „styczeń”, jak i „rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty szósty”. Dom trzeszczy w ulewnym deszczu, przenikany różnymi dziwnymi dźwiękami, głośniejszymi niż cichy oddech dziecka. Kiedy staje się jasne, że nie padnie jednak żadna odpowiedź, dziewczyna zdmuchuje świecę.

– Ależ oplotkowaliśmy już wszystkich z wyjątkiem ciebie, Williamie – mówi lady Bridgelow, która dostojnie kroczy obok niego błyszczącym po deszczu chodnikiem. – Twoje życie zaczyna spowijać jakaś tajemnica, a mnie dręczy ciekawość!

William chichocze, radując się przez chwilę, że uchodzi za człowieka zagadkowego, nie chce jednak zbyt długo pozostawiać pytania Constance (jak ją nazywa, odkąd lady Bridgelow zaczęła nalegać, żeby zwracał się do niej po imieniu) bez odpowiedzi. Ostatecznie jest jego najlepszą przyjaciółką – a w każdym razie spośród tych osób, z którymi obecnie wypada mu pokazywać się publicznie.

Poranny kapuśniaczek ustąpił miejsca wyjątkowo ciepłemu niedzielnemu popołudniu. Choć słońce świeci blade, grzeje naprawdę mocno, zapala bowiem dachy Notting Hill i otacza wieżę kościelną koroną jasności. William cieszy się, że wyszedł dzisiaj z domu; decyzja, że odtąd powinien być częściej widywany w kościele, przy takiej pogodzie nie przyniesie chyba żadnych bolesnych konsekwencji.

– Czy znalazłeś już guwernantkę dla córki? – pyta lady Bridgelow. – Tak, tak, znalazłem, dziękuję.

– Bo znam jedną wprost doskonałą dziewczynę, którą wkrótce będzie można zatrudnić. Niesamowicie bystra, łagodna jak baranek, jej ojciec właśnie zbankrutował...

– Nie, nie. Guwernantka, którą zatrudniłem, zupełnie mi wystarczy. Lady Bridgelow marszczy nieznacznie brwi, te słowa przypominają jej bowiem o kolejnym tajemniczym elemencie życia przyjaciela.

– To chyba nie jest dziewczyna z Towarzystwa, co?

William, który czuje, że policzki i szyję oblewa mu rumieniec, dziękuje w duchu losowi za coraz obfitszy zarost i wysoki kołnierzyk.

– W żadnym wypadku. Skąd ci to przyszło do głowy?

Lady Bridgelow ogląda się przez ramię ponad otulającą jej szyję gronostajową etolą, jak gdyby to, co zamierza powiedzieć, można było wyjawić jedynie w największym sekrecie.

– No cóż, zapewne słyszałeś, że pani Fox powróciła do swojego starego... zajęcia? I jak mi doniesiono, pracuje jeszcze intensywniej niż przedtem. Usiłuje przekonywać damy, które mają jakieś problemy ze służbą, że najlepszym rozwiązaniem dla nich będzie przyjęcie do pracy jednej z tych... nawróconych grzesznic. Jednak dobrze wie, że w tej kwestii w żadnym wypadku nie powinna się zwracać do mnie. Przyjęłam kiedyś dziewczynę z Towarzystwa do pomocy w kuchni i cztery miesiące później musiałam ją zwolnić.

– Doprawdy? – Do domu Rackhamów powrócił wreszcie porządek, który kosztował Williama sporo pieniędzy oraz wysiłku umysłowego, toteż nie podoba mu się, że coś mogłoby mu znów zakłócić spokój. – Co zrobiła?

– Nic takiego, o czym mogłabym mówić w przyzwoitym towarzystwie. – Lady Bridgelow uśmiecha się z przymusem i dłonią w giemzowej rękawiczce rysuje w powietrzu łagodny, głęboki łuk na wysokości swojego okrytego jedwabną suknią brzucha.

– A czy ja należę do przyzwoitego towarzystwa, Constance?

Lady Bridgelow się uśmiecha.

– Ty jesteś przyzwoity... *sui generis*, Williamie. Czuję, że mogłabym z tobą rozmawiać na każdy temat.

– Och, mam nadzieję, że tak.

Ośmielona lady Bridgelow kontynuuje:

– Bardzo żałuję, że nie mogłeś przyjść na premierę nowej książki Philipa i Edwarda. Czy wiesz, że byłam na niej jedną z zaledwie pięciu dam? A w zasadzie czterech, bo rozwścieczony małżonek

wyciągnął z holu panią Burnand na oczach wszystkich obecnych!

William posyła jej szeroki uśmiech, ale ogarnia go smutek, kiedy zadaje sobie pytanie, czy słusznie obraził się na swoich starych przyjaciół, którzy nietaktownie opatrzyli zaproszenie słowami zalecającymi, aby przybył *sans femme*.

– Cóż, książka Bodleya i Ashwella jest dla mnie niemal nie do przyjęcia – wzdycha. – A poza tym niezupełnie przekonują mnie ich obliczenia statystyczne. Gdyby w Londynie było aż tyle prostytutek, potykałybyśmy się o nie na ulicach...

– Tak, tak, posłuchaj jednak, co ci powiem. Na promocji wśród zebranych była także pani Fox, która wstała i pochwaliła autorów za to, że przedstawili problem szerokiej publiczności, a potem zganiła ich za brak powagi! „Kiedy kobieta upada, nie ma się z czego śmiać!”, powiedziała i oczywiście wszyscy ryknęli śmiechem.

– Biedna pani Fox. Wybacz jej, Panie, albowiem nie wie, co mówi. Lady Bridgelow wydaje z siebie zaskakująco prostacki chichot.

– Ach, mimo wszystko nie powinniśmy komentować nieuprzejmie cudzych potknięć, prawda? – mówi. – Rozmawiałam potem z Philipem i Edwardem. Powiedzieli, że bardzo się martwią o twoją biedną Agnes...

William sztywnieje, nie zwalniając kroku.

– Jestem im wdzięczny za troskę, ale na szczęście martwią się niepotrzebnie, Agnes w pełni powróciła do zdrowia.

– A mimo to nie było jej dziś z nami w kościele?... – lady Bridgelow ścisza głos.

– Nie.

– Więc może pojechała na mszę katolicką do Cricklewood?

– Być może. – William wie doskonale, iż tak się właśnie rzeczy mają. Przekonanie jego żony, że dzieli „mały sekret” tylko ze swoim stangretem, jest jedynie pożałowania godnym złudzeniem. – Tuszę, że w końcu kiedyś z tego wyrośnie.

Lady Bridgelow wydaje głębokie, elegijne westchnienie, a jej oczy zasnuwają się mgłą.

– Ach, te nadzieje – powtarza ze smutkiem, czyniąc aluzję do kolei losu, jakie musiała znieść w swoim życiu. Jest jej do twarzy z melancholijną miną, która nadaje obliczu damy tak modny ostatnio wyraz zapomnienia. Nie potrafi jednak smucić się zbyt długo i po chwili znowu zagaduje:

– Planujesz coś szczególnego na Boże Narodzenie?

– Obawiam się, że święta spędzę jak zwykle – mówi William. – Ostatnio stałem się bardzo nudnym człowiekiem. Śpię, jem śniadanie, podbijam kolejne zakątki brytyjskiego imperium produktami mojej firmy, jem obiad i kładę się spać. Doprawdy, nie wyobrażam sobie, dlaczego ktokolwiek prócz mojego bankiera mógłby się mną interesować choćby w najmniejszym stopniu...

– Ależ Williamie, powinieneś znaleźć w swoim życiu trochę miejsca również dla mnie – odpiera lady Bridgelow. – Każdy wielki przedsiębiorca potrzebuje przyjaciela płci niewieściej. Zwłaszcza jeżeli jego wyroby są tak niezbędne kobietom, li mm?

William stara się zachować poważny wyraz twarzy, odczuwa bowiem niemal nieodpartą pokusę, żeby się rozpromienić. Nie przyszło mu nawet do głowy, że lady Bridgelow kiedykolwiek zechce używać kosmetyków Rackhama. Widocznie nowy katalog i plakaty reklamowe odnoszą zamierzony skutek...

– Co do mnie, to podczas przygotowań do następnego przyjęcia chyba udało mi się mistrzowskie posunięcie. Oto lord i lady Unwin znów bawią oboje w kraju i zasiądą do obiadu przy jednym stole!

– No tak. A jak udało ci się do tego doprowadzić?

– Prawdę mówiąc, po prostu szybko zabrałam się do dzieła! Zaprosiłam ich, zanim nasi przyjaciele zdążyli się otrząsnąć ze zdumienia, wywołanego powrotem lorda Unwina, z pewnością nie mogę więc twierdzić, że sprowadziły go z powrotem moje wdzięki. Zapewne lordowska małżonka uznała, że święta Bożego Narodzenia trzeba spędzić *en familie*, i kazała mu przyjechać, grożąc konsekwencjami w razie odmowy.

Williamowi niełatwo przychodzi wyobrazić sobie, by lorda Unwina można było w ten sposób zmusić do czegokolwiek.

– Nie sądzę, by był to dla niego wystarczający argument.

– Ach, powinienes pamiętać, że jego aktualna małżonka nie jest taka uległa jak matka Agnes. Poza tym lord Unwin ma teraz, oczywiście, własne potomstwo. Krew z krwi, kość z kości.

William odpowiada głuchym mruknięciem; nie miał dotąd okazji poznać lady Unwin. Mimo iż Rackhamów zapraszano kilkakrotnie do jej domu, Agnes traktowała te uprzejmości tak, jak gdyby pochodziły od samego Belzebuba, i dlatego zawsze odpowiadała: *Niestety, nie możemy skorzystać z zaproszenia.*

(„Nie wątpię, że ona jest ci bardzo życzliwa, kochanie”, pocieszał ją William, lecz Agnes nigdy nie wybaczyła ojczymowi powtórnego ożenku. Żeby choć opłakiwał przez resztę życia świątobliwą Violet Pigott, która „poświęciła się dla niego całą duszą”! Ten siwowłosy potwór wolał jednak ożenić się szybko z tą... z tym *czymś*).

– Muszę przyznać, że spotkania ze starym lordem po tylu latach oczekuję z pewnym niepokojem – mówi William. – Niewykluczone, że kiedy starałem się o rękę Agnes, mogłem obudzić w nim nadzieję, iż będzie wiodła nieco wspanialsze życie niż... no, cóż, znasz dzieje moich wzlotów i upadków, Constance. Zawsze się zastanawiałem, czy lord Unwin nie myśli o mnie źle...

– Och, skąd, to stary pocziwiec – zapewnia go lady Bridgelow, kiedy zbliżają się do rogu Chepstow Villas. – Jak wiesz, on i mój biedny Albert byli przyjaciółmi, a to właśnie lord Unwin próbował wyperswadować Albertowi wszystkie jego nierozważne... Cóż, ty także znasz historię moich wzlotów i upadków. A kiedy Albert umarł, lord Unwin napisał do mnie wyjątkowo ciepły list. Nie było w nim ani jednego niemiłego słowa; choć Albert popełnił wiele, wiele głupstw, zapewniam cię! Nie był tak mądry jak ty...

Lady Bridgelow milknie nagle w pół zdania: ona i William nie mają już chodnika do swojej wyłącznej dyspozycji, z przeciwka nadchodzi bowiem wysoka, koścista kobieta o chudych ramionach i rudych włosach, zdecydowanie wymagających interwencji fryzjera. Jest ubrana w gładką, czarną suknię i prowadzi u boku jakąś pulchną dziewczynkę.

– Jak się pani miewa, panno Sugar? – pozdrawiają William chłodno, acz uprzejmie.

– Dziękuję, doskonale, panie – odpowiada koścista kobieta. Jej usta stanowią widok godny pożalowania, pokrywają je bowiem cętki martwego naskórka, dziewczyna ma jednak całkiem ładne oczy. Postawa panny Sugar zdradza natomiast smutną uniżoność, jakiej należy się spodziewać po guwernantce.

– Chyba nie mieliśmy ostatnio równie słonecznego dnia jak dzisiaj – zauważa William.

– Tak – zgadza się guwernantka. – Z całą pewnością. – Niezgrabnie wyciąga rękę do swojej uczennicy i ujmuje jej dłoń. – Za... zabrałam Sophie na spacer, bo jest taka blada...

– W dzisiejszych czasach żadna dama nie może być zbyt blada – mówi lady Bridgelow. – Moda na różową cerę odeszła chyba bezpowrotnie w przeszłość, nieprawdaż, Williamie?

Ani ona, ani William nawet nie myślą, by zainteresować się Sophie. Ich spojrzenia i słowa biegną wprost ku pannie Sugar, wysoko nad głową dziecka.

– Uważam Sophie za wyjątkowo posłuszną i... eee... pracowitą dziewczynkę – mówi guwernantka, która wyraźnie nie potrafi podjąć rozmowy na wysokim poziomie.

– A zatem masz szczęście – zauważa lady Bridgelow.

– Doskonale, Sophie – mówi łaskawie William, który przez ułamek sekundy patrzy w szeroko otwarte, niebieskie oczy córki, a potem rusza dalej.

Wróciwszy do domu, do ciepłej duchoty dziecinnego pokoju, Sugar z trudnością zachowuje panowanie nad sobą. Jej ciało mimo woli drży i trzęsie się z oburzenia na myśl o tym, jak potraktowano ją samą oraz Sophie. Wszystkie ścięgna i nerwy Sugar przebiega dreszcz przemożnego pragnienia, aby wzbić się w powietrze jak furia, a potem rozerwać pazurami na strzępy tę małą, kołtuńską sukę.

– Kim była ta dama, Sophie? – pyta spokojnie dziewczyna, odetchnąwszy głęboko.

Sophie bawi się drewnianymi zwierzątkami ze swojej arki Noego; jest to wciąż jej ulubiona niedzielna zabawa, choć panna Sugar pozwoliła zrobić swojej podopiecznej w dzień święty wszystko, na co tylko ma ochotę. Mimo że ojciec i jego towarzysza potraktowali ją tak

niegodziwie, nie widać po niej ani śladu bólu; ma, co prawda, lekko zaczerwienione policzki, rumieniec można jednak tłumaczyć rzadkim dla Sophie pobylem na świeżym powietrzu i buzującym ogniem w kominku.

– Nie wiem, panienko.

– Jak często ta dama odwiedza twojego ojca?

Sophie podnosi wzrok znad stadka żyraf i marszczy czoło, na którym wykwita przypominający supeł znak zakłopotania. Łatwiej byłoby jej odpowiedzieć na pytanie z historii, na przykład dotyczące kolejności poszczególnych monarchów w starożytnej Mezopotamii.

– Ale widziałaś ją już kiedyś przedtem? – Sugar naciska silniejszym głosem.

Sophie zastanawia się przez chwilę.

– Czasami słyszę, jak służba ją „nonsuje” – mówi.

Sugar popada w przygnębienie. Pierwszy raz od miesięcy świerzbi ją ręka, by sięgnąć po inkaust oraz papier i opisać dzieje pewnej zemsty, podobne wątkom, z których zbudowana jest jej powieść. Tyle tylko, że tym razem ofiarą nie byłby mężczyzna, ale ohydna, przypominająca mopsa baba, skrepowana sznurkiem w przegubach i kostkach.

– Litości! Litości! – zaskomliła, czując, że jakiś ostry przedmiot: zimna, skórzasta, najeżona włosiem wypukłość, penetruje ciasny otwór między jej pośladkami.

– Co to? Co to? – zawołała z przerażeniem.

– Nie poznajesz? To pysk gronostaja – odpowiedziała Sugar, wykręcając w zaciśniętej dłoni spiczastą mordkę zwierzęcia, wieńczącą etolę. – To biedne stworzenie będzie z pewnością szczęśliwsze w twoim tyłku, niż wisząc ci na szyi.

– Słyszałaś, co powiedział mój ojciec, panienko? – pyta piskliwie Sophie. – Powiedział, że jestem grzeczna.

Wyrwana gwałtownie z marzeń o zemście, Sugar z niejaką konsternacją widzi szczęśliwy uśmiech na twarzy dziewczynki i blask dumy w jej oczach.

– Wcale tak nie powiedział – rzuca, bo nie udaje się jej w porę powstrzymać.

Wyraz zadowolenia znika z twarzy Sophie i mała marszczy czoło, przez co staje się jeszcze bardziej podobna do Williama. Odwraca głowę, szukając schronienia w mniej niebezpiecznym świetle swoich zabawek. Noe, którego Sophie trzyma w małej rączce, wbiega po kładce na arkę powolnymi, dostojnymi susami.

– Ależ kochany Rackhamie, wybac mi, ciągle jednak mówisz nie na temat.

– Doprawdy? – pyta William. Jest poniedziałkowy poranek i Rackham przyjmuje gościa w bibliotece. Panowie zapalili już cygara, a teraz gospodarz odkorkowuje z głośnym hukem butelkę portwajnu. – A może nie ustaliliśmy jeszcze tematu naszej rozmowy? – pyta. – Ja proszę cię o radę, jak przyspieszyć całkowity powrót mojej żony do zdrowia tu, w jej własnym domu, ty zaś uznajesz za stosowne wymieniać wszystkie wady i zalety domów dla obłąkanych od Aberdeen po Aberystwyth.

Doktor Curlew chrząka. Strumień informacji, jakim zalał Williama, był naturalną reakcją lekarza na jego zachowanie, Rackham udawał bowiem, że jest lepszym znawcą domów dla obłąkanych niż on. Tymczasem doktor Curlew prawdopodobnie spędził więcej czasu w domach wariatów niż jakikolwiek inny zdrowy na umyśle człowiek; nim zdecydował w młodości, że chirurgia nie jest jego mocną stroną, przeprowadził wiele operacji na pensjonariuszach tego rodzaju zakładów i oprócz techniki prowadzenia skalpela dużo się nauczył. Dlatego potrafi odróżnić dobre domy dla obłąkanych od złych; wie, które z nich nie są niczym więcej, jak tylko zakamuflowanymi więzieniami albo pensjonatami, aspirującymi do miana placówek leczniczych, a także – patrząc na ten ranking z drugiego krańca skali – dobrze wie, gdzie mieszczą się szpitale pierwszej klasy, którym zależy na rozwoju wiedzy medycznej i całkowitym powrocie pacjenta do zdrowia. Widział wielokrotnie, jak cierpiące na histerię damy, tak upodlone, że nie miałyby z nich pożytku żaden człowiek ni zwierzę, w cudowny sposób odzyskują zdrowie, kiedy usunąć je z otoczenia

pobłażliwych zrząd, których obecnością karmi się ich choroba.

Wiedząc to wszystko, doktor Curlew może autorytatywnie przewidywać, że Agnes Rackham w swoim własnym domu skazana jest na zagładę. Jaką mogłaby żywić nadzieję na wyzdrowienie, skoro nie tylko ma tolerancyjnego małżonka, lecz rozpieszczają ją także pokorne i naiwne służące?

– Nie ma sensu trzymać chorej w domu, Rackham – mówi doktor Curlew. – Nikt nie potępia mężczyzny, który wysyła do szpitala żonę, jeśli ta złamie nogę albo zarazi się ospą. Choroba to choroba, uwierz mi.

William popija portwajn z nieszczęśliwą miną.

– Naprawdę zastanawiam się, czy Agnes nie cierpi na jakąś fizyczną dolegliwość... – mówi w zamyśleniu.

– Przebadałem ją całkowicie. Nie choruje na nic, co nie mogłoby ustąpić samoistnie, jeżeli zapewnić jej odpowiednią opiekę.

– Czasami, kiedy dostaje szału, tuż przed omdleniem, mógłbym przysiąc, że powiększa się jej lewe oko...

– Hmm. Pewnie niełatwo przychodzi jej spojrzeć ci w twarz. Jestem pewien, że podczas takiego przedstawienia żadnej kobiecie nie przysłoby to z łatwością.

Nagle w gęstą ciszę biblioteki wdzierają się czyste i wyjątkowo czarujące dźwięki fortepianu, dobiegające z pobliskiego salonu. Po płynnie odegranym preludium Agnes zaczyna śpiewać pogodnie i radośnie niczym ptak. Wyraz tęsknego sentymentalizmu, który zmiękcza rysy twarzy Williama, sprawia, że Curlew ma ochotę jęknąć z rozpacz.

– Rackham, daję słowo, musisz pozbyć się ckliwego mniemania, że twoja żona cieszy się zdrowiem i tylko od czasu do czasu miewa nawroty choroby, w rzeczywistości jest bowiem chorą kobietą, której od czasu zdarza się lepiej poczuć – ciągnie lekarz. – Powiedzmy, że jedna z butelkujących twoje perfumy maszyny wariuje, zaczyna tłuc szkło i rozpryskiwać wszędzie wodę toaletową, i że powtarza się to dosyć często. Wzywasz mechanika do naprawy, ale czy gdyby po jego przybyciu wydawało się, że wszystko jest w porządku, uznałbyś, iż usterka zniknęła, a maszyna nie wymaga reparacji?

– Człowiek to nie maszyna.

Curlew powstrzymuje się od spostrzeżenia, że to dziwna uwaga jak na fabrykanta.

– Cóż – wzdycha do wtóru anielskich treli Agnes. – Jeśli nie chcesz wziąć pod uwagę zakładu dla obłąkanych, radzę ci gorąco, żebyś natychmiast podjął pewne kroki. Po pierwsze, nie pozwól żonie jeździć do kościoła na mszę. Przynależność do Kościoła katolickiego nie jest żadną zbrodnią, ale kiedy twoja żona wychodziła za ciebie, wyznawała anglikanizm i przy tym wyznaniu powinna nadal pozostać. Gdyby jej wiara w Kościół rzymski była czymś więcej niż zwyczajnym złudzeniem, usiłowałaby cię nawrócić, zamiast czerpać przyjemność z potajemnych wypraw do Cricklewood. Po wtóre, nadszedł najwyższy czas, by Agnes uświadomiła sobie, że jest matką. Ta absurdalna gra, zmierzająca do omijania prawdy, ciągnie się już o wiele za długo. Jeżeli nie dbasz o to, co najlepsze dla Agnes, pomyśl o swojej córce, która tymczasem podrosła i umie zadawać już niewygodne pytania. Czy nie rozumiesz, że brak matczynej miłości z pewnością nie oddziałuje na nią korzystnie?

William z wolna kiwa potakująco głową. Choć prawda jest zapewne trudna do przełknięcia, trudno zakwestionować lepszą wiedzę człowieka, znającego swój fach. Jeżeli matka bez końca będzie wypierać się własnego potomstwa, musi wynikać z tego jakieś nieszczęście.

– A zdaje się, że zaledwie kilka miesięcy temu. była niemowlęciem i wszyscy nosiliśmy ją na rękach – mruczy w obronie Agnes, wspominając kilka okazjonalnych spotkań z małą Sophie, którą widział w objęciach Beatrice. Dziewczynka urosła jednak szybko niczym chwast i William musi przyznać, że wczoraj, gdy spotkał na ulicy Sugar z Sophie, zaskoczył go wyraz inteligentnej czujności na twarzy córki.

– Nie chcę niepotrzebnie denerwować Agnes – mówi.

– Gra idzie o tak wysoką stawkę, Rackham, że chwila rozstroju nerwowego twojej żony może okazać się bardzo niską ceną za zwycięstwo – stwierdza lekarz.

William krzywi twarz, co ma oznaczać, że zgadza się z rozmówcą; negocjacje dobiegły końca,

przy czym obie strony nieco ustąpiły, choć wydawały się stanowczo trwać przy swoich stanowiskach. Oddychając z ulgą, gospodarz proponuje gościowi następny kieliszek portwajnu.

– Lecz powiedz teraz, doktorze, jak zdrowie twojej córki? – pyta William.

Emmeline Fox schyla się i podnosi leżące u szczytu schodów kocie kupy. Ostatecznie są zupełnie suche, a ona może przecież umyć ręce, kiedy tylko pozbędzie się nieczystości. I pomyśleć, że niektórzy ludzie brzydzą się tak bardzo ekskrementów. Należałoby ich zamknąć na jeden dzień w dzielnicy nędzy, w Shoreditch, gdzie brud ścieka po ścianach, a szczury gryzą i kaleczą małe dzieci!...

Kiedy Emmeline kuca, by posprzątać, na oczy opadają jej rozpuszczone włosy – im więcej kup zbiera, tym więcej ich znajduje. Puss był naprawdę bardzo niegrzeczny. Jeżeli rychło się nie poprawi, będzie musiała zabronić mu wstępu do łóżka i każe zwierzakowi spać na dworze.

– Słyszysz, Puss? – pyta, jak gdyby do podłych obyczajów kota należało także rozumne czytanie w jej myślach. Puss nie raczy jednak odpowiedzieć.

Emmeline wrzuca kupy do kartonowego pudła, które zawierało kiedyś papier listowy i koperty, teraz zaś mieści kocie odchody z mniej więcej dwóch ostatnich tygodni. Później wysypie to wszystko do dołu w ogrodzie, gdy tylko kupi szpadel, co z pewnością nastąpi dzisiejszego ranka. Nie będzie przejmować się dziwnymi spojrzeniami właściciela sklepu z artykułami żelaznymi.

Schodzi boso po zakurzonych schodach; prawdę mówiąc, jest zupełnie naga. Zwyczaj ubierania się przed pójściem do łóżka stracił dla niej sens, a chociaż zbliża się zima, wcale nie brakuje jej koszul nocnych. Prawie nie czuje chłodu; zdarza się, że kończyny aż bieleją jej z zimna, ona jednak nie odczuwa bólu. A poza tym, cóż mogą wiedzieć o zimnie szczęściarze, którzy mieszkają w przytulnych, dobrze ogrzewanych domach?

Nie żeby jej własny dom był dzisiaj porządnie ogrzany. Zapomniała przynieść węgla, a wszystkie kominki należy już wyczyścić. Naprawdę najwyższy czas, żeby znalazła kogoś na miejsce Sarah; trzy miesiące życia bez pomocy służącej zaczynają dawać się jej we znaki. Może nająć do pracy mnóstwo zacnych dziewcząt za pośrednictwem Towarzystwa; powinna tylko ogarnąć trochę dom, żeby nie zrobić zbyt złego wrażenia na nowej pokojówce.

Emmeline obmywa się flanelową ściereczką (wzięła porządną kąpiel nie dalej jak wczoraj) i przywdziewa swoje ubranie robocze – czyli elegancką, ale praktyczną suknię, którą zazwyczaj wkłada, kiedy odwiedza ubogich.

Burczenie w brzuchu przypomina jej, aby nie wychodziła z domu o pustym żołądku, co ostatnio zdarza się jej zbyt często.

Idzie do kuchni, gdzie musi precyzyjnie się pomieścić między kuchenką Henry'ego i swoją, by wyjąć chleb z wiszącej wyżej szafki. W bochenku tkwi wciąż nóż, co jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ponieważ zginęło jej ostatnio wiele sztućców. Nie ma masła, dysponuje natomiast sporym zapasem konserw mięsnych i rybnych, będących cudownym dobrodziejstwem dla niezależnej kobiety. Zastanawia się nad wykwintnymi ozorami wołowymi „Belgravia”, ostatecznie wybiera jednak łososia. Czytała gdzieś, że rybi tłuszcz korzystnie działa na mózg.

Do kuchni wchodzi kot Henry'ego. Wydaje przymilne pomruki i ociera się łbem o brzeg jej spódnicy.

– Czekaj, czekaj – Emmeline karci kocura, szukając czystego kubka, z którego mogłaby napić się czegoś gorącego. Po chwili przypomina sobie, że nie ma mleka, bez którego nie smakuje jej herbata ani kakao. Mniejsza z tym; wkrótce pani Nash naleje jej filiżankę pysznej herbatki w sali konferencyjnej.

– Masz, ty bezwstydniku – mówi, rzucając resztki łososia wprost na kuchenną podłogę. – Zawsze mnie wykorzystujesz... A może byś tak wyszedł i poszukał sobie jakiejś uczciwej pracy, co? Powinam na ciebie wołać „Głuptas”, a nie Puss.

Kot Henry'ego przechyla łebek na bok. – Miau?

Emmeline musi się spieszyć; zasnęła trochę, bo prawie całą noc przepisywała w dziesiątkach kopii list przypominający dyrektorom miejscowych szkół, by nie zapominali o dzieciach żyjących w dzielnicach nędzy. Jeżeli nie wyjdzie zaraz z domu, spóźni się na herbatę i biskwity.

Gdzie czepek? Och, tak, wisi na stelażu łóżka, które wciąż stoi na boku, oparte o ścianę bawialni. (Materacowi znalazła nowy dom dzięki pani Emerson, która niedawno o niego poprosiła, ale uznała, że żelazny stelaż jest zbyt ciężki). Za pomocą kilku spinek i wstążki, którą zawiązuje pod brodą, Emmeline przeistacza się po chwili w gotową do boju panią Fox.

Już ma otworzyć drzwi, kiedy przez szparę wpada do środka list, który ląduje z szelestem u jej stóp. Emmeline wpycha go do torebki i pędem wybiega z domu.

Rozsiadłszy się wygodnie w sali konferencyjnej Towarzystwa z filiżanką herbaty pod ręką, pani Fox otwiera kopertę. Na stół wypada pojedyncza kartka, złożona obsesyjnie w maleńki kwadracik. Emmeline rozkłada ją i mrużąc oczy, usiłuje odczytać lilipucie pismo.

Czasu jest coraz mniej, głosi list. Wiem, że jesteś dobrą i miłą osobą, pomimo iż twój ojciec zaprzedał się ciemnym siłom. (Ja także miałam złego ojca, współczuję ci zatem, pani). Wiem, że wcieliłaś się już w swoje drugie ciało. Ludzie powiadają, że nie jesteś ładna i że masz brzydką cerę, nie patrzą jednak głębiej, na piękno twojej duszy. Jakże promienieć musi twoja dusza, wiedząc, że jej cielesny dom jest nieśmiertelny! Co do mnie, to moje zrodzone z ziemi ciało zdradza straszliwe oznaki rozkładu, a ja nie mogę znieść myśli, że będę musiała zamieszkiwać je dłużej. Tak się jednak składa, że wiem, iż moje drugie ciało czeka na mnie w Klasztorze Zdrowia. Proszę cię, proszę, proszę, wyjaw mi, gdzie leży ów Klasztor. Jestem gotowa do drogi, ale obawiam się, że mój anioł stróż oczekuje ode mnie cierpliwości aż do gorzkiego końca. Ty jesteś moją jedyną nadzieją. Proszę, uchył mi rąbka owej tajemnej wiedzy, której tak bardzo łaknę.

*W imię poważania, jakim wspólnie darzyłyśmy Henry'ego, błagam cię,
Agnes R.*

Pani Fox składa list i wsuwa go z powrotem do koperty. Wszędzie dookoła jej towarzyszki uprzątają już filiżanki i ciasteczka, po czym wkładają płaszcze i rękawiczki. Prośba pani Rackham musi trochę poczekać, albowiem Emmeline najpierw zajmie się zabłąkanymi duszami, do których ma nieco bliżej.

Tego wieczora, gdy odpoczywa na łóżku, a leżący na jej udzie Puss zaczyna mruczeć, pani Fox raz jeszcze odczytuje list od Agnes Rackham.

Jest rozdrażniona; popołudnie, które spędziła z koleżankami z Towarzystwa, nie okazało się sukcesem. Wprawdzie ulice Shoreditch to bogate zagłębienie bezbożnej nędzy, diabelnie trudno jednak do nich dotrzeć: mieszkańcy są wrogo nastawieni do obcych i na ogół zatraskiwali drzwi przed nosem członkini Towarzystwa. Jedna dziwka zgodziła się na rozmowę z panią Fox, znajdowała się jednak w stanie takiego upojenia alkoholowego, że żadna poważna dyskusja nie była z nią możliwa.

– Z ciebie też byłaby niezgorsza dziwka! – zapewniła ją rozchichotana ulicznica. – Znam się na tym! Nie nosisz gorsetu, co nie? Widzę twoje cycki!

Pani Fox usiłowała wyjaśnić, że bardzo chorowała i miała trudności z oddychaniem, kiedy piersi krępował jej sztywny pancierz; poza tym, tak czy owak skromność nie ma przecież nic wspólnego z gorsetem, albowiem przyzwoite kobiety żyły na świecie na długo przed wynalezieniem tej części garderoby... Ale dziwka wcale nie chciała jej słuchać.

– Na moje oko nie miałaś jeszcze dzieci – zarechotała, łaskocząc Emmeline pod wydatnym biustem. – Mężczyźni lubią takie kobiety.

Teraz pani Fox leży bez sił na łóżku. Bołą ją brudne stopy, na języku czuje ostry smak drobinek sadzy, a na dodatek (*ojej!*) nadal nie ma mleka, by zrobić sobie kakao. Jak gdyby tego było mało, znów leży przed nią list, w którym Agnes Rackham błagają o wyjawienie tajemnicy fizycznej nieśmiertelności.

Co pani Fox powinna odpowiedzieć?

Należy napisać prawdę, oczywiście, bez względu na to, jak niechętnie może ją przyjąć autorka. Emmeline idzie po pióro i papier, a potem pisze:

Droga pani Rackham!

Z przykrością zwracam ci uwagę, że jesteś w błędzie. Nikt z nas nie może mieć nadziei na inną nieśmiertelność niż nieśmiertelność duchowa w Jezusie Chrystusie (patrz List do Rzymian 6,7 – 10; List do Koryntian 15,22, a zwłaszcza 15,50). Jeżeli jednak mogłabym ci pomóc w jakikolwiek inny sposób, uczynię to z przyjemnością.

Twoja szczerze oddana,

E. Fox

Wkłada kartkę do koperty, zaklejają i niemal w tej samej chwili drze list na strzępy. Wizja pani Rackham, która dostaje taką odpowiedź, niecierpliwie oczekiwaną, i znajduje jedynie odmowę oraz kilka odesłań do Pisma Świętego, wydaje się Emmeline zbyt żałosna.

Może lepiej byłoby posłać Agnes jakąś książkę? W ten sposób nie musiałaby osobiście odmawiać jej prośbie i zapewne skuteczniej rozproszyłaby chore złudzenia, jakie żywi pani Rackham. Emmeline podrywa się z łóżka i zaczyna szperać pośród zakurzonych, zabrudzonych, porozkładanych po całym domu książek w poszukiwaniu *Zniszczonej świątyni*, autobiografii pewnego cierpiącego na suchoty kaznodziei, którą pożyczyła Henry'emu, kiedy narobił tyle szumu wokół jej choroby. Był to cienki tomik o charakterystycznym grzbiecie, ale Emmeline, choć staje na głowie, nie może go jednak znaleźć, a kurz, jaki wzbija się z podłogi, wywołuje u niej potworny atak kichania.

A to co takiego? Gruba broszura, której zupełnie sobie nie przypomina. Na czwartej stronie okładki widnieją pochwalne recenzje takich autorytetów, jak „A-E. z Bloomsbury”: *Oto prawdziwa biblia miłośników rozkoszy!* Na pierwszej stronie widać tłoczony czarnymi literami tytuł: *Dalsze hulanki w Londynie – wskazówki dla birbantów, radami dla nowicjuszy opatrzone*. Pani Fox otwiera książkę i na stronie przedtytułowej znajduje dedykację: *Henry'emu, od Philipa i Edwarda, z dopiskiem: Twoja przyszła parafia? Życzymy szczęścia!*

Emmeline skręca się z bólu na myśl o okrutnym figlu Bodleya i Ashwella. Ogarnia ją zdumienie, kiedy do oczu napływają jej gorące łzy i kapią na książkę. Przebijając wzrokiem zasłone łez, wertuje stronicę broszury. Rogi niektórych kartek są pozaginane, albowiem Bodley i Ashwell zapewne zaznaczali w ten sposób opisy poszczególnych prostytutek, których wdzięków pragnęli zasmakować.

Pani Fox odchyła głowę do tyłu, zawstydzona, albowiem nie potrafi powstrzymać szlochu. Później przejrzy tę straszną książeczkę dokładnie; choć sprawia jej teraz ból, może okazać się ukrytym błogosławieństwem. Powinna uważać ją za... tak, powinna ją potraktować jako bezcenny spis kobiet, do których spróbuje dotrzeć za wszelką cenę, by przynieść im ocalenie. Tak, mimo wszystko wyniknie z tego jeszcze coś dobrego!

– Twoja herbata, panienko.

Sugar gwałtownie budzi się z niespokojnych snów, mrużąc w półmroku oczy. Podnosi wzrok: nad łóżkiem majaczy jakaś nieznana jej postać, trzymająca w jednej ręce filiżankę, a w drugiej zapaloną lampę, albowiem dzień dopiero się zaczyna. Kiedy Sugar unosi się na łokciach, wydobywając ramiona z pościeli, wyczuwa na nodze jakiś niewielki ciężar, którym okazuje się otwarty pamiętnik, leżący okładką do góry na jej lewym udzie.

A niech to licho! Może mieć tylko nadzieję, że służąca weźmie go za szkolny zeszyt albo dziennik samej panny Sugar, nie zaś cudzą, ukradzioną własność.

– Ach... dziękuję... Rose – mówi ochryple Sugar. Ma zaschnięte gardło i widzi pokojówkę jak przez mgłę. – Która... no...

– Jest wpół do siódmej, panienko, i piękny wtorkowy poranek.

– Piękny? – Sugar wyciąga szyję w stronę ciemnego okna, w którym odbija się lampa Rose, okolona aureolą ze szronu.

– Chciałam przez to powiedzieć, panienko, że przestał padać śnieg.

– Ach, tak... – Sugar przeciera oczy. – Jestem pewna, że gdyby nie ty, przespałabym cały dzień.

– Zaczyna natychmiast żałować okazanych słudze cieplejszych uczuć, bo wychodzi na jakąś flądrę. *Trzymaj buzię na kłódkę, dopóki się nie rozbudzisz*, upomina samą siebie.

Kiedy Rose opuszcza Sugar wraz z lampą, do pokoju guwernantki zaglądną pierwsze słabe błyski świtu. Gdy mocno mruży oczy i wyteża wzrok, widzi dziwne białe kształty, znajdujące się za jej oknem niczym duchy, które wiszą w powietrzu dwadzieścia stóp nad ziemią w całkowitym bezruchu. Wystarczy jednak jeden cichy powiew wiatru, aby zarysy postaci owych duchów zaczęły się rozwiewać, a ich białe kończyny znikają z pola widzenia. Drzewa pokrywa suchy, sypki śnieg.

Drżąc z zimna, Sugar popija herbatę z absurdalnie małej filiżanki. Rytuał picia herbaty, którą podaje jej bladym światem służąca, wciąż zdaje się dziewczynie szalenie osobliwy, albowiem przed przeprowadzką do Rackhamów budziła się o dziesiątej albo jedenastej, gdy zaglądały jej w twarz promienie słońca. Po chwili przenosi się w przeszłość – nie na Priory Close, lecz dalej, na ostatnie piętro domu pani Castaway, gdzie w krokwiach gruchają gołębie, bezlitosne słońce świeci złościście, a mały Christopher puka do drzwi, by zabrać brudną pościel.

Trzeba było zabrać z sobą Christophera, słyszy głos, posypany z wyrzutem w jej leniwej głowie. *Dom pani Castaway nie jest odpowiednim miejscem dla dziecka.*

Gryzie biskwita, sypiąc kaskadą okruchów na pierś, na swoją koszulę nocną. *Christopher jest dzieckiem, ale i chłopcem*, mówi sobie Sugar. *Wyrośnie na mężczyznę, jak oni wszyscy. A świat został przecież stworzony dla mężczyzn.*

Dopija herbatę, której w filiżance pozostał tylko łyk, ledwie wystarczający na zwilżenie wyschłego języka. Dlaczego jest taka zmęczona? Co się stało wczoraj? Ostatnią rzeczą jaką zapamiętała przed zapadnięciem w długi, dziwaczny sen, w którym jakaś kobieta krzyczała i zawodziła przeraźliwie do wtóru wyjącemu wiatrowi, było oświadczenie Agnes Unwin, że zaręczyła się z Williamem Rackhamem.

Pamiętnik zamyka się na kolanach Sugar. Dziewczyna otwiera go ponownie, wertuje poplamione stronicie i odnajduje fragment, nad którym zasnęła.

Jestem zaręczona i zamierzam wyjść za mąż, pisze Agnes, za mężczyznę, o którym niemal nic nie wiem. Jakie to straszne! Oczywiście, znam go doskonale – tak doskonale, że mogłabym napisać książkę, ztorzoną ze wszystkich mondrości, które on wygłasza. Ale kim jest naprawdę ten William Rackham i czego ode mnie chce? Czego mu jeszcze brak? Och, modłę się, żebym go nie nódziła! Uśmiecha się i nazywa mnie swoją dziwną, małą duszka – czy jestem jednak wystarczająco niezwykła dla człowieka jego charakteru?

Myśl o ślubie jest jak myśl o nurkowaniu w mrocznych odmętach. Ale czy mroczne odmęty nie rozjaśniają się, jeżeli przed skokiem patrzeć na nie latami? (Ojej, może nie powinnam była użyć tego porównania, ponieważ nie umiem pływać!)

Nie wolno mi się jednak denerwować. Dla dwojga kochających się osób wszystko jest możliwe. I jak niewymownie słodko będzie nie nosić dłużej nazwiska Agnes Unwin! Nie mogę się już doczekać!!!

– Moja mama w ogóle nie poszła spać – skarży się półprzytomna i marudna Sophie, kiedy Sugar pomaga jej się ubrać. – Przez całą noc krzyczała w ogrodzie, panienko.

– Może to ci się tylko śniło – pociesza ją z niepokojem Sugar. Już sam wysiłek, jakiego wymaga od niej stawienie czoła dniowi, ubranie się i doprowadzenie do porządku przed siódmą rano, by pomóc następnie dziewczynce w porannej toalecie, odsuwa koszmar w przeszłość, a pełen udręki lament przechodzi w ciche mruczenie. Teraz, kiedy Sugar próbuje przypomnieć sobie sen, głos tamtej kobiety już nie jest osamotniony, towarzyszą mu bowiem inne, kobiece i męskie głosy. Och, tak, guwernantka ma też niejasne wrażenie, że na schodach doszło do jakiejś awantury.

– Niania powiada, że płacz i zamieszanie nikogo nie oszukają – mówi ni stąd, ni zowąd Sophie, wydymając wargi głupekowato, gdy Sugar zaczynają czesać. Za każdym razem, kiedy grzebień drapie ją w głowę, dziewczynka kołysze się na piętach w swoich ciasnych, małych pantofelkach. To jasne, że nie jest jeszcze całkiem przytomna.

– Wszyscy musimy być dzielni, Sophie – oświadcza Sugar.

O wpół do dziesiątej, wkrótce po rozpoczęciu lekcji, samotność w klasie przerywa pukanie do drzwi. Zazwyczaj kiedy naczynia po śniadaniu zostaną już uprzątnięte, nikt nie przeszkadza guwernantce i jej podopiecznej aż do lunchu, ale teraz w progu staje Letty z pustymi rękami i poważną miną.

– Pan Rackham pragnie cię widzieć, panno Sugar – mówi.

– Widzieć... mnie? – Sugar mruga powiekami, jakby nie rozumiała, co się do niej mówi.

– Jest w swoim gabinecie, panienko. – Sugar niewiele potrafi wyczytać z łagodnego oblicza Letty; jeżeli są na nim wypisane jakieś kobiece tajemnice, to zbyt niewyraźnie, by potrafiła je odczytać.

Sophie podnosi wzrok znad biurka, chcąc się przekonać, jaki obrót przyjmą sprawy. Skinięciem głowy i gestem dłoni Sugar nakazuje dziewczynce, by dalej rysowała instrumenty muzyczne i opatrywała je odpowiednimi nazwami. Zdołała ją właśnie przekonać, że może zostawić w zeszyte rysunek skrzypiec o obwisłym gryfie, zamiast wrywać kartkę, by zacząć pracę na nowo, i Sophie znów pochyla się nad blatem, wciskając teraz linijkę w niedokończony rysunek wiolonczeli, jak gdyby miarka próbowała wyrwać się z jej uścisku.

– Zaraz wrócę – mówi Sugar. Ale kiedy wychodzi w ślad za Letty, traci wiarę, że dotrzyma słowa. *Chce się mnie pozbyć, myśli. Znalazł kogoś, kto zna francuski, niemiecki i umie grać na fortepianie.* Potem przechodząc od nieuzasadnionego przerażenia do bezzasadnej ekscytacji, myśli: *Nie, chce pocałować mnie w szyję, zdrzeć mi spódnicę i wychędożyć. Kutas stoi mu od rana i nie potrafi się już dłużej powstrzymać.*

Czuje, że dywany pod jej stopami na piętrze są mokre, a co więcej, pachną mydłem i wodą; Letty, przekazawszy jej wiadomość od Williama, podwija rękawy, by wrócić do wiadra i gąbki, po czym opuszcza guwernantkę, która musi samotnie stanąć oko w oko z panem domu. Woda w wiadrze Letty ma różowy kolor.

Z bijącym sercem Sugar stuka do drzwi gabinetu Williama, jego *sanctum sanctorum*, którego progu, choć mieszka pod tym dachem już od kilku tygodni, nie przekroczyła jeszcze ani razu.

– Wejść – woła William zza drzwi i Sugar posłusznie wchodzi.

Kiedy widzi go w chmurze dymu za biurkiem, pochylonego w znamionującej zmęczenie pozie i rozpychającego łokciami dwa kopce listów niczym kretowiska, jej pierwszą myślą jest to, że William wygląda jak człowiek, który spędził całą noc na pijackich swawolach. Oczy ma przekrwione i zapuchnięte, zarost zmierzwiony, a włosy zlepiają mu kropelki wilgoci. Wstaje z krzesła, żeby się z nią przywitać, i Sugar dopiero wtedy spostrzega ciemne plamki wody na jego kamizelce, którą zachlapał, obmywając od niechcienia twarz.

– Williamie, wyglądasz... na strasznie zmęczonego! Na pewno za ciężko pracujesz!

Rackham podchodzi do niej – buty i nogawki spodni ma uwalane błotem – chwytają za ramiona tak gwałtownie, że Sugar krzywi się z bólu, po czym przygarnia dziewczynę do piersi. Już w chwili, kiedy odpowiada na jego uścisk, otaczając go długimi, chudymi ramionami i wtulając policzek w jego twarz, ma ochotę skarcić swego chlebobdawcę, jak przystało na przyzwoitą guwernantkę; przychodzą jej do głowy najrozmaitsze upomnienia: *Proszę mnie puścić, panie! Łaski! Zaraz zemdleję!*, i tak dalej.

– Co się stało, kochany? – szepcze mu we włosy, obejmuje go mocno i stara się, by William poczuł jej wystające biodra poprzez dzielące ich warstwy szeleszczącej tkaniny. – Podziel się ze mną swoimi troskami. – Wie, że te słowa są równie banalne jak myśli przepływające przed chwilą przez jej głowę, ale co innego mogłaby mu powiedzieć? Pragnie tylko jednego: by ten nieposprzątany, zarzucony papierami pokój o przesiąkniętych tytoniem tapetach i z dywanami koloru gulaszu wołowego rozpląnął się w powietrzu i żeby oboje jakimś magicznym sposobem przenieśli się z powrotem na Priory Close, gdzie ich nagie ciała spowiłaby natychmiast miękka, ciepła pościel, a wpatrzony w nią w zachwycie William powiedziałby...

– Ach, to paskudna, beznadziejna sprawa.

Sugar z trudem chwyta oddech, kiedy William ściska ją jeszcze mocniej.

– Masz... na myśli produkcję kosmetyków? – zgaduje dziewczyna, doskonale zdając sobie sprawę, że Rackham ma na myśli zupełnie co innego.

– Chodzi o Agnes – jęczy. – Odchodzę przez nią od zmysłów.

Prawdopodobieństwo, że William straci zmysły prędzej niż jego nieszczęsna żona, zdaje się niewielkie, trudno jednak wątpić w jego rozpacz.

– Co przeskrobała?

– Wyszła wczoraj wieczorem na śnieg, tylko w koszuli nocnej! Wykopała swoje pamiętniki, a raczej usiłowała je wykopać. Teraz jest przekonana, że zjadły je robaki. Kazałem służbie schować gdzieś te przeklęte zeszyty, ale wygląda na to, że nikt nie ma pojęcia, gdzie się podziały.

Sugar wydaje nieartykułowany dźwięk na znak współczującego zdziwienia.

– I poraniła się! – wykrzykuje William, drżąc w ramionach Sugar. – To straszne! Rozcięła sobie obie stopy szpadlem! Biedne dziecko, nigdy wcześniej nie kopała przecież dziury w ziemi. A nie włożyła nawet butów! Ach! – Znowu przebiega go gwałtowny dreszcz na myśl o tym, jak delikatną skórę bosych stopek Agnes po jednym niezdarnym ruchu przebija brzeg tępej łopaty. Sugar także drży i jest to ich pierwszy wspólny, odruchowy skurcz, który przeżywają autentycznie razem.

– Jak ona się czuje? Co zrobisz? – woła Sugar, a William wyrywa się z jej uścisku i kryje twarz w dłoniach.

– Oczywiście wezwałem doktora Curlew. Dzięki Bogu, nie odmówił... chociaż policzy mi słono za wizytę... To zdumiewające, że można w płaszczu i koszuli nocnej zszywać rany krzyczącej wniebogłosy kobiecie, a mimo to mieć zadowoloną minę! Zresztą, niech się cieszy, ile wola... Agnes zostaje w domu! Mam skazać żonę na piekło na ziemi, bo nie potrafi posługiwać się szpadlem? Nie jestem jeszcze potworem!

– Williamie, za bardzo się denerwujesz! – ostrzega go Sugar, chociaż i jej głos drży z niepokoju.

– Na razie zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, a kiedy się wypiszesz, będziesz mógł to wszystko spokojnie przemyśleć.

Rackham cofa się, kiwając głową i zacierając ręce.

– Tak, tak, tak – mówi, marszcząc brwi z wysiłku, jaki wkłada w usunięcie logicznych sprzeczności ze swoich myśli. – Już się opanowałem. – Skupia dziwne spojrzenie roziskrzonych oczu na dziewczynie. – Jak sądzisz, kto, u licha, mógł zabrać te przeklęte pamiętniki?

– Mmm... może wywiozła je stąd niania Sophie? Czy nie wykopano ich tuż przed jej wyjazdem?

William potrząsa głową i już zamierza zaprzeczyć, mówiąc, że Beatrice Cleave traktowała Agnes z ledwo skrywaną pogardą, potem jednak przychodzi mu do głowy, że może właśnie dlatego skorzystała z okazji, żeby przysporzyć im kłopotów.

– Napiszę do pani Barrett i każę przeszukać jej pokój – oświadcza William.

– Nie, nie, mój kochany – mówi Sugar zaniepokojona, z jaką łatwością zabrudzone ziemią i nieuczciwie zdobyte tajemnice pani Rackham mogą zostać wyciągnięte spod jej wąskiego łóżka. – Gdyby Beatrice chciała zrobić ci na złość, wrzuciłaby pamiętniki do najbliższej rzeki. A poza tym, czy Agnes naprawdę potrzebuje teraz swoich starych dzienników? Czy odpoczynek i troskliwa opieka nie są dla niej ważniejsze?

William wraca za biurko, nerwowo zaciskając i rozwierając dłonie.

– Odpoczynek i troskliwa opieka. Tak, do diabła. Ach, gdyby mogła spać, dopóki nie zagoją się te rany! Zdobędę coś od lekarza... Ale nie od Curlew, niech go diabli porwą... jakieś pigułki albo miksturę... A Clara dopilnuje, żeby Agnes z religijną gorliwością zażywała to lekarstwo co wieczór... Żadnych wymówek. Żadnych wymówek, słyszysz?

Głos Williama w ciągu kilku sekund przechodzi od zgodnego tonu do wściekłości. Sugar podbiega do Rackhama i szorstką dłonią dotyka jego wykrzywionej twarzy.

– Williamie, proszę cię, strapienie zamyka ci oczy, dlatego nie widzisz, kim jestem. Jestem twoją Sugar, czy nie rozumiesz? Jestem kobietą, która wysłuchuje twoich skarg, służy ci radą i pomaga pisać listy, jakie obawiasz się napisać sam... Ile razy już udowodniłam, że nie ma nic, czego bym dla ciebie nie zrobiła! – Sugar chwyta jego bezwładną dłoń i przyciskają najpierw do swojej piersi, a potem do brzucha, ma bowiem nadzieję, że tym gestem obudzi w nim pożądanie, on

jednak przyjmuje dotyk z niemą obojętnością, jak gdyby dziewczyna posługiwała się jego ręką, aby uczynić znak krzyża.

– Williamie – mówi prosząco Sugar. – Pamiętasz Hopsoma? I te długie noce, które spędziliśmy na...?

W końcu rysy jego twarzy łagodnieją. Zdaje się, że rozgorączkowaną głowę Williama wypełnia chłodny balsam intymnego wspomnienia: przypomina sobie, jak Sugar pomogła mu przeprowadzić statek rozwijającej się firmy przez pas burz, chociaż chybiona rada mogła go wtedy zatopić.

– Mój ty aniele – wzdycha skruszony, po czym ku ogromnej uldze dziewczyny pochyła się naprzód i całuje ją prosto w usta. Jego język jest suchy, ma smak brandy i niestrawności, ale cóż z tego, skoro William ją całuje. Zbierając się na odwagę, Sugar gładzi go po głowie, ramionach, plecach i dyszy coraz szybciej, pożądamy go niemal i pragnąc, aby i on zaczął jej pożądamy.

– Och, a tak na marginesie – mówi William, wyzwalając się ponownie z jej uścisku. – Chciałem ci coś pokazać. – Widać, jak jego kutas pręży się w spodniach, lecz nie o niego mu chodzi; nie, nie jest jeszcze w pełni gotowy do zbliżenia. Tymczasem przerzuca beładnie stos papierzyk na biurku, z którego wyciąga złożony egzemplarz „Timesa”.

– Chyba jeszcze tego nie widziałaś? – mówi, kartkując gwałtownie gazetę. Nie zwraca uwagi na wiadomości, zapowiedzi ślubów lub zaręczyn, aż wreszcie znajduje stronę, którą chce jej zaprezentować. Między niewielkimi ogłoszeniami, reklamującymi środki oczyszczające krew i leki homeopatyczne, na samym środku widnieje duży anons, a w nim rycina z obliczem Williama Rackhama, otoczonym wieńcem ostrokrzewu.

Wesołych Świąt Bożego Narodzenia

i Wszelkiej Pomyślności w nadchodzącym Nowym Roku

życzy firma

Rackham's

DOSTAWCA NAJLEPSZYCH PERFUM I KOSMETYKÓW

Dziewczyna czyta życzenia kilkakrotnie, zachodząc w głowę, jak powinna je skomplementować. Cóż to za dziwne uczucie, oglądać jeden z pomysłów Williama jako *fait accompli*, albowiem kochanek nie zasięgnął jej rady przed jego realizacją!

– To bardzo oryginalne – mówi. – I dobrze sformułowane. Tak, naprawdę bardzo dobre.

– W ten sposób udało mi się opublikować życzenia świąteczne w gazecie na długo przed konkurencją, rozumiesz?

– Mmm – odpowiada Sugar. – Twój rywale będą żałować, że nie pomyśleli o tym samym, prawda? – W wyobraźni dziewczyny rozbłyskuje co chwila odstręczający obraz Agnes, wymachującej w ciemności uwalanym szpadlem, którego brzeg rozcina bladą skórę na jej nodze.

– Nie wątpię, że w przyszłym roku nie dadzą się już wyprzedzić – mówi William. – Ale teraz zdobyłem nad nimi przewagę.

– W przyszłym roku wymyślisz coś jeszcze bardziej błyskotliwego – zapewnia go Sugar. – Pomogę ci.

Znów się całują i tym razem William chyba jest już gotów, żeby posunąć się dalej. Sugar wsuwa rękę do spodni kochanka, a jego kutas sztywnieje już w chwili, w której dziewczyna zaczyna go szukać po omacku.

– Kiedy wreszcie skrócisz moje męczarnie? – mruczy mu do ucha Sugar, z trudem modulując histerycznie drżący głos, aby zabrzmiała w nim nuta pożądliwości. A jednak gdy unosi nogę, by wspiąć mu się na kolana, konstatuje ze zdziwieniem, że ma bardzo wilgotną pochwę. William zachowuje się jak zwierzę, to prawda, ale odchodzi od zmysłów ze zmartwienia i przecież ma zacne serce, tego jest pewna, podobnie jak i tego, dzięki Bogu, że nadal jej pożądamy. Jeżeli tylko zrobi z nim to teraz i usłyszysz jego bezsilny, poddańczy jęk, kiedy się spuści, być może wszystko jeszcze będzie dobrze.

Majtki opadają jej do kostek, a Sugar siada kochankowi na kolanach i wzdycha z ulgą, gdy wsuwa się w nią główka jego kutasa, w tej chwili jednak rozlega się natarczywe pukanie do drzwi. Dziewczyna bez wahania zrywa się z miejsca i wciąga majtki, usiłując zachować równowagę, Williama pochłaniają zaś w tym czasie analogiczne czynności. Oboje doprowadzają do porządku garderobę i przybierają obyczajne pozy, a ich wspólne, zgrane działanie przebiega równie instynktownie i płynnie jak każdy akt erotyczny.

– Wejść! – mówi ochryple Rackham.

To znowu Letty, która tym razem ma zakłopotaną minę nie ze względu na swojego pana i guwernantkę, których przerwana dyskusja przebiega najwyraźniej w całkowitej zgodzie z typowymi normami moralnymi, lecz z uwagi na ciężkie brzemię wiadomości, z jaką przychodzi.

– Chodzi o... panią Rackham – wyznaje Letty. – Ona cię pragnie, panie.

– Pragnie mnie?

– Tak, panie. Pragnie cię widzieć w jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie.

William wpatruje się w służącą przekrwionymi oczami spod ciężkich powiek, niechętnie przyznając w duchu, że szczęście dziś mu nie sprzyja.

– Doskonale, Letty – mówi. – Zaraz przyjdę.

Służąca cofa się za próg, a William wychodzi zza biurka, prostując palcem przekrzywiony krawat i kołnierzyk koszuli.

– Pochlebia mi wielce, że jestem obiektem pożądania tylu kobiet naraz – mruczy sardonicznie do Sugar, mijając ją ciężkim krokiem.

Sypialnia Agnes, tak często zaciemniona za dnia, jest złowrogo jasna, ponieważ zasłony zostały rozsunięte, by do środka dostało się jak najwięcej słońca. Pani Rackham powinna leżeć bez zmysłów, otumaniona lekami, ale jest całkiem przytomna i siedzi wyprostowana na łóżku, odziana w nieskazitelnie czystą i świeżą koszulę nocną, zapiętą wysoko pod szyją. Pod kołdrą, w połowie długości łóżka, w miejscu, gdzie spoczywają jej grubo obandażowane stopy, rysuje się spore wybrzuszenie. Agnes ma spokojny wyraz twarzy, choć na jej policzku widać kilka zadrapań po szarpaninie z małżonkiem, Shearsem i Rose, którzy usiłowali wciągnąć ją do domu. Nieprawdopodobnie niebieskie oczy pani Rackham otaczają czerwone obwódki. William dostrzega to wszystko w jednej chwili, kiedy tylko wchodzi do pokoju; to wszystko oraz Clare, stojącą przy wezgłowiu na straży, jak gdyby trzymała wartę honorową u boku swojej pani.

– W porządku, Claro – mówi William. – Możesz już iść.

Służąca dyga nieuprzejmie, tylko nieznacznie zginając się w ukłonie.

– Pani Rackham mówi, że mam tu zostać, panie.

– To moja pokojówka, Williamie – przypomina mu Agnes. – Myślę, że we własnym domu wolno mi mieć przy sobie choć jedną osobę, której leży na sercu moje dobro.

William prostuje się.

– Agnes... – zaczyna ostrzegawczo, ale gryzie się w język. – O czym chciałabyś ze mną porozmawiać?

Agnes bierze długi, głęboki oddech. – Zostałam przed chwilą upokorzona przez własnego stangreta, który odmówił wykonania mojego polecenia.

– Mówisz o Cheesmanie?

– Zdaje się, że mamy tylko jednego stangreta, Williamie, chyba że chomikujesz gdzieś innych na własny użytek.

Czyżby przez twarz Clary przemknął właśnie ironiczny uśmiezek? Niech diabli porwą zuchwalstwo tej zasmarkanej arogantki. Wyrzuci ją jeszcze na bruk...

– Czy Cheesman zachował się wobec ciebie impertynencko, kochanie? – pyta William z najwyższą *politesse*.

– Jak na osobę jego stanu jest zupełnie dobrze wychowany – odpowiada pani Rackham. – Moje upokorzenie to twoja zasługa.

– Moja?

– Cheesman powiada, że zabroniłeś mu wozić mnie do kościoła. – Jest wtorek, ko...

– Do mojego kościoła – ucina krótko Agnes. – W Cricklewood. William na chwilę zamyka oczy, aby lepiej wyobrazić sobie, że wypędza Clare na ulicę albo że nagle ogarniają ją płomienie.

– Cóż... – wzdycha. – Prawda jest taka, że zakazałem ci jechać do kościoła na polecenie doktora Curlew.

Agnes powtarza jego słowa, pogardliwie poświęcając każdemu z osobna uwagę, na jaką zasługują.

– Polecenie. Doktora. Curlew.

– Tak – mówi William, dziwując się, jak to możliwe, że on, William Rackham, człowiek, który bez najmniejszych problemów potrafi powstrzymać wściekłość nieokrzęszonego doktora, traci nerwy w obliczu niezadowolenia swej małżonki-elfa. Jak doszło do tego, że jej przemiłe usposobienie, które kiedyś tak bardzo go zachwycało, stało się aż tak nieprzyjemne? – Doktor Curlew uważa, że praktykowanie... ach... innego wyznania niż... nie służy twojemu zdrowiu.

– Trzeba mi cudu, Williamie – odpowiada Agnes bardzo wyraźnie, jak gdyby zwracała się do wyjątkowo ociężałego na umyśle dziecka. – Cudu uzdrowienia. Chcę się pomodlić w kościele, który uznaje Bóg i który jak wiadomo nawiedza Matka Boska i Jej aniołowie. Czy kiedykolwiek byłeś świadkiem cudu w twoim kościele, Williamie?

Clara, która trzymała dotąd dłonie splecione na plecach, składa je teraz na brzuchu, w niewinnym, błahym geście, uderzającym jednak Williama jak szyderstwo.

– Ja... – (Rackham na próżno szuka odpowiedzi, mogącej obudzić jej litość i skierować rozmowę na mniej burzliwe wody). – Muszę ci wyznać, że chyba nigdy nie zaprzętały mnie zbytnio cudy.

– Wyznać? – syczy Agnes, otwierając oczy najszerszej, jak potrafi. – Tak, owszem, powinieneś wyznać swoje grzechy, ale nigdy tego nie uczynisz, prawda?

– Agnes... – William raz jeszcze gotuje się do sprzeczki i ponownie odrzuca tę pokusę. – Czy nie możemy porozmawiać na ten temat, kiedy poczujesz się lepiej? Ze względu na stan zdrowia nie możesz na razie pojechać ani do katolickiego, ani do anglikańskiego kościoła. Twoje biedne nóżki potrzebują odpoczynku i pieczy. – Tu nagle wpada na chytry argument: – A poza tym, jak byś się czuła, gdyby na oczach wszystkich wniesiono cię do kościoła niczym ciężki tobół?

Ten apel do wrażliwości pani Rackham na opinię towarzyską rozwiewa się w powietrzu, zmieciony jej pełnym oburzenia spojrzeniem.

– Wcale nie czułabym się jak tobół. – Agnes drży. – Czułabym się... bosko. Poza tym wcale nie jestem ciężka. Jak śmiałeś powiedzieć coś takiego?

William zdaje sobie sprawę, że jego żona, chociaż pozornie opanowana, nadal znajduje się w delirium. Dalsza dyskusja nie ma sensu, a poza tym przedłuży jedynie widowisko ku uciesze Clary.

– Agnes... – oświadcza burkliwie William. – Nie... nie pozwalam. Wystawisz siebie i mnie na pośmiewisko. Zostaniesz w domu, dopóki...

Agnes z okrzykiem udręki odrzuca kołdrę, rzuca się ku niemu na czworakach z błyskawiczną zwinnością ulicznego urwisa i zaciska dłonie na mosiężnych ślimacznicach łóżka. Po policzkach spływają jej łzy, kiedy woła płacząco do Williama:

– Przysięgałeś! Że będziesz mnie miłował, wielbił i szanował! „Nie obchodzi mnie, co myśli świat”, mówiłeś. „Inne dziewczęta są przeraźliwie nudne”. Nazywałeś mnie swoją „dziwną, małą duszką!”. „Nasze społeczeństwo zwie ekscentrycznym wszystko, czego się boi”, oto twoja kolejna piękna sentencja. „Przyszłość będzie interesująca, jeśli okażemy dość odwagi, aby stać się interesującymi ludźmi, a w tym celu musimy dać światu prztyczka wnoś!”

William stoi nad nią z szeroko otwartymi ze zdziwienia ustami. Sądził, że ostatnia noc była najdziwniejszym doświadczeniem jego życia, ale to... to jest jeszcze gorsze, Agnes wskrzesza bowiem z zapomnienia jego młodzieńcze, najbardziej szczeniackie fanaberie i deklaracje, by rzucić mu je w twarz.

– Troszczyć się o ciebie najlepiej, jak potrafię – mówi błagalnie William. – Jesteś chora, a ja chcę się tobą opiekować.

– Chcesz się mną opiekować? – wola. – A czy ty kiedykolwiek się mną opiekowałeś? Patrz! Patrz! Co teraz zrobisz?

Agnes rzuca się na wznak, zadziera koszulę i zrywa pospiesznie bandażę ze swoich stóp.

– Agnes! Nie! – William podchodzi do niej chwiejnym krokiem i chwytają za ręce, ale palce pani Rackham wciąż wiją się i skręcają wokół kostek. Macki zakrwawionych bandaży rozwijają się, odsłaniając stopy Agnes, posiniaczone, granatowe ciało i lepkie skrzepy. Mimo woli William dostrzega również jasne kosmyki włosów łonowych między jej chudymi jak patyki nogami, które jego małżonka tak bezwstydnie odsłania.

– Agnes, proszę cię – szepcze, potrząsając wściekle głową, by zwrócić jej uwagę na stojącego z tyki milczącego świadka, czyli Clare. – Nie przy służbie!...

Pani Rackham histerycznie śmieje się straszliwym, zwierzęcym śmiechem.

– Całe moje ciało to... jedna wielka rana – woła z oburzeniem i niedowierzaniem. – Moja dusza jest już niemal zgubiona, a ty się martwisz służbą? – Agnes szamocze się rozpaczliwie, by wyrwać ręce z krępującego uścisku, i miesi stopami pościel, aż śnieżnobiałe prześcieradło pokrywają smugi krwi. Kiedy przywiera nagle do jego ramienia, William przypomina sobie, jak pełne są jej piersi w porównaniu z biustem Sugar, wspomina filigranowość jej cherubinowego ciała i to, jak gorączkowo oczekiwał kiedyś na ów błogosławiony dzień, kiedy będzie mógł nareszcie wziąć ją w ramiona...

Nagle Agnes przestaje się z nim mocować. Stoją teraz pierś w pierś, niemal nos w nos. Zaczerwieniona na twarzy, pani Rackham, której spływają po brodzie kropelki śliny, dyszy ciężko i wbija w męża spojrzenie pełne słusznego obrzydzenia.

– Sprawiasz mi ból – mówi cicho. – Idź bawić się z kimś innym.

William puszcza ją i Agnes wraca na czworakach ku wezgowiu, ciągnąc za sobą wstęgi zakrwawionych bandaży. W mgnieniu oka wślizguje się znów pod koldrę, po czym składa głowę na poduszce, wsuwając otwartą dłoń pod policzek. Wzdycha ze stoickim spokojem jak dziecko, któremu ktoś dokucza przed snem.

– Ja... – jąka się William, ale nic nie przychodzi mu do głowy, zwraca się więc do Clary, błagając ją bezsilnym gestem, aby nie nadużywała władzy, jaką zyskała, będąc świadkiem tego incydentu.

Pokojówka kiwa potakująco głową z nieprzeniknioną miną.

– Ja się nią zajmę, panie Rackham – zapewnia Clara i można by pomyśleć, że odprawia go niczym służącego.

Sparaliżowany ze strachu, William, powłócząc nogami, wraca do gabinetu. Nikt go tam nie wita, Sugar prawdopodobnie wróciła bowiem do klasy, kiedy nie mogła już dłużej na niego czekać. Cóż, trudno. William wciąga nosem powietrze: dym z cygar, płonące węgle w palenisku, pochwa Sugar.

Staje przed migoczącymi w kominku płomieniami, opiera się czołem o ścianę, rozpinając spodnie i onanizuje się, pojękując z rozpacz. Po kilku sekundach nasienie tryska wprost na skwierczące węgle. William ma tłusty brzuch, porośnięty przedwcześnie posiwiałymi włosami; jest groteskowy, nic dziwnego, że wszyscy nim pogardzają. Po skończonym orgazmie jego penis kurczy się do rozmiarów oślizgłego robaka i William kryje go z powrotem w spodniach.

Odwraca się, przygarbiony, i na widok zasłanego papierami biurka ogarnia go jeszcze większe przygnębienie. Jest tyle do zrobienia, a jego życie wali się w gruzy! Siada ciężko na krześle i kryje twarz w dłoniach.

Spokojnie, spokojnie. Nic nie zyska, jeśli straci teraz panowanie nad sobą.

Niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, otwiera przestronną dolną szufladę biurka, gdzie przechowuje korespondencję, na którą odpisał, ale której z niewiadomych powodów nie chce się pozbyć. Pośród takich listów leżą też inne śmieci – na przykład *Dalsze hulanki w Londynie* – i... jeszcze coś. Drżącymi palcami sięga do szuflady.

Wyciąga mocno już zniszczone zdjęcie Agnes – Agnes Unwin, jak wtedy się nazywała – które zrobił jej na letnim pikniku nad Tamizą. Piękna fotografia, a w dodatku całkiem niezłe wywołana, biorąc pod uwagę, jak mało miał jeszcze wtedy doświadczenia w ciemni. Szczególnie podoba mu się to, że Agnes (na jego polecenie) stoi na tym zdjęciu w całkowitym bezruchu, dzięki czemu udało mu się uchwycić jej pogodną, śliczną twarzyczkę bardzo ostro, gdy tymczasem jej

towarzysze – synowie arystokratów, co do jednego idioci – którzy bawili się mankietami u spodni i plotkowali, skazali swoje oblicza na nieostrą anonimowość. Ten jegomość tutaj, z goździkiem w butonierce, to najprawdopodobniej ów osioł Elton Fitzherbert, ale pozostali wyglądają niczym szare, mroczne widma, służące jedynie za tło jego promiennej ukochanej. Oglądał tę fotografię niezliczoną ilość razy, wspominając zawsze, że przedstawia ona niezaprzeczną prawdę, historię, której nie można już napisać na nowo.

Nie zdając sobie sprawy, że płacze, przegląda dalej papiery w dolnej szufladzie biurka. Gdzieś tu, chyba że bardzo się myli, nadal spoczywa perfumowany liścik, który napisała do niego Agnes zaledwie kilka dni przed ślubem. Píše w nim, jak bardzo go uwielbia i że każdy dzień oczekiwania na chwilę, kiedy zostanie jego żoną, jest dla niej agonią rozkosznej niecierpliwości – czy coś w tym rodzaju. William ciągle szuka go w papierach, pośród programów zapomnianych przedstawień teatralnych, zaproszeń do galerii sztuki, nigdy nieprzeczytanych listów od brata, usianych cytatami z Biblii, oraz pogróżek od dawno splecionych wierzyteli. Ale pachnący dowód miłości Agnes do niego... ten list wciąż mu umyka. Czy to naprawdę możliwe, że zniknął wszelki ślad jej uczucia? Pochyla się i pociąga nosem: stary papier; zabłocone buty; pochwa Sugar.

Traci już nadzieję, kiedy z samego dna szuflady wyciąga jakąś pogniecioną kartkę, sądząc, że może jest to poszukiwana zguba. Okazuje się jednak, iż znajduje list, a właściwie jedynie niedokończony brudnopis, skreślony przed kilku laty jego własną ręką, adresowany do Henry'ego Rackhama seniora:

Drogi Ojcze!

W zamieszaniu wywołanym narodzinami córki, a następnie nagłą koniecznością otoczenia mojej żony opieką medyczną, miałem naturalnie niewiele czasu, który mógłbym poświęcić czekającym na mnie obowiązkom. Oczywiście, zamierzam je podjąć z właściwym sobie entuzjazmem przy najbliższej okazji; tymczasem jednak stałem się nieszczęśliwym adresatem listu od naszych radców prawnych...

William z jękiem bólu zgniata kartkę w kulkę i rzuca na bok. Chryste, przecież jest dzisiaj dwakroć potężniejszy niż wtedy! Jak los może być tak okrutny, żeby okradać go z podziwu Agnes, skoro był kiedyś tylko małym, nędznym paniczykiem, a dzisiaj jest szefem wielkiego przedsiębiorstwa? Czyż nie ma sprawiedliwości na tym świecie?

Jak dźgnięty ostrogą, pochyla się nad biurkiem, kładzie przed sobą czystą kartkę i zanurza pióro w kałamarzu. William Rackham, dyrektor naczelny Rackham Perfumeries, nie będzie nad sobą płakał: zamierza pracować dalej. Tak, będzie pracował! Czym to się ostatnio zajmował?... Ach, tak, sprawą Woolwortha...

Do Henry'ego Rackhama, Sr, pisze William, przyciskając pięść do czoła, żeby przywołać szczegóły, które były dla niego zupełnie oczywiste dwanaście godzin temu, kiedy koszmar jeszcze się nie zaczął.

Doszły mnie słuchy, że w roku 1842 firma Rackham Perfumeries wydzierżawiła niejakiemu Thomasowi Woolworthowi duże pole ziemi ornej w Patcham, w Sussex, ktoś uznał bowiem (jak sądzę, byłeś to ty), że uprawianie tych pól byłoby dla nas zbyt wielkim obciążeniem. Znalazłem jedynie skąpą dokumentację tej transakcji i tuszę, że jest obszerniejsza. Dlatego proszę, byś zechciał przekazać mi wszelkie dokumenty, które mogą dotyczyć tego przypadku, jak i wszelkich innych przypadków, dotyczących naszej firmy, a które to dokumenty przypadkiem prawdopodobnie pozostają wciąż w twoim posiadaniu...

William marszczy brwi na widok nieszczęśliwego wystąpienia trzech „przypadków” w ostatnim zdaniu. Sugar pomogłaby mu się z tym uporać, gdyby przy nim była; ale i ona wymknęła się dziś Williamowi z rąk.

– Wigilia – dyktuje Sugar i milknie.

W szarym świetle wczesnego poranka Sophie pochyla się nad zeszytem i zapisuje to egzotyczne słowo na nowej kartce, na górze. Nawet patrząc z boku i do góry nogami, Sugar widzi, że dziewczynka zamiast ostatniego „i” pisze „j”.

– Jemiola.

Znów rozlega się skrobanie pióra Sophie. Tym razem dziewczynka zapisuje wyraz poprawnie.

– Cynfolia.

Sophie w poszukiwaniu natchnienia wpatruje się w połyskliwe srebrno-czerwone włosy anielskie, leżące na kominku, a potem moczy pióro w kałamarzu i przelewa swoje przypuszczenie na papier: „cynfolja”. Sugar postanawia objaśnić jej ten błąd, łącząc poczucie humoru z celem edukacyjnym: *Biedne, małe, niepotrzebne „j” z „Wigilii” zabłąkało się nam także do słowa „cynfolia”...*

– Ostrokrzew. – Już w chwili, kiedy spływa jej z ust, guwernantka żałuje, że podała uczennicy to ostatnie słówko: zmarszczka na czole biednej Sophie pogłębia się, musi bowiem porzucić resztki nadziei na bezbłędny wynik dyktanda. Poza tym ostrokrzew nieoczekiwanie przypomina Sugar o wypadku Agnes: raz jeszcze widzi oczami wyobraźni, jak brzeg szpadla przecina jej białą skórę, spod której tryska krew.

– Osrokszew – pisze Sophie.

– Śnieg – mówi Sugar, żeby podsunąć jej teraz coś łatwiejszego. Sophie patrzy w okno i owszem, okazuje się, że pada śnieg. Widać guwernantka musi mieć oczy dookoła głowy.

Sugar uśmiecha się z zadowoleniem. Nadchodzące Boże Narodzenie, które spędzi z rodziną Rackhamów, będzie w pewnym sensie pierwszymi świętami w jej życiu, albowiem w domu pani Castaway nigdy nie panowała jakaś szczególnie świąteczna atmosfera. Myśl o tym, że wkrótce nadejdzie dzień, który z całą pewnością okaże się wyjątkowy, bez względu na to, co przyniesie los, jest dla niej nowością, a im bardziej Sugar przestrzega samą siebie, iż 25 grudnia będzie ostatecznie takim samym dniem jak każdy inny, tym bardziej niecierpliwie czeka jego nadejścia.

Ostatnio w domu Rackhamów zaszła jakaś zmiana, której nie można wytłumaczyć jedynie dekoracjami z gałązek ostrokrzewu, cynfolii i ozdobnych dzwoneczków. To, że William nadal darzy ją uczuciem, jest wielką pociechą dla Sugar, a myśl, że razem stawia czoło przyszłości jako współpracownicy i powiernicy, pomaga jej znieść jadowity pomruk złych przeczuć. Jednakże źródłem nadziei guwernantki jest coś więcej niż tylko miłość Williama – dziewczyna zauważyła bowiem zmianę atmosfery w całym domu. Wszyscy stają się dla siebie przyjaźniejsi i bardziej bezpośredni. Sugar nie czuje się już niczym zjawa, który nawiedza dwa pokoje wielkiej, tajemniczej rezydencji i przebiega szybko obok zamkniętych drzwi z obawy, że wywoła ukryte za nimi złe duchy. Teraz, kiedy nadchodzą święta, porusza się swobodnie po całym domu, trzymając Sophie za rękę, i jest mile widzianą uczestniczką świątecznych przygotowań. Służące uśmiechają się, przechodzący obok William pozdrawia ją skinieniem głowy i nikt nie musi wspominać o tym, co jest zrozumiałe samo przez się: że pani Rackham leży bezpiecznie na górze, gdzie przesypia kolejne dni w wywołanym chloralem stuporze.

– Witaj, mała Sophie! – mówi Rose, kiedy dziewczynka z dumą pokazuje jej kolejny koszyk świeżo ukończonych papierowych łańcuchów. – Sprytka z ciebie dziecina, co?

Sophie promienieje. Nigdy w życiu nie spodziewała się, że będzie przedmiotem podziwu, jaki otacza ją wyłącznie dlatego, że wycina paski kolorowego papieru, które następnie skleja w łańcuchy wedle szczegółowych instrukcji guwernantki! Być może sztuka życia nie jest aż tak żmudna i niewdzięczna, jak przekonywała ją niania...

– Gdzie to powiesimy, Letty? – woła Rose do swojej koleżanki na górze, a służba stara się, jak

może, by udawać, że wciąż istnieje pilne zapotrzebowanie na kolejne łańcuchy, choć wiszą już wszędzie, nawet na poręczach schodów, w bibliotece (oby tylko, na Boga, mężczyźni ostrożnie obchodzili się z cygarami!), w zmywalni (tu przesiąknięte wilgocią ozdoby nieco już obwisły, ale Janey wielce się ucieszyła, że ktoś o niej pomyślał), na pianinie i w tym dziwnym pokoiku, gdzie unosił się kiedyś słaby zapach pościeli i moczu, a który stoi teraz całkiem pusty. Jest zatem kwestią czasu, nim udekorowane zostaną nawet stajnie i szklarnie Shearsa.

Dostawca przywiózł im ostrokrzew wczoraj, a uwolniono go aż od trzech dużych bukietów, czyli od dwóch więcej niż w ubiegłym roku. (– Obłowisz się tu, złotko – mrugnął, wychodząc, do młodziaka z jemiołą, na którego natknął się na podjeździe). I rzeczywiście, w domu Rackhamów nie skąpi się grosza, aby wymazać z pamięci wspomnienie Bożego Narodzenia z 1874 roku, które „świętowano” – o ile słowo to da się nagiąć i wykorzystać w tak nieodpowiednim kontekście – w cieniu nieszczęścia. Niechaj więc wszyscy, począwszy od lordów i dam, aż po najskromniejszą pomywaczkę, wiedzą, że w kwestii świątecznej aprowizacji William Rackham może się mierzyć z każdym! A zatem: ostrokrzew? Są go trzy całe torby! Artykuły spożywcze? Kuchnia wypełniła się nimi po brzegi! Papierowe łańcuchy? Niech mała robi ich tyle, ile dusza zapagnie!

Kiedy nie klei łańcuchów, Sophie z największą rozkoszą przygotowuje własnoręcznie karty świąteczne. Sugar kupiła jej kilka drogich pocztówek od domokrażcy, któremu William po chwili wahania pozwolił przekroczyć próg domu i rozłożyć swoje towary w salonie, by mogła obejrzeć je służba. Obok tradycyjnych obrazków, przedstawiających rozświetlone kominkowym ogniem szczęście i rodzinne ciepło, a także obdartych biedaków, znalazły się również zabawne malowanki, na których żaby tańczyły z karaluchami, a renifery kasały w tyłki nadętych dziedziców – i te właśnie karty szczególnie przypadły do gustu służącym z kuchni. Ze względu na cenę kobiety nie mogły sobie jednak pozwolić na ich kupno, toteż wyrażały z tego powodu żal. Sugar kupiła natomiast najdroższe pocztówki, wyposażone w elementy ruchome i iluzyjne widoczki, przyświecała jej bowiem nadzieja, że takie widokówki podesuną Sophie podobne twórcze pomysły.

I nie myliła się. Sądząc po zachwytach Sophie, dziewczynka nigdy nie posiadała bardziej luksusowej i fascynującej zabawki niż świąteczna pocztówka w kształcie ponurego, georgiańskiego domu, w którym – po wyciągnięciu papierowego paska – rozchylają się zasłony, ukazując kolorową rodzinę, zasiadającą z zadowolonymi minami przy suto zastawionym stole. Jako że dziewczynka nie zna słowa „geniusz”, określa człowieka, który wymyślił tę nadzwyczajną zabawkę, mianem „mistrza mądrości”, ogląda bez przerwy kartkę i pociąga za pasek, chcąc sobie przypomnieć, jak cudownie działa. Efekty jej własnych wysiłków, zmierzających do narysowania, namalowania i złożenia świątecznych pocztówek, są dosyć mizerne, ale Sophie nie poddaje się i wycina z kartonu kilka domków, w których ukrywają się mikroskopijne rodziny, świętujące Boże Narodzenie. Każdy kolejny domek jest lepszy od poprzedniego, a mata obdarowuje pocztówkami każdego, kto tylko zechce przyjąć od niej prezent.

– Ach, dziękuję, Sophie – mówi kucharka. – Wyślę ten domek mojej siostrze do Croydon.

Albo: – Dziękuję, Sophie – mówi Rose. – Taki podarunek z pewnością wywoła uśmiech na ustach mojej matki.

I nawet William z przyjemnością przyjmuje kartonowy domek; i choć ma wyjątkowo nieliczną rodzinę, w jego otoczeniu nie brak współpracowników i podwładnych, których oczaruje taki gest, tym bardziej że będzie naprawdę wyjątkowy.

– Jeszcze jeden! – mówi z udanym zdumieniem, kiedy Sugar przyprowadza Sophie do gabinetu, by mała wręczyła mu swoją najnowszą kartę świąteczną. – Stajemy się jednoosobową fabryką pocztówek, co? – Tu Rackham mruga porozumiewawczo do Sugar, która jednak nie potrafi odgadnąć, co owo perskie oko miałoby oznaczać.

Po tych krótkich spotkaniach z ojcem, które zawsze dobiegają końca, gdy okazuje się, że William nie ma już nic więcej do powiedzenia, Sophie często wpada w kapryśny nastrój, w jednej chwili przechodząc od podekscytowanej paplaniny do krnąbrnych jęków; mimo to Sugar uznała, że dziewczynce dobrze zrobi, jeśli rodziciel poświęci jej trochę uwagi.

– Mój ojciec jest bogaty, panienko – oświadcza Sophie pewnego popołudnia, tuż przed rozpoczęciem lekcji historii, ograniczonej na razie do dziejów Australii. – Jego pieniądze leżą w

banku i rosną z dnia na dzień.

To niewątpliwie kolejna przeżuta i zwrócona przez dziewczynkę złota myśl Beatrice Cleave.

– Na świecie jest wielu ludzi bogatszych od twego ojca – zauważa łagodnie Sugar.

– Ojciec prześcignie ich wszystkich, panienko.

Sugar wzdycha, wyobrażając sobie siebie i Williama, siedzących pod gigantycznym parasolem na szczycie Whetstone Hill, popijających lemoniadę i przypatrujących się ospale polom dojrzącej lawendy.

– Jeżeli jest mądry, zadowolony się tym, co ma, i będzie cieszył się życiem, ponieważ nie musi już tak ciężko pracować – mówi.

Sophie przełyka to moralizowanie, choć najwyraźniej nie trafia jej ono do przekonania. Doszła tymczasem do wniosku, że jej ojciec jest bardzo niepodobny do opiekuńczych tatusiów z baśni Hansa Christiana Andersena, ponieważ otrzymał surowe rozkazy od Wszechmogącego, by podbić cały świat.

– A gdzie jest twój papa, panienko? – pyta dziewczynka.

W piekle, maleńka. Tak odpowiedziała jej pewnego razu pani Castaway.

– Nie wiem, Sophie. – Sugar usiłuje przywołać coś więcej na temat ojca niż nienawiść, jaką darzyła go matka, ale pani Castaway opowiadała tylko, że mężczyzna, który jednym ruchem łędźwi zmienił ją z uczciwej kobiety w nędzarkę, nie czekał, aby dowiedzieć się, co będzie dalej. – Myślę, że nie żyje.

– Miał wypadek, panienko, czy poszedł na wojnę? – Mężczyźni giną często od ku I albo tracą życie w swoich płonących domach; Sophie dobrze o tym wie.

– Nie wiem, Sophie. Nie znałam mojego ojca.

Dziewczynka kręci głową ze współczuciem. Czasem tak bywa, jeżeli ojciec jest bardzo zapracowany.

– A twoja mama, panienko?

Po plecach Sugar przebiega dreszcz.

– Jest... w domu. W swoim domu.

– Zupełnie sama? – W głosie Sophie, czerpiącej wiedzę na tematy rodzinne z ckliwych książek z obrazkami, pobrzmiwa zarazem troska i nadzieja.

– Nie – mówi Sugar, pragnąc, żeby dziewczynka porzuciła ten temat. – Ma... gości.

Sophie rzuca bystre spojrzenie na odłożone nożyczki, klej i inne przybory plastyczne, bo najpierw musi rozprawić się z Australią.

– Następną pocztówkę świąteczną zrobię dla twojej mamy, panienko – obiecuje.

Sugar uśmiecha się najładniej, jak umie, i odwraca głowę, by Sophie nie widziała też gniewu w jej oczach. Kartkuje podręcznik do historii wte i wewte, kilkakrotnie mijając po drodze Australię.

Grając na zwłokę, zastanawia się, czy powinna powiedzieć Sophie prawdę. Oczywiście nie o tym, że jej matka prowadzi burdel, ale o świętach Bożego Narodzenia. O tym, że we włościach pani Castaway nigdy tych świąt nie obchodzono; że Sugar skończyła siedem lat, nim zrozumiała, że jest jakaś powszechnie uznawana uroczystość, która nakazuje ulicznym muzykantom grać takie, a nie inne pieśni pod koniec miesiąca, o którym nawet nie wiedziała, że nazywa się grudzień. Tak, miała siedem lat, kiedy zebrała się wreszcie na odwagę, żeby zapytać matkę, z jakiej okazji obchodzi się święta Bożego Narodzenia, a pani Castaway odpowiedziała (tylko raz, bo potem raz na zawsze zabroniła jej poruszać tę kwestię): – To na pamiątkę dnia, w którym Jezus Chrystus umarł za nasze grzechy. Najwyraźniej jednak nadaremnie, ponieważ wciąż za nie płacimy.

– Panienko?

Sugar budzi się z zamyślenia; w dłoniach ścisła mocno podręcznik do historii, którego pierwsze stronicie prawie przebija paznokciami.

– Przepraszam, Sophie – mówi, od razu rozluźniając uścisk. – Chyba zjadłam coś, co mi zaległo w żołądku. Albo może... – (Wpatruje się w twarz dziecka, na której pojawia się wyraz niepokoju, i ogarnia ją wstyd, wie bowiem, że to ona napędziła stracha dziewczynce). – Albo może po prostu jestem zbyt podekscytowana, ponieważ zbliżają się święta. Bo wiesz, Sophie... – Sugar wzdycha głęboko, próbując nadać swojemu głosowi jak najweselszy, choć nie piskliwy ton. – Święta Bożego

Narodzenia to najradośniejszy czas w całym roku!

– Moja droga lady Bridgelow – rzuca Bodley. – Chociaż wszyscy wiemy, że za kilka dni zrobi się wielki rejwach wokół fałszywej rocznicy urodzin pewnego żydowskiego wieśniaka, to prawdziwym ukoronowaniem kalendarza grudniowych imprez jest twoje wspaniałe przyjęcie.

Mówca zwraca się następnie do innych gości, którzy nagradzają go kilkoma nerwowymi chichotami. Bardzo zabawny jest ten Philip Bodley, chociaż czasami mówi rzeczy wprost oburzające! A kiedy nie ma przy nim jego bardziej zrównoważonego druha, Edwarda Ashwella, który go zwykle hamuje, Bodley strzela na oślep jeszcze częściej! Ale już wszystko w porządku: oto lady Bridgelow prowadzi gościa w stronę Fergususa Mcleoda, który jest dla Bodleya więcej niż równorzędnym przeciwnikiem; ach, z jaką swobodą gospodyni zapobiega dezorganizacji swoich *soirees!*

William obchodzi Bodleya z daleka, zastanawiając się, jak można być na tyle źle wychowanym, by upić się przed przyjściem na przyjęcie. Constance panuje nad sytuacją z wdziękiem i swobodą, ale mimo wszystko... Odwracając się, William spostrzega, że służąca wygasza ogień w kominku, ponieważ w pokoju przybywa gości i robi się coraz cieplej. To nadzwyczajne, że dziewczyna wie, co należy zrobić w takiej sytuacji, nie czekając na polecenie swej pani! Właśnie takimi drobiazgami Constance imponuje mu najbardziej – jej dom szumi cicho, niczym porządnie naoliwiona maszyna. Boże, i on powinien nauczyć swoją służbę tego i owego... Większość jego służących przejawia dobre intencje, brak tu jednak stanowczej pani domu...

To skromne przyjęcie, u lady Bridgelow bawi bowiem zaledwie dwanaście osób, z których większość William poznał dopiero w minionym Sezonie, innych zaś nie zna wcale. Jak zwykle jednak Constance zaprosiła interesujących gości. Jej specjalnością są ludzie, którzy odstają nieco od statecznego, poważnego świata, nie żyją jednak całkowicie poza jego nawiasem: to bohaterowie nadchodzącej epoki”, jak z lubością zwie ich lady Bridgelow.

Znajduje się wśród nich, na przykład, Jessie Sharpleton, która wróciła niedawno z Zanzibaru. Jest opalona na kolor cynamonu, a głowę ma pełną ponurych opowieści o barbarzyństwie pogan. Przybyli także Edwin i Rachel Mumfordowie, hodowcy psów; Clarence Ferry, autor cieszącej się obecnie powodzeniem dwuaktówki pod tytułem *Jej pożałowania godny błąd;* a także Alice i Victoria Barbould, siostry, których obecność na tego rodzaju przyjęciach bywa wskazana z uwagi na cudną urodę ich twarzy i kunszt, z jakim odgrywają krótkie, melodyjne utwory na skrzypcach i oboju. (Jak powiada często lady Bridgelow, jest niebywale trudno znaleźć gości, którzy opanowali umiejętność gry na instrumentach, a przy tym nie byłiby nudni; albowiem ci z nich, którzy są muzycyjni, na ogół nie wiedzą, kiedy przestać grać, ci natomiast, którzy znają umiar, zazwyczaj wcale nie są muzycyjni). Biorąc pod uwagę konflikt, jaki wywołała Agnes, między nim a jego przyjaciółmi, William powinien czuć się w obecności Philipa Bodleya nieswojo, ale – dzięki Bogu! – Bodley pogrąża się w rozmowie z Fergususem Macleodem, sędzią Sądu Najwyższego, znanym jako specjalista od buntów, zniesławień oraz zdrady stanu, z którego usiłuje wycisnąć wszystko, co się tylko da.

Przyjęcie przebiega przyjemnie i wesoło, a zapach potraw, toczonych teraz korytarzami domu lady Bridgelow w kierunku jadalni na wyposażonych w kółka stolikach, sprawia, że gościom cieknie ślinka do ust. Mimo to William nie czuje się w pełni swobodnie. Wyszedł z domu pełen nadziei, że Agnes wyzdrowieje (we śnie wygląda jak anioł, toteż kiedy ogarnia go wzruszenie, całuje ją w policzek, ona zaś tkliwym szeptem błaga go wtedy o przebaczenie... A przecież nie ma chyba wątpliwości, że to, co kobieta mówi przez sen, jest bliższe prawdy niż to, co mówi w gniewie na jawie!). Tu jednak, na przyjęciu u lady Bridgelow, za każdym razem, kiedy ktoś wspomina jego małżonkę, goście spoglądają na niego z wyraźną litością. Jak to możliwe? Zdawało mu się, że Agnes cieszyła się w tym Sezonie ogromną popularnością! To prawda, zdarzyło się kilka nieprzyjemnych chwil, ale zważywszy na wszystko, wypadła doskonale, czyż nie?

– Największa na świecie wystawa mechanicznych zabawek, powiadasz? – pyta, usiłując nadążyć za Edwinem Mumfordem, który opowiada o największych wydarzeniach Sezonu. – Nic o niej nie słyszałem!

– Zapowiadano ją we wszystkich gazetach.

– W takim razie to dziwne, że uszła mojej uwagi... Jesteś pewien, że nie chodzi ci o przedstawienie w Theatre Royal? O tego mechanicznego człowieczka... Jak on się nazywał? Psycho?

– Psycho to oszustwo, podniesione do rangi sensacji, zwykła kukielka dla dzieci – pociąga nosem Mumford. – A ten pokaz przypominał raczej Wielką Wystawę²⁶, z tą różnicą, że prezentowano na nim wyłącznie automaty!

William potrząsa głową z niedowierzaniem, że mógł przegapić tak wspaniałą ekspozycję.

– Być może byłeś wtedy zaabsorbowany chorobą swojej nieszczęśliwej żony, panie Rackham – wtrąca Rachel Mumford.

Lokaj oznajmia, że podano obiad. Półprzymiony William zajmuje swoje miejsce, wybiera zupę z szynką i rabarbaram, chociaż jest także rosół, który zapewne bardziej by mu smakował. Czuje się jednak zbyt zakłopotany, aby zgłębiać teraz problemy kulinarne. Kiedy rozpoczyna się posiłek, a na stole wyrastają nagle wazy z zupą, Williama zastanawia coś bardziej zasadniczego, a mianowicie: myśl, że jego otoczenie nie tylko nie wina go za opłakany stan zdrowia małżonki, ale być może czeka, aż tupnie wreszcie nogą i powie: „Dość tego”.

Dyskretnie obserwuje jedzących zupę gości: są zupełnie swobodni, stanowią niejako wzór kulturalnego towarzystwa, które łączą więzi przyjaźni. On także mógłby się całkowicie rozluźnić i znaleźć wśród nich swoje miejsce – gdyby tylko przed oczami nie miał widoku Agnes, która przed dwoma laty na podobnym przyjęciu oskarżyła gospodynię, że podała na obiad żywego jeszcze kurczaka.

Pograżony w zadumie, William je wszystko, co podsuną mu służące. Wspomina pierwsze dni swojego małżeństwa, dzień zaślubin, a nawet podpisanie umowy przedmałżeńskiej z lordem Unwinem. Lorda Unwina pamięta szczególnie dobrze, w czym nie ma jednak nic dziwnego, jako że lord i lady Unwin siedzą teraz przy stole naprzeciw niego, nieco po przekątnej.

– Ach, tak! – chichocze lord Unwin, kiedy lady Bridgelow zauważa, jak bardzo rozrosła się jego posiadłość. – Usiłuję utrzymać ją w rozsądnych rozmiarach, ale sąsiedzi ciągle sprzedają mi coraz więcej tej przeklętej ziemi, i dlatego ów przeklęty majątek rośnie coraz bardziej... Jak mój brzuch!

Rzeczywiście, lord Unwin stał się tęgim mężczyzną, bliskim starczej otyłości, a jego dawny lisi wyraz twarzy rozplątał się gdzieś w nalanym od kontynentalnych ciastek obliczu i policzkach zaczerwienionych od mocnych trunków i słońca.

– Co to? Połudwica? Jak możesz mi robić coś takiego, Constance! Będziecie musieli wywieźć mnie stąd na tacze!

A jednak lord Unwin nie ma najmniejszych trudności ze spożyciem befsztyku, sorbetu *a l'Imperiale*, plastra pieczonego zająca (odmawia jednak warzyw, poklepując się przeproszającym gestem po swoim obwisłym brzuszysku), kolejnej porcji wspomnianej pieczeni zajęcej („A niech to diabli porwą! Jeżeli ma się zmarnować!”), dużej drżącej galaretki, kilku smakowitych pulpetów, pucharu gruszek z bitą śmietaną oraz – co wzbudza wyraźne zniecierpliwienie jego małżonki – garści kandyzowanych owoców i orzechów, leżących w misie przy drzwiach.

Następnie lord pozostawia damy w ich gronie i ciężkim krokiem przechodzi w towarzystwie innych mężczyzn do palarni, gdzie już czeka na nich kryształowa karafka portwajnu oraz sześć kieliszków.

– Ach, Rackham! – woła. (Przed obiadem porwali go zazdrośnie Mumfordowie, nie miał więc sposobności, by zrobić coś więcej niż tylko wymienić z zięciem kilka żarcików, teraz nadarza się jednak kolejna okazja do rozmowy). – Mówiąc, że minęły lata, odkąd po raz ostatni widziałem twoją twarz, kłamałem; bo widzę ją wszędzie, gdziekolwiek się ruszę! Nawet w weneckich aptekach oglądam twoje oblicze, zdobiące rozmaite słoiczki i buteleczki!

William pochyla głowę z powagą, niepewny, czy lord Unwin kpi z niego, czy też może raczej prawi mu komplementy. (A jednak ów Bagnini z Mediolanu chyba nie kłamał, twierdząc, że jest sprawnym i skutecznym dystrybutorem...)

26 Słynna w XIX w. wystawa produktów przemysłowych Wielkiej Brytanii i Europy, otwarta w 1851 r. z inicjatywy księcia Alberta we wzniesionym specjalnie w tym celu Crystal Palace w londyńskim Hyde Parku (przyp. tłum.).

– To naprawdę dziwne stać w zagranicznym sklepie, wziąć do ręki kostkę mydła i powiedzieć sobie; „Ach, a więc William Rackham zapuścił brodę!”. Czy nie uważasz, że to niezwykle, Williamie?

– Oto cuda współczesnego świata, panie; mogę jednocześnie wystawiać się na pośmiewisko w Wenecji, Paryżu, jak również tutaj, na miejscu.

– Cha, cha! – śmieje się głośno lord Unwin. – Wyborny żart! – Wtyka cygaro w płomień zapalanej zapalki, którą podsuwa mu zięć, po czym jego twarz spowija chmura dymu. William uświadamia sobie, że lord mierzy chyba jakieś pięć stóp i jedenaście cali, a najwyżej sześć stóp wzrostu. Budzący lęk arystokrata, którego prosił o rękę Agnes, wydawał mu się przed laty o dobre pół stopy wyższy.

– Oczywiście, na prowincji nie potrafią nawet poprawnie napisać tytułu, nie mówiąc już o zrozumieniu mojej sztuki – szydzi Clarence Ferry po drugiej stronie pokoju.

– Która jednak im się podoba, prawda? – odpowiada Edwin Mumford znużonym głosem i rozbieganym spojrzeniem odnajduje Williama w nadziei, że ten wybawi go z opresji.

– Och, tak, w pewnym sensie.

Znacznie później tego samego wieczora, kiedy większość zataczających się gości wychodzi już do domu, a w palarni wisi gęsta, pachnąca alkoholem mgła, lord Unwin przerywa anegdoty o przygodach na kontynencie i jak to się często zdarza osobom w stanie upojenia alkoholowego, nieoczekiwanie poważnieje.

– Posłuchaj, Bill – powiada, pochylając się naprzód na skrzypiącym krześle. – Słyszałem, co dzieje się z Agnes, i powiem ci, że wcale się temu nie dziwię. Od dzieciństwa brakuje jej piątej klepki. Tych kilka rozsądnych zdań, które zdarzyło się jej wypowiedzieć w życiu, mógłbym policzyć na palcach jednej ręki. Rozumiesz mnie?

– Śmiem sądzić, że tak – mówi William. W jego wyobraźni nieoczekiwanie rozjarza się wspomnienie Agnes, jaką widział przed zaledwie kilkoma godzinami; włosy miała rozrzucone na poduszce, wargi odęte jakby ze zdumienia, a rozkopując kołdrę, trzepotała powiekami i szeptała: „Za gorąco... Za gorąco...”.

– Wiesz co? Kiedy prosiłeś mnie o jej rękę, sądziłem, prawdę mówiąc, że ostatecznie okaże się, iż nie dostałeś tego, czego chciałeś... – oświadcza konfidentycznie stary lord. – Powinienem być cię ostrzec jak mężczyzna mężczyznę, ale... cóż, miałem chyba nadzieję, że kiedy Agnes urodzi dziecko, odzyska rozum. Tak się jednak nie stało, prawda?

– Nie. – William zgadza się ponuro. Jeżeli jest coś, co z całą pewnością nie przyczyniło się do poprawy stanu umysłu jego żony, to przyjdzie na świat Sophie.

– Posłuchaj mnie jednak, Bill – radzi lord Unwin, mrużąc oczy w szparki. – Nie pozwól, żeby Agnes przysparzała ci kolejnych kłopotów. Może cię to zdziwi, ale opowieści o jej wyczynach dotarły już na drugą stronę Kanału. Tak! Słyszałem o jej atakach hysterii nawet w Tunezji, dasz wiarę? W Tunezji! A co do wybornych pomysłów, które przychodzą jej do głowy, kiedy odgrywa rolę gospodyni, hmm... Być może tutaj uważa się za niebywale oryginalne, ale powiadam ci, że zrównoważonym Francuzom wcale nie wydają się szczególnie inteligentne. Albo ta nieszczęsna historia z krwią w kieliszkach do wina: wszyscy o tym mówią! Ta historia przeszła już właściwie do legendy!

William skręca się w sobie, ciągnąc cygaro tak mocno, że dostaje kaszlu. Jak bezlitośnie szerzy się zła sława! Incydent, o którym wspomniał lord Unwin, miał miejsce dawno temu... chyba w Sezonie tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego, a może nawet siedemdziesiątego drugiego roku! Jakże niesprawiedliwy jest świat, skoro człowiek wydaje fortunę na reklamę swoich perfum w Szwecji, by miesiąc później przekonać się, że tam nie słyszał o nich pies z kulawą nogą, gdy tymczasem wieść o błahej gafie, popełnionej za zamkniętymi drzwiami przez jakąś godną litości kobietę pewnego wieczoru w tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku, przemierza bez wysiłku morza, przekracza granice państw i pozostaje na ustach wszystkich przez długie lata!

– Wierz mi, Bill – powiada lord Unwin. – Nie zamierzam ci mówić, co powinieneś zrobić ze swoją własną żoną. To twoja prywatna sprawa. Pozwól jednak, że opowiem ci jeszcze jedną historię... – Starzec wychyla portwajn do końca i przesuwając się jeszcze bliżej Williama. – Mam w

Paryżu małe mieszkanko, a moi tamtejsi sąsiedzi są cholernie wścibscy – mruczy pod nosem lord Unwin. – Słyszeli, że jestem ojcem Agnes, nie mieli jednak pojęcia, iż nie jestem jej naturalnym ojcem. Kiedy zatem dowiedzieli się, że mam jeszcze dwoje dzieci z Prunellą, odciągnęli mnie na stronę i zapytali, czy „są zupełnie zdrowe”. „Co to ma znaczyć, czy «są zupełnie zdrowe»? Ma się rozumieć, że tak”, odpowiedziałem. „Zatem nie widać u nich żadnych symptomów?”, spytali. „Jakich symptomów?”, spytałem w odpowiedzi. – Głos lorda Unwina wznosi się coraz wyżej, ówczesne wzburzenie ogarnia go bowiem na nowo. – Ci ludzie mniemają, że jestem ojcem obłąkanych dzieci, Bili! Czy twoim zdaniem to słuszne, by podejrzewać mnie i moje dzieci o... o złą krew tylko dlatego, że słaba na umyśle córka Johna Pigotta przebywa na wolności? Niiieeee... – Lord Unwin osuwa się na oparcie krzesła, a żyłki na nosie sinieją mu z wściekłości. – Jeżeli jej stan zdrowia nie ulegnie poprawie, oddaj ją do zakładu zamkniętego. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Zegar wybija wpół do jedenastej. Pokój pustoszeje, i w końcu w palami zostaje tylko William i jego teść. Wchodzi lokaj lady Bridgelow, składa starcowi ukłon i mówi:

– Najmocniej przepraszam, jaśnie panie, ale milady kazała mi poinformować pana, że jego małżonka usnęła.

Lord Unwin mruga porozumiewawczo do Williama i wbija pokryte plamami wątrobowymi ręce w obicie siedziska fotela, aby za chwilę podźwignąć zeń swe ciało.

– Ech, kobiety, kobiety... – narzeka starzec.

Przez kilka następnych dni William głęboko zastanawia się nad owym wyjątkowo niepokojącym spotkaniem. Ostatecznie jednak do podjęcia decyzji rozstrzygającej o losach Agnes nie skłaniają go rady przyjaciół, zalecenia doktora Curlew ani nawet trucizna słów, które sączył mu do ucha lord Unwin. Nie, decydującym impulsem okazuje się coś całkowicie nieoczekiwanego, co nie powinno w najmniejszym stopniu wpłynąć na jego stanowisko w tej kwestii, a mianowicie: rytownicze zdolności pewnego anonimowego robotnika rolnego, zatrudnionego przez Williama.

Otóż 22 grudnia Rackham odwiedza swoją farmę w Mitcham, by nadzorować montaż prasy lawendowej, która następnego lata uczyni pracę rąk ludzkich zbędną na przynajmniej jednym etapie procesu rafinacji. Już od dawna nie jest zadowolony z bosonogich chłopców, których zatrudnia się do udeptywania lawendy przed jej destylacją; nie licząc wątpliwości natury higienicznej, nie sądzi, by chłopcy ci byli tak tani i wydajni, jak twierdzi jego ojciec, często opuszczają bowiem swoje stanowiska pracy, kulejąc i skarżąc się na urądzienia pszczoł. Rackham jest pewien, że na dłuższą metę maszyna wykaże wyższość nad robotnikami, i dlatego z dumą ogląda nową prasę, choć nie ma jeszcze lawendy, na której można by ją wypróbować.

– Wspaniała, wspaniała – komplementuje rządcę, zerkając w żeliwną szczelinę urządzenia, której funkcja, szczerze mówiąc, stanowi dla niego zagadkę.

– To najwyższej klasy maszyna, panie – zapewnia go rządca. – Najlepsza z najlepszych.

Całe Mitcham, ba, większość hrabstwa Surrey, pokrywa gruba warstwa śniegu i William korzysta z okazji, aby samotnie pospacerować po polach, rozkoszując się nieskazitelną bielą, pod którą drzemią przyszłoroczne zbiory. To nie do wiary, że kiedyś łączył swoją przyszłość z niezrozumiałą poezją i nienadającymi się do publikacji esejami, nie zaś z tym rozległym i budzącym zaufanie pasem ziemi – ostatecznym, żyznym, solidnym fundamentem, po którym można twardo stąpać. Brnie ku linii drzew, służących jako wiatrochron dla lawendy, a jego kalosze zapadają się głęboko w śnieg. Ma na sobie płaszcz z foczej skóry i obszyte futrem rękawiczki, więc kiedy dociera na miejsce, jest cały zlany potem. Opiera się o konar najbliższego drzewa, dysząc na mrozie obłoczkami pary.

Stoi tak przez kilka minut, łapiąc z trudem powietrze, i dopiero wtedy zerka w bok, na podtrzymujący ciężar jego ciała pień, na którego upstrzonej płatkami śniegu korze widnieje wyryty koślawymi literami napis:

POMOCY UTKŁAM

NA TYM DRZEWIE

AGNES R

Oszołomiony William odczytuje te słowa po kilkakroć. Nie chce wiedzieć, który z jego najemnych robotników jest owym próżniakiem, tracącym cenny czas na wypisywanie podobnych żarcików. Myśli wyłącznie o tym, że o obłudzie jego żony wiedzą już od dawna absolutnie wszyscy. Jej szaleństwo jest przedmiotem rozmów nawet wśród robotników. Czuje się niczym zdradzony mąż, którego zewsząd otaczają szyderstwa!

Lekki wiatr niepokoju pomarszczone jak bibuła resztki listowia na drzewie, William zaś, choć zdaje sobie sprawę, że zachowuje się absurdalnie, nie może jednak oprzeć się pokusie, zadziera więc głowę do góry, aby sprawdzić, czy Agnes mimo wszystko nie siedzi gdzieś wysoko na gałęzi.

Tymczasem mieszkańcy domu Rackhamów mają do czynienia z kłopotliwym nadmiarem aniołów, których jest zbyt wiele, by można zmieścić wszystkie na choince. Sugar, Rose i Sophie rozglądają się na dole w poszukiwaniu jakiegoś skrawka ściany, który nie został jeszcze odświętnie przystrojony. Nie chcąc przyznać się do porażki, umieszczają czarodziejskie istoty o kruchych skrzydłach w najdziwniejszych miejscach: na parapetach okiennych, zegarach, na nowym wieszaku na kapelusze, na ramach rycin, na rogach wypchanego jeleniego łba, na klapie pianina i na pokrowcach rzadko używanych krzesel.

Jest wigilijny poranek, czas zatem kończyć przygotowania do świąt. Na dworze niesamowicie cicho sypie i wiruje śnieg. Nadeszła właśnie poczta, a przez zaparowane i oszronione okno salonu wciąż jeszcze widać zgarbioną sylwetkę listonosza, który znika już w mlecznym półmroku.

W domu buzuje i trzaska ogień, trzeba przestawić zatem choinkę pod ścianę naprzeciw kominka, by drzewko nie zajęło się od unoszących się iskier. Sugar, Rose i Sophie kucają wokół drewnianego stojaka w kształcie krzyża, skromnie owijają łydki spódnicami i wieszają ozdoby, które spadły z gałęzek. Rose nuci pod nosem:

*Święta za pasem,
Coraz tłustsza gęś,
Do czapki starowiny
Rzuć choć jeden pens...*

Na sosence nie ma właściwie ani jednej gałązki, która nie uginałaby się pod ciężarem kolorowych łańcuchów, srebrnych bombek i figurek wykonanych z zapalek, ale *coup de grace* dopiero nadchodzi: Rose jest bowiem zapaloną czytelniczką pism kobiecych i znalazła w jednym z nich „wskazówkę”, jak upiększyć choinkę, stosując zupełnie wyjątkową sztuczkę świąteczną. Korzystając tedy z prostego przepisu, Rose napełnia puste rozpylacze po produkowanych przez Rackhama perfumach wodą z miodem, określoną w piśmie mianem *nieszkodliwego a skutecznego „lepiszcza”*, do którego przylgnie śnieżny pył mąki.

Uzbrojone we flakoniki z tą miksturą, Rose, Sugar i Sophie zraszają teraz choinkowe gałązki lepką cieczą.

– Ojej – śmieje się nerwowo Rose. – Trzeba to było zrobić, zanim ubrałyśmy drzewko.

– Musimy bardzo uważać, kiedy będziemy obsypywać je mąką, jeżeli nie chcemy zapaprać wszystkiego dookoła – wtóruje jej Sugar. Delektuje się wciąż powracającą w rozmowie formą „my” i ma ochotę ucałować Rose, albowiem służąca użyła jej jako pierwsza!

– W przyszłym roku będę już mądrzejsza – mówi Rose. Zauważyła właśnie, że panienska Rackham rozpyliła wodę z miodem wprost na dywan, i zastanawia się, czy osoba o jej pozycji może zabronić dziewczynce posypywać choinkę mąką. Chociaż pochlebia jej, że panna Sugar gotowa jest pracować z pokojówką, zawsze istnieje ryzyko, iż jakiś drobny nietakt nieoczekiwanie popsuje ich stosunki.

– Cofnij się, Sophie, i patrz, czy równo bielimy – mówi Sugar.

Rose i Sugar kolejno sypią sobie nawzajem mąkę w złożone w koszyczek dłonie, a potem oprószają nią lepkie gałązki tak starannie, jak potrafią. Sugar upaja się sukcesem: jest domowniczką w rezydencji Rackhamów, niemal członkiem rodziny, a teraz wymienia smutny uśmiech z Rose, z

którą popełnia to drobne szaleństwo. Nigdy dotąd nie robiła nic równie intymnego z żadną kobietą, a przecież przeżyła wiele. Rose darzy ją zaufaniem, ona zaś darzy zaufaniem Rose; porozumiewając się wyłącznie wzrokiem, zawarły pewien układ, na mocy którego doprowadzą podjęte dzieło do końca; sypią mąkę nawzajem w swoje dłonie i mają nadzieję, że pozostanie to ich małą tajemnicą.

– Chyba nam rozum odjęło – denerwuje się Rose, kiedy przesiany przez sito pył wzbija się w powietrze i obie kobiety zaczynają kichać.

Sugar wyciąga ręce. Na wszystkich płatkach jej spierzchniętej skóry i wokół pęknięć na dłoniach osiada mąka – nie ma potrzeby, by to komentować, albowiem kobieta o urodzie bez skazy nie istnieje. Dopiero teraz, widząc twarz Rose z bliska, Sugar zauważa, że pokojówka ma lekkiego zeza. A zatem są sobie równe.

*Jeżeli pensa nie dasz,
I półpensówka być może,
A jeśli i tyle nie masz,
Błogostaw ci, dobry Boże!*

Sypią jeszcze kilka garści mąki i już jest po wszystkim. Upaćkały nieprawdopodobnie cały pokój, ale zgodnie z zapowiedzią z czasopisma Rose ta porcja białego pyłu, która przyłgnęła do gałązek choinki, imituje śnieg naprawdę doskonale, a rozsypaną na podłodze resztę można zaraz zmieść; Rose wyraźnie daje jej do zrozumienia, że nie jest to zadanie dla guwernantki.

Zamiatając podłogę, Rose śpiewa *Dwanaście świątecznych dni Bożego Narodzenia*, ogranicza się jednak do powtarzanej w kółko zwrotki, opisującej dzień pierwszy. W porównaniu z Agnes głos pokojówki jest prostacki i drżący, lecz od jej śpiewu wokół naprawdę robi się weselej, a głośniej w salonie nie będzie, bo Sophie ani Sugar nie przyłączą się do niej. Wymieniają jedynie nieśmiało spojrzenia, chcą bowiem nucić wraz z Rose.

Pierwszego dnia świąt ukochany dał mi...

W tej chwili do pokoju wchodzi zniecka William z kartką papieru w dłoni i wyrazem zaaferowania na twarzy. Przystaje w pół kroku, jak gdyby zamierzał wejść do zupełnie innego pomieszczenia i skręcił na korytarzu w niewłaściwą stronę. Mimochodem obrzuca wzrokiem choinkę, która przypomina teraz rokokową budowlę z bombek, mąki i papierowych łańcuchów, a jeśli nawet spostrzeża, że dwie obecne w salonie dorosłe kobiety mają ręce utyłane po łokcie w mące, nie daje nic po sobie poznać.

– Ach... jak wspaniale – mówi i natychmiast wychodzi. W jego lekko zaciśniętej dłoni kołysz się wciąż list, którego treść można byłoby odczytać spod przeciwległej ściany pokoju, gdyby doktor Curlew pisał dziesięciokrotnie większymi literami; Sugar jednak zapewne niewiele zrozumiałaby z krótkiej notatki, brzmiącej po prostu tak: „Zgodnie z naszymi wcześniejszymi ustaleniami, poczyniłem przygotowania na 28 grudnia. Nie będziesz żałował, wierz mi”.

Rose wzdycha z ulgą. Pan domu miał sposobność, żeby się rozgniewać, ale z niej nie skorzystał. Pokojówka pochyla się znów nad szufelką i miotełką, po czym kontynuuje przerwana piosenkę.

Zamiótszy rozsypaną mąkę, Rose, Sugar i Sophie ponownie kładą pod choinką prezenty w kolorowych opakowaniach. Tyle tu pudełek i przewiązanych czerwonymi wstążkami albo srebrnym sznurkiem zawiniątek... co, ach, co może w nich być? Sugar zna zawartość tylko jednej paczuski, w której kryje się prezent od Sophie dla ojca; reszta stanowi dla niej tajemnicę. Pomaga ułożyć podarki, ustawia mniejsze pakunki między większymi, kładzie bezkształtne paczki na mocnych pudłach z kartonu i udaje, że nie interesują jej maleńkie naklejki z imionami osób, dla których są przeznaczone. Kilka imion, które udaje jej się zauważyć, nie sprawia jej radości (Harriet? Kto to jest Harriet, u diabła?), a ponieważ patrzą na nią Rose i Sophie, nie może przecież grzebać wśród tych prezentów, prawda? *Boże, proszę, myśli. Spraw, żebym i ja coś dostała.*

Tymczasem na piętrze William otwiera drzwi do sypialni żony najciszej, jak potrafi, i wsuwa się do środka. Chociaż namówił Clare, żeby na kilka godzin wyszła z domu, przekręca klucz w zamku na wypadek, gdyby lisi instykt nieoczekiwanie przygnął ją z powrotem.

W czterech ścianach pokoju Agnes nie widać ani śladu świątecznych przygotowań. Prawdę mówiąc, w ogóle niewiele tu widać, ponieważ wszystkie drobiazgi, służące rozrywce Agnes – ba, wszystkie przedmioty, które mogłyby przeszkadzać Clarze w opiece nad panią – oddano na przechowanie, ich miejsce zajęła zaś starannie odkurzona pustka. Co do ścian, świeciły pustką jeszcze przed tą żalospną aferą, Agnes bowiem nigdy nie pałała szczególną sympatią do obrazków. Ostatnia rycina, zdobiąca jej sypialnię, została usunięta, gdy pewne pismo kobiece zawyrokowało, iż grafiki przedstawiające kuce są wulgarne, a przedostatni obraz wyniesiono, ponieważ Agnes uskarżała się, że emanuje z niego ektoplazma.

Teraz pani Rackham śpi, toteż nie słyszy i nie widzi niczego – nawet rozgrywającego się tuż za oknem nadzwyczajnego widowiska burzy śnieżnej ani podchodzącego do jej łóżka męża. William delikatnie podnosi krzesło, stawia je u wezgłowia i siada. Powietrze zalatuje narkotycznym syropem, rosółem wołowym, jajkiem z korzeniami i mydłem; jeżeli William się nie myli, jest to kremowe mydło jego własnej firmy. Ostatnio leje się tu dużo mydlanej wody; Clara, nie chcąc ryzykować jakiegoś nieszczęścia w wannie – upadku albo utonięcia – myje swoją panią w łóżku, a potem po prostu zmienia mokrą pościel na suchą. William wie, że tak jest, ponieważ Clara powiedziała mu o tym osobiście, choć chyba tylko po to, aby po chwili – ze znamionującym urażony stoicki spokój prychnięciem – odrzucić jego propozycję przyjęcia na służbę do pani Rackham drugiej pokojówki.

William wie, że stopy Agnes goją się powoli. Doktor Curlew twierdzi, że jej lewa noga może pozostać trwale okaleczona, a jeżeli tak, to pani Rackham okuleje. Może jednak będzie poruszać się z takim wdziękiem, jak zawsze. Trudno cokolwiek przewidzieć, dopóki nie stanie na nogi.

– Niedługo trafisz tam, gdzie wyzdrowiejesz – szepcze William nad jej uszpioną głową. – Nie wiemy już, co z tobą począć, prawda, Agnes? Dałaś nam popalić, o tak.

Agnes marszczy nos, ponieważ łaskocze ją kosmyk płowych włosów, które William odgarnia czubkami palców z twarzy małżonki.

– ...ękuje – odpowiada pani Rackham z głębin znieczulenia.

Jej usta straciły naturalny różowy kolor; są suche i blade jak wargi Sugar, mimo że lśnią od leczniczej maści. Cuchnie jej z ust, co chyba najbardziej przeszkadza Williamowi; Agnes miała zawsze taki słodki oddech! Czy to, co mówi Curlew, faktycznie może być prawdą? Że kobiety daleko bardziej od niej wyniszczone chorobą opuszczały sanatorium Labaube jako okazy zdrowia?

– Chcesz być grzeczna, prawda? – szepcze do ucha żony, głaszcząc ją po włosach i delikatnej główce. – Wiem, że tak.

– Dal... dalej... ojczy Scanlon... – szepcze pani Rackham w odpowiedzi. William odsłania jej ramiona i odsuwa kołdrę na brzeg łóżka. Widać gołym okiem, że trzeba zmusić Agnes... Nie, trzeba ją przekonać, aby zaczęła lepiej się odżywiać: ramiona i nogi ma strasznie wychudzone. Cóż za okrutny dylemat: albowiem kiedy sama o sobie decyduje, głodzi się rozmyślnie, a gdy wymaga opieki, nie je mimo woli, skutek jest zaś ten sam! Bez względu na wyrzuty sumienia, które dręczą go z uwagi na kurację, jakiej zostanie poddana jego małżonka przez nieznanych mu lekarzy i pielęgniarki, William musi przyznać, że uzbrojona tylko w łyżkę z owsianką Clara nie jest w stanie sprostać problemowi.

Stopy Agnes są ciasno obandażowane i dlatego przypominają dwa miękkie, białe, bawełniane kopyta. Pani Rackham ma ponadto zabandażowane ręce, związane w przegubach wstążką, aby nie zrywała opatrunków przez sen.

– Taaak – mówi Agnes i przeciąga się, kiedy owiewa ją chłodniejsze powietrze.

William ostrożnie gładzi małżonkę po biodrze, już równie chudym jak biodro Sugar. Nie wygląda to ładnie: Agnes powinna być bardziej zaokrąglona w tych miejscach. To, co w wypadku wysokiej kobiety wydaje się intrygujące, damie niskiego wzrostu może nadawać niepokojąco wymizerowany wygląd.

– Wcale nie chciałem cię skrzywdzić... Wtedy, pierwszej nocy – zapewnia, gładząc ją wciąż

czule, William. – Mój pośpiech... wynikał ze zniecierpliwienia. Zniecierpliwienia miłości.

Agnes sapie przyjaźnie, a kiedy Rackham ciężko kładzie się na łóżku obok niej, wydaje z siebie stłumione, melodyjne „oo”.

– Poza tym myślałem, że spodoba ci się, kiedy... kiedy już zaczniemy.

– Uch... weźcie mnie na ręce... tacy z was silni mężczyźni...

William przygarniają od tyłu, pieszcząc kościste ramiona i miękkie piersi żony.

– Ale teraz podoba ci się to, co robię? – pyta ją szczerze.

– Tylko uważajcie... nie upuście mnie...

– Nie bój się, serce moje – szepcze jej William do ucha. – Teraz cię... obejmę. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Nie będzie bolało. Powiesz mi, jeżeli zacznę ci sprawiać ból, dobrze? Za nic na świecie nie chciałbym sprawić ci bólu.

Odgłos, jaki wydaje Agnes, kiedy William w nią wchodzi, jest dziwnie lubieżny, rozpięty między westchnieniem i jękiem przyzwolenia. Rackham wtula zarośnięty policzek w policzek żony.

– Pajaki... – Agnes przebiega dreszcz.

William porusza się powoli, tak powoli, jak nigdy dotąd w żadnej kobiecie. Śnieg padający gęsto za oknem zamienia się w chłuszczący szyby deszcz ze śniegiem, który zalewa pokój połyskliwym, marmurowym cieniem. Kiedy nadchodzi moment uniesienia, Rackham z ogromnym wysiłkiem powstrzymuje pchnięcia i całkiem nieruchomieje, a sperma wylewa się z niego nieprzerwanym strumieniem w pojedynczym skurczu.

– ...porach... porachowaliście mi wszystkie kości... – mruczy Agnes w chwili, kiedy William pozwala sobie na pojedynczy, ekstacyjny jęk.

Chwilę później stoi znów przy łóżku, ocierając żonę chusteczką.

– Clara? – skomli z irytacją Agnes i wyciąga rękę w poszukiwaniu kołdry. – Zimno! – (William uchyla trochę okno w obawie, że pokojówka może odznaczać się nie tylko wścibskim nochalem, lecz i wrażliwym zmysłem powonienia).

– Już niedługo, kochanie – mówi i schyla się, żeby znów ją wytrzeć. Nagle ku jego konsternacji Agnes zaczyna siusiać; na białe prześcieradło wycieka strumyczek bursztynowożółtej, paskudnie cuchnącej cieczy.

– Mokra... mokra... – skarży się pani Rackham, a jej odległy senny głos wypełniają strach i obrzydzenie.

– Nic się nie stało, Agnes – zapewnia William, nakrywając ją kołdrą. – Clara wróci lada chwila. Zajmie się tobą.

Lecz Agnes wierci się pod kołdrą, pojękując i miotając się na wszystkie strony.

– Jak mam wrócić do domu? – woła, otwiera niewidzące, oszalałe oczy na ułamek sekundy i oblizuje posmarowane galaretową mazią usta. – Pomocy!

William, którego z żalu i smutku ogarniają mdłości, odwraca głowę, zamyka okno i szybko wychodzi z sypialni.

– Jak się obudzę, już będzie Boże Narodzenie – zauważa tego wieczora Sophie, kiedy Sugar kładzie ją do łóżka.

Guwernantka na poły poważnie, na poły drwiąco daje dziewczynce delikatny prztyczek w nos.

– Boże Narodzenie przyjdzie o północy, ale jeżeli zaraz nie zaśniesz, będziesz jutro zupełnie nieprzytomna – mówi Sugar.

Och, jak słodko jest zdobyć zaufanie Sophie, która nie cofa się już, kiedy guwernantka karci ją żartobliwie. Sugar podciąga koce wyżej; podbródek Sophie i dłonie dziewczyny ciągle są lekko wilgotne po kąpieli.

– A wiesz, co się dzieje z małymi dziewczynkami, które nie śpią jeszcze o północy w Boże Narodzenie? – drażni się z nią Sugar.

– Nie, co? – Sophie boi się teraz, że chociaż się bardzo stara, nie będzie mogła zasnąć.

Tego Sugar się nie spodziewała; jej groźba była czysto retoryczna. Uruchamia wyobraźnię i chwilę później już otwiera usta, żeby powiedzieć: *Straszliwy olbrzym wpada do pokoju, chwytając dziewczynkę za nogi i rozdziera na dwa krwawe kawałki jak kurczaka.*

– Strasz... – zaczyna grubym głosem, ze złośliwą uciechą, ale udaje się jej zacisnąć szczęki. Żołądek podchodzi dziewczynie do gardła, a twarz oblewa się krwawym rumieńcem. Musiało minąć dziewiętnaście lat, nim zrozumiała, że jest córką pani Castaway; a zatem mózg, który kryje jej czaszka, i bijące w piersi serce to tylko kopie organów gnijących w ciele jej matki.

– Nic się nie dzieje – jąka się Sugar, gładząc Sophie po ramieniu drżącą ręką. – Nic a nic. Nawet nie będziesz wiedziała, kiedy zaśniesz, maleńka, jeśli tylko zamkniesz oczy.

Z tymi słowy guwernantka gasi światło i płonąć wciąż ze wstydu na myśl o tym, czego omal przed chwilą nie uczyniła, udaje się na spoczynek do swojego pokoju.

Sądząc po zapiskach w dzienniku, rankiem w dniu ślubu siedemnastoletnia Agnes Unwin jest chyba uradowana, a zarazem rozgorączkowana. Widać, jak sądzi Sugar, że obawy i wątpliwości, jakie żywiła Agnes w związku z poślubieniem Williama Rackhama, rozwiały się – albo może panna Unwin odrzuciła je. Oblubienicę drzeniem napełnia teraz tylko myśl o ceremonii zaślubin, jest to jednak drzenie rzewne i poniekąd dziecinne:

Och, dlaczego jest tak, kochany Pamiętniku, że chociaż w dziejach świata odbywały się już miliony ślubów (było zatem milion okazji, aby nauczyć się dbać o sprawny przebieg takich uroczystości), mój ślub to po prostu jeden szalony rozgardiasz?! Do rozpoczęcia tego wielkiego wydarzenia pozostały zaledwie cztery godziny, a ja, choć w sukni ślubnej, nie jestem jeszcze ubrana ani nawet uczesana! Gdzie się podziewa ta dziewczyna? Co ona robi, co może być ważniejsze niż moje włosy, i to jeszcze tego dnia nad dniami! Poza tym za wcześnie przypięta mi do woalki te pomarańczowe kwiaty, które teraz schną! Lepiej niech znajdzie gdzieś świeże, inaczej będę się gniewać!!

Nie mogę teraz jednak dłużej pisać, bo boję się, żebym w pośpiechu, który każe mi odnotowywać każde bezcenne zdarzenie, nie złamała paznokcia ani nie poplamiała się inkaustem. Wyobraź sobie tylko, kochany Pamiętniku: stanąć w poplamionej sukni przed ołtarzem!

A zatem do jutra – albo (jeżeli uda mi się wyrwać na chwilę) może nawet do dzisiejszego wieczora!

*Kiedy to nie będę już
Zwać się Agnes Unwin,
Lecz pozostanę na zawsze twoją
Agnes Rackham!!!*

Sugar przewraca stronę – następna kartka jest pusta. Odwraca kolejną: znowu nic. Kartkuje zeszyt dalej i kiedy już nabiera przekonania, że Agnes zaczęła pisać nowy dziennik, w którym upamiętnia najważniejsze wydarzenia ze swojego życia małżeńskiego, znajduje jeszcze kilka notatek – niedatowanych, usianych kleksami i zapisanych strasznie drobnymi literami.

Zagadka: jadam mniej niż przed przybyciem do tego nikczemnego domu, a jednak przybieram na wadze.

Wytłumaczenie: karmią mnie siłą, gdy śpię.

I dalej, na następnej stronie:

Teraz wiem, że to prawda. Na moich piersiach siada demon i łyżką wciska mi do ust jakąś papkę. Odwracam głowę, ale on ciągle podsuwa mi łyżkę. Demon ma kubetek wielkości wiaderka do lodu, pełen tej papki. Otwieraj szeroko buzię, powiada, albo będziemy tu siedzieć całą noc.

Na kilku kolejnych stronach nie ma nic, aż wreszcie:

Starcy dźwigają nosze, na których leżę, i niosą mnie wśród rozświetlonych słońcem drzew na ukrytą ścieżkę. Słyszę, jak pociąg, który mnie tu przywiózł, gwizdże i rusza w drogę powrotną.

Jedna z zakonnice, ta, która wzięła mnie pod swoje skrzydła, czeka przy bramie i splata rence pod brodom. Och, Agnes, kochanie, mówi, ty znowu tutaj? Co z tobą będzie?! Po chwili jednak uśmiecha się do mnie.

Wnoszą mnie do Klasztoru, do ciepłej celi w samym sercu budynku, który skrzy się kolorami witrażowych okien. Przenoszą mnie z noszy na coś w rodzaju wysokiego łóżka – wygląda jak okryty materacem postument. Okropny ból w moim spuchniętym brzuchu i wywołujące zawroty głowy dolegliwości gastryczne powracają ze zdwojoną siłą. Jak gdyby siedzący we mnie demon bał się uzdrowieńczych mocy świętej siostry i chciał mnie mocniej pochwycić w swoje szpony.

Święta Siostra pochyla się nade mną; w świetle witrażowych okien jest różnokolorowa, twarz ma żółtą jak jaskier, pierś czerwoną, a dłonie niebieskie. Kładzie je łagodnie na moim brzuchu i wtedy siedzący we mnie demon skrenca się niespokojnie. Czuje, jak napiera i żuca się z wściekłości i przerażenia, ale siostra wie, jak otworzyć mój brzuch, żeby mnie nie skaleczyć i uwolnić demona, który od razu wyskakuje na wolność. Widzę tę podłą kreaturę tylko przez chwilę: demon jest nagi i czarny, a jego ciało to krew zmieszana z błotem; lecz kiedy tylko zalewa go światło dnia, rozwiewa się w nicłość w rękach Świętej Siostry.

Wyczerpana opadam na poduszki i widzę, jak kórczy mi się brzuch.

– Spokojnie – powiada z uśmiechem moja Święta Siostra. – Już po wszystkim.

Sugar zagląda na koniec zeszytu w nadziei, że znajdzie coś więcej, ale brak w nim jakichkolwiek dalszych zapisków. A przecież... muszą być! Jest szalenie zaintrygowana, opowieść Agnes przykuła jej uwagę jak nigdy dotąd, a poza tym dotarła do takiego etapu w życiu pani Rackham, o którym za wszelką cenę chce wiedzieć jak najwięcej: dotarła do pierwszych dni małżeństwa Agnes z Williamem. Z trudem łapiąc oddech z podniecenia, wyciąga z piętrzącego się na wysokości jej uda stosu następny w porządku chronologicznym zeszyt. Przeglądała go już przedtem. Nie dowiaduje się z niego niczego nowego. Wyciąga kolejny notatnik.

Jego początek brzmi następująco:

„Sezon” – owe refleksje, pióra Agnes Rackham

pytam was, drogie panie, czy jest coś bardziej irytującego od szpilek do kapeluszy, które okazują się zbyt tępe, aby przekłuć całkiem zwyczajny kapelusz? Oczywiście, kiedy mówię „zwyczajny”, nie sugeruję, że moje kapelusze nie są „nad-zwy-czajne” w takim sensie, że...

Sugar przerywa lekturę, po czym – skonsternowana i rozczarowana – odkłada pamiętnik. Czy powinna szukać dalej? Nie, po prostu nie ma już siły na czytanie takich rzeczy, zwłaszcza w noc wigilijną. Poza tym jest późno: dochodzi kwadrans na dwunastą. Owładnięta nagle tym dziwnym rodzajem zmęczenia, które ogarnia człowieka dopiero wtedy, kiedy pozwoli mu na to zegar, z trudem zbiera resztki sił, żeby schować pamiętniki pod łóżko, a do działania pcha ją jedynie myśl o tym, że rano Rose mogłaby ją znaleźć śpiącą w najlepsze wśród porozrzucanych zeszytów Agnes. Ukrywszy bezpiecznie swoją tajemnicę, po raz ostatni sika do nocnika, wślizguje się do łóżka i zdmuchuje świecę.

Leży, nasłuchując w nieprzeniknionej ciemności, zwrócona w stronę okna, którego jej oczy na razie nie widzą. Czy ciągle pada śnieg? To by tłumaczyło, dlaczego na ulicy panuje taka cisza. Czyżby nie przychodzili tu żadni grajkowie? Na Silver Street w Wigilię zawsze było hałaśliwie, muzykanci zabiegali o świąteczną hojność mieszkańców, a kakofonia akordeonów, katarynek, skrzypiec, fujarek i bębnow splotała się w sieć nieczytelnych głosów i wrzaskliwych śmiechów, docierającą aż na górne piętra najwyższych domów. W takim harmidrze nie można było spać – choć prawdę rzekłszy, nikt w domu pani Castaway spać nawet nie próbował, bo wszystkie domowniczkę zajęte były grą na zupełnie innych, skądinąd niemuzycznych instrumentach.

Tutaj, w Notting Hill, dźwięki ulicy są cichsze i bardziej zagadkowe. To ludzkie głosy czy może koń parska w stajni? Czy to wiatr niesie urywek melodii, granej przez jakiegoś minstrela z Chepstow Villas, czy może gdzieś znacznie bliżej skrzypi po prostu brama? Wiatr zawodzi pod okapem dachu i gwizdże w kominach, trzeszcza krokwie. A może to gdzieś w domu skrzypi łóżko?

I może Agnes jęczy, przewracając się z boku na bok, w swoim chorym śnie?

Powinnaś jej pomóc. Idź, pomóż jej. Dlaczego nie chcesz jej pomóc?, pyta natarczywie sumienie Sugar, jeżeli tak można nazwać owego niesfornego ducha, którego jedyną rozkoszą jest dokuczać jej, kiedy pragnie spokoju. *Faszerują ją środkami nasennymi, bo mówi rzeczy, których nie chcą słuchać. Jak możesz im na to pozwolić? Obiecałaś, że będziesz jej pomagać.*

To cios poniżej pasa, bo chodzi o obietnicę, o której dziewczyna przypomina sobie dopiero teraz. Złożyła ją na Bow Street, kiedy Agnes przewróciła się w błoto, a na ratunek przyszedł jej anioł stróż.

To było... obiecałam, że pomogę jej wrócić do domu, nic więcej, oponuje Sugar.

A nie powiedziałaś: „Dopilnuję, żeby nie stało ci się nic złego”?

Obiecałam, że będę mieć na nią oko, ale tylko do rogu ulicy.

Oooo, wstrętna i tchórzliwa szmata z ciebie, co?

Wiatr wieje coraz mocniej, gruchając ciepło i basując w całym domu. Mrok za oknem przeszywa nagle włócznia bieli. Czyżby to Agnes w białej koszuli nocnej? Nie, to tylko śnieg zsuwa się z dachu.

Dlaczego miałoby mnie obchodzić, co się dzieje z Agnes?, zasepia się Sugar, wtulając twarz w poduszkę. *Jest rozpieszczoną, chorą na umyśle, niedobłą matką, która... oplułaby prostytutkę na ulicy, gdyby tylko plucie było w modzie.*

Jej psotny rezoner nie raczy odpowiedzieć; wie, że guwernantka przypomina sobie, jak drżały ramiona Agnes pod jej dotykiem, wtedy, w tamtym zaułku, kiedy szepnęła nieszczęsnej kobiecie do ucha: „Niech to zostanie naszą tajemnicą”.

Mieszkam w domu Williama. Mogłabym się narazić na bardzo poważne kłopoty.

Na te słowa niesforny duszek milknie, a w każdym razie tak się jej wydaje, dopóki po chwili nie zaczyna jej znów napastować: *A co z Christopherem?*

Sugar zaciska pięści pod kołdrą i wciska głowę w poduszkę. *Christopher da sobie radę sam. Czy wszystkich na tym przeklętym świecie muszę ratować ja?*

Och, biedactwo, brzmi drwiąca odpowiedź. *Biedna, tchórzliwa szmata. Biedna dziwka, biednadziwka, biedziwka, biedziiiiwka...*

Na dworze, gdzieś na ulicach Notting Hill, po których hula wiatr, ktoś gra na rogu, a słuchacze odpowiadają grajkowi radosną wrzawą, Sugar ich jednak nie słyszy; niewiele brakuje bowiem, by przekonała się na własnej skórze, co naprawdę dzieje się z małymi dziewczynkami, które nie chcą zasnąć w wigilijną noc.

– Wesółych świąt! Życzę wszystkim wesółych świąt!

Tak, przekraczając próg synowskiego domu, woła dziarsko Henry Calder Rackham niczym stary, dobry Święty Mikołaj albo – w najgorszym wypadku – wrzeszczący z mównicy Charles Dickens.

– Wesółych świąt, ojczy – odpowiada zakłopotany już na wstępie William, nie tylko ze względu na wylewność starca, lecz także z uwagi na trudności, które służącej sprawia oswobodzenie go z płaszcza. Podobnie jak lord Unwin, Henry Calder Rackham nieoczekiwanie przeistoczył się z zażywnego jegomościa w grubasa, i to w tym samym czasie, kiedy William zmienił się z beużytecznego nicponia w rzutkiego przedsiębiorcę.

– Ach, co za zapach – zachwyca się starszy Rackham. – Już widzę, że ta wizyta nie wyjdzie mi na zdrowie! – Z tymi słowy pozwala się wprowadzić do synowskiego salonu, gdzie ciepło wita go służba. – Uch! Nie znam was! – oświadcza starzec na widok nowych służących, tym zaś, które zna od dawna, mówi: – Ach, ty jesteś... nie, nie przypominaj mi! – Wszyscy jednak biorą jego słowa za dobrą monetę i już po kilku minutach ojciec Williama zostaje przywódcą grupy, przejmując ster rytuału zabawy i miłości. – Gdzie krakersy? Gdzie krakersy? – dopytuje się, zacierając ręce, i w mgnieniu oka ktoś przynosi krakersy.

Czas, który raczej zwolnił, odkąd dziś rano rozpakowano prezenty, przyspiesza znowu, gdy ojca Williama pochłaniają bez reszty gry salonowe.

– Wybornie! Wybornie! W co teraz będziemy grać? – woła, William zaś przygląda mu się w zamyśleniu, nie potrafi bowiem pogodzić widoku rozbawionego bufona ze wspomnieniem upartego, starego tyрана, który przez tyle lat unieszczęśliwiał swój dom.

Mimo dokuczliwego chwilami zakłopotania William z pobłażliwością znosi prostactwo ojca, a nawet jest mu wdzięczny – albowiem starzec pomaga podtrzymać świąteczną atmosferę za każdym razem, kiedy straszliwa historia z Agnes grozi jej zwarzeniem. Wszyscy domownicy doskonale zdają sobie sprawę (no, powiedzmy, poza takimi osobami jak Janey), że pani domu leży nieprzytomna na górze, a panu jest ciężko na duszy. Rackham ze wszystkich sił próbuje nie poddawać się rozpacz, ale co pewien czas ogarnia go okrutny żal z powodu losu małżonki, a wtedy nad uroczystym nastrojem zawisa groźny całun milczenia. Wydawałoby się, że stadko niewiast na cały dzień napęli dom przyjemnym gwarem, ale nie! Potrzeba im mężczyzny, a William rolę mężczyzny jest już zmęczony.

No, dobrze, to prawda, że dzisiaj rano pojawił się także ogrodnik, który na chwilę zdjął brzemień z barków Williama, była to jednak diabelnie krótka chwila. Nie minęło nawet dziesięć minut, a Shears już pierzchnął do swojej bezpiecznej szopy, uznawszy widocznie, że w domu otacza go rozgdakany nadmiar kobiecości. Więcej pożytku byłoby z Cheesmana, ale stangreta nie ma, bo wyjechał – rzekomo odwiedzić swoją matkę.

Tak więc, ponieważ w salonie pełno jest przedstawicielek płci niewieściej, którym dobre maniery nakazują bawić się najstateczniej, jak można, przybycie Henry'ego Caldera Rackhama – zażywnego, tryskającego dobrodusznym, przesadnym animuszem starca – stanowi ni mniej, ni więcej, tylko wybawienie dla Williama. Gadaj dalej, starcze! Tego właśnie potrzeba, by zabić kilka długich godzin do obiadu.

A swoją drogą, do tej pory dzień przebiega bardzo pomyślnie. Szczerze mówiąc, lepiej niż w latach ubiegłych, kiedy to Agnes (która zawsze wtedy pięknie wyglądała) często psuła wszystkim dobry nastrój cholernie dziwacznymi uwagami, mającymi – jak przypuszczał – wydzwignąć Boże Narodzenie z konsumpcyjnego upadku i przywrócić świętom należyte znaczenie religijne.

– Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego nie obchodzimy już Święta Młodzianków? – zapytała go któregoś roku, kładąc na kolanach częściowo tylko odpakowany i zapomniany już prezent od

Williama.

– Święta Młodzianków, kochanie?

– Tak, obchodzonego na pamiątkę dnia, w którym król Herod nakazał rzeź niewiniątek.

Dzięki Bogu, tego roku zabrakło takich rozmów. Poza tym chociaż okoliczności są godne pożałowania, nieobecność Agnes ma swoją dobrą stronę, a mianowicie: obecność córki w salonie. Tak, dziecko przez długie lata spędzało bowiem święta w ścisłym odosobnieniu – prezenty i zimne porcje świątecznego obiadu ukradkiem przemycano wtedy do pokoju Sophie, podczas gdy reszta rodziny troszczyła się o panią domu na dole – a teraz wreszcie dziewczynka ma okazję uczestniczyć w świętach. William uważa, że to wspaniale, tym bardziej że jest już w odpowiednim wieku! Sophie wyrosła na milutką istotkę, obdarzoną wyjątkowo urzekającym uśmiechem, i jest już o wiele za duża, żeby traktować ją jak niemowlę. Poza tym chociaż w minionych latach William był gotów udawać, że podziela opinię swojej żony, jakoby święta Bożego Narodzenia stanowiły uroczystość wyłącznie dla dorosłych, w skrytości ducha sądził zawsze, że choinka emanuje jakąś melancholią, jeśli nie dokazuje przy niej dziecko.

Przeszłego roku otwieranie prezentów zepsuły im liczne kłopotliwe problemy – jak obrzydliwa konieczność zaciskania pasa, ponura nieufność, z którą Henry Calder Rackham odnosił się do swego syna, wyniosła pogarda Agnes dla wszystkich podarków, które pachniały tandetą albo improwizacją, oraz fochy zbuntowanej i niewdzięcznej służby.

W tym roku jednak ta sama ceremonia, w której wzięli udział wszyscy domownicy, klęczący przed choinką w rosnącym wciąż morzu kolorowego papieru, udała się nad podziw. Pozbywszy się długów, William postanowił trysnąć w tym roku hojnością. (Krytycznie nastawionej do tego pomysłu lady Bridgelow, która ostrzegała go, że istnieje ryzyko, iż rozpuści służbę, powiedział: – Masz za mało wiary w dobroć ludzkiej natury, Constance!) I chociaż lady Bridgelow niewątpliwie zastosowała się do panującego zwyczaju i podarowała swoim służącym płci żeńskiej kupony materiału, żeby uszyły sobie nowe fartuszki, służące Williamowi dostały paczki z gotowymi fartuszkami (doprawdy, czemu mielibyśmy zmuszać te nieszczęsne niewiasty, żeby same szyły sobie stroje, skoro przyszłość należy do odzieży produkowanej fabrycznie?). To jednak nie wszystko, albowiem domowniczki Rackhama otrzymały także po dodatkowej paczuszce, wbrew ich oczekiwaniom niezawierającej trywialnych prezentów w rodzaju sprzętów kuchennych dla kucharki czy nowej szczotki do naczyń dla pomywaczki i tym podobnych rzeczy, lecz najprawdziwsze luksusy. Boże wszechmogący, William jest dzisiaj bogaczem: czy naprawdę musi żebrać o kwaśne i pełne skrywanej urazy „dziękuję, panie” za szydrczy prezent w postaci łyżki wazowej albo wiadra, kiedy może rozsiąść się wygodnie i cieszyć serce okrzykami autentycznej, nieudawanej radości?

A zatem, tego ranka każda dziewczyna (ku swemu zdziwieniu) dostała bombonierkę, rękawiczki z koziej skóry, haczyk z brązu do zapinania sukni i delikatny orientalny wachlarz. William uważa, że najbardziej natchnionym pomysłem był zakup rękawiczek; dowodzi bowiem, że pan William Rackham dba o to, by nie traktować służących jak wyrobnice albo przedmioty, lecz jak kobiety, które też mogą chcieć czasem cieszyć się życiem – w wolne popołudnia, spędzane poza domem.

Do diaska, ciekawie było obserwować, jak charakter każdej z dziewcząt bierze górę, gdy opadła pierwsza fala zdumienia. W oczy Clary z miejsca powrócił podejrzliwy blask, usta ściała jej upór, po czym poprosiła zaraz o pozwolenie zajrzenia do pani Rackham. Rose starannie ułożyła prezenty obok siebie i jęła znów czuwać nad dalszym przebiegiem uroczystości, żeby wszystko poszło, jak należy. Biedna Janey długo oglądała swoje prezenty, zaskoczona ich egzotycznością, a zarazem milczącym założeniem ofiarodawcy, że prosta posługaczka, jak ona, będzie wiedziała, jak się z nimi obchodzić. Prostoduszna i spokojna Letty otoczyła ramionami rozłożone na kolanach prezenty i rozglądała się wokół ze zdziwieniem, jak gdyby zrozumiała nagie, że już nigdy w życiu nie będzie musiała o nic się kłopotać. Nowa podkuchenna, Harriet, i praczka, której irlandzkiego nazwiska William nie potrafił poprawnie napisać ani wymówić, wykazywały chytrą niecierpliwość, by wykorzystać spadłą z nieba gratkę i – na przykład – zacząć pożerać czekoladki albo powłóczyć się trochę po ulicy w nowych giemzowych rękawiczkach. W przeciwieństwie do nich kucharka (której, co trzeba w tym miejscu przyznać, z uwagi na wiek nie można by już zaliczyć do kategorii

dziewcząt) odegrała wzruszające przedstawienie, udając, że nie rozumie, co to wszystko znaczy, jak gdyby chciała powiedzieć: – Litości! Co kobieta w moich latach i na moim stanowisku ma począć z takimi prezentami? – William wiedział jednak, że czuje się mile polechtana... Był tego pewien, znając kobiece słabości.

Trudniejsze wyzwanie stanowiła Sugar. Jak wynagrodzić ją za wszystko, co dla niego zrobiła, nie wzbudzając podejrzeń pozostałych domowniczek? Przez moment rozważał nawet możliwość spędzenia drugich, potajemnych świąt sam na sam z guwernantką w jej sypialni, ale niedługo przed Wigilią uznał, że stanowiłoby to zbyt wielkie ryzyko – nie dlatego, by ktoś miał ich przyłapać, ale że wzięłyby na siebie za dużo obowiązków, które wypełniłyby mu cały wolny czas.

Nie, lepiej uhonorować ją publicznie. Ale co jej dać? Niewątpliwie dla zachowania pozorów powinien kupić dziewczynie rękawiczki, czekoladki, haczyk i wachlarz, co jeszcze jednak mógłby jej podarować, by z jednej strony nie dać służbie powodów do rozpuszczenia języków, z drugiej zaś docenić niezwykle zdolności Sugar? Stojąc tego ranka przed ubraną choinką, upewnił się z dumą na oczach wszystkich domowników, że dokonał bardzo mądrego wyboru.

Gdy Letty podała jej tajemnicze pudło, Sugar od razu zdumiały jego wielkość i ciężar, lecz kiedy rozerwała czerwony papier i wydobyła zawartość na światło dzienne, otworzyła oczy jeszcze szerzej i rozdziawiła usta. *Ach*, pomyślał William, *takiego osłupienia na pewno nie można udać!* Usiłując zachować obojętność, patrzył, jak Sugar ze zdumieniem wpatruje się w milczeniu w najwyższej klasy wydanie oprawnych w skórę dzieł Shakespeare'a – tragedie były w kasztanowatej skórze ze złotymi tłoczeniami, komedie w skórze barwy soczystej umbry z tytułami wytłoczonymi na czarno, a czarne okładki kronik zdobiły litery wytłoczone w srebrze. Oczywiście, guwernantce przyglądały się pozostałe służące – te, które nie umieją czytać, z niejakim zakłopotaniem, te zaś, które sztukę czytania posiadały, raczej z zazdrością. Trudno tu jednak mówić o zazdrości w pełnym tego słowa znaczeniu – jaką przyjemność sprawiłaby im bowiem kolekcja dzieł wszystkich Shakespeare'a, gdyby to one zostały nią obdarowane? A poza tym, czyż można wybrać bardziej racjonalny i uzasadniony prezent dla guwernantki aniżeli książki, z których skorzysta także uczennica?

Sugar, oczywiście, wiedziała, jak ma to wszystko rozumieć. Była tak wzruszona, że z trudem wykrztusiła słowa podziękowania.

A prezent dla Sophie... Tak, to był jeszcze większy problem. Po głębokim namyśle William uznał, że w tym roku należy odstąpić od zwyczaju obdarowywania Sophie prezentem „od mamy”. W poprzednich latach w święta Bożego Narodzenia oraz w dzień urodzin małej tym niewinnym fortem posługiwała się Beatrice Cleave i dziewczynka niczego się nie domyślała. W tym roku przeciw podobnemu rozwiązaniu przemawiały różne racje: niechęć ze strony Williama, aby obciążać Sugar kolejnymi obowiązkami, stanowczy sprzeciw doktora Curlew, który zawsze potępiał wspomniany obyczaj, nieobecność Agnes na uroczystości, a także niepokojące poczucie, że Sophie podrosła i nie uwierzy już w tak oczywiste kłamstwo.

A zatem prezentu „od mamy” nie będzie. Doktor Curlew zapewnił, że przyjdzie czas, gdy wyleczona ze swych omamów, Agnes podaruje córce coś znacznie cenniejszego od kolorowych paczek. Może tak, może nie... William zadbał jednak o to, by tego ranka kolorowych paczek dla Sophie nie zabrakło.

Chcąc udowodnić, że widzi, jak urosła, Rackham jej także podarował małe rękawiczki z delikatnie wyprawionej świńskiej skórki, żeby poczuła się małą damą. Dał także córce szylkretową szczotkę do włosów, spinkę z kości wieloryba, lusterko z rączką z kości słoniowej oraz giemzową torebkę, by miała w czym nosić pozostałe prezenty.

Dziewczynka przyjęła wszystkie te podarunki z wyraźnym oszołomieniem i radością, zdziwiła się jednak najbardziej, kiedy rozpakowała największą leżącą pod choinką paczkę, w której znalazła rzadkiej piękności lalkę. Obecny w pokoju aż zaparło dech w piersi i wszyscy zwracali się przymilnie, żeby ją zobaczyć: była to wspianiała francuska lala, wystrojona, jak gdyby wybierała się do teatru, dama o alabastrowobladej porcelanowej główce, nakrytej starannie ufryzowaną peruką i pluszowym kapeluszem ze strusim piórkami. W jednej ręce trzymała niebieski wachlarz, a drugą miała wolną. Jej obszyta białym pluszem atłasowa suknia koloru pąsowej róży (o głębiej wyciętym

dekolcie niż suknie angielskich lalek) wydymała się niczym balon poniżej cienkiego jak u osy stanu. Najbardziej niezwykle było jednak to, że lalka, przyklejona mocno podszewami trzewików do podłoża, stała na ruchomej platformie, którą można było przetaczać tam i z powrotem po podłodze.

– O Jezus! – wykrzykuje ze smutkiem ojciec Williama. – Stoi o klasę wyżej od tego tandetnego Hindusa, którego podarowałem ci przed kilku laty, no nie?

Ale Henry Calder Rackham też trzyma asa w rękawie, a ściślej biorąc: pod krzesłem, spod którego wyciąga jakiś podłużny pakunek (William przypuszczał, że to butelka wina), owinięty w zwykły papier pakowy i przewiązany sznurkiem. Gdy wręcza ten prezent Sophie, dziewczynka podnosi na niego zdumiony wzrok, zaczęła bowiem dopiero dochodzić do siebie po wstrząsie, jakiego doznała wskutek rodzicielskiej szczodrości, a teraz wymaga się od niej, żeby przyjęła jeszcze więcej od tego mężczyzny, tak podobnego do ojca.

– Proszę, kochanie – mówi starzec. – Myślę, że uznasz to za coś lepszego od tamtej starej szmaty z puszki po herbacie... – Po czym z zadowoleniem rozpiera się na krześle, a Sophie rozpakowuje... stalowoszarą lunetę.

Służbie jeszcze raz zapiera dech w piersiach, a wokół rozlegają się szepty zdziwienia i niedowierzania. Co to może być? Stojak na butelki? Kalejdoskop? Wymyślny futerał na druty? William domyśla się od razu, co to takiego, osobiście sądzi jednak, że luneta nie jest chyba odpowiednim prezentem dla młodej panienki. Ponadto, kiedy zadziwiona Sophie ogląda ją ze wszystkich stron, spostrzega, że blacha tu i ówdzie jest pogięta i porysowana.

– To nie jest zabawka, Sophie – rzecze starzec. – To precyzyjny instrument, który kiedyś dał mi na przechowanie pewien podróżnik. Pozwól, że zademonstruję, jak działa! – Co mówiąc, Henry Calder Rackham pokonuje na czworakach usiany wstążkami dywan i przykłęka obok Sophie, aby pokazać wnuczce, do czego służy luneta. Już kilka chwil później dziewczynka kręci pierścieniem w lewo i w prawo, a wyraz jej twarzy waha się między promienną radością i rozgoryczeniem, kiedy ustawia ostrość na rozedrganą, niewyraźną tapetę i monstrualne oczy, pozbawione ciała.

A William? Co tego długiego dnia, poświęconego na rozdawanie prezentów, dostał William? Próbuje sobie przypomnieć... Ach, tak: koronkową serwetkę na pudełko do cygar, ozdobioną jego podobizną, skopiowaną wprost z opakowania po firmowym mydle i wyhaftowaną przez Sophie (chyba że pomagała jej w tym guwernantka; jeżeli tak, to krawieckie umiejętności Sugar pozostawiają wiele do życzenia!). Och, poza tym dostał od ojca kilka różnej jakości cygar. I oto cały jego, niechaj Bóg ma go w swojej opiece, świąteczny łup! Żałosne, ale taki jest los człowieka, który utrzymuje całe stado służących i małe dziecko płci żeńskiej, który pochował niedawno zmarłego przedwcześnie brata, którego okryta hańbą matka została wygnana z domu, który ma skąpego i małodusznego do szpiku ojca, dwóch obrażonych na niego starych kamratów i żonę, z której nawet na chwilę nie można spuścić oka, kiedy nie śpi. Czy w całej Anglii jest jeszcze ktoś oprócz niego w podobnych opałach? Ale, jeśli Bóg pozwoli, jego kłopoty muszą się kiedyś skończyć.

– Muzyczne zgadywanki! – woła Henry Calder Rackham, klaszcząc w dłonie z soczystym „łup, łup, łup”. – Kto ma ochotę zagrać w muzyczne zgadywanki?

Dość daleko od rezydencji Rackhamów, w skromnym domku, pełnym rozmaitych rupieci i nadprogramowych mebli od Henry’ego, siedzi Emmeline Fox i zajada marmoladę, a u jej bosych stóp mruczy kot.

Nie wyciągaj jednak pochopnych wniosków: dziś nagie są jedynie stopy pani Fox, która poza tym jest kompletnie i nienagannie ubrana. Prawdę mówiąc, wciąż ma na głowie czepek, bo wychodziła z domu. Złożyła wizytę ojcu, by wręczyć mu prezent gwiazdkowy – próżny trud, albowiem doktor Curlew nie obchodzi żadnych świąt i niczego nie pragnie, jest jednak jej ojcem, ona z kolei jest jego córką, i tak. Co roku obdarowują się książkami, których nie czytają, i życzą sobie nawzajem wesołych świąt, choć doktor Curlew nie wierzy w Chrystusa, a Emmeline nie wierzy, że Zbawiciel przyszedł na świat 25 grudnia. Oto jak wyglądają głupie kompromisy, na które przystajemy, aby żyć w zgodzie z rodziną.

Po powrocie od ojca Emmeline nie chciało się zdjąć niczego oprócz pijących ją butów. Kiedyś było dla niej tajemnicą, jak to możliwe, że ludzie najubożsi chodzą boso w każdą pogodę, a brak obuwia najwyraźniej im w tym nie przeszkadza – więcej, jak to się dzieje, że wielkie starania pani Timperley, by zbierać stare buty wśród ludzi, dla których los okazał się bardziej łaskawy, a potem rozdawać je nieobutej części populacji, nie zmniejszyły liczby bosych stóp w Londynie ani o parę. Teraz już wie: stopom, które nawykły do chodzenia boso, nie jest w butach wygodnie. Równie dobrze można by próbować wcisnąć buty kotu.

– Chciałbyś mieć parę eleganckich czarnych butów, Puss? – pyta swojego towarzysza, łaskocząc go w kosmaty pyszczek. – Jak ten kot z bajki?

Siedzą razem w jej ulubionym miejscu – na schodach, w pół drogi na piętro. Minęła połowa pierwszego dnia świąt, a jej ukochany Henry od trzech miesięcy nie żyje. Minęły już trzy miesiące wedle kalendarza, trzy mgnienia boskiego oka, trzy wieczności, skryte w tajemniczych wnętrzach domu Emmeline, do którego od niedawna nikt nie ma wstępu. *Trzy kury rasy francuskiej, Cztery oswojone kosa, Pięć złotych pierścieni...* Oto nieprawdopodobne dowody prawdziwej miłości, którą chwałą donośne śpiewy, dobiegające z sąsiedniego domu. Jak to możliwe, że słyszy dzisiaj tych ludzi tak wyraźnie? Nigdy przedtem ich przecież nie słyszała... Nie zna tego wysokiego, kobiecego głosu i idealnie z nim harmonizującego dźwięcznego barytonu mężczyzny...

Trzy miesiące temu Henry wciąż znajdował się wśród żywych i trzy miesiące temu został pogrzebany. Im dłużej go nie ma, tym częściej Emmeline o nim myśli; a im częściej o nim myśli, tym bardziej jej wspomnienia wypełniają się uczuciem. W porównaniu z Henrym wszyscy mężczyźni są samolubni i chytry; on trzymał się prosto i był muskularny, a oni zdają się jej groteskowo zgarbieni. Boli ją bardzo – jak gdyby kościste szpony miażdżyły jej czułe serce w uścisku – gdy wyobraża sobie, że ciało Henry’ego gnije i rozkłada się w grobie, że jego ukochana twarz zapada się w glinie, a głowa, w której mieszkało kiedyś tyle namiętności i szczerości, staje się pustym czerepem, w którym teraz wiją się robaki. Wie, że niemądrze robi, oddając się takim obrzydliwym fantasmagoriom i torturując się w ten sposób, kiedy powinna niecierpliwie oczekiwać dnia, w którym ona i Henry ponownie się połączą... Ale czy Powtórne Przyjście Chrystusa nastąpi za jej życia? Chyba raczej nie. Może minąć nawet tysiąc lat, zanim znów zobaczy twarz Henry’ego.

W zeszłym roku w pierwszy dzień świąt spacerowali razem po ulicach i rozmawiali o Ewangelii, gdy wszyscy poza nimi siedzieli w domach i grali w gry salonowe. Henry był wówczas świeżo po lekturze... co on wtedy przeczytał? Ciągłe coś czytał i zawsze chciał jak najszybciej podzielić się z Emmeline wrażeniami z lektury, zanim wylecą mu z głowy... Ach, tak, był to esej pewnego uczonego, specjalisty od greki, który (jak stwierdził Henry) rozstrzygał raz na zawsze trwający od stuleci spór o znaczenie dwudziestego piątego wersetu pierwszego rozdziału Ewangelii według św. Mateusza.²⁷ Katolicy byli w błędzie, nie ma wątpliwości; bo oto najnowsze badania naukowe dowodzą, że kiedy św. Mateusz powiada „aż”, to ma na myśli „aż” – Henry zaś pragnął, by prasa wykazała się na tyle mocnym kręgosłupem moralnym, żeby ogłosić doniosłe wyniki tych badań, zamiast wypełniać kolejne stronicę ponurymi opisami morderstw i reklamami farb do włosów. A ona? Jak zareagowała na jego szczerzy idealizm? Ależ tak, jak zawsze! Wszczęła z biedakiem spór. Oświadczyła, że tego rodzaju kontrowersji nie da się nigdy rozstrzygnąć, ponieważ nikt, kto wierzy, że dziewica może urodzić dziecko, nie będzie ani trochę przejmował się tym, co powiada jakiś uczoney grek, a na dodatek jej to nic nie obchodzi, bo jeśli idzie o Ewangelie, to nad Mateusza przedkłada Marka i Jana, ludzi rozsądnych, którzy mieli ciekawsze rzeczy do roboty niż zastanawiać się nad stanem narządów rodnych Matki Boskiej.

– Wierzysz jednak, że nasz Zbawiciel został poczęty z Ducha Świętego, prawda? – zapytał Henry, a na jego czole pojawiła się uroczą zmarszczka.

W odpowiedzi bezczelnie zmieniła temat, co zresztą zdarzało się jej bardzo często.

– Dla mnie – stwierdziła – prawdziwa opowieść zaczyna się dopiero później, w wodach Jordanu.

Boże! Jak Henry marszczył w takich chwilach brwi! Ile zadawał sobie szczerego trudu, aby się

27 Werset ten brzmi: „...lecz nie zbliżał się do Niej, aż porodziła Syna...”. Katolicy i protestanci wiedli od dawna spór, czy słowa te oznaczają, iż Maria pozostała dziewicą po narodzinach Jezusa (przyp. tłum.).

upewnić, że Emmeline nie bluźni przeciw wierze, dzięki której się poznali. Czy to, że tak się z nim droczyła, sprawiało jej przyjemność? Owszem, zapewne tak. Pamięta wiele słonecznych dni, gdy wyprawiała Henry'ego do domu zmieszanego i zakłopotanego, a przecież powinna była go wtedy całować, zarzucać mu ręce na szyję, wtulać się policzkiem w jego twarz i powtarzać mu, że go ubóstwia...

Teraz ociera twarz rękawem w nadziei, że Bóg ją zrozumie.

– Chcesz jeść? – pyta kota, który futrzastym łebkiem trąca jej bosą stopę. Nie karmiła go od rana, a zza zasuniętych zasłon na dole jarzy się bursztynowe światło słońca, które lada moment zniknie o zmierzchu.

– Lubisz marmoladę, Puss? – pyta, podsuwając kotu łyżeczkę kleistej pulpy z dużego szklanego słoja, który trzyma na kolanach. Zwierzę wachają, a nawet muska noskiem, ale... nie.

– Szkoda – szepcze Emmeline. – Sporo jej zostało.

Marmolada pochodzi z zapasów pani Borlais; każda członkini Towarzystwa dostała jeden taki słoć przetworów na świąteczne tarty. Niewątpliwie jej koleżanki podjęły wyzwanie, produkując świąteczne wypieki własnymi rękami albo rękami służby, lecz dni, kiedy Emmeline sama piekła ciasta, giną we mgle jej małżeństwa z Bertiem. Sama pulpa owocowa okazuje się jednak bardzo smaczna. Łyżeczka po łyżeczce, Emmeline wyjadają ze słoika – wie, że najprawdopodobniej będzie jej po niej niedobrze albo dostanie biegunki, a mimo to delectuje się wytrawną słodyczą.

Jej ojciec zasiądzie niebawem do świątecznego obiadu w gronie swoich przyjaciół, kolegów po fachu. Z grzeczności – choć może i dlatego, że intuicyjnie wyczuwa, iż jego córka ostatnimi czasy coraz chętniej przesiaduje w domu – kilkakrotnie zapraszał ją do siebie, Emmeline jednak odmówiła. I postąpiła słusznie! Ostatnim razem, gdy jadła obiad w gronie przyjaciół ojca, narobiła mu strasznego wstydu, wygłosiła bowiem wykład o tym, dlaczego prostytutki unikają lekarzy, potem zaś usiłowała skłonić gości, by raz w tygodniu świadczyli tym nieszczęsnym kobietom usługi gratis. Gdyby dziś towarzyszyła ojcu, z pewnością kilkakrotnie mruknęłaby: „Miło mi pana poznać”, odcierpiałaby mniej więcej dziesięć minut rozmowy o niczym, po czym pograżyłaby się w lekturze. Zna siebie aż za dobrze.

Jednakże zjadłaby coś z prawdziwą przyjemnością. Pomyśleć tylko, ile jedzenia paruje tam i skwierczy na srebrnych półmiskach, kiedy na stole pojawiają się kolejne potrawy... Nie chodzi o to, by hołdowała obżarstwu, którego ofiarą padają klasy uprzywilejowane podczas niegdyś naprawdę świętowanej uroczystości; nie chodzi też o to, że nie dostrzega przerażającej przepaści między tymi, którzy napychają swoje wydęte brzuszyska górą mięsa, i tymi, którzy drżą z zimna w kolejce po miskę wodnistej zupy. Emmeline skądinąd nie ma szczególnej skłonności do objadania się: posadźcie ją przy stole na świątecznej uczcie, a zje porcję kurczaka albo indyka i trochę pieczonych warzyw; potem już nic, tylko pudding. Z pewnością nie jest smakoszka. Jednak sęk w tym, że gorące posiłki – a zwłaszcza pieczenie – stają się gigantycznym problemem, kiedy człowiek przyrządza je wyłącznie dla siebie.

– Biedny Puss – mówi pieszczotliwie, głaszcząc kota od łebka do ogona. – Najchętniej zjadłbyś pewnie ze dwie piękne, soczyste turkawki, co? Albo kuropatwę, gdyby udało ci się jakąś upolować na gruszy? Zaraz zobaczę, co się dla ciebie znajdzie.

Pani Fox przewraca do góry nogami całą kuchnię, ale nie ma nic do jedzenia. Nieumyta deska do krojenia łśni od rybiego tłuszczu, którego wylizanie zajmuje kotu dwie minuty, a porcja mielonki z szynki, której Emmeline nigdzie nie może znaleźć, spoczywa, jak sobie nieoczekiwanie przypomina, w jej żołądku. Henry powiedział kiedyś: – Przeraża mnie myśl, jak łatwo jest poświęcić całe życie schlebaniu zwierzęcym instynktom. – Być może jego przyjaciółka spędzi resztę życia, wspominając te słowa.

– Jeść! – upomina się kot, Emmeline zmuszona jest więc przyznać, że dobre intencje nie zastąpią uczynków; dlatego wyciąga buty, żeby załatwić jeszcze jedną sprawę poza domem. Mimo świąt z pewnością gdzieś ktoś sprzeda jej dzisiaj mięso, jeżeli Emmeline zdecyduje się zstąpić na sam dół drabiny społecznej, by je dostać. Przyzwoici ludzie zapewne pozamykali sklepy, by uczcić małego Jezuska, ale biedacy, dla których każdy dzień jest taki sam, mają do wykarmienia wiele głodnych gęb. Emmeline zapina buciki i strzepuje pył z rąbka spódnicy, aż Puss pierzcha pod

piramidę krzesel. Potem pani Fox sięga po torebkę i sprawdza, ile zostało jej pieniędzy. Dużo.

List od pani Rackham spoczywa wciąż na dnie torebki, pleśniejąc już między monetami i okruchami biskwitów. Czyjej odpisze po tym, co powiedział dzisiaj rano ojciec? Raczej nie.

Zastanawia się, czy nie zdradziła pani Rackham, omawiając przypadek jej choroby właśnie z tym człowiekiem, któremu Agnes tak stanowczo nie ufa. Na swoją obronę ma jedynie to, że starała się ze wszystkich sił nie nadużyć zaufania tej nieszczęśnicy, zasięgając profesjonalnej opinii ojca na temat omamów, na jakie powszechnie cierpią obłąkane kobiety.

Ojciec, oczywiście, od razu zapytał: – A dlaczego cię to interesuje? – Był obcesowy i mało dyplomatyczny, jak zawsze! Nie powinna jednak spodziewać się, że będzie owijał w bawełnę, skoro i ona tego nie potrafi.

– Och, jestem po prostu ciekawa – odpowiedziała, siląc się, zapewne całkowicie bezskutecznie, na lekceważącą obojętność, jaka charakteryzuje jej niektóre znajome. – Nie lubię tkwić w niewiedzy.

– A co dokładnie chcesz wiedzieć?

Emmeline ciągle dochowywała jeszcze tajemnicy pani Rackham.

– No... na przykład, jak najlepiej przekonać obłąkaną, że hołduje obłąkanym poglądom?

– Osoby obłąkanej nie można do niczego przekonać – odparł ojciec.

– Och. – Dawniej byłby to zapewne koniec rozmowy, ale Curlew stał się ostatnio mniej szorstki wobec córki, odkąd o mało nie stracił jej na zawsze. Choroba Emmeline wyniosła jego ojcowską miłość (w którą pani Fox nigdy nie wątpiła) na powierzchnię niczym podskórny, chorobliwy rumieniec, a doktor nie całkiem jeszcze odzyskał spokój.

– Nic byśmy w ten sposób nie zyskali, kochanie – wyjaśnił jej dziś rano. – Jaki jest sens nakłaniać osobę chorą umysłowo, by powiedziała: „Tak, przyznaję, że cierpię na chorobliwe omamy”, skoro godzinę później ta sama osoba będzie z uporem twierdziła coś wręcz przeciwnego. Weźmy, na przykład, człowieka ze złamaną ręką: to, czy przyznaje on, czy też zaprzecza, że ma złamaną rękę, w najmniejszym stopniu nie wpływa na sposób kuracji.

– Jakie są w takim razie szanse wyleczenia?

– Całkiem spore, jeżeli kobieta jest dojrzała i była względnie zdrowa na umyśle, dopóki, na przykład, nie zaatakowała jej rozpacz po, powiedzmy, tragicznej stracie jakiejś bliskiej osoby. Jeżeli natomiast mówimy o niewieście, która cierpi na halucynacje od dzieciństwa, to powiedziałbym, że szansę na wyzdrowienie są raczej mizerne.

– Rozumiem – odpowiedziała Emmeline. – Zaspokoiliam chyba swoją ciekawość. Dziękuję.

Jej rozczarowanie nieskutecznością nauki musiało sprawić ojcu przykrość, bo dodał:

– Pewnego dnia, jak mniemam, farmaceutyka zaoferuje nam leki na nawet najcięższe schorzenia umysłowe. Być może będzie to coś w rodzaju szczepionek. Tak czy owak, jestem całkowicie przeświadczony, że w przyszłym stuleciu będziemy świadkami najprzeróżniejszych cudów.

– Dla tych, którzy cierpią już dziś, to słaba pociecha.

– Ach – uśmiechnął się. – I tutaj się mylisz, dziewczyno. Nieuleczalnych szaleńców nie da się uleczyć właśnie dlatego, że wolą żyć w chorobie. Nie chcą, by ich ratować! Wybacz, że to mówię, ale pod tym względem ci chorzy przypominają do złudzenia twoje upadłe kobiety.

– *Pax*, ojciec – odparła ostrzegawczo Emmeline. – Powinam już iść. Dziękuję ci za prezent. Wesołych świąt.

Ale ojciec, zmartwiony, że rozstaną się w skwaśniałej atmosferze, wykonał ostatni pojednawczy gest.

– Proszę, powiedz mi, Emmeline, skąd te wszystkie pytania? Może mógłbym ci zaproponować lepsze rozwiązanie, gdybym wiedział coś więcej...

Zawahała się i zanim przemówiła, dokładnie przemyślała swoje słowa; niestety, jak zwykle jednak nie dość dokładnie.

– Napisała do mnie pewna dama, błagając, żebym zdradziła jej tajemnicę życia wiecznego. To znaczy, wiecznego życia naszej powłoki cielesnej. Owa kobieta wydaje się przekonana, że wiem, gdzie... ach... gdzie czeka na nią jej nieśmiertelne ciało.

– To bardzo miło z twojej strony – odpowiedział wtedy cichym i konfidencjonalnym tonem

ojciec – że troszczysz się o zdrowie pani Rackham. Mogę cię tylko zapewnić, że Agnes już wkrótce znajdzie się w dobrych rękach.

– Jeść! – zawodzi Puss, wbijając pazury w jej spódnice.

– Dobrze, dobrze, już idę – odpowiada Emmeline.

Nad domem Rackhamów zapada noc, a z punktu widzenia Williama święta wciąż przebiegają na tyle przyjemnie, na ile w wiadomych okolicznościach jest to możliwe.

Gdy jego ojciec zachęca zebranych do gry w muzyczne zgadywanki, na chwilę zapada niezręczna cisza, albowiem podekscytowani ochotnicy uświadamiają sobie nagle, że nikt z nich nie umie grać na pianinie – a w każdym razie nikt z obecnych w salonie. Sugar – niech jej Bóg błogosławi! – przychodzi im jednak na ratunek i podsuwa piekielnie sprytny pomysł, by zamiast pianina wykorzystać pozytywkę. Wokół rozlegają się westchnienia ulgi, a mechanizm działa znakomicie! William wybiera Clarę, by unosiła i opuszczała wieko, uważa bowiem, że to zadanie bardziej jej przystoi niż rywalizacja z resztą służby, która rozpycha się, walcząc o wolne krzesła – i jest to trafny wybór. Czyż bowiem nie dostrzega szyderczego uśmiechu na jej ustach, kiedy Letty omal się nie przewraca? Niewątpliwie Clara potrafi bardzo zręcznie uciąć niespodziewanie daną nutę, zamykając wieko, i zmylić w ten sposób nawet najbystrzejszego słuchacza. Jedynym graczem, któremu pomimo zeszywniałych stawów zawsze udaje się zająć kolejne krzesło, jest Henry Calder Rackham, on bowiem nie dba, o czyje biodra się ociera i jak jest przy tym zuchwały.

Starzec spisuje się także znakomicie w zabawie w „ogień smoka”, która jest następną grą na tapecie. Kiedy gaśnie światło i w miseczce zostaje zapalony winiak, przedstawiciele trzech pokoleń Rackhamów gromadzą się wokół, gotowi zanurzyć dłonie w płomieniach, by wyciągać z nich rodzyнки. Henry Calder Rackham znów jest pierwszy – w mgnieniu oka zatapia swoje krótkie, pomarszczone palce w migoczącym płomykami alkoholu i niemal równie szybko wrzuca sobie rodzynek do ust.

– Nie bój się, kruszynko – dodaje otuchy wnuczce. – Nic ci się nie stanie, jeżeli zrobisz to szybko.

Sophie, wpatrzona w hipnotyzującą płyciznę niebieskich płomyków w miseczce, waha się jednak. Wtedy William, sądząc, że winiak zdąży się wypalić, zanim dziewczynka przełamie niezdecydowanie, sam wyciąga rodzynek z alkoholu.

– No, dalej, Sophie, kochanie – nakazuje delikatnie ojciec, kiedy Rackham senior korzysta z okazji i sięga po następny rodzynek.

Dziewczynka posłusznie rusza nagle naprzód, popiskując ze strachu i podniecenia, kiedy chwyta bakalie i wyciąga z płomieni. Przygląda się ukradkiem maleńkiemu owocowi, który trzyma w palcach, po czym, nie dostrzegając ognia na jego pomarszczonym ciałku, ostrożnie wsuwa go do buzi, podczas gdy obaj starsi Rackhamowie opróżniają miseczkę do końca.

Kolejną grę, czyli obiad, ojciec Williama rozpoczyna z niesłabnącym entuzjazmem. Na stół wjeżdżają następne dania, a Henry Calder Rackham je tyle, ile lord Unwin na przyjęciu u lady Bridgelow – choć trzeba wziąć pod uwagę różnice w jadłospisie. (Kucharka Rackhamów nie jest ani trochę zwolenniczką przepisów zapożyczonych, jak powiada, „od dzikusów”, ale potrawy, które przygotowuje, są pyszne, a Rackham senior okazuje się ich wymarzonym amatorem). Indyk, przepiórki, pieczeń wołowa, paszteciki z ostrygami, zapiekanki z mielonego mięsa, świąteczny pudding, galaretka z porto i szarlotka – wszystko to pojawia się przed starcem i znika w jego brzuchu, trzęsącym się od śmiechu.

Trudno się zatem dziwić, że kiedy przychodzi czas na poobiednie rozrywki i starszy Rackham zasiada przy latarni magicznej, by wsuwać w jej mosiężną szczelinę malowane przezrocza, rozpina także pod osłoną ciemności kamizelkę oraz spodnie, co przychodzi mu tym łatwiej, że uwaga obecnych skierowana jest zupełnie gdzie indziej.

– *Małą kwiaciarką jestem* – sapie, czytając na użytek Sophie napisy, kiedy na ścianie salonu rozjarza się rzucany przez latarnię obraz, przedstawiający pucołowatą dziewczynkę. Kwiaciarka stoi w wystudiowanej pozie na tle dekoracji, udającej róg londyńskiej ulicy, którą pracownicy firmy produkującej latarnie magiczne pieczołowicie retuszowali maleńkimi pędzelkami.

*Sprzedam ci piękny bukiet
Jaskrów i żonkili, no cóż,
o wiele tańszych od róż.*

Na ósmym obrazku dziewczynka, oczywiście, umiera. Od początku przypominała handlującego żonkilami aniołka, a kiedy para łagodnych serafinów porywa jej osuwające się na ziemię ciało, by unieść je do nieba, mała przybiera tylko trochę bardziej promienny wyraz twarzy.

William, który częściej uczestniczy w pokazach przezroczy pornograficznych, organizowanych przez Bodleya i Ashwella, właściwie się nudzi, ale nie daje nic po sobie poznać, albowiem jego ojciec zadał sobie trud, żeby kupić trzy zestawy klisz, za co przeprosił go wcześniej *sotto voce*: „Do diabła, wiesz, jak niewiele z tych obrazków nadaje się dla dzieci... Na prawie wszystkich są tylko same morderstwa i rozpusta”.

Druga opowieść obrazkowa, tym razem o bohaterstwie w czasie katastrofy morskiej, zostaje wyświetlona bez zbędnej zwłoki i przypada do gustu wszystkim członkom rodziny, choć nie ma w niej miejsca na żadną rolę kobiecą. Trzecia i ostatnia opowieść, łzawa historyjka o młodej, sprzedającej rukiew wodną przekupce, która umiera, próbując ratować ojca z nałogu pijaństwa, wywołuje bezsilny szloch Letty i Janey, kończy się zaś jaśniejącym na ścianie salonu słowem **WSTRZEMIĘŻLIWOŚĆ!**, co jest finałem nieco irytującym, albowiem William i jego ojciec mają już chętkę na coś mocniejszego.

– Dobranoc, mała Sophie – mówi William, kiedy Rose podkręca płomień lamp i gasi latarnię magiczną. Sugar wstaje z wahaniem, bo nie pojmuje najpierw, co się dzieje, i dopiero po chwili, kiedy przeszywają dreszcz, zdaje sobie sprawę, że uroczystości świąteczne dobiegły właśnie końca, w każdym razie dla dziewczynki i jej guwernantki.

– Tak, dobranoc, mała Sophie – mówi Henry Calder Rackham, rozkładając na kolanach świeżą serwetkę. – Biegnij do swoich pięknych, nowych zabawek, zanim przyjdzie jakiś złodziej, żeby ci je ukraść!

Sugar rozgląda się po salonie i spostrzega, że prezenty zostały już wyniesione, wszystkie strzępy papieru pakowego uprzątnięto, a z dywanów zniknęły nawet najmniejsze kawałeczki włosów anielskich. Nie licząc Rose, która odkorkowuje butelkę, służące kryją się znów po kątach rezydencji i wracają do swoich obowiązków. Rackhamom płci męskiej opadają powieki, po czym obaj, wyczerpani śmiertelnie rozdzielaniem dóbr, którymi szafowali dzisiaj hojną ręką, osuwają się bezwładnie na krzesła.

Sugar przystaje w progu, trzymając Sophie za rękę, ogląda się na Rose i usiłuje złowić wzrokiem jej spojrzenie, ale służąca nie reaguje; pochyla głowę, ściągając w skupieniu serwetkę z tacy z ciastem rumowym. Choć na chwilę zbliżyły się do siebie i chociaż wspólne dokazywanie sprawiało im przyjemność, teraz wyrasta między nimi mur.

– Dobranoc – mówi guwernantka tak cicho, że nikt jej nie słyszy, po czym odprowadza Sophie na piętro, do położonej wyżej, milczącej części domu, gdzie czekają prezenty, leżące w ciemności pod drzwiami ich sypialni.

Nie ma mowy, żeby mogła położyć Sophie do łóżka: dziewczynka jest zbyt podekscytowana, a poza tym dostała przecież cudowne, nowe zabawki. Nie wiedząc, co robić, Sugar przygląda się, jak Sophie klęka twarzą w twarz ze swoją francuską lalką, którą ostrożnie przetacza tam i z powrotem po podłodze. W przyćmionym, żółtawym świetle sypialni lalka wygląda bardziej tajemniczo niż na dole w salonie, acz jednocześnie bardziej realistycznie, jak prawdziwa dama, która wyszła właśnie z balu albo teatru i zmierza na drugą stronę wyłożonej dywanem ulicy w poszukiwaniu swojego prywatnego powozu.

– Gdzie on może być? – szepcze Sophie słabym, egzaltowanym głosikiem, obracając lalkę o trzysta sześćdziesiąt stopni. – Kazałam mu tutaj zaczekać...

Dziewczynka podnosi lunetę, rozsuwając na całą długość i przykłada do prawego oka.

– Odnajdę go dzięki temu instrumentowi – oświadcza po chwili bardziej chłopięcym i pewnym

siebie tonem. – Nawet jeżeli jest bardzo, bardzo daleko. – Rozgląda się wokół, lustrując miejsca, gdzie najprawdopodobniej ukrywa się stangret: sęk w listwie boazerii, dyndający bezsilnie kutasik zasłony okiennej oraz spódnice guwernantki, widziane nieostro.

Sophie poważnie nagle, podnosi wzrok na guwernantkę i pyta:

– Myślisz, że mogłabym zostać podróżniczką, panienko?

– Podróżniczką?

– Jak podrosnę, panienko.

– Dlaczego... Dlaczego nie! – Na podłodze leży porzucona książeczka, na której stronie przedtytułowej widnieje dedykacja: *Dla Sophie, od panny Sugar, Boże Narodzenie 1875*, i Sugar chce, by Sophie wspomniała o niej, a prawdę mówiąc, żeby zainteresowała się nią choć na chwilę.

– Chyba mi na to nie pozwolą, panienko – zauważa dziewczynka, marszcząc brwi. – Dama nie może przecież być podróżniczką.

– Nastąpiła epoka nowoczesności, kochana Sophie – wzdycha Sugar. – Kobiety wykonują dziś najróżniejsze zawody.

Sophie jeszcze bardziej marszczy czoło, bo w jej za pełnej wrażeń główce dochodzi do kolizji między przeciwstawnymi losami życiowymi jej niedawnej niani i obecnej guwernantki.

– A może mogłabym podróżować tam, gdzie nie chcą podróżować podróżnicy panowie – odpowiada w zadumie.

Zza okna dobiega jakiś hałas: okazuje się, że ku domowi Rackhamów nadciąga pochód rozśpiewanych kolędników, których ochryple głosy niełatwo im jednak dosłyszeć w nocnej zawierusze. Sophie podchodzi do okna, wspina się na palce i usiłuje przebić wzrokiem ciemność, ale bez powodzenia.

– Kogo tam znowu niesie? – pyta cokolwiek sztucznie, jak gdyby mówiła: „No, coś podobnego!”, niczym gospodyni z bajki, której dom zalewa potop tysiąca gości, choć zaprosiła ich jedynie sześcioro. Sugar zdaje sobie sprawę, że dziewczynka jest potwornie zmęczona i mimo wszystko trzeba położyć ją spać.

– No, Sophie – mówi Sugar. – Pora do łóżka. Kąpiel może poczekać do jutra. Poza tym jestem pewna, że potrzebujesz co najmniej całego dnia, aby dokładnie obejrzeć wszystkie prezenty.

Sophie odchodzi chwiejnym krokiem od okna i oddaje się w ręce Sugar. Chociaż nie stawia oporu, kiedy guwernantka zaczyna ją rozbierać, mała wbrew swoim zwyczajom wcale nie pomaga dziewczynie – patrzy wprost przed siebie tępym wzrokiem, gdy Sugar ściąga ubranie z jej sztywnych rąk i nóg. Panna Rackham przybiera dziwną, nawiedzoną minę i zdaje się urażona, kiedy guwernantka delikatnie ją szturcha, gdy jest już gola, żeby podniosła ramiona i dała sobie nałożyć koszulkę nocną.

A teraz przynieś nam puddingu figowego,

Puddingu figowego przynieś nam

I kielich dobrej nowiny...

– nuć na dole kolędnicy.

– Nie ma sensu budzić teraz mamy, prawda, panienko? – wypala nagle Sophie. – Wszystko przespiała.

Sugar otula ją, wyjmując butelkę z gorącą wodą, którą Letty włożyła dziewczynce pod pościel, po czym strzepuje mocno rozgrzaną kołdrę.

Nie pójdziemy, póki się nie najemy,

Nie pójdziemy, póki się nie najemy...

– Twoja mama jest chora, Sophie – mówi Sugar.

– Myślę, że niedługo umrze – oświadcza dziewczynka, kładąc się do łóżka. – A wtedy zakopią ją w ziemi.

Na dole trzaskają drzwi i głosy milkną, nieznajomi dostali najwidoczniej to, po co przyszli.

Próbując nie dać po sobie poznać, że dopadają ją mdłości, bo słowa dziewczynki ścięły krew w jej żyłach, Sugar okrywa Sophie i poprawia poduszkę. Wiedząc, jak ważne będą pierwsze wrażenia dziecka jutrzejszego ranka, zbiera wszystkie prezenty i starannie szykuje wystawkę na toalecie: królewską lalkę francuską ustawia obok bezwładnej figurki roześmianego Hindusa, a dalej kładzie torebkę, szczotkę do włosów, spinkę i lusterko. Na końcu, jak wykrzyknik, umieszcza lunetę i dopiero za nią książkę.

Jej tytuł brzmi *Przygody Alicji w Krainie Czarów*. Sophie wpada już jednak do króliczej nory i pogrąża się we własnej, niespokojnej krainie czarów.

Puk, puk.

– Panno Sugar?

Puk, puk, puk.

– Panno Sugar?

Puk, puk, puk, puk.

– Panno Sugar!

Sugar zrywa się i siada na łóżku, wpatrując się z przerażeniem i oszołomieniem w bestię, która przyszła „ją ogrzać”, a którą ktoś spycha teraz z jej dziecinnego ciałka. Po chwili zostaje znów sama; jest starsza, większa i znajduje się w innym świecie, w ciemnościach.

– Kto... kto tam? – woła w mrok. – Clara, panienko.

Sugar przeciera oczy szorstkimi dłońmi, mniemając, że jeśli zacznie odpowiednio szybko mrugać powiekami, zobaczy słońce.

– Czy... czy zasnęłam?

– Przepraszam, panienko, pan Rackham kazał mi przyjść.

Otwierają się drzwi i Clara wchodzi do środka. Trzyma lampę w wysoko uniesionej ręce, jest w wygniecionym fartuszkach, a jej głowę otacza aureola potarganej czupryny. Na zwykle nieprzeniknionej albo wyrażającej zadowolenie z siebie twarzy służącej majaczą cienie i grymas widocznego przerażenia.

– Kazano mi sprawdzić, czy nikt się nie ukrywa w twojej sypialni, panienko.

Sugar w milczeniu mruga powiekami zza zasłony swoich pomarańczowych i także potarganych włosów. Kiwa głową, dając Clarze znak, że pozwala jej na geograficzny rekonesans w maleńkim pokoiku, a wtedy dziewczyna natychmiast unosi lampę, oświetla kolejno wszystkie cztery kąty, tu i tam, tu i tam, wprawiając światło i cień w gwałtowne drżenie. W swej namaszczonej dokładności przypomina papistę, który wymachuje rytualną kadzielnicą.

– Przepraszam, panienko – mamrocze niewyraźnie, uchylając nieco drzwi garderoby.

– Czy Sophie jest bezpieczna? – pyta Sugar, która zapala tymczasem lampę nocną i konstatuje, że jest trzecia nad ranem.

Clara nie odpowiada, składa jej jedynie ekstrawagancki ukłon, tak głęboki, jak gdyby oddawała hołd królowej. Dopiero w ostatniej chwili Sugar zdaje sobie sprawę, że Clara wcale się nie kłania, lecz usiłuje po prostu zajrzeć pod łóżko.

– Pozwól, że ci pomogę! – mówi szybko Sugar i kiedy zwiesza głowę nad brzegiem łóżka, gęstwa jej nieuczesanych włosów opada na podłogę. Opierając się na lewym łokciu, guwernantka wsuwa prawe ramię w cieniłą przestrzeń pod łóżkiem i roztrąca szeleszczące zeszyty, aby nie było wątpliwości, że należą do świata przedmiotów nieożywionych.

– Przepraszam, panienko – mruczy Clara i zaraz opuszcza pokój.

Gdy tylko służąca wychodzi, Sugar wyskakuje z łóżka i ubiera się. Dopiero teraz słyszy, że w domu panuje ciche, pełne szeptów zamieszanie.

Wszędzie zamykają się i otwierają drzwi, a guwernantka dostrzega przez szparę coraz jaśniejsze, rozbłyskujące nieoczekiwane światła. Szybko, szybko: włosy ma w strasznym stanie, powinna była je podciąć kilka tygodni temu, ale kogo miałaby tu o to poprosić? Po ufryzowanej niegdyś grzywce nie ma nawet śladu, i tylko garść szpilek i spinek pozwala opanować bałagan na głowie. Gdzie są buty? Dlaczego tak trudno jest jej zapiąć stanik? Musi wciągnąć halkę...

– Sprawdź w ciemni! – krzyczy gdzieś z dołu William. – Ogłuchłaś? Słaby, niezidentyfikowany kobiecy głos odpowiada błagalnie, że w całym domu jest ciemno.

– Nie! Nie! – woła William, najwyraźniej w stanie wielkiego wzburzenia. – Chodzi mi o pomieszczenie, w którym kiedyś... Ach, ale ty wtedy jeszcze u nas nie służyłaś! – I chwilę później słysząc jego ciężkie kroki w korytarzu.

Sugar, która już doprowadziła się mniej więcej do porządku, wypada na korytarz ze świecą w ręku. Pierwszym portem, do którego zawija, jest pokój Sophie, dziewczynka pogrążona jest jednak w głębokim śnie albo tylko udaje, że śpi.

Dopiero wracając, Sugar zauważa coś osobliwego i niezwykłego, a mianowicie: otwarte drzwi do sypialni Agnes. Zbiega na dół, wsłuchując się w szmer głosów.

– Och, panie Rackham, i to w taką noc! – woła Rose, a jej słowa odbijają się dziwnym echem w labiryncie korytarzy, prowadzących na tyły domu.

Na miejsce zbiórki William wyznacza chłodną niby krypta kuchnię, gdzie schodzi się całe chmurne, zaspane towarzystwo, choć w żadnym wypadku nie wszyscy domownicy: chrapiącą na górze kucharkę pozostawiono w spokoju, a nowym, mniej godnym zaufania służącym, zaintrygowanym, oczywiście, całym zajściem, kazano wracać do łóżek i pilnować własnych nosów. Kompletnie ubrani, drżą na dole z zimna tylko William, Letty, Rose i Clara. Och, tak, no i Janey, która staje w drzwiach zmywalni zalana łzami upokorzenia, ponieważ nie udało się jej wyciągnąć pani Rackham z chłodni ani spiżarni, choć panna Tillotson ze złością wyrażała nadzieję, że pomywacze się poszczęści.

Letty zabija rękami i zaciska końskie zęby, żeby przestały dzwonić. Jej biały żabocik lśni wilgocią: już raz stawiała dziś czoło niepogodzie, żeby zastukać do drzwi małego bungalowu Shearsa. Shears jest jednak zbyt pijany, by można go było dobudzić, a „matka” Cheesmana najwyraźniej urzekła go na tyle, że stangret został u niej na noc, i dlatego jedynym mężczyzną w domu, który może zażegnać zaistniały kryzys, jest znów William Rackham.

Pan domu wita Sugar niechętnym, gniewnym spojrzeniem; marmurowy stół i kamienna posadzka ciągle lśnią, bo umyto je przed zaledwie kilkoma godzinami, a w odbitym od ich powierzchni świetle William wygląda upiornie.

– Ona wyszła z domu, panie – mówi błagalnie Rose, a głos drży jej dlatego, że powinna powiedzieć Rackhamowi coś, czego powiedzieć nie śmie: że traci cenny czas, a może nawet skazuje żonę na śmierć, nie pozwalając przenieść poszukiwań na dwór.

– A piwnica? – dopytuje się William. – Letty, wymiotło cię stamtąd w mgnieniu oka.

– Tam nikogo nie ma, panie Rackham – upiera się dziewczyna, a jej nerwowy pisk dźwięczy echem pośród wiszących na ścianach miedzianych rondli i patelni.

William przebiega palcami włosy i spogląda na okna, których atramentowoczarne szyby, zwieńczone śnieżnymi girlandami, siecze deszcz ze śniegiem. Nie, to niemożliwe!

– Rose, idź po latarnie sztormowe – mówi ochryłym głosem po chwili przenikliwej ciszy. – Musimy przeszukać teren wokół domu. – Jego oczy rozbłyskują nagle, jak gdyby ktoś poniewczasie podsycił świecący za nimi płomień albo żar gorączki. – Tylko włóżcie płaszcze! I rękawiczki!

Już pobieżne oględziny ogrodu potwierdzają najgorsze: ślady stóp w śniegu ciągną się od drzwi frontowych do otwartej na oścież bramy. Latarnie uliczne w Chepstow Villas jarzą się słabo w deszczowym półmroku, nie oświetlając niczego poza kulami szarości, zawieszonymi piętnaście stóp nad ziemią. Na drodze rozciąga się nieprzenikniona ciemność, aczkolwiek w oddali można dostrzec zarysy nieoświetlonych domów i krętych uliczek. Kobieta w ciemnej sukni szybko rozpułnęłaby się w takim mroku.

– Nie wiesz, czy Agnes jest ubrana na biało? – pyta William Clarę, kiedy grupa poszukiwawcza szykuje się do wyjścia z domu. Służąca patrzy na niego niczym na imbecyla, jak gdyby zapytał przed chwilą, którą z balowych kreacji pani Rackham wybrała na tę doniosłą okazję.

– Na miłość boską, chodzi mi o to, czy jest w koszuli nocnej! – krzyczy William.

– Nie wiem, panie – odpowiada Clara, popatrując na niego spode łba. Tłumi pokusę, żeby odpowiedzieć, iż jeśli pani Rackham zamarzyła na śmierć, stało się to zapewne wtedy, gdy Clarze kazano szukać jej w szafie i pod łóżkiem guwernantki.

William, w obszernym płaszczu, ograniczającym mu swobodę ruchów, brnie na oślep przed

siebie, otoczony mgiełką własnego oddechu, a jego śladem podążają dwie kobiety. Ponieważ w domu znalazły się tylko trzy latarnie sztormowe, rozdzielono je między Williama, Clarę i Rose. Letty i Janey są tak roztrzęsione, że tylko by przeszkadzały, a zatem lepiej, aby wróciły do łóżek, panna Sugar natomiast w ogóle nie powinna była wstawać.

Sugar staje w progu i patrzy, jak ruszają na poszukiwania. Jeszcze zanim rozchodzą się w różne strony za bramą rezydencji, ulicą przejeżdża powóz, co każe wziąć pod uwagę i taką ewentualność, że mimo późnej pory Agnes zatrzymała dorożkę i teraz znajduje się już daleko stąd, zagubiona w olbrzymim, przypominającym labirynt mieście, które przemierza niepewnym krokiem po nieznanym ulicach, leżących pośród nieoświetlonych domów, pełnych nieznanym ludzi. Z przetaczającego się powozu dobiega pijacki śmiech, który przypomina, że śmierć z wychłodzenia stanowi zaledwie jedno z licznych niebezpieczeństw, czyhających na bezbronną kobietę w szerokim świecie.

Dygoczącej z zimna na ganku Sugar przychodzi nagle do głowy, że nikt nie pilnuje domu; zakładając więc, że służące zgodnie z poleceniem wróciły do łóżek, nikt nie zobaczy, jak otwiera zakazane drzwi, i nie powstrzyma jej przed wściubieniem nosa wszędzie, gdzie tylko zapagnie. Nie chcąc przepuścić tak wspaniałej okazji, wyobraża sobie, że stoi za biurkiem Williama w gabinecie i przegląda jakieś tajne dokumenty. Tak; musi biec na górę i ziścić tę fantazję, przypominającą obrazkowe opowieści latarni magicznej... Ale nie; nie chce jej się; męczy ją to, że ciągle musi się ze wszystkim kryć; nie ma już nic, czego chciałaby się jeszcze dowiedzieć; pragnie tylko zostać członkiem tej rodziny, oczyszczonym ze wszelkich podejrzeń i traktowanym serdecznie, odtąd już po wsze czasy.

Nagle, jak grom z jasnego – a raczej ciemnego – nieba, spada na nią natrętna myśl, że Agnes jest gdzieś w pobliżu. Sugar nabiera co do tego pewności niezłomnej jak wiara, jak nawrócenie w drodze do Damaszku. William i jego służące to idioci, podążający za błędnym ognikiem śladów pozostawionych przez kolędników, którzy beztrąsko nie zamknęli bramy! To oczywiste, że Agnes nie błąka się nigdzie po ulicach, lecz jest gdzieś tutaj, ukrywa się bowiem blisko – bardzo blisko – domu!

Sugar wbiega do holu w poszukiwaniu światła i kilka chwil później wyłania się z małą, rachityczną lampą, która nadaje się wyłącznie do tego, żeby oświetlać drogę, gdy trzeba przejść kilka kroków z jednej sypialni do drugiej przez wyłożony dywanem korytarz. Dziewczyna ostrożnie wycina ją na wiatr i słotę, osłaniając dłonią drżący w otwartym kloszu płomień. Pałace jak drobne płwociny płatki mokrego śniegu, tak zimne, że aż gorące niczym rozżarzone węgle, szczypią ją w policzki. Z pewnością oszalała, ale nie może zawrócić, dopóki nie znajdzie Agnes.

Gdzie powinna jej szukać w pierwszej kolejności, podejmując zupełnie serio grę w chowanego? Drepcze na podjazd, a jej buty chrzęszczą, chrup, chrup, chrup, na zaśnieżonym żwirze. – *Nie, nie* – podpowiada jakiś głos w jej głowie, kiedy obchodzi dom Rackhamów i mija najpierw wykuszowe okna salonu, a potem jadalni. – *Nie, nie tutaj; tu nie jest nawet „ciepło”.* *Odejdź dalej, tak, wejdź głębiej w ciemność. Ciepłej, tak, jest ciepłej!*

Sugar wkracza na nieznany sobie teren, rozciągający się za szklarniami warzywnymi, których śnieżne pancerze połyskują w mroku niczym marmurowe sarkofagi. Ponieważ musi ciągle osłaniać lampę, co kilka kroków zapomina, że powinna patrzeć także pod nogi, i kilka razy omal się nie potyka, tu o jakieś narzędzie ogrodowe, tam o wór węgla, dociera jednak do stajni bez upadku.

Bardzo gorąco, chwali ją głos w głowie.

Drzwi do powozowni są zamknięte, ale nie na kłódkę. Instykt, który ją tu przywiódł, jest tak silny, że Sugar domyśla się wszystkiego, jeszcze zanim utwierdza się jednym spojrzeniem, iż ma słusność. Odsuwa skobel, uchyla drzwi, unosi lampę i wsuwa do wnętrza.

– Agnes?

Odpowiada jej tylko intuicja, płonąca w piersi jak żywym ogniem. Sugar szerzej otwiera drzwi do powozowni i wchodzi. Powóz Rackhamów stoi nieruchomo w półmroku, większy i wyższy, niż go zapamiętała, a jego wypolerowane, usiane stalowymi nitami cielsko wygląda dziwnie niepokojąco. Z pyska pojazdu przypominającego statek spływają jak strużka śliny skórzane pasy.

Sugar podchodzi do okna w kabinie i przysuwa lampę do ciemnej szyby. W środku porusza się

jakiś blady kształt.

– Agnes?

– Moja... święta siostró...

Sugar otwieraabinę. Agnes leży skulona na podłodze, z kolanami pod brodą upstrzoną kropelkami wymiocin. Ciężą jej powieki, których nie ma siły unieść wyżej, żeby odsłonić coś więcej niż pasek mlecznych białek. Pogrążona w zimnym letargu, przestała już drżeć, ale na szczęście jeszcze nie zsiniała śmiertelnie; jej zwilżone śliną i wymiocinami usta są wciąż różowe niby pączki róż. Dzięki Bogu, ma na sobie coś więcej niż tylko nocną koszulkę – za mało, żeby ją ogrzać, ale dosyć, aby uniemożliwić klindze mrozu przeszycie na wylot jej serca. Orientalny kasztanowy szlafrok z grubego jedwabiu częściowo okrywa białą bawełnianą koszulkę nocną pani Rackham, choć z przodu został zapięty niestarannie i większość guzików znajduje się w nie swoich dziurkach. Stopy Agnes, zabandażowane po kostki, tkwią w luźnych wełnianych bamboszach, które nasiąkły stajałym śniegiem i jeżą się kawałkami liści oraz gałązek.

– Proszę, powiedz, że nadszedł już mój czas – mówi Agnes, z trudem unosząc głowę z własnych kolan.

– Twój czas?

– Żeby wyjechać... z tobą, do Klasztoru. – Pani Rackham oblizuje wargi, ruchliwym językiem bezskutecznie próbując usunąć niewielką grudkę wymiocin, tkwiącą w kącie ust.

– Nnn... nie, jeszcze nie pora – mówi Sugar, walcząc z obrzydzeniem i starając się za wszelką cenę przemawiać z powagą prawdziwego anioła.

– Podają mi truciznę – jęczy Agnes. Znów spuszcza powoli głowę, a wtedy wilgotne kosmyki pięknych, jasnych włosów pani Rackham ześlizgują się jeden po drugim z jej ramion. – Clara jest z nimi wzmowie. Daje mi mleko i chleb... nasączony trucizną.

– Wyjdź stąd, Agnes – mówi Sugar, wyciągając rękę, żeby pogłaskać ją po grzbiecie jak rannego psa. – Dasz radę iść sama?

Ale Agnes zdaje się jej nie słyszeć. – Tuczą mnie na ofiarę – ciągnie nerwowym, piskliwym szeptem.

– To powolna ofiara... będzie trwać całe życie. Codziennie przysyłają innego demona, by karmił się moim ciałem.

– Nie opowiadaj głupstw, Agnes – mówi Sugar. – Wyzdrowiejesz. Agnes odwraca głowę do światła. Za woalką włosów widać szeroko otwarte, nabiegłe siną krwią oko.

– Widziałas moje nogi? – pyta nagle gniewnie i dobitnie. – Wyglądają jak zgniłe, obite owoce. A zgniły owoc nigdy nie będzie już zdrowy.

– Nie bój się, Agnes – odpowiada Sugar, choć po prawdzie sama bardzo się boi, że pod wpływem gniewnego spojrzenia i w obliczu skrajnej udręki Agnes jej także puszcza nerwy. Wzdycha głęboko, ale cichutko, jak anioł, po czym pogodnym, uwodzicielskim i (jak ma nadzieję) budzącym zaufanie głosem oświadcza: – Wszystko będzie dobrze, obiecuję ci. Wszystko dobrze się skończy.

Ale to zapewnienie, pomimo pobrzmiewającej w nim bajkowej nuty, nie robi na Agnes wrażenia; przypomina jej tylko o kolejnych przykrościach.

– Robaki zjadły moje pamiętniki – jęczy. – Moje bezcenne wspomnienia o mamie i papie...

– Twoich pamiętników nie zjadły żadne robaki. Nic im się nie stanie, są u mnie. – Sugar wsuwa rękę do kabiny, żeby pogłaskać Agnes po ramieniu. – Nawet te z Abbots Langley – dodaje uspokajająco. – Z twoimi wspomnieniami z dyktanda z francuskiego i lekcji gimnastyki. Nic im się nie stanie.

Agnes unosi wysoko głowę i wydaje okrzyk ulgi. Jej blada szyja drży energią tego okrzyku, a włosy spadają pani Rackham na ramiona, odsłaniając płynące z oczu łzy.

– Zabierz mnie ze sobą – błaga. – Proszę cię, zabierz mnie ze sobą, zanim mnie tu znajdą.

– Jeszcze nie mogę, Agnes. Twój czas jeszcze nie nadszedł. – Sugar stawia lampę na ziemi, po czym ostrożnie i powoli wsiada do kabiny. – Wkrótce pomogę ci stąd wyjechać. Już wkrótce, obiecuję. Ale najpierw musisz się rozgrzać w twoim pięknym, miękkim łóżku i odpocząć.

Otacza Agnes ramieniem, a potem delikatnie wsuwa palce pod jej gorące i spotniałe od gorączki

pachy.

– No, chodź – mówi, podnosząc panią Rackham z podłogi.

Powrót do domu nie jest takim koszmarem, jakiego się obawiała. To prawda, muszą sobie radzić bez światła, dziewczyna nie może bowiem podtrzymywać Agnes i jednocześnie nieść lampy. Deszcz i wiatr ucichły jednak nieco, na niebie wiszą brzemienne śniegiem chmury, a na ziemi panuje atmosfera milczącego oczekiwania. Poza tym Agnes nie opiera się na niej całym ciężarem: odzyskała nieco sił, bez słowa skargi kuśtyka więc u boku Sugar, słaniając się na nogach jak pijana ulicznica. Teraz zaś, kiedy celem wędrówki staje się samotna, monumentalna sylwetka domu, w którym na parterze świecą się w oknach pomocne lampy, jest jej łatwiej iść, niż kiedy poruszała się niemal po omacku w atramentowej głębi nieznanego.

– William będzie się gniewał – martwi się Agnes, kiedy wchodzą na podjazd, a żwir pod ich stopami chrupie: chrup, chrup, chrup, i trzeszczy: trzask, trzask, trzask.

– Nie ma go w domu – mówi Sugar. – I Clary też nie ma.

Agnes spogląda w zadziwieniu na swoją wybawicielkę, wyobrażając sobie, że William i Clara rozsuwają się na boki niczym Morze Czerwone, chociaż bezsilnie wymachują rękami i wierzgają, walcząc z nieodpartą mocą czasu, który wypycha ich poza ramy obrazu. Potem staje jak wryta i obrzuca krytycznym wzrokiem dom, przez którego próg za chwilę wprowadzi ją anioł.

– Nigdy nie lubiłam tego domu, wiesz? – mówi dalekim, pełnym zadumy głosem w chwili, kiedy z góry znów zaczynają sypać z szelestem płatki śniegu, migoczące na jej głowie i plecach. – On cuchnie... cuchnie ludźmi, którzy ze wszystkich sił bezskutecznie starają się być szczęśliwi.

Teraz jednak, moje kochane dzieci – bo o was, błogostawionych czytelnikach mojej książki na całym świecie, myślę jako dzieciach – nauczyłam was wszystkiego, co wiem. A jednak słyszę wasze głosy z daleka, nawet z Afryki i Ameryki, i z odległej przyszłości następnego stulecia, kszyczące: *Opowiedz, opowiedz, opowiedz nam swoją historię!*

Och, nic nie rozumiecie. Czyż nie mówiłam wam, że szczegóły dotyczące mojego przypadku nie mają żadnego znaczenia? Czyż nie mówiłam, że ta książka wcale nie jest pamiętnikiem? A mimo to wciąż chcecie dowiedzieć się czegoś więcej o mnie!

A zatem zgoda. Opowiem wam pewną historię. Sądzę, że jeżeli przeczytaliście wszystkie moje lekcje i przemyśleliście je, zasłużyliście na tę nagrodę. Poza tym książka wygląda zapewne lepiej, jeśli nie jest zbyt cienka, choć wierzę, że w tym moim małym tomiku jest więcej treści niż w najgrubszych księgach, napisanych przez ludzi nieoświeconych. Mniejsza jednak o to. Opowiem wam, jak zobaczyłam coś, czego nikomu z nas nie wolno zobaczyć aż do dnia zmartwychwstania – ja jednak to zobaczyłam, bo byłam niegrzeczna!

Było to podczas jednego z moich pobytów w Klasztorze Zdrowia, gdzie przewieziono mnie na kurację. Przybyłam na miejsce w fatalnym stanie, ale po kilku godzinach delikatnych zabiegów moich świętych sióstr poczułam się znacznie lepiej. Ogarnęła mnie wtedy szalona ciekawość, żeby obejrzeć inne cele klasztorne, choć nie wolno mi było tego robić. Czułam się jednak tak dobrze, że ogarnęła mnie nuda. Przyznaję, że ciekawość, jak mężczyźni lekceważąco określają głód wiedzy u kobiet, zawsze była moją największą przywarą. Tak więc, drodzy czytelnicy, opuściłam mury mojej celi.

Skradałam się ukradkiem, jak złoczyńca, i zajrzałam przez dziurkę od klucza do sąsiedniej komnaty. Ależ się zdziwiłam! Mniemałam zawsze, że tylko naszej płci można zaoferować azyl w Klasztorze Zdrowia, za drzwiami ujrzałam jednak Henry'ego, mojego szwagra! (Nie miałam absolutnie nic przeciwko temu, bo Henry jest najpożądniejszym człowiekiem na świecie!) Ale przysięgam, nigdy nie zajrzałam przez tę dziurkę od klucza, gdybym wiedziała, że bendzie zupełnie nagi! A jednak ujrzałam go. Jedna z błogostawionych sióstr stała u boku Henry'ego, opatrując jego oparzenia, a ja natychmiast odwróciłam wzrok.

W korytarzu usłyszałam kroki za plecami, lecz zamiast wracać biegiem do celi, przestraszyłam się i popędziłam przed siebie. Pobiegłam prosto do najbardziej zakazanego pokoju, oznaczonego złotą literą „A” i weszłam do środka!

Jak mogłabym udawać, że czuję skruchę, zgrzeszywszy nieposłuszeństwem? Nawet gdybym musiała odmówić tysiąc zdrowasiek, uśmiechałabym się radośnie na to wspomnienie. Stałam jak wryta, oślepiąca zaskoczeniem na widok zjawy, którą zobaczyłam na środku pokoju. Był to gigantyczny słup ognia, którego źródła nie widziałam: zdawał się dobywać z powietrza tuż nad podłogą i wysoko w górę zwęzać w nicość. Wydaje mi się – choć nigdy nie byłam zbyt dobra w rachunkach – że miał co najmniej dwadzieścia stóp wysokości i cztery stopy szerokości. Płomień był jaskrawopomarańczowy i nie wydawał ciepła ani dymu. Pośrodku ujrzałam obnażoną dziewczynkę, wiszącą w powietrzu jak szybujący ptak. Nie widziałam jej twarzy, bo ta dziewczynka była do mnie odwrócona plecami, lecz miała bardzo jasną i nieskazitelną skórę, toteż uznałam, iż ukończyła najwyżej trzynaście wiosen. Płomień był tak przezroczysty, że widziałam, jak dziewczynka oddycha, i dlatego domyśliłam się, iż żyje, chociaż była pogrążona we śnie. Ogień nie czynił jej najmniejszej krzywdy, podtrzymywał ją jedynie w powietrzu i delikatnie rozrzucał jej włosy na karku i ramionach. Zdołałam się na odwagę, aby wyciągnąć rękę w stronę jasności, sądząc, że przypomina płomień palącej się brandy. Ogień okazał się jednak jeszcze dziwniejszy – wsunęłam weń wszystkie palce, był bowiem chłodny jak woda, a prawdę rzekłszy, przypominał ją pod każdym względem i jakby oblewał mi dłoń. Nie wiem, dlaczego miałoby mnie to przerazić bardziej niż oparzenie, ale

krzyknęłam zdumiona i szybko cofnęłam rękę. Wielki płomień drgnął, kiedy się wszyłam, chwiał się na wszystkie strony, a potem, co bardzo mnie zdenerwowało, ciało dziewczyny jęło się obracać!

Byłam zbyt zadziwiona i przerażona, by ruszyć się choćby o cal, dopóki unoszące się w powietrzu ciało nie obróciło się dookoła, wtedy zaś ujrzałam, że jest to moje ciało!

Tak, drodzy czytelnicy, było to moje drugie ciało, moje ciało słoneczne, w absolutnie idealnym stanie, zniknęły z niego bowiem ślady wszelkiego cierpienia. Tak bardzo chciałam zobaczyć je w tej nieskalanej postaci, że pochylałam się i zanurzyłam głowę w ogniu, a było to wyjątkowo rozkoszne uczucie.

Szczególnie zachwycałam się moim małym i gładkim biustem, podbrzuszem, pozbawionym tych ohydnych włosów, i oczywiście twarzą, z której zniknęły wszystkie troski. Muszę powiedzieć, że odczułam ulgę, widząc, że dziewczynka śpi, bo zapewne nie miałabym śmiałości, by spojrzeć sobie w oczy.

Owładnięta w końcu przerażeniem – a może zadowolona – wyszłam z pokoju i pobiegłam z powrotem do celi tak szybko, jak mogłam!

Sugar przewraca kartkę, ale ekstatyczny epizod stanowi wszystko, co udało się zanotować Agnes w *Oświeconych myślach i nadprzyrodzonych refleksjach* Agnes Pigott, zanim podjęta brzemiennej w skutkach decyzję o wykopaniu z ziemi swoich starych pamiętników.

– No i co o tym myślisz? – pyta William, który siedzi na brzegu biurka w swoim gabinecie. Sugar stoi przed nim, trzymając w ręku otwarty zeszyt.

– Nnnie... nie wiem – odpowiada dziewczyna, wciąż usiłując odgadnąć, co może oznaczać to poranne wezwanie do gabinetu pana domu. Oboje są śmiertelnie wyczerpani i niewątpliwie, zamiast poddawać wiwisekcji obłąkańcze rojenia Agnes, powinni raczej odpocząć. – Potrafi opowiadać... potrafi całkiem zajmująco opowiadać, nie sądzisz?

William wpatruje się w nią w oszołomieniu różowymi, podrażnionymi z niewyspania oczami. Kiedy otwiera usta, żeby odpowiedzieć, burczy mu w brzuchu, pozwolił bowiem służącym, które zerwał tej nocy z łóżek, pospać dziś nieco dłużej.

– Stroisz sobie ze mnie żarty? – pyta. Sugar zamyka zeszyt i przykładą go do piersi.

– Nie... nie, oczywiście, że nie, ale... ta opowieść to... to tylko sen, prawda? Po prostu zapis snu...

William z irytacją krzywi twarz.

– A reszta? To, co napisała wcześniej? Te... – (Przytacza to słowo z przesadnym obrzydzeniem). – ...lekcje?

Sugar zamyka oczy i oddycha głęboko, ogarnia ją bowiem pokusa, aby wybuchnąć śmiechem albo powiedzieć Williamowi, żeby dał spokój swojej przekłętej żonie.

– Cóż... wiesz, że nie jestem szczególnie religijna – wzdycha Sugar. – Naprawdę nie potrafię więc ocenić...

– To szaleństwo! – wybucha William, uderzając otwartą dłoń w blat biurka. – Czyste wariactwo! Nie rozumiesz tego?

Sugar wzdryga się i instynktownie postępuje krok w tył. Czy William kiedykolwiek przemawiał do niej równie ostrym tonem? Zastanawia się, czy nie powinna wybuchnąć płaczem, a potem błagalnym, drżącym głosem powtarzać: „Prze... przestraszyłeś mnie”, żeby skruszony William wziął ją zaraz w ramiona; jednak szybki rzut oka na jego zaciśnięte pięści powstrzymuje dziewczynę od płaczu.

– Patrz... popatrz na to! – wścieka się William, wskazując chwiejny stos książek i broszur na biurku, których okładki zakrywają dziwne, ręcznie wykonane obwoluty z tapet albo sukna. William chwyta leżącą na wierzchu książkę, otwierają gwałtownie na stronie tytułowej i głośno, szydęro czyta: – *Od materii do ducha: rezultaty dziesięcioletnich doświadczeń spirytystycznych, radami dla neofitów opatrzone*, pióra Celi E. De Foy! – Odrzuca książkę niczym chusteczkę do nosa, tak zapaskudzoną, że nie dałoby się jej już użyć, i chwyta kolejny tom. – *Palec w ranie Chrystusa: badania tajemnic Pisma Św.*, pióra doktora Tibeta! – To dzieło Rackham również odrzuca na bok. – Przeszukałem sypialnię Agnes, żeby usunąć z niej wszystko, co mogłoby jej zaszkodzić albo czym

mogłaby zrobić sobie krzywdę. I co znalazłem? Przeszło dwadzieścia równie idiotycznych książek, ukrytych w koszykach z przyborami do szycia! Niektóre sprowadzała z bardzo daleka, na przykład z Ameryki, a inne po prostu kradła... Tak, kradła je z wypożyczalni literatury ezoterycznej na Southampton Row! Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie opublikowałby czegoś podobnego, a żadna zdrowa kobieta nie powinna tego czytać!

Sugar mruga w milczeniu powiekami, nie potrafi bowiem odgadnąć, do czego zmierza ta tyrada, chociaż jest wstrząśnięta jej gwałtownością. Zwał książek i broszur, jak gdyby też przestraszony, przewraca się nagle i rozsypuje na biurku. Jeden niewielki tomik, przypominający otuloną w koronkową obwolutę książeczkę do nabożeństwa, zsuwa się na dywan.

– Williamie... czego ode mnie oczekujesz? – pyta Sugar, starając się, żeby nie było słycać zniecierpliwienia w jej głosie. – Sophie siedzi sama beczynnym w klasie, bo wezwałeś mnie tutaj, żebym przyjrzała się tym... skonfiskowanym notatnikom Agnes. Zgadzasz się z tobą, że są produktem... głęboko zmaconego umysłu, jak jednak mogę ci pomóc?

William przeczesuje czuprynę palcami, a potem chwytając w garść własne włosy i szarpie je mocno w geście desperacji, jaki dziewczyna widziała ostatnio w jego wykonaniu, kiedy prowadził spór z handlarzami jutą z Dundee.

– Clara oświadczyła, że w żadnym wypadku nie poda więcej Agnes tego... lekarstwa – jęczy Rackham.

Sugar kilkakrotnie gryzie się w język, żeby powstrzymać się od odpowiedzi, z których żadna nie zdradza zbyt wiele szacunku dla mężczyzn usiłujących utrzymać swoje małżonki w stanie kompletnego odurzenia; bierze głęboki oddech i ostatecznie zdobywa się na inne słowa:

– Czy to naprawdę taka tragedia, Williamie? Kiedy odprowadzałam Agnes do domu, wydawało mi się, że szła całkiem sprawnie. Nie sądzisz, że najgorsze niebezpieczeństwo minęło?

– Sugerujesz, że niebezpieczeństwo minęło mimo tego, co wydarzyło się ostatniej nocy?

– Chodziło mi o to, że rany na jej nogach już chyba się zagoiły. William spuszcza wzrok. Dopiero teraz Sugar zauważa w jego postawie jakąś skrytość, coś niby psi wstyd, którego nie widziała w jego oczach od chwili, gdy po raz pierwszy zadarł jej spódnicę u pani Castaway i poprosił, żeby zgodziła się na coś, na co nie poszłyby inne dziwki. Czego chce od niej teraz?

– Tak czy owak, Clara, czyli kobieta pozostająca u mnie na służbie, otwarcie mi się sprzeciwia. Kazałem jej podawać Agnes to lekarstwo aż do... do odwołania, ona zaś odmawia wykonania mojego polecenia.

Sugar czuje, że twarz wykrzywia jej pełen wyrzutów grymas, który wygładza szybko, najlepiej jak potrafi.

– Clara jest jednak pokojówką Agnes, Williamie – przypomina. – Powinieneś zadać sobie pytanie, jak mogłaby należycie pełnić swoje obowiązki, gdyby pani nie darzyła jej zaufaniem?

– To bardzo dobre pytanie – potwierdza William, potrząsając energicznie głową, jak gdyby dopiero teraz dotarło do niego, że nie może dalej trzymać Clary na służbie. – Bo Clara oświadczyła mi ponadto prosto w oczy, że nie będzie zamykać Agnes w sypialni.

– Od wewnątrz, gdy jest przy niej?

– Nie, na klucz, kiedy zostawiają w pokoju samą.

Sugar próbuje zrozumieć, co William do niej mówi, ale ta informacja nie mieści się jej w głowie.

– Czy to oznacza, że chcesz... Zamierzasz... – (Przełyka z trudem ślinę). – ...więzić Agnes w sypialni?...

William odwraca się z płonąca rumieńcem twarzą i wskazuje z oburzeniem okno, przesywając powietrze wyprostowanym palcem.

– Czy mamy co noc wyciągać ją z powozowni albo Bóg wie skąd? Sugar jeszcze mocniej przyciska zeszyt do piersi; chciałaby go odłożyć, czuje jednak, że postąpi niemądrze, jeśli choć na chwilę spuści Williama z oka. Czego on naprawdę chce? Jaki to ekstrawagancki akt poddania mógłby sprawić, że złość opuści jego wypełnione – niby balon – gniewne ciało? Czy najpierw musi obić ją pięściami, by potem okazać skrucę między jej nogami?

– Agnes... zdaje się teraz bardzo spokojna, nie sądzisz? – mówi łagodnie dziewczyna. – Kiedy

przyproceedziłam ją z tej zimnej powozowni, mówiła tylko o tym, jak bardzo pragnie wziąć ciepłą kąpiel i napić się herbaty. „Dom to dom”, powiedziała.

William obrzuca ją groźnym spojrzeniem z widoczną nieufnością. Przełknął już setki kłamstw; że ma największego kutasa na świecie, że włosy na jego piersiach znamionują potencję erotyczną i że firma Rackhama skazana jest na to, aby pewnego dnia stać się największym producentem kosmetyków w Anglii; w to jednak... w to nie uwierzy!

Przez chwilę Sugar boi się, że William chwyci ją za ramiona, żeby wytrząsnąć z niej prawdę, Rackham osuwa się jednak bezsilnie z powrotem na biurko i wyciera pot z twarzy.

– A swoją drogą, skąd wiedziałaś, gdzie jej szukać? – pyta już nieco spokojniejszym tonem. Nie zadał jej tego pytania przed kilkoma godzinami, kiedy przemoczony do nitki i oszalały z niepokoju wrócił do domu, gdzie stwierdził, iż jego żona leży już w łóżku, opatulona pod kołdrą i senna. („Wielki Boże, Williamie, jak ty wyglądasz?”, tak brzmiał jedyny komentarz Agnes, zanim znów opadły jej powieki).

– U... usłyszałam jej wołanie – odpowiada Sugar. Jak długo jeszcze William zamierzają tu zatrzymać? Sophie czeka w klasie, a nie bardzo może dziś się skupić i jest rozdrażniona, bo chce się uczyć jak co dzień, a zarazem nie chce... Będą kłopoty... a przynajmniej łyzy... Jeżeli wszystko szybko nie wróci do normy...

– Agnes nie może uciec z domu przez kilka następnych dni. W żadnym wypadku – oświadcza William.

Sugar nie wytrzymuje dłużej napięcia i traci panowanie nad sobą.

– Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim, Williamie? Myślałam, że nie chcesz, żebym w ogóle miała do czynienia z Agnes. Czy teraz powinnam zostać jej strażniczką? Czy abyś miał pewność, że Agnes nic nie zbroi, powinna siedzieć w kącie, w klasie, gdzie prowadzę lekcje z Sophie? – Natychmiast żałuje tego, co powiedziała; mężczyźnie należy nieustannie i niestrudzenie schlebiać, inaczej wpada w gniew; wystarczy jedna nieopatrna uwaga, by sprawić, że krucha męska cierpliwość szybko stopnieje. Jeżeli dziewczyna chce szermować językiem, powinna żyć z tej sztuki, tak jak Amy Howlett.

– Och, Williamie, proszę, przebacz mi – błaga guwernantka, kryjąc twarz w dłoniach. – Jestem taka zmęczona. Ty z pewnością też.

W końcu William podchodzi, żeby ją objąć, i splatają się w mocnym uścisku. Zeszyt Agnes spada na podłogę; Sugar i William zderzają się głowami, kość zgrzyta o kość. Ścisną się nawzajem coraz mocniej, aż wreszcie zaczyna im brakować tchu. Na dole odzywa się dzwonek.

– Kto to? – dyszy Sugar.

– Ach, to domokrażcy i inne darmozjady, przychodzą po pudełka po prezentach – odpowiada William. – Niech wrócą innym razem, kiedy Rose będzie na nogach.

– Jesteś pewien?... – pyta Sugar, ponieważ dzwonek rozbrzmiewa znów natarczywie.

– Tak, tak – odpiera z irytacją William. – Agnes jest teraz pod opieką Clary... ma na nią oko, tak jak ja na ciebie.

– Ale mówiłeś przecież, że pozwoliłeś wszystkim służącym...

– Wszystkim z wyjątkiem Clary, oczywiście! Jeżeli ta bezczelna dziewczucha nie chce robić tego, co należy, by Agnes usnęła, i jeśli nie chce zamykać jej na klucz, to niech przynajmniej siedzi z nią w pokoju! – Bezduśność tych słów wzbudza w Williamie dreszcz wstydu, po chwili więc dodaje: – Tylko że w ten sposób nie da się utrzymać domu, nie rozumiesz?!

– Przykro mi, Williamie – odpowiada dziewczyna, gładząc go po ramieniu. – Staram się, jak mogę.

Ku uldze Sugar, ten gest odnosi skutek. William obejmuje ją mocno, wydając ciche jęki z powodu utrapienia, aż wreszcie rozluźnia się i jest już gotów do zwierzeń.

– Potrzebuję... twojej rady... – szepcze jej do ucha konspiracyjnie. – Muszę podjąć pewną decyzję. Najważniejszą decyzję mojego życia.

– Słucham, mój kochany.

William ścisną ją w pasie, odchrząkuje, a potem niemal bełkocząc, wyrzuca z siebie strumień słów.

– Agnes jest obłąkana, cierpi na pomieszanie zmysłów od wielu lat, a ja nie potrafię już dać sobie z tym rady i krótko mówiąc... uważam, że trzeba ją zamknąć.

– Zamknąć?

– W domu dla obłąkanych.

– Och. – Sugar znów zaczyna gładzić go po ramionach, ale mrowiące poczucie winy dokucza mu tak bardzo, że krótką chwilę przerwy w jej pieszczotach odczuwa niby policzek.

– Zapewne ją tam wyleczą – argumentuje z pasją, ale bez przekonania. – W domach dla obłąkanych lekarze i pielęgniarki czuwają nad chorymi na okrągło. Agnes wróci do domu jak nowo narodzona.

– To znaczy... na kiedy ustaliłeś...?

– Zwlekałem z tą decyzją o kilka lat za długo! Na dwudziestego ósmego, do diabła! Doktor Curlew zaofiarował się, że... ach... że sam odwiezie Agnes na miejsce. Sanatorium nazywa się Labaube. – Dziwnie rozleniwionym, rozmarzonym tonem dodaje: – I mieści się w Wiltshire. – Jak gdyby ta lokalizacja mogła rozwiać wszelkie obiekcje co do zbawiennych właściwości domu dla obłąkanych.

– A zatem podjąłeś już decyzję – mówi Sugar. – Jakiej więc rady spodziewałeś się ode mnie?

– Muszę wiedzieć... – William znów stęka i wtula twarz w jej szyję. – Muszę wiedzieć... że to... że nie jestem... – Rackham łaskocze ją, marszcząc brew, i Sugar czuje przez suknię, że zaciska szczękę. – Muszę wiedzieć, że nie jestem potworem! – woła, targany skurczem męki.

Sugar gładzi go po włosach i obsypuje jego głowę pocałunkami, najłagodniej i najdelikatniej, jak potrafi.

– Już dobrze – mówi pieszczotliwie. – Robiłeś, co mogłeś, kochany. Robiłeś, co tylko było w twojej mocy; zawsze, odkąd ją poznałeś, jestem tego pewna. Jesteś... jesteś dobrym człowiekiem.

William jęczy głośno z ulgą i rozpaczą. Tego chciał od niej od samego początku – dlatego wezwał ją do siebie z pokoju dziecinnego. Sugar przygarnia go mocno, Rackham wiotczeje w jej uścisku, a serce dziewczyny wypełnia wstyd; bo wie, że żadne upokorzenie, na jakie kiedykolwiek wyraziła zgodę, żadne poniżenie, które rzekomo sprawiało jej przyjemność, nie dorównuje nikczemnością uczuciu, jakiego doznaje w tej chwili.

– A jeśli Clara zdradzi Agnes twoje plany? – To wstrętne pytanie, ale Sugar musi je zadać. A zresztą, co za różnica, skoro jest już tak unurzana w słońcu? Czuje na języku gorzki smak intrygi i musi oblizywać usta, na które występuje jej jadowita ślina lady Makbet.

– Clara nic nie wie – mruczy William, kryjąc twarz we włosach dziewczyny. – Nie powiedziałem jej.

– Ale co będzie, kiedy nadejdzie dwudziesty ósmy dzień miesiąca?...

William wyrывa się z jej ramion i natychmiast zaczyna krążyć po pokoju. Oczy ma szkliste, plecy przygarbione i załamuje ręce ze zdenerwowania.

– Daję Clarze kilka dni wolnego – mówi. – Jestem jej winien Bóg wie ile wolnych popołudni, nie wspominając o nocach, żeby mogła się porządnie wyspać. – Spogląda w okno i mocno zaciska powieki. – Poza tym... dwudziestego ósmego mnie też nie będzie w domu. Niech mi Bóg wybaczy, Sugar, ale nie mam siły patrzeć, jak wywożą Agnes. A zatem... zatem zajmę się interesami. Wyjeżdżam jutro rano. Pewien człowiek z Somerset twierdzi, że opracował metodę maceracji roślin, niewymagającą stosowania alkoholu. Od miesięcy śle do mnie listy z zaproszeniem, żebym przyjechał do niego i przekonał się o skuteczności tego wynalazku na własne oczy. Najprawdopodobniej jest oszustem, ale... ach, poświęcę mu godzinę swego czasu. A kiedy wrócę... cóż... wtedy nastanie już dwudziesty dziewiąty dzień grudnia.

W wyobraźni Sugar rozbłyskują jednocześnie dwa wyraziste obrazy. Na pierwszym łypiący z ukosa na Williama szarlatan wprowadza go do swojej ponurej kryjówki, zastawionej bulgoczącymi i pełnymi piany kolbami, na drugim Agnes idzie ramię w ramię z doktorem Curlew, człowiekiem, którego opisuje w swoim pamiętniku jako sługusa diabła, demonicznego inkwizytora i pana pijawek; dziewczyna widzi, jak on i pojmana przezeń branka zdążają w stronę czekającego na nich powozu, niczym panna młoda i prowadzący ją do ślubu ojciec...

– Ale... co będzie, jeśli Agnes stawi opór doktorowi?

William załamuje ręce jeszcze bardziej nerwowo.

– Byłoby o wiele lepiej, gdyby Clara nie sprzeciwiała mi się i podawała jej laudanum – mówi z rozpaczą. – Bo teraz Agnes nie sypia i ma się na baczności. Wszystkiego, co dostaje do jedzenia, próbuje najpierw czubkiem języka jak kot... – Spogląda w sufit, obwiniając czającą się w niebiesiech nieznaną moc, że rozsiewa na ziemi podobne nieszczęścia. – Ale Curlew przyjedzie z czterema silnymi ludźmi do pomocy.

– Z czterema ludźmi? – Wizja wymizierowanego ciała Agnes, na które rzuca się pięciu obcych mężczyzn, sprawia, że Sugar dostaje gęsiej skórki.

William przestaje krążyć po pokoju i patrzy wprost na nią, a jego umęczone, przekrwione oczy błagają, żeby zechciała wybaczyć mu jeszcze jeden oburzający postępek – i aby w uniżeniu, milcząc, obdarzyła go jeszcze jednym, nienależnym mu błogosławieństwem.

– Pomocnicy doktora mają jedynie zapewnić, żeby w razie jakichkolwiek przykrości cała ta operacja przebiegła... z godnością – twierdzi William i drżącymi palcami poszukuje chusteczki, chcąc otrzeć pot z czoła.

– Oczywiście. – Sugar słyszy swój głos. Na dole rozbrzmiewa dzwonek, a potem jeszcze raz.

– Do diabła! – warczy William. – Powiedziałem Rose, że może dziś pospać dłużej, ale nie przez cały Boży dzień!

Kilka minut później, gdy Sugar wraca do klasy, okazuje się, że zaszło coś niedobrego. Domyślała się, że tak będzie, i nie myliła się.

Sophie odeszła od biurka i stoi teraz nieruchomo na stołeczku, zwrócona w stronę okna, najwyraźniej nie zauważywszy powrotu guwernantki. Dziewczynka wygląda przez lunetę na świat – świat, na który nie składa się nic szczególnie spektakularnego poza ołowianoszarym niebem i kilkoma przechodniami albo powozami, których niewyraźne zarysy migają zza posadzonego przez Shearsa bluszczu, zakrywającego ogrodzenie wokół rezydencji. Jednak nawet tak nieefektywne zjawiska mogą być zajmujące dla dziewczynki z lunetą, kiedy nie ma nic lepszego do roboty; choć bowiem guwernantka stwierdziła uroczyście, że przed końcem roku muszą nauczyć się jeszcze bardzo wiele, kto może wiedzieć, na jak długo pozostawiła ją samą?

Dlatego Sophie ignoruje słowa dorosłych i podejmuje własne badania. Bramę wejściową przekroczyło rankiem kilkunastu dziwnie wyglądających mężczyzn, którzy najpierw zadzwonili do drzwi, a potem odeszli. Wygląda na to, że Rose dzisiaj w ogóle nie pracuje! Ogrodnik wyszedł ze swojego domku i wypalił jeden z tych śmiesznych, białych pręcików, niebędących cygarami; potem opuścił teren rezydencji i zniknął w oddali na drodze, idąc wyjątkowo powoli i ostrożnie. Cheesman wrócił od swojej mamy równie dziwnym krokiem jak Shears i prawdę mówiąc, ledwie minęli się w bramie. Ta podkuchenna o brzydkich, czerwonych ramionach nie wyszła jeszcze przed dom, żeby opróżnić kubły. Dziś rano nie było porządnego śniadania – owsianki ani kakao – tylko chleb z masłem, woda i świąteczny pudding.

A wokół prezentów powstało wielkie zamieszanie! Najpierw panna Sugar powiedziała, że podarki gwiazdkowe trzeba zostawić w sypialni, aby nie rozpraszały jej podczas lekcji, a potem zmieniła zdanie; dlaczego? Więc jak to jest: czy prezenty powinny leżeć w sypialni, czy w klasie, i co z Australią? Panna Sugar zamierzała zacząć od Nowej Południowej Walii, nic jednak z tego nie wyszło.

Tak czy inaczej świat znajduje się w stanie rozprzężenia. Sophie reguluje ostrość lunety, zaciska usta i kontynuuje obserwację. Świat może powrócić do równowagi w każdej chwili – ale może też pograżyć się w chaosie.

Kiedy Sugar wchodzi do pokoju, czuje niezadowolenie małej, chociaż dziewczynka odwrócona jest plecami do drzwi; niepokój dziecka zdaje się jej równie wyczuwalny jak wilgotne pierdnięcie. Ale nos guwernantki rejestruje też coś innego: prawdziwy, mocny i niepokojący smród. Chryste, coś się pali!

Podchodzi do kominka, gdzie na sonej warstwie węgla tli się szmaciana lalka Sophie. Jej nogi zamieniły się w popiół, tunika się skurczyła jak przypalony bekon, a zęby wciąż lśnią bielą w szerokim uśmiechu, chociaż leniwe płomienie liżą już skwierczącą, czarną głowę hinduskiego

chłopca.

– Sophie! – woła oskarżycielsko Sugar, która jest zbyt zmęczona, żeby złagodzić ton. Wysięk, jaki kosztowało ją zachowanie panowania nad sobą podczas rozmowy z Williamem, wyszał z niej resztki uprzejmości. – Coś ty zrobiła!

Sophie sztywnieje, opuszcza lunetę i powoli odwraca się na stołeczku. Twarz wykrzywia jej niepokój i poczucie winy, ale w wydętych ustach dziewczynki maluje się także sprzeciw.

– Pałę tego hinduskiego chłopczyka, panienko – odpowiada. Potem oczekując, że guwernantka zaapeluje do jej dziecięcej naiwności, dodaje: – On przecież nie jest żywy. To tylko stare szmatki i glina.

Sugar patrzy na rozpadającą się figurkę. Z jednej strony ma chęć pochwycić lalkę w dłonie, a z drugiej dźgnąć straszdyło pogrzebaczem, żeby przestało się tlić i stanęło w płomieniach, jak należy. Odwraca się do Sophie i otwiera usta, aby coś powiedzieć, ale słowa więzną jej w gardle, gdy kątem oka zauważa piękną francuską *poupee*, która – zwrócona swym zarozumiałym obliczem w stronę kominka – obserwuje wszystko z obojętną miną spod przeciwległej ściany pokoju. Jej kapelusz z piórkiem góruje nad arką Noego.

– On jest z puszek po herbacie, panienko – ciągnie Sophie. – Powinien siedzieć na słońcu, ale nie ma słońca, i dlatego nie potrafi ustać na nogach, poza tym jest czarny, a przecież porządne lalki nie są czarne, prawda, panienko? Zresztą był cały brudny i poplamiony od krwi.

Pokój zasnuwa mgiełka dymu, a dziecko i guwernantka, bliskie łez, przecierają podrażnione oczy.

– Ależ Sophie, jak można wrzucić go w ten sposób w ogień... – zaczyna Sugar, nie jest jednak w stanie mówić dalej; słowo „niegodziwość” po prostu nie przechodzi jej przez gardło, choć płonie w myślach dziewczyny, wypalone tam przez panią Castaway: *Nie potrafimy nie być niegodziwe, maleńka. Słowo „niegodziwość” wymyślono dla nas. Mężczyźni uwielbiają nurzać się w grzechu; my zaś jesteśmy grzechem, w którym oni się pławią.*

– Trzeba było zapytać mnie o zgodę – mruczy guwernantka, chwytając wreszcie za pogrzebacz. Lada chwila obie zaczną kaszleć, a jeśli dym wydostanie się z pokoju, będą miały nieprzyjemności.

Sophie przygląda się znajomym kształtom lalki, które znikają w ognistym zapomnieniu.

– Ale ten chłopczyk był przecież mój, prawda, panienko? – pyta mała, mrużąc błyszczące oczy. Jej dolna warga drży. – Mogłam z nim zrobić, co mi się podoba?

– Tak, Sophie – wzdycha Sugar. Płomienie jaśnieją, a uśmiechnięta głowa lalki zapada się powoli w spopielony tułów. – Tak.

– Sugar wie, że powinna jak najszybciej zapomnieć o tym incydencie i wrócić do lekcji, ale w spóźnionym olśnieniu przychodzi jej do głowy stosowna odpowiedź. Nie ma dość sił, by mogła się jej oprzeć.

– Może Hinduska chętnie wzięłoby jakieś biedne dziecko – mówi z naciskiem, grzebiąc gwałtownie w popiele. – Jakieś nieszczęśliwe, ubogie dziecko, które nie ma żadnych lalek do zabawy.

Sophie natychmiast wybucha tak głośnym płaczem, że włoski jeżą się na karku Sugar. Dziewczynka zeskakuje ze stołeczka, osuwa się na podłogę i wrzeszczy bez ustanku, siedząc bezradnie w kałuży swojej spódniczki. Już po kilku chwilach jej buzia przypomina opuchnięty płat czerwonego mięsa, śliski od łez, smarków i śliny.

Sugar stoi i patrzy, porażona gwałtownością rozpaczki dziewczynki. Chwieje się na nogach, pragnąc, by to był tylko sen, z którego można uciec, przewracając się po prostu na drugi bok. Chciałaby mieć odwagę, by objąć Sophie właśnie teraz, kiedy wygląda brzydko i odrażająco jak nigdy, i chciałaby, żeby ten uścisk ukoił cały ból i okropne myśli wstrząsanego spazmami dziecka. Brak jej jednak odwagi; rozwrzeszczana, czerwona twarz pani Ruckham jest równie przerażająca jak obrzydliwa, a co więcej, gdyby Sophie odepchnęła ją, Sugar z pewnością całkiem puściłyby nerwy. Guwernantka stoi więc tylko w milczeniu i zaciska zęby. Dzwoni jej w uszach.

Po kilku minutach otwierają się drzwi do klasy (choć najpierw zapewne rozległo się pukanie, którego guwernantka ani jej podopieczna nie słyszały) i Gara wsuwa do pokoju swoją spiczastą mordkę.

– Czy mogę wam w czymś pomóc, panno Sugar? – przekrzykuje wrzask dziecka.

– Wątpię, Claro – mówi Sugar, choć zawroźnienie Sophie traci nagle na intensywności. – To chyba po prostu nadmiar świątecznych emocji...

Płacz, jaki podniosła Sophie, cichnie w urwanym kaszlnięciu, a twarz Clary nieruchomieje pod maską oburzenia i dezaprobaty: bo jak ten potworny bachor śmie podnosić taki wrzask z byle powodu?

– Powiedz mamie, że bardzo ją przepraszam! – chlipie Sophie.

Clara posyła Sugar spojrzenie, które zdaje się pytać: *Czy to ty podsuwasz jej takie głupie pomysły?*, a potem biegnie z powrotem do swojej pani. Drzwi zamykają się z cichym trzaskiem i klasę wypełnia znowu mgiełka dymu oraz odgłosy pociągania nosem.

– Proszę cię, Sophie, wstań już – mówi Sugar, modląc się w duchu, żeby dziewczynka usłuchała jej bez dalszych kaprysów. I Sophie posłusznie wstaje.

Długie godziny, które pozostały z drugiego dnia świąt, dnia cudownych prezentów i dyskretnych przygotowań do podróży, mijają niczym sen, który w swojej niezgłębionej mądrości postanowił nie przekształcać się w koszmar i przybrał po prostu stan niewinnego chaosu.

Po ataku płaczu Sophie uspokaja się i jest posłuszna. Skupia się na Nowej Południowej Walii i nazwach różnych odmian owiec; zapamiętuje nazwy oceanów, dzielące jej dom w Anglii od kontynentu australijskiego. Zauważa, że Australia wygląda niczym broszka, wpięta między Ocean Indyjski i Pacyfik, choć Sugar sądzi, że przypomina raczej łeb szkockiego teriera z nabijaną ćwiekami obrozą. Sophie wyznaje, że nigdy nie widziała teriera. Temat lekcji na przyszłość.

Dom Rackhamów zaczyna znowu normalnie funkcjonować, kiedy służące wstają z łóżek i przystępują do pracy. Punktualnie o pierwszej przynoszą do klasy lunch – kilka plastrów gorącej pieczeni wołowej, rzepę i ziemniaki – a chociaż na deser zamiast czegoś krzepiącego zwyczajnego, jak budyń albo ryż na słodko, Sugar i Sophie dostają znów świąteczny pudding, to jest on tym razem gorący, polany kremem z żółtek i posypyany gęsto cynamonem. Najwyraźniej świat cofa się już znad krawędzi rozpadu.

Rose także wraca do swoich codziennych obowiązków i otwiera drzwi, gdyż dzwonek dźwięczy wciąż natarczywie, albowiem owi dziwnie ubrani panowie, którzy przedtem odeszli z kwitkiem, wracają teraz z nadzieją, że dostaną świąteczne opakowania. Za każdym razem Sophie i Sugar podchodzą do okna, żeby im się przyjrzeć, i za każdym razem dziewczynka pyta: – Kto to jest, proszę panienki? – pokornie próbując załagodzić swoje wcześniejsze wybryki.

– Nie wiem, Sophie – odpowiada kilkakrotnie Sugar. Ponieważ guwernantka tyle razy przyznaje się do niewiedzy, można odnieść wrażenie, że może i dużo wie na temat historii starożytnej i geografii różnych dalekich krain, ale jeżeli chodzi o sprawy dotyczące domu Rackhamów, nie wie właściwie nic.

– Kiedy skończę lekcje dziś wieczorem, zacznę czytać moją nową książkę, panienko – oświadcza Sophie w czasie popołudniowej przerwy, gdy pannie Sugar głowa opada na piersi ze zmęczenia. – Oglądałam obrazki, które bardzo mnie... zaciekały.

Sophie podnosi wzrok na twarz opiekunki w nadziei, że zobaczy w niej promienną aprobatę, widzi jednak tylko słaby uśmiech na spierzchniętych, łuszczących się wargach i oczy, których białka pokrywa siateczka maleńkich, czerwonych rys. Czy te zadrapania zagoją się, czy pozostaną tam widoczne na zawsze? I czy jest występką oglądać obrazki w książce, zanim się ją przeczyta? Co jeszcze Sophie może zrobić, żeby stosunki między nimi wróciły znów do normy?

– Australia to bardzo interesujący kraj, panienko.

Tej nocy Sugar leży samotnie w łóżku i martwi się, że jakby tego wszystkiego było mało, na dobitkę nie będzie mogła zasnąć. A brak snu ją wykończy, bez dwóch zdań. Z cichym przekleństwem zamyka mocno oczy, które wbrew jej woli otwierają się sprężysto i wpatrują w ciemność. Istnieje naturalny porządek snu i czuwania, ona zaś zgrzeszyła przeciw niemu, co teraz się na niej mści.

A co będzie, jeśli w poszukiwaniu ostatniego, krzepiącego aktu rozpusty przed porannym

wyjazdem William ją odwiedzi? Może przywoła na twarz minę zbitego psa i zapyta, czy nie miałyby nic przeciwko temu, by wcisnąć Agnes w gardło dawkę laudanum? A może zechce tylko złożyć głowę na piersiach swojej kochającej Sugar? Po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy dziewczyna brzydzi się na myśl, że William Rackham mógłby jej dotknąć.

Jak jej się zdaje, leży tak z otwartymi oczami przez godzinę lub więcej, a potem zapala lampę i wyciąga spod łóżka pamiętniki. Czyta stronę, dwie, dwie i pół, ale wyłaniający się z nich wizerunek Agnes Rackham jest nie do zniesienia, przedstawia bowiem próżną i bezużyteczną istotę, za którą świat nie tęskniłby ani chwili, gdyby została z niego usunięta.

A zatem co uczynisz, kiedy do domu przybędzie zacny doktor z czterema wesołymi kompanami? – zapytuje Sugar samą siebie. *Zabierzesz Sophie na spacer po ogrodzie, a mężczyźni obezwładnią przeraźliwie wzywającą pomocy Agnes i poniosą ją do czarnego powozu?*

Agnes z pamiętnika jest mężatką od dwóch lat i skarży się na małżonka. Obwinia go o to, że całymi dniami nic nie robi, tylko pisze artykuły do „Cornhill”, których „Cornhill” nie publikuje, oraz listy do „Timesa”, których „Times” nie zamieszcza. We własnym domu nie jest tak interesujący, jaki wydawał się u niej. Zauważyła też, że nie ma tak ostro zarysowanego podbródka ani szerokich barów jak jego brat; prawdę mówiąc, brat Williama, Henry, jest pod każdym względem przystojniejszy, a co więcej, przerażająco szczery, i gdyby tylko nie ubierał się jak prowincjonalny szmuklerz...

Sugar poddaje się. Wsuwa pamiętnik z powrotem pod łóżko, gasi światło i ponownie usiłuje usnąć. Oczy bołą ją i swędzą – czym sobie na to wszystko zasłużyła?... Ach, tak. Nie zazna spokoju ktoś, kto uczestniczy w spisku, by podstępem zniewolić bezbronną kobietę...

A William? Czy zasnął? Powinien się rzucać na łóżko i pocić w udęce, Sugar ma jednak nadzieję, że spokojnie śpi. Być może, jeśli zbudzi się rano w pełni wypoczęty, zmieni swoje plany wobec Agnes. Ale chyba nie, chyba jednak nie. Sugar zna z doświadczenia twarz i objęcia mężczyzny, który przekroczył już punkt bez powrotu.

Wszystko będzie dobrze, obiecuję ci. Wszystko się dobrze skończy.

Złożyła Agnes taką obietnicę. Ale może faktycznie wszystko skończy się dobrze, jeżeli pani Rackham pojedzie do zakładu dla obłąkanych? Ma zmałowany umysł, bez wątplenia – czy jednak pod profesjonalną opieką da się go... przywrócić do równowagi? Wizja, która nawiedza Sugar, wizja kobiety w kajdanach, szlochającej żałością na słomiance w lochu, to czysta fantazja, rodem z tanich powieści! Labaube okaże się czystym, przyjaznym zakładem, w którym lekarze i pielęgniarki sprawują stałą opiekę nad pacjentami. Co więcej, to sanatorium leży przecież w Wiltshire... Kto wie, czy nieszczęsna, trapiąca rozmaitymi urojeniami Agnes nie będzie sobie wyobrażać, że znajduje się w Klasztorze Zdrowia i że tamtejsze pielęgniarki to zakonnice?

Wkrótce pomogę ci się stąd wydostać. Już wkrótce, obiecuję.

Tak powiedziała, podając przerażonej kobiecie ramię, którego Agnes chwyciła się kurczowo. Ach, co znaczą jednak obietnice w ustach dziwki? Tyle co ślina, którą można ulegle zwilżyć własny seks. Sugar przeciera oczy w półmroku i zaczyna nienawidzić samej siebie. Jest nieudaczną oszustką, bo zmyśla różne informacje na temat Australii... I wielkie nieba, jak upiornie uśmiechała się ta lalka, ten hinduski chłopiec, kiedy płomienie lizały jego głowę!...

Jak nowo narodzona, pociesza się Sugar. *Gdy Agnes wróci do domu, będzie jak nowo narodzona.* Tak powiedział William. Czy to nie może być prawda? Agnes powróci do zdrowia w sanatorium; ucałuje pielęgniarki w policzki, kiedy będzie wychodzić, i ze łzami w oczach uściśnie rękę lekarzowi, a potem wróci do domu i uzna Sophie za swoją córkę.

Ta myśl, choć miała jej dodać otuchy, wywołuje wręcz odwrotny skutek, bo ciałem dziewczyny wstrząsa zimny, okropny dreszcz. W ostatnich chwilach na jawie, już zapadając w sen, Sugar wie wreszcie, co powinna zrobić.

Wieczorem 27 grudnia William Rackham siedzi nad szklaneczką whisky w pubie w miejscowości Frome w Somerset. Pragnie przenieść się w czasie o dwa dni i chciałby, żeby było już pojutrze.

Wyjechał bardzo daleko i oddawał się licznym rozrywkom (kto by pomyślał, że wizyta w

starych zakładach tkackich nie zrobi na nim najmniejszego wrażenia!), a przecież musi jeszcze przepędzić trzynaście albo i czternaście godzin, nim doktor Curlew przybędzie do Chepstow Villas... W tym czasie wszystko może się wydarzyć – wcale więc nie jest, na przykład, wykluczone, że dopadnie go nerwowe załamanie... A ponieważ Gary nie ma w domu, którego pilnują tylko Rose i ta kretynka Letty, istnieje straszne ryzyko, że Agnes ucieknie... to znaczy, narazi się na niebezpieczeństwo...

William żałuje, że nie może skontaktować się z domem i upewnić się, iż Agnes jest bezpieczna. Zaledwie w przeszłym tygodniu czytał pewien artykuł w „Hogg’s Review”, opisujący ciekawe urządzenie, które będzie wkrótce produkowane w Ameryce. Jest ono zbudowane z magnesów i membran, przekształcających ludzki głos w impulsy elektryczne, toteż można go przesyłać na wielkie odległości. Ach, gdyby to urządzenie było już w powszechnym użyciu! Pomyśleć tylko: powiedziałby na linii kilka słów, otrzymałby odpowiedź: „Tak, Agnes jest w domu i śpi”, i w ten sposób oszczędziłby sobie męki niepewności.

Skądinąd może ta historia o cudownym telegrafie głosowym to tylko bzdura, kaczką dziennikarską, mającą zapełnić miejsce w gazecie, która cierpi na brak poważniejszych materiałów. Ostatecznie wystarczy pomyśleć, co sprowadziło go tutaj, do Frome! Ów jegomość, który rzekomo opracował nową metodę maceracji kwiatów, oczywiście okazał się oszustem, i w dodatku nieinteresującym. William spodziewał się, że będzie go przynajmniej zabawiał parującymi gazami, brzydko pachnącymi perfumami i cichymi okrzykami w rodzaju: „Proszę spojrzeć!”, ale nieznajomy okazał się zwyczajnym studentem uniwersytetu, który poprosił Rackhama, by przestudiował jego zabazgrane zeszyty, poszukuje bowiem sponsora, gotowego sfinansować badania nad jego wynalazkiem. Niech Bóg nas uchwyci przed stukniętymi młodzieńcami, którzy żądają pieniędzy na budowę zamków na piasku!

– Czegoś tu jednak nie rozumiem – powiedział William, z trudem zachowując panowanie nad sobą. – Jeżeli owa metoda jest rzeczywiście skuteczna, dlaczego nie możesz mi zademonstrować jej działania, panie? Na mniejszą, bardziej prymitywną skalę, włożywszy kilka kwiatów do misy?

W odpowiedzi młody człowiek bezradnym gestem wskazał swą nędzną izdebkę – sugerując, że w tak ubogich warunkach niemożliwe są nawet skromne cuda. Brednie! Ale niech się udusi we własnym żalu nad sobą, przed którym i tak nic go nie uchroni. William obiecał młodzieńcowi, że będzie o nim pamiętał, życzył mu powodzenia na studiach i uciekł.

Po tym ponurym spotkaniu i chaotycznej wycieczce po turystycznych atrakcjach miasteczka wrócił do swojego pensjonatu i przez jakiś czas zbijał baki w pokoju. Położywszy się na dziwnym, zbyt miękkim łóżku, próbował czytać rozprawkę na temat cybet i praktycznych – z punktu widzenia perfumiarza – przeszkód, jakie napotyka hodowla tych zwierząt w północnym klimacie, okazało się jednak, że niemal nic z niej do niego nie dociera, zaczął więc żałować, iż nie wziął ze sobą w podróż jakiejś powieści.

Poza tym pensjonat podzielał na niego wyjątkowo przygnębiająco. Właścicielka kazała mu przeliterować nazwisko „Rackham”, gdy wpisywała go do księgi meldunkowej, a poza tym patrzyła mu prosto w twarz, jak gdyby jej nigdy wcześniej nie widziała. I oczywiście okazało się, że wszystkie mydła w łazience są od Pearsa i na żadnym z nich nie widnieje ozdobne „R”. Przysiadłszy na brzegu brzydkiej, pokrytej siecią błękitnych spękań wanny, William o mało nie uderzył w płacz.

Teraz wszystko rozumie. Przez wiele miesięcy, odkąd przejął stery przedsiębiorstwa, ciągnęła go lokomotywa optymizmu; jego fortuna rosła z miesiąca na miesiąc, a podczas oszałamiających nocnych rozmów z Sugar przy Priory Close dziewczyna przekonała go, że przyszłość uległa stanie przed nim otworem, a wzlot firmy Rackhama na szczyty sławy jest koniecznością dziejową. Dopiero teraz jednak William dostrzega prawdę, wyzierającą zza mglistej przyszłości. Oto zbuduje swoje bezpotomne imperium, zestarzeje się i w podeszłym wieku będzie musiał patrzeć, jak się rozpada. Stanie się Ozymandiasem i ogarnie go czarna rozpacz, kiedy gmach jego interesów popadnie w koszmarną ruinę – albo (co gorsza) zostanie wchłonięty przez któregoś z rywali. Tak czy inaczej, za sto lub dwieście lat nazwisko Rackham przestanie cokolwiek znaczyć. A zarodek jego klęski tkwi tu, w mydelniczce, w miasteczku Frome w Somerset.

Nie mogąc ścierpieć własnego nieszczęścia, uciekł z pensjonatu i znalazł tawernę „Jolly Shepherdess”, tę, w której siedzi teraz nad szklaneczką whisky. Wbrew temu, na co miał nadzieję, nie jest to żadna świątynia wesołości, ale melancholijny, mroczny pub o obrzydliwej, drewnianej podłodze w kolorze karmelu i wyłożonym sztucznym marmurem barze. Wprawdzie buzuje tu ogień, na nim jednak kończą się wszelkie podobieństwa tego przybytku do „Fireside”; przy kominku siedzi stary pies o zaropiałych ślepiach, który skomli i marszczy się w półśnie za każdym razem, gdy w palenisku wzbijają się rozżarzone popioły. Klienci pubu z pewnością nie należą do dziarskich prowincjuszy, których gadanina, na co miał nadzieję, mogłaby zająć jego myśli czymś innym; piją w milczeniu, samotnie albo w grupkach po trzech, od czasu do czasu unosząc ospale głowy, aby poprosić o ponowne napełnienie szklanicy. Dwie szpetne niemłode kelnerki zajęte są czymś za barem – do tego stopnia, że nie mają czasu, by wskazać nowemu klientowi wolny stół, toteż William sam zajmuje miejsce w mrocznym kącie w pobliżu wejścia do toalety.

Zegar nad barem stanął na dwunastej – choć Bóg raczy wiedzieć, której nocy i jak dawno temu – padłszy z wysiłku, jakiego wymagało od niego wybicie najpóźniejszej godziny o jeden raz za dużo. William wyciąga zegarek, by sprawdzić, ile czasu musi jeszcze odczekać, zanim położy się spać choćby z odrobiną nadziei, że zaśnie, i w tym momencie podchodzi do niego jakiś nikczemnie wyglądający człowiek. Proponuje sprzedaż złotego zegarka, który miałby zastąpić srebrny czasomierz Rackhama. Kiedy William nie wyraża zainteresowania, nieznajomy łypie na niego z ukosa i pyta:

– A czy twoja żonka lubi pierścionki albo naszyjniki, panie?

William zaciska dłoń wokół szklanki whisky i straszy nieznajomego policją. Groźba odnosi zamierzony skutek, ale choć natręt już czmychnął, Rackham stwierdza, że nadal drżą mu ręce. Marszcząc brwi, wychyla whisky do dna i gestem każe sobie nalać następną.

Tak czy owak mija zaledwie kilka minut, zanim znów zostaje zagadnięty – tym razem nie przez złodzieja, lecz nudziarza. Mężczyzna ów, ponury jegomość o krzaczastych brwiach, odziany w tweedowy płaszcz, pyta, czy nie spotkali się już kiedyś w przeszłości – może na aukcji koni albo wyprzedazy starych mebli – i sugeruje niedwuznacznie, że jeśli Williamowi brak czegoś „z tych parafii”, powinien mu o tym powiedzieć we własnym, dobrze pojętym interesie. William nie odpowiada. W myślach widzi siedemnastoletnią Agnes, która biegnie przez zalane słońcem bujne trawy w majątku swego ojczyma, goniąc chwiejnie toczące się koło i wirując białymi spódnicami. – Ojej, chyba nadeszła pora, żebym już dorosła, co? – wydyszała potem, czyniąc aluzję do zbliżającej się wielkimi krokami chwili, w której znajdzie się w gronie mężatek. Ach, Boże! Kiedy to mówiła, na twarz wystąpił jej półprzeźroczysty rumieniec! A co on odpowiedział?

– Czym się pan zajmujesz?

– He? Co? – chrząka William, tracąc z oczu swą przyszłą oblubienicę. Nudziarz nachyla się ku niemu przez stół, a w jego obficie wypomadowanych włosach widać z bliska drobny łupież.

– W jaki sposób zarabiasz na chleb, panie? – pyta.

William otwiera usta, by powiedzieć prawdę, ale nagle ogarnia go strach, że mężczyzna weźmie go za kłamcę; i że gdy jutro wetknie swój brudny nochal do pierwszego lepszego sklepu w tym miasteczku, przekona się, iż firma Rackhama ani jej wyroby po prostu nie istnieją.

– Jestem literatem – mówi William. – Krytykiem. Pisuję w renomowanych miesięcznikach.

– Można coś na tym zarobić?

William wzdycha.

– Wystarczy, żeby człowiekowi głód nie zajrzał w oczy.

– A jak się pan nazywasz?

– Hunt. George W. Hunt.

Mężczyzna kiwa głową, bez chwili wahania lekceważąco ciskając to nazwisko w bezdenną otchłań.

– Aja Wray. William Wray. Wspomnij Williama Wraya, jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował konia, panie. – I z tymi słowy znika.

William ukradkiem rozgląda się z obawą, że za chwilę znów trafi mu się niechciane towarzystwo, ale doświadczył już chyba wszystkich przejawów nachalności, jakie ma do

zaoferowania ów pub. Dopiero teraz zauważa, że nie licząc kelnerek i wiszącego nad drzwiami ohydneho olejnego malowidła, przedstawiającego pasterkę, w pubie nie widać ani jednej kobiecej twarzy. Kelnerki są brzydkie jak diabli, a pasterka na obrazie ma zeza (chyba wbrew intencjom artysty?) i szczerzy zęby w wulgarnym uśmiechu. Ach, tymczasem usta Agnes są małe i kształtne, a jej uśmiech przypomina różany rumieniec na brzoskwińowej skórce... choć kiedy ostatnio całował ją w usta, co najmniej pięć lat temu, wargi Agnes zdawały mu się zimne, niczym cząstki schłodzonej pomarańczy...

Unosi szklanę, żeby zamówić następną whisky. Nigdy nie przepadał za mocnymi alkoholami, ale piwo jest tu tak podłej jakości, że klienci w rodzaju Bodleya i Ashwella wypuliby je natychmiast z pogardliwym parsknięciem. Poza tym, jeśli tylko okiełzna wzburzone myśli środkiem uspokajającym w postaci mocnego alkoholu, będzie mógł powrócić do pensjonatu i pomimo wczesnej jeszcze godziny błogo zasnąć. Potworny ból głowy o poranku to niewygórowana cena za noc bez przytomności i bez snów.

Po dwóch kolejnych whisky William uznaje, że magia alkoholu zaczyna na niego działać, a zatem pora wracać. Zegar nad barem stoi wciąż na dwunastej, jemu zaś nie chce się wyciągnąć zegarka z kieszonki kamizelki, uważa jednak, że jeśli złoży teraz głowę na poduszce, na pewno nie będzie żałował. Wstaje... i czuje nagle, że musi zwymiotować i oddać mocz tak szybko, jak to możliwe. Chwiejnym krokiem kieruje się do ustępu, po czym decyduje, że woli jednak zacisze jakiejś bocznej uliczki, i potykając się, wychodzi z „Jolly Shepherdess” na ciemne ulice Frome.

Po kilku chwilach znajduje wąski zaułek, cuchnący ludzkimi odchodami, najlepsze miejsce, gdzie może zrobić to, co zrobić musi. Kołysany mdłościami nieporadnie wyciąga członek ze spodni i sika w błocko; niestety, wciąż jeszcze pryska i ocieka moczem, kiedy fala mdłości zmusza go, aby pochylić głowę i wypuścić strugę wymiocin z ust.

– Ojejku, jejku – wola kobiecy głos.

Wciąż wymiotując, William unosi wzrok i poprzez połyskliwą woalkę napływających mu do oczu łez widzi zbliżającą się kobietę, młodą, ciemnowłosą, bez czepka, w stalowoszarej sukni w czarne pasy.

– Biedaczysko – mówi nieznajoma, podchodząc coraz bliżej i kołyszając biodrami.

William macha ręką, nakazując gestem, żeby kobieta odeszła, i bez przerwy rzyga, przerażony tym, jak szybko wokół bezbronного człowieka gromadzą się sępy.

– Biedne maleństwo, powinieś się położyć do miękkiego łóżeczka – mówi pieśczośliwie kobieta, która podeszła już na tyle blisko, że William widzi na jej twarzy maskę pudru i plamkę pieprzyło z tuszu na kościstym policzku.

Rackham raz jeszcze wściekle przecina ręką śmierdzące powietrze.

– Zostaw mnie w spokoju! – wrzeszczy, po czym (Bogu dzięki za Jego drobne łaski) nieznajoma odchodzi.

Ale trzydzieści sekund później kilka par silnych, owłosionych rąk chwyta Williama Rackhama za ramiona i kieszenie płaszcza, a kiedy usiłuje odepchnąć napastników, potężny cios w głowę strąca go prosto w przepaść.

– Przesiadka!

Hamując z drzeniem, pociąg otwiera drzwi i wypłuwa swoją ludzką zawartość na gwarnym dworcu Paddington. Syk pary zostaje niemal natychmiast zagłuszony przez głośniejszy gwar ludzkich głosów, kiedy pasażerowie, chcący zdjąć swoje bagaże z dachów wagonów, próbują nie dać się unieść kłębiącemu się tłumowi współtowarzyszy podróży, pragnących jedynie opuścić dworzec.

Gęsty tłum składa się z osób różnej płci i wieku: mieni się jaskrawymi i bufiastymi spódnicami kobiet na tle żalobnych cieni mężczyzn, ale na dworcu jest też mnóstwo dzieci, potrącanych i poszturchiwanych między chwiejnymi stosami walizek oraz innych bagaży. Jak miłe bywają ładnie ubrane i zadbane dzieci! Wielka szkoda, że podnoszą taki raban, kiedy są niegrzeczne! Patrz, jedno z nich już wrzeszczy, nie zwracając uwagi na błagania mamy. Dziecko! Słuchaj mamy, ty złośliwy gnomie; mama wie, co jest dla ciebie najlepsze, a ty musisz być dzielny, podnieś więc koszyczek,

który wypadł ci z ręki, i idź dalej!

Kobieta, która przypatruje się tej scenie, snując powyższe rozmyślenia, należy chyba do niezliczonej rzeszy londyńskiej biedoty – jest ubogo ubrana, sama i kuleje. Ma na sobie wygniecioną suknię z ciemnoniebieskiej bawełny z szarym fartuszkim z przodu, której żadna modnisia nie włożyłaby od ponad dziesięciu lat, wytarty czepek, dzisiaj w kolorze kremowym, choć przyszedł na świat biały, i bladobłękitny płaszcz, szorstki ze starości niczym wełna, z której został zrobiony. Kobieta odwraca się plecami do tłumu i staje w kolejce do kasy.

– Chciałabym kupić bilet do Lostwithiel – mówi mężczyźnie w okienku, kiedy przychodzi jej kolej, a kasjer taksuje ją wzrokiem od stóp do głów.

– Pociąg do Penzance nie prowadzi wagonów trzeciej klasy – ostrzega. Nieznajoma wyciąga z kieszonki sfatygowanej sukni nowiutki, sprężysty banknot.

– Pojadę drugą klasą. – Uśmiecha się bojaźliwie, autentycznie podekscytowana nową przygodą, jaką stanowi dla niej taka podróż.

Kasjer w okienku waha się przez chwilę, czy nie wezwać policji i nie sprawdzić, w jaki sposób kobieta w tak nędznym stroju weszła w posiadanie banknotu. W kolejce stoją jednak następni podróżni, a poza tym w twarzy tej szczupłej bidulki maluje się coś uroczego, co zdaje się świadczyć o tym, że gdyby wiodła nieco lżejszy żywot, zamiast ledwo wiązać koniec z końcem, rozkwitłaby zapewne w najśladszą żonkę, o jakiej mogą marzyć mężczyźni. Poza tym czy kobieta w sfatygowanym płaszczu nie może być legalną posiadaczką banknotu? Ostatecznie różni są ludzie na świecie. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu obsługiwał kobiety we fraku i spodniach.

– Powrotny też? – pyta.

Kobieta waha się, a potem na jej twarzy znowu gości uśmiech. – Tak, czemu nie? Nigdy nic niewiadome..

Mężczyzna przygryza górną wargę, wypisując bilet wiecznym piórem.

– Siódma siedemnaście, peron siódmy – mówi. – Przesiadka w Bodmin. Ubogo ubrana kobieta ujmuje blankiet biletu w swoje maleńkie dłonie i odchodzi, kulejąc. Rozgląda się, na poły zapominając, że jest sama, na poły zaś spodziewając się zobaczyć nadchodzącą z tyłu pokojówkę, która taszczy walizkę z jej ubraniami. Potem przypomina sobie, że nigdy już nie będzie potrzebować pokojówki, a nędzne szmaty, które ma na sobie, to ostatnie odzienie, z jakiego korzysta w swoim ziemskim życiu, mające jedynie okryć nagość jej powłoki cielesnej podczas podróży do ostatecznego celu.

Jeden głęboki wdech, by zebrać się na odwagę, i kobieta zaczyna lawirować w tłumie, stąpając ostrożnie, żeby nikt nie nadepnął jej na nogę. Robi jednak zaledwie parę kroków, gdy drogę zastępuje jej jakaś starsza, stateczna kobieta. Obie panie wykonują mały *pas de deux*, niczym damy, które muszą się minąć w wąskich drzwiach, po czym przystają. Oblicze starszej kobiety pełne jest współczucia.

– Czy mogę ci w czymś pomóc, kochanie?

– Nie sądzę – mówi Agnes. Została wyraźnie poinstruowana, by prośby i zaczepki obcych puszczać mimo uszu.

– Pierwszy raz w Londynie?

Agnes nie odpowiada. Pożegnanie dzisiejszego ranka okazuje się raczej mglistym wspomnieniem, było bowiem ciemno i bardzo wcześnie, kiedy szept Świętej Siostry zbudził ją ze snu, ale jeśli jest coś, co pamięta wyraźnie, to polecenie, by podczas podróży nic nikomu o sobie nie mówiła, bez względu na to, jak miły mógłby się wydawać jej rozmówca.

– Prowadzę chrześcijański pensjonat dla dam, które nie znają Londynu – ciągnie stateczna nieznajoma. – Proszę wybaczyć mi śmiałość, ale czy nie straciłaś niedawno męża, pani?...

Agnes nie odpowiada również i tym razem.

– Więc może mąż cię porzucił?...

Agnes potrząsa głową. Wolno jej to uczynić, a w każdym razie taką ma nadzieję. Była posłuszna Świętej Siostrze w każdym szczególe i musiała ścierpieć rozliczne przykrości, towarzyszące ucieczce – najpierw wysłuchiwała wstrząsającej wiadomości o grożącym jej spisku; potem przywdziała przebranie; wsunęła obolałe stopy w trzewiki; zeszła chyłkiem na dół,

zachowując się we własnym domu jak zwykły złodziej; a na końcu przy drzwiach wejściowych pożegnała się z godnością i bez słowa ze swoją Świętą Siostrą, której pomachała zaledwie jeden raz, kiedy kulejąc, odchodziła w śnieżny mrok – tak, stawiała czoło wszystkim tym niedolom bardzo odważnie, jak prosiła ją Święta Siostra; gdyby więc upadła teraz na duchu i zgrzeszyła przeciw niej, doprowadziłaby do prawdziwej tragedii.

– Wygląda na to, że dawno nie miałaś nic w ustach, kochanie – zauważa uparta samarytanka. – W naszym domu jest jedzenia w bród, trzy posiłki dziennie, i buzuje ogień. Poza tym nie potrzebujesz pieniędzy. Możesz zarobić na swoje utrzymanie, robiąc na drutach albo oddając się jakiemuś innemu zajęciu, do którego masz zdolności.

Agnes, wielce urażona sugestią, że obżarstwo, które utuczyło nagabującą ją właśnie brzuchatą istotę, miałoby dodać urody jej aparycji, prostuje plecy, unosi wysoko głowę i z topniejącą uprzejmością mówi:

– To bardzo miło z twojej strony, pani, ale jesteś w błędzie. Niczego od ciebie nie chcę, poza tym, byś zesłała mi z drogi. Spieszę się na pociąg. – Nieznajomej rzędzie mina, a wyraz współczucia na jej twarzy znika w brzydkich zmarszczkach; ale kobieta cofa się i Agnes rusza szybko przed siebie, usiłując iść z takim wdziękiem, jak gdyby znajdowała się w sali balowej. Strasznie bołą ją nogi, ma jednak swoją dumę.

Na peronie siódmym zawiadowca kieruje pasażerów do pociągu do Penzance, podtrzymując serce dzwonka i wskazując im drogę jego uchwytem.

– Proszę wsiadać! – krzyczy, po czym ziewa.

Agnes wsiada do wskazanego jej wagonu i zajmuje wolne miejsce bez niczyjej pomocy. Siedzenia są drewniane, zupełnie jak w kościele, pozbawione wspaniałych, miękko wyściełanych obić, do których przywykła, ale wszędzie jest czysto, bo – wbrew jej przypuszczeniom – wagon drugiej klasy wcale nie przypomina stajni na kołach. Towarzyszami podróży Agnes są: brodaty starzec, młoda matka z dzieckiem (na szczęście śpiącym!) na ręku – oraz posepny chłopiec o posiniaczonej twarzy, który trzyma na kolanach szkolny tornister. Pamiętając o wskazówkach Świętej Siostry, Agnes siada na swoim miejscu, przy oknie, i zaraz zamyka oczy, aby zniechęcić współpasażerów do nawiązania rozmowy.

Zresztą ogarniają nagle tak ogromne zmęczenie, że wątpi, czy w ogóle miałyby dość sił, żeby się odezwać. Stopy pulsują jej po morderczym wysiłku – najpierw długo wędrowała pieszo przez Notting Hill, zanim o świcie wybawiła ją z opresji dorożka; potem czekała długo na otwarcie dworca Paddington i poczuła się upokorzona, kiedy policjant kazał jej odejść sprzed wejścia; później jakiś zamroczony alkoholem mężczyzna złożył jej niedwuznaczną propozycję. Wytrzymała wszystkie te próby ogniowe, ale teraz płaci za to wysoką cenę. Okropnie boli ją głowa, jak zwykle za lewym okiem. Dzięki Bogu, to już ostatni dzień, w którym musi znosić ten ból.

– Wszyscy odprowadzający proszeni są o opuszczenie pociągu!

Głos zawiadowcy ledwo wzbija się ponad szum tętniącej w jej skroniach krwi, ale na szczęście Agnes już wielokrotnie słyszała jego nawoływania w swoich snach. Wyraźnie dociera do niej z kolei szept Świętej Siostry, rozbrzmiewający echem w jej rozpalonej głowie: – Pamiętaj, kiedy przyjedziesz na miejsce i wysiądziesz, z nikim nie rozmawiaj. Idź prosto przed siebie, dopóki nie znajdziesz się daleko na wsi. Zapukaj do drzwi jakiejś farmy albo do kościoła i powiedz, że szukasz klasztoru. Nie nazywaj go Klasztorem Zdrowia, bo tam nie będzie znany pod tą nazwą. Po prostu poproś stanowczo, żeby wskazano ci drogę do klasztoru. Nie pozwól się zbyć, nie mów nikomu, kim jesteś, i nie daj odprawić się z kwitkiem. Obiecuj mi to, Agnes, obiecuj mi to.

Pociąg syczy, drży i zaczyna się toczyć. Agnes otwiera oko – prawe, które nie boli tak, jak gdyby miało za chwilę eksplodować – po czym wygląda przez okno, łudząc się płonną nadzieją, że ujrzy na peronie swojego anioła stróża, który uroczystym skinieniem głowy wyrazi uznanie za to, iż okazała się dzielną dziewczynką. Ale nic z tego, bo Święta Siostra jest zajęta gdzie indziej, ratując ludzkie dusze i opatrując ciała. Agnes zobaczy ją jednak już wkrótce, na stacji końcowej.

Część piąta

W szerokim świecie

Skąpana w ciepłe niebios, naga i nieważka, unosi się wysoko ponad kominami fabrycznymi i wieżami kościołów całego świata, gdzieś w najwyższych rejonach rozpalonego firmamentu. Olbrzymie fale łagodnego wiatru i przypominających poduchy chmur przewalają się i wirują w powietrzu, a atmosfera wokół jest odurzająco aromatyczna. Wbrew jej wyobrażeniom raj w niczym nie przypomina nieruchomej, przezroczystej pustki zapomnienia – jest raczej niczym ocean, w którym można oddychać, brodzi więc w ciężkim powietrzu, zmniejszając odległość dzielącą ją od ciała leżącego obok mężczyzny. Kiedy jest już blisko, rozwiera uda, oplata go nogami i ramionami, a potem rozchyła wargi, by przyjąć wcielenie jego miłości.

– Tak, och, tak – szepcze, obejmując mężczyznę za kark, żeby mógł się w nią wsunąć głębiej; całuje go czule; splatają się podbrzuszymi; stają się jedną istotą. Wirująca chmura okrywa ich jak pled, kiedy unoszą się na rozkosznie miękkich falach wieczności, niesieni niczym pływacy przez rytmiczne prądy i gwałtownymi ruchami własnych ciał.

– Kto by pomyślał, że to tak wygląda! – zastanawia się kobieta.

– Nie mów nic – wzdycha mężczyzna, zsuwając dłonie z pleców na jej pośladki. – Za dużo gadasz.

Śmieje się, bo wie, że jest to prawda. Ucisk jego piersi na jej biuście jest jednocześnie krzepiący i podniecający. Ma nabrzmiąte brodawki, a jej kanał rodny rozszerza się i kurczy, łaknąc nasienia kochanka. Splatają się i toczą w dół po zboczach wielkiej chmury, aż wreszcie, kiedy namiętność przeszywa jej ciało jak ogień, kobieta nagle kręci raptownie głową, dysząc ciężko z rozkoszy...

– Emmeline!

Pomimo ekstatycznych spazmów zachowuje dość przytomności umysłu, aby rozpoznać, że nie jest to głos Henry'ego, którego niewyraźne, gorące tchnienie unosi jej włosy, wołanie dochodzi bowiem z jakiegoś innego, niewidocznego źródła.

– Emmeline, jesteś tam?!

Dziwne, myśli, gdy rozstępują się chmury i zaczyna spadać z nieba na ziemię, głową w dół. *Bóg chyba by mnie nie wołał, bo On przecież doskonale wie, że jestem w domu.*

– Emmeline, słyszysz mnie?!

Łąduje w łóżku nadzwyczaj miękko, biorąc pod uwagę oszałamiającą prędkość, z jaką spadała, i siada, dysząc ciężko, a tymczasem zza drzwi wejściowych dobiega wciąż wołanie.

– Emmeline!

Na litość boską, to ojciec. Pani Fox wyskakuje z łóżka, przewracając na grzbiet kota, który przebiera łapami w powietrzu. Rozgląda się po sypialni w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby okryć nagość, ale znajduje tylko płaszcz i koszulę Henry'ego, które – wraz z kilkoma innymi częściami jego garderoby, wyjętymi z worka z napisem Tuttle&Son – zabiera ostatnio do łóżka na pociechę. Narzuca na ramiona ciepły, wygnieciony płaszcz niczym pelerynę, rękawy koszuli przewiązuje w pasie jak fartuch i dopiero potem zbiega na dół.

– Tak, jestem, ojciec – woła przez oddzielające ich drewno i mleczone szkło. – Przepraszam, nie słyszałam cię... byłam zajęta. – Słońce świeci dość mocno i Emmeline domyśla się, że musi być co najmniej jedenasta; o wiele za późno, by mogła się przyznać, że spała.

– Wybacz, że ci przeszkadzam, Emmeline, ale mam pilną sprawę – mówi ojciec.

– Ja... przepraszam, ojciec, nie mogę cię wpuścić do środka. – Co się dzieje z tym człowiekiem? Emmeline przestała przyjmować gości; to chyba już ustalili! – Jeżeli chcesz, to ja do ciebie przyjdę, jeszcze dzisiaj rano. Albo po południu.

Zdeformowany kształt ojcowskiej głowy, zwieńczonej ciemnym cylindrem, majaczy bliżej szyby.

– Emmeline!... – Z tonu doktora Curlew można wnosić, że nie jest mu w smak, iż robi z siebie widowisko, dobijając się do domu własnej córki na oczach przechodniów. – Od naszej rozmowy zależy, być może, życie pewnej kobiety.

Emmeline przez chwilę zastanawia się nad tymi słowami. Wie, że melodramatyczność nie leży w naturze ojca, a zatem życie kobiety, o której wspomniał, zapewne jest naprawdę zagrożone.

– Ach... proszę, zaczekaj kilka minut... zaraz... zaraz wyjdę...

Pędzi z powrotem na górę i ubiera się tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu; wkłada długie majtki, koszulkę, suknię, żakiet, pończochy, podwiązki, buty, rękawiczki i czepek mniej więcej w takim czasie, jakiego potrzebowałyby lady Bridgelow, żeby się namyślić, gdzie ma wpiąć szpilkę do włosów.

– Jestem gotowa, ojczy – dyszy Emmeline. – Pójdziemy na spacer. – Sylwetka ojca cofa się od progu i Emmeline wychodzi, starannie zamykając za sobą drzwi, wiodące do pełnego kurzu bałaganu. Głęboko wdycha świeże, zimne powietrze, a kiedy przekręca klucz, czuje na sobie spojrzenie ojca, który powstrzymuje się jednak od komentarza.

– Już! – mówi wesoło pani Fox. – Chodźmy.

Odwraca się ku niemu; jak zwykle jest bardzo zadbany, w przeciwieństwie do niej, o czym informuje ją zmarszczka na jego czole. Doktor Curlew to przystojny, starszy, pełen godności mężczyzna, o tak, chociaż na jego pomarszczonej twarzy widać wyraz zmartwienia. Na świecie panoszy się całe mnóstwo chorób, a walczy z nimi tylko jeden starzec, zbrojny w torbę lekarską... Jeśli w tamtym żalosnym liściku od pani Rackham znalazło się coś, co przekonało Emmeline, że umysł jego biednej autorki chwieje się jak kurek na wietrze, były to słowa mające świadczyć o tym, iż doktor Curlew jest człowiekiem z natury złym; albowiem w oczach Emmeline ojciec jest uosobieniem dobroci, człowiekiem, który składa złamane kości i opatruje rany, ona zaś, idąc za jego filantropijnym przykładem, może co najwyżej pisać listy do polityków i prowadzić rozmowy z prostytutkami.

Ta myśl przebiega jej przez głowę lotem błyskawicy, gdy Emmeline spostrzega, że majaczącą nad nią przed domem postacią ojca wstrząsa zniecierpliwienie. Potem doktor rozgląda się nerwowo po ulicy i pani Fox pojmuje, że stało się coś bardzo niedobrego.

– Co ci jest, ojczy? Co się stało?

Curlew ruchem ręki pokazuje, żeby odeszli dalej, bo nieopodal pojawia się sąsiedzka zjawia wścibskiej, starej plotkary, przystrojona wypchanymi, błękitnymi sikorkami i lisim futrem.

– Emmeline, to, co mam ci do powiedzenia, jest tajemnicą, choć długo nią nie będzie – oświadcza ojciec, gdy oddalają się szybko, pozostawiając z tyłu nienadążającą za nimi prześladowczynię. – Pani Rackham zniknęła. Wczoraj rano miała zostać przewieziona do sanatorium. Pojechałem do Rackhamów, żeby ją odwiedzić, lecz Agnes nie było w domu. Zniknęła.

Emmeline, choć słucha go uważnie, szuka znaków na niebie i w zachowaniu przechodniów, które pomogłyby jej odgadnąć, jaka jest właściwie pora dnia.

– Może pojechała w odwiedziny do jakiejś przyjaciółki? – odpowiada.

– Wykluczone.

– Dlaczego? Czy pani Rackham nie ma przyjaciółek? – Niebo ciemnieje; to chyba jeszcze nie zmierzch? Nie, w górze zbierają się deszczowe chmury, żeby spuścić na ziemię swoje brzemię.

– Wydaje mi się, że nie pojmujesz powagi sytuacji. Pani Rackham uciekła w środku nocy, w stanie całkowitego rozstroju umysłowego. Znalezione wszystkie jej ubrania; suknie, żakiety, płaszcze i bluzki, z wyjątkiem pary butów i kilku sztuk bielizny. Innymi słowy, wyszła na ulicę niemal nago. Jest całkiem możliwe, że zamarzyła na śmierć.

Emmeline wie, że powinna całkowicie wypełnić się współczuciem, jej instynkt polemiczny bierze jednak górę.

– Niejedna kobieta wychodzi zimą na ulicę niemal całkiem nago i wcale od tego nie umiera, ojczy – zauważa.

Doktor Curlew ogląda się znów przez lewe i prawe ramię, żeby upewnić się, że nikt go nie usłyszy, chociaż otaczają ich jedynie nieliczni kolorowi zmiatacze ulic, chodzący tu i ówdzie chłopcy na posyłki, rozpieszczone pieski i damulki.

– Przejdę do rzeczy, Emmeline. W liście, jaki napisała do ciebie pani Rackham, była mowa o pewnym miejscu, które podobno bardzo pragnęła odwiedzić. Czy dała ci do zrozumienia, gdzie ono się znajduje w jej mniemaniu? W sensie geograficznym?

Emmeline nie wie, czy śmiać się, czy płakać.

– Cóż, ojczy, jak wiesz, sądziła raczej, że dowie się tego ode mnie.

– A co jej napisałaś?

– W ogóle nie odpowiedziałam na ten list – mówi Emmeline. – Sam mnie do tego skłoniłeś.

Doktor Curlew, wyraźnie rozczarowany, kiwa potakująco głową.

– Niech ją Bóg ma w swojej opiece – mruczy, kiedy ulicą przejeżdża z turkotem powóz, za którym ciągnie się długi ślad spadającego na bruk końskiego łajna.

– Nie wiedziałam, że pani Rackham jest tak chora – mówi Emmeline.

– Znaczą: na umyśle.

Curlew patrzy, gdzie w tej chwili znajduje się zamiatacz, który ani drgnie, przygląda się bowiem innej, bardziej sympatycznie wyglądającej parze, która zbliża się właśnie do drugiej sterty nawozu.

– Pani Rackham uciekła wcześniej z domu w Boże Narodzenie – wyjaśnia lekarz. – Połowa domowników szukała jej do świtu w deszczu i śniegu. W końcu znalazła ją w powozowni guwernantka, niejaka panna Sugar.

Emmeline nastawia uszu, słysząc imię „Sugar”; choć to zupełnie nieprawdopodobne, mogłaby przysiąc, że natknęła się na nie niedawno w jakiejś książce. Ale gdzie?

– Cóż za godna pożałowania historia... nie miałam o niej pojęcia! – mówi pani Fox. – A William, jej mąż? Nie podejrzewa, gdzie może być jego żona?

Doktor Curlew potrząsa przecząco głową.

– Naszego herolda przedsiębiorczości dopiero dziś rano przewieziono do domu ze szpitala w Somerset – odpowiada znużonym, sardonycznym głosem. – Został napadnięty przez „łowców błyskotek” we Frome.

Emmeline wydaje nieprzystojne parsknięcie.

– Napadnięty przez kogo?

– Przez „łowców błyskotek”. Tak nazywają się bandyci, którzy napadają na bezbronnych pijaków przed pubami. Doprawdy, Emmeline, tyle czasu spędziłaś z ramienia Towarzystwa wśród nizin społecznych Londynu i nigdy nie słyszałaś tego określenia?

– Słyszałam za to inne, których ty zapewne nie znasz, ojczy – odpowiada córka. – A w jakim pan Rackham jest stanie?

Doktor Curlew wzdycha z irytacją.

– Stracił srebrny zegarek, płaszcz i trochę pieniędzy. Poza tym doznał wstrząsu mózgu, ma sińce na całym ciele, problemy z oczami i dwa złamane palce. Podobno jeden z tych łajdaków skoczył mu całym ciężarem na prawą rękę. Rackham miał diabelnie dużo szczęścia, że go nie pchnęli nożem.

Emmeline dostrzega niedaleko sklep rzeźniczy, w którym ostatnio stała się częstą klientką. Gdyby nie zapomniała torebki, kupiłaby kotu śniadanie. Ale może rzeźnik sprzeda jej coś na kredyt...

– Wygląda na to, że należałoby zawiadomić policję – mówi pani Fox, zastanawiając się, jak długo jeszcze ojciec zamierza z nią spacerować, zanim zrozumie, że w niczym nie potrafi mu pomóc, i zostawi ją w spokoju. Gdyby tak mogła zamienić na osobności kilka miłych słów z rzeźnikiem...

– Rackham nie chce nawet o tym słyszeć. Nieszczęsny głupiec, obawia się skandalu.

– Jak to? Skoro jego żony od dwóch dni nie ma w domu...

– Tak, tak, oczywiście, w końcu będzie musiał zawiadomić policję, i to niedługo. Ale jego zdaniem policja to ostateczność.

Emmeline przystaje przed wystawą, gęsto wypełnioną odwróconymi do góry nogami jagnięcymi i prosięcymi tuszkami. Otwarte trzewia przystrojone są sznurami kiełbasek.

– Co oznacza, jak sądzę, że przedostatnią deską ratunku byłam ja?

Doktor Curlew wpatruje się badawczo w stojącą obok niego kobietę, niestannie ubraną, niezbyt zadbaną, kościstą, którą spłodził przed trzydziestu laty. Urosła od tamtej pory, ale nie wypiękniała – nie całkiem szczęśliwym zbiegiem okoliczności odziedziczyła po nim pociągłą twarz, a guzowatą, niekształtną czaszkę po matce. Lekarz w jednej chwili przypomina sobie datę jej

urodzin i śmierć swojej żony – dwa straszliwe wydarzenia, które miały miejsce w tym samym łóżku, tego samego dnia – i nagle dociera do niego, że mimo słabego zdrowia Emmeline dożyła już dużo starszego wieku niż jej matka, która umarła z rumieńcem na policzkach, w nieświadomości, bez powstających od zmartwień zmarszczek na czole, bez kurzych łapek w kącikach oczu, bez wyrazu znużonej mądrości na twarzy i bez znoszonej stoicko rozpacz.

Doktor pochyla głowę, kiedy rozchyła się niebo i ciężkie krople deszczu rozbryzgują się na ich ramionach.

– Pax, moja córko – wzdycha.

– Policja – mówi William. – Bbb... będę musiał za... zawiadomić po... policję. – Krzywi się, zniecierpliwiony tą przeklętą jakaniną, na którą zapadł jego język, odkąd Rackhamowi strzaskano czaszkę. Jak gdyby nie spotkało go już dość różnych nieszczęść!

Siedzi w swoim gabinecie w towarzystwie Sugar, późnym wieczorem, trzydziestego dnia grudnia. Jeżeli służba jest w nastroju do plotek, z pewnością sobie na nich poużywa, choć w tym, co robi teraz z guwernantką, nie ma, do diabła, nic nieprzyzwoitego: Sugar po prostu pełni po godzinach funkcję sekretarki pana domu, albowiem obrażenia, jakie odniósł William, nie pozwalają mu samodzielnie prowadzić korespondencji. Boże wszechmogący, dlaczego kiedy korzysta z usług jedynej porządnie wykształconej kobiety w tym domu, wszystkie wścibskie babska w rodzaju Clary od razu muszą go podejrzewać o cudzołóstwo? Niech tylko spróbuje wetknąć tu ten swój ciekawski nochal, a przekona się, że w gabinecie szeleszczą tylko papiery i nic innego się nie dzieje!

– Co o tym myślisz, hmm? – rzuca dziewczynie pytanie przez cały pokój. (Leży na otomanie z owiniętą bandażami głową; opuchnięte, purpurowofioletowe oblicze Williama pokrywa haft czarnego deseni zakrzepłej krwi, a jego prawa ręka tkwi w pętli temblaku; Sugar z kolei siedzi wyprostowana za biurkiem, trzymając w pogotowiu pióro, wiszące nad listem, którego Rackham jeszcze nie podyktował). – Jesteś cholernie milcząca.

Sugar poważnie zastanawia się nad odpowiedzią. Po powrocie z Somerset William stał się niebywale drażliwy – uderzenie w głowę nie wyszło mu na zdrowie. Powierzył dziewczynie prowadzenie swojej korespondencji i posadził ją u steru Rackham Perfumeries, na własnym krześle, wykonanym z drewna orzecha włoskiego, ale początkową radość Sugar mącą jego przerażająco chimeryczne humory. William udzielił jej błogosławieństwa, żeby podrobiła jego podpis, albowiem kiedy próbował podpisać się lewą ręką, zamiast swojego nazwiska skreślił jedynie jakiś dziecinny bazgroł; jednak dreszczyk, jaki ją wtedy przebiegł, przestał być szczególnie emocjonujący, gdy Rackham ofuknął dziewczynę, że fałszerstwo zajmuje jej za dużo czasu.

– Policja? Sam wiesz najlepiej, co powinieneś uczynić, Williamie – odpowiada Sugar. – Choć muszę przyznać, że moim zdaniem Agnes nie mogła się zabłąkać gdzieś daleko. Kuśtykająca kobieta z poranionymi nogami, która nie miała na sobie nawet sukienki, jeśli wierzyć Clarze...

– Minęły już tt... tt... trzy dni! – wykrzykuje William, jak gdyby jego słowa mogły potwierdzić albo podważyć rozumowanie Sugar.

Dziewczyna zastanawia się nad różnymi działaniami, których podjęcie mogłaby doradzić Williamowi, ale niestety, większość z nich niesie mniejsze bądź większe ryzyko, że Agnes zostanie jednak odnaleziona.

– Hmm... może zamiast stawiać na nogi sforę policjantów i dawać ogłoszenia w gazetach, powinieneś wynająć detektywa? – podsuwa guwernantka. (Sugar w ogóle nie zna się na tych sprawach, czytała o detektywach tylko w *Księżycowym kamieniu*²⁸, ma jednak nadzieję, że nieudolni policjanci, jak Seegrave, są liczniejsi niż ci inteligentni, jak Cuff).

– Tak źle i tak niedobrze, niech to diabli! – woła William i wyciąga lewą rękę, chcąc chwycić się za włosy, ale pod palcami znajduje tylko bandaż.

– Nie... nie rozumiem, kochany!

– Jeżeli n... n... nadam nieszczęściu Agnes rozgłos, narażę ją na niewy... mewy...

28 Słynna powieść kryminalna angielskiego pisarza Wilkie Collinsa (1824-1889), przyjaciela Dickensa, który w ostatnim okresie twórczości pozostawał pod jego znacznym wpływem. Inspektor Seegrave i sierżant Cuff to postaci z tej książki (przyp. tłum.).

niewyobrażalną hańbę. Jej i moje nazwisko stanie się pośmiewiskiem od Anglii po... po... Tunezję! Ale z kolei co będzie, jeżeli ona zna... zna... znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a ja tymczasem nic nie robię, choć mija kolejny dzień?!...

– Ale co może jej grozić? – oponuje Sugar najłagodniejszym i najbardziej rzeczowym tonem, na jaki potrafi się zdobyć. – Jeśli zamarzyła tej nocy, kiedy uciekła, to... cóż, teraz nie może już przytrafić się jej nic złego i pozostaje nam tylko odnaleźć ciało. A jeżeli żyje, może to oznaczać tylko tyle, że ktoś ją przyjął pod swój dach. To zaś prowadzi z kolei do wniosku, że będzie bezpieczna jeszcze przez pewien czas, gdy tymczasem dyskretnie śledź...

– To m... m... moja żona, do diabła! – wrzeszczy William. – Moja żona!

Dziewczyna natychmiast pochyła głowę w nadziei, że wściekłość Williama stopnieje, zanim usłyszy go służba albo Sophie. Na leżącym przed Sugar firmowym papierze listowym widnieje wyłącznie nagłówek: „Drogi panie Woolworth”, dziewczyna nie zauważyła jednak, że z pióra skapnęła kropelka atramentu, która zaplamiła nazwisko adresata.

– Czy nie rozumiesz, że A... Agnes może pilnie potrzebować pomocy?

– żali się William, zdrową ręką wygrażając światu za oknem.

– Ależ Williamie, jak przed chwilą mówiłam...

– Nie chodzi o prosty wy... wy... wybór między życiem a śmiercią... Są rze... rze... rzeczy straszniejsze niż śmie... śmie... śmierć!

Sugar podnosi z niedowierzaniem głowę.

– Nie udawaj przede mną nie... nie... niewiniątka! – pieni się William.

– Kto wie, czy w tej chwili ja... ja... jakaś wstrętna, stara wiedźma w rodzaju twojej pani Castaway nie za... za... zakwaterowuje jej w jakimś oh... oh... ohydny zamtuzie!

Sugar przygryza wargę, odwracając się twarzą do pociemniałej od dymu tytoniowego tapety. Oddycha miarowo i nie ociera policzków z łez, którym pozwala ściekać po brodzie i dalej, na kołnierzyk sukni.

– Jestem przekonana, że wbrew twoim obawom Agnes jest zbyt słaba i chora, by... by można było wykorzystać ją w ten sposób – odpowiada, kiedy nabiera pewności, że głos nie zdradzi jej wzruszenia.

– Nie czytałaś *Dalszych hulanek w L... Londynie?* – pyta Rackham ostro, jednym tchem. – Zapomniałaś już, że w tej branży prowadzi się miły ha... ha... handelek umierającymi dziewczętami? – Tu William wydaje przeraźliwy jęk obrzydzenia, jak gdyby skorupka jego niewinności pękła dopiero w tej chwili, pozwalając mu poczuć w nozdrzach odór ludzkiej podłości.

Sugar siedzi w milczeniu, czekając, aż Rackham znów przemówi, ale zdaje się, że atak wzburzenia minął; ramiona Williama wiotczeją i kilka minut później dziewczyna zaczyna się zastanawiać, czy pan domu nie zapadł przypadkiem w drzemkę.

– Williamie? – pyta bojaźliwie. – Możemy teraz odpowiedzieć na list pana Woolwortha?

A zatem zegnaj, roku 1875.

Jeżeli 31 grudnia w domu Rackhamów mają miejsce jakieś noworoczne uroczystości, wyprawia się je po kryjomu i ostentacyjnie bez udziału pana. W innych domach, jak metropolia długa i szeroka, ba, w całym cywilizowanym świecie, przygotowania do powitania Nowego Roku idą zapewne pełną parą, ale w Chepstow Villas nowy kalendarz ma niewielkie znaczenie w obliczu innego wydarzenia, na które tu wszyscy czekają. Życie domowników zawisło bowiem między dwiema epokami: pierwszą, sprzed zniknięcia pani Rackham, i drugą – choć nie wiadomo, kiedy ona nastanie – którą zacznie liczyć się od chwili jakiegoś sygnału o losie Agnes, gdy mieszkańcy rezydencji będą mogli wypuścić wreszcie powietrze z obolałych płuc.

Jest 1 stycznia 1876 roku i służące wypełniają swoje obowiązki jak co dzień. Smarują tłuszczem formy do pieczenia chleba, choć nie wiadomo, czy potrzeba go więcej, i prasują prześcieradła, które układają na stosach pościeli na zimę. W kaczym mięsie są robaki, trzeba więc będzie przekazać je Shearsowi jako nawóz, poza tym jednak służba wykazuje się niejaką sprawnością, i nawet Clara wytrwale przemierza schody w górę i w dół. Co chwila wchodzi albo wychodzi z sypialni pani Rackham, oddala jednak pozostałe służące ostrzegawczym grymasem twarzy, aby nie próbowały jej

o nic pytać.

Nie można także narzekać na guwernantkę, że zaniedbuje swoje obowiązki, bo pierwsza część pierwszego dnia Nowego Roku zastaje ją w wirze nowego rozkładu zajęć: rano prowadzi lekcje z panną Sophie, potem pośpiesznie je lunch, a później przez dwie godziny pracuje z panem domu w jego gabinecie.

Sugar i William zabierają się do dzieła bez żadnych wstępów ani uprzejmości, albowiem zębate koła przemysłu kręcą się dalej, nie zważając na nikogo – nie ma więc po co się żalić, że człowiek ma złamane palce, boli go głowa i zaginęła jego żona. Trzeba zapłacić rachunki, ścigać znikających dostawców i stanowczo zaradzić rynkowemu niepowodzeniu saszetek zapachowych Millefleur, produkowanych przez firmę Rackhama.

Sugar pisze do kilku dżentelmenów, parę razy delikatnie doradza Williamowi, żeby złagodził wojowniczy i urażony ton dyktowanej korespondencji, a ponadto stara się, jak może, aby treść listów pozostawała spójna. Niemal bez zastanowienia zastępuje zwroty w rodzaju: „A niech łotr ma za swoje!”, sformułowaniami typu: „Pański szczerze oddany”, a także koryguje obliczenia Williama, gdy ten traci cierpliwość do rachunków. Raz już wybuchnął dziś gniewem na pewnego producenta sadzy lampowej z West Ham, a teraz leży bezwładnie na otomanie, pochrapując ciężko przez spuchnięty, zatkany zakrzepłą krwią nos.

– Williamie? – pyta cicho Sugar, ale Rackham nie słyszy, ona zaś wie już, że William bardzo się denerwuje, kiedy budzi go donośnym wołaniem; jeśli natomiast pozwala mu spać, udziela jej na ogół rozgrzeszenia, które przybiera postać łagodnej reprimendy.

By zabić jakoś czas do chwili, kiedy zbudzą go dolegliwości albo dopóki nie będzie musiała wracać do Sophie, Sugar czyta „Illustrated London News”, przewracając w milczeniu kolejne stronicie. Zdaje sobie sprawę, że policja wie już o zaginięciu Agnes, choć najwyraźniej funkcjonariusze zastosowali się do prośby Williama o zachowanie sprawy w największej tajemnicy, albowiem gazeta nie wspomina pani Rackham ani jednym słowem. Sensacyjną wiadomością dnia jest natomiast wypadek, określony mianem „Wielkiej katastrofy na Północnej Magistrali Kolejowej” (jak gdyby wydarzenie to przeszło już do legendy). Rycina, „sporządzona na podstawie szkicu, wykonanego naprędce przez niedoszłą ofiarę”, przedstawia grupę krzepkich, odzianych w płaszcze z grubego sukna mężczyzn, otaczających wykolejony wagon ze składu pociągu „Flying Scotsman”. Brak talentu artysty, a może nadmiar delikatności z jego strony, sprawia, że ratownicy wyglądają niczym listonosze, przerzucający worki z korespondencją, toteż ilustracja w żaden sposób nie oddaje grozy opisywanego wydarzenia. Trzydzieści osób zginęło, a dwadzieścia cztery odniosły obrażenia wskutek straszliwej kolizji, do jakiej doszło w Abbots Ripton²⁹, na północ od Peterborough. Podobno przyczyną wypadku był niesprawny semafor. Taka tragedia niewątpliwie dostarczy wielu emocji pułkownikowi Leekowi!

Sugar myśli, oczywiście, o Agnes; wyobraża sobie, jak ratownicy wyciągają ją z wraku wagonu z połamanymi rękami i nogami albo rozprutym brzuchem. Czy to możliwe, że podróż z Notting Hill do miasta zajęła jej aż tyle czasu i że pani Rackham wsiadła następnie w pociąg do Edynburga? Sugar jest w niepewności, nie ma bowiem pojęcia, dokąd Agnes zdecydowała się ostatecznie pojechać, kiedy znalazła się już na dworcu Paddington – o ile w ogóle tam dotarła. „Popatrz na rozkład jazdy, a nazwa miejscowości sama ci się objawi”, tak brzmiała jedyna rada, jakiej udzieliła jej „Święta Siostra”, jedyna rada, jakiej mogła jej udzielić, biorąc pod uwagę, że Sugar w życiu nie podróżowała pociągiem i nie zna żadnych połączeń kolejowych. Ale co by było, gdyby urzeczona religijnym brzmieniem nazwy „Abbots Ripton”³⁰, Agnes postanowiła udać się właśnie tam?

Pod artykułem widnieje notatka, zatytułowana *Bezpieczeństwo podróży kolejją*:

W 1873 roku zginęło gwałtowną śmiercią 17246 osób, co daje przeciętnie 750 osób na milion mieszkańców. Z tego 1290 osób zginęło w wypadkach kolejowych, 990 w katastrofach górniczych, a 6070 wskutek innych przyczyn mechanicznych; 3232 ofiary utonęły, 1519 osób zginęło pod kopytami koni lub kołami powozów, a 1132 osoby zabiły różnego rodzaju maszyny; do pozostałych

29 Abbot (ang.) – „opat” (przyp. tłum.).

zgonów doszło wskutek upadków, oparzeń, uduszeń i innych nieszczęśliwych zdarzeń, na które wszyscy jesteśmy narażeni każdego dnia.

William chrapie i postępuje w niespokojnym śnie, a Sugar wyobraża sobie Agnes spadającą w przepaść górniczej sztolni, unoszącą się twarzą w dół na wodzie w jakimś paskudnym stawie, wciągana z wrzaskiem w maszynię młockarni, znikającą pod miażdżącymi jej ciało końskimi kopytami i kołami powozu, spadającą ze skały i wijącą się w agonii w płomieniach. Kto wie, może mimo wszystko w sanatorium Labaube byłoby jej lepiej?...

Ale nie. Agnes nie jechała tym pociągiem i nie uległa żadnemu z tych strasznych wypadków. Zrobiła dokładnie to, co nakazała jej Święta Siostra. Wieczorem 28 grudnia znajdowała się już daleko poza zasięgiem wszelkiego zagrożenia i siedziała bezpiecznie w jakiejś wiejskiej oazie. Wyobraźmy sobie prostego rolnika, pracującego w polu, czyli... no, robiącego to, co chłopci robią na polach. Chłop zauważa nagle obcą kobietę, idącą wśród pszenicy, owsa albo innego zboża; spotyka ubogo ubraną, chromającą nieznajomą, która ledwo trzyma się na nogach. Czego tu szuka? Klasztoru, odpowiada kobieta, po czym mdleje i pada u jego stóp. Wieśniak bierze ją na ręce i zanosí do domu, gdzie jego żona miesza w garnku zupę...

– Ach! Ach! – jęczy William, odpędzając zdrową ręką wyimaginowanych napastników.

Sugar wymyśla jeszcze inną historię: oto w świetle księżycy oszołomiona pani Rackham wychodzi na chwiejnych nogach z jakiegoś podmiejskiego dworca i idzie na ponuro wyglądający plac w miasteczku, gdzie natychmiast opada ją banda rzeźmieszków, którzy zabierają jej pieniądze, jakie dostała od Sugar, zrywają z niej ubranie, przemocą rozkładają jej nogi na boki i...

Zegar wybija drugą. Pora na popołudniowe lekcje Sophie Rackham.

– Przepraszam, Williamie – szepcze Sugar, a całym jego ciałem wstrząsa dreszcz.

Mijają kolejne dni. Nowy rok, który nie śmie wymówić swojego imienia, nieswojo posuwa się naprzód i wygląda na to, że jedyną osobą w domu Rackhamów nieprzejmującą się nieobecnością Agnes jest Sophie. Niewątpliwie zaginięcie matki budzi w niej jakieś uczucia, skrywane głęboko w krępych, ciasno opiętym suknią ciałku, dziewczynka nie okazuje jednak niczego prócz ciekawości.

– Czy mama ciągle jest jeszcze na ucieczce? – pyta każdego ranka nie całkiem gramatycznie, przybierając zagadkowy wyraz twarzy.

– Tak, Sophie – odpowiada guwernantka, jak gdyby cytowała katechizm, po czym zaczyna się ich zwykły dzień pracy.

Nie uchodzi uwagi Sugar, że – o paradoksie! – w przeciwieństwie do Williama, Sophie zachowuje się niczym wcielenie wystudiowanego spokoju, cierpliwości i dojrzałości, Rackham natomiast dąsa się, jąka, wrzeszczy i zasypia w pół zdania jak rozkapryszony dzieciak. Sophie tymczasem oddaje się poznawaniu Australii z zapałem godnym osoby, która wkrótce ma zamieszkać w tym kraju, po czym wkuwa na pamięć reakcyjne poglądy dawnych królów Anglii, jak gdyby były to najbardziej użyteczne wiadomości dla sześcioletniej dziewczynki.

Nawet kiedy się bawi, można odnieść wrażenie, że usiłuje odpokutować za grzeszne wybryki podczas świąt Bożego Narodzenia. Wspaniała francuska lalka, która zapewne spodziewała się wypełnionego po brzegi rozkładu rozmaitych zajęć towarzyskich, zmuszona jest spędzać znaczną większość czasu, stojąc w kącie, gdzie medytuje nad swoją własną próżnością, podczas gdy Sophie siada cichutko przy biurku i rysuje kredkami ciemnoskórego sługę, siedzącego na słońcu, przy czym w każdy kolejny rysunek dziewczynka wkłada coraz więcej serca.

Rozdział po rozdziale przedziera się też przez *Przygody Alicji w Krainie Czarów*. Czyta każdy epizod po kilka razy, dopóki nie nauczy się go na pamięć lub nie zrozumie jego treści, jedno z dwojga. To najdziwniejsza opowieść, jaką dotąd czytała, musi jednak istnieć jakiś powód, dla którego guwernantka dała jej tę książkę, a im dłużej Sophie ją czyta, tym bardziej oswaja się z panującą w niej grozą, aż wreszcie zwierzęce postaci zdają się jej niemal tak przyjazne jak w wierszykach pana Leara. Sądząc po ilustracjach w dalszej części książki, historia Alicji zmierza zapewne do dramatycznego finału, ale Sophie przekona się o tym dopiero, gdy do niego dotrze, a ponieważ ostatnie trzy słowa tekstu brzmią „radosne dni lata”, zakończenie nie może być zbyt

okropne. Bardzo podobają się jej niektóre rysunki, na przykład ten, na którym Alicja pływa z Myszka (bo tylko na tej ilustracji bohaterka przybiera beztroski wyraz twarzy), a także ten, na którego widok Sophie za każdym razem wybucha głośnym śmiechem, przedstawiający fruującego w powietrzu wielkiego grubasa. Ten rysunek z całą pewnością wykonał jakiś czarodziej – gęsta siatka ciemnych kresek tej ilustracji działa bowiem niczym magiczne zaklęcie bezpośrednio na jej brzuszek, wzbudzając w nim czkawkę śmiechu, bez względu na to, jak bardzo mała próbuje ją opanować. Jeśli zaś chodzi o fragment, w którym Alicja zastanawia się, kim jest, i mówi, że odpowiedź na tak postawione pytanie stanowi prawdziwą zagadkę, to czytając go na nowo, Sophie za każdym razem głęboko wzdycha, albowiem ów motyw z jej własnych najskrytszych myśli niezwykle ją niepokoi.

– Ogromnie się cieszę, że twój świąteczny prezent przypadł ci do gustu, Sophie – mówi panna Sugar, widząc ją znów nad *Przygodami Alicji*...

– Bardzo, panienko – zapewniają Sophie.

– Muszę cię pochwalić, bo jesteś grzeczną dziewczynką, która czyta sobie i rysuje, kiedy ja pomagam twojemu ojcu w pracy.

Sophie rumieni się i pochyla głowę. Nie rysuje nieszczęsnego hinduskiego chłopczyka na słoni dlatego, że chce być greczna, i nie dlatego czyta o przygodach Alicji, powtarzając ZJEDZ MNIE i WYPIJ MNIE, gdy nikt jej nie słyszy. Robi to wszystko, ponieważ nie może postępować inaczej: rysować i czytać nakazuje jej bowiem jakiś tajemniczy głos, który zdaniem Sophie nie jest chyba głosem Boga.

– Czy teraz zaczniemy przerabiać Nową Zelandię, panienko? – pyta z nadzieją mała.

Ósmego dnia nieobecności Agnes Sugar zauważa, że Sophie nie pyta już, czy „mama ciągle jeszcze jest na ucieczce”. Dziewczynka nie wierzy chyba, aby ktokolwiek mógł ukrywać się poza domem ponad tydzień, bo po tak długim czasie powinien już dawno zostać odnaleziony. Żadnej zabawy w chowanego niepodobna przeciągać przecież tak długo i żaden niecny czyn nie może nikomu uchodzić płazem tyle czasu. Pani Agnes Rackham przeniosła się po prostu do innego domu, i tyle.

– Czy papę wciąż boli ręka? – Sophie zadaje jej nowe pytanie, kiedy kończą lunch, a Sugar zbiera się, by pójść do gabinetu.

– Tak, Sophie.

– Powinien ją pocałować, a potem trzymać tak – mówi dziewczynka, pokazując, jak wsunąć prawą dłoń pod lewą pachę. – Ja zawsze tak robię.

– Po czym posyła Sugar dziwne, błagalne spojrzenie, jak gdyby w nadziei, że naturalnie guwernantka przedstawi opis tej kuracji jej nieposiadającemu się ze szczęścia ojcu.

Sugar, oczywiście, nie wspomina ani słowem o tym zdarzeniu, gdy stawia się do pracy w gabinecie. Zewnętrzne obrażenia Williama goją się szybko, Rackham jednak nigdy dotąd nie był tak popędliwy, a na dobitkę – ku swej wściekłości – nie przestaje się jąkać. Krótko mówiąc, oryginalna porada medyczna autorstwa jego córki nie jest tym, co William chciałby usłyszeć.

Choć poczta będzie jeszcze tego dnia rozwożona po raz trzeci i czwarty, na biurku rośnie już przeraźliwie ponury stos korespondencji, a praca posuwa się naprzód bardzo powoli, albowiem William wciąż snuje rozmaite dygresje, żaląc się na podstępna nielojalność kooperantów. Poza tym wspomina Agnes; najpierw twierdzi, że dom bez niej jest tylko pustą skorupą i chętnie oddałby wszystko, co posiada, byle tylko usłyszeć jej słodki śpiew w salonie, a chwilę później oświadcza, iż wycierpiał siedem długich lat i teraz z pewnością zasłużył już na odpowiedź.

– Na jaką odpowiedź, kochany? – pyta Sugar.

– Czy m... m... mam żonę, czy nie? – stęka William. – Od sie... sie... siedmiu lat za... za... zadaję sobie to py... py... pytanie. Nie wiesz, jaka to m... m... męka chcieć być jedynie mężem, istnieć zaś po... po... pod każdą inną postacią: jako potwór, o... o... oszust, cerber, do... do... dobrze ubrany manekin, z którym mo... mo... można się pokazać w towarzystwie podczas Se... Se... Sezonu... Niech diabli porwą tę ją... ją... jąkaninę!

– Zaczynasz się bardziej jąkać, kiedy ponoszą cię emocje, Williamie. Gdy zachowujesz spokój, mówisz prawie normalnie. – Czy to zbyt wierutne kłamstwo? Nie, zdaje się, że je przełknął.

Jeśli nie liczyć jąkania, Rackham z pewnością wraca już do zdrowia. Temblak zwisa mu beużytecznie na szyi, a ostatnio William nie wyleguje się całymi dniami i nie pochrapuje na otomanie, lecz co pewien czas staje chwiejnie na nogi i usiłuje chodzić po pokoju. Jego wzrok właściwie wrócił już do normy, a za każdym razem, kiedy William ociera pocącą się obficie twarz, usuwa z niej coraz więcej płatków zakrzepłej krwi, odsłaniając świeżą, różową skórę.

– Wracamy do pracy, kochany? – proponuje Sugar, na co William wyraża zgodę chrząknięciem. Kiedy dziewczyna odczytuje napisane już listy, Rackham skupia się na kilka krótkich chwil, niefrasobliwie nuci coś pod nosem i słysząc podawane przez guwernantkę liczby, kiwa głową na znak aprobaty, ale po chwili irytuje go jakiś niefortunny zwrot, i słaby pancrzyk jego opanowania pęka po raz kolejny.

– Napisz temu ła... ła... łajdakowi, że może się powiesić na tym swoim I... 1... Inie! – woła, a dziesięć minut później mówi o innym kupcu: – To podła świ... świ... Świnia, nie ujdzie mu to na sucho! – Sugar nauczyła się już odpowiadać na takie wybuchy długim, taktownym milczeniem, po którym proponuje nieco bardziej pojednawcze brzmienie tekstu.

Lecz jeśli reakcję Williama na postępowanie jego korespondentów można nazwać nieumiarkowaną, to i tak jest ona wzorem racjonalnego zachowania w porównaniu z komentarzami, jakie wygłasza na widok wizytówek od znajomych Agnes.

– Pani Gooch? Ma spo... spo... sporo na sumieniu! Jej tłuste cielsko przetworzyło więcej dżinu i opium niż sze... sze... sześć ulicznic z Cheapside razem wziętych. Czego może chcieć ta wstrętna kro... kro... krowa? Zaprosić Agnes na jeden ze swoich se... se... seansów spirytystycznych?

– To tylko bilecik wizytowy, Williamie – mówi Sugar. – Pozostawiony w geście dobrej woli.

– Niechaj diabli porwą tę ko... ko... kobietę! Jeśli ta... ta... taka z niej jasnowidząca, po... po... powinna chyba wiedzieć, że by... by... byłoby lepiej, gdyby nie przychodziła do nas wę... wę... węszyć!

Sugar czeka, aż mu przejdzie. Na srebrnej tacy, którą przyniosła Rose, spoczywa jeszcze kilka wizytówek.

– Może wolałbyś, żebym nie czytała poczty, która nie dotyczy twojej firmy? – proponuje dziewczyna.

– Nie! – ryczy William. – Chcę wiedzieć wszystko! Masz informować mnie o wszystkim, słyszysz?!

Dziesięć dni po zaginięciu Agnes, kiedy zza chmur wygląda wreszcie słońce, Sugar postanawia przeprowadzić popołudniowe lekcje z Sophie w ogrodzie.

Ogród nie wygląda teraz ładnie i nie jest w nim miło – pełno tu brudnego śniegu, na wół stającej brei i błota, w którym rosną już tylko najbardziej odporne rośliny. Mimo wszystko to miejsce stanowi odmianę w stosunku do domu, gdzie panuje wybuchowa, niespokojna atmosfera, od empireum gromowładnego pana domu aż po suterene, rozbrzmiewającą niesionymi przez poddmuchy przeciągów wrzaskami.

Teraz, gdy gasną nadzieje, że pani Rackham żyje i jest bezpieczna, służące znajdują sobie nowe zmartwienie. Nie przejmują się już zamieszaniami, jakie by powstało, gdyby ich panią przywieziono całą i zdrową do domu, ogarnia je bowiem strach, iż zostaną zwolnione – wszak jeśli pani Rackham nie wróci już do domu, w rezydencji będzie za dużo służących. A pierwszą, chociaż zapewne nie jedyną ofiarą zwolnień stanie się Clara. Pan Rackham jest ostatnio ciągle w fatalnym humorze i miota groźby oraz oskarżenia pod adresem wszystkich dziewcząt, które nie spełnią z wyprzedzeniem jego kaprysów. Letty już kilkakrotnie zalewała się łzami, a tej nowej, impulsywnej podkuchennej, kiedy wyprowadzona z równowagi, krzyknęła: „Nie wiem, gdzie podziewa się pańska utrapiona żona!”, pan kazał się wczoraj spakować i dopiero kilka godzin później nieuprzejmie dał do zrozumienia, że może na razie zostać.

Zważywszy wszystko, to naprawdę nieszczęśliwy i wypełniony złymi przecuciami dom. A zatem panna Sugar i panna Rackham wychodzą na dwór, porządnie opatulone w serżowe płaszcze

zimowe, w obszytych futrem butach i rękawiczkach. Za murami domu Rackhamów rozciąga się inny świat, a żeby go zobaczyć, wystarczy się po prostu ciepło ubrać.

Najpierw odwiedzają stajnię, gdzie Sugar wytrzymuje długie, bezczelne spojrzenie Cheesmana, by zobaczyć nieśmiały uśmiech Sophie, która głaszcze konia po boku.

– Tylko nie pozwól tej swojej guwernantce na żadne bezecne sztuczki, w żadnym wypadku, panienko Sophie! – woła wesoło Cheesman, kiedy wychodzą.

Potem zwiedzają szklarnie pod baczynym okiem Shearsa, który nie pozwala im niczego dotykać. W zaparowanych szklanych kontenerach rosną tu niesezonowe warzywa – pierwsze owoce wielkiego planu Shearsa, aby mieć wszystko „świeże przez okrągły rok”.

– Czego się dzisiaj uczysz, panienko Sophie? – pyta ogrodnik, wskazując ruchem głowy na podręcznik do historii, który tuli do piersi guwernantka.

– Życia Henryka VIII – odpowiada dziewczynka.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – odpowiada Shears, który nie widzi sensu w żadnej nauce, wykraczającej poza umiejętność czytania instrukcji na butelkach z różnymi truciznami. – Nigdy nie wiadomo, kiedy może ci się przydać Henryk VIII.

Zakończywszy te towarzyskie odwiedziny, obchodzą teren rezydencji Rackhamów dookoła, wzdłuż płotu, trasą, jaką wędrowała kiedyś Sugar, gdy podglądała życie mieszkańców domu, z tą tylko różnicą, że znajdowała się wtedy po drugiej stronie żelaznego parkanu. Dziewczyna przygląda się domowi – nie musi już mrużyć oczu, aby zajrzeć za płot – i przypomina sobie, jak bardzo chciała kiedyś wiedzieć, co kryją te mury, teraz zaś już wie. Niech Cheesman pozwala sobie na bezczelność, jeśli ma ochotę; Sugar osiągnęła już więcej, niż jej się nawet śniło, a zajdzie jeszcze dalej.

Po drodze opowiada Sophie o panowaniu Henryka VIII, nadając jego historii tak sensacyjny wymiar, jak potrafi, a chociaż koloryzuje, nie odczuwa najmniejszych wyrzutów sumienia. Prawdę mówiąc, musi wziąć się w karby, by nie przytaczać zbyt wielu rozmów z udziałem swojego bohatera słowo w słowo, obawia się bowiem, że może w ten sposób wyczerpać na pozór bezgraniczną łatwowierność dziewczynki. Opowieść Sugar o srogim władcy Anglii, zbudowana z prostej fabuły i sześciu uzupełniających epizodów, brzmi na tyle baśniowo, że Katarzyna Aragońska, Anna Boleyn i Anna z Cleves przypominają do złudzenia Świnki Trzy albo Trzy Niedźwiadki z bajek dla dzieci.

– Jeżeli Henryk VIII tak bardzo chciał mieć syna, panienko, to dlaczego nie ożenił się z jakąś damą, która już miała dziecko? – pyta Sophie.

– Bo chciał mieć własnego syna.

– Ale czy syn tej damy, którą Henryk VIII pojąłby za żonę, nie stałby się jego synem zaraz po ślubie?

– Tak, ale żeby zostać prawowitym dziedzicem tronu, syn musi być krwią z krwi i kością z kości króla.

– Czy właśnie stąd się biorą dzieci, panienko? – pyta Sophie na skraju rezydencji Rackhamów 8 stycznia 1876 roku, o wpół do trzeciej po południu. – Z krwi?

Sugar otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz je zamyka.

Wytrysk męskiego śluzu, jedno oślizgłe kobiece jajeczko i zobacz, co się dzieje: nadadzą dziecku imię Emmanuel, podpowiada jej uczynnie pani Castaway.

Sugar ociera czoło.

– Ach... Nie, kochanie, dzieci nie biorą się z krwi.

– A z czego, panienko?

Przez chwilę Sugar wymyśla jakieś niedorzeczne fantazje, w których występują elfy i czarodziejki, porzuca jednak ten pomysł i przypomina sobie o Bogu, choć myśli, że Bóg mógłby w jakiś cudowny sposób powoływać do życia dzieci, których późniejszym losem nie okazuje żadnego zainteresowania, wydaje się jej jeszcze bardziej absurdalna.

– Cóż, Sophie, to jest tak, że... ach... że dzieci się hoduje.

– Jak rośliny? – pyta Sophie, przyglądając się przypominającym trumny szklarniom oraz inspektorom ogórkowym, rozsianym po całym ogrodowym królestwie Shearsa.

– Tak, chyba po trosze tak.

– Czy dlatego wujka Henry’ego zakopano w ziemi, kiedy zmarł, panienko? Żeby wyrosły z niego dzieci?

– Nie, nie, kochana Sophie – odpowiada pospiesznie Sugar, zadziwiona, z jaką łatwością dziewczynka wypuszcza na wolność dżiny śmierci, narodzin i kolejnych pokoleń, wszystkie jednocześnie. – Dzieci hoduje się w... hoduje się w...

To nie ma sensu. Nic nie przychodzi jej do głowy, a nawet jeśli zdoła coś wymyślić, dziecko nic z jej wyjaśnień nie zrozumie. Zastanawia się, czy nie wyciągnąć ręki, by dotknąć brzuszka Sophie, porzuca jednak tę myśl.

– Tutaj – mówi Sugar, kładąc rękę na swoim własnym brzuchu. Przez kilka chwil Sophie wpatruje się w milczeniu w jej pięć rozczapierzonych palców, po czym zadaje nieuniknione pytanie:

– Ale jak, panienko?

– Gdybym miała męża, mógłby... zasadzić w moim brzuchu nasiono, z którego może wyrosłoby potem dziecko – mówi Sugar, ostrożnie dobierając słowa.

– A skąd mężowie biorą te nasiona, panienko?

– Wytwarzają je. Mają po temu odpowiednie zdolności. Choć zdaje się, że Henrykowi VIII nieco ich brakowało. – W ten sposób guwernantce udaje się skierować rozmowę z powrotem na spokojne wody dziejów dynastii Tudorów; a w każdym razie tak sądzi.

Lecz kilka godzin później, kiedy Sophie jest już po kąpieli i wypudrowana leży w łóżku, a Sugar okrywają pledem po samą szyję i z drobnych, jasnych loczków dziewczynki układa figlarną aureolę wokół jej sennej główki, okazuje się, że przed zgaszeniem światła należy zgłębić jeszcze jeden problem.

– W takim razie ja wyszłam z brzucha mamy.

Sugar sztywnieje.

– Tak – odpowiada, mając się na baczności.

– A moja mama wyszła z brzucha...

– Swojej mamy – potwierdza Sugar.

– A mama mojej mamy wyszła z brzucha swojej mamy, a mama mamy mojej mamy wyszła z brzucha swojej mamy, a mama mamy mamy mojej mamy wyszła z brzucha swojej mamy... – Dziewczynka zapada w sen, powtarzając te słowa jak absurdalną rymowanekę.

– Tak, Sophie. W ten sposób możesz się cofać aż do zarania dziejów.

Nie wiadomo dlaczego Sugar ogarnia nagle chęć, żeby wślizgnąć się do łóżka obok Sophie, całować jej buzię i włosy, przytulić ją mocno z nadzieją, iż dziewczynka odwzajemni uścisk, a potem ukołysać łagodnie główkę małej na swoim łonie, dopóki obie nie zasną.

– Aż do Adama i Ewy? – pyta Sophie.

– Tak.

– A kim była matka Ewy?

O tak późnej porze Sugar jest już zbyt zmęczona, by zmyślać rozwiązania zagadek religijnych, tym bardziej że wie, iż skory do gniewu William czeka na nią w gabinecie, a wraz z nim kolejny stos korespondencji handlowej.

– Ewa nie miała matki – szepcze guwernantka.

Sophie nie odpowiada. Albo już zasnęła, albo to wyjaśnienie wydaje się jej całkiem wiarygodne, biorąc pod uwagę, czego dowiedziała się do tej pory o świecie.

– Powiedz mi, czy ty i A... A... Agnes... zawarłyście kiedykolwiek bliższą znajomość? – pyta nagle prowokacyjnie William, kiedy Sugar jest już w połowie listu do Grovera Pankeya w sprawie dostawy osobliwie kruchej kości słoniowej.

Dziewczyna podnosi głowę i ostrożnie odkłada świeżo namoczone pióro na suszkę.

– Bliższą znajomość?

– Tak – mówi Rackham. – Kiedy po... po... policyjni detektywi rozmawiali ze służbą, interesowały ich zwłaszcza te os... os... osoby, z którymi Agnes pozostawała szczególnie blisko.

– Policjanci? Byli u nas w domu? Kiedy? – Zadając te pytania, Sugar przypomina sobie Sophie,

która z lunetą w ręku stoi w oknie klasy i oznajmia, że właśnie wychodzą kolejni spóźnieni „domokrażcy”, którzy przyszedli żebrać o świąteczną jałmużnę. – Nikt ze mną nie rozmawiał.

– Nie – mówi William, odwracając wzrok. – Po... po... pomyślałem, że będzie najlepiej, jeśli zostawię cię w spokoju, bo by... by... byłaś zajęta z Sophie, a poza tym obawiałem się, że z ta... ta... takich czy innych powodów możesz być znana policji.

Sugar przypatruje mu się znad biurka. William ma dość krążenia w kółko po pokoju jak na jeden wieczór i od godziny leży na otomanie. Dziewczyna widzi tylko jego turban z bandażu, mocno już przybrudzony temblak i perspektywicznie skrócone nogi, które Rackham nieustannie krzyżuje i rozkłada. Trudno uwierzyć, że kiedykolwiek była jego kochanką, która spędziła nie wiedzieć ile godzin i nocy na Priory Close, kąpiąc się i perfumując dla niego.

– A... A... Agnes na... na... nawiązywała cholernie dzi... dzi... dziwne stosunki z ko... ko... kobietami, które ledwo znała. Do... do... dowiedzieliśmy się na przykład, że na... na... napisała list do Emmeline Ff... Ff... Fox, błagając, żeby ta po... po... podała jej adres nieba.

– Ja w ogóle nie znałam twojej żony – mówi spokojnie Sugar.

– Kiedy policja prze... przesłuchiwała Clare, okazało się, że A... Agnes powtarzała jej z uporem, jakoby z powozowni przy... przyprowadził ją do domu anioł stróż, jej jedyny przy... przyjaciel, który za... zawsze nad nią czuwa.

Plecy dziewczyny przebiega chłodny dreszcz przykrego poczucia winy, lecz jednocześnie Sugar z trudem opanowuje chichot, i chociaż doświadczyła w życiu wielu nietypowych doznań fizycznych, to musi przyznać, że takiej mieszanki lęku i wesołości jeszcze nie zaznała.

– Wszystko trwało nie dłużej niż pięć minut – mówi. – Usłyszałam wołanie Agnes, odnalazłam ją w powozowni i odprowadziłam do domu. Nie powiedziałam, kim jestem, a ona mnie nie pytała.

– I mimo to okazała ci zaufanie?

– Nie znała mnie przecież, a zatem chyba nie miała powodu, żeby mi nie ufać.

William odwraca się i patrzy jej prosto w oczy. Sugar odwzajemnia jego spojrzenie bez mrugnienia okiem, przybierając prostoduszny wyraz twarzy i przywołując na pomoc tę samą powściągliwość, która onegdaj pozwalała jej przekonywać niebezpiecznych klientów, że z prostytutki żywej i posłusznej będzie więcej pożytku niż z uduszonej i niezdolnej do aktywności.

Zegar bije w pół do jedenastej i William znów osuwa się na otomanę.

– Nie powinienem cię dłużej zatrzymywać.

Następnego dnia, jak zwykle po lunchu, Sugar biegnie do gabinetu Williama, ale nie zastaje go.

– Williamie? – woła cicho, jak gdyby Rackham mógł wyskoczyć z segregatora albo z pudełka na cygara niczym diabełek. Ale nie: Sugar jest sama.

Zajmuje miejsce u steru Rackham Perfumeries i czeka kilka minut, porządkując papiery i przeglądając „Timesa”. Nowa linia pasażerska, której parowce wypływają z Liverpoolu w każdy czwartek, proponuje dwudziestopięciodniowe rejsy do Ameryki i z powrotem, z postojami w Nowym Jorku i Niagara Falls. Sol Aurine produkuje wzbudzającą powszechny podziw pozłotę w opakowaniach za pięć szylingów i sześć pensów sztuka. Artykuł zatytułowany *Mnogość tragedii* podaje, co ucieszy pułkownika Leeka, wszystkie eksplozje, pożary i inne katastrofy z minionego tygodnia. W Hiszpanii trwa wojna domowa, podobnie jak w Hercegowinie. Sytuacja we Francji jest niepewna. Sugar konstatuje ze zdumieniem, że zastanawia się, co może oznaczać dla francuskiego przemysłu perfumeryjnego zwycięstwo republikanów w nadchodzących wyborach.

Na biurku spoczywa także niewielki stosik nieotwartej jeszcze korespondencji. Czy nie powinna zająć się nią teraz, zanim William skorzysta z okazji, by skomplikować im pracę w przyływie złego humoru? Mogłaby przeczytać, co mają mu do zakomunikowania dostawcy, naszkicować stosowne odpowiedzi, a potem, gdy Rackham wróci, udawać, że dopiero otwiera te listy, z głośnym szelestem rozcinając koperty nożem do papieru z drugiej strony...

Słychać tykanie zegara. Po pięciu minutach bezczynności Sugar zastanawia się, czy nie wezwać służącej i nie zapytać o to, gdzie jest William, ostatecznie nie starcza jej jednak odwagi, żeby pociągnąć sznur dzwonka. Dlatego opuszcza gabinet i schodzi na dół, gdzie gości bardzo rzadko, jeśli nie holuje z sobą Sophie. Pod stopami na dywanie spostrzega plamy krwi, których wcześniej

nie zauważyła – plamy krwi Agnes. Nie, to nie są plamy, to raczej ślady po nich, ponieważ plamy ktoś energicznie szorował, a na ich miejscu na dywanie pojawiły się tylko nieznacznie zmatowiałe rumieńce czystości.

Sugar idzie na palcach, zaglądając kolejno do wszystkich pokoi, aż wreszcie znajduje Rose. Pokojówka ma nieco zaskoczona minę winowajczynie, albowiem dziewczyna zastaje ją przy kominku, gdzie siedzi zatopiona w lekturze jakiegoś tandetnego tomiku opowiadań, wyciągnawszy nogi na skrzyni z węglem. Swobodna familiarność, która łączyła je w święta, niknie niczym papierowa wycinanka w płomieniach, a Sugar i Rose na powrót stają się guwernantką i służącą.

– O ile wiem, pan Rackham nie planował na dzisiaj żadnych spotkań – mówi z wyższością Sugar. – Nie sądzę więc, aby było ci wiadomo, gdzie...?

– Po pana Rackhama przyjechała dzisiaj rano policja, panno Sugar – odpowiada Rose.

– Policja?... – powtarza guwernantka jak ktoś niespełna rozumu.

– Tak, panno Sugar – odpowiada znów Rose i tuli książkę do piersi, zasłaniając mroczną pierwszą stronę okładki, lecz eksponując czwartą, na której zamiast omdlewającej niewolnicy widnieje reklama cudownych „pigulek Beechama”. – Przyjechali po niego około dziewiątej.

– Rozumiem – mówi Sugar. – A ty zapewne nie wiesz, w jakiej sprawie, co, Rose?

Pokojówka nerwowo oblizuje usta.

– Proszę, nie mów nikomu, że wiesz o tym ode mnie, panno Sugar, ale wydaje mi się, że znaleziono panią Rackham.

William Rackham kiwa głową i wydaje nieartykułowane dźwięki na znak, że dwaj funkcjonariusze, którzy chwycili go pod ręce, mogą rozluźnić uścisk, albowiem niebezpieczeństwo już minęło. Stanie o własnych siłach; zawroty głowy przeszły, więc policjanci nie muszą go już dłużej podtrzymywać.

– Spróbuj przyrzeć się najmniej rozłożonym miejscom ciała, jeśli zdołasz, panie – radzi pracownik kostnicy.

William podchodzi bliżej, toczy wokoło spojrzeniem i utwierdza się w przekonaniu, że jest w piekle – w pełnej ech, syczącej i fosforyzującej hali fabrycznej, gdzie najprawdopodobniej produkuje się trupy. Nie tak głęboko, jak w chwili, kiedy go tu wprowadzono, wciąga jednak do płuc zepsute powietrze – cuchnący octem i kamforą koktajl, utrzymywany w lodowatej temperaturze – a potem siłą woli opuszcza głowę na piersi i spogląda na leżącego na stole nagiego trupa.

Są to zwłoki nad wyraz wychudzonej kobiety wzrostu Agnes: przynajmniej tego William może być całkowicie pewien. Pracownik kostnicy oblat niedawno nieboszczkę czystą wodą z węża, która nadała zwłokom szklisty blask. Ciało zmarłej lśni i migocze teraz w świetle palących się wyżej, niemiłosiernie jasnych lamp.

A jej twarz... na wpół przegnita twarz trupa, w której widać rozchylone usta, nie przypomina właściwie ludzkiego oblicza – przywodzi na myśl przerażający kulinarny wybryk, wygląda bowiem raczej jak surowy kurczak, w którym ktoś wyrznął nożem zarysy ludzkiej twarzy. Zieją w niej trzy otwory: otwarte usta bez warg i języka oraz puste oczodoły. Są do połowy wypełnione wodą i połyskują odbijającym się w nich światłem. William wyobraża sobie dryfującą pod powierzchnią wody Agnes i ryby, które podpływają do jej otwartych oczu, żeby lęklonie skubać szaroniebieskie źrenice – i wtedy znów chwieje się na nogach przy akompaniamencie oschłych okrzyków: „Spokojnie, spokojnie!”.

Chcąc zastosować się do rady pracownika kostnicy, William szuka wzrokiem tych części ciała, które znajdują się wciąż w stosunkowo dobrym stanie. Włosy zmarłej kobiety – albo dziewczyny – pociemniały i zmatowiały wskutek długiej kąpieli w wodnej marynacie. Gdyby były suche i starannie uczesane, potrafiłyby odgadnąć, jaki jest ich naturalny kolor... Piersi topielicy są pełne jak piersi Agnes, ale w przedziałku między nimi widnieje głębokie skaleczenie, odniesione wskutek zderzenia z podwodną skałą, która rozorała ciało, odsłaniając mostek i zniekształcając biust. William nie dostrzega takiej części ciała nieboszczki, na której mógłby zatrzymać wzrok bez obrzydzenia na widok zakrwawionych kości, przebijających pozdzieraną skórę, albo trupio

zabawionej pleśni, porastającej miejsca, które powinny wyglądać nieskazitelnie niczym alabaster. Zaledwie kilka palców na poobgryzanych przez ryby dłoniach zmarłej jest względnie całych, brakuje jednak obrączki, czego – jak uprzedził go wcześniej inspektor policji – nie powinien jednak brać pod uwagę, albowiem wszystkie wyławiane z Tamizy ciała przybywają do kostnicy Pitchcott doszczętnie ogołoczone z biżuterii, bez względu na to, jak wiele kosztowności je zdobiło, zanim znalazły się w wodzie.

Oczy Williama zasnuwają się mgłą – ma wrażenie, że ból rozsądzi mu za chwilę czaszkę. Czego oni od niego chcą? Na jaką odpowiedź czekają? Czy jest na świecie mąż, który zachowałby się lepiej na jego miejscu, mając przed sobą tak zdeformowane zwłoki? Który mężczyzna potrafiłby zidentyfikować żonę na podstawie kilku cali kwadratowych nieuszkodzonego przez wodę ciała, jak nietknięty łuk barku albo ostro zarysowany kształt kostki u nogi? Takiemu zadaniu mógłby sprostać jedynie mąż, któremu małżonka stwarzała znacznie więcej okazji do stosunków intymnych niż Agnes! Gdyby na tym stole leżała Sugar, to może...

– Rozumiemy, jeśli... – zaczyna inspektor, a William jęczy w panice: nadeszła chwila prawdy i teraz nie wolno mu okazać słabości! Po raz ostatni przygląda się zmarłej kobiecie, wbijając wzrok w trójkąt porastających jej wzgórek Wenery włosów łonowych, niewielką przystań brzoskwiniowej skóry i pokrywającego ją delikatnego runa, które jakimś cudem uniknęło zniszczenia. Mocno zaciska powieki i przywołuje w wyobraźni widok Agnes w noc poślubną, bo tylko wtedy, nie licząc obecnej chwili, leżała przed nim w takiej właśnie pozie.

– To o... ona – oświadcza chrapliwie William. – To moja żona.

Choć sam je wypowiada, te słowa są dla niego straszliwym ciosem: zatacza się jak pijany, w tej bowiem chwili tkanka teraźniejszości i przeszłości jego żywota zostaje rozdarta na dwoje. Rysy leżącej na stole kobiety najpierw rozplývają się, a potem nabierają fantastycznej ostrości niczym fotografia pod wpływem wywoływacza, aż wreszcie topielica zmienia się w Agnes, i William nie może już dłużej na nią patrzeć. Jego Agnes nie żyje! Ciało jego wytwornej oblubienicy o anielskim głosie zgniło, jest tylko rzeźniczym ochłapem na stole prosektoryjnym. Nawet gdyby Agnes zginęła przed siedmioma laty, kiedy dopiero starał się ojej rękę, tamtego słonecznego popołudnia, gdy ją poprosił, by pozowała przed obiektywem jego aparatu fotograficznego w całkowitym bezruchu, i gdy spozrzała na niego, jak gdyby chciała powiedzieć: *Tak, jestem twoja*-, nawet gdyby godzinę później wpadła do Tamizy; nawet gdyby poszukiwał jej przez owe siedem lat, nurkując w rzece wciąż w tym samym miejscu, i nawet gdyby dopiero dzisiaj wydobył z wody jej zwłoki, nie mógłby być bardziej zrozpaczony niż w tej chwili.

Wstrząsany spazmatycznym szlochem, wsparty na silnych, męskich ramionach, William, miotając niezrozumiałe przekleństwa, pozwala wyprowadzić się z kostnicy – już jako wdowiec.

KOLEJNA TRAGEDIA W RODZINIE RACKHAMÓW

ZWŁOKI PANI AGNES RACKHAM, małżonki znanego producenta perfum, którego wyroby noszą jego nazwisko, zostały w piątek znalezione w Tamizie. Choć pani Rackham była w trakcie rekonwalescencji po przebytej gorączce reumatycznej, opuściła swoją rezydencję w Notting Hill, by udać się na koncert w Szkole Muzycznej w Lambeth Palace, i wskutek nieporozumienia oddaliła się od reszty towarzystwa. Według policji do śmiertelnego w skutkach wypadku przyczynił się silny wiatr, śliskie molo w Lambeth i wążle zdrowie pani Rackham. Tragedia ta wydarzyła się zaledwie cztery miesiące po śmierci Henry'ego Rackhama, szwagra pani Rackham, który stracił życie w pożarze własnego domu. Ceremonia pogrzebowa i nabożeństwo za duszę Agnes Rackham odbędzie się w jej kościele parafialnym pod wezwaniem św. Marka w Notting Hill, w czwartek o godzinie jedenastej.

Sugar pochyła głowę nad nocnikiem, wpatruje się w jego lśniące, porcelanowe wnętrze i wsuwa trzy palce do ust. Musi sięgnąć głęboko, żeby wywołać skurcze, i kaleczy paznokciami gardło, zanim udaje się jej zwymiotować. Nie zwraca jednak żadnych resztek jedzenia, tylko ślinę.

Niech to diabli porwą! Od tygodnia, a może nawet dłużej – powiedzmy, od dnia zniknięcia Agnes – niemal codziennie rano dostaje mdłości, i dlatego ledwo rozpoczyna lekcje, musi opuszczać klasę pod byle pretekstem, żeby zwrócić śniadanie. (Nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież okropnie się bata, że Agnes zostanie schwytana i ujawni jej rolę w całej aferze, a poza tym trzeba pamiętać, że guwernantka ciągle naraża się na straszliwe wybuchy wściekłości Williama i najzwyczajniej w świecie jest zmęczona, pracuje bowiem od świtu do północy!) Teraz Sugar martwi się, że jeżeli nie zwymiotuje w tej chwili, bez świadków, mdłości zażądają od niej satysfakcji później, w jakimś bardziej publicznym miejscu, kiedy nie będzie miała się gdzie schować.

Podnosi wzrok na zegar – karawany przybędą lada moment, a jej śniadanie uparcie tkwi w żołądku. Dziewczyna wstaje i stwierdza z przerażeniem, że ciężka krepa jej żałobnej sukni jest już pognieciona. Ten okropny materiał marszczy się przy każdej okazji, suknia jest tak obcisła, że bołą ją zębra, kiedy wciąga powietrze, a w miejscu, w którym stanik łączy się ze spódnicą, podwójny szew obciera jej biodra do krwi. Czyżby krawcowa od Petera Robinsona popełniła błąd? Na pokrywie pudła, w którym przysłano suknię, widnieją wypisane ołówkiem wymiary Sugar. Ani na jotę nie różnią się od tych, które podała w zamówieniu, jakie kazał jej wypełnić William, a mimo to suknia leży na niej źle.

Nigdy dotąd nie uczestniczyła w żadnym pogrzebie, chociaż czytała o takich ceremoniach w książkach. Kiedy była jeszcze kobietą lekkich obyczajów, umarłe prostytutki po prostu zniknęły z jej życia bez żadnych ceregieli ani uroczystości – jednego dnia w zaciemnionym pokoju leżał trup, następnego zaś słońce oświetlało już tylko pusty materac, a na rozwieszonych między domami sznurach wietrzyła się pościel. Gdzie się podziewały zwłoki? Nic na ten temat nie wie. Och, no tak, ciało tej biednej, małej Sarah McTigue sprzedano jakiemuś studentowi medycyny, ale takie rzeczy chyba nie zdarzają się zbyt często. Być może wszystkie zmarłe dziwki wrzucano po kryjomu do Tamizy. Jedno jest pewne: nikt nie robił im pogrzebu.

– Czy Sophie też musi iść? – ośmieliła się zapytać Williama, kiedy polecił jej przygotować się na tę uroczystość. – Czy to nie dziwne, żeby dziecko...

– Nic mnie nie obchodzi, jeżeli w ten sposób urągam obyczajom!

– z miejsca odparł Rackham, czerwieniejąc na twarzy. – A... Agnes należała do rodziny Rackhamów. Do diaska, niewielu nas już zo... zostało i powinniśmy wszyscy przy... przyjść na

pogrzeb, żeby ją oplakiwać.

– To może niech Sophie idzie do kościoła, ale nie na cmentarz?

– Pójdzie i tu, i tu. A... Agnes była mo... moją żoną, a Sophie jest mo... moją córką. Ludzie po... powiadają, że kobiety na po... pogrzebie często płą... płaczą. A cóż jest złego w płą... płaczu na po... pogrzebie? Przecież umarł człowiek, na litość boską! Więc lepiej przestań szukać nowych wykrętów i podaj swoje wymiary w tym zamówieniu...

Opięta obcisłą suknią, Sugar oddycha płytko i boleśnie. Kolejny raz rozkłada wyrwaną z gazety stronicę i znowu odczytuje notatkę o śmierci Agnes. Pamięta każde słowo, ale w druku jest coś niesamowicie apodyktycznego – a wszystkie kłamstwa zostają nieodwracalnie wbite we włókna papieru. Tysiące kopii tragicznej bajeczki o powracającej do zdrowia damie, której śmierć miała przyczynę w miłości do muzyki, zeszyły z maszyn drukarskich i trafiły do tysięcy domów. Pióro naprawdę jest daleko potężniejszą bronią niż miecz: zabiło Agnes Rackham i powierzyło ją historii.

Nie chcąc ponownie czytać informacji o śmierci Agnes, Sugar bierze do ręki jeden ze swoich wspaniale wydanych tomów dzieł Shakespeare'a. Prawdę mówiąc, właściwie do nich nie zaglądała od świąt, tak bardzo była zajęta podręcznikami szkolnymi i skradzionymi pamiętnikami pani Rackham. Najwyższy czas, by poćwiczyła inne, hmm... literackie muskuły swego umysłu.

Przerzuca kolejne stronicę w poszukiwaniu *Tytusa Andronikusa*, sztuki, jej zdaniem, niesłusznie niedocenianej; ba, przypomina sobie nawet, że broniła jej krwawej atmosfery w rozmowie z niejakim George'em W. Huntem, kiedy poznała go w „Fireside”. Znalazłszy *Tytusa* teraz, nic z niego nie rozumie; widać mówiła chyba wtedy od rzeczy. Tamtego pierwszego wieczora William powiedział jej, że w końcu przekona się do *Króla Leara* – i miał słuszość. Sugar kartkuje książkę, czytając nie więcej niż kilka słów tu i ówdzie, a zatrzymuje się dłużej wyłącznie nad ilustracjami. Co się stało z jej intelektem? Czyżby opieka nad Sophie rozmiękczyła jej mózg? Kiedyś milion słów, z jakich składa się *Clarissa*³⁰, traktowała jak duchową ucztę, a najnowsze książki Elizabeth Eiloart albo Matildy Houston potrafiła przeczytać jednym tchem... Tymczasem teraz siedzi, wpatrując się z głupią miną w rycinę przedstawiającą lady Makbet, która stoi gotowa do śmiertelnego skoku, jak gdyby oprawny w skórę zbiór dramatów był czymś więcej niż tylko książeczką z obrazkami dla dzieci.

Zza okna dobiegają odgłos końskich kopyt i chrzęst żwiru: przybyły już karawany. Powinna natychmiast wracać do klasy i pokazać się Williamowi, aby zobaczył, że jest gotowa towarzyszyć panie Rackham, ale Sugar wygląda najpierw przez szybę, niemal wciskając w nią nos. Sophie z pewnością robi w tej chwili to samo.

W dole widać dwa czterokonne powozy. Jeden z koni w zaprzęgu stoi wprost pod oknem sypialni guwernantki, kręcąc nerwowo głową i parszcząc. Dawniej, gdy chętniej psociła, zapewne rzuciłaby czymś w jego rozkołysany, ozdobiony pióropuszem łeb, a może nawet usiłowałaby strącić kruczoczarne cylindry siedzących z tyłu stangretów. Dostrzega co najmniej sześciu posepnych karawaniarzy, którzy kolejno wychylają głowy z zasłoniętych okien powozów. Wszystkie detale są monochromatycznie czarne: mężczyźni, konie, uprzęże, drewniane kabiny, koła i obicia siedzeń, a nawet żwir na podjeździe, gdzie taje ostatni śnieg. Sugar bezmyślnie przeciera rękawem zasnutą mgiełką jej oddechu szybę, ale przerywa tę czynność, kiedy wzdryga się, zdając sobie sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze, że krepa farbuje, bo pozostawia szare smugi na wilgotnym szkle, a po drugie, że mężczyźni na dole mogliby pomyśleć, iż Sugar do nich macha.

Cofa się od okna, wsuwa nocnik pod łóżko, wyciąga rękawiczki z pudła z sukniami od Petera Robinsona i biegnie z powrotem do Sophie.

Dziewczynka znajduje się w klasie przy oknie, obserwując konie i powozy przez lunetę. Francuska lalka stoi w kącie pokoju. Jej różowa suknia balowa i nagie ramiona są częściowo osłonięte zaimprovizowaną peleryną z czarnej bibuły, a ozdobiony piórami kapelusz okrywa niedbale szal z czarnej chusteczki do nosa. Żałobny strój Sophie nie jest podobnie skąpy – okrywa całe jej miniaturowe ciało niczym czarny kokon.

30 Powieść Samuela Richardsons (1689-1761). Dalej wymienione Eiloart i Houston to postaci fikcyjne (przyp. tłum.).

– Przyjechali po nas, panienko – mówi panna Rackham, nie odwracając się.

– Boję się trochę, Sophie – odpowiada Sugar, a jej dłoń w czarnej rękawiczce kołysze się w powietrzu ponad ramieniem dziewczynki, jak gdyby guwernantka nie była pewna, czy może ją pogłodzić. – A ty? – Odkąd Sophie dowiedziała się o śmierci matki, nie płacze i nie rozrabia, okazując spokój zbyt beztroski, aby mógł być prawdziwy. Bo nie można chyba stracić matki i nie okazywać żadnych uczuć, prawda?

– Niania powiedziała mi wszystko o pogrzebach, panienko – mówi Sophie, odwracając się na pięcie. Opuszcza lunetę i składa ją z chrzęstem naoliwionej, karbowanej blachy, która pokrywa tubus. – Nie będziemy musiały nic robić, tylko patrzeć.

Sugar schyla się, aby poprawić węzeł krzywo zawiązanej wstążki u czepka Sophie, i ma nadzieję, że delikatność, z jaką jej palce ocierają się o szyję podopiecznej, pozwoli jej zrozumieć, iż wystarczy, żeby okazała najmniejszą choćby rozpacz, a panna Sugar obdarzy ją współczuciem i miłością, której mała pragnie. Jednakże przesadna łagodność, z jaką dziewczyna ponownie wiąże wstążkę, nie uświadamia Sophie nic takiego, a supeł znów jest za luźny, jak gdyby Sugar była nieporadna i miała zbyt słabe palce, by ubrać porządnie dziecko.

– Smutny początek roku! – wzdycha guwernantka, lecz Sophie nawet nie dostrzega przynęty.

– Tak, panienko – odpowiada, by okazać szacunek autorytetowi opiekunki.

W ciemnej, wilgotnej ziemi zieje otwór, szeroki na cztery, a głęboki na sześć stóp, i wokół tego właśnie zgrabnego dołu gromadzi się grono znajomych Agnes Rackham. Tłoczą się niemal ramie przy ramieniu, zachowując jednak minimalny, nakazany przez obyczaj dystans między sobą. Doktor Crane stoi nad grobem, rozpoczynając uroczystość swoim gromkim niby trąba głosem. Wygłosił już wcześniej długie kazanie w kościele, ale wszystko wskazuje na to, że powtórzy je raz jeszcze na użytek innych żałobników, którzy przybyli dopiero na ten moment ostatniego pożegnania pani Rackham.

Spowitą czarnym aksamitem i girlandami białych kwiatów smukłą, małą trumienkę, która czeka teraz na znak pastora, ponieśli do grobu pomocnicy grabarza (żałobnicy stanowili jedynie eskortę honorową). Trumna sprawia wrażenie przepełnionej i zdaje się, że lada chwila pęknie, a wtedy wynurzy się z niej żywy człowiek albo oczom zebranych ukażą się cudze zwłoki, nie ciało zmarłej Agnes, albo może nawet z wnętrza zaczną sypać się kartofle. Wielu żałobników snuje tego rodzaju makabryczne fantazje, nie tylko tych dwoje, którzy mają powody, by wątpić, że trumna rzeczywiście kryje ciało Agnes Rackham.

(– To była naprawdę ona? Jesteś pewien? – Sugar spytała Williama, gdy tylko wrócił do domu z kostnicy Pitchcott.

– Ja... tak, jestem pe... pe... pewien – odpowiedział Rackham, patrząc szklanym wzrokiem, a na brodzie połyskiwały mu kropelki potu. – A... a... absolutnie... pe... pe... pewien.

– Jak była ubrana? – Niech powie cokolwiek, byle nie to, że w bładniebieski płaszcz i zniszczoną ciemnoniebieską suknię z szarym fartuszkem z przodu...

– By... była na... naga.

– Czy znaleziono ją nagą?

– Boże wszechmogący, wy... wydaje ci się, że mógłbym ich za... zapytać o coś takiego? Ach, gdybyś widziała dzi... dzi... dzisiaj to, co ja!...

– A co widziałeś, Williamie? Co widziałeś?

Ale William tylko wzdrygnął się, zacisnął mocno powieki i pozostawił wygląd trupa Agnes wyobraźni Sugar. – Och, Boże, błagam, niech to już będzie koniec!

Wtedy podeszła i objęła go, wdychając ohydny smród, którym przesiąkło jego ubranie. Głaskała go po lepkich od potu plecach, szeptała mu do ucha słowa otuchy, mówiąc, że tak, tak, to już koniec, kobieta, której zwłoki oglądał, to z pewnością Agnes, co roku tysiące ludzi giną przez utonięcie, zapewne częściej niż z jakiegokolwiek innej przyczyny, pisali o tym w gazecie zaledwie przed tygodniem, a poza tym pomyśl tylko, jaka była pogoda tamtej nocy, gdy Agnes uciekła z domu, i przypomnij sobie jej niebezpiecznie nadszarpnięte zdrowie. Plotła w ten sposób tak długo, aż wreszcie przestał szlochać i dygotać, i uspokoił się).

Stoi teraz nad grobem z poważną miną, sztywny niczym figura woskowa, a jego twarz przypomina łatwy do zidentyfikowania znak firmy Rackham Perfumeries, osadzony na ciemnej kolumnie żałobnego garnituru. Rany na twarzy zamaskował cienką warstwą kosmetyków własnej firmy, nałożoną po mistrzowsku przez Sugar, a zwisającą na czarnym temblaku prawą dłoń – jedyną część ciała, której nie może odziać zgodnie z surowymi wymogami tradycji – okrył luźną, czarną mitenką. Głowa pulsuje mu w bolesnym rytmie, ponieważ uwiera go obcisły kapelusz.

W przeciwieństwie do pogrzebu Henry'ego, który odbywał się w deszczu, pożegnaniu Agnes szczęśliwie towarzyszy bezchmurne niebo, ciepłe jak latem słońce i łagodny wiatr. W nagich gałęziach drzew świergoczą dwa ptaszki, dyskutując o przemijającej zimie i możliwościach przetrwania do wiosny. Żałobnicy nie wzbudzają ich zainteresowania – te zbite w ciasny tłumek czarne stworzenia mają wprawdzie, być może, skupione miny głodnych wron, a niektóre z nich nawet przystroiły się w pióra, są jednak głupie, ponieważ zebrały się w niewłaściwym miejscu: nie znajdują tutaj bowiem nic do jedzenia – ani okruszyny.

Zapytajmy jednak z czystej ciekawości, kto przyszedł na pogrzeb? Co za ludzie opuścili swoje wygodne gniazda, żeby zobaczyć, jak ciało Agnes Rackham zostaje złożone do grobu?

Cóż, oczywiście jest wśród nich lord Unwin; chociaż nikt nie wie, czy pojawiłby się na pogrzebie, gdyby przypadkiem nie spędzał wakacji w Anglii, zamiast bawić – jak zwykle – w jednym ze swoich ulubionych kurortów Włoch albo Tunezji. W każdym razie przybył na cmentarz w towarzystwie swojej pięknej małżonki, która niestety nie знаła pani Rackham.

Henry Calder Rackham jest patriarchą rodu Rackhamów po mieczu. To prawda, nie prezentuje się równie dostojnie jak ojczym Agnes, ale biorąc pod uwagę jego wiek, wygląda całkiem nieźle. Biedaczysko, nadzieje Rackhama seniora na posiadanie wnuka maleją tym szybciej, im bardziej się starzeje – kiedyś miał dwóch synów, z których pierwszy postanowił zostać bezżennym duchownym, a drugi chciał być bezżennym utracjuszem; tymczasem teraz jeden z nich już nie żyje, drugi zaś ożenił się z kobietą, której wysiłki zmierzające do powiększenia rodziny dobiegły końca, nim doczekała się męskiego potomka; dziś jednak nie żyje. Nic więc dziwnego, że Henry Calder Rackham ma ponurą minę.

Kto jeszcze przybył na pogrzeb? Cóż, przejdźmy do płci niewieściej: jest lady Bridgelow, a także wiele znajomych Agnes, wśród nich pani Canham, pani Battersleigh, pani Amphlett, pani Maxwell, pani Fitzhugh, pani Gooch, pani Marr – ale czy to nie pani Abernethy? Ojej, należy przecież wiedzieć takie rzeczy. Istotnie, owa dama przypomina panią Abernethy, lecz czy pani Abernethy nie wyjechała niedawno na stałe do Indii? Tego rodzaju błahe zagadki będzie można wyjaśnić dopiero po ceremonii.

No, a dziecko? Kim jest ta dziewczynka, stojąca przed bladą guwernantką, która wygląda niczym strach na wróble? Czy to nie Sophie Rackham? Niektóre ze zgromadzonych tutaj dzisiaj dam wiedziały, że pani Rackham miała córkę, inne zaś nie, przypatrują się więc dziewczynce badawczo, odnotowując, że jest podobna do ojca, choć oczy wzięła po matce.

Bardzo dziwny pogrzeb! Mnóstwo kobiet i bardzo niewielu mężczyzn! Czy pani Rackham nie miała krewnych w męskiej linii? Żadnych braci, kuzynów ani siostrzeńców? Widocznie nie. Podobno żyje jeszcze kilku jej wujów, ale to... no cóż, to katolicy, w dodatku ani skromni, ani cisi, lecz wichrzyciele i szaleńcy.

A doktor Curlew, lekarz pani Rackham? Czy nie należałoby się go spodziewać na pogrzebie? Ach, nie, jest w Antwerpii, gdzie dzieli się swoimi poglądami na temat obrzęku płuc z innymi uczestnikami pewnego sympozjum medycznego. Lecz oto i jego córka, pani Emmeline Fox, która stoi z tyłu, żeby nie rzucać się w oczy. Jeszcze jedna wdowa! Wielki Boże, czy kiedykolwiek byliśmy na pogrzebie, który zgromadziłby tyle wdów i wdowców? Wiesz, nawet lady Unwin nie jest pierwszą lady Unwin – nie! – i nie była nią nawet matka Agnes Rackham; słyszało się bowiem o jeszcze jednej, czyli trzeciej, a w zasadzie pierwszej lady Unwin, która umarła niemal zaraz po ślubie, i dopiero potem, choć zaledwie po kilku tygodniach, lord Unwin poznał Violet Pigott, która tymczasem sama została wdową – rozumiesz już? Prawdę mówiąc, właściwie wybuchł wtedy skandal, który najlepiej puścić w niepamięć – niech zostanie w pomroce dziejów! – szczególnie podczas poważnej uroczystości, jak ta, na której zebraliśmy się dzisiaj, bo na pogrzebie nie godzi

się plotkować, mimo że Violet Pigott bawiła się wymownie parasolką, zerkając na lorda Unwina, kiedy ciało jego biednej żony jeszcze nie ostygło, a przecież człowiek, który niedawno owdowiał, ma chyba prawo do błędu w szalonej rozpaczy?

Tak czy owak, wszystko to już było, minęło i nie będziemy więcej o tym rozmawiać, tym bardziej że nikt spośród zgromadzonych nie wie wszystkiego, nawet pani Fitzhugh, której starsza siostra pozostawała w bardzo bliskich stosunkach z pierwszą lady Unwin. Pani Fitzhugh to tamta dama, otulona czarnym boa z piór; z pewnością będzie jutro po południu na przyjęciu u pani Barr, która organizuje prywatne spotkanie wyłącznie dla dam.

Ale na kim to stanęliśmy? Ach tak, na pani Fox. Dobrze wygląda, prawda? Pół roku temu wszystko wskazywało, że jeśli pojawi się jeszcze na jakimś pogrzebie, to tylko na swoim własnym – ale przyszła przecież na pogrzeb Agnes, co dowodzi jedynie, że nigdy nic nie wiadomo. Ale czy ona naprawdę dobrze znała panią Rackham? Nikt sobie nie przypomina, by pani Fox i pani Rackham chociaż raz wspólnie pokazały się publicznie. Być może przyszła więc w zastępstwie ojca? Ma smutną minę, ale – czy ktoś ośmielił się to powiedzieć? – widać w jej twarzy ledwie dostrzegalny cień dezaprobaty. Jest zaprzysięgłą zwolenniczką kremacji, nie wiesz? Doktor Crane jej nie cierpi; wstała kiedyś podczas jednego z jego kazań i powiedziała: – Wybacz mi, panie, ale to nieprawda! – Wyobrażasz sobie? Szkoda, że mnie przy tym nie było...

Tak czy owak, Emmeline jest na pogrzebie i milczy, a doktor Crane przemawia. Pani Fox ma suche oczy i wygląda równie dostojnie jak pozostałe damy, których godna postawa odpowiada randze uroczystości. Tylko pani Gooch ośmieliła się w pewnym momencie pociągnąć nosem, spostrzegając jednak, że nikt jej nie wtóruje, i przestaje chlipać.

A mężczyźni? Jak się trzymają? Mina Williama Rackhama znamionuje pełen bólu szok; niewątpliwie śmierć małżonki jest dla niego raną, którą naprawdę odczuje dopiero później. Lord Unwin skrywa rozpacz tak dobrze, że sprawia wrażenie niemal znudzonego. Henry Calder Rackham stoi nieruchomo, z melancholijnym wyrazem twarzy, ani na chwilę nie odrywając wzroku od pastora, a jego pierś unosi się cichym, głębokim westchnieniem za każdym razem, gdy pauzę w mowie przerywa burza oklasków.

Monolog doktora Crane'a dochodzi już chyba do punktu kulminacyjnego: pastor poczynił właśnie bolesną aluzję do „prochów i popiołów”, co niewątpliwie oznacza, że trumna zostanie wkrótce złożona do grobu. Prochy i popioły, jak przypomina zgromadzonym Crane, to nasze jedyne materialne szczątki, których wartość w porównaniu z duszą jest jednak znikoma. W oślepiającym blasku śmierci dusza ludzka jawi się bowiem jako pierwotna, fundamentalna istota ludzka, która zrzuciła tylko ciało, maleńką, niemal nic nieznaczącą powłokę. Tracąc ciało, pani Rackham nie poniosła w istocie żadnego uszczerbku, albowiem wciąż żyje, i to nie tylko w ludzkiej pamięci, mimo iż wszyscy pamiętamy jej charakter i czyny, o czym zebrani mogą niewątpliwie zaświadczyć, lecz – co daleko ważniejsze – na łonie swojego niebieskiego Ojca.

Wszystkim, którzy mieli szczęście ją znać, utkwiała we wdzięcznej pamięci – na stracie, jaką poniósł świat, skorzystały niebiosy, głosi inskrypcja na nagrobku Agnes, brzmiąca prawie identycznie jak napis na grobie Henry'ego, czyż bowiem można oczekiwać, by człowiek w szponach rozpaczki układał nowe, błyskotliwe epitafia? Czy może spodziewano się, że William napisze wiersz metafizyczny w stylu Herberta³¹? Czy na pogrzebie jest chociaż jedna osoba, która spisałaby się lepiej na jego miejscu? Śmierć to zbyt odrażające wydarzenie, by z tej okazji układać zgrabne liryki.

William wpatruje się w trumnę, którą pomocnicy grabarza podnoszą i kładą na linach. Zaciska mocno szczęki, opierając się pokusie, by otrzeć pot z czoła, boi się bowiem, że gruba warstwa podkładu i różu brzoskwiniowego firmy Rackham przywrze do chusteczki, odsłaniając strupy i siniaki. To już – smukła, połyskująca lakierem skrzynka zostaje wreszcie opuszczona do grobu, a doktor Crane intonuje starą pieśń, by wspomóc Agnes w jej ostatniej drodze. Dla Williama nie jest to żadna pociecha: „prochem jesteś i w proch się obrócisz” brzmi znakomicie podczas przemówienia nad mogiłą, ale z brutalnie naukowego punktu widzenia proch powstaje w wyniku

31 George Herbert (1593-1633), poeta angielski, zaliczany do tzw. szkoły metafizycznej. Jego liryki należą do najwybitniejszych osiągnięć angielskiej poezji religijnej (przyp. tłum.).

kremacji, nie pochówku. Spoczywające w trumnie zwłoki uległy już daleko idącemu rozkładowi, co William dobrze wie, widział bowiem trupa na stole w kostnicy, ale ostatecznie ciało Agnes nie obróci się w proch – przyjmie postać płynną, a w najlepszym wypadku zamieni się w papkę.

Co więcej, Rackham przypuszcza, że od chwili, kiedy zidentyfikował zwłoki w przeszłym tygodniu, uległy one dalszemu rozkładowi, a kiedy trumna zostaje sprawnie opuszczona do grobu, wyobraża sobie okaleczone, gnijące ciało, które trzęsie się wewnątrz niczym galaretka. Z trudem przetyka ślinę, by stłumić jęk przerażenia. Jakie to dziwne – nie potrafi sobie wyobrazić, że po Agnes pozostaną jakieś szczątki, natomiast ciało swojego brata, Henry’ego – który spoczywa w ziemi już od wielu miesięcy, a zatem logicznie rzecz biorąc, powinien znajdować się w daleko gorszym stanie – widzi oczami wyobraźni zmumifikowane i twarde jak kloc drewna. Jego brat nawet w mogile stawia nieugięty opór zepsuciu, zachowując wyniosłą niezłomność, podczas gdy chimeryczność Agnes (fantazjuje William) i jej typowo kobieca niestałość skazują ją na alchemiczny rozkład.

Odwraca wzrok – nie może tego znieść. Oczy pieką go od łez; czy wśród zebranych jest ktoś, kto w duchu nie sądzi, że to on doprowadził żonę do samobójstwa? Wszystkie te kobiety, wszystkie rozplotkowane znajome Agnes, darzą go pogardą i w głębi serca winią go za jej śmierć; do kogo mógłby się zwrócić, żeby otrzymać pociechę? Nie może spojrzeć na Sugar, bo guwernantka stoi razem z Sophie, on zaś nie ma odwagi pomyśleć, co stanie się z dzieckiem Agnes teraz, kiedy prysnęły wszelkie nadzieje, że kiedykolwiek będzie miała matkę. W rozpaczy odwraca się więc do lady Bridgelow i – ku swojemu zdumieniu, a także głębokiemu wzruszeniu – spostrzega, że w jej oczach także błyszczą łzy. *Jesteś bardzo, bardzo dzielny*, zdaje się mówić lady Bridgelow, oczywiście, nie na głos, lecz na wszelkie inne możliwe sposoby. William mocno zaciska powieki, chwieje się na nogach i nasłuchuje szelestu osypującej się ziemi.

W końcu ktoś delikatnie pociąga go za rękaw. Rackham poniekąd spodziewa się ujrzeć przed sobą twarz kobiety, ale kiedy otwiera oczy, stoi przed nim jeden z karawaniarzy.

– Tędy proszę, panie.

William otwiera usta, jak gdyby nie rozumiał, co się dzieje.

Dłonią w czarnej rękawiczce karawaniarz wskazuje rozciągający się za cmentarzem świat.

– Powozy czekają, panie.

– Tak... ja... ach... – jąka się William i zatyka sobie usta dłonią. Przez cały dzień bał się odezwać, sądząc, że będzie musiał się usprawiedliwiać i płatać bezładnie, tłumacząc, dlaczego Agnes nie jest cała i zdrowa. Teraz niespodziewanie dociera do niego, że nic nie musi mówić, bo nikt go o nic nie pyta. Pora wracać do domu.

Następnego dnia William zwalnia ze służby Clarę Tillotson. A mówiąc nieco bardziej dyplomatycznie, odprawiają z błogosławieństwem na drogę, by poszukała sobie pracy w innym domu, którego pan nie jest wdowcem.

– W zaistniałej sytuacji nie ma innego wyjścia. – Właśnie tak się wyraził, przekazując pokojówce tę niemiłą informację. Clara oczywiście wiedziała, co ją czeka, i spodziewała się zwolnienia; dlaczego zatem nie oszczędziła mu kłopotu i po prostu nie zniknęła w nocy wraz ze swoją wąską talią i spiczastą mordką? Tak, potrzebowała przecież referencji. Czy nie mógł zostawić jej listu polecającego w holu, wieszając go na wstążeczce na stojaku na kapelusze? Nie, oczywiście, że nie. Choć tak jej nie cierpi, musiał znieść jeszcze jedno spotkanie z Clarą.

Ciekawe, że ostatniego dnia na służbie w domu Rackhamów zachowanie pokojówki ulega zdumiewającej zmianie; jest przymilna jak kwiaciarka i unizona niczym pucybut. Ba, niewiele brakowało, żeby się uśmiechnęła! Wczesnym rankiem wykorzystwała szczególnie wysoko cenioną u pokojówek umiejętność starannego pakowania garderoby i innych rzeczy, by po przyjeździe na miejsce nie okazało się, że są zniszczone albo pogniecione. Cały dobytek Clary nie obejmuje nawet tyle, ile Agnes zabrała do Folkestone Sands; prawdę mówiąc, pokojówka ma tylko jeden kufer, niewielką, kraciastą walizkę i pudło na kapelusze.

Rackham nie odprowadza służącej, a kiedy przyjeżdża dorożka, nikt z domowników nie ma ani chwili, żeby zejść na dół i pomachać Clarze na pożegnanie. Towarzyszy jej jedynie usłużny i

wesoły Cheesman, który pomaga nosić bagaże, głosi donośnie, że dziś jest pierwszy dzień nowego życia Clary, i kładzie żylastą łapę na karku wsiadającej już do powozu dziewczyny. Rozdarta między chęcią wyplakania się w kołnierz stangretowi i naplucia mu w twarz, Clara nie reaguje. Pozwala Cheesmanowi strząsnąć rąbek swej sukni z progu kabiny, zanim zamknie drzwi, a potem siada z kamienną twarzą; pojazd szarpie i rusza.

Clara trzyma na kolanach torebkę, w której spoczywa list polecający od Williama Rackhama. Nie przeczytała go jeszcze. Szukając posady, pokojówka powinna kierować się etykietą, dzięki której może odnieść niewielką, ale znaczącą korzyść, wręczając nowemu pracodawcy zaklejoną, dziewczęcą kopertę, aby podkreślić w ten sposób swą niezachwianą wiarę, iż nie kryje ona nic innego poza wyrazami najwyższego uznania. Kiedy zamieszka u siostry, będzie miała dość czasu, żeby otworzyć tę kopertę nad parą – i wtedy przekona się, że Rackham przedstawia ją jako osobę średnio inteligentną, obdarzoną podziwu godną lojalnością wobec swojej pani, choć daleką od ideału, jeśli chodzi o pana, a także jako zaradną i kompetentną pokojówkę, której niesympatyczny charakter nie powinien jednak przeszkadzać w uczciwej służbie, o ile trafi na bezkonfliktowego pracodawcę. Co przeczytawszy, pokojówka wpadnie w furję i zacznie rozpaczać, że zaprzepaściła ostatnią okazję, aby powiedzieć temu nadętemu, ordynarnemu chamowi, co naprawdę o nim myśli, siostra zaś będzie zgadzać się z nią dyplomatycznie, wiedząc w głębi serca, że Clara nie ośmieliłaby się pisać ani słówka ze strachu, iż Rackham wyrwie jej z ręki list polecający, podrze przyszłość dziewczyny na drobne kawałki, a potem rozrzuci je w progu.

„Niech na ten dom spadnie syfilis!”, zawoła wtedy Clara. „Oby wszyscy jego mieszkańcy pomarli i zgnili w piekle!”

Tak, tak właśnie później powie. Tymczasem jednak przygryza dolną wargę, liczy kolejne drzewa, kiedy powóz przejeżdża z turkotem wzdłuż Kensington Gardens, i zastanawia się, czy duch pani Rackham będzie ją straszył za to, że ukradła kilka drobiazgów swej pani. Co jednak może obchodzić ducha parę bransoletek i kolczyków, tym bardziej że Agnes prawie nigdy ich nie nosiła i nie zauważyłaby braku tych kosztowności nawet za życia? Jeżeli jest jakaś sprawiedliwość na świecie, to ta drobna kradzież nie będzie miała żadnych konsekwencji poza tym, że przyniesie Clarze nieco gotówki, której dziewczyna tak bardzo potrzebuje. Ach, mówi się jednak, że umarli mszczą się z za grobu... Clara ma więc nadzieję, że pani Rackham, gdziekolwiek teraz przebywa, pamięta długie lata, gdy pokojówka była jej jedynym sprzymierzeńcem w konflikcie z obmierzłym małżonkiem, i że wzbudzi poczucie sprawiedliwości w swym zaświatowym sercu, które pozwoli jej stwierdzić: „Dobrze się spisałaś, moja zacna, wierna służko”.

W dniu, w którym Sugar kończy dwadzieścia lat, panuje wyjątkowo ciepła jak na tę porę roku aura, a słońce świeci tak jasno, jak tylko można by sobie życzyć.

Choć prawem natury 19 stycznia to ciągle środek zimy, zamiatacze usunęli już z ulic ostatnie resztki topniejącej brei, na drzewach śpiewają ptaki, niebo nad głową Sugar ma błękitnolawendowy kolor, a obłoki są białe niczym skorupki jajek – jak na kolorowej ilustracji w książce dla dzieci. Trawa w publicznym parku pod stopami dziewczyny jest mokra, jednak nie od śniegu ani deszczu, lecz tającego szronu, którego jest tak niewiele, że Sugar tylko lekko wilgotnieją buty. Jedynym niezbitym dowodem, potwierdzającym niejako aktualną porę roku, jest długi jezor nieprzezroczystego lodu, zwisający z paszczy kamiennego smoka, który przycupnął na obrzeżu pustej fontanny parkowej, lecz i ten sopel połyskuje i poci się na słońcu, powoli ustępując potężnej odwilży.

Urodziłam się właśnie w taki dzień, *myśli Sugar*.

Sophie podnosi wzrok na kamiennego smoka, a potem na guwernantkę, bez słowa prosząc ją o pozwolenie przyjrzenia się potworowi z bliska. Sugar skinieniem głowy zgadza się, po czym Sophie z niejakim trudem (albowiem jej żalobna suknia jest wyjątkowo sztywna i obcisła) gramoli się na brzeg fontanny, gdzie podtrzymują ją dłonie guwernantki. Dziewczynka łapie równowagę, opierając się rączką osłoniętą mitenką o szary jak kość bok smoka. Stare, wełniane mitenki nie są zbyt eleganckie, ale maleńkie, obcisłe rękawiczki ze świńskiej skóry, które ojciec podarował jej na Gwiazdkę, od początku na Sophie nie pasowały, a kiedy panna Sugar próbowała je powiększyć na

rozciągaczu do rękawiczek dla dorosłych, jedna z nich pękła.

Sophie wsuwa główkę pod kamienne szczęki smoka i nieśmiało wysuwa różowy języczek w stronę lśniącego, lawendowego sopła.

– Nie rób tego, Sophie! Lód jest brudny.

Dziewczynka cofa się gwałtownie, jak gdyby dostała klapsa.

– Zróbmy coś innego! Co ty na to, żebyśmy odłamały ten sopel? – Zaskoczona, jak łatwo ją wystraszyć, Sugar chce jak najszybciej przywrócić dobry nastrój Sophie. – No, dalej, uderz go!

Sophie z wahaniem wyciąga rączkę i szturcha wielki jezior lodu, ale bez efektu. Po chwili, zachęcona znów przez guwernantkę, wymierza mu kuksańca, i tym razem sopel pęka, odsłaniając żeliwny dzióbek, z którego cieknie słaby strumyczek wody w kolorze ochry.

– Widzisz, Sophie? – mówi Sugar. – Uruchomiłaś fontannę.

Pod czujnym okiem guwernantki Sophie kroczy po wyimaginowanej linii na brzegu fontanny. Bufiaste spódnice żałobnej sukni zasłaniają jej stopy, ale dziewczynka powoli i z namaszczeniem posuwa się naprzód, wyciągając ramiona na boki niczym skrzydła, aby nie stracić równowagi.

Czy obyczaje żałobne pozwalają zabrać nieutuloną w żalu sierotę do miasta zaledwie kilka dni po pogrzebie matki? Sugar nie ma zielonego pojęcia; kto jednak mógłby udzielić jej reprimendy, jeśli postąpiła wbrew obyczajowi? Służące Rackhamów siedzą jak mysz pod miotłą, a William zamknął się w zupełnym odosobnieniu w swoim gabinecie, by cały świat zobaczył, a raczej nie zobaczył, pogrążonego w rozpacz widowca, który nie musi wiedzieć, co porabia Sugar, kiedy nie przebywa w jego towarzystwie.

A jeśli nawet William odkryje prawdę, to co z tego? Czy ona i Sophie muszą ciągle kryć się w pogrążonym w ciemności domu, gdzie wszystko pokrywa czerń i gdzie od śniadania do wieczornego snu duszą się w ponurej atmosferze, która wzbrania im się śmiać? Nie! Sugar nie będzie pełzać pod żałobnym całunem! Zamierza prowadzić lekcje z Sophie poza domem tak często, jak to możliwe, najlepiej w publicznych ogrodach i parkach Notting Hill. Dość tego. Biedne dziecko spędziło w ukryciu prawie całe życie, niczym ohydny sekret.

– Pora na twoje historyczne wierszyki, kruszynko – oznajmia guwernantka, a twarzyczka Sophie rozbłyska radością. Jest tylko jedna rzecz, którą dziewczynka przedkłada nad zabawę, to nauka. Sophie wbija wzrok w ziemię, przygotowując się do skoku z fontanny, ale w sztywnej sukni nie zdoła bezpiecznie zeskoczyć na ziemię, bo stoi o kilka cali za wysoko. Co robić?

Sugar nieoczekiwanie rzuca się naprzód, chwyta dziewczynkę na ręce i zamasyżuje stawia ją na ziemi jednym energicznym, wesołym, szerokim ruchem. Nie trwa to dłużej niż dwie sekundy, tyle, ile jeden oddech, ale ta chwila dostarcza guwernantce więcej fizycznej uciechy niż całe życie wśród miłosnych uścisków. Podeszwy dyndających w powietrzu bucików Sophie szorują o mokrą trawę, a potem dziewczynka ląduje na ziemi. Sugar puszcza ją, nieco zadyszana. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, Sophie wygląda na wniebowziętą i najwyraźniej z najwyższą rozkoszą życzyłaby sobie przeżyć coś takiego raz jeszcze.

Sugar z pewnym zaskoczeniem, a nawet niepokojem, obserwuje ostatnio, jak bardzo fizyczny charakter zaczynają przyjmować jej uczucia do Sophie. Przeprowadzając się do domu Rackhamów, postanowiła nie krzywdzić bezbronnej uczennicy, i ta decyzja weszła jej w końcu w krew, wraz z którą krąży teraz po organizmie guwernantki w całkiem innej postaci: bo dzisiaj Sugar pragnie uszczęśliwić Sophie.

A więc jest ranek 19 stycznia, dzień urodzin Sugar, która stoi w publicznym parku, wciąż czując na całym ciele mrowienie, jakiego doznała, trzymając dziewczynkę w ramionach, i wyobraża sobie, że leży z nią razem w łóżku. Są w identycznych białych koszulach nocnych, a Sophie smacznie śpi, wtuliwszy policzek w przedziałek między piersiami Sugar – rok temu podobny obrazek wydałby się guwernantce zupełnie idiotyczny, nie tylko dlatego, że miała wtedy tak płaskie piersi. Odnosi jednak wrażenie, że ostatnimi czasy jej biust pęcznieje, może więc przeciągający się ponad wszelką miarę okres dojrzewania dobiega końca, a ona wreszcie staje się kobietą.

Sophie powoli okrąża fontannę w ceremonialnym rytmie ciężkich kroków i recytuje wierszyk:

Wilhelm Pierwszy napisał Domesday Book,

*Rufusa Wilhelma zabiła strzała i łuk,
Henryk Pierwszy bajki Ezopa przetoczył,
Ale korony na skronie córki nie włożył.*

– Doskonale, Sophie – mówi Sugar, cofając się o krok. – Ćwicz dalej sama i przybiegnij po mnie, jeżeli na czymś utkniesz.

Sophie maszeruje dalej, śpiewnie recytując wierszyk na jakąś instynktownie układaną melodię, j w ten sposób rymowanka staje się piosenką, a panna Rackham usztywnionymi krepą dłońmi wybija jej takt o swoje własne żebra.

*Stefan i Maude toczyli wojnę domową do upadłego,
Do roku tysiąc sto pięćdziesiątego czwartego.
Król Henryk zaś, zwany Plantagenetem,
Miał problemy z dziećmi i Tomaszem Becketem.*

Sugar odchodzi i przysiadła na żeliwnej ławce w odległości mniej więcej dwudziestu stóp. Słyszając piosenkę, którą śpiewa Sophie, pęka z dumy, bo sama wymyśliła te rymy jako pomoc mnemotechniczną dla dziewczynki, która na lekcjach historii miewała trudności z odróżnieniem jednego przebiegłego i krwiożerczego króla Anglii od drugiego, tym bardziej że wielu z nich nosi identyczne imiona: Wilhelm albo Henryk. Te króciutkie wierszyki, choć liche, są jej pierwszymi pracami literackimi, licząc od dnia, w którym dziewczyna uznała swoją powieść za poronioną. Ach, tak, wie, że to żałosne rymy, lecz rozpały w niej płomyczek nadziei, iż kiedyś mimo wszystko zostanie pisarką. Dlaczego nie miałyby pisać dla dzieci? Dusze młodych ludzi łatwo jest kształtować... Czy kiedykolwiek naprawdę wierzyła, że jakiś dorosły czytelnik przeczyta jej powieść, rzuci okowy uprzedzeń i podzieli słuszny gniew autorki? A swoją drogą, co ją tak wtedy gniewało? Już prawie nie pamięta...

*Ryszard Lwie Serce za granicą bawił
I w 1199 od strzały się wykrwawił.
Jan był okrutny, skąpy i hulaszczy,
Lecz Kartę Praw podpisał w 1216.*

Sugar układa się wygodnie na ławce, wyciąga nogi i rusza w butach palcami, żeby nie marzły – poza tym jednak jest jej ciepło. Oczy guwernantki zachodzą mgłą, widzi więc Sophie tylko w postaci czarnej, niewyraźnej plamki za każdym razem, kiedy jej podopieczna okrąża fontannę.

– Grzeczna dziewczynka... – szepcze Sugar, lecz zbyt cicho, żeby Sophie mogła ją usłyszeć. Cóż to za rozkosz słuchać, jak ktoś śpiewa piosenkę naszego autorstwa, nawet jeśli jest marna...

*Henryk Trzeci bardzo długo panował,
Ale umysł i zdrowie nie najlepsze zachował.
A gdyby Edward żonę sobie wziął,
Może by potem Szkotów nie wyrzwał.*

– Ależ to mała Sophie Rackham! – woła nieznaną jej kobiecie głos i Sugar budzi się z zadumy, aby poszukać wzrokiem jego właścicielki. W parkowej bramie stoi Emmeline Fox i gestykułuje jak szalona. Jakie to dziwne: ujrzeć cnotliwą kobietę, która tak gwałtownie macha ręką! Co więcej, kiedy tak macha, jej bujne piersi kołyszają się pod stanikiem, można zatem przypuszczać, że nie ma na sobie gorsetu. Sugar nie zna się na subtelnym normach przyzwoitości, ale zastanawia się zupełnie serio, czy zachowanie Emmeline Fox jest całkiem *comme il faut*...

- Panna Sugar, o ile się nie mylę? – zagaduje pani Fox i podchodzi bliżej, zadawszy to pytanie.
- T... tak. – Sugar wstaje z ławki. – Zapewne mam przyjemność z panią Fox.
- W samej rzeczy. Cieszę się, że mogę cię poznać, pani.

– Oo, ja też – odpowiada Sugar o dwie albo trzy sekundy za późno. Podeszłszy do dziewczyny na wyciągnięcie ręki, pani Fox zatrzymuje się; nie zwraca uwagi na zmieszanie Sugar, nawet jeśli je zauważyła; skinieniem głowy wskazuje natomiast Sophie, która po chwili przerwy zaczyna znów maszerować dookoła fontanny z piosenką na ustach.

– Oto nowoczesne podejście do historii. Być może sama nie darzyłabym tego przedmiotu taką antypatią, gdybym uczyła się go na podobnych rymach.

– Sama napisałam dla niej te wiersze – wypala Sugar.

Pani Fox śmiało patrzy jej prosto w oczy, lekko mrużąc powieki.

– Cóż, bystra z pani osóbką – mówi z dziwnym uśmiechem.

Sugar czuje pod pachami piekące kropelki potu, które ściekają w czarne rękawy jej sukni. O co, u diabła, chodzi tej kobiecie? Ma nie po kolei w głowie czy stroi sobie żarty?

– Moim... moim zdaniem niektóre książki dla dzieci są po prostu zabójcze – mówi Sugar, łamiąc sobie głowę, w jaki sposób poprowadzić tę konwersację. – Bo zabijają chęć uczenia się. Ale Sophie ma teraz kilka dobrych, aktualnych podręczników, które na moją prośbę ku... kupił jej pan Rackham. Muszę jednak powiedzieć... – (Pot na czole Sugar studzi tchnienie ulgi, bo pamięć nagle podsuwa jej pewien pomysł). – ...że Sophie wciąż uwielbia te bajki, które dostała kiedyś na Boże Narodzenie od swojego wujka Henry'ego, który, o ile mi wiadomo, był twoim bliskim przyjacielem, pani.

Emmeline mruga powiekami i nieznacznie błędnie jeszcze bardziej, jak gdyby ktoś wymierzył jej policzek albo ją pocałował.

– Tak – odpowiada. – Henry był moim bliskim przyjacielem.

– *W dedykacji dla małej napisał*: Najlepsze życzenia od twojego męczącego wujka Henry'ego.

Pani Fox potrząsa głową i wzdycha, jak gdyby właśnie usłyszała plotkę, która stopniowo nabiera cech złośliwości, przechodząc z ust do ust.

– Henry wcale nie był męczący. Był najcudowniejszym człowiekiem na świecie. – To mówiąc, Emmeline ciężko przysiadła na ławce, bez uprzedzenia i żadnych ceregieli.

Sugar siada obok, nieco rozemocjonowana obrotem, jaki przybiera rozmowa – wydaje się jej bowiem, że po niepewnym początku bierze teraz górę nad panią Fox. Po chwili wahania postanawia upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: popisz się dogłębną wiedzą na temat książek, z jakich uczy się Sophie Rackham, na wypadek, gdyby pani Fox miała jakieś wątpliwości co do jej kompetencji jako guwernantki, a potem wściubi nos w nie swoje sprawy.

– Proszę mi powiedzieć, jeżeli nie uznasz mojego pytania za wścibstwo, pani, czy mam słuszość, sądząc, że to ty jesteś tą „dobrą przyjaciółką”, o której wspomina Henry Rackham w swojej dedykacji? Przyjaciółką, która skarciła go za to, że podarował Sophie Biblię, gdy miała zaledwie trzy lata?

Pani Fox śmieje się ze smutkiem, ale jej wesołe oczy patrzą twardo na Sugar.

– Owszem, uważałam, że trzyletnia dziewczynka jest nieco za młoda na *Pięcioksiąg* i *Księgę Jeremiasza* – mówi. – Poza tym jest jeszcze Onan, córki Lota i tym podobne rzeczy, a moim zdaniem... cóż, dziecku należy się kilka lat niewinności, nieprawdaż?

– Och, tak – mówi Sugar, bo choć szczegóły opowieści biblijnych, o których mowa, pamięta dosyć mgliście, w pełni podziela opinię pani Fox. Po chwili w obawie, że na jej twarzy maluje się nieuctwo, zapewnia swą rozmówczynię: – Ja jednak czytam Sophie fragmenty Biblii. Pasjonujące historie: o Noem i potopie, o synu marnotrawnym, o Danielu w jaskini Iwa...

– Ale nie o Sodomie i Gomorze – upewnia się pani Fox, która pochyla się ku niej ze stoickim spokojem.

– Nie.

– Zupełnie słusznie – mówi pani Fox. – Bo ja przemierzam ulice naszej tutejszej Sodomy przez kilka dni w tygodniu. To miasto sprowadza dzieci na złą drogę równie często jak dorosłych.

Dziwna z niej kobieta! Ma taką brzydka, pociągłą twarz i przenikliwe oczy. Czy nic jej nie grozi? Dlaczego pani Fox tak na nią patrzy? Sugar żałuje nagle, że Sophie nie siedzi tutaj między nimi, wtedy bowiem rozmowa przebiegałaby miło i przyjemnie.

– Jeśli chcesz, pani, Sophie zostanie z nami, bo znasz ją przecież od dawna. Zawołam ją,

dobrze?

– Nie, nie rób tego – odpowiada natychmiast pani Fox, wprawdzie nie nieprzyjaznym, ale dziwnie stanowczym tonem. – Wcale nie znam Sophie tak dobrze, jak ci się zdaje. Kiedy Henry i ja odwiedzaliśmy dom Rackhamów, małej nigdy nie pokazywano nam na oczy; trudno było się domyślić, że w ogóle istnieje. Widywałam ją jedynie w kościele, i to wyłącznie na tych mszach, na które nie przychodziła pani Rackham. Ten zbieg okoliczności, a raczej jego przeciwieństwo, jak chyba powinnam powiedzieć, po pewnym czasie zaczął mnie szalenie intrygować.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem, co masz na myśli, pani.

– Chodzi mi o to, panno Sugar, że stało się oczywiste, iż pani Rackham nie lubi dzieci. Albo by wyrazić to samo nieco jaśniej, że zdaje się nie przyjmować do wiadomości narodzin własnej córki.

– Nie umiem powiedzieć, co myślała na ten temat pani Rackham – mówi Sugar. – Widywałyśmy się bardzo rzadko. Była już chora, gdy zamieszkałam w jej domu. Ale... – (Uniesiona brew rozmówczynie onieśmielają, bo pani Fox zdaje się w ten sposób sugerować, że guwernantka, która przyznaje się, iż czegoś nie wie, jest głupia albo kłamie). – ...jestem przekonana, że masz słuszość, pani.

– A ty, panno Sugar? – pyta pani Fox, opiera dłonie na kolanach i pochyla się naprzód, przyjmując postawę kogoś, kto pragnie przejść do sedna. – Lubisz dzieci, jak sądzę?

– Och, tak. I oczywiście zwyczajnie przepadam za Sophie.

– Tak, nietrudno to zauważyć. Czy Sophie jest twoją pierwszą uczennicą?

– Nie – odpowiada Sugar z kamienną twarzą, choć myśli eksplodują w jej głowie niczym fajerwerki. – Poprzednio uczyłam pewnego chłopca imieniem Christopher. W Dundee. (Dzięki długotrwałej batalii Williama z handlarzami jutą wbiło jej się w pamięć mnóstwo nazw i faktów związanych z tym miastem, nie miałyby więc trudności, gdyby została zmuszona do ich przytoczenia; niech Bóg jej wybaczy, że utrzymuje, jakoby uczyniła coś dla Christophera, albowiem nie tylko nie zaopiekowała się nieszczęsnym dzieciakiem, lecz porzuciła go w jaskini lwa...)

– W Dundee? – powtarza jak echo pani Fox. – A zatem przyjechałaś z bardzo daleka. Moim zdaniem nie masz jednak szkockiego akcentu, pani, a raczej londyński.

– Często zmieniałam miejsce zamieszkania.

– Nie wątpię.

Zapada niezręczna cisza, podczas której Sugar zastanawia się, jak to możliwe, że utraciła początkową przewagę. Uznaje, iż jedyny sposób, by znów być górą w rozmowie, to przejść do ofensywy.

– Bardzo się cieszę, że postanowiłaś wyjść na spacer tego samego poranka, co Sophie i ja, pani. Słyszałam, że ostatnio ciężko chorowałaś?

Pani Fox przechyla głowę i przywołuje na twarz zmęczony uśmiech.

– Byłam ciężko, bardzo ciężko chora – przytakuje śpiewnie. – Jestem jednak pewna, że cierpiałam mniej niż ci, którzy musieli patrzeć na moje cierpienia. Pojmujesz, pani, byli pewni, że umrę, ja jednak wiedziałam, że nie odejdę jeszcze z tego świata. No i żyję... – Macha otwartą dłonią, jak gdyby dając sygnał stojącym w wyimaginowanej kolejce ludziom, że chce ich przepuścić. – ...żyję i obserwuję, jak tłum nieszczęśników prze na oślep do grobu.

Ależ ty nic nie rozumiesz: Agnes żyje!, *myśli z oburzeniem Sugar.* – *Tłum?* – pyta z wahaniem. – To straszne, przyznaję, że w krótkim czasie ginie dwoje członków jednej rodziny, ale chyba nieco przesadzasz, pani!

– Och, nie, nie miałam na myśli Rackhamów – odpowiada pani Fox. – Ojej, naprawdę przepraszam. Myślałam, że wiesz, że pracuję dla Towarzystwa Ocalenia Kobiet.

– Towarzystwa Ocalenia Kobiet?... Muszę przyznać, że nigdy nie słyszałam o tej organizacji.

Pani Fox wybucha dziwnym, gardłowym śmiechem.

– Ach, panno Sugar, nawet nie wiesz, jak bardzo zakłopotane i przygnębione byłyby niektóre moje koleżanki, gdyby mogły usłyszeć twoje słowa! Pozwól jednak, że wyjaśnię, o co chodzi: otóż jesteśmy organizacją kobiecą, która nawraca, a w każdym razie próbuje nawracać, prostytutki na drogę cnoty. – Tu pani Fox znów bez litości patrzy jej prosto w oczy.

– Proszę mi wybaczyć, jeżeli uwłacza pani słowo „prostyutka”.

– Nie, nie, ależ skąd – odpowiada Sugar, choć czuje na policzkach gorący rumieniec. – Proszę, mów dalej, pani. Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o tej organizacji.

Pani Fox teatralnie unosi wzrok ku niebu i (kwaśno albo szczerze, Sugar nie jest tego pewna) oświadcza:

– Ach, oto głos przyszłości naszej płci! – Potem przysuwa się jeszcze bliżej do guwernantki, najwyraźniej gotowa spoufalić się z nią jeszcze bardziej. – Modłę się, by wreszcie nastąpiły czasy, kiedy wszystkie wykształcone kobiety skwapliwie podejmą dyskusję na ten temat bez żadnej hipokryzji czy wykrętów.

– Hmm... mam nadzieję, że tak właśnie będzie. – Sugar jąka się, błagając w duchu Sophie, by przyszła jej z pomocą, nawet jeśli dziewczynka miałaby się przewrócić i przybiec do nich z płaczem. Sophie jednak wciąż maszeruje dookoła fontanny, bo wcale nie skończyła jeszcze litanii królów Anglii.

*...Motłoch Wata Tylera i Biblia Wycliffa
To czasy drugiego króla o imieniu Ryszard.*

– Prostyutcja stanowi niewątpliwie ogromny problem – mówi Sugar, odwrócona ciągle w stronę Sophie. – Ale czy pani... czy Towarzystwo naprawdę może mieć nadzieję, że uda się ją wytrzebić?

– Za mojego życia na pewno nie, ale może Sophie doczeka tych czasów – odpowiada pani Fox.

Jej słowa wydają się Sugar tak absurdalne, że dziewczyna ma ochotę wybuchnąć śmiechem, ale w jej polu widzenia pojawia się znów podskakująca, rozśpiewana Sophie:

*Henryk Czwarty sypiał w koronie na głowie,
A Arundel bilardów prześladował srodze...*

– i nagle czuje tak silny powiew dziecięcej niewinności, że nabiera niemal przekonania, iż marzenie pani Fox mimo wszystko może kiedyś się urzeczywistnić.

– Największą przeszkodą w walce z prostytucją są uporczywe kłamstwa – oświadcza pani Fox.

– A przede wszystkim jedno ohydne i tchórzliwe kłamstwo, głoszące, jakoby źródłem zła była kobieca nikkzemność. Słyszałam je tysiące razy, nawet z ust samych prostyutek!

– A zatem gdzie twoim zdaniem tkwi przyczyna nierządu, pani? Czyżby była nią nikkzemność mężczyzn?

Błada twarz pani Fox różowieje z każdą chwilą; temat, który poruszają, rozgrzewa Emmeline.

– Tylko o tyle, o ile mężczyźni ustanawiają prawa, określające, co kobiecie wolno, a czego nie. Przy czym prawa nie są jedynie kwestią artykułów kodeksu! Kazanie duchownego, w którego sercu brak miłości, oto jest prawo; poniżanie i trywializowanie naszej płci w gazetach, powieściach, a nawet na opakowaniach najzwyczajszych produktów, przeznaczonych do domowego użytku, oto prawo. Przede wszystkim zaś prawem jest ubóstwo. Kiedy mężczyzna popada w tarapaty, pięcioletni banknot i nowe ubranie rychło przywracają mu szacunek. Lecz jeśli podobne nieszczęście dotknie kobietę...! – Emmeline sapie ze zniecierpliwienia i czerwieni się, ogarniają bowiem autentyczne wzburzenie. Dyszy niespokojnie, faluje jej biust, a brodawki piersi odciskają się z każdym oddechem pod suknią. – Ludzie sądzą, że kobieta powinna pozostać w rynsztoku. Wiesz co, panno Sugar? Nie spotkałam jeszcze prostyutki, która nie chciałaby inaczej zarabiać na życie. Gdyby tylko mogła...

– A w jaki sposób wasza organizacja usiłuje... ach... ratować prostyutki? – pyta Sugar, raz jeszcze kuląc się pod wpływem jej spojrzenia i oblewając rumieńcem od czoła po szyję.

– Odwiedzamy burdele, domy rozpusty, ulice... parki... wszystkie miejsca, gdzie można spotkać prostyutki, które przestrzegamy przed czekającym je losem, jeżeli dają nam po temu sposobność.

Sugar kiwa głową z uwagą, z perspektywy czasu raczej zadowolona, że nie opuszczała łóżka w te poranki, kiedy członkinie Towarzystwa odwiedzały dom pani Castaway.

– Oferujemy im dach nad głową, chociaż niestety dysponujemy zaledwie kilkoma noclegowniami – ciągnie pani Fox. – Ach, gdyby można racjonalniej zagospodarować kościoły, które wypełniają się w tym kraju zaledwie do połowy! Ale mniejsza o to, robimy, co w naszej mocy, i wykorzystujemy wszystkie wolne łóżka, które pozostają w dyspozycji naszej organizacji... A później? Cóż, jeśli dziewczyna ma w ręku jakiś fach, robimy, co się da, by mogła podjąć znów uczciwą pracę i zaopatrujemy ją w listy polecające, których wiele napisałam osobiście. Jeżeli zaś kobieta nic nie umie, zapewniamy jej naukę pożytecznego zawodu, jak krawiectwo albo gotowanie. Nawet w najlepszych domach spotyka się służące, które dostały pracę dzięki Towarzystwu.

– Boże!

Pani Fox wzdycha.

– Oczywiście, naszemu, to znaczy angielskiemu, społeczeństwu nie przynosi chwały, że w najlepszym razie możemy zaproponować młodej kobiecie jedynie usankcjonowane prawem niewolnictwo. Nie jesteśmy jednak w stanie zajmować się całym złem tego świata, a czas nagli. Śmierć zbiera codzienne żniwo wśród prostytutek.

– Na co umierają? – pyta Sugar, w której budzi się ciekawość, choć dobrze zna odpowiedź.

– Od chorób, w połogu, niektóre padają ofiarami morderców, inne popełniają samobójstwa – odpowiada pani Fox, artykułując każdą kolejną przyczynę śmierci z należytą powagą. – „Za późno”, oto nieszczęsna formułka, która stale nas prześladowa. Na przykład nie dalej jak wczoraj odwiedziłam pewien dom publiczny, znany jako dom pani Castaway, w poszukiwaniu dziewczyny, o której przeczytałam w pewnym obrzydliwym przewodniku, zatytułowanym *Dalsze hulanki w Londynie*. Okazało się, że owa dziewczyna nie mieszka w tym domu od dawna, a pani Castaway nie żyje.

Coś ściska Sugar w dołku; czuje ciężar w kiszkiach, których nie wypróżnia tylko dlatego, że siedzi na żeliwnej ławce w parku.

– Nie żyje? – szepcze Sugar.

– Nie żyje – potwierdza pani Fox, a jej duże, szare oczy dostrzegają każdą najślabszą reakcję rozmówcy.

– Na co... umarła?

– Nowa rajfurka nie powiedziała mi. Naszą rozmowę przerwało trzaśnięcie drzwi, które zamknięto mi przed nosem.

Sugar nie jest już w stanie wytrzymać dłużej spojrzenia pani Fox. Robi się jej słabo i niedobrze. Zwiesza głowę i wpatruje się w zmiętą czerń swej sukni na kolanach. Co robić? Co powiedzieć? Gdyby życie wyglądało tak, jak w jednej z tych tandetnych książek wydawnictwa Gem Pocket, które czytuje Rose, mogłaby przebić serce pani Fox sztyletem, a potem wziąć Sophie do pomocy i zakopać zwłoki; mogłaby też paść pani Fox do stóp i błagać, żeby jej nie demaskowała. Ale Sugar wciąż wpatruje się we własne kolana, oddychając z trudem, aż wreszcie zdaje sobie sprawę, że gotuje się jej w nosie, ociera go więc, pokrywając rękawiczkę smugą jasnoczerwonej krwi.

Przed oczami dziewczyny majaczy biała chusteczka, którą pani Fox trzyma w dłoni, okrytej rękawiczką dość nieświeżą i wymiętą. Zszokowana Sugar przyjmuje chusteczkę i wyciera nos. Niemal natychmiast ogarniają ją potworne zawroty głowy i chwieje się, choć siedzi, a chusteczka błyskawicznie przeistacza się z miękkiego, ciepłego kwadracika białej bawełny w ociekającą wilgocią szmatkę, purpurową i chłodną.

– Nie, odchył głowę do tyłu – słysząc głos pani Fox, kiedy Sugar bezwładnie leci przed siebie. – Tak będzie lepiej. – Emmeline stanowczym, ale łagodnym ruchem kładzie rękę na piersi Sugar i popychają, aż wreszcie guwernantka nie może już odchylić kołyszącej się swobodnie głowy. Jej plecy boleśnie wciskają się w żelazną ławkę i Sugar mruży oczy, wpatrzone w górę, w błękit nieba. Krew spływa jej do głowy i do gardła, podrażniając dziewczynie tchawicę.

– Spróbuj oddychać normalnie, bo zemdlesz – mówi pani Fox, gdy Sugar zaczyna dyszeć i spać. – Zaufaj mi. Wiem, co mówię.

Sugar stosuje się do tej rady i nadal spogląda w niebo, przyciskając do nosa lewą rękę, w której ma chusteczkę, prawą zaś – nie do wiary! – pozwala przytrzymać palcom pani Fox. Czuje uścisk jej twardej, kościstej dłoni poprzez dzielące ich nagie ręce dwie warstwy kożlej skórki.

– Proszę mi wybaczyć, panno Sugar – mówi głos u jej boku. – Teraz rozumiem, że musiałaś darzyć właścicielkę waszego domu publicznego ogromną sympatią. W swojej pysze w ogóle nie pomyślałam o takiej ewentualności. Prawdę mówiąc, nie wyobrażałam sobie bardzo wielu rzeczy.

Sugar przechyliła głowę do tyłu tak daleko, że przechodniów mijających park od strony Pembroke Square widzi do góry nogami. Jakaś odwrócona do góry nogami matka, zawieszona pod sufitem świata, ciągnie za sobą odwróconego do góry nogami chłopczyka, besztając go, ponieważ przygląda się damie o zakrwawionej twarzy.

– Sophie – szepcze niespokojnie Sugar. – Nie słyszę już Sophie.

– Nic jej się nie stało – zapewnia pani Fox. – Sophie siedzi pod fontanną i śpi.

Sugar mruga powiekami. Łzy łaskoczą ją w uszy i rosą jej włosy na skroniach. Oblizuje zakrwawione wargi, po czym zbiera się na odwagę, żeby zapytać panią Fox, jaki ją czeka los.

– Panno Sugar, proszę mi wybaczyć – mówi pani Fox. – Stchórzyłam. Gdybym miała dość odwagi, oszczędziłabym ci tej zabawy w kotka i myszkę i powiedziałabym od razu, za kogo cię uważam. Gdybym zaś przypadkiem popełniła błąd, uznałabyś mnie za wariatkę, i tak by się to wszystko skończyło.

Sugar ostrożnie unosi głowę, wciąż przyciskając do nosa przesiąkniętą krwią chusteczkę.

– A zatem... co dalej? I za kogo mnie uważasz, pani?

Pani Fox odwraca spojrzenie, by zmierzyć wzrokiem postać śpiącej Sophie. Widać z profilu, że Emmeline ma mocne szczęki, i wydaje się całkiem atrakcyjna, choć Sugar mimo woli zauważa jasnocynamonową smugę woskowiny w ślimaku jej ucha. – Uważam cię za młodą kobietę, która znalazła swoje powołanie i pragnie pozostać mu wierna, bez względu na to, w jaki sposób do tej pory zarabiała na życie. Towarzystwo chciałoby móc powiedzieć to samo o wszystkich dziewczętach, którym znajdujemy posady w dobrych domach, ale niestety wiele z tych kobiet powraca na ulicę. Ty jednak tam nie wrócisz, prawda, panno Sugar?

– Wołałabym umrzeć.

– Jestem pewna, że to nie będzie konieczne – mówi pani Fox, która nagle sprawia wrażenie strasznie zmęczonej. – Bóg nie jest aż tak krwiożerczy.

– Och! Pani chusteczka... – woła Sugar, przypomniawszy sobie o zniszczonym strzępie zakrwawionej tkaniny, który ściska w garści.

– Mam w domu wielkie pudło chusteczek – wzdycha pani Fox, dźwigając się na nogi. – Nie udało mi się umrzeć na suchoty i te chusteczki zostawiłam sobie na pamiątkę. Do zobaczenia, panno Sugar. Niewątpliwie jeszcze się kiedyś spotkamy. – I z tymi słowy pani Fox odchodzi.

– Mam... mam nadzieję, że tak – mówi Sugar, bo nic innego nie przychodzi jej do głowy.

– Oczywiście, że tak – odpowiada pani Fox i odwraca się, żeby pomachać jej na pożegnanie, co czyni ze znacznie większą godnością niż za pierwszym razem. – Świat jest mały.

Kiedy pani Fox odchodzi, Sugar ociera twarz, zdając sobie sprawę, że jej policzki, usta i podbródek pokrywa zaschnięta krew. Próbuje zebrać z trawy nieco wilgoci, ale z mizernym skutkiem, bo stajały szron paruje w promieniach słońca. Zakrwawiona chusteczka przypomina jej o czymś, o czym ostatnio stara się nie myśleć: otóż od kilku miesięcy nie wypłynęła z niej ani kropla krwi menstruacyjnej.

Wstaje na nogi i chwieje się, bo odczuwa wciąż zawroty głowy. *Ona nie żyje*, myśli. *Niech ją diabli; ona nie żyje*.

Usiłuje wyobrazić sobie martwą panią Castaway, ale to niemożliwe. Jej matka zawsze wyglądała niczym żywy trup, uszmkowany ponuro w jakimś lubieżnym czy świętokradczym celu. Jak mogła odmienić ją śmierć? Sugar udaje się jedynie przechylić obraz martwej matki na bok, skutkiem czego pani Castaway zmienia położenie z pionowego na horyzontalne. Jej różowe oczy patrzą; otwarta dłoń wyciąga się po pieniądze. *Wejdz, panie*, mówi, gotowa wprowadzić kolejnego dzentelmena do pokoju dziewczyny jego marzeń.

– Sophie – szepcze Sugar, podchodząc do fontanny. – Sophie, pobudka.

Dziewczynka, która siedzi bezwładnie jak szmaciana lalka, z głową pochyloną na ramię, budzi się natychmiast i przewraca oczami ze zdumienia, że opiekunka przyłapała ją na drzemce. Ale to

Sugar zaczyna się usprawiedliwiać jako pierwsza:

– Wybacz mi, Sophie. Rozmawiałam z tą damą o wiele za długo. – Dochodzi już chyba południe; powinny zatem szybko wracać do domu, bo William rozgniewa się, że nie ma przy nim sekretarki, kochanki, opiekunki do dziecka albo kobiety łączącej te trzy funkcje w taki sposób, jakiego dziś potrzebuje. – A teraz powiedz, maleńka, na czym skończyłaś swój poczet królów Anglii?

Sophie najpierw otwiera usta, chcąc odpowiedzieć, a potem otwiera szeroko oczy ze zdumienia.

– Czy ktoś cię uderzył, panienko?

Sugar zakrywa twarz drżącymi ze zdenerwowania dłońmi.

– N... nie, Sophie. Dostałam tylko krwotoku z nosa, to wszystko.

Sophie jest bardzo poruszona tą sensacyjną wiadomością.

– Mnie też się to kiedyś przytrafiło, panienko! – mówi takim tonem, jak gdyby krwotok z nosa był jakąś podniecającą, nieprawdopodobną przygodą.

– Naprawdę, kochanie? – pyta Sugar, próbując przypomnieć sobie poprzez mgłę własnych niepokojów, o czym mówi Sophie. – A kiedy?

– Dawniej – odpowiada dziewczynka po chwili zastanowienia.

– Dawniej, to znaczy kiedy?

Sophie przyjmuje wyciągniętą rękę guwernantki, która pomaga jej wstać; siedzenie bufiastej sukienki panny Rackham jest mokre, wygniecione i oblepione ziemią, kawałkami gałązek oraz trawą.

– Zanim papa kupił cię dla mnie, panienko – wyjaśnia mała, a wtedy ręka Sugar, uniesiona, aby otrzepać jej sukienkę z błota, zastyga bez ruchu w powietrzu.

Jest za dużo ludzi! O wiele milionów za dużo! A w dodatku nie chcą stać spokojnie! Boże, spraw, żeby przestali się tłoczyć i rozpychać chociaż na minutę, zatrzymaj ich w bezruchu niczym *tableau vivant*, by mogła spokojnie przejść.

Sugar kuli się w drzwiach apteki Lamplougha na Regent Street, na próżno czekając, aż morze ludzi wreszcie się rozstąpi. Bezlitosny, monotony gwar uliczny, nawoływania ulicznych sprzedawców, unosząca się paplanina przechodniów, parskanie koni i szczekanie psów: oto odgłosy, które kiedyś wydawały się jej znajome – ale tylko do czasu. Po kilku miesiącach życia z dala od zgiełku czuje się tu obco.

Jak to możliwe, że przez całe lata chodziła po tych ulicach pogrążona w zadumie, obmyślając swoją powieść, i nie została nigdy przewrócona na ziemię i stratowana? Jak to się dzieje, że tak wielu ludzi tłoczy się w jednym miejscu, że tyle żywotów biegnie równoległe do jej własnego życia? Rozgdakane kobiety w sukniach w żółto-purpurowe pasy, nadęci dandysi, Żydzi, przybysze z krajów Orientu, kroczące chwiejnie żywe reklamy, mrugający do klientów sklepikarze, urzędnicy z kwaśnymi minami, beztroscy marynarze, żebracy i prostytutki – wszyscy ci ludzie zgłaszają prawo do co najmniej tak hojnego losu, jaki przypada jej w udziale. Ze świata można wycisnąć tylko pewną ściśle określoną ilość soku, o którą spragniony tłum bije się i walczy.

No i te zapachy! Sugar przywykła do domu Rackhamów oraz czystych ulic Notting Hill, więc wydelikatniała; a teraz zapiera jej dech i łzawią oczy, musi bowiem wdychać nieznośny zapach perfum, końskiego łajna, świeżo upieczonych ciastek, nieświeżego mięsa, przypalonego tłuszczu baraniego, czekolady, pieczonych kasztanów i psiego moczu. Dom Rackhamów natomiast, chociaż należy do producenta perfum, nie pachnie niczym szczególnym, jedynie w gabinecie Williama czuć dym z cygar, w klasie zaś owsiankę. Nawet wazonny kwiatowy – ogromne, pretensjonalne kopie antycznych amfor – stoją teraz puste, albowiem bukiety, które przysyłali Agnes życzliwi znajomi w dowód swej pamięci, zwiędły i pomarły jak wszystko, co żyje.

Mylnie odczytując myśli Sugar, młoda kwiaciarka wyciąga z chybotliwego wózka bukiet zmęczonych różowych róż i wymachuje nim zachęcająco, popatrując wymownie na dziewczynę. To, że handlarka ma wózek i usiłuje nawiązać kontakt z kobietą, oznacza zapewne, że jest autentyczną kwiaciarką, a nie dziwką, lecz mimo to zdenerwowana Sugar rusza przed siebie, jakby ją giez ukąsił. Jeden głęboki haust powietrza i wkracza w ludzką rzekę, stając się częścią fali pracujących naprzód ciał.

Umyślnie stara się nie patrzeć nikomu w oczy i ma nadzieję, że tłum będzie równie uprzejmy. (Zasłoniłaby twarz czarną woalką, ale bardzo się boi, że wpadnie na kogoś i rymnie na ziemię jak długa). Każdy sklep, który mija, każda wąska uliczka może w każdej chwili wypluć kogoś, kto ją kiedyś znał, kogoś, kto może wskazać ją palcem i oznajmić ochrypłym głosem, że Sugar powróciła na swoje dawne tereny łowieckie.

Mimo woli dostrzega już dwóch bywalców tych okolic: tam, przed Lockhart's Cocoa Rooms, stoi Hugh Banton, kataryniarz; czy on też ją zobaczył? Tak jest! To stary wyga! Nie daje jednak po sobie poznać, że rozpoznaje swoją „Małą Zębatkę”, kiedy Sugar go mija. A tam, powłóczęc nogami, idzie wprost na nią Nadir, żywa reklama! Przechodzi jednak obok obojętnie, nie zaszczycając Sugar uważniejszym spojrzeniem, bo sądzi najwyraźniej, że dama odziana w krepę raczej nie pójdzie na „pierwszy w Anglii!” publiczny pokaz, którego główną atrakcją jest mała człekokształtna z gatunku goryli.

W drzwiach sklepów i na postojach dorożek kręcą się prostytutki, które Sugar zna jedynie z widzenia, nie z nazwiska. Nierządnicę przyglądają się jej z apatyczną obojętnością: dla nich jest stworzeniem równie obcym jak ów potwór, którego wizerunek Nadir obnosi na swojej tablicy reklamowej, ale daleko mniej atrakcyjnym. Jediną rzeczą, która sprawia, że odziana w czerń

nieznajoma przykuwa ich uwagę na dłużej niż mgnienie oka, jest jej nienaturalny, niepewny krok.

Ach, gdyby tylko wiedziały, dlaczego Sugar utyka! Utyka, ponieważ wczorajszej nocy położyła się przed snem na plecach, uniosła wysoko nogi jak podczas stosunku analnego i przepłukała pochwę filiżanką letniej wody, w której rozpuściła siarczan cynku i boraks. Potem owinęła się czymś w rodzaju pieluchy i poszła spać z nadzieją, że w chemikaliach pozostało jeszcze nieco mocy, choć trochę już zwietrzały, od dawna bezużytecznie spoczywając w walizce. Ranek nie przyniósł sukcesu w postaci poronienia, a kiedy się obudziła, jej srom i wewnętrzną część ud pokrywał ognisty rumień, tak bolesny, że ledwo się ubrała – a co dopiero mówić o ubieraniu Sophie.

O dziewiątej, zaciskając zęby, żeby wyglądać normalnie, stawiała się w gabinecie Williama i najbardziej swobodnym tonem, na jaki było ją stać, poprosiła o pierwszy wolny dzień w pracy.

– Po co ci wolny dzień? – zapytał William. Nie podejrzliwie, raczej takim głosem, jak gdyby nie potrafił sobie wyobrazić, że Sugar może mieć jakieś pragnienia, których nie zaspokoi pod dachem jego domu.

– Muszę sobie kupić nowe buty, globus dla Sophie i kilka innych rzeczy...

– A kto się zajmie dzieckiem podczas twojej nieobecności?

– Przekonałam się już, że Sophie można zaufać i że potrafi sama o siebie zadbać. Poza tym Rose będzie do niej zaglądać co jakiś czas, a ja przed piątą będę już z powrotem.

William sprawiał wrażenie nieco zirytowanego i zaczął demonstracyjnie przekładać leżące na biurku listy, które własnoręcznie otworzył i przeczytał, ale na które nie mógł odpisać, bo prawą dłoń ma ciągle w bandażach.

– Ten cały Brinsmead odpisał mi w sprawie ambry. Chce, żebym odpowiedział najpóźniej trzecią pocztą.

– Nic nie zyskasz, stosując się do jego widzimisię – powiedziała Sugar, udając oburzenie niejako w jego imieniu. – Za kogo on się uważa, Williamie? Kto z was zajmuje wyższą pozycję w hierarchii społecznej? Jeżeli poczeka kilka dni, przypomni sobie, że to ty wyświadczasz mu łaskę, nie odwrotnie.

Ku uldze Sugar jej słowa odniosły pożądany skutek i kilka minut później wychodziła już z domu, błada z wysiłku, postanowiła bowiem, że nie zacznie kuśtykać, dopóki nie znajdzie się bezpiecznie w omnibusie.

Ból nie jest już teraz bardzo dokuczliwy; zapewne pomaga jej Creme de Jeunesse firmy Rackham, którym obficie posmarowała krocze. Choć jako krem do twarzy nie jest skuteczny (wbrew entuzjastycznym oświadczeniom na etykiecie), to chyba jednak efektywnie – i bez rozgłosu – przynosi ukojenie wstydliwym częściom ciała. A Sugar musi za wszelką cenę wrócić do pełnej sprawności, bo inaczej będzie musiała odmówić Williamowi, kiedy ten zechce ją wykorzystać w bardziej zmysłowym celu niż prowadzenie jego korespondencji.

Wchodzi, kuśtykając, na Silver Street i modli się w duchu, żeby nikt jej nie zawołał po imieniu. Tutejsze prostytutki są bardziej prostackie niż ich koleżanki z Regent Street – polują jak sępy na mężczyzn, których nie stać na wyższe ceny, obowiązujące na Stretch. Ich twarze, umalowane w trupio blade i krwawoczerwone barwy, wyglądają jak maski, przywodząc na myśl teatralne czarownice, wystrojone specjalnie po to, żeby straszyć dzieci. A kiedy Sugar ostatnio pudrowała twarz? Dobrze pamięta mączny smak pudru, który unosił się w powietrzu za każdym razem, kiedy zanurzała puszek w słoiczku... Ostatnimi czasy myje się jednak do czysta, a jej cera jest gładka niby błonka na powierzchni starannie obranej pomarańczy. Jej codzienne zabiegi kosmetyczne przed lustrem nie obejmują już rozczesywania rzęs, malowania policzków, wyrywania rozwichrzonych włosów z brwi, badania języka i usuwania szpetnych płatków naskórka z wydętych warg; dziś Sugar przelotnie upewnia się tylko, że wygląda na zmęczoną i zmartwioną, po czym upina włosy i idzie do pracy.

Widać już dom pani Castaway, ale na razie dziewczyna nie podchodzi bliżej – czeka, aż droga będzie wolna, bo zaledwie kilka kroków od progu stoi pewien człowiek, który wielokrotnie widział, jak Sugar przywodzi tu klientów z „Fireside”. Jest to sprzedawca nut, który wykonuje właśnie niezdarny, chwiejny taniec, przygrywa sobie na akordeonie i krzywi twarz niczym szaleniec,

podskakując na bruku.

– Goryli kadryli! – chrypi wyjaśniająco, kończąc występ, po czym chwyta zeszyt z zapisem nutowym i unosi go w górę. (Z miejsca, gdzie stoi Sugar, wydaje się, że ilustracja na okładce przedstawia twarz zdumiewająco podobną do facjaty Rackhama). Do sprzedawcy podchodzą wolnym krokiem trzej młodzi bogacze, którzy biją mu brawo i usiłują go skłonić, żeby powtórzył swoje przedstawienie, on jednak odmownie wzrusza ramionami; nie tańczy bowiem dla zabawy.

– Znacie jakieś damy, co grajom na fortepianie, wielmożni panowie? – piszczy. – Bo moja muzyka jest tania jak barszcz.

– Masz tu szylinga – śmieje się najgrubsza z trzech grubych ryb, jednym pstryknięciem swoich szczupłych palców umieszczając monetę w kieszeni płaszcza sprzedawcy nut. – Możesz sobie zatrzymać te brudne papierzyska, tylko zatańcz dla nas jeszcze raz.

Sprzedawca nut pochyła się nad swoim instrumentem i znów udaje goryla, odstawiając zęby w unizonym uśmiechu. Sugar obserwuje tę scenę do chwili, kiedy dandysi mają już dość zabawy i z wyższością odchodzą dostojnie w poszukiwaniu innych rozrywek – a kiedy znikają, sprzedawca pędzi natychmiast w przeciwnym kierunku, by wydać otrzymanego od nich szylinga, Sugar zaś już bez przeszkód rusza dalej, w kierunku swojego dawnego domu.

Serce podchodzi jej do gardła, gdy zbliża się do drzwi domu pani Castaway, podnosi rękę, by chwycić starą, żelazną kołatkę i wystukać szyfrem: *Tu Sugar, jestem sama*. Ale znajomy żelazny Cerber został usunięty, a pozostałe po podtrzymujących go śrubach otwory starannie zaślepiono trocinami i powleczono szelakiem. Nie ma także dzwonka, Sugar musi więc zapukać bezpośrednio do twardych, drewnianych, lakierowanych drzwi.

Oczekiwanie jest okropne, a odgłos odsuwanej zasuwki jeszcze gorszy. Sugar spuszcza wzrok, sądząc, że zobaczy Christophera, ale kiedy drzwi otwierają się, szparę, w której powinna zamajaczyć zaróżowiona twarz chłopca, wypełnia krocze mężczyzny w eleganckich spodniach. Podnosząc szybko wzrok, którym prześlizguje się po stylowej kamizelce i jedwabnym krawacie nieznanego, Sugar otwiera usta, żeby się przedstawić, ale odbiera jej mowę, gdy zdaje sobie sprawę, że w rzeczywistości patrzy na kobietę, nie mężczyznę. Och, to prawda, że owa osoba ma krótko obcięte, wypomadowane i przyzlane włosy, nie może być jednak mowy o pomyłce co do jej kobiecej fizjonomii.

Amelia Crozier (to ona bowiem otworzyła drzwi) z kocim uśmieszkiem przygląda się zmieszanej minie gościa.

– Wydaje mi się, że zabłądziłaś, pani – zauważa. Z każdym słowem z jej ust i nozdrzy wydobywają się szare kłęby papierosowego dymu.

– Nie... nie... ja... – mówi Sugar drżącym głosem. – Byłam ciekawa, co stało się z tym chłopcem, który kiedyś otwierał tutaj drzwi.

Panna Crozier unosi ciemną, wymyślnie wyskubaną brew. – Tu nie przychodzą dzieci – odpowiada. – Tylko duzi chłopcy.

Z wewnątrz, prawdopodobnie z salonu, słychać głos Jennifer Pearce:

– Klient ma ochotę na małego chłopca? Daj mu adres pani Talbot!

Panna Crozier odwraca się plecami do Sugar z pogodną bezczelnością.

Równiutko przystrzyżone włoski na jej karku przypominają tłuste, kacze pierze.

– To nie jest mężczyzna, kochanie! – odkrzykuje Amelia. – To jakaś dama w czerni.

– Och, ufam, że nie należy do Towarzystwa Ocalenia Kobiet – wykrzykuje panna Pearce drwiąco, a zarazem ze zniecierpliwieniem. – Prosimy, dajcie nam spokój.

Wyczuwając, że obie wyznawczynie Safony mogą i będą prowadzić tę grę tak długo, jak długo będzie je bawić, Sugar uznaje, że pora ujawnić swoją tożsamość, choć wcale nie chce utracić aury cnotliwości, którą obie damy przypisały jej bez najmniejszego wahania.

– Nazywam się Sugar – oświadcza głośno, ponownie zwracając na siebie uwagę panny Crozier. – Mieszkałam tu kiedyś. Moja m...

– Ależ to Sugar! – wykrzykuje Amelia, której twarz rozjaśnia się niewątpliwie kobiecym wzruszeniem. – W życiu bym cię nie poznała! Kiedy się ostatnio widziałyśmy, wyglądałaś zupełnie inaczej!

– Ty też – odpowiada Sugar, siląc się na uśmiech.

– Ach, tak. – Panna Crozier uśmiecha się szeroko, gładząc poły swojego szytego na miarę garnitur. – Szata zdoła człowieka, a zatem także kobietę, czyż nie? Ale wejdź, kochanie, wejdź. Ktoś pytał o ciebie nie dalej jak kilka dni temu. Widzisz? Twoja sława nie przemija!

Sugar na sztywnych nogach przekracza próg i wchodzi do salonu pani Castaway, a raczej do salonu, który był kiedyś salonem pani Castaway. Jennifer Pearce przekształciła go z należącej do starej kobiety groteskowej gradami w atrakcyjny i zgodnie z najnowszą modą skąpo umeblowany pokój, godny artykułu w jakimś kosztownym czasopiśmie dla kobiet, wydawanym po drugiej stronie Kanału.

– Witaj nam, witaj!

Ponieważ z salonu zniknęło biurko pani Castaway, a na świeżo wytapetowanych, blad różowych ścianach nie ma już bezładnej ekspozycji rycin, przedstawiających Marie Magdaleny, pokój wydaje się teraz znacznie większy. Na miejscu obrazków wiszą jedynie dwa wachlarze z ryżowego papieru, malowanego w orientalne wzory. Obok kanapy, na której leży Jennifer Pearce, pręży się dumnie jakaś kolczasta roślina, a delikatna, drewniana szyfoniera miodowej barwy służy zapewne nowym właścicielkom (z braku innego miejsca) jako domowy skarbiec. Niedopalony papieros Amelii Crozier spoczywa na wysokim, sięgającym pasa dorosłego mężczyzny srebrnym stojaku na cygara i wypuszcza smukły sznurek dymu, który drży, kiedy zatrząskują się drzwi wejściowe.

– Proszę, siadaj, kochanie – zapraszają śpiewnie Jennifer Pearce i z rozmachem zsuwa nogi z kanapy w trzepocie aksamitnych spódnic, a potem mierzy Sugar badawczym spojrzeniem od stóp do głów, poklepując siedzisko.

– Widzisz? Wygrzałam dla ciebie bardzo wygodne miejsce.

– Dziękuję, postoję – mówi Sugar. Nie może znieść nawet myśli o sprośnych kpinach, jakie usłyszałaby, gdyby zdradziła tym kobietom, że ma zbyt obolałe krocze, by usiąść.

– Bo na stojąco lepiej widać wszystkie zmiany, które tu wprowadziłyśmy, co? – pyta Jennifer Pearce, znowu rozsiadając się na sofie.

Sugar rozumie już, że Jennifer awansowała samą siebie z pozycji dziw–karskiej gwiazdy domu pani Castaway na stanowisko naczelnej rajfurki. Wygląda pod każdym względem jak burdelmama, począwszy od ekstrawaganckiej sukni, której zdjęcie wymaga zapewne co najmniej godzinnych zabiegów, a skończywszy na omdlewająco-bezczelnym wyrazie twarzy. Być może najbardziej oczywistym dowodem w sprawie są jej dłonie: na palcach Jennifer jeżą się bowiem ciernie wysadzanych kamieniami pierścionków. Owszem, pornografia opisuje penisa jako miecz, kołek albo pałę, ale nic nie sprawia równie skutecznie jak garść kolczastej biżuterii, że ta wrażliwa część męskiego ciała kurczy się ze strachu.

– Czy mogłabym zamienić słówko z Amy? – pyta Sugar.

Panna Pearce splata palce przy akompaniamencie cichego stukotu pierścionków.

– Niestety, podobnie jak pani Castaway, Amy nie ma już z nami. – Potem, spostrzegając przejętą minę Sugar, Jennifer uśmiecha się i niespiesznie wyjaśnia nieporozumienie. – Och, nie, moja droga, nie w tym sensie, w jakim nie ma już z nami pani Castaway. Chodziło mi o to, że Amy przeniosła się tam, gdzie jest jej lepiej.

Amelia wybucha straszonym, nosowym, przypominającym rzenie śmiechem.

– Jakkolwiek byś to ujęła, Jen, można by przypuścić, że Amy przeniosła się na tamten świat.

Jennifer Pearce wydyma wargi na znak łagodnego upomnienia pod adresem swojej towarzyszki i kontynuuje:

– Amy uznała w końcu, że nasz dom stał się nieco zbyt... wyspecjalizowany jak na jej talenty, zabrała je zatem gdzie indziej. Nie pamiętam, jak ten dom się nazywa... – (Wzdycha). – Tyle jest teraz nowych domów, że trudno być na bieżąco.

Twarz Jennifer przybiera nagle ostry wyraz, a kiedy dziewczyna pochyla się ku przodowi, słyhać szelest jej spódnic.

– Będę z tobą szczerą, Sugar. Odejdźcie Amy i to, że ja nie pracuję już, by tak rzec, w pozycji leżącej, oznacza, iż brakuje nam dwóch dziewczyn.

Dziewczyn, które z przyjemnością wymierzają tu mężczyznom kary, na jakie ci zasługują. Ale ty chyba nie szukasz nowego domu?

– Nie, dziękuję, mam lokum – mówi spokojnie Sugar. – Przyjechałam, żeby... żeby zapytać o moją... o panią Castaway. Jak ona umarła?

Jennifer Pearce rozpiiera się znów na kanapie i przymyka powieki.

– We śnie, kochanie.

Sugar daremnie czeka na dalsze informacje. Amelia Crozier sięga po papierosa z popielniczki, uznaje, że jest za krótki, aby mógł wyglądać elegancko, i wrzuca go do pustej nogi stojaka. W pokoju panuje taka cisza, że słychać, jak papierowy niedopałek uderza o blaszaną podstawę.

– Czy... czy może zostawiła coś dla mnie? Jakiś list albo wiadomość?

– Nie – odpowiada leniwie Jennifer Pearce. – Nic nie zostawiła.

Znowu zapada cisza. Amelia wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki srebrną papierośnicę, pocierając eleganckim nadgarstkiem wypukłość ukrytych pod kamizelką piersi.

– A co... co się z nią stało? – pyta Sugar. – To znaczy potem... gdy znaleziono ciało?

Oczy Jennifer Pearce zachodzą mgłą, jak gdyby pytano ją o wydarzenia, które miały miejsce przed jej urodzeniem albo w czasach wręcz prehistorycznych.

– Zabrali ją grabarze – mówi z wahaniem. – Czy nie tak, kochanie?

– Tak sądzę – odpowiada Amelia, przykładając zapaloną zapałkę do koniuszka nowego papierosa. – Ludzie z firmy pogrzebowej Rookes, Brookes czy coś w tym rodzaju...

Sugar przenosi spojrzenie z twarzy Amelii na twarz Jennifer i pojmując, że nie ma sensu zadawać im więcej pytań.

– Muszę już iść – mówi, zaciskając palce na torebce, w której spoczywa brzemię medycznych trucizn.

– Bardzo mi przykro, że nie mogłyśmy ci pomóc – odpowiada rajfurka o sennych oczach, która w kolejnej edycji *Dalszych hulank w Londynie* zostanie niewątpliwie wymieniona jako „pani Pearce”. – I polecaj nas wszystkim dziewczynom, które chcą zasmakować w życiu czegoś nowego, dobrze?

Przez całą drogę na Regent Circus Sugar powtarza sobie, co powinna zrobić. Najważniejsze, żeby nie wróciła z miasta bez nowych butów i globusa, nie wspominając już o innych zakupach, mogących przekonać Williama, że spędziła ten dzień pożytecznie. Mimo to myśl, że wejdzie do sklepu i będzie rozmawiać ze sprzedawcą na temat kształtu swoich stóp, wydaje jej się równie fantastyczna jak myśl o tym, iż poleci na Księżyc. Przygląda się szyldom i tablicom reklamowym, a od czasu do czasu przystaje przed jakąś wystawą, usiłując sobie wyobrazić, jak producent luster weneckich, profesor muzyki albo lekarz chorób włosów mógłby jej pomóc wrócić z miasta z zakupami.

Przechodnie napierają na Sugar ze wszystkich stron, lawirują wokół i igrają z nią, bo najpierw celowo omal nie wpadają na dziewczynę, aby za chwilę wykrzyknąć: „Och! Najmocniej przepraszam!”, choć ewidentnie chcieliby raczej powiedzieć: „Mogłabyś się zdecydować, paniusiu, czy wchodzisz do tego sklepu papierniczego, czy nie!”. Obficie łzawią jej oczy; liczyła na to, że będzie mogła skorzystać z toalety u pani Castaway, a teraz tak się jej chce siusiu, że nie może wytrzymać.

– Oooch! Niech pani uważa! – mówi jakaś stara, tęga kobieta, podobnie jak Sugar w żałobie, którą obnosi jednak mniej elegancko od niej.

Sugar przystaje przed sklepem z walizkami. Na wystawie stoi szeroko otwarty sakwojaż – sprężyn jego zamka nie widać, w przeciwieństwie do luksusowego, obitego pikowaną tkaniną wnętrza, w którym niczym olbrzymia perła spoczywa... globus, mający zapewne oznaczać, że posiadacz tak wspaniałego przedmiotu czyni świat swoją ostrygą, zawierającą wszystko, czego może pragnąć człowiek³². Sugar musi tylko wejść do sklepu i zapytać, czy właściciele gotowi są sprzedać ów globus; bez trudu kupią inny, i to za ułamek sumy, jaką gotowa jest zapłacić za ten;

32 Aluzja do słynnego poematu S.T. Coleridge'a (1772-1834) *Kubla Khan* (przyp. tłum.).

cała transakcja nie powinna trwać dłużej niż pięć minut – albo pięć sekund, jeśli powiedzą „nie”. Sugar zaciska pięści i wyciąga szyję; ale podeszwy jej butów zdają się przyklejone do chodnika; nic z tego nie będzie. Dziewczyna idzie dalej.

Wchodzi na Oxford Street w chwili, kiedy z przystanku rusza omnibus jadący do Bayswater. Nawet gdyby była gotowa dostarczyć gapiom na Regent Circus dziwaczne przedstawienie, jakie niewątpliwie stanowiłby widok kobiety w żałobie, usiłującej dogonić omnibus, jest zbyt obolała, żeby biec. Powinna była kupić ten globus – albo nie mitrzyć czasu jak idiotka, oglądając na wystawach importowane cygara czy suknie, które wyszły spod igły dworskich krawców. Popęnia dziś same błędy; los chce, aby podejmowała jedną złą decyzję za drugą. Co udało jej się załatwić, odkąd wyszła z domu? Nic, kupiła tylko lekarstwa w aptece Lamplougha, a teraz na wszystko jest już za późno, za późno. Tymczasem pod jej nieobecność William nabierze podejrzeń, przeszuka pokój swej kochanki i znajdzie pamiętniki Agnes... I – o Boże! – jej powieść. Tak, w tej właśnie chwili Rackham najprawdopodobniej siedzi na łóżku i zaciska zęby ze złości, czytając rękopis liczący sto stron napisanych tą samą ręką, która kreśli jego taktowne odpowiedzi na listy od dostawców, tam zaś przedstawia skazanych na zagładę mężczyzn, błagających o litość, gdy mściwa dziwka o imieniu Sugar obcina im jaja.

Amy powiada, że piszesz powieść, kochanie.

Na twoim miejscu nie wierzyłabym we wszystko, co mówi Amy, mamo.

Wiesz, że nikt na świecie nigdy jej nie przeczyta, prawda, kwiatuszku?

Pisanie mnie bawi, mamo.

To dobrze. Każdej dziewczynie potrzeba trochę rozrywki. Leć teraz na górę i dopisz dla mnie szczęśliwe zakończenie, dobrze?

Pęcherz boli ją już nie do zniesienia. Sugar przechodzi na drugą stronę ulicy, ponieważ wydaje się jej, że jest tam publiczna toaleta, i rzeczywiście, znajduje w niej jednak jedynie męski urynał. Ogląda się za siebie na Oxford Street i widzi, jak ulicą przejeżdża kolejny omnibus. Creme de Jeunesse między nogami Sugar staje się obrzydliwie oślizgły, a krocze pulsuje jej z bólu, jak gdyby przeleciało ją przed chwilą kilku mężczyzn, którzy nie chcą przestać, wyjść ani zapłacić. *Och, przestań biadolić, syczy pani Castaway. Nie wiesz, czym jest cierpienie.*

Sugar stoi na ulicy, płacząc, szlochając i drżąc na całym ciele. Stu kolejnych przechodniów omija dziewczynę z daleka, przyglądając się jej litościwie, acz z dezaprobatą, a po ich minach widać, że wybrała sobie wyjątkowo niedogodne miejsce na to przedstawienie. W pobliżu jest przecież kościół Wszystkich Świętych, a mogła także schronić się w parku albo na nieczynnym cmentarzu, jeśli byłaby skłonna pokonać w tym celu pół mili.

W końcu podchodzi do niej jakiś mężczyzna – wyjątkowo tęgi, o aparycji błazna, pękatym nochalą, gęstych jak janowiec siwych włosów i groźnych, krzaczastych brwiach, przypominających dwie zmiażdżone myszy. Podchodzi boczkiem, nieco bojaźliwie, załamując ręce.

– Spokojnie, spokojnie – mówi. – Chyba nie jest aż tak źle?

W odpowiedzi Sugar wydaje z siebie bezsilny, siepiący chichot, który – choć stara się go opanować – przekształca się gwałtownie w spazmatyczny, urywany śmiech.

– Grzeczna dziewczynka – mówi staruch, łagodnie mrużąc oczy. – To właśnie chciałem usłyszeć. – Potem grubas znika w tłumie, odchodząc chwiejnym, kaczym krokiem i kiwając głową.

Dyrektor firmy Rackham Perfumeries, wciąż półprzytomny po popołudniowej drzemce, stoi w salonie wpatrzony w swoje pianino i zastanawia się, czy kiedykolwiek jeszcze usłyszy jego dźwięk. Podnosi melancholijną kłapę klawiatury i gładzi ją zdrową ręką, muskając opuszkami palców te same białe powierzchnie, których jako ostatnie dotykały palce Agnes; w pewnym sensie jest to intymny kontakt, ale dotyk Williama jest za ciężki, bo oto jeden z klawiszy uruchamia ukryty młoteczek i po chwili w salonie rozbrzmiewa pojedyncza, dźwięczna nuta, a Rackham cofa się, zakłopotany, ponieważ do pokoju może wejść służąca, by sprawdzić, co się dzieje.

William podchodzi do okna i pociąga za sznur, rozsuwając zasłony na całą szerokość. Pada deszcz, cóż za ponura pogoda! Sugar jest gdzieś w mieście, bez parasolki, czemu zresztą nie

powinien się dziwić. Byłoby lepiej, gdyby została w domu i pomagała mu prowadzić korespondencję; dostarczono właśnie drugą pocztę i zdaje się, że Woolworth ma w ręku niepodważalny dowód, wskazujący, iż Henry Calder Rackham nie zwrócił mu dotąd długu w wysokości pięciuset funtów, przez co zapędza Williama w kozi róg diabelnie irytującego trójkąta.

W myślach Williama pojawia się obraz nagiej kobiety, leżącej na stole prosektoryjnym. Inaczej mówiąc, obraz nagiej Agnes. Rackham ufa, że teraz spoczywa już w pokoju. Deszcz przybiera na sile i leje jak z cebra, zamienia się w grad, stuka o szyby okienne i szemrze w trawie.

Rackham niezdarnie zapala cygaro. Złamane palce goją się powoli; jeden zrósł się krzywo, ale tej deformacji oprócz niego i Sugar nikt pewnie nie zauważy.

Gdzieś z głębi domu dobiegają niewyraźne dźwięki, których nie da się rozróżnić na kroki i głosy, albowiem ledwo je słysząc w czasie ulewy. Czy kiedykolwiek napisze dla „Puncha” artykuł o tym, że w czasie deszczu służba staje się krnąbrna? Zapewne nie; w przeszłym roku nie napisał ani słowa, które nie byłoby bezpośrednio związane z interesami. Filozofia i rozrywki odeszły w zapomnienie. Zyskał imperium, ale czy czegoś jednak nie utracił?

Lekkie zawroty głowy każą mu usiąść w najbliższym fotelu. Czy to skutki wstrząsu mózgu? Nie, jest po prostu głodny. Rose nie obudziła go w porze lunchu; wystarczy, że po nią zadzwoni, a zaraz coś mu poda. Mogłaby też przy okazji przynieść „Timesa” z gabinetu; rzucił tylko okiem na gazetę, aby przekonać się, że główna wiadomość dnia dotyczy jakiegoś goryla, a nie odnalezienia żywej Agnes Rackham.

Nonsens. Zorientuje się, że jego głowa wraca już do zdrowia po uderzeniu, kiedy przestaną go dręczyć takie idiotyczne fantasmagorie. Agnes odeszła na zawsze; żyje już tylko w jego wspomnieniach; jest mu tym bardziej żal, że nie mają nawet jednej wspólnej fotografii, nie licząc zrobionych przez tego łajdaka Włocha portretów ślubnych, na których twarz Agnes jest zamazana. Panzetta, tak się nazywał, i jeszcze bezczelnie wziął za te zdjęcia majątek...

William rozpiera się wygodnie w fotelu i patrzy na ulewę. Poprzez migotliwy welon minionych lat dostrzega Agnes, zaskoczoną pewnego dnia przez letni deszczyk. Biegnie skryć się w pawilonie, a zdrowy rumieniec na jej pokrytych kroplami deszczu policzkach wyraźnie kontrastuje z różową sukienką i białym kapeluszem. Pamięta, jak biegł u jej boku, pijany ze szczęścia, że dzieli z nią tę chwilę i że to on właśnie, wybrany spośród wszystkich zalotników, jest tym mężczyzną, który ogląda teraz promiennie piękną dziewczynę na progu dojrzałości, zaróżowioną jak róża, dziewczynę o twarzy błyszczącej deszczem, dyszącą niczym łania.

Przypomina sobie teraz, że Agnes nigdy go nie upokorzyła. Ani razu! Nawet wtedy, kiedy otaczali ją inni konkurenci, bogaci młodzieńcy o świetnych koneksjach, którzy skwapliwie wydymali wargi już na sam widok fabrykanckiego syna. Te zniewieściałe bubki nie miały jednak u Agnes żadnych szans. Tylko czasem zdawała się świadoma ich obecności, jak gdyby w każdej chwili gotowa była odejść i porzucić ich towarzystwo, tak jak pieski, które ktoś nierozważnie zostawił pod jej opieką.

Nigdy jednak nie rezygnowała z towarzystwa Williama Rackhama. On nie był nudziarzem – i na tym polegała różnica między nimi. Tamci mężczyźni, co do jednego, najbardziej na świecie uwielbiali słuchać samych siebie; on wołał słuchać Agnes. Ale zauroczyła go nie tylko melodyjność jej głosu; Agnes bowiem nie była równie głupia jak inne dziewczyny, z którymi się wtedy spotykał. Och, to prawda, nie rozumiała się na sprawach, na których dziewczęta zazwyczaj się nie znają (czyli w gruncie rzeczy nie rozumiała się na niczym ważnym), ale William widział doskonale, że ma nieszablonowy i oryginalny umysł. Najbardziej uderzające było zaś to, że odznaczała się pewnym metafizycznym instynktem, którego jej wątła edukacja zupełnie nie rozwinęła; bo Agnes naprawdę widziała „świat w ziarnku piasku i niebo w dzikim kwieciu”³³.

Gdy William snuje te wspomnienia w swoim salonie, deszcz powoli ustaje. Głowa Rackhama osuwa się na wyhaftowany przez Agnes fotelowy pokrowiec i William kicha nagle. Kichnięcie także przypomina mu promienną Agnes Unwin, a w szczególności, że była irytująco i rozkosznie przesadna. Kiedy pewnego razu zapytał, dlaczego zawsze tak skwapliwie – i głośno – woła: „Niech

33 Cytat z *Auguries of Innocence* Williama Blake’a (1757-1827), angielskiego poety, malarza i wizjonera, prekursora romantyzmu (przyp. tłum.).

ci Bóg błogosławi!”, kiedy ktoś w jej obecności kichnie, wyjaśniła, że podczas chwilowego skurczu nosa niewidzialne złe duchy, krążące wokół nas ze wszystkich stron, mogą skorzystać z okazji i wstąpić w człowieka. Pewność, że nie zostaliśmy opętani, możemy mieć tylko wtedy, gdy jakiś życzliwy świadek tego zdarzenia pobłogosławi nam w imię Boga w chwili, gdy jesteśmy zbyt zaabsorbowani, wołając „A psik!”, abyśmy mogli błogosławić sobie sami.

– Cóż, z tego wynika, że zawdzięczam ci życie – powiedział z uznaniem William.

– Drwisz ze mnie – odparła łagodnie Agnes. – Ale Bóg powinien błogosławić ludziom. Od tego przecież jest, prawda?

– Och, panno Unwin, musisz być ostrożna. Ktoś mógłby cię oskarżyć, że wzywasz imienia Pana Boga swego nadaremno.

– Padały już takie oskarżenia pod moim adresem! Ale... – (Tu na jej ustach pojawił się na chwilę czarujący uśmiech). – ...ludzie mówią tak o mnie tylko dlatego, że siedzą już w nich złe duchy.

– Które ich opętały, ponieważ nikt tym ludziom nie pobłogosławił, gdy kichali.

– Właśnie.

Wtedy William wybuchnął głośnym śmiechem; do diabła, była naprawdę przezabawną dziewczyną! Lecz tylko wyjątkowi mężczyźni potrafili przejrzeć jej błyskotliwą inteligencję i dowcip. Za każdym razem, kiedy się spotykali, Agnes przejawiała ich więcej. Przemawiała zawsze zaczepnym, poważnym tonem, a dopiero potem uśmiechała się zza wachlarza. William i Agnes gmach narzeczeństwa wznieśli właśnie na takich lekkich jak piórka fundamentach wzajemnych przekomarzań.

Oczywiście William jej pożądał. Marzył o Agnes i onanizował się, rozmyślając o niej. Ale w głębi duszy – czy może raczej lędzwi – nie pragnął jej tylko dlatego, aby zaspokoić swe żądze; ostatecznie istnieje przecież cała grupa kobiet przeznaczonych wyłącznie do zaspokajania mężczyzn. Kiedy fantazjował na temat małżeństwa z Agnes, jego wizje niemal nie miały erotycznego charakteru; wyobrażał sobie tylko, że oboje leżą przytuleni, pogrążeni we śnie, na olbrzymiej, białej tratwie łóżka.

Zaraz po zrękowinach przyznała, że bardzo obawia się stracić ładną figurę; po porodzie, jak sądził wtedy William. Dlatego natychmiast postanowił podjąć pewne kroki zapobiegawcze i oszczędzić jej ciężaru potomstwa.

– Dzieci? – zapytał, rozkoszując się myślą, że zakpi z kolejnego konwenansu, albowiem w tamtych czasach nie dałby złamanego grosza za trywialne pragnienia ojców czy innych mądrali. – I tak jest ich już za dużo na tym świecie! Ludzie mają dzieci, bo pragną nieśmiertelności, żyją jednak iluzją, albowiem te małe potwory są przecież sobą, nie nimi. Kto chce nieśmiertelności, powinien zdobyć ją na własną rękę!

Spojrzał jej wtedy w oczy, obawiając się, że jego postanowienie, by zdobyć stawę piórem, może oburzyć Agnes jako próżność, jego narzeczona wyglądała jednak na bardzo zadowoloną.

W snach i marzeniach, zarówno na jawie, jak i we śnie, wyobrażał sobie, że wiodą wspólne życie nie tylko zaraz po ślubie, lecz także w dojrzałych latach, kiedy ich sława miała sięgnąć zenitu.

– Patrzcie, oto państwo Rackham – mówiliby zazdrośni gapie, widząc ich na przechadzce w St James's Park. – Pan Rackham opublikował właśnie kolejną książkę.

– Tak, a ona wróciła niedawno z Paryża, gdzie, jak słyszałam, pięciu różnych krawców uszyło jej trzydzieści sukien!

Typowy dzień w tej ich wyimaginowanej przyszłości zaczynałby się od tego, że William, rozparty w wiklinowym fotelu w zalanym słońcem ogrodzie, robiłby korektę swojej najnowszej książki i odpowiadał na listy od czytelników (wielbiciele otrzymywaliby serdeczne odpowiedzi, natomiast umniejszających jego zasługi malkontentów Rackham niszczyłby natychmiast czubkiem żarzącego się cygara). A malkontentów by nie brakowało, ponieważ jego odważne opinie działałyby na nerwy licznym czytelnikom! Na trawie obok fotela tliłby się stos popiołów, w jakie obróciłby listy wszystkich nudziarzy, którzy niepotrzebnie zadali sobie trud, aby złożyć mu swoje zażalenia. Agnes – lekko unosząc się nad ziemią i roztaczając wokół liliowy blask – nadpływałaby

około południa, po czym skarciłaby go pogodnie, że utrudnia życie ogrodnikowi.

Teraz, w styczniu 1876 roku, William, który jest już wdowcem, krzywi się z bólu, leżąc na kanapie w salonie i snując wspomnienia. Był niesłychanym głupcem! Jak mało rozumiał siebie! Jak mało rozumiał Agnes! I jak tragiczną pomyłkę popełnił, nie przewidując bezwzględności, którą wykazał się później jego ojciec, upokarzając ich oboje w pierwszych latach pożycia małżeńskiego! Wszystkie złe wróżby od początku zapowiadały kostnicę Pitchcott i leżącą na prosektoryjnym stole nieszczęśnicę!

Znów zapadając w drzemkę, widzi przed sobą Agnes podczas nocy poślubnej. Unosi jej koszulę nocną: jego żona jest najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział. Mimo to paraliżuje ją strach, a jej nieskazitelne ciało pokrywa się gęsią skórą. Od wielu miesięcy, ku wyraźnemu zachwytowi Agnes, Rackham wynosi pod niebiosa urodę jej oczu; ale choć bardzo chciałby spędzić następne dwieście lat na adoracji najpierw jej jednej piersi, a potem drugiej, później zaś podziwiać resztę ciała małżonki przez następne trzy tysiące wieków, to gorąco pragnie nieco bardziej spontanicznego zespolenia i wspólnej celebracji ich miłości. Czy powinien cytować jej poezję? Nazywać ją swoją Ameryką, nowo odkrytym lądem? Wstyd i niepokój odbierają mu mowę, a wyraz niemego przerażenia na twarzy małżonki nakazuje Williamowi czynić wszystko w milczeniu. Towarzyszy mu tylko własny, ciężki oddech, kiedy posuwa się coraz dalej z nadzieją, że proces magicznej komunii albo jakaś emocjonalna osmoza dostarczą Agnes natchnienia, dzięki któremu zacznie dzielić jego uniesienie; z nadzieją, że po erupcji jego namiętności zaleje ich fala ciepłego eliksiru wzajemnego ukojenia.

– Williamie?

Budzi się z drżeniem, niespokojny. Przed nim stoi Sugar, jej żałobna suknia lśni wilgocią, a z czepka ściekają krople deszczu. Dziewczyna przybiera przepaszający wyraz twarzy.

– Nie udało mi się nic załatwić – przyznaje. – Proszę, nie gniewaj się na mnie.

William prostuje się na siedzeniu, przecierając oczy palcami zdrowej dłoni. Ma przykurcz szyi, boli go głowa, a jego schowany głęboko w spodniach kutas kurczy się w swoim lepkim, wilgotnym gnieździe włosów łonowych.

– Nic nie szkodzi – stęka. – Wystarczy, że powiesz mi, cze... czego potrzebujesz, a ja ci to załatwię.

Trzy dni później, podczas pisania listu do Henry'ego Caldera Rackhama, którego po chwili wahania poleca jej nazwać w nagłówku „kochanym ojcem”, William nieoczekiwanie zadaje dziewczynie pytanie:

– Umiesz... szyć na maszynie?

Sugar podnosi wzrok. Myślała, że nic jej dzisiaj nie zaskoczy; stan obolałych genitaliów guwernantki poprawił się na tyle, by mogła zacząć myśleć o akcie miłosnym, pod warunkiem że kochanek będzie delikatny; jej rewolucje brzuszne ustały właśnie dziś rano, zastosowała bowiem wywar z piołunu i wrotycza, zapewniając mięśniom tak potrzebny odpoczynek, zanim spróbuje ostatniej deski ratunku, czyli mięty i drożdży piwnych.

– Przykro mi – mówi. – Nigdy nie używałam maszyny do szycia.

Zawiedziony William kiwa głową.

– A umiesz szyć ręcznie?

Sugar odkłada pióro na suszkę i próbuje wyczytać z jego twarzy, czy potraktuje jej żart pobłażliwie.

– Są rzeczy, z którymi radzę sobie znacznie lepiej niż z igłą – odpowiada.

William nie uśmiecha się, ale znów kiwa głową.

– Czyli nie potrafiłabyś prze... przerobić sukni A... Agnes, by pasowała na ciebie?

– Nie sędzę – odpowiada Sugar i bardzo się niepokoi. – Nawet gdybym była krawcową, to... cóż, nasze figury... bardzo się różniły... prawda?

– Szkoda – mówi William i pozwala jej drżeć z niepokoju przez kilka następnych minut. Do czego on zmierza, u diabła? Czyżby ją o coś podejrzewał? Bawił wczoraj w mieście, po raz pierwszy od dnia pogrzebu, a wieczorem nie wspomniął słowem, gdzie był... może poszedł na

policję?

W końcu Rackham budzi się z zadumy, po czym dźwięcznie i autorytatywnie oświadcza, prawie wcale już się nie jękając:

– Zorganizowałem wy... wycieczkę. Dla nas wszystkich.

– Dla nas... wszystkich?

– Dla ciebie, dla mnie i Sophie.

– Aha.

– W czwartek pojedziemy do miasta zrobić sobie zdjęcia. Pojedziesz w za... żałobie, ale proszę, żebyś zabrała jakąś ładną, kolorową suknię, także dla Sophie. U fotografa jest przebieralnia, upewniłem się.

– Aha. – Sugar czeka na dalsze wyjaśnienia, William odwraca się jednak, jak gdyby sprawa została już zamknięta. Dziewczyna podnosi pióro z poplamionej suszki. – Czy chciałbyś, żebym wybrała jakąś konkretną suknię?

– Chcę, żeby była jak najładniejsza, ale za... zarazem zupełnie przyzwoita – odpowiada William.

– Dokąd papa chce nas zabrać, panienko? – pyta Sophie rankiem wielkiego dnia.

– Już ci mówiłam: jedziemy do studia fotograficznego – wzdycha Sugar, usiłując nie okazywać zniecierpliwienia, jakie wzbudza w niej rozemocjonowana dziewczynka.

– Czy to studio fotograficzne jest duże, panienko?

Och, siedź cicho, papłasz tylko po to, żeby paplać.

– Nie wiem, Sophie, nigdy tam nie byłam.

– Czy mogę spiąć włosy szpilką z kości wieloryba, którą dostałam pod choinkę, panienko?

– Oczywiście, kochanie.

– A czy mogę wziąć swoją zamszową torebkę?

Już sam dźwięk twojego głosu, skarbie, bywa wyjątkowo denerwujący, podsuwa jej głos pani Castaway.

– Ja... tak, czemu nie?

Sugar i Sophie idą na podjazd, gdzie czeka już powóz i koń. Obie są w żałobie, a suknie na zmianę Sugar niesie w kraciastym sakwojażu, który należał kiedyś do pani Rackham.

– Gdzie papa? – pyta Sophie, gdy Cheesman podnosi ją i wsadza do kabiny.

– Pewnie porządkuje jeszcze swoje zabawki, panienko. – Stangret mruga żartobliwie do dziewczynki.

Sugar wsiada szybko, póki Cheesman zajmuje się sakwojażem i nie ma sposobności, by jej dotknąć.

– Uważaj na siebie, panno Sugar! – mówi stangret takim tonem, jak gdyby cytował puentę jakiejś sprośnej piosenki.

William wyłania się z drzwi, zapinając ciemnoszary płaszcz, który włożył na ulubiony brązowy surdut. Kiedy pozapina wszystkie guziki, tylko wyjątkowo spostrzegawczy przechodnie zdołają zauważyć, że nie nosi żałoby.

– W drogę, Cheesman! – woła, wsiadając do kabiny z córką i panną Sugar. Ku zachwytowi Sophie, jego słowo niemal natychmiast staje się ciałem: konie ruszają klusem, a powóz toczy się po zwirowanej dróżce w szeroki świat. Zaczyna się przygoda; oto jej pierwszy rozdział.

Pasażerowie w kabinie patrzą na siebie badawczo, udając, że nie widzą się wzajemnie; co nie przychodzi im łatwo, bo siedzą, niemal stykając się kolanami: mężczyzna osobno, a naprzeciwko niego dwie niewiasty.

William zauważa, że Sugar jest bardzo blada, skrępowana i ma bladoniebieskie sińce pod oczami. Zmysłowe usta dziewczyny wykrzywiają się w nerwowym półuśmiechu, a w żałobnej sukience wcale nie jest jej do twarzy. Nie szkodzi: u fotografa wszystko to będzie nieważne.

Sugar spostrzega, że rany Williama już się całkowicie zagoiły, a w każdym razie ma prawo tak sądzić po jego wyglądzie zewnętrznym. Czoło i policzek przecinają mu dwie białe blizny, na rękach nosi trochę za duże rękawiczki, poza tym jednak wygląda jak nowo narodzony – a nawet lepiej, bo

podczas rekonwalescencji stracił dorodne brzuszysko i zeszcupłał na twarzy, na której uwydatniają się teraz kości policzkowe. Doprawdy, była niesprawiedliwa, porównując jego oblicze z karykaturą na ilustracji reklamującej „Goryli kadryl”; może nie jest tak przystojny jak jego brat, ale cierpienie przydało mu nieco dostojności. Jąka się coraz mniej, rzadziej wpada w złość i nadal korzysta z pomocy dziewczyny przy prowadzeniu korespondencji, choć palce wygoiły mu się już na tyle, że mógłby pisać sam. A więc... więc nie ma powodu, by nienawidzić Williama albo się go bać, prawda?

Sophie zastyga w bezruchu i zachowuje się nienagannie, bo tak przystoi dziecku, ale prawdę mówiąc, dziewczynka nie posiada się z radości. Oto siedzi w rodzinnym powozie i po raz pierwszy w życiu jedzie do miasta w towarzystwie ojca, z którym nigdy dotąd nigdzie nie wychodziła. Wyzwanie, jakie stanowi dla niej konieczność oswojenia się z tym wszystkim, jest tak wielkie, że Sophie nie wie, co robić. Ojciec ma twarz starego, mądrego człowieka, znaną jej z etykiet produktów firmy Rackhama, ale kiedy odwraca się do okna albo oblizuje swoje czerwone usta, wygląda jak młodzieniec z doklejoną brodą. Po ulicach przechadzają się panowie i panie, każdy dżentelmen i każda dama jest inna, a widać ich całe setki. Drugą stroną ulicy przejeżdża jakiś powóz, politurowana kabina z drewna i blachy, pełna tajemniczych nieznajomych, ciągnięta przez zwierzę kopytne. Sophie pojmuję, że mijające się powozy są jakby swoimi lustrzanymi odbiciami; dla tamtych zagadkowych nieznajomych to ona stanowi mroczną tajemnicę, bo patrzą na nią z tej samej perspektywy, z jakiej ogląda ich Sophie. Czy rozumie to jej ojciec? Albo panna Sugar?

– Bardzo urosłaś – odzywa się ni stąd, ni zowąd William. – Wybujiałaś w gnieniu oka. Jak ci się to u... udało, co?

Sophie wbija wzrok w ojcowskie kolana; jego pytanie przypomina pytania postaci z *Przygód Alicji w Krainie Czarów*, albowiem nie ma na nie odpowiedzi.

– Czy panna Sugar zadaje ci dużo lekcji?

– Tak, papo.

– To dobrze, dobrze.

Ojciec znów powtarza, że jest grzeczną dziewczynką, jak tamtego dnia, kiedy u jego boku stała dama o twarzy przypominającej mordkę Kota z Cheshire!

– Sophie uwielbia się uczyć – wtrąca panna Sugar.

– To bardzo dobrze – mówi William, na przemian zaciskając i otwierając dłonie na swoich kolanach. – Powiedz mi, Sophie, gdzie leży Zatoka Biskajska?

Dziewczynka zastyga w bezruchu. Oto zadają jej naprawdę istotne pytanie, a ona nie potrafi na nie odpowiedzieć!

– Nie przerabialiśmy jeszcze Hiszpanii – wyjaśnia guwernantka. – Sophie uczy się tymczasem geografii kolonii.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – mówi William, odwracając się z powrotem do okna. Dom, który mijają, zdobi duża, malowana reklama mydła Pearsa, na widok której Rackham marszczy brwi.

Studio fotograficzne mieści się na najwyższym piętrze przy Conduit Street, całkiem niedaleko, bo tylko o rzut kamieniem od domu pani Castaway. Tabliczka z mosiądzu głosi: *Tovey&Scholefield (A.R.S.A.), Fotograficy i Artysci*. W połowie drogi na górę na ponurych schodach wisi oprawny w ramki, mocno podretuszowany fotograficzny portret gołowąsego żołnierza o ustach Amora, który trzyma w ramionach karabin niby bukiet kwiatów. *Poległ na Krymie; pozostanie jednak NIEŚMIERTELNY w pamięci wszystkich, którzy go kochali*, oznajmia podpis, dyskretnie uzupełniony dalej poleceniem: INFORMACJA W PRACOWNI.

W pracowni wita Rackhamów wysoki, wąsaty, wyfraczony osobnik.

– Dzień dobry szanownym państwu – powiada.

William i wąsacz najwyraźniej już się znają, Sugar zaś musi odgadnąć, który z fotografików jest Scholefieldem, a który Toveyem; w każdym razie jeden z nich wygląda jak impresario, drugi zaś to drobnokościsty jegomość w koszuli, bez surduta, którego dziewczyna widzi przez szparę w drzwiach poczekalni, przelewającego jakąś bezbarwną ciecz z małej butelki do dużej. Na ścianach

wisi mnóstwo oprawionych fotografii mężczyzn, kobiet i dzieci, pojedynczo i w seriach rodzinnych, wszystkie idealnie wykonane, bez najmniejszych uszkodzeń, a także wyjątkowo duży obraz: portret jakiejś pulchnej damy w sukni z czasów regencji, która stoi w otoczeniu sfory psów myśliwskich i trzyma w ręku kosz, pełen po brzegi najrozmaitszych elementów martwej natury. W rogu malowidła, na piórach w ogonie martwego bażanta, błyszczą podpisy: *E.H. Scholefield, 1859*.

– Spójrz, Sophie – mówi Sugar. – Ten obraz namalował dżentelmen, który stoi przed nami.

– W rzeczy samej – mówi Scholefield. – Porzuciłem jednak swoją pierwszą miłość oraz intratne zlecenia od takich dam, jak pani na tym obrazie, by głosić nową sztukę fotografii. Uważam bowiem, iż każda nowa dziedzina, jeżeli ma być rzeczywiście sztuką, wymaga szczypty... artystycznego akuszerstwa. – Fotograf uprzytomnia sobie o sekundę za późno, że przemawia do osób płci pięknej. – Proszę mi wybaczyć to wyrażenie.

Panowie bez dalszej zwłoki wprowadzają Sugar i Sophie do małego pokoiku z umywalką, dwoma dużymi lustrami i ozdobnym, kremowym waterklozetem. Na ścianach jeżą się wieszaki na ubrania i kapelusze. Jedno zakratowane okno wychodzi tu na dach, niejako łączący zakład Toveya i Scholefielda z gabinetem dermatologa.

Panie otwierają sakwojaż i wyciągają jego bajecznie kolorową, jedwabistą, miękką zawartość. Sugar pomaga Sophie zdjąć żałobny strój i przebrać się w najładniejszą, niebieską suknię ze złotymi, obsypanymi brokatem guzikami, a potem przeczesuje jej włosy, które spina zapinką z kości wieloryba.

– Odwróć się teraz, Sophie – mówi panna Sugar.

Dziewczynka wykonuje polecenie, ale gdziekolwiek spojrzy, widzi odbijające wszystko w nieskończoność lustro. Zaniepokojona możliwością ujrzenia panny Sugar w dezabilu, Sophie zagląda do sakwojaża mamy. Zmięta karteczka z reklamą: *Psycho, Sensacja Sezonu w Londynie, do obejrzenia wyłącznie w Folkestone Pavilion!* sprawia, że mała ma o czym myśleć, podczas gdy wszędzie dookoła widać obnażające się ciało jej guwernantki. Dziewczynka kilkakrotnie odczytuje cenę na bilecie, pory rozpoczęcia pokazów i zakaz wstępu dla dam o słabych nerwach, mimo woli dostrzegając na mgnienie oka błysk bielizny panny Sugar, wzgórek różowego ciała nad dekoltem jej koszulki oraz nagie ramiona, walczące z ciężkim, ciemnozielonym jedwabiem.

Sophie podnosi bilet do noska i wącha, by sprawdzić, czy przypadkiem nie pachnie morskim powietrzem. Zdaje się jej, że tak, ale być może to tylko jej wyobraźnia.

Kiedy Sugar i Sophie wchodzi do właściwego studia Toveya i Scholefielda, okazuje się, że nie jest to duże pomieszczenie – zapewne nie większe od jadalni Rackhamów – a jego trzy ściany właściciele wykorzystują i zdobią pomysłowo tak, by stanowiły nadające się na każdą możliwą okazję tła zdjęć. Pierwszą ścianę pokrywa pejzaż typu *trompe-l'œil*, na tle którego pozują zwykle mężczyźni – są tutaj lasy, góry, wiszące nisko niebo i stanowiące ewentualny dodatek ruchome kolumny antyczne. Druga ściana udaje salonik, wytapetowany zgodnie z najnowszą modą. Trzecia została podzielona na trzy części, czyli trzy różne, sąsiadujące tła; po lewej stronie od podłogi po sufit wznoszą się półki na książki, z których pozujący do fotografii klient może wybrać jakiś oprawny w skórę tom i udawać, że czyta – o ile nie stanie zbyt daleko na prawo, bo przekroczy wtedy próg „biblioteki” i znajdzie się na tle okna wiejskiego domku, udekorowanego koronkowymi zasłonami. Również owa rustykalna idylla jest bardzo wąskim wycinkiem rzeczywistości, najwyżej o cal szerszym niż staromodna krynolina, albowiem ustępuje zaraz miejsca scenerii pokoju dziecięcego, obitego tapetą w małe rudziki i półksiężyce.

To właśnie na tle pokoju dziecięcego – które jak widać bywa najrzadziej wykorzystywane – właściciele zebrali najwięcej studyjnych rekwizytów: oprócz stanowiącego wyposażenie pokoju konia na biegunach, modelu lokomotywy, miniaturowego biurka i krzesła z wysokim oparciem znajdują się tu także rozmaite akcesoria wykorzystywane podczas zdjęć w innych dekoracjach, jak laska turysty górskiego (dla artystów i filozofów), duży wazon z *papier mache* przyklejony do podstawki ze sklejki, zegary różnych typów, osadzone na mosiężnych stojakach, dwa karabiny, olbrzymi pęk kluczy, zawieszonych na łańcuchu wokół popiersia Shakespeare’a, kilka długich strusich piór, podnóżki w kilku rozmiarach, fasada szafkowego zegara z wahadłem i wiele innych

przedmiotów, już nie tak łatwo rozpoznawalnych.

Sophie, przerażona i zafascynowana, dostrzega nawet wypchanego spaniela o smutnych oczach, który bez sprzeciwu usiadzie u stóp każdego, kto zechce być jego panem.

Sugar kątem oka obserwuje Williama, który przygląda się krytycznie jej i Sophie. Wygląda na lekko zaniepokojonego, jak gdyby martwił się, że dzień popsują mu nieprzewidziane komplikacje, nie sprawia jednak wrażenia rozczarowanego ich strojami; a jeśli nawet spostrzega, że Sugar ma na sobie tę samą suknię, w którą była ubrana w dniu, kiedy się poznali, nie daje tego po sobie poznać. Nieobecny do tej pory Tovey zajmuje miejsce za statywem niezgrabnego aparatu, po czym zarzuca sobie grubą, czarną płachtę na głowę i ramiona. Pozostaje spowity w nią już do końca wizyty Rackhamów w studiu, kołysząc od czasu do czasu tyłkiem pod nieprzepuszczającą światła tkaniną, jak gdyby machał ogonem, lecz mimo to stoi na nogach nie mniej pewnie niż trójnóg.

Sesja zdjęciowa trwa tylko kilka minut. Scholefield odwiódł Williama od jego pierwotnego zamiaru, by zrobić tylko po jednej fotografii; jednorazowo można wykonać bowiem cztery zdjęcia, za które nie trzeba będzie dodatkowo płacić i których nie będzie się powiększać, jeżeli nie spełnią wszystkich wymagań klienta.

Tak więc William stoi zwrócony twarzą w stronę malowanego horyzontu i wpatruje się w to, co Scholefield nazywa „dłają”, czyli w punkt, który w przestrzeni studia nie może być bardziej odległy niż kratka wentylacyjna. Scholefield unosi powoli pięść i uroczyście stwierdza:

– Na horyzoncie przez chmury przedziera się słońce! – Rackham instynktownie wyteżę wzrok, a wówczas Tovey korzysta z okazji, żeby zrobić zdjęcie.

Potem William daje się namówić, by stanął na tle półki z książkami, trzymając w rękach otwarty egzemplarz *Podstaw optyki*.

– Ach, tak, to ten cieszący się złą sławą rozdział! – zauważa Scholefield, rzucając okiem na tekst i podsuwając książkę nieco bliżej klientowi pod nos.

– Kto by pomyślał, że taki nudny podręcznik może zawierać tak pikantne sensacje! – Szklisty wzrok Williama wyostrza się nagle i Rackham zaczyna naprawdę czytać, a Tovey bez wahania ponownie przystępuje do dzieła.

– Ach, to tylko taki żarcik – mówi Scholefield, zwieszając głowę z udaną skruchą. Zachowuje się tym bardziej ekstrawagancko, im dłużej reżyseruje; można by niemal sądzić, że popija ukradkiem whisky z piersiówki albo wacha po kryjomu tlenek azotu.

Sugar, siedząca z boku z Sophie, która czeka na swoją kolej, zastanawia się, czy w studiu znajduje się jeszcze jedno pomieszczenie – sekretne, odpowiednio wyposażona komnata, w której powstają zdjęcia pornograficzne.

Czy kiedy Tovey i Scholefield zostają sami pod koniec dnia pracy, wywołują jedynie zdjęcia przyzwoicie ubranych dżentelmenów i dam, czy może z cuchnących cieczy w ciemni wyciągają też fotografie nagich prostytutek, a potem rozwieszają je, by wyschły? Bo ostatecznie czy istnieje dzieło bardziej artystyczne niż zestaw zdjęć wielkości kart do gry, sprzedawanych w paczuszce z naklejką *Do wyłącznego użytku artystów?*

– A teraz prosimy pańską czarującą córeczkę – mówi Scholefield, po czym ze zręcznością baletmistrza uprzęta rekwizyty, leżące przed atrapą pokoju dziecinnego, pozostawiając na miejscu jedynie zabawki. Po chwili wahania usuwa także model parowozu; następnie po nieco dłuższym namyśle uznaje, że pan Rackham nie należy do ojców, którzy chętnie widzieliby swoją córkę siedzącą jak amazonka na koniu na biegunach, zabiera więc również konia. Potem Scholefield podprowadza Sophie do wąskiego stołu, pokazuje dziewczynce, w jakiej pozie powinna stanąć, cofa się zwinnie o krok, przygląda zaaranżowanej przez siebie scenie i daje znów susa naprzód, żeby usunąć niepotrzebny stołek.

– Ściągnę teraz z nieba słonia, którego będę podtrzymywał na czubku nosa! – oświadcza, unosząc ręce w geście zapowiadającym cud.

Sophie nie podnosi głowy ani nie otwiera szerzej oczu; myśli jedynie o tym fragmencie *Przygód Alicji*, w którym Kot z Cheshire stwierdza, że wszyscy dookoła mają bzika. Czy Londyn rzeczywiście roi się od pomyłonych fotografów i żywych reklam, które przypominają karcianych dworzan Królowej Kier?

– Jestem srodze rozczarowany, ponieważ żaden słoń nie zechciał zstąpić z nieba, odkręcę więc sobie głowę – mówi Scholefield, spostrzegłszy, że Tovey jeszcze nie naświetlił błony.

Owa niepokojąca zapowiedź, której towarzyszy wystudiowany gest, mający wskazywać, że zostanie spełniona lada moment, sprawia jedynie, iż Sophie marszczy brwi.

– Ten pan chciałby, żebyś uniosła głowę i przez krótką chwilę nie mrugała oczami, kochana Sophie – mówi cicho Sugar.

Sophie podporządkowuje się tej prośbie i spełnia oczekiwania pana Toveya.

Jeżeli chodzi o fotografię zbiorową, to William, Sugar i Sophie pozują do niej w stylowym otoczeniu idealnej bawialni: pan Rackham stoi w środku, panna Rackham z przodu, nieco po lewej ręce ojca, któremu sięga głową do dewizki zegarka, a bezimienna dama zasiada na eleganckim krześle po prawej stronie. Razem tworzą coś w rodzaju piramidy, której wierzchołkiem jest głowa pana Rackhama, a z kolei spódnicę panny Rackham i anonimowej damy stanowią jej podstawę.

– Doskonale, doskonale – mówi Scholefield.

Sugar siedzi w bezruchu, składa skromnie dłonie na kolanach, prostuje sztywno ramiona i nie mrugając powiekami, wpatruje się w uniesiony palec pana Scholefielda. Zakapturzona istota, jaką stał się Tovey wraz ze swoim aparatem, otwiera teraz oko; w tej samej chwili pod wpływem światła wewnątrz zaczyna działać niewidoczna emulsja, tworząc wyostrajający się wciąż obraz trojga ludzi, zastygłych w starannie upozowanym bezruchu. Sugar słyszy nad głową płytki oddech Williama. Ciągle jej nie powiedział, po co to wszystko; sądziła, że teraz już jej to wyjaśni, lecz nie uczynił tego. Czy ośmieli się go o to zagadnąć? Czy może jest to jedna z tych spraw, które sprowokują jego wybuch wściekłości? Dziwne, ale wydarzenie, które powinno dać jej nadzieję, że spędzą razem resztę życia – wykonanie rodzinnego portretu, na którym zastępuje jego żonę – napełnia Sugar wyjątkowo złowieszczymi przeczuciami.

W jaki sposób, u licha, William zamierza wykorzystać ów portret rodzinny? Przecież nie będzie mógł go pokazywać wszem wobec; co zatem zamierza uczynić? Oglądać go w samotności? Podarować go jej? Co ona tu robi, na Boga, i dlaczego czuje się gorzej, niż gdyby zmuszano ją, by w stroju Ewy doznawała różnych upokorzeń „do wyłącznego użytku artystów”?

– Sądzę, że już po wszystkim, prawda, panie Tovey? – pyta Scholefield.

Na co jego współlnik odpowiada chrząknięciem.

Kilka godzin później, po powrocie do Notting Hill, kiedy nadchodzi noc i opadają emocje, domownicy w rezydencji Rackhamów udają się na spoczynek – każdy do swojego własnego łóżka. Wszystkie światła w domu już pogasły, nawet lampa w gabinecie Williama.

Rackham pochrapuje łagodnie na poduszce i już coś mu się śni. Płonie największa fabryka mydła Pearsa, on zaś przygląda się bezskutecznym wysiłkom próbujących ją uratować strażaków. Sen pełen jest niezwyklej woni palącego się mydła, zapachu, którego na jawie William nigdy jeszcze nie czuł, a o którym zapomni natychmiast po przebudzeniu, chociaż we śnie wydaje mu się bardzo charakterystyczny.

Jego córka też śpi głębokim snem, zmęczona dzisiejszymi przygodami, nieprzyjemnością, której zaznała, gdy Sugar skarciła ją za nieposłuszeństwo, i nieszczęściem, jakie przydarzyło się jej po południu, kiedy zwymiotowała nie tylko gulasz wołowy, lecz także ciasto i kakao, które wypila w Lockhart's Cocoa Rooms. Świat jest strasznie dziwnym miejscem, większym i tłoczniejszym, niż sobie wyobrażała, a dzieją się na nim rzeczy, których najwyraźniej nie rozumie nawet jej guwernantka; ojciec powiedział jednak, że jest grzeczną dziewczynką, a Zatoka Biskajska leży u wybrzeży Hiszpanii, gdyby jeszcze kiedyś ją o to zapytał. Jutro nadejdzie kolejny dzień, ona zaś odrobi lekcje tak dobrze, że panna Sugar nie będzie się na nią gniewać ani trochę.

Sugar natomiast nie śpi. Obejmuje ramionami nocnik, do którego wymiotuje paskudną mieszaniną mięty i drożdży piwnych. Jednak nawet gdy targają nią skurcze, a jej usta i nozdrza pali trucizna, fizyczne dolegliwości okazują się fraszką w porównaniu z kłującym bólem, jaki zadały jej słowa, z którymi William odesłał ją z gabinetu: *Pilnuj swojego nosa! Nie sądzisz, że wyjaśnię ci, po co robimy te zdjęcia, gdyby mogło cię to cokolwiek obchodzić? Za kogo ty się masz!*

Dziewczyna kładzie się do łóżka, trzymając się za brzuch i bojąc się jęknąć, żeby nikt jej nie

usłyszał przez ścianę. Mięśnie bolą ją od skurczów, w brzuchu nie zostało jej już nic. Z wyjątkiem...

Po raz pierwszy, odkąd zaszła w ciążę, Sugar wyobraża sobie dziecko jako... dziecko. Do tej pory starała się nie myśleć o nim w ten sposób. Wszystko zaczęło się od błędnego, nieokreślonego niepokoju, wywołanego ustaniem menstruacji; potem dziecko stało się pączkującym robakiem, pasożytem, którego miała nadzieję zmusić do opuszczenia jej ciała. Nawet kiedy te wysiłki spełzły na niczym, nie wyobrażała sobie, że ma do czynienia z żywą istotą, która czepia się życia ze wszystkich sił; był to dla niej raczej jakiś tajemniczy obiekt, rosnący, a przecież nieruchomy, klucha materii, niewytłumaczalnie rozwijająca się w jej wnętrzu. Teraz, gdy leży w łóżku o zapomnianej przez Boga i ludzi nocnej godzinie, ściskając własny brzuch, nieoczekiwanie zdaje sobie sprawę, że jej dłonie dotykają życia: że wzrasta w niej ludzka istota.

Jak wygląda to dziecko? Czy ma twarz? Tak, oczywiście, musi mieć twarz. Czy to jest on, czy ona? Czy domyśla się, w jaki sposób dotąd mu matkowała? Czy buzię wykrzywia mu strach, czy skórę ma poparzoną siarczkiem cynku i boraksem, i czy otwiera już usta w poszukiwaniu pełnowartościowego pożywienia pośród trucizn kotłujących się w jej trzewiach? Czy żałuje dnia swoich urodzin, chociaż ten dzień ma dopiero nadejść?

Sugar przesuwa ręce z brzucha wyżej, na rozpalone gorączką czoło. Musi odrzucić tego rodzaju myśli. Temu dziecku – owej istocie – tej czepliwej klusce mięsa nie można pozwolić żyć. Sugar kładzie na szali własne życie; jeżeli William dowie się, że jest przy nadziei, nastąpi koniec, koniec wszystkiego. *Nie wrócisz na ulicę, prawda, panno Sugar?* Takie pytanie zadała jej pani Fox, a ona odpowiedziała, że wolałaby umrzeć.

Podciąga kołdrę na piersi, układając się do snu; mdłości ustępują, udaje się jej więc wypić trochę wody, by splukać z języka smak żółci i mięty. Nadal boli ją brzuch, od klatki piersiowej po krocze, jak gdyby poddała rzadko używane mięśnie serii forsownych ćwiczeń. Gdy kładzie dłoń na brzuchu, wyczuwa w nim bicie serca. Własnego, ma się rozumieć, bo krew w jej piersi i skroniach pulsuje w tym samym rytmie. Istotka, która w niej żyje, zapewne nie ma jeszcze własnego serca. A może już ma?

Nie śpią też Scholefield i Tovey; prawdę mówiąc, pomimo późnej pory nie wyszli wciąż ze studia na Conduit Street. Robią różne rzeczy, między innymi wywołują zdjęcia Rackhamów i usiłują dokonać cudu.

– Głowa wyszła za mała – mruczy Tovey, spoglądając spod przymrużonych powiek na połyskliwą twarz kobiecą, która właśnie materializuje się w półmroku. – Nie sądzisz?

– Owszem – odpowiada Scholefield. – Ale i tak nie możemy wykorzystać tego zdjęcia. Jest za jasne, a ta kobieta wygląda, jakby jej głowę od wewnątrz rozświetlała zapalona lampa.

– Czy nie byłoby prościej sfotografować ich wszystkich jeszcze raz, w plenerze, w pełnym słońcu?

– Tak, kochany, tak byłoby prościej, ale to wykluczone. – Scholefield wzdycha.

Pracują dalej, do białego rana. Zazwyczaj muszą najwyżej zwieńczyć ciało żołnierza chłopięcym obliczem, aby odtworzyć dla zrozpaczonych rodziców prawie autentyczny wizerunek zaginionego syna w żołnierskiej chwale, ale zlecenie od Rackhama okazuje się trudniejsze. Jest to zadanie w zasadzie niewykonalne: należy bowiem sfotografować twarz z pewnej fotografii, zrobionej w oślepiającym słońcu przez amatora, który stanowczo przecenił swe umiejętności, a następnie powiększyć ją znacznie i umieścić na ramionach kobiety sfotografowanej w studiu przez zawodowców.

O trzeciej nad ranem uzyskują najlepszy możliwy wynik, biorąc pod uwagę materiał, na którym pracują. Rackham po prostu będzie musiał zadowolić się tym, co dostanie, a jeżeli nie, zapłaci im tylko za zwykłe fotografie swoje i swojej córki, natomiast niedoskonały fotomontaż zabierze.

Fotografowie kładą się spać w przylegającym do studia małym pokoiku; jest o wiele za późno, by mogli złapać dorożkę i wrócić do domu w Clerkenwell, w którym mieszkają razem. Na drucie w ciemni wiszą owoce ich dzisiejszej pracy: piękna fotografia Williama Rackhama, wpatzonego w romantyczny widok przedwiecznego górskiego szczytu, piękna fotografia Williama Rackhama

pogrążonego w lekturze, piękna fotografia rozmarzonej w pokoju dziecinnym Sophie Rackham i wyjątkowo osobliwa fotografia rodzinna, albowiem głowa pani Agnes Rackham została na nią przeniesiona z pewnego dawno minionego lata, a jej nienaturalnie promienne oblicze przywodzi na myśl tajemniczą postać – przez spirytystów uważaną za ducha – której obecność da się zarejestrować na warstewce przypominającej żelatynę emulsji, lecz której nie można dostrzec gołym okiem.

Sophie Rackham stoi przy oknie na samym brzegu stołeczka i lekko kręci pupą, chcąc sprawdzić, czy mebel się nie kiwa. Owszem, trochę. Ostrożnie, ponieważ nie widzi swoich zasłoniętych spódnicą nóg, przesuwa stopy, by złapać równowagę, i wreszcie stoi bezpiecznie.

Urosnę większa od mamy, myśli, nie z przekory i nie dlatego, by z matką rywalizować, ale dlatego, że przekonała się, iż zasadniczo różni się od niej i w przyszłości nie będzie drobna ani niska. Wygląda na to, że kiedy była niemowlęciem, ktoś karmił ją ciasteczkami z *Przygód Alicji w Krainie Czarów*, Sophie nie wybujała jednak pod sufit w kilka sekund, lecz z każdą chwilą swojego życia powiększa się odrobinę i nie przestanie rosnąć, dopóki nie będzie naprawdę wysoka – jak panna Sugar albo ojciec.

Niedługo obejdzie się bez stołeczka, żeby mogła wyglądać na świat. Już wkrótce panna Sugar – albo ktoś inny – będzie musiał sprawić jej nowe buty, nową bieliznę i w ogóle nowe rzeczy, bo tak już urosła, że prawie w niczym nie jest jej wygodnie. Może znów zabiorą ją do miasta, gdzie są takie sklepy, które sprzedają produkty tylko jednego rodzaju, a mimo to codziennie dokonują co najmniej jednej transakcji, bo ulicami przewala się bez końca nadzwyczajna obfitość ludzi.

Sophie podnosi lunetę, zaciskając palce wokół pierścieni jej obudowy. Rozciąga instrument na całą długość czternastu cali i obserwuje Chepstow Villas. Niewielu tu przechodniów i niewiele się dzieje. Nie to co w mieście.

Za plecami dziewczynki słychać skrzypienie klamki u drzwi klasy. Czy panna Sugar już wraca, chociaż dopiero co wyszła pomóc papie przy pisaniu listów? Sophie nie może odwrócić się zbyt szybko, bo spadłaby ze stołeczka; a gdyby zbiła lunetę, czekałoby ją, jak sądzi, siedemset siedemdziesiąt siedem lat nieszczęść.

– Witaj, Sophie – mówi niski, męski głos.

Sophie ze zdumieniem widzi, że w drzwiach stoi ojciec. Kiedy ostatnio odwiedził ją w tym pokoju, jej nianią była jeszcze Beatrice, a mama bawiła nad morzem. Dziewczynka zastanawia się, czy robi na nim dobre wrażenie, jeśli dygnie, ale chybotliwy stołeczek sprawia, że Sophie porzuca ten zamiar.

– Dzień dobry, papo.

William zamyka za sobą drzwi, wchodzi do pokoju i czeka, aż Sophie zejdzie ze stołeczka na dywan. Jak dotąd w jej życiu nie wydarzyło się nic, co można by porównać do tej wizyty. Dziewczynka mruga oczami w cieniu ojca, unosząc wzrok na jego pomarszczoną, uśmiechniętą brodatą twarz.

– Mam dla ciebie niespodziankę – mówi Rackham, kryjąc dłonie za plecami.

Zniecierpliwienie małej zostaje stłumione przez strach; mimo woli Sophie zastanawia się, czy ojciec nie przyszedł jej powiedzieć, że zostanie wysłana do zakładu dla niegrzecznych dziewczynek, czym kiedyś często jej groziła niania.

– Proszę, oto ona. – William wręcza córce ramkę wielkości książki dużego formatu. Za szybką znajduje się fotografia Sophie, zrobiona przez człowieka, który twierdził, że utrzyma słonia na czubku nosa. Na zdjęciu Sophie Rackham wygląda szlachetnie i nijako, składa się bowiem wyłącznie z szarości i czerni niczym pomnik, sprawia jednak wrażenie szalenie dystyngowanej i dojrzałej. Sztuczne tło przeistoczyło się w prawdziwy pokój, a oczy młodej damy są piękne i pełne życia, ponieważ jarzą się w nich małe światełka. Ależ to piękne zdjęcie! Gdyby było kolorowe, wyglądałoby niczym namalowany obraz.

– Dziękuję, papo.

Ojciec uśmiecha się do niej z góry, a jego wargi drżą gwałtownie, jak gdyby nie przywykł do korzystania z zeszytniałych mięśni, których musi użyć, żeby się uśmiechnąć. Bez słowa wyciąga zza pleców kolejną oprawioną fotografię: tym razem jest to zdjęcie wpatzonego w przyszłość

Rackhama, stojącego na tle malowanych gór i nieba.

– I co o tym sądzisz? – pyta córkę William.

Sophie niemal nie wierzy własnym uszom. Ojciec nigdy dotąd nie pytał jej o zdanie na jakikolwiek temat. Jak to możliwe, że świat dopuszcza teraz coś podobnego? Przecież papa to stary, wysoki mężczyzna, i w dodatku jej ojciec, a ona jest jedynie jego córką, młodziutką, maleńką dziewczynką.

– To bardzo dobra fotografia, prawda, papo? – odpowiada Sophie. Chce mu powiedzieć, że złudzenie wydaje się jej niemal doskonałe, można bowiem sądzić, że William pozuje na tle prawdziwych gór. Sophie nie ufa sobie jednak; boi się, że zapłacze się i że przeszkodzi jej zbyt skąpy zasób stów. Mimo to ojciec chyba czyta w jej myślach.

– To dziwne, prawda, że wie... wiemy, iż owo zdjęcie zostało zrobione w pokoju na piętrze, przy gwarnej ulicy, a przecież na fotografii stoję w gór... górskim pustkowiu. Wszyscy musimy jednak postępować w ten sposób, Sophie: musimy prezentować się w jak najlepszym świetle. Dlatego istnieje sztuka... sztuka... sztuka. I historia. – William jąka się tym bardziej, im bardziej dostosowuje się do dzieciennego poziomu konwersacji, i nie może już dłużej tego znieść. Sophie wie, że papa zaraz sobie pójdzie.

– A co z tym trzecim zdjęciem, papo? – pyta odruchowo, kiedy William cofa się o krok. – Na którym widać nas wszystkich?

– Nie... nie wyszło dobrze – odpowiada William ze zboląłą miną. – Mo... może kiedyś tam pojedziemy i spróbujemy zrobić je raz jeszcze. Ale nie mogę ci tego o... obiecać.

Po czym nie odzywając się już więcej i nie rzucając nawet słowa pożegnania, odwraca się na pięcie, by chwiejnym krokiem wyjść z klasy.

Sophie wpatruje się w zamknięte drzwi i przyciska swój portret do piersi. Nie może się doczekać, kiedy pokaże go pannie Sugar.

Późnym wieczorem tego samego dnia, gdy Sophie już od dawna śpi i nawet służące udają się na spoczynek, Sugar i William rozmawiają wciąż o interesach przy zapalanej lampie w jego gabinecie. Firma Rackhama to istny temat-rzeka, który ciągle się komplikuje, nawet kiedy zmęczenie obojga każe im go porzucić. Gdyby ktoś zapytał Sugar przed rokiem, czego wymaga prowadzenie fabryki kosmetyków, odpowiedziałyby następująco: należy wyhodować kwiaty, zebrać je z pól, rozgnieść na pulpę, zaprawić uzyskaną w ten sposób esencją flakoniki z wodą albo kostki mydła, nakleić na produkt papierową etykietę, a potem załadować towar na wozy i rozesłać do sklepów. Dziś jednak znalezienie odpowiedzi na tak złożone pytania – jak na przykład, czy można mieć nadzieję, że ten oszust, Crawley, poprawnie obliczy koszty zwiększenia mocy silników parowych z dwunastu do szesnastu koni mechanicznych, albo czy warto stracić więcej pieniędzy w porcie w Hull, by zjednać jego zarządców – może trwać, lekko licząc, co najmniej dwadzieścia minut, po których Sugar dopiero sięgnie po pierwszy list ze stosu korespondencji do załatwienia. Zaczyna się jej wydawać, że wszystkie zawody są pod tym względem podobne: laikom zdają się proste, wtajemniczonym zaś niebywale skomplikowane. W końcu nawet dziwki potrafią całymi godzinami trajlować o swoim fachu.

William jest dzisiaj w osobliwym nastroju. Nie wpada w gniew tak łatwo jak zwykle; mówi rozsądnie, choć zarazem z nutą melancholii. Wygląda na to, że kupieckie wyzwania, które w początkowym okresie zarządzania firmą podejmował z szalonym entuzjazmem, a ostatnio z wojowniczą niechęcią, wyssały z niego cały wcześniejszy animusz. „Bezużyteczny”, „nieopłacalny”, „daremnny”: oto określenia, które często powtarza z ciężkim westchnieniem, obarczając Sugar zadaniem przywrócenia mu pewności siebie. – Naprawdę tak sądzisz? – pyta, kiedy Sugar zapewnia go, że gwiazda Rackhamów wciąż wschodzi. – Nie myślałem, że z ciebie taka mała optymistka.

Choć Sugar dobrze wie, że powinna być wdzięczna losowi, iż William się na nią nie gniewa, ogarniają ją przekorna chęć, by w odpowiedzi warknąć na niego ostro. Po tym, co musiała dziś znieść ze strony Sophie, przybyło jej własnych zmartwień i nie jest w nastroju, żeby odgrywać rolę podnoszącego na duchu anioła. A kiedy ktoś wreszcie doda jej otuchy? Kto ją zapewni, że wszystko

będzie w porządku?

Chciałaby mu powiedzieć: Noszę w łonie twoje dziecko, Williamie. Jestem pewna, że to chłopiec. Dziedzic, którego tak pragniesz dla Rackham Perfumeries. Nikt poza nami nie musi zresztą wiedzieć, że to twoje dziecko. Mógłbyś oświadczyć, że zatrudniłeś mnie za pośrednictwem Towarzystwa Ocalenia Kobiet, nie mając pojęcia, iż jestem przy nadziei. Mógłbyś oświadczyć, że jestem dobrą guwernantką Sophie, a ty nie potrafisz potępić mnie za grzechy, które popełniłam wcześniej, gdy prowadziłam jeszcze inne życie. Zawsze powtarzałeś, że nic cię nie obchodzi, co ludzie o tobie myślą. A wiele lat później, kiedy firmę przejmie twój syn i plotkarze przestaną mleć jęzorami, będziemy mogli się pobrać. Czy rozumiesz, że to dar od losu?

– Sądzę, że nie powinieneś nic robić w tej sprawie – radzi mu Sugar, z konieczności wracając do rzeczywistości i silników parowych. – Odzyskać zainwestowane pieniądze możesz tylko pod warunkiem, że przez dziesięć kolejnych lat zbiory będą dobre, a twoja konkurencja stanie w miejscu, ryzyko jest więc zbyt duże.

Na wspomnienie konkurencji William posępnieje jeszcze bardziej.

– Ach, Sugar, zostawiaj mnie w tyle. Będę jak wiatrak na wietrze, który wzbudzą, wyprzedzając mnie w pędzie – mówi, demonstrując bez przekonania, jak będzie machał rękami, chociaż półleży teraz na otomanie. – Dwudziesty wiek będzie należał do Pearsa i Yardleya, czuję to przez skórę.

Sugar przygryza dolną wargę i tłumi pełne irytacji westchnienie. Ach, gdyby mogła kazać mu narysować australijskie kangury albo rozwiązać kilka łatwiejszych zadań arytmetycznych! Czy wtedy nagrodziłby ją szerokim uśmiechem?

– Przede wszystkim powinniśmy się martwić o ostatnie lata naszego stulecia, Williamie – mówi z przekonaniem Sugar. – Ostatecznie w tym właśnie stuleciu żyjemy. – I aby podkreślić, że trzeba odpisywać na listy metodycznie, jeden po drugim, w takiej kolejności, w jakiej przychodziły, sięga po następną kopertę, po czym odczytuje nazwisko nadawcy. – Philip Bodley.

– Odłóż to – stęka William, zsuwając się jeszcze niżej i przybierając niemal pozycję leżącą. – To nie twoja sprawa. To znaczy, chciałem powiedzieć, nie dotyczy firmy.

– Masz jakieś kłopoty, tak? – szepcze Sugar pełnym współczucia głosem, mającym go przekonać, że może się z nią podzielić nawet najtajniejszymi zmartwieniami, ona zaś wzorem najlepszych żon na świecie podniesie go na duchu.

– Nie powinno cię obchodzić, czy mam kłopoty, czy nie – zauważa William, nie zaczepnie, lecz ze smętną rezygnacją. – Pamiętaj, że moje życie nie kończy się na tym biurku, kochanie.

To ostatnie pieszczotliwe słowo Sugar bierze za dobrą monetę, a w każdym razie stara się, jak może, aby tak je zrozumieć. Ostatecznie William czyni aluzję do tego, że jest mu niezbędna w firmie, czyż nie? Dziewczyna sięga po następną kopertę.

– Finnegan&Co, Tynemouth.

William kryje twarz w dłoniach.

– Czy nic nie będzie mi oszczędzone? – jęczy.

Sugar czyta list na głos, przerywając tylko wtedy, gdy William parska z irytacją albo mamrocze coś sceptycznie pod nosem i zagłusza jej słowa. Potem, kiedy Rackham przetrawia treść pisma, dziewczyna siedzi w milczeniu za biurkiem i oddycha płytko, czując rozpychające jej obolały żołądek złowieszcze wzdęcie i przyływ podrażnionej dumy, wzbierający cal po calu w gardle.

– Sophie dziś po południu była wprost nieznośna – wypala wreszcie.

William, pochłonięty godnym Salomona pytaniem, czy winą za opóźnienia w wyładunku transportów w Tynemouth naprawdę należy obarczyć skandalicznie leniwych dokerów, czy może dostawca znów go okłamuje, mruga oczami, jak gdyby nie rozumiał, co mówi guwernantka.

– Sophie? Nieznośna?

Sugar oddycha głęboko, a wtedy szwy sukni wpijają się w jej nabrzmiąły biust i brzuch. W jednym przebłysku przypomina sobie, jak bardzo rozemocjonowana była Sophie po wizycie, którą złożył jej ojciec; jak się chwaliła swoją fotografią; jak trajkotała z radości i nie mogła się skupić, i dlatego z nadejściem popołudnia zaczęła płakać ze złości, myliła się bowiem w dodawaniu i nie potrafiła zapamiętać nazw różnych gatunków kwiatów; nie miała apetytu przy obiedzie i marudziła, że jest głodna, gdy przyszła pora snu; a poza tym w ogóle zachowywała się tak, jak gdyby podano

jej przemocą jakąś nieznaną substancję, która jej zaszkodziła.

– Twierdzi, że mówiłeś, iż pojedziemy jeszcze raz do fotografa, i to bardzo niedługo.

– Ja... nic podobnego – zaprzecza William i marszczy brwi, dochodząc do wniosku, że życie to jedno wielkie bagno nieporozumień i zdrad, i nawet rodzone dziecko ściąga człowiekowi kłopoty na głowę, kiedy tylko okazać mu wielkoduszność!

– Upiera się, że złożyłeś jej taką obietnicę – mówi Sugar.

– Cóż, w takim razie je... jest w błędzie.

Sugar przeciera zmęczone oczy. Jej palce są tak szorstkie, a skóra powiek tak delikatna, że dziewczyna boi się skaleczyć.

– Uważam, że jeśli zamierzasz poświęcać teraz Sophie nieco więcej czasu, byłoby lepiej, gdybyś to robił w mojej obecności – mówi.

William unosi się na łokciach i patrzy na nią z gniewnym niedowierzaniem. Najpierw Sophie, a teraz Sugar! Kobiety, zaiste, przynoszą tylko komplikacje i zmartwienia!

– Czy chcesz mnie pouczać, kie... kiedy i w ja... jakich okolicznościach po... powinienem widywać się z własną córką? – pyta oschle.

Sugar pokornie przechyla głowę na bok, starając się nadać swojemu głosowi możliwie najłagodniejsze brzmienie.

– Och, nie, Williamie, proszę cię, nie myśl, że o to mi chodzi. Doskonale dajesz sobie radę jako ojciec, a ja cię za to podziwiam. – William ciągle patrzy na nią groźnie; Chryste Panie, co jeszcze mu powiedzieć? Czy powinna trzymać język za zębami, czy raczej zrobić z niego jakiś użytek? *No, no, chyba znasz już na pamięć cały słownik, kochanie?*, dobiegają z przeszłości szyderczy głos pani Castaway. *Ale tylko dwa słowa przyniosą ci w życiu jakikolwiek pożytek: „tak” i „pieniądze”.*

Sugar znów głęboko oddycha.

– Było ci bardzo ciężko przez te wszystkie lata, kiedy musiałeś opiekować się Agnes, i teraz czujesz się dziwnie, wiem o tym – mówi współczująco.

– A Sophie, podobnie jak ja, jest ci naprawdę bardzo wdzięczna za każdy przejaw zainteresowania jej osobą. Zastanawiam się tylko, czy nie byłoby możliwe, żebyś... żebyśmy... spędzali razem nieco więcej czasu. Inaczej mówiąc, jak... jak rodzina.

Z trudem przełyka ślinę, przestraszona, że tym razem posunęła się za daleko. Ale czy to nie on chciał ich sfotografować we troje? Do czego miało posłużyć to zdjęcie, jeśli nie do tego?

– Robię wszystko, co w mo... mojej mocy, żeby ten nie... nieszczęsny dom jakoś funkcjonował – mówi groźnie William.

Jego żal nad sobą kusi dziewczynę, by odpowiedzieć ostro, równie osobiście, udaje jej się jednak opanować. Rackham zaciska pięści, bieleją mu kłykcie, twarz blednie, Sugar nie powinna była tego mówić, ich przyszłość roztrzaska się zaraz niczym rzucona o ścianę szklanka, Boże, pomóż jej teraz znaleźć właściwe słowa, a nigdy więcej o nic nie poprosi. Szeleszcząc spódnicami, Sugar wysuwa się zza biurka, klęka u boku Williama i błagalnie nakrywa ręką jego dłonie.

– Och, Williamie, bardzo cię proszę, nie nazywaj tego domu nieszczęsnym. Dokonałeś w tym roku wielu wielkich rzeczy i zapisałeś na swoim koncie wspaniałe osiągnięcia. – Z bijącym mocno sercem otacza mu szyję ramieniem, ale dzięki Bogu, William nie odpycha jej ani nie wpada we wściekłość.

– Oczywiście, to, co przytrafiło się Agnes, było prawdziwą tragedią – ciągnie Sugar, gładząc go po ramieniu. – Jednak w pewnym sensie była to łaska losu, czyż nie? Doświadczałeś tylu zmartwień i... i skandali, przez tyle długich lat, a teraz wreszcie jesteś wolny. – Napięcie ustępuje; William obejmuje ją najpierw jedną, potem drugą ręką. Niewiele brakowało! – A ten rok był dla firmy wyjątkowo udany – mówi dalej Sugar. – Połowa problemów, przed którymi stoimy, została spowodowana rozwojem przedsiębiorstwa i nie wolno nam o tym zapominać. Co więcej, w twoim domu panuje szczęście, naprawdę. Cała służba jest dla mnie bardzo miła i mogę cię zapewnić, że z tego, co słyszałam, wszyscy są całkiem kontenci i mają o tobie jak najlepsze mniemanie...

William podnosi głowę, by spojrzeć jej w oczy wzrokiem pełnym zakłopotania i smutku niczym bezpieczny pies, który potrzebuje, żeby ktoś się nim zajął. Sugar całuje go w usta, gładzi wewnętrzną część ud Rackhama i wciska twardy guzek swojego nadgarstka w miękką wypukłość jego

genitaliów.

– Przypomnij sobie, kochany, co ci powiedziałam, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy – szepcze. – Że zrobię wszystko, o co mnie poprosisz. Wszystko.

William powstrzymuje ją łagodnym gestem, gdy Sugar zaczyna podciągać spódnice.

– Już późno – wzdycha. – Pora iść do łóżka.

Dziewczyna bierze go za rękę i wsuwa ją pod warstwy rozgrzanej bawełny, żeby dotknął jej nagiego ciała.

– Jestem najzupełniej tego samego zdania. – Jeżeli chociaż przez chwilę poczuje wilgoć między jej nogami, będzie go miała w garści. William nie potrafi oprzeć się kobiecym sokom, które działają na niego silniej niż inne podniety.

– Nie, mówię poważnie – odpowiada. – Popatrz, która godzina.

Sugar posłusznie spogląda na zegar, a kiedy odwraca głowę, William wyslizguje się z jej objęć. Dochodzi wpół do dwunastej; w domu pani Castaway była to godzina wieczornego szczytu. Nawet kiedy Sugar mieszkała przy Priory Close, William odwiedzał ją czasem jeszcze później, o północy, wnosząc życie i gwar do spokojnego mieszkania, gdy wpadał do środka z ulicy w przemoczonym płaszczu, a jego głos tchnął pożądaniem. Stanowili wtedy tak zgraną parę, że po sposobie, w jaki ją obejmował, potrafiła poznać, który z otworów jej ciała będzie chciał spenetrować.

– Och, Boże, jaki ja jestem zmęczony – stęka William w chwili, kiedy zegar wybija jedenastą trzydzieści. – Proszę cię, nie chcę więcej dzisiaj żadnych listów. Wrócimy na pierwszą linię jutro, dobrze?

Sugar całuje go w czoło.

– Jak sobie życzysz, Williamie.

Następnego ranka Sugar jak zwykle zajmuje się małą Sophie. Ubiera ją, je z nią śniadanie i sadza dziewczynkę przy biurku w klasie. Od rozpoczęcia lekcji mija jednak zaledwie kilka minut, gdy czuje przypływ nudności i musi wybiec z pokoju, wdychając głęboko powietrze, które nagle zdaje się jej pełne dusznego zapachu przesłodzonej owsianki i chloralu. Tak bardzo kręci się jej w głowie, że na chwilę przystaje na korytarzu. Wątpi, czy zdąży dobiec do swojej sypialni, zanim zwymiotuje, ale nieoczekiwanie powietrze jakby zmienia smak i mdłości ustępują.

Guwernantka stoi z zadartą głową na najwyższym stopniu schodów. Te trwają w bezruchu, chociaż ściany i sufit nadal powoli wirują. Złudzenie optyczne. Światło tego ranka jest przyćmione i w ogóle nie widać w nim plam po krwi Agnes. Ile stopni liczą te schody? Dużo, bardzo dużo. Hol majaczy daleko, daleko w dole. Dziewczyna stoi z zadartą do góry głową. Pieszczotliwie spleta dłonie pod brzuchem. Zmusza się, żeby je zabrać. Dom oddycha. Chce jej pomóc; wie, w jakich jest tarapatach; wie, co jest dla niej najlepsze. Sugar postępuje krok do przodu, po czym uświadamia sobie, że znowu podtrzymuje brzuch rękami. Rozpościera ramiona szeroko jak skrzydła, a krew tętni jej w głowie z taką mocą, że światła gazowych lamp pulsują współczująco. Zamyka oczy, nie próbując uniknąć upadku.

– Panie Rackham! Panie Rackham! – (Bum, bum, bum, do drzwi gabinetu Williama). – Panie Rackham! Panie Rackham! (Bum, bum, bum!)

William wyskakuje z za biurka i otwiera tak gwałtownie, że Letty omal nie stuka w jego falującą pierś zamiast w drzwi.

– Och, panie Rackham! – piszczy nerwowo służąca. – Panna Sugar spadła ze schodów!

William odsuwa ją na bok, wybiega na korytarz i patrzy w dół, na długą, bardzo długą wstęgę wyłożonych dywanem schodów. Sugar leży rozciągnięta daleko w dole, w plataninie czarnych spódnic, białej bielizny, rozpuszczonych, rudych włosów i zwichniętych kończyn. Leży bez ruchu jak lalka.

Jedną ręką trzymając się poręczy, aby uniknąć podobnego upadku, William zbiega po schodach, przeskakując po dwa albo trzy stopnie.

Upadek w nieświadomość kończy się dla Sugar chwilę później łagodnym uderzeniem otwartą

dłonią w policzek. Leży w swoim łóżku, a nad nią stoi William. Ostatnia rzecz, którą zapamiętała przed utratą przytomności, to lot w przestrzeni i rozkoszny dreszcz przerażenia.

– Jak się tu znalazłam?

Na jego twarzy, pobrużdżonej zmarszczkami zmartwienia, nie maluje się jednak gniew. Prawdę mówiąc, Sugar dostrzega na niej słaby rumieniec pełnej miłości troski, choć może William po prostu poczerwieniał z wysiłku.

– Rose pomogła mi cię tutaj przynieść – odpowiada.

Sugar rozgląda się, szukając wzrokiem Rose, ale nie, znajduje się sam na sam ze swoim kochankiem... chlebodawcą... kimkolwiek jest teraz dla niej William.

– Straciłam równowagę – mówi przepraszająco.

– Mie... mieszkamy w pechowym domu, nie ma co. – Rackham pozwala sobie na niewesoły żart.

Sugar próbuje unieść się na łokciach, ale obezwładnia ją ukłucie bólu, przeszywające żebra niczym nóż. Przyciskając podbródek do piersi, wyciąga szyję i dopiero wtedy zauważa, że po pierwsze, spinki się rozpięły, toteż włosy opadają jej w nieładzie na twarz, a po drugie, ma zadarte spódnice i widać jej bieliznę.

– Służba – denerwuje się Sugar. – Czy służące widziały mnie w takim stanie?

William śmieje się mimo woli.

– Och, Sugar, czasami mie... miewasz doprawdy dziwne zmartwienia.

Dziewczyna także się śmieje, a do oczu napływają jej łzy. To wielka ulga usłyszeć, jak wymawia jej imię. Oczami wyobraźni widzi go przed kilkoma minutami, kiedy niósł ją na górę w swoich ramionach; potem jednak przypomina sobie, że nie dokonał tego bez pomocy i że zapewne potykał się co chwila, więc drogę na piętro pokonał najprawdopodobniej w niezbyt dystyngowany sposób.

– Tak mi przykro, Williamie. Straciłam... straciłam...

– Doktor Curlew jest już w drodze.

Na myśl o spieszącym do niej doktorze Curlew, którego zna wyłącznie z pamiętników Agnes, przebiega ją zimny dreszcz. Wyobraża sobie, że lekarz o oczach jak płomyki świec niesamowicie szybko sunie ulicą, kryjąc szponiaste dłonie w rękawiczkach, a w jego czarnej torbie wiją się pijawki. Skoro odebrano mu panią Rackham, którą upatrzył sobie na ofiarę, będzie musiał zadowolić się, torturując Sugar.

– Czy... czy to konieczne? – pyta. – Popatrz, nic mi nie jest. – Stękając z bólu, unosi ramiona i nogi, zataczając nimi słabe kręgi w powietrzu, na co William reaguje gniewnym, pełnym litości i niesmaku spojrzeniem, jak gdyby była olbrzymim karaluchem albo kompletną wariatką.

– Nie waż się ruszyć z łóżka – rozkazuje bardzo stanowczym głosem.

Sugar leży i czeka, nie oddychając głęboko, aby nie wywoływać bólu. Jakich obrażeń doznała w krótkiej chwili szaleństwa? Prawa stopa dziewczyny jest zdrętwiała i spuchnięta w kostce, czuje w niej nawet bicie swego serca; podejrzewa też, że ma złamane żebra, a ostre drzazgi białych kości dźgają delikatne, czerwone błony jej organów wewnętrznych. I po co to wszystko? Czy znała w życiu chociaż jedną kobietę, której udało się wywołać poronienie, rzucając się ze schodów? Oto kolejny fałsz, bajka, którą powtarzają sobie dziwki... Harriet Paley poroniła wskutek ciężkiego pobicia, ale to co innego; William chyba nie będzie jej bił ani kopał w brzuch? (Chociaż czasami tak jakoś na nią patrzy, że Sugar zastanawia się, czy Rackham nie bierze takiej ewentualności pod uwagę...)

Słychać pukanie do drzwi, ktoś naciska klamkę i do sypialni wchodzi wysoki mężczyzna.

– Panna Sugar, czy tak? – pyta uprzejmym, oficjalnym tonem. – Nazywam się doktor Curlew, proszę, jeśli pani pozwoli...

Podchodzi bliżej, dzierżąc przed sobą torbę niby dyplomata, który wręcza komuś podarunek. Ma znoszone, wcale nierozszczepione niczym kopyto trzewiki, oczy, które nie płoną, i lekką siwiznę w gęstym zaroście. Nie jest ani trochę podobny do diabła, przypomina natomiast Emmeline Fox, choć jego pociągła twarz jest bardziej urodziwa niż równie pociągła twarz córki.

– Czy przypominasz sobie, z jakiej wysokości spadłaś i która część twojego ciała przyjęła na siebie impet upadku, pani? – pyta grzecznie, klękając przy jej łóżku.

– Nie, nie pamiętam – odpowiada Sugar, rozpamiętując niesamowitą, rozciągniętą w czasie chwilę, w której duch opuścił jej ciało i zawisł w powietrzu, a martwa kukła w ubraniu zaczęła się staczać po schodach. – To wszystko stało się tak nagle.

Doktor Curlew otwiera torbę, by wyjąć z niej ostry metalowy przyrząd, który okazuje się hakiem do rozpinania guzików.

– Pani pozwoli, panno Sugar – mruczy, a Sugar kiwa przyzwalająco głową.

Doktor Curlew zaczyna badać pacjentkę szorstkimi, aczkolwiek delikatnymi w dotyku dłońmi. Najwyraźniej nie interesuje go nic poza stanem jej rysujących się pod skórą kości. Podwija albo zdejmuję z niej kolejne części garderoby, by po chwili obciągnąć lub włożyć je z powrotem; wyjątek stanowi tylko prawy but. Sugar oblewa się szkarłatnym rumieńcem, gdy lekarz ściąga jej majtki i przykładą dłoń do nagiego brzucha, ale Curlew naciska go tylko kciukami, upewnia się, że dziewczyna nie odczuwa bólu, i przechodzi do badania bioder, polecając beznamiętnym tonem, by próbowała wykonywać różne ruchy.

– Masz szczęście, pani – oświadcza w końcu. – Można z łatwością złamać rękę albo skrócić kark, spadając z krzesła, ty zaś spadłaś ze schodów, a jedyną konsekwencją upadku są dwa pęknięte żebra, które niebawem się zrosną, i kilka siniaków, z których obecności zapewne nie zdajesz sobie jeszcze sprawy, lecz które wkrótce dadzą o sobie znać. Masz też skręconą, a zatem nie złamaną, nogę w kostce. Do rana spuchnie do rozmiarów mojej pięści... – (Unosi lekko zaciśniętą pięść, by mogła się jej przyjrzeć). – ...nie sądzę więc, byś mogła poruszać stopą tak jak teraz. Ale niech cię to nie niepokoi.

Sięga do torby lekarskiej, wyciąga spory zwój grubego, białego bandaża i zdejmuję przytrzymującą go klamerkę.

– Przewiążę ci mocno kostkę tym bandażem – wyjaśnia, po czym unosi nogę pacjentki i opierają na swoim kolanie, nie zwracając uwagi na jęki rannej. – Muszę cię prosić, żebyś go nie zdejmowała, bez względu na to, jak bardzo by cię korciło, aby to zrobić. Kiedy noga spuchnie, bandaż będzie trzymał ciaśniej i może ci się wydawać, że lada chwila pęknie, zapewniam cię jednak, że to niemożliwe.

Skończywszy opatrywać stopę, doktor Curlew okrywa jej nogi suknią jak kocem albo całunem.

– Tylko nie rób żadnych głupstw, panno Sugar – mówi lekarz, wstając.

– Staraj się nie opuszczać łóżka, o ile to możliwe, a szybko wrócisz do zdrowia.

– Ale ja... mam przecież obowiązki – protestuje słabym głosem Sugar, dźwigając się na łokciach.

Lekarz spogląda na nią z góry, a w jego ciemnych oczach migocze jasna iskierka, jak gdyby podejrzewał, że wszystkie obowiązki, które zleca jej William Rackham, dziewczyna może spełniać w pozycji leżącej.

– Dopilnuję, by dostarczono ci kulę – zapewnia ją solennie doktor Curlew.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co.

Rozlega się trzask zamka torby lekarskiej, po czym człowiek, określany w ukrytych pod łóżkiem Sugar pamiętnikach mianem demonicznego inkwizytora, władcy pijawek, Beliala oraz sługusa robaków, uprzejmie życzy jej miłego dnia i przystając tylko na chwilę, żeby pogrozić dziewczynie palcem w geście oznaczającym: *pamiętaj, nie napytaj sobie znowu biedy*, zostawia ją w spokoju.

Dokładnie tak, jak przewidywał doktor Curlew, Sugar budzi się następnego dnia po upadku owładnięta rozpaczliwą pokusą, żeby zdjąć z nogi bandaż. Usuwa go bez wahania i zaraz czuje się lepiej.

Nie mija jednak wiele czasu, gdy oswobodzona chora stopa puchnie do takich rozmiarów, że wygląda na półtora raza grubszą od zdrowej, i Sugar nie może stanąć na podłodze bez bólu, a co dopiero chodzić. Nie będzie utykać ani tym bardziej skakać na jednej nodze, nie wspominając

bowiem nawet o upokorzeniu, wysiłek, jakiego wymaga od niej takie przemieszczanie się, sprawia, że bardzo boli ją posiniaczone ciało. Poruszając się po pokoju tylko siłą woli, Sugar musi przyznać, że w takim stanie stanowczo nie może pełnić obowiązków guwernantki.

Zanim lęk dziewczyny przerodzi się w panikę, łagodni go prezent od pana domu, który przynosi Rose: jest to pomalowana na ciemny kolor kula z sosnowego drewna. Sugar nie śmie zapytać, czy William był jej właścicielem już wcześniej, czy zakupił ją specjalnie dla niej. Kuśtyka teraz tam i z powrotem na trzech nogach, zachwycona, że tak proste narzędzie potrafi odmienić świat, rozjaśnić mroczne perspektywy i przeistoczyć katastrofę w zwyczajną niewygodę. Dostarczono jej zwykły kij z poprzeczką i oto znów jest na nogach! Cud. Wkrótce po lunchu, straciwszy zaledwie pół dnia lekcji z Sophie, Sugar wychodzi z pokoju z książkami pod jedną pachą i kulą pod drugą, gotowa podjąć swoje obowiązki.

Zna Sophie już dość dobrze, aby nie zdziwić się, widząc ją siedzącą przy biurku w klasie tak cierpliwie, jak gdyby minęły zaledwie cztery minuty, a nie cztery godziny, odkąd Rose przyprowadziła dziewczynkę do pokoju. Od razu widać, że ubierała ją służąca: uczesała i upięła jej włosy inaczej niż Sugar, upodabniając małą do Agnes. Na biurku przed Sophie leżą dowody jej porannego próżniactwa: narysowane niebieską kredką domy o czerwonych oknach. Domów jest w sumie sześć, a z ich kominów unosi się szary dym. Sophie zakrywa rysunki otwartymi dłońmi, jak gdyby przyłapano ją na jakiejś psocie albo jak gdyby zamiast rysować, powinna pilnie studiować dzieje wojen z Maurami.

– Przepraszam, panienko.

– Nie ma za co, Sophie – wzdycha Sugar i opiera się bezsilnie na kuli, zawiedziona. Wołałaby, żeby powitał ją okrzyk ulgi i deszcz dziecinnych pocałunków, chociaż musiała chyba być szalona, by naprawdę żywić nadzieję na taką reakcję dziewczynki. – Chodź tutaj, Sophie, i weź ode mnie te książki – mówi, kierując ramię w bok. – Boję się, że zaraz je upuszczę.

Sophie podrywa się, by spełnić polecenie, nie okazując w żaden sposób, że dostrzega niedyspozycję guwernantki. Wyciąga rękę po książki, które Sugar ścisną pod pachą, i niechcący zawadza palcami o jej biust, muskając osłoniętą suknią brodawkę piersi dziewczyny. Sugar odzyskuje równowagę i wzdycha z bólu, który odzywa się w kontuzjowanej nodze.

– Dziękuję – mówi.

Wróciwszy na swoje miejsce, Sophie oczekuje dalszych poleceń. Widać wyraźnie, że jest zdecydowana zachowywać się, jak gdyby nic się nie stało. Kiedy Sugar chwieje się i niezgrabnie siada, wspierając się na kuli, dziewczynka odwraca wzrok, by nie oglądać tego nieprzyjemnego przedstawienia.

– Na litość boską, Sophie – woła Sugar. – Czy naprawdę nie jesteś ani trochę ciekawa, co mi się przydarzyło?

– Jestem, panienko.

– W takim razie dlaczego mnie o to nie spytasz?

– Ja... – Sophie marszczy brwi i spuszcza wzrok na kolana. Sprawia takie wrażenie, jak gdyby sprytniejszy przeciwnik wyprowadził ją w pole, wmanewrowując dziewczynkę w jakąś logiczną pułapkę w celach dydaktycznych. – Rose powiedziała, że spadłaś ze schodów, panienko, i że bym się nie gapiła...

Sugar zaciska mocno powieki, próbując zebrać siły, które będą jej potrzebne, by przebrnąć to popołudnie. *Proszę, obejmij mnie, Sophie, myśli. Proszę, obejmij mnie.*

Mówi jednak zupełnie co innego:

– Lekarz powiada, że ani się obejrzę, kiedy wyzdrowieję.

– Tak, panienko.

Guwernantka przygląda się leżącym na biurku rysunkom. Na każdym z nich obok emblematycznego domku widnieją trzy ludzkie postacie: jedna mała i dwie duże. Nawet oglądając rysunki do góry nogami, Sugar nie ma żadnych wątpliwości, że mężczyzna w ciemnym surducie i cylindrze to William, a mała jak kukiełka dziewczynka, na której dłoniach brakuje kilku palców, to Sophie. Kim jednak jest postać matki? Ma sercowatą twarz i niebieskie oczy jak Agnes, ale jest wysoka, dorównuje bowiem wzrostem Williamowi, a fale jej bujnych włosów są pokolorowane

czerwoną kredką. Sugar ogarnia na chwilę wzruszenie i dopiero po chwili zauważa, że na biurku dziewczynki nie ma żółtych kredek, tylko czerwone, niebieskie i szare. A poza tym, kto wie, czy w oczach Sophie wszyscy dorośli nie są tego samego wzrostu?

– No, dobrze – oświadcza panna Sugar, splatając dłonie. – Rachunki.

Tego popołudnia William Rackham odpisuje na listy osobiście. Bazgrze mozolnie i dosyć nieporadnie, ale jakoś mu idzie. Krzywy palec serdeczny oplata wokół środkowego, żeby nie rozmazywać atramentu opuszką, a kiedy kciukiem i palcem wskazującym przytrzymuje pióro w niemal pionowej pozycji, udaje mu się pisać całkiem starannie.

Przeczytałem twój list, pisze. A teraz zamierzam napisać ci parę słów prawdy, myśli. Wprawdzie z potwornym trudem, ale ustanawia w końcu bezpośrednią łączność między mózgiem a piórem.

Mniejsza jednak o niewygodę i dolegliwości. Jak cudownie jest być niezależnym i jaką ulgę odczuwa, mogąc napisać temu łotrowi Pankeyowi, co leży mu na wątrobie – gdy nie ma przy nim Sugar, która odbiera jego słowom kąśliwość. Na świecie są przecież ludzie, którzy zasługują na to, żeby im przyłożyć! A zwłaszcza Grover Pankey! Jeżeli firma Rackham Perfumeries ma przetrwać do następnego stulecia albo i dłużej, potrzeba jej teraz silnego człowieka u steru – człowieka, który nie da sobie wmówić bzdur. Jak Pankey śmie utrzymywać, że dopóki Rackham nie każe mu produkować słoiczek o grubszych ściankach, kość słoniowa, z której są wytwarzane, zawsze będzie pękać?

Być może korzystałeś pan ostatnio z usług słonia jakiegoś gorszego gatunku, skrobie William. Słoiczki, które pokazałeś mi w Yarmouth, były stosunkowo solidne, radzę ci zatem powrócić do kości zwierzęcia tej klasy.

Twój...

Ach, cóż, tymczasem jeszcze „twój”, ale zapewne nie na długo. Nie jesteś pan jedynym handlarzem kością słoniową na świecie, panie Groverze kanciarzu!

William składa podpis i marszczy czoło. Podpis nie wyszedł mu dobrze, przypomina dziecinne naśladownictwo oryginału i wygląda gorzej niż najbardziej nieudolne fałszerstwa Sugar. Ach, i co z tego? Zanim przejął władzę w Rackham Perfumeries, podpisywał się inaczej, a jego podpis na listach, które pisał jako uczeń, nie był ani trochę podobny do tego, który złożył na akcie ślubu. Życie płynie dalej. Jak powiedział sam premier, wszystko ciągle się zmienia.

Zakleja list i wtedy ogarnia go chęć, żeby natychmiast go wysłać, pobiec na Portobello Road i wrzucić kopertę do najbliższej skrzynki, bo za chwilę do pokoju może wejść nagle Sugar i wypatrzeć ją na biurku. Zresztą bez względu na wszystko, łyk świeżego powietrza dobrze mu zrobi. Od wczorajszej katastrofy nie może znaleźć sobie miejsca, i dlatego wciąż szuka pretekstu, aby wyjść z ponurego domu i ruszyć przed siebie ulicą sprężystym krokiem. Co więc powinien zrobić: zostać czy wyjść?

Ociąga się jeszcze przez chwilę, a satysfakcja, jaką osiągnął, atakując Pankeya, ulatnia się niczym woń tuberozy z perfumowanej chusteczki do nosa. Zaczyna rozmyślać o długiej, ciężkiej drodze, jaką przebył od momentu przejęcia sterów firmy. Znowu nawiedza go wizja, w której William Rackham jest pisarzem i krytykiem. Odczuwa ukłucie żalu i tęsknoty za człowiekiem, który nigdy nie istniał, człowiekiem, którego pióro wzbudzało strach i podziw, człowiekiem, który podpalał listy od nudziarzy żarzącym się cygarem. Człowiek ów miał idealnie kształtne palce, długie, jasne włosy, promienną żonę i nos wyczulony nie na skisły jaśmin, lecz na wielką sztukę i literaturę przyszłości. Tymczasem został wdowcem i jakaś, który stęka z wysiłku, podpisując listy do zniechęconych kupców. Podtrzymywał kiedyś więzi z rodziną, przyjaciółmi i osobami o wywrotowych poglądach: dziś jego relacje zmieniły się nie do poznania. Czy nie ma na to rady? Jeżeli nie naprawi wszystkiego teraz, kiedy jeszcze ma po temu sposobność, serdeczne niegdyś związki międzyludzkie osłabną całkowicie, a ich miejsce zajmie chłód albo otwarta wrogość.

William chowa więc dumę do kieszeni, wychodzi, każe Cheesmanowi ruszać do miasta i jedzie prosto do Torrington Mews w Bloomsbury z nadzieją, że zastanie w domu pana Philipa Bodleya.

Pięć godzin później William Rackham jest szczęśliwym człowiekiem. Owszem, po raz pierwszy od śmierci Agnes, a nawet – tak, czemu miałby tego nie przyznać? – po raz pierwszy od znacznie dłuższego czasu, czuje się w pełni szczęśliwy. W ciągu zaledwie pięciu godzin przepłynął znad krawędzi przepaści czarnych myśli na brzeg zadowolenia.

Lekko podchmielony, kroczy teraz, po zachodzie słońca, wąską uliczką w Soho, gdzie ze wszystkich stron napastują go handlarze, ulicznicy oraz dziwki, żądając pieniędzy za lichy, brudny towar, niewart nawet dwóch pensów. Ich pożądlive spojrzenia, szczerbate uśmiechy i powiewające w szerokich gestach rękawy powinny go napełniać niepokojem, zważywszy na to, że niedawno podobni tym ludziom bandyci zatłukli go niemal na śmierć w ciemnej uliczce Frome. Ale nie, nie obawia się, że zostanie napadnięty; jest nieustraszony, ma bowiem u boku przyjaciół. Tak, nie tylko Bodleya, lecz także i Ashwella! Doprawdy nic, nic na całym świecie, nie dodaje tak człowiekowi otuchy, jak towarzystwo przyjaciół, których znamy od dziecka.

– Zakładamy własne wydawnictwo, Bill – mówi Ashwell, wyciągając z zaciekawieniem szyję, kiedy mija go uliczny handlarz, który dźwiga na głowie tuzin kapeluszy, kręcąc dwoma kolejnymi wokół palców.

Bodley figlarnym, szermierczym pchnięciem wskazuje gałką laski jedną z prostytutek, machających do nich z okolicznych bram. Mały śpiący chłopiec, pilnujący wozu pełnego bezwartościowych dzbanów i garnków, wystawionych na sprzedaż, wzdryga się ze strachu, biorąc laskę za broń, która rozkwasi mu pokryty zaschniętymi smarkami nos.

– Nie mogliśmy znaleźć nikogo, kto zechciałby opublikować naszą następną książkę... – wyjaśnia Bodley.

– ...pod tytułem *Sztuka w rozumieniu robotnika*...

– Dlatego wydamy ją własnym sumptem, do diabła.

– *Sztuka w rozumieniu*?... Wydacie ją własnym sumptem...? Ale dlaczego?... – pyta rozbawiony William, kręcąc głową z oszołomieniem. – Sądząc po tytule, będzie to... nieco mniej kontrowersyjne dzieło niż wasze poprzednie książki...

– Mylisz się! – ryczy Ashwell.

– Wpadliśmy na genialny w swej prostocie pomysł! – oświadcza Bodley.

– Otóż udało nam się poznać wielu niewykształconych przedstawicieli warstw pracujących, jak kominiarze, handlujący rybami, pomywaczki, sprzedawcy tytoniu, zapalek i tak dalej, którym czytaliśmy fragmenty z *Academy Notes* Ruskina...

– ...i którym pokazywaliśmy reprodukcje rozmaitych obrazów...

– ...po czym prosiliśmy, by powiedzieli nam, co o nich sądzą! – Bodley wykrzywia twarz, której wyraz naśladuje ośłą głupotę, a potem wyciąga rękę i udaje, że ogląda jakąś rycinę. – To niby jak się nazywa ta kobita? Aferdyta?

– To grecka dama, panie – wyjaśnia drwiąco Ashwell, który natychmiast zaczyna odgrywać rolę prostolinijnego robotnika, przeciwstawiając go bufonowi, w którego wciela się Bodley. – Boginią.

– Grecka dama? A niech mie. To gdzie podziała wąsy?

Na te słowa Bodley przybiera nieco bardziej rozgarniętą minę i drapie się z powątpiewaniem po głowie.

– Noooo, tego, może ja durny jezdem... Ale moim zdaniem ta cała Aferdyta ma jakieś dziwne dydy. Na mojej ulicy nigdyżem dydów w takim miejscu nie widział na żadnej babie... A parę dydów żem widział!

Rackham ryczy ze śmiechu; nie śmiał się tak szczerze, odkąd... cóż, odkąd ostatni raz wyprawił się wraz z przyjaciółmi w miasto.

– Ale dlaczego, na Boga, nie chcą ogłosić tego utworu wydawcy, którzy opublikowali wasze wcześniejsze dzieła? – pyta. – Na pewno przyniosłby im równie wysokie zyski!

– W tym właśnie sęk. – Bodley uśmiecha się głupkowato.

– Wszystkie nasze poprzednie książki przyniosły straty! – oznajmia z dumą Ashwell.

– Nie! – odpowiada z niedowierzaniem William.

– Tak! – woła Ashwell. – Gigantyczne straty! – I śmieje się jak hiena.

William zatacza się, bo źle obliczył krok, ale Bodley w porę go podtrzymuje. Rackham jest

niedoc bardziej pijany, niż mu się wydawało.

– Wasze książki przyniosły straty? Ależ to niemożliwe! – upiera się William. – Znam mnóstwo ludzi, którzy je czytali...

– Och, niewątpliwie znasz naszych wszystkich czytelników, co do jednego – mówi z naciskiem Ashwell. Nie więcej niż dwadzieścia stóp dalej jakaś upojona ginem starucha wali po łysiejącej głowie swojego filigranowego jak krasnal małżonka o zapadłej piersi. Karzeł przewraca się na ziemię jak kręgiel przy akompaniamencie rozbrzmiewających tu i ówdzie rubasznych chichotów.

– Koszty wydania *Wielkiego zła społecznego* zwrócą się w swoim czasie – stwierdza Bodley. – Dzięki studentom onanistom i sfrustrowanym wdowom, jak Emmeline Fox...

– Lecz *Skuteczności modlitwy* nie kupił nikt, wyjąwszy tych nieszczęsnych, starych bałwanów, których w niej cytujemy...

William ciągle wyszczerza zęby w uśmiechu, ale choć umysł wytrenował mu się przez cały długi rok pracy w roli przedsiębiorcy, ma niejaki trudności z rachunkami.

– Nie wiem, czy dobrze was rozumiem – mówi. – Czyli wolicie tracić własne pieniądze, zamiast pozwolić je stracić jakiemuś wydawcy?...

Bodley i Ashwell wykonują rękami identyczne, lekceważące gesty, mające oznaczać, że przemyśleli tę kwestię bardzo starannie.

– Będziemy publikować także pornografię – oświadcza Ashwell. – Żeby pokryć straty, jakie poniesiemy na naszych bardziej wartościowych książkach. Pornografię najgorszego sortu. Zapotrzebowanie jest ogromne, Bill. Cała Anglia rozpaczliwie łaknie sodomii!

– Tak, Anglia cała żąda pała! – popisuje się mową wiązaną Bodley.

– Będziemy wydawać aktualizowany co miesiąc przewodnik dla hulaków! – ciągnie Ashwell, rumieniąc się z przejęcia. – Coś znacznie lepszego niż te przeklęte, bezużyteczne *Dalsze hulanki w Londynie*, w których człowiek czyta o jakiejś dziewczynie, dostaje wzrodu i idzie do burdelu tylko po to, żeby się przekonać, że dana dziwka nie żyje albo że dom zszedł na psy, albo że pełno w nim zielonoświątkowców!

Uśmiech gaśnie Williamowi na ustach. Wspomnienie o *Dalszych hulankach...* przypomina mu, że jest jeszcze jeden powód, dla którego jego stosunki z kompanami uległy ochłodzeniu: Bodley i Ashwell wiedzieli o istnieniu prostytutki imieniem Sugar, prostytutki, która nagle zniknęła z perspektywy. Co mogliby sobie pomyśleć, gdyby odwiedziwszy rezydencję Rackhamów, usłyszeli, jak jakaś jego służąca wspomina o „pannie Sugar”? To mało prawdopodobne, ale mimo wszystko William zmienia temat.

– Wiecie, tak długo byłem uwiązany do biurka, że czuję się szczęśliwy, mogąc pójść w miasto ze starymi przyjaciółmi. – (Zauważa, że wcale się już nie jąka: wystarczy kilka drinków i odpowiednie towarzystwo!)

– *Fidus Achates!* – woła Bodley, klepiąc Williama po plecach. – A pamiętasz, jak w Cambridge woźni gonili nas aż do pokojów przez całą drogę z Parker's Piece?

– Albo jak cenzor zastał tę śliczną ładacznice, Lizzie, śpiącą smacznie w pokoju nauczycielskim?

– Szczęśliwe czasy, szczęśliwe czasy – mówi William, chociaż nie przypomina sobie tego incydentu.

– Tak trzymać – rozpromienia się Ashwell. – Ale dzisiejsze czasy mogą być równie radosne, jeśli tylko tego zechcesz, Bill. Słyszałem, że twój perfumeryjny interes pędzi z zawrotną prędkością lokomotywy. Nie musisz go chyba doglądać przez cały dzień, co?

– Ach, nie dasz wiary – wzdycha William. – Wszystko może się w każdej chwili zawalić. Wszystko. W każdej chwili! Nic na tym przeklętym świecie nie dzieje się samo.

– Spokojnie, człowieku, spokojnie. Są rzeczy cudownie nieskomplikowane. Włóż tylko kutasa w cipe, a reszta odbywa się już automatycznie.

William chrząka na znak, że się z nim zgadza, ale w głębi duszy daleko mu do pewności. Ostatnio zaczął bać się miłosnych awansów Sugar, bo jego chwost nie nabrzmiewa, kiedy William ma największą ochotę zrobić z niego użytek. Czy nadal jest sprawny? Sztywnieje, kiedy nie trzeba, zwłaszcza we śnie, zawodzi go jednak, gdy pora z niego skorzystać. Jak długo jeszcze uda mu się

utrzymywać w tajemnicy przed Sugar, że prawdopodobnie nie jest już w pełni mężczyzną? Podczas ilu jeszcze kolejnych nocy będzie wymawiał się zmęczeniem albo późną godziną?

– Jeżeli nie będę czujny i roztropny, Rackham Perfumeries przestanie istnieć z końcem stulecia – skarży się William. – A w dodatku nie mam komu przekazać firmy.

Ashwell przystaje, by kupić jabłko od jakiejś dziewczyny, której uroda zwraca jego uwagę. Daje jej sześć pensów, znacznie więcej, niż żąda sprzedawczynie, która kłania mu się, o mało nie wysypując reszty jabłek z koszyka.

– Dziękuję, dziecinko – mruga do niej Ashwell i odchodzi, wgrzyzając się w jędrny miąższ. – A zatem... zatem nie chcesz ożenić się z naszą Constance, czy tak? – zwraca się do Williama, mamrocząc niewyraźnie z pełnymi ustami.

Zaskoczony William przystaje jak wryty.

– Z Constance?

– Z naszą kochaną lady Bridgelow – odpowiada Ashwell, starając się mówić wyraźnie, jak gdyby zdumienie Rackhama było wyłącznie wynikiem jego problemów z dykcją.

William chwieje się, pochyła ku przodowi i wpatruje w ziemię, na przemian tracąc i odzyskując ostrość widzenia. Kamienie bruku pokrywa kraciasty deseń jakby kosmatej mazi; jest to końskie łajno o wysokiej zawartości niestrawionego ostu albo zwłoki rozjechanego psa.

– Ja... nie wiedziałem, że Constance chciałaby wyjść za mnie za męża.

Bodley i Ashwell wzdychają współczująco, a Bodley chwyta Williama za płaszcz na ramieniu i szarpie go z widocznym zniecierpliwieniem.

– Daj spokój, Bill, myślisz, że przykleknę przed tobą na jedno kolano i poprosi cię o rękę? To dumna kobieta.

Idą dalej, a William zastanawia się nad jego słowami. Skręcają za róg w King Street, nieco szerszą ulicę. prostytutki machają do nich z obu stron ulicy, pewne, że sowity datek przekonał policjanta, patrolującego okolicę tego wieczora, by całą energię poświęcił na ściganie kieszonkowców i awanturników.

– Tylko u mnie, najlepsze jebanko w Londynie! – woła jakaś podpita ulicznica.

– Pieczone kasztany, kasztany pieczone! – wrzeszczy sprzedawca, stojący na chodniku z drugiej strony.

Bodley zatrzymuje się, nie dla kasztanów ani ulicznicy, ale dlatego, że właśnie wdepnął w coś miękkiego. Podnosi lewą nogę i ogląda podeszwę, usiłując ustalić, czy to, w co wdepnął, a co zmieszało się z gęstym błockiem spomiędzy kocich łbów, to istotnie łajno, czy tylko resztki jakiegoś zepsutego owocu.

– Jak myślisz, Philipie? – zagaduje Ashwell, uśmiechając się szeroko przez ramię do pijanej dziewczki, która wciąż posyła mu całuski. – Zabawimy się?

– Bezwzględnie, Edwardzie, bezwzględnie. A odwiedzimy śliczną Apollonię? – Tu Bodley objaśnia Williama na stronie: – Znaleźliśmy wystrzałową dziewczynę, Bill, absolutnie wystrzałową, wełnistowłosą Afrykankę. Urzęduje w domu pani Jardine. Ma ciemnopurpurową cipę koloru marakui i nauczyła wystawiać się jak arystokratyczna debiutantka. To niebywale komiczne!

– Zakosztuj jej, dopóki możesz, Bill, bo tylko patrzeć, jak porwie ją jakiś dyplomata albo ambasador i dziewczyna przepadnie gdzieś w czeluściach Westminsteru!

Bodley i Ashwell stają ramię w ramię i cylinder w cylinder, po czym wyciągają zegarki z dewizkami, szybko omawiając ewentualność wizyty w domu pani Jardine, wkrótce jednak dochodzą zgodnie do wniosku, że o tej porze Apollonia raczej nie będzie wolna. Tak czy inaczej, William odnosi wrażenie, że chociaż obaj bardzo wychwalają jej egzotyczny smak, zakosztowali go stosunkowo niedawno i pragną jakiejś odmiany.

– Więc na co masz ochotę? – mówi Ashwell. – Niedaleko jest dom pani Terence...

– Już w pół do dziesiątej – mówi Bodley. – Bess i... jak ona się nazywa... ta Walijka... będą na pewno zajęte, a inne tamtejsze dziwki nieszczególnie mnie interesują. Poza tym wiesz, jaka jest pani Terence: nie pozwoli człowiekowi wyjść, kiedy już wejdzie do środka.

– A dom pani Ford?

– Dzwiki drogie i kiepskie. – Bodley pociąga nosem.

– Ale za to żwawe.

– Tak, tylko że dom pani Ford jest na Panton Street. Jeżeli zależy nam na szybkiej obsłudze, lepiej zajrzyjmy do pani Audrey, tuż za rogiem.

Słuchając rozmowy przyjaciół, William zdaje sobie sprawę, że niepotrzebnie się obawiał: już zapomnieli o Sugar, zapomnieli całkowicie. Należy do głębokiej przeszłości, a jej imię zostało wymazane przez sto innych; dziewczyna, która świeciła kiedyś jasno niby latarnia morska w mrocznym bezmiarze Londynu, jest teraz zaledwie słabo jarzącą się kropką światła pośród innych niezliczonych, podobnych jej światełek. Życie toczy się dalej i nigdy nie ma końca strumieniowi ludzi, który przez nie płynie.

– A te trzy tam? – pyta Bodley. – Jest w nich coś wesołego. – Wskazuje głową trzy dziwki, chichoczące w świetle witryny sklepu z artykułami gospodarstwa domowego. – Nie mam dziś nastroju ani na pompatyczną pretensjonalność, ani na smutki.

Bodley i Ashwell podchodzą do machających do nich kobiet, a William w strachu, że pozostanie sam i bez opieki, wlecze się za nimi. Próbuje rozglądać się na lewo i prawo po ciemnej ulicy, omijając kobiety wzrokiem, ale ich oświetlone blaskiem latarni wyzywające, taftowe dekolty i różowe piersi mimo woli przyciągają jego spojrzenie. Stanowią zuchwałe trio, są niezłe, choć nazbyt strojnie ubrane, a spod ich przesadnie ozdobnych czepków wysypują się gęste włosy. Williama ogarnia niepokojące przekonanie, że skądś już zna te dziwki.

– Ładną mamy pogodę – uśmiecha się wdzięcznie jedna z nich.

– Takiej dziewczyny jak ja toś jeszcze nie miał, złotko – mówi druga.

– Ani takiej jak ja – powiada trzecia.

Czy nie są to przypadkiem trzy kobiety, które nagabywały go w „Fireside” owego wieczora, kiedy poznał Sugar? Są jakby młodsze, szczuplejsze i mają mniej strojne suknie, ale jest w nich coś takiego... Wielkie nieba, czy los naprawdę może płatać równie niemiłe figle? Czy jedna z tych upudrowanych pań lekkich obyczajów nie zwróci się do niego za chwilę „panie Hunt”, nie zapyta, jak idzie mu pisanie książek i jak udała się jego schadzka z Sugar?

– W usta, za ile? – Bodley pyta kobietę o najpełniejszych wargach. Dziewka pochyła się i szepcze mu coś do ucha, swobodnie opierając się na jego ramieniu.

Kilka chwil później transakcja zostaje zawarta. Ashwell, Bodley i niekwapiący się do akcji William wchodzi w mroczny, wąski zaułek, który na szerokość ledwie mieści kucającą kobietę i stojącego naprzeciwko mężczyznę. Ashwell przygląda się, jak jedna z dziwek obsługuje Bodleya, i sięga pod spódnicę drugiej, która masuje jego obnażony członek. Kutas przyjaciela już na pierwszy rzut oka robi przygnębiające wrażenie na Williamie, ponieważ twardością i rozmiarami zdaje się przewyższać jego penis. Trzecia kobieta stoi tyłem do niego, zwrócona twarzą ku ulicy, pilnując, czy nie nadciąga stamtąd jakiś intruz. Teraz już William jest pewien – na tyle, na ile można mieć pewność w takich sprawach – że nigdy w życiu nie widział tych trzech kobiet. Wpatruje się w plecy dziwki, która stoi na czatach, i usiłuje sobie wyobrazić, że unosi jej turniurę, ściąga majtki, a potem ją chędoży, ale kobieta wydaje mu się pozbawiona erotycznego powabu – wygląda niczym pociemniały manekin od Madame Tussaud, ubrany w niedbale uszytą suknię, ozdobioną przypominającą koński ogon turniurą, i ma za grubą szyję; poza tym Williama irytuje, że jeden z guzików, przypominających lśniący kręgosłup na jej plecach, zwisa swobodnie z dziurki. Męskość Williama jest sflaczała i wilgotna; najlepsze lata ma już na pewno za sobą; spędzi resztę życia, troszcząc się o swoją firmę; jego córka wyrośnie na niezamezną i niewdzięczną brzydulę, która stanie się pośmiewiskiem w ich topniejącym coraz bardziej kółku towarzyskim; aż wreszcie pewnego dnia, pisząc jakiś niepotrzebny list, William chwyci się chromą ręką za serce i umrze. Od kiedy wszystko idzie źle w jego życiu? Wszystko zaczęło iść źle, odkąd poślubił Agnes. Wszystko zaczęło iść źle, odkąd...

Nagle słyszy, jak Bodley jęczy z rozkoszy. Kobieta już prawie go zaspokoiła; zbliżając się do orgazmu, Bodley wyciąga w górę drżącą rękę, jak gdyby chciał chwycić dziwkę za głowę i przyciągnąć bliżej. Prostytutka uprzedza go – najpierw chwytając Bodleya za przegub, a potem oplatając palcami jego dłoń, po chwili więc trzymają się za ręce. To osobliwa poza, znamionująca równowagę trzymających się nawzajem w szachu przeciwników – poza, którą otacza aura

największej czułości, a zarazem zniecierpliwienia. Williama ogarnia nagle potężne podniecenie i to, co jeszcze przed chwilą było niemożliwe, teraz wydaje mu się koniecznością.

– Och, Boże! – woła, spuszczając się, Bodley. Dziewczyna wciąż mocno trzyma go za rękę, muskając czołem jego brzuch. Puszcza go dopiero, kiedy Bodley osuwa się bezwładnie na chodnik po murze, a potem odchyła głowę do tyłu i oblizuje usta.

Teraz! To musi być teraz! William podchodzi bliżej, wyciągając ze spodni swoją nabrzmiałą męskość.

– Teraz ja! – rzuca chrapliwie. Poci się cały ze zdenerwowania, bo czuje, że dopływ krwi do jego sprężystego organu zaczyna ustawać. Na szczęście miłosierna prostytutka waha się nie dłużej niż na mgnienie oka, zanim bierze kutasa do ust i zaciska palce na pośladkach Williama, który chwije się i na moment traci równowagę; och, Boże, gdyby poleciał na tyłek w takiej chwili, byłby to jego koniec! Ale wszystko jest w porządku, dziwka trzyma go mocno, wpija palce w ciało Williama i po mistrzowsku pracuje dalej językiem oraz ustami.

– Dalej, panie, wsadź mi go – mówi za jego plecami kobiecy głos, zwracając się do Ashwella. – Stać cię na to, a nie będziesz żałował.

– Nie mam przy sobie gumki.

– Ja dbam o siebie, panie. Byłam u lekarza nie dalej jak w zeszłym tygodniu, a lekarz powiada, że jestem czysta jak kotek.

– Wytrysnę jednak na ziemię... – mówi, dysząc, Ashwell.

– Mam śliczną cipkę, jak z jedwabiu, panie. To cipka dla konesera.

– A jednak...

William, któremu kręci się w głowie z narastającego podniecenia, nie może zrozumieć, co powstrzymuje Ashwella. Jebać tę dziewczynę i już! Jebać wszystkie kobiety świata, dopóki jebanie sprawia nam przyjemność! Czuje, że tryśnie jak gejzer, napełni spermą najpierw jedną, potem drugą dziwkę, będzie się spuszczał w ich usta, cipy, tyłki i pozostawi za sobą cały legion rozczochranych, dyszących z wywieszonymi językami kobiet w pogniecionych sukniach... Ach!

Kilka chwil później William Rackham leży na ziemi na wznak bez przytomności. Pochyla się nad nim pięć osób.

– Rozstąpcie się, żeby miał czym oddychać – mówi Ashwell.

– Co mu się stało? – pyta niespokojnie jedna z dziwek.

– Za dużo wypił – odpowiada Bodley, choć sądząc po jego głosie, wcale nie jest tego pewien.

– Niedawno dotkliwie pobili go łowcy błyskotek – mówi Ashwell. – Zdaje się, że rozłupali mu czaszkę.

– Och, biedne maleństwo! – rozczuła się kobieta o pełnych wargach.

– I zawsze już będzie tak mdła?

– Dalej, Bodley, pomóż mi.

Bodley i Ashwell chwytają przyjaciela pod ręce i unoszą go kilka cali nad ziemię. Przywódczyni dziwek, urazona, że panowie je ignorują, ciągnie ich za rękawy, by zwrócić na siebie uwagę dżentelmenów, nim zajmą się czym innym.

– Zapłacono mi tylko za jednego – przypomina. – Sprawiedliwość musi być.

– A ja nic nie dostałam – beczy dziewczyna, która stała na czatach, jak gdyby z całej trójki ją właśnie wykorzystano najbardziej rozpustnie. Trzecia kobieta marszczy brwi, ale nie przychodzi jej do głowy, w jaki sposób mogłaby dołączyć do tych narzekań, tym bardziej że nagły wypadek nie pozwolił Ashwellowi osiągnąć zaspokojenia, za które zapłacił.

– Masz tu... masz... – Ashwell wyciąga z kieszeni garść monet, w większości jednoszylingowych, które wciska jej w ręce, a dwie pozostałe dziwki wyciągają szyje, żeby zobaczyć, ile im daje pieniędzy. – Możecie chyba rozliczyć się między sobą, co? – Ashwell martwi się o nieprzytomnego Rackhama i nie ma ochoty na targi. Chryste Panie, najpierw Henry, potem Agnes... A jeżeli w tej nieszczęsnej rodzinie znów ktoś umrze?!... Los naprawdę spłatałby im potwornego figła, gdyby takie dwie znakomitości, jak Philip Bodley i Edward Ashwell, musiały rozpocząć karierę wydawców, dźwigając trupa uliczkami Soho w poszukiwaniu najbliższego

posterunku policji!

– Bill! Bill! Słyszysz nas? – krzyczy Ashwell, wymierzając Williamowi potężny policzek.

– Sły... słyszę – odpowiada Rackham, a wtedy z ust pięciorga gapiów, tak, nawet z ust dziwek, które nie mają serca, żeby wziąć nogi za pas, wyrywa się głębokie westchnienie ulgi.

– No... – mówi najstarsza z trzech kobiet, poprawiając czepek i spoglądając na migoczące światła szerokiej ulicy. – To dobranoc wszystkim. – I po tych słowach wyprowadza swoje siostry z ciemności.

Bodley i Ashwell stoją jeszcze przez kilka chwil w zaułku, doprowadzają do porządku swoją garderobę i przyczesują włosy, wykorzystując się nawzajem w charakterze zwierciadeł. Nie zobaczysz ich już nigdy więcej, więc obu przyjaciółom przyjrzyj się dobrze po raz ostatni.

– Zabierzcie mnie do domu – jęczy jakiś głos na wysokości mankietów spodni Bodleya i Ashwella. – Chcę się położyć do łóżka.

Odprawiona w niełasce do swojego pokoju, Sugar daje wreszcie upust złemu nastrojowi i niezadowoleniu. Czyni to w samotności i ciszy odosobnienia, w szarej, małej sypialni, co jednak w niczym nie zmniejsza jej wzburzenia.

Jak William śmie mówić, że nic jej do tego, o której wraca do domu! Jak śmie mówić, że błoto na ubraniu to jego sprawa i że nie jest jej winien żadnych wyjaśnień! Jak śmie mówić, że sam doskonale poradzi sobie ze swoją korespondencją, że obejdzie się bez jej pochlebstw i sfałszowanych podpisów! Jak śmie mówić, że zamiast czaić się w mroku, czekając, aż wróci ze spotkania ze starymi przyjaciółmi, powinna raczej spać, bo potem szpecą ją ciemne sińce pod przekrwionymi oczami!

Sugar kuca przy łóżku w świetle świec, kładzie na kolanach kosztowny podarek świąteczny od Williama, czyli *Tragedie* Shakespeare'a, po czym garściami zaczyna wrywać z nich kartki i nie oszczędza nawet ilustracji, rwąc delikatny papier kruchymi, niezadbanyymi paznokciami. Kartki są cienkie i gładkie niczym w Biblii lub dykjonarzu, jak gdyby wykonano je z zaschniętego krochmalu albo bibułek papierosowych. Zgniata kartki w dłoni, mnie *Makbeta*, *Króla Leara*, *Hamleta*, *Romea i Julię* i *Antoniusza i Kleopatę*, drze woluminy paznokciami na strzępy, bo to przecież tylko czcza gadanina o starożytnych arystokratkach. Myślała, że William obdarował ją Shakespeare'em w uznaniu dla jej intelektu i specjalnie posłał ten zaszyfrowany wyraz szacunku swojej kochance na oczach służących, aby w ten sposób dać do zrozumienia, że wie, iż Sugar ma znacznie subtelniejsze wnętrze od nich. Bzdury! William jest bezpłodnym chamem, prymitywnym durniem, który równie dobrze mógłby jej kupić pozłacaną nogę słoniową albo wysadzany klejnotami nocnik, gdyby przypadkiem nie wpadły mu w oko owe „ręcznie opracione” dzieła wybrane Shakespeare'a. Niech go diabli porwą! Oto co myśli o jego obrzydliwych próbach kupienia jej wdzięczności!

Drze i rwie dalej książki, potem wstrząsa nią dziecinny szloch i niekończące się, gwałtowne spazmy, a po policzkach dziewczyny płyną łzy. Czy wydaje mu się, że jest ślepa i pozbawiona zmysłu powonienia? Kiedy wtoczył się do domu, podtrzymywany pod ramiona przez Bodleya i Ashwella, śmierdział nie tylko błotem, lecz także tanimi perfumami, jakich używają dziwki. Śmierdział seksem – stosunkiem seksualnym, o którym (używając jego ulubionego ostatnio sformułowania) powiedziałby zapewne, że nie miał „z nią nic wspólnego”! Niech idzie do diabła! Odsypia teraz, chrapiąc, rozpustę – w swojej sypialni, do której dotąd ani razu jeszcze jej nie zaprosił! Powinna wpaść tam z nożem, rozpruć mu brzuszysko i patrzeć, jak wylewają się z niego bebechy w strumieniu krwi!

Po chwili Sugar przestaje szlochać, a jej dłonie słabną od niszczenia kolejnych stron. Dziewczyna osuwa się na toaletkę, otoczona kulkami zgniecionego papieru, pod którymi nikną palce jej bosych stóp. Co by się stało, gdyby William wszedł teraz do pokoju i zastał ją w tym stanie? Sugar pada na kolana, zbiera wszystkie papierowe kulki i wrzuca je do kominka. Natychmiast znikają, choć na ułamek sekundy stają w płomieniach, zanim zamieniają się w popiół.

Lepiej spalić pamiętniki Agnes zamiast świąteczny podarunek od Williama. Dzieła Shakespeare'a są niegroźne, natomiast pamiętniki mogą ją zdradzić o każdej porze dnia i nocy. Po co miałaby ukrywać je nadal pod łóżkiem, skoro wyczytała z nich już wszystko, co mogła, a teraz sprawiają jej jedynie kłopoty? Agnes nie wróci, żeby odzyskać swoją własność, tego można być pewnym.

Sugar wyciąga spod łóżka jeden z dzienników. Z czasem odpadły z niego wszystkie kawałeczki zaschłego blocka, toteż cienki zeszyt nie sprawia już wrażenia ocalonego z wykopanego w wilgotnej ziemi grobu, ale wygląda po prostu staro, niczym relikwinię minionego stulecia. Gdy Sugar otwiera pamiętnik, szczątki absurdalnie filigranowej kłódki i łańcuszka kołyszają się nad jej dłonią

jak biżuteria.

*Kochany Pamiętniku!
Mam nadzieję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.*

Sugar przerzuca kartki, raz jeszcze stając się świadkiem wysiłków Agnes Pigott, która próbuje pogodzić się ze swoim nowym nazwiskiem.

Moja guwernantka powiada, że w końcu to tylko nazwisko, które pszyjmuję, żeby łatwiej było mi porozumiewać się z całym światem. Głupia jestem, że tak się tym zamartwiam. Przecież BÓG chyba wie, jak się naprawdę nazywam?

Sugar odkłada pamiętnik na bok; zniszczy wszystkie zeszyty z wyjątkiem tego pierwszego, bo jest tak mały, iż łatwo go będzie schować, aby nie napytać sobie biedy. Mimo woli uważa, że uczyniłaby coś... złego, gdyby spaliła pierwsze słowa, które Agnes powierzyła potomności. Czułaby się tak, jak gdyby udawała, że pani Rackham nigdy nie istniała; albo inaczej: że powołano ją do istnienia dopiero wtedy, kiedy jej śmierć dostarczyła materiału do nekrologu w gazecie.

Sugar wyciąga spod łóżka następny pamiętnik. Tak się składa, że jest to ostatni zeszyt z Abbots Langley, pisany przez piętnastoletnią Agnes, która szykuje się do powrotu do domu, aby zajmować się matką. Spomiędzy kartek sypią się z szelestem leciutkie płatki zasuszonych kwiatów, szkarłatne i białe. Pożegnalny wiersz Agnes Unwin brzmi następująco:

*Koniec siostrzanych radości,
Na czerwonym niebie promień słońca legł.
Skończył się nauki krótki bieg –
Nikt nie powstrzyma przyszłości!*

Zaciskając zęby, Sugar powierza pamiętnik płomieniom w kominku. Zeszyt tli się z cichym sykiem. Dziewczyna odwraca wzrok.

Wyciąga następny notatnik z kryjówki pod łóżkiem. Pierwszy zapis dotyczy braku odpowiedzi od „szwajcarskiego Urzędu Poczтового” na pytanie, na jaki adres wysłać pannie Eugenie, która wkrótce przybierze nazwisko Schleswig, album z kotkami. Ten zeszyt guwernantka też wrzuci do ognia, kiedy płomienie strawią pierwszy pamiętnik.

Sugar bierze do ręki trzeci zeszyt. Liebes Tagebuch... Tak brzmi wpis na jego pierwszej stronie. Ten pamiętnik również powędruje do ognia.

Wyciąga czwarty zeszyt. Pochodzi z pierwszych lat małżeństwa Agnes i Williama, zaczyna się zaś nieczytelnym, halucynacyjnym zapisem demonicznego opętania, ozdobionym na marginesach hieroglificznymi rysunkami oczu, wykonanymi menstruacyjną krwią autorki.

Kilka stronik dalej powracająca do zdrowia Agnes odnotowuje:

W szkole myślałam, że moje dawne życie będzie na mnie czekać w cieple jak ulubione danie, które paruje pod srebrną pokrywką i czeka, aż wrucę do domu.

Teraz wiem, że było to tragiczne złudzenie. Ojczym knuł cały czas, jak stopniowo zabijać okrucieństwem moją matkę i sprzedać biedną mnie pierwszemu mężczyźnie, na rzecz którego mógłby się mnie pozbyć. Wybrał Williama rozmyślnie. teraz to rozumiem! Gdyby wybrał kandydata z wyższej warstwy społecznej, musiałby ciągle spotykać mnie w różnych miejscach, gdzie spotyka się dziesięć tysięcy osób z najwyższych sfer. Wiedział jednak, że William ściągnie mnie w dół z wysokości, a kiedy upadnę tak nisko jak obecnie, nigdy nie będzie już musiał mnie oglądać!

Cóż, cieszę się! Owszem, cieszę się! I tak nie był moim prawdziwym ojcem. Nie wystarczyłoby zaproszenie na najwspanialszy bal, żeby stłumić obrzydzenie, które wzbudza we mnie jego towarzystwo.

Tak właśnie jest od wieków: kobiety są tylko pionkami w grze męskiej nikczemności. Ale

pewnego dnia prawda wyjdzie na jaw.

Pokój wypełnia swąd perfumowanego papieru, który zamienia się w popiół. Sugar rzuca okiem na kominek. Pamiętnik zachowuje jeszcze swój pierwotny kształt, ale na brzegach jarzy się już sinopomarańczowym blaskiem. Dziewczyna wyciąga spod łóżka następny zeszyt i otwiera go na chybił trafił. Nie czytała wcześniej tego niedatowanego zapisu, ale atrament ma kolor ciemnobłękitny i wygląda świeżo.

Droga Święta Siostrzo!

Wiem, że mnie szczegłaś, i nie myśl, proszę, że nie jestem ci wdzięczna. Zapewniasz mnie we śnie, że wszystko będzie dobrze, pocieszasz mnie i odpoczywam w pokoju na twojej piersi; lecz kiedy się budzę, znowu ogarnia mnie strach i wszystkie twoje słowa topnieją niczym płatki spadłego nocą śniegu. Łaknę naszego następnego spotkania, cielesnego spotkania w świecie leżącym poza granicą moich snów. Czy szybko do niego dojdzie? Szybko? Zostaw mi jakiś ślad na tej stronicie – dotknij jej wargami albo palcem, pozostaw jakikolwiek znak Twojej obecności – a wtedy będę wiedziała, że nie powinnam wyzbywać się nadziei.

Sugar wrzuca pamiętnik do kominka z jękiem udręki. Impet uderzenia wzbija w górę snop iskier, a zeszyt spada na tłące się jeszcze zgliszczą poprzedniego tomiku i staje chwiejnie na sztorc. Z punktu widzenia wiedzy naukowej o spalaniu jest to energetycznie bardziej wydajna pozycja niż horyzontalna, stronicie bowiem natychmiast zajmują się ogniem.

Dziewczyna znów zaczyna myszkować pod łóżkiem, tym razem jednak nie wyciąga stamtąd kolejnego pamiętnika, lecz powieść swojego pióra. Na jej widok w Sugar zamiera serce! Te wystrzępione kartki, wysypujące się ze sztywnej, kartonowej teczki, to autentyczne *wcielenie daremnego trudu*. Wszystkie przekreślone tytuły – *Sceny uliczne, Krzyk z ulicy, Gniewny krzyk z nieznanego grobu, Kobiety kontra mężczyźni, Śmierć w domu rozpusty, I czyje jest teraz na wierzchu?, Feniks, Szpony Feniksa, Uścisk Feniksa, Wszyscy, którzy tu wchodzą, Grzeszne zarobki, Chodź, ucałuj usta piekiel, jak również ostatni: Wzlot i upadek Sugar – są zabarwione młodzieńczymi złudzeniami autorki.*

Dziewczyna ustawia rękopis na podartym, postrzępionym grzbiecie, by tkwiący w teczce plik kartek otworzył się na los szczęścia.

– *Jestem ojcem dzieciom!* – woła jeden ze skazanych na zagładę męskich bohaterów, szamoczący się bezsilnie w więzach, którymi bohaterka skrepowwała mu przeguby i stopy. – *W domu czeka na mnie syn i córka!*

– *Powinieneś byt pomyśleć o tym wcześniej – powiedziałam, rozcinając mu koszulę ostrymi jak brzytwa nożycami krawieckimi. Całkowicie skupiona na tej czynności, suwałam nożycami tam i z powrotem po jego włochatym brzuchu.*

– *Widzisz? – zapytałam, unosząc obwisły skrawek białej bawełny w kształcie motyla, którego skrzydła spajał guzik koszuli. – Prawda, że ładny?*

– *Na litość boską, miej wzgląd na moje dzieci!*

Pochyliłam się nad nim, wbijając mu łokcie w pierś najmocniej, jak potrafiłam, i przysunęłam głowę tak blisko jego twarzy, że musiał zmrużyć oczy pod tchnieniem mojego gorącego oddechu. – Dla dzieci nie ma na tym świecie nadziei – poinformowałam go, sycząc z wściekłości. – Z chłopców wyrosną parszywe świny jak ty, które będą krzywdzić małe dziewczynki. Byłoby dla nich najlepiej, gdyby w ogóle nie przychodziły na świat; a skoro już się urodziły, najlepiej będzie, jeśli poumierają, póki nie straciły jeszcze niewinności.

Sugar wzdycha ze wstydu, czytając swoje majaczenia sprzed lat. Powinna wrzucić je w płomienie, lecz na to brak jej odwagi. Tymczasem dwa złożone w ofierze zeszyty pamiętników Agnes wciąż palą się bardzo, bardzo powoli, wydzielając ostry swąd i przyduszając węgle welonem wędnącego, osmalonego kartonu. W sypialni dziewczyny znalazło się po prostu za dużo niebezpiecznych papierów; ich spalanie trwałoby wiele godzin albo nawet dni, a dym i smród

spalenizny zwróciłyby uwagę pozostałych domowników. Dlatego Sugar z westchnieniem rezygnacji wsuwa z powrotem pod łóżko swoją powieść wraz ze stertą pamiętników, które wcześniej skazała na zagładę.

W środku nocy z głębin ciemności wysuwa się dłoń, która spoczywa na udzie Sugar i budzi ją delikatnie. Dziewczyna wzdycha niespokojnie, spodziewając się usłyszeć słowa matki; „Nie będziesz już dłużej drzeć z zimna...”. Matka jednak milczy, w półmroku rozlega się natomiast niski, męski głos.

– Przepraszam, Sugar – mówi. – Proszę, wybac mi.

Gdy Sugar otwiera oczy, okazuje się, że jest głęboko zakopana w pościeli: leży z głową pod kołdrą, a rękami trzyma się za brzuch. Wysuwa głowę bez tchu, żeby złapać oddech, i mruży oczy w świetle lampy naftowej.

– Co? Co? – mamrocze pod nosem.

– Zachowałem się jak kretyn. Wybac mi – powtarza William. – Nie wiedziałem, co robię.

Sugar siada na łóżku i przebiega palcami splecione włosy. Ma spoconą, rozpaloną dłoń i czuje chłód skrytego w swym brzuchu ciała, kiedy przestaje osłaniać je rękami. William stawia lampę na sekretarzyku i siada w nogach łóżka guwernantki, a gdy otwiera usta, jego głowa i nos rzucają czarne cienie na jego oczy i wargi.

– Straciłem przytomność, w mieście, na ulicy. Za dużo wypłem. Musisz mi wybaczyć.

Choć mówi to stanowczo, jego głos brzmi monotannie i elegijnie, jak gdyby prosił Sugar, żeby nie myślała źle o zmarłych.

– Tak, tak, oczywiście, kochany – odpowiada dziewczyna, pochylając się naprzód, by ująć go za rękę.

– Zastanawiałem się nad tym, co kiedyś powiedziałaś, że byłoby lepiej dla Sophie, gdyby częściej... wychodziła z domu... w... w naszym towarzystwie – ciągnie jednostajnie Rackham.

– Doprawdy? – odpowiada Sugar. Spogląda na zegar ponad głową Williama; jest wpół do trzeciej rano. Co go napadło o tej porze, na miły Bóg? Czy mają się udać we troje na przejażdżkę powozem w koszulach nocnych, żeby podziwiać podmiejskie ulice w świetle latarni gazowych przy akompaniamencie sprośnych przyśpiewek Cheesmana?

– I w związku z tym po... postanowiłem... – mówi William, wysuwając rękę z jej dłoni i gmerając palcami w gęstym zaroście na brodzie, bo znów zaczyna się jąkać. – Postanowiłem, że po... pojedziemy do mojej fabryki mydła. Ty, ja i So... Sophie. Jutro po... po południu.

Wielka fala oszałamiającego optymizmu, niemal nieodróżnialna od zwykłych, porannych mdłości, na chwilę poprawia jej nastrój. Więc wszystko jednak zaczyna się układać! William przejrzał nareszcie na oczy! Zrozumiał, że jedyny sposób, aby wyrwać szczęście ze szponów nieszczęścia, to pozostać z Sugar i nie dbać o to, co pomyśli świat! Nastąpiła odpowiednia chwila, by rzucić mu się w ramiona, położyć sobie jego dłoń na brzuchu i stwierdzić, że nieśmiertelność nazwiska „Rackham” – a zatem nieśmiertelność Williama – została już zapewniona. Mogłaby powiedzieć na przykład coś takiego: *Myślisz zapewne, że w tym pokoju jesteśmy tylko ty i ja. Ale w rzeczywistości jest nas troje!*

Walia się, bliska wyznania, którego treść ma na końcu języka, szuka wzrokiem oczu Williama w atramentowych cieniach jego brwi, dostrzega jednak tylko ich uciekający blask. Dopiero potem ostatnie słowa, które padły z jego ust, zaczynają docierać do budzącego się umysłu Sugar.

– Jutro po południu... – powtarza jak echo. – To znaczy... dzisiaj?

– Tak.

Sugar mruga ciężkimi, jakby posypanymi tłuczonym kamieniem powiekami.

– A czy nie moglibyśmy pojechać kiedy indziej? – proponuje cichutko, żeby jej głos zachował słodką barwę. – Chyba dobrze by ci zrobiło, gdybyś pospał dłużej po... No, po takiej nocy, jaką masz za sobą?

– Tak – zgadza się William. – Ale przy... przygotowania do tej wy... wycieczki poczyniłem już wcześniej.

Sugar, ciągle mrugając oczami, usiłuje zrozumieć, o co mu chodzi.

– Ale to przecież chyba ty decydujesz, kiedy...
– Po... pojedzie z nami je... jeszcze jedna osoba. Ktoś, ko... komu w żadnym wypadku nie chciałbym spra... sprawić kłopotu.

– Ach, tak?

– Tak. – William nie śmie spojrzeć jej w oczy.

– Rozumiem.

– Ja... wiedziałem, że zrozumiesz.

Wyciąga rękę, żeby jej dotknąć. Ciągłe roztacza zapach alkoholu; jego powiew dobiega spod pach Williama, kiedy pochyła się nad łóżkiem, aby położyć rękę na ramieniu dziewczyny. Serdelkowate palce pachną sperumą i perfumami ulicznic.

– Za rza... rzadko ci mówię, ja... jakim jesteś skarbem – wyznaje Rackham chrapliwym głosem.

Sugar wzdycha i przez króciutką chwilę ściska go za rękę, którą uwalnia, zanim ich dłonie splotą się palcami.

– W takim razie kładźmy się już spać – mówi dziewczyna, odwracając twarz i wtulając się policzkiem w poduszkę. – Bo jak zauważyłeś, mam brzydkie, przekrwione oczy.

Leży nieruchomo, symulując kataleptyczne zmęczenie, i wpatruje się w sylwetkę Williama na ścianie. Widzi unoszący się w górze wielki, czarny cień jego ręki, która drży, kiedy Rackham powstrzymuje impuls, każący mu ukoić gniew trawiący dziewczynę. Zaduch w jej małej sypialni, którą wypełnia swąd spalonego papieru, nici introligatorskich i zdrady, staje się nie do zniesienia w połączeniu z narastającym napięciem, jakie ogarnia dążącego do pojednania Williama. Uspokoiłaby go zapewne, gdyby potrafiła się zmusić, aby na chwilę usiąść, zmierzwić mu włosy i pocałować w czoło. Ale Sugar wsuwa dłoń pod policzek, wtula się mocniej w poduszkę, a potem zaciska palce w pięść.

– Dobranoc – mówi William i wstaje. Gdy Sugar nie odpowiada, Rackham sięga po lampę i wynosi światełko z jej pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Następnego dnia tuż po lunchu Sophie wychodzi z klasy, by towarzyszyć ojcu i pannie Sugar w podróży do fabryki, w której wyrabia się mydło. Rano tym właśnie mydłem Rose umyła jej buzię (albowiem panna Sugar jest wciąż zbyt obolała, żeby myć i ubierać kogokolwiek). Rose inaczej czesze i spina włosy Sophie, więc guwernantka na widok dziewczynki robi taką minę, jak gdyby miała ochotę wyjąć jej spinki i uczesać ją od nowa. Nie może jednak tego zrobić, bo Rose patrzy, ojciec czeka, a panna Sugar zмага się z kulą, o której próbuje chodzić, chociaż udaje, że wcale jej nie potrzebuje i zabiera ją ze sobą tylko na wypadek, gdyby się zmęczyła.

Sophie ostatnio często o niej myśli. Dochodzi do wniosku, że panna Sugar prowadzi drugie życie, nie licząc obowiązków guwernantki i sekretarki ojca, i że to życie jest chyba dosyć skomplikowane i nieszczęśliwe. Wniosek ten nasunął się jej całkiem nieoczekiwanie przed kilkoma dniami, gdy wyjrzała przez szparę w drzwiach klasy i zobaczyła, jak papa i Rose wnoszą pannę Sugar po schodach na górę. Pewnego razu, już dawno temu, kiedy nie usłuchała niani, która zakazała jej wyglądać przez drzwi pokoju dziecinnego, widziała, jak po tych samych schodach papa wnosi mamę, do której jej zemdlona opiekunka była bardzo podobna; nie wyglądała wcale, jak na damę przystało, miała pogniecione spódnice, bezwładne ręce i nogi, i było widać tylko białka jej oczu. Sophie uznała więc, że panna Sugar istnieje jakby w dwóch osobach: opanowanej strażniczki wszelkiej wiedzy i dorosłego dziecka w tarapatkach.

Kiedy przychodzi pora, by stawić się na dole, panna Sugar próbuje pokonać dwa czy trzy stopnie o kuli, którą następnie oddaje Sophie, by ostatecznie zejść ze schodów, opierając się ciężko na poręczy. Jej twarz pozostaje bez wyrazu, nie licząc pół- czy nawet ćwierćśmiechu (Sophie zaczęła właśnie uczyć się ułamków), i Sugar schodzi na pozór bez większego wysiłku, choć na jej czole błyszczą kropelki potu.

– Nie, nic mi nie jest – mówi do ojca, który mierzy ją wzrokiem od stóp do głów. Potem papa kiwa głową, Letty podaje mu płaszcz i ojciec dostojnym krokiem wychodzi z domu, nie oglądając się za siebie.

Raz, dwa, trzy i papa już siedzi w powozie. Sophie i panna Sugar idą wolniej, bo guwernantka kuleje na podjeździe z tym samym ćwierćuśmiechem na coraz bardziej czerwonej twarzy. Cheesman z rękami w kieszeniach palta przygląda się jej uważnie, przechylając na bok swoją wielką głowę. Ich spojrzenia spotykają się i Sophie natychmiast pojmuje, że panna Sugar nienawidzi stangreta.

– Tu, proszę, panienko Sophie – mówi Cheesman, kiedy Sophie zbliża się do niego, po czym wyciąga rękę; jednym ruchem podnosi dziewczynkę w górę i sadza ją w kabinie.

– Pozwól, panno Sugar. – Cheesman szczyrzy zęby, jak gdyby ją także chciał podsadzić, ale wyciąga tylko pomocną dłoń, żeby podtrzymać wsiadającą guwernantkę. Panna Sugar już, już prawie wchodzi bezpiecznie do powozu, ale nagle chwieje się na nogach, a wtedy ręce Cheesmana natychmiast obejmują ją w pasie i znikają pod jej siedzeniem. Kiedy stangret podsadza guwernantkę, słychać szelest przypominającej koński ogon turniury jej sukni.

– Uważaj, Cheesman – syczy panna Sugar, wbijając palce w obicie siedzenia niczym szpony i podciągając się na rękach, żeby wejść do środka.

– Ja zawsze uważam, panno Sugar – odpowiada stangret, kłaniając się tak, by ukryć głupkowaty uśmiech za postawionym kołnierzem płaszcza.

Ruszają w okamgnieniu, końska uprzęż dźwięczy, a podskakujący na wybojach powóz przebiega drzenie. Jadą aż do miejscowości zwanej Lambeth! Panna Sugar pokazała jej Lambeth na mapie (która – co trzeba przyznać – nie była dobra ani dokładna; zdaje się, że ludzi, którzy opracowują podręczniki, bardziej interesuje starożytna Mezopotamia z czasów Assurbanipala niż współczesny Londyn). Tak czy owak, Lambeth leży po drugiej stronie Tamizy, gdzie nie ma domu Rackhamów, kościoła, parku, fontanny, studia fotograficznego panów Scofielda i Tophiego, Lockhart's Cocoa Rooms, gdzie najadła się ciasta, po którym strasznie wymiotowała, ani całej reszty znanego jej świata.

– Ślicznie wyglądasz, Sophie – mówi ojciec. Dziewczynka rumieni się z radości, ale guwernantka marszczy brwi i wbija wzrok w swoje buciki. Jeden z nich bardzo ją uwiera, bo Sugar ma spuchniętą stopę, a jego skórzana cholewka jest mocno napięta i błyszczy niczym szynka. Pannie Sugar przydałyby się nowe buty, a przynajmniej jeden. Sophie też potrzebuje nowych trzewików; w starych jest jej za ciasno, chociaż nie spadła ze schodów ani nic takiego: po prostu urosła, bo przybyło jej lat. Czy nie byłoby dobrze, gdyby panna Sugar zaproponowała wizytę w sklepie obuwniczym, kiedy zwiedzą już fabrykę mydła papy? Jeżeli będą mieli mało czasu, rozsądniej będzie pójść po buty zamiast do Cocoa Room, ponieważ jedzenie znika bez śladu, gdy już się je przełknie, natomiast dobrze dopasowana para butów to długotrwałe dobrodziejstwo dla stóp.

– Kiedy tylko obejrzymy fabrykę, pojedziemy do Lockhart's Cocoa Rooms – mówi ojciec, dając Sophie znak głową i przesadnie szeroko otwierając oczy. – Lubisz kakao, prawda?

– Tak, papo – odpowiada Sophie. Samo to, że ojciec zwraca się bezpośrednio do niej, stanowi przywilej rekompensujący wszelkie gorzkie rozczarowania.

– Napisałem temu głupcowi Paltockowi, że musi się opowiedzieć do trzydziestego pierwszego tego miesiąca – ciągnie William. – Chyba jest po temu najwyższy czas, nie sądzisz?

Sophie zastanawia się przez chwilę nad jego słowami, po czym zdaje sobie sprawę, że jej rola w rozmowie już się skończyła.

Panna Sugar oddycha głęboko i wygląda przez okno.

– Z pewnością sam najlepiej wiesz, co robić – odpowiada.

– Mówię o nim „ten głupiec”, ale naturalnie nie nazwałem go tak w liście.

– Mam nadzieję. – Sugar urywa, skubie zębami maleńkie płatki tłuszczącego się z ust naskórka i dodaje po chwili: – Jestem pewna, że bez skrupułów zaoferuje swoje usługi konkurencji i wybierze najbardziej dla ciebie niedogodny moment.

– Tym bardziej więc powinienem zagrać mu na nerwach teraz, zanim nadejdzie Sezon.

Sophie wygląda przez okno. Jeżeli ojciec będzie chciał jeszcze z nią porozmawiać, na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby ją zagadnąć.

Podróż przez miasto jest strasznie interesująca. Nie licząc Kensington Gardens i Hyde Parku,

które Sophie rozpoznaje po drodze, oraz wielkiego, marmurowego łuku triumfalnego, wszystko jest dla niej nowe. Papa przykazał Cheesmanowi, „żebyśmy nie utknęli w jakimś zatorze”, woźnica wiezie ich więc różnymi nieznanymi dziewczynce ulicami, wjeżdżając z powrotem na Oxford Street tylko wtedy, kiedy nie ma innej drogi. Potem powóz mija okrągły plac zwany „areną”, na której podczas poprzedniej wycieczki zawiedziona Sophie nie zauważyła żadnych lwów ani słoni, Cheesman nie skręca jednak w prawo, gdzie kłębi się różnobarwny tłum, lecz jedzie dalej prosto.

Domy i sklepy, które teraz mijają, nie wyglądają już okazale i wesoło; prawdę mówiąc, są nędzne i ubogie jak tutejsi przechodnie. Wszyscy mężczyźni dziwnie przypominają pana Woburna, który przychodzi do Rackhamów ostrzyć noże, kobiety zaś zdradzają podobieństwo do Letty, tyle tylko, że nie są równie schludne i czyste jak ona, a poza tym nikt tutaj nie śpiewa, nie krzyczy, nie gwizdże i nie oznajmia wszem wobec, że sprzedaje za pół pensa coś, co warte jest pół korony. Miejscowi mieszkańcy suną w chłodnej szarości niczym posępne duchy, a kiedy unoszą głowy, by spojrzeć na przejeżdżający powóz Rackhamów, widać, że oczy mają czarne jak węgle.

Bruk pod kołami powozu staje się coraz bardziej wyboisty, a ulice węższe. Tworzące gęsty labirynt okoliczne domy znajdują się w przerażająco opłakanym, bliskim ruiny stanie. Na długich sznurach, zwisających między kamienicami, suszą się ubrania i pościel, ot tak, na oczach wszystkich, jak gdyby nikt się tu ani trochę nie wstydził, że moczy łóżko. Wokół unosi się ohydny odór brudnej bielizny i takich substancji, jakich używa Shears, żeby nawozić albo tępić różne rośliny ogrodowe, a kobiety i dzieci chodzą niemal półnago.

Kiedy powóz przetacza się z turkotem po najgorzej, jak dotąd, wyglądającej ulicy, Sophie spostrzega małą, bosonogą dziewczynkę z wielkim, blaszanym kubłem w ręczce, odzianą w luźną, pozbawioną guzików bluzkę, której postrzępiony rąbek lepi się do jej brudnych jak święta ziemia łydek. Jeżeli chodzi o strój, postukująca leniwie patykiem w wiadro mała różni się od Sophie tak samo jak trolle z bajek, które dostała kiedyś od wujka Henry’ego, ale ich twarze – twarz obcej dziewczynki i twarz Sophie – są tak uderzająco podobne, że poruszona panna Rackham wychyla się przez okno, by lepiej się jej przyjrzeć.

Gdy dziecko ulicy spostrzega, że jest obiektem niepożądanego zainteresowania, sięga do kubła, wyciąga z niego jakiś niewielki przedmiot i jednym ruchem, bez wahania, rzuca nim w stronę powozu. Sophie nie cofa głowy; nie bardzo może uwierzyć, że ciemny, połyskujący w powietrzu obiekt istnieje w tym samym świecie, co ona oraz powóz, w którym siedzi – jest raczej urzeczona wyrazem upartej złośliwości na twarzy swojego sobowtóra... Ale urzeczenie dziewczynki trwa tylko krótką chwilę, bo potem pocisk trafia ją dokładnie między oczy.

– Co, u diabła!... – wrzeszczy William, gdy jego córka jak długa pada na wznak na podłogę kabiny.

– Sophie! – woła Sugar, pochylając się gwałtownie naprzód, gdy Cheesman ściąga lejce i zatrzymuje powóz. Guwernantka bierze dziecko w ramiona i z ulgą stwierdza, że na twarzy małej widać zdumienie, lecz ani śladu krwi. Dzięki Bogu, nie stało się jej nic złego: jedynie na czole Sophie widnieje lepka, brunatna plama – a poza tym, kiedy trzepocząc rękami, usiłowała zachować równowagę, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, jak to zwykle bywa w podobnych sytuacjach, rozgniotła dłonią psią kupę, która leży teraz na podłodze, i rozmazała ją na czubku lewego buta swego ojca.

Sugar instynktownie chwytą pierwszą lepszą szmatkę, jaką ma pod ręką – czyli rąbek haftowanego pokrowca z siedzenia obok Williama – i natychmiast wyciera buzię Sophie.

– Nie masz chusteczki do nosa?! – warczy wściekły i zdenerwowany William. Zaciska pięści, pierś mu faluje, rozgniewany wychyla się przez okno, ale mała ulicznica pierzcha niczym szczur. Potem zauważając, że rękę Sophie pokrywa nadal ciemna warstwa psiego gówna, ojciec wycofuje się pod ścianę kabiny, byle dalej, byle tylko bardziej się nie pobrudzić.

– Przestań się tak miotać, ty głupi bachorze! – krzyczy. – Sugar, najpierw zdejmij jej tę rękawiczkę! Boże wszechmogący, nie widzisz, co się stało?!... – Przestraszone jego wściekłością, Sugar i Sophie nieporadnie usiłują zastosować się do tych poleceń. – Co ci przyszło do głowy, żeby wychylać się przez okno jak kretyńka? – wrzeszczy znów William na Sophie. – Czy ty w ogóle nie myślisz?

Dygocze na całym ciele, a Sugar wie, że wybuchnął zarówno pod wpływem tego zajścia, jak i ze zmartwienia; ma wciąż rozstrojone nerwy po napadzie we Frome. Dziewczyna wyciera Sophie, ile się da, a William tymczasem wyskakuje z powozu i czyści swój but szmatką, którą podaje mu Cheesman.

– Najlepiej polać trzewik piwem, panie – świergocze przymilnie stangret. – Właśnie po to mam zawsze tyle piwa na podorędziu.

Kiedy mężczyźni czyszczą but Williama, Sugar ogląda uważnie buzię Sophie. Dziewczynka cichutko szlocha, oddycha płytko i szybko, ale nie roni łez i nie wydaje żadnego jęku.

– Nic ci się nie stało, Sophie? – szepcze Sugar, śliniąc koniuszek kciuka, by zetrzeć ostatni ślad lepkiego brudu z bladej twarzyczki dziecka.

Sophie wysuwa dolną szczękę do przodu i zaczyna mrugać raptownie powiekami.

– Nie, panienko.

Już do końca podróży Sophie siedzi nieruchomo niczym woskowa figurka albo paczka i porusza się wyłącznie wtedy, gdy koła powozu podskakują na drodze. William, któremu przeszedł już atak złości, zdaje sobie sprawę z tego, jak się zachował, i okazuje skruchę uwagami w rodzaju: „Niewiele bra... brakowało, co, Sophie?” albo „Będziemy mu... musieli ku... kupić ci nowe rękawiczki, pra... prawda?”, wygłaszanymi radosnym tonem, który jest równie żałosny, co irytujący.

– Tak, papo – mówi cicho Sophie, okazując mu uprzejmość, ale nic poza tym. Patrzy tępo przed siebie, choć może wpatruje się jednak w jakiś fragment kosmosu, którego nie widzą ohydne stwory w rodzaju Williama Rackhama. Jej podobieństwo do Agnes jest teraz zdumiewające, jak nigdy.

– Patrz, Sophie! – mówi William. – Zaraz będziemy przejeżdżać przez most Waterloo!

Dziewczynka posłusznie wygląda na zewnątrz, ale w bezpiecznej odległości od okna. Jednakże po kilku minutach ku widomej uldze Williama czar wielkiej wody, oglądanej z dużej wysokości, zaczyna działać, i Sophie pochyla się naprzód, opierając się łokciami o ramę okienną.

– Co tam widzisz, co? – pyta William z błazeńską przymilnością. – Pewnie barki?

– Tak, papo – mówi Sophie, wpatrując się w spienioną, szarozieloną kipieli. Trudno rozpoznać w niej równiutką, błękitną wstęgę, którą panna Sugar pokazywała jej dziś rano na mapie, ale jeżeli most, po którym przejeżdżają, jest mostem Waterloo, to muszą być bardzo blisko stacji kolejowej o tej samej nazwie, gdzie zaginęła jej mama, kiedy wybrała się na poszukiwanie szkoły muzycznej. Sophie przygląda się z góry odległej rzece i zastanawia się, w którym dokładnie miejscu fale przykryły jej mamę, która wypięła wtedy mnóstwo wody, tak dużo, że nie ma na świecie stworzenia, które by od tego nie umarło.

Przed żelazną bramą fabryki mydła Rackhama w Lambeth stoi powóz, zaprzężony w dwa spokojne, siwej maści konie. Spójrz tylko, kto siedzi w powozie: lady Bridgelow. Schowana w przytulnej, połyskliwej kabinie niczym morska perła w czterokołowej muszli, przyciąga już wzrok obecnych, chociaż nie wystawiła jeszcze nogi na zewnątrz.

– Boże, ile tu dymu... – mówi zirytowany William, który wysiada ze swojego powozu i z żalem spogląda w niebo, skażone ciemną wydzieliną z zabudowań Doulton&Co, Stiff&Sons i wielu innych mieszczących się w okolicy garncami, fabryk szkła, browarów oraz mydlarni. Potem z nieczystym sumieniem przygląda się badawczo kominom swojej fabryki i z zadowoleniem konstatuje, że dym ulatuje z nich smukłą, czystą smugą.

– Och, jesteś nareszcie, Williamie! – W powozie lady Bridgelow trzepocze blada rozgwieżdżona obciążniętych świńską skórą palców.

Nakazawszy gestem stróżowi otworzyć szeroko bramę, William podchodzi bliżej, przepaszając wylewnie lady Bridgelow, że musiała czekać, na co dama odpowiada, iż to jej wina, albowiem przybyła na spotkanie przed czasem.

– Nie mogłam się już doczekać, pojmujesz – ćwierka lady Bridgelow, gdy William pomaga jej wysiąść na chodnik.

– Trudno mi w to uwierzyć... – odpowiada, zamaszystym ruchem ręki wskazując na utylitarną

okropność bezpośredniego otoczenia fabryki, różniącego się wielce od lśniących ogrodów rozkoszy, które, jak sobie wyobraża, stanowią naturalne środowisko lady Bridgelow.

– Ach, wążpisz więc w moje słowa! – drażni się z nim dama, udając oburzenie i przykładając drobnutką dłoń do błękitnej, aksamitnej piersi. – No nie, naprawdę, Williamie, nie traktuj mnie jak stary rupieć. Nie mam zamiaru spędzić reszty moich dni, usychając z tęsknoty za tym, co wkrótce i tak przeminie. Doprawdy, czy wyobrażasz sobie, że mogłabym gonić po wsi za stadem zgrzybiałych, zidiociałych arystokratów, którzy strzelają do bażantów i ubolewają nad zgubnymi skutkami reformy prawa wyborczego? Przecież to los gorszy od śmierci!

– Cóż – mówi William, składając jej głęboki, niby-wiernopoddańczy ukłon. – Jeżeli zatem mam cię ocalić przed losem gorszym od śmierci, pozwól, że pokażę ci moją skromną fabrykę...

– Z najwyższą przyjemnością!

Mijają bramę i wchodzą na teren zakładu.

(Pytasz, co z Sugar? Och, tak, ona też wchodzi przez bramę, kuśtykając o kuli, a obok niej drecze Sophie. Jakie to dziwne, że lady Bridgelow, która lekce sobie waży arystokratyczny snobizm, zdaje się nawet nie zauważać istnienia guwernantki; choć może to wrodzony wdzięk i takt nie pozwala jej komentować cudzego nieszczęścia, jakim jest fizyczna ułomność Sugar. Oczywiście, w tym właśnie rzecz: lady Bridgelow nie chce wprawić biednej guwernantki w zakłopotanie, nie może jej więc zapytać, dlaczego tak nieelegancko utyka).

Skonsternowana Sugar patrzy, jak William i lady Bridgelow razem ruszają przodem, ramię przy ramieniu, a różni pochlebcy oraz wazelinarze płaszcą się i rozstępują przed nimi. Po chwili jednak ci sami ludzie robią coś wręcz przeciwnego, a mianowicie: z powrotem zbijają się w ciżbę, przepuściwszy przodem pana Rackhama i jego dostojnego gościa, jak gdyby nakazano im pozbyć się wszelkich intruzów, którzy mogliby podążać chyłkiem ich śladem. Sugar ze wszystkich sił usiłuje kroczyć z dumnie podniesioną głową i nie opierać się na kuli całym ciężarem ciała, ale na dokładkę dokuczają jej niestrawność, więc jej największym sukcesem jest to, że nie trzyma się za brzuch i nie jęczy.

Gdy grupka gości wchodzi do rzęsiście oświetlonego wnętrza, okazuje się, że fabryka wygląda zupełnie inaczej, niż spodziewała się Sugar. Sądziła, że będzie to budynek monumentalnych rozmiarów, jakieś przepastne, pełne ech gmaszysko, przypominające dworzec albo kościół, wypełnione monstrualnymi, szumiącymi i lśniącymi maszynami. Wyobrażała sobie niedostrzegalne procesy, zachodzące w różnych zasilających się nawzajem rurkach i naczyniach, a także maleńkich pracowników, którzy oliwią ruchome części mechanizmów. Ale mydlarnia Rackhama urządzone jest zupełnie inaczej; praca odbywa się tu w kameralnych warunkach, pod sufitami zawieszonymi nisko jak w tawernie, a wokół widać prawie tyle polituowanego drewna, co w „Fireside”.

Niskie dziewczyny o wynędzniałych twarzach i czerwonych dłoniach – robotniczek przypominających fabryczne kopie pomywaczki Janey jest tu w sumie dwanaście – pracują w atmosferze gęstej od przemieszanych zapachów lawendy, goździków, róż i migdałów. Robotnice mają na nogach drewniane chodaki o szorstkich podeszwach, albowiem kamienna posadzka pokryta jest śliską, przypominającą wosk warstwą mydła.

– Patrzcie pod nogi! – mówi William, wprowadzając gości na teren swojego pachnącego królestwa. W świetle jarzących się lamp jego twarz wydaje się niemal całkowicie obca i ma złocistą cerę oraz srebrzyste usta. William wchodzi w rolę mistrza ceremonii, zapomina o swojej powściągliwości, przestaje się jąkać, pokazuje to tu, to tam i wszystko wyjaśnia.

– Oczywiście to, co tu widzimy, nie jest produkcją mydła w ścisłym tego słowa znaczeniu... produkcja to brudna robota, niegodna wytwórcy kosmetyków, a właściwy termin, określający nasze o wiele bardziej aromatyczne procesy produkcyjne, brzmi: przetapianie. – Rackham wymawia to słowo z przesadną starannością, jak gdyby oczekiwał, że goście natychmiast zapiszą je w notesach. Lady Bridgelow odwraca się ku niemu z uprzejmym zachwytem; Sophie spogląda na papę, na lady Bridgelow, a potem znów na papę, dziwiąc się tajemniczej chemii, która wytwarza się między obojgiem.

Kostki mydła, które – jak mniemała Sugar – powinny wypadać uformowane z ryny albo rury, stanowiącej wylot jakiejś skomplikowanej maszyny, istnieją w mydlarni wyłącznie w postaci kałuż

jakby żelatynowej mazi, migoczącej w drewnianych formach. W górze nad ową aromatyczną pulpą wiszą druciane ramy, które zgilotynują ją na prostokąty, gdy zastygnie. Każda forma zawiera śluzowatą masę innej barwy i o innym zapachu.

– Ta żółta maź tutaj jest, czy raczej będzie, mydłem o zapachu kapryfolium – mówi William. – Likwiduje świąd, a popyt na nie wzrósł w tym roku pięciokrotnie. – Rackham zanurza palec w lśniącej substancji i demonstrowuje jej dwie różne warstwy. – Ten krem z wierzchu zbieramy i wyrzucamy. Jest zasadowy; w czasach mojego ojca nie usuwano go, skutkiem czego mydło czasem drażniło wrażliwą skórę.

Podchodzi do innej formy, której niebieskawa zawartość wydziela słodkawy zapach.

– Tu zaś mamy coś, z czego powstaje tak zwany wyciąg Rackhama, mieszanka szaławii, lawendy i olejku z drzewa sandałowego. Tutaj z kolei – powiada, znów posuwając się dalej – widzimy krem Jeunesse Eternelle. Zielony kolor nadaje mu ogórek, a cytryna i rumianek działają jako środek ściągający, który przywraca gładkość skórze twarzy.

Następnie William prowadzi gości do suszarni, gdzie w korytkach z blachy i dębowego drewna spoczywają setki kostek mydła.

– Mydło leżakuje tu dwadzieścia jeden dni i ani dnia mniej! – mówi z naciskiem Rackham, jak gdyby wokół unosiły się złośliwe szept, przeczące jego słowom.

W pakowalni siedzi przy masywnym stole dwadzieścia dziewcząt w lawendowych fartuchach, po dziesięć pracownic naprzeciwko siebie, a ich pracę nadzoruje jakiś jegomość o lisim wejrzeniu, który przechadza się dookoła wolnym krokiem, trzymając porośnięte rudymi włosami dłonie w kieszeniach kamizelki. Dziewczęta pochylają się naprzód jak jeden mąż, niemal uderzając się głowami, gdy zawijają mydło w woskowany papier. Na każdym opakowaniu widnieje wizerunek łaskawego oblicza Williama Rackhama oraz wydrukowany minuskułą tekst, napisany przez Sugar pewnej późnej majowej nocy, którą spędziła w łóżku, siedząc u boku Williama.

– Dzień dobry, dziewczęta! – mówi William, a robotnice odpowiadają chórem: – Dzień dobry, panie Rackham.

– Często śpiewają podczas pracy. – William zwraca się do lady Bridgelow i pozostałych gości, porozumiewawczo mrugając okiem. – Ale przy nas się wstydzą.

Podchodzi do stołu i obdarza lawendowe dziewczyny uśmiechem.

– Zaśpiewajcie nam jakąś piosenkę, dziewczęta. Przybyła dzisiaj do was w odwiedziny moja córka, a także pewna znakomita dama. Nie wstydźcie się. Idziemy do magazynu, nie będziemy się wam więc przyglądać, ale byłoby wprost kapitalnie, gdybyśmy mogli usłyszeć wasze słodkie głosiki. – Potem William zniża głos do konspiracyjnego szeptu, wywraca oczami, patrząc znacząco na Sophie, aby wzbudzić w robotnicach uczucia macierzyńskie, i mówi: – Sprawcie się jak najlepiej, boja was o to proszę.

Następnie przechodzi wraz z gośćmi do przestronnej hali na tyłach fabryki, gdzie żyłaści mężczyźni, odziani jedynie w koszule, pakują sterty gotowych mydeł do wąskich, drewnianych skrzynek. Jak można było się spodziewać, kiedy tylko lady Bridgelow, Sugar i Sophie znalazły się w magazynie, z sali, z której właśnie wyszły, dobiega melodyjny śpiew: najpierw rozbrzmiewa jeden nieśmiały głos, potem trzy, a później już kilkanaście.

Lawenda jest niebieska, dada da,

Rozmaryn zielony, dada da.

Jak królem zostanę, dada da.

Nasze będą trony...

– W tym zaś oto miejscu – mówi William, wskazując dwoje masywnych drzwi, za którymi majaczy przez szparę świat zewnętrzny – kończy się fabryka, a zaczyna dalszy ciąg naszej historii.

Sugar, która zmaga się z trzema problemami naraz – usiłuje utykać jak najdyskretniej, powstrzymuje jęki, bo okrutnie boli ją brzuch, i tłumi pokusę, by nie uderzyć w twarz głupkowato uśmiechniętej lady Bridgelow – czuje nagle, że ktoś szarpie ją za spódnicę.

– Tak, o co chodzi, Sophie? – pyta szeptem, schylając się niezgrabnie, aby dziewczynka mogła

powiedzieć jej coś na ucho.

– Chce mi się psipsi, panienko.

Naprawdę nie możesz wytrzymać?, myśli Sugar, ale zaraz zdaje sobie sprawę, że i jej za chwilę pęknie pęcherz.

– Przepraszam, panie Rackham – mówi. – Czy na terenie fabryki jest gdzieś pomieszczenie, gdzie... można umyć ręce?

William z niedowierzaniem mruga powiekami: czy ma to być jakieś zawołane pytanie, dotyczące kwestii produkcji mydła, czy raczej niezręczna próba ustrzeżenia się przed podobnym wypadkiem, jaki jej się przydarzył na polach lawendowych? A może Sugar dopomina się o oficjalne zwiedzanie fabrycznych waterklozetów? Po chwili, na szczęście, Rackham domyśla się, o co jej chodzi, poleca więc jednemu z pracowników zaprowadzić pannę Sugar i panienkę Sophie do toalety, podczas gdy lady Bridgelow udaje, że z głębokim zainteresowaniem studiuje spis dalekich portów, do których płyną ładunki, a których nazwy wypisane są kredą na tablicy dostawczej.

*Słyszałam, dada da,
Kiedy tu przybyłam,
Że być razem, dada da,
Jest pisane nam...*

Lady Bridgelow ignoruje niedyskretne zachowanie dziecka z miną osoby, którą pochodzenie czyni niewrażliwą na tak obrzydliwe słabości. Bierze do ręki kostkę mydła i odczytuje bardzo interesujący napis na opakowaniu.

Zdaniem Sugar i Sophie toaleta dla pracowników odznacza się nowocześniejszym i bardziej opływowym kształtem niż pozostałe pomieszczenia fabryczne. Rząd identycznych, białych, emaliowanych muszli klozetowych, połączonych z lśniącą, blaszaną cysterną, podwieszoną pod sufitem, wygląda niby falanga fantastycznych mechanizmów; widnieje na nich wypisane dumnie nazwisko producenta. Ciemnobrązowe siedziska połyskują lakierem i wyglądają na zupełnie nowe; nie ma się jednak co dziwić, albowiem fabryka Doultona mieści się zaledwie kilkaset jardów dalej.

Klozety są tak wysokie, że stopy Sophie, która wdrapała się już na jeden z nich, dyndają w powietrzu kilka cali nad wyłożoną kafelkami posadzką w kolorze beżowo-błękitnym. Sugar odwraca się i idzie nieco dalej, przyglądając się glazurze na ścianach, a tymczasem Sophie zaczyna już siusiać. Ból brzucha staje się tak ostry, że Sugar z trudem oddycha i przebiegają ją dreszcze; bardzo chce sobie ulżyć, ale myśl o tym, że miałyby to uczynić na oczach dziewczynki, napęnia ją wstydem, dziewczyna zastanawia się więc, czy jakimś nadludzkim wysiłkiem woli nie zdoła jeszcze wstrzymać parcia na pęcherz.

Gdyby miała w obecności Sophie zrobić tylko psipsi, nie byłoby to takie straszne: wspólna, intymna czynność fizjologiczna mogłaby do pewnego stopnia zneutralizować postępującą erozję godności Sugar. Niestety, guwernantce dokuczają także straszne skurcze jelit, boi się więc wydalić z siebie głośny strumień smrodu, który bezpowrotnie unicestwiłby wizerunek panny Sugar jako pogodnej strażniczki wiedzy naukowej i na zawsze wypaliłby w umyśle (oraz nosie!) Sophie obraz ohydnej rzeczywistości... obraz panny Sugar jako chorego zwierzęcia.

Sugar obejmuje się mocno ramionami, zagryza wargi, powstrzymując skurcze, i wbija wzrok w ścianę, na której jakiś rozżalony pracownik próbował wyryć na kafelkach napis:

W. R. to

ale glazura okazała się zbyt twarda.

Nagle Sugar czuje, że musi – bezwarunkowo musi – usiąść. Jej brzuch przeszywają szpice bólu, a każdy cal skóry pokrywa zimny pot; w rozpaczliwym pośpiechu dziewczyna zarzuca suknię na pochylone plecy, ściąga majtki i obnaża pośladki, mokre i śliskie niczym obrona ze skórki gruszka. Potem opada ciężko na deskę i ze stłumionym okrzykiem pełnym udręki bezwładnie leci przed siebie. Jej czepek, spod którego wysypują się włosy, spada na kafle posadzki. Po udach Sugar

płynie gwałtownie krew i jakaś inna, śliska, gorąca substancja.

– Och, Boże! – woła. – Boże, pomóż mi!... – Fala nagłych zawrotów głowy zagarniają i podrzuca w górę, a potem dziewczyna całkiem traci przytomność.

Chwilę później – bo chyba nie trwa to dłużej? – Sugar przytomnieje na chłodnych, wilgotnych kafelkach. Uda guwernantki pokrywa śluz, tętno mocno bijącego serca wstrząsa całym jej ciałem, a stopa w kostce pulsuje jak w uścisku stalowych sideł. Sugar wyciąga szyję i dostrzega kulącą się w kącie Sophie. Dziewczynka ma twarz bladą jak otaczające ją kłozety i wytrzeszczone z przerażenia oczy.

– Pomóż mi! – syczy nerwowo Sugar.

Sophie rzuca się naprzód jak marionetka na sznurku, ale na jej twarzy maluje się bezradny grymas.

– Pó... Pójdę po kogoś, panienko – odpowiada, wskazując drzwi, za którymi czają się silni mężczyźni i uczynne panie, w które fabryka papy została bardzo obficie wyposażona.

– Nie! Nie! Sophie, proszę cię – błaga Sugar gorączkowym szeptem i podrzuca ręce w górę, zaplątując się we własną suknię. – Musisz spróbować sama.

Sophie jeszcze przez chwilę wygląda ratunku, a potem podbiega bliżej, chwytając guwernantkę za przeguby i ciągnie ze wszystkich sił.

– No – mówi William, kiedy lady Bridgelow żegna się i odjeżdża. – Jak ci się podobało?

– Było cudownie, papo – odpowiada dziewczynka obojętnie.

Siedzą w powozie Rackhama, niemal dotykając się kolanami. Ich ubrania wydzielają słodki zapach mydła, który rozchodzi się po ciasnej kabinie, gdy Cheesman zabiera z Lambeth Williama, Sophie i Sugar. Wizyta w fabryce okazała się ogromnym sukcesem, przynajmniej w mniemaniu lady Bridgelow, która zdradziła Williamowi w zaufaniu, że nigdy dotąd nie przeżyła niczego, co pobudziłoby w niej tyle zmysłów naraz, i że potrafi sobie wyobrazić, jak takie przeżycie mogłoby wpłynąć na kogoś, kto nie odznacza się żelaznym zdrowiem. Teraz jednak William pozostaje już tylko w towarzystwie Sugar, która wygląda, jakby jej było słabo, i Sophie, sprawiającej wrażenie, że poddano ją jakiejś próbie ogniowej, chociaż zaznała przecież największej uciechy w życiu.

William rozpira się na siedzeniu, trąc ze smutkiem kłykcie. Jego córka jest nadzwyczaj chimeryczna! Wystarczy jedno gniewne słowo, żeby dąsała się przez cały dzień. Choć to smutne, jest wielce prawdopodobne, że odziedziczyła tę cechę po Agnes i nie potrafi wybaczać.

Sugar natomiast drzemie na siedzeniu – naprawdę drzemie! Głowa opada jej w tył, ma rozchylone usta i prawdę mówiąc, przedstawia raczej nieprzyjemny widok. Jej suknia jest wymięta, czepek przekrzywiony, a głowę dziewczyny okalają niesforne kosmyki włosów. Powinna wziąć przykład z lady Bridgelow, która od chwili, kiedy wysiadła z powozu, do momentu, gdy pomachała Williamowi na pożegnanie, wyglądała nienagannie i wesoło. Constance naprawdę jest niezwykłą osobą! To istny wzór dostojności i opanowania, a także niezwykłego animuszu! Kobieta jedna na milion...

– Znowu przejeżdżamy przez most Waterloo, Sophie – mówi William, po raz drugi tego dnia wskazując córce cuda najwspanialszej rzeki świata.

Sophie wygląda przez okno. Znowu opiera głowę na splecionych dłoniach i przygląda się burzliwym wodom, na których nawet wielkie statki nie wyglądają całkiem bezpiecznie.

Potem podnosząc wzrok, widzi coś naprawdę cudownego: unoszącego się na niebie, nieruchomego niczym posąg słońca. Jego wydęty bok zdobi napis SALMON'S TEA, a zwierzę zawisa na chwilę nad dachami i kominami w drodze nad zatłoczone ulice.

– I co ty na to, Sophie? – zagaduje William, przyglądając się balonowi spod przymkniętych powiek. – Myślisz, że moja firma też powinna zafundować sobie coś takiego?

Wieczorem, kiedy William zaczyna pracować nad stosem nagromadzonej przez cały dzień korespondencji, pozostali domownicy robią wszystko, co mogą, by życie toczyło się dalej normalnym trybem.

Kilka pokoi dalej w tym samym korytarzu Sugar – z takim wdziękiem, na jaki tylko ją stać –

odrzuca propozycję Rose, która chce położyć Sophie spać. Guwernantka prosi natomiast służącą, aby przyniosła do jej sypialni balię z gorącą wodą, a zrozumienie tej prośby przychodzi Rose bez trudu, widzi bowiem przecież, że panna Sugar wygląda, jakby ktoś przeciągnął ją tam i z powrotem przez kolczasty żywopłot.

Był to długi, bardzo długi dzień. Och, Boże, jak można być tak ślepy na cudze potrzeby? Okrutnie niepomny, że Sugar i Sophie chcą już wracać do domu, William przedłużył wycieczkę ponad granice ich wytrzymałości. Najpierw pojechali na lunch do restauracji na Strand, gdzie Sugar o mało nie zemdląła z gorąca i duchoty, a ponadto musiała zjeść półsurowe kotlety jagnięce, których kosztował William za swojej poprzedniej bytności w tym lokalu i które wydały mu się bosko smaczne; potem odwiedzili jednego rękawicznika; później drugiego, gdy okazało się, że pierwszy nie dysponuje odpowiednio miękką gierzem dla Sophie; następnie poszli do szewca, u którego córka nagrodziła wreszcie Williama uśmiechem, kiedy wstała z krzesła w nowych butach i zrobiła trzy kroki w stronę lustra. I gdyby tylko na tym się skończyło! Ale nie, rozochocony uśmiechem Sophie, William zabrał je do winiarskiej firmy Berry&Rudd na James Street, by zważyć tam córkę na ogromnej wadze. – Ważono na niej sześć pokoleń członków zarówno angielskiej, jak i francuskiej rodziny królewskiej! – powiedział małej William, a właściciele firmy uśmiechali się złośliwie z boku. – Ta waga przeznaczona jest tylko dla naprawdę znamienitych osób! – A na zakończenie Rackham oznajmił, że kulminacyjnym punktem wycieczki będzie wizyta w Lockhart's Cocoa Rooms.

– Stanowimy dziś naprawdę wesołe trio! – oświadczył William, na chwilę stając się lustrzanym odbiciem własnego ojca, który w święta Bożego Narodzenia niebezpiecznie tryskał dobrym humorem. Później, kiedy Sophie pogrążyła się w lekturze większej od niej karty deserów, Rackham pochylił się i szepnął dziewczynie do ucha: – Jak uważasz, czy teraz jest szczęśliwa?

– Naturalnie, bez wątpienia – odpowiedziała Sugar. Dopiero kiedy pochyliła się na krzesło, zrozumiała za sprawą bolesnego przenikliwego ułknięcia, że jej zakrwawione włosy łonowe lepią się do majtek. – Myślę jednak, że Sophie ma już dość.

– Czego?

– Przyjemności, jak na jeden dzień.

Okazało się jednak, że nawet powrót do domu nie był końcem męczarni, albowiem następstwa ich pierwszej wspólnej wycieczki do miasta przed paroma tygodniami powtórzyły się niemal co do joty: Sophie zaczęła gwałtownie wymiotować, zwróciła tę samą, co poprzednio, mieszaninę kakao, ciasta i niestrawionego obiadu, a później, co było do przewidzenia, uderzyła w płacz.

– Jesteś pewna, że nie chcesz mojej pomocy, panno Sugar? – zapytała Rose przed pójściem spać, przystając z wahaniem na progu sypialni panienci Rackham.

– Nie, dziękuję ci, Rose – odpowiedziała Sugar.

Dopiero teraz, nareszcie! – siedem godzin i czterdzieści minut po upadku Sugar z zakrwawionej ceramicznej muszli klozetowej na posadzkę toalety w fabryce mydła Rackhama – guwernantka i Sophie mogą ułożyć się do snu.

Sugar nie bardzo potrafi pomóc dziewczynce, trzyma więc tylko, a następnie podaje jej koszulkę nocną, po czym ciężko opiera się o łóżko, gdy Sophie zdejmuje ubranie i wskakuje pod kołdrę.

– Jestem ci ogromnie wdzięczna, Sophie – mówi chrapliwie Sugar. – Byłaś moją małą ratowniczką. – Ledwie wypowiada te słowa, gardzi sobą za to, że wyraża się z takim lekceważeniem o odwadze dziecka. Protekcyjną uwagę w takim stylu mógłby rzucić William, który traktuje Sophie, jak gdyby była małym, mądrym pieskiem, popisującym się zabawnymi sztuczkami.

Sophie kładzie główkę na poduszce. Ze zmęczenia policzki ma upstrzone różowymi plamkami, a nosk jasnoczerwony. Nie zmówiła nawet pacierza. Drżą jej usteczka, chce bowiem o coś zapytać.

– Co znaczy „kretynka”, panienko?

Sugar gładzi ją po głowie i odgarnia włosy z rozpalonego czoła małej.

– „Kretynka” oznacza bardzo głupią dziewczynkę – odpowiada. Korci ją, by zadać teraz kilka pytań Sophie; *Czy zajrzałaś do muszli klozetowej, nim pociągnęłaś za spłuczkę, żeby spuścić wodę?*

Co tam zobaczyłaś?; ale udaje się jej powściągnąć język. – Ojciec nie chciał nazwać cię w ten sposób – mówi. – Był rozgniewany, a poza tym nie czuje się najlepiej.

Sophie zamyka oczy. Nie ma już ochoty słuchać na temat dorosłych, którzy źle się czują. Najwyższy czas, żeby świat zaczął znów normalnie funkcjonować.

– Nie martw się niczym, maleńka – mówi Sugar, a z jej drżących powiek spływają łzy. – Teraz już wszystko będzie dobrze.

Sophie odwraca głowę na bok, wtulając policzek głęboko w poduszkę.

– Ty nie upadniesz więcej, prawda, panno Sugar? – pyta dziwnym, na poły przymilnym, na poły nadąsanym tonem.

– Od tej pory będę bardzo na siebie uważać, Sophie. Obiecuję.

Guwernantka delikatnym, znamionującym rozpacz gestem dotyka ramienia uczennicy, po czym odwraca się, by wyjść, ale dziewczynka zrywa się nagle, siada na łóżku i zarzuca jej ręce na szyję.

– Nie umieraj, panno Sugar! Nie umieraj! – lamentuje mała, a Sugar traci równowagę i niewiele brakuje, by padła jak długa na łóżko.

– Nie umrę – obiecuje, chwycie się na nogach i całuje włosy Sophie. – Przysięgam ci, nie umrę!

Nie więcej niż dziesięć minut później, kiedy Sophie zapadła już w głęboki sen, Sugar siedzi przed kominkiem w dużej balii, pełnej parującej wody. W pokoju nie unosi się woń spalonego papieru i kleju, lecz mydła lawendowego i wilgotnej ziemi; Rose, niech jej Bóg błogosławi, zdołała wreszcie siłą otworzyć okno, zrywając nieustępliwą pieczęć farby z framug.

Sugar starannie i wytrwale kilkakrotnie myje całe ciało. Wyciska kojącą wodę z gąbki na plecy i piersi; wyciska porowaty szkielet morskiego stworzenia, aż gąbka zaczyna przypominać wilgotny puszek do pudru, i wtedy dziewczyna przykładą ją do oczu, szczypiących od łez; naprawdę powinna już przestać płakać.

Od czasu do czasu spogląda między nogi, obawiając się tego, co tam zobaczy, ale na powierzchni unosi się kojąca warstwa mydlin, które skrywają różowy odcień wody, a drobiny zakrzepłej krwi opadają na dno albo znikają w pianie. Sugar wie, że skręcona w kostce stopa potężnie spuchła, nie widzi jej jednak, a poza tym ma wrażenie, że boli mniej, niż powinna. Pęknięte żebra (po których przesuwą namydloną dłonią) już prawie się zrosły, zaś w miejscach potłuczeń wyraźnie widać siniaki. Najgorsze minęło, kryzys ma już za sobą.

Dziewczyna zanurza się na tyle głęboko, na ile pozwala wielkość balii, i znów pociąga nosem. Przygryza dolną wargę, aż zaczyna w niej pulsować krew, ale opanowuje w końcu rozpacz i niespokojna woda zamiera w bezruchu – o ile woda może trwać w bezruchu, kiedy spoczywa w niej jakaś żywa istota. Mimo to w mętnej fosie, połyskującej między nogami Sugar, woda drży z każdym uderzeniem jej serca, jakby falując.

Kilka pokoi dalej w tym samym korytarzu, kiedy Sugar kładzie się już do łóżka, William otwiera list od doktora Curlew, który zwraca się do niego w następujących słowach:

Drogi Rackhamie!

Długo i głęboko deliberowałem, czy lepiej napisać do ciebie ten list, czy milczeć. Nie wątpię, że mojego „wścibstwa” masz już powyżej uszu. Mimo to jest coś, czego nie mogłem nie zauważyć, badając guwernantkę twojej córki po owym nieszczęśliwym wypadku, jaki ją spotkał, a postanowienie, które wówczas powziąłem, żeby trzymać język za zębami, przysporzyło mi niemało rozterek, albowiem...

Ta preambuła jest dłuższa niż cała opowieść, którą można streścić jednym zdaniem.

W łóżku obok Sugar leży w ciemnościach kilka innych kobiet, które rozmawiają z nią przez sen.

– *Opowiedz nam coś tym swoim dziwnym głosem, Shush.*

– *Co mam wam opowiedzieć?* – pyta, wpatrując się w roziskrzony akwen swego snu, i próbuje dopasować imiona do niewyraźnych twarzy pod jego powierzchnią.

– *Historię jakiejś zemsty – chichoczą niepoprawnie prostackie gtosy, skazane na to, aby dokonać żywota w piekle. – Tylko żeby byty w niej brzydkie stowa. Bo brzydkie stowa śmiesznie brzmią w twoich ustach, Sugar.*

Chichoty dziewcząt odbijają się echem raz i drugi, tworząc prawdziwą kakofonię dźwięków. Sugar odpływa dalej, płynie przez ulice podwodnego miasta i nawet we śnie myśli, że to bardzo dziwne, bo przecież nigdy nie nauczyła się pływać. Zdaje się jednak, że można opanować tę sztukę, nigdy się jej nie ucząc, a przy tym dziewczyna pływa w nocnej koszuli, poruszając się przypominającymi kanały uliczkami i jasnymi, jakby przezroczystymi alejami. Jeżeli jest w Londynie, to jego mieszkańców fala zmywa jak śmieci, unosząc ich gdzieś wysoko, hen, tam, gdzie na niebie osiadają ludzkie szumowiny. Wygląda na to, że na dole pozostają jedynie te postaci, które są ważne dla Sugar.

– *Clara?* – woła gdzieś w pobliżu niewątpliwie najśliczniejszy i najbardziej melodyjny głos, jaki kiedykolwiek zdarzyło się jej słyszeć.

– *Nie, Agnes* – odpowiada Sugar, skręcając za róg. – *To nie Clara.*

– *A zatem kim jesteś?*

– *Nie patrz na mnie. Pomogę ci, ale nie patrz na mnie.*

Agnes leży na wznak na bruku w wąskiej uliczce, naga, biała jak marmur. Jedno jej szczupłe ramię spoczywa w poprzek na piersi, a drugie, opuszczone ku dołowi, krzyżuje się z nim, sięgając miejsca, gdzie dziecinna rączka pani Rackham zasłania trójkąt łonowy.

– *Proszę cię* – mówi Sugar, drąc na strzępy swoją koszulę nocną i okrywając nią Agnes. – *Zachowajmy to spotkanie w tajemnicy.*

– *Niech ci Bóg błogostawi, niech ci Bóg błogostawi* – odpowiada Agnes i nagle wodny świat Londynu znika, a one leżą razem w ciepłym i suchym łóżku, opatulone ciasno, jak siostry, wpatrując się w siebie nawzajem.

– *William powiada, że jesteś tylko widmem* – szepcze Agnes, a potem wyciąga rękę, by dotknąć Sugar i tym sposobem rozwiąć jej wątpliwości. – *Istniejesz jedynie w mojej wyobraźni.*

– *Mniejsza o to, co powiada William.*

– *Proszę cię, moja droga siostrze, powiedz, jak masz na imię.*

Sugar czuje między nogami cudzą dłoń, która łagodnie nakrywa jej obolałe genitalia.

– *Nazywam się Sugar* – mówi.

Na zadnej z dwóch kopert, które Sugar znajduje na podłodze pod drzwiami sypialni następnego dnia, nie ma imienia ani nazwiska adresatki; pierwsza jest czysta, a na drugiej widnieje napis: *Do wszystkich zainteresowanych.*

Dochodzi wpół do pierwszej po południu. Guwernantka wróciła właśnie z klasy, skończywszy poranne lekcje, choć Sophie od początku dawała jej do zrozumienia, że poważnego zajęcia, jakim jest nauka, nie powinny zakłócać żadne przeszkody czy przerwy, a tym bardziej bezczynność. Wczorajszy dzień był ogromnie interesujący, dziś jednak musi być inaczej, czyli tak, jak zwykle.

– Piętnasty wiek – deklamowała dziewczynka z miną osoby, którą obarczono odpowiedzialnością za ocalenie wspomnianej epoki od spowodowanego niedbalstwem zapomnienia – był stuleciem, w którym miało miejsce pięć dziejowych zdarzeń, a mianowicie: wynaleziono wówczas druk, Turcy zdobyli Konstantynopol, w Anglii rozgorzała trzydziestoletnia wojna domowa, Hiszpanie wypędzili Maurów z powrotem do Afryki, a Amerykę odkrył niejaki Krzysztof... Krzysztof... – W tym momencie Sophie podniosła wzrok na Sugar, prosząc ni mniej, ni więcej, by ta przypomniała jej nazwisko włoskiego podróżnika.

– Kolumb, Sophie.

Przez cały ranek, choć wielokrotnie chciało się jej płakać i chociaż w zaimprovizowaną podpaskę, którą wpięła w majtki, nieustannie ściekała świeża krew, Sugar zachowywała się niczym guwernantka doskonała, odgrywając swoją rolę dokładnie tak, jak życzyła sobie tego jej uczennica. Stosownym ukoronowaniem ich porannych zajęć był wspólny posiłek, złożony z przecieru warzywnego i ryżowego puddingu na mleku, najbardziej mdły w smaku lunch, jaki im kiedykolwiek podano, świadczący jednak o tym, że ktoś musiał poinformować kuchnię o trapiącej panienkę Rackham niedyspozycji żołądkowej. Rozczarowane spojrzenia, które Sugar wymieniła z Sophie, gdy Rose postawiła przed nimi dymiącą papkę, oznaczały niewątpliwie największe zbliżenie, do jakiego doszło między nimi rankiem tego dnia.

Teraz Sugar wraca do pokoju, z niecierpliwością oczekując błogosławionej ulgi, jaką odczuje, usuwając z krocza zakrwawiony gałganek i zastępując go czystą podpaską. Niestety, balia, w której kąpała się wczorajszego wieczora, zniknęła, choć przecież trudno było się spodziewać, że Rose zostawi ją w pokoju, pełną zimnej wody z lepkiem, czerwonym osadem na dnie.

Odkładając cielesne przyjemności kąpieli na później, dziewczyna pochyła się niezgrabnie, by podnieść listy z podłogi. Przypuszcza, że koperta bez napisu zawiera wiadomość od Rose, która informuje guwernantkę, że okno w jej pokoju już się otwiera, o ile jeszcze sama tego nie zauważyła. Sugar rozcina kopertę, w której znajduje dziesięciofuntowy banknot i niepodpisany liścik na zwykłej kartce papieru. Skreślono go wielkimi, jakby dziecinnymi literami i prawdopodobnie lewą ręką, a jego treść przedstawia się następująco:

Dowiedziałem się, że jesteś brzemienna. Z tej przyczyny nie możesz pozostawać dłużej na stanowisku guwernantki mojej córki. Załączam twoje wynagrodzenie; proszę, abyś zwolniła i opuściła pokój wraz z całym swoim dobytkiem dnia 1 marca bieżącego roku (01.03.1876 r.). Mam nadzieję, że list polecający (patrz druga koperta) przyda ci się w przyszłości; jak zauważysz, pozwoliłem sobie zmodyfikować nieco twoją tożsamość. Idzie o to, że moim zdaniem, jeśli chcesz cokolwiek w życiu osiągnąć, powinnaś przyjąć jakieś normalne nazwisko, i dlatego postanowiłem ci je nadać.

Jakakolwiek dalsza dyskusja w powyższej kwestii jest całkowicie wykluczona. Nie próbuj się ze mną kontaktować. Uprzejmie proszę także, abyś nie opuszczała swojego pokoju, gdy będę przyjmował gości.

Sugar składa kartkę tak, jak złożył ją pierwotnie autor, co przychodzi jej z niejaką trudnością, albowiem palce ma zimne i zeszywniałe, a potem wkłada list z powrotem do koperty. Następnie otwiera kopertę o lawendowym odcieniu z napisem *Do wszystkich zainteresowanych*, wsuwając kciuk pod papierową klapkę, by nie naruszyć tajemnicy korespondencji w widoczny sposób. Ostra krawędź papieru rozcina dziewczynie palec, Sugar nie czuje jednak bólu; martwi się tylko, że krew zaplami kopertę albo jej zawartość. Wsparta niepewnie na kuli, oblizuje kciuk co chwilę, by cienka jak włos kreseczka krwi nie zdążyła spuchnąć w ruchliwą kroplę, a potem wyciąga i odczytuje list. Został troskliwie wykaligrafowany na firmowym papierze, u dołu widnieje zaś własnoręczny podpis Williama, równie staranny jak wszystkie jego podpisy sfalszowane ręką guwernantki.

Do wszystkich zainteresowanych

Ja, William Rackham, mam przyjemność przedstawić pannę Elizabeth Sugar, pozostającą w mojej służbie przez pięć miesięcy, od 3 listopada 1875 roku do 1 marca roku 1876, na stanowisku guwernantki mojej sześcioletniej córki. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że panna Sugar pełniła swoje obowiązki wielce umiejętnie, z ogromną wrażliwością oraz entuzjazmem. Pod jej opieką moja córka rozkwitła i stała się młodą damą.

O ile mi wiadomo, panna Sugar postanowiła odejść z pracy z powodu choroby jednego z członków rodziny, co w najmniejszym stopniu nie umniejsza mojego uznania dla jej postawy. Przeciwnie, niemal brak mi słów, by należycie zarekomendować jej usługi.

Z poważaniem

William Rackham

Także i tę kartkę Sugar składa tak, jak złożył ją pierwotnie autor, po czym wsuwa list z powrotem do koperty. Oblizuje kciuk ostatni raz, ale skaleczenie przestaje już krwawić. Dziewczyna odkłada obie koperty na toaletkę i kuśtyka do okna, gdzie zamiast na kuli opiera się o parapet. W ogrodzie wokół rezydencji Rackhamów krząta się żwawo Shears, troskliwie oporządzając młode drzewka, które przetrwały zimę. Ogrodnik z trzaskiem przecina sekatorem pętlę szpagatu, który podtrzymywał szczupły pień i wiązał go z podpórką: nie trzeba już dłużej rozpieszczać w ten sposób drzewka. Wyraźnie dumny z siebie Shears postępuje krok w tył, zwija dłonie w pięści i bierze się pod boki, osłonięte skórzanym fartuchem.

Po krótkim namyśle Sugar uznaje, że gdyby wybiła teraz pięściami szyby w oknach sypialni, przysporzyłaby sobie straszliwych kłopotów, zaznając w zamian jedynie chwilowej ulgi. Dlatego sięga po pióro oraz papier, po czym, wciąż na stojąco, wykorzystuje parapet jako pulpit i zmusza się, by myśleć racjonalnie.

Drogi Williamie,

Wybacz mi te słowa, ale jesteś w błędzie. Przez krótki czas dokuczał mi bolesny obrzęk brzucha, który już jednak ustąpił, a moja miesięczna przypadłość powróciła, o czym możesz przekonać się osobiście, jeśli mnie odwiedzisz.

Twoja kochająca Sugar

Odczytuje kilkakrotnie ten list, wsłuchując się w jego ton, który rozbrzmiewa echem w jej głowie. Czy William właściwie go zinterpretuje? Jest zaniepokojony, czy zatem zwrot „o czym możesz przekonać się osobiście” potraktuje jako rzeczowy argument, czy też guwernantka może śmiało przypuszczać, że zauważy kryjącą się za nim sprośną propozycję? Oddycha głęboko, powtarzając sobie, że ze wszystkiego, co dotąd napisała, ten jeden tekst nie może chybić celu. Czy obsceniczny humor będzie bardziej czytelny, jeśli między „możesz” i „przekonać się” wstawi słowo „doskonale”? A z kolei, czy obsceniczność będzie tu na miejscu, czy może Sugar powinna raczej posłużyć się łagodniejszym i bardziej uniżonym językiem?

Po kilku chwilach zdaje sobie sprawę, że jest zbyt roztrzęsiona, aby ułożyć drugą wersję listu, powinna zatem chyba doręczyć mu ten pierwszy, nim zrobi coś głupiego. Składa więc kartkę na pół, wychodzi, kuśtykając, na korytarz, idzie prosto pod drzwi pokoju Williama i wsuwa list przez

szparę nad podłogą.

Po południu guwernantka i uczennica ćwiczą arytmetykę, sprawdzają, czy nie zapomniały, jakimi wielkimi osiągnięciami mogło pochwalić się piętnaste stulecie, a potem rozpoczynają naukę mineralogii. Wskazówki zegara powolutku się posuwają naprzód, a mapę świata kawałek po kawałku oświetla wyglądające zza chmur słońce. Jego promień w kształcie okiennego skrzydła kładzie się na pastelowych morzach i jesiennych kontynentach, wydobywając z półmroku jedne kształty i zacierając drugie.

Sugar wybrała mineralogię na chybił trafił z podręcznika pani Mangnall, mniemając, że będzie to bezpieczny, niewzbudzający większych emocji temat, który zaspokoi pragnienie kontaktu Sophie z uporządkowanym, fizycznym światem. Guwernantka wymienia nazwy podstawowych metali i każe powtarzać je Sophie: złoto, srebro, platyna, rtęć, miedź, żelazo, ołów, cyna, aluminium. Złoto jest najcięższe; cyna najlżejsza; a żelazo najbardziej użyteczne.

Wybiegając naprzód ku następnemu pytaniu, które brzmi: *Jakie są podstawowe właściwości metali?*, Sugar zaczyna żałować, że nie przygotowała się do lekcji, po czym wydaje cichy jęk zniecierpliwienia.

– Przetłumaczenie tego tekstu na zrozumiały dla ciebie język zajmie mi chwilkę, kochanie – wyjaśnia Sugar, odwracając wzrok, a wtedy Sophie unosi głowę i patrzy na nią wyczekująco.

– Czy ten tekst nie jest po angielsku, panienko?

– Owszem, ale muszę go dla ciebie uprościć.

Przez twarzyczkę Sophie przemyka wyraz oburzenia.

– Pozwól mi spróbować go zrozumieć, panienko.

Sugar wie, że powinna łagodnie i taktownie odmówić tej prośbie, ale nie przychodzi jej do głowy żadna odpowiedź, zaczyna więc czytać oschłym, oratorskim głosem:

– Luminancja, nieprzezroczystość, ciężar, kowalność, ciągliwość, plastyczność, porowatość, rozpuszczalność.

Zapada cisza.

– Ciężar oznacza, ile coś waży, panienko – mówi Sophie.

– Tak, dziecinko – odpowiada skruszona Sugar, gotowa udzielić dziewczynce wyjaśnień, których przed chwilą na próżno szukała w pamięci. – Luminancja znaczy, że metale świecą; nieprzezroczystość, że nie przepuszczają światła; kowalność, że możemy nadawać im dowolne kształty; ciągliwość... sama nie wiem, co to znaczy, będę musiała poszukać tego słowa w słowniku. Porowatość oznacza, że w metalach są takie maleńkie dziurki, chociaż nie widać ich na pierwszy rzut oka, prawda? A rozpuszczalność...

Sugar zamyka usta, albowiem jedno spojrzenie na Sophie przekonuje ją, że owe niepewne i enigmatyczne informacje wcale dziewczynki nie interesują. Dlatego guwernantka przechodzi dalej, do tej części książki, w której pani Mangnall pisze o odkryciu niewyczerpanych złóż złota w Australii, co pozwala guwernantce zaimprovizować opowieść o pewnym biednym poszukiwaczu cennego kruszcu, który kopie w ziemi, czemu przygląda się bez nadziei jego głodna żona i dzieci, aż wreszcie pewnego dnia...

– Po co są na świecie takie długie wyrazy, panienko? – pyta Sophie, gdy lekcja mineralogii dobiega końca.

– Jedno długie, trudne słowo zastępuje czasem całe zdanie, złożone z krótkich i łatwych wyrazów – mówi Sugar. – Oszczędza nam czas i papier.

– Widząc, że nie przekonała uczennicy tym wyjaśnieniem, dodaje: – Książki musiałyby być bardzo długie, gdyby pisano je tak, aby każdy, choćby nie wiedzieć jak młody, czytelnik potrafił zrozumieć wszystko, o czym jest w nich mowa. Czy chciałabyś przeczytać tysiącstronicową książkę, Sophie?

Mała odpowiada bez wahania.

– Gdybym rozumiała wszystkie słówka, mogłabym przeczytać i tysiąc milionów stron, panienko.

Wróciwszy do sypialni w przerwie między lekcjami a obiadem, Sugar wstrząśnięta stwierdza, że nie otrzymała odpowiedzi na list. Jak to możliwe? Przychodzi jej do głowy tylko jedna odpowiedź: że udało się jej uspokoić Williama, któremu jednak, jako egoiście, nie jest spieszno, aby ją o tym powiadomić. Dziewczyna chwyta więc znów za pióro, bierze papier i pisze:

Drogi Williamie!

Proszę cię – bo każda godzina oczekiwania na twoją odpowiedź jest dla mnie męczarnią – proszę cię, uspokój mnie i napisz, że nasz dom będzie dalej funkcjonował bez zmian. Wszystkim nam potrzeba teraz spokoju – zarówno firmie, jak Sophie i mnie. Pamiętaj, proszę, że możesz liczyć na moją pełną poświęcenia pomoc i że nie będę dla ciebie powodem przykrości.

Twoja kochająca Sugar

Czytając ten list ponownie, dziewczyna marszczy brwi. Być może znajduje się w nim o jedno „proszę” za dużo. Poza tym Williama nie ucieszy chyba pojawiająca się między wierszami uwaga, że zadaje jej ból. Jednakże Sugar i tym razem nie ma sił, żeby przepisać swój list. Tak jak poprzednio, biegnie pod drzwi gabinetu Rackhama i wsuwa kartkę przez szparę nad podłogą.

Na obiad Sugar i Sophie dostają bezlitośnie przecedzoną zupę rabarbarową, gotowany filet z łososia i porcję rzadkiej galaretki; kucharka najwyraźniej wciąż się martwi, że żołądek panienci Rackham nie powrócił jeszcze do równowagi.

Potem Rose przynosi im herbatę, którą popijają obiad – czarną dla guwernantki, bawarkę dla panienci – a później Sugar, wypiwszy łyk herbaty, wychodzi na chwilę z pokoju pod byle pretekstem. Zanim wrzący niemal płyn przestygnie, dziewczyna ma czas zajrzeć do swojego pokoju i sprawdzić, czy udało jej się wyrwać Williama z objęć egocentryzmu.

Wychodzi z klasy, biegnie korytarzem i otwiera drzwi sypialni. W pokoju nie widać nic, czego nie było w nim, kiedy wychodziła.

Wraca do klasy i znów popija herbatę. Nieznacznie drżą jej ręce; jest przekonana, że William miał już albo ma odpowiedzieć, lecz przeszkadzają mu w tym jakieś niespodziewane obowiązki albo obiad. Jeżeli Sugar zdoła sprawić, że następna godzina szybko jej upłynie, zaoszczędzi sobie niepotrzebnego zdenerwowania.

Lekcje się skończyły i Sophie, chociaż grzeczniejsza niż rano, nie jest zbyt towarzyska; bawi się w przeciwległym kącie pokoju francuską lalką, usiłując wpychać jej pod spódnicę papierowe kulki, aby zastąpić niemodną krynolinę turniurą. Widząc minę małej, manifestującą głębokie skupienie, Sugar domyśla się, że dziewczynka chce, by dać jej do wieczora święty spokój. Co robić, żeby czas płynął nieco szybciej? Zbijać baki w sypialni? Czytać to, co jej pozostało z dzieł Shakespeare’a? Przygotowywać się do jutrzejszych lekcji?

Sugar w nagłym natchnieniu zbiera naczynia, sztuce i filiżanki, układa je w dość stabilny stos i kuśtykając, wychodzi z pokoju, gdzie pozostawia kulę, opartą o framugę drzwi. Ma mnóstwo czasu; nikt nie zobaczy, jak wolno idzie w dół po schodach.

Prawą ręką chwyta poręcz i całym przedramieniem opiera się o wypolerowane drewno, a w lewej ręce trzyma naczynia, przyciskając do piersi ostre brzegi talerzy. Po chwili krok po kroku zaczyna schodzić na dół, na przemian zamasyście stąpając obolałą, kontuzjowaną nogą i ciężko, acz bezboleśnie, stawiając zdrową stopę o jeden stopień, czyli sześć cali, niżej. Z każdym kolejnym krokiem naczynia stukają lekko, ale nie wysuwają się guwernantce z ręki.

Kiedy Sugar bezpiecznie dociera na dół, rusza ostrożnie naprzód korytarzem, zadowolona, że idzie równym, chociaż niezbyt eleganckim krokiem. Mija bez kłopotu kolejne drzwi, aż wreszcie przekracza próg kuchni.

– Panna Sugar! – mówi zdumiona Rose. Guwernantka przyłapuje ją na gorącym uczynku, służąca zajada bowiem pozostałą ze śniadania trójkątną grzankę z masłem, choć do kolacji pozostało jeszcze kilka godzin. Rose ma podwinięte rękawy i pochyla się nad ogromnym, kamiennym blatem stołu, znajdującego się na środku kuchni. Harriet, podkuchenna, pracuje nieco dalej, przygotowując ozdoby w galarecie, które formuje w odpowiednie kształty. W otwartych drzwiach zmywalni widać natomiast niegustowną suknię, przemoczzone buty i spuchnięte kostki

stóp Janey, która szoruje zlew.

– Pomyślałam sobie, że je odniosę – mówi Sugar, wskazując na brudne naczynia. – Żeby oszczędzić ci zachodu.

Rose wygląda na kompletnie zaskoczoną, jak gdyby ujrzała przed chwilą imponujące salto w wykonaniu gołego niczym święty turecki akrobaty, który stoi teraz przed nią i czeka na oklaski.

– Jestem ci zatem wielce zobowiązana, panno Sugar – odpowiada służąca, przełykając na wpół przeżuty chleb.

– Proszę, mów mi „Sugar” – odpowiada Sugar, podając jej brudne talerze. – Pracowałyśmy wspólnie już niejedną raz, co, Rose? – Zastanawia się, czy nie przypomnieć jej zwłaszcza o świętach Bożego Narodzenia, kiedy to obie miały ręce unurzane w mące aż po łokcie, dochodzi jednak do wniosku, że nie powinna zbyt spoufalać się ze służbą.

– Tak jest, panno Sugar.

Harriet i Rose wymieniają nerwowe spojrzenia. Podkuchenna nie wie, czy ma stać nieruchomo, splótszy dłonie na brzuchu, czy raczej nadal układać i spinać wołowe ozory, z których jeden właśnie się rozwinął i może zastygnąć w galarecie w nieodpowiednim kształcie.

– Och, jak wy tutaj ciężko pracujecie! – zauważa Sugar, która postanowiła jednak przełamać lody. – Wil... ach, pan Rackham na pewno nawet sobie nie wyobraża, że praca w kuchni wre właściwie bez przerwy.

Rose otwiera oczy coraz szerzej, widząc, że guwernantka wchodzi, kuśtykając, w głąb kuchni i sztywno przysiadła na krześle. Zarówno ona, jak i Harriet wiedzą aż za dobrze, iż praca w kuchni nie wre „bez przerwy” od śmierci pani Rackham, czyli odkąd państwo przestali wydawać prośzone obiady; ba, jeżeli pan nie ożeni się powtórnie w najbliższej przyszłości, zapewne wkrótce dojdzie do wniosku, że zatrudnia zbyt wiele służących jak na swoje potrzeby.

– Nie narzekamy na swój los, panno Sugar.

Zapada cisza. Sugar rozgląda się po kuchni, zalanej ostrym, prosektoryjnym światłem. Harriet spleta palce obu rąk i pozostawia ozór jego losowi. Rose opuszcza rękawy aż do nadgarstków, zaciskając wargi w nerwowym półśmiechu. Tyłek szorującej naczynia Janey drży, a nierówne fałdy jej spódnicy kołyszają się na boki.

– A więc tak – zagają piskliwie Sugar, najserdeczniej jak potrafi. – Co zjecie dziś na kolację? I gdzie podziewa się kucharka? Czy wszystkie jadacie tu razem, przy tym stole? Spodziewam się, że dzwonki przeszkadzają wam w najmniej dogodnych chwilach.

Spojrzenie Rose traci i odzyskuje ostrość, kiedy służąca przełyka tę niestrawną, poczwórną porcję pytań.

– Kucharka poszła na górę, a... my zjemy na kolację resztki galaretki, panno Sugar. Zostało też od wczoraj trochę pieczonej wołowiny i... czy masz ochotę na kawałek placka śliwkowego, panno Sugar?

– Och, tak – mówi Sugar. – Jeżeli możecie mnie nim poczęstować.

Na stole pojawia się placek śliwkowy, po czym służba nieruchomieje i obserwuje, jak guwernantka je ciasto. Janey, która skończyła właśnie układać naczynia na suszarce, staje na progu, ciekawa, co słyhać w szerokim świecie.

– Witaj, Janey – mówi Sugar między kolejnymi kęsami placka. – Nie widziałyśmy się od Bożego Narodzenia, co? Czy nie wydaje ci się, że to wielka szkoda, że chociaż żyjemy wszyscy pod jednym dachem, tak rzadko się widzimy?

Janey czerwieni się jak rak, więc jej policzki przybierają ten sam kolor, co ręce. Wybałuszając oczy, próbuje dygnąć; nie wydaje jednak żadnego dźwięku. Miała już dwukrotnie kłopoty w związku z incydentami, do jakich doszło z udziałem członków rodziny, z którymi nie powinna wchodzić w bliższe kontakty – jak wtedy, kiedy panience Sophie poszła krew z nosa albo gdy ta nieszczęsna, obłąkana pani Rackham wtargnęła do zmywalni, żeby zaoferować jej swoją pomoc; Janey postanowia więc tym razem nie napytać sobie biedy.

– Cóż... – mówi wesoło Sugar, konsumując ostatni kawałeczek placka śliwkowego, chociaż skonsternowane służące ciągle przypatrują się jej nieufnie. – Powinam chyba już iść, bo pora kłaść Sophie do łóżka. Do widzenia, Rose; do widzenia, Harriet; do widzenia, Janey.

Guwernantka dźwiga się na nogi, żalując, że nie może natychmiast bezboleśnie unieść się w powietrze niczym duch, który ulatuje w niebo z martwego ciała; albo że kamienna posadzka kuchni nie rozstąpi się i nie pochłonie jej litościwie na wieki.

Wróciwszy do pokoju, znajduje list od Williama, o ile listem można nazwać wiadomość następującej treści:

Żadnych więcej dyskusji na ten temat.

Sugar zgniata kartkę w zaciśniętej dłoni i znowu ma ochotę tłuc szyby w okach, krzycheć przeraźliwie do utraty tchu i walić pięściami o drzwi gabinetu Williama; wie jednak, że w ten sposób nie zmieni jego decyzji. Pewne nadzieje wiąże jednak z Sophie: William nie bierze bowiem pod uwagę swojej córki. Ma tylko bardzo mgliste pojęcie o więzach lojalności, jakie wytworzyły się tymczasem między dziewczynką a jej guwernantką, lecz wkrótce przejrzy na oczy. Sophie zmusi go do zmiany decyzji: mężczyźni nie potrafią znieść kobiecego płaczu, jeśli są jego przyczyną!

Kładąc małą spać, Sugar jak zwykle opatula Sophie i wygładza na poduszce jej piękne, złociste włosy, dopóki nie jaśnieją niczym słońce na ilustracji z jakiegoś tomiku bajek.

– Sophie? – zwraca się do niej ochryplym z niepewności głosem.

Dziewczynka unosi głowę, natychmiast zdając sobie sprawę, że guwernantka chce poruszyć jakąś dużo ważniejszą kwestię niż szycie ubranek dla lalek.

– Tak, panienko?

– Sophie, twój ojciec... twój ojciec prawdopodobnie będzie chciał przekazać ci pewną wiadomość. Myślę, że już niedługo.

– Tak, panienko – mówi Sophie, mrugając szybko powiekami, żeby nie zasnąć, zanim panna Sugar przejdzie do sedna.

Sugar oblizuje wargi, suche i szorstkie jak płótno. Nie chce powtarzać na głos ultimatum Williama, boi się bowiem, że wtedy nie dałoby się już go wymazać, jak gdyby pociągnęła atramentem tekst, który napisano ołówkiem.

– Najprawdopodobniej – zaplątuje się guwernantka – każe cię do siebie przyprowadzić... a potem coś ci powie.

– Tak, panienko – mówi zdezorientowana Sophie.

– Cóż... – brnie dalej Sugar i zdobywa się na odwagę, by wziąć Sophie za rękę. – Cóż, kiedy to nastąpi, ja... chciałabym, żebyś ty też mu coś powiedziała.

– Dobrze, panienko – obiecuje Sophie.

– Chcę, żebyś mu powiedziała... – chrypi Sugar, mrugając oczami, w których gromadzą się łzy.

– Chcę, żebyś mu powiedziała... co o mnie myślisz!

W odpowiedzi Sophie wyciąga ręce i obejmuje dziewczynę tak jak wczoraj, z tą tylko różnicą, że teraz ku zdumieniu Sugar głaszcze i poklepuje ją po głowie, dziecinnie naśladowując matczyne czułości.

– Dobranoc, panienko – mówi sennym głosem. – A jutro Ameryka.

Sugar nie może zrobić nic innego, jak czekać, a zatem czeka. Bywało, że William wycofywał się ze swoich stanowczych postanowień, i to wielokrotnie. Groził, iż powie Swanowi i Edgarowi, żeby poszli do diabła; straszył, że pojedzie do portu, złapie tam za kołnierz pewnego kupca i będzie nim szarpał, dopóki nie wytrzęsie z niego duszy; a wreszcie odgrażał się, że napisze Groverowi Pankeyowi, aby poszukał lepszego gatunku słoni, z których kości wyrabia dla niego słoiczki. Były to jednak wszystko czcze przechwałki. Jeżeli Sugar zostawi go w spokoju, narastające postanowienie Williama oklapnie i skurczy się do zera. Wymaga to od niej jedynie... nadludzkiej wytrzymałości.

Następny ranek przemija zupełnie spokojnie, a wszystko biegnie normalnie swoim trybem. Pielgrzymi wylądowali już na amerykańskiej ziemi, żyją z dzikusami w pokoju i budują chaty ze

świętych drzew. Gdy służba przynosi lunch, okazuje się, że nie jest tak mdły jak wczoraj: Sugar i Sophie dostają ryż z wędzonym dorszem i resztę placka śliwkowego.

Wróciwszy w południe do swojego pokoju, Sugar zastaje w środku długą, cienką, przewiazaną sznurkiem paczkę w brązowym papierze. Czyżby był to przeprosinowy podarek od Williama? Nie. Na sznurku wisi mały bilet wizytowy; Sugar przygląda mu się z bliska i czyta.

Droga panno Sugar!

Słyszałam od mojego ojca o nieszczęściu, jakie cię spotkało. Proszę, przyjmij ode mnie ten symbol życzliwości. Nie musisz go oddawać; mnie już nie jest do niczego potrzebny, a żywię nadzieję, że wkrótce i ty będziesz mogła obejść się bez niego.

Twoja szczerze oddana

Emmeline Fox

Sugar rozwija papier, po czym wyciąga z paczki solidną laskę z lakierowanego drewna.

Gdy wraca do klasy, niecierpliwie pragnąc pokazać Sophie otrzymany podarek, który pozwala jej poruszać się znacznie bardziej dystygowanym krokiem niż o kuli, zastaje dziewczynkę na wpół leżącą na biurku, łkającą i zanoszącą się histerycznym szlochem.

– Co się stało? Co się stało? – pyta Sugar i stuka laską o parkiet, gdy kuśtykając, podchodzi do dziewczynki.

– Papa chce cię och... och... ochdprawić – zawodzi Sophie niemal oskarżycielsko.

– Czy William był tu przed chwilą? Znaczący... twój ojciec? – Sugar zadaje to pytanie mimo woli, czuje bowiem unoszącą się wokół woń jego olejku do włosów.

Sophie potakuje, a z jej zaślinionego podbródka kapią łzy.

– Powiedziałaś mu, panienko – mówi przenikliwym, błagalnym głosem.

– Powiedziałaś mu, że ciękoch...koch...kocham.

– Tak? Tak? – dopytuje się Sugar, nieporadnie gładząc policzki Sophie, aż wreszcie słona, piekąca wilgoć przenika w szpary jej spękanej skóry. – I co powiedział?

– Ni... nic nie poch... poch... pochwedział – szlocha dziewczynka, której plecami wstrząsają spazmy. – Ale by... by... był chyba na mnie ba... ba... bach-dzo zagniewany.

Sugar z okrzykiem wściekłości przygarnia Sophie do piersi i obsypuje małą pocałunkami, szepcząc jej do ucha nieartykułowane słowa pociechy.

Jak William śmie tak ranić moje dziecko, myśli.

Cała historia, kiedy Sophie uspokaja się na tyle, aby ją opowiedzieć, wygląda następująco: panna Sugar to bardzo dobra guwernantka, jest jednak mnóstwo umiejętności, które dama powinna opanować, a których dziewczyna nie zna, jak taniec, gra na pianinie, język niemiecki, malowanie akwarelami i inne sztuki, Sophie nie potrafi sobie jednak przypomnieć ich nazw. Jeżeli panienka Rackham ma zostać prawdziwą damą, trzeba zmienić guwernantkę, i to jak najszybciej. Lady Bridgelow, osoba, która wie na ten temat absolutnie wszystko, potwierdza, że to konieczne.

Przez resztę popołudnia Sugar i Sophie pracują otoczone jakby dusznym obłokiem smutku. Kontynuują zajęcia – uczą się arytmetyki, historii ojców pielgrzymów i właściwości złota – ze smętną świadomością, że znajomość żadnego z tych zagadnień generalnie nie jest potrzebna młodej damie *in spe*. A wieczorem, kiedy dziewczynka kładzie się do łóżka, nie potrafią spojrzeć sobie w oczy.

– Pan Rackham kazał ci przekazać, panno Sugar, że nie musisz wstawać jutro rano – mówi Rose, stając w drzwiach sypialni Sugar w porze kolacji.

Dziewczyna mocno zaciska dłoń na filiżance kakao, żeby nie rozlać gorącego płynu.

– Nie muszę wstawać? – głupio powtarza jak echo.

– Pan Rackham powiada, że nie musisz wychodzić z pokoju przed południem, bo panienka Sophie nie będzie miała rano żadnych lekcji.

– Nie będzie lekcji? – powtarza znów Sugar. – A czy powiedział dlaczego?

– Tak, panienko – mówi Rose, kręcąc się niespokojnie, ponieważ wolałaby już sobie pójść. – Panienkę Sophie odwiedzi w klasie gość. Ale nie wiem, kto to jest ani o której dokładnie godzinie przybędzie.

– Rozumiem. Dziękuję ci, Rose. – I Sugar pozwala jej odejść.

Kilka minut później stoi przed drzwiami gabinetu Williama, ciężko oddychając w nieoświetlonej, martwej ciszy korytarza. Przez dziurkę od klucza widać blask światła. Dziewczyna słyszy jakiś szelest (czy tylko zdaje się jej, że coś słyszy?), dobiegający zza grubych, drewnianych drzwi, do których przykładła ucho.

Puka.

– Kto tam? – To jego głos.

– Sugar – mówi, usiłując nasycić to słowo całą czułością, poufałością, przywiązaniem i wszelkimi zapowiedziami erotycznego spełnienia, które zawierać może jedno wyszeptane słowo; napełnia je zatem obietnicą tysiąca i jednej nocy cielesnego szczęścia, które czeka Williama aż do późnej starości.

Brak odpowiedzi. Cisza. Sugar stoi, drżąc i próbując zebrać się w sobie, aby zapukać znowu i zaapelować do Williama jeszcze bardziej przekonująco, mądrzej i bardziej stanowczo. Jeżeli zacznie wrzeszczeć, będzie musiał ją wpuścić, bo inaczej służba zacznie plotkować. Otwiera usta, ale jej język wije się bezradnie, jak gdyby była niemową, chorą na umyśle, sprzedającą porcelanowe skorupy na ulicy. Potem wraca boso do sypialni ze ściśniętym gardłem, szcękając zębami.

Cztery godziny później śni, że znów jest w domu pani Castaway. Liczy sobie zaledwie piętnaście lat, ale na jej ciele została już zapisana cała księga wiedzy erotycznej. W nocnej ciszy, która zapada wokół, kiedy ostatni mężczyzna wychodzi niepewnym krokiem, biorąc kurs na własny dom, pani Castaway przegląda najnowszą przesyłkę, zawierającą broszurki religijne, które nadeszły aż z miasta Providence w stanie Rhode Island, ze Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zanim matkę całkowicie pochłonie wycinanie ilustracji z owych broszur, Sugar zdobywa się na odwagę i zadaje jej pytanie.

– Mamo?... Czy jesteśmy teraz bardzo biedne?

– Och, nie – uśmiecha się z przymusem pani Castaway. – Mamy dość sporo pieniędzy.

– I nikt nas nie wyrzuci za chwilę na ulicę ani nic takiego?

– Nie, nie.

– To dlaczego muszę... dlaczego muszę... – Sugar nie jest w stanie dokończyć pytania. We śnie, tak jak i w życiu, odwaga dziewczyny topnieje w obliczu łajdackiego sarkazmu pani Castaway.

– Doprawdy, posłuchaj, dziecko, nie mogłabym ci chyba pozwolić dorastać w nieróbstwie? Bo wtedy wystawiłabym cię na pokusę grzechu.

– Mamo, proszę cię, mówię... mówię poważnie! Jeżeli nie jesteśmy w finansowych tarapatach, to dlaczego...?

Pani Castaway podnosi wzrok znad broszur i wbija w Sugar pełne czystej złości spojrzenie; wydaje się, że jej gałki oczne aż płoną ze złości.

– Bądź rozsądna, dziecino – uśmiecha się. – Dlaczego mój upadek miałby być twoim wzlotem? Dlaczego miałabym się smażyć w piekle, podczas gdy ty fruwałabyś sobie w niebie? Krótko mówiąc, dlaczego świat miałby być lepszy dla ciebie, niż był dla mnie? – Co powiedziawszy, pani Castaway zamasyżuje zanurza w słoiczku z klejem mały pędzelek, obraca go, po czym nanosi przezroczyście perełkę mazi na stronicę, na której roi się już od Magdalen.

Następnego ranka Sugar naciska klamkę pewnych drzwi, których nigdy dotąd nie otwierała. Dzięki Bogu, ustępują, i dziewczyna wślizguje się do środka.

Jest to pokój, o którym Sophie powiedziała kiedyś, że „nikt tam nie mieszka, leżą w nim jedynie różne rzeczy, panienko”. Innymi słowy, guwernantka wchodzi do przylegającego do klasy składziku, pełnego rozmaitych zakurzonych przedmiotów.

Stoi tu, między innymi, należąca kiedyś do Agnes maszyna do szycia, której mosiężny blask przygasł nieco pod delikatnym pyłem zapomnienia. Z tyłu widać różne dziwne urządzenia, w których po dłuższych oględzinach Sugar rozpoznaje sprzęt fotograficzny. Dalej stoją pudła z chemikaliami, kolejne świadectwo dawnej miłości Williama do sztuki. O przeciwległą ścianę opierają się sztalugi. Należały do Williama czy do Agnes? Sugar nie wie. Z jednego ze sztalugowych kołków zwisa zawieszony za cięciwę tuk; tuczniwo było fanaberią pani Rackham, która jednak okazała się za słaba fizycznie, aby uprawiać ten sport. Na dywanie leży wiosło z napisem *Downing Boat Club, 1864*. Na podłodze pod biblioteczką stoją całe stosy książek, dla których na półkach już zabrakło miejsca; są to tomy poświęcone fotografii, sztuce i filozofii, a także religii, wiele z nich traktuje o religii. Zdumiona tym odkryciem, Sugar bierze do ręki leżący na wierzchu tom pióra J.C. Philpota, zatytułowany „*Zima przed żniwami*”, albo *rozwój duszy w lasce*, po czym odczytuje dedykację na stronie przedtytułowej.

*Kochany bracie, jestem przekonany, że ta pozycja cię zainteresuje,
Henry*

Na parapecie wśród pajęczyn znajduje się kolejny stos książek; Melampusa Blytona *Starożytna mądrość dogłębnie wyjaśniona*, *Cuda i ich mechanizmy* autorstwa pani Tanner, *Wczesne chrześcijaństwo było spirytualizmem* pióra doktora Crowella, kilka powieści Florence Marryat i znaczna liczba o wiele cieńszych tomów, wśród których znajdują się *Poradnik toaletowy dla dam*, *Eliksir piękności*, *Jak zachować urodę oraz Zdrowie, uroda i toaleta: listy do pań od lekarki*. Gdy Sugar otwiera tę ostatnią książkę, stwierdza, że Agnes pokryła jej marginesy uwagami w rodzaju: *Zupełnie nieskuteczne!*, *Żadnego z tego pożytku!* albo *Oszustwo!*

Przepraszam cię, Agnes, myśli Sugar, odkładając książkę z powrotem na kupkę. *Staralam się, jak mogłam.*

Wysoka, przypominająca wielką garderobę szafa, pozbawiona jednak pleców i przykręcona bezpośrednio do ściany, służy za drewniane mauzoleum sukni, w których Agnes nie chodziła zbyt często. Gdy Sugar otwiera drzwi, z wnętrza ulatnia się aromat kostek przeciwmolowych o zapachu lawendy. Dziewczyna dobrze wie, że tuż za tą właśnie ścianą mieści się klasa Sophie, bierze więc głęboki oddech i wchodzi do garderoby.

W środku wisi nieruchomy, wonny szereg wspaniałych sukni Agnes. Żaden mól nie mógłby mieć nadziei, że ujdzie z życiem w tej czarownej krainie kosztownych tkanin, kwiecistych rękawów, staników i spódnic z turniurami; i rzeczywiście, jeden z tych owadów spoczywa martwy na podłodze zaledwie kilka cali od półprzezroczystej trucizny w kształcie kostki mydła, w której – co łatwo zgadnąć – widnieje wytłoczona ozdobna litera „R”, znak firmowy przedsiębiorstwa Rackhama.

Agnes znajduje się tu we wszystkich zapamiętanych przez Sugar postaciach. Śledziła filigranową panią Rackham, tkwiącą w jedwabnym uścisku tych kreacji w zatłoczonych korytarzach teatrów, słonecznych ogrodach i pawilonach oświetlonych lampionami. Teraz jej suknie wiszą tutaj czyste, nietknięte i puste. Sugar pod wpływem impulsu wtula nos w najbliższy stanik, by stłumić ciężką woń trucizny i odetchnąć zwietrzałymi resztkami perfum, nie udaje jej się jednak uciec przed odurzającym aromatem kostek przeciwmolowych. Dziewczyna puszcza stanik, słysząc skrzyp wieszaka i rozkołysana suknią cofa się w głąb szafy.

Guwernantka wchodzi dalej w ciemną wnękę, a pod jej stopami płaczą się miękkie, szeleszczące tkaniny. Pochyla się, by sprawdzić, po czym stąpa, podnosi imponujący zwój purpurowego aksamitu i ze zdziwieniem stwierdza, że jej palce wystają przez wycięte w nim dziury. Suknia została okaleczona nożyczkami w dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu różnych miejscach; Agnes zniszczyła ją, być może po to, by wyciąć z niej zwierzęta do aksamitnej makatki, przedstawiającej arkę Noego. Inne spoczywające pod spodem suknie są podobnie okaleczone. Dlaczego? Sugar nie ma pojęcia. Jest już za późno, żeby zrozumieć Agnes. Za późno, by cokolwiek zrozumieć.

Dziewczyna przyjmuje w głębi szafy pozycję siedzącą, ostrożnie wyciąga kontuzjowaną nogę, opiera się plecami na poduszce ze zniszczonych sukni Agnes, po czym przyciska policzek i ucho do

ściany. Zamyka oczy. Czeka.

Pół godziny później, kiedy zaczyna drzemać i robi się jej niedobrze od odoru trutki i lawendy, słyszy to, co przyszła usłyszeć: dobiegający z klasy głos nieznajomej kobiety, na który chwilami nakłada się głos Williama.

– Stój prosto, Sophie – raczej łagodnie nakazuje córce Rackham. – Nie jesteś... – Co? Sugar nie dosłyszała ostatniego słowa. Jeszcze mocniej przyciska ucho do ściany, tak mocno, że aż boli.

– Powiedz mi, dziecko, nie wstydz się – namawia ją głos nieznajomej.

– Czego się nauczyłaś przez ten czas?

Sophie mówi zbyt cicho, by Sugar mogła cokolwiek usłyszeć, ale odpowiedź dziewczynki (niech jej Bóg błogosławi!) jest stosunkowo długa.

– A czy znasz język francuski, moje dziecko?

Na kilka chwil zapada cisza, a potem wtrąca się William:

– Panna Sugar nie włada tym językiem.

– Więc może umiesz grać na pianinie, Sophie? Czy wiesz, jak trzeba ułożyć palce na klawiaturze? – Sugar wyobraża sobie oblicze, które pasowałoby do tego głosu: twarz o spiczastym nosie, kruczoczarnych oczach i drapieżnych ustach. Wizja jest tak plastyczna, że dziewczyna widzi, jak uderza pięścią w ów spiczasty nos, miażdżąc go na krwawą miazgę.

– A tańczyć umiesz, dziecko?

Znowu odzywa się William. Powiada, że panna Sugar nie zna sztuki tańca. Niech go diabli porwą! Och, jak bardzo chciałaby wbić mu nóż w... ale co to? W końcu jednak Rackham zaczyna jej bronić. Ośmiela się zapytać, czy Sophie nie jest, być może, nieco za mała, by uczyć się gry na pianinie albo tańca. Czy ostatecznie znajomość tych sztuk nie będzie dla córeczki całkiem bezużyteczna, dopóki nie osiągnie wieku, w którym ojej rękę zaczną ubiegać się kawalerowie?

– Zapewne masz słuszość, panie – przyznaje słodko nowa guwernantka – uważam jednak, że wspomniane przez ciebie umiejętności są cnotą same w sobie. Niektórzy nauczyciele nie doceniają dzieci i nie wiedzą, jak dużo i w jak młodym wieku potrafią się nauczyć. Ja sądzę, że jeżeli tylko można sprawić, by mała dziewczynka rozkwitła o kilka lat wcześniej niż jej rówieśnice... to cóż, tym lepiej!

Sugar przygryza wargę i uspokaja się, snując fantazje, w których rozrywa tę kobietę na krwawe strzępy.

– Czy chciałabyś zagrać coś na pianinie, Sophie? To naprawdę łatwiejsze, niż ci się wydaje. Mogę cię nauczyć prostej melodii w pięć minut. Co ty na to, Sophie?

Nieznajoma jest nachalna i natarczywa, popisuje się wszystkim, co ma do zaoferowania, i błaga, aby William wybrał właśnie ją. Odpowiedzi Sophie nie słysząc, ale co innego może odpowiedzieć, jeśli nie „tak”? William, Sophie i nowa guwernantka opuszczają klasę i idą na dół po schodach. Układ został zawarty i nie można już się z niego wycofać; jak w chwili, kiedy mężczyzna bierze dziwkę za rękę.

Minutę później Sugar stoi u drzwi składziku, nasłuchując, co będzie dalej. Nie musi długo czekać: z salonu dochodzi dźwięk nieznanej jej, prostej melodii, granej dwoma palcami. Najpierw ktoś odgrywa ją z pewnością siebie, stanowczo, trzy albo i cztery razy, potem zaś melodię powtarzają niepewnie i nieprecyzyjnie dłonie, które bez wątpienia należą do Sophie.

Co to za melodia? Na pewno nie *Hearts of Oak*, ale na jedno wychodzi. Sugar wiedziała zawsze, że pora już iść, kiedy goście w „Fireside” intonują *Hearts of Oak*, i teraz pojmuje, iż melodia, którą Sophie wygrywa na pianinie, oznacza, że dziewczyna musi opuścić dom Rackhamów na zawsze.

Wraca do sypialni i natychmiast zaczyna się pakować. Po co czekać do 1 marca, aż nieszczęście spadnie jej na głowę niby młot, skoro maleńkie młoteczki pianina w salonie zadały jej już spodziewany cios? Każda godzina, którą spędza w tym domu, to sześćdziesiąt sposobności dla Williama, żeby upokarzać Sugar i dręczyć; a każda minuta lekcji z Sophie, gdy w perspektywie majaczy nieuchronne rozstanie, jest dla niej nie do zniesienia.

Da sobie radę i wymyśli coś, żeby nie wracać na ulicę. William obraził ją wczoraj, darując jej te dziesięć funtów, zlekceważył bowiem wszystko, co uczyniła dla jego córki, ale Sugar ma w

toaletce całe mnóstwo pieniędzy. Mnóstwo! Między poupychanymi byle jak pończochami i bielizną spoczywają pogniecione koperty, które zaczęła gromadzić, kiedy mieszkała przy Priory Close. William był wówczas dla niej bardzo hojny, a ona nie chciała tracić pieniędzy na nic, co nie mogłoby jej pomóc zdobyć jego miłości, wydawała więc zaledwie drobny ułamek sum, które z regularnością mechanizmu zegara dostawała z banku. Większość z tych kopert, które wyciąga teraz spod frywolnych reform, których nie nosi już od miesięcy, jest nadal zaklejona i szeleści niewyobrażalną dla służby fortuną. Ba, nawet pojedyncze monety, które beztrudno wrzucała kiedyś do szuflad, składają się na kwotę, której ktoś taki jak Janey nie zarobi nawet przez rok.

Chowając zapas gotówki w bezpiecznych miejscach – monety do torebki, a banknoty do kieszeni płaszcza – Sugar po raz pierwszy cieszy się, że odkąd zamieszkała u Rackhamów, wydała mniej pieniędzy niż w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin na Priory Close. prostytutce, którą wtedy była, owe sumy, będące rezultatem szczodrości klienta, nie wydawały się wcale wielkim majątkiem, mogła go bowiem przepuścić każdego dnia na jakąś wyjątkowo elegancką suknię albo jadając zbyt często w restauracjach. Teraz zaś, spoglądając na te pieniądze oczami uczciwej kobiety, zdaje sobie sprawę, że dysponuje fortuną, dzięki której może wybrać sobie przyszłość i zacząć nowe życie, jeżeli będzie oszczędna i znajdzie jakąś pracę. Ma bowiem dość gotówki, aby wyjechać gdzieś na kraj świata.

Pakuje się, tocząc zarazem bój ze swoim sumieniem. Czy powinna i czy może powiedzieć Sophie prawdę? Czy gdyby nie wyjaśniła powodów swojego odejścia, okazałaby dziewczynce litość, czy raczej okrucieństwo? Czy Sophie będzie bardzo cierpieć, jeżeli nie będzie mogła się z nią pożegnać? Sugar miotają sprzeczne uczucia, dziewczyna na poły jest bowiem przekonana, że naprawdę rozważa zmianę decyzji, w głębi duszy wie jednak, że nie zamierza powiedzieć dziecku prawdy. Przeciwnie, wiedzioną jakimś zwierzęcym instynktem, pakuje wciąż swoje rzeczy, a głos jej rozsądku cichnie niczym ćwierkanie wróbla podczas zawieruchy.

Wystarczy jej jeden sakwojaż. Skrzynie z ubraniami, które William kazał zabrać od pani Castaway, spoczywają gdzieś w ukryciu, nigdy jednak nie powiedział jej gdzie. Mniejsza z tym, Sugar już ich nie chce. To dziwkarskie chwasty, strojne suknie kobiety z półświatka. Suknia, którą teraz ma na sobie, i jedna czy dwie na zapas (na przykład jej ulubiona ciemnozielona kreacja) w zupełności wystarczą. Dwie koszulki nocne, kilka par czystych majtek, pończochy, zapasowe buty, i po chwili walizka jest pełna. Swą bezwartościową powieść i pamiętniki Agnes dziewczyna upycha w kraciastej torbie.

Podnosi sakwojaż lewą ręką – nie chcąc obciążać kontuzjowanej nogi – torbę zarzuca zaś na prawe ramię, wspierając się o lasce. Robi trzy, cztery kroki i chwieje się na nogach jak dzikie zwierzę w cyrku, zmuszone chodzić na tylnych łapach pod groźbą bata. Po chwili zwiesza głowę, stawia na podłodze ciężary, których nie może udźwignąć, i zaczyna płakać.

– Może dzisiejszego popołudnia zróbmy lekcje poza domem! – oznajmia niedługo potem swojej uczennicy. – W klasie jest duszno, więc chodźmy na świeże powietrze.

Sophie zrywa się zza biurka, najwyraźniej uradowana taką perspektywą. Zaczyna pospiesznie szykować się do wyjścia; naukę *en plein air* lubi najbardziej, szczególnie jeśli może przy okazji obejrzeć z bliska fontannę albo zobaczyć kaczki, gawrony, psy, koty czy jakiegokolwiek inne stworzenia, nie– należące do rodzaju ludzkiego.

– Jestem gotowa, panienko – oświadcza niemal natychmiast i rzeczywiście mówi prawdę, bo Sugar musi tylko nieco poprawić jej i zawiązać przekrzywiony czepek.

– Idź na dół, maleńka, a ja zaraz przyjdę.

Sophie posłusznie wychodzi, a Sugar krząta się jeszcze przez chwilę w klasie. Zabiera wszystko, co jest jej potrzebne do prowadzenia lekcji, i kilka innych drobiazgów, które wsuwa do skórzanej teczki. Potem rusza schodami, stukając laską o poręcz.

Na dworze jest wietrznie i dość ponuro, ale nie zimno. Niebo przybiera ciemną, stalowoszarą barwę, przesyconą światłem, które nadaje wszystkim detalom otoczenia identyczny odcień, bez względu na to, czy pada na bujną murawę, bruk uliczny, żelazny płot, czy człowieka.

Sugar wolałaby wyjść jawnie, przez frontową bramę, ale pechowym zbiegiem okoliczności

kręci się przy niej Shears, zajęty przesadzaniem krzaka róży w inne miejsce, by odtąd przechodnie nie mogli sięgać już przez ogrodzenie i kraść owoców jego pracy. Stoi tyłem do Sugar i Sophie, ale – jako człowiek towarzyski – niewątpliwie odwróci się i zagada do nich, kiedy będą go mijać, a tego guwernantka wolałaby uniknąć. Dlatego delikatnie bierze Sophie za rękę, wykonuje *volte-face* i razem z uczennicą obchodzi dom dookoła.

– Czy pojedziemy gdzieś z Cheesmanem, panienko? – zadaje Sophie całkiem logiczne pytanie, bo podjazd jest coraz bliżej. Stangreta ani konia nie widać, ale uwolniony od jarzma uprząży, lśniący czystością powóz stoi przed swoim małym domkiem, gotów do kolejnej wyprawy w brudny, zadymiony świat, rozciągający się poza terytorium rezydencji Rackhamów.

– Nie, kochanie – odpowiada Sugar, nie spuszczać wzroku z furtki, na prawo od stajni. – Po prostu droga tędy jest ładniejsza, to wszystko.

Furtka okazuje się zamknięta na zasuwę, ale nie na klucz; a kłódka – dzięki Bogu! – zwisa otwarta. Nieporadnie manipulując na przemian laską i rączką Sophie, Sugar zdejmuje kłódkę i odciąga długą, żelazną zasuwę.

– Dzień dobry ci, panno Sugar.

Dziewczyna wzdyga się, odwraca gwałtownie na pięcie zdrowej stopy i niewiele brakuje, by pod ciężarem bagaży straciła równowagę – na jednym ramieniu dźwiga kraciastą torbę, na drugim teczkę na pasku. Cheesman stoi tuż przy niej, a jego szczeciasta twarz nie zdradza żadnych uczuć, jeżeli nie liczyć beczelnego błysku w oczach. W ponurym świetle, bez teatralnych rekwizytów w postaci płaszcza oraz kapelusza, stangret wygląda chudo i nędznie. Chłodny wiatr zdmuchnął mu na połyskliwe czoło kilka kosmyków włosów, sztywnych od nieświeżej pomady, a na jego spodniach widnieje kilka okrągłych plam po kuflowych denkach.

– Dzień dobry, Cheesman. – Sugar odpowiada mu lekceważącym skinieniem głowy i głosem kwaśnym jak ocet.

– Otworzę dla was bramę, panno Sugar, jeżeli ty i panienska Rackham macie życzenie przejechać się powozem – proponuje stangret, wyciągając kosmate ramię w stronę guwernantki.

Dziewczyna przez chwilę zastanawia się, czy nie skorzystać z jego propozycji. Łatwiej byłoby im jechać niż iść, a teraz, skoro Cheesman i tak już ją zaczepił, może mimo wszystko na coś jej się przydać. Mógłby je podwieźć do najbliższego parku, a stamtąd ruszyłyby dalej... Tak, przez moment Sugar gotowa jest zmienić swoją pierwszą decyzję, ale kiedy ponownie obrzuca stangreta spojrzeniem, spostrzega ciemny brud za paznokciami jego wyciągniętej ręki i przypomina sobie, że jeszcze nie tak dawno wpijał się paluchami w jej biodra i turniurę.

– Nie będziesz mi potrzebny, Cheesman – odpowiada stanowczo, przygarniając Sophie. – Nie wybieramy się daleko.

Cheesman cofa rękę, podnosi dłoń na swój włochaty kark w drwiącym geście zdziwienia i mierzy Sugar wzrokiem od stóp do głów.

– Pozwolę se zauważyć, że targasz ciężkie bagaże, panno Sugar – mówi, przyglądając się spod przymkniętych powiek wypchanej kraciastej torbie. – Jak na krótką przechadzkę, masz tam furę różności.

– Wyraziłam się chyba dość jasno, Cheesman – mówi z naciskiem Sugar, chociaż w jej ostrym niby krzemieniu łupek głosie pobrzmiwa nuta niepokoju. – Chcemy tylko rozprostować nogi.

Cheesman spuszcza wzrok na wysokość spódnicy Sugar i łypie pożądliwie.

– Cosik mi się widzi, że kto jak kto, ale ty masz nogi całkiem proste, panno Sugar.

Wzburzenie dodaje guwernantce odwagi.

– Jesteś impertynencki, Cheesman – rzuca. – Zaraz po powrocie rozmówię się na twój temat z panem Rackhamem.

Choć miała nadzieję, że Cheesman spokornieje, słysząc tę pogroźkę, mężczyzna zdaje się niezdetonowany; unosi tylko brwi.

– Że się rozmówisz z panem Rackhamem, powiadasz? Jak wrócisz? Znaczy się kiedy?

Cheesman postępuje krok do przodu, zasłaniając furtkę, przez którą chce przejść Sugar. Stoi tak blisko, że dziewczyna czuje jego przesycony alkoholem oddech.

– Z całym szacunkiem, cosik mi się widzi, panno Sugar... – mówi w zadumie stangret,

krzyżując ręce na piersiach i wznosząc wzrok ku ponuremu niebu – ...że będzie padać, i to lada chwila. Te chmurzyska... – Potrząsa podejrzliwie głową. – Wyglądają paskudnie, no nie?

– O co ci chodzi, Cheesman? – pyta ostro Sugar, puszczając ramię Sophie, obawia się bowiem, żeby ze strachu nie ścisnąć jej za mocno. – Zejdź mi z drogi!

– Wolnego, wolnego, panienko – mówi stangret ostrzegawczym, ale spokojnym głosem. – A co by pedział pan Rackham, gdyby panienka... – Tu Cheesman wskazuje Sophie przyjaznym skinieniem głowy. – ...wróciła się do dumy zaziębiona? A może ona już nie wróci, co? Jak myślisz?

– Powtarzam ci po raz ostatni, Cheesman, odsuń się – rozkazuje Sugar, wiedząc, że jeśli stangret teraz nie ustąpi, nie będzie miała siły, by zdobyć się ponownie na taki władczy ton. – W tym domu ja dbam o zdrowie i bezpieczeństwo Sophie.

Ale Cheesman wysysa w zadumie resztki jedzenia spomiędzy zębów i zwraca się w stronę powozu.

– No, no, panno Sugar – mówi. – Cosik mi się zdaje, że jak o to chodzi, to ta druga guwnantka, co to tu była dziś rano, miała by zupełnie inne zdanie.

Urywając tylko na krótką chwilę, żeby napawać się efektem swoich słów, Cheesman unosi otwarte dłonie ku niebu i pyta dramatycznie:

– No, czy to nie była kropla dyszczu? – Marszczy czoło, po czym uważnie ogląda najpierw lewą, a potem prawą rękę. – Naprawdę, pytam się, czy pan Rackham byłby rad, że jego córka wychodzi z domu na dyszcz? I czemu guwnantka, co to ją trza wymienić, bo niedomaga, tak bardzo chce gdziesik wyjść?

Przyglądając się uważnie Cheesmanowi, który stoi przed nią, otwiera dłonie i czeka, aż coś w nie spadnie z nieba, Sugar zaczyna rozumieć, do czego zmierza stangret.

– Porozmawiajmy o tym na osobności – mówi, usiłując stłumić w głosie nutę porażki. Może Sophie niczego się nie domyśli, jeśli nie zauważy, jak pieniądze zmieniają właściciela. – Jestem pewna, że dojdziemy do porozumienia, które przyniesie korzyści nam obojgu.

– Nigdyżem w to nie wątpił, ani przez chwilę, panno Sugar – wesoło zgadza się stangret, odskakując od furtki jednym susem. – Starczyłoby ci tej osobności, jakbyśmy se stanęli za powozem?

– Poczekaj tu chwilę, Sophie – mówi Sugar, odstawiając bagaże na ziemię, ale unikając spojrzenia dziewczynki.

Ukryta przed wzrokiem matej za powozem, Sugar szybko zanurza dłoń w kieszeni płaszcza i wyciąga z niej pognieciony banknot dziesięciofuntowy.

– No, chyba dochodzimy wreszcie do porozumienia, panno Sugar – mruczy z aprobatą Cheesman, któremu oczy się śmieją.

– Masz – mówi Sugar, wciskając pieniądze w jego wyciągniętą dłoń.

– Dziesięć funtów. Dla ciebie to prawie fortuna.

Cheesman zgniata banknot w pięści i chowa go do kieszeni spodni.

– Och, tak – potwierdza. – Człek se może za to kupić piwo albo dwa. Albo trzy...

– To dobrze – wzdycha Sugar, odwracając się, by odejść. – Miłej zabawy...

– ...doprawdy jednak, panno Sugar – ciągnie Cheesman i powstrzymuje ją, kładąc palec na ramieniu dziewczyny. – Z pieniędzy to ja nie mam za dużego pożytku. Znaczy się, pan Rackham wie, ile mi płaci i co ja se mogę za to kupić, a czego nie. Nie mogę się chyba pokazać w piknym garniturze ani kupić se złotego łańcuszka do zygarka, co? Więc dla mnie dziesięć funtów to... no... to tylko mnóstwo piwska, rozumiesz mnie?

Sugar wbija w niego wzrok i robi jej się słabo z obrzydzenia. Jeżeli jest na świecie jakiś mężczyzna, którego chciałaby zobaczyć przykutego do łoża tortur bohaterki swojej powieści, by słuchać, jak błaga o życie, kiedy dziewczyna rozpruwa go niczym rybę, to tym mężczyzną jest Cheesman.

– Więc nie wypuścisz nas stąd? – pyta ochryple.

Uśmiechając się szeroko, Cheesman grozi jej palcem jak dobrotliwy pedagog, który karci bezmyślnego ucznia.

– Tegożem nie powiedział, co nie?

Nie zważając na paraliżujący dziewczynę strach, stangret chwyta ją za ramiona i przyciąga tak blisko, że Sugar uderza głową o mięsistą szufłę jego szczęki.

– Chcę tylko coś krzyknąć więcej niż pieniądze – mówi cicho, cedząc wyraźnie słowa. – Chcę mieć coś na pamiątkę.

Sugar czuje, że żołądek podchodzi jej do gardła, jak gdyby ktoś oblał ją lodowatą wodą. Usta wysychają jej na popiół. *Za kogo ty mnie masz?*, ma chęć zbesztać Cheesmana. *Jestem damą, damą!* Ale pierwsze słowa, które udaje się jej wydobyć ze ściśniętej krtani, brzmią zupełnie inaczej:

– Na to nie mam czasu.

Cheesman wybucha śmiechem i popychając Sugar na koło powozu, zadziera jej spódnicę.

Kiedy furka rezydencji Rackhamów zamyka się za nimi, Sugar i Sophie znikają z pola widzenia domowników, niezatrzymywane i niezauważone przez nikogo.

– Dokąd idziemy, panienko? – pyta Sophie, kiedy ruszają spieszenie wąskim chodnikiem, prowadzącym je na główną drogę.

– Pójdziemy gdzieś, gdzie jest ładnie – mówi zdyszana Sugar, kuśtykając o lasce. Kraciasta torba i teczka dyndają jej na ramionach na wszystkie strony, a laska uderza o bruk z taką siłą, że jej koniuszek pęka.

– Może ja poniosę jedną z tych toreb, panienko?

– Są dla ciebie za ciężkie.

Sophie marszczy brwi i robi zmartwioną minę. Ogląda się w stronę domu, którego już jednak nie widać. Niebo mocno pociemniało i chmury zaczynają płakać wielkimi kroplami deszczu. Krople bębnią o ziemię – a także o czepkę Sophie – niczym małe kamyczki. Dziewczynka rozgląda się badawczo po świecie, szukając jakichś oznak, dzięki którym mogłaby ustalić, czy ich wyprawa jest mądrym, czy może raczej głupim posunięciem. Nie potrafi wyrazić tego, co myśli, uważa jednak, że ma pewien instynkt, umożliwiający jej rozszyfrowywanie pewnych sygnałów z kosmosu, których inni nawet nie dostrzegają.

Jakiś mężczyzna kopie dół w ogrodzie sąsiadów (czy można nazywać sąsiadami ludzi, których się nigdy nie poznało?), na chwilę przerywa jednak swoje zajęcie i macha do Sophie, rozpromieniając się w uśmiechu. Nieco dalej kundel, który dotąd obszczekiwał Sophie i guwernantkę przy każdej okazji, tym razem obserwuje je z pogodnym spokojem. To dobry omen. Jeszcze jeden więcej i kto wie? Może się nawet przejaśni.

Ulicą Kensington Park Road przejeżdża toczący się w stronę miasta omnibus.

– Idź szybciej, Sophie – mówi bez tchu panna Sugar. – Pojedziemy... pojedziemy omnibusem.

Sophie posłusznie przyspiesza kroku, choć wątpi, czy panna Sugar może poruszać się szybciej. Wypchane torby podskakują i kręcą się na wszystkie strony nader nieelegancko, kiedy guwernantka prze naprzód na sztywnych nogach, ciągle ściskając w drżącej ręce laskę.

– Biegnij, Sophie, bo inaczej konduktor nie zauważy, że chcemy wsiąść!

Sophie puszcza się biegiem, a chwilę później Sugar potyka się o wystający z bruku kamień i omal nie wywija kozła na ulicy. Kraciasta torba spada na ziemię, a jej zawartość wysypuje się na chodnik; z naukowego punktu widzenia wydaje się niemożliwe, by pamiątki Agnes mogły się potoczyć w tylu różnych kierunkach, otwierając się i jaśniejąc bielą kartek niczym piana kipiącego mleka. Porozrzucane stronice unosi wiatr, a wokół sypie się konfetti zasuszonych płatków i wyblakłych kart modlitewnych. Wyrwana z tekturowej teczki, powieść Sugar zasnuwa ulicę na długości co najmniej siedmiu jardów. Zapisane gęstym maczkiem kartki wiatr porywa z niewiarygodną szybkością, jedną po drugiej.

Sugar najpierw gwałtownie wyciąga rękę w stronę wirujących na wietrze papierów, a potem zatacza się i rusza ciężkim krokiem za Sophie.

Siedzą w zatłoczonym omnibusie. Nie rozmawiają – dyszą tylko. Sugar stara się nie sapać i nie rzeźzić, ale na rozmowę nie ma już sił. Ukradkiem ociera czerwoną, spoconą twarz białą, jedwabną chusteczką. Pozostali pasażerowie – wśród których są, jak zwykle, stare megieri, wyglądający na

łagodnych nauczycieli mężczyźni w cylindrach, modnie ubrane młode damy z pieskami na kolanach, rzemieślnicy z gęstymi brodami i senne matrony, które ledwo widać zza słomianych koszyków, parasolek, zdobionych kapeluszy oraz śpiących niemowląt – zachowują się tak, jak gdyby Sugar i Sophie nie istniały, jak gdyby nie istnieli wszyscy inni ludzie i jak gdyby omnibus był zupełnie pustym środkiem lokomocji, jadącym w kierunku Londynu z sobie tylko wiadomych powodów, ot tak, dla zabawy. Czytają gazety, przyglądają się swoim splecionym na kolanach dłoniom w rękawiczkach albo – z braku innych obiektów zainteresowania – reklamom wiszącym nad głowami siedzących naprzeciw współpasażerów.

Sugar unosi głowę, bojąc się spojrzeć na Sophie. W górze, ponad pierzastym czubkiem kapelusza jakiejś wdowy, między reklamą herbaty i pastylek przeciwkaszlowych, majaczy na dwukolorowym plakacie oblicze Williama Rackhama.

Deszcz zacina w szyby, a niebo szarzeje, jak gdyby zapadał już zmierzch. Sugar wygląda na ulicę przez mokre okna, wbijając wzrok w pustą przestrzeń między głowami dwojga pasażerów. W srebrzystym półmroku biegną przechodnie, którzy chcą dostać się na pokład omnibusu.

– High Street Cor-nerrr! – wrzeszczy przeraźliwie konduktor, ale nikt nie wysiada. – Jedno wolne miejsce! – Konduktor pomaga wsiąść jakiemuś przemoczonemu wędrowcowi.

Przez całą drogę na Bayswater Road Sugar przypatruje się wszystkim przechodniom, którzy sprawiają takie wrażenie, jak gdyby chcieli wsiąść do omnibusu. Dzięki Bogu, nie widać policjantów. To dziwne, ale wydaje się jej – przez ułamek sekundy – że zna każdą twarz, którą dostrzeże teraz na ulicy! Czy to nie pani Fox drepcze tam dalej, schowana pod parasolką? Nie, oczywiście, że nie... Ale spójrz, to chyba doktor Curlew? I znowu nie. A tych dwóch dandysów, którzy łobuzersko grzmocą się pięściami po ramionach, to nie Ashley i Bodwell, czy jak im tam było? Nie, ci są młodsi, niedawno skończyli szkołę. A tam! Sugar zaciska pięści w strachu, kiedy zauważa mężczyznę o gniewnym wyrazie twarzy, podbiegającego w deszczu do omnibusu. Nieznajomy nie ma kapelusza, więc widać, jak jego rozwichrzone, kręcone włosy podrygują śmiesznie na głowie. Ale nie, William już od dawna strzyże się niemal do gołej skóry, a poza tym człowiek ten przebiega po prostu na drugą stronę ulicy.

Jeszcze dalej, między alejkami dla powozów w Hyde Parku i cmentarzem St George's, jakaś kobieta próbuje dogonić omnibus, sunąc chodnikiem tak szybko, jak gdyby poruszała się na kołach, podobnie jak pojazd. Głowę zasłania jej parasolka, ale mimo to dziewczynie zdaje się, że nieznajoma jest sobowtórem Agnes. Kobieta ma na sobie różową suknię, różową jak kremowe mydło pielęgnacyjne firmy Rackhama, i może dlatego Sugar bierze ją za Agnes, chociaż ulewny deszcz pokrywa spódnice nieznajomej ciemniejszymi strużkami, nadającymi jej sukni wygląd pasiastego cukierka.

– Wsiadasz, pani? – krzyczy konduktor, ale ten apel, wzywający damę, by dołączyła do tłumu pasażerów w omnibusie, zdaje się obrażać jej delikatne uczucia, albowiem nieznajoma zwalnia kroku, przystaje i wykonuje piruet, odwracając się na pięcie w przeciwną stronę.

– Gdzie będziemy miały dziś lekcje, panienko? – pyta cicho Sophie.

– Jeszcze nie wiem – odpowiada Sugar. Wygląda wciąż przez okno, próbując nie patrzeć Sophie w oczy, tak jak starałaby się nie patrzeć w przepaść.

Przy Marble Arch wsiada jakiś przemoczony do suchej nitki mężczyzna. Zajmuje miejsce między dwiema paniami, zawstydzony, że siada mokry wśród suchych pasażerek, i kurczy się w sobie, próbując bezskutecznie zmniejszyć objętość swojego wysokiego, barczystego ciała.

– Proszę o wybaczenie – mamrocze, a jego przystojna twarz oblewa się rumieńcem mocnym niby blask latarni.

Oto Henry Rackham, myśli Sugar.

Przez całą drogę do centrum przemoczony mężczyzna patrzy przed siebie kamiennym wzrokiem, poklepując się z zakłopotaniem po kolanach, a jego rumieniec nie blednie prawie wcale. Kiedy omnibus wjeżdża na Oxford Circus, mężczyzna nie wytrzymuje, wie bowiem, że z jego ramion unosi się w górę lekka mgiełka pary. Ponownie mrucząc pod nosem słowa przeprosin, wstaje chwiejnie z miejsca i wpada z powrotem w deszcz. Sugar widzi, jak nieznajomy znika w strugach potopu, i – choć ona także jest zdenerwowana – życzy mu z całego serca, by szybko dotarł

do miejsca przeznaczenia, gdziekolwiek się ono znajduje.

– Musimy tu wysiąść, Sophie – mówi chwilę później, po czym wstaje. Dziewczynka idzie za przykładem guwernantki, trzymając się fałdy jej szerokich spódnic, kiedy Sugar, kulejąc, wysiada z omnibusu na rześisty, zacinający deszcz.

Czy to, co mający przed nimi, to park? Nie. Kiedy tylko stają na chodniku, panna Sugar zatrzymuje dorożkę, wydaje woźnicy jakieś polecenie i szybko pomaga Sophie wsiąść do zadymionej kabiny. Przemoczony do suchej nitki dorożkarz okazuje się rubasznym jegomościem i zaraz przeciąga batem po parującym zadzie swojej niemrawej szkapy.

– Wybieraj, stary koniu – żartuje. – Do rzeźni albo na King’s Cross!

– Czy wrócimy do domu na kolację, panienko? – upewnia się Sophie, kiedy dorożka rusza.

– A jesteś głodna, kochanie? – pyta Sugar.

– Nie, panienko.

Czując, że nie zniesie dłużej tego napięcia, Sugar pozwala sobie na krótką chwilę spojrzeć dziewczynce w twarz. Sophie ma szeroko otwarte oczy, nieco oszołomiony i niewątpliwie pełen niepokoju wzrok, ale – o ile Sugar się nie myli – nie szykuje się do ucieczki.

– Proszę, dam ci twoją lunetę – mówi Sugar i dźwiga bagaż na wysokość piersi, nie pozwalając dziewczynce zajrzeć do środka. Pochyla się naprzód, by dodatkowo zasłonić przed jej wzrokiem zawartość teczek, w której spoczywa książka do historii, atlas świata, czysta bielizna, oprawiona fotografia panienki Sophie Rackham z podpisem *Tovey&Scholefield*, grzebień, szczotki do włosów, ołówki, kredki, *Przygody Alicji w Krainie Czarów*, wiersze pana Leara, zwinięty w kłębek szal, słoń talku, żółta koperta pełna wykonanych własnoręcznie przez Sophie pocztówek świątecznych, zbiór bajek z serdeczną dedykacją dla dziewczynki od „męczącego wujka” i na samym dnie luneta.

– Proszę – mówi Sugar, wręczając metalową rurę dziewczynce, która bez wahania bierze ją do ręki, ale od razu odkłada instrument na kolana, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

– Dokąd jedziemy, panienko?

– W bardzo ciekawe miejsce, obiecuję – odpowiada Sugar.

– Czy będę dzisiaj spała w swoim łóżku?

Sugar obejmuje drobne ciało Sophie, dotykając dłonią wypukłości jej biodra.

– Czeka nas daleka, bardzo daleka podróż, Sophie – odpowiada, a kiedy mała rozluźnia się, kładzie rączkę na brzuchu opiekunki i przysuwa się bliżej, Sugar odczuwa tak wielką ulgę, że ogarniają ją zawroty głowy. – Ale kiedy dotrzemy już na miejsce, dopilnuję, żebyś miała własne łóżko. Najcieplejsze, najczystsze, najmieksze, najsuchsze i najwygodniejsze łóżko na świecie.

35

William Rackham, dyrektor firmy Rackham Perfumeries, nieco podchmielony, po wyjściu policjantów wypił bowiem kilka podwójnych brandy, stoi w salonie, wygląda przez okno na deszcz i zastanawia się, ilu kartek brakuje: ile trzepocze wciąż w wieczornym powietrzu, przywiera do szyb domów jego sąsiadów z Notting Hill albo wpada wciąż w ręce przechodniów, którzy ze zdumieniem oddają się lekturze kolejnych stronic, zdjętych z żywopłotów i parkanów.

– To wszystko, co znalazłyśmy, panie – mówi Letty, podnosząc nieco głos, by przebić się przez zawodzący wiatr i szmer ulewy. Dorzuca plik ubłoconych kartek do mokrego stosu papierów, leżących na środku dywanu w salonie, a potem prostuje plecy i zastanawia się, czy pan domu naprawdę chce wysuszyć i przeczytać to wszystko, czy może po prostu dba, by na ulicach w jego dzielnicy nie było śmieci.

William odprawia służącą machnięciem ręki, mającym wyrażać zarazem lekceważące podziękowanie. Tych kilka ocalonych kartek, które Sugar tak złośliwie rozrzuciła na wiatr, niewątpliwie nie wniesie nic nowego do tekstu, z którym zdążył się już zapoznać.

Dochodzący zza drzwi salonu melodyjny kobiecy szept przeprosin pozwala mniemać, że Letty, wychodząc, wpadła albo omal nie wpadła na Rose. Co za dom! Oto całemu regimentowi służących, biegających w górę i w dół po schodach, pozostał już pod opieką tylko niepokieszony William Rackham, człowiek krążący wokół stosu ubłoconych papierów. Człowiek, któremu przez rok przybyło mnóstwo uciążliwych obowiązków, który stracił żonę, brata, kochankę, a teraz – niechaj

Bóg sprawi, by to nie była prawda! – także jedyną córkę. Czy w zaistniałych okolicznościach nie może naprawdę uczynić nic bardziej efektywnego niż szukać na ulicach kartek pewnej zaginionej powieści, w której mężczyźni ponoszą męczeńską śmierć?

Być może postąpił niewłaściwie, nie pokazując policji pisaniny Sugar, ale czas naglił i w tej sytuacji opóźnianie poszukiwań wydawało mu się czystą stratą czasu... Cóż to w ogóle za absurdalny pomysł zatrzymać w salonie ledwo umiejących czytać i pisać policjantów, by marszcząc brwi, ślęczeli w głębokim skupieniu nad obłąkanymi fantasmagoriami wariatki, którą powinni ścigać po ulicach Londynu!

William opada na fotel, a wtedy podmuch strąca z poręczy ozdobny pokrowiec, wyhaftowany własnoręcznie przez Agnes. Rackham podnosi go z podłogi i odkłada na miejsce, choć jest właściwie niepotrzebny, a potem sięga po kartkę, którą przeczytał w pierwszej kolejności, kiedy wniesiono do domu naręcze owych osobliwych papierzysek, składających się na powieść Sugar. Kartka była wówczas miękka i przemoczona, ociekała wodą i niemal rozchodziła mu się w rękach, lecz wyschła już w cieple salonu i teraz szeleści pod palcami Williama niczym jesienny liść.

Wszyscy mężczyźni są tacy sami, głosi drobne, złowrogie pismo autorki. Jeżeli nauczyłam się czegoś w życiu na tej ziemi, to właśnie tego. Że wszyscy mężczyźni są tacy sami.

Jak mogę twierdzić coś podobnego z takim przekonaniem? Przecież nie znam wszystkich mężczyzn na świecie. Przeciwnie, drogi czytelniku, poznałam ich chyba wszystkich!

William wydyma znów z niesmakiem usta, czytając owo wyznanie dotyczące rozwiązłości Sugar. Znów marszczy czoło na widok następującego dalej oskarżenia, w którym autorka określa go mianem *nikczemnego mężczyzny, wiecznego Adama*. A jednak zafascynowany wstrętnym czarem tej potwarzy, William czyta dalej.

Jakże obtudny jesteś, filisterski czytelniku, jeżeli należysz do przedstawicieli płci, która chętnie się strzępem skóry w spodniach! Zapewne wyobrażasz sobie, że ta książka cię rozbawi, wzruszy, uratuje przed męczarnią nudy (największą męczarnią, na jaką narażona jest twoja uprzywilejowana pleć), i że skonsumowawszy powieść niby cukierek, będziesz mógł żyć dalej jak dotychczas! Właśnie tak, jak żyjesz, odkąd po raz pierwszy zdradziłeś Ewę w raj! Ale ta książka jest inna, drogi czytelniku. Ta książka jest jak NÓŻ. Nie trać głowy; będzie ci potrzebna!

O Boże, o Boże, jak to możliwe, że jego córka wpadła w szpony tej zmił? Czy mógł się domyślić, że tak będzie? Czy inny mężczyzna przejrzałby na oczy szybciej niż on? Teraz wydaje mu się całkiem oczywiste i przerażająco jasne, że Sugar była wariatką; ten jej nietypowy intelekt, seksualne wszeteczeństwo, męska smykałka do interesów, węzowa skóra... O Boże, a kiedyś czołgała się za nim rakiem na kolanach, tryskając wodą z pochwy! Co go skłoniło, by potraktować takie zachowanie jako podniecające błazeństwo albo erotyczny żart salonowy, skoro byle głupiec rozpoznałby w nim zwierzęce ekscesy potwora!

A jednak jak to możliwe, że Bóg uznał za stosowne umieścić na łonie jego rodziny dwie wariatki, oszczędza zaś innych mężczyzn? Co William uczynił, by na to zasłużyć?... Ale nie, zadając takie pytania, które w niczym nie pomagają rozwiązać palącego problemu, użala się tylko nad sobą. Jego córka została uprowadzona, a porywaczka najprawdopodobniej wiezie ją na spotkanie nieszczęsnego losu. Nawet jeżeli Sophie uda się wyrwać z rąk porywaczki, jak długo bezbronne dziecko zdolne jest przetrwać w straszliwym labiryncie Londynu? W tym mieście na każdym rogu czają się drapieżcy... Nie ma tygodnia, aby „Times” nie donosił o dobrze ubranych dzieciach, które pozornie sympatyczne starsze panie zwabiają w ciemne zaułki, a następnie „obdzierają ze skóry”, czyli zabierają im buty oraz ubranie i porzucają ofiary na pastwę losu. Byłoby o wiele lepiej, gdyby Sugar powała Sophie dla okupu; William chętnie zapłaci każdą sumę, jakiej może zażądać guwernantka, jeżeli tylko nie zechce go zupełnie zrujnować!

Przeciera oczy i mocno zaciska pięści. Wizja szlochającej córki nawiedza go wciąż niczym wspomnienie jakiegoś niesamowitego przezrocza z latarni magicznej. Oczami wyobraźni widzi wykrzywioną z rozpaczny twarz dziewczynki, która błagała go, żeby nie odprawiał panny Sugar.

Drobnutkie rączki Sophie, zbyt przerażone, by chwycić go za ramię, zaciskały się na brzegu jej dzieciennego biurka, jak gdyby było ono wątlą łódeczką, miotaną wiatrem na wzburzonym morzu. Czy będzie wspominał tę scenę do grobowej deski? Nigdzie nie może znaleźć fotografii Sophie, wykonanej w studiu Scholefielda i Toveya, a chciał ją dać policjantom do wykorzystania w liście gończym. Wszystko wskazuje na to, że zdjęcie ukradła Sugar, William musiał więc wyciąć nożyczkami twarz Sophie z ich „rodzinnej” fotografii, chociaż z własnego „ciemniowego” doświadczenia wie, że zdjęcie tak małych rozmiarów, niestarannie powiększone i podretuszowane byle jak, najprawdopodobniej nie będzie przypominać jego córki...

Ale znów: to kwestie drugorzędne, wyłącznie drobiazgi i rozterki, niedotykające istoty straszliwego położenia, w jakim znajduje się William. Jeszcze wczoraj jego córka była bezpieczna, w domu, pod ojcowską opieką, nieśmiało zagrała jakąś melodię na pianinie i zrobiła pierwszy krok, żeby mu wybaczyć, a jednocześnie zrozumieć, że mimo wszystko w głębi duszy chciał jedynie jej dobra; lecz dzisiaj Sophie już nie ma, a w jego głowie kołacze wspomnienie jej płaczu.

Trudno uwierzyć, że popełnienie tej zbrodni przyszło Sugar z taką łatwością! Czy naprawdę nikt nie mógł jej przeszkodzić? William nie wątpi, że przepytał wszystkich domowników nie mniej dokładnie niż policja. Służące nic nie wiedzą, nic nie widziały ani nie słyszały i przysięgają, że były zbyt pochłonięte swoimi codziennymi obowiązkami, by zauważyć porwanie. Ile trzeba mieć w sobie zuchwalstwa i tupetu, by mówić coś takiego? Dom jest właściwie pusty, pełno w nim tylko służby, i co te kobiety robią po całych dniach, jak nie wylegują się w fotelach, czytając brukową literaturę przy kuchennym piecu? Czy ani jedna z nich nie mogła porzucić swej znoej pracy, by nie dopuścić do porwania ostatniej przedstawicielki rodu Rackhamów przez wariatkę?

Męska część służby wcale nie okazała się bardziej pomocna. Shears potwierdził, że panna Sugar nie wyszła przez główną bramę: tysiącrotnie dzięki za tę jakże ważną informację, panie Shears! Cheesman powiedział natomiast, że widział z daleka, jak panna Sugar i panienka Sophie udają się na przechadzkę, ale nie zaniepokoiło go to, ponieważ popołudniami guwernantka często zabierała małą na spacer. Na te słowa Williama ogarnęła przemożna pokusa, aby zrugać stangreta za brak wyobraźni, tym bardziej że Cheesman doskonale wiedział, że Sugar nie była żadną guwernantką, do diabła! Ach, w tym właśnie sęk: woźnica wie coś, czego nie powinien. Jako jedyny sługa Rackhama, który zdawał sobie sprawę, kim była Sugar, zanim zamieszkała w jego rezydencji, Cheesman może postawić go teraz w diabelnie niewygodnym położeniu, albowiem w sprawę zaangażowała się już policja. Dlatego zamiast zauważyć, że każdy człowiek, mający chociaż odrobinę oleju w głowie, zadałby Sugar kilka dociekliwych pytań, William ograniczył się jedynie do indagacji, czy Cheesman nie zauważył przypadkiem, jak guwernantka była ubrana i czy miała ze sobą jakiś bagaż.

– Dyc ja tam nie patrzę na babski przyodziewek, panie – odpowiedział Cheesman, drapiąc się po szorstkim niczym papier ścierny podbródku. – A co do bagażów... nicem nie widział, panie.

Przeszukanie sypialni Sugar potwierdziło słowa stangreta, przy drzwiach znaleziono bowiem spakowany sakwojaż. Gdy wściekły William wysypał jego zawartość na podłogę, okazało się, że zawierał wszystko, czego może potrzebować kobieta, która opuszcza dom: Rackham znalazł przybory do pielęgnacji ciała, koszulę nocną, kosmetyki (jego firmy) i zieloną suknię, którą miała na sobie, kiedy się poznali. Poza tym jednak nie natrafiono na nic, co mogłoby wskazywać cel jej podróży.

Dłoń Williama przebiega drżenie, a wtedy rozlega się delikatny szelest papieru – ponieważ trzyma wciąż w palcach dziewczęcą kartkę manuskryptu Sugar. Odrzuca ją precz, osuwa się na oparcie fotela i uderza głową o zagłówek. Kolejny haftowany ręką Agnes pokrowiec, udekorowany wizerunkami rudzików i ozdobnymi inicjałami „R” na cześć nowo poślubionego małżonka, zsuwa się ze swej grzędy i spada mu na ramię. Zirytowany William odrzuca go na bok; pokrowiec ląduje na pokrywie pianina i ześlizguje się z oslepiająco błyszczącego drewna na podłogę. Wczoraj Sophie zagrała na tym pianinie ładną melodię, a dzisiaj jej drobna figurka, która siedziała tutaj przed nim na stołku, została wessana w przerażającą otchłań.

Zgrzyta zębami, walcząc z ogarniającą go rozpaczą. Sugar i Sophie są gdzieś niedaleko. Gdyby choć przez godzinę mógł oglądać świat z perspektywy Boga albo z lotu ptaka, ponad dachami

domów, ale poniżej przeszkadzających w obserwacji chmur, i gdyby tylko niczego nieprzeczuwająca Sugar wędrowała po mieście w aureoli grzechu jak napiętnowana wypalonym znamieniem zbrodniarka, jaśniałaby w oddali niby latarnia morska, a wtedy William mógłby wskazać ją palcem z wysokości i krzyknąć: *Tam! Jest tam!*

Ale nie, na tym świecie taka fantazja nigdy się nie ziści. Miasto przeczesuje nieznana Williamowi liczba policjantów, którzy nie patrzą dalej niż za najbliższy róg, a ich uwagę rozpraszają kłótlivi straganiarze i kryjący się po bramach złodzieje, funkcjonariusze więc tylko kątem oka rozglądają się za małą dziewczynką w towarzystwie pewnej damy, którą należy natychmiast aresztować w przeciwieństwie do tysięcy innych cnotliwych, szacownych pań, spacerujących z dziećmi po ulicach ogromnej metropolii. Czy policji nie stać na nic więcej, gdy życie córki Williama Rackhama jest w niebezpieczeństwie?

Wstaje gwałtownie, zapala papierosa i zaciąga się, krążąc po pokoju. Jego wściekłość i zdenerwowanie rosną, ponieważ dobrze wie, że zachowuje się jak typowy mężczyzna, albowiem każdy na jego miejscu zrobiłby przecież to samo: chodziłby tam i z powrotem po pokoju, czekając na wiadomość, która wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi nie będzie pomyślna, a także żałowałby, że wypił za dużo brandy.

Stos mokrych papierów na dywanie zaczyna lekko parować. William bierze z wierzchu pierwszą kartkę z jękiem obrzydzenia, stwierdza, że rozmazany przez deszcz tekst jest nieczytelny, sięga więc po następną, na widok której rozbłyskują mu oczy:

– *Jestem ojcem dzieciom! W domu czeka na mnie syn i córka!*

– *Powinieneś być pomyśleć o tym wcześniej – powiedziałam, rozcinając mu koszulę ostrymi jak brzytwa nożycami krawieckimi. Całkowicie skupiona na tej czynności, suwałam nożycami tam i z powrotem po jego włochatym brzuchu.*

Żołądek w jego włochatym brzuchu kurczy się z przerażenia, William nie może więc czytać dalej. Oczami wyobraźni widzi taką Sugar, jaką poznał: łagodnie uśmiechniętą zwolenniczkę najkrwawszej w świecie pomsty. – *Tytus Andronikus*, to jest dopiero sztuka – powiedziała przymilnie, kiedy siedzieli przy stole w „Fireside”. Powinien był potraktować jej słowa jako ostrzeżenie, sądził jednak, że dziewczyna po prostu szuka tematu do rozmowy. Urzeczony jej nad podziw rozwiniętym intelektem, mniemał, że znajdzie w niej coś więcej: że Sugar jest czułą, naznaczoną przekleństwem samotności kobietą, która naprawdę chce mu się przypodobać. Czy mylił się całkowicie? Boże, spraw, żeby Sugar naprawdę miała w sobie chociaż trochę z tego, co w niej kiedyś widział; Boże, spraw, aby znalazła się w niej choć odrobina dobroci, inaczej bowiem Sophie jest zgubiona!

William wypuszcza kartkę z rąk i wpatruje się w okna, których szyby drżą i spływają deszczem. Strużka wody wcisnęła się do pokoju przez szparę i teraz drży na skraju parkietu. A przecież stolarz przysiągł uroczyście, że to się już nigdy nie powtórzy! Powiedział, że okna są „szczelne niczym damski medalion”, niech go diabli porwą! William ma wciąż bilet tego łajdaka; wezwie go raz jeszcze i przymusi, żeby wykonał robotę należycie!

– Wybacz, panie – mówi Letty, a William podrywa się na głos służącej, zapominając o swojej bezsilnej złości. – Czy będzie pan jadł kolację?

Kolację? Kolację? Czy ta kretynka sobie wyobraża, że może mieć apetyt takiego wieczoru jak dziś? Otwiera usta, aby ją obrugać i dać do zrozumienia, iż cała ta katastrofa zdarzyła się właśnie przez takie idiotki jak ona, które nie rozumieją, że są na świecie ważniejsze rzeczy niż placek śliwkowy i filiżanka kakao. Po chwili jednak dostrzega na twarzy Letty wyraz przerażenia i widzi, że służąca rozpaczliwie łąsi się do niego jak pies. Biedna dziewczyna, może i jest głupia, ale ma zacne intencje i nie jest przecież winna nikczemności takich kobiet jak Sugar.

– Dziękuję, Letty – wzdycha William, trąc twarz. – Przynieś mi może trochę kawy. I chleba z masłem... albo... jeżeli możesz, daj mi szparagi na grzance.

– W tej chwili, panie Rackham – ćwierka Letty, zaróżowiona z wdzięczności, że otrzymała wreszcie zadanie, któremu potrafi sprostać.

Rano, gdy Rose przynosi mu na srebrnej tacy pocztę, William zaczyna przeglądać koperty w poszukiwaniu listu z żądaniem okupu. Pośród korespondencji handlowej są tylko trzy listy bez adresu zwrotnego. Jest zbyt niecierpliwy, by elegancko rozciąć je nożykiem do papieru, rozrywa więc koperty paznokciami.

Pierwszy list zawiera prośbę o pomoc dla chorych na trąd w Indiach. Jak twierdzi niejaka pani Eccles z Peckham Rye, można byłoby ich całkowicie wyleczyć, gdyby każdy przedsiębiorca z Wielkiej Brytanii o dochodach przekraczających tysiąc funtów rocznie przekazał choć funta na podany poniżej adres skrytki pocztowej. Następny list wysłano z centrum handlowego Williama Whiteleya w Bayswater; autor wyraża w nim nadzieję, że wszyscy mieszkańcy Notting Hill wiedzą już, iż pośród niezliczonych stoisk otwarto niedawno także sklep z artykułami żelaznymi, a damy, które wybierają się na zakupy bez męskiego towarzystwa i mają ochotę spożyć na miejscu lunch, mogą bezpiecznie skorzystać z wyremontowanej sali restauracyjnej. Autorem trzeciego listu jest z kolei pewien dżentelmen, mieszkający kilkaset jardów dalej, w Pembridge Villas. William znajduje w kopercie brudną kartkę papieru, udekorowaną wizerunkami malw i ozdobnym nagłówkiem, zbyt gęsto pokrytym jednak śladami ubłoconych butów, by można go było odczytać. Pod nieczytelnym napisem widnieje następująca lista, wykaliografowana nieudolnym gotykiem:

Menuet: 10

Gawot: 9 1/2

Kaczuczka: 8 1/2

Mazurek: 10

Tarantela: 10

Zachowanie w towarzystwie/przy pożegnaniu: 10

Zachowanie w czasie wolnym: 9 1/2

Brawo, Agnes!

Na osobnej niepobrudzonej kartce rzeczony dżentelmen z Pembridge Villas napisał:

Moja małżonka sądzi, że to pańska własność.

Kiedy Rose przynosi mu następną pocztę, ku swojej konsternacji zastaje go pochylonego nad biurkiem i płaczącego z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Gdzie ona jest, Rose? – jęczy William. – Gdzie ona się ukrywa?

Zaskoczona służąca, nieprzywykła do takiej poufałości w stosunkach ze swoim panem, nie wie, co odpowiedzieć.

– Może pojechała do domu, panie? – podsuwa Rose, nerwowo skubiąc pustą srebrną tacę.

– Do domu? – powtarza William, odsłaniając twarz.

– Do swojej matki, panie.

Rackham wpatruje się w nią z szeroko otwartymi ustami.

Cheesman wraz z powozem utknął w korku ulicznym, toteż William Rackham przebiegł niemal całą drogę z Regent Street i stuka teraz do drzwi domu przy Silver Street, domu, który wbrew informacjom z *Dalszych hulanek w Londynie* wcale nie stoi przy tej ulicy.

Po dłuższej chwili, kiedy William oddycha głęboko i usiłuje uspokoić walące jak młotem serce, drzwi uchylają się nieznacznie. Spogląda na niego piękne, piwne oko, obiektyw długiej, smukłej niczym pion murarski krechy alabastrowej cery, wykrochmalonej, białej koszuli i kawowego surduta. Rozbrzmiewa jedwabisty kobiecy głos:

– Czy jest pan umówiony?

– Chcia... chciałbym mówić z panią Castaway.

Oko zakrywa do połowy powieka, zwieńczona cudnymi rzęsami.

– To, czy z nią pomówisz, zależy od tego, czy byłeś niegrzecznym chłopcem – odpowiada

słodko beczelny głos.

– Co takiego? – woła William. – Otwórz, pani!

Nieznajoma uchyla drzwi nieco szerzej, na długość zabezpieczającego je stalowego łańcucha. Przycięte po męsku, wypomadowane, przylegające płasko do czaszki włosy tej kobiety, jej surdut, spodnie – tak eleganckie, że nie powstydziliby się ich żaden modniś – a także kołnierzyk od Morningtona i krawat do kompletu sprawiają, że Williama przebiega dreszcz obrzydzenia.

– Pragnę zamienić kilka słów z panią Castaway – powtarza raz jeszcze.

– Spóźniłeś się, panie – odpowiada lesbijka, podnosząc do ust cygarniczkę i zaciągając się tak raptownie, jak gdyby posyłała komuś całusa. – Pani Castaway nie żyje. Obecnie właścicielką tego domu jest panna Jennifer Pearce.

– Ja... właściwie chciałbym wiedzieć, co się dzieje z Sugar.

– Sugar nas opuściła, podobnie jak inne dziewczęta, które pracowały tu w ubiegłym roku – odpowiada nieznajoma, z której nozdry sączą się strużki dymu. – Niechaj odchodzi, co stare, i niech nastaje nowe, oto nasza filozofia. – I rzeczywiście, ta część wnętrza domu, którą dostrzega za jej plecami Rackham, została wyremontowana niemal całkowicie. Z salonu wychyla się nieznana mu twarz, a za nią reszta postaci, wyglądającej jak zjawa, odziana w wytworną kreację z błękitnozłocistego algerinu.

– Mu... muszę znaleźć Sugar. To bardzo ważne – mówi z uporem William. – Jeżeli domyślasz się, gdzie ona może być, błagam cię, powiedz mi, pani. Za... zapłacę każdą cenę.

Właścicielka burdelu podchodzi bliżej, machając zwiniętym w rulon wachlarzem, jak gdyby to był bat.

– Mam ci do powiedzenia dwie rzeczy, panie, ale nie musisz za to płacić – oświadcza. – Po pierwsze, o ile nam wiadomo, dziewczyna, którą nazywasz Sugar, porzuciła już wesołe życie. Może zechcesz jej poszukać w tych psiarniach, prowadzonych przez Towarzystwo Ocalenia Kobiet. Po drugie, naszym zdaniem twój wizerunek na opakowaniach różnych mydeł i balsamów wcale nie podnosi ich jakości. Prosimy Boga, abyśmy nie musiały oglądać ciągle i wszędzie męskich twarzy. Zamknij drzwi, Amelio.

I drzwi się zamykają.

Przez kilka chwil po tym oburzającym incydencie William zastanawia się, czy nie zapukać ponownie do drzwi i nie zażądać tym razem wyjaśnień pod groźbą wezwania policji. Potem jednak dociera do niego, że zapewne te podłe istoty powiedziały mu prawdę o Sugar. W tym domu jej nie ma, to jasne; więc w takim razie gdzie jest? Czy to możliwe, że znalazła schronienie w Towarzystwie? Jak inaczej można wytłumaczyć dziwny zbieg okoliczności, że oto Emmeline Fox przesłała Sugar jakąś paczkę zaledwie przed kilkoma dniami? Czy to jedynie kolejny przykład brudnego spisku, zawiązanego przez dwie tragicznie zagubione kobiety? Postanowiwszy, że gniew nie zaćmi mu umysłu, William wycofuje się spod drzwi domu pani Castaway i wraca na gwarną Silver Street.

– Czy twoja pani nie gra przypadkiem na pijaninie, panie?

Po wyjątkowo męczącej podróży omnibusem, podczas której siedział naprzeciw głupekowato uśmiechniętej starszej damy – wisiała nad nią reklama damasceńskich kropli różanych Rackhama, a nad nim reklama Eau de Benzoin firmy Rimmel – William wysiada w Bayswater i niezwłocznie rusza ku długiemu szeregowi skromnych domków przy Caroline Place, gdzie zbiera znów siły do tragicznej walki z zaciskającą się wokół niego pętlą.

Ponieważ nikt nie odpowiada, Rackham puka jeszcze głośniejsze i natarczywiej do drzwi domu pani Emmeline Fox. Okno od frontu przesłania całun firanek, udało mu się jednak dostrzec dwie aureole – czy może jednak mówi się „aurory”? – światła prześwitującego przez warstwy spłowiałej koronki. Kot Henryego, którego obudził hałas, wskakuje na parapet i trze kosmatym pyszczkiem o zasnutą pajęczynami listewkę framugi okiennej. Wygląda na dwukrotnie grubszego niż tamtego dnia, kiedy pani Fox zabrała go do siebie.

– Tak, kto tam? – zza drewnianej bariery dobiega jakby zaspany głos pani Fox, chociaż

dochodzi już druga po południu.

– William Rackham. Czy mógłbym z panią porozmawiać?

Zapada cisza. Wystawiany na podmuchy wiatru William wie, że rzuca się w oczy, stojąc tak przed drzwiami na ulicy, dlatego zaczyna niespokojnie przestępować z nogi na nogę. Doskonale zdaje sobie sprawę, że tego rodzaju wizyty są niestosowne i że samotni mężczyźni nie powinni odwiedzać samotnych kobiet; jednakże kto jak kto, ale pani Fox gotowa jest chyba złamać powszechnie obowiązujące zasady przyzwoitości?

– Jestem w dezabilu – dobiega znów jej głos.

Oniemiały William mruży oczy, wpatrując się w mosiężny numer na drzwiach. Na rogu jakiś pies obszczekuje kundla stojącego po drugiej stronie ulicy, a nieznajomy chłopak w samej koszuli rzuca podejrzliwe spojrzenie korpulentnemu, brodatemu mężczyźnie o gniewnym obliczu.

– A może ja mógłbym odwiedzić pana dzisiaj nieco później? Po południu? – mówi pani Fox.

– To bardzo pilna sprawa! – oponuje William.

Znowu zapada cisza. Kot Henry’ego staje na dwóch łapach, opiera się o szybę, a potem przeży grzbiet, odstawiając krzepki chwost i dwa mechate jądra.

– Proszę chwilę zaczekać – mówi pani Fox.

William czeka. Co ona, u diabła, wyprawia? Wyprowadza chyłkiem Sugar i Sophie tylnymi drzwiami? Ukrywa je w garderobie? Teraz, kiedy zadał sobie trud, aby tu przyjechać, jego początkowe podejrzenie, że pani Fox może wiedzieć, gdzie podziewa się Sugar, zamienia się nagle w maniakalną pewność, iż Emmeline osobiście ukrywa uciekinierki.

Po chwili, która wydaje mu się wiecznością, pani Fox otwiera drzwi i William wchodzi do przedpokoju, nie dając jej żadnych szans, by mogła go powstrzymać.

– W czym mógłbym pomóc, panie Rackham?

William obrzuca wzrokiem wewnątrz jej domu – zapach stęchlizny, cienka patyna kurzu, żelazne, oparte o ścianę łóżko, stosy książek na schodach i wołokowy worek z napisem REKAWICZKI DLA IRLANDII, zagradzający dostęp do szafki na miotły i ścierki. Pani Fox patrzy na niego pobłaźliwie, niemal wcale nie zawstydzona, że w domu panuje taki bałagan, i czeka, aż Rackham wytłumaczy się z impertynenckiego najścia. Przywdziała sięgający łydek, zapięty niemal po szyję zimowy płaszcz z czarnym, futrzanym kołnierzem i futrzanymi mankietami. Pod spodem zamiast bluzki albo stanika ma niezbyt czystą i o wiele na nią za dużą męską koszulę, buty zapięta zaś niedbale, by nie zsuwały się z jej bosych stóp niczym czarna skórka z banana.

– Panna Sugar porwała moją córkę – oświadcza William.

Pani Fox otwiera oczy ze zdziwienia, ale wcale nie tak szeroko, jak można by się spodziewać po wstrząsającej wiadomości o porwaniu dziecka. Prawdę mówiąc, można by sądzić, że Emmeline jeszcze nie otrząsnęła się ze snu.

– To... nadzwyczajne – dyszy.

– Nadzwyczajne! – powtarza William, zdziwiony jej zimną krwią. Dlaczego u diabła pani Fox nie mdleje, nie pada na kolana, nie przyciska rąk do piersi albo nie unosi swych drobnych pięści do skroni i nie woła: „Och!”?

– Panna Sugar zrobiła na mnie wrażenie miłej dziewczyny o znacznych intencjach.

Wstrzemięźliwa łagodność Emmeline wzbudza w Williamie gniew.

– Byłaś w błędzie, pani. To wariatka, okrutna wariatka, która porwała moją córkę.

– Wydawało mi się, że Sugar i Sophie przepadają za sobą...

– Nie zamierzam się z tobą kłócić, pani. Ja...ja... – William przełyka ślinę i zastanawia się, w jaki sposób mógłby zdradzić swoje prawdziwe zamiary, nie okazując się nieokrzesanym gburem. Nie ma takiego sposobu. – Pani Fox, pragnąłbym się przekonać, że Sugar... że panna Sugar i moja córka nie przebywają w tym domu.

Emmeline otwiera usta ze zdumienia.

– Nie mogę się na to zgodzić – szepcze.

– Wybacz mi, pani – odpowiada chrapliwym głosem William. – Ale muszę to zrobić. – Nie pozwalając, by pani Fox zdążyła odebrać mu odwagę swoim gniewnym, pełnym dezaprobaty spojrzeniem, mija ją zdecydowanym krokiem i wchodzi do kuchni, gdzie wpada natychmiast na

zwał szczepionych krzesel Henry'ego. Nie dość, że pomieszczenie jest niewielkie, to jeszcze na dobitkę dziwacznie zagracone, bo wszystkie elementy jego wyposażenia są podwójne: w kuchni stoją dwie kuchenki, dwie szafki, dwa wiaderka do lodu, dwa czajniki i tak dalej, i tak dalej. W bochenku chleba tkwi nóż, a na wytartej do czysta ławeczce, na której wciąż widać jednak różowozółte plamy krwi, stoi w ordynku piętnaście albo dwadzieścia puszek łososia i konserwowej wołowiny. Niełatwo się tu poruszać, a co dopiero ukryć gdzieś wysoką kobietę i dobrze odżywną dziewczynkę. Z kolei ogród pani Fox, świetnie widoczny przez obmyte deszczem kuchenne okno, to istny gąszcz bujnej, niejadalnej roślinności.

William już wie, że się pomylił, jednak nie mogąc zaprzestać poszukiwań, wychodzi niepewnie z kuchni i zagląda do pozostałych pomieszczeń. Kot Henry'ego depta mu po piętach, podekscytowany biegając w domu, w którym życie płynie zazwyczaj spokojnie. William stara się nie ocierać o zakurzone meble i lawiruje pośród pudeł, stert książek, starannie zaadresowanych paczek, oczekujących jedynie na znaczki pocztowe, oraz pękatek worków. W salonie pani Fox wre najwyraźniej energiczna praca, widać bowiem dziesiątki już zakopertowanych, przygotowanych do wysłania listów, rozpostarty na biurku plan miasta, a także liczne naczynia z klejem, atramentem, wodą, herbatą i jakąś ciemnobrązową cieczą, na której powierzchni pływa mlecznobiałe kożuch.

Rackham wbiega na górę, głośno tupiąc na schodach, i czerwieni się zarówno ze wstydu, jak i wysiłku. Przed drzwiami sypialni stoi tekturowe pudło, pełne kocich kup. Łóżko pani Fox jest w nieładzie, a na kołdrze leżą rozciągnięte płasko męskie spodnie, gęsto upstrzone kocimi włosami. Na wieszaku na kapelusze wisi czyściutka, starannie wyprasowana kreacja, złożona ze stanika, zakietu i sukni w dyskretnych kolorach, w których pani Fox jest najbardziej do twarzy.

William nie może tego dłużej znieść – wyobrażał sobie, że gwałtownym szarpnięciem otworzy drzwi garderoby, po czym z triumfalnym okrzykiem ulgi wyciągnie z niej Sugar i swoją przerażoną córkę, ale ta fantazja znika bez śladu. Wraca więc na dół, gdzie czeka na niego z podniesionym czołem Emmeline, spoglądając na Rackhama z wyrzutem.

– Pani Fox – mówi William i czuje się plugawcem okropniejszym niż zawartość tekturowego pudła na korytarzu. – Ja... ja... jak... wtargnąłem bezprawnie do twojego do... domu. Czy możesz mi wy... wybaczyć?

Pani Fox splata ręce na piersiach i zaciska zęby.

– To nie ja powinnam ci przebaczyć – zauważa chłodno, jak gdyby przypominając mu jedynie, że wiarą chrześcijańską, którą formalnie rzecz biorąc, wyznają oboje, nie jest katolicyzm.

– Pos... postradałem rozum – mówi błagalnie William, wlokąc się już w stronę drzwi frontowych z niepokojem, że na dobitkę nadeptnie kota Henry'ego, który płacze mu się między nogami i szarpie zębami nogawki jego spodni. – Jak u... uważasz, pani, czy mogę coś u... u... uczynić, żeby naprawić swą winę?

Pani Fox mruży oczy i jeszcze mocniej przyciska ręce do piersi. William zauważa poniewczasie, że w pociągłej twarzy Emmeline jest jakieś dziwne piękno, a – Boże wielki, czy to możliwe? – w kącikach jej ust pojawia się uśmiešek.

– Dziękuję, panie Rackham – odpowiada słodko. – Zastanowię się poważnie nad twoją propozycją. Ostatecznie tak majątny mężczyzna jak ty może zdziałać na tym świecie wiele dobrego.

– Pani Fox wskazuje filantropijny nieład w swoim domu. – Z pewnością zauważyłeś, że mam za dużo pracy. A zatem... tak, panie Rackham, w przyszłości liczę na twoją pomoc.

Do końca wierna swej ekscentrycznej naturze, ona – a nie on! – otwiera drzwi, po czym życzy mu miłego dnia.

– Miau! – przytakuje kot Henry'ego, który pręży się radośnie u stóp swojej pani.

Upokorzony tak bardzo, że chętnie powitałby grom z jasnego nieba, który w mgnieniu oka spaliłby go na popiół, William wraca do domu. Czy przyjechała policja? Nie, policji nie było. Czy życzy sobie, żeby odgrzano mu lunch? Nie, nie życzy sobie, by odgrzewano mu lunch. Kawa, niech mu przyniosą kawę.

Nerwy ma napięte do ostateczności, ale musi sobie jakoś z tym poradzić i wrócić do normalnego życia. Przyszła nowa poczta, ale żaden list nie dotyczy Sugar ani jego córki. Jednym z

korespondentów okazuje się między innymi wielmożny pan Grover Pankey, który nazywa Williama źle wychowanym człowiekiem i zrywa z nim wszelkie stosunki. Rackham jest do tego stopnia wytracony z równowagi, że zastanawia się, czy nie wyzwąć Pankeya na pojedynek: paskudny, stary szelma jest pewnie świetnym strzelcem, mógłby położyć zatem kres jego cierpieniom jednym strzałem z pistoletu. Ale nie, nie może tracić głowy, powinien raczej podjąć negocjacje z panem Cheadlem z Glamorgan. Jego słoiczki z kości słoniowej są lekkie niczym muszelki, ale nie pękają, kiedy je mocniej ścisnąć. William dobrze o tym wie; sam je wypróbował.

Rozrywa kopertę, na której widnieje nieznane mu nazwisko nadawcy i adres: pani F. De Lusignan, 2 Fir-Street, Sydenham.

Drogi panie Rackham!

Tak zwraca się do niego owa zacna dama.

Posiwałam wskutek rozmaitych nieszczęść i w chorobie, ale jedna buteleczka pańskiego „Kruczego Olejku” przywróciła moim włosom wspaniały, czarny kolor, tak piękny jak za moich młodych lat. Dostrzegły to wszystkie moje przyjaciółki. Może pan wykorzystać ten list wedle pańskiego uznania.

William mruga powiekami z głupią miną, nie wiedząc, czy wybuchnąć śmiechem, czy spazmatycznym płaczem. Sugar i on wymyślali tego rodzaju opinie wiernych klientów, aby wykorzystywać je później w tekstach reklamowych, a tu, proszę, stuprocentowy autentyk. Pani F. De Lusignan podziwia swoje ufarbowane włosy w lustrze w Sydenham, niech jej Bóg błogosławi! Zasłużyła na cały karton olejku, i pewnie dlatego właśnie bierze go pod włos.

Reszta korespondencji dotyczy wyłącznie spraw handlowych, William zmusza się jednak, by przegryźć się przez pocztę, chociaż po każdym kolejnym liście czuje się bardziej zmęczony, jak gdyby z największym trudem łykał tłuczone szkło. Jednakże nieco później, kiedy odpisuje pannie Baynton z Działu Kosmetycznego Harrod'sa, doznaje nagłego olśnienia, domyśla się bowiem, dokąd uciekła Sugar i gdzie jego córka czeka w tej chwili z drżeniem, aż jej los się dopełni.

Kiedy dociera wreszcie do domu pani Leek na Church Lane w St Giles, słońce wisi nisko na niebie, rzucając na stare, zrujnowane kamienice dziwaczny, złocisty cień. Poskręcane egzozskielety żelaznych rur błyszczą niczym monstrualne naszyjniki, na ścianach widać maślanożółte kompresy sztukaterii, a na sznurach niczym królewskie sztandary powiewa znoszona bielizna. Nawet stare okna na poddaszu, pochylone ukośnie pod okapami, jarzą się odbitymi promieniami słońca – słońca, którego los jest przypieczętowany, zajdzie bowiem już za kilka chwil.

William nie ma jednak ochoty podziwiać tego widoku. W tej chwili jest przede wszystkim zainteresowany odpowiedzią na pytanie, czy dom, z którego jego stangret zabrał kiedyś pewnego starca na wózku inwalidzkim w podróż na lawendową farmę Rackhama w Mitcham, jest tym samym domem, w którego łuszczące się drzwi wali teraz pięścią. Ostatecznie ten adres zna tylko od Sugar, musiał jej więc uwierzyć na słowo; William nie stoi przecież na ulicy, na której dobrze ubrany mężczyzna może bez strachu wypytywać o drogę.

Po chwili, która wydaje mu się wiecznością, drzwi otwierają się i oczom Williama ukazuje się pułkownik Leek, mrużący powieki za zaparowanymi szklami swoich binokli.

– Zapomniałeś pan czegoś? – rzeź, biorąc Williama za klienta, który niedawno wyszedł. Dopiero potem stwierdza: – Ach, to pan.

– Czy mogę wejść? – pyta William, który boi się, że może w tej właśnie chwili Sugar prowadzi Sophie brudnymi korytarzami domu do tylnego wyjścia.

– Och, jak najbardziej, jak najbardziej – oświadcza starzec z przesadną *politesse*. – Będziemy zaszczytzeni wizytą tak wysoko postawionej osobistości jak ty, panie. Pan na czterdziestu aknach! Wspaniale, wspaniale... – Pułkownik obraca się razem z wózkiem i rusza naprzód wzdłuż śmierzącego pasa startowego, czyli wybrzuszony od wilgoci dywanu. – Rok 1813: najlepsze od

wielu lat prognozy dla plantatorów! Rok 1814,1815, 1816: mrozy, których najstarsi ludzie nie pamiętają, zbiory zwarzone jak kraj długi i szeroki, masowe bankructwa! Niejakiego Adama Tiptona z Karoliny Południowej zwano w roku 1863 Królem Bawełny! W 1864, po inwazji ryjkowców, Tipton palnął sobie w łeb!

– Przyszedłem zobaczyć się z Sugar – rzuca William, który idzie za nim. Być może jeśli wyjawi swoje życzenie wprost, niczym nieznoszące sprzeciwu żądanie, sprowokuje starego łajdaka, aby powiedział mu więcej, niż powinien.

– Nigdy więcej po mnie nie wróciła, wstrętne ulicznica – szydzi pułkownik Leek. – Słowo kobiety warte jest tyle, co zeszłoroczny śnieg. Nigdy nie dostałem obiecanej tabaki i nie oglądałem już więcej twojej wspaniałej lawendowej farmy, panie.

– Sądziłem, że nie podobała ci się ta wycieczka – zauważa William, który zagłąda w głąb słabo oświetlonych schodów, przekraczając próg salonu.

– Przypominam sobie, jak się skarżyłeś, że cię właściwie... porwano.

– Och, przyjemnie było zmienić na chwilę otoczenie. – Starzec beczy jak kozioł, nie okazując ani konsternacji, ani ochoty, żeby połknąć haczyk. Zatrzymuje się w przytulnym kącie salonu, a jego obdarta postać staje się kolejnym elementem nieładu, panującego w zagraconym pokoju, pełnym starej porcelany i różnych militariów. – Moja pierwsza wizyta na lawendowej farmie! Szalenie pouuuczająca. – Pułkownik obnaża swoje poczerńnięte siekacze w chytrym, przymilnym uśmiechu.

Tymczasem po skrzypiących schodach zeszła jakaś kobieta, która wsuwa teraz głowę do pokoju. Prawdziwa z niej ślicznotka – może nie pierwszej młodości, ale za to zadbana. Ma miłą, dobroduszną twarz, kształtną figurę i suknię w kolorach modnych dwa Sezony temu.

– Mnieżesz szukał, panie? – zagaduje nieznanego, nieco zaskoczona, że klient poluje na nią, a nie odwrotnie.

– Szukam Sugar – mówi William. – Jeżeli się nie mylę, często odwiedza ten dom.

Kobieta wzrusza ze smutkiem ramionami.

– To było dawno temu, panie. Potem Sugar została utrzymanką jakiegoś bogacza.

William Rackham prostuje plecy i zaciska pięści.

– Sugar ukradła mi córkę.

Caroline na chwilę popada w zadumę, zastanawiając się, czy ten człowiek wie, co mówi, czy może zwrot „ukradła mi córkę” należy do owych kwiecistych sformułowań, których używają wykształcone sfery, aby wyrazić jakąś bardziej podniosłą myśl.

– Twoją córkę, panie?

– Moja córka padła ofiarą porwania. A wprowadziła ją twoja przyjaciółka, Sugar.

– Czy wiecie, że w Anglii i Walii w wypadku sześciu utonięć na dziesięć ofiarami są dzieci poniżej dziesiątego roku życia? – wtrąca pułkownik Leek z ponurym entuzjazmem.

Caroline patrzy, jak elegancko ubrany nieznanomy otwiera szeroko oczy z oburzenia, a kiedy odnosi wrażenie, że ten człowiek przypomina jej kogoś, kogo znała, domyśla się nagle, iż ma przed sobą producenta kosmetyków, pana Rackhama, brata dobrotliwego pastora. Wspomnienie tego przemiłego mężczyzny stanowi dla niej jak gdyby zdradziecki cios prosto w żołądek, przyszło bowiem nieoczekiwanie, a wspomnienia potrafią być okrutne, kiedy tak nagle powracają. Dziewczyna wzdryga się, przyciska rękę do piersi w obronnym geście i nie jest w stanie wytrzymać oskarżycielskiego, gniewnego spojrzenia stojącego przed nią mężczyzny.

– Nie pozwolę robić z siebie durnia! – wrzeszczy Rackham. – Wiesz coś, ale nie chcesz mi nic powiedzieć, jak widzę!

– Proszę cię, panie... – odpowiada Caroline, odwracając głowę.

William wyczuwa oszałamiającą woń tajemnicy, której nie da się już dłużej ukrywać, jak gdyby ktoś zdjął pokrywę z ogromnej kadzi. A więc nareszcie wpadł na właściwy trop! W końcu cała sprawa zmierza do gwałtownego rozwiązania, którego tak bardzo pragnął – do objawienia, nagłego spadku napięcia, który wstrząśnie wszechświatem w jednej, wściekłej erupcji, a potem wszystko powróci znów do siebie, na właściwe miejsce! William odpycha dziewczynę ze stanowczym chrząknięciem, wychodzi dumnie z salonu i wbiega na górę po schodach.

– Aaaach! Należy się siedem pensów! – krzyczy pułkownik Leek, wymachując szponiastymi łapami.

– Patrz pod nogi, panie! – krzyczy Caroline. – Niektóre stopnie...
Ale jest już za późno.

Nad St Giles, Londynem, Anglią i niemalą częścią świata zapada noc. Po ulicach niczym armia katolików krążą latarnicy, uroczyście rozpalający niezliczone, wysokie na piętnaście stóp świece wotywno. Każdemu, kto przyglądałby się im z góry, wydawałoby się, że to urzekający widok; niestety, nikt ich nie widzi.

Tak, zapada noc, pracują już zatem tylko drugoplanowe postacie. Ożywają garkuchnie, serwujące żujki wołowe z ziemniakami robotnikom składów konfekcyjnych. Gwarno jest w tawernach, piwiarniach i bogato udekorowanych pubach. Uczciwi sklepikarze zamykają swoje przybytki, podpierając stemplami i ryglując drzwi; zdmuchują płomień lamp, skazując niesprzedany towar na pokutę kolejnej okropnej, samotnej nocy. Uboższe, nędzniejsze istoty, stojące na niższych szczeblach drabiny społecznej, móżą się w swoich domach, sklejąc pudełka od zapalek, szyjąc spodnie, wyrabiając przy świecach cynowe zabawki, maglując bieliznę sąsiadów albo siedząc w kucki nad miednicami, zarzuciwszy spódnice aż na ramiona. A niech się męczą, niech harują, niech znikną w niepamięci, nie masz już bowiem czasu, aby zobaczyć coś więcej.

Wytworne towarzystwo pławi się w ciepłym świetle gazu i parafiny, a służba rozpala właśnie ogień w kominkach dla tych, którzy przed zaśnięciem spędzą czas na haftowaniu, ucztowaniu, wklejaniu wycinanek do albumów, pisaniu listów, lekturze książek, grach salonowych albo modlitwie. Pora oficjalnych wizyt dobiegła końca wraz z biciem dzwonu, toteż przerwane teraz rozmowy, choćby nie wiedzieć jak interesujące, będzie można podjąć na nowo dopiero jutro o ustalonej porze. Nianie prowadzą grzeczne dzieci do matek, które będą je pieścić przez godzinę lub dwie, nim odprowadzą swoje pociechy na górę do pościelonych łóżek. Nieżonaci dżentelmeni, jak Bodley i Ashwell, których kawalerstwo w żadnym wypadku nie stawia w niekorzystnej sytuacji, rozkładają właśnie serwetki na kolanach w Cafe Royal albo rozpierają się na fotelach w swoich klubach, trzymając w dłoniach kieliszki pełne sherry. W najznakomitszych rezydencjach kucharki, podkuchenne i lokaje szykują się do wypełnienia pewnego skomplikowanego zadania, polegającego na tym, aby w dokładnie wyznaczonym czasie dostarczyć do jadalni gorące potrawy, które trzeba przetransportować z kuchni długimi, pełnymi przeciągów korytarzami. W skromniejszych domach mniej liczne rodziny dziękują Bogu, z wdzięcznością przyjmując wszystko, co tylko znajdzie się przed nimi na talerzu.

Na Church Lane w St Giles, gdzie nie składa się podziękowań żadnym bóstwom, gdzie nikt nie kąpie dzieci i gdzie latarni gazowych jest jak na lekarstwo, ktoś prowadzi Williama Rackhama w niemal nieprzeniknionej ciemności. William kuleje i potyka się na mokrym, śliskim od błota bruku. Obejmuje ramieniem jakąś kobietę, z każdym krokiem pojękując z bólu i upokorzenia. Nogawka jego spodni jest rozdarta i ocieka krwią.

– Nic mi nie jest! – woła, wrywając się swojej przewodniczce tylko po to, aby po chwili znów się na niej uwiesić, kiedy zawodzi go zraniona noga.

– Już niedaleko, panie – dyszy Caroline. – Jesteśmy prawie na miejscu.

– Zawołaj mi dorożkę – mówi William, poruszając się po omacku w mgiełce własnego oddechu.
– Potrzeba mi tylko dorożki.

– Tutaj dorożki nie jeżdżą – odpowiada Caroline. – Jeszcze kawałeczek.

Nagły powiew wiatru niesie deszcz ze śniegiem, który piecze Williama w policzki. Ma spuchnięte, pulsujące od bólu uszy, jak gdyby wytargał go za nie rozgniewany ojciec.

– Puść mnie! – jęczy, chociaż to on trzyma się Caroline.

– Trza ci lekarza, panie – zauważa dziewczyna, przechodząc do porządku nad jego rozdrażnieniem. – Pójdiesz do lekarza, prawda?

– Tak, tak, tak – stęka William, nie dowierzając, że okulał przez jeden przegniły stopień.

W oddali widać światła na New Oxford Street. Wiatr niesie stłumione głosy i zmęczony szept robotników, wychodzących w noc z browaru Horseshoe. Ich przypominające strachy na wróble

sylwetki mającą w zacinającym deszczu, gdy przekraczają granicę dzielącą Bloomsbury od rewiru, gdzie jest ich właściwe miejsce.

– Witaj, pastorze! – słyhać najpierw krzyk, a potem chrapliwy śmiech.

Caroline odprowadza Williama na skraj szerokiej ulicy, staje z nim pod latarnią, po czym ciągnie go z powrotem ku sobie, by nie wpadł do rynsztoka.

– Zostanę przy tobie, panie, dopóki nie przyjadzie dorożka – oświadcza takim tonem, jak gdyby chodziło o coś zupełnie oczywistego. – Inaczej się zabijesz.

W jaśniejszym świetle latarni William przygląda się swojej nodze – poszarpanej i obrzydliwie lepkiej od krwi – potem zaś towarzyszącej mu kobiecie. Jej twarz jest bez wyrazu niczym maska; dziwka ma wszelkie powody, żeby nim pogardzać; a przecież stoi tu obok i okazuje mu litość.

– Proszę... weź to – mówi William, niezdarnie wyciągając z kieszeni garść szylingów, suwerenów i jakichś drobniejszych monet, które wciska jej do ręki. Caroline przyjmuje dar bez słowa i chowa pieniądze do sekretnej kieszonki sukni, ale nadal nie opuszcza Williama.

Zawstydzony Rackham próbuje stanąć mocno na obu nogach, a wtedy jedną z nich przeszywa gwałtowny ból, jak gdyby jakiś czyhający pod ziemią mściwy duch wystrzelił kulę, która przebija piętę i zmierza prosto w serce. William zatacza się, a potem czuje, że w pasie otacza go krzepkie kobiece ramię.

Łzy napływają mu do oczu; światła na New Oxford Street zamazują się i zaczynają drżeć jak ektoplazma. William także drży ze strachu, albowiem nie wie, jakich doznał obrażeń; czy wróci do pełni sił, kiedy już będzie po wszystkim? Czy może jest mu pisane zostać kaleką, chodzącym pośmiewiskiem, które chromając, wlecze się niepewnie z fotela na fotel, pisze jak dziecko i jąka się jak kretyn? Co stało się z człowiekiem, którym kiedyś był? Po drugiej stronie ulicy przesuwa się szybko jakiś przypominający widmo cień, czarny niczym śmiertelny całun.

William zaciska mocno powieki, ale zjaw przybywa: dostrzega najpierw wysoką, szczupłą, otuloną w zielony jedwab kobietę, która biegnie w deszczu, nie kryjąc głowy pod czepkiem ani parasolką. Przez chwilę, gdy mija latarnię, gęste, bujne włosy nieznanym połyskują pomarańczowym blaskiem niby płomień, a Rackhamowi zdaje się, że wiatr niesie jej jedyny w świecie zapach. Zjawa mija go, trzymając splecione dłonie na plecach i przebierając palcami, jak gdyby chciała zachęcić Williama, żeby wziął ją za rękę. *Zaufaj mi*, zdaje się mówić do niego, i – o Boże! – jak bardzo pragnie znowu jej zaufać, wtulić rozpaloną twarz między jej piersi. Ale nie: kobieta przyzywa Sophie, jego brudną nie do poznania córkę, odziane w łachmany boso dziecko ulicy, przypominające postać z jakiegoś złowieszczonego pokazu przezroczy. Spokojnie, spokojnie, to przecież tylko miraż, gra jego wyobraźni; pewnego dnia odzyska córkę i bezpiecznie sprowadzi ją na powrót na łono rodziny.

Potem mija go przerażające kobiece widmo, nagi trup o bladym ciele, zeszepecionym szkarłatnymi pręgami i sińcami koloru lawendy. W klatce piersiowej upiora ziejże otwór, w którym między dwiema pełnymi piersiami widać bijące serce. Upiór tańczy zwiewnie na powleczonych sadzą kocich łbach, a chociaż William ma wciąż zamknięte oczy, odwraca wzrok i wspiera głowę na miękkim ramieniu stojącej obok dziewczyny.

– Tylko mi tu nie zasypiaj, panie – ostrzega go przyjaźnie Caroline, łapiąc równowagę i szczypiąc mocno Williama, by odzyskał przytomność. Znowu zagląda jej w twarz, która nie jest już tak nieruchoma; dostrzega na niej znużony półśmiech. Szal osuwa się z ramion zmęczonej dziewczyny, a w dołkach jej obojczyków błyszczy pot. Widać, że ma wciąż jędrną, ale pomarszczoną na szyi skórę. Na wzgórku lewej piersi Caroline majaczy wyraźna, przypominająca kształtem grot strzały blizna, zapewne po oparzeniu. Niewątpliwie kryje się za nią jakaś historia, którą William mógłby poznać, gdyby tylko dziewczyna zechciała mu ją opowiedzieć.

Ach, jest taka ciepła i tak mocno trzyma go za kark! A jak na niemłodą już kobietę ma gęste i lśniące włosy! Odpoczywając przez dłuższy czas u jej boku, William wyczuwa, jak jej ciało oddycha: jak bosko oddycha! Mimo woli dostosowuje częstotliwość własnych wdechów i wydechów do ustanowionego przez nią rytmu. Stoją razem pod latarnią uliczną, otoczeni woalką wirującej wokół kolumny światła. Ich krótkie cienie są ze sobą nierozzerwalnie splecione, tworząc na bruku dziwny, czarny wizerunek chimery, będącej z lewej strony kobietą, a z prawej mężczyzną.

– Jesteś do... do... naprawdę wyjątkowo miła – mówi William, który pragnie położyć się do wygodnego łóżka. – Nie wiem, jak mógłbym...

– Jest twa dorożka, panie! – odpowiada wesoło Caroline i klepie go po tyłku, gdy w oddali pojawia się turkoczący ratunek. Dziewczyna nie daje Williamowi czasu, by zdążył za bardzo skomplikować jej życie, zręcznie wyswobadza się z jego uścisku i spieszy z powrotem na Church Lane, gdzie nie dosięgnie jej ani on, ani ty.

– Do widzenia! – Śpiewny głos Caroline słychać jeszcze, kiedy wtopionej w nieprzeniknioną ciemność plamy jej postaci już nie widać.

Te słowa skierowane są także do ciebie: do widzenia!

Wiem, że to oschłe i oględne pożegnanie, ale czy wszystkie rozstania nie wyglądają tak samo? Wydaje ci się, że wasz związek przetrwa całą wieczność, aż tu nagle koniec. Mimo to cieszę się, że wybrałaś właśnie mnie; mam nadzieję, że zaspokoiliam wszystkie twoje pragnienia, a w każdym razie, że sprawiłam ci przyjemność. Byliśmy ze sobą bardzo długo i wiele razem przeszliśmy, a ja nie wiem nawet, jak się nazywałeś!

Ale teraz już czas, żebyś pozwolił mi odejść.

Podziękowania

W latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku byłem o wiele za młody, aby zwracać należytą uwagę na wszystko, czym powinienem się interesować, toteż w niniejszej opowieści zapewne roi się od nieścistości. Prawdę mówiąc, *Szkarłatny płatek i biały* byłby od początku do końca najczystszy zmysłem, gdyby nie rzesza ludzi, którzy pomogli mi w pracy nad tą książką. Dziękuję im za to, że podzielili się ze mną wspomnieniami, i biorę na siebie całą odpowiedzialność za wszystkie uchybienia i błędy, których ostatecznie nie udało się wyeliminować. Niektóre z nich, jak przesunięcie daty katastrofy kolejowej w Abbots Ripton i bezwstydną przywłaszczenie tego, co prawnie należy do niejakiego Le Petomane'a³⁴, popełniłem z pełną świadomością; inne pomyłki zaś są po prostu wynikiem autorskiej niewiedzy; nic dziwnego, skoro nawet wymienieni poniżej mądrzy ludzie nie zdołali mnie przed owymi błędami uchronić:

Chris Baggs, Clare Bainbridge, Paul Barlow, Francis Barnard, Lucinda Becker, Cynthia Behrman, Gemma Bentley, Alex Bernson, Marjorie Bloy, Nancy Booth, Nicola Bown, Trev Broughton, Arthur Burns, Jamie Byng, Rosemary Campbell, Roger Cline, Ken Collins, Betty Cortus, Eileen M. Curran, Frederick Denny, Patrizia di Bello, Jonathan Dore, Gaił Edwards, K Eldron, Marguerite Finnigan, Holly Forsythe, Judy Geater, Grayson Gerrard, Sheldon Goldfarb, Kerryn Goldsworthy, Valerie Gorman, Jill Grey, Lesley Hall, Beth Harris, Kay Heath, Sarah J. Heidt, Toni Johnson-Woods, Ellen Jordan, Iveta Jusova, Katie Karrick, Gillian Kemp, Andrew King, Ivo Klaver, Patrick Leary, Paul Lewis, Janet Loengard, Margot Louis, Michael Martin, Chris Ann Matteo, Liz McCausland, Hugh MacDougall, Kirsten MacLeod, Deborah McMillion, Terry L. Meyers, Sally Mitchell, Ellen Moody, Barbara Mortimer, Jess Nevins, Rosemary Oakeshott, Judy Oberhausen, Jeanne Peterson, Sian Preece, Angela Richardson, Cynthia Rogerson, Mario Rups, Herb Schlossberg, Barbara Schulz, Malcolm Shifrin, Helen Simpson, Carolyn Smith, Rebecca Steinitz, Matthew Sweet, Ruth Symes, Carol L. Thomas, George H. Thomson, Maria Torres, Audrey Verdin, Trina Wallace, Robert Ward, Stephen Wildman, Peter Wilkins, Perry Willett, Chris Willis, Michael Wolff i Karen Wolven.

Wyrażam wdzięczność Patrickowi Leary, który założył znakomite internetowe forum dyskusyjne VICTORIA, i dziękuję Cathy Edgar, która podała mi jego adres.

Ponieważ zdaję sobie sprawę, że powinienem dbać, aby ta skromna objętościowo rzecz nadmiernie się nie rozrosła, nie mogę wymienić wszystkich pozycji, z jakich korzystałem w trakcie pisania niniejszej powieści, chociaż specjalna wzmianka należy się w tym miejscu publikacji zatytułowanej *The Victorian Kitchen*, autorstwa Jennifer Davies. Dziękuję także wszystkim, którzy pisali o tamtej epoce, a zwłaszcza tym, którzy ją fotografowali i malowali.

Kilkoro bohaterskich ochotników zdecydowało się przeczytać maszynopis. Rozsądne rady Kennetha Fieldena, które pozwoliły mi uniknąć ślepych uliczek i pułapek na wczesnym etapie pracy, szybko skierowały mnie na właściwy tor. Mary Ellen Kappler czytała tekst w cotygodniowych odcinkach, które posyłałem jej pocztą elektroniczną, i pracowała nad nim znacznie

34 Le Petomane – „artysta” będący pierwowzorem Wielkiego Flatellego, postać autentyczna (historyczna); jak Wielki Flatelli, puszczał „muzyczne wiatry” (przyp. tłum.).

staranniej, niż mogłem tego oczekiwać. Jak rzadko kto Mary łączy uczoność z dociekliwością, toteż jej pomoc okazała się nie tylko użyteczna, lecz była dla mnie natchnieniem.

Dziękuję także mojej redaktorce, Judy Moir, która przeczesała maszynopis z taką samą starannością, oddaniem i życzliwością jak w wypadku pracy redakcyjnej nad moimi poprzednimi książkami.

Przed wszystkim jednak chciałbym podziękować mojej żonie, Evie, za przenikliwą krytykę kilku różnych wersji *Szkarłatnego płotka i białego*, którego kształt ulegał niekiedy radykalnym zmianom w ciągu wielu długich lat. Wysokie wymagania oraz klarowność, z jaką umiała przedstawić mi własną wizję powieści, w ogromnym stopniu wzbogaciły tę książkę.

Michel Faber
kwiecień 2002